

Aleksy Tołstoj

Piotr Pierwszy

tłumaczył Andrzej Stawar

Księga I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Sańka zeskoczyła z pieca, uderzyła tyłkiem w spaczone drzwi. Za Sańką szybko zleźli Jaszka, Gawryłka i Artamoszka — nagle "wszystkim zachciało się pić. Wybiegli do ciemnej sieni za obłokiem pary i dymu z zatechłej izby. Niebieskawe światło przeświecało w okienku poprzez śnieg. Mroźno. Stażew z wody pokryła się lodem, zlodowaciał również drewniany czerpak.

Dzieci skakały z nogi na nogę — wszystkie były bose, Sańka miała głowę obwiązaną chustką, Gawryłka i Artamoszka byli w samych koszulkach do pępka.

— Drzwi, opętańcel — wrzasnęła matka z izby.

Matka stała przy piecu. Łuczywo na drążku zapłonęło jaśniej. Płomień oświetlił pomarszczoną twarz. Najstraszniej błysnęły wyplakane oczy spod zlachmanionej chusty, całkiem jak na świętym obrazie. Sańka przelęknęła się czegoś. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Potem zaczerpnęła przytechłej wody, napiła się, odgryzła sopelek lodu i napiła braciszków. Szepnęła:

— Zmarzliście? Chodźmy na dwór. Zobaczmy, jak tata zaprzęga konia...

Na dworze ojciec zaprzęgał konia do sań. Wolniuteńko padał śnieżek, niebo było śnieżne. Na wysokim płocie siedziały kawki. Było tu mniej zimno niż w sieni. Tata, Iwan Artiemicz — tak nazywała go matka, a ludzie i on sam mówili: Iwaszka, nazwiskiem Browkin — miał wysoki kołpak nasunięty na gniewne brwi. Ryżę brodzisko, nie czesane chyba od Pokrowy*. Za pazuchą siermięgi, nisko przepasanej łykiem, sterczały rękawice. Łapcie skrzypiały gniewnie po zgnojonym śniegu: tata nie mógł sobie poradzić z uprzężą. Uprząż zbutwiała, same supły. Ze złości wrzeszczał na karego, krótkonogiego jak on konika z rozdętym brzuchem:

— Gzij się, gjij, zły duchu!

Dzieci załatwiły przy ganku małą potrzebę i tuliły się do siebie na pokrytym lodem progu, choć mróz przenikał. Artamoszka, najmłodszy, ledwie mógł powiedzieć:

— Nic, wygrzejemy się na piecu.

Iwan Artiemicz zaprzęgał konia i jął go poić z drewnianego wiadra. Koń pił długo, rozdy- mając kudłate boki. „No cóż, nie dajecie jeść, to se przynajmniej popiję...” Tata włożył rękawice, wyjął spod słomy bat.

— Uciekać do chałupy, ja wam dam! — krzyknął na dzieci. Padł bokiem na sanie i nabrawszy rozpędu za wrotami, ruszył kłusem koło osypanych śniegiem wysokich jodeł w stronę dworu szlachcica Wołkowa.

— Oj, (ziab ok/rutny! — rzekła Sańka. Dzieci rzuciły się do ciemnej izby i powłaziły na piec dzwoniąc zębami. Ciepły, suchy dym kłębił się pod ciemnym pułapem i wychodził przez zasuwane okienko nad drzwiami. Izba była kurna. Matka zarabiała ciasto. Zagroda była przecie zamożna: koń, krowa, cztery kury. O Iwaszce Browkinie mówiono: twardy. Spalone węgielki łuczywa spadały z sykiem do wody. Sańka naciągnęła na siebie i na braciśzików kozuch barani i pod kozuchem znowu jęła szeptać o różnych strachach: o tych, żeby nie wymówić w złą godzinę, co to nocami chrobocą w piwnicy...

— Onegdaj, żebym pękła, jak się zlekłam!... Na progu — śmiecie, na śmieciach — miotła... Patrzę z pieca, w imię Ojca i Syna! Spod miotły wylazi kosmaty, z kocimi wąsami, otrząsa się...

— Oj! aj! oj! — drżeli ze strachu malcy pod kozuchem.

II

Lasem biegła ledwie przetarta droga. Wiekowe jodły zasłaniały niebo. Ostępy, wertępy — trudne miejsca. Ziemię tę Wasilij Wasiliewicz, Wołkowów syn, otrzymał w poza- przeszłym roku, gdy wydzielił się od ojca,

moskiewskiego szlachcica pełniącego służbę wojskową. Pomieśtny Urząd* wydzielił Wasilijowi czterysta pięćdziesiąt dziesięć i przypisał do nich trzydzieści siedem dusz chłopskich z rodzinami.

Wasilij postawił dwór, ale zrujnował się, połowę ziemi wypadło zastawić w klasztorze. Mnisi dali pieniądze na ciężki procent — dwadzieścia kopiejek od rubla. A trzeba było pełnić służbę carską na dobrym koniu, w pan- cerzu, przy szabli, z puszczem, oraz przyprowadzić trzech zbrojnych, konno, w tiegi- lajach z szablami sajdakami. Za klasztorne pieniądze Wasilij z trudnością mógł zdobyć się na taką wyprawę, a jak tu żyć? Jak czeladź nakarmić? A tu płąć lichwę mnichom!

Urząd carski nie zna litości. Co rok — to nowy nakaz, nowe pieniądze — stołowe, podróżne, daniny i czynsze. Czy wiele człowiekowi zostanie? I ciągle nagabują dziedzica, że opieszają w ściąganiu czynszu. A z chłopą więcej niż jedną skórę nie zdrzesz. Wojny nieboszczyka Aleksego Michajłowicza, zamieszki, bunty wycieńczyły Rosję. Od czasów jak hulał przekłętą pamięci łotr Stieńka Razin, chłopci zapomnieli o Bogu. Wystarczy ich trochę mocniej przycisnąć, już szczerzą zęby jak wilki. Przed ciężarami uciekają nad
HHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHH

Don do Kozaków. Nie sprowadzisz ich stam- stąd ani hramotą, ani szablą.

Koń włókł się truchcikiem, cały pokryty szronem. Duha zaczepiała o gałązki sypiące śnieżnym pyłem. Na przejeżdżającego spoglądały przypadając do pni wiewiórki o puszystych ogonach. Tych wiewiórek było w lasach zatrzęsienie. Iwan Artiemicz leżał w saniach i myślał — jedno tylko pozostało chłopu: myśleć.

„No, dobrze... to daj, tamto daj... temu zapłać, tamtemu zapłać... Ale takie państwo — to wór bez dna! Czy to można je nakarmić? Znosimy wszystko, od roboty nie uciekamy. Ale w Moskwie bojarzy zaczęli jeździć w złoconych karocach. Musisz dać na karocę diabłom nienasyconym. No dobrze... Przymuszaj, bierz, co ci trzeba, ale bez zberezeństwa... Bo to, chłopcy, jak zdzierają drugą skórę 7-f to zberezeństwo. Ludzi carskich siedzi na naszym grzbiecie tyle jak nigdy, gdzie spluniesz — to diak*, to podiaczy, a tam znów karczmarz siedzi i zapisuje... A chłop sam jeden... Oj, ludzie, lepiej ucieknę, niech już mnie zwierz w lesie zagryzie. Śmierć lepsza niż to zberezeństwo... W taki sposób wy niedługo z nas żyć będziecie.”

Iwan Browkin myślał, być może, tak, a może inaczej. Z lasu wyjechał na drogę, klęcząc

w saniach, chłop Wołkowa, przezwiskiem Cygan, czarny, siwawy. Przez piętnaście lat objął się gdzieś daleko. Nagle przyszedł ukaz: wszyscy zbiegli chłopci, żeby nie wiem jak długo byli na wolności, mają być wróceni dziedzicom. Cygana wzięli pod Woroneżem, gdzie miał gospodarstwo, i zwrócili staremu Wołkowowi. Cygan znowu' nogi za pas — złapali go, kazali Cygana bić biczem bez litości i trzymać w ciemnicy we dworze Wołkowa, a gdy skóra zarośnie, znowu bić po raz wtóry i z powrotem wrzucić do ciemnicy, żeby ten hultaj, złoczyńca, już nie uciekał. Cygana wybawiło jeno to, że go odpisano Wasilijowi.

— Witaj! — rzekł Cygan do Iwana i przesiadł się do jego sań.

— Witaj.

Co tam słycać?

— Dobrego niby nic nie słycać...

Cygan zdjął rękawicę, przeczesał palcami

wąsy, brodę, by skryć wyraz obłudy.

— Spotkałem w lesie człowieka: powiada, że car umiera.

Iwan Artiemicz uniósł się w sankach. Zdjął go strach...

— Prr... — Ściągnął kołpak, przeżegnał się. — Kogoż teraz ogłoszą carem?

— Powiada, że nie ma nikogo prócz chłopaczka, Piotra Aleksiejewicza. Dopiero odstawiony od cycka...

— No, chłopie! — Iwan nacisnął kołpak na uszy, oczy mu zbieleły. — No, chłopie... Teraz

1

będzie bojarskie panowanie. Przepadniemy wszyscy...

jf] Przepadniemy, a może i nie, tak to, tak. — Cygan przysunął się bliżej. Mrugnął. -r- Człowiek ten powiedział: będą zamieszki... Może jeszcze będziemy żyli, chleb jedli, czy to nam nowina... — Cygan wyszczerzył wilkołacze zęby i zaśmiał się kaszląc na cały las.

Wiewiórka zeskoczyła z pieńka, przeleciała przez drogę, sypnął śnieg, w skośnym świetle zagrał słup igiełek szronu. Wielkie, malinowe słońce zawisło nad wzgórzem w końcu drogi, ponad wysokimi częstokołami, spadzistymi dachami i dymami dworu Wołkowa.

III

Iwaszka i Cygan pozostawili konie koło wysokiej bramy. Nad bramą, pod dwubocznym daszkiem — wyobrażenie Męki Pańskiej. Dookoła dworu biegła niedostępna palisada. Można się tu bronić choćby przed Tatarami. Chłopi zdjęli czapki. Iwaszka ujął za kółko furtki, powiadając jak przystoi:

— Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami...

Skrzypiąc łapciami wyszedł z budki stróż Awerian. Popatrzył przez szparę — swoi. Wyrzekł: Amen — i jął otwierać bramę. Chłopi wprowadzili konie na podwórze.

13

Awerian ruszył do stróżówki nie zginając nóg. W zimowym zmierzchu gdzieś połykiwało okienko. W podwórzu była moc wszelkiego rodzaju zabudowań: obory, lochy, kuźnia, chaty. Wszystko to jednak stało na pół bezużyteczne. Wołkow miał dworskiej czeladzi ledwie piętnaście dusz, ale i to żyło. Stali bez czapek, zezując na mikowe okienka pańskich pokoi. Do dworu prowadził ganek ze stromymi schodami. Piękny ganek z rzeźbionego drzewa, z cebulastym dachem. Nad gankiem wznosił się dach dworu niby namiot, z dwoma półkolistymi zaokrągleniami, ze złożonym grzebieniem. Dolna kondygnacja dworu zbita z potężnych bali. Wasilij Wołkow przygotował ją jako spichrz na zapasy zimowe i letnie: zboże, solone mięswo, różne kwaszeniny. Lecz chłopci wiedzieli — w piwnicach biegają tylko myszy. Ale ganek — daj Boże niejednemu księciu, bogaty ganek.

— Awerianie, po co nas pan wołał z końmi? Czy to powinność nowa, czy co?... — zapytał Iwaszka. Przecie chyba nic się od nas nie należy!...

— Zawieziecie zbrojny poczet do Moskwy.

— ■ 2^nowu konia zegnać?

p •— A co słyhać? — zapytał Cygan przysuwając się. — Wojny z kim? Zamieszki?

— To nie na twój i nie na mój rozum — siwy Awerian pochylił głowę. — Kazali ci, to zawieziesz.

Przywieźli dziś znowu kijów na was...

o chlebie i kwasie. Robili, oczywista — orali tu i ówdzie, siali, wozili drzewo, ale' czy z tego można wyżyć? Praca niewolna. Powiadano, że Wasilij posyła jednego z nich do Moskwy, by zebrał przy kruchcie. Ten mu przynosi trochę pieniędzy. Dwóch siedzi z koszami i sprzedaje w Moskwie łyżki, łapcie, gwizdawki... A przecie chłopci to grunt. Ci żywią...

Iwaszka i Cygan stali o zmierzchu na podwórzu i rozmyślali. Nie było po co się spieszyć. Nie można się spodziewać niczego dobrego. No, prawda,, starzy opowiadają, że dawniej było lżej: jak ci się nie podobało, toś szedł do innego pana. Teraz tego nie wolno — tam żyj, gdzie kazano. Kazano ci karmić Wasilija Wołkova — rób, co chcesz, a musisz go karmić. Wszyscy stali się niewolnikami, a należy oczekiwać jeszcze gorszych rzeczy...

Zgrzytnęły gdzieś drz^yi, pobiegła po śniegu dziewczka dworska, bezwstydnica, z gołą głową.

— Pan kazał, żebyście wyprzęgali. Kazał przenocować. Tylko żebyście się nie ważyli brać dworskiego siana dla koni...

Cygan chciał już batem zdzielić dziewczkę przez gładki tyłek. Uciekła. Wyprzęgli bez pośpiechu. Poszli na nocleg do izby czeladnej. Ośmiu ludzi z czeladzi przy świetle skradzionej panu łojówki grało w kości, trzaskało gniewnie w stół zatłuszczonymi kartami, wygrywając od siebie kopiejki. Wrzawa, spory.

ten chce wsunąć sobie kopiejką za policzek, inny rozrywa mu usta. Obiboki, a przecie mają co jeść!

Z boku, na ławce, siedział chłopiec w długiej koszuli płóciennej, w zdeptanych łapciach — Aloszka, syn Iwana Artiemicza. Na jesieni dla głodu wypadło oddać go panu zamiast daniny, na wieczną niewolę. Chłopczyk, z wielkimi oczyma, wdał się w matkę. Zmierzwione włosięta świadczyły, że go tu biją. Iwan Artiemicz zerknął na syna, zrobiło mu się go żal, ale nic nie powiedział. Aloszka w milczeniu nisko skłonił się ojcu. Iwan przywołał go palcem i zapytał szeptem:

~ Jużście wieszczali?

— Wieszczaliśmy.

— Ech, nie wzięleli z domu chleba. (Zełgał — pajdę chleba miał za pazuchą w szmatce.) Postaraj się jakoś. Widzisz, Alosza... Rankiem padnę panu do nóg — mam dużo roboty. Może ulituje się i ty pojedziesz zamiast mnie do Moskwy.

Aloszka poważnie skinął głową: — Dobrze, tato. — Iwan zaczął zdejmować łapcie i pytłował, niby że jest wesoły i syty:

— Cóż to, chłopcy? Co dzień tu u was takie wesele? Co? Lekko się wam żyje, słodko pije...

Rosły drab z czeladzi rzucił karty i odwrócił się.

H! A tyś co za jeden, żebyś nam do gęby zaglądał!

Iwan wlaż na piec nie czekając, aż dostanie w pysk.

IV

U Wasilija Wołkowa został na noc gość-są- siad, Michajło Tyrutow, zubożały syn szlachecki. Wieczereż zjedli wcześniej. Na szerokich ławach, blisko polewanego pieca, rozesłane były dery, poduszki, futra niedźwiedzie, ale nie spało im się, jak to młodym. Gorąco. Siedzieli na ławie w samej bieliźnie, boso. Rozmawiali o szarej godzinie. Ziewali kreśląc znak krzyża na ustach.

— Tobie — gadał Tyrutow cicho i statecznie — tobie, Wasilij, niejeden zazdrości... A spróbuj wleźć w moją skórę. Jest nas czternastu synów. Siedmiu zostało nadzielonych. Borykają się na pustkach. Jeden ma dwóch chłopów, inny trzech — reszta pouciekała. A teraz ja, ósmy, jutro mnie nadziela. Dadzą pogorzeliśko i bagno z zabami... Jak tu żyć, he?

— Teraz wszystkim ciężko — Wasilij przebierał jedną ręką paciorki różańca z drzewa cyprysowego, który mu zwisał między kolanami. — Wszyscy się borykamy. Jak tu żyć..

— Dziad mój siadywał wyżej od Golicy- na — czuwał przy trumnie Michała Fiodorowicza. A my po domu chodzimy w łapciach... Przywykliśmy do sromu. Nie o honorach człowiek myśli, ale jak by wyżyć... Ojciec w Pomieśnym Urzędzie czoło sobie poobijał przy prośbach; bez kubana ani rusz. Diakowi daj, podiaczemu daj, młodszemu podiaczemu

daj. Ba, jeszcze wybredzają, nie chcą brać... Prosiłiśmy o drobną rzecz podiaczego Stiopkę Riemiezowa, posłaliśmy mu kubana — dzie[^] sieć ałtynów — ledwośmy te pieniądze zebrali, i pud suszonych karasi. Pieniądze wziął ten zapijaczony, wiecznie spragniony pysk, a karasie kazał wyrzucić na dwór... Inni, filuci, wymuszają... Wołod'ka Czemodanow doszedł z prośbą aż do cara, dostał dwie wioski na wieczne władanie, a wszyscy przecie wiedzą, że Wołod'ka w ostatniej wojnie z Polakami uciekał z pola co sił starczyło, a jego ojciec pod Smoleńskiem trzy razy uciekał... Więc miast ich za to pozbawić majątków i wypędzić z dworów, obdarowano ich wsiami... Nie ma sprawiedliwości...

Umilkli. Piec dyszał żarem. Świerszcze sucho ćwierkały. Cisza, nuda. Nawet psy przestały ujadać. Wasilij mówił w zamyśleniu:

— Żeby król jaki przyjął na służbę — do Wenecji, do Rzymu, do Wiednia... Poszedłbym nie oglądając się... Wasilij Wasiliewicz Go- licyn memu ojcu chrzestnemu dał książkę[^] brałem ją do czytania... Wszystkie narody żyją w bogactwie, w zamożności, my jedni nędzarze. Byłem niedawno w Moskwie, potrzebowałem rusznikarza. Posłali mnie do slobody Kujuk, do Niemców... Co z tego, że oni nie prawosławni! Bóg ich tam będzie sądził... Ale kiedyś przeszedł przez roгатki — ulice zamiecione, domy wesołe, czyste, w ogrodach kwiaty. Idę i nieśmiałość mnie ogarnia, robi mi się dziwnie jak we śnie...

Ludzie życzliwi, a przecież żyją tuż obok nas. A jakie bogactwa! Jeden Kujuk bogatszy jest niż cała Moskwa z przysiółkami. . — Zająć się kramarstwem? Znowu trzeba do tego pieniędzy — powiedział Michajło patrząc na boscie nogi. — Iść do strzelców? Mała korzyść. Zanim człowiek dobieje się setnika, garb mu urosnie. Niedawno do ojca przyjechał koniuch cesarski Daniło Mieńszykow, opowiadał, że już półtrzecia roku skarb zalega z żołdem dla strzeleckich pułków. A podnieść krzyk — sadzają do kozy. Pułkownik Pyżow pędzi strzelców do swoich majątków podmoskiewskich i tam pracują jak chłopci... A jak poszli na skargę, to skarżących bito batem na majdanie. Ach, jacy strzelcy rozeżleni... Mieńszykow mówił: poczekajcie tylko, jeszcze strzelcy pokażą...

— Powiadają, że kto ubrany w bojarską szubę — nie śmie jeździć za rzekę Moskwę.

— A co chcesz? Wszyscy zbiednieli... Takie ciężary, daniny, czynsze, podatki — rzucić wszystko i uciekać... Mieńszykow opowiadał o cudzoziemcach — ci handlują, w Archan- gielsku, w Chołmogorach mają domy murowane z kamienia. Za granicą kupi za rubla, a sprzeda u nas za trzy... A nasi kupcykowie z chciwości jeno towar marnują. Mieszczanie od nadmiernych ciężarów uciekają na wieś albo w dzikie stepy. Zaczęli pobierać teraz przerębłowe/ od przerębła w rzece... A dokąd idą pieniądze? Mieńszykow opowiadał: Wasilij Wasiliewicz Goliecin wznosił so

bie pałac koło rzeczki Nieglinnej. 2 wierzchu mury obite blachą, a w środku skórą złoconą.

Wasilij uniósł głowę i popatrzył na MI- chajkę. Ów wsunął nogi pod ławę i również patrzył na Wasilija. Dopiero co siedział tu spokojny człek, a naraz jakby innego posadzono — uśmiecha się, noga mu drży, ławka pod nim dygocze.

— Co ty?... — zapytał cicho Wasilij.

— W zeszłym tygodniu pod wsią Worobie- wem znowu rozbili tabor. Słyszałeś? — Wasilij spochmurniał, zabrał się do różańca. — Kupcy i sukiennicy wieźli piękny towar... Spieszyli się, by stanąć w Moskwie na od- wieczern, ale nie dojechali... Jeden kupczyk pozostał przy życiu, doniósł. Zaczęli łapać zbójów, znaleźli jeno ślady, ale i te zanosło śniegiem...

Ramiona Michajły zadygotały, zaśmiał się.

— Nie lękaj się, mnie tam nie było. Słyszałem od Mieńszykowa... (Pochylił się do Wasilija.) Powiadają, że ślady prowadziły wprost do Warwarki, do dworu Stiopki Odo- jewskiego... Do młodszego syna księcia Odo- jewskiego... Naszego jednolatka...

— Trzeba iść spać, czas spać — rzekł Wasilij posepnie.

Michajło znowu rozeźmiał się niewesoło:

— No, podworowaliśmy sobie, chodźmy spać.

Podniósł się z ławy lekko, przeciągnął się, ze mu trzasnęły stawy. Nalał sobie kwasu

i długo pił, spoglądając znad brzegu drewnianego kubka na Wasilija.

— Dwudziestu pięciu ludzi czeladzi zaopatrzył w szable i broń ognistą... Stiopka Odo- jewski. Lud zuchwały... Wyuczył czeladź, nie karmił więcej niż rok, jeno w nocy wypuszczał za bramę po zdobycz... Wilki...

Michajło położył się na ławie, naciągnął kozuch niedźwiedzi, podsunął rękę pod głowę, oczy mu błyskały.

— Doniesiesz do urzędu, com tu gadał?

Wasilij powiesił różaniec i położył się

zwrócony twarzą do sosnowych tarcic, z których ściekała żywica. Dopiero po dłuższej chwili odrzekł:

— Nie, nie doniosę.

V

Za wrotami Ziemnego Wału wyboista droga zaczęła kołować ulicami, koło wysokich i wąskich, dwuizbowych belczanych chat; kupy popiołu, padlina, potłuczone garnki* stare łachy — wszystko to wyrzucano na ulicę.

Ałoszka trzymając lejce szedł obok sań, w których siedziało trzech chłopów w materialnych, wypchanych pakułami wojskowych kołpakach oraz grubo przesywanych, sztywnych kaftanach, zwanych tiegiJajami, o wy- sokich kołnierzach. Był to poczet Wasilija Wołkowa. Ubrał ludzi w tiegilaje, na kolczugi

nie starczyło mu pieniędzy, choć lękał się, czy na przeglądzie nie będą go poniewierać i łajać: „Czemu oszukujesz, nie dajesz zbroi/ i jaką winieneś z włości!”

Wasilij i Michajło siedzieli w saniach Cygana. Z tyłu czeladź prowadziła konie: konia Wasilija w bogatym czapraku i z perskim siodłem i konia Michajły, dychawicznego mierzyna z nędznym rzędem.

Michajło siedział zaszępioty. Mijało ich wiele szlachty i synów bojarskich, krzyżąc i popędzając konie. W kolczugach i pancerzach odziedziczonych po przodkach, w nowych ferezjach, deliach, tureckich kaftanach — cały powiat przybywał na plac Lublański na przegląd i nowe nadzieje. Wszyscy ci ludzie śmieli się patrzeć na mierzyna Michałjy: — Hej! Cóż to, prowadzisz go na wroni cmentarz? Uważaj, bo nie dojdzie! — przebiegając okładali konia batami, mierzyn przysiadł. Śmiechy, rephot, gwizdy.

Przejechali przez most na Jayzie, gdzie na stromym brzegu obracały się setki niedużych wiatraków. Ruszyli przez plac kłusem za saniami i rzędami wozów wzdłuż białego, wykruszonego muru z kwadratowymi basztami i armatami na blankach. W niziutkiej Bramie Miałnickiej wrzask, przekleństwa, ścisk. Każdy chce przebiec pierwszy, okładają się pięściami, czapki spadają z głów, sanie trzeszczą. konie stają dęba. Nad bramą przed ciemnym Obliczem tli niegasnąca lampa.

Aloszkę zbito batami, zgubił czapkę, dziw.

że wyszedł żywy! Wyjechali na Miałnicką. Ocierając krew z nosa Aloszka rozglądał się naokoło: „Rety!”

Lud wali ławą wzdłuż wąskiej, zagnojonej ulicy. Z lichych sklepiczek skleconych z desek wychylają się kramarze, łapią za poły, ściągają czapki przechodniom, przywołują do siebie. Za wysokimi parkanami murowane domy, czerwone, srebrzyste, spadziste dachy, pstre makówki cerkwi. Cerkwi tysiące. Wielkie, z pięcioma kopułami, i malutkie, narożne, takie, że ledwie człowiek przecisnie się przez wejście, a wewnątrz dziesięciu się nie pomieści. Poprzez otwarte drzwi widać gorące ogniki świeczek. Staruszki zasypiające na klęczkach. Okropni, kudłaci żebracy potrząsają łachmanami, obejmują za kolana, zawodzą, obnażają ciało pokryte strupami i krwią... Strasznoocy popi bez porafij wsuwają pod nos przechodniom kołacz wrzeszcząc: — Kupcze! odprawmy nabożeństwo albo nadgryzę kołacz! — Chmary kawek nad cerkiewkami...

Z ledwością przedarli się na Łubiankę, gdzie już gromadziły się kupy konnego żołnierstwa. Daleko, koło Bramy Nikolskiej, widniała sobola czapa bojara, wysoka jak komin, futrzane kołpaki diaków, ciemne kaftany ławników, znaczniejszych ludzi. Stamtąd długi chudy człek, z wielkim brodziskiem, krzychał i wymachiwał papierem. Wówczas wyjeżdżał szlachcic zbrojny bogato lub biednie, sam jeden lub z poczem, i pędził do stołu. Zsia

dał z konia, kłaniał się nisko bojarowi i diakom. Ci oglądali uzbrojenie i konie i odczytywali, ile ziemi ma przydzielonej. Spierali się. Szlachcic zaklinał się wałąc w pierś, niektórzy płakali wśród próśb i uzaleń, że do cna zmarnieli na swej ziemi i mrą z głodu i chłodu.

Tak to, wedle starodawnego obyczaju, rokrocznie przed wiosenną wyprawą odbywał się przegląd carskich ludzi wojennych — szlacheckiego pospolitego ruszenia.

Wasilij i Michajło dosiedli koni. Konie Cygana i Aloszki wyprężono, posadzono na nich — bez siodeł — ludzi Wołkowa, a trzeciemu, pieszemu, kazano powiedzieć, że koń w drodze stłukł sobie nogę. Sanie porzucono.

Cygan pochwycił strzemię pańskie.

— Panie miłościwy! Gdzie zabieracie mego konia?

Wasilij przygroził mu nahajem:

— Ja ci pokrzyczę!

A gdy pan odjechał, Cygan zaklął straszliwie, brudno, rzucił w sanie chomaćto i duhę i runął sam, zagrzebawszy się z rozpaczą w słomę...

O Aloszce zapomniano. Włożył uprząż do sanek. Siedział marznąc bez czapki, w lichym kożuszku. Cóż, trzeba cierpieć — chłopska dola. Nagle pociągnął nosem, czując smakowitą, sytną woń. Przechodził obok niego mieszczuch w zajęcej czapie, pulchny, z małutkimi oczyma. Na brzuchu, w skrzynce pod szmatami, dymiły gorące pierogi. Bestia! —

spojrzał zezem na Aloszkę, unosząc szmatki. — Rumiane, gorące! — Zapach przynęcił Aloszkę do pierogów.

— Po czemu pierogi?

— Para pół grosza. Aż ślinka leci.

Aloszka miał za policzkiem schowany jeszcze wczoraj pieniążek — pół grosza: kiedy szedł do dworu, matka podarowała mu na to gorzkie szczęście. Szkoda pieniędzy, ale głód skręca kiszki.

— Daj chyba — rzekł ostro Aloszka.

Kupił pierogi i zjadł. W życiu nic podobnego nie jadł. A kiedy wrócił do sań, nie było ani bata, ani duhy, ani uprzęży, wszystko zabrali. Rzucił się do Cygana, ale ten tylko zaklął pod słomą. Pod Aloszką ugięły się nogi. W głowie puste dzwonienie. Usiadł na brzegu sań, zaczął płakać. Zerwał się i jął zaczepiać przechodniów: — Nie widzieliście złodzieja? — Śmieją się. Co tu począć? Popędził przez plac i jął szukać pana.

Wasilij siedział na koniu, wsparty rękami pod boki — w miedzianej misiurce, na piersi i brzuchu oszronione żelazne łuski pancerza. Orzeł — wprost nie do poznania. Z tyłu na koniach dwóch chłopów jak beczki, w tiegi-lajach, rohatyny na ramionach. Ci sami rozumieli dobrze, jacy z nich wojacy — istna głupota. Uśmiechali się.

Rozmazując łzy i zawodząc gwoli żalości Aloszka jął opowiadać o swoim nieszczęściu.

— Sameś winieni — wrzasnął Wasilij — ojciec cię oćwicz. A jak ojciec nie odkupi

uprzęży, to ja jego oćwicę. Ruszaj, nie wierć mi się tu koło konia!

W tej chwili wywołał go długi diak, wymachujący papierem. Wołkow ruszył z kopyta, a za nim ludzie wałąc łapciami w końskie boki. Podjechali do Bramy Nikolskiej, gdzie przy stole, w puszystej czapie gronostajowej i dwóch szubach, aksamitnej z wierzchu oraz baraniej, nie pokrytej — siedział straszny książę Fiodor Juriewicz Romodanowski.

Co teraz począć? Ani czapki, ani uprzęży... Aloszka zawodził z cicha, wałęsając się po placu. Krzyknął nań z tyłu Michajło Tyrtow, pochylił się z konia i chwycił go za ramię.

— Aloszka — powiedział, łzy miał w oczach, usta mu się trzęsły — Aloszka, na miłość boską, biegnij do Bramy Twerskiej i zapytaj, gdzie jest zagroda Daniły Mieńszykowa, koniucha... Wejdiesz tam i pokłonisz się Danile trzykrotnie do samej ziemi... Powiesz, że Michajło bije czołem... Powiesz, że koń mu sfelerował... Wstyd, powiedz. Niech mi da jakiegokolwiek konia na jeden dzień, byłem się mógł okazać. Zapamiętałeś? Powiedz — odwdzięczę się... Za konia mógłbym teraz człowieka zarżnąć... Płacz, proś...

— Będę prosił, a jak on odmówi? — zapytał Aloszka.

— To ja ciebie w ziemię wbiję! — Michajło wytrzeszczył oczy, nozdrza mu się rozděły. Aloszka co sił popędził, gdzie mu kazano. Michajło przemarzał w siodle, nie jedząc cały dzień. Słońce chyliło się w mroźną mgłę-

Śnieg niebieszczał, Końskie kopyta skrzypiały głośnie. Zbliżał się zmierzch i w całej Moskwie na dzwonicach i wieżach zaczęto dzwonić na nabożeństwo wieczorne. Obok przejechał stępa Wasilij Wołkow z głową chmurnie opuszczoną. Aloszka ciągle nie wracał. I nie wrócił wcale.

VI

W niskiej, mocno nagrzonej izbie przed obrazami paliły się lampy oświetlając spadzisty strop i jego pociemniałe malowidła: rajskie ptaki, floresy z traw.

Pod ciemnymi obliczami ikon, na szerokiej ławie, zapadłszy wątłym ciałem w łabędzie pierzyny, umierał car Fiodor Aleksiejewicz.

Spodziewano się tego od dawna. Car miał skorbut, nogi mu puchły. Dziś rano nie mógł wystać na nabożeństwie, przysiadł na krzeselku, ale zwałił się na Ziemię. Rzucono się do niego. Serce biło słabo. Położono go pod obrazami. Nogi od wody rozděły się jak belki i zaczęły puchnąć brzuch. Zawołano doktora Niemca. Doktor wypuścił wodę, car przycichł, zbliżał się koniec. Oczodoły pociemniały, nos się zaostrzył. Przez chwilę coś szeptał, nie mogli zrozumieć, co. Doktor pochylił się do jego bezkrwistych warg: Fiodor Aleksiejewicz niezrozumiale, samym tylko tchnieniem szeptał po łacinie wiersze. W carskim szepcie doktor usłyszał tekst Owidiusza...

27 Wffi

Owidiusz? No łożu śmierci? Niewątpliwie car był nieprzytomny.

Teraz nie słyhać było nawet jego odde-, chu. Koło oszronionego okna, w którego krągłych szybach igrało światło księżycy, siedział na włoskim składanym krześle surowy woskowy patriarcha Joachim w czarnej sukni i kłobuku * z białym ośmiokończystym krzyżem, siedział zgarbiony i nieruchomy jak widmo śmierci. Przy ścianie stała samotnie carowa Marfa Matwiejewna i przez mgłę łez spoglądała tam, gdzie wśród zwałów pierzyn widniało drobne czółko i wydłużony nos umierającego męża. Carowa miała zaledwie siedemnaście lat, wzięto ją do pałacu z biednej rodziny Apraksinów dla urody. Carową była tylko dwa miesiące. Ciemnobra, głupiotka twarzyczka nabrzmiała od łez. Pochlipywała jeno dziecinnie i wyłamywała palce — bała się głośno zawodzić.

W drugim końcu sali, w mroku pod stropem, szeptała między sobą liczna rodzina cara — siostry, ciotki, wujowie i bliscy bojarowie: Iwan Maksymowicz Jazykow, mały, zażywny człowiek, dobrotliwy i słodki, niezmierniej zrzeczności, znawca dworskich przebiegów) pochmurny, szanowny starzec, uczony, pierwszy koniuszy — Aleksy Timofiejewicz Lichaczow, oraz księżę Wasilij Wasiliewicz Golicyn — piękny jak malowanie: kędzierzawa bródka z przedziałkiem, podkrecony wąs, czupryna podgolona z polska, w polskim kontuszu i miękkich butach na wysokich obcasach — księżę był miernego wzrostu.

Niebieskie jego oczy błyszczały podnieceniem. Nadeszła stanowcza godzina — należy ogłosić nowego cara: Piotra czy Iwana? Czy syna Naryszki, czy syna Miłosławskiego? Obaj jeszcze nieletni chłopczkowie, za oboma siła potężnych krewniaków. Piotr gorącego umysłu, krzepkiego ciała. Iwan słabego rozumu, chorowity, miękki Jak wosk... Ale którego wybrać, którego?

Wasilij Wasiliewicz staje bokiem, przypada uchem do podwójnych, okutych miedzią drzwi, nasłuchuje. W sąsiedniej sali tronowej huczą głosy bojarów. Od rana, nie pijąc, nie jedząc, pocili się w swych szubach Naryszki- nowie z kompanią i Miłosławscy z kompanią. Sala pełna: wymyślają, wypominają sobie dawne krzywdy, czują, że dziś tu ktoś wzniesie się wysoko, a ktoś pójdzie na zesłanie.

—Gwałt, mopanku — wyszeptał Wasilij Wasiliewicz i podszedłszy do Jazykowa powiedział cicho po polsku: — Iwanie Maksymowiczu, należałoby spytać patriarchę, za kim on trzyma.

Kędzierzawy, porosły gęstym, jasnym włosem Jazykow uśmiechnął się rumiano i słodko, spoglądając z dołu do góry — spocił się od gorąca, pachniał różanym olejkiem.

— I władyka, I Ja czekamy na twe słowo,

Podszedł Lichaczow, westchnął kładąc białą rękę na brodzie.

— W tej wielkiej godzinie, Wasiliju Wasi- liewiczu, nie wolno iść luzem. My postanowiliśmy tak: Iwanowi trudno być carem, jest słabowity, nie na długo... Nam trza siły. ;

Wasilij Wasiliewicz opuścił rzęsy uśmiechając się kąciem ładnych warg. Zrozumiał, że niebezpiecznie wszczynać teraz spór.

— Niechże tak będzie — rzekł. — Piotr będzie carem.

Uniósł niebieskie oczy, które nagle zadrżały i zamglily się tkliwie. Patrzył na wchodzącą carównę Zofię, szóstą siostrę cara. Nie weszła płynąc łabędzim krokiem, jak przystoi dziewczycy — wpadła gwałtownie, aż rozwarły się poły pstrego letnika, nie dopiętego na pełnej piersi, czerwone wstęgi rogatego diademu rozleciały się wokół. Na nieładnej twarzy pod różem i bielidłem wystąpiły plamy. Carówna była grubej kości, krępa, moc* na, z dużą głową. Wypukłe czoło, zielonkawe oczy, zaciśnięte usta zdawały się nie panieńskie, lecz męskie. Patrzyła na Wasilija Wasiliewicza i widocznie rozumiała, o czym mówił przed chwilą i jak odpowiedział.

Nozdrza jej drgnęły wzgardliwie. Zwróciła się do łoża umierającego, plasnęła rękoma, załamała je i opadając na kobierzec przywarła czołem do pościeli.

Patriarcha uniósł głowę, jego zamglpne

30

spojrzenie zatrzymało się na karku Zofii i na jej opadających warkoczach. Wszyscy znajdujący się w sali zamilkli czujnie. Pięć ca- rówien jęło się żegnać raz po raz. Patriarcha podniósł się i długo patrzył na cara. Od- rzucił czarne rękawy, przeżegnał go szeroko i począł odmawiać modlitwę za konających.

Zofia złapała się za głowę i krzyknęła dziko, przenikliwie, jęła zawodzić niskim głosem. Wrzasnęły siostry... Carowa Marfa Mat- wiejewna padła plackiem na ławę. Podszedł do niej starszy brat, Fiodor Matwiejewicz Aprak- sin, wysoki i tęgi, w szubie aż do pięt, i zaczął głaskać carową po plecach. Do patriarchy podbiegł Jazykow, przypadł doń i pociągnął za rękę. Patriarcha, Jazykow, Lichaczow i Golicyn szybko wyszli do sali tronowej. Bojarzy stadem ruszyli ku nim, wymachując rękawami, wysuwając brody, bezwstydnie wybałuszając oczy: — Co, no co, władko?...

— Car Fiodor Aleksiejewicz zasnął w Panu... Płaczmy, bojarzy...

Nie słuchano go — tłocząc się, rozpychając we drzwiach, bojarzy spieszyli do nieboszczyka, padali na kolana, bili czołem o kobierzec i unosząc się całowali jego już- złożone, woskowe ręce. Lampki z braku po- wietrza zaczęły potrzaskiwać i gasnąć. Wyprowadzono Zofię. Wasilij Wasiliewicz znikł. Do Jazykowa podeszli bracia Piotr i Borys Aleksiejewicze książęta Golicynowie, czar-

31

ny, z krzaczastymi brwiami, straszny na twarzy książę Jakub Dołgoruki oraz jego bracia: Łukasz, Borys i Grigorij. Jakub rzekł: Mamy noże i pancerze pod odzieżą... Cóż, obwołać Piotra?

— Wyjdźcie na ganek do ludu. Tam wyjdzie patriarcha i wówczas go okrzykniemy. A jak zaczną okrzykiwać. Iwana Aleksiejewicza — rznijcie łotrów nożami.

Po godzinie patriarcha wyszedł na Czerwony Ganek i błogosławiąc wielotysięczny tłum — strzelców, synów bojarskich, urzędników, kupców, mieszczan — zapytał, który | carewiczów ma objąć carstwo.

Płonęły ogniska, księżyc zapadał za rzeką Moskwą, na kopułach migotał jego lodowaty blask. Z tłumy krzyczano:

— Chcemy Piotra Aleksiejewicza!...

A potem ochrypli głos:

— Chcemy za cara Iwana!...

W stronę głosu rzucili "się ludzie, ucichł wkrótce, tym głośniejszym zawołanym tłumie: — Piotra! Piotra!

W zagrodzie Daniły na Aloszkę rzuciły się dwa psy łańcuchowe dławiąc się z wściekłości. Dziewczynka z wrzodami na wargach, w kozuszk narzuconym na głowę, kazała mu iść oblodzonymi schodami na górę do izby, sama zachichotała nie wiadomo czemu i szusnęła pod ganek do dolnej izby, gdzie w ciemnościach żarzyły się drwa w piecu.

Aloszka wchodząc po schodach słyszał, jak ktoś na górze krzyczy rozzwierającym głosem... „No -T- pomyślał sobie — chyba stąd żywy nie wyjdę...” Złapał za ostrugany skobel na sznurku, z trudnością oderwał od ramy spalone drzwi. W nos uderzył go żar dobrze opalonej izby, zapach rzodkwi i gorzałki. Pod obrazami, przy nakrytym stole, siedziało dwóch ludzi — rudy pop z warkoczykiem, rudą, miotlastą brodą i jakiś niski, dziobaty, z ostrym nosem.

— Napędź mu rozum przez tylną bramę 1 — wrzeszczeli stukając czarkami.

Trzeci, tęgi człowiek w malinowej koszuli bez pasa, ścisnął kogoś między kolanami, chłostając go rzemieniem po gołym tyłku. Posiniaczony, chudy tyłek wiercił się i usuwał. — Aj, aj, tato! — piszczał bity. Aloszka zamarł.

Dziobaty zamrugnął w stronę Aloszki powiekami bez rzęs.

Pop rozdziawił wielkie usta i wrzasnął basem:

— Masz jeszcze dziecię, wylup je też przy okazji!

Aloszka wparł się w podłogę łapcami, wyciągnął szyję: „No, zginąłem!” Tęgi człowiek odwrócił się. Spod jego nóg wyskoczył, unosząc porciętą, jasnooki chłopiec ze skrzywioną twarzą. Rzucił się we drzwi i znikł. Wówczas Aloszka, wedle rozkazu, padł do nóg

tęgiemu i uderzył trzy razy czołem o podłogę. Tęgi człowiek uniósł go za kołnier, zbliżył do swego miedzianego, zgrzanego oblicza zionąc gorącym oddechem:

— Po coś przyszedł? Kraść? Podglądać? Myszkować?

Aloszka dzwoniąc zębami zaczął opowiadać o Tyrtowie. Żyły nabrzmiały na twarzy miedzianego człowieka — nic nie rozumiał... — Jaki Tyrtow? Jakiego konia? Przyszedłeś po konia? Koniokradzie... — Aloszka płakał, zaklinał się żegnając się trzema palcami *... Wówczas miedziany człowiek pochwyił go z wściekłością za włosy, powłókł tratując nogami, kopnął nogą drzwi i zrzucił Aloszkę z pokrytych lodem schodów...

— Fora ze dwora! — ryknął chwiejąc się na nogach. — Szarek, Brewka, huż gol...

Pochylając głowę jak byk, Daniło Mień- szykow wrócił do stołu. Sapiąc nappełnił kubki. Ujął rzodkiew w trzy palce.

— Tyś pop, czytałeś Pismo, powinieneś wiedzieć — zahuczał — syn wymyka mi się spod ręki... Złajdaczył się do szczętu, sucz¹ podrzutek... Czy mam go zabić, czy co? Jal to wedle Pisma? He?

Pop Filka odrzekł statecznie:

— Wedle Pisma ma być tak: karaj syna Oi dziecka, a będziesz miał spokojną starość Nie folguj chłostając dziecie, bo gdy chło stasz je laską, nie umrze, ale będzie jeszcze zdrowsze*, raniąc mu ciało — duszę ratujes; od zguby...

— Amen — westchnął ostronosy.

■— Czekaj, niech odsapnę, to go znów przywołam — powiedział Daniło. — Oj, źle si[^] dzieje, bracia... Z każdym rokiem gorzej. Dzieci wymykają się z rąk, nie ma już dawnej pobożności. Zasługi nie wypłacone od dwóch lat. Nie ma co żreć. Strzelcy grożą, że Moskwę podpalą z czterech stron. W narodzie wielkie zachwianie umysłu. Niedługo zginiemy wszyscy.

Dziobaty, ostronosy Foma Podszczypajew, uczony w Piśmie, rzekł:

— Nikonowcy złamali dawną wiarę, a nią to — uniósł palec — żyła ziemia..., Nowej wiary nie ma... Dzieci się rodzą w grzechu — możesz go bić, ale choćbyś na śmierć ubił, cóż z tego, skoro duszy w nim nie ma... Dzieci owego wieku... Nikonowcy... Stado bez pasterza, strawa szatana... Protopop Awwakum pisał: „Azali, nikonowcze, chcesz skusić żertwę Chrystusową i przywieść ją na ofiarę ojcu swemu, szatanowi?” Szatanowi! (Znowu podniósł palec.) A dalej: „Ktoś ty, nikonow- n[^]B

cze? Jesteś kałem, jesteś złym powietrzem, jesteś psem smrodliwym..."

— Psy! — Daniło walnął pięścią w stół.

— Nikonowskie popy i protopopy chodzą w jedwabnych riasach, policzki pękają im z przesyty — psy przekłete! — rzekł pop Filka.

Foma Podszczytajew przeczekał, aż skończą wymyślania, i zaczął znowu mówić:

— I o tym również mówi protopop Awwa- kum: „Przyjacielu Hilarionie, arcybiskupie rizański!

Wspomnij, jako żył Melchizedech w ostępie leśnym na górze Tabor. Jadł korzonki leśne i rosę lizał miast trunku. Był to prawdziwy kapłan, nie kochał się w winach reńskich i małmazji, w wódkach, alem- bikach i piwach korzennych. Przyjacielu Hilarionie, arcybiskupie rizański! Widzisz, jako żył Melchizedech. Nie bawił się jazdą karetami, końmi wronymi, a był on przecie cesarskiego rodu... A ktoś ty, popiku? Siadasz do karocy, nadymasz się jak bańka na wodzie, siedząc w karocy na poduszkach z włosami trefionymi niby dziewczka, no i jedziesz pokazując gębę swoją na placu gwoli miłości mniszek wiarołomnych... Och! och! nędzny... Diabeł cię jawnie zaślepił... Nie widziałeś i nie rozumiesz nawet duchownego żywota!"

Pop Filka przymknął oczy, zatrząsł mu się policzki, śmiał się. Daniło dołał do czarek. Wypili.

— Strzelcy już księgi Nikonowe drą, wy rzucają — rzekł. — Boże, daj, aby strzelcy powstali w obronie dawnej wiary.

Odwrócił się. Psy ujadły. Skrzypnęły schody ganku. Za drzwiami odmawiano Modlitwę Pańską. — Amen — odrzekli. Wszedł wysoki strzelec pułku Pyżowa, nazwiskiem O wsiej Rżow, szwagier Daniły. Przeżegnał się przed ikonami w kącie izby. Odrzucił włosy z czoła.

— Bawicie się — rzeki spokojnie — nie wiecie, co się odbywa na górze? Car umarł. Naryszkinowie z Dołgorukimi okrzyknęli Piotra... To nieszczęście, jakiegośmy się nie spodziewali... Teraz już wszyscy pójdziemy w niewolę nikonowską i bojarską.

VIII

r

Aloszka koziołkując zwałił się ze schodów w zaspę. Rzuciły się nań żółtozębe psy. Zmrużył oczy, schował głowę... Ale go nie rozszarpały... Łaska boska, cud po prostu! Psy odeszły z ujadaniem. Nad Aloszką ktoś usiadł, dotknął jego głowy palcem.

— Hej! Coś ty za jeden?

Aloszka otworzył jedno oko. Psy siedzące niedaleko znowu zaszczekały. Koło niego przysiadł w kucki ten sam chłopak, którego niedawno bił ojciec.

— Jak cię zwą? — zapytał.

— Aloszka. S| Czyj?

— Browkinów. Myśmy ze wsi.

Chłopiec przyglądał się Aloszce jak pies — przechylając głowę to na jedno ramię, to na drugie. Spoza dachu szopy księżyc świecił mu prosto w twarz o wielkich oczach. O, to musi być łebski chłopaczek...

— Chodźmy ogrzać się — powiedział — a jak nie pójdziesz, to ja cię... Może chcesz się bić?

— Nie — Aloszka szybko przywarł do zaspy. I znowu patrzyli na siebie. — Puść — rzekł przeciągle Aloszka. — Nie trza... Nic ci nie zrobiłem... Pójde...

— A gdzie ty pójdziesz?

— Sam nie wiem gdzie... Obiecali, że mnie zakopią w ziemię... A w domu to mnie zabiją.

— Tatko bije?

— Tatko mnie sprzedał na całe tycie, teraz nie bije. Teraz bije czeladź. A jak byłem w domu, juźci że bili...

— To co, jesteś zbieg?

— Jeszcze nie... A ciebie jak zwał?

— Aleksaszka... Jesteśmy Mieńszkykowie. Tatko bija mnie czasem dwa razy dziennie, a czasem trzy. Na tyłku to mi zostały same kości. Mięso całe zdarte.

— EJ, chłopcze,,

— No co, pójdziemy się ogrzać? r— No to chodźmy.

Chłopcy pobiegli do dolnej izby, gdzie Aloszka dostrzegł ogień w piecu. Było tu ciepło, sucho, pachniało gorącym chlebem.

W żelaznym zawijanym lichtarzu paliła s/r? łójówka. Karaluchy roily nłq na okopconych belkach ścian.

Chciałoby się tu zostać na zawsze.

— Waslonka, nie mów nic tatce — rzekł prędko Aleksaszka do niziutkiej kucharki. — Zdejmuj łapcie, Aloszka. Sam zdjął walonki, Aloszka zzuł łapcie. Wieźli na piec zajmujący połowę izby. Tu w ciemności pa- trzyły czyjeś nieruchome oczy. Była to ta sarna dziewczynka, która otworzyła furtkę Aloszce. Posunęła się w głąb, aż za komin.

— Trza się jakoś zmówić — wyszeptał Aleksaszka. — Mojej mamie się zmarło, Tatko pije całymi dniami. Chce się żenić. Boję się macochy. Teraz mnie biją, a późr niej to duszę ze mnie wystrzęsą,,

— OJ, wytrzęsą — potwierdził Aloszka, Dziewczynka za kominem pociągnęła nosem.

— To właśnie mówię,,. Widziałem wczoraj Cyganów z niedźwiedziami; cały tabor stoi koło SierpuchowskieJ Bramy... Grają nn dudach, Taniec, pleśni,,. Wołali mnie... Chodźmy włóczyć się z Cyganami. Co?

— Z Cyganami będzie głodno — powiedział Aloszka.

— No, to dobrze,,. To wynajmiemy nłq kupcowi do jakiej roboty... A latem pójdziemy sobie, W lesie można złapać niedźwiadka. Znam jednego łyka, co je łowi, on nas na- uczy... Ty będziesz oprowadzał niedźwiedzia na kółku, a ja będę śpiewał i tafczył... Znam

| wszystkie pieśni. A w całej Moskwie nie znajdziesz bardziej pазernego na taniec.

Dziewczynka za kominem coraz częściej pociągała nosem. Aleksaszka trącił ją w bok.

— Milcz, obrzydła... No co, a może weźmiemy ją ze sobą?

— Z babą dużo kłopotu...

— Weźmiemy ją ze sobą na lato, będzie nam grzyby zbierała — jest głupia, ale do grzybów to pali się po prostu. Teraz pojemy barszczu, zawołają mnie na górę na modlitwę, a potem będą bili. Później wrócę. Pójdziemy spać. A o świtanu pobiegniemy do Kitajgorodu za rzekę Moskwę. Rozejrzemy się. Mam tam znajomych. Dawno bym już uciekł, ale nie miałem kompana...

— Trza by znaleźć kupca i wynająć się do sprzedawania pierogów — rzekł Aloszka.

Na górze trzasnęły drzwi: goście schodzili, stopnie ganku trzeszczały. Groźny głos Da- niły przywołał Aleksaszkę na górę. -

IX

Na Warwarce stoi niziutka chata z sześciu oknami, z ozdobami i kogutkami — zajazd, karczma carska. Nad wrotami — barani czerep. Wrota szeroko rozwarłe, kto chce, niech wchodzi. Na podwórzu, na poźółkłych od moczu śnieżnych zaspach, na gnoju, leżą pijacy— ów ma pysk rozbity do krwi, tamtemu zabrali buty i czapkę. Zwykle sanie,

40

sanki kupieckie z malowanymi oparciami stoją zaprzężone przy wrotach i na podwórzu.

W izbie za szynkwasem — surowy karczmarz z czarnymi brwiami. Na półce butle, czarki cynowe, w rogu — lampki pod czarnymi ikonami. Koło ścian ławki i długi stół. Za przepierzeniem druga, czysta izba dla kupiectwa. Jeśli tu polezie jakiś pijaczyna albo łyk z usmarowanym pyskiem, zaraz karczmarz zsunąwszy brwi przykrzyknie nań, a gdy nie usłucha po dobroci, to się go bierze z tyłu za portki i migiem wyrzuca z karczmy.

W drugiej izbie toczy się poważna rozmowa, kupiectwo pije piwo z imbirem, gorący krupnik. Targują się, dobijają kupna, uderzają w dłonie. Rozmawiają o swoich sprawach. Ale cóż, te sprawy są teraz takie, że człek jeno się w głowę drapie.

Tam, w pierwszej izbie, koło szynkwasu wrzawa, hałas, wymyślania. Pij, hulaj, ale płąć. Skarb srogi. Nie masz pieniędzy, zdejmuj szubę. A czasem człowiek przepije wszystko — karczmarz mruga na podiaczego, ten siada na brzegu stołu — gęsie pióro za uchem, na szyi kałamarz — i zaczyna pisać. Oj, uważaj, zapijaczony łbie! Mądry podia- czy zapisze cię w niewolę. Przyszedłeś wolny do carskiej karczmy, wyjdiesz gołym rabem...

— Teraz pić jest lżej — powiada karczmarz cedząc zielona wy napój do cynowej czarki. — Teraz, jak przyjdzie po ciebie przy

41

jaciel, krewniak albo żona przybiegnie, to wyprowadzi, nim przepijesz duszę. Teraz my takich puszczaemy do domu, nie ściągamy do ostatka. Bóg z wami. Ale za nieboszczyka Aleksego Michajłowicza bywało, że przyjdzie czasem taki przyjaciel, chce odprowadzić pijanego, żeby nie przepił ostatniego grosza. Stać! Ubytek dla skarbu... I ten grosz potrzebny skarbowi. Woła się straż, przystaw łapie tego, kto odmawia od picia, i do Roz- bojnego Urzędu, a tam sądzą sprawę, odrąbują mu lewą rękę i prawą nogę i rzucają na lód... Pijcie, sokoły, pijcie, nie bójcie się, teraz już nie rąbiemy ani nóg, ani rąk!

Dziś w karczmie ludzie leżeli jeden przez drugiego, zaglądali w okienka. Na podwórzu, na ganku trudno się przecisnąć. Dużo kaftanów strzeleckich — czerwonych, zielonych, żurawinowych. Ciasnota, ścisk. — Co takiego? Kogo? Za co? — Tam w karczmie, w czystej izbie, stali strzelcy i kupcy. Oddechy ludzkie parowały — a z okienek woda lała się strumieniami. Strzelcy przyprowadzili do izby na pół żywego człowieka, leżał na podłodze i jęczał rozzdzierającym głosem. Odzież poszarpana w strzępy, ciało opuchnięte. Krew skrzepła w szpakowatych włosach, nos, policzki — wszystko porozbijane.

Strzelcy wołali wskazując na niego:

Ji_ z wami niedługo też tak będzie!

— Śpicie? Ale ci na Kukuju to nie drzemia...

— Chłopcy, za co Niemcy biją naszych?

— Szczęście, przechodziliśmy obok i ujęli się za nim, boby go na śmierć ubili...

— Czy to mogło się zdarzyć za czasów nieboszczyka cara? Czy pozwalano, żeby przekłęci cudzoziemcy krzywdzili naszych?

Owsiej Rżow, strzelec pułku Pyżowa, uspokajał towarzyszy i kłaniając się przemówił do kupców:

V— Bieda nasza sprowadziła nas do was, znakomici goście, kupcy sławetni. Nie mamy się już gdzie podziać z żonami i z dziećmi małymi... Zniszczyliśmy do szczętu... Żołdu nie dostajemy już drugi rok, pułkownicy zamęczają nas nadmierną pracą. A z czego tu żyć? Handlować na mieście nie pozwalają, w slobodach ciasnota... Niemcy opanowali wszystko. Teraz już i len, i przędzę zakupują na pniu. Skupują skóry i sami je, diabły, obrabiają w swoim Kukuju... Baby nie chcą kupować naszych trzewików, żądają niemieckich... Żyć nie można... Ale i wy, kupcy, zginiecie, jeśli nie ujmiecie się za nami. Na- ryszkinowie dorwali się do skarbu carskiego. To chciwcy. Czekaają was teraz takie daniny i podatki, że żywoty postradacie. A co gor-1| sza, w Moskwie oczekują bojarzyna Mat- wiejeWa — wraca z zesłania... Serce ma stwardniałe z zawziętości. On połknie całą Moskwę.

Jęki zbitego człowieka były straszne. Straszne i ciemne były słowa strzelca. Kupcy spoglądali jeden na drugiego. Nie chciało im się wierzyć, że to kukujscy Niemcy zbili tak tego kramarza. Sprawa niewyraźna. A jednak strzelcy mówili prawdę. Żyło się źle — życie z każdym rokiem stawało się i trudniejsze, i mniej pewne... Coraz to dekret: „Car orzekł, bojarowie uchwalili”, co oznaczało nową biedę, nowe nieszczęście: płac, rzucaj pieniądze w beczkę bez dna... Do kogo iść na skargę, kto cię obroni? Wielcy bojarzy? Oni tylko jedno wiedzą: wyciągać pieniądze do skarbu, a jak się je wyciąga — to im wszystko jedno. Ostatnią koszulę zdejmuj i daj. Jakby w tej Moskwie siedziały wrogowie.

Do koła stojących przy pobitym przedostał się kupczyk i rzekł kręcąc pulchnymi palcami w srebrnych pierścieniach:

— My, to znaczy Worobiewowie — rzekł — przywieźliśmy do Archangielska na jarmark surowego jedwabiu. Niemcy, tego, zmówili się między sobą i nie kupili tego jedwabiu nawet za grosz. A ich starosta Wulfius krzychał: „Urządzimy tak, że wszyscy moskiewscy kupcykowie będą przez nas zafantowani za długi, a na przyszłość przymusimy ich — to znaczy nas niby, moskiewskich — żeby handlowali tylko samymi łapcami...”

Przez izbę przeszedł szmer... Strzelcy: — Właśnie to wam powiadamy. Niedługo już i łapci nie będzie! — Młody kupiec Bohdan

Żygulin wyskoczył na środek potrząsając kędzierzawymi włosami.

— Jestem z Pomorza/ — rzekł żywo — jeździłem po tran. Ale jakem przyjechał, tak i odjechałem z pustymi wozami. Cudzoziemcy Makselin i Birkopow zakupili wszystek tłuszcz na dziesięć lat naprzód. Wszyscy Pomorzanie siedzą u nich w kieszeni. Cudzoziemcy kupują rybi tłuszcz za ćwierć ceny i nie pozwalają nikomu innemu sprzedawać. A Pomorzanie są zrujnowani, nie wychodzą już na morze na łów i rozłają się we wszystkie strony* My, ruscy ludzie, nie mamy co robić na północy...

Strzelcy znowu jęli krzyżeć zakasując rękawy. Owsiej Rżow porwał za szablę, trzasnął nią, wyszczerzył zęby.

— Dajcie nam jeno czas rozprawić się z pułkownikami. A wtedy dobierzemy się do bojarskiej skóry... Uderzymy na larum w całej Moskwie. Wszystkie przedmieścia będą z nami. Podtrzymajcie nas tylko, kupcy. No, chłopcy, bierzcie go, idziemy dalej.

Strzelcy porwali zbitego człowieka, ten zawył trzęsąc głową: — O-oj, zabi-i-ili! — wywlekli z izby, rozpychając ludzi, by pokazać go na placu Czerwonym.

Kupcy pozostali w izbie — zamęt! Och, niespokojne i złe czasy! A choćby przystać do strzelców — ta zgraja nic nie ma do stracenia... A nie przystaniesz do nich — wszystko jedno, bojarzy połkną.

Aleksaszkę tym razem po pacierzach wieczornych tata wytlukł bez litości, tak że ledwie się dowlókł do barłogu. Okrył się, milczał, zgrzytał zębami. Aloszka nosił mu na piec kaszę z mlekiem. Bardzo go żałował: — Och, jak to ciebie, chłopcze...

Aleksaszka całą dobę leżał w gorącym miejscu, przy kominie — odeszło mu, rozgadał się:

— Takiego ojca kołem łamać, zwierza drapieżnego... Aloszka, weź ostrożnie oliwy sprzed obrazów — wysmaruję nią tyłek, do jutra podeschnie, a wtedy uciekniemy... Do domu nie wrócę, choćbym miał w rowie zdechnąć.

Całą noc szumiał deszcz za ścianą z grubych belek. W przewodzie dymnym wyły strachy. Córka kucharki płakała cicho. Aloszy przyśniła się matka: stoi w dymie na środku izby i płacze nie mrużąc oczu, i precz podnosi ręce do głowy, użala się... Aloszka zatęsknił we śnie.

Skoro świt Aleksaszka obudził go:

— Dostyc spania, wstawaj.

Czochając się obuwalili się starannie. Znaleźli kawał chleba i wzięli z sobą. Gwizdnawszy na psy, odwalili wrota i wyleili z podwórza. Ranek był cichy, mglisty. Wilgotno. Sople chrzęszczą, padają. Ulice moszczone dylami — czarne i kręte. Tuż za drewnianym miastem wstaje zorza mglistymi, krwawymi pasami.

Leniwi stróże usuwali z ulic zastawy, ustawiane na noc przeciw włóczęgom i złodziejom. Wlekli się zlorzcząc sobie wzajemnie żebracy, kalecy, nawiedzeni, by przed rankiem zająć miejsca przed kruchtami. Przez Wozdwi-żenkę zagnojoną drogą pędzono ryczące bydło do wodopoju na rzeczce Nieglinnej.

Razem z bydłem chłopcy doszli do okrągłej wieży Bramy Borowickiej. Przy żelaznych armatach drzemał Niemiec muszkieter w baranim kozuchu. — Tu idź czujnie, tu car niedaleko — powiedział Aleksaszka. Spadzistym brzegiem Nieglinnej, poprzez kupy popiołu i śmieci, dotarli do mostu Iwierskiego, przeszli po nim. Świtało. Nad miastem wlokły się szare chmury. Wzdłuż ogromnych, mokrych murów Kremla biegł głęboki rów. Gdzieś tam sterczały zgnile pale ze zniesionych niedawno młynów wodnych. Na brzegu stały szubienice — dwa słupy z poprzeczną belką. Na jednej wisiał długi człowiek w łapciach, ze skrzyconymi w tył łokciami. Zwisłe oblicze jego zdziobało ptactwo. — Patrz, jeszcze dwóch — rzekł Aleksaszka: w rowie na dnie poniewierały się trupy na pół zawiane śniegiem — to złodzieje, oto jak ich...

Cały plac od Iwierskiej do cerkwi Wasilija Błażennego, białej na granatowym cokole, z granatowymi kopułami, był pusty. Droga

sanna wiła się po nim do Bramy Spaskiej. Nad nią, nad rozcapierzonym złotym orłem, krążyła chmura wron kraczących trwożnie, po wiosennemu. Wskazówki na czarnym zegarze doszły do ósmej, dzwony rozdzwięzły zamorską muzyką. Aloszka zdjął kołpak i zaczął się żegnać. Strasznie tu było.

— Chodźmy, Aleksaszka, bo jeszcze nas zobaczą.

— Ze mną nie masz się czego bać, głu- pi.

Poszli przez plac. Po tamtej stronie gnieździły się w ciasnocie stragany, budy jarmarczne, namioty z rogóż. Kupcy otwierali już kramy, wywieszali na drągach towary. W straganach piekarskich napalono w piecykach, pachniało pierogami. Ludzie płynęli ze wszystkich bocznych ulic.

Aleksaszka nie zważał na to, czy dostanie po karku, czy go zwymyślają: wszystkim się ciekawił.

Prześlizgiwał się przez tłum do sklepów, wszczynął rozmowy z kupcami, pytał o cenę, żartował. Aloszka z otwartymi ustami ledwo nadażał za nim. Ujrzawszy grubą niewiastę w sukiennej szubie i lisiej czapie nałożonej na chustkę, Aleksaszka powłócząc nogą podpełził do kupcowej, trząśnął się i jękał:

— Jasna pani, bi-i-idny sie-e-erota, umieram z gło-o-odu...

Wdowa uniósłszy spódnicy wyjęła | trzosu zawieszzonego pod brzuchem dwie kopiejki, dała i przeżegnała się poważnie. Pobiegli ku pić pierogów, popić gorącego krupniku z miodem.

— Powiadam ci, ze mną nie zginiesz — powiedział Aleksaszka.

Ludzi przybywało coraz więcej. Jedni szli popatrzeć, posłuchać, co gadają, drudzy — pochwalić się nowym odzieniem, inni po prostu szli ściągnąć, co się da. W zaułku, gdzie ostrzyżone włosy leżały na śniegu niby wojłok, cyrulicy zapraszali publikę i szczękali nożycami. Tego i owego usadowiono Już na pniaku stojącym na sztorc i strzyżono nałożywszy na głowę garnek. Najwięcej hałasu było przy straganach z krawieczyzną. Tutaj niewiasty krzyczały jak na pożar, ku- , pując i sprzedając nici, igły, guziki, wszelkie dodatki krawieckie. Aloszka. aby nie zginać, trzymał się pasa Aleksaszki.

Gdy znowu wyszli na plac, ktoś przebiegł i coś krzyknął. Z Warwarki walił ogromny tłum. Krzyczano i gwizdano przeraźliwie. Strzelcy nieśli na rękach zbitego człowieka.

— Prawosławni — mówili ze łzami zwracając się na wszystkie strony — patrzcie, co zrobili z tego kupca...

Położono go w czyjeś lubowe sanie. Strzelec Owsiej Rżow wszedłszy na sanie zaczął mówić ciągle o tym samym: jak Niemcy w gniewie omal nie zabili sławetnego kupca i jak wielcy panowie niedługo Moskwę całą oddadzą w pacht cudzoziemcom... Aleksaszka z Aloszką przedostali się aż do sanek. Aloszka, przykucnąwszy, od razu poznał

w zbitym człowieku tego samego pulchnego mieszczucha o małych oczach, w zajęcej czapce, który sprzedał mu na Łubiance dwa pierogi. Zalaływało od niego wódką. Przestał stękać. Leżąc na boku, gębą w słomie, powtarzał tylko cicho:

— Och... Puśćcie mnie, na miłość boską...

Owsiej Rżow dla potwierdzenia prawdy swych słów zęgnął się i kłaniał w stronę cerkwi i Judu. Strzelcy poszeptywali w tłumie. Wzbierał gniew. Wtem zawołano: — Pędzą, pędzą...

Od Bramy Spaskiej sanna drogą jechali dwaj jeźdźcy. Pierwszy — w strzeleckim, żurawinowym kaftanie, w załamanej kołpaku. Jego krzywa szabla, usypana diamentami, obijała się po jedwabnym czapraku. Nie zwalniając biegu, rzuciwszy cugle wbił się w tłum. Przestraszone ręce chwyciły konia za uzdę. Jeździec miał szerokie czoło, zapadnięte oczy, twardą bródkę, szybko kręcił głową szczerząc rzadkie, żółte zęby... To był Tararuj, jak go przezywano w Moskwie, księżę Iwan Andriejewicz Chowański, wojewoda — bojarzyn starożytnego rodu, wielce nienawidzący chudopachołków Naryszkinów. Strzelcy, ujrawszy go w swoim kaftanie, krzyknęli:

— Z nami, z nami, Iwanie Andriejewi- czul — i pobiegli do niego.

Drugim, który podjechał nie tak szybko, był Wasilij Wasiliewicz Golicyn. Klepiąc konia po karku pytał:

— Burzycie się, prawosławni? Powiadajcie, kto was ukrzywdził i za co? Mówcie, dusza ma boleje dzień i noc nad ludem. A car zobaczył was z góry, przestraszył się dla swej małoletności i posłał nas.

Ludzie z otwartymi ustami patrzyli na jego brokatową szubę — pół Moskwy można było za taką szubę kupić — przyglądali się świecącym kamieniom pierścieni na ręce poklepującej konia — ogień pryskał od pierścieni. Cofali się nie odpowiadając. Wasilij Wasiliewicz podjechał z uśmiechem do Chowańskiego, strzemię do strzemia.

— Oddajcie nam w ręce pułkowników, my ich sami osądzimy — z wieży na łebl — krzyczeli strzelcy. — O czym bojarzy na górze myślą? Dlaczego nam chłopaczka na cara narzucili, bękarta Naryszkinowego?

Chowański muskał brzegiem rękawicy szpakowate wąsy. Podniósł rękę. Wszyscy umilkli...

— Strzelcy! — podniósł się w siodle, od natężenia poczerwieniał, gardłowy głos jego słyszeli najdalej stojący. — Strzelcy! Teraz sami widzicie, w jakim nieznośnym jarzmie bojarzy nas dzierzą... Teraz wybrali Bóg wie kogo na cara... Ja go nie wybierałem... I zobaczycie — nie tylko pieniędzy, ale nawet żywności wam nie dadzą. A pracować będziecie jak raby. A dzieci wasze pójdą w wieczystą niewolę do Naryszkinów. Gorzej jeszcze... Oddadzą i was, i nas wszystkich jakimś cudzoziemcom. Moskwę zgubią i wiarę pra

4'

51

wosławną zniszcza... Mej, była ongi ruska siła, ale gdzie się podziała?!

Tu tłum zaczął krzyczeć tak strasznie, że Aloszka się przestraszył: „No, teraz stratuja...” Aleksaszka Mieńszykow skacząc w saniach gwizdał na dwóch palcach. I można było jeno zrozumieć, że Tararuj wrzasnął ujmując się pod boki:

— Strzelcy! Hajda za rzekę do pułków, tam pogadamy...

XII

Na placu pozostali tylko Aloszka z Alekszą i wyprężnięte sanie. Zbity mieszczuch podniósł się, popatrzył wkoło szczelinami opuchniętych oczu i długo wysmarkiwał nos.

— Wujku — rzekł Aleksaszka mrugnawszy do Aloszy — zaprowadzimy cię do domu, bardzo nam ciebie żal.

Mieszczuch jeszcze nie przyszedł do siebie. Chłopcy prowadzili go — mamrotał i potykał się. Nagle: — Stój! — odpychał chłopców, wygrażał komuś paskudnie, tupął na pęczniałym od wilgoci filcowym butem. Szli za rzekę do Bramy Sierpuchowskiej. Po drodze dowiedzieli się jego nazwiska: Fied'ka Zając. Dom na przedmieściu był niewielki, w ogrodzie jedno drzewo z gniazdami kawek, ale wrota i chata były nowe. — Oto one, moje pierożki, placuszki — wykrzykiwał radośnie Zając zobaczywszy swoje obejście — oto kochane pierniki miodowe, one mnie ratują...

Furtkę otworzyła dziobata baba bez jednego oka. Zając odepchnął ją i Aleksaszka z Aloszką prześliznęli się za nim. — A wy tu gdzie? Po co? — już rzucił się na nich, ale machnął ręką i wszedł do izby. Usiadł na ławce pokrytej nową rogożą i zaczął się sobie przyglądać — wszystko podarte. Pokręcił głową, rozplakał się.

— Ubili mnie — rzekł do jednookiej baby. — A kto bił, za co, nie pamiętam. Daj czystą odzież. — Nagle zaczął walić w ławę, ryczeć: — Przygotuj łaźnię, rozkazuję ci, ty ślepa sukol

Baba pociągnęła nosem, poszła. Chłopcy cisnęli się bliżej pieca zajmującego połowę izby. Zając gadał:

—Uratowaliście mnie, chłopcy... Teraz — możecie prosić, o co jeno chcecie... Ciało mam rozbite, żebra całego nie mam. Na co ja się teraz zdam — czy to ja teraz uniosę nie-cułki, pójdę sprzedawać! Ojej... A przecie robota nie czeka...

Aleksaszka znowu mrugnął do Aloszy. Powiedział:

— Nie chcemy żadnej nagrody, pozwól nam tylko przenocować.

Gdy Zając wypełził do łaźni, chłopcy wleźli na piec.

— Jutro pójdziemy za niego pierogi sprzedawać — szepnął Aleksaszka — mówię ci, że mną nie zginiesz.

Skoro świt jednooka baba zaczęła piec pączki, ołatki, racuchy, placuszki i pierogi postne — z grochem, rzepą, solonymi grzybami, i mięsne — z zajęczyną, innym mięsem, z podrobami. Fied'ka Zajac stękał na ławce pod kozuchem — nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Aleksaszka zamiótł izbę, pobiegł na podwórze po drwa, wyniósł popiół, po- myje, polecił Aloszy napoić bydło gospodarza. Robota paliła mu się w rękach, a wszystko to wśród żartów.

— Prześcipny chłopak — stękał Zajac — och, posłałbym cię z pierogami na bazar... Ale pewnie, jak sprzedasz — uciekniesz z pieniędzmi, ukradniesz... Zanadtoś rozgarnięty...

Wtedy Aleksaszka przysięgł na krzyżyk, który nosił na szyi, że pieniędzy nie ukradnie, zdjął ze ściany obraz czterdziestu męczenników i całując powtórzył przysięgę. Cóż było robić — Zajac uwierzył. Baba nałożyła w niecki pod szmatę dwie setki pierogów. Aleksaszka z Aloszą zawiązali fartuchy, rękawice zatknęli za pasy i wzięwszy niecki wyszli z domu.

— Pierogi, pierniki, para pół grosza, prosto z pieca! — wykrzykiwał dźwięcznie Aleksaszka patrząc na przechodniów. — Bierz, wybieraj! — Widząc strzelców stojących kupą, dogadywał tańcząc; — Heej, brać pierogi carskie, bojarskie, w Kremlu sprzedawałem, po karku dostałem. Naryszkinowie jedli, do łóżka się pokładli...

Strzelcy śmiejąc się rozechwytywali pierogi. Aloszka również pokrzykiwał i dowcipkował. Jeszcze do rzeki nie doszli, gdy trzeba było wracać po nowy towar.

— Bóg mi was chyba zesłał, chłopcy — podziwiał Zajac.

XIII

Michajło Tyrtow trzeci dzień włóczył się po Moskwie: ani służby, ani pieniędzy. Wówczas, na placu Łubiańskim, diaki go wyszydliły. Nie dostał ani ziemi, ani chłopów. Książę Romodanowski łąjał go i zawstydział, kazał przyjść w roku następnym, ale już bez hultajstwa — na dobrym koniu.

Z placu pojechał do zajazdu na nocleg. W drodze spotkał starszego brata, ale i ten złorzeczył mu za despekt i zabrał mierzyna. Zapomniał wziąć szabli i jedwabnego pasa ze srebrnymi blachami, po dziadku. Tego samego wieczora Michajło, podniecony wódką z czosnkiem, zastawił u szynkarza szablę i pas.

Do Michajły przylgnęło dwóch rezolutnych obywateli moskiewskich jeden przedstawił się jako syn kupca, drugi jako podiaczy, by rzec prawdę, obiboki szynko- wniane — poczęli Michajle schlebiać, całować w usta, obiecywać zabawę. Bawił się z nimi przez tydzień. Zaprowadzili go w podziemia do pewnego Greczyna, ssali dym ty-

toniowy z krowich rogów nalanych wodą; napalili się do zamroczenia, majaczyły im się dziwy, słodkie diabelstwa.

Zaprowadzili do carskiej łaźni wybudowanej dla ludu nad rzeką Moskwą — nie tyle by się parzyć, lecz aby się napatrzeć, na- śmiać, gdy do wspólnego przedsionka z obłoków pary wyskakują nagie baby przykrywając się miotłkami. I to wydawało się Mi- chajle zamroczeniem, nie gorszym niż tytoń.

Proponowano mu pójście do rajfurki, lecz Michajło, dla swej młodości, bał się zakazanego owocu. Wspominał, jak ojciec czasem po; wieczornych modłach, oczyściwszy palcami knot świecy, otwierał starą księgę oprawną w skórę, z miedzianymi klamrami, ślinił palec, przewracał zasmarowaną z boku stronicę i czytał o niewiastach:

„Czymże jest niewiasta? Siecią uwodziciel- stwa dla człeka. Jasnym obliczem, mrugając wielkimi oczyma, igrając nogami, wielce tym kusi, a srogi ogień w członkach nieci... Czymże jest niewiasta? Przystanią żmij, chorobą, szatańską patelnią, złością bez końca, pokusą piekielną, doradą diabła...”

Jakże tu się nie lękać! Pewnego razu zaprowadzono go do szynku przy Bramie Po- krowskiej. Nie zdążyli się rozsiaść, gdy spoza rogożowej zasłony wyskoczyła niziutka dziewczka z rozpuszczonymi włosami: brwi czernione od nosa do skroni, oczy krągłe, uszy długie, policzki natarte burakami, aż granatowe. Zrzuciła z siebie prześcieradło

szyte ze skrawków i naga, tłusta, biała, poczęła tańczyć koło Micha jły — mamić go to jedną, to drugą ręką, zdobną w miedziane pierścienie i dzwoniące bransolety.

Wydała mu się chyba szatanicą — tak jej nagość była straszna, przerażająca... Zionie | wódką, pachnie gorącym potem... Michajło zerwał się, włosy zjeżyły mu się na głowie, krzyknął dziko, zamierzył się na pijaną dziewczkę i nie uderzywszy wypadł na ulicę.

Żółty, wiosenny zachód rozplywał się w dali cichej ulicy. Powietrze upajające. Lód chrzęści pod, butami. Za siwą wieżą twierdzy z blaszaną chorągiewką, spoza spiczastego dachu wychodzi księżycowy krąg, mie- dzianoczerwony, i świeci Michajle w twarz... Straszne... Zęby szczękają, chłód w piersiach... Drzwi szynku zaskrzypiały i na ganku niby biały cień ukazała się ta sama dziewczka. Czego się boisz, wróc, mój miły Michajło rzucił się do ucieczki jak szalony. Pieniądze rozeszły się wkrótce. Kompano- wie opuścili go. Michajło żałując tego, co zjadł i wypił, co widział i czego nie tknął, Włóczył się po ulicach. O powrocie na wieś do ojca myśleć nie chciał.

W końcu przypomniał sobie rówieśnika, syna ojca chrzestnego, Stiopkę Odojewską- go, i zapukał do jego dworu. Słudzy przyjęli go wrogo, wszystkie gęby zbójcekie... — Gdzie to w czapce na ganek włączysz — jeden z nich zerwał Michajle czapkę. Powy- grażali, przepuścili jednak. W przestronnej,

cieplej sieni, gdzie ławy były pokryte futrami, przyjął go śliczny jak pierniczek młody; dzian w atlasowej koszuli i pięknych safianowych bucikach. Patrząc beczelnie w oczy zapytał obleśnie:

— W jakiej sprawie do bojarzyna?

— Powiedz Stiepanowi Siemionowiczowi, że druh jego, Miszka Tyrtow, bije czołem. ||

— Powiem — zaśpiewał młodzik, poszedł leniwie, potrząsając jedwabistymi kędziorami. Wypadło poczekać. Biedak nie może być dumny. Młodzian zjawił się znowu i kiwnął palcem.

• — Wejdz.

Michajło wszedł do izby z ikonami. Onieśmielony, przeżegnał się solennie, patrząc na obrazy zawieszony w kącie na brokacie ze złotymi koronkami. Spojrzał z ukosa — oto jak mieszkają bogacze! Jak w pałacu! Ściany obite aksamitem. Na podłodze — kobierce, kobierczyki, aż pstro. Ławki okryte aksamitnymi pokrowcami. Przykrycia¹ parapetów okiennych haftowane perłami. Pod ścianami skrzynie i szkatuły, przykryte jedwabiem i aksamitem. Każdy z tych pokrowców zdalby się na kaftan albo na ferezję — człękowi nawet we śnie się taka nie przyśni... Naprzeciwko okien drewniana wieżyczka z zegarem, a na niej miedziany słoń.

— A, Misza, witaj — przemówił Stiopka Odojewski stojąc we drzwiach. Michajło podeszedł do niego, złożył ukłon — palcami do dywana. Stiopka w odpowiedzi kiwnął głową. Jednakże podał mu wilgotną rękę do uścisku, miał przecie przed sobą nie chłopca, lecz syna szlacheckiego.—Siadaj, rozgość się.

Siadł bawiąc się trzcina. Usiadł i Michajło. Na ogolonej głowie Stiopki — czapeczka haftowana drogimi kamieniami. Czoło bez brwi, jak beczułka, powiekt-zaczerwienione, nos krzywawy, na drobnym podbródku — rzadziutki puszek. „Takiego, palcem trącić, a przewróci się, taki pokurcz i tyle bogactwa” — pomyślał Michajło i z uniożonością, która przystoi biednemu, jął opowiadać

o swoich niepowodzeniach, o biedzie zjadającej jego młodość.

— Stiepanie Siemionowiczu, na miłość boską, naucz mnie, twego raba, w którą stronę się obrócić... Bo tak jest, że albo do klasztoru... albo na trakt z kiścieniem. — Przy tych słowach Stiopka odwrócił głowę do ściany, zaszkliły mu się wypukłe oczy. Ale Michajło ani drgnął, udawał, że słowa o kiścieniu wypowiedział tak sobie, w prostocie umysłu.

— Stiepanie Siemionowiczu, przecież sił już braknie znosić przeklętą nędzę...

Milczeli jakiś czas. Michajło wzdychał cicho

1 przystojnie. Stiopka z niedobrym uśmiechem prowadził końcem laski po skrzydlatym zwierzu na dywanie.

— Cóż ci doradzić, Misza... Mądry zna dużo sposobów, a dureń — jeno torbę dziadowską i więzienie... Ot, weźmy choćby takiego Wo- łod'kę Czemođanowa, dwie porządne wsie wy- procesował od sąsiada... Leontij Pustoroslew

zabrał niedawno Czyżowom w Moskwie przyzwoity dwór...

— Słyszałem, podziwiałem... A jakże wziąć się do takiej sprawy, wyprocesować? Czyż to żarty!

■ — Upatrz sobie wioskę i donieś na jej właściciela. Wszyscy tak postępują...

— Jak to donieść?

— A tak: kup za kopiejkę papieru i atramentu u pisarza na placu i nasmaruj donos...

— Ale o cóż to będę oskarżał? O czym doniosę?

— Młodyś jeszcze, Misza, mleko masz na wargach... Ot, Lowka Pustoroslew poszedł do Czyżowa na imieniny i więcej słuchał, niż pił, a gdzie trza było, potakiwał. Stary Czyżów palnął sobie przy stole: „Boże, daj zdrowie wielkiemu, carowi Fiodorowi Aleksiejewiczo- wi, bo mówią, że on spowiedzi wielkanocnej nie doczeka, powiadają, że w Kremlu w zeszłym tygodniu kura zapiała jak kogut...” Pustoroslew nie był głupi, wstał i krzyknął: „Słowo i sprawa!” Łap cap wszystkich gości razem z solenizantem — i do Urzędu Spraw Tajemnych. Pustoroslew: „Czyżów powiedział na cara uwłaczające słowa”; Czyżowowi wykręcili ręce i — na belkę! Tak wszczęto sprawę o kurze, co piała jak kogut. Pustoroslew za wierną służbę dostał dwór Czyżowa i dom, a Czyżów — na Syberię aż do śmierci. Oto jak mądrzy postępują... — Stiopka spojrział na Michajłę rybimi oczyma bez zmrużenia. — Wołod'ka Czemodanow zrobił jeszcze prościej: doniósł, że chcieli go na podwórzu sąsiada zabić na śmierć, a urzędnikom obiecał trzecią część ze zdobyczy. Sąsiad rad był oddać mu wszystko, byle jeno nie mieć do czynienia z sądem...

Pomyślawszy, Michajło odpowiedział obracając czapkę:

— Nie mam doświadczenia w sprawach sądowych, Stiepanie Siemionowiczu.

— Jakbyś miał doświadczenie, tobym cię nie uczył... (Stiopka roześmiał się przy tym tak złośliwie, że Michajło odsunął się patrząc na jego zęby: drobne, zniszczone.) By się prawować, trzeba doświadczenia, inaczej, pamiętaj, sam możesz się dostać w dyby. Tak to, Misza, silnych nie zaczepiaj, słabego — bij. Ty, jak widzę, przyszedłeś do mnie bez bojaźni...

— Stiepanie Siemionowiczu, jakże ja — bez bojaźni...

— Milcz, trza się uczyć milczeć. Ja rozmawiam z tobą przyjaźnie, a czy wiesz, jak to u innych bywa? Ot, nudzę się... Klasnąłem w dłonie... Do świetlicy wpada kilkunastu chłopca. Zabawcie no mnie, wierni słudzy... Wzięliby cię za rączki i na podwórze — pobawić się jak kot z myszą. — Na ustach pojawił się znowu uśmiech, oczy martwe, — Nie lękaj się, dziś żartuję sobie od rana.

Michajło podniósł się ostrożnie, szykując się do pożegnania. Stiopka dotknął go końcem laski, kazał mu sięść.

— Przebacz, Stiepanie Siemionowiczu, jeżeli przez głupotę rzekłem za wiele.

— Nic takiego nie powiedziałeś, ale śmiałyś nad stan, nad miejsce, nad urodzenie i— odrzekł Stiopka chłodno i wyniośle. — Bóg ci przebaczy. Następnym razem czekaj na mnie w sieni, a wezwą do komnaty — opieraj się, nie wchodź. A jak każą się — nie siadaj. A kłaniać mi się powinieneś nie ukłonem, ale do stóp.

Michajle nozdrza zadrżały — jednakże przemógł się, jął uniznienie dziękować za naukę. Stiopka ziewnął, przeżegnał usta.

— Trzeba, trzeba pomóc twemu ubóstwu. Mam ja tu pewien kłopot. Potrafisz milczeć? No, dobrze... Widzę, żeś pojętny... Usiądź no bliżej... (Stuknął trzcina, Michajło szybko usiadł obok niego. Stiopka zmierzył go uważnie wzrokiem.) Gdzie zatrzymałeś się — w zajezdzie? Przychodź do mnie na nocleg. Dostaniesz kaftan, ferezję, szarawary, buty strojne, a swoją lichotę na razie schowaj. Trzeba zadowolić pewną bojarynię.

-ii ^ W tej materii? — Michajło mocno spłoszył.

— W tej właśnie — diabła zabawiać. Bez kłopotu nabijesz kieszenie talarami... Jest tu pewna znakomita bojaryni... Siedzi na skrzyniach ze skarbami, a w starym piecu diabeł pali. Zrozumiałeś, Miszka? Jeśli będziesz zachowywał posłuszeństwo — twoje szczęście.. A sprzeniewierzysz mi się, każę wrzucić do dołu niedźwiedzim, kości się nie doszukają. (Wy dobył dłonie spod perłowych narękawników i klasnął. Wszedł bezczelny młodzik.) Fieoktyście, zaprowadź syna szlacheckiego do łaźni i wydaj bieliznę i dobrą odzież. Przyrowadzisz go do mnie na wieczkę.

XIV

Carówna Zofia wróciła z nabożeństwa — była zmęczona. Wysłuchiła dziś dwóch nabożeństw wielkopostnych. Jadła kapustę z razowym chlebem, i to za ledwie tknęła. Siadła na krześle ojcowskim, przywiezionym zza morza, na kolanach położyła proskurę* w haftowanej chusteczce. Krzesło to przyniesiono niedawno z jej rozporządzenia z Granowitej Sali. Wdowa, carowa Natalia, dowiedziawszy się o tym krzyczała: ■— Carówna pewno i tron niedługo każe przenieść do swej świetlicy... — Niech się złości carowa Natalia.

Marcowe słońce prażyło różnobarwnymi promieniami przez szyby dwóch okienek. W świetlicy skromnie, czyściutko, pachnie ziołami. Ściany wybielone jak w celi. Kafłowy piec z przypieckiem mocno nagrзany. Wszystkie sprzęty, ławki, stół — pokryte płótnem. Malowany w różę cyferblat stojącego zegara obraca się wolniutko. Szaf

2 książkami przysłonięta: wielki post |§| nie pora na książki, na zabawy.

Zofia oparła nogi w sukiennych trzewikach na ławce i przymrużywszy oczy kiwała się w drzemce. Wiosna, wiosna, grzech chodzi po świecie, przedostaje się, słodki, do panieńskiej świetlicy... I to w dni wielkopostne... Trza by opuścić zasłony na oknach, zgasić jaskrawe promienie, ale nie chce się podnieść, nie chce się wezwać sługi. Jeszcze jej brzmiały w pamięci starodawne pienia nabożne, a już uszy niespokojnie nasłuchują: „Czy nie zaskrzypiał stopień, czy nie idzie światło życia mego, ach, czy nie wchodzi grzech... No, cóż, przebłagam modlitwą... Wszystkie miejsca święte obejdę pieszo..*. Niech wejdzie”.

W świetlicy senność, jeno wahadło postukuje. Dużo tutaj przelano łez. Nieraz już miotła się Zofia między tymi ścianami. Krzycz, gryź ręce wszystko jedno, lata mijają, okwita młodość. Dziewczyna, carska córka, przeznaczona jest na wieczne panieństwo, na czarny habit. Ze świetlicy jedne tylko drzwi — do klasztoru... Ileż tu caró- wien krzyczało po nocach w poduszkę dzikimi głosami, wyrwało włosy z głowy — nikt nie słyszał, nie widział.

Ile ich przeżyło swe lata bezpłodnie, usnęło pod płytami klasztorowymi... Imiona tych nieszczęsnych panien — zapomniane. Jedna zdobyła szczęście! Wyrwała się z panieńskiego więzienia, jak błędny ptak... Przyzwo

-
liła sercu — kochaj... I światłość oczu, piękny Wasilij Wasiliewicz — nie mąż jakiś z batem i w buciskach, lecz miły sercu, kochanek mówiący słodkie słówka, przylepny a niecierpliwy... Och, grzech, grzech... Zofia odłożyła proskurę, machnęła lekko rękoma, jakby go odganiała, i uśmiechała się przymkniętymi oczyma do ciepłych promieni z okna, do gorących przywidzeń...

XV

Zaskrzypiały stopnie. Zofia zerwała się, przenikliwie patrząc na drzwi, jakby teraz miał nimi wpaść ognistoskrzydły zgubca w złotych szatach. Wargi drżały — znowu wsparła się łokciami o aksamitną poręcz fotela i zakryła dłońmi twarz. Serce biło głośno.

Pochylając się w niskich drzwiach wszedł ostrożnie Wasilij Wasiliewicz Golicyn. Zatrzymał się bez słowa. Zofia gotowa go była objąć swym wzburzonym ciałem, jak fala morską. Udawała jednak, że drzemie: tak było przystojniej — carówna zmęczona nabożeństwem odpoczywa z uśmiechem.

— Zofio — przemówił ledwie dosłyszalnie. Pochylił się szeleszcząc brokatem. Zofia rozchyliła wargi. Wówczas jego pachnące wąsy załaskotały policzki, ciepłe wargi zbliżyły się i przycisnęły mocno. Zofia zakochała się, niewysłowione pragnienie przeszło plecami

i gorącym spazmem rozplynęło się w jej szerokich biodrach... Podniosła ręce, by objąć głowę Wasilija Wasiliewicza — i odepchnęła go.

— Och, odejdz... Co ty, wszak grzech, piątek przecie...

Otworzyła rozumne oczy i jak zawsze, zdziwiła ją piękność Wasilija Wasiliewicza. Odczuła, że mu jest pilno. Pokiwała głową, cała przejęta radością...

— Zofio — rzekł — Iwan Michajłowicz i Iwan Andriejewicz Chowański przybyli do ciebie z wielkimi wieściami. Zejdz na dół. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Zofia pochwyciła jego ręce, przycisnęła do pełnych piersi i ucałowała je. Rzęsy jej wilgotniały od nadmiaru miłości. Podeszła do zwierciadła, by poprawić diadem, i w roztargnieniu przebiegła wzrokiem po swym odbiciu: nieładna, a przecie kochana...

— Chodźmy...

Przy pochyłym okienku, dotykając gronostajowymi czapkami sufitu, stali Chowański oraz Iwan Michajłowicz Miłosławski, wuj carówny — szerokoszczęki, z oczami niby szczelinki, zlany potem, w nowej, niedawno podarowanej szubie, czerwony od jada i wzruszenia. Zofia, podszedłszy szybko, skłoniła głowę jak mniszka. Iwan Michajłowicz wyciągnął, jak mógł, brodę i wargi — bliżej przystąpić przeszkadzał mu brzuch.

— Matwiejew już w Trójcy... (Zielonkawe oczy Zofii rozszerzyły się.) Mnichy witają go niby cara. Dwunastego maja oczekiwac go

66

należy w Moskwie. Siostrzeniec mój, Piotr Tołstoj dopiero co przyjechał spod Trójcy... Opowiada: Matwiejew po nabożeństwie w obecności całego ludu łajał i zniesławiał nas, Miłosławskich: „Kruki — powiada — kruki zleciały się na skarb carski. Na strzeleckich pikach chcą wskoczyć do pałacu. Jeno tego — powiada — nie będzie... Bunt zniszczy, a pułki strzeleckie roześlę po miastach i na granice. Możnym bojarom poobla- muję skrzydła. Przysięgam — powiada — na krzyż carowi Piotrowi Aleksiejewiczowi. Na czas jego małoletności niech rządzi matka jego, Natalia Kiryłowna. Nie umrę, póki się to wszystko nie stanie...”

Oblicze Zofii poszarzało. Stała opuściwszy głowę i ręce. Poruszał się jeno rogaty diadem i gruby warkocz na plecach. Wasilij Wasiliewicz znajdował się w oddali, w cieniu. Chowański ponuro patrzył pod nogi. Potrząsnął głową.

— Stanie się, lecz nie to... Matwiejew w Moskwie nie będzie...

— A najgorzej — jeszcze spieszniej wyszeptał Miłosławski — łajał on haniebnymi słowy księcia Wasilija Wasiliewicza Golicyna: „Waśka Golicyn sięga po carską koronę, strąci mu się za to głowę...”

Zofia odwróciła się z wolna i spotkała z oczami Wasilija Wasiliewicza. Uśmiechnął się, nikła, żalonna zmarszczka przebiegła mu w kącie warg. Zofia zrozumiała: tu decyduje się sprawa jego życia, mówi się o jego

gło

5*

67

wie... Za tę jedną zmarszczkę mogłaby spalić teraz całą Moskwę... Przelknąwszy wzruszenie Zofia spytała:

— A co mówią strzelcy?

Miłosławski zasapał. Wasilij Wasiliewicz miękko przeszedł przez salę zaglądając w drzwi, wrócił i stanął za plecami Zofii. Zofia nie wytrzymała i przerwała opowiadanie Chowańskiemu:

— Carowa Natalia Kiriłłowna krwi zapragnęła... Skąd jej się to wzięło? A może wciąż jeszcze chudopacholstwa swego nie może zapomnieć — u ojca i matki w łapciach chadzała... Wszyscy wiedzą, że gdy Matwie- jew z litości wziął ją do siebie — nie miała nawet koszuli na zmianę... A teremów nigdy w życiu nie widziała, przy jednym stole z chłopami wódkę piła. — Gniew przepełniał obfitą szyję Zofii, ciasno opiętą perłowym kołnierzem koszuli, policzki pokryły się plamami. — Wesoło carowej życie płynęło z ojcem nieboszczykiem, a i z patriarchą Ni- konem też sporo się figlowało... Wiemy o tym my, pałacowi. Braciszek Piotruś, po prostu dziwo, cuda jakoweś — z twarzy, z obejścia do ojca niepodobny. — Zofia stuknęła pierścieniami i zacisnęła ręce na piersiach. — Jestem panną, wstyd mi rozmawiać z wami o sprawach państwowych... Ale skoro już Natalia Kiriłłowna zapragnęła krwi — będzie miała krew... Albo wszystkim wam głowy zleć, a ja rzucę się do studni...

— Miło, miło słyszeć takie słowa — ozwał

66

się Wasilij Wasiliewicz. — Książę Iwanie Andriejewiczu, opowiedz no carównie, co się dzieje w pułkach...

— Oprócz Strzemiennego wszystkie pułki stoją przy tobie, Zofio Aleksiejewno — znowu zaczął opowiadać Chowański. — Co dzień strzelcy zbierają się gromadnie, łąją pułkowników nie szczędząc ich matek (khe — Miłosławski zakrzuszył się przy tych słowach, Wasilij Wasiliewicz mrugnął oczyma z przestachem, a Zofia nawet brwią nie ruszyła). — Pułkownika Buchwostowa i setnika Bo- borykina, którzy im zaczęli przyganiać, • strzelcy wyprowadzili na dzwonnice i zrzuciwszy ich stamtąd krzyczeli: „Lubo, lubo”.... Rozkazów nie słuchają; zbierają się kupami na przedmieściach, na Białym Mieście i na Kitaju. Chodzą na bazyry i przed łaźnie i podburzają lud: „Nie chcemy — wołają — aby nami rządził Naryszkinowie i Matwie- jew, ukrećimy im karki...”

— Krzyżeć, krzyżę, mają na to gardła, ale my chcemy widzieć ich wielkie czyny! — Zofia wyprostowała się i załamała gniewnie brwi. — Niech się nie ulęką wziąć na piki Artamona Matwiejewa, Jazykowa, Lichaczowa i wrogów mych, Naryszkinów — całe gniazdo... Niech się nie ulęką spuścić z murów jej szczeniaka... Macocha, macocha... Łono przekłete... Masz oto... — Zofia ściągnęła z palców od razu wszystkie pierścienie i podała je Chowańskiemu. — Poślij im... Rzeknij im — dostaną wszystko, o co proszą:

69

zołd i ziemie, i przywileje. Niech się nie ulęką, gdy będzie trzeba. Rzeknij, niech okrzykną mnie carową...

Miłosławski w przestrachu machał tylko na Zofię rękami. Chowanski rozpalony szaleństwem szczyrzył zęby. Wasilij Wasiliewicz zakrył oczy • dłonią nie wiedząc czemu, nie chciał może, aby przy słowach owych widziano oblicze jego tchnące pychą...

XVI

Aleksaszka z Aloszką przez wiosnę odpaśli się na pierogach. Życie takie, że lepszego nie potrzeba. Utył też i Zając, zleniwił. „Zrobiłem swoje, teraz wy, chłopcy, popracujcie na mnie.” Siedział całymi dniami na ganku i patrzył na kury, na wróble. Lubił gryźć orzechy. Z lenistwa i zapasienia zaczęły go nawiedzać myśli: „A nuż chłopaki ukrywają pieniądze? Nie może być, aby choć trochę nie kradli”.

Wieczorami obliczając przychód jał chłopców wypytywać, czepiać się, zaglądać w kieszenie i za policzki szukając schowanych pieniędzy. Zaczął cierpieć na bezsenność, stałe myślał: „Kto ma do czynienia z pieniędzmi, musi kraść”. Pozostawał więc jedyny środek: nastraszyć chłopców.

Pewnego wieczoru Aleksaszka z Aloszką przyszli weseli na kolację, oddali pieniądze ze sprzedaży. Zając policzył i przyczepił się:

kopiejki brakuje... — Ukradliście. Gdzie kopiejka? — Pochwycił kij, wycięty rankiem jeszcze, ogarnął Aleksaszkę za łeb i zaczął bić dogadując — raz w Aleksaszkę, dwa — w Aloszkę. Wyobracawszy chłopców kazał podać wieczerzę.

— Tak to — mówił napychając usta studzienią z octem i pieprzem — za bitego teraz dają dwóch nie bitych... Zrobię z was ludzi, młodziaki, później podziękujecie mi za to.

Zając zajadał kapuśniak z wieprzowiną, żołądki kurze na miodzie z imbirem, kluski z kurą, pieczeń. Żarł kaszę z mlekiem. Położywszy łyżkę na nie nakrytym stole, czekał delikatnie. Policzki mu. drżały od przesyty, oczy się zamglily. Rozpiął guzik w portkach.

— Będziecie się za mnie modlić, moje drogie dzieci... Jam człek dobry... Jedzcie, pijcie, czujcie, zem wasz ojciec...

Aleksaszka milczał, skrzywił usta, w oczy nie patrzył. Po wieczerzy rzekł do Aloszki:

— Od ojca uciekłem przez bicie, od niego tym bardziej ucieknę. Ten knur teraz nawyknął do bicia...

Straszne wydało się Aloszce porzucać syte życie. Oczywiście, lepiej bez bicia, ale gdzie znaleźć takie miejsce na świecie —f wszyscy biją. Płakał w ukryciu na piecu. Ale nie można przecie odłączyć się od towarzysza. Nazajutrz chłopcy wyszli na ulicę, wzięwszy niecki z pierogami.

Był świeży majowy ranek. Kałuże błękit-

nawe. Na brzozech liście pachnące. Szpaki pogwizdują zadarłszy główki do słońca. Przed wrotami stoją rozigrane dziewczki — nie chce im się robić. Niejedna bosa, ma na grzbiecie jeno zgrzebną koszulę, ale na głowie wianek z zielska, a w warkoczach wstążki. Oczy zdziczałe. Szpaki na dachach i na gniazdach ćwierkają jak słowiki, wabią dziewczęta do lasu, na trawę. Taka to wiosna!... — Pierniki z miodem!

Aleksaszka się roześmiała.

— Poczekaj Zając na dzisiejszy utarg...

— Oj, Aleksaszka, toć to grabież...

— Ty pało wiejska... A wysługi to ten diabeł płacił? Grzbiet zginaliśmy na niego przez dwa miesiące za darmo... Hej! strzelcze, kup, z zajęczyzną! Para z żaru, po groszaku!...

Coraz więcej spotykało się kobiet i dziewczuch pod wrotami, na skrzyżowaniach pełno ludu. Oto biegiem przeszli strzelcy szczękając berdyszami — lud robił miejsce patrząc na nich ze strachem. Im bliżej do J mostu Wsieswiatskiego na rzece Moskwie, tym więcej strzelców i ludu. Ludzie obsiedli cały most jak muchy, wchodzili na kupy nawozu patrzeć na Kreml. W zwierciadlanej wodzie, lekko rozkołysanej prądem, odbijały się zielona we szczyty wież, blanki murów i złote kopuły cerkwi, cerkiewek i soborów.

Rozmowy ludzkie pełne były niepokoju. Za murami twierdzy, gdzie pstrzyły się śliczne, bogate dachy pałaców bojarskich i zamku cara, działo się coś niedobrego w tej majo-

72

wej ciszy... Co — nie wiedziano jeszcze naprawdę. Strzelcy gardłowali nie przechodząc mostu, bronionego od strony Kremla przez dwie armaty. Tam widać było pieszych i konnych dworzan i szlachtę służącą przy osobie cara. Nosili oni białe kaftany, a na plecach, na miedzianych łukach — łabędzie skrzydła. Dworzan było mało i widać było, że trwożą się patrząc, jak z Bałczugu wali tysiące ludu.

Aleksaszka uwijał się jak diabeł w pobliżu mostu. Pierogi przy pomocy Aloszki sprzedawał żwawo, niecki porzucili. Nie do handlu im teraz. Strasznie a wesoło. W tłumie ludzie zaczęli krzyczeć — to tu, to tam. Wszyscy mieli coś na wątrobie. Życie obrzydło przy takich porządkach. Grozili wieżom Kremla. Stary mieszczanin wlaź na kupę śmiecia i zdjąwszy kołpak z łysiny gadał wolno:

— Za nieboszczyka Aleksego Michajłowi- cza lud tak samo powstał... Nie było chleba, nie było soli, pieniądze staniały, rubla srebrnego skarb przetapiał na miedzianego... Bojarzy chciwie pili krew ludu. Lud się zbuntował, zrzucił z konia cara Aleksego i podarł na nim szubę... Dużo wtedy dworów bojarskich zburzono i spalono, dużo bojarów zabito... A na Niżu podniósł się wielkiego ducha Kozak Razin. I byłaby wtedy wolność, nar^d żyłby swobodnie i bogato... Ale nie podtrzymali... Naród jest słaby, skory jeno do gardłowania. I teraz bez jednośc, chłopcy, możecie czekać tego samego — szubienicy i pieńka, przemogą was bojarzy...

73

Słuchali go z otwartymi ustami. I robiło się jeszcze mniej jasno w duszach i straszniej. Rozumieli tylko, że w Kremlu nie ma władzy i pora odpowiednia aby zachwiać odwieczną warownię. Lecz jak? ■ W innym miejscu strzelec przyskakiwał do ludzi.

- Na cóż jeszcze czekacie? Bojarzyn Matwiejew o świtanu do Moskwy wjechał. Nie znacie jeszcze Matwiejewa czy co? Dopóki w Kremlu byli bojarzy bez głowy, łajali jeden drugiego, można było jeszcze żyć... Teraz zjawiał się prawdziwy władca — on ujmie mocniej lejce. Daninami, podatkami tak wszystkich obciąży, jak jeszcze nie widziano... Bunt należy wszcząć dziś, jutro będzie za późno.

Mąciło się ludziom w głowie od takich słów. Jutro — późno... Oczy krwią zachodziły. Upajał, zamracał głowy Kreml leniwo odbity w rzece — siwy, zakazany, wiarołomny, pełen złota... Na murach przy armatach ani jednego puszkarza. Jakby wszystko wymarło. A wysoko w górze sepy płynące nad Kremlem...

Wtem po tamtej stronie mostu poruszyli się skrzydlaci dworzanie, doleciały ich słabe krzyki. Zaczął się kręcić między nimi jeździec na śnieżnobiałym koniu. Nie przepuszczano go, machano berdyszami o szerokich ostrzach. Najeżdżał ściągając konia, który stanął dęba; wreszcie wyrwał się gubiąc czapkę i wściekle popędził po pływającym

74

moście, spomiędzy desek chlusnęła woda, cok, cok — cienkonogi koń potrząsał wesoło grzywą.

Tysiące ludu zamilkły. Z tamtego brzegu rozległ się pojedynczy wystrzał do pędzącego. Werznąwszy się w tłum jeździec stanął w strzemionach — skóra poruszyła się na jego wygolonej na niebiesko głowie, podłużne oblicze z długim nosem rozpało się od pędu. Zdyszany, błyskał czarnymi oczami spod brwi szerokich, jakby węglem narysowanych. Poznali go:

— Tołstoj... Piotr Andriejewicz... Siostrzeniec Miłosławskiego... On z nami... Cicho... Słuchajcie, co on powie...

Piotr Andriejewicz krzyknął wysokim, załamującym się głosem:

— Ludu... Strzelcy... Nieszczęście... Matwiejew i Naryszkinowie dopiero co udusili carewicza Iwana... Jeżeli nie zdążycie, zaduszą i Piotra. Biegnijcie prędko na Kreml, bo może być za późno...

Zawarczało, zaszumiało w tłumie — z rykiem rzucili się na most. Zafalowały tysiące głów, między nimi kręcił się biały koń Tołstoja. Most trzeszczał, zanurzył się, biegli po kolana w wodzie. W milczeniu, rozpychając lud, przechodzili rozjuszeni strzelcy, sotnia za sotnią. Skądś doleciał dźwięk dzwonu — bum, bum, bum — szybciej, szybciej, trwoż- niej... Odezwały się dzwonnice, rozkołysały dzwony i nieprzeliczone mnóstwo cerkwi uderzyło na larum...

75

W cichym Kremlu gdzieniegdzie, błysnąwszy słońcem, zamykało się okienko, jedno, drugie...

XVII

Mieszając z niecierpliwością pułki, strzelcy dobiegli do Granowitej Sali i soboru Bła- gowieszceńskiego. Wielu z nich, zostawszy w drodze, dobijało się do mocnych wrót bojarskich domów, wchodziło na dzwonnice dzwonić na larum: Iwan Wielki huczał strasznym tysiącpurowym basem. W wąskich uliczkach między domami, murowanymi ogrodzeniami- klasztorów i żółtymi ścianami długiego domu urzędów, którego okna wychodziły na rzekę — leżeli zabici i pełzła stękając pokaleczona czeladź bojarska. Biegało kilka osiodłanych i przestraszonych koni, łowiono je ze śmiechem. Strzelcy z krzykiem walili kamieniami w okna.

Strzelcy, lud, chmary chłopców (i Aleksaszka z Aloszką) patrzyli na pstry pałac carski, zajmujący czwartą część powierzchni Kremla. Budowle murowane i drewniane, wysokie teremy, przyziemne izby, sienie, wieże i wieżyczki pomalowane na czerwono, zielono, niebiesko, oblicowane ciosanym kamieniem i belkami, połączone mnóstwem przejść i schodów. Setki namiotowych cebu- lastych dachów, cudnych szczytów żebrowych, brzochatych, spiczastych jak kogucie grzebienie, błyszczwały od złota i srebra. Tu

76

mieszkał władca ziemi, po Bogu pierwszy..

A mimo wszystko strasznowo. Bo tu już nie tylko prosty człowiek nie śmiał wejść z bronią, ale i bojarzyn zostawiał konia koło bramy i człapał po błocie pieszo, mnąc czapę i zezując na okna carskie. Stali i patrzyli Głos Iwana Wielkiego bił w piersi jak młó tem. Ogarniała trwoga. I wtedy pojawili się przed tłumem zuchowaci krzykacze.

— Chłopcy, czegośta gęby porozwieralii Carewicza Iwana udusili, z carem Piotren może już teraz kończą. Hajda, przystawiać drabiny, włamywać się na ganek!

Zgiełk powstał w wielotysięcznym tłumie Bębny twardo zawarczały. — Hajda! hajda hajda! — krzyczały dzikie głosy. Porwało się ze dwudziestu strzelców, przeleźli przez kra tę, dobyli zakrzywionych szabel, wbiegli na Czerwony Ganek. Zastukali w miedziane drzwi, wparli się w nie ramionami. — Hajda hajda! hajda! — rykiem przeleciało w tłumie Nad głowami zakołysały się drabiny skądś: wydobyte. Przystawiono je do okien Grano witej Sali, do bocznych poręczy ganku Wleźli. Zgrzytając zębami krzyczeli: — Da wać Matwiejewa, dawać Naryszkinówf

XVIII

— Zabiją przecie, zabiją... Co robić, Arta- monie Siergiejewiczu?

— Bóg jest miłosierny, carowo. Wyjdę, po-

gadają z nimi... Hej, posłaliście po patriarchę? Niechże biegnie jeszcze ktoś...

— Artamonie Siergiejewiczu, to oni, wrogowie moi... Sam Jazykow widział — dwóch Miłosławskich przebranych wśród strzel; Iców...

— Rzeczą niewieścią modlić się — módl się, carowo...

— Idzie, idzie! — zawołano z sieni. Wbijając w dębową podłogę ostrze laski

— Iwszedł patriarcha Joachim. Jego niesamowite

oczy w ciemnych oczodołach skierowały się na małe okna pod pułapem. Z tamtej strony do kolorowych szybek przylgnęły głowy strzelców, którzy weszli na schody. Patriarcha uniósł suchą rękę i pogroził. Głowy cofnęły się raptownie.

Natalia Kiriłowna rzuciła się do patriarchy. Jej pełne oblicze pod czarną lisią czapeczką było blade jak biała chusta. Wczepiła się w jego lodowatą rękę i całując ją wielokrotnie, jąkała:

— Ocal, ocal, władko...

— Władko, sprawy złe idą — powiedział surowo Artamon Siergiejewicz. Patriarcha zwrócił na niego rozszerzone źrenice. Matwiejew szarpnął kwadratową, szpakowatą brodę. — Spisek, otwarty bunt... Sami nie wiedzą, co krzyczą...

Matwiejew przypominał postaci ze starodawnych obrazów: cienkonosy, orlooki, zachowywał spokój. Doświadczył już wiele, a w ciągu swojego długiego życia nieraz za-

78

glądał śmierci w oczy. Pozostało mu jedno tylko uczucie — dumna żądza władzy... Hamując gniew, drżący w starczych powiekach, rzekł:

— Byleby wyrzucić ich z Kremla, potem się z nimi rozprawimy...

Krzyki i uderzenia za oknami stawały się coraz groźniejsze. Po sali od drzwi do drzwi przebiegał na palcach ten, którego strzelcy i bojarzy nienawidzili gorzej niż diabła — piękny strojniś, dwudziestoczteroletni, a już bojarzyn, brat carowej, Iwan Kiriłowicz Na- ryszkin, o którym mówiono, jakoby przymierzał już koronę carską. Na zzieleniałym obliczu czarne wąsiki wyglądały jak naklejone: zdawał się widzieć jutrzejsze męki i straszną śmierć swoją na miejscu straceń. Wymachując polskimi rękawami krzyknął:

— Zofia raczyła przybyć! — i schował się za drzwi. Za nim pokuśtykał na krzywych nogach karzełek, mały jak dziecko. Przytrzymując błazeński kołpak płakał całą swą zmarszczoną twarzą, jakby przeczuwając, że jutro zdradzi swego pana.

Do sali szybko weszli Zofia, Wasilij Wasiliewicz Golicyn i Chowański. Policzki Zofii były mocno uróżowane. Szła w wysokim perłowym diademie, cała w złotogłowie. Z rękoma na piersiach, złożyła niski ukłon carowej i patriarsze. Natalia Kiriłowna cofnęła się przed nią jak przed żmiją, nie rzekła ani słowa, tylko oczy jej zamigotały.

— Lud się gniewa, widać ma o co — po

wiedziała Zofia głośno — wyszłabyś, caro- f . wo, do ludu z braćmi... Bóg raczy wiedzieć, co oni tam krzyczą, jakoby dzieci zabito... Wytłumacz, przyrzeknij łaskawość — patrzeć tylko, jak się wedrą do pałacu...

Mówiła, białe jej zęby postukiwały, zielone oczy migotały radosnym pobudzeniem. Mat- wiejew podszedł do niej.

— Nie czas na babskie porachunki...

— To ty wyjdź do nich...

— Śmierci się nie boję, Zofio Aleksiejew- no...

— Nie swarście się — rzekł patriarcha stukając laską. — Pokażcie im dzieci, Iwana i Piotra...

— Nie! — krzyknęła Natalia Kiriłłowna , chwytając się za skronie. — Władko, nie pozwolę... Boję się!

Wynieście dzieci na Czerwony Ganek — powtórzył patriarcha.

XIX

I oto zazgrzytał zamek w miedzianych drzwiach na Czerwonym Ganku. Tłum zbliżył się i ucichł patrząc chciwie. Umilkły bębny.

Aleksaszka wisiał wczepiwszy się rękami i nogami w brzuchaty słup ganku. Aloszka trzymał się towarzysza, choć wszystko było takie straszne.

Drzwi otworzyły się szeroko. Ujrzano ca

rową Natalię Kiriłłownę we wdowim, czarnym stroju i płaszczu ze złotogłowiu. Spojrzawszy na tysiące, tysiące oczu wpatrujących się w nią, carowa zachwiała się. Czyjeś ręce podały jej chłopczyka w pstrym, wąskim kaftaniku. Carowa z wysiłkiem, wysunawszy brzuch, dźwignęła go i postawiła na poręczy ganku. Czapka Monomacha zjechała mu na ucho, odsłaniając czarne, przyszczyżone włosy. Okrągłolicy malec, z tępym nosem, wyciągał szyję. Oczy okrągłe jak u myszy. Małeńkie wargi zaciśnięte w przestachu.

Carowa chciała coś powiedzieć, zatchnęła się i wstrząsnęła głową. Spoza jej pleców wysunął się Matwiejew. Przez tłum przeszedł ryk... Matwiejew trzymał za rękę starszego chłopca o chudym, apatycznym obliczu z obwisłą wargą.

— Kto wam nałgał przemówił Matwiejew starczym, ale mocnym głosem, poruszając siwymi brwiami — kto nałgał, że cara i carewiczka uduszono? Patrzcie, oto car Piotr Aleksiejewicz na rękach carowej... Zdrów i wesół... Oto carewicz Iwan — podniósł chwytając pod ramiona apatycznego chłopaka i pokazał tłumowi. — Obaj żywi z łaski Boskiej... (W tłumie poczęto spoglądać po sobie i gadać: — Ci sami, podstępni nie ma.) Strzelcy! Idźcie spokojnie do domostw... Jeśli wam czego potrzeba, jeśli macie prośby i skargi, przyślijcie swoich ludzi z czołobitnością.

Z ganku zeszli do tłumu Chowański i Wasilij Wasiliewicz. Kładąc ręce na ramionach strzelców i pospolitego ludu prosili o rozejście się, ale mówili to jakby z uśmiechem. Z uspokojonego tłumu znowu rozległy się gniewliwe głosy:

- No i cóż, że oni żyją...
- Sami widzimy, że żyją...
- Wszystko jedno, z Kremla nie wyjdziemy...
- Nie ma głupich... Znamy się na waszych słodkich słówkach...
- A potem będą nam nozdrza rwać przed urzędem...
- Wydajcie nam Mątwejewa i Naryszkinów...
- Iwana Kiriłowicza Naryszkina... On koronę carską przymierzał...
- Krwio pijęc, bojarzy,.. Jazykowa nam wydajcie... Dołgorukiego...

Coraz gniewniejsze głosy wymieniały nazwiska znienawidzonych bojarów. Natalia Kiriłowna znowu zbladła i objęła syna. Piotr kręcił okrągłą głową — ktoś krzyknął ze śmiechem: — Patrzcie no — istny kot! — Z ganku zbiegł książę Michał Dołgoruki, syn naczelnika strzelców, cały w czerwonym aksamicie, w sobolach, brzęcząc bronią, wypieszczony a pyszny — wołał na strzelców wymachując nahajem:

- Zgrajo, sucze syny, radziście, że mój ojciec leży chory. Hultajstwo... Precz stąd, psy, chamy...

Cofnęli się trochę strzelcy przed świszczącym batem... Ale to już inne czasy — nie tak należało z nimi mówić...

Zaczęli sapać, dyszeć, ruszyli na niego.

- Az dzwonnicy jeszcześ nie leciał?... A kto ty dla nas jesteś, szczeniaku?... Bij go, chłopcy l,,

Chwycili go za pas, zerwali. Pąsowy, aksamitny kaftan rozleciał się w strzępy. Michał Dołgoruki wyciągnął szablę i cofając się, oganiając wszedł na ganek. Strzelcy rzucili się za nim z nastawionymi pikami. Pochwycili go. Carowa zapiszczała dziko. Rozcapierzone ciało Dołgorukiego poleciało i znikło rozszarpane, zdeptane przez tłum.

Matwejew i carowa cofnęli się ku drzwiom, ale było już za późno: z sieni Granowi tej Sali wyskoczył Owsiej Rżow z towarzyszami.

- Bij Mątwe jewa! — zakrzyknęli.
- Lubo, lubo! — ryknął tłum.

Owsiej Rżow naparł z tyłu na Matwejewa. | Carowa podniosła ręce i przyłgnęła do Arta- mona Siergiejewicza. Carewicz Iwan, odepchnięty, upadł i rozplakał się. Grymas wykrzywił okrągłą twarzączkę Piotra, wczepił się obiema rękami w szpakowatą brodę Matwejewa...

- Odciągaj, nie bój się, rozszarpać go! — krzyczeli strzelcy podniósłszy piki — dawaj go tu!
- Odciągnęli carową, odrzucili Piotra jak kociaka. Ogromne ciało Matwejewa z otwarty

mi ustami wyleciało nagle wysoko, rozkraczając nogi, zważyło się na podstawione piki.

Strzelcy, lud, chłopcy (Aleksaszka z Aloszką) wdarli się do pałacu, rozbiegli po setkach pokoi. Carowa z oboma carewiczami w dalszym ciągu stała nieprzytomna na ganku. Chowański i Golicyn znowu podeszli do tych, którzy pozostali na placu. Z tłumu krzyczano:

— Chcemy Iwana na cara... Obu... Chcemy Zofii... Lubo, lubo... Zofię chcemy na carstwo! Wolności chcemy!... Żeby zapomnieć o krzywdach... Słupa chcemy na placu Czerwonym, słupa na wieczną pamięć — aby wolność nasza trwała wiecznie!

ROZDZIAŁ DRUGI

Strzelcy poswawolili. Porznęli bojarów: braci carowej, Iwana i Afanasija Naryszkinów, książąt Jurija i Michała Dołgorukich, Grigorija i Andrieja Romodanowskich, Michała Czerkaskiego, Matwiejewa, Piotra i Fiodora Sałtykowów, Jazykowa i innych, niższych rodem. Strzelcy otrzymali żołd — dwieście czterdzieści tysięcy rubli, prócz tego każdy strzelec otrzymał po dziesięć rubli nagrody. (Wypadło zbierać we wszystkich miastach Złote i srebrne naczynia i przetapiać je na pieniądze, żeby opłacić strzelców.) Na placu Czerwonym postawiono słup, na którego czterech bokach wypisano nazwiska zabitych bojarów oraz winy i zło- czynstwa. Pułki zażądały spisanych przywilejów, w których bojarzy poprzysięgli, że ani teraz, ani w przyszłości nie będzie się strzelców łajać ubliżającymi słowami, nazywać zdrajcami i buntownikami ani też nie będzie się ich skazywać bez przyczyny na śmierć i na zsyłkę.

Zjadłszy i wypiwszy zapasy Kremla strzelcy rozeszli się do slobód, mieszczanie do mia

sta. I wszystko zostało po staremu. Nic się nie zdarzyło. Nad Moskwą, nad miastami, nad setkami powiatów rozrzuconych po nieobjętej ziemi kisiły odwieczne mroki — nędza, niewolnictwo, niedola.

Chłop z chłostanym tyłkiem gmerał byle jak w zaniedbanej ziemi. Mieszczuch na gołym podwórzu zawodził, obciążony daninami i podatkami ponad siły. Stękało całe drobne kupiectwo. Ubożała drobna szlachta. Ziemia jałowiała: urodzaj trzy z jednego był jeszcze błogosławieństwem Bożym. Narzekali nawet bojarzy i znamienici kupcy. Czyż dużo było potrzeba bojarowi w dawnych czasach? Szuba na sobolach i czapa — oto cały splendor. A w domu jadał ten sam kapuśniak z wędzonką, spał i modlił się. Obecnie oczy ich zrobiły się pazerne: zachciało się żyć nie gorzej od polskich panów, Inflantczyków albo Niemców — nasłuchali się wielu rzeczy, widzieli już dużo, Serca pałały chciwością. Bojarzy zaczęli gromadzić setki służby. A na obucie, ubranie, kaftany liberyjne i wyżywienie tej zgrai trzeba było więcej pieniędzy niż dawniej. Nie uchodziło mieszkać w drewnianych domach. Dawnej bojarzyn lub jego żona wyjeżdżali z domu saniami w jednego konia, rab jechał wierzchem za duhą. Na chomałą, uzdy i szleje przywiązywali lisie i sobole ogony, żeby ludzie zazdrościli. Teraz musisz sprowadzić z Gdańska złożoną karetę, zaprząc do niej czwórkę, inaczej nie będzie honoru. A gdzie pieniądze? Skapo, bardzo skapo.

Handel kiepski. Swojemu nie sprzedasz — goły. Za granicę nie wywieziesz — nie ma jak, swoich mórz nie ma. Cały handel z zagranicą zagarnęli cudzoziemcy. A kiedy człek posłucha, jak się rozwija handel w innych państwach — to gotów sobie głowę roztrzaskać ze złości. Jakiś zaklęty kraj ta Rosja — kiedyż ona z miejsca ruszy?

W Moskwie nastąpiło dwóch carów — Iwan i Piotr, a nad nimi — regentka, carówna Zofia. Jednych bojarów zastąpiono drugimi. I to wszystko. Nuda. Czas się zatrzymał. Nie ma na co czekać. Przy pamiątkowym słupie strzeleckim na placu Czerwonym stał jakiś czas strzelec z berdyszem, ale gdzieś sobie poszedł. Prosty lud walił koło słupa wszelkiego rodzaju świństwa. I znowu poczęli ludzie szemrać na bazarach, zaczęły się szeptki. Strzelców opanowały wątpliwości: źle wówczas postawiono sprawę, było dużo krzyku, a sensu mało. Czy nie należałoby dokończyć, póki nie za późno?

Starzy opowiadali — dawniej było dobrze, życie tańsze, obfitsze. We wsiach chłopci z niewiastami urządzali korowody. Lud miejski obrastał tłuszczem z lenistwa. O rozbojach nikt nie słyszał. Ech, gdzież te czasy!

W slobodzie strzeleckiej zjawiło się sześć raskolników — uczeni w Piśmie, chłopcy wyschnięte na kość, niezłomne. — Jedyne zbawienie — powiedzieli oni strzelcom — jedyne wasze zbawienie — zrzucić patriarchę nikonowca i cały bojarski spiszek niko-

nowski, spoleczały, i powrócić znowu do bogobojnej wiary, do starego życia. — Raskolnicy czytali sołowieckie pisma, mówiącej jak uniknąć pokusy nikonowskiej, a zbawić dusze i żywoty. Strzelcy płakali słuchając. Na bazarze stary raskolnik Nikita Pustoswiat stojąc na wozie przemawiał do ludu wedle pisma sołowieckiego:

— „Ja, bracia moi, widziałem Antychrysta, zaprawdę widziałem. Niegdyś w smutku będąc, rozważając o przyjściu Antychrysta, modlitwy odmawiałem i zapamiętałem się, nędzny. I oto widzę na błoniach mnóstwo ludzi. I koło mnie ktoś stoi. Ja mówię: — Czemu tak dużo ludzi? — On zaś odpowiada: — Antychryst nadchodzi, stój, nie lękaj się. — Wsparłem się na lasce dwurogiej, stoję mężnie. Patrzę, wiodą nagiego człeka — ciało jego sama nieczystość, a szpetne niezmiernie, ogniem dyszy, z ust, z nozdrzy i uszu dobywa się płomień smrodliwy. Za nim car nasz postępuje i władze, i bojarzy, i okolniczowie, i szlachta... I splunął na niego, zrobiło mi się niedobrze i strasznie... Wiem wedle Pisma, że przyjdzie niedługo. Wiele już mamy pomiotu jego, psów wściekłych”.

Teraz zrozumiano, czego żądać. Strzelcy rzucili się do Kremla. Naczelnik Strzeleckiego Urzędu Iwan Andriejewicz Chowański przyłączył się do raskołu. Sześciu kościstych raskolników, trzy dni nie jedzących ani okucha, nie pijących ani kropli, przyniosło do Granowitej Sali wysokie pulpity, drewniane krzyże i stare księgi i w obecności Zofii łajali i zawstydzali patriarchę i duchowieństwo. Strzelcy zgromadzeni pod Czerwonym Gankiem krzyczeli: — Chcemy starej wiary, chcemy dawnych czasów! — A inni mówili jeszcze twardziej: — Miłościwa pani, czas, abyś szła do klasztoru, dość męczenia w państwie! — Pozostawał jeden środek i Zofia gniewnie przygroziła: — Chcecie zastąpić nas przez sześciu mnichów, ciemnych chłopów? W takim razie my, carowie, nie możemy • tu mieszkać, pójdziemy do innych grodów, obwieścimy całemu narodowi o naszym zniszczeniu i o waszej zdradzie...

Strzelcy zrozumieli, czym groziła Zofia, przestraszyli się: — Bracia, żeby ona pospolitego ruszenia szlachty na Moskwę nie rzuciła... ~ Cofnęli się. Szli na ugodę. A już z rozkazu Wasilija Wasiliewicza Golicyna wynoszono z carskich piwnic na plac cebry z wódką i piwem. Poruszyli się strzelcy, odmieniło im się w głowach. Ktoś krzyknął: — Diabli nadali tę starą wiarę, to sprawa popów, bij raskolników! — Jednemu kościstemu chłopu zaraz na miejscu ścięli głowę, dwóch zadusili, reszta ledwie uciekła.

Przekłęci bojarzy spolił prostych ludzi, wykręcili się sianem. W Moskwie szumiało jak w ulu. Każdy krzyczał swoje. Nie znalazło się głowy — buszowali w rozsypkę. Rozbijali carskie szynki. Łapali pisarzy z urzędów i rozdzielali ich na strzępy. Przez Moskwę nie można było ani przejść, ani prze-

jechać. Oblegali bojarские dwory, ciężko było bojarom odstrzeliwać się — przychodziło do wielkich bojów. Paliły się całe dzielnice. Nie uprzątnięte trupy leżały na ulicach i bazarach. Rozeszła się pogłoska, że bojarzy ściągnęli pod Moskwę pospolite ruszenie: chcą od razu zdławić bunt. I raz jeszcze strzelcy poszli na Kreml z chmarami zbiegłych chłopów, z czołobitną prośbą, przybitą na pice, o wydanie pod sąd i na wytracenie wszystkich bojarów. Zofia wysłała na Czerwony Ganek biała z gniewu: — Szkalują nas, tego pospolitego ruszenia nawet w myśli nie było, przysięgam na Boga — krzyknęła zrywając z siebie krzyż błyszczący diamentami — wiem, to nakłamał carewicz Matwiej- ka! — Wyrzucono z ganku na strzeleckie spisy jeno owego Matwiejkę, podupadłego carzyka tatarskiego: udławcie się.

Strzelcy rozerwali Matwiejkę na drobne kawałki — nasycili wściekłość i znowu odeszli z niczym... Trzy dni i trzy noce trzęsła się Moskwa, chmary wron krążyły nad nią wysoko, wystraszone biciem dzwonów na larum. I wtedy w głowach najbardziej desperackich powstała decyzja: odrąbać samą głowę, wytracić obu carów i Zofię. Ale gdy Moskwa zbudziła się na czwarty dzień, Kreml już był pusty: nie ma ani carów, ani carów- ny, uciekli razem z bojarami. Lud ogarnęła trwoga.

Zofia pojechała do wsi Kołomieńskie i rozesała wici na powiaty, zwołując pospolite

00

ruszenie szlachty. Przez cały sierpień krążyła w okolicach Moskwy, po wsiach i klasztorach, płakała, zawodziła w kruchtach, uskarżała się na krzywdy i ruinę. W Kremlu pozostał Iwan Andriejewicz Chowański ze strzelcami. Poczęto rozmyślać, czy nie obwołać go carem — człek grzeczny, wielkiego rodu, starodawnych obyczajów. Prosty lud będzie miał swego cara.

Oczekując wielkich łask szlachta dziarsko siadała na koń. Ogromne, dwustutysięczne pospolite ruszenie zbierało się w Trojcy- -Siergijewie. A Zofia w dalszym ciągu krążyła wokół Moskwy jak ptak. Wysłany przez nią we wrześniu oddział konnicy, ze Stiopką Odojewskim na czele, napadł o świcie wieś Puszkino. Nocował tam na wzgórzu w na- iniocie Iwan Andriejewicz Chowański, który objeżdżał ze strzelcami okolice Moskwy. Strzelcy spali beztrosko. Wyrąbano ich wszystkich we śnie szablami. Iwan Andriejewicz wypadł z namiotu w białym, wymachując berdyszem. Michajło Tyrtow prosto z konia skoczył mu na plecy. Przytroczywszy Iwana Andriejewicza do siodła zawieźli go do wsi Wozdwiżeńskie, gdzie Zofia obchodziła swoje imieniny. Pode wsią, na wyniesionych ławach, siedzieli bojarzy, odziani wedle wojennego czasu — w opończach i hełmach. Mikołaj Tyrtow zrzucił z siodła Chowańskiego, który, nie ubrany, ze wstydu i zgryzoty ukląkł na trawie i rozpłakał się. Diak Duma bojarskiej Szakłowity przeczytał

91

opis jego win. Iwan Andriejewicz krzyknął z wściekłością: — Łgarstwo! Gdyby nie ja — dawno by w Moskwie ludzie po kolana we krwi brodzili! — Ciężko było bojarom postanowić przelanie krwi tak starożytnego rodu. Wasilij Wasiliewicz siedział bielszy od śniegu. I on, i Chowański byli Giedymino- wiczami, a Giedyminowicza sądzili teraz ludzie niżej urodzeni, wzbogacone chudopa- chołki. Widząc takie wahanie Iwan Michaj- łowicz Miłosławski podszedł do jeźdźców i szepnął coś do Stiopki Odojewskiego. Stiopka popędził co koń wyskoczy przez wieś ku jedwabnemu namiotowi carówny Zofii i również w skok wrócił, tratuując kury i dzieciarnię. — Władczyni rozkazała nie wahać się, tracić księcia. — Wasilij Wasiliewicz odszedł pośpiesznie, zakrywając oczy chusteczką. Dziko krzyknął Chowański, gdy go Michajło Tyrtow chwycił za włosy wlokąc na drogę, w kurz. Tu, pode wsią, ścięto Chowańskiemu głowę. Strzelcy pozostali bez wodza. Dowiedziawszy się o ścięciu, w przestkach wrócili na Kreml, zamknęli bramy, nabili armaty, przygotowali się do oblężenia.

Zofia pospieszyła do Trójcy-Siergijewa. pod opiekę niedostępnych murów. Dowództwo pospolitego ruszenia powierzyła Wasilijowi Wasiliewiczowi. Obie strony wygrażając sobie czekały, kto pierwszy się przestraszy. Przestraszyli się strzelcy i posłali do Trójcy z czołobitnością. Przyrzekli posłuszeństwo. Na tym się też skończyła ich wolność.

Słup pamiątkowy z placu Czerwonego sprzątnięto. Przywileje odwołano. Naczelnikiem Strzeleckiego Urzędu został Szakłowity, skory do rozlewu krwi. Sporo pułków rozesłano po miastach. Lud stał się cichy niby te myszy pod miotłą. I znowu Moskwa i cała ziemia pogrążyła się w martwocie bez wyjścia. Popłynęły lata.

II

Aleksaszka biegł o zmroku ulicą między parkanami. W sercu rżnęło, pot zalewał oczy. Płomienie palącego się gdzieś w dali domu ponuro oświetlały kałuże powstałe po ulewie. O dwadzieścia kroków za nim biegł pijany Daniło Mieńszykow waląc buciskami. Tym razem trzymał w ręku nie bat, lecz zakrzywiony nóż.

— Stój! — krzyczał Daniło strasznym głosem. — Żabijel...

Aloszka dawno już został w tyle i wlał gdzieś na drzewo.

Przeszło rok Aleksaszka nie widział ojca i spotkał go oto przy rozbitym i podpalonym szynku. Daniło od razu popędził za synem. Cały ten czas Aleksaszka z Aloszką spędzili o głodzie, ale wesoło. Na przedmieściach znano chłopców dobrze i życzliwie przyjmowano ich na nocleg. Latem włączyli się koło Moskwy po lasach i rzeczkach. Łapali śpiewające ptaki, sprzedawali je kupcom. Kradli

w ogrodach owoce i jarzyny. Stale myśleli

0 pojmaniu niedźwiedzia i nauczeniu go figłów, ale niedźwiedzia nie tak łatwo złapać. Łowili ryby.

Pewnego razu zapuściwszy wędkę w cichą

1 przezroczystą wodę Jauzy, co wypływała z puszczy Łosiowej Kępy, ujrzeli na drugiej stronie rzeki chłopca, który siedział z brodą wspartą na rękach. Był ślicznie ubrany — miał białe pończochy i zielony, nierosyjski kaftan z czerwonymi wyłogami i jasnymi guzikami. W pobliżu, na pagórku, spośród lip i jabłoniowego sadu wyłaniały się grzebieniaste dachy pałacu Preobrażeńskiego. Niedługo był on widoczny i przeglądał się w rzece, strojny, barwny, obecnie obrósł listowiem, stojąc w zaniechaniu.

Koło bramy i na łące biegały kobiety wołając kogoś — pewno szukały chłopca. Ale on siedział gniewnie między łopuchami, udając, że nie słyszy. Aleksaszka splunęła na robaka i krzyknęła przez rzekę:

— Hej, ryby nam straszysz! Uważaj, bo jak portki zdejmiesz, przepłyniesz — damy ci,,

Chłopiec jeno prychnął, Aleksaszka znowu:

— Ktoś ty, czyj? Chłopcze...

— A ja każę ci głowę uciąć — odezwał się chłopak głuchym głosem — wtedy będziesz wiedział...

W tej chwili Aloszka szepnęła Aleksaszce:

— Co ty, przecie to car! — i rzucił wędki- sko, by uciec bez pamięci.

W niebieskich oczach Aleksaszki błysnęła swawola.

— Poczekać, zdążymy uciec. — Zarzucił wędkę, zaczął patrzeć na chłopca śmiejąc się: — Strasznie się cię przelękli, znalazł się taki, co zetnie głowę... A czemu to siedzisz? Szukają cię...

— Siedzę, chowam się przed babami.

— Patrzę, czyś ty czasem nie nasz car, co?

Chłopiec odpowiedział nie od razu, widocznie dziwił się, że rozmawiają z nim tak śmiało.

— No — car. A co tobie do tego?

— Jak to co... A mógłbyś wziąć i przynieść nam słodkich pierników. (Piotr wpatrywał się w Aleksaszkę uparcie, bez uśmiechu.) Dalibóg, poleć i przynieś. Jak przyniesiesz, to ci pokażę sztukę. — Aleksaszka zdjęła czapkę i wyjął igłę zza podszewki. — Patrz — igła, prawda?... Chcesz, przeprowadzę przez policzek igłę z nitką i nic nie będzie...

— Kłamiesz? — zapytał Piotr.

— Mogę się przeżegnać. A jak chcesz, mogę się przeżegnać nogą. — Aleksaszka szybko usiadł, chwycił bosą nogę i przeżegnał się nią. Piotr zdziwił się jeszcze bardziej.

— Car będzie ci jeszcze chodził po pierniki... — ofuknął gniewnie. — A za pieniądze igłę przeciągniesz?

— Za srebrny pieniądz trzy razy przeciągnę i nic nie będzie...

— Kłamiesz? — Piotr zaczął mrugać z ciekawości. Podniósł się, popatrzył spoza łopu-

chów w stronę pałacu, gdzie ciągle jeszcze krzątały się, wołały i szukały go jakieś kobiety, i pobiegł brzegiem do kładki.

Gdy doszedł do końca kładki, dzieliły go trzy kroki od Aleksaszki. Nad rzeczką trzepotały się niebieskie ważki. W wodzie odbijały się obłoki i rozłupana przez piorun wierzba płacząca. Stojąc pod wierzbą Aleksaszka pokazał Piotrowi sztukę: trzy razy przeciągnął przez policzek igłę z czarną nitką i nic nie było, ani kropli krwi, tylko trzy brudne plamki na policzku. Piotr patrzył sowymi oczami.

— Daj no igłę — rzekł niecierpliwie.

— Co ty, a pieniądze?

— Na...

Aleksaszka chwycił w locie rzuconego rubla. Piotr wziął od niego igłę i zaczął przeciągać ją przez policzek. Przeciągnął i roześmiał się potrząsając kędzierzawą głową:

— Nie gorzej od ciebie, nie gorzej od ciebie!

Zapomniawszy o chłopcach pobiegł do pałacu — pewnie uczyć bojarów przeciągania igły-

Rubel był nowy: na jednej stronie — dwugłowy orzeł, na drugiej — regentka Zofia. Aleksaszka z Aloszką póki życia tyle nie zarobili. Od tego czasu zwykli chodzić na brzeg Jauzy, ale Piotra widywali tylko z daleka. To jeździł na kucu, a za nim grubi wychowawcy, to maszerował z bębmem na czele chłopców ubranych w niemieckie kaftany,

z drewnianymi muszkietami, i znowu ci sami nauczyciele kręcili się wokół, machając rękami.

— Głupstwami się zajmuje — mówił Aleksaszka siedząc pod wierzbą.

W końcu-lata udało mu się przecie kupić od Cyganów za pół rubla chudego niedźwiadka, który miał garb jak świnia. Aloszka prowadził go na kółku; Aleksaszka śpiewał, tańczył, walczył z niedźwiedziem. Ale nastąpiła jesień, na ulicach i placach moskiewskich błoto po kolana, nie ma gdzie tańczyć. Do izby ze zwierzem nie puszczają. A niedźwiedź żarł strasznie dużo — wszystko przejadał, a w dodatku chciał się uwalić na zimowy sen. Trzeba go było sprzedać ze stratą. Zimą Aloszka ubrany w najniebezpieczniejsze odzienie chodził po prośbie. Aleksaszka, goły do pasa, trząsał się na mrozie przed cerkwiami udając paralityka, pomieszkańca i niemowę — na litość sporo pieniędzy wyciągnął. Nie ma co narzekać, zimę przeżyli nieźle.

I znowu przeszła ziemia, zazieleniły się gaje, ptaki zaczęły śpiewać. Roboty po uszy: o świtanu łowili ryby w zamglonej rzece, w ciągu dnia włóczyli się po bazarach, wieczorem zastawiali sidła. Znajomi mówili często Aleksaszce: — Pamiętaj, ojciec szuka cię już od dawna po Moskwie, grozi, że zabije. — Aleksaszka spluwał tylko przez zęby na trzy sążnie. Wpadł nagle, niespodziewanie.

Aleksaszka przebiegł całą Starą Basman-

W tym czasie z zaułka na Razgulał, gdzie był znany szynk, jechała kołysząc się duża karetka. Dwa konie, zaprzężone w szydło, biegły dobrym klusem. Na przednim jechał wierzchem Niemiec w pończochach i kapeluszu z szerokim rondem. Aleksaszka natychmiast dała susa ku tylnym kołom, uwiesił się na osi i wdrapał na tył karety. Ujrawszy to Daniło ryknął: — Stój!... — Ale Niemiec ściągnął go na odlew batem i Daniło dławiąc się przekleństwami upadł w błoto. Karetka przejechała.

Aleksaszka sapała na tyle karety — należało odjechać jak najdalej od tego miejsca. Za Bramą Pokrowską karetka skręciła do wysokiego częstokołu. Z bramy wyszedł cudzoziemiec i zapytał o coś. Z karety wysunęła się głowa niby popia, z długimi kędziorami, ale twarz — ogolona. — Franz Lefort — odpowiedziała głowa. Brama się otworzyła i Aleksaszka znalazł się na Kukuju, przedmieściu niemieckim. Koła chrzęściły po piasku. Miłe światło padające z okien niewielkich domów oświetlało niziutkie ogrodzenia, strzyżone drzewa, szklane kule stojące na słupach między drózkami. W ogrodach przed domami bieleły się i cudnie pachniały kwiaty — nogi zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Nie oglądał się już: coraz bliżej za plecami grzmiały buciska, słyszał świst oddechu ojca. No — koniec!

— Ratu-u-u! — wrzasnął piskliwie Aleksaszka...
ty. Tu i ówdzie, na ławkach i na gankach siedzieli Niemcy w szlafmycach szydełkowych i trzymali długie fajki. „Matko święta, a to ci ludzie czysto żyją” — pomyślał Aleksaszka kręcąc głową z tyłu karety. W oczach zamigotały światełka. Przejechali koło kwadratowego stawu; na brzegach jego stały okrągłe drzewa w zielonych stągwiach, a między nimi paliły się lampki oświetlając kilka łódek, gdzie, podwinąwszy spódnicę, żeby się nie mięły, siedziały niewiasty z obnażonymi do łokci rękami, z odsłoniętą piersią, z piórami na kapeluszach — śmiejąc się i śpiewając. To znowu, pod wiatrakami, koło oświetlonych drzwi austerii, czyli po naszymu karczmy, tańczyli, złączeni w pary — dziewczuchy z chłopami.

Wszędzie muszkietrzy — w Kremlu surowi i milczący, tu — chodzili pod rękę, w rozpiętych kaftanach, bez broni, śpiewali piosenki, śmiali się bez złości, przyjaźnie. Wszystko tu było spokojne, życzliwe, jakby wcale nie na ziemi, chciało się oczy przetrzeć...

Nagle wjechali na szerokie podwórze, na środku którego z okrągłej sadzawki biła woda. W głębi widać było dom pomalowany na kolor ceglasty, z przystawionymi białymi słupami. Karetka się zatrzymała. Człowiek z długimi włosami wyszedł z niej i zobaczył Aleksaszkę, który już zdążył zeskoczyć.
— Ktoś ty, po co, skąd tu? — zapytywał człowiek, śmiesznie wymawiając słowa. — Ja ciebie zapytuję, chłopak. Ty złodziej?

— To niby ja — złodziej? Tedy bij mnie na śmierć, jeśli złodziej. — Aleksaszka pa- trzył wesoło w ogoloną twarz z zadartym nosem i małymi, śmiejącymi się ustami. — Widziałeś, jak na Razgulażu ojciec biegł za mną z nożem?

— Al Tak, widziałem... Śmiałem się: wielki za małym...

— Ojciec i tak mnie zarznie... Proszę weźcie mnie, panie, do służby...

— Do służby? A co ty umiesz robić?

— Wszystko umiem. Pierwsze — śpiewać piosenki, jakie tylko chcesz... Gram na dudach, na różkach, na łyżkach. Błaznować umiem — ile razy ludzie pękali, jak ich rozśmieszyłem. — Tańczyć —■ zacznę o świcie, zakończę o zmroku i nie zgrzeję się... Co mi powiesz, to zrobię.

Franz Lefort wziął Aleksaszkę pod ostry podbródek. Chłopak widocznie podobał mu się.

— O, ty ładny chłopak... Weźmiesz mydło i wymyjesz się, bo jesteś brudny... I wtedy ja tobie dam ubranie... Ty będziesz służyć... Ale jeżeli będziesz kraść...

— Tym się nie trudnimy, czy to rozumu nie mamy, czy co? — powiedział Aleksaszka z taką pewnością siebie, że Franciszek Lefort uwierzył. Krzyknąwszy coś o Aleksasz- ce konluchowi, ruszył do domu poświstując, wykręcając stopy i jakby podskakując, pewno dlatego, że niedaleko na sadzawce grało muzyka i Niemki popiskiwały zaczepnie.

III

— Wystarczy chyba, Nikito Mojsiejewl- czu, żeby dziecka główka nie rozboleła...

Zanim Natalia Kiriłłowna skończyła, car przerwał czytanie „Apostoła” * na pólślowie, szybko przeżegnał się palcami powalanymi atramentem i nie czekając, aż nauczyciel i opiekun Nikita Mojsiejewlcz Zotow złoży mu etykietalny ukłon do stóp. pocałował matczyną rękę trzepocącą się bezradnie, by chwycić, by utrzymać syna na minutkę — i pobiegł niecierpliwie po skrzypiących deskach sieni i schodów, strasząc stare rezy- dentki w ciemnych zakątkach pałacu Preobra- żeńskiego.

— Czapkę, czapkę, główkę przypieczę! — zawołała z cicha carowa.

Nikita Zotow stał przed nią zbożnie i prosto jak w cerkwi — uczesany, czysty, w miękkich bucikach, w ciemnej ferezji z cienkiego sukna, kołnierz z tyłu sterczał mu ponad głową. Jego stateczne oblicze, z miękkimi wargami i kędzierzawa głowa były odrzucone w tył z czcią niezmierną. Człek zbożny, co tu gadać. Powiedźcie, mu: — Nikito, rzuć się na nóż — rzuci się. Wierniejszy niżli pies, ale zbyt jasny, lekki duchem. Innego wychowawcy trza by narowistemu chłopakowi.

— Nikito Mojsiejewiczu, czytaj z nim więcej świętych ksiąg. Bo on, doprawdy, mało

podobny do cara... Przecież nie zdążymy się obejrzyć — a trzeba go będzie żenić. Do tego czasu nie nauczył się stopami porządnie kroczyć — wciąż biega jak prostak. No, patrz, oto...

Wyglądając przez okno carowa słabo pla- słała dłońmi. Piotr biegał po dziedzińcu potykając się z pośpiechu. Za nim — długie parobczaki z dworskiej służby, z muszkietami i toporkami na długich trzonkach. Na wale usypanym z ziemi — twierdza do zabaw cara, zbudowana przed pałacem — za częstokołem stali chłopci w szerokich kapeluszach niemieckich, spędzeni tu ze wsi. Kazano im również trzymać w gębach fajki z tytoniem. Patrząc z przestrachem na biegającego w podskokach cara zapomnieli, jak się należy bawić. Piotr krzyknął gniewnie, kogucim głosem. Natalia Kiriłłowna wzdrygnęła się dojrawszy wściekle zaokrąglone oczy Piotrusia. Wgramolił się na twierdzę i ze złością uderzył kilka razy muszkietem jednego ze swych chłopów, który wsuwał głowę w ramiona.

— Zrobić nie tak, jak kazał — zabije — przemówiła Natalia Kiriłłowna. — W kogo on się wrodził z taką gorączką? . Gra zaczęła się na nowo. Ustawiając w szereg niezgrabiaszów z toporkami, Piotr rozgniewał się znowu, że go źle rozumieją. To było nieszczęście: gorączkując się zaczynał mówić niewyraźnie i krztusił się popędliwo-
ścią, jakby chciał powiedzieć dużo więcej, niż miał słów na języku.

— Dlaczego to główka mu się tak trzęsie? — rzekła Natalia Kiriłłowna patrząc ze strachem na syna. I nagle zatkała uszy. Chłopi z twierdzy wytoczyli działo z dębowego drzewa, które z rozkazu carowej nabijano jak najslabiej: gotowaną rzepą, jabłkami — i wystrzelili. I zaraz porzuciwszy broń podnieśli ręce na znak, że się poddają.

— Nie można się poddawać! Powinniście się bić! — krzyczał Piotr miotając się i trzęsąc głową. — Od początku! Wszystko od początku...

— Nikito Mojsiejewczu, zamknij jeno okno, bardzo hałasują, głowa mnie rozboleła — powiedziała carowa.

Zamknięto kolorowe okienko. Natalia Kiriłłowna skłoniła głowę i lekko poruszała palcami przebierając ateńskie paciorki, muszelki święte. Nuda. Cierpienia i łzy znacznie postarzyły Natalię Kiriłłownę w ostatnich latach, z dawnej urody pozostały tylko brwi i ogniste niegdyś, ciemne oczy. Stale chodziła czarno ubrana i okryta czarną chustą. Tak samo żyła niegdyś carowa Maria Naga ja w Ugliczu z nieszczęsnym Dymitrem... Żeby się tylko nie powtórzyło tamto nieszczęście... Regentka Zofia widzi na jawie swój ślub z Go- licynem i tron. Koronę już zamówiła dla siebie u niemieckich mistrzów.

W pałacu Breobrażeńskim pusto, tylko cze-

• i t

i i

102

103

ładź biega na palcach, a w ciemnych zakątkach szepczą staruszki — mamki i niańki. Car, chociaż młodziutki, zapachu starczego nie znosi: widząc którąkolwiek niańkę, gdy zakapana woskiem lezie pod ścianą, jak nie ryknie — staruszka z przestachu ledwie do- pełźnie do kąta.

Bojarzy w Preobrażeńskim nie bywają — ani honoru, ani dochodu tutaj nie znajdują. Wszyscy skupiają się w Kremlu, bliżej słońca. Żeby nie było już całkiem obraźliwie, Zofia wyznaczyła na dwór cara Piotra czterech bojarów: księcia Michajłę Alegukowicza Czer- kaskiego, księcia Łykowa, księcia Trojekuro- wa i księcia Borysa Aleksiejewicza Golicyna. A jakąż z tego pociecha? Zejdą leniwo z koni u podjazdu, ucałują rączkę carowej, usiądą i milczą, wzdychają. Niewiele jest do mówienia z carową w niełasce. Piotr wbiega do świetlicy — bojarzy, złożony ukłon carowi bez tronu, pytają o pańskie zdrowie i znowu wzdychają, kiwają głowami: car robi się zbyt rączy — patrzcie, zadrapanie na policzku, ręce w strupach. Nie uchodzi.

— Nikito Mojsiejewiczu, w Mytiszczach, mówiono mi, jest baba, Worobicha, wróży na kwasowym gąszczu, pono trafnie, wszystko się sprawdza — przemówiła carowa. — Może by posłać po nią? Jenó się znowu boję... Przepowie jeszcze co złego...

— Ależ, matuchno, monarchini, cóż złego powiedzieć wam może podła baba Worobicha? — odpowiedział Zotow. śpiewnie, przy-

104

1

jemnym głosem. — W takim razie byłoby mało rozerwać Worobichę na kawałki.

Natalia Kiriłowna kiwnęła paluszką. Zo- , tow podbiegł cichutko w miękkich bucikach.

— Mojsiejewiczu... Onegdaj wdowa po strzelcu przyniosła do kuchni przetak jagód i opowiada — Zofia niedawno krzyczała w pałacu, wszyscy słyszeli: „Szkoda — mówi — że strzelcy wtedy nie zadusili wilczka z wilczycą...”

Wargi Natalii Kiriłowny zatrzęsły się, zadrzał podwójny podbródek ujęty w czarńą chustę, wielkie oczy spływały łzami.

Co jej odpowiedzieć? Jak pocieszyć? Zofia ma strzeleckie pułki, Zofia ma za sobą całe pospolite ruszenie szlachty, a Piotr — trzydziestu „uciesznych” durniów, wyrostków do zabawy, i drewnianą armatę nabitą rzepą. Nikita Zotow rozłożył ręce i odrzucił głowę w tył, aż wsparła się o twarde kołnierze.

— Poślij po Worobichę — wyszeptala carowa — niech już powie prawdę, bo tak — to jeszcze straszniej...

Długi, nudny dzień letni. Białe obłoki pływają i nie płyną nad Jauzą. Gorąco. Muchy. W mglistej od upału dali widać niezliczone kopuły Moskwy, szczyty wież w twierdzy. Bliżej — strzałka niemieckiej kirchy i wiatraki na Kukuju. Gdakanie kur przyprawia o senność. W kuchni stukają nożami.

Za Aleksego Michajłowicza w Preobrażeńskim panował śmiech i gwar, tłumy ludzi,

z nabożeństwem jeszcze raz, zawiązał rękaw i siadł do pisania: „My, z Bożej łaski Najjaśniejszy Wielki Monarcha, Car i Wielki Książę Piotr Aleksiejewicz, całej Wielkiej i Małej, i Białej Rusi samowładca...”

Carowa wzięła z nudy zeszyt Piotrusia do przejrzania. Arytmetyka. Kajet zawalany atramentem, pismo zygzakowate, nieczytelne: „Przykład adycyi. Długu dużo, a pieniędzy mam mniej od tego długu i trzeba wyliczyć, czy dużo jeszcze do zapłacenia. I to robi się tak: dług wyżej, a pod nim pieniądze, i odejmuję każdą dolną cyfrę od górnej. Na przykład: jeden od dwóch — zostaje jeden. I napisać dwa na górze, a pod nim jedynekę, a pod jedyneką postaw kreskę, pod kreską liczbę otrzymaną, czyli wyliczenie”.

Carowa ziewnęła — ni to się jeść chce, ni to jeszcze czegoś...

— Nikito Mojsiejewiczu, zapomniałam — jużesmy po podwieczorku czy nie?

— Carowo, Natalio Kiriłowno, matuchno — Zotow odłożywszy pisanie wstał i złożył ukłon. — Po obiedzie raczyliście spocząć, potem był podwieczorek — podawano jagody ze śmietaną, garus i miód klasztorny.

— I to... Niedługo wieczorne nabożeństwo...

Carowa podniosła się leniwie i poszła do sypialni. Tam przy świetle lampek (okna były zasłonięte) pod ścianą na skrzyniach siedziały gniewliwe starszki-rezydentki, wspominając sobie szeptem wzajemne urazy. Bez-

rzenie koni. Zawsze uciecha jakowaś, polowanie albo oblawa na niedźwiedzie, wyścigi konne. A teraz, patrzcie, nawet droga do wrót kamiennych zarosła trawą. Życie minęło. Siedź i przesuwaj różaniec.

Rzucono czymś w szybę. Zotow otworzył okno. Wzywał go Piotr stojąc pod lipą — zakurzony, zawalany ziemią, zgrzany jak parob- czak.

— Nikito, pisz ukaz. Chłopi moi są do niczego. Jako że starzy, głupi... Prędzaj.

— O czym ukaz każe mi napisać wasza carska mość? — zapytał Nikita.

— Potrzeba mi ze stu chłopów dobrych, młodych... Prędzaj...

— A czy napisać, do czego chłopci ci będą potrzebni?

— Do wojskowej zabawy. Niech przyślą muszkietów nie połamanych i prochu do nich. I dwie żelazne armaty do strzelania. Prędzaj, prędzaj. Ja podpiszę, pošlemy umyślnego.

Carowa odgięła gałąź lipy, wychyliła się z okna.

. — Piotrusiu, moje słoneczko, przestałbyś na chwilę wojować, odpocznij, posiedź przy mnie...

— Mamuniu, nie ma czasu, potem, mamu- niu...

Pobiegł. Carowa odprowadziła syna przeciągłym westchnieniem. Zotow uczyniwszy znak krzyża świętego wyjął z kieszeni gęsie pióro, nożyk, starannie zatemperował pióro, spróbował na paznokciu. Przeżegnał się

kostne, niby z samych szmat zrobione, wstały wszystkie razem i złożyły ukłon carowej. Ona siadła pod obrazem na weneckim krześle z wysokim oparciem. Spoza łóżka wypełzła karlica z zaropiałymi oczami, chlipiąc jak dziecko przykucnęła u stóp carowej, stare dwórki ją skrzywdziły.

— Opowiadajcie sny, głupie baby, czy co — rzekła Natalia Kiryłowna. — Jednoroga żadna nie widziała?

Na zakończenie dnia uderzył wolno dzwon z czubka pałacowej cerkwi. W sieni na schodach zjawili się synowie bojarscy z biedniejszych rodów, przecierając opuchnięte oczy — byli to dworzanie przydzieleni przez Zofię do dworu Piotra. Był tu i Wasilij Wołkow — ojciec zbił sobie czoło o progi, zdobył dla syna honory. Życie było dobre, lekkie, pensji — sześćdziesiąt rubli rocznie. Ale nudy. Dworzanie spali po całych dniach. Dzwon wzywał na nabożeństwo wieczorne. Cara nie było nigdzie. Dworzanie rozeszli się szukać go na podwórzu, w ogrodach, na łąkach i przy rzeczce. Na pomoc wysłała im carowa ze dwadzieścia mamek z co mocniej- j szymi głosami. Obwołali, obszukali całą okolicę — cara nie ma nigdzie. Boże, czy aby nie utonął? Senność dworzan jakby ręką odjął. Skakali na nie osiodłane konie, rozsypali się po ciemniejących już polach krzycząc, przywołując. W pałacu powstał popłoch. Sta- ruszeczeki z pośpiechem zaczęły szeptać po katach: — Na pewno to sprawa iei rąk —

Zofki... Niedawno jakiś człowiek chodził wokół pałacu. Nóż widziano u niego za cholewą. Zarznęli, zarznęli pana naszego i dobrodzieja! — Owe złowieszcze szepty doprowadzały Natalię Kiryłownę do szaleństwa. Wybiegła na ganek. Od ciemnych pól napływały mgły, w wilgotnych dolinach derkały derkacze. W dali nad czarnym Borem Sokołniczym zjawiała się zamglona gwiazda wieczorna. Serce Natalii Kiryłowny przeszył smutek i załamawszy ręce wykrzyknęła:

— Piotrusiu, synu mój!

Wasilij Wołkow, pędząc konno wzdłuż rzeki, wpadł na rybackie ognisko — rybacy zerwali się ze strachem, garnek z jazgarzami przewrócił się w ogień, zdyszany Wołkow zapytał:

— Chłopcy, caraście nie widzieli?

— Czy to nie on niedawno przepływał łódką? Zdaje się, jechali prosto na Kukuj. U Niemców go szukajcie.

Brama osady nie była jeszcze zamknięta. Wołkow pomknął ulicą tam, gdzie gromadzili się Niemcy. Z siodła dostrzegł cara i obok niego człowieka z długimi włosami, średniego wzrostu, z połami krótkiego kaftana rozcapierzonymi jak u indyka. W jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej laskę i śmiejąc się swobodnie, psubrat, rozmawiał z carem. Piotr słuchał, gryzł paznokcie. I wszyscy Niemcy stali naokoło z bezwstydną swobodą. Wołkow zeskoczył z konia, przecisnął się do cara i ukląkł.

— Miłościwy panie, carowa maiuchna raczy niemal umierać z obawy o was: już Bóg wie co myślała. Racztwie iść do domu, na nabożeństwo.

Piotr niecierpliwie szarpnął głową w bok — i przez ramię:

— Nie chcę. Wyoń się stąd. — A że Wołkow w dalszym ciągu klęcząc nabożnie patrzył na niego, car poczerwieniał wściekle, kopnął go nogą w bok. — Precz stąd, rabiel... f Wołkow nisko się uklonił i nie patrząc na śmiejących się Niemców, chmurny, wolnym kłusem pojechał z raportem do carowej. Dobroduszny Niemiec z podwójnym różowym podbródkiem, w kamizelce, w kołpaku, w haftowanych pantoflach — winiarz Johann Mons, który wyszedł z austerii, aby zobaczyć młodego cara — wyjął z ust porcelanową fajkę.

— Jego carskiej mości u nas przyjemniej niż w domu, u nas weselej...

Niemcy stojący dookoła powyjmowali z ust fajki i kiwając głowami potwierdzili z dobrodusznymi uśmiechami:

— O tak, u nas weselej...

I przysunęli się bliżej, posłuchać, co mówił strojny człowiek we wspaniale ufryzowanej peruce — Franz Lefort, do długiego cara z długą, dziecięcą szyją. Piotr spotkał go nad Jauzą: płynęli w ciężkim barkasie, czeladź niewprawnie wiosłowała, postukiwały dulki. Piotr siedział na dziobie, podwinąwszy nogi. Oświetlone zachodem słońca, wolno zbliżały się dachy kryte dachówką, ostre

110

szpice, szczyty strzyżonych drzew, wiatraki i gołębniki. Z Kukuju dolatywała dziwna muzyka. Jakby na jawie widać było miasto zza siedmiu gór, zza siedmiu rzek, o którym mruczały Piotrusiowi niańki jeszcze w kołysce.

Na brzegu, na kupie śmieci, pojawił się człowiek w aksamitnym kaftanie rozcapierzonym z boków, przy szpadzie, w czarnym kapeluszu z podwiniętymi z trzech stron brzegami — kapitan *Franz Lefort. Piotr widział go na Kremlu, kiedy przyjmowano posłów zagranicznych. Odsunąwszy w bok lewą rękę, z laską, zdjął kapelusz, cofnął się o krok i złożył ukłon — trefione kosmyki ciemnokasza- nowatej peruki zasłoniły mu oczy. Równie dziarsko się wyprostował i uśmiechając się koniuszkami warg, przemówił łamanym rosyjskim językiem:

— Do usług waszej carskiej mości...

Piotr patrzył na niego, wyciągnąwszy szyję, jak na cudo — człowiek to obrotny, wesoły, do nikogo niepodobny. Lefort mówił potrząsając lokami:

— Mogę pokazać młyn wodny, który miele tabakę, proso na jagły, pędzi tkacki warsztat i pompuje wodę do wielkiej kadzi. Mogę również pokazać koło młyńskie, w którym biega pies i nim kręci. W domu winiarza Monsa jest szkatułka muzyczna z dwunastu kawalerami i damami na daszku i dwoma ptakami, zupełnie podobnymi do rzeczywistych, ale wielkości paznokcia. Ptaki śpiewają jak słowiki, trzęsą skrzydłami i ogonami, a wszyst-

111

ko to polega na dowcipnych prawach mechaniki. Pokażę lunetę, przez którą patrzą na księżyc i widzą za nim morza i góry. U aptekarza można popatrzeć na dzieciątko płci żeńskiej żyjące w spirytusie — twarz w poprzek półtorej piędzi, ciało pokryte sierścią, na rękach i nogach po dwa palce.

Oczy Piotra coraz bardziej zaokrąślały się z ciekawości. Ale milczał zacisnąwszy maleńkie usta. Nie wiadomo czemu zdawało mu się, że jeśli wyjdzie na brzeg — długi, z długimi rękoma — Lefort będzie się z niego śmiał. Sapał gniewliwie ze skrępowania i nie decydował się wyjść, chociaż łódka uderzyła już o brzeg. Wtedy Lefort zbiegł ku wodzie — wesoły, piękny, dobroduszny — chwycił podrapaną, z ogryzionymi paznokciami rękę Piotra i przycisnął ją do serca.

— O, nasi kukujanie będą serdecznie uszczęśliwieni, gdy zobaczą najjaśniejszego pana. Pokażą oni bardzo zabawne kunsztyki.

Lefort był zręczny i przebiegły. Piotr się nawet nie spostrzegł, gdy już, machając rękoma, kroczył obok niego do bramy osady. • Tu ich otoczyli syci, rumiani, poczciwi kukujanie, a każdy chciał pokazać swój dom, swój młyn, gdzie w kole biegał pies, swój ogród ze ścieżkami wysypanymi piaskiem, ostrzyżonymi krzewami, gdzie nie było ani jednego chwastu. Pokazano wszystkie te zmyślne kunsztyki, o których mówił Lefort.

Piotr dziwił się i ciągle zapytywał: — A to po co? A to do czego? A to jak zbudowa no? Kukujanie kiwali głowami i mówili aprobowo: — O, młody Piotr Aleksiejewicz chce wszystko wiedzieć, to bardzo dobrze. — W końcu podeszli do kwadratowego stawu. Było już ciemno. Na wodę padało światło z otwartych drzwi austerii. Piotr zobaczył małą łódkę z małym żaglem, opuszczonym dla braku wiatru. W łódce siedziała młoda dziewczyna w białej sukni, wspaniała jak róża. Włosy jej były upięte i przystrojone kwiatami, w obnażonych rękach trzymała lutnię. Piotr był ogromnie zdziwiony — zrobiło mu się nawet czegoś strasznie. Zwróciwszy ku niemu liczko, cudne o zmroku, dziewczyna zagrała na strunach i zaśpiewała cieniutkim głosem po niemiecku coś tak rzewnego i przyjemnego, że wszystkich polechtało w nosach. Między zielonymi kulami i stożkami strzyżonych drzew słodko pachniały białe kwiaty tytoniu. Piotrowi z niezrozumiałego wrażenia zaczęło dziko bić serce. Lefort mu powiedział:

— Ona śpiewa na waszą cześć. To bardzo ładna dziewczyna, córka zamożnego winiarza Johanna Monsa.

Sam Johann Mons, z fajką, wesoło podniósł rękę i pokiwał dłonią do Piotra. Uwodzicielski głos Leforta brzmiał:

— Zaraz w austerii zbiorą się dziewczyny, będą tańce i fajerwerk, czyli zabawa ogniasta...

W ciemnej ulicy wściekle zatętniły kopyta końskie. Tłum carskich dworzan przycisnął

się do cara z surowym rozkazem carowej —• powrotu do domu. Tym razem trzeba się było poddać.

IV

Cudzoziemcy bywający na Kremlu mówili ze zdziwieniem, że w przeciwieństwie do Paryża, Wiednia, Londynu, Warszawy albo Sztokholmu — carski dwór podobny jest najbardziej do kantoru kupieckiego. Nie ma galanterii, uciech, balów, gry, nie ma subtelnych rozkoszy muzyki. Bojarzy w szubach krytych złotogłowiem, wyniosli książęta, znamienici wojewodowie o niczym innym nie mówili w niskich i dusznych pokojach Kremla, jeno o handlu konopiami, potażem, tranem, zbożem, skórami... Łajali się i spierali

0 cenę. Wzdychali, że oto ziemia bogata

1 wszystkiego dużo, a handel marny, majątki bojarów wielkie, a sprzedawać nie ma co. Na Morzu Czarnym — Tatarzy, do Bałtyku — nie przebijesz się, Chiny daleko, na północy wszystko mają w swych rękach Anglicy. Trza by zdobywać morza, ale nie ma siły.

A w dodatku rosyjscy ludzie byli nieruchawi. Żyli jak niedźwiedzie za mocnymi bramami, za niedostępnymi parkanami swych siedzib w Moskwie. Codziennie słuchali trzech nabożeństw. Jedli obficie cztery razy dziennie i spali jeszcze w ciągu dnia dla przy- stojności i zdrowia. Wolnego czasu zostawało niewiele — bojarowi na jazdę do dworu, ocze-

114

kiwanie, kiedy car zażąda od niego służby, kupcowi na wysiadanie przy drzwiach

^ sklepu, zapraszanie przechodniów, pisarzowi w urzędzie na załatwianie spraw.

Myśleliby i gadali, drapali się po bokach i stękali ludzie rosyjscy jeszcze długo, ale nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie — posłużyło szczęście. Król polski Jan Sobieski przysłał do Moskwy wielkie poselstwo dla omówienia przymierza przeciw Turkom, lii lacy jęli grzecznie gadać, że nie można dopuścić, by poganie Turcy męczyli chrześcijan, i że nie przystoi, by prawosławna Rosja pozostawała w pokoju z tureckim sułtanem i chanem krymskim. W Moskwie od razu zrozumiano, że Polakom ciężko i że nastąpiła sposobna pora do targów. Tak też było: Polska w przymierzu z austriackim cesarzem z trudnością broniła się przeciwko Turkom, z północy zagrażali jej Szwedzi. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci niszczycielską wojnę trzydziestoletnią, która nadwerżyła cesarstwo austriackie, wyludniła Niemcy —| Polska omal nie została prowincją szwedzką. Gospodarzami mórz byli Francuzi, Holendrzy i Turcy, a Szwedzi — na całym wybrzeżu bałtyckim. Jasne, było, do czego dążyli Polacy: bronić rosyjskim wojskiem ukraińskich południowych stepów przed sułtanem tureckim.

Carskich wielkich pieczęci i państwowych poselskich spraw strażnik i namiestnik nowogrodzki, książę Wasilij Wasiliewicz Goli-
HhSMBbEEI

cyn, zażądał od Polaków zwrotu Kijowa. — Zwróćcie nam prastarą carską dzierżawę Kijów z gródkami, to pošemy wojsko w roku przyszłym na Krym bić chana. — Polacy spierali się trzy i pół miesiąca: — Raczej wszystko stracimy, niż oddamy Kijów. — Rosjanie się nie śpieszyli, obstawali przy swoim, odczytali Polakom wszystkie kroniki od początku chrztu Rusi. Przeczekali i wygrali.

Jan Sobieski, pobity przez Turków w Besa- rabii, ze łzami podpisał wieczny pokój z Moskwą i zwrócił Kijów z gródkami. Sukces wielki, ale już nie było wyjścia — należało zbierać wojsko i ruszać na chana.

W pałacu Golicyna, stojącym naprzeciwko Ochotnego Riadu *, było czysto i porządnie. Gorąco błyskały mury nabijane miedzią od dachu do ziemi. Przy wejściu stali na perskich dywanikach dwaj rośli muszkietrzy — Szwajcarzy, w żelaznych hełmach i pancerzach ze skóry wołowej. Dwaj inni strzegli złoconej bramy wylotowej. Z tamtej strony tłum prostego ludu wypatrywał oczy na syte gęby Szwajcarów, na szeroki dziedziniec, brukowany kolorowymi płytami, na wspa-

niałą, obficie oszkloną karetę z czwórką bu- łanych, na lśniący miedzią dom strażnika, kochanka carówny- regentki.

Wasilij Wasiliewicz siedział podczas tego nieznośnego zaduchu w przewiewie, w pobliżu otwartego okna, i rozmawiał po łacinie z cudzoziemcem de Neuville, który przyjechał z Warszawy. Gość był w peruce i stroju francuskim, jaki od niedawna zaczęto nosić na dworze Ludwika XIV. Wasilij Wasiliewicz nie miał peruki, ale ubrany był również z francuska — w pończochach i czerwonych trzewikach, w krótkich aksamitnych spodniach ze wstążkami, na brzuchu i z boków spod aksamitnej kurtki wystawała cienka bielizna z koronkami. Brodę zgolił, ale wąsy zostawił. Przed nim na francuskim stoliku leżały zwoje i zeszyty, łacińskie książki w pergaminie, mapy i rysunki architektoniczne. Na ścianach obitych skórą złoconą wisiały persony, czyli, jak teraz mówiono, portrety książąt Golicynów, a we wspaniałych ramach weneckich — obraz orła dwugłowego trzymającego w pazurach portret Zofii. Fotele francuskie i włoskie, kryte brokatem, kwieciste dywany, kilka zegarów ściennych, broń perska, miedziany globus, termometr angielskiej roboty, trybularze i lichtarze z litego srebra, oprawy książek i sfera niebieska malowana na łukowym suficie srebrem, złotem i lazurem — odbijały się wielokrotnie w lustrach umieszczonych w ścianach i nad drzwiami.

HGość z życzliwą ciekawością patrzył na to urządzenie — na połę europejskie, na połę azjatyckie. Wasilij Wasiliewicz, bawiąc się gęsim piórem, założywszy nogę, na nogę i uśmiechając się wielkodusznie, mówił (czasem tylko zaczął się w łacińskich słowach i wymawiał je nieco z moskiewska):

— Wyjaśnię ci, panie de Neuville. Podstawą naszego państwa są dwa stany: żywi- cielski i służbowy, czyli chłopci i szlachta. Oba te stany pozostają w wielkim ubóstwie i dlatego państwo nie ma z nich żadnej korzyści, ale jeno ruinę. Byłoby wielkim szczęściem oderwać szlachtę od chłopów, bo posiadacz ziemski obecnie, myśląc tylko o swoim dochodzie, bez litości pożera poddanego chłopca i chłop z tego powodu upada, i szlachcic upada, i państwo upada, wpl Słowa wielkomyślne i mądre, panie kanclerzu —r- powiedział de Neuville. — Ale jak książkę myślisz dokonać owego trudnego zadania?

Wasilij Wasiliewicz splonął uśmiechem, wziął ze stołu zeszyt w safianie, zapisany własną ręką: „O życiu obywatelskim, czyli o naprawie rzeczy należących do powszechności narodu”.

/ — Wielka to i bardzo trudna sprawa, by cały naród wzbogacić — rzekł i jął czytać z zeszytu: — „Mnogie miliony dziesięcin leżą pustką. Ziemie te należałoby zaorać i obsiać. Bydło Rozmnożyć. Rosyjskie liche owce wyróżnić, a na ich miejsce hodować angielskie

118

o cienkim runie. Zachęcić ludzi do wszelkich rzemiosł i do górnictwa, dając im sprawiedliwą z tego korzyść. Mnogość podatków ponad siły, pańszczyzny i powinności znieść i nałożyć na wszystkich jeden pogłówny, umiarkowany podatek. To jest możliwe jeno w takim rozumieniu, jeśli się zabierze ziemię właścicielom ziemskim i osadzi na niej wolnych chłopów. Wszelką znaną niewolę poddańczą zburzyć, aby w przyszłości cały lud w żadnej niewoli u nikogo nie był, chyba — niewielka ilość dworskich chłopów”.

—Panie kanclerzu — wykrzyknął de Neu- ville — historia nie zna przykładu, żeby władca projektował takie wielkie i stanowcze płatny, (Wasilij Wasiliewicz opuścił oczy, a matowe policzki jfego poczerwieniały.) Ale czy szlachta zgodzi się oddać chłopom bez szemrania ziemię i uwolnić poddanych?

—Za ziemię obywatele ziemscy otrzymają odpłatę. Wojsko będzie werbowane wyłącznie spośród szlachty. Rekrutowanie chłopów i ludzi podłego stanu zniesiemy. Chłop niech się zajmuje swoją pracą. Szlachta zaś za służbę otrzyma nie ziemię i chłopów, lecz zwiek- ' szone pensje, które carski skarb pokryje z ogólnego ziemskiego podatku. Więcej niż dwukrotnie winien się podnieść dochód państwa.

— Zda mi się, słyszę filozofa starożytności — wyszeptał de Neuville.

— Synów szlacheckich, wyrostków, należy posyłać do Polski, Francji i Szwecji na naukę

119

sztuki wojennej. Trzeba założyć akademie i rozwinąć nauki. Sztuki będą naszą ozdobą. Zaludnimy pracowitym chłopstwem nasze pustki. Dziki lud przekształcimy na piśmienny, szałas — na murowane pałace. Tchorze przemienią się w odważnych. Ż zebraków uczynimy bogaczy. (Wasilij Wasiliewicz zerknął w okno: ulicą pędził wirujący słup kurzu, unosząc pierze i słomę.) Ulice wybrukujemy kamieniem, Moskwę wybudujemy z kamienia i cegły. Mądrość zajaśnieje nad biednym krajem...

Nie rozstając się z piórem gęsim wstał z fotela i chodząc po dywanach wiele jeszcze niezwykłych myśli wypowiedział przed gościem.

— Naród angielski sam zniszczył niesprawiedliwe porządki, lecz w nienawiści doszedł do wielkich zbrodni: podniósł rękę na pomazańca... Obawiając się takich okropności pragniemy dobra jednak dla wszystkich stanów. Jeżeli szlachta będzie przeciwstawiać się naszym poczynaniom — przełamiemy siłą jej stary upór...

Rozmowa została przerwana. Sługa w liberii, z oczyma zaokrąglonymi ze strachu, podszedł na palcach i szepnął coś księciu. Oblicze Wasilija Wasiliewicza nagle spoważniało. De Neuville, zauważywszy to, wziął kapelusz i zaczął się żegnać, cały w ukłonach, cofając się tyłem ku drzwiom. Wasilij Wasiliewicz szedł za nim również kłaniając się, przy czym gestykulował ręką zdobną

ililifii w pierścienie i koronki, wykonując ruch od serca do ziemi.

— Bardzo mi przykro, panie de Neuville, jestem w rozpacz, że tak prędko mnie opuszczasz.

Zostawszy sam przejrzał się w lustrze i szybko stukając obcasami wszedł do sypialni. Tam, na podwójnym łożu za kotarą z czerwonego jedwabiu i strusich piór, siedziała władczyni Zofia, wsparłszy skroń o wygięty słupek. Jak zawsze, podjechała tajemnie w karecie z zasłoniętymi oknami i z tylnego dziedzińca.

— Zosieńko, witam cię, światło ty moje...

Zofia nie odpowiadając podniosła chmurną twarz — patrzyła uporczywie na Wasilija Wasiliewicza zielonymi, chłopskimi oczyma. On, zdziwiony, zatrzymał się nie doszedłszy do łóżka.

— Miłościwa pani, czyżby jakie nieszczęście?...

Zimą Zofią tajemnie spędziła plód. Obfitsze teraz oblicze jej, z mocnymi mięśniami z boków ust, było pozbawione dawnego rumieńca: strapienia, rozmyślenia, niepokoje legły na nim wyrazem wzgardy. Ubierała się wspaniale, ciągle jeszcze w stroje panieńskie, ale zachowywała się jak kobieta zamężna, dojrzała, pewna siebie. Dręczyła ją konieczność ukrywania miłości do Wasilija Wasiliewicza.

Chociaż o tym wiedzieli wszyscy na dworze, aż do pomywaczek, a w ostatnich czasach na miejsce grzesznego i wstydliwego słowa „miłośnik” używano cudzoziemskiego, przyzwolonego: „galant”, jednak gorzko, niedobrze było oddawać swe niemłode już ciało ukochanemu — bez prawa, bez obrzędu i ślubu. Tej wiosny mogła być porodzić w pełni nagromadzonej siły niewieściej, w słodkiej męce. Ludzie zmusili do zniszczenia płodu... A i miłość jej do Wasilija Wasiliewicza była niespokojna, niestosowna do wieku; dobre to dla siedemnastoletniego dziewczątka — wieczna trwoga, ukrywanie się, myśli niedostępne, płomienie nocne w łożu. A niekiedy nieważnie kłębiła się w gardle — przecie to z jego powodu ta cała męka, jego był ten zniszczony płód... A on — co mu tam: otrząchnął się i sprawa skończona.

Siedząc na łóżku — szeroka, z nogami nie dostającymi do podłogi, spocona pod ciężką odzieżą, Zofia niezycielnie patrzyła na Wasilija Wasiliewicza.

— Śmiesznie się wystroiłeś — powiedziała — cóż to takiego na tobie, francuskie? Gdyby nie spodnie, wyglądałoby na babską odzież. Będą się śmiali. (Odwróciła się i stłumiła westchnienie.) Tak, ciężko, ciężko, mój drogi. Niewiele mamy radości...

Ostatnimi czasy Zofia coraz częściej przyjeżdżała do niego zachmurzona, z myślami nie dopowiedzianymi. Wasilij Wasiliewicz wiedział, że zaufane jej, dwie baby-błażnice, przez cały dzień myszkowały po zakamarkach pałacu, podsluchiwały bojarów i do poduszki opowiadały jej o wszystkim.

— Próżne gadanie, miłościwa pani — powiedział Wasilij Wasiliewicz — o czym to ludzie nie klepią, nie trap się, odrzuć.

— Odrzucić? — zastukała paznokciami po słupku łóżka, wargi rozwarły się ze złością. — A wiesz, o czym w Moskwie mówią? Jesteśmy, gadają, za słabi do rządzenia carstwem. Wielkich czynów nie widać. Oto, o czym mówią...

Wasilij Wasiliewicz palcami musnął wąsy i wzruszył ramionami. Zofia popatrzyła na niego z ukosa: „Och, śliczny, och, męka mo- ja! Tak, słaby, żyły niewieście... W koronki się wystroił...”

— Tak to, mój panie. Lubisz czytać książki i pisać lubisz, myśli oświecone — wiem sama. A wczoraj po wieczery wuj Iwan Michajłowicz mówił o tobie: „Wasilij Wasiliewicz czytał mi — powiada — o chłopach, o smerdach — dziwiłem się: czy aby książątka klepki ma w porządku”. Bojarzy się śmiali.

Wasilij Wasiliewicz zapłonął się jak dziewczyna. Błysnął lazurowymi oczami spod długich rzęs.

— Niejila ich rozumów pisanel

— Jacy są, to są — mądrzejszych sług nam nie dano, I ja cierpię: ja bym chciała tańcować, jak królowa polska tańcuje, albo z sokołem na polowanie pojechać konno, siedząc

1

MMM^MIM

boczek, w długiej spódnicy. Milczę jednak. Nic nie poradzę — powiedzą: heretyczka... ' Patriarcha i tak już rękę mi wtyka jak łopatę.

— Żyjemy niby między monstrami — wyszeptał Wasilij Wasiliewicz.

— A wiesz, co ci rzeknę, miły... Zdejm no ty te koronki, pończoszki i odziej się w opończę, weź szablę do ręki. Pokaż wielkie czyny.

— Co? Znowu mówiono o chanie?

— Wszyscy teraz mają jedno na myśli — bić Krym. Nie można koło tego przejść, miły mój. Powrócisz jako zwycięzca, wtenczas rób, co chcesz. Będziesz najmocniejszy między mocnymi.

— Zrozum, Zofio Aleksiejewno, nie możemy prowadzić wojny. Na co innego pieniędzy potrzeba.

— Co innego będzie po Krymie — przemówiła twardo Zofia. — Przygotowałam już nawet dekret: będziesz wielkim wojewodą. Będę się o ciebie modlić dniem i nocą, kolana wyklęczę, wszystkie klasztory obejdę pieszo, panie mój. Wrócisz jako zwycięzca — kto się ośmieli słowo rzec? Nie będziemy się kryli ze wstydu przed ludźmi. Wierzę, wierzę, Bóg nam dopomoże przeciwko chanowi. — Zofia zeszła z łóżka i spojrzała z dołu w Jego odwrócone oczy. — Wasia, bałam się powiedzieć... Wiesz, co Jeszcze poszeptu- ją? „W Preobrażeńskim, gadają, mocny car podраста... A carówna, powiadają, na próżno tylko wyciera plecami gronostaje.” Ulituj się nad moimi myślami. Zamyślam złe rzeczy. —

Porwała w gorące dłonie jego drżącą rękę. — Piętnasty rok mu idzie. Wielki jak wiorsto kołomeńska. Ukaz przysłał, polecający werbować do jego zabaw wojskowych wszystkich koniuchów i sokolniczych. A szable i muszkiety mają żelazne. Wasia, zbaw mnie od złego czynu. Szepczą mi do uszów, szepczą o Dymitrze, o Ugliczu... Przecie to grzech? (Wasilij Wasiliewicz wyrwał dłoń z Jej rąk. Zofia uśmiechnęła się smutnie.) Sama powiadam, że grzech nawet myśleć o takich sprawach. Tak bywało w dawnych czasach. Cała Europa dowie się o twych zwycięstwach. Wtedy nie potrzeba się obawiać, niech się chłopak bawi.

— Nie możemy prowadzić wojny I — z goryczą wykrzyknął Wasilij Wasiliewicz. — Wojska dobrego nie mamy, pieniędzy... Wielkie projekty! — ech, wszystko na próżno! Kto ma ocenić, kto zrozumie? Boże, choć trzy, żeby choć ze dwa lata bez wojny!

Machnął beznadziejnie koronkowym mankietem. Mówić, przekonywać, przeciwstawić się — wszystko to byłoby bez pożytku.

VII

Natalia Kiriłowna łajała Nikitę Zotowa: — A biegnijże ty po niego, znajdź go — skoro świt z domu wybiegł, nie przeżegnał się i nic do ust nie wziął... Nie tak łatwo było znaleźć Piotra — chyba

że gdzieś w lesie zaczyna się strzelanina, bęben warczy, to znak, że tam jest car: bawi się w wojnę. Ileż razy Nikitę brano do niewoli, przywiązywano do drzewa, żeby się nie naprzykrzał prośbami o pójście na ranne nabożeństwo lub wysłuchanie bojara przybyłego z Moskwy. Aby się Nikicie nie przykrzyło pod drzewem, Piotr nakazywał stawiać przed nim butle wódki. W ten sposób Zotow zaczął przywykać do kielicha, a nieraz sam prosił o niewolę pod brzozą. Wracając do Natalii Kiryłowny, skruszony, rozkładał ręce.

— Sił mi brak, najjaśniejsza pani, nie chce iść nasz sokół...

Piotr był skory do zabawy, mógł bawić się całą dobę, nie śpiąc i nie jedząc, w jakąkolwiek grę, byle tylko było wesoło, hałaśliwie, byle tylko grzmiały armaty, warczały bębny. Żołnierzy do gier wojennych miał trzystu, zwербowanych spośród carskich komuchów, sokolniczych, a nawet spośród młodzieży magnackiej. Maszerował z nimi po wsiach i klasztorach okolicznych. Niekiedy mnichów straszili aż do nieprzytomności: w upał południowy, kiedy nawet na brzozie listek nie drgnie, jeno pod lipami ciężko brzęczą pszczoły, a ludzi opanowuje senność, z lasu wypadają nagle z szatańskim krzykiem jacyś ludzie w zielonych kaftanach, nierosyjskiego wyglądu i — bum-ta-rach! — walą z armat drewnianymi kulami w spokojne mury klasztorne. A jeszcze większa trwoga ogarnia mnichów, gdy poznają w długim młodzianie, upapranym w błocie i uczemionym w dymie armatnim — samego cara.

Służba w tym wojsku była ciężka, niespokojna — ani zjeść, ani wyspać się. Czy deszcz, czy upał nieznośny, coś strzeli carowi do głowy — musisz iść, kat wie gdzie i po co, straszyć spokojnych ludzi. Niekiedy budzono wśród nocy: „Rozkazano obejść nieprzyjaciela. Przedostać się wpław przez rzeczkę”. Niektórzy topili się w rzeczkach nocną porą.

Za lenistwo albo za opór -r- jeżeli komu naprzykrzyło się bez sensu maszerować drogami i chciał zbiec do domu — bito kijami. W ostatnich czasach przykomenderowano do oddziału wojewodę, czyli po nowemu — generała, Artamona Gołowiną. Człek ograniczonego umysłu, ale doskonale się znał na żołnierskiej egzercycji i zaprowadził surową dyscyplinę. Przy nim Piotr, miast bezładnej zabawy, zaczął przechodzić nie na żarty szkołę wojskową w pierwszym batalionie, który nazwano Preobrażeńskim.

Franz Lefort nie przebywał z Piotrem, gdyż pełnił służbę w Kremlu, ale codziennie przyjeżdżał konno do wojska i dawał rady, jak co urządzić. Za jego pośrednictwem przyjęto niemieckiego kapitana Teodora Sommera do broni palnej i granatów. On również został mianowany generałem. Z Puskarskiego Pri- kazu dostarczono szesnaście armat i wtedy zaczęto uczyć wojsko Piotra strzelać żelaznymi bombami. Nauka była poważna: Teodor Som-

mer nie chciał brać pensji za darmo. Było to już dalekie od zabawy. Dużo padło w polach rozmaitego bydła i sporo pokaleczono ludzi.

VIII

Cudzoziemcy na Kukuju często gawędzili o młodym carze Piotrze. Zbierając się wieczorami na placyku posypanym piaskiem, wśród strzyżonych drzew, uderzali dłońmi w stolik.

— Hej, Mons, kufel piwal

Mons w dzianym kołpaku, w zielonej kamizeli, wypływał z oświetlonych drzwi austerii, niosąc po pięć glinianych kufli w każdej ręce. Nad kuflem czapka piany. Wieczór cichy i przyjemny. Na rosyjskie niebo wypływają się gwiazdy, nie takie błyszczące, co prawda, jak w Turynii, Badenii lub Wirtembergii — lecz można żyć nieźle i pod rosyjskimi gwiazdami.

— Monsl Opowiedz no nam, jak to u ciebie gościł car Piotr.

Mons przysiadł się do stołu w dobrej kompanii, macza usta w piwie sąsiada i mrugnawszy okiem zaczyna:

— Car Piotr bardzo ciekawy człowiek. On się dowiedział o interesującej szkatułce muzycznej, która stoi w mojej jadalni. Ojciec mojej żony kupił tę szkatułkę w Norymberdze...

— O tak, wszyscy znamy twą prześliczną

szkatułkę — potwierdzali słuchacze spoglądając jeden na drugiego i poruszając zwisającymi fajkami.

— Przestraszyłem się trochę, gdy pewnego razu do mej jadalni weszli Lefort i car Piotr. Nie wiedziałem, jak powinienem postąpić... W takim wypadku Rosjanie klękają. Ja nie chciałem. Ale car natychmiast zapytał mnie: „Gdzie masz szkatułkę?” Odpowiedziałem: „Oto ona, najjaśniejszy pomazańcze”. Wtedy car powiedział: „Johann, nie nazywaj mnie najjaśniejszym pomazańcem, mnie to już sprzykrzyło się w domu, ale nazywaj mnie tak, jakbym był twoim przyjacielem”. I Lefort powiedział: „O tak, Mons, wszyscy będziemy go nazywali — Herr Peter”. I we trzech długo śmialiśmy się z tego żartu. Potem wezwałem moją córkę Annchen i kazałem jej nakręcić szkatułkę. Zazwyczaj nakręcamy ją tylko raz w roku, w Wigilię, bo to bardzo kosztowna szkatułka. Annchen popatrzyła na mnie, a ja powiedziałem: „Nic, nakręcaj”. I ona ją nakręciła — kawalerowie i damy tańczyli, ptaszki śpiewały. Peter zadziwił się i powiedział: „Chcę zobaczyć, jak ona jest zbudowana”. Ja pomyślałem: „Przepadła muzyczna szkatułka”. Lecz Annchen to mądra dziewczyna. Ona się pięknie ukloniła Peterowi, a Lefort przetłumaczył na rosyjski, co Annchen powiedziała: „Najjaśniejszy panie, ja też umiem śpiewać i tańczyć, ale niestety, jeśli zechcecie spojrzeć, co jest w moim wnętrzu, dlaczego śpiewam i tańczę —

moje biedne serce na pewno przy tym się zepsuje..." Przełożywszy te słowa Lefort głośno się roześmiał i ja się głośno roześmiałem, zaś Annchen się śmiała jak srebrny dzwonek. Ale Peter się nie śmiał — poczerwieniał jak krew wołowa i patrzył na Annchen, jakby ona była maleńkim, zupełnie maleńkim ptaszkiem. I ja pomyślałem: „O, ten młodzieniec ma w środku tysiąc diabłów”, Annchen również się zaczerwieniła i uciekła ze łzami w niebieskich oczach...

Johann odsapnął i napił się znowu z kubka. Umiał on opowiadać śliczne i wzruszające historie. Przyjemny nocny wiatr poruszał kitki na kołpakach biesiadników. W oświetlonych drzwiach ukazała się Annchen, zwróciła niewinne oczy ku gwiazdom, westchnęła szczęśliwie i zniknęła. Pociągając z fajek, goście mówili, że Bóg dał Johannowi Monsowi dobrą córkę. O, taka córka sprowadzi do domu bogactwo. Brodaty i czerwony, ogromnego wzrostu kowal Harriet Kiest, Holender pochodzący z Zaandamu, powiedział:

— Widzę, że wzięwszy się mądrze do rzeczy z młodego cara można wyciągnąć dużo korzyści.

Stary Ludwik Pfeffer, zegarmistrz, odpowiedział mu:

— O nie, na to mała nadzieja. Car Piotr nie ma siły... Regentka Zofia nigdy nie odda mu władzy. Jest to kobieta okrutna i stanowcza. Zbiera ona teraz dwieście tysięcy wojska na wojnę z krymskim chanem. Gdy

130
wojsko powróci z Krymu, nie postawię na cara Piotra nawet dziesięciu fenigów.

— Niesłusznie tak myślicie, Ludwiku Pfeffer — odpowiedział mu Mons — nieraz mi już opowiadał generał Teodor von Sommer, który niedawno był sobie po prostu Sommer... (Mons otworzył usta i roześmiał się, i wszyscy śmiali się z jego żartu.) Nieraz mi mówił: „Poczekajcie, dajcie nam jeno rok, dwa czasu, a car Piotr będzie miał dwa bataliony takiego wojska, że król francuski albo sam książę Maurycy Saski nie powstydziliby się nim komenderować...” Oto, co mi powiedział Sommer.

— O, to dobrze — rzekli współbiesiadnicy i spojrzeli po sobie znacząco.

Oto, jakie rozmowy prowadzono wieczorami na zamiecionym placu przed drzwiami austerii Johanna Monsa.

W sklepionych izbach Dworskiego Urzędu gorąco, zaduch, siekierę można powiesić. Przy długich stołach pisarze — głowy pochylone, włosy spadają na oczy — skrzypią piórami. W atramencie muchy. Muchy lepią się do warg, do mokrych nosów. Diak nażarł się pierogów, siedzi na ławce, drzemie. Pisarz Iwan Waskow przynosi z kartki do księgi: if.wedle ukazu Ich Carskich Mości zrobiono niemieckie ubranie na pokoje Najjaśniejsze

mu Panu, Carowi i Wielkiemu Księżciu Piotrowi Aleksiejewiczowi, całej Wielkiej i Małej, i Białej Rusi samowładcy, a na to wzięto towarów od generała, od Franza Leforta: dwa motki złota — płacono 1 rubel 13 altynów 2 grosze, i dziewięć tuzinów guzików po 6 altynów tuzin, a do spodniego kaftana — sześć tuzinów guzików po 2 altyny 4 grosze tuzin, a jedwabiu i płótna za 10 altynów, włosy do nakładania — 3 ruble..."

Dmuchnąwszy na muchę Waskow podniósł osowiałe powieki.

— Słuchaj no, Pietrucha, jak pisać „włosy do nakładania" — dużą czy małą literą?

Pisarz siedzący naprzeciwko odrzekł po namyśle:

— Pisz małą.

— Włosów swoich nie ma czy co ten nasz młodszy car?

— Te, te, uważaj, za takie słowa...

Przechyliwszy głowę w lewą stronę, żeby

sprawniej pisać, Iwan Waskow cicho zakrzut- sił się śmiechem — wydawało mu się bardzo cudaczne, że carowi w niemieckiej slobodzie kupują od Niemek włosy i płacą za takie śmiecie trzy ruble.

— Pietrucha, gdzież on te włosy nałoży?

— To już jego carska wola, gdzie zechce, tam nałoży. A jeżeli dalej będziesz wypytywał, poskarzę się diakowi.

Muchy zmogły diaka, wydobyl jedwabną chusteczkę, powiał nią wkoło siebie, wytarł oblicze i kozią bródkę.

132

— He-ej, śpicie?... — zakrzyknął leniwo. — Czyście wy pisarze, czyście wy pomocnicy? Jeno byście się wałkonli, jeno byście za darmo pieniądze skarbowe żarli... Bojaźni nie znacie, o Bogu zapomnieliście, nicponie lada jakie... Wsypię baty całemu urzędowi — to będziecie wiedzieli) jak pracować oszczędnie. A inkaustu nie można wam nastarczyć i papier idzie jak w beczkę bez dna. A niech was jasny piorun, nasienie Herodowe...

Ospale machnąwszy chusteczką diak zdrzemnął się znowu. Nudne czasy nastały — nie ma prósb, nie ma datków. Moskwa opustoszała, strzelcy, bojarские dzieci, szlachta, bojarzy — wszyscy ruszyli na Krym. Pozostały muchy, kurz i drobne sprawy skarbowe.

— Pietrucha, warto by się kwasu napić — rzekł Waskow i obejrząwszy się na diaka przeciągnął się tak, iż znoszony kaftan pękł mu pod pachami. — Pójdę wieczorem do jednej wdowy, to dopiero popiję kwasu. — Kiwnąwszy łbem, zaczął na nowo pisać:

„Na mocy ukazu J.C.M. i W.K. Piotra Aleksiejewicza, całej W. i M. i B. R. samowładcy, polecono przysłać J.C.M. i W.K. całej W. i M. i B. R. samowładcy do wsi Kołomienki koniuchów nadwornych: Iwana Ijewlewa, Ja- kima Woronina, Siergieja Buchwostowa, Da- nię Kartina, Iwana Nagibina, Siergieja Czert- kowa i Wasilija Buchwostowa. Wspomnianych koniuchów dworskich polecono przyjąć jako konnych kanonierów do zabaw wojsko

133

wych i wyznaczyć im żołąd — pieniędzy po pięć rubli każdemu, prowiantu po pięć korcy żyta, tyleż owsa..."

— Pietrucha, to ludzie mają szczęście...

— Kto tam jeszcze rozmawia, he-ej, kundle rozpuszczone — półsennie pogroził diak.

X

Niemieckie szaty i perukę przyjął za kwitem dworzanin Wasilij Wołkow i ostrożnie poniósł do carskiej sypialni. Za ledwie świtało, a Piotr już zeskoczył z ławy, na której spał na wojłoku, przykryty kożuszką. Przede wszystkim chwycił perukę, przymierzył: za ciasna! Chciał obciąć nożycami swe ciemne włosy — Wołkow uprosił go z trudem, żeby tego zaniechał — jakoś mu się udało, naciągnął perukę, uśmiechnął się do lustra. Ręce tym razem wymył mydłem, usunął brud z paznokci, pośpiesznie włożył nowe ubranie. Zawiązał, jak go uczył Lefort, białą chustę na szyję, a na biodra, na rozcapierzony kaftan — białą jedwabną szarfę. Wołkow usługując mu podziwiał: Piotr nie miał zwyczaju tracić czasu na ubieranie się. Zgrzytał zębami przymierzając wąskie trzewiki. Wezwano służącego, tęgiego dryblasa, Stiopkę Niedźwiedzia, by rozciągnął trzewiki. Stiopka wcisnąwszy w nie swoje stopy biegał po schodach jak żrebak. O godzinie dziewiątej (wedle nowej rachuby) przyszedł Nikita Zotow —

prosić na poranne nabożeństwo. Piotr odpowiedział niecierpliwie:

— Powiedz matce, że mam sprawę państwową, niezwłoczną... Pomodłę się sam... Albo wiesz co, wracaj zaraz do mnie, tylko klusem, rozumiesz?

Nagle odrzucił głowę w tył i roześmiał się jak zawsze, niby wyrывая z siebie śmiech. Nikita zrozumiał, że carowi świta w głowie jakaś nowa sztuka, których się wiele uczył w niemieckiej kolonii. Ale podporządkował się kornie, pobiegł w swoich miękkich bucikach i zaraz powrócił wiedząc, że sobie ńa zmartwienie. Tak się też stało. Piotr rozkazał mu tocząc oczyma:

Pojedziesz jako poseł nadzwyczajny od helleńskiego boga Bachusa — powinszować, solenizantowi.

Słucham, miłościwy panie, Piotrze Alek-siejewiczu — odpowiedział solennie Zotow. Zaraz, jak mu kazano, włożył na siebie wywrócone futro zajęcze, na głowę — wiecheć, na to wieniec z miotełek łąziebnych, w ręce wziął czaszę. Aby uniknąć niepotrzebnych rozmów z matką, Piotr wyszedł z pałacu tylnym wejściem i pobiegł na dziedziniec stajenny. Tu cała służba łapała ze śmiechem cztery wielkie wieprze. Piotr rzucił się na pomoc, krzychał, szamotał się, szarpał w pośpiechu. Wieprze schwymano, nałożono na nie uprząż, wprzęgnięto do złotej, niziutkiej karocy z rzeźbionymi kołami (podarek narze-czeński nieboszczyka Aleksego Mi cha jłowi-

cza. Karocy tej Natalia Kiriłłowna kazała strzec bardziej niż oka w głowie). Diak ko- niuszni patrzył z trzęsącymi się wargami ha tę rozpustę i zniszczenie. Zotowa wpełzło do karety wśród gwizdania i śmiechu służby. Piotr siadł na koźle. Wołkow ze szpadą przy boku i w trójgraniastym kapeluszu poszedł naprzód, rzucając świniom marchew i rzepę. Koniuchy z boków prażyły je batami. Pojechano na Kukuj.

Przed bramą słobody spotkał ich tłum cudzoziemców. „Dobrze, doskonale, bardzo wesoło — krzyczeli klaszcząc w ręce — można pęknać ze śmiechu!” Piotr czerwony, z zaciśniętymi ustami, z gniewnym obliczem, siedział prężąc się na koźle. Zbiegła się cała kolonia. Trzymano się za boki ze śmiechu, wskazywano palcami cara i wiechciową głowę w karecie — Zotowa, półżywego ze strachu. Wieprze wrywały się we wszystkie strony i plątały uprząż. Nagle Piotr wyrwał koniuchowi bat i wściekle zaczął okładać świnię. Z kwikiem poniosły karete... Kogoś przewrócono, ktoś wpadł pod koła, kobiety chwyciły dzieci. Piotr, stojąc, dalej prażył batem — purpurowy, z rozszerzonymi nozdrzami krótkiego nosa. Okrągłe oczy jego były zaczerwienione, jak gdyby wstrzymywał łzy.

Przy domu Leforta koniuchy jako tako uporządkowały świński zaprzęg, zawróciły nim w otwartą bramę. Przez dziedziniec biegł solenizant — Lefortj wymachując trzcina i kapeluszem. Za nim barwnie ubrani goście. Piotr niezgrabnie zeskoczył z koźła i wyciągnął z karety za kołnierz Zotowa. Patrząc w dalszym ciągu wściekle w oczy Lefortowi, jakby bał się spojrzeć w bok, żeby nie zobaczyć tam kogoś — wypowiedział zdyszczonym głosem:

— Mein lieber General, przywiozłem posła nadzwyczajnego z wielkim wivatem od helleńskiego boga Bachusa... — Perlisty pot wystąpił na jego twarz. Piotr oblizał wargi i patrząc precz w oczy z wysiłkiem: — Mit herzlichen Gruss... że przesyła czołobitność... Świnie i karete przysła w darze... — W dalszym ciągu trzymając kurczowo Zotowa, szeptem: — Pokłońże się, padnij na kolana...

Piękny, wyperfumowany i upudrowany Lefort, w różowym aksamicie i koronkach, od razu zrozumiał wszystko. Podniósłszy wysoko ręce klasnął w dłonie, zaniósł się wesołym śmiechem i zwracając się to do Piotra, to do gości, powiedział: -

— Oto mi piękny żarcik, weselszego nie widziałem... Myśmy zamierzały nauczyć go zabawnych figlów, ale on nas nauczy lepiej... Hej, muzycanci, marsza na cześć posła Bachusowego!

Za krzewami bzu zawarczały bębny i litau- ry, rozległ się głos trąb. Piotr opuścił ramiona, z oblicza jego zniknęło zaczerwienienie. Roześmiał się szeroko, odrzuciwszy głowę. Lefort wziął go pod rękę. Wtedy Piotr obiegił wzrokiem gości i zobaczył Annchen — uśmiechała się do niego błyszczącymi ząbkami.

Z odsłoniętą szyją i ramionami, jak gdyby wysuwała się na jego spotkanie z sukni wspaniałej niby róża.

Znowu dzikie zmieszanie chwyciło go za grdykę. Szedł ku domowi na czele gości, obok Leforta, podnosząc nogi jak żuraw. Na placyku przed gankiem stali pieśniarze w pańsowych rosyjskich koszulach. Zaczęli tanecznie, z przyświstywaniami. Wskoczył jeden z nich, niebieskooki, zuchwały, i pokrzykując: — Aj, dudu, dudu, dudu — ruszył z przysiadaniem, bijąc podkówkami, trzaskając dłońmi o piasek, z wywrotami, z podlotami, kręcił się jak bąk: — I — ech — tyl — Hej, Aleksaszka!...

XI

Skrzypce, altówki, oboje i litaury grały na chórze stare niemieckie pieśni, rosyjskie tańce, ceremonialne menuety, wesołe angiezy. W promieniach słonecznych, przebijających się przez krągłe okienka po dwóch stronach sali, kłębił się dym tytoniowy. Podchmieleni goście rzucali takie słówka, że panny płonęły jak zorza; rumiane piękności, z szerokimi jak beczki spódnicami i ciężkimi trenami, śmiały się jak szalone. Piotr siedział pierwszy raz przy stole z kobietami. Lefort podał mu kielich anyżówki. Piotr pierwszy raz spróbował trunku. Anyżówka płynęła w jego żyły jak płomień. Patrzył na śmiejącą się Annchen.

Pod wpływem muzyki wszystko w nim tańczyło, szyja się prężyła. Zacisnąwszy zęby, łamał w sobie niejasne jeszcze dłań, okrutne požądania. W hałasie nie słyszał, co goście krzyczeli wyciągając ku niemu szklanki.. Ząbki Annchen filuternie błyskały, kuszące oczy jej stale spoczywały na Piotrze...

Uczta ciągnęła się, jakby dzień nigdy nie miał się skończyć. Zegarmistrz Pfeffer wsunął nos, długi jak marchew, do tabakierki i począł kichać — zerwawszy perukę machał nią nad łysym czerepem. Można pęknać, takie to było śmieszne. Piotr kołysał się przewracając wokół naczynia swymi długimi rękami. Ręce wydawały mu się bardzo długie — wystarczy sięgnąć przez stół, a można wsunąć palce we włosy Annchen, ścisnąć jej głowę, spróbować wargami jej śmiejących się ust... I znowu szyja mu nabrzmiewała, a mgła zaścielała oczy.

Gdy słońce zaszło za młyny, a w otwarte okna wionął chłód, Lefort podał ramię ośmio- pudowej młynarce, Frau Schimmelpfennig, i ruszył do menueta. Z krągłymi ruchami ręki potrzasał osypanymi złotym pudrem lokami, dygał, kłaniał się, marząco przymykał oczy. Frau Schimmelpfennig, zadowolona i szczęśliwa, płynęła w ogromnych spódnicach, niby statek czterdziestodziałowy w ozdobie flag. Za tą parą ruszyli wszyscy goście z sali do ogrodu, gdzie na klombach ułożono z kwiatów monogramy solenizanta, krzewy i drzewka ozdobiono paskami złoconego i srebrzo-

niego papieru, a dróżki pokryto kwadratami szachownic.

Skończywszy z menuetem, ruszyli w wesołym kontredansie. Piotr stał na boku gryząc paznokcie. Kilka razy damy zapraszały go do tańca, nisko dygając. Poruszał głową, mrużąc: — Nie umiem, nie, nie mogę... — Wówczas Frau Schimmelpfennig, w towarzystwie Leforta, podała mu bukiet — oznaczało to, że go obrano królem tańców. Odmówić nie było można. Spojrzał wesoło, lecz stanowczo oczy Leforta i kurczowo chwycił rękę damy. Lefort na czubkach elastycznych stóp popłynął po Annchen i stanął z nią w figurze kontredansa naprzeciwko Piotra. Annchen, trzymając w opuszczonych rękach chusteczkę, patrzyła tak, jakby prosiła o coś. Zahuczała ogłuszająco miedź kotłów, zawarczał bęben, zaśpiewały skrzypce, trąby, wesoła muzyka popłynęła w ciemniejące niebo strasząc nietoperze.

I znowu jak niedawno przy świniach wszystko się w nim zarwało — gorąco, oszołomienie. Lefort wykrzykiwał:

— Figura pierwsza! Damy podchodzą i odchodzą, kawalerowie okrążają damy!

Chwyciwszy Frau Schimmelpfennig za boki Piotr tak nią zakręcił, że szeroka spódnica na fiszbinach podniosła się jak w wichurze. — Oh, mein Gott! — westchnęła jeno młynarka. Porzuciwszy ją, tańczył sam tak, jakby muzyka pociągała go za nogi i ręce. Z zaciśniętymi ustami i rozszerzonymi nozdrzami wyczyniał takie kurbety i skoki, że goście za brzuchy się trzymali patrząc na niego.

— Trzecia figura! — wołał Lefort. — Damy zmieniają kawalerów.

Chłodna rączka Annchen spoczęła na jego ramieniu. Piotr od razu skulił się, zawadiactwo jego przycichło. Wstrząsnął nim drobny dreszcz. I nogi same go już niosły, kręcąc się wraz z Annchen, lekka jak piórko. Między drzewami błdziły ogniki lampek zapalanych lontem. Gniewnie sycząc wznosiła się w górę rakietą. Dwa płomienne sznureczki odbiły się w oczach Annchen.

— Ach — szepnęła cieniutkim głosem. — Ach, to cudownie piękne!... Ach, Peter, pan tańczy prześlicznie...

We wszystkich końcach ogrodu wznosiły się rakiety. Zakręciły się koła ogniowe, zajaśniały transparenty. Rakiety pękały z hukiem armatnim, trzeszczały szmermele, sypały się fontanny iskier. Zmrok powlekał dym prochowy. Nie senneż to widziadła w tęsknej nudzie pałacu Preobrażeńskiego? Obok przeleciał w podskokach hulaka Lefort z damą, wielką jak żołnierz.

— Kupido strzałami przebija serca I — krzyknął do Piotra.

Rozgrzana tańcem Annchen pachniała świeżym powabem.

— Ach, Peter, zmęczyłam się — wyjąkała jeszcze cienie, zwisając na jego rękę.

Nad głowami pękła rakietą, ogniowe węże oświeciły śliczną twarzyczkę dziewczyny, po-

mizerniałą ze zmęczenia. Sam nie wiedząc, jak się to stało, Piotr objął jej obnażone ramiona, zmrużył oczy i odczuł wilgotne dotknięcie jej warg. Ale wargi te prześliznęły się jeno. Annchen wyrwała mu się z rąk. W piekielnym trzasku rozrywały się setki wężyków. Annchen zniknęła. Z obłoków dymu wypłynęło zajęcze futro i wiechciowa głowa posła Bachusowego. I[^]Jikita Zotow, zupełnie pijany, trzymając ciągle czarę w rękach, włókł się gładząc pod nosem. Staął, zachwiał się.

— Napij się, synku — podał Piotrowi czarę. — Pij, i tak już przepadliśmy... Zgubiliśmy dusze, opaskudziliśmy się... Pij do dna, twoja carska mość, całej Wielkiej i Małej...

Chciał pogrozić komuś i runął w krzak. Piotr rzucił czarę wychyloną i stapał jak na szczudłach. Radość krążyła w nim jak świetlne koło fajerwerku.

— Annchen! — zawołał.

Pobiegł. Oświetlone okna domu, ogniki lampek, transparenty, wszystko płynęło w kółko. Chwycił się za głowę, szeroko rozstawił nogi wpierając je w ziemię.

— Chodźmy, pokażę, gdzie ona jest — wkradł się z tyłu do ucha przymilny głos. Był to Aleksaszka Mieńszykow, pieśniarz w paśowej koszuli z przenikającymi oczyma. — Dziewucha poszła do domu...

Piotr w milczeniu pobiegł za nim gdzieś w ciemnię. Prueleźli przez parkan, natknęli się na psy podwórzowe, pod oborami, przez płoty wydostali się na plac koło młyna przed austerią. Na górze jaśniało długie okienko. Aleksaszka powiedział szeptem:

— Ona jest tam... — i rzucił w okno piaskiem. Okno się otworzyło, wysunęła się Annchen — chustka na ramionach, cała głowa pokryta różkami papierowymi.

— Kto tam? — zapytała ciekawym głosem, wpatrzyła się, ujrzała Piotra, potrząsnęła głową: — Nie można... Proszę iść spać, Herr Peter...

W tych różkach była jeszcze milsza. Zatrzasnęła okno i opuściła koronkową zasłonę. Światło zgasło.

— Pilnuje się panna — szepnął Aleksaszka. Popatrzył i mocno objąwszy Piotra za ramiona, podprowadził do ławki: — Usiądź lepiej... Przeprowadzę konie. Czy dojedziesz konno?

Gdy wrócił, prowadząc za cugle dwa osiodłane konie, Piotr ciągle siedział przygarbiony, z zaciśniętymi pięściami na kolanach. Aleksaszka zajrzał mu w oblicze.

— Przepiłeś się czy co? — Piotr nie odpowiedział. Aleksaszka pomógł mu dosiąść konia, wskoczył sam lekko i podtrzymując go, wolno wyjechał ze slobody. Nad łąkami unosiła się mgła. Jesienne gwiazdy wyległy wspaniale. W Preobrażeńskim piałą koguty. Lodowata ręka Piotra, wczepiwszy się w ramię Aleksaszki, zastygła jak martwa. Już blisko pałacu wygiął nagle plecy, odrzucił głowę, uchwycił Aleksaszkę za szyję i przycisnął się

— niego. Konie stanęły. Świstało mu w piersiach i kości trzeszczały.

— Trzymaj mnie, trzymaj mocniej — rzekł ochryple. Wkrótce ręce mu osłabły. Westchnął z jękiem: — Jedźmy... Nie odchodź jeno... Położymy się razem...

Koło ganku przyskoczył Wołkow.

— Miłościwy pan, mój Boże... A my...

Podbiegli pokojowcy, koniuchy. Piotr kopnął z góry nogą w całą tę kupę, zsiadł sam i nie puszczając Aleksaszki wszedł do pałacu. W ciemnym przejściu przeżegnała się, zaszeleściła staruszczyzna — odepchnął ją. Druga szurgnęła pod schody jak szczur.

— Obrzydłe, szeptuchy zgniłe, bodaj was pokręciło — mamrotał.

W sypialni Aleksaszka zdjął mu buty i kaftan. Piotr położył się na wołoku, kazał Aleksaszce leżeć obok. Wsparł głowę na jego ramieniu. Po pewnym czasie powiedział:

— Zostaniesz pokojowcem... Jutro powiesz diakowi — napiszę ukaz... Wesoło było, ach, wesoło... Mein lieber Gott...

Wkrótce chlipnął jak dziecko i zasnął.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

Szlacheckie pospolite ruszenie zbierało się całą zimą. Trudno było wyciągnąć obywateli z zapadłych wsi. Wielki wojewoda Wasilij Wasiliewicz Golicyn rozsyłał surowe ukazy, groził niełaską i ruiną. Obywatele nie kwapili się złączyć z ciepłych pieców: „Też im strzeliło do głowy — bić się z Krymem. Bogu dzięki, mamy z chanem pokój, daninę płacimy nie krzywdzącą, czemuż tedy po próżnicy szlachtę niepokoić. To sprawka Golicynów — chcą honory na cudzym garbie zdobywać”.

Powoływali się na chorobę, ubóstwo, chowali się. Niektórzy urządzali zuchwałe figle — z nudy i próżniactwa zimową porą mało to strzeli do głowy. Stolnicy Borys Dołgoruki i Jurij Szerbaty, nie mogąc wykręcić się od pochodu, przyodziali swoje poczty w czarne stroje, a sami na karych koniach, zupełnie czarni, jakby z mogił powstawali, przybyli do wojska — nastraszyli wszystkich okrutnie. — Będzie źle — gadano w pułkach — nie wrócimy żywi z wojny... — Wasilij Wasiliewicz, zgniewany, napisał do Moskwy do Fiodora Leontiewicza Szakłowitego, którego pozosta-

wił był ptzy Zofii: „Zmiłuj się, postaraj się o ukaz przeciw krzywdzicielom moim, żeby ich za to łotrstwo zniszczyć, do klasztoru po wieczne czasy zesłać, wsie ich rozdać nie- posiadającym — okazać im taki przykład sro- gości, aby wszyscy zadrżeli”.

Ukaz przygotowano, ale Wasilij Wasiliewicz z dobroci serca przebaczył zuchwalcom, którzy z płaczem błagali o zmiłowanie. Nie zdołano jeszcze załagodzić tej sprawy, gdy poszła wieść po wojsku, że nocą pod izbę Golicyna do sieni podrzuciono trumnę. Ludzie drżeli szepcząc o takiej strasznej sprawie. Powiadano, że Wasilij Wasiliewicz dnia tego pił do zamroczenia i w tym stanie wybiegał do sieni i rąbał szablą pustą ciemnię. Złe były wróżby. Podchodzące tabory widziały białe wilki, okropnie wyjące na kurhanach stepowych. Konie padały nie wiadomo z jakiej przyczyny. W marcową wietrzną noc kozioł pułkowy w obozie — wielu to słyszało — beczał ludzkim głosem: „Będzie źle”. Kozła chciano zabić kołami, szusnął w step — nie znaleziono go.

Zniknęły śniegi, z południa powiał słodki wietrzyk, zazieleniły się łożyny na brzegach rzek i jezior. Wasilij Wasiliewicz chodził posepnie jszy niż chmura. Z Moskwy nadchodziły wieści mało radosne, w Kremlu jakoby zaczął głośno gadać Michał Alegukowicz Czer- kaski, okolniczy * cara Piotra, i bojarzy jako by skłaniają ku niemu uszy, szydzą z krymskiego pochodu: — Krymski chan — powiadają — przestał już oczekiwać Wasilija Wasiliewicza; w Krymie, Carogrodzie, a i w całej Europie na wojnę tę machnęli ręką. Golicynowie drogo kosztują skarb carski. — Nawet patriarcha Joachim, ongi protektor Wasilija Wasiliewicza, ni z tego, ni z owego wyrzucił z cerkwi na Baraszach ryzy* i kaftany podarowane przez Golicyna i zabronił odprawiania w nich nabożeństwa. Wasilij Wasiliewicz pisał do Szakłowitego trwożne listy, aby bacznie obserwował Czerkaskiego i starał się, by patriarcha rzadziej bywał na górze u Zofii. „A co do bojarów — to zjada ich odwieczne skąpstwo, żal im grosza sobie urwać na wielką sprawę”.

Z zagranicy dochodziły przykre wieści. Król francuski, którego Jakub Dołgoruki i Jakub Myszecki, posłowie nadzwyczajni, prosili o pożyczkę trzech milionów liwrów, pieniędzy nie dał i nawet nie chciał widzieć posłów. Pisano o pośle w Holandii, Uszakowie, że „on i ludzie jego rozhultaili się zupełnie, w wielu miejscach bawili się oni, pili i mnóstwa gminnych słów używali, czyn? znieśliwili ich cesarskie moście”.

^W końcu maja Golicyn ruszył wreszcie na południe ze stutysięcznym wojskiem i nad rzeką Samarą połączył się z hetmanem ukraińskim Samojłowiczem. Wojska posuwały się

✓

wolno, ciągnąc za sobą niezliczone tabory. Pozostały z tyłu grody i strażnice — zaczęły się Dzikie Pola. Upał objął bezludną równinę, ludzie nurzali się po ramiona w trawie, sępy krążyły pod gorącym, lazurowym niebem. W dalach stepowych biegły falami miraż. Zachody były krótkie — żółte, zielone. Step wypełniał się skrzypieniem wozów i rżeniem koni. Dym ognisk z suchego nawozu zionął odwiecznym smętkiem. Szybko zapadała noc, jarzyły się straszne gwiazdy. Step był bezludny, ani dróg, ani ścieżek. Pułki przedniej straży wychodziły daleko naprzód, nie spotykając żywej duszy. Było widoczne, że Tatarzy zwabiali rosyjskie pułki na piaski i bez- wodzie. Coraz częściej spotykano wyschnięte koryta strumieni. Tutaj jeno doświadczeni Kozacy wiedzieli, gdzie zdobywać wodę.

Upłynęła już połowa lipca, a Krym majaczył tylko w osłepiających powietrznych przestrzeniach. Pułki rozciągały się od jednego kraju stepu do drugiego. W głowach kołowało się od białości światła i suchego cykania pasikoników. Ociężałe ptaki zlatywały się na rozdęte tułowia padłych koni. Porzucono wiele wozów. Dużo chłopów pozostało przy nich, umierając z pragnienia. Inni wlekli się na północ do Dniepru. Pułki szem- rały...

Wojewodowie, pułkownicy, tysiącznicy zbierali się na obiady około płóciennego namiotu Golicyna, z trwogą patrzyli na sztandar obwisły jak szmata. Ale nikt nie odwa- żył się pójść i powiedzieć: „Trzeba wracać, póki czas. Im dalej — tym straszniej, za Pe- rekopem są ruchome piaski”.

Wasilij Wasiliewicz w godzinach tych spoczywał w namiocie; zdjąwszy odzież i buty, leżąc na kobiercach, czytał po łacinie Plu- tarcha, Cezara, Tacyta. Wielkie cienie unosiły się nad stronicami książek, krzepiły dziel- nością jego zmęczoną duszę. Aleksander Pom- pejusz, Scypion, Lukullus, Juliusz Cezar potrzęsali rzymskimi orłami w dręczącym cykaniu pasikoników. Sława, sława! Nabierał również sił odczytując listy Zofii: „Światło moje, braciszku Wasieńko! Ciesz się zdrowiem, miły mój, niezliczone lata. Bóg odda Ci wrogów w ręce. A ja, światło moje, nie mogę uwierzyć, że powrócisz do nas. Wtedy uwierzę, gdy Ciebie ujrzę w ramionach swych, światło Ty moje. Cóż, kochanie moje, piszesz, żebym się modliła: pewnie, grzesz- nam przed Bogiem i niegodna. Jednakowoż, choć grzeszna jestem, mam odwagę ufać w Jego miłosierdzie. Zaprawdę, stale błagam, bym światło swoje mogła ujrzeć w szczęściu. A za czym bądź zdrow, miły mój, po niezliczone „wieki...”

Gdy upał się zmniejszał, Wasilij Wasiliewicz włożywszy hełm i opończę wychodził z namiotu. Zobaczywszy go pułkownicy, tysiącznicy, esaulowie wsiadali na koń. Grały trąby, zawodziły przeciągłe rogi. Wojsko posuwało się teraz nocami aż do południowego upału.

Tak też było i dzisiaj. Wasilij Wasiliewicz rzucił wzrokiem z wysokości kurhanu na niezliczone dymy ognisk, ciemne plamy wojsk, ginące we mgłę linie obozów. Mgła dzisiaj była osobliwa, nawał pyłu zaciemniał widnokrąg. W bezwietrznej ciszy było ciężko oddychać. Zachód purpurowym mrokiem pokrywał pół nieba. Ptaki latały stadami, jakby szukając schronienia... Słońce zachodząc puchło, omglone, straszne. Zaledwie błysnęły gwiazdy, zaciągnęło je zasłoną. Dymiące zarzewie migotało rozpalając się po całym widnokregu. Unosił się duszący wiatr. Coraz wyraźniej było widać tańczące języki płomieni — opasywały one kołem całe wojsko.

Przy kurhanie zatrzymała się kupka jeźdźców. Jeden z nich ciężkimi skokami podjechał do namiotu. Zlął poprawiając wysoką czapę. Wasilij Wasiliewicz poznał tłustą twarz i siwe wąsy hetmana Samojłowicza.

— Złe, książę — powiedział cicho — Tatarzy podpalili step...

Pod zwisającymi wąsami hetmana nie było widać uśmiechu, na oczy padał cień.

— Pali się dokoła — powiedział wskazując nahajem.

Wasilij Wasiliewicz długo wpatrywał się w lunę.

— Cóż, wsadzimy piechurów na konie, przejdziemy przez ogień.

— Ale jak iść przez popiół? Ani pożywienia, ani wody. Zginiemy, książę.

msggs&t

— Mam się cofnąć?

fe|lt Rób, jak chcesz. Kozacy nie pójda przez spalony step.

— Batogami pędzić przez ogień. (Wasilij Wasiliewicz był niepohamowany w gniewie. Zaczął biegać po kurhanie, wbijając w suchą ziemię okute obcasy.) Dawno widzę — Kozacy nieradzi idą z nami. Śmiech bierze patrzeć na Kozaków —, drzemią na siodłach. Chanowi krymskiemu na pewno dzielnie służyli... I ty kręcisz. Strzeż się, hetmanie. W Moskwie nie takich za czuby wlekli na szafot... A ty, popowiczu, dawnoś to przestał handlować świecami i rybami? Wzbogaciłeś się, stajesz okoniem.

Spasiony Samojłowicz sapał jak byk, słuchając tych przymówek. Ale był mądry i przebiegły —• zmilczał. Sapiąc wsiadł na konia, zjechał ze wzgórza i znikł za wozami. Wasilij Wasiliewicz przywołał trębacza. Chrapliwie grały trąbki po zadymionym stepie. Konnica, wojsko, tabory ruszyły przez ogień.

O świtanu stało się jasne, że iść dalej nie można -M step leżał czarny, martwy. Jeny wiry dymu włoczyły się po nim. Wzmagał się wiatr z południa, gnał chmurami popiół. Widać było, jak w dali pierwsze zawróciły., podjazdy kozackie. W południe zebrał się w obozie wojewodowie, pułkownicy i atama- ni. Hetman podjechał zachmurzony, zasunął buławę za cholewę i zapalił lulkę. Wasilij Wasiliewicz, wsparłszy na zbroi rękę w pier-

Pułkownicy Sołonina, Lizogub, Zabiela, Ha- malej, esauł Iwan Mazepa i generalny pisarz Koczubiej, przyszedłszy potajemnie do namiotu Wasilija Wasiliewicza* rzekli:

— Step podpalili Kozacy, hetman ich posyłał. Oto masz donos na hetmana, przeczytaj i poślij do Moskwy, nie zwłócz, bo już nie mamy sił znieść jego samowoli: wzbogacił się, zniszczył szlachtę, starszyźnie kozackiej nie wolno przy nim stać w czapkach. Wszystkich łaje. Rosjan okłamuje, z Polakami się zmwawia i też ich okłamuje, a chce wziąć

ścieniach, rzekł poskromiwszy dumę, ze łzami w oczach:

— Któż się sprzeciwi wyrokom Bożym? Powiedziano: człowiecze, ukórz pychę, albowiem śmiertelny jesteś. Bóg zesłał na nas wielkie nieszczęście... Na setki wiorst — ani pożywienia, ani wody. Nie boję się śmierci, ale boję się sromoty. Wojewodowie, pomyślcie, powiedzcie — co robić?

Wojewodowie, pułkownicy, atamani, pomyślawszy, odpowiedzieli:

— Cofnąć się do Dniepru, nie zwłócząc.

Tak niesławnie zakończył się pochód na Krym. Wojska w wielkim pośpiechu ruszyły z powrotem, tracąc ludzi, pozostawiając tabory, i zatrzymały się dopiero w pobliżu Poł- tawy.

Ukrainę na zawsze w swoje władanie i przywileje nam zabrać. Niech Moskwa przyśle ukaz, byśmy wybrali drugiego hetmana, a Sa- mojłowicza obalili...

— A dlaczego hetman nie chce, bym pobił Tatarów? — zapytał Wasilij Wasiliewicz.

— Hetman nie chce dlatego — odrzekł esauł Mazepa — że dopóki Tatarzy silni, wy jesteście słabi, a jak pobijecie Tatarów, to niedługo Ukraina zostanie moskiewskim folwarkiem... Ale wszystko to leż. Jesteśmy was, Rosjan, braćmi młodszymi, jednej z wami wiary i wszyscyśmy radzi żyć pod moskiewskimi carami...

— Dobrze powiedział — potwierdzili błę- kitnogłowi, czubaci pułkownicy patrząc w ziemię. — Byle jeno Moskwa potwierdziła nasze szlacheckie wolności.

Wasilijowi Wasiliewiczowi przypomniały się czarne chmury pyłu, niezliczone mogiły pozostałe w stepie, szkielety końskie na wszystkich drogach. Z rozpalonymi policzkami przypominał sny swoje o pochodach Aleksandra Wielkiego. Wspomniał o wąskich przejściach kremlowskiego pałacu, gdzie bojarzy, wrogowie, będą się mu kłaniali zasłaniając ręką usta, by skryć uśmiech...

— Więc to hetman podpalił step?

— Tak — potwierdzili pułkownicy. - Dobrze. Będzie, jak chcecie.

Tego samego dnia jeszcze popędził do Moskwy w dwa konie Wasilij Tyrtow zaszywszy

w czapkę donos na hetmana. Gdy wojska podeszły do Połtawy i stanęły obozem, przybyła odpowiedź od wielkich carów. | „Sprawować władzę nad starszyzną i całym małopolskim wojskiem Samojłowicz nie jest godzien — wielkich carów chorągiew, buławę i Wszelkie wojskowe klejnoty odebrałszy mu, posłać go do wielkoroskich miast pod mocną strażą. A na jego miejsce uczynić hetmanem, kogo oni, starszyzna, z całym małopolskim wojskiem sobie życzą...”

Tej samej nocy strzelcy obiegli hetmańską kwaterę, a hetmana wzięli rankiem z cerkwi połowej, rzucili na lichy wóz i odwieźli do Golicyna. Tam poddano go badaniu. Na głowie hetman miał mokrą szmatę, oczy zaczerwienione. Powtarzał przerażony:

— Taż oni breszą, Wasiliju Wasiliewiczu, dalibóg breszą... To podstęp Mazepy, mego wroga... — Ujrzawszy wchodzących Mazepę, I-Iamaleja, Sołoninę i pułkownika Raicza, poczerwieniał, zatrzęsł się. — Więc ty ich słuchasz?... Psy, czekają tylko, by Ukrainę zaprzedać Polakom!...

Hamalej i Sołonina rzucili się ramię w ramię z dobytymi szablami. Ale setnicy strzeleccy obronili hetmana. Nocą odwieźli go w łańcuchach na północ. Trzeba było śpieszyć z wyborem nowego hetmana: pułki kozackie rozbiły w taborach beczki z gorzałką, wyróżniło hetmańskie służki, wzięto na piki znenawidzonego przez wszystkich hadziackiego pułkownika. W całym obozie słychać było śpiewy, krzyki, strzelaninę. Zaczęły się burzyć moskiewskie pułki.

Do namiotu Wasilija Wasiliewicza przyszedł nie wzywany Mazepa. Był w szarej świtce, zwyczajnej czapie barankowej, jeno na złotym łańcuchu zwiślała droga szabla. Iwan Stiepanowicz był bogaty, pochodził ze znakomitego szlacheckiego rodu, wiele bywał w Polsce i Austrii. Tutaj, w pochodzie, zapuścił bródkę — jak kacap — i strzygł się wedle moskiewskiego zwyczaju. Skłoniwszy się z godnością — równy równemu — siadł. Szczypiąc brodę długimi, suchymi palcami, wlepił mądre, wypukłe oczy w Wasilija Wasiliewicza.

— Może książę pan życzy sobie rozmawiać po łacinie? (Wasilij Wasiliewicz skinął chłodno. Mazepa zaczął mówić po łacinie, nie niżając głosu.) Trudno ci się rozeznąć w sprawach małopolskich. Małorusy są przebiegli i skryci. Jutro trzeba okrzyknąć nowego hetmana — i chodzą pogłoski, że chcą okrzyknąć Borkowskiego. W takim razie lepiej było nie zrzucić Samojłowicza: Moskwa nie ma bardziej zawziętego wroga niż Borkowski... Mówię jak przyjaciel.

*— Sam wiesz, nie chcemy się mieszać w wasze małopolskie sprawy — odpowiedział Wasilij Wasiliewicz — dla nas każdy hetman dobry, byle tylko był naszym przyjacielem...

— Słodko słyszeć mądrą mowę. Nie mamy nic do ukrywania — przy Moskwie jesteśmy

jak u Pana Boga za pazuchą. (Wasilij Wasiliewicz opuścił oczy uśmiechnąwszy się przelotnie.) Ziemi naszej szlacheckiej nie zabieracie, obyczaj nasze traktujecie przychylnie... Nie ma co ukrywać — są między nami tacy, co ciągną do Polski... Ale to jeno dla osobistej korzyści chyba, jawni burzyciele Ukrainy. Al- boż to nie wiemy: poddać się Polsce — panowie nam ziemię zabiorą, ponastawiają kościołów, z nas wszystkich chłopów porobią. Nie, książę, jesteśmy wiernymi sługami wielkich carów. (Wasilij Wasiliewicz milczał nie podnosząc oczu.) Cóż, Bóg był dla mnie szczo- drobliwy... W zeszłym roku zakopałem w ukrytym miejscu, pod Połtawą, beczułkę — dziesięć tysięcy rubli w złocie, na czarną godzinę. My, Małorusy, jesteśmy ludzie prości, za wielką sprawę nie pożałujemy i życia swego... Czego się bać? A niech buławę obejmie zdrajca albo dureń — oto, czego się trzeba bać.

— Cóż, Iwanie Stiepanowiczu, Boże dopomóż, życzę szczęścia — okrzyknijcie jutro hetmana. — Wasilij Wasiliewicz wstał i skłonił się gościowi. Po namyśle objął go za ramiona i ucałował trzykrotnie.

Nazajutrz przed połową płócienną cerkwią, na stole przykrytym ryżą, leżała buława, chorągiew i oznaki władzy hetmańskiej. Dwa tysiące Kozaków stało kołem. Z cerkwi wyszedł książę Golicyn w perskiej zbroi, w płaszczu, w hełmie z malinowymi piórami, za nim cała starszyzna kozacka. Wasilij Wasiliewicz stanął na ławce i trzymając w jednej ręce jedwabną chusteczkę, a drugą wsparłszy no szabli — rzekł do Kozaków:

— Prześwietne wojsko małoruskie, Ich carskie moście pozwalają wam wybrać hetmana wedle starego obyczaju wojskowego. Rzeknijcie, kto wam miły, ten zostanie hetmanem. Miły wam Mazepa albo inny — wasza wola...

Pułkownik Sołohina krzyknął:

—Chcemy Mazepę!

Inne głosy podchwyciły i zawrzało na całym polu: „Mazepę na hetmana!” Tego samego dnia do namiotu księcia Golicyna czterej Kozacy wnieśli szerniąłą od leżenia w ziemi beczułkę ze złotem.

III

Twierdza, postawiona dwa lata temu nad Jauzą poniżej pałacu Preobrażeńskiego, tej jesieni została przebudowana wedle planów generałów Franciszka Leforta i Teodora Som- mera: ściany rozszerzono i umocniono palami, z zewnątrz wykopano głębokie rowy, w narożnikach wzniesiono mocne baszty ze strzelnicami, Szańce oplecione łożyną i worki z piaskiem kryły rzędy brązowych armat, jednorogów i moździerzy. W środku twierdzy wybudowano stołownię na pięćuset ludzi. Na głównej wieży, nad bramą, dzwony wydzwaniały kuranty.

Żart żartem, twierdza-zabawka, ale w razie czego można się było w niej naprawdę bronić. Na szerokiej, skoszonej łące od świtu do nocy odbywały się ćwiczenia dwóch batalionów: Preobrażeńskiego i Siemionowskiego; Teodor Sommer nie szczędził ani gardła, ani pięści. Żołnierze maszerowali jak nakręceny, trzymając muszkiety przed sobą. — Baczość, halt! — żołnierze zatrzymywali się waląc prawą nogą i kamienili. — Prawy ramię naprzód! Vorwärts! Nieprawidłowo! Lumpen! Holota! Sluchaać! — Generał siedzący na koniu czerwieniał jak indyk. Nawet Piotr, obecnie podoficer, przeżył się i ze strachem wytrzeszczał oczy przechodząc przed nim.

Z kolonii wzięto jeszcze dwóch cudzoziemców: Franza Timmermanna, matematyka, umiającego obchodzić się z astrolabią, oraz starego Kartena Brandta, dobrze znającego się na morskich sprawach. Timmermann • zaczął uczyć Piotra matematyki i sztuki fortyfikacyjnej. Karten Brandt budował statki według wzoru zadziwiającej łodzi, płynącej przy bocznym żaglu pod wiatr, którą znaleziono w składzie we wsi Izmajłowo. Bojarzy przyjeżdżali z Moskwy coraz częściej, by popatrzeć własnymi oczami — jakie to zabawy urząda się na Jauzie, na co idzie tyle pieniędzy i tyle broni z arsenału. Przez most nie przejeżdżali, zatrzymywali się na przeciwległym brzegu rzeczki: na przedzie — bojarzyn w kosztownej szubie, gruby jak pierzy-

■
na, siedzi na koniu, broda jak miotła, policzki nalane, za nim — szlachta, nawaliwszy na siebie po trzy, po cztery drogie kaftany. Bez ruchu wystawali po godzinie i dłużej. Po tamtej stronie rzeczki ciągną wozy z piaskiem i f a szyną; żołnierze noszą belki; na wysokim trójnogu, na blokach, unosi się ciężka baba i — buch! — wali w pale, sypie się ziemia z łopat. Cudzoziemcy spacerują z planami, cyrkłami, topory stukają, piły zgrzytają, dziesiątnicy biegną z miarami. I oto Boże i wszyscy święci! — car nie siedzi na złocym krześle, nie przygląda się zabawie skądś ze wzniesienia, nie! Car w szydełkowym kołpaku, niemieckich portkach i brudnej koszuli klusem wjeżdża z taczka po deskach...

Zdejmuje bojarzyn czapę z czterdziestu soboli, zdejmują czapki szlachta, kłaniają się nisko z tamtej strony rzeczki. I — patrz! roz-; łożywszy ręce... Ojcowie i dziadowie niewzruszonym murem stali wokół cara, strzegli, by pyłek albo mucha nie siadła na wielkim pomazańcu. Bez mała jak Boga żywego pokazywano go ludowi w nadzwyczajnych wypadkach, przestrzegając bizantyjskiego, starodawnego przepychu. A tu co? Cóż on wy-czynia? Z chłopami, jak chłop, sowizdrzał zatracony, biega po deskach, bezwstydnik — ; w ustach fajka z obrzydłym zieleńcem, to znaczy tytoniem. Zasady narusza... To już nie zabawa, nie zbytki. Patrzcie no, jak za rzeką chłopstwo zęby szczyrzy... Poniektórzy bojarzyn wzięwszy na odwagę

za trzęsienie brodą i krzyknie drżącym głosem:

— Ukarz, carze, za prawdę, za stary jestem, by milczeć — wstyd patrzeć, srom niebywały...

Długi jak żerdź Piotr wychodzi na pleciony wał, mruży oczy.

— A, to ty... Słuchaj... Co tam Golicyn pisze, zawojował już Krym czy precz jeszcze wojuje?

A przekłete cudzoziemce rechoczą za wałami, potem i swoi — któż nie będzie gardła drzeć, na kolana padać zoczywszy człowieka tak bliskiego carom. Bywało, że wszystko jedno — głowa i tak spadnie, bojarzyn upierał się i nie ustając perswadował i zawstydział: — Ojca twego na kolanach trzymałem, dniem i nocą czuwałem przy trumnie nieboszczyka cara, ród nasz wywodzi się od Ruryka, sami siadywaliśmy na stolcach. Pomyślałbyś o naszej czci, przestań zbyt kować, opamiętaj się, idź do łaźni, idź do domu Bożego...

— Aleksaszka — powie Piotr — dawaj lont.

Celuje — i jak nie gruchnie w bojarzyna grochem z dwunastofuntowego jednorogal Generał Sommer łapie się za brzuch ze śmiechu, śmieje się Lefort, uśmiecha się dobrodusznie małowówny Timmermann; marszczy się w śmiechu niby jabłko pieczone niziutki, krępy Karten Brandt. Wszyscy, cudzoziemcy i Rosjanie, wyskakują na wały patrzeć, jak spada sobolowa czapa; jak martwiejąc osuwa się bojarzyn na ręce szlachty, jak ponoszą przestraszone konie. Śmiechu starczy na cały dzień.

Twierdzą nazwano — stołeczne Preszburg.

i opowiadania

miasto

IV

Aleksaszka Mieńszykow jak wszedł był owej nocy do sypialni Piotra, tak w niej pozostał. Zręczny był bies, zwinny, odgadywał myśli: obróci się, chwyci, jeno kędziory wioną — zrobione. Nie wiadomo, kiedy śpi — przetrze pysk ręką i już jest świeży, wesoły, jasnooki, roześmiany. Wzrostu prawie jednakiego z Piotrem, lecz szerszy w ramionach, cieńszy w pasie. Gdzie Piotr, tam i on. Czy bić w bęben, czy strzelać z muszkietu, czy ścinać szablą łozinę — do wszystkiego gotów. Zacznie wydwarzać — śmiech do umoru; jak niedźwiedź wlaźł do dziupli po miód i narwał się na pszczoły albo jak pop straszy kupcową, by zamówiła nabożeństwo, jak się dwóch jakałów kłóci. Piotr płakał ze śmiechu, patrząc wprost miłośnie na Aleksaszkę. Z początku wszyscy myśleli, że ten zostanie- błaznem carskim. Ale on wyżej mierzył: stale — żarciki, przypowiadki, ale raz i drugi, gdy generałowie, inżynierowie obmyślają na naradzie, jak wykonać to albo tamto, gdy wpatrują się w plany, a Piotr z niecierpliwości gryzie zadzierki przy paznokciach — Aleksaszka już wygląda spoza czyjegoś ramienia i rąbie prędko, żeby go nie wyrzucili:

— A przecie to można tak oto zrobić — nie ma nic prostszego.

— O-o-ol — powiedzą generałowie.

Piotrowi płoną oczy.

— Słusznie!

Gdy potrzeba było czegokolwiek nagle — Aleksaszka brał pieniądze, gnał konno do Moskwy przez płoty, ogrody i zdobywał potrzebne rzeczy choćby spod ziemi. Potem podając Nikicie Zotowowi (prowadził urząd zabaw) rachunek — wzdychał poważnie, pociągał nosem, mrugał: — Już co jak co, ale tu na grosz oszukaństwa nie ma.

— Aleksaszka, Aleksaszka — kiwał głową Zotow — czyż podobna, by świerkowe żerdzie kosztowały po trzy altyny? Najlepsza na nie cena — jeden altyn. Ach, Aleksaszka...

— Jeśli nie pilno, to i za altyn, ale tu — pośpiech. Szybko się z żerdziami uwinąłem, by Piotra Aleksiejewicza nie wymęczyć, a to jest drogie.

— Och, powiesz cię kiedyś za twoje złodziejstwa!

— Boże, ależ co wy, Nikito Mojsiejewi- czu... Za co mnie niewinnie krzywdzicie...

Odróciwszy głowę i wyciskając łzy z niebieskich oczu, Aleksaszka zaczął mówić różne wzruszające słowa. Zotow, bywa, machnie na niego piórem.

— No, dobrze, idź. Tym razem uwierzę, ale pamiętaj...

Aleksaszkę mianowano ordynansem, Lefort

chwalił go przed Piotrem: — Chłopak daleko zajdzie, wierny jak pies, mądry jak bies. — Aleksaszka stale biegał na Kujuk do Leforta i ani razu nie wracał bez podarku. Na podarki był łasy, wszystko jedno jakie. Donaszał Lefortowe kaftany i kapelusze. Pierwszy z Rosjan zamówił na kolonii perukę — ogromną, czerwoną jak ogień — nosił ją przy święcie. Golił wargi i policzki, pudrował się. Ten i ów z czeladzi zaczynał go już mianować Aleksandrem Daniłyczem.

Pewnego razu przyprowadził Piotrowi poważnego młodziana w czystej koszuli, nowych łapciach i płóciennych onucach.

—r Min herc * (tak Aleksaszka często nazywał teraz Piotra), rozkaż mu popisać się sztuką bicia w bęben. Aloszka, bierz bęben.

Aloszka Browkin nałożył czapkę bez pośpiechu, wziął ze stołu bęben, popatrzył ospale na powalę i uderzył, sypnął jak grochem — wybąbniał zbiórkę, pobudkę, marsz, biegiem, rąb, kluj, hura, a potem wyrznął tanecznie, że hej! Stał jak posąg, jeno dłonie i pałeczki latały, prawie ich widać nie było.

Piotr rzucił się ku niemu, chwycił za uszy, z podziwem patrzył mu w oczy i ucałował kilka razy.

— Do pierwszej kompanii na dobosza!...

W ten sposób Aleksaszka w batalionie miał już swego człowieka. Gdy nastały krótkie dni, gołoledź skulała ziemię, z nisko płyną-

/

ych chmur sypnęło kaszą — w slobodzie rozpoczęły się bale i wieczory z muzyką. Cudzoziemcy przysłali przez Aleksaszkę zaproszenie dla cara Piotra, na pięknym papierze: w ramce ze słupów i winorośli, na beczce siedzi brzuchaty, nagi chłop, u góry — nagie dziecko strzela z łuku, na dole — starzec położył przy sobie kosę. Pośrodku wiersze wypisane złotym atramentem: „Z serdecznym pokłonem zapraszamy na kufel piwa i tańce”, a jeśli przeczytać pierwsze litery słów, wychodziło „Herr Peter”.

Gdy się tylko zaczęło ściemniać, Aleksaszka stawał przed gankiem z wózkiem zaprzężonym w jednego konia. (Piotr nie lubił jeździć konno, był za długi.) We dwóch zajeżdżali na Kukuj. Podczas jazdy Aleksaszka mówił:

— Niedawno zachodziłem do austerii, min herc — zamówić podpiwek, jak kazaliście — widziałem Annę Iwanownę... Obiecała być dzisiaj bezwarunkowo.

Piotr prychał nosem i milczał. Jakaś straszna siła ciągnęła go na te wieczory. Okute koła grzmiąły po złodowaciałych koleinach, w ośmie nie widać było drogi, na grobli zawodziły nagie konary drzew. Wtem — miłe światelka. Aleksaszka wpatrując się mówił: — Na lewo, bardziej na lewo, min herc, skręcaj w uliczkę, tu nie przejedziemy... — Ciepłe światło leje się z niskich holenderskich okienek. Za zielonawymi szybami widać ogromne peruki. Nagie ramiona niewiast. Muzyka.

Kręcą się pary. Trójramienne lichtarze z lustrami na ścianach odbijają śmieszne cienie.

Piotr wchodził jakoś niezwyczajnie — zawsze z osobliwie wytrzeszczonymi oczyma, długi, bez rumieńców, nagle stawał na progu, zaciskając drobne usta. Drżącymi nozdrzami wciągał słodkie perfumy niewieście, przyjemne zapachy tytoniu fajkowego i piwa.

— Peter 1 — wołał głośno gospodarz. Goście zrywali się z miejsc, szli wyciągając dobrodusznie ręce, damy dygały przed dziwnym młodzieńcem — carem barbarzyńców — pokazując w niskim pokłonie wspaniałe piersi, podniesione wysoko sztywnymi gorsetami. Wszyscy wiedzieli, że do pierwszego kontre- dansa Piotr zaprosi Annchen Mons. Promieniała ona za każdym razem uczuciem radosnej niespodzianki. Annchen ładniała z każdym dniem. Była w rozkwicie panieństwa. Piotr już sporo umiał po niemiecku i po holendersku, a ona z uwagą słuchała jego rwących się, zawsze pośpiesznych opowiadań, z ręcznie wtrącając słówka.

Gdy jaki chwyt muszkietier, dzwoniąc ogromnymi ostrogami, zapraszał ją do tańca Piotr pochmurniał, garbił się na zydlu śledząc z boku, jak fruwają spódnice beztrosko tańczącej Annchen, jak obraca się jasna główka, jak skłania się ku muszkietierowi jej szyja, okolona aksamitką ze złotym serduszkciem. Serce mocno bolało — tak upragniona, niedostępnie kusząca była Annchen.

Aleksaszka tańczył z poważnymi damami, które ze względu na wiek siedziały beczynnie pod ścianą — piękniś pracował do siódmego potu. O godzinie dziesiątej młodzież się rozchodziła, znikła Annchen. Znamienici goście zasiadali do wieczerzy. Podawano kiszkę, faszerowaną główiznę, zadziwiające jabłka ziemne, przedziwnego smaku i pożywności — zwane kartoflami. Piotr dużo jadł, pił piwo otrząsając się z miłosnego odrętwienia, pogryzał rzodkiewkę, palił tytoń. Nad ranem podsadzał go Aleksaszka na taradajkę. Znowu lodowaty wichur gwizdał w nieprzejranych polach.

— Gdybym tak miał młyn w slobodzie albo garbarnię, jak Timmermann...
To byłoby dopiero... — mówił Piotr chwytając za bok wózka.*

— Jest też czego zazdrościć. Trzymaj się, miłościwy panie, mocniej, rów...

— Głupcze... widziałeś, jak oni żyją? Lepiej niż my.

— I ożeniłbyś się wtedy, wasza miłość...

— Milcz, bo dam w zęby...

— Poczekaj no, znowuśmy zjechali.

— Jutro tłumacz się przed matulą... Idź do łaźni, wypowiadaj się, przyjmuj komunię, boś się strefił. Do Moskwy trza jutro jechać — dla mnie to gorsze niż nie wiem co... Nakładaj szaty uroczyste, pół dnia nabożeństwo, pół dnia siedzenie na tronie z braciszkiem — poniżej Zofki. Braciszкови Waniczce śmierdzi z nosa... Te zaspane pyski bojar

skie — z jakąż przyjemnością bym je trącił butem... Milcz, cierp... Car! Oni mnie zarzną, ja wiem...

— E-e, miłościwy panie, gadasz, też, chyba po pijanemu.

— Zofka to jadowita żmija... Miłosławscy — szarańcza żarłoczna. Szabel ich i pik nigdy nie zapomnę...

Chcieli mnie zrzucić z ganku, ale lud począł strasznie krzyżeć... Pamiętasz? N

— Pamiętam!

— Waśka Golicyn jedno wojsko w stepie wyniszczył, kazano mu powtórnie iść na Krym. Zofka i Miłosławscy nie mogą się doczekać jego powrotu. Mają sto tysięcy... Podjudzą na mnie, uderzą w dzwony.

— Zamknijemy się w Preszburgu.

— Oni mnie już truli. Zbója z nożem nasyłali. — Piotr zerwał się patrząc na wszystkie strony. Ciemność, ani światełka. Aleksaszka chwycił go za pas, usadowił. — Przekłęci, przekłęci!

— Prrr... Macie ją, grobla. — Aleksaszka chlasnął lejcam. Zaświstało w łozinie. Dobry koń wyciągnął na urwisty brzeg. Ukazały się światełka Preobrażeńskiego. — Min herc, strzelców nie wyciągnie teraz żadnym dzwoniem na larum, minęły już te czasy, pytaj, kogo chcesz, zapytaj Aloszkę Browkina, on bywa na slobodach. Nie są oni zanadto radzi twej siostrze...

— Rzuć was wszystkich do diabła i ucieknę do Holandii, zostanę lepiej zegarmistrzem.

Aleksaszka gwizdnął.

— I nie ujrzysz Anny Iwanowny, jak własnych uszu.

Piotr pochylił głowę do kolan. Nagle zakasłał i roześmiał się. Aleksaszka również zachichotał wesoło, chlasnął konia.

— Niedługo cię matula ożeni... Wiadomo, że człek żonaty stoi na własnych nogach. Trochę pocierp jeszcze. Ech, to jeno złe, że ona Niemka, luteranka... A byłoby najprościej, najlepiej... Hę?

Piotr przysunął się do niego, wargi drżały mu z zimna, chciał w ciemności zajrzeć w oczy Aleksaszce.

— A czemu nie można?

- Ale! Zachciało mu się! Anna Iwanowna carową? Czekaj wtedy uderzenia w dzwony...

V

Kuszące spódniczki Annchen powiewały tylko w niedzielę — raz na tydzień bywała radość i hulanka. W poniedziałek cudzoziemcy wkładali dziane kołpaki, pikowane kamizele i pracowali jak pszczoły. Wielkim szacunkiem otaczano wszelką pracę; czy kupiec, czy prosty rzemieślnik: — Uczciwie zarabia na chleb — mawiali podnosząc uroczyście palec.

W poniedziałek skoro świt Aleksaszka budził Piotra i raportował, że przybyli już Brandt, majstrowie i podmajstrzy. W jednej

168

z sal pałacu Preobrażeńskiego urządzono warsztaty okrętowe: Karten Brandt budował modele okrętów wedle rysunków amsterdamskich; Majstrowie — Niemcy oraz uczniowie — podmajstrzy dobrani zgodnie z ukazem spośród dworzan i zdolniejszych żołnierzy Piotra, heblowali, toczyli, zbijali, smarowali smołą niewielkie modele galer i okrętów, ekwipowali je, szyli żagle, wyrzynali upiększenia. Tu również Rosjanie uczyli się arytmetyki i geometrii.

Stuk, głośne rozmowy jak na bazarze, śpiew, ostry śmiech Piotra rozlegały się w ospałym pałacu. Staruszki zamierały. Carowa Natalia Kiryłowna tęskniąc za ciszą przeprowadziła się na koniec pałacu, do przybudówki, i tam wśród dymu kadzidel i migotania lampek rozmyślała o Piotrusiu i modliła się za niego.

Oddane niewiasty powiadały ją o wszystkim, co się działo w Kremlu: — Zofka znowu w piątek ryby żarła, Boga się nie boi... Jesiotrów nawieźli jej z Astrachania sążnistych. A żeby choć najlichszego jesiotrka wam przysłała... Skąpa się zrobiła, służbę głodem morzy... — Opowiadano, że tęskniąc za Wasilijem Wasiliewiczem Zofia wzięła na górę uczonego mnicha Sylwestra Miedwiedie- wa, a ten jest jakoby i galant, i astronom: chodzi w jedwabnej sutannie, z brylantowym krzyżem, błyszczy pierścieniami, podstrzyga brodę czarną jak kruk i pięknie woniejącą. Ma dostęp do Zofki, kiedy chce, i czynią cza-

169

I ry. Sylwester wchodzi na okno, patrzy przez rurę na gwiazdy, rysuje znaki i z palcem przy nosie wyczytuje z nich, a Zofia nałazi na niego piersią i precz pyta: — No jak, no jak? — Wczoraj widziano — przyniósł we worku odcisnięty ludzki ślad, kości i korzonki, zapalił trzy świece, szeptął gorszące słowa i palił na świecy czyjeś włosy... Zofkę trzęsło, wybałuszyła oczy, siedziała blada jak trup.

Natalia Kiriłłowna trzaskając palcami nachylała się ku opowiadającej, pytała szeptem:

— A czyż to włosy on palił? Nie ciemne czasem?

— Ciemne, najjaśniejsza pani, ciemne, jak Bóg na niebie...

— Kędzierzawe?

— Właśnie kędzierzawe... I precz rozmyślamy: czy aby nie palił on włosów serdeńka naszego, Piotra Aleksiejewicza...

O Sylwestrze Miedwiediewie powiadano, iż szerzy on herezję nieboszczyka Symeona Połockiego i jezuitów o Sakramencie. Napisał książkę „Manna”, w której wywodzi i mędrkuje, jakoby nie przy słowach: „Uczyń albowiem”, i następnych, lecz jeno przy słowach: „Bierzcie i jedzcie” — chleb przemienia się w Sakrament. W Moskwie o niczym więcej teraz nie mówią, dysputują biedni, bogaci, w pałacach i na bazarach o chlebie: przy jakich słowach się przemienia. W głowach zamęt, nie wiedzą, jak się modlić, żeby utrafić w moment przemiany. I wielu od tej herezji przerzuca się do raskołu.

Rudy pop Filka chodzi po Moskwie, a gdy ludzie się zbiorą koło niego, każe w zapamiętaniu: — Posłany jestem od Boga uczyć was prawdziwej wiary, apostołowie Piotr i Paweł mnie pokrewni... Żegnajcie się dwoma palcami, a nie trzema: w trzech palcach siedzi bies Kika, co znaczy figa, w niej całe piekło — żegnajcie się figą... — Wielu zaczyna w niego wierzyć i buntują się. A żadnym podstępem złapać go nie można.

Podatki na krymską potrzebę wszystkich wyniszczyły. Powiadają, że na drugą wojnę ostatnią skórę będą zdzierać. Słobody i miasteczka pustoszeją. Lud tysiącami ucieka do raskolników — za uralskie skały, na Pomorze, nad Wołgę, nad Don. Zaś owi raskolnicy oczekują nadejścia Antychrysta — są tacy, którzy go już widzieli. Żeby choć dusze ratować, kaznodzieje raskolników chodzą po siołach i chutorach i przekonują ludzi, by palili się żywcem w stodołach i łaźniach. Wołają, że car i patriarcha, i całe duchowieństwo nasłane jest przez Antychrysta. Zamykają się w klasztorach i walczą z carskim wojskiem, które przychodzi zakuwać ich w kajdany. W klasztorze Paleostrowskim raskolnicy rozbili dwie sotnie strzelców, a gdy im już brakło sił, zamknęli się w cerkwi i spalili żywcem. Pod Chwalińskim, w górach, trzydziestu raskolników zastawiło się w stodole bronami i podobnie spalili się żywcem. I pod Niznim w lasach pałą się ludzie na stosach. Nad Donem, nad rzeką Miedwiedicą zbieg

Kuźma obwołał siebie papieżem, zęga się patrząc w słońce i powiada: — Bóg nasz jest na niebie, a na ziemi nie ma, na ziemi jest Antychryst-car moskiewski, patriarcha i bojarzy, jego słudzy... — Kozacy zjeżdżają się do tego papieża i wierzą mu. Cały Don się burzy.

Takie opowiadania śmiertelnie przestraszały Natalię Kiriłłownę. Piotruś weselił się i bawił nie wiedząc, jakie chmury gromadzą się nad jego głową. Lud zapomniał o pokorze i bojaźni... Żywce się w ogień rzuca, czyż lud taki nie jest straszny!

Natalia Kiriłłowna wzdygała się wspominając krwawy bunt Stieńki Razina. Jakby to dopiero wczoraj było... Wówczas również oczekiwano Antychrysta, hersztowie Stieńki żegnali się dwoma palcami. Natalia Kiriłłowna z niepokojem patrzyła na światelka lampek, wdychając padała na kolana, długo przyciskała czoło do wytartego dywana. Myślała: „Trza Piotrusia ożenić, wyrósł, rzuca nim, pije wódkę, stale z Niemkami, z dziewczynkami... Ożenić go — to się uspokoi... I trza by pielgrzymować z nim i młodą carową do klasztorów, prosić Boga o szczęście, o obronę przed czarami Zofki, o moc przeciwko zaciekłości ludu...”

Ożenić, ożenić należało Piotrusia. Dawniej, gdy przyjdą bliscy tronu — siadywał z nimi choć na godzinkę na ojcowskim tronie, w zapuszczonej sali przyjąć. Teraz na wszystko: — Nie mam czasu! — W sali postawiono kadz o pojemności dwóch tysięcy wiader — puszczają okręciki, w żagle dmą miechami, z armat strzela się prawdziwym prochem. Tron przepalono, szyby w oknie wybito.

Carowa użalała się przed młodszym bratem, Lwem Kiriłłowiczem, który wdychał smutnie: — Cóż, siostrze, ożeń go, gorzej nie będzie... Ot, Łopuchinowie, okolniczy Ła- rion — mają dziewczkę na wydaniu, Jewdokia, w rozkwicie, szesnastoletnia. Łopuchinowie gardłacze, ród liczny, zubożały. Będą koło ciebie jak te psy.

Natalia Kiriłłowna pojechała pierwszą sanna niby na pielgrzymkę do klasztoru Nowo- dziewiczego. Napomknęto Łopuchinom przez pewną niewiastę. Całym licznym rodem w czterdziestu ludzi przypędzili do klasztoru, zapełnili cerkiew — wszystko chude, złe, niskiego wzrostu — skakali na carową oczyma. Jewdokię, półżywą ze strachu, przywieziono pieczołowicie w osłoniętym powozie. Natalia Kiriłłowna zezwoliła jej ucałować rękę. Zbadła. Zaprowadziła dziewczynę do zakrystii i zostawszy z nią sam na sam obejrzała ją całą sekretnie. Panna jej się podobała. Na razie nic nie powiedziano. Natalia Kiriłłowna odjechała — Łopuchinom jarzyły się oczy...

Wśród przykrości i smutku zdarzyła się radość: brat stryjeczny Wasilija Wasiliewicza, książę Borys Aleksiejewicz Golicyn, wróciwszy z wojska krymskiego, spod Połtawy, słuchał nabożeństwa w soborze Uspieńskim akurat w dniu urodzin regentki — najpierw

w oczach Zofii, pijany jak bela, a potem przy stole łąał Wasilija Wasiliewicza: — Zhańbił nas wobec Europy, w altance mu siedzieć i zapisywać szczęśliwe myśli, nie pułki prowadzić! — Zawstydział zaufanych carówny: — Brzuchem myślicie, oczy wam sadłem zalało, Rosji teraz chyba leń ostatni nie weźmie gołymi rękami. — I od tego czasu stał się częstym gościem w Preobrażeńskim.

Patrząc na budowę Preszburga, na ćwiczenia preobrażeńców i siemionowców, nie kiwał drwiąco głową jak inni bojarzy, lecz ciekawił si[^], chwalił. Oglądając warsztaty powiedział Piotrowi:

— Pod Akcją Rzymianie zdobyli okręty rozbójników morskich, a nie wiedzieli, co z nimi począć — oderżnęli od nich miedziane dzioby i przybili je na rostry, niby kolumny. Ale dopiero gdy sami nauczyli się budować okręty i narządzać je, zawojowali morza i cały świat.

Długo rozmawiał z Kartenem Brandtem badając jego umiejętność i radził dla gier zbudować stocznię przy Jeziorze Perejasławskim,

0 sto dwadzieścia wiorst od Moskwy. Przesłał do pracowni wóz ksiąg łacińskich, rysunków, miedziorytów, obrazów — przedstawiających holenderskie miasta, stocznie, okręty

1 bitwy morskie. Dla tłumaczenia ksiąg darował Piotrowi uczonego karła murzyńskiego Abrama z towarzyszami Tomosą i Sieką, również karłami o wzroście: pierwszy — dwadzieścia jeden cali, drugi — dwadzieścia trzy

L- • • < ; • fc.v? i, i* A • ' it■ ... 3fc- . Ely*

i jedna czwarta, odzianych w dziwaczne kaftany i w zawoje z pawimi piórami.

Borys Aleksiejewicz był bogaty i krzepki, umysłu szczególnie bystrego, uczonością nie ustępował bratu, lecz obyczajów luźnych — pił niepomiarkowanie i bardziej niż wszystko lubił zabawy i wesołą kompanię. Natalia Kiriłowna bała się z początku — czy aby nie nasłany przez Zofię? Z jakiej racji taki znamienity magnat od silnych przechyla się ku słabym? Ale dzień w dzień rozłożyła karoca zaprzężona czwórka, z dwoma strasznymi Etiopami z tyłu, grzmi po dziedzińcu pałacowym. Borys Aleksiejewicz — przede wszystkim z hołdami dla carowej matki. Rumiany, z dużym nosem, pod oczami drgają obrzmiałe woreczki, zakręcone wąsiki, przyszyżona broda z przedziałkiem pachnie francuskimi woniami. Patrząc na jego zęby trzeba się śmiać, tak są białe, wesołe...

i— Jak carowa raczyła spędzić noc? Czy aby nie śnił się znowu jednoróg? A ja znowu do was, znowu... Naprzykrzam się. Wybaczcie.

— Ależ zawsześmy radzi, serdeńko. Cóż tam słyhać w Moskwie?

— Nudno, carowo, a już najnudniej w Kremlu. Zamek cały w pajęczynie.

— Cóż też gadasz? A niechże cię...

— We wszystkich izbach bojarzy na ław- . kać drzemią. Nu-uda... Sprawy źle idą, nikt nie okazuje poszanowania. Władczyni nie pokazuje się już trzeci dzień, zamknęła się na

pokojach. Poszedłem polecić swe służby carowi Iwanowi — najjaśniejszy pan leży na przypiecku w lisim futrze, w walonkach, jakiś zasmucony: „Co, Borysie — mówi do mnie — nudno u nas? Wiatr jakoś strasznie wyje w kominach. Może to wróżba?”

Natalia Kiriłłowna domyśliła się wreszcie, że księżę żartuje. Rzuciła na niego okiem i roześmiała się.

— Jenó u was, carowo, można ducha pokrzepić... Dzielnego syna urodziłaś, wszystkich zakasuje z czasem. Oko ma bystre.

Odchodzi, zaś oczy Natalii Kiriłłowny długo jeszcze błyszczą. Wzruszona, chodzi po sypialni i myśli. Tak w szarym deszczowym dniu prześwieca między ciężkimi chmurami jasny błękit ze słońcem. Widać, tron Zofki nie jest mocny, skoro takie orły odlatują odeń...

Piotr polubił Borysa Aleksiejewicza, przy spotkaniach całował go w usta, radził się w wielu sprawach, pożyczał od niego pieniędzy, a księżę niczego nie odmawiał. Często wyciągał Piotra z generałami, mistrzami, ordy- nansami i karłami na Kujuk na wycieczki i zabawy, obmyślał niezwykle uciechy. Podniecony wódką, nieraz porywał się z miejsca — jedna brew mu zwiślała, druga unosiła się ku górze, błyszczały mu zęby, a nos czerwieniał. I cytował Wergiliusza po łacinie:

— „Chwalmy bogów, napełniających szczyt kubki winem, serca radością — a dusze błogim pokarmem...”

Piotr z zachwytem patrzył na niego. Za oknami wiał wiatr pędząc przez tysiące wiorst, przez równiny, dziewicze bory, bagna — tylko gdzieś zedrze słomę z kurnej chaty, przewróci w zaspę pijanego chłopca, brzęk- nie przemarzłym dzwonem na pochylonej dzwonnicy. A tu — potargane peruki, czerwone twarze, błyszczą głowy ostrzyżone, kłębi się dym z długich fajek, trzeszcza świece. Gwar. Radość...

— Powołuję synkilit pijacki niezachwianiel — zawołał Piotr.

Natychmiast rozkazał Nikicie Zotowowi napisać ukaz: „Od dnia dzisiejszego polecam wszystkim opojom i narwańcom zbierać się w niedzielę, by pospólnie cześć bogom greckim oddawać”. Lefort zaproponował, by zabrania odbywały się u niego. I tak się zaczęło: Zotow, największy pijanica, otrzymał godność arcypasterza i flaszę zawieszoną na szyi na łańcuchu. Aleksaszkę sadzano w całym bezceństwie na beczce piwa, a on śpiewał takie bezwstydné piosenki, że brzuchy bolały ze śmiechu.

Wiść o tych schadzkach doszła do Moskwy. Bojarzy poczęli szeptać w przestkach: — Przeklęci Niemcy na Kujuk car doszczętnie rozpili, urągają i bluźnią. — DoPre- obrażeńskiego zjechał nabożny starzec, księżę Priimkow Rostowski, złożył carowi czołobitność i gadał całą godzinę — kwieście, mową starosłowiańską — jak strzec bizantyjskiej świetności i bogobojności, na nich stoi Rosja. Piotr słuchał w milczeniu. (Grał z Alek-

saszka w szachy w sali jadalnej. Był zmrok.) Potem odepchnął szachownicę i jął przechadzać się gryząc zadrę na palcu. Książę wciąż gadał podnosząc rękawy ciężkiego futra — długobrody, wyschnięty. Nie człowiek — cień uprzykrzony, ćmiący ból zębów, nudał Piotr pochylił się do ucha Aleksaszki, który pry-chnął jak kot i odszedł szczerząc zęby. Niedługo podano konie, Piotr kazał księciu wsiąść do sań i zawiózł go do Leforta.

Przy stole na wysokim krześle siedział Nikita Zotow w papierowej koronie, w rękach trzymał faję i jajo gęsie. Piotr skłonił mu się bez uśmiechu i poprosił o błogosławieństwo, zaś arcypasterz błogosławił go solennie na pijaństwo fajką i jajem. Wszyscy wtedy (dwudziestu ludzi) jęli śpiewać hymny nosowymi głosami. Książę Priimkow Rostowski, nie chcąc uchodzić przed carem za zacofańca, przeżegnał się skrycie pod połą futra i splunął nieznacznie. Ale gdy na beczkę wszedł nagi człek z czaszą, a car i wielki książę Wielkiej i Małej, i innych ziem, wskazawszy nań palcem, przemówił grzmiąco: „Oto bóg nasz Bachus, któremu cześć oddajemy” — książę Priimkow Rostowski zmartwił i zachwiał się na nogach. Nieprzytomnego starca odniesiono do sań.

Od tego dnia Piotr kazał nazywać Zotowa najopojniejszym papieżem, arcykapłanem boga Bachusa, a zebrania u Leforta zborem naj-szaleńszym i wszechopojnym.

Wieści o tym doszły do Zofii. Zgniewana,

178

...

posłała do Piotra jednego z bliskich tronu bojarów, Fiodora Juriewicza Romodanowskiego. Wrócił on z Preobrażeńskiego zamyślony.

Doniósł władczyni:

— Dużo tam zabaw i zbytków, ale i pracy dużo. W Preobrażeńskim nie śpią..

Nienawiścią, przykrym strachem wezbrało serce Zofii. Nie zdążono bodaj obejrzyć się, a tu podrosł wilczek...

VI

Niespodziewanie przybył z Połtawy Wasilij Wasiliewicz. Jeszcze nie dniało, a już w zamkowych sieniach i przejściach nie sposób się było przecisnąć. Zgiełk jak w ulu. Zofia nie spała w nocy. Suknie haftowane złotem, pokryte siatką perłową, ważące przeszło pud, barmy * całe w rubinach, szmaragdach i diamentach, naszyjniki, złoty łańcuch — zginały jej ramiona. Siedziała przy oknie zaciskając usta, by nie drżały. Wierka, przyboczna niewiasta, chuchała w zamarznąłą szybę.

— Matuchno najdroższa — jedzie!

Ujęła carównę pod łokieć. Zofia spojrzała: po śniegu, spadłym w nocy, pędziła tęgim kłusem od Bramy Nikolskiej szóstka siwo- jabłkowitych koni, z kitami na głowach,

\

■ 1

—i''''''*/unn*t\ Upr/Af/y / f//Aot>7>/f(i) ' r^b* /u n i', koñmi tnkM ShuUy w \fyt>,
tsnecti, V r///((//Af'A 7. ÓUttyi, 7. f)fo
| Przy drzewczkach niskie) k^fU//
y/jtrffl_v j/j/|^ <A\'-A','/hi>. V/ 'l'■■■/,<Y/,<iycjfc
bnuiorwMi krótkich oponczach, YMrffmU ■^y' [pt'M'A Oieiwonym (MftkWfñ. Mechu, (u\', efawwMf rzactte
%\a
wy&tórM ksiĄCie,,
Wtofiry/yf,; zorriglUo OCiy> V/U*t/o ZtUSTWU ja ^Oif/. /foś/. / r_v ^kis stęsknił*§Uf/ rmf if Zoffcl
'/MG%rypkii&t y/Urt k*}, podn < (y/MpkA %fon0M&Cti4,,; óhaczyU) W&§>\Vt&Wi&Z& ÓOpi&tÓ
WÓWCzś\$, gdy WChodzlit Tin Uf/n W §&M ^tbrtOY/iło/f, '/•/ świecznikach pn\Ay w/- *Okle \,o\nr/y
ZMi4Ć) i nn , On
fwł, WgtyMrrl--/O&Mnny, w<ęflA#&h \n'/^r/ ^V> (a/U*, §U>CZyty: hroóis i wraśy ZeptiłZCZOMt MZJ
/.i'iwttfZ WA\nwni, pf
Włftsy W/miy pińsko m gł&wi*,,
%0fi& leć l/Tt /A'Anin w%ir//Y/.y. ZstłMjffš z pOTfy/iy (t}k<: [,*-łr>/i, gryręą, mocno opWA w
przegubie, Pty.yktykrtaw&zy ksiĄią pocalo^ (UA_krtfiJ foj Chropawymi wnrytwi, NI* tego tn, zekiwnstn Zofln)
wzdryp^fl fcf',; jnkfty ptVM'/ U y/i \nc cxtk y.ityAb,
WUtiCli&Wy m&/\ Wióziat f i'; M&M WmiUfa Wmltt&vńcwj tyczymy óowfoMieć f //h zdrowie,,.
(0(ikti&/lffj)# ni^wt nie, nłry %tmnā& rhtypkt;.) Czy hAg Mogod*' Wit tipfow/tr) un*,/(T(i, /Wpjeibffty f\
pt/Wt*'
W,
Mwy/.inin /.i/As>, f/yU, ftw&iwńm&i ' f, e' ojcOW§kUr,, przyozófAtUnr/w y/M/^/w
/ tyto, v_r fi^trfuf, ', ^:, W>
'}f,TW\i t ymUw, vAi*:,;A_t cM
n \A*-M_t <n ty',;:?cztipksć;,, m trti/r f,ytra tepo&mi,z n mm " -n
hTf unnifny w my,, m^M rr/.yMf/pn\f/<f< f
mo_f U(mn< bft ' wwmytu Śtikmm, Ofst/y-
mi0 /akUa* 7, ptz
snr/Tu f t.Mnutfm\nU',tn Mzmyfckteh wmfZf, Wotłij Wdźsttewfeż <tfucMj klęcząc % optm- (7/m glewą,
f(d(//m/m\
'/Sftin % Vf/ftf//,y\n, V/>*A i) W Mil, po> \ Ó7jawk/&t STAUMI rff, p/y^nwf/r/ńif fsijmy psważrrie p&dZH
m i \$kU> fUrif, krmio, Hpfown ófAr/,in Ar, twjo, co W&źnte\w/Ai po co pi'Ay oj unr< Wmitij %\\f*/u\ f /,
zęż&wat h&ĆJrwcio i nteMnte m im- tiy) y.rm \om yf U iwbr/.y mche jzk m finch, mitrfl/łnnf* /s-.twon/At:,
mbfzmfale 00 pfć//Mfoetwt>, ry/An 0mt&zę%0mt pochyliłi f>npTy/>Tt y/ oczekiwaniu, <o r/^kriie książę
Ćotrifrn iąc do ich WaMill) Wfr
%iYt*rvócy. pTffWmUii rwy. ok/Anie: — Jestem f/rt%y,/in mt/irm i ftitiga, t/i/Acy mon nr Chowie, trfff//lt,
Uljq wtrn cy/At-tft, wMcy mon&ićHó* carowie, i piw/j}, obycfo mnie, rat/f/wi wnuY^irnt, '//nic*-, y.
t/ywory.y%yarffñ, oYny.ywah nnfot y/n%/A, wiotkich rrejrmctt/tw, <■)■>.k*% lak nó iwyl/ i yJfFA)
pf/tAni: wojsku
jztznu C&f&ki&ftiu, nfc/.wycięt/memii i /.uyUg• Uhle//>0y obrn/. UUrpttkninnPi),
Władczyni Matki Hf/skie), KtOlow*) Młotitr

dzia i Wiekuistej Panny Marii z klasztoru Dońskiego, aby Niepokalana Matka Boska sama pułkami dowodziła, od wszelkich napaści broniła i nad wrogami waszymi cudowne i prześwietne zwycięstwo i przewagi objawiła...

Mówił długo. Z zaduchu, z bojarskiego potu świetlna mgła tworzyła się nad świecami opływającymi woskiem. Skończył o obrazie Dońskiej Matki Boskiej. Bojarzy, pomyślawszy dla porządku, zdecydowali: posłać. Westchnęli z ulgą. Wówczas Wasilij Wasiliewicz już twardo jął mówić o sprawie głównej: wojsku już trzeci miesiąc nie wypłacono żołdu. Cudzoziemscy oficerowie — na przykład pułkownik Patryk Gordon — obrażają się, miedziane pieniądze rzucają na ziemię, żądają zapłaty srebrem, a w ostateczności choćby sobolami... Ludzie się obdarli, walonek brak, całe wojsko chodzi w łapciach, a i tych braknie. A w lutym — zacznie się pochód. Żeby znowu sromu nie było.

— Ile pieniędzy żądasz od nas? — zapytała Zofia.

— Pięćset tysięcy w srebrze i złocie.

Bojarom dech zaparło. Niektórym powypadały z rąk laski i kostury. Wszczęli krzyk. Zrywali się, uderzali rękami po bokach: — Co się dzieje! — Wasilij Wasiliewicz patrzył na Zofię, zaś ona odpowiadała mu pałającym wzrokiem. Zaczął mówić jeszcze śmie- lej:

— Były u mnie w obozie dwie osoby z War

szawy, mnichy, jezuici. Mają pismo od króla francuskiego. Proponują wielką rzecz. Wy (powstał i złożył ukłon Zofii), najjaśniejsi monarchowie, możecie mieć z tego wiele korzyści... Mówią oni tak: na morzach teraz dużo korsarzy, francuskie okręty są w wielkim niebezpieczeństwie, gdy płyną naokoło świata, dużo towarów idzie na marne. A przez ziemie rosyjskie droga na wschód prosta i łatwa — i do Persji, i do Indii, i do Chin. Wy- powiadają, i tak nie macie czym towarów wywozić. Kupcy moskiewscy nie mają pieniędzy. A kupcy francuscy są bogaci. I miast bezpożytecznie strzec granic — puśćcie naszych kupców na Syberię i dalej, gdzie zechcą. Przeprowadzą oni drogi przez błota, oznaczą je słupami wiorstowymi, urzędzą zajazdy. Na Syberii będą kupowali futra płacąc za nie złotem, a jeśli znajdą rudę, to urzędzą nam gornictwo.

Stary książę Priimkow Rostowski nie wytrzymał i przerwał Wasilijowi Wasiliewi- - czowi:

— Ze swoimi heretykami z Kukuju nie wiadomo, co począć. A ty nowych chcesz nam na kark zwalić...

Koniec prawosławiu!...

— Ledwośmy się Anglików pozbyli za nieboszczyka cara — wykrzyknął członek Dumy Boborykin — a teraz mamy iść pod Francuzów? Nie może to być!

Inny, Zinowiew, zaczął mówić z wściekłością:

— Powinniśmy mocno obstawać przy tym,

by pychą zastarzałą cudzoziemców zniweczyć do szczeru,, A nie oddawać im rzemiosło i handel,, Żeby ich upokorzyć. Myśmy trzecim Rzymem!

— Prawda, święta prawda! — krzyknęli bojarowie,

Wasilij Wasiliewicz spoglądał wokoło, oczy rozjarzyły mu się gniewem, nozdrza drżały,,

— Nie mniej niż wy boleję nad państwem,.. (Podniósł głos.) Piersi... (Uderzył pierścieniami w kolczugę.) Piersi szarpałem pazurami, gdy się dowiedział, jak bezcześcili francuscy ministrowie nasze wielkie poselstwo Dołgo-rukiego i Myszeckiego. Pojechali z próżnymi rękami po pieniądze — i jeno cześć utracili.. (Wielu bojarów poczęło mocno sapać.) A gdyby przedstawili pewne korzyści królowi francuskiemu — trzy miliony liwrów dawno by leżało w skarbcu Wielkiego Pałacu, Jezuici przysięgali na Ewangelię, że jeśli tylko najjaśniejsi monarchowie przyjmą ich projekt, a Duma potwierdzi, to już oni poręczają głow[^] te trzy miliony liwrów, które otrzymamy jeszcze przed wiosną...

— Cóż, pomyślcie o tym, bojarzy — rzekła Zofia — sprawa to wielkiej wagi.

Łatwo rzec — myśleć o takiej sprawie... Był kiedyś czas rzeczywiście, po wielkich zamieszkach, gdy cudzoziemcy rzucili się na Rosję jak sępy. Zagarnęli rzemiosło i handel obniżyli ceny. Szlachta musiała oddawać pra- wie darmo len, konopie, zboże i wszelką inną żywność. I oni właśnie, cudzoziemcy, nauczyli ludzi rosyjskich odziewać się w hiszpański aksamit, holenderskie płótno, francuskie jedwabie; jeździć karetami i siadać na włoskich krzesłach. Za nieboszczyka Aleksego Michaj- lowicza zrzucano cudzoziemskie jarzmo. Sami będziemy wozic przez morze towary. Sprowadzono z Holandii mistrza, Kartena Brandta, zbudowano z wielkim trudem okręt „Orzeł” — i na tym się skończyło: nie znaleziono ludzi zdatnych do żeglarstwa. A i pieniędzy było mało. No i kłopot „Orzeł” zgnił stojąc na Woldze pod Niżnim Nowgorodem. I znowu pchają się cudzoziemcy, próbują rękę po łokieć wsunąć do rosyjskiej kieszeni Co tu wymyślić? Na wojnę z chanem pięćset tysięcy rubli wyłożyć trzeba — Goli cyn bez pieniędzy nie pojedzie. Jak on zmyślnie potrząsnął tymi trzema milionami! Aż poty na człeka biją od myślenia..

Zinowiew, zagarnawszy brodę w rękę, rzekł:

— Nałożyć by jeszcze podatek jaki na sło- body i miasta... No, choćby na sól...

Książę Wołkoński, starzec bystrego dowcipu, odpowiedział:

— Nie ma jeszcze podatku na łapcie...

— Prawda, prawda — zakrzyknęli bojarzy — chłopci po dwanaście par łapci na rok znoszą, nałożyć daninę po dwa grosze od pary — i chan będzie pobity...

Ulżyli sobie bojarzy. Postanowili sprawę. Jedni ocierali pot z czoła, drudzy kręcili młynka, sapani. Jeszcze inni z ulgą puszczaali®

HHHHHI

|RM

li w szubą złe powietrze. Przechytrzyli Wasilija Wasiliewicza. On się nie poddawał, zerwał się naruszając ceremoniał, uderzał las- ką. : JJ

—, Szaleńcy! Nędzarze, rzucacie w błoto bo- gactwa! Głodomory, odpychacie rękę podającą wam chleb... Cóż to takiego, czy Bóg zamroził wam głowy? We wszystkich chrześcijańskich krajach — a są takie, co powiatu naszego nie warte — tuczy się handel, narody się bogacą, wszyscy szukają pomnożenia dochodu. Tylko my jedni drzemiemy bez końca... Lud rozbiega się z rozpaczą jak podczas dżumy. Lasy pełne rozbójników. A i ci uciekają, gdzie oczy poniosą. Niedługo ziemia rosyjska nazwana będzie pustynią! Szwedzie, Angliki, Turczynie, przyjdź i władaj...

Niezmierny gniew wycisnął Wasilijowi Wasiliewiczowi Izy z niebieskich oczu. Zofia, wczepiwszy paznokcie w poręczę, przechyliła się na tronie — policzki jej drżały.

— Francuzów nie ma co puszczać — przemówił basem bojarzyn, księżę Fiodor Jurie- wicz Romodanowski. Zofia wbiła w niego wzrok. Bojarzy ucichli. Kołysząc brzuchem, aby spełznąć na koniec ławki, powstał: krótkonogi, z szerokimi plecami, z małą, przy- Uzaną głową, schowaną w ramionach. Chłód przejmował, gdy się patrzyło w jego ciemne, zezowate oczy. Brodę zgolił niedawno, wąsy miał podkręcone, haczykowaty nos zwiisał nad jego grubymi wargami. — Kupców francuskich nie potrzebujemy: obedrą, zdejmą osta

186

H

tnią koszulę... Tak... Ot, niedawno byłem w Preobrażeńskim u cara. Zabawa, zbytki... Prawda. Ale i zabawa bywa rozumna. Niemcy, Holendrzy, mistrze, marynarze, oficerowie znają rzemiosło. Dwa pułki — Siemionowski, Preobrażeński — to nie nasi strzelcy. Kupców cudzoziemskich nie chcemy, ale bez cudzoziemców obejść się nie można. Zakładać hutnictwo, tkactwo, garbarstwo, szklarstwo. Budować tartaki pędzone wodą, jak na Kukuju. Budować flotą — tego nam potrzeba. A że uchwalimy dziś podatek od łapci... a niechże was, uchwalajcie, mnie wszystko jedno.

Jakby zgniewany, poruszył tłustą twarzą, podkręconymi wąsami, cofnął się, usiadł na ławce. W tym dniu Duma bojarska nic ostatecznie nie uchwaliła.

VII

W mroźny wieczór sporo gości zgromadziło się w austerii. Głupkowaty sługa stale dorzucał brzoźowych drewek do ogniska — Ho, a to gorąco u ciebie, Monsl — Goście 9rali w kości, w karty, śmieli się, śpiewali. Johann Mons otworzył czop w trzeciej beczce piwa. Zdjął watowaną kamizelkę i chodził tylko w kaftaniku. Kark mu zniebieszczał. — Hej, Johann, wyszedłbyś trochę na mróz, krew cią zalewał — Mons uśmiechnął się w roztargnieniu, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje. Hałas rozmawiających dolatywał do

Iniego jakby z daleka, oczy zachodziły łzami. Chwycił dziesięć kufli piwa — nie mógł ich podnieść, rozlał. Przez ciało pełzła niemoc. Pchnął drzwi, wyszedł na dwór i wsparł się

0 słupkę obdachu. Wysoko, w trzech ogromnych tęczowych kołach, zwiślał lodowaty księżyc. Powietrze pełne mroźnych migocących igieł... Śnieg — na ziemi, na krzewach i na dachach. Obca ziemia, obce niebo, śmierć na wszystkim. Oddech stał się krótszy. Coś zbliżało się ku niemu z niepojętą szybkością... Ach, żeby choć jeszcze raz spojrzeć na ojczystą Turynię — na zaciszne miasteczko w dolinie nad jeziorem między górami!... Łzy popłynęły po policzkach. Rżnący ból chwycił za serce... Namacał drzwi, z trudnością je otworzył, a światła świec, drgające twarze gości wydały się szare jak popiół. Pierś zafalowała, wydała jęk i Mons padł...

Tak umarł Johann Mons. Śmierć jego na długo przejęła wszystkich Niemców bólem

1 zdumieniem. Zostały po nim: wdowa Matylda, czworo dzieci i trzy zakłady — austeria, młyn i sklep jubilerski. Starszą córkę, Modestę, udało się, chwała Bogu, tej jesieni wydać za mąż za godnego czelaka, porucznika Teodora Balka. Pozostawały sieroty, Anna i dwa maleństwa, Filimon i Willim. Jak często bywa, po śmierci głowy domu sprawy majątkowe okazały się mniej świetne, niż się wydawało, wyszły na jaw zobowiązania dłuż- nicze. Wypadło oddać za długi młyn i sklep jubilerski. Lefort wiele pomógł w tym ciężkim czasie pieniędzmi i staraniami. Dom z austerią pozostał przy wdowie. Matylda wraz z Annchen płakały gorzko we dnie i w nocy.

VIII

Mamuniu, wołałaś mnie?

— Siądź, aniele, Piotrusiu...

Piotr przycupnął na taborecie patrząc ze złością na sypialnię matki. Natalia Kiriłłowna siedząc naprzeciw niego uśmiechnęła się przyjaźnie. Och, jakież brudny! Ubranie podarte. Palec zawiązany gałgankiem. Włoski zwichrzony. Cienie pod powiekami, oczy niespokojne.

— Piotrusiu, aniele mój, nie gniewaj się, wysłuchaj...

— Słucham, mamuniu...

— Chcę cię ożenić...

Piotr zerwał się gwałtownie, wymachując rękoma począł biegać od promiennych oblicz świętych do drzwi, tam i sam po sypialni. Usiadł. Szarpnął głową. Duże stopy zwrócił palcami do środka.

— Z kim?

— Upatrzona jpz taka pieszcotka — biały gołąbek...

Natalia Kiriłłowna pochyliła się nad synem, pogłaskała go, chciała zajrzeć w oczy. Uszy Piotra zalał mocny rumieniec. Wyśliznęła się spod jej ręki i zerwał się.

— Ależ Ja nie mam czasu, mamuniu... Naprawdę, mam pilną sprawę... Ale jeżeli trzeba — to żeń. Ja mam Inne kłopoty...

Zawadziwszy ramieniem o podwoje, chudy, zgarbiony, pobiegł jak szaleniec przez sienie trzasnąwszy drzwiami gdzieś w dali.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Iwaszka Browkin (ojciec Aloszki) przywiózł sanna drogą do Preo brażeńskie wóz mrożonego ptactwa, mąki, grochu i beczkę kapusty. Była to danina w żywności dla Wasilija Wołkowa — rządcą zebrał ją z wioski i żeby dobro nie marnowało się, kazał zawieźć panu na miejsce służby, do pałacu, gdzie Wołkow jako dworzanin miał izdebkę z komorą.

Wjechawszy na dziedziniec Iwaszka Browkin przestraszył się i zdjął czapkę. U podjazdu stało mnóstwo bogatych sanek i powozów i Pięknie odziana czeladź rozmawiała stojąc po kilku na porannym mrozie; konie przyozdobione wilczymi i lisimi ogonami, Igrając, biły kopytami o czysty śnieg, zastałe ogiery gniewnie rżały. Wróble krzątały się koło parującego nawozu.

Po schodach wchodzili i schodzili dworzanie w złocistych kaftanach i oficerowie w cudzoziemskich mundurach z czerwonymi wyłogami, z kobiecymi kędzierzawymi włosami. Iwaszka Browkin poznał między nimi swego pana — Wasilij Wołkow poprawił się na car-

syty hul- barczysty

skim stole, bródka mu się kędzierzawiła, chodził poważnie, trzymając się za pas.

„Ech, zatrzymają mnie, źle trafiłem” — po; myślał Iwaszka. Zdjął koniowi uzdę i rzucił mu • siana. Podszedł carski pies, popatrzył srogo na Iwaszkę żółtymi oczami, zaszczekał. Iwaszce z przymilenia wygładziły się wszystkie zmarszczki: „Psino, serdeńko, czego ty, czego ty?...” Bogu chwala, odszedłH taj, nie ugryzł. Obok przeszedł J koniuch.

— Cóż ty, włóczęgo, chcesz tu obozować może? i

W tej chwili, dziękować Bogu, koniucha odwołano, inaczej Iwaszka nie uszedłby cało. Siano sprzątnął i z powrotem nałożył koniowi uzdę. Wtem zadzwoniono uroczyście z pałacowej wieży. Służba zaczęła się krzątać — jedni dosiedli szpicowych koni, inni powska- kiwali na tylne kozły, szerokozadzi stangreci ze zwierzęcymi gębami prostowali lejce... Na każdym stopniu schodów stali dworzanie w czapkach na bakier, Z pałacu ruszył orszak: młodzieńcy z obrazami i pustymi talerzami — drogie czapki, zielone, brokatowe, czerwone aksamitne kaftany i futra rozplamieniły się na śniegu pod brzożami obsypanymi szronem. W poczuciu obyczajności Browkin począł się żegnać. Wyszli bojarzy. Z nimi niewiasta w kilku futrach, co jedno, to droższe. Pod rogatym kokosznikiem brwi mocno ubielone, powieki niebieskie, umalowane do skroni, policzki uróżowione na wiśniowo... Oblicze

jak blin. W rękę gałązka jarzębiny. Piękna, wesola, widocznie podchmielona. Prowadzono ją z ganku pod ręce.

Służące pałacowe przebiegając koło Iwaszki mówiły:

— Swatka, uważasz, mateczko?

— Przyjechała sypialnię szykować.

— Pościel ślać młodym.

Koniuchy wrzasnęły na konie, dźwięk dzwoneków przepełnił powietrze, zaskrzypiały płozy, szron posypał się z brzoż — orszak pomknął przez równinę ku niebieskim dymom Moskwy. Iwaszka patrzył z otwartymi ustami. Ofuknięto go surowo:

— Ocknij się, gapiu...

Stał przed nim Wasilij Wołkow. Jak przystało panu — brwi gniewnie ściągnięte, oczy srogie, przenikające.

— Coś przywiózł?

Iwaszka pokłonił się w śnieg, podał list od rządcy, wyjęty z za pazuchy. Wasilij Wołkow wysunął nogę, zmarszczył się i począł czytać:

„Jaśnie Oświecony i Miłościwy Panie, posyłamy zapasy dla stołu Waszej Miłości. Wybacz, na Boga, że nie tyle jak poprzedniego roku: gęsi mniej, a indyków wcale nie ma. Ludziska w wiosce Waszej Miłości całkiem zbiednieli, pięciu chłopów uciekło teraz, nie wiemy nawet, jak się wyliczyć przed Tobą. A poniektórzy ledwie żywi z głodu, chleba tylko do Pokrowy starczyło, jedzą lebiodę. Z tej przyczyny niedobór się wydarzył”.

Wasilij Wołkow skoczył do wozu.

— Pokaż! — Iwaszka trzęsąc się ze strachu odkrył wóz. Gęsi chude, kury sine, mąka gru- dowata... — Coś ty przywiózł? Coś ty mi przywiózł, psie parszywy! — wrzasnął dziko Wołkow. — Okradacie mnie! Rozpuściliście ślę — Porwał z wozu bat i Jął nim okładać Iwaszkę, który stał z gołą głową, pokornie, tylko oczami mrugał. Chłopak przebiegły był i rozumiał: zdarzyło się nieszczęście, niech sobie pochlasta, przez kozuch nie boli.

Biczysko się złamało. Podniecony Wołkow chwycił Iwaszkę za włosy. W tym czasie z pałacu wybiegło dwóch w kaftanach wojskowych. Iwaszka pomyślał: „Idą mu pomagać, no, przepadłem...” Przedni, ten niższy, nagle wpadł na Wołkova, uderzył go w bok... Pan omal nie upadł, puścił włosy Iwaszki. Drugi, wyższy, niebieskooki, z podługowatą twarzą, roześmiał się głośno. I wszyscy trzej zaczęli się kłócić i łajać, Iwaszka przestraszył się nie na żarty, znowu ukląkł. Wołkow hałasował:

- Nie daruję zniewagi! Obaj moi chłopci! Każę ich bić bez miłosierdzia... Car mnie uczył nie będzie..

Wówczas niebieskooki przerwał mu mrużąc oczy:

- Poczekaj, poczekaj, powtórz no... Car cię nie będzie uczył? Alosza, słyszałeś niegodziwe słowo? (Do Iwaszki:) A ty słyszałeś?

- Zaczekaj, Aleksandrze Daniłyczu... - gniew od razu spłynął z Waški Wołkova. — Wypowiedziałem te słowa w zamroczeniu...

dalibóg w zamroczeniu... Przecie to mój własny chłop, omal mnie na śmierć...

- Pójdziemy do Piotra Aleksiejewicza, tam się sprawę rozsądzi.

Aleksaszką ruszył do pałacu, Wołkow za nim — w połowie drogi uczeplił się go za rękaw. Trzeci nie poszedł z nimi, został przy wozie i rzekł cicho do Iwaszki:

—Tato, przecie to ja... Nie poznałeś? Ja, Alosza...

Iwaszkę przejęła bojaźń. Popatrzył z ukosa. Przed nim stoi piękny młodzian, ubranie z drogiego sukna, guziki błyszczące, sztuczne włosy do ramion, pałasz przy boku. Może to i Alosza... Co tu począć? Iwaszka odpowiedział dwuznacznie:

- Juści, jakie nie poznać... Przeciem ojciec...

- Witam, tato.

- Witam cię, dobry młodzieńcze.

- Jak tam w domu u nas?

— - Bogu dzięki...

— Jakże tam życie?

— Bogu dzięki...

— Tato, wy mnie nie poznajecie...

— Wszystko być może...

Iwaszka widząc, że bicia i dręczenia więcej nie będzie, włożył czapkę, podniósł złamany bat i zaczął gniewnie nakrywać wóz. Młodzian nie odchodził, przyczepił się. A może to naprawdę zaginiony Aloszka? Ało co z tego, wysoko widać ptaszek zaleciał. Poznać go to nic mądrego • -- przyzwoiciej nie pozna

wać... A przecie oczy Iwaszki zaczęły się mrużyć przebiegle.

— Trza by mi do Moskwy, stara kazała soli kupić, a tu ani grosika... Może byśta tak dali ze dwa ałtyny albo z osiem kopiejek, u nas nie zginie, swoi ludzie, oddamy...

— Tato, kochany...

Aloszka wyciągnął z kieszeni garść, i to nie miedziaków — srebro, ze trzy ruble albo więcej. Iwaszka zaniemówił. Dopiero gdy wziął te pieniądze do ręki, zaskorupiał jak dzban — zatrzęsł się, a kolana same zgięły się do ukłonu... Aloszka machnął ręką, uciekł. „Ach, synku, ach, synku” — zawodził z cicha Iwaszka. Przymrużone oczy jego pośpiesznie badały, czy aby kto z czeladzi nie zobaczył tych pieniędzy. Dwie monety wsunął dla pewności za policzek, resztę do czapy. Prędko wyładował wóz i oddawszy żywność za potwierdzeniem słudze pańskiemu, popędził, poganiając lejcamy, do Moskwy.

Źle by się przysłużyły Waśce Wołkowowi słowa jego: „Car mnie uczył nie będzie” — zapoznałby się z oprawcą w Urzędzie Spraw Tajemnych, lecz wszedłszy do sieni za Alek- saszka uwiesił się u jego ramienia, włókł się po podłodze i płacząc ubłagał, że przyjęto odeń pierścień z rubinem — ściągnął go z palca...

— Pamiętaj, łajdaku, szlachetko — wyrzekł Aleksaszka kładąc drogi pierścień na palec — ratuję cię po raz ostatni. Ale musisz odszkodować jeszcze Aloszkę Browkina za zelżywość pieniędzmi czy sukniem. Zrozumiałeś?

Spojrzał na rubin, z uśmiechem potrząsnął peruką i poszedł na toczonych obcasach, kołysząc ramionami. A czy tak dawno jeszcze darli mu ludzie na bazarach włosy, poczuw- szy w pierogach zepsutą dziczyznę! Ach, jakąż potęgę zyskał ten człowiek!... Wołkow powlókł się ponuro do swej komórki. Z hałasem otworzył skrzynię, wyszukał uważnie sztukę sukna. Zrobiło mu się przykro, omal nie płakał... Dla kogo to? Obdarowywać chłopskiego syna, chama, którego by należało batem przez pysk obdarować! Przeboleł. Wezwał służącego.

— Odniesiesz doboszowi pierwszej Preobra- żeńskiej kompanii, Aleksemu Browkinowi; powiedz, że przesyłam ukłony, aby przyjaźń była między nami. — Nagle, zacisnąwszy pięść, rzekł groźnie do sługi: — Nie szczerz mi zębów, bo jak wyrznię w zęby... Z Aloszką rozmawiaj delikatnie, po ludzku, ostrożnie: ten podlec teraz niebezpieczny.

Aleksaszka Mieńszykow szukał Piotra we wszystkich izbach, gdzie służba przyozdabiała świąteczne ławy i parapety okien; rozkładano dywany, wieszano zleżale od wielu lat kotary i haftowane perłami ozdoby na obrazy. Nalewano oliwę do lampek. W całym pałacu panowała bieganina i hałas.

Znalazł Piotra w sypialni, którą dopiero co przygotowała swatka — bez warstwy zie-

mi na powale (żeby młodzi nie spali pod ziemią, jak w mogile). Piotr był w małym stroju ceremonialnym. W rękę miał jeszcze jedwabną chusteczkę, podaną mu przez swatkę przy spotkaniu. Chusteczkę pogryzł zębami w strzępy. Piotr spojrzął na Aleksaszkę przelotnie i zarumienił się.

— Piękne urządzenie — powiedział Aleksaszka śpiewnie — przygotowano jakby dla aniołów w raju.

Piotr rozwarł zęby i zaśmiał się krótko. Wskazał na pościel. •-■ — Co za bzdury...

— Jeśli młoduca okaże się ładna, jurna, to nie bzdury... Niech pękne, min herc, nie ma nic słodsze...

— Zmyślasz wszystko...

— Znam to od czternastego roku... A jakie ja źdźziry spotykałem! A twoja, powiadają, prześliczna...

Piotr westchnął krótko. Znowu obejrzał bierwionową sypialnię z kolorowymi okienkami wyrąbanymi w górze, w trzech ścianach. Dywany teherańskie na ścianach, podłoga przykryta dywanem z ptakami i jednorożcami. W narożniki wbito strzały, na każdej z nich zawieszono po czterdzieści soboli, na ostrzach — kołaczki. Jedwabną pościel z mnóstwem poduszek w perłowych powłóczkach ułożono na dwóch zestawionych razem ławach, na dwudziestu siedmiu snopach żyta, na siedmiu pierzynch. Na pościeli leżała futrzana czapa. W nogach — skóry kunie do

198

przykrywania się. Koło pościeli ustawiono beczki lipowe z pszenicą, żytem, owsem i jęczmieniem.

— Cóż, nie widziałeś jej przecie? —■ zapytał Piotr.

— Przekupiliśmy z Aloszką czeladź i wleźli na dach. Nie można. Narzeczona siedzi w ciemnościach, matka nie odchodzi od niej ani na krok — boją się uroku... Śmieci nie kazano z jej świetlicy wynosić. Stryjce Łopuchinowie chodzą po dziedzińcu dniem i nocą z szablami i piszczelami.

— O Zofii dowiadywałeś się?

— No cóż, wściekała się, alboż to może zabronić ci ożenku? Pamiętaj, min herc, gdy siądziecie z młodą za stołem, nic nie jedz ani nie pij... A gdy się będziesz chciał napić, daj mi znak, podam czasę, z której możesz pić.

Piotr znowu gryzł postrzępioną chusteczkę.

— Pojedziemy na slobodę? Żeby nikt nie wiedział... Na godzinę...

— Nie proś, min herc, nie myśl teraz o Monsównie.

Piotr wyciągnął szyję, rozszerzyły mu się nozdrza, zbladł.

— Pozwalasz sobie spierać się ze mną! (Chwyił Aleksaszkę za piersi — guziki odpadły.) Ośmieliłeś się!

— Odsapnąwszy potrząsnął nim jeszcze raz, lecz puścił i rzekł spokojnie: — Przynieś szubę co lichszą... Wyjść do ogrodu, tam podasz konie...

199

ę.u - 'bt°j

Wesele odbywało się w Preobrażeńskim. Gości, poza Naryszkinami i rodziną narzeczonej, było mało: ten i ów z najbliższych bojarów, Borys Aleksiejewicz Golicyn i Fiodor Juriewicz Romodanowski. Natalia Kiryłowna zaprosiła go na przybranego ojca. Car Iwan nie mógł być z powodu choroby, Zofia tego dnia wyjechała na pielgrzymkę.

Wszystko odbyło się według starego ceremoniału. Narzeczoną przywieziono do pałacu rankiem i poczęto ją ubierać. Dziewczęta pokojowe, wykąpane w łaźni, w skarbowych wiankach i kaftanach, śpiewały bez ustanku. Przy ich śpiewach bojarynie i druhny ubierały narzeczoną w lekką koszulkę i pończochy, długą czerwoną koszulę jedwabną z perłowymi na rękawkami, letnik z chińskiego jedwabiu z szerokimi i długimi do ziemi rękawami, z pięknie haftowanymi na nich roślinami i zwierzętami, na szyję nałożyły szeroki kołnier bobrowy, ozdobiony diamentami, który tak ścisnął gardło, że Jewdokia omal nie zemdlą. Na letnik — szeroką opończę z sukna żurawinowej barwy, ze stu dwudziestu guzikami emaliowanymi, na to — płaszcz tkany srebrem, na lekkim futrze, obficie haftowany perłami. Na palce nanizano pierścienie, uszy obarczono brzęczącymi kolczykami. Włosy spleciono tak mocno, że narzeczona nie mogła zmrużyć oczu, warkocz ozdobiono mnóstwem wstążek, głowę nakryto wysoką jak miasto koroną.

O godzinie trzeciej Jewdokia Łarionowna ledwie żyła — siedziała na sobolowej poduszce-jak ulepiona z wosku. Patrzeć nawet nie mogła na słodycze, przysłane przez narzeczonego w dębowej szkatułce: zwierzątka z cukru, pierniki z podobiznami świętych, ogórki gotowane w miodzie, orzechy, rodzynki, twarde jabłuszka rizańskie. Wedle zwyczaju była tu również kościana szkatułka do robótek i jeszcze jedna, miedziana, pozłocona, z pierścieniami i kolczykami. Na wierzchu leżał pęk witek brzoźowych — różgi.

Ojciec, okoliczny Łarion Łopuchin, którego kazano nazywać teraz Fiodorem, coraz wchodził oblizując zeschnięte wargi: — No, jak tam narzeczona? — Nos jego z przeświecającymi żyłkami wyglądał jak skostniały. Podreptawszy spostrzegł się i śpiesznie wychodził. Matka, Jewstignieja Anikitowna, już niemal zemdlona, wspierała się o ścianę. Dziewczęta pokojowe, które nie jadły od świtu, zachryły ze śpiewania.

Wbiegła swatka, machnęła trzyłokciowymi rękawami.

— Narzeczona gotowa? Wołajcie orszak. Bierzcie korowaje, zapalajcie latarnie... Gdzie są dziewczki tanecznicze? Oj, mało... U bojarów Odojewskich dwanaście tańczyło, a tu przecież wesele cara! Oj, najmilszi, narzeczona — toć to piękność nieopisana... A gdzież są jeszcze tamci, nie ma ich?... Oj, kochani, naj-
Bral

drożsi, cóżeście wy narobili, okropność... Narzeczoną nie przysłonięta!... Najważniejsze przeoczyli. Zasłona, gdzie zasłona?

Narzeczoną okryto białą chustą, pod nią ręce jej złożono na piersiach, głowę kazano trzymać nisko. Jewstignieja Anikitowna jęła z cicha zawodzić. Wbiegł Łarion niosąc przed sobą, jak do szturm, obraz z błogosławieństwem. Panny tanecznice machnęły chusteczkami, przytupnęły, zaczęły tańczyć.

Chmielek po tyczkach hula, Samego siebie wychwała: Nie masz chmielą lepszego, Nie masz chmielą weselszego...

Słudzy wnieśli półmiski z korowajami. Za nimi ruszyli latarnicy z mikowymi latarniami na drążkach. Dwaj ludzie nieśli pudowej wagi świecę narzeczonej. Drużba, Pietia Ło- puchin, stryjeczny brat narzeczonej, w srebrnym kaftanie przewiązanym przez ramię ręcznikiem, niósł miskę z chmielem, jedwabnymi chusteczkami, sobolowymi i wiewiórczymi skórkami i garścią czerwoców. Za nim dwaj stryjcowie Łopuchinowie, najroztropniejsi — znani piniacze i krętacze — strzegli pochodu uważając, aby nikt nie przebiegł drogi narzeczonej. Za nimi swatka i podswatka wiodły pod rękę Jewdokię - pod ciężarem stroju, z głodu i strachu nogi uginały się pod biedaczką. Za narzeczoną dwie bojarynie niosły na półmiskach: pierwsza — aksamitny kokosznik, druga — tuwal-

nię dla gości. Szedł Łarion, w futrach zebranych z całej rodziny, o krok za nim — Jewstignieja Anikitowna, w końcu waliła cała rodzina narzeczonej, z pośpiechu gniotąc się w wąskich drzwiach i przejściach.

Tak weszli do kaplicy pałacowej. Narzeczoną posadzono pod obrazami. Miskę z chmielem, futrami i pieniędzmi, półmiski z korowajami postawiono na stole, gdzie stały już naczynia z pieprzem, solą i octem. Zasiadli wedle godności. Nie rozmawiano. Łopuchinom żyły napięły się, zaschło pod powiekami — obawiali się popełnienia fałszywego kroku. Nie poruszali się, nie oddychali. Swatka pociągnęła Łariona za rękaw.

— Nie dręcz...

Przeżegnał się powoli i posłał drużbę narzeczonej do cara z zawiadomieniem, że czas przyjść po nią. Piet'ce Łopuchinowi drżał wklęsły, wygolony kark, gdy odchodził. W lampkach trzeszczało, płomyki świec unosiły się prostopadle. Długo trzeba było czekać. Swatka łechtła od czasu do czasu bok narzeczonej, aby pobudzić jej oddech.

Schody zaskrzypiały w sieniach. Idą- Dwaj ryndowie zjawili się niepostrzeżenie i zajęli miejsca przy drzwiach. Wszedł ojciec przybrany, Fiodor Juriewicz Romodanowski. Wytrzeszczając oczy na błyszczące ramy obrazów przeżegnał się, poda) rękę Łarionowi i usiadł naprzeciwko narzeczonej splatając palce rąk. Znowu przez pewien czas panowało milczenie. Fiodor Juriewicz rzekł niskim głosem:

— Idźcie, proście cara i wielkiego księcia Wszechrosji, żeby raczył przyjść do swej sprawy nie zwlekając.

Rodzina narzeczonej poruszyła oczami i przełknęła ślinę. Jeden ze stryjów wyszedł na spotkanie miłościwego pana. Zbliżał się już — młody, niecierpliwy... Przez drzwi wpadły kłęby kadziła. Do izby weszli: wysoki, bujnie owłosiony błagowieszczęński pro- topop, dzierżąc miedziany krzyż z relikwiami i machając szeroko kadzielnicą, i młody pop pałacowy, mało komu znany (wiedziano, że Piotr przezwał go Bitką); kropił on wodą święconą chodnik z czerwonego sukna. Za nim szedł w całej świątobliwej gali stary, zgrzybiały metropolita o cichym głosie.

Familia narzeczonej zerwała się. Łarion wybiegł zza stołu i padł na kolana na środku izby. Weselny starosta, Borys Aleksiejewicz Golicyn, prowadził pod rękę Piotra. Car miał na sobie barmy i złotą ryzę po ojcu, sięgającą mu ledwie do kolan. Czapki Monomacha Zofia nie pozwoliła wydać. Piotr był z gołą głową, ciemne kędziory rozczesane na dwie strony, białe, oczy szklane, nieruchome, mięśnie z boków ust napięte. Swatka mocniej chwyciła Jewdokię — ręka jej odczuła drżenie żeber.

Za narzeczonym szedł jasielniczy* Nikita Zotow, któremu powierzono obronę wesela

Jasielniczy (staroros.) — godność dworska, koniuszy. przed czarami i urokiem oraz pieczę nad ceremoniałem. Był trzeźwy, czysty i pogodny. Łopuchinowie, ci starsi, spojrzeli po sobie: księżę-papież, hulaka, bezwstydnik — nie taki powinien być jasielniczy... Lew Kiryłycz i stary Streszniew prowadzili carową. Na tę uroczystość wyjęto ze skrzyń stare jej suknie — letnik delikatnego brzoskwińowego koloru, płaszcz haftowany bisiosem w delikatny wzór. ■Gdy je kładła na siebie, oplakiwała niepowrot- ną młodość. Ale teraz szła piękna, postawna, jak w latach minionych.

Borys Golicyn podszedł do tego z Łopuchinów, który siedział obok narzeczonej, i brzęknąwszy czerwonicami w czapce, powiedział głośno:

- Chcemy księciu odkupić miejsce.
- Nie sprzedamy tanio — odpowiedział Łopuchin i jak należało, zagroził ręką narzeczoną.
- Żelazo, srebro czy złoto?
- Złoto.

Borys Aleksiejewicz wysypał na talerz czerwonicę i wzięwszy Łopuchina za rękę wyprowadził go z zajmowanego miejsca. Piotr stojący między bojarami uśmiechnął się, - zaczął go lekko popychać. Golicyn wziął go pod łokcie i posadził obok narzeczonej. Piotr poczuł gorącą okrągłość biodra i odsunął nogę.

Służba wniósła i postawiła pierwsze danie. Metropolita przymykając oczy odmówił modlitwy i poświęcił jadło i napoje. Ale nikt

nie tknął jadła. Swatka ukloniła się w pas Łarionowi i Jewstigniei Anikitownie.

— Pobłogosławcie narzeczoną na oczepiny.

— Niech jej Bóg błogosławi —. odpowiedział Łarion.

Jewstignieja ledwo poruszyła wargami. Dwaj ludzie odgradzili narzeczoną od narzeczonego płatem nieprzejrzystej materii. Dworki we drzwiach, bojarynie i bojarówny zaśpiewały pieśni do stołu — przeciągle, niewesoło. Piotr spoglądając z boku widział, jak za przegrodą krzątają się swatka i podswatka z szeptami: — Zabierze wstążki!... — Kładź warkocz, zakręcaj... Dawajcie kokosz- nik! — Jewdokia rozplakała się dziecięcym, cichym płaczem. Serce Piotra zaczęło mocno bić: zakazane, kobiece, mdłe — płakało tuż przy nim, tajemniczo przygotowywano coś, co jest najśłodsze na świecie... Przynął się do samej zasłony, odczuł oddech narzeczonej. Z góry wyskoczyła umalowana twarz swatki z wesołymi ustami aż do uszu.

— Cierpliwości, miłościwy panie, niedługo będzieciez tęsknić...

Przegroda opadła; narzeczoną siedziała znowu z zasłoniętą twarzą, ale już w odzieniu mężatki. Swatka wzięła obiema rękami z miski chmielu i obsypała nim Piotra i Jewdokię. Potem owachlowała ich sobolami. Chusteczki i czerwońce, które leżały w misce, zaczęła rzucać gościom. Kobiety zaśpiewały już wesoło. Tanecznice zaczęły pisać. Za drzwiami uderzyły bębny i kotły. Borys Golicyn krajał korowaje i ser i wraz z chusteczkami rozdawał siedzącym według godności.

Wówczas służba wniosła drugie danie. — Nikt z Łopuchinów nie jadł, by pokazać, że nie są głodni —~ odsuwali półmiski. Wkrótce podało trzecie danie i swatka rzekła głośno:

— Pobłogosławcie młodych do ślubu.

Natalia Kiriłowna i Romodanowski, Łarion

i-Jewstignieja wzniesli obrazy. Piotr i Jewdokia stojąc obok siebie złożyli ukłon do ziemi. Po błogosławieństwie Łarion Łopuchin odpiął od pasa bat i uderzył boleśnie córkę po plecach trzy razy.

— Cóрко moja, znałaś ojcowski bat, oddaję cię mężowi: teraz za nieposłuszeństwo nie ja, lecz mąż bić cię będzie onym batem...

Z pokłonem podał Piotrowi bat. Ludzie podnieśli latarnie, starosta ujął narzeczonego pod ramię, swatki — narzeczoną. Łopuchinowie strzegli drogi: jedną z dziewczek, która śpiesząc za swoją sprawą przebiegła drogę, tak pchnęli, że służba odniosła ją na pół martwą. Cały orszak sieniami i schodami ruszył powoli do pałacowej cerkwi. Było już koło ósmej.

Metropolita celebrował bez pośpiechu. W cerkwi było zimno, wiało przez bierwionowe ściany. Za kratami zamarzniętych okienek ciemność. Chorągiewka na dachu skrzybiała żałośnie. Piotr widział tylko rękę nie znanej mu kobiety pod zasłoną — słabą, z dwiema srebrnymi obrączkami, z malowanymi paznokciami. Trzymając ociekającą

świecę, drżała; niebieskie żyłki, króciuteńki mały palec... Trzęsie się jak barani ogon... J Odwrócił oczy i zaczął patrzeć na płomyki j niskiego ołtarza.

Wczorajsze pożegnanie z Annchen nie uda- j, ło się. Wdowa Matylda, ujrawszy Piotra podjeżdżającego w prostych saniach, rzuciła się ku niemu', całowała jego ręce, szlochala, że jakoby giną w nędzy, nie ma drzewa, tego, tamtego, a biedna Annchen trzecią już dobę leży w gorączce .bez przytomności... Odsunął wdowę i pobiegł po schodach do dziewczęcia. W sypialence — płomyczek" lampki olejnej, na podłodze miednica, porzucone pantofelki, duszno. Pod muślinową zasłoną, na poduszce — włosy rozrzucone gorącą przędzą, czoło i oczy Annchen nakryte mokrym ręcznikiem, wysypka na spieczonych wargach... Piotr wyszedł na palcach i wsypał w drżące dłonie wdowy garść czerwoniców (dar weselny Zofki dla Piotra). Aleksaszcze rozkazano dyżuować u wdowy dzień i noc; jeśli potrzeba będzie do apteki albo chora zażąda jakiegoś pokarmu zamorskiego — wydobyć choćby spod ziemi.

Protopop i pop Bitka nie żalowali kadzidła, świece widniały niby we mgle, diakon głosił jerychońskim rykiem długolecie. Piotr znowu spojrzal z ukosa — ręka Jewdokii nie przestaje drzeć. W piersiach jego rósł jakby chłodny pęcherzyk gniewu. Szybko wyrwał Jewdokii świecę i ścisnął jej kruchą, martwą rękę. W cerkwi rozszedł się szępt przestra chu. Zatrzęsła się łysa głowa metropolity, podbiegł do niego Borys Golicyn i szepnął coś. Metropolita zaczął śpieszyć, chór śpiewał prędzej. Piotr w dalszym ciągu ścisnął rękę żony, patrząc, jak pod zasłoną coraz niżej opada jej głowa.

Poprowadzono młodych dookoła ołtarza. On szedł energicznie, Jewdokię podpieraly swatki, inaczej byłaby upadła. Zostali poślubieni. Podano do ucałowania zimny, miedziany krzyż. Jewdokia uklękła i przypadła twarzą do safianowych butów męża. Naśladując głosy anielskie, śpiewnie i cicho przemówił metropolita:

— Dla dusznego zbawienia winien małżonek umartwiać żonę swoją laską, albowiem ciało grzeszne jest i słabe...

Jewdokię podniesiono. Swatka ujęła końce zasłony: — Patrz, patrz, miłościwy panie — i podskoczywszy zerwała ją z młodej carowej. Piotr spojrzal chciwie. Zmęczona, pochylona nisko, na pół dziecięca twarzyczka. Usta nabrzmiały od płaczu. Mięciuchny nos. Pannę młodą uróżowano, by pokryć jej bladeść. Przed pałającym, ciekawym wzrokiem męża z nieśmiałości zasłaniała się rękawem... Swatka jęła odciągać rękaw. — Odsłoń się, carowo, nie uchodzi... Podnieś oczęta. — Wszyscy ciasno obścąpili młodych. — Jakoś mi blade — powiedział Lew Kirilłowicz. Łopuchinowie głośno sapali, gotowi do obro- ny, gdyby Naryszkinowie zaczęli ganić młodą. Podniosła czarne oczy, zalane łzami, Piotr

\wyjjM(wU" U'kkUn ruchem Warg,Vśml*cM
hąWW *Uⁱ f^u*^u*^u*^u* h 7/ iMn zonn rhll]

Znowu wypadło W, Au y/ , Uumo J<|>>■'■'■>t>, ,)t0&/4, m/m\ ,;/ p^{nt}ylnu I konopi, m

^{tn} P**Mneb sto dolne) warai Jm (Ufkr, i tam pozostało, < Utopi, w/mm y CZtrwonyCh Um^{ti}Mh, naumyślnie

Jfo[^] wa ÓZ*r,l zjwtru, i spokojnie mii

tb, surmach I bąhnaeh. Tanecznica śpiewały

/,tior/a poóowano zitim* i a(/ht>ń y&in'/> W MI i caf_A AM mM

rif wyp?<)>i'<< ('<!y MHWotW U/m* 4* m tkwiono przed ^

'/< 9⁶¹TMTM?,T y^w ' *''>>l >nyy sfe

Snt&hi KUWownUi i Romodanowskle/nu IZ pytonowi I Urpuchinie, powiedział wosoło*

; Sf TTM M^{/h} 60 *yM <>

J u TA ' M hmmm

odprowadzili Cara i ,<,,,,w A^{t9} , ,

drocz* wctennoścach ^ZZ L Jj "y " ' '« Mm wywTM

"mm wUmm M wtem, znowu te gZE

w[^]mmm m m[^] zmwM

Mą przy ml

fo^ñ i gwattownia

V t^ñ *itnm Mfom ÓO mil

' WZW/m iw@ OCzy, cotrufli hU. PUJU 2 U,

I /A\U/AWWI y^{fi} A^t/ H^u ;^rir* u* y/mdf

stojącą pi/y V*4 ' myMfityst^{ms} V*f SI pi[^]tkinb W o<1yr//M pt/y pwiok f iu, PfatM v/M/4/ /Arno)"«< ftiepr/yje
toni'T-, iHwSohi/M yntow piersi...

PrZikłśńM I^r I Z#h&Wfłf W oi/y

i-m\ a U» otoJheftwczynks, atol I Aifaj \<, o//t:n, /Ijii / siet/ie ftotmy, if/A fzmii m k t 'Mfyko

IJ*)>tłlnU'/i>< hwrtoDn < /M\o Sn-,

ft y/ziokin ptiAuwnl*! kfM/o

leczy, y/ix\i/ nn In/a /r/sokn/fitią pf/i\>t>\ t^t.

Iftoyłn, ule *i\e(\/,u\,n, co lUn J/Vzy. ffietitn ftń

y/i- / pttfföftifAs / pr/4*tfn' hew popstr/yU na wt;/n i 7M'/e/wienlin #l*f,

Ché0 * i

ink ońpo/óttft/.inin s/epUtifh W w/fptch W/Mn m póM§ktt /^fn\q

kum, V\oit ode r/r ni od nW\ udko i od i*/ i V*>CZaI rhUA,n i %/M Q(Uzrw#ł

ryydSo,

W koh<u luteyo wojsko ffitfyfokt* wowutu 'Wyło nn Krym <Mrt//ny Metep* r*&/M W t'l/eyłem imieptu,

Undufac yiMkl ehrntne, ile WitJMj Wntille")/, nawet ffljl

'If inl o /włotei pędze) 'Itfial

Wo v<ttzkopu i w zmy4

W M&&H wie *i'/AZtrt\o

taj kurzoślepnymi uaksamitniami kurhany, wiatr marszczył powierzchnię wiosennych kałuż na zieleniejącej równinie, konie brnęły w nich po kolana. Gorące słońce oślepiało w przerwach między wiosennymi chmurami. Ach, co za ziemia, czarna, płodna — złote jabłko! Zegnać by tutaj chłopów z lasów i błot, chodziliby w zbożu po uszy. Naokoło jednak nie ma żywej duszy, klucze żurawi lecą w górze, krzyżąc przeciągle. Step ten przepojony był łzami brańców, wiek po wieku miliony rosyjskiego ludu przechodziły tędy uprowadzane przez Tatarów do niewoli — na konstanty- nopolskie galery, do Wenecji, Genui, do Egiptu...

Kozacy chwalili step: — Urodzaje tutaj — mało, gdy z korca dwadzieścia, pluń, a wyrosnie drzewo. Nabudowalibyśmy tu chutorów, żeby nie przekłęci Tatarzy. — Pospolite tacy z północnych guberni nie mogli się nadziwić bogactwu tej ziemi: — To jest wojna sprawiedliwa — mówili — czyż może być, by taka ziemia leżała bez pożytku? — Szlachta wybierała miejsca na osady, sprzeczała się o nadziały, biegała do namiotu Wasilija Wasiliewicza z prośbami: — Jeżeli, Bóg daj zwyciężymy te strony, niech miłośnicy pan raczy nadać taki a taki kawałek ziemi od takiego a takiego wądolu do kurhanu z kamienną babą...

Studwudziestotysięczne wojsko moskiewskie i ukraińskie doszło w maju do szerokiej Zielonej Doliny, bogatej w pastwiska i wodę.

Tutaj Kozacy przyprowadzili Wasilijowi Wasiliewiczowi języka — krzepkiego, błyszczącego od opalenizny, czerwono-brodego, Tatarzyna w watowanym chałacie. Wasilij Wasiliewicz podniósł chusteczkę do nosa, by nie czuć baraniego tatarskiego smrodu, i kazał zacząć badanie. Z jeńca zdjęli chałat — Tatarzyna kręcił goloną, niebieską głową, szczerząc drobne zęby. Ponury Kozak chlasnął go na odlew batem poprzez smagle ramiona. „Baczka, baczka, mój wszystko mówi” — zaterkotał Tatarzyna. Kozacy przetłumaczyli: „Hołobyj bait, szczo orda stoit nedałecze i sam chan pry neji”. Wasilij Wasiliewicz przeżegnał się i posłał po Mazarę. Pod wieczór wojsko w szyku, z konnicą na prawym i lewym skrzydle, z taborem i armatami w środku, ruszyło na Tatarów.

Ledwie nad niziną zdeptaną równiną podniósł się pomarańczowy korowaj słońca, Rosjanie ujrzeli Tatarów. Zjeżdżali się i rozjeżdżali, konno, kupkami. Wasilij Wasiliewicz stojąc na wozie oglądał przez perspektywę prostokątne chałaty, spiczaste hełmy, złe i wesołe oblicza z wystającymi kośćmi policzkowymi, końskie ogony na pikach, poważnych mullów w zielonych zawojach. Była to przednia straż ordy.

Oddziały konnicy zawracały, zjeżdżały się, łączyły w gęstą masę. Wzniósł się kurz. Ruszyli! Tatarzy w pędzie rozwijali się w ła-

wę. Dobiegał przesywający wrzask. Utonęli w kurzu, który pędził Rosjanom w twarze. Luneta zadrżała w rękach Wasilija Wasiliewicza. Koń jego, przywiązany do wozu, szarpnął się obrywając uzdę: pierzasta strzała sterczała mu w karku... Nareszcie! — armaty huknęły rozdzierająco, zaczęły trzaskać muszkiety, wszystko zaciągnęło się klębami białego dymu. Strzała brzęknęła o pancerz Wasilija Wasiliewicza, akurat tam, gdzie serce. Zadrzał, przeżegnał to miejsce...

Strzelali przeszło godzinę. Gdy dym się rozproszył, ujrzano na równinie kilkanaście koni i około setki trupów; Tatarzy, odparci ogniem, uchodzili poza widnokrąg. Rozkazano gotować obiad i pić konie. Rannych ułożono na wozach. Przed zachodem znowu ruszono z wielką ostrożnością ku Czarnej Dolinie, gdzie koło rzeczki Kołonzak stał chan z ordą.

Nocą wionął silny wiatr od morza. Gwiazdy zniknęły za chmurami. W dali huczało, po- grzmiewało. W nieprzejrzanym chmurach rozgałęziały się błyskawice oświetlając szarą równinę — piasek, piołuny, solniska. Wojsko posuwało się wolno. O godzinie piątej rozłupało się niebo i w obóz uderzył słup ognia — stopił działo, pozabijał kanonierów. Wpadła wichura, obalała ludzi, porывała opończe i czapki, siano z wozów. Płomienie błyskawic ślepiły oczy. Rozkazano wynieść Matkę Boską Dońską i obchodzić z nią wojsko.

O świcie lunął deszcz. Przez welon jego, pędzony wiatrem, na prawym skrzydle wojska ujrzano ordę: Tatarzy szli półksiężycem. Nie pozwalając Rosjanom oprzytomnieć obalili jazdę i wpędzili jej przedni pułk w obóz. Lonty armat nie chciały się palić, proch w strzelbach zamókł. Plusk deszczu zagłuszał krzyk rannych. Potrójny rząd wozów zatrzymał Tatarów. Zamokły im cięciwy łuków — strzały padały bezsilnie.

Wasilij Wasiliewicz biegał pieszo po obozie, walił batem puszkarzy, chwycił za koła, wyrwał lonty. W oczy i usta chlustał deszcz. Puszkarze jednak wpadli na fortel — nakrywszy się kozuchami wykrzesali ogień, podsy- pano suchego prochu i działa gruchnęły ołowianymi kulkami w tatarskie konie. Na lewym skrzydle walczył zajadle Mazepa ze swymi Kozakami. I oto mułłowice zaczęły przeciągle krzyczeć — Tatarzy cofnęli się ginąc w mokrej mgle.

IV

„Panu memu, radości mej, carowi Piotrowi Aleksiejewiczowi... Bądź zdrow, światło moje, mnogie lata...”

Jewdokia zmęczyła się pisaniem. Wszystkie trzy palce, którymi mocno trzymała gęsie pióro przy samym końcu, umazała atramentem. Psuła trzeci arkusz — albo litery były niedobre, albo zrobiła kleks. A chciała napisać tak serdecznie, aby Piotruś ucieszył się z listu.

Ale bo to można wypowiedzieć atramentem na papierze, co serce czuje? Na dworze — kwiecień. Brzozy jak w puchu, zazieleniły się. Płyną śnieżne obłoki z niebieskimi spodami.

Jewdokia patrzyła na nie, patrzyła, a rzęsy pęczniały łzami, pewnie z głupoty... Spojrzała na drzwi — żeby tylko świerka nie weszła i nie zobaczyła. Wytarła oczy rękawem. Zmarszczyła czółko.

Co by mu jeszcze napisać?.. Wyjechał, miły, na Jezioro Perejasławskie i nie odpisuje, kiedy go się można spodziewać. A można by razem odbyć spowiedź, na jutrzniach bywać... Razem jeść święcone... (Jewdokia przypomniała sobie kurę, którą jedli po ślubie, spłoniona zaśmiała się do siebie.) Pierwszego dnia można by wezwać dziewczęta, bawić się na łące, turlać jajka. Piosenki, korowody. Śmiać się na huśtawkach, bawić się w ciuciubabkę. Czy można o tym napisać?... „Piotrusiu, kochanku miły, przyjeżdżaj, stęskniłam się...” Czyż można to napisać? Chyba liter na to nie starczy...

Ujęła znowu pióro i poruszając wargami, wypisała: „Prosimy o łaskę, racz, Najjaśniejszy Panie, przybyć do nas nie mieszkając. Żoneczka twoja, Duńka, bije czołem”.

Przeczytała i uradowała się — bardzo dobrze napisane. Ach, ludzie, co za wariatka — a o świerze ani słowem nie wspomniała! Przepisuj teraz po raz czwarty... Och, ma- iuchna Natalia Kiriłłowna jest tak surowa— Zeby nie wiem jak się starać — zawsze znajdzie się coś do zganienia. „Dlaczegoś — powiada — chuda?” A wcale nie chuda: wszystko, co trzeba, jest okrągłuteńkie... „Dlaczego Piotruś uciekł od ciebie w drugim miesiącu na Jezioro Perejasławskie? Co ci jest: możeś zatęchła, możeś gaska tęskliwa, że mąż od ciebie ucieka na kraj świata jak od dzumy?” Nie gaska i nie dzuma... Samiście sobie winni — po ęoście dopuszczali do niego Leforta, Aleksaszkf; i Niemców? To oni wyciągnęli gołąbka na jezioro i mogą wyciągnąć na gorsze jeszcze rzeczy.

Jewdokia umaczała gniewnie pióro. Lecz podniosła oczy— w otwarte okno poprzez zieleń brzoź padło rozproszone światło, za oknem gołąb nadymał gardło, ostrzył ostrogi i jeszcze jakieś ptaszki świergotały. Pachniało łąkami. I na czwarty, czysty arkusz papieru kapnę- ła łza.. Skaranie boskie!..

V

Codziennie list od żony albo matki; że to bez ciebie nudno., czy prędko powrócisz.,, poszlibyśmy razem do Trójcy,.. Nuda zatracona! Piotr nie odpowiadał, czytać nawet tych listów nie miał czasu. Mieszkał w świeżo skleconej chacie przy stoczni na brzegu szerokiego Jeziora Perejasławskiego, gdzie wykończone już prawie dwa okręty stały na staplach. Kryto pokłady i rzeźbiono na rufie

drewniane gęby. Trzeci okręt, „Stołeczny gród Preszburg”, był już na wodzie — trzydzieści osiem kroków waterlinii, stromy dziób, przyozdobiony złożoną dziewczuchą morską, wysoka rufa, na górze przybudowano ogólną kajutę. Na jej płaskim dachu, otoczonym gładką balustradą — mostek admirański i wielka szklana latarnia. Pod górnym pokładem z każdej strony przez otwarte luki wysuwało się po osiem dział, schodzące się ku górze burty błyszczały czarną smołą.

Z rana, gdy jezioro dymiło lekką mgiełką, trzymasztowy okręt zdawał się wisieć w powietrzu, całkiem jak na cudnych holender* skich obrazach, które podarował Borys Golicyn. Czekano tylko wiatru, by popłynąć w pierwszy Tejs. Jak na złość już drugi tydzień na drzewach nawet listek nie drgnął. Leniwie płynęły nad jeziorem obłoki z siwymi spodami. Podniesione żagle kłapały, zwieszały się. Piotr nie odchodził od Kartena Brandta. Staruszek słabował już od lutego — mokry kaszel rozrywał mu piersi. Mimo to, zawinięty w kożuszek, całe dnie spędzał w stoczni — złościł się, krzyczał, a czasem nawet bił za lenistwo i głupotę. Osobny ukaz spędził do stoczni stu pięćdziesięciu klasztornych chłopów: cieśli, traczy, kowali, kopaczy oraz sprawne kobiety do szycia żagli. Pięćdziesięciu ludzi zabranych z uciesznych pułków Piotra uczyło się tu żeglarstwa: puszczać i wiązać liny, wchodzić na maszty, rozumieć komendę. Szkolił ich cudzoziemiec, egzulant z Portugalii — Pamburg, z haczykowatym nosem, czarnymi, szczotkowatymi wąsami, zły diabeł, zbój morski. Rosjanie opowiadali o nim, że jakoby nieraz już wieszano go za różne sprawki, ale diabeł mu pomógł: żyje i dostał się do Rosji.

Piotr niecierpliwiał się wściekle. Robotników budzono skoro świt przy pomocy bębna, a niekiedy kijem. Noce wiosenne są krótkie — ludzie upadali ze zmęczenia. Nikita Zotow nie nadszedł pisać ukazów N. C. i W. K. całej W. M. i B. R. do sąsiednich ziemian, żeby dostarczali żywności, przywozili do stoczni chleb, ptactwo, mięso. Obywatele ze strachu zwozili. Trudniej było zdobyć pieniądze. Choć Zofia rada była, że braciszek ugrzązł jeszcze dalej od Moskwy — aby się tam wyrócił razem ze swym uciesznym okrętem — ale pieniędzy w Urzędzie Zamkowym tyle co kot napłaczę. Wszystko pochłaniała wojna krymska.

Niekiedy zdarzało się, że Franz Lefort mógł się oderwać od służby i przyjechać do stoczni perejasławskiej, wówczas zaczynała się zabawa. Przywoził wina, kiełbasy, słodczyce oraz — ze zmrużeniem oka — ukłony od Anny Mons; wyzdrowiała, zrobiła się jeszcze piękniejsza i prosi, by Herr Peter łaskawie przyjął dwie cytryny w podarunku.

W nowo zbudowanej chacie podczas obiadów i wieczerzy wznoszono obficie toasty za pomyślność wielkiej floty perejasławskiej. Zaprojektowano dla niej specjalną flagę

z trzech płócien: białego, niebieskiego i czerwonego. Cudzoziemcy opowiadali o podróżach, morskich bitwach i burzach. Pamburg, rozstawiwszy nogi, skrzyżowawszy ręce, poruszał strasznymi węsami, krzyczał po portugalsku, jakby rzeczywiście był na pirackim statku. Piotr chłonał te opowiadania uszami i oczyma. Skąd w tym szczerze lądowym taka miłość do morza? Nocami we śnie, leżąc na narach obok Aleksaszi, widział bałwany, chmury nad wodną przestrzenią, majaki płynących okrętów. Niczym nie można go było zwabić do Preobrażeńskiego. Gdy bardzo mu już dokuczano listami, odpisywał:

„Najukochańszej i najdroższej nad żywot cielesny mamusi, carowej Natalii Kiriłównie, niegodny syn twój Piotruś, w pracy przebywający — błogosławieństwa prosi i o zdrowie zapytuje. A co do łaskawego rozkazu, że mam się stawić w Preobrażeńskim, to jestem go- tóf, tylko ach jej, roboty dużo: wszystkie statki w wykończeniu, robota stoi z braku lin. W tej sprawie o łaskę proszę, by te liny po siedemset sążni Urząd Puskarski nie mieszkając przysłał. To nam żywot pszydłu- ży. Za czym o błogosławieństwo proszę. Niegodny Piotruś”.

MHHHi

VI

Teraz kto przechodził obok chaty Iwana Browkina, zdejmował czapkę. Cała wieś wiedziała: „Iwaszki syn wiele może, to prawa ręka cara, wystarczy Iwaszce mrugnąć, a sypną mu pieniędzy, ile zechce”. Za pieniądze Aloszki (trzy i pół rubla) Browkin kupił jałowicę porządną — za półtora rubla, owcę — za trzy grywienniki i piątkę, cztery prosięta — po trzy alfony, sprawił uprząż, postawił nowe wrota, a od chłopów Wydzierzawił osiem dziesięcin dobrej ziemi pod zboże jare, dawszy rubla pieniędzmi, wiadro wódki [obiecawszy piąty snopek ze zbioru.

Człowiek stanął na nogach. Nie podpasy- wał się już łykiem przez krzyże, lecz dobrym moskiewskim pasem pod piersi, żeby wypu- czyć naładowany brzuch. Czapkę naciskał na brwi, zadzierał brodę. Takiemu musisz się kłaniać. I powiedział jeszcze: — Poczekajcie, na jesieni pojedę do syna, wezmę pieniędzy — młyn postawię. — Rządca Wołkowa już go nie tykał, lecz mówił ustępliwie: Browkin. Od pańszczyzny go zwolnił.

A. synowie — pomocnicy — dorastali. Jakub przez całą zimę chodził do diaczka, do sąsiedniej wsi, na naukę. Gawryłka wyrastał na ładnego chłopaka, najmłodszy, Artamosz- ka, ścichapkę, też był łebski. Dziećmi Pan Bóg Iwaszki nie pokarał. O córkę, Sańkę, już przysyłano swaty, ale nie było teraz sensu wydawać ją za swego — chłopą łapciucha, należało sprawę wziąć na rozum.

W lipcu rozeszły się wieści, że wojsko wraca z Krymu. Czekano na wojaków — ojców i synów. Wieczorami kobiety wychodziły na wzgórek i wyglądały na drogę. Od wędrow-

Ul
/TSy

lonego pielgrzymą dowiedziano się, że do są- , siednich wsi rzeczywiście wracają. Kobiety zaczęły płakać: „Zginęli nasi...” Wreszcie przybył do wsi wojak Cygan, cały zarośnięty szczeciniastym włosiem, z wybitym okiem, koszula i portki zgniły mu na ciele.

Browkin z rodziną wieczerali na dworze, jedli barszcz z mięsem. Zastukano we wrota: —JW Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... — Iwaszka opuścił łyżkę, popatrzył na wrota podejrzliwie.

to* r— Amen — odpowiedział. I głośniej: — Uważajcie, nasze psy złe, ostrożnie.

Jaszka odsunął zasuwę i wszedł Cygan. Obejrzał podwórze, rodzinę i rozwarłszy usta z wybitymi zębami zacharczał ochryple:

— Witajcie. — Usiadł na pniu p^zy stole. l|§ Na dworze wieczercacie? W chałupie muchy przeszkadzają czy co?

Iwaszka poruszył brwiami. Ale w tej chwili Sańka samowolnie podsunęła Cyganowi miskę z jedzeniem, wytarła fartuchem łyżkę i podała mu.

— Zjedzcie, ojczulku, z nami.

Browkina zadziwiła śmiałość Sańki. „Czekaj — pomyślał — jak wezmę za warkocz!... Byle komu wyrzucać strawę.../ Ale krępował się. Cygan był głodny, jadł mrużąc oczy. lE| Wojowaliście? — spytał Browkin.

| X— Wojowaliśmy... (i znowu do jedzenia).

— No, a jak tam? — zapytał znowu Browkin pokręciwszy się na ławce.

.-r Zwyczajnie. Jak wojują, tak i niyśmy wojowali.

— Pobiliście Tatarów?

— Pobili... Pod Perekopem ułożyliśmy swoich dwadzieścia tysięcy i drugie tyle, gdyśmy wracali...

Ach, ach — wyrzekł Iwaszka kiwając głową. — Au nas gadali, że chan się poddał naszym...

Cygan odsłonił żółte, rzadkie zęby.

— Zapytaj tych, co na Krymie gniją, jak się chan poddał... Ledwośmy z nogami uciekli... Spiekota, wody nie ma, z lewej strony Morze Zgniłe, z prawej i— Czarne, pić tej wody nie można, a studnie Tatarzy padliną zawalili... Stoimy za Perekopem — ani naprzód, ani w tył. Ludzie i konie padali jak muchy. Powojowaliśmy... Cygan pogładził wąsy, obtarł się, popatrzył przekrwionym okiem, i tym drugim—z martwą powieką — na Sańkę: — Bóg zapłać, dziewucho. — Oparł się łokciami o stół.

— Iwan..., Szedłem na wojnę — krowę w domu zostawiłem.

— A tak, gadaliśmy rządcy: powróci, jakże będzie żył bez krowy? Nie usłuchał, wziął.

— Tak... A świnie? Kiernoz, dwie maciory, prosiłem gromadę o dopilnowanie...

— Pilnowali, kochanie, pilnowali. Rządca nas mocno daniną przyflusił. Myśleliśmy: może cię ubiją na wojnie...

— I świnie moje Wołkow zeżarł?

—• Zjadł, zjadł.

oUZkM

— Tak... — Cygan wsadził palce w druciane, nie czesane włosy, podrapał się. — Niech i tak będzie... Iwan!

- A juści?

— Jeno nic nie gadaj, żem był u ciebie.

- A komuż to mam gadać? Ja i tak zawsze milczę.

Cygan wstał i popatrzył z boku na Sańkę. Podeszedł wolno ku wrotom. Stamtąd pogroził:

— Pamiętaj — trzymaj język, Iwan... Bądź zdrów. — I znikł.

Od tego czasu nie widziano go we wsi.

VII

Owsiej Rżow chwiejąc się na nogach stał przy drzwiach karczmy na Warwarce i liczył pieniądze na dłoni.

Podeszli pięćdziesiętnicy strzeleccy, Nikita Gładki i Kuźnia Czerمنى. r- Witaj, Owsiej.

- Przestań miedziaki liczyć, chodź z nami. Gładki szepnął:

— Należy pogadać, złe wieści chodzą... Czerمنى zabrzącał srebrem w kieszeni i roześmiał się:

— Na hulankę starczy...

. — Nie ograbiliście to kogo? — zapytał Owsiej. — Ach, strzelcy, co wy wyprawiaclel...

— Głupis — rzekł Gładki — staliśmy na warcie w zamku. Zrozumiałeś? — I znowu roześmieli się obaj.

Poprowadzili Owsieja do

karczmy. Usiedli w kącie. Szynkarz, surowy starzec, przyniósł butlę wódki i świecę. Czerمنى natychmiast świecę zgasił i pochylił się nad stołem słuchając szeptu Gładkiego.

— Szkoda, że nie byłeś z nami na warcie. Stoimy... Wychodzi Fiodor Lewontiewicz Szak- lowity.

„Carówna — rzecze — darzy was za wierną i nienaganną służbę — po pięć rubli każdemu". I podaje worek srebra. Milczymy, do czego to on prowadzi? A on, uważasz, gorzko jakoś westchnął. „Ach — mówi — strzelcy, wierni słudzy, niedługo już będziecie mieszkać z żonami w zamożnych domostwach za rzeką Moskwą".

— Jak to: niedługo? — zapytał przestraszony Owsiej.

—• A tak... „Chcą — mówi — was, strzelców, wysiedlić, rozesać do miasteczek, mnie wyrzucić ze Strzeleckiego Urzędu, a carównę Zofię zesać do klasztoru... A mąci stara carowa Natalia Kirilówna. Dlatego Piotra ożeniła. Z jej — powiada — namowy słudzy — tylko nie możemy dowiedzieć się kto — trują cara Iwana powolnym jadem, drzwi mu zawałono drzewem, polanami i musi wychodzić tylnym wyjściem. Car Iwan niedługo pociągnie na tym, świecie. Kto się wami, strzelcami, będzie opiekował? Kto się upomni o was?"

— A Wasilij Wasiliewicz? — zapytał Owsiej.

— Tego jednego człowieka się bali — Wasilija Wasiliewicza. Ale teraz bojarzy chcą

go skazać za klęskę krymską. Zwałą nam Piotra na kark...

— No, nie tak prędko. Poczekaj! Czy to nam pierwszyna ruszać po uderzeniu w dzwo- * ny... , :J

— Nie krzycz tak. — Gładki pociągnął : Owsieja za kołnierz i ledwo dosłyszalnym szeptem: — Samo uderzenie na larum nas nie ratuje — choćbyśmy wszystkich pozabijali, jak przed siedmiu laty, korzenia nie ruszymy... Należy upolować starą niedźwiedzicę, carową. A i niedźwiadka nie ma co oszczędzać. Na co czekać? I jego na pikę — trza siebie ratować, chłopcy...

Ciemne i straszne były słowa Nikity Gładkiego. Owsiej zadrzał. Czerمنى nalał z butelki w cynowe czarki.

— Tej sprawy po cichu należy dokonać. Wybrać pół setki pewnych ludzi i nocą spalić Preobrażeńskie. W ogniu nożami ich — na czysto...

VIII

Pułki strzeleckie dawno już rozkwaterowały się na przedmieściach, szlachta-pospo' litacy wrócili do majątków, a drogą kursk4« riazańską i smoleńską ciągle jeszcze wlekli się do Moskwy ranni, kaleki 4 zbiegi. Tłocząc się po kruchtach, pokazywali straszne wrzody, rany, z zawodzeniem wyciągali do miłosiernych kikuty i wywracali zmartwiałe powieki.

— Pomacajcie, prawosławni, oto mam strzałę w piersiach...

— Ludzie litościwi, oba moje oczy wyciekły, oszczepem bito mnie po głowie nieuczko — /O-O-OI

— Powąchaj, kupcze, patrz, ręka zgniła do łokcia...

— Az moich pleców pasy darto...

— Wrzody od kobylego mleka... Ulitujcie się nade mną, dobrodziejel...

Pocziwi parafianie otrząsali się na widok niesłychanego kalectwa i sypali miedziakami. A nocami w pustych miejscach znajdowano ludzi z oderżniętymi głowami. Grabiono na drogach, mostach, w ciemnych uliczkach. Okaleczeni wojacy tłumnie wlekli się na bazar,

Ale i w Moskwie nie było dostatku. Dużo kramów pozamykano, jedni kupcy zniszczyli od podatków, inni pochowali towary i pieniądze do lepszych Czasów. Wszystko podrożało. Nikt nie miał pieniędzy. Zboże dowożono ze śmieciem, mięso robaczywe. Nawet ryby były jakby drobniejsze, mniej tłuste po wojnie. Znany wszystkim paszтетnik Zajac wynosił na nieckach taką zgniliznę, że zwracało się po zjedzeniu. Pojawiły się jadowite muchy — od ukąszeń ich puchły ludziom policzki i wargi. Na bazarach trudno się precisnąć, ale sprzedawano jedynie miotłki ła- ziebne. Ogromne miasto szumiało gniewli- wie, beczynnje, głodno.

Michajło Tyrutow osadził ogiera poprawiając czapkę. Piękny, strojny, kołnierz ferezji — ponad głową, wargi malowane, oczy podczer- . nione do skrdni. Zakrzywiona szabla dzwoni o perskie strzemię. Przegiął się do niego z ganku Stiopka Odojewski.

— Podsluchaj, o czym mówią... Nie podsluchawszy nie ogłasza.

— Dobrze.

— Rąb na odlew: carowa, powiedz, i Lew Kiryłowicz wszystko zboże skupili, umyślnie Moskwę głodem morzą... A nie zapomnij i o jadowitych muchach — że to z ich czarów...

— Dobrze...

Tyrutow spojrział zimnymi oczyma między uszy ogiera, pochylił się i całym pędem ruszył przez otwartą bramę. Na ulicy ogarnął go kurz, smród. Jakiś włóczęga, nagi do pasa, pokryty czerwonymi plamami, krzychał rozpychając lud, aby rzucić się pod kopyta. TyT- tow ściągnął go nahajką. Ze wszystkich stron popęzli do bogatego bojarzyna żebracy wyciągając ziemiste, sparszałe dłonie. Nachmurzony Michajło, ująwszy się pod boki, przeciskał się z wolna przez gęsty tłum.

— Strojnisiu, podziel się!

— Rzuć grosik.

— Ustami pochwycę!...

— Daj pieniążek, daj, daj...

— Uważaj, gnojem cię spaprzę — lepiej) daj.

— Garść wszy sprzedam. Kup, oddam za darmo.

— Tratuj mnie, tratuj, chcę żyć...

Koń niepokoił się, gryzł wędzidło, strzelał dumnymi źrenicami na powiewające łachmany, rozczochrane kudły, straszne oblicza. Żebracy i włóczędzy leżli coraz natarczywiej. Tak przepłynął do końca Iliinki. Tutaj pod obrazem świętym wisiał na słupie ukaz. Jakiś godny człek czytał przekrzykując tłum:

— „My, wielcy monarchowie, ciebie, najbliższego bojarzyna i obrońcę, księcia Wasilija Wasiliewicza Golicyna, za twoją wielką i gorliwą dla nas służbę, za to, że takich okrutnych i pradawnych krzyża świętego i całego chrześcijaństwa wrogów twoim staraniem, sposobem nieznanym i nigdy nie słyszonym, wojsko nasze carskie w ich własnych pogańskich siedzibach zwyciężyło, rozgromiło i wyгнаło...”

OchYypły głos z tłumu:

— Kto rozgromiony i zwyciężony? My czy Tatarzy?

— Napisane — Tatarzy...

— Napisane... Hol Hol... A gdzie to było, kiedy?

— Nie widzieliśmy ich nawet na Krymie...

— Kłamiesz, widzieliśmy uciekając przed nimi bez tchu...

— A co za dureń ten ukaz czyta?

— Pisarz z Kremla.

— Rab Golicyna, pies wierny.

— Hej, pociągnij go tam za połę...

„Godny człek czytał zrywając piersi:

.. —> „...Tatarzy własnymi rękami siebie i swoich osiedla zburzyli, w Perekopie osady i sioła spalali, a rozpaczą i przestachem przepelnieni, ze swymi pogańskimi ordami nie pokazali się tobie. A tyżeś wraz ze swoimi wojownikami do naszych granic z wymienionymi, sławnymi na cały świat zwycięstwami, niby Mojżesz, co wywiódł Izraela z ziemi egipskiej, wrócił w całości za wszystko to pochwalamy cię miłościwie i przemiłościwie”.

„Jednooki człowiek z drucianymi włosami znowu krzyknął:

— Hej, czytacz, a o mnie w ukazie nie napisano?

Roześmiali się. Ten i ów zakławszy odszedł. Bryła błota uderzyła w pismo. — Straż! — krzyknął czytający zasłaniając się ręką. Tyrnow, rozpychając lud koniem, począł się zbliżać do jednookiego. Ale Cygan wyszczerzył tylko na niego szczątki zębów i znikł. Ktoś chwycił za uzdę. — Ech, tego by trza rozdziać! — Ktoś ukłuł konia sztyłem, koń uderzył kopytami, chrapiąc stanął dęba. Gwizdnęli po zbójce. Kamień przeleciał, zadrasnął policzek. Tyrnow wypadł z tłumu wśród wycia, gwizdu i drwin.

Koło Bramy Nikolskiej ujrzał konnych: Stiopkę Odojewskiego i bladego człowieka z garbatym nosem i pięknymi wąsikami. Sztywne fałdy odzieży zdradzały, że pod fe-rezją ma koczugę. Tyrnow zerwał z głowy czapkę i skłonił się aż do końskiej grzywy przed Fiodorem Lewontiewiczem Szakłowitym. Rozumne oblicze Szakłowitego było zachmurzone, dolna warga pokrywała górną. Zmrużone oczy patrzyły na tłum z gniewem. Odojewski zapytał:

— Ogłaszałeś im, Miszka?

— Idź, ogłoś im sam. (Policzki Tyrnowa były w płomieniach.) Tym głodnym diabłom wszystko jedno: carówna Zofia czy Piotr... Strzelców by tutaj ze dwie sotnie — rozpę-

* dzić to tałatajstwo i tyle...

— Obrotniejszego człeka należy do nich posłać — powiedział Szakłowity przez zęby — podjudzić ich, by szli do Preobrażeńskiego po chleb. Niech przeciw nim wystąpi uciężne wojsko Piotra. Z rozkazu cara Piotra Niemcy Rosjan różną, tak będziemy gadać... (Odojewski zaśmiał się.) Idźcie bez zwłoki, ogłoście o tym strzelcom. A ja pošlę na bazyry pewnych ludzi. Trzeba lud usunąć z Moskwy, niepotrzebne nam wielkie larum — strzelcy sami dadzą radę.

X

Na brzeg Jeziora Perejesławskiego wyjechała z leśnej gęstwiny pokryta pyłem karetą podróżna, zaprzężona w cztery konie różnej maści. Solidny woźnica i bosy chłop, siedzący wierzchem na lewym szpicowym koniu, rozglądali się wokół. Wszędzie rozrzucone kloce,

l kupy szczap, napoczęte beczki ze smołą.
l ani żywej duszy, jeno w niektórych miej- .. scach słyhać było donośnie chrapanie. Niedaleko brzegu stały cztery osmolowane okręty; wysokie rufy, ozdobione wyrzynaniami -H i okienkami kwadratowymi, odbijały się w zielonkawej wodzie. Między masztami latały czajki.

Z karety wyszedł Lew Kiryłowicz, marszcząc brwi roztarł krzyż zdrewniały w drodze: , nie był jeszcze stary, lecz tył nadmiernie | z powodu skłonności do napojów. Czekał, czy ktoś nie podejdzie. Nie chciało mu się samemu wołać, chrząkał jeno. Woźnica rzekł mrużąc oczy od słońca:

— Odpoczywają. Pora obiadowa.

Rzeczywiście, w cieniu spoza bierwion i beczek wystawały to nogi w łapciach, to zadarta koszula na gołych plecach, to kudłata głowa. Chłop na koniu, wyręczając leniwego pana, krzyknął dziarsko:

— Hej-ej, prawosławni, kto tu żywi...

Wówczas w pobliżu karety podniosła się spoza lin przepita nierosyjska gęba z czarnymi, długimi na łokieć wąsami i za ryczała łamanym językiem:

— Szego fszeszczysz, turniu...

Woźnica obejrzał się na pana, czyby nie wlepić batem. Ale Lew Kiryłowicz zabronił: kto ich tam rozezna, przy carze Piotrze na- . wet generałowie pijani po ziemi się tarzają. Zapytał z godnością, gdzie car.

— A szort go fie — odpowiedziała wąsata

głowa i znowu zwała się na liny. Lew Kiryłowicz ruszył brzegiem, upatrując człowieka o rosyjskim wyglądzie, i już bez krępacji kopnął jakiegoś w łapciach. Chłop-cieśla zerwał się i mrugając odpowiedział:

— Od samego rana Piotr Aleksiejewicz żeglował, z armat strzelał, widać zmorzyło go i śpi.

' Piotra znaleziono w łodzi, spał nakrywszy głowę kaftanem. Lew Kiryłowicz odsunął wszystkich od łodzi i czekał, aż siostrzeniec raczy się przebudzić. Piotr chrapał rozkosznie. Z szerokich holenderskich spodni wystawały jego chude nogi w trzewikach włożonych na bosą stopę. Dwa razy poruszył nimi we śnie, odpędzając muchy. A to szczególnie dręczyło Lwa Kiryłowicza. Widzicie go, muchy mu przeszkadzają, gdy korona na włosku...

Bojarzy głośno mówili w Kremlu: — Piotra czeka klasztor. Hulaka, z żołnierstwem za pan brat, przegra w karczmie carską koronę w kości. — Po Kremlu włączyli się znowu pijani strzelcy, bezczelnie podpierając się pod boki na widok kogoś z magnatów. Zofia, groźna owymi pijanymi szablami, szalała. Okryty niesławą wojownik, Golicyn, siedział posepny jak kruk w salach obitych miedzią. Dopuszczał do siebie jedynie Szakłowitego i Sylwestra Miedwiediewa. Powszechnie rozumiano, że obecnie powinien albo złożyć urzędy z hańbą, albo przez krew zdobywać tron. Nad Kremlm zawisła chmura...

A len w łódce śpi — nic go nie obchodzi.,

— A, wujku, Kocie Kiryłyczu, witami

Piotr usiadł na burcie łodzi, opalony, brudny, szczęśliwy. Oczy lekko podpuchnięte, nos się łuszczy, koniuszki ledwie syjących się wąsów podkręcone.

— Po coś przyjechał?

— Po ciebie, miłościwy panie — odrzekł poważnie Lew Kiryłowicz — a nie po żadną łaskę, bo tak teraz rzeczy stoją, że musisz być w Moskwie koniecznie, nie wrócę bez ciebie...

Pełne oblicze Lwa Kiryłowicza poczęło drżeć, a na skroniach spod czapki wystąpił pot. Piotr spojrział ze zdziwieniem: he, he, widać sprawy kiepsko tam idą, jeżeli leniwego wuja tak rozkołysało. Piotr przechylił się przez burtę łodzi i napił się wody dłonią, podciągnął spodnie.

— No, dobrze, przyjadę w tych dniach.

— Nie w tych dniach, ale dzisiaj. Godziny nie ma do stracenia. (Lew Kiryłowicz przysunął się, ledwie dostawał do ucha siostrzeńca.) Ubiegłej nocy pod samym Preobrażeń- skiem, po tamtej stronie Jauzy, spostrzeżono w krzakach przeszło setkę strzelców w zasadzce. (Ucho i szyja Piotra momentalnie po- czerwieniały.) Nasi preobrażeńcy całą noc na warcie pochodnie palili i grali na trąbkach. Tamci wagowali się przekroczyć rzekę. Pót- niej dopiero w Moskwie dowiedzieliśmy si% że strzelec Owsiej Rżow powiadał, jakoby zmówili się tak: gdy jeno w pałacu Prcobra-

234

↑uWfSt*

Lr*. t ifS!^T! r •

HI

żeńskim w nocy powstanie krzyk, mieli stać na pogotowiu i kogo im wydadzą z pałacu, tego rąbać bez wyjątku...

Piotr nagle zasłonił oczy ręką i wcisnął palce w twarz. Lew Kiryłowicz w dalszym ciągu opowiadał, jak to Szakłowity rozsyła krzykaczy na bazyry — podmawiać głodny lud do rozgromienia Preobrażeńskiego.

— Lud w swej determinacji myśli o jednym: dorwać się, grabić. A Zofia czeka jeno na nowe zamieszki...

Jej przyboczni strzelcy nawet postronek już przywiązali do dzwonu na Wieży Spaskiej. Dawno by już uderzyli we dzwony, ale pułki strzeleckie, sotnie kupieckie i miasto wahają się — dzwonienie wszystkim już się sprzykrzyło. Czasy takie — bojarzy siedzą w swych domach jak podczas oblężenia. A siostrzyczka Natalia Kiryłowna to już przytomność traci... (Lew Kiryłowicz przytulił się do ramienia Piotra i chlipnął krewniackim płaczem.) Piotrusiu, błagamy cię na Boga: okaż się w całym carskim majestacie, zagroź. Tęsknią do cara — tupnij nogą, a my już pomożemy... Nie tylko nam, nawet wrogom naszym obrzydł Waśka Golicyn, Zofka stanęła im kością w gardle...

Wiele już razy Piotr słyszał podobne rzeczy, ale dzisiaj płaczliwy szept wuja napędzi] mu strachu. Jakby znowu usłyszał owe krzyki, od których włosy stają na głowie, widział ze wszystkich stron otwarte gęby, rozdęte gardziele, ostrza nastawionych pik. ciężko padające na nie ciało Matwiejewa... Cie-

leśny przestrach z dni dzieciństwa... Wykrzy- wiły mu się usta, oczy wyszły na wierzch, niewidzialne ostrze wbijało mu się w szyję pod uchem.

— Piotruś! Bóg z tobą Miłościwy panie! — Lew Kirillowicz objął drżące ramiona siostrzeńca. Piotr zatrzepotał w jego rękach, parszcząc pianą. W jego nieartykułowanym krzyku był gniew, przerażenie, zmieszanie. Pozrywali się ludzie i otoczyli ze strachem szalejącego Piotra. Wąsaty Pamburg przyniósł wódki w kubku. Piotr jak dziecko pryskał jeno nie mogąc pić — tak miał zaciśnięte zęby. Odniesiono go do karety Lwa Kirillowicza, ale on wierzgając rozkazał położyć się na murawie. Uspokoił się. Potem usiadł i objął kościste kolana. Patrzył na jasną taflę jeziora, gdzieś latały czajki nad masztami okrętów. Skądś nadszedł zataczając się Nikita Zotow. Z powodu rannej batalii był on w książęco-papieskiej chlami- dzie, nie uczesany, włosy w strąkach, w siwiejącej brodzie — sianol Przysiadłszy koło Piotra patrzył na niego żałośliwie, jak baba z brodą.

— Piotrze Aleksiejewiczu, usłuchaj mnie, głupca...

— Idź do diabła...

— Idę, ojczulku... A przecie dojrzałem się... Trza wszystko rzucić... Te zabawy dziecinne...

Piotr odwrócił się. Nikita popęzł na kolanach, by | drugiej strony zajrzeć mu wobl-
cze. Piotr odtrącił go i w milczeniu wlaź do karety. Lew Kirillowicz podbiegając przeżegnał się pośpiesznie.

XI

W soborze Uspieńskim odprawiano nabożeństwo. Głosy chóru patriarszego na lewym skrzydle, ludzi z domu carskiego na prawym — odbijały się na przemian od ciemnozłoty łuków to chłopięcym, słodkim dysz-
kantem, to znów rykiem potężnych gardzieli. Płomienie świec, jarzące się z łagodnym trzaskaniem przed
złotymi ramami, oświetlały zgrzane twarze bojarów. Celebrował patriarcha — niby męczennik zeszedł z deski
suzdal-
skiego obrazu żyły jedynie oczy, słabe ręce i wąska broda do pępka, poruszająca się po ciężkiej kapie.
Dwunastu diakonów-wielko-
dów, bujnie owłosionych, o apokaliptycznych gębach, pobrzękiwało ciężkimi
kadzielnicami. Patriarcha i otaczający go metropolici i archi-
reje unosili się w kłębach kadzidlanego dymu.
Intonacje archidiacona wypełniały cały sobór niby mocne wino. Oto trzeci Rzym. Radowało się dumne serce
rosyjskie.

Zofia stała na carskim miejscu pod purpurowym baldachimem. Z prawej strony car Iwan — z na pół
przymkniętymi powiekami, rumieńce płonęły mu na schorowanym obliczu. Z lewej strony stał długi Piotr —
jakby w ostatki odziano chłopca w carskie ubranie

— Nie uniosę — rzekł Iwan łagodnie — upuszczę...

Wówczas metropolita omijając Piotra podał obraz Zofii. Ręce jej, obciążone pierścieniami, nie na miarę. Bojarzy spoglądali na niego z uśmiechem, podnosząc do ust chusteczki: niesforny młodzian, ustać nie może, drepcze^ krzywo jak gęś, głowy nie utrzyma... Zofia przynajmniej umie zachować się władczo. Pod nogami, by wyglądać na wyższą, ławeczka. Oblicze spokojne, dłonie złożone na piersiach, a ręce, piersi, ramiona, uszy, korona płoną, żarzą się od drogich kamieni. Niby sama Władczyni Kazańska stoi pod baldachimem... A tamtemu kukujskiemu hulace mięśnie napinają się w kącikach ust, jakby zaraz chciał kogoś ugryźć, ale — paszczyka słaba... Oczy złe, pyszne... A każdy widzi: w myślach nie ma pobożności.

Nabożeństwo skończone. Służba cerkiewna jęła się krzątać. Zakołysały się chorągwie, latarnie mikowe, krzyże i obrazy uniesione na rękach. Między rozsuwających się bojarów i szlachtę ruszyła procesja. Patriarcha podtrzymywany przez diakonów skłonił się carom prosząc ich o wzięcie, wedle zwyczaju, obrazu Władczyni Kazańskiej i przejście przez plac Czerwony do soboru Kazańskiego. Metropolita moskiewski podszedł z obrazem do Iwana. Car szczyptał rzadziutką bródkę, obejrzał się na Zofię. Zofia stała bez ruchu jak posąg, patrząc na promyk w mikowym okienku.

rozwarły się i ujęły obraz mocno, drapieźnie. Zeszła z ławeczki nie przestając patrzeć na promień. Wasilij Wasiliewicz, Fiodor Szak-łowity, Iwan Miłosławski — wszyscy w sobolowych płaszczach — przysunęli się od razu do władczyni. W soborze zapanowała cisza. - — Oddaj... (Słyszeli wszyscy — powiedział ktoś niezrozumiale i głucho.) Oddaj... (Już głośniejszy, nienawistniejszy.)

A gdy poczęto patrzeć na Piotra, zrozumiano, że to on... Twarz purpurowa, miota wzrokiem jak puchacz, chwycił złoty toczony słupek baldachimu i baldachim począł tańczyć...

Lecz Zofia ledwie się zatrzymała, nie odwracając się, nie trwożąc. Piotr przemówił urywanym głosem, grubiańsko, na cały sobór:

— Iwan nie idzie, ja pójdę... Ty idź do siebie... Oddaj obraz. To nie kobieca sprawa... Nie pozwolę...

Unosząc oczy Zofia wyrzekła słodko, jakby nie z tego świata:

— Śpiewacy, zaczynajcie pienia wielkiej procesji...

Zszedłszy ruszyła z wolna wzdłuż rzędu bojarów, niziutka a wspaniała. Piotr patrzył za nią wyciągnawszy długą szyję (bojarzy do chusteczek: śmiech i zgroza.) Iwan schodząc ostrożnie za siostrą wyszeptał:

— Piotrus, daj pokój, pojednaj się ty z nią... Czemuście poróżnieni, czemu się kłócicie...

Szakłowity, przechyliwszy się na krzesło ku przodowi, wpatrywał się uporczywie w Wasilija Wasiliewicza. Sylwester Miedwie- diew, w jedwabnej wspaniałej riasie, ostrożnie chwytając wargami i przygryzając wy- pielegnowaną kruczą brodę, również patrzył na Golicyna. W' sypialni na stole paliła się jedna świeca. Strusie pióra znad baldachimu łoża rzucały cienie na cały sufit, gdzie skrzydlate konie, latające dzieciaki i golono- gie dziewczęta wieńczyły bohatera z obliczem Wasilija Wasiliewicza. Sam Wasilij Wasiliewicz leżał na ławie na niedźwiedzich skórkach. Trzęsła nim febra, której się nabawił jeszcze podczas kampanii krymskiej. Otulił się aż po nos w kozuszek i ręce wsunął w rękawy.

— Nie — przemówił po długim oczekiwaniu nie mogąc słuchać tych słów... Bóg da) życie. Bóg jeden mu je zabierze...

Szakłowity z gniewem uderzył się czapką w kolano i obejrzał się na Miedwiediewa. Ten — bez namysłu:

— Powiedziano: „Poślę mściciela”, co należy rozumieć, że nie Bóg zabiera życie, ale z jego woli ręka człowieka...

— W domu Bożym wykrzykuje jak w karczmie — gorąco podchwycił Szakłowity. — Zofia Aleksiejewna od tego czasu nie może przyjść do siebie, tak ją przestraszył. Wyhodowano wilczka, niedługo pokaże, co umie. Możecie go czekać w Moskwie i jego uciesz- nego wojska; będzie tego ze trzy tysiące, jeżeli nie więcej. Ogiery zastałe... Czy nie tak, Sylwestrze?

— Możecie się po nim spodziewać ruiny ludzkiej, zasmucenia prawosławnego kościoła i potoków przelanej krwi. Gdym układał jego horoskop, włosy mi dęba stanęły — słowa, cyfry, linie krwią przepojone. Ach! ach... Dawno już powiedziano: czekajcie na taki horoskop.

Wasilij Wasiliewicz oparł się na łokciu, blady, ziemisty.

— Nie kłamiesz to, popie? (Sylwester potrząsnął wiszącym na piersiach krzyżem.) O czym ty gadasz?

— Da wnośmy czekali na ten horoskop — powtórzył Miedwiediew tak dziwnie, że Wasilijowi Wasiliewiczowi po krzyżu drapiącym mrozem przeszła febra.

Szakłowity zerwał się dzwoniąc srebrnymi łańcuszkami, chwycił szablę i czapkę pod pachę.

— Za późno będzie, Wasiliju Wasiliewi- czu... Zobaczysz — nasze głowy będą sterceć na palach... Zwłóczysz, boisz się, i nam ręce związałeś.

Przysłaniając oczy Wasilij Wasiliewicz powiedział:

— Ja wam rąk nie wiązę...

Ani słowa więcej od niego nie wydostali. Szakłowity wyszedł. Przez okno było słychać, jak wściekle ruszył koniem przez bramę.

Miedwiediew przysiadłszy koło wezgłowia zaczął mówić o patriarsze Joachimie: dwulico- wy, głupi, słaby. Przy ubieraniu w zakrystii — metropolicy go popychają, figi za jego plecami pokazują dla zabawy. Potrzeba patriarchy młodego, uczonego, aby Kościół kwitł w weselu jak Eden...

. — Koronę twoją, książę, uwiłby winogrodem Bożym... (Łechtła ucho brodą, przesyconą olejkami sandałowym.) Powiedzmy, ja — nie i jeszcze raz nie, nie wymówiłbym się od ryzy patriarszej. Rozkwitlibyśmy... Waśka Silin, wróż, patrząc na słońce przez palce z dzwonnicy Iwana Wielkiego wszystko to ujrzał w znakach. Pomów z Silinem. A co do Joachima — co sobota przywożą mu potajemnie z Preobrażeńskiego cztery wiadra karasi. A on przyjmuje...

Poszedł i Miedwiediew. Wówczas Wasilij Wasiliewicz otworzył suche oczy. Nasłuchiwał. Za drzwiami chrapał pokojowiec księcia. Na dworze chodzili wartownicy. Wziąwszy świecę Wasilij Wasiliewicz otworzył za łóżkiem tajemne drzwi i zaczął schodzić stromymi schodami. Trzęsła nim febra, myśli się plątały. Zatrzymywał się, unosił świecę nad głową, ze strachem patrzył na dół, w ciemność.

Wyrzec się wielkich zamysłów, pojechać na wieś, niechby przeminęły niepokoje, niech się bez niego pogryzą, wyjuszają. No, a srom, hańba? Pułkami książę Wasilij dowodził, po* wiedzą, a teraz gości pasie... (Świeca drżała

242

w zziębniętej ręce.) Po koronę sięgał, a teraz kury maca... (Zadzwońszy zębami, zbiegł kilka stopni.) Cóż wreszcie, niech będzie, jak chce Zofia, Szakłowity, Miłosławscy... Zabić Jak nie Jego, to — on? — A co, jeżeli nie zwyciężymy? Ciemna sprawa, niewiadoma sprawa, niepewna sprawa... Boże, oświeć... (Żegna się wsparty o ceglany mur.) Gdyby tak gorączki dostać na cały ten czas...

Zszedłszy Wasilij Wasiliewicz z wysiłkiem odsunął żelazną zasuwę i wszedł do sklepionego podziemia, gdzie w kącie na wojłoku leżał czarownik Waśka Silin, przykuty łańcuchem za nogę.

— Panie miłościwy, za co ty mnie?... Przecie ja chyba...

— ■ Wstań...

Wasilij Wasiliewicz postawił świecę na podłodze i mocniej otulił się kożuszkiem. W ostatnich dniach rozkazał zabrać Waśkę Silina z domu Miedwiediewa i zakuć w łańcuchy. Waśka chciał niepotrzebnie rozpowiadać o tym, że możni ludzie biorą od niego lubczyk i wykorzystują w ten sposób kogoś stojącego w gorze, o kim nawet mówić strach bierze. A za to dostanie dom w Moskwie i będzie mógł hulać za darmo.

— Na słońce patrzyłeś? — zapytał Wasilij Wasiliewicz.

Waśka mruczając upadł do nóg i żarłocznie cmoknął w dwóch miejscach polepę pod nogami księcia. Znowu powstał — niziutki, krępy, z niedźwiedzim nosem, łysy — gęste zro-

Pśnięte brwi zlatywały ukośnie aż do kędzierzawych włosów przy uszach, głęboko osadzone oczy paliły się nadzwyczajnym zuchwalstwem.

— Rano, raniusieńko wprowadzili mnie na dzwonnice i drugi raz — w samo południe. Co widziałem — nie utaję...

— Powątpiewam — przemówił Wasilij Wasiliewicz. — Ciało niebieskie, jakież mogą być na nim znaki? Kłamiesz...

— Znaki, znaki... Myśmy nawykli patrzeć przez palce, i to nawiedza mnie niczym prorokowanie, patrzę jak w pismo... Ano, inni w fusach kwasowych widzą i w przetaku naprzeciw miesiąca. Kto umie — czemużby... Ach, ojcze! — Waśka Silin nagle sapnął niedźwiedzim nosem, kołysząc się począł przenikliwie patrzeć na księcia. — Ach, panie miłościwy... Wszystko widziałem, wiem o wszystkim... Patrzę, stoi jeden car, wysoki, ciemny, a korona mu się na plecach objaja... Drugi car — jasny, ach, strach powiedzieć... ma w główce trzy świece. A między carami — dwoje się złączyło i w koło chodzą, ciągiem chodzą, jakby mąż i żona... I oboje w koronach, a słońce między nimi aż pali...

— Nie rozumiem, co ty pleciesz —> Wasilij Wasiliewicz podniósłszy świecę cofnął się.
. — Wszystko ci się ziści... Nie bój się nic... Stój mocno... A ziela mego podsypuj, pod- sypuj — pewniej będzie... Nie dawaj dziewczce spokoju, rozpalaj ją, rozpalaj. (Wasilij Wasiliewicz był już przy drzwiach.) Panie miło-
244

Pięćdziesiątnicy strzeleccy: Kuźma Czermny, Nikita -Gładki i Obrosim Pietrow pracowali ponad siły, podburzając strzeleckie sło- body. Wchodzili do domów bijąc wściekle we drzwi: — Co to wy tu z babami śpicie, a wszystkim niedługo głowy pourywają! — Okrutnie krzyczeli na od wach u: — Dziegiem poznamy bojarskie dwory i sklepy kupców, będziemy je grabić, znosić zabrane do podziału! Teraz znowu wolność! — Na rynkach i targach rozrzucali podburzające pisma i niby świeżo znalezione, odczytywali je ludowi, złorzeczając gniewnie.

Ale strzelcy syczeli jak mokre drwa, lecz nic zapalali się — bunt nie wybuchł płomieniem. Bo i bali się: — Patrz, ile w Moskwie hołoty nędzarskiej, uderzysz we dzwony — wszystko rozbija, swojego nie uratujesz.

Pewnego razu wczesnym rankiem koło Bramy Miąśnickiej znaleziono czterech strzelców z warty bez przytomności — pogruchothane głowy, posiekane członki. Przywleczono ich na odwach pułku Strzemiennego. Posłano po Fiodora Lewontiewicza Szakłowitego i przy-
ściwy, rozkaż zdjąć ze mnie okowy. (Szarpnął się jak pies na łańcuchu.) Panie, jedzenia każ przysłać, od wczoraj nic nie jadłem...

Gdy się drzwi zatrzasnęły, zawył dzwoniąc łańcuchem i zawodząc strasznym głosem.

nim ranni zeznali: — Stoimy na warcie przy bramie. Boże broń, nic nie piliśmy. Pora koło świtu. Wtem z pustki wyskakują jeźdźcy i masz tobie — zaczynają nas bić obuchami, czekanami, kiścieniami. Najbardziej bił jeden, gruby, w białym kaftanie atłasowym, w bojarskiej czapce. Tamci go powstrzymywali: „Przestań bić, Lwie Kiriłłowiczu, zabijesz na śmierć!” A on krzyczy: „Mało tego jeszcze, zapłacę przeklętym strzelcom za moich braci!”

Szakłowity słuchał uśmiechając się. Oglądał rany. Wziąwszy w ręce odrąbany palec pokazywał go z ganku ludziom postronnym i strzelcom. — Tak — mówił — widać niedługo i was będą wlec za nogi.

Do podziwienia! Nie chciało się wierzyć, aby ni z tego, ni z owego Lew Kiriłłowicz miał się tak zabawiać... A już Gładki, Czerńmy i Pietrow rozgłaszali po slobodach, że Lew Kiriłłowicz z towarzyszami jeżdżą nocami, przyglądają się, kto siedem lat temu na Kremlu grabił, i biją takiego na śmierć. — Rozumie się — odpowiadali strzelcy spokojnie — za grabież nie pogłaszczą.

Po trzech dniach przy Bramie Pokrowskiej znowu ci sami jeźdźcy z grubym bojarzynom napadli na wartę, bili czekanami, batami, szablami, wielu było rannych. Tu i owdzie w pułkach zadzwoniono na larum, ale strzelcy ulekli się do reszty i nie wyszli. Nocami zaczęli uciekać z wart. Żądali, by na zmianę wysyłano co najmniej sotnię z armatą. Strzelcy spokojnieli niby od jakiegoś uroku.

246

A potem poszły wieści, że z tych jeźdźców -zabijaków kilku już rozpoznano: Stiopkę Odojewskiego, Miskę Tyrtowa, co był u niego za miłośnika, Piotra Andriejewicza Tołstoja. A ten w białym kaftanie pono wcale nie bojar, lecz podiaczy Matwiejka Szoszyn, zaufany carówny. Rozkładano ręce: do czego oni zmierzają przez takie zberezeństwa?

Źle było w Moskwie, niespokojnie. Co noc posyłano do Kremla na wartę pięciuset ludzi. Żołnierze wracali stamtąd pijani. Oczekiwano pożarów. Opowiadania o dowcipnie urządzonych granatach ręcznych, co je Nikita Gładki skrycie zawiózł do Preobrażeńskiego, podrzucił na -drodze, którą miał iść car Piotr, jeno granaty nie wybuchły. Wszyscy czegoś oczekiwali, przytaili się.

W Preobrażeńskiem od przyjazdu Piotra bez ustanku waliły armaty. Na drogach za rogatkami stali ogoleni żołnierze z niewieściami włosami, w kapeluszach, w zielonych kaftanach. Kilka razy lud wędrowny nawrzeszczawszy się na bazarze szedł gromić spichrze w Preobrażeńskiem, ale nie dochodząc do Jauzy napotykał wszędzie żołnierzy, którzy grozili strzelaniem. Wszystkim się sprzykrzyło— niechby już jak najrychlej jedno drugie pożarło: Zofia Piotra albo Piotr Zofię... Aby nareszcie utwierdziło się coś stałego.

247

XIV

Przez zastawy na Miałniczej przedostawał się konno Wasilij Wołkow. Zatrzymywano go na każdym kroku, on odpowiadał: — ■ Dworzanin cara Piotra z carskim ukazem. — Na placu Lubiańskim płomienie ognisk oświetlały przysadzistą wieżę i zębate, obłupane mury ciągnące się w ciemność ku Nieglinnej. Czarniejsze wydawało się niebo pokryte sierpniowymi gwiazdami i gęściejsze zarośla drzew za murami i parkanami dookoła placu. Błyskały krzyże niziutkich cerkwi. W mnóstwie straganów nie było już przekupniów z powodu spóźnionej pory. Po prawej stronie, przed długim budynkiem pułku Strzemienego, siedzieli ludzie z berdyszami.

Wołkowowi kazano (jechał w błahej sprawie na Kreml) zobaczyć, co się dzieje w mieście. Kazał mu to Borys Aleksiejewicz Golicyn, który dniem i nocą przesiadywał był teraz w Preobrażeńskim. Śpiączka się tam skończyła. Piotr przyjechał z Jeziora gij rejasławskiego zupełnie inny. O poprzednich uciechach nawet mówić nie było można. Po powrocie z owego nabożeństwa tak szalał, że go ledwie uspokojono. Przybocznymi jego teraz byli Lew Kirilłowicz i Borys Golicyn. Ciągłe, zamknięci razem, szeptali, a Piotr ich słuchał. Wojsku jego podwyższono żołd, wydano nowe pasy i rękawice — pieniędzy P^o życzono na Kukuju. Bez dziesięciu zbrojnych dworzan Piotr nie wychodził na dziedzinie ani w pole. I stale jakby się oglądał przez ramię, jałby nie dowierzał, wpijał się wzrokiem w każdego... Dzisiaj, gdy Wołkow dosiadał konia, Piotr krzyknął przez okno:

— Jeśli Zofia będzie o mnie pytać — milcz. Gdyby cię wzięli pod dybę, milcz.

Obejrawszy opustoszały plac Wołkow ruszył truchtem. — Stój, stój! — przeraźliwie krzyknięto w ciemności. Zbiegł mu drogę rosły strzelec zdejmując z pleców samopał.

— Gdzie ty, do... A-*. chwycił konia za uzdę.

— No, no, ostrożnie, jam carski dworzanin. Strzelec gwizdnął w palce. Podbiegło jeszcze pięciu. — Kto taki? — Dworzanin... — Takiego nam trza! — Sam wpadł... — Otoczyli go i poprowadzili na odwach. Tam przy świetle ogniska Wołkow poznał w rosłym strzelcu Owsieja Rżowa. Skurczył się: źle. Owsiej — nie puszczając uzdy:

— Hej, który tam szybszy, biegnijcie poszukać Nikity Gładkiego...

Poszło niechętnie dwóch. Strzelcy podnosili się od ogniska, z przyzby, odrzucając rogoże schodzili z wozów. Zebrało się około pięćdziesięciu ludzi. Zachowywali się spokojnie, jakby ta sprawa ich nie dotyczyła. Wołków nabrał śmiałości.

— Niedobrze postępujecie, strzelcy... Czy myślicie, że macie po dwie głowy na karku, czy co? Wiozę carski ukaz — a wy chwy- tacie. Toż to hultajstwo, zdrada...

— Milcz! — Owsiej zamierzył się samopałem.

Powstrzymał go stary strzelec.

— Nie ruszaj go. toć to człowiek|_____

dany.

— A tak, właśnie że poddany. Jestem carskim sługą. A wy komu służycie? Zastanówcie się, strzelcy, żebyście nie przegrali. Dobry był Chowański, a co z nim zrobiono? Byliście i wy dobrzy, a gdzie słup na placu Czerwonym, gdzie wasze przywileje?

— Przystaniesz łąć, psiel — krzyknął Owsiej.

— Żal mi was... Mało to was Golicyn włóczył po stepach... Pomagajcie mu, pomagajcie, on was na trzecią wojnę pociągnie. Będziecie po chałupach o kawałek chleba żebrać. (Strzelcy milczeli jeszcze posępnie.) Car Piotr już nie jest mały. Minał czas, kiedy się was bał. Żebyście wy się tylko jego teraz nie przestraszyli. Och, strzelcy, zaprzestańcie wy tych łotrów...

— I-echl — krzyknął ktoś tak dziko, że strzelcy drgnęli. Wołkow zacharczał, podniósł ręce i zwałił się. Z tyłu na jego konia, z rozpędu, skokiem wpadł Nikita Gładki, złapał Wołkova za szyję i wraz z nim zwałił się na ziemię. Przekręciwszy się siadł na nim, uderzył w zęby, zrzucił mu czapkę, zerwał szablę. Podskoczył i zarechotał potrząsając szablą — wielkousty, dziobaty, szerokoczoły.

- Widzieliście — oto jego szabla. Ja i cara Piotra tak oporzędzę... Bierzcie go na Kreml do Fiodora Leworitiewicza.

Strzelcy podnieśli Wołkova, poprowadzili

z pagórka wzdłuż muru kitajgorodzkiego, obok pokrytych wronimi gniazdami wierzb, zmurszałych i sędziwych, które stały na brzegu zapleśniałej Nieglinnej, obok szubienic i kół na żerdziach. Z tyłu szedł Gładki; śmierdziało od niego wódką. Weszli na Kreml przez Wieżę Kutafią. Za bramą paliły się ogniska. Kilkuset strzelców siedziało wzdłuż pałacowego muru, leżało na murawie, włóczyło się wszędzie. Wołkova przeprowadzono ciemnym przejściem i wepchnięto do niziutkiej komnaty oświetlonej lampkami. Gładki wyszedł do pałacu. Przy drzwiach stał pomarszczony, pokorny wartownik. Oparłszy się o topór rzekł cicho:

— Ty się nie gniewaj, patrz, my sami nie wiemy, gdzie się podziać. Rozkaż — bijesz... Głód, bojarzynie. Czternaście gąb w domu. Dawniej dorabiało się handlem, a teraz — co dadzą, za to się żyje. A cz^ż my się buntujemy przeciw carowi Piotrowi... Niech władza nami kto bądź — tak to dzisiaj...

- Weszła Zofia, po panieńsku, z gołą głową, w czarnym aksamitnym letniku z futrem sobolim. Siadła przy stole nachmurzona. Za nią uśmiechał się piękny Szakłowity pokazując białe zęby. Ubrany był w strzelecki kaftan barwy pokrzywy. Siadł obok Zofii. Nikita Gładki z matołkowatą miną wiernego sługi odszedł do proga. Szakłowity obracał w palcach pismo Piotra, wyjęte Wołkowowi z kieszeni.

— Władczyni przeczytała list, sprawa jest

blaha. Dlaczego tak pośpiesznie wysłali cię nocą?

— Na przespiesi — przez zęby wycodziła g Zofia.

— Radzłmy pomówić z tobą, carski dworzanie. Jak zdrowie cara Piotra? Carowej? Czy długo jeszcze będą się na nas gniewać? (Wołkow milczał.) Odpowiadaj, inaczej zmusimy...

— Zmusimy — cicho powtórzyła Zofia pa* trząc na niego ciężkim, chłopskim spojrzeniem.

- — Czy dosyć zapasów ma ucieszne wojsko Piotra? Czy im czego nie potrzeba?... Miłościwa pani o wszystkim chce wiedzieć — zapytywał Szakłowity. — A po co warty na drogach stawiacie, dla zabawy czy też boicie się kogoś? Niedługo do Moskwy przez was nie dojedzie. Wozy ze zbożem zabieracie, czyż tak przystoi...

Wołkow milczał według rozkazu — opuścił głowę. Strasznie było milczeć. Ale im niecierpliwiej pytał Szakłowity, im groźniej chmurzyła się Zofia, tym uparciej zaciskały się jego wargi. Sam był nierad takiemu swemu zuchwalstwu. W czasie próżnowania w Preobrażeńskim dużo się w nim nagromadziło siły. I serce się burzyło: bierzcie na spytki, proszę — możecie męczyć, nic nie powiem... Gdyby się nawet Szakłowity w tej chwili z nożem na niego rzucił krając pasy z pleców — spojrzalby mu w oczy wesoło, wyzywająco. Zofia zbladła, nozdrza jej się

rozszerzyły. Szakłowity tupnął wściekle i zerwał się.

— Chcesz odpowiadać przy dybie?

— Nie mam co gadać — przemówił Wołkow (sam się nawet przeraził), wystawił nogę i wzruszył ramieniem. — Sami jedźcie do Preobrażeńsklego, strzelców do towarzystwa macie chyba dosyć.

Szakłowity z całej siły uderzył go w dołek. Wołkow zakrzuszył się, cofnął i dostrzegł, jak Zofia wstaje od stołu z trzęsącym się grubym . obliczem, nalany gniewem.

— Ściąć głowę — powiedziała ochryple.

Nikita Gładki i wartownik powlekli Wołkova na dziedziniec. — Katal — krzyknął Nikita. Wołkow zwisał mu na rękach. Puścili go, padł na twarz. Podszedł ten i ów ze strzelców, zaczęli dopytywać: kto to taki i za co mają go ściąć. Podśmiewając się wzywano przez cały ciemny plac ochotnika na kata. Gładki sam wyciągnął szablę z pochwy. Powiedziano mu: — Wstyd, Nikito Iwanowiczu, krwawić szablę w takiej sprawie. — Zakląwszy pobiegł do pałacu. Wtedy stary wartownik pochylił się, poruszył ramię skostniałego Wołkova.

— Uciekaj zdrów. Nie wychodź bramą, lecz biegnij koło muru i przeleż gdzie bądź...

Ogniska na placu Łubiańskim pogasły (tliło się tylko jedno koło odwachu) — nikt nie chciał nosić drew mimo wrzasków Owsieja.

1H

W ciemności wielu strzelców rozeszło się do domów. Inni spali. Pięciu ludzi rozmawiało z cicha, odszedłszy pod parkan, w cień rozłożystych lip.

— Gładki powiada: Borys Golicyn ma we dworze na Riazańskim sześćdziesiąt łańcuchów brzęczących, srebrnych... Podzielimy to, gada, między siebie...

, — Gładki rad by jeno grabić, ale on mało kogo naciągnie na to.

— Wierzyć im nie można: oni grabią, a my odpowiadamy...

— Dworzanin słusznie gada: żeby nas car Piotr nie przestraszył.

— Oj, niedługo może nas przestraszyć.

— A ta, carówna nasza — jednych obdarowuje pieniędzmi, a inni muszą sterczeć dniem i nocą na wartach, gospodarstwo upada.

— A ja, naprawdę, uciekłbym nie oglądając się do wojska Piotra.

— Przecie on wygra, chłopcy...

— Bardzo proste...

— Darmo tu czekamy... Doczekamy się pętli na szyję.

Zamilkli i obejrzeni się. Od Kremla jechał ktoś co koń wyskoczy. „Znowu Gładki... Co go tak diabli noszą?”

Wjehawszy po pijanemu w ognisko Gładki zeskoczył w biegu, wrzeszcząc:

— Dlaczego nie zebrano strzelców? Dlaczego nie rozesłano ich na rogatki? W Kremlu wszyscy w pogotowiu, a wy nawet ognisk -nie palicie! Śpicie, diabły! Gdzie Owsiej? Po

słać do slobód! Gdy uderzymy w dzwony z Wieży Spaskiej — wszyscy mają stanąć z bronią.

Klnąc Gładki popędził rozprostowując nogi na odwach.

Wówczas stojący pod lipami zaczęli mówić między sobą:

— Larum...

— Dziś w nocy.

— Nie zbiorą...

— Nie...

— A co, bracia, gdyby tak... hę? (Przysunęli głowy ku sobie i ledwie dosłyszalnym szeptem):

— A tam podziękują.

— Wiadomo.

— Nagrodzą i w ogóle...

— A tu sprawa przegrana, chłopcy...

— Wiemy. Chłopcy, kto pójdzie? Dwóch by trzeba...

— No, kto?

— Dmitrij Mielnow, pójdiesz? — Pójdę.

- Jakub Ładygin, pójdiesz?

— Ja niby? Dobrze, pójdę.

— Dobijajcie się aż do samego... Do nóg mu i — tak a tak... Zmówili się, powiecie, na śmierć twoją, najjaśniejszy panie... My, powiecie, jako sługi twoje wierne, jakoże- śmy całowali krzyż...

— Nie ucz, sami wiemy.

— Powiemy.

— Biegnijcie, chłopcy...

O wojowaniu z dwoma batalionami: Pre- obrażeńskim i Siemionowskim, nie warto było - nawet myśleć. Trzydzieści tysięcy strzelców, dworzanie, piechota cudzoziemska, zaciężny pułk generała Gordona — zgnieliby wojsko Piotra jak muchę. Borys Golicyn nalegał, że- , by czekać spokojnie w Preobrażeńskim do wiosny. Niedługo jesienne bezdroża, mro- zy — strzelców kijem nie spędzi z pieca na wojnę. A na wiosnę zobaczy się. Gorzej, niż jest, nie będzie, należy sądzić, że będzie gorzej Zofii i Wasilijowi Wasiliewiczowi: do zimy bojarzy zdążą się ostatecznie pokłócić / ■ między sobą, zaczną przechodzić do Preobra- żeńskiego strzelcy żołdu nie otrzymają — skarb pusty. Lud głoduje, miasta, rzemieślnicy w ruinie, kupiectwo jęczy. Ale gdyby Zofia podniosła wojsko, uderzyła we dzwony, należy ująć z batalionami Piotra do Trojcy-Sier- gijewa pod opiekę nieprzystępnych murów— j miejsce wypróbowane, można się w nim bronić nawet rok, ba, dłużej. Za poradą Borysa Golicyna przesyłano tajemnie do Trójcy podarki archimandrycie Wincentemu. Borys Aleksiejewicz sam jeździł tam dwukrotnie, rozmawiał z archimandrytą, prosił o obronę. Generał Sommer codziennie urządzał przeglądy i egzercycje — od strzałów armatnich w pałacu popękały bez mała wszystkie szyby. Ale gdy Piotr zaczął mówić o Moskwie, Sommer jeno chmurzył się

256 SiiHfi^

i sapał w wąsy: — Cóż, będziemy się bronić. — Ze słobody przyjeżdżał Lefort, ale rzadko — trzeźwy galant z bojaźliwym uśmiechem — widok jego przestraszał Piotra najbardziej. Nie dowierzał już nawet -Lefortowi. Często wśród nocy Piotr budził Aleksaszkę, narzucali byle jak kaftany i biegli sprawdzać warty. Stojąc długo w wilgoci nocnej na brzegu Jau- zy, Piotr patrzył w stronę Moskwy — ciemność bez jednego światełka i cisza złowieszcza. Wzdrygnąwszy się z chłodu, ponuro wołał Aleksaszkę i włókł się spać. 4Piotr spał z żoną tylko przez pierwsze noce po powrocie. Potem kazał sobie posłać w pałacowej przybudówce, w niskiej izbie w ro- dzaju komory o jednym oknie; car spał na ławie, Aleksaszka na podłodze, na wołoku. Jewdokia oczy wyplakała czekając na miłego — była w czwartym miesiącu ciąży — doczekała się go i znowu oczy jej nie wysychały. Witając męża chciała wybiec na drogę, ale jej nie puściły kobiety. Wyrwała im się, rzuciła się w sień ku drogiemu mężowi — wszedł wysoki, chudy, obcy — przyłgnęła do niego twarzą, rękami, piersią, brzuchem... Miły ucałował ją chropowatymi wargami — cały prześmierdł dziegiem i tytoniem. Zapytał jeno przesunąwszy szybko dłoń po jej nabrzmiewającym brzuchu: — No, no, a czemuś nie pisała o tej sprawie? — jego oblicze przelotnie zmiękło. Poszedł z żoną powitać matkę. Mówił prędko, urywkowo, niezrozumiale, podrygiwał ramieniem i wciąż się dTa-

pał. Natalia Kiriłłowna powiedziała w końcu:

— Piotrusiu, panio mój, w łaźni napalono od rana...

Spojrzał na matkę Jakoś dziwnie.

— Matuchno, to nic od brudu śwędzi.

Natalia Kiriłłowna zrozumiała i łzy popęzły po jej policzkach.

Na trzy noce tylko Jowdokia ściągnęła go do sypialni — Jakże czekała na niego, Jakże kochała, jak myślała, że go upieści. Ale straciła śmiałość, zmieszała się tylko bardziej niż w pierwszą noc po ślubie, nie wiedziała, o co zapytać miłego. Leżała na poduszkach haftowanych perłami w zupełnym oglupieniu. On wzdrygał się we śnie i chrapał. Ona bała się poruszyć. Gdy poszedł spać do komory — nie wiedziała, gdzie ma oczy podziać ze wstydu przed ludźmi. Ale Piotr jakby zapomniał o żonie. Cały dzień kłopoty, bieranina, narady z Collcynem. Tak zaczął się sierpień. Moskwa była złowieszcza, w Preobrażeńskim panował lęk i czujność.

XVI

- Min herc, a co, gdybyś tak nupisał do rzymskiego cesurza o wojsko?

— Dureń...

To ja niby? — Aleksaszka stanął na wojłoku na czworakach. Podpelził. Oczy mu latały. — Mówię wcale nieylupio, min herc. Nałóży zażądać dziesięciu tysięcy piechoty... Nie więcej. Pomów o tym z Borysem Aleksieje- wiczom...

Aleksaszka przysiadł u wezłowia. Piotr leżał na boku, z podkurczonymi kolanami, z głową zakrytą. Aleksaszka gryzł wargę.

— Pieniędzy nie mamy, to prawdu, min herc. Pieniędze są potrzebne. Oszukamy... Czyż nie potrafiemy oszukać cesarza? Ja sam wpadłbym do Wiednia. Eh, ruszylibyśmy na Moskwę, na strzelców, dalibóg...

— Idź do diabła...

— No, dobrze... — Aleksaszka równie szybko jak poprzednio znalazł się pod kożuchem. — Nie mówię przecież, by do Szwedów jechać z prośbą albo do Tatarów. I ja rozumiem. Nie chcesz — nie trzeba. Wasza sprawa...

Piotr przemówił spod okrycia niejasno, jakby przez zaciśnięte zęby:

— Za późno wymyśliłeś...

Umilkli. W komorze było gorąco. Mysz skrobała pod piecem. Z daleka słychać było: — Czuwaj! — to okrzyki wartowników nad Jauzą. Aleksaszka zaczął miarowo oddychać.

Piotra w ciągu ostatnich nocy męczyła bezsenność. Zaledwie głowę przyłożył do poduszki, zdawało mu się, że słyszy bezdźwięczny krzyk: „Pali się, puli się!...” Serce zaczynało trząść się jak barani ogon. Sen odlatywał daleko. Zaledwie uspokoił się, a już ucho chwytą jakby daleko w domu, za bierwio- nowymi ścianami, ktoś płakał. Dużo przemy

ślał w te noce. Wspominał: choć tam w uci-.. sku, choć w ciemnym kącie, ale przecie beztrósko szły lata w Preobrażeńskim— wesoło, hałaśliwie, nedorzecznie, bardzo głupio. Okazało się, że jest wszystkim obcy. Wilczek, kum żołnierski. Dotańczył, dograł się — i oto zbójecki nóż przy sercu...

Znowu sen odlatywał. Piotr kurczył się mocniej pod przykryciem.

Siostrunia, siostrunia, bezwstydnica krwiozercza... Szerokobiodra, z tłustym karkiem.. (Przypomniał sobie, jak stała w soborze pod baldachimem.) Chłopska uróżowana gęba — rzeźniczka! Granaty kazała na drodze podrzucić... Z nożem nasyła... W kuchni wczoraj znalazła się beczułka z kwasem, dobrze, że przedtem dano psu chleptać — zdechł... v

Piotr odganiał te myśli. Ale gniew sam pędził krew do skroni. Pozbawić go życiał! Żadne zwierzę, żaden człowiek z pewnością tak chciwie nie pragnął żyć jak Piotr.

— Aleksaszka... diable, śpierz, daj kwasu...

Oszołomiony Aleksaszka wyskoczył spod kozucha. Drapiąc się przyniosł w dzbanuszkę kwasu, naprzdód sam się napił, podał. Ziewnął. Pogawędzili nieco. — Czuwaj! — smutno, bezsennie dolatywało z oddali.

— Może byśmy zasnęli, min herc...

Piotr zsunął z ławy gołe, chude nogi. Teraz już nie przesłuszenie — ciężkie nogi spieszenie tupwały w sieniach. Głosy, okrzyki... Aleksaszka w białiznie stał przy drzwiach, z dwoma pistoletami.

26Q

— Min herc, tutaj biega...

Piotr patrzył na drzwi. Podbiegają. Zatrzymali się przy drzwiach... Drżący głos:

— Najjaśniejszy panie, zbudź się, nieszczęście...

— Min herc, to Ałozka...

Aleksaszka odsunął zasuwę. Weszli dysząc ciężko: Nikita Zotow, bosy, ze zbiełymi oczami; za nim Aleksy Browkin i wąsaty, ponury Buchwostow z batalionu Preobrażeń- skiego wciągnęli dwóch strzelców niby wory bezkostne — brody i włosy rozwichrzzone, wargi obwisłe, wejrzenie szalone.

Zotow, tracąc głos ze strachu, wyszeptał:

— Mielnow i Ładygin z pułku Strzemien- nego z Moskwy — zbiegli...

Strzelcy u proga padli gębami w wołok i szorując brodami zawodzili nabożnie, jak można najstraszej:

— O-o, o-o-oj, najjaśniejszy panie, ojczu, przepadła twoja głoweńka, o-oj, o-oj... A co oni zamyślają zrobić z tobą, ojcem naszym, szykują się siłą niezmierną, ostrzą noże stalowe. Grzmi dzwon na Wieży Spaskiej, lud biegnie ze wszystkich stron...

Cały roztrzęsiony, miotając zlepiionymi kędziorami, wierzgając lewą nogą, Piotr wrzasnął jeszcze straszniej niż strzelcy, odepchnął Nikitę i pobiegł przez sień, jak stał, w jednej koszuli. Wszędzie ze drzwi wysuwały się staruszki — i zamierały.

Przy tylnym ganku tłoczyła się przestraszona czeladź. Widziano, jak ktoś wysko-

itMWglwi'

czył — biały, długi, wyciągnął ręce przed siebie niby ślepiec... „Boże, car I” — niektórzy popadali ze strachu. Piotr rzucił się poprzez ludzi, wyrwał uzdę i kańczug z rąk oficera służbowego, dosiadł konia nie trafiając stopami w strzemiona, waląc kańczugiem popędził, skrył się za drzewami.

Aleksaszka był spokojniejszy: zdążył włożyć kaftan i buty, krzyknął na Aloszkę: „Zabierz carskie odzienie i dogoń” — i ruszył na drugim koniu z warty za Piotrem. Dopędził go mknącego bez strzemion i cugli aż w Lesie Sokolnickim.

— Stój, stój, min here!

W lesie poprzez korony drzew gwiazdy błyskały jesienną jasnością. Coś szeleściło. Piotr oglądał się, wzdrygał, uderzał konia piętami, by znowu pędzić. Aleksaszka łapał jego wierzchowca powtarzając gniewnym szeptem:

— Poczekajże, min here, gdzież to bez spodni!...

W paprociach coś głośno zatrzepotało, płacząc się w zaroślach wyleciał cietrzew, przeleciał jak cień pod gwiazdami. Piotr chwycił się jeno za gołą pierś, gdzie serce. Aleksy Browkin i Buchwostow przywieźli odzież. We trójkę, spieszenie, byle jak odziali cara. Podjechało jeszcze ze dwudziestu ludzi, dworzan i oficerów. Ostrożnie wyjechali z lasu. Od strony Moskwy jaśniała słaba luna i słychać było jakby larum. Piotr rzekł przez zęby:

— Do Trójcy.

Popędzili przez puste pola, między wioskami, na drogę troicką. Piotr gnał rzuciwszy wodze, trójgraniasty kapelusz nasunął na oczy. Od czasu do czasu niemiłosiernie okładał kańczugiem koński kark. Przed nim i za nim — dwudziestu trzech ludzi. Kopyta zamasyżycie były w suchą drogę. Pagórki, wądoły, zarośla osikowe i brzożowe. Niebo na wschodzie pozieleniało. Chrapały konie, wiatr świstał w uszach. W pewnym miejscu jakiś cień zachwiał się i znikł; czy to był zwierz, czy też chłop przejeżdżający w nocy rzucił się w trawę nieprzytomny ze strachu — nie wyjaśniono;

Należało zdążyć do Trójcy przed Zofią. Rozpalały się zorze żółte, pustynne. Padło kilka koni. W najbliższym wądole przesiedli konie i bez odpoczynku ruszyli dalej. Gdy w dali wyrosły spadziste dachy wież obronnych i rozplomienione zorze zalały kopuły, Piotr zatrzymał konia, odwrócił się, wyszczerzył zęby. Stępa wjechali w klasztorną bramę. Cara zdjęto z konia i wniesiono, na pół żywego ze wstydu i zmęczenia, do celi archimandryty. m./o*

XVII

Stało się to, czego nie oczekiwano ani w Moskwie, ani w Preobrażeńskim: Zofia nie mogła zebrać strzelców, na larum z Wieży Spaskiej nie zadzwoniono, Moskwa tej nocy spała obojętnie. Preobrażeńskie opuszczono...

TftiEBff I _

Wszyscy — Natalia Kiriłłowna z brzemienną synową, przybocznicy bojarzy, dworzanie, rezydenci, czeladź i oba pułki Piotra z armatami, moździerzami i amunicją — uciekli do Trójcy.

Gdy na drugi dzień Zofia słuchała nabożeństwa w pałacowej cerkwi — poprzez bojarów przecisnął się do niej Szakłowity. Twarz miał straszną. Zofia podniosła brwi ze zdziwieniem. Pochylił się ku niej z krzywym uśmiechem.

— Cara Piotra wystraszonego z Preobrażeńskiego, uciekł, szatan, w samej jeno koszuli, nie wiadomo dokąd...

Zofia sznurując wargi rzekła złoźnie: •

— Wolno mu przecie biegać, gdy się wścieknie.

Niby nic się ważnego nie stało. Ale tego samego dnia rozeszła się wieść, że pułk strzelecki Ławrentija Suchariewa cały odszedł do Trójcy — nie rozumiano, kiedy go zdołali skaptować i kto — pewno Borys Golicyn, stary kompan pijacki Ławrentija. W Moskwie zaczęły się wielkie znowy. Nocami skrzypiały bramy, to tu, to tam wyjeżdżała bojarska kolasa i grzmiąc po bierwionowej jezdni pędziła cpo tchu na drogę jarosławską.

Wasilij Wasiliewicz Golicyn całe noce spędzał z 'Miedwiediewem, starając się przy pomocy guseł poznać swój los. A we dnie włóczył się senny po pałacu i zgadzał na wszystko. Szakłowity miotał się po pułkach. Zofia wyczekiwała kryjąc wściekłość.

Niespodziewanie odszedł do Trójcy z pięćsetnikami, z setnikami i częścią strzelców pułkowych Iwan Cykler, który przed siedmiu laty wyciągnął z cerkiewnego schowka pod ołtarzem brata carowej, Iwana Kiriłłowicza. Był to zausznik Zofii. Błagając Piotra o przebaczenie opowiedział o wszystkich zamysłach carówny.

Dowiedziawszy się o Cyklerze Zofia straciła głowę. Na kim się tu teraz oprzeć, jeśli takie wierne psy odchodzą? Z Trójcy zaś jęli przybywać gońcy do wszystkich dziewiętnastu pułków strzeleckich z pismami (pisane ręką Borysa Golicyna i podpisane w poprzek, z kleksami — „Ptr”). które nakazywały pułkownikom i uradnikom * bez zwłoki jechać do cara Piotra w wielkiej państwowej sprawie.

Gońców bito na rogatkach i zabierano im pisma, ale niektórzy zdołali przemknąć się do pułków i przeczytać. Wówczas Zofia kazała ogłosić: — Kto się ośmieli pójść do Trójcy — temu ściąć głowę. — Pułkownicy odpowiedzieli: — Dobra, nie pójdziemy. — Wasilij Wasiliewicz kazał posłać zaufanych ludzi do tych strzelcowych, których mężowie przeszli na stronę Piotra — straszyć je i namawiać do napisania mężom, żeby powrócili. Zrobiono to, ale wynik był nikły.

Posłano do Trójcy patriarchę Joachima, by skłaniał do ugody. Patriarcha pojechał chę-

O

nie, ale pozostał tam i nawet nie odpisał Zofii. Nadeszły nowe pisma od Piotra do pułków, do kupców i prostego ludu, do slobód i osad. „Nie zwlekając przybywać do Ławry Troickiej, jeżeli zaś ktoś nie stawi się —ten będzie karany na gardle...” Okazało się, że tu i tam człek może głowę stracić. Pułkownicy Nieczajew, Spiridonow, Normatski, Darów, Siergiejew, pięciuset uriadników, mnóstwo szeregowych strzelców, radni kupiectwa i miast w wielkim strachu uciekli do Trójcy, Car Piotr w rosyjskiej odzieży, stojąc na ganku— koło niego obie carowe* Borys Golicyn I patriarcha — darzył przychodzących lampką wódki, a oni wołali łzawymi głosy prosząc o ukrócenie zamieszek. W/ tym samym dniu w pułku Sucha newskim krzyknęto: — Chodźmy do Moskwy, łapać buntowników!..

Wasilij Wasiliewicz udał chorego. Szakłowity bojąc się teraz pokazać przebywał w ukrycia w tylnych pokojach pałacu. Gładki z towarzyszami chował się w oficynach u Miedwediewa. W Kremlu zamknięto wszystkie bramy. Wytoczono armaty na estry. Zofia nie mogąc sobie znaleźć miejsc włóczyła się po opustoszałych salach—krofc' Jej były ociężałe, ręce zaciśnięte pod piersiami. Raczej otwarta bitwa, powstanie, rzeź —

ni z la zamierająca cisza w pałacu .

?tfibv sfis

ulatniała się władza, ulatniało się życie.

Miasto na pozór wydawało sse spokoj* dalej wrzało zgielkiem placów i bazarów - caaii dobiegały odgłosy kołatek stróżowskieŁ

m

HhI

i pianie kogutów. Suchariewscy nie przyszŁ Nikomu się nie chciało wojować. Zdawało się, że wszyscy zapomnieli o Zofii, siedzącej samotnie za murami Kremla.

Wówczas Zofia postanowiła — i dwudziestego dziewiątego sierpnia sama, ze służebnicą Wierką, pojechała karetaŁ do Trójcy, z nieliczną strażą.

XVIII

Nad drogą jarosławską dniem i nocą unosił się kurz — szli z Moskwy piesi i konni, toczyły się kolasy. Pod murami klasztoru Troic- kiego, w osadach i w polu toczyły stę obozowiska, dymiły ognie, co chwila wjrbochat zgiełk i bijatyk i o miejsce, o pożywienie,

0 pokarm dla koni. W klasztorze nie oczekiwano takiego najazdu, spichrze wkrótce opustoszały, stogi z pola rozdrapano. A strzelców

1 szlachtą należało karmić obficie. Po żywność wysyłano oddziały do najbliższych stóŁ wkrótce nie było tam nawet kurczaka. Maso to w Trójcy yŁo ciasno i głodno. WseJa znamienitych łodzi mieszkało w namiotach, jedni na dziedzińcach, inni po prostu na ulicy. Oczekiwano carskiego wyjścia wysiadując na gtn- ku w skwarze słonecznym, ta również po* silano s&a naprędcie. Ciężko brio zamienić spokojne moskiewskie dwory, dr. - których ca- wet ptak obcy nie zaleciał, na taki wAsz Aie wszyscy rozumieli: rozstrzyga się wiełka spr

wa, zmienia się władza. Czy jednak na dobre? Niby gorzej niż teraz być nie może: cała Moskwa, cały lud, cała Rosja — we wrzodach, w łachmanach, żebraczka. Wieczorami, siedząc przy ogniskach, leżąc przy wozach, ludzie gadali o wszystkim, ile chcieli i jak chcieli. Wszystkie pola naokoło klasztoru szumiały głosami i czerwieniały ogniskami. Znaleźli się skądś chłopci znający się na czarach — osobiwie mrużąc oczy, przesyrywali w czapkach bób, przysiadali rozłożywszy na ziemi kawałek materii — wróżyli każdemu, kto chciał: rozrzuci bób na trzy kupki, przesuwając po nim palcem i cicho, poufnie przepowiada:

'■'/.Czegoś — powiada — pragnął, to będziesz miał, trzymaj się tego, o czym myślisz, strzeż się takiego, co w łapciach nie chodzi, baraniego kożucha nie nosi, biały na twarzy. Nie przechodź koło trzeciego domu, nie oddawaj moczu przy trzech gwiazdach. Doczekasz się spełnienia może niedługo, a może nigdy, amen. „Bóg zapłać” nie mów, dawaj grosz z za policzka...

Chłopi-wróźbici tumanili ludzi pełzając w ciemności między wozami: |1 — Carównie się kość pacierzowa skreśliła — szeptała — księżę Wasilij Golicyn nie doczeka pierwszego śniegu... Mądry, kto uciekł od nich... Car Piotr jeszcze zielony, ale myślą za niego carowa i patriarcha. Oni koroną całej sprawy. Oni też będą jądrem. A jądro będzie oto takie: bojarom nie pozwolą w karetach jeździć i zostawią każdemu po jednym dworze, tyle jeno, aby mógł wyżyć. Kupcy i ludzie zacni ze slobód będą chodzili z wyboru do pałacu i mówili, co trzeba: to, powiedzą, róbcie, a tego nie trzeba... Cudzoziemców wyrzuci się z Rosji, a domy ich oddane będą na grabież. Chłopi i poddani będą wolni, żyj, gdzie chcesz, bez zrywania się, bez pańszczyzny...

Tak wróżyli wróźbici oraz guślarze, tak też myśleli ci, co słuchali. Święteczne dzwonicie bez ustanku huczało nad ławrą. Cerkwie i sobory otwarte, opromienione świecami, a surowy śpiew klasztorny słychać dniem i nocą.

Już o świcie car Piotr — z prawej strony carowa matka, z lewej patriarcha — schodził z ganku na nabożeństwo. Później pokazywali się ludowi wśród bicia dzwonów. Carowa osobiście częstowała nowo przybyłych czarką wódki, patriarcha, wysuszony nabożeństwami i postem, lecz mocny duchem, mówił:

— Bogobojnie postępujcie, że uciekając od buntowników okazujecie bojaźń carowi — i błyskał oczami w stronę Piotra.

Car, odziany po rosyjsku, z jedwabną chusteczką w czystych rączkach, stał godnie z opuszczoną głową, wychudłym obliczem. Trzeci już tydzień nie miał w ustach fajki i nie pił wódki. Robił wszystko, co mu mówiła matka, patriarcha lub Borys Golicyn; nie wyjeżdżał za mury klasztorne. Po nabożeństwie zasiadał w celi archimandryty pod obra-

zami i podawał bojarom ręką do całowania. Porzucił szybką mowę, wytrzeszczanie oczu, gdy należało solennie i cicho odpowiadać, i to nie wedle własnego rozumienia, lecz idąc za zdaniem starszych. Natalia Kiryłowna ciągle powtarzała przybocznym bojarom:

— Nie wiem, jak mam dziękować Bogu — nasz władca zmądrzał, zrobił się taki solenny, taki obyczajny...

Z cudzoziemców dopuszczano do niego jedynie Leforta. — i to nie w czasie audiencji, i nie do stołu — przychodził do celi wieczorem, strzegąc się, by nie włożyć patriarsze w oczy. Piotr w milczeniu chwycił go za policzki, całował i wzdychał z ulgą. Siadali blisko siebie. Lefort urywkowo szeptem opowiadał o tym i owym, rozśmieszał, dodawał otuchy, a między żarty lekko i celnie rzucał poważne myśli.

Rozumiał, że Piotr doznaje uczucia dręczącego wstydu z powodu swojej ucieczki w jednej koszuli — podsuwał przykłady z „historii Broniusza” o królach i sławnych wodzach, którzy podstępem ratowali własne życie.

„Pewien diuk francuski zmuszony był przebrać się za niewiastę i leć w jednym łóżku z chłopem, a nazajutrz siedem miast zdobył... Wódz Nektariusz widząc, że nieprzyjaciel zwycięża, łysiną swoją wrogów przestraszył i do ucieczki zmusił, ale następnie hańby nie uniknął i łysinę przyozdobił rogami, choć sławy mu przez to nie ubyło” — powiada Broniusz...

270

Śmiejąc się Lefort mocno ścisnął ręce Piotra zakapane woskiem.

Piotr był niedoświadczony, w gorącej wodzie kąpany. Lefort powtarzał, że w walce z Zofią trzeba przede wszystkim ostrożności} rwać się do bitki — to już wszystkim dokuczycie. Wśród zbożnego dźwięku dzwonów klasztornych należy obiecywać spokój i dobrobyt przybywającemu z Moskwy ludowi. Zofia sama padnie jak podgniły słup. Lefort szeptał:

— Poruszaj się godnie, Peter, mów łagodnie, patrz łagodnie, na nabożeństwach stój. dopóki nogi wytrzymają — a będziesz kochany przez wszystkich. Będą mówić: oto Bóg zesłał nam władcę, pod którym wreszcie odetchniemy... A Borys Golicyn niech krzyczy i bije...

Piotr podziwiał rozum drogiego przyjaciela Franza. — Po francusku nazywa się to poli- tique: mieć na uwadze własne korzyści — tłumaczył Lefort. — Król francuski Ludwik XI nawet do podłego chłopca szedł w gości, gdy chłop był potrzebny, a gdy trzeba było, znamienitemu księżęciu i hrabiemu ścinał głowę bez miłosierdzia. Mniej wojował, a więcej zajmował się politique, był lisem i lwem, wrogów zniszczył i państwo wzbogacił...

Dziwnie go było słuchać: tancerz, hulaka, kpiarz, a nagle zaczynał mówić o rzeczach, o których swoi nawet nie zająknęli się.

— U was każdy ciągnie do siebie, a państwo nie obchodzi nikogo: jeden o dochodach

I tylko myśli, inny o zaszczytach, jeszcze inny — byle napełnić brzuch... Taki dziki lud można jeszcze znaleźć chyba tylko w Afryce. Ani rzemiosł, ani wojska, ani floty... Tyle jeno, co tę skórę zdzierać, aleć i ta marna.

Śmiało wygłaszał takie słowa, bez obawy, że Piotr będzie bronił trzeciego Rzymu... Niby ze świecą przenikał w matecznik umysłu Piotra, dzikiego, zachłannego, trwożnego. Jut płomyk lampki przed obliczem św. Siergieja lizał zielone szkło, a za oknami ścichły kroki wartowników, gdy Lefort, rozśmieszony Piotra żarcikiem, znowu powracał do swego:

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, Peter... O, ja długo włóczyłem się po świecie, widziałem różnych ludzi. Tobie oddaję moją szpadę i życie... (Miłośnie zaglądał w ciemne, wypukłe oczy Piotra, przygasłego, jakby dużo lat przeżył w tych dniach.) Potrzeba ci ludzi wiernych i mądrych, Peter... Nie spiesz się, czekaj — znajdziemy ci nowych ludzi, takich, którzy za sprawę na twoje słowo w ogień pójdą, ojca i matki nie oszczędzą... A bojarzy niech się kłócą ze sobą o stanowiska, o zaszczyty — nie dorobisz im nowych głów, a ściać stare nigdy nie będzie za późno. Poczekaj, wzmocnij się. Jeszcześ za słaby do walki z bojarami. Będzie zabawa, wesele, ładne dziewczęta. Dopóki krew wre, hulaj, pieniądze starczy, jesteś przeciw car...

Jego cienkie wargi szeptały bliźniutko, podkreśnione wąsiki łechtaly policzków Piotra, spojrzenia to pieszczotliwe, to twarde tchnęły rozumem i hulactwem. Kochany człowiek, odgadywał myśli, słowami wypowiadał to, co fermentowało w głowie Piotra jako nieświadomione pragnienie.

Natalia Kiryłowna nie mogła się nadziwić, skąd w Piotrusiu bierze się tyle rozsądku; nie mogła się nacieszyć jego stanowczością: matkę i patriarchę czci, słucho przybocznych bojarów, śpi z żoną i chodzi do łaźni. Natalia Kiryłowna zakwitła w klasztorze jak róża

0 jesieni: piętnaście lat żyła w opuszczeniu

1 oto znowu książęta z wielkich rodów rozpychają się łokciami, by złożyć hołdy care- wej matce, bojarzy okoliczowie czekają tylko na skinienie i rzucają się. by oddać jej jakąś przysługę. Na nabożeństwie zajmuje pierwsze miejsce, patriarcha jej pierwszej podaje krzyż. Przy wyjściu lud pada przed nią na ziemię, nawiedzeni, kalecy, żebracy z płaczem ją wysławiają, pełzną, by ucałować kraj jej sukni. Qłos Natalii Kiryłowny stał się teraz spokojny i powolny, spojrzenie majestatyczne. W celi jej na ławach i skrzyniach siedzą bojarzy w ceremonialnych szubach, nie mogąc poruszyć się z gorąca: najbliższy z ludzi, były wychowawca z czasów dzieciństwa Piotra, Tichon Nikitiewicz Stręszniew — na ustach błogi uśmiech, oczy przysłonięte brwiami, aby ludzie nie wysilali się na próżne domysły, czy jest podstępny, czy mądry; surowy, rudy książę Iwan Borysowicz Trojeku- row z szerokim obliczem; szwagier Piotr

Abramowicz Lopuchln — ślągłe policzki płonęły mu, bezrżęse powieki czerwieniły, do tego stopnia niziutkiego, wysuszonego staruszka korciła władzaj wsparty o piec, spokojnie złożywszy ręce, drzemał garbato* nosy, podobny do Cygana książę Michajło Alegukowicz Czerkaski. W połowie miesiąca przybył Fiodor Juriewicz Romodanowski i również zaczął przesiadywać u carowej; muskając węża, przewracając szklanymi, wybałuszonymi oczami, wzdychał kołyszając wielkim brzuchem.

Carowa wchodząc do celi zwracała się do każdego imieniem odojcowskim i siadała na prostym krześle, trzymając w palcach prosku- rę. Obok niej braciszek Lew Kiriłłowicz, rumiany, otyły, poważny — bojarzy bez pośpiechu omawiali z nimi sprawy państwowe, jak postąpić z Zofią, co będzie z Miłosławskim, kto pójdzie na zesłanie, kto do klasztoru i który z bojarów zarządzać będzie jakim urzędem.

Borys Aleksiejewicz Golicyn rzadko bywał u carowej — chyba w nadzwyczajnym wypadku — wstydził się z powodu swego stryjcznego brata, no i czasu nie miał: dniem i nocą pisał wezwania, rokował z Moskwą, przeciągał pułki, prowadził wywiady, starał się o żywność dla wojska. Rad niczyich nie słuchał — wyniosły był i pyszny bardziej jeszcze niż Wasilij. W lekkim, złożonym pancerza we włoskim hełmie z czerwonymi piórami> podchmielony, z podkreconymi wąsami, jeż*

dził na ognistej klaczy, która miała grzywę i ogon przeplecione złotymi sznurami. Schylając się z aksamitnego siodła, całował się z nowo przybyłymi pułkownikami. Pędził ujmując się pod boki do strzelców, którzy padali na kolana, niby skoszone zboże.

— Witajcie, chwaty! — krzyczą! chrapliwie, aż czerwienił mu się przedział na brodzie — Bóg wam przebaczy, car was ulaskawi. Rozłóćcie się obozem, gotujcie kaszę, miłościwy pan darzy was beczką wódki...

— A to ci wesół ten Borys — mówili strzelcy do bab w obozie — widać, dobrze tu wszystko idzie, w poręśmy się przerzucili...

Borys Golicyn popychał sprawy za wszystkich. Bojarzy radzi zbyli się kłopotu — lepiej w celi u carowej posiedzieć, pomyśleć spokojnie. Jeno Dołgorukowie, Jakub i Grigorij, mieszkający w namiocie z kobierców na dziedzińcu metropolity, pałali do Borysa gniewem: — Siedem lat mieliśmy po gardło Wasilija, a teraz mamyż znosić Borysa? Zamieniać kukułkę na jastrzębia?! — Nie lubił go również patriarcha za pijatyki z Piotrem na Kukuju, za łacinę, za umiłowanie cudzoziemszczyzny. Ale i patriarcha milczał do czasu.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia do okutej bramy klasztornej podjechał strzelec bez kołpaka, w rozchełstany kaftanie, na zakurzonej twarzy widać jeno. wybałuszone białka. Zadarł stargany klin brody do nad- bramnej baszty i wrzasnął strasznym głosem:

— Carska sprawa!

Otworzono skrzypiącą bramę, zszadono strzelca ze zgonionego konia — chłop był mocny, ale już nie miał sił iść, tak się wysilił spiesząc w carskiej sprawie? ostrożnie, pod ręce zaprowadzono go do Borysa Golicyna. Szedł wierząc głową. Ujrzawszy Borysa na ganku, padł mu do nóg.

— Zofia o dziesięć wiorst, w Wozdwiżeń- skiem...

XIX

Pierwsza straż we wsi Wozdwiżeńskie zatrzymała karocę władczyni. Zofia uchyliła szklanych drzwiczek i poznając niektórych strzelców zaczęła ich łąć od zdrajców i judaszy i wygrażać im pięścią. Strzelcy przestraszyli się, pozdejmowali czapki, ale gdy karoca znowu ruszyła, zagrodzili drogę drzewcami berdyszów i zatrzymali konie. Wtedy przestraszyła się Zofia i rozkazała się odwieźć do jakiegokolwiek domu.

Chłopi, kobiety wysuwali się z furtek, by popatrzeć, chłopcy włązili na dachy, psy szczekał^ na karocę. Zofia osunęła się na tył siedzenia, blada, zmieniona na twarzy ze wstydu i gniewu. Wierka przysiadła u jej nóg, karzeł-poczwarą Ignaszka, niewiele wyższy nad łokieć, w kołpaku z sokolimi dzwoneczkami, wzięty w drogę dla rozrywki, płakał całą skrzywioną twarzą. Przewieziono ich do domu bogatego szynkarza. Zofia kazała, by gospodarze usunęli się, i weszła do świetlicy, gdzie Wierka natychmiast ponakrywała carskimi pokrowcami łóżko, skrzynie, ławki i zapaliła lampki. Zofia położyła się. Przechucie kłęski ścisnęło jej głowę, niby żelazna obręcz.

Po dwóch niespełna godzinach rozległ się tętent konia, brzęk szabli uderzającej w strzemię. Bez pytania, jakby do szynku, wszedł do świetlicy dworzanin Iwan Iwanowicz Buturlin, z rękami w kieszeniach, w przekrzywionym kołpaku.

.:— Gdzie carówna?

Wierka rzuciła się ku niemu z rozcapierzonymi palcami i wypychała go.

— Wyjdź, wyjdź, bezwstydniku... Przecie ona śpi...

— A, śpi, no, to powiedz carównie, żeby nie jechała do klasztoru.

Zofia zerwała się. Patrzyła tak długo, aż Buturlin ściągnął czapkę.

— Pojadę do klasztoru... Powiedz bratu, że przyjadę...

— Wasza rzecz. Jenó miłościwy pan kazał, byś czekała tu na posła, księcia Iwana Borysowicza Trojekurowa, a do klasztoru kazał cię nie puszczać.

Buturlin wyszedł. Zofia położyła się znowu. Wierka przykryła ją szubką, żeby nie zziębła. Łyszczkowe okno w świetlicy mierzchło. Słychać było uderzenia bata, ryk bydła, skrzypienie wrót. I znowu cisza. Dzwoneczki na kołpaku Ignaszki brzęczały żałośnie — błaze-

nek siedział smutno na skrzyni, zwiesiwszy nogi. „I ten już gotów mnie pochować...” Zofią wstrząsnął gniew. Gdyby go dostać ręką — poleciałby ze skrzyni jak kociak. Ale ręce były ołowiane...

— Wierka I — zawołała cichym, niskim głosem. — Nie zaniedbaj mi przypomnieć o Wań- ce Buturlinie, gdy będę w lawrze...

Po rękę przesunęły się chłodne wargi Wier- ki. W szarym zmierzchu zamajaczyły nagie plecy Wańki, skręcone, posiniałe ręce, głowa na pieńku, ostrze błyska, łopatkę wzdymają się i opadają, na miejscu głowy krwawy pęcherz... Nie bądź głupia!... Zofia odetchnęła lekko.'

Jako poseł z Trójcy jedzie Trojekurow. Dwa tygodnie temu sama posyłała go z Kremla do Piotra — powrócił nic nie zyskawszy. Zagniewana Zofia nie dopuściła go do siebie. Obraził się czy stchórzył? Bojarzyn umysłu niezbyt bystrego, tyle że groźnej postawy. Zofia zsunęła z łóżka pełne nogi, obciągnęła suknię nad aksamitnymi trzewikami.

— Wierka, podaj szkatułkę...

Wierka postawiła na pierzynie okutą szkatułkę, do narożnika jej przykleiła woskową świeczkę i tak długo trzaskała krzesiwem, aż ramiona Zofii znowu zdrzały gniewem... Zapachniała hubka, zapalił się paperek, zapłonęła świeca i Zofia pochyliła się nad płomykiem, odgarniając z policzka opadające włosy. Odczytywała pismo chorego brata, cara Iwana — pisał Piotrowi, by się pogodzili, nie
278

trzeba więcej krwi, błagał patriarchę o chrześcijańską pomoc: natchnąć miłością zatwar- . działo serca Piotra i Zofii.

Czytając uśmiechnęła się złośliwie. Ale wszystko jedno — trzeba będzie przejść i przez to poniżenie. Byle tylko wilczka wywabić z Trójcy... Zamyśliła się tak mocno, że nie słyszała, jak ktoś wjechał we wrota. Słyszac z sieni niski głos Trojekurowa pytający o nią, Zofia chwyciła z łóżka czarną chustę, narzuciła ją na głowę i przyjęła księcia stojąc. Trojekurow, wlaższy bokiem przez wąskie drzwi, złożył ukłon palcami do podłogi i wyprostował się. — wysoki do powały, oblicze miedziane, oczy w cieniu, tylko wielki nos błyszczał w świetle świecy. Zofia zapytała o zdrowie cara i carowej. Trojekurow zahuczał, że dzięki Bogu wszyscy zdrowi. Przesunął ręką po brodzie, podrapał się w podbródek, ale nie zapytał o zdrowie Zofii. Zrozumiawszy to Zofia uczuła chłód w całym ciele. Należało usiąść i nie ponizać się dalej, ale nie siadła. Rzekła:

— Chcę nocować w klasztorze, tutaj jest głodno i nieprzytulnie. — Wysiłała się, by spojrzeć przez cień w jego oczy. Jej duma jęczała, że oto ona, władczyni, boi się tego durnia w trzech szubach, a z owego zapomnianego już babskiego strachu głowa ucieka jej w ramiona. Trojekurow odpowiedział:

— Niepotrzebnie się do nas wybraliście, carówno, bez straży, bez wojska... Drogi niebezpieczne...

— Ja się nie boję: wojska mam więcej niż wy...

— Ale jaki z niego pożytek...

— Dlatego też jadę bez ochrony — nie chcę krwi, pragnę pokoju...

— O jakiej krwi mówisz, carówna, krwi nie będzie... Chyba łotr, buntownik Fied'ka Szakłowity z towarzyszami pragną jej jeszcze, to my ich odnajdziemy za to...

— Po coś przyjechał? — krzyknęła głucłjo Zofia. (On wydobyl z kieszeni zwitek z czerwoną pieczęcią na sznurku.) — Przywiozłeś ukaz? Daj — Wierka, odbierz ukaz od bojara... A mój ukaz taki: każ zaprzęgać konie, będę nocowała w klasztorze...

Trojekurow odsunął ręką Wierkę, rozwinął papier i zaczął uroczyście, bez pośpiechu mówić:

— „Ukazem Cara i Wielkiego Księcia, samowładcy całej Wielkiej i Małej, i Białej Rusi, rozkazano ci wrócić bez zwłoki do Moskwy i tam czekać na jego carską wolę, co on, miłościwy pan, z tobą postanowi...”

— Piesi 7— Zofia wyrwała mu zwitek, zmięła, rzuciła... Czarna chusta spadła jej z głowy. — Wróć ze wszystkimi pułkami, twoja głowa pierwsza spadnie!

Trojekurow stękawszy pochylił się, podniósł ukaz, pokiwał głową i jakby nie dostrzegając szału Zofii zakończył surowo: . — A jeśli zechcesz trwać w swym uporze i rwać się do klasztoru, kazano wyrządzić ci despekt. Tak otol...

Zofia podniosła ręce, wpiła paznokcie w głowę i z rozmachem upadła na posłanie. Trojekurow ostrożnie położył ukaz na brzegu ławki, znowu podrapał się po brodzie, rozmyślając, jak winien postąpić poseł w tym wypadku: uklonić się czy nie uklonić? Popatrzył na Zofię — leżała twarzą w pościeli, nogi w aksamitnych trzewikach sterczały spod sukni jak u nieboszczki 1 Nałożył z wolna czapę i przecisnął się przez drzwi bez ukłonu.

„...a że zwłoczysz w takiej wielkiej sprawie, to już nie może być nic gorszego...” .

List drżał w rękę Wasilija Wasiliewicza. Przysunawszy świecę wpatrywał się w spieszenie nagryzmołone słowa. Jeszcze i jeszcze raz odczytywał je usiłując zrozumieć, zebrać myśli.. Stryjeczny brat Borys pisał: „Pułkownik Gordon przyprowadził do Trójcy pułk Butyrski i całował rękę carską. Piotr Aleksiejewicz ze łzami ścisnął go i całował po wielokroć, a Gordon poprzysiągł mu służyć aż do śmierci. Przybyli z nim cudzoziemscy oficerowie, dragoni i rajtarowie. Któż pozostał przy was? Mała część strzelców, którym szkoda było opuścić sklepy, rzemiosła i łaźnie... Książę Wasiliju, jeszcze nie za późno, mogę cię uratować, ale jutro będzie za późno... Fied'kę Szakłowitego będziemy jutro męczyć na spytkach”.

„Borys pisał prawdę. Od owego dnia, gdy Zofii nie puszczono do klasztoru, nic już nie mogło wstrzymać ucieczki z Moskwy żołnierzy i urzędników. Bojarzy odjeżdżali bezczelnie wśród białego dnia. Nieprzekupny i surowy żołnierz Gordon przyszedł do Wasilija Wasiliewicza i pokazał ukaz Piotra, wzywający pułkownika do Trójcy.

Głowa moja jest siwa, a ciało okryte bliznami — powiedział Gordon i patrzył na sępioty, ze ściągniętymi zmarszczkami ogolonej twarzy — przysięgałem na Biblię i wiernie służyłem Aleksemu Michajłowiczowi i Fiodorowi Aleksiejewiczowi, i Zofii Aleksiejewnie. Teraz odchodzę do Piotra Aleksiejewicza. — Ręce w skórzanych rękawicach trzymał na rękojeści długiej szpady, stuknął nią w podłogę przed sobą. — Nie chcę, by głowa moja spadła na szafocie...

Wasilij Wasiliewicz nie oponował, było to bezużyteczne: Gordon rozumiał, że w sporze między Piotrem i Zofią — Zofia przegrała. I odszedł tego samego dnia z rozwiniętymi sztandarami i z biciem w bębny. Był to cios ostatni i najmocniejszy. Wasilij Wasiliewicz już od dłuższego czasu żył niby w ciężkim śnie: widział daremne wysiłki Zofii i nie mógł ani jej pomóc, ani odejść od niej. Bał się niesławy i czuł, że jest ona bliska i nieunikniona jak mogiła. Władzą strażnika tronu i wielkiego wojewody mógł wezwać ze dwadzieścia pułków i iść z nimi do Trójcy rozmówić się z Piotrem... Ale ogarniało go zwątpienie —

a co, gdy zamiast wykonania rozkazu w pułkach zakrzykną: „Złoczyńca, buntownik!“ W swym wahaniu pozostał bezczynny, unikał widzenia się z Zofią sam na sam, wołał więc udawać chorego. Przez zaufanego człowieka przysyłał sekretne łacińskie listy bratu Borysowi do Trójcy, w których prosił o nie- rozpoczynanie działań wojskowych przeciw Moskwie, wyluszczał różne sposoby pogodzenia Zofii z Piotrem, wywyższał swoje zasługi i poświęcenie w służbie carskiej.

Wszystko na próżno. Zupełnie jak we śnie ktoś niby widoczny a nieuchwytny przytłaczał go, dusza jęczała, przerażała się, ale nie miał siły, by poruszyć choćby jednym członkiem.

W płomyk spalonej do połowy świecy woskowej wpadła mucha, skrzyła się. Wasilij Wasiliewicz, wsparty łokciami o stół, ujął w dłoń głowę.

Wczoraj w nocy kazał synowi Aleksemu i żonie Awdotii (która od dawna już żyła zapomniana i porzucona) wyjechać, nie zwłóczęc, do Miedwied'kowa, majątku pod Moskwą. Dom opustoszał. Okiennice i ganki zabito. Ale on sam zwłóczył. Był dzień, gdy zdawało się, że szczęście powraca. Zofia po przyjeździe spod Trójcy, nie umywszy rąk i nie wzięwszy nic do ust, kazała porozysłać heroldów i obwoływaczy, by wezwali do Kremla strzelców, sotnie kupieckie i sukiennicze, mieszczan oraz wszystkich pocziwych ludzi. Wyprowadziła na Czerwony Ganek

I cara Iwana — nio mógł stać, siadł przy słupie, uśmiechał się załośnie (widać, że już nie z tego świata). Zofia, w czarnej chuście na ramionach, z potarganymi włosami, jak wróciła — jęła przemawiać do ludu:

— ■ Pokój i miłość są nam droższe nad wszystko... Pism naszych w Trójcy nie czytają, posłów wyrzucają... I oto pomodliwszy się siadłam do kolasy i pojechałam sama, by serdecznie rozmówić się z braciszkiem Piotrem. Dopuszczono mnie tylko do Wozdwi- żeńskiego. A tam ublizano mi i bezczeszczono mnie, nazywano dziewczką, jakobym wcale carską córką nie była — ledwie żywa wróciłam. W ciągu doby zaledwie tyłtuko z pro- skury zjadłam... We wsiach okolicznych wszystko zagrabiono wedle ukazów Lwa Na- ryszki i Borysa Golicyna. Spoili oni braciszka Piotra do nieprzytomności. Po całych dniach pijany śpi w komorze. Chcą oni iść na Moskwę z wojskiem, by księciu Wasili* jowl głowę ściąć... Niewiele nam pozostało do życia... Powiedzcie, jeśli jesteśmy wam niepotrzebni, to pójdziemy z bratem Iwanom gdzieś, było najdalej stąd, poszukać sobie celi...

Łzy trysnęły jej z oczu. Nie mogła mówić, wzięła krzyż z relikwiami, uniosła nad głowę. Lud patrzył na krzyż, widział, Jak ca- równa głośno płakała, Jak car Iwan zamknął oczy i pochylił głowę. Pozdejmowano czapki wielu wzdychało, wycierało oczy. Gdy ca- równa zapytała: — Nio pójdziecie do Trójcy, można na was polegać? — krzyczano: Można, można... Nie zdradzimy!

Rozeszli się. Wspominając o słowach ca- równy kręcili nosami. Oczywiście, nie należałoby pozwolić na krzywdę, ale jak to zrobić? Zboża w Moskwie brakło — wozy zawracają do Trójcy, w mieście rozboje, porządku nie ma. Na bazarach nie ma targu. Wszystko w zastoju — zamęt. Uprzykrzyło się. Czas skończyć. A czy Wasilij, czy Borys Golicyn — Jednaka z nich pociecha.

Dzisiaj dziesięć tysięcy ludu wszystkimi bramami weszło do Kremla, machano odpisami z ukazu Piotra, gdzie było powiedziane, aby pochwycić buntownika i złoczyńcę Fied'kę Szakłowitego z towarzyszami i w łańcuchach sprowadzić do Trójcy. „Wydadzcie nam Fied'kę!” — krzyczeli i pchali się do okien i na Czerwony Ganek, podobnie jak przed wielu laty. „Wydadzcie Nikitę Gładkiego, Kuźmę Czernego, Obroškę Piętrowa, popa Sylwestra Miedwiediewa!” Straż rzuciła broń i rozbiegła się. Czelaź, pałacowe kobiety i dziewczki, błazny i karły pochowali się pod schody i do piwnic.

— Wyjdz, powiedz bydłu: nie wydam Fiodora Lewontiewicza — powiedziała Zofia i dysząc pociągnęła Wasilija Wasiliewicza za rękaw ku drzwiom. Nie wiedział nawet. Jak wyszedł na Czerwony Ganek — zaduch, nienawiść, zapach czosnku szły od nacierającego tłumu, wystawione ostrza pik, szabel, noży kłuły oczy... Nie pamiętał, co krzyknął,

i tyłem wpełzł z powrotem do sieni. Natychmiast zatrzeszczały drzwi pod naporem ramion. Ujrzał bladą Zofię, oczy pozbawione źrenic[^] w słup... „Nie da się go uratować, wydaj!” — powiedział, drzwi rozwarły się z trzaskiem, runęli ludzie... Zofia przywarła do niego plecami, coraz mocniej cisnęło go jej ciało. Chciał ją podtrzymać. Krzyknęła nisko, jękliwie, odepchnęła go, pobiegła. Gdy oboje stali w Sali Granowitej, usłyszeli okropny krzyk Szakłowitego... Wzięli go w łaźni carówny.

A przecie Wasilij Wasiliewicz zwłóczył z ucieczką. Karetą podróżna od wieczora czekała przy tylnym podejździe i służba drzemała w sieni. Wasilij Wasiliewicz drzemał przy świecy, ścisnąwszy głowę. Mucha z opalonymi skrzydłami leżała do góry brzuszkiem. W ogromnym domu panowała cisza, martwota. Znaki zodiakalne na powale ledwie majaczyły, a bogi greckie patrzyły na księcia przez mrok. Żywe były jedynie żale rozzierające Wasilija Wasiliewicza. Nie mógł zrozumieć, czemu się tak wszystko stało. Kto temu winien? Ach, Zofio, Zofio!... — Teraz już nie ukrywał przed sobą — z najgłębszych tajników wyłaniało się ciężkie, niemiłe mu oblicze nie przystrojonej niczym kobiety, nienasyconej kochanki — władcza, grubiań- ska, straszna... Oblicze jego sławy!

Co powie Piotrowi, co odpowie wrogom? Wyspał sobie z babą władzę, zhańbił się pod Krymem i napisał poszyt: „O życiu obywa- telskim, czyli o naprawie rzeczy należących do powszechności narodu”. Zerwał ręce z głowy, uderzył nimi w stół... Wstyd! Wstyd! Z niedawnej chwały — jeno wstyd!

Przez szpary okiennic przebijała się mdła czerwień. Czyżby świt? A może to krwawy księżyc wzeszedł nad Moskwą? Wasilij Wasiliewicz wstał, patrzył na rozświetlający się mrok sklepionej sali ze znakami zodiaku nad jego głową. Astrologowie, czarodzieje, wróżbici oszukiwali. Przebaczenia nie będzie! Powoli nasunął czapkę aż na brwi, włożył do kieszeni dwa pistolety i jeszcze patrzył, jak w lichtarzu dopalała się świeca. Knocik prze- wrócił się w roztopiony wosk, zatrzeszczał i zgasł.

Na ciemnym dziedzińcu krzątali się ludzie z latarniami. Zorza ledwie jaśniała poprzez oddaloną lunę. Wasilij Wasiliewicz siadając do podróżnej karety podał klucz rządcy.

— Sprowadź go...

W karocy układano kufry, z tyłu przywiązano kosze. Rządca wrócił popychając przed sobą Waškę Silina brzęczącego łańcuchami. Czarownik głośno wzdychał, żegnał się na wszystkie cztery strony i na gwiazdy. Cze- ladź pchnęła go Wasilijowi Wasiliewiczowi pod nogi.

— Ruszaj! Z Bogiem! — rzekł spokojnie i poważnie woźnica.

Szóstka wypoczętych siwków ruszyła ostrym klusem przez bierwionową jezdnię.

Skręcili pod górę na Twerską. Na ulicach było jeszcze mało ludzi. Pastuch grał na rożku brnąc w kurzu koło wrót, skąd z rykiem wychodziło bydło. W przedsionkach cerkwi budzili się zziębnięci żebracy, drapali się i zlorzeczyli sobie. Gdzieniedzie diak ziewając otwierał niziutkie cerkiewne drzwi. Na bocznej ulicy krzyczał chłop: — ...gle... gle... — na wozie z węglami. Kobiety wychlustywały na ulicę pomyje i wysypywały popiół. Ludzie patrzyli z otwartymi ustami na mknące śnieżnobiałe konie, na jezdnych z pawimi piórami podskakujących w wysokich siodłach, na woźnicę o zwierzęcym wyglądzie, trzymającego w wyciągniętych łapskach dwanaście lejc z białego jedwabiu, na dwóch wielkoludów z obnażonymi szablami na tyłach karocy. Kobiecie wiadro wypadło z rąk, przechodnie zdejmowali czapki, niektórzy klękali na wszelki wypadek.

Ostatni to raz Wasilij Wasiliewicz przeleciał tak przez Moskwę. Co będzie jutro? Wygnanie, klasztor, tortury? Chował twarz w kołnierz podróżnego kożuszka. Zdawało się — drzemał, Ale gdy Waśka Silin spróbował się poruszyć, książkę kopnął go z całej siły. „Macie go!” — zdziwił się Waśka. Policzek księcia pod zamkniętym okiem drgał. Gdy wyjechali za rogatki, Wasilij Wasiliewicz rzekł cicho:

— Kłamstwo, hultajstwo, rozbój te twoje czary... Psie, oszuście, huncwocie... Skórę batami złupić — to za mało...

0HF

.200

— Nie, nie, nie powątpiewaj, ojczu, kochany, wszystko, wszystko ci się spełni — i carska korona...

— Milcz, milcz, łotrze, sk...synul

Wasilij Wasiliewicz oparł się o tył karety i dopóty wściekle deptał czarownika, aż ten zaczął jęczeć.

Na wiorstę przed Miedwied'kowem chłop stojący na zwiadach, zoczywszy karete, zaczął machać czapką, na skraju brzoźowego lasu powtórzył to drugi, na pagórku za wądolem — trzeci. — Jedzie, jedzie! — Pięciuset ludzi z czeladzi witało księcia na kolanach, uderzając czołami o murawę. Pod ręce wynieśli go z karety, całowali poły kożuszka. Wystraszone twarze, zaciekawione oczy. Wasilij Wasiliewicz niełaskawie popatrzył na czeladź: trochę za nisko się kłaniają, spieszą się, krzątają... Popatrzył na liczne szyby sześciu okien bierwionowego domu, krytego holenderskim czworobocznym dachem, z odkrytym gankiem i dwoma półkolami schodów. Naokoło szerokiego dziedzińca — stajnie, piwnice, tkalnie, oranżerie, kurniki, gołębniki.

„Jutro — pomyślał — wpadną pisarze, spiszą, opieczą, zniszczą... Wszystko pójdzie na marne...”

Poważnie i wolno Wasilij Wasiliewicz wszedł do domu. W sieni rzucił się ku niemu syn, Aleksy, wzrostem i twarzą, pokrytą pierwszym puchem, podobny do ojca.

m

Przylgnał drżącymi wargami do ręki — nos zimny. W sali jadalnej Wasilij Wasiliewicz, jakby z przykrością, niechętnie, przeżegnał się, usiadł przy stole naprzeciwko weneckiego lustra odbijającego heblowane ściany, gobeliny, półki z cennymi naczyniami... WszysM ko pójdzie na marne!... Nalał czarkę wódki, odłamał kęs czarnego chleba, zanurzył w sol-J; niczce, ale nie wypił, nie zjadł — zapomniał. Wsparł głowę na łokciach i opuścił ją. Alek- sy stał obok z zapartym oddechem, gotowy, rzucić się, opowiedzieć coś...

— No? — zapytał surowo. Wasilij Wasiliewicz.

— Ojczce, byli już tutaj...

— Z Trójcy?

— Dwudziestu pięciu dragonów z porucznikiem i dworzanin Wołkow...

— Cóż wy?

— Powiedzieliśmy: ojciec jest w Moskwie, a tutaj nie myśli zjeżdżać, powiadamy... Dworzanin rzekł: niech książe pospieszy do Trójcy, jeśli chce ująć hańby...

Wasilij Wasiliewicz uśmiechnął się krzywo. Wypił wódkę i żuł chleb nie czując smaku. Widział, że syn z trudnością panuje nad sobą — ramię opuszczone, stopy niewolniczo zwrócone do wewnątrz, deska podłogi, lekko drży pod nim. Wasilij Wasiliewicz omal nie krzyknął na syna, ale spojrzał w przestraszoną jego twarz i żal mu się zrobiło.

290

— Nie trzęś tak kolanem, siadź...

— I mnie, ojczce, rozkazano być z tobą w Trójcy...

Wówczas Wasilij Wasiliewicz poczerwieniał, uniósł się, ale i teraz powstrzymała go duma. Opuścił rzęsy. Nalał drugą czarkę, ukrajał studzieniny z czosnkiem. Syn śpiesz- nie podsunał ocet.

— Zbierz się, Alosza — powiedział Wasilij Wasiliewicz. — Odpocznę trochę, wyjedziemy w nocy... Bóg łaskaw... (Żuł, rozmyślał gorzko. Nagle pot wystąpił mu na czoło, źrenice się poruszyły.) Oto co należy zrobić, Alosza: przywozłem ze sobą pewnego chłopca... Idź, przypilnuj, aby zaprowadzono go do łaźni nad rzekę, zamknięto tam i strzeżono jak oka w głowie.

Gdy Aleksy wyszedł, Wasilij Wasiliewicz opuścił nóż z drżącą na jego końcu studzieniną, zgarbił się — twarz mu się zmarszczyła, pod oczami obwisły woreczki, odchyliła się warga...

Waśka Silin siedział w łaźni nad urwiskiem koło rzeki. Cały dzień krzyczał i zawodził, żeby mu dano jeść. Ale wokół bezładnie szumiały krzewy, w rzece płotki pluskały uchodząc przed szczupakami i stado szpaków, gotując się do odlotu, latało, migotało skrzydełkami w błękicie, widocznym czarownikowi przez¹ zasuwane okienko w łaźni. Ptaki się zmęczyły, siadły na leszczynie, zaszczebiota- ly, zagwizdały nie bojąc się ludzkich jęków...

Moja kochana Połtawszczyzna — stękał

■ J«l.
I nOt,Ł

czarownik — co za diabeł poniósł mnie do przeklętej Moskiewszczyzny! Żeby was dzuma zabrała, żeby was rozproszyło, żeby się wam wszystkie miasta pozapadały...

Zachodzące słońce zalało światłem wąskie okienko i opuściło się na szczyt lasu. Waśka Silin zrozumiał, że jeść nie dostanie, i położył się na zimnej podłodze, z miotełką pod głową. Zdrzemnął się, nagle wstał wysuwając ze strachu brodę: na progu stał Wasilij Wasiliewicz. Na głowie czarny trójgraniasty kapelusz, pod kożuszkciem podróżnym czarna, cudzoziemska odzież, szpada sterczy jak ogon...

— Co teraz powiesz, wieszczbiarzu? — zapytał księżę dziwnym głosem.

Waśka Silin pokpił sprawę, zatrzęsł się, zadygotał. Gdybyż zrozumiał, iż w księciu pozostała jeszcze wiara w jego wieszczby... Porwałby księcia za ręce krzepko i zawołał: „Idziesz do cara na męki śmiertelne! Idź, nie lękaj się... Cztery bestie schowały pazury... cztery kruki precz odleciały... Śmierć odstała...” Miał tego Waśka ze strachu i głodu zaczął swoje duby smalone znowu o carskich koronach, rozpłakał się, jął błagać:

— Puść mnie na Poltawszczyznę, zaklinam cię na Chrystusa! Żadnej szkody ani rozgłosu z tego nie będzie.

Wasilij Wasiliewicz patrzył nań od progu wściekłymi oczyma. Nagle wyskoczył, przywalił drzwi polanem i zamknął na kłódkę.** Biegał koło łaźni. Waśka zrozumiał: zawala

mm

chrustem!... Wrzasnął: — Nie trzeba! — Księżę odpowiedział: — Za dużo wiesz, przepadnij! — Dmuchał, pokaszlując, przy rozżarzaniu hubki. Wionęło czadem. Waśka chwycił szaflik, rozbił go o drzwi, ale drzwi nie wybił. Wysunął bokiem głowę przez zasuwane okienko, jął krzyżeć — dym zatkał mu grdykę... Chryst trzeszczał, huczał, rozpalał się... Rozjaśniły się szczeliny między bierwionami. Ogień wznosił się huczącą ścianą. Waśka wlał pod najniższą ławę, by schronić się przed żarem. Dach przekrzywił się, ściany płonęły.

Płomienie buchały w nocnym powietrzu, wznosząc się wysoko nad rzeczkę, i gasiły gwiazdy. I długo jeszcze czerwone cienie sześciu siwków i czarnej skórzanej karety, mknącej ku drodze jarosławskiej, leciały przez rżyska to rozciągając się w głąb wilgotnego wądołu, to wlatując na pagórki, to znów łamiąc się na pniach brzoźowego gaju...

— Gdzie się pali? Ojciec... Czy nie u nas? — kilkakrotnie pytał Aleksy.

Wasilij Wasiliewicz nie odpowiadał drzemając w kącie karety.

XXI

Na dziedzińcu wołowym, w podziemiu, gdzie czasu wielkich zamieszek mieściły się składy prochu, a obecnie — piwnice na klasztorne zapasy, cieśle oczyścili miejsce pod

niskim sklepieniem, umocnili między ceglanymi słupami belkę z blokiem i pętlą, a w dole drewno z chomątem — dybę, postawili ławę i stół dla diaków zapisujących zeznania i drugą ławkę, obitą czerwoną materią, dla dygnitarzy, naprawili strome schody prowadzące z podziemia do góry, do murowanego spichrza, gdzie drugi dzień siedział w łańcuchach Fiodor Szakłowity.

Śledztwo prowadził Borys Aleksiejewicz. Z Moskwy, z Rozbojnego Prikazu przysłano mistrza, Jemieliana Swieżewa, który był znany z tego, że zmuszał do mówienia już pierwszym uderzeniem bata. Przy wymierzaniu kar na placu przy słupie mógł bić z pomiarkowa- niem, ale jeżeli bił nie szcędząc — piętnastym uderzeniem przecinał człowieka do pacierza.

Przesłuchano mnóstwo wszelkiego ludu, niektórzy sami przychodzili z zeznaniami. Udało się chwycić Kuźnię Czermnego. Podejściem wzięto zaufanego człowieka Zofii, przy- stawa Obrosima Piętrowa, który dwukrotnie utorował sobie szablą drogę do ucieczki między berdyszami i pikami. Ale Nikita Gładki z popem Miedwiediewem uciekli i rozesłano za nimi listy gończe do wszystkich województw.

Kolej przyszła na Szakłowitego. Na wczorajszym badaniu na wszystkie oskarżenia czytane mu z zeznań i donosów odpowiadał gorąco: — Potwarz, wrogowie moi chcą mnie zgubić, jestem niewinny! — Dziś przygotowano dlań Jemieliana Swieżewa, ale on o tym nie wiedział i zamierzał wypierać się w dalszym ciągu, że buntu nie wszczynał i na carskie życie nie dybał.

W początku śledztwa Piotr nie był na badaniach — wieczorami Borys Aleksiejewicz przychodził do niego z diakiem i odczytywał zeznania. Ale gdy schwytano Czermnego i Piętrowa z towarzyszami — Ogryzkowem, Szestakowem, Jewdokimowem i Czeczotką, kiedy zaczęli mówić jego śmiertelni wrogowie, Piotr chciał sam słyszeć ich słowa. Przyniesiono mu do podziemia krzesło, na którym siadał z boku pod omszałym sklepieniem. Oparłszy łokcie na kolanach i podbródek na dłoni, nie pytał, jeno słuchał. Kiedy pierwszy raz zaskrzypiał wieszak, a na nim zawisł nagi do pasa, muskularny Obrosim Pietrow z szeroką piersią — dziobata twarz poszarzała, uszy odstawały, wyszczerzone zęby zgrzytały z bólu — Piotr cofnął się z krzesłem za ceglany słup w cień i siedział bez ruchu przez cały czas tortur. Dnia tego Piotr był blady i zamyślony. Ale po kilku razach przywykł i już się nie chował.

Dziś Natalia Kiriłowna zatrzymała go na rannym nabożeństwie: patriarcha miał kazanie winszując szczęśliwego zakończenia zamieszek. Rzeczywiście, Zofia była jeszcze na Kremlu, ale już bezsilna. Pułki pozostające ^w Moskwie wysłały deputację z hołdem do Piotra prosząc o przebaczenie i łaskę ¹ godząc się iść nawet do Astrachania, na

wet na kresy, byle pozostawiono strzelców przy życiu, przy rodzinach i rzemiośle.

Z soboru poszedł Piotr pieszo. Na dziedzińcu wołowym było pełno strzelców. Po-, częli krzyżeć: — Miłościwy panie, wydaj nam Fied'kę, sami z nim pogadamyl — Opuściwszy głowę, machając spiesznie rękami, przebiegł do starego spichrza i zsuwając się po schodach zszedł do wilgotnej ciemni piwnicznej. Zaleciało skórą i myszami. Przeszedłszy między pakami, workami i beczkami, pchnął niskie drzwi. Świeca na stole, na którym pisał diak, oświetlała żółtawo pajęczynę na sklepieniu, śmiecie na polepie, świeże drzewo warsztatu katowskiego. Diak oraz siedzący na drugiej ławie: Borys Aleksiejewicz, Lew Kiryłowicz, Streszniew i Romodanowski, skłonili się poważnie. Gdy z powrotem siedli, Piotr zobaczył Szakłowitego: klęczał o krok od nich, kędzierzawa głowa opuszczona,, drogi kaftan, w którym go zabrano z pałacu, podarty pod pachami, koszula poplamiona. Fied'ka wolno uniośl zapadniętą twarz i spotkał się ze wzrokiem cara. Żrenice jego rozszerzyły się po trochu, ładne wargi wydłużyły się, zadrżały niby od bezdźwięcznego płaczu. Pochylił się cały naprzód, nie puszczać oczu z Piotra. Borys Golicyn również popatrzył na cara z ukosa i uśmiechnął się ostrożnie.

— Rozkażesz dalej badać, miłościwy panie?

Streszniew rzekł poprzez gęste wąsy:

296

• — Łotrowaleś, umiej zdać sprawę — co się tu będziemy z tobą szarpać? Miłościwy pan chce wiedzieć prawdę..

Borys Aleksiejewicz podniósł głos:

— Ma tylko jedną odpowiedź: „Słów tych nie mówiłem i czynów tych nie popełniałem”. A wedle śledztwa, czapka mu na głowie gore... Trzeba wziąć na męki.

Szakłowity, jakby go popchnięto, pobiegł na kolanach w bok, niby mysz, rad by się schować za kupy skór, za beczki z solonymi rybami... I § przytśił się. Zamarł, Piotr ruszył ku niemu i ujrzał pod nogami tłusty, podgolony kark Fied'ki. Włożył ręce w kieszenie ferezji. Siadł, godny, wzgardliwy i — zrywającym się wysokim głosenj wyrostka:

— Niech rzeknie prawdę...

Borys Aleksiejewicz zawołał:

— Jemielian...

Za wieszniem spoza sklepionego łuku pokazał się długi człek z wąskimi ramionami, w czerwonej koszuli do kolan. Szakłowity, widać, nie spodziewał się go tak prędko — przysiadł na pięty, głowa uciekła mu w ramiona, wpatrzył się w obojętną, końską twarz Jemieliana Swieżewa — niemal bez czoła, same łuki brwi, wielka szczęka. Podszedł, podniósł Fied'kę jak dziecko, strząsnął, postawił na nogach. Ostrożnie i zgrabnie pociągnął za rękawy, zdarł kaftan, rozpiął kołnierz haftowany perłami; białą jedwabną koszulę rozerwał palcem aż do pępka i zdarł,

297

obnażył Fied'kę do pasa. Ten chciał już uczciwie krzyknąć — wypadło chrapliwie, niezrozumiale: — Boże, powiem wszystkim Bojarzy na ławie jednocześnie poruszyli głowami, brodami, policzkami. Jemielian wykręcił w tył ręce Fied'ki, związał w przegubach, narzucił rzemiennej pętlę i pociągnął za drugi koniec postronka. Szakłowity stał w osłupieniu. Blok zaskrzypiał i ręce zaczęły się podnosić za plecami. Muskuly naprężyły się, ramiona nabrzmiewały, Szakłowity nachylał się. Wówczas Jemielian uderzył go mocno w krzyż, przysiadł i pociągnął. Splecione ręce wywichnęły się z ramion i uniosły nad głowę. Fied'ka głucho stęknął, a ciało jego z otwartymi ustami, rozszerzonymi oczyma i zapadniętym brzuchem zwisło palcami nóg do środka na łokieć nad ziemią. Jemielian umocował postronek i zdjął z gwoździa bicz z krótką rękojeścią...

Na znak Borysa Aleksiejewicza diak, nałożywszy druciane okulary i przysunawszy zasuszony nos do świecy, zaczął czytać:

— „A dalej na badaniu tenże kapitan Filip Sapogow zeznał: W ubiegłym roku, a którego miesiąca 1 dnia, tego nie pamięta, przybyła wielka monarchini Zolia Aleksiejewna do wsi Preobrażeńskie, a w czasie onym wielki monarcha Piotr Aleksiejewicz nie był w pałacu obecny i carówna przebywała jeno do południa. A był z nią Fiodor Szakłowity i z różnych pułków wielu ludzi, a Fiodor

298

wziął ich na to, by ubić Lwa Kirillowfczu i wielką władczynię Natalię Kirillownę zabić również,,. W tym czasie wymieniony Fiodor wyszedł z pałacu do sieni i mówił do niego, do Filipa Sapogowa: « Słuchajcie, kiedy w pałacu uczyni się krzyk*. A w tym czasie carowa zawstydziała słowami carównę, krzyk w pałacu był wielki... «Jak tylko podniesie się krzyk, bądźcie wszyscy gotowi i kogo wydamy wam z pałacu, tych bijcie na śmierć*».

— Takich słów nie mówiłem, Filip kłamie bez powodu — wykrztusił Szakłowity.

Na znak Borysa Aleksiejewicza Jemielian popatrzył, czy wygodnie, cofnął się, zamachnął biczem i ostro rzucając się do przodu, uderzył ze świstem. Poprzez żółte, delikatne ciało Szakłowitego przeszedł kurcz. Krzyknął. Jemielian uderzył po raz drugi. Borys Aleksiejewicz wyrzekł szybko: — Trzy — . kat uderzył po raz trzeci. Szakłowity krzy- . czał jęklonie, pryskając śliną:

— Pijany byłem wtedy, gadałem po pijanemu, nie wiedząc co...

— „A dalej — gdy umilkł krzyk, diak czytał w dalszym ciągu — mówił do Filipa również na pana miłościwego, Piotra Aleksie}@*:-; wicza, bezecne słowa: 'Pije. na Kujuk Jeździ i w żaden sposób nie można go pomiarkować, dlatego że ciągle pijany Jak belo... Dobrze by podłożyć po kryjomu w jego sieniach granaty, żeby te granaty zabiły monarchę*».

Szakłowity milczał. — Pięć! — rozkazał twardo Borys Aleksiejewicz.

209

^t %
Srinm

Jemielian zamachnął się i ze strachem opuścił trzyłokciowy bicz. Piotr przyskoczył do Szakłowitego — był taki wysoki, że oczy ich znalazły się na równi — i patrzył w oszalałe oczy Fied'ki. Plecy, ręce, kark latały mu.

— Powiedz prawdę, psie, psie! (Ułapił go za żebra.) Żal wam teraz — nie zarżnęliście mnie, jakem był mały... Tak, Fied'ka, tak?.. Kto chciał zarżnąć? Ty? Nie. Kto? Z granatami posyłałiście? Kogo? Nazwij! Dlaczegoście nie zabili i nie zarżnęli?

W okrągłą, płamistoczerwoną twarz cara, w wykrzywione wargi — Fied'ka mamrotał usprawiedliwienia, żyły mu z natężenia nabrzmiały.

— ...Jedne słowa pamiętam naprawdę: „Czemu, niby, carowej z braćmi wcześniej nie sprzątnięto...” Ale tego, żeby nożem, granatami — nie było, nie pamiętam... A o carowej mówił buntowniczo Wasilij...

Zaledwie zdołał wspomnieć o Wasiliju Wasiliewiczu, gdy Borys Aleksiejewicz porwał się krzycząc wściekle do kata: . — Bij!

Jemielian strzegąc się, by nie zawadzić

o cara, trzasnął Fied'kę na odlew między łopatki czworobocznym końcem bata — rozdarł aż do mięsa... Szakłowity zawył wysuwając grydkę. Po dziesiątym uderzeniu głowa jego poruszyła się leniwie i opadła na piersi.

— Zdjąć — powiedział Borys Aleksiejewicz

1 wytarł wargi jedwabną chusteczką — odnieść na górę ostrożnie, natrzeć wódką, pilnować jak niemowlęcia. Żeby jutro gadał...

Gdy bojarzy z podziemia wyszli na dziedziniec, Tichon Nikitiewicz Streszniew zapytał szeptem Lwa Kirilłowicza:

— Widziałeś, Lwie Kirilłowiczu, jak to księżę, tego, Borys?...

— Nie... A co takiego?

— Porwał się z ławy... Fied'ce gębę zatkać...

— Na co?

— Fied'ka powiedział za dużo — Borys czy Wasilij, przecie to jedna krew... Pokrewieństwo, widać, droższe im niżli sprawa carska,...

Lew Kirilłowicz przystanął akurat na kupie nawozu, zdziwił się bez miary, podniósł ręce i plasnął się po udach.

— Ach, ach... A my Borysowi wierzymy...

— Wierz, a na ręce patrz...

— Ach, ach...

XXII

W kurnej chacie paliło się w piecu, dym taki, że ludzi było widać jeno do pasa, a na zapiecku nic nie było widać. Światło łuczywa migało skąpo, węgle syczały opadając do korytka z wodą. Zasmarkane dzieci biegały wystawiając nagie, wypuczone brzuchy i brudne tyłki, co chwila przewracały się na ziemię i wrzeszczały wniebogłose. Ciężarna baba, przepasana sznurem z łyka, wyrzucała je za drzwi: — Pomoru na was nie ma, krew ze mnie ssiecie, zapowietrzona!

Wasilij Wasiliewicz i Aleksy siedzieli w chacie od wczorajszego dnia: za klasztorną bramę ich nie wpuszczono. — Wielki monar- cha rozkazał wam pozostawać w osadzie do czasu... — Czekali na swoją godzinę. Jedze-, nie, picie nie przechodziło im przez gardło. Car nie zechciał wysłuchać usprawiedliwień. Wasilij Wasiliewicz wszystkiego się spodziewał, w drodze przygotowany był na najgor* sze, ale nie na kurną chatę.

W dzień zaszedł pułkownik Gordon, wesoły, poczciwy, wyrażał współczucie, cmokał językiem i jak równego sobie poklepał Wasilija Wasiliewicza po kolanie... „Kłupstwo — powiedział — nie sumuj, książę Fasilij Fa- siliewicz, wszystko będzie topsze”. Wyszedł wolny, szczęśliwy, brzęcząc wielkimi ostrogami.

Nie ma kogo posłać po wieści do klasztoru. Mieszczuchy nawet czapek nie zdejmowali przed byłym kochankiem carówny. Wstyd było wyjść na ulicę. W głowie kołowało się od smrodu, od pisku dzieci, dym wygryzał oczy. I nie wiadomo czemu coraz to przychodził na myśl przeklęty czarownik, ugrzązł w uszach jego krzyk (w okienku poprzez ogień): „Odemknij drzwi-i-i-i, przepadniesz, przepadniesz...”

Późnym wieczorem wpakował się do chaty uriadnik ze strażą, zakrzuszył się od dymu — i do ciężarnej niewiasty:

— Czy mieszka u was Waśka Golicyn?

Kobieta wskazała łokciem.

— Siedzi tam...

— Rozkazano ci stawić się w pałacu, zbieraj Się, książę...

Pieszko jak niewolni, otoczeni strażą, Wasilij Wasiliewicz z synem ruszyli przez klasztorną bramę. Strzelcy zwiedzieli się, powy- biegali, jęli drzwi — ten czapkę na nos nasunął, ów się za brodę chwycił, jeszcze inny rozkraczał się nieprzystojnie.

— Stójcież porządniej... Wojewoda na dwóch kopytach jedzie. A gdzież jego koń? A między nogami... Ach, byle jeno wojewoda nie upadł w błoto...

Przeszli naigrawanie. Na ganek metropolity Wasilij Wasiliewicz wbiegł pędem. Ale na spotkanie wyszedł dumnie z drzwi nieznanym, lichym odzianym diak, zatrzymał wskazującym palcem Wasilija Wasiliewicza i roz- łożywszy dekret czytał wolno, donośnie — walił w ciemność każdym słowem:

— „...za wszystkie jego wyżej wspomniane winy wielcy monarchowie, Piotr Aleksiejewicz i Iwan Aleksiejewicz, nakazali pozbawić ciebie, księcia Wasilija Golicyna, czci i bojarstwa i zesłać z żoną i z dziećmi na wieczne zesłanie do Kargopola. A osady twoje, dobra i dwory moskiewskie, i dobytek przepisać na siebie, wielkich monarchów. A ludzi twoich poddanych prócz chłopów i dzieci chłopskich — puścić wolno”.

Zakończywszy długie czytanie diak zwinął dekret i wskazał przystawowi Wasilija Wasiliewicza — ów, bez czapki, z trudnością

•\A # - V- , *<* uiAt, %V* .W 'V. _ ;V tó"
" 4 V' < ;V : >'< K - , U -r Vv

trzymał się no nogach, Aleksy podtrzymywał go pod ramię.

- Wziąć pod straż i wykonać. Jak powiedziano...

Wzięto. Poprowadzono. Za cmentarzem wsadzono ojca i syna na wóz, na rogoiai z tyłu wskoczyli przystaw i dragon. Woźnica w podartej sukmanie, w łapciach, szarpnął lejcami i nędzne konisko ciągnęło stępą wóz w poło. Noc była ciemna, jesienna wilgoć przesłoniła gwiazdy.

XXIII

Kampania troicka skończyła się, Podobnie jak siedem lat temu przesiedziano Moskwę w klasztorze. Bojarzy z patriarchą i Natalią Kiriłówną po namyśle napisali do cara Iwana w imieniu Piotra:

,i...A teraz, panie i bracie, nastał czas, by carstwo, poruczone obu naszym osobom przez Bogu, rządzone było pi zoz nas samych. Jako doszliśmy już do lat swoich, a Irzecioj n i g- c n o J personie, siostrze naszej, dzielić z na* szymi dwoma męskimi osobami tytułów i sprawowania rządów nie dozwalamy..."

Zofię przewieziono w nocy, bez osobliwego rozgłosu, do klasztoru Nowodlowlczego. Szak- lowltemui Czermnemu i Obronimowi Piętro- wowi święto głowy, pozostałych złoczyńców chłostano na placu na przedmieściu, oderznię* to im języki i zostano na zawsze na Sybe-
304

rlę. Popa Miedwlediewa i Nikitę Gładkiego schwytał później wojewoda dorohobuski. Męczono Ich strasznie i święto.

Otrzymali nagrody w ziemi i pieniądzech: bojarzy po 300 rubli, okolniczowie po 270, szlachta dumaska po 250. Dworzanom, którzy przybyli z Piotrem do ławry, gotówką po 37 rubli, którzy przybyli później — po 32 ruble, którzy przybyli przed dziesiątym sierpnia — po 30 rubli, a którzy przybyli przed dwudziestym sierpnia — po 27 rubli. Szlachtę grodzką obdarzono w tym samym porządku po 10, 17 i po 1f> rubli. Wszyscy strzelcy szeregowi za wierność dostali po rublu, bez ziemi.

Przed powrotem do Moskwy bojarzy podzielili między siebie urzędy; pierwszy i najważniejszy — Poselski — otrzymał Lew Kiriłowicz, ale już bez tytułu strażnika. Po przeminięciu wojennych i innych potrzeb można było wykłtować zupełnie Borysa Aieksieje- wicza Golicyna — patriarcha i Natalia Kiriłowna nie mogli mu przebaczyć wielu rzeczy, a osobliwie, że uratował Wasilija Wasiliewicza od bata i szafotu, ale bojarzy uważali, że niepolitycznie byłoby pozbawiać zaszczytów ród tak wielki. — Gdy na to pójdziemy, to w niedługim czasie i nas wysadzą z urzędów kupczykowie, diaki pospolite, cudzoziemcy i ludzie podłego rodu patrzenie no, jak pchają się bezustannie do cara Piotra po zdobycz, po stanowiska... — Borysowi Aleksiejewi- czowi dano, by miał utrzymanie i honory,

Urząd Pałacu Kazańskiego. Dowiedziawszy się o tym Borys splunął, podpił sobie dnia tego i krzyczał: — Bierz ich diabli, mnie wystarczy, co mam. — Pijany, popędził wyspać się do dóbr pod Moskwę...

Nowi ministrowie — tak wówczas zaczęli ich nazywać cudzoziemcy — wyrzucili z urzędów jednych diaków i podiaczych, a przyjęli innych i poczęli myśleć i rządzić według starego obyczaju. Zmian szczególnych nie było. Jeno w pałacu kremlowskim zamiast Iwana Miłosławskiego chodził w czarnych sobolach, trzaskał władczo drzwiami i stukał dobitnie obcasami Lew Kiryłowicz.

To byli ludzie starzy, wiadomi, a oprócz rujnacji, zdzierstwa i nieporządku — nic więcej nie można było się po nich spodziewać. W Moskwie i na Kukuju — kupcy wszystkich sotni, dzierżawcy, handlarze i rzemieślnicy w miasteczkach, cudzoziemscy kupcy, kapitanowie okrętów — holenderscy, hanowerscy, angielscy — niecierpliwie oczekiwali nowych ludzi i nowych porządków. O Piotrze krążyły różne wieści i wielu pokładało w nim całą nadzieję. Rosja — złote dno — leżała pod wiekowym mułem... Gdy nowy car nie obudzi jej do życia, któż to zrobi?

Piotr nie spieszył się do Moskwy. Z klasztoru ruszył z wojskiem do Słobody Aleksandrowskiej, w której jeszcze stały zgniłe, porośnięte krzewami i mchem zręby straszego pałacu cara Iwana IV. Tutaj generał Sommer urządził manewry. Trwały one cały tydzień, dopóki starczyło prochu. Tu też skończyła się służba Sommera — spadł, biedaczysko, z konia i okaleczał.

W październiku Piotr ruszył do Moskwy jedynie z uciesznymi pułkami. O dziesięć wiorst, we wsi Aleksiejewskie, spotkały go wielkie tłumy ludu. Niesiono obrazy, chorągwie, korowaje na półmiskach. Obok drogi stały pieńki i szafoty z wetkniętymi toporami, a na mokrej ziemi leżeli z szyjami na pieńkach strzelcy — wysłannicy pułków, które nie były w Trójcy. Ale młody car nie ścinał głów, nie gniewał się, choć i nie był łaskawy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Lefort stawał się wielkim człowiekiem. Cudzoziemcy, mieszkający stale na Kukuju oraz przyjeżdżający z Archangielska i Wołogdy w handlowych sprawach, mówili o nim z wielkim szacunkiem. Wysłannicy amsterdamskich i londyńskich domów handlowych pisali o nim do kraju i radzili w razie Jakiejś sprawy posyłać mu niewielkie podarunki — najlepiej dobre wina. Gdy za kampanię troicką mianowano go generałem, 'kuku jonie złożyli się i podarowali mu szpadę. Przechodząc koło jego domu znacząco mrugali do siebie i mówili: — O, tak... — Dom jego stał się teraz ciasny, tak wielu ludzi chciało uścisnąć mu rękę, zamienić słowo lub choćby przypomnieć o sobie. Nie zważając na późną jesień rozpoczęto spieszne roboty przy nadbudowie i rozszerzeniu domu — budowano murowany ganek z bocznymi podjazdami, fasadę upiększano kolumnami i rzeźbionymi kamiennymi chłopami. Na miejscu dziedzińca, gdzie dawniej była fontanna, wykopano staw do zabaw wodnych i fajerwerkowych. Po bokach budowano kordegardy dla muszkieterów.

308

Być może, ii Lefort z własnej woli nie zdecydowałby się na takie wydatki, ale chciał tego młody car. Podczas Trójcy Lefort stał się tak potrzebny Piotrowi jak rozsądna matka dziecku: Lefort rozumiał jego pragnienia, strzegł go od niebezpieczeństw, uczył rozróżniać korzyści od tego, co niekorzystne, i zdało się, że sam gorąco pokochał cara, stale był przy nim nie po to, by prosić Jak bojarzy — uderzając ponuro czołem do nóg — o wioski i chłopów, ale dla wspólnych spraw i wspólnej zabawy. Strojny, gadatliwy, dobroduszny, niby ranne słońce w okienku zjawiał się z pozdrowieniami, uśmiezkami w sypialni Piotra i dzień zaczynał się weselem, radosnymi kłopotami, szczęśliwymi oczekiwaniami. Piotr kochał w Leforcie swoje słodkie rojenia o zamorskich krajach, pięknych miastach i portach z okrętami i odważnymi kapitanami, zionącymi tytoniem i rumem — wszystko to, co od dzieciństwa majaczyło na obrazach i drukowanych arkuszach z zagranicy. Nawet zapach ubrania Leforta był nierosyjski, odmienny a niezmiernie przyjemny...

Piotr chciał, by dom jego ulubieńca był kawałkiem tej pociągającej cudzoziemszczyzny — dla carskiej przyjemności upiększano pałac Leforta. Pionędzy, ile mógł wyciągnąć od matki i Lwa Kiryłowicza, nie żałował. Teraz, kiedy w Moskwie rządzili swoi, Piotr bez pamięci oddał się rozrywkom. Numiętności pi zet wały tamę i tu zwłaszcza potrzebny był Lefort: bez niego chciało się, ale nie wie-

300

Nowo zbudowana sala tańca była jeszcze wilgotna, od gorąca bijącego z dwóch wielkich ognisk potniały wysokie półokrągłe okna, a naprzeciwko nich na ścianie — lustra o kształcie okien, Podłogę z dębowej klepki świeżo natarto woskiem. Świece w trójramiennych lichtarzach ze zwierciadłami były zapalone, choć dopiero zaczynał się zmierzch. Padał puszysty śnieg. Na dziedziniec między zaśnieżone kupy gliny i żwiru wjeżdżały sanie: holenderskie, w postaci łabędzia, pomalowane na czarno i złoto, rosyjskie, jak długa skrzynia, zawałone niedźwiedzimi skórami

działo... A co mogli doradzić swoi, Rosjanie? — no, polowanie z sokołem albo ślepych chłopów do gry w pytki... Tfu! Lefort z jednego słowa poznawał jego pragnienia. Był niby liść chmielu w ciemnym piwie namiętne, ści Piotra.

Jednocześnie wznowiono roboty przy stołecznym grodzie Preszburgu, twierdzę przygotowywano do wiosennych zabaw wojskowych. Pułki otrzymały nową odzież. Preobrażeński — zielone kaftany, Siemionowski — lazurowe, Butyrski pułk Gordona — czerwone. Cała jesień zesła na zabawach i tańcach. Cudzoziemscy kupcy i przemysłowcy między jedną a drugą zabawą załatwiali swoje sprawy w pałacu Leforta, ..

i poduszkami; ciężkie skórą kryte kolasy w poszostnym cugu i proste chłopskie sanie, wynajęte z Łubianki na Kujuk za dwie kopiejki; siedział w nich z zadartymi kolanami i śmiał się jakiś cudzoziemiec.

Na kamiennym ganku, na zdeptanych śniegiem dywanach, witało gości dwóch błaznów, Tomos i Sieka, pierwszy w hiszpańskiej czarnej opończy do pasa i w słomianym kapeluszu z kruczymi skrzydłami, drugi — Turek, w dwuarszynowym zawoju z rogoży, z przyszytym na przedzie świńskim uchem. Holenderscy kupcy ze szczególną przyjemnością śmiali się z błazna w hiszpańskim ubraniu i dając mu prztyki w nos zapytywali o zdrowie króla hiszpańskiego. W jasno oświetlonej sieni, gdzie na dębowych ścianach pozawieszano niebieskie fajansowe talerze, goście oddawali szuby i czapki hajdukom w liberii. W drzwiach sali tanecznej stał Lefort w białym jedwabnym kaftanie, haftowanym srebrem, w peruce przysypanej srebrnym pudrem. Goście podchodzili do rozpalonego kominka, pili węgierskie wino i zapalali fajki.

Rosjanie, krępując się nieznajomością języków (mało kto jeszcze umiał mówić po holendersku, angielsku, niemiecku), przyjeżdżali późno i od razu do stołu. Goście z całą swobodą grzali przy ogniu tyłki i lydki opięte pończochami i rozmawiali o interesach. Jenó gospodarz latał jak motyl od gościa do gościa, chwytając rozcapierzonymi połamami kaftana — przedstawiał, zapytywał o zdrowie, o podróż,

t/,y ',iil(t*!/'ffin<> ytminiity, (nwM&Eƒai f.if01 %hfd%i\$)Oltii i KMLnijeiti,,
O Ink, (ipt/WfítáffWi liii tW/,0 O IOHyjttkiej t /mini tífłpftwi/tfłril t)(Aǻ(*a oni l/imi/Jr <>/' Itifllii fífflfew/
n im'/JtA inouloy/n/ Itoynlych ptfritÓłftikÓW,
!UftiƳ' fir/MWtiy, A Hf lik ftyńimy, ni/,wii \jv/m lął/y,
Kmj, w ki/f i/In ut/nw/,kttttcy '/Aohywn|i\ noble uirM/innfiU' nw/M%łwen\t fant /lym km ft>m ,,
Hoşyjşey kupny t/miln Mfoy im C/łj pffimM V<l(ft'Mii.«\ ow/Mknf, \ iihływnfa In /itfi y.notcia, O/ ficiibtm
/umn fmi fir/Mkh/ly kin), 'Ciihi| Ir/,uh/t pi/,ylefaVf.nl / bunną w /«
iinní'/,ti,
I hotfy,ony im Kuku fu nie/mnożny hnmllti WU'W I Iniiiilitii, wnuk iwulełttkleyn ptiTti (Ifi millo/m, kliny
ttbhtł Tli@00/& pv/Mtt okto^wt-
bł'Intlll ('Urlll Wtftti (iii MlifikW*// l''''!>/t>UI / H/rt
i mik lwu Ho if/tiwwinlących,
Mti'W&łj feMi foH} minio nleny/y^4cie ino' tly,U iuiaji Uuétw pty,ywyktu(\ tki ytublnfiitiw i kioiuoinyt h
ołtyWMiów l'ok)mi, Jnkby w%/y fiikUfh M/filnn "(ttfnf,, ttiylney iihe'\tl,nww/.y lenn wyciimW'^,
pn nnuiełttku, w ipube) I *t\$fo' ttwdttttj niHie'/y, wykrzywi! tinintilliwl" wm Uh tli@ pt/M/ wxyłqil
imienny (loiiinwl ofiP w leii/ln I >
- fAttuw/Mn/' In ni" t/iythlimy, A w wielkim/ imiiowym limulin, kUny \imwmi/,lmy, niemi inHnmot/
I*hh)mi innln w/knfy,!, limiihiiecle ilr/Mwem, iiii
I fik, bniullujtf (fmpmiti, nil,, \hy%kn limity f/iit Ainbnni,finlHkiem WMfflłA kftf(C\$M)A/
f iolttiiń&i vnn Uiyflm n%lyw/AWW/y ulowi* ,Mim knw'*H\fi" tfhtliyt i\ n /(ry,mawli)A€yct)
poh&wł&nn v/Ąbi wtórni &/mi w orty ablUty/t
, (tlility hlwpn/lliktł hiółką, Uaf- Ir/Mllm poń- l/t/itłknini w)*tiki, W/tf W no wyptmiownny kol- n\tot'/,,
(i ink pnv/leily,inl tn*y)*kie (t/Mwa to iloi u n i '/Ml"/,, ni* n/ntn/mkii* wini ty im (et*tt- litu ioiioownlyn i
not w wy \ittu\ Yo i,foi WM, (Hwół/.yi mUr, pna/At wh>niai Jfn/i/ir mittnłtfj, ', ift/.yintw/.onyiti ut'//,uk
wycinani liwif l'/,y, in/Mkiniitl into,
l'o nie t/Mki wynoki, kokv\n\y \ Mliy Mydlmy ii r/M w o nmwlnwi* ki/kyniju tm% tu fuj tiwwI/Mi la
pl{ j/,< kopUi jftk, w MńWśśMłp ftp/'/Mfłtjttftiy i& im il/l*wi*fl H/yllny/tw *,, Mn 'miiiy ly/.ykiiWdt
Ihilttiiiito nnoknął iM/ykl^im „U/Ittwłtf/ w/y UiHf/tw /n iii/mwtił" l'i/,ytiyl nn tło Mottkwiy im Xitku(i
liilnnu) f/r/yil/y, plMim, il',tt>nrUi I linln/u, W Aitłmiuiulukn /lini/Waly ilw*i)#(/& oktety, fypftiwy t/ly
ni#Uf00f cm %cy wielcy ku finy inonklewm y,
iowmy illa *kmlm - fłłwł*tł/l&ll *l*ł nki*j hit/h i iboyyll tilffiomłfiiiui, łowni pty- Wnlnyi li Uml/nyi li
luiilnwnłkńw nie /thłł fjw fm nic, A l*m olo Anglik whln' /lOhil ilohty ihteist, fiifll nie klmle, hnnUn pi/yknh
fit-

patrzywszy z ukosa, czy nie ma w pobliżu Rosjan, van Leyden powiedział:

— Rosyjski car posiada trzy czwarte dziegciu całego świata, najlepsze drzewo masztowe i wszystkie konopie... Ale wziąć to wszystko jest równie trudno jak z księżycą... O nie, sir, dużo nie zarobicie na waszej koncesji. Północ jest bezludna, chyba — nauczycie niedźwiedzie ścinania drzew... Prócz tego, z trzech waszych okrętów, sir, dwa zatopią Norwegowie albo Szwedzi, a trzeci rozbiją pływające góry lodowe. — Żałował się, znowu, czując, że zrobił przykrość zarozumiałemu Anglikowi. — Tak, tak, kraj to bogaty jak Nowy Świat, bogatszy od Indii, ale dopóki nim rządzą bojarzy, będziemy ponosić straty po stratach. W Moskwie nie rozumieją własnego interesu, Moskwićci handlują jak dzikusy... O, gdyby mieli porty na Morzu Bałtyckim i odpowiednie drogi, a handel prowadzili jak uczciwi mieszczanie, można by robić wielkie obroty...

. — Tak, sir — poważnie odpowiedział Sydney — słuchałem pana z przyjemnością i zgadzam się. Nie wiem, jak u was, ale myślę, że podobnie jak w naszej Anglii nie bu-1 dujecie już małych statków morskich. We wszystkich stoczniach Anglii rozpoczęto budowę okrętów o wyporności czterysta i pięćset ton... Potrzeba nam teraz pięć razy więcej drzewa i lnu... Na każdy okręt wychodzi nie mniej niż dziesięć tysięcy jardów płótna żaglowego.

314

— O-o-ol — zadziwili się wszyscy słuchający tej rozmowy.

" »— A skóra, sir, zapomnieliście, że potrzebna jest rosyjska skóra, sir — przerwał Hamilton.

Sydney z oburzeniem spojrział na prostaka. Zebrawszy zmarszczki kościstej brody patrzył jakiś czas przymrużonymi oczami na ogień.

— Nie — odrzekł — I nie zapominam o rosyjskiej skórze, ale nią nie handluję. Skórę wywożą szwedzcy kupcy... Bogu dziękować, Anglia się bogaci i potrzebujemy bardzo dużo materiałów budowlanych... Anglicy, kiedy co chcieli, to mieli... I my będziemy mieli...

Zakończył rozmowę, siadł w fotelu i oparłszy grubą podeszwę trzewika na kamiennej • kracie, nie zwracał więcej na nikogo uwagi. Podbiegł Lefort prowadząc pod rękę Aleksandrę Mieńszykowa. Młodzieniec miał na sobie niebieski sukieny kaftan z czerwonymi wyłogami i metalowymi guzikami, buty za kolana, z wielkimi srebrnymi ostrogami, upu- drowaną twarz okalała wspaniała peruka, w koronkowym halsztuku — brylantowa szpilka; wesole i czyste jak przejrzysta woda oczy obejrzały gości bez zmieszania. Ukłonił się zgrabnie, poruszył krzepkim, ramieniem — stanął tyłem do kominka i wziął fajkę.

— Najjaśniejszy pan raczy przybyć za chwilę.

Goście zaczęli szeptać między sobą, znamienitsi wysunęli się naprzód — twarzami do

315

drzwi, Sydney nio zrozumiawszy, co powiedział Aleksaszka, otworzył nawet z lekka usta patrząc ze zdziwieniem na tego chłopaczka, który bez skrępowania odsunął poważnych ludzi od kominka. Lecz Hamilton mu szepnął: „Carski ulubieniec, niedawno z ordynansa mianowany oficerem, niezmiernie przydatny” — i Sydney, ściągając dobrodusznie zmarszczki koło oczu, rzekł do Aleksaszki:

— Dawno marzyłem o szczęściu zobaczenia wielkiego monarchy... Jestem tylko biednym kupcem i dziękuję Bogu za to nieoczekiwane wydarzenie, o którym będę opowiadał moim dzieciom i wnukom.

Lefort przetłumaczył. Aleksaszka odpowie- dział:

- Pokażemy, pokażemy — i odsłonił w śmiechu białe, równe zęby. — A Jeśli potrafisz pić i żartować, to zabawisz się z nim dobrze. Będzie co wnukom opowiadać. (Do Leforta.) Zapytaj no go, jaki handel prowa- * dzi. A, drzewem... Przyjechał widać prosić o chłopów drwali?... (Lefort zapytał, Sydney z uśmiechem skinął głową.) Owszem, jeżeli car da papier do Lwa Kłriłowlcza... Niech się postara.

W drzwiach niespodzianie ukazał się Piotr w tukim samym jak Aleksaszka kaftanlo pułku Preobrażeńskiego — obcisłym w ramionach i w piersi — cały zaprószony śniegiem. Na jego zarumienionych policzkach pojawiły się dołki, usta miał zaciśnięte, lecz ciemno oczy śmiały się. Zdjął trójgraniasty kapelusz, tupnął otrząsając śnieg z ciężkich butów za kolana, ze ściętymi nosku mi.

- Gutem Tag, melne I-Ierrschaften — powiedział młodzieńczym baskiem. (Lefort pędził już ku niemu, przechylony, jedna ręka do przodu, druga w locie — jak nosidło.) — Jeść się bardzo ch.ce.,. Chodźmy, chodźmy do stołu.

Mrugnawszy w stronę cudzoziemców, którzy powstrzymywali oddech w piersiach, odwrócił się, pochylony, wysoki niemal jak drzwi, i przez sień przeszedł do szpaizesali komnaty jadalnej.

III

Gościom Już poczerwieniały twarze, peruki zjechały na bok. Aleksaszka zcljawszy szarfę odtńczył trepaka i znowu pił, blednąc jeno od wina. Błazny udając, że są bardziej pijani niż inni, skakali przez siebie, zawadzając wolimi pęcherzami z grochem o głowy gości., Wszyscy mówili równocześnie. Świece wypaliły się do połowy. Wkrótce kukujski© damy miały się zjechać na tańce.

Sydney, prosty i powściągliwy, alo z oesra-/' mi zaczerwienionymi i nieco /czującymi, mówił do Piotra (Hamilton tłumaczył stojąc zaleli krzesłami);

- Powiedzcie, panie, Jego cesarskiej mości taką rzecz: my, Anglicy, sądzimy, że szczęście naszego kraju łoży w powodzeniu han*

dlu morskiego. Wojna — to kosztowna i smutna konieczność) ale handel — to błogosławieństwo Boże.

— Tak, tak — potwierdził Piotr. Rozweselał go hałas i spory, a osobliwie te rozważania cudzoziemców o państwie, handlu, o korzyściach i szkodach... O szczęściu! Cudownie! — No, dalej, dalej, mów, słucham,...

— Jego królewska mość król Anglii i lordowie nie zatwierdzą nigdy ani jednego billu, jeśli mógłby on zaszkodzić handlowi... i dlatego skarb jego królewskiej mości jest pełny. Kupiec angielski — to osoba poważana w kraju. I my wszyscy gotowi jesteśmy przelać krew za Anglię i naszego króla. Niech najjaśniejszy pan, młody władca, nie gniewa się, gdy powiem, że w Rosji jest wiele złych i nie-żytycznych praw. O, dobre prawo — to wielka rzecz. I u nas są surowe prawa, ale są one dla nas żytyczne i szanujemy je.

— A niech go diabli, co on gadał — Piotr ze śmiechem przewrócił wysoki kubek na ptasiej nóżce. — Niechby tak gadał na Kremlu... Słuchaj, Franz, oni by tam pomdleli. No, dobrze, wskaż, co u nas jest złe. Hamilton, przetłumacz...

- O, to bardzo poważna rzecz, nie Jestem trzeźwy — rzekł Sydney — jeśli najjaśniejszy pan pozwoli, mógłbym jutro, panując nad swoim rozsądkiem, opowiedzieć o złych rosyjskich obyczajach, jak również, od czego się państwo bogaci i co do tego trzeba...

Piotr zazierał ostro w jego skoszone

od

wina, obco mądre oczy. Zastanawiał się, czy aby nie drwi sobie kupiec z rosyjskich głupców. Ale Lefort szybko pochylił mu się do ramienia i szepnął;

— Ciekawe będzie posłuchać owej filozofii, jak wzbogacić kraj.

— Dobrze — powiedział Piotr — ale niech powie, co u nas szpetne.

— Dobrze. — Sydney odetchnął opanowaniem, jąc zamroczenie. — Po drodze do naszego drogiego gospodarza przejeżdżałem przez jakiś plac z szubienicą; jest tam niewielka przestrzeń oczyszczona ze śniegu i stoi żołnierz...

— Za Bramą Pokrowską — zbliżywszy się z krzesłem, podpowiedział Aleksaszka.

— Tak... Nagle widzę — z ziemi wystaje kobieca głowa i mruga oczyma. Przestraszyłem się niezmiernie i spytałem mego towarzysza; „Dlaczego głowa mruga?” Odpowiedział: „Jest Jeszcze żywa. To rosyjski sposób tracenia — za zabójstwo męża taką kobietę zakopuje się w ziemię, a po kilku dniach, gdy umrze, wieszka się do góry nogami...”

Aleksaszka uśmiechnął się: — Hy! — Piotr spojrział na niego i na delikatnie uśmiechającego się Leforta.

— No co? Zabiła przecież... Tak od dawna tracą... Czy mamy za to nagradzać?

— Najjaśniejszy panie — rzekł Sydney — zapytajcie tej nieszczęsnej, co ją doprowadziło do tej strasznej zbrodni, a na pewno zmięknie wasze dobroczynne serce... (Piotr uśmiechnął się.) Ja coś niecoś słyszałem

■ ■ PP

Ji dostrzegłem w Rosji... O, wzrok cudzoziemca bywa ostry. Życie rosyjskiej kobiety w terenach podobne jest do życia zwierząt. (Przesunął chusteczkę po spotałym czole, czując, że mówi za dużo, ale duma i podchmielenie już rozwiązały mu język.) Jakimże to przykładem będzie dla przyszłego obywatela, jeżeli matkę jego zakopano w ziemię, a potem bezwstydnie powieszono za nogi I William Szekspir, jeden z naszych wierszopisów, wzruszająco opisał w pięknej komedii, jak syn bogatego włoskiego kupca z miłości do kobiety odebrał sobie życie trucizną... A Rosjanie biją swe żony batami i kijami niemal na śmierć, jest to nawet popierane przez prawo. Gdy wracam do Londynu, do domu — moja szanowna małżonka wita mnie z radosnym uśmiechem, a dzieci biegną do mnie bez bojaźni i w domu swoim znajduję spokój i obyczajność. Mojej żonie nigdy nie przyjdzie do głowy zabijać mnie, gdyż jestem dla niej dobry.

Wzruszony Anglik zamilkł i opuścił głowę. Piotr chwycił go za ramię.

— Hamilton, przetłumacz mu... (I zaczął krzyczeć Sydneyowi po rosyjsku do ucho). Widzimy wszystko sami... Nie chwalimy się/ że u nas dobrze. Mówiłem matce — chcę wysłać za granicę pięćdziesięciu dworzan co mają drzejszych, aby się u was uczyli... Nam potrzeba abecadła — oto, od czego należy rozpocząć... Ty kłujesz w oczy: dzikusy, żebracy» durnie i zwierzęta... Wiem, diable! Ale poczekaj, poczekaj...

1 11

Wstał, odrzucił krzesło stojące na drodze.

— Aleksaszka, każ — konie.

— Dokąd, min herc?

— Do Bramy Pokrowskiej...

IV

Głowa powoli uniosła powieki. Nie ma śmierci, nie mu... Chłód ziemi dławi ciało. Ziemi nie ogrzeje... Nie poruszy się w mogile. Zakopali po same uszy... (Miękki śnieg padał na odchyłoną twarz.) Żeby choć znowu mdłość zaćmiła oczy — nie byłoby siebie tak żal... Zwierzęta — ludzie, oń, zwierzęta...

Dziewczyzna żyła jak kwiatek polny. Dasza, Daszeńka — mówiła mama kochana. „Po coś mnie urodziła?.. Żeby ludzie żywą w ziemi zakopali... Nie jestem winna. Widzisz to mnie, widzisz?..”

...Głowa rozwarła wargi, zawołała suchym językiem: „Mamo, mamuchno, umieram...” Płynęły łzy. Na rzęsach osiadały płatki śniegu.

Poza głową, na ciemnym placu, skrzypiał na kółku postronek szubienicy, Nawet po śmierci nie będzie spokoju — ciało powieszają. Holi, boli, ziemia dusi... W krzyż powpijały się grudy. Och, ból, cóż za ból... (Głowa otworzyła usta, odchyliła się.) „Boże, zmiłuj się... Matuchno, powiedz mi, matuchno... Nio jo- *tem winna,, W zapamiętaniu zabiłam. Pies przecież gryzie... Koń nawet...” Nio ma czym krzyczeć! Ból doszedł aż do zuiwoczenia. Roz

szerzyły się oczy, powlokły mgłą. Głowa przechyliła się na bok.

Znowu. Śnieżek. Jeszcze nie śmierć... Niedługo już trzeci dzień. Wiatr, wiatr skrzypi postronkiem... Krowa pewno już trzeci dzień nie dojona. Co to? — światło czerwone?... Och, straszne... Pochodnie... Sanie... Ludzie... Idą tutaj... Jeszcze męki? (Chciała tupać nogami — góry ziemi przywały nogi, palcem nie ruszy.)

— Gdzie ona, nie widzę — powiedział głośno Piotr. — Psy odgryzły czy co?

— Warta 1 Spisz? Hej, straż! — zawołali ludzie przy saniach.

^ — Tu-u-ta-aj! — odrzekł przeciągły głos, spoza padającego śniegu wybiegł dozorca płacząc się w baranym kożuchu. W biegu miękko jak niedźwiedź upadł Piotrowi do nóg i już został na klęczkach.

— Tutaj zakopano kobietę?

— Tu, miłościwy panie...

— Żywa?

— Żywa, miłościwy panie.

— Za co skazana?

— Męża nożem zarżnęła.

— Pokaż...

Wartownik podbiegł, przykucnął i połą kożucha usłużnie zgarnął śnieg z twarzy kobiety, ze zlodowaciałych włosów.

— Żywa, żywa, miłościwy panie, mruga...

Piotr, Sydney, Aleksaszka podeszli do głowy. Z nimi pięciu gości Leforta. Dwaj muszkietrzy, błyskając żelaznymi kaskami, trzy

mali wysoko pochodnie. Ze śniegu patrzyło wielkimi, zapadniętymi oczami białe jak śnieg, płaskie oblicze.

— Czemu zabiłaś męża? — zapytał Piotr,

Milczała. Stróż dotknął jej policzka filcowym butem.

— Sam pan miłościwy pyta, głupia.

— Cóż, bił cię? Katował? (Piotr pochylił się ku niej.) Jak ją zowią? Daria... No, Daria, mów, jak tam było.

Milczała. Usłużny stróż przysiadł się do jej ucha.

— Ukorz się, może ułaskawią. Mnie przecież narażasz, kobietko...

Wówczas głowa otworzyła czarne usta i rzekła ochryple, głucho, z nienawiścią:

— Zabiłam... I zabiłabym jeszcze raz tego zwierza...

Zamknęła oczy. Wszyscy umilkli. Smoła z sykiem kapiała z pochodni. Sydney prędko zaczął o czymś mówić, ale nie było tłumacza. Stróż znowu dotknął jej butem — odchyliła się jak martwa. Piotr ostro zakaszłał i poszedł ku saniom. Cicho powiedział do Aleksaszki:

— Każ zastrzelić.

V

Milczący i zziębnięty, wrócił do jasno oświetlonego domu Leforta. Na chórze sali do tańca grała muzyka.

Różnobarwne ubrania,

twarze, świece — odbijały się w lustrach. Poprzez ciepłą mgiełkę Piotr od razu spostrzegł jasnowłosą Annę Mons. Dziewczyzna siedziała pod ścianą — twarz zamyślona, obnażone ramiona zwiły nieruchomo.

W tej chwili muzycanci wychylili z chóru miedziane trąby — powolny taniec; śpiewali mu o Annchen, o jej wspaniałej różowej sukni, o niewinnych rękach, leżących na kolanach. Czemuż, czemuż szalony smutek rozdziera mu serce? Jakby sam był zakopany w ziemi po szyję i poprzez zamieć wzywał miłość swą z niedostępnej dali...

Oczy Annchen drgnęły, dostrzegła go we drzwiach wcześniej niż wszyscy. Podniosła się i popłynęła po woskowanej podłodze. Ale muzyka śpiewała już wesoło o dobrych Niemczech, gdzie przed czystymi, czyścusięnkimi oknami kwitnie różowy migdał, dobry tata i mama z miłymi uśmiechami patrzą na Hansa i Gretchen, stojących pod tymże migdałem, co oznacza miłość na wieki, a gdy słońce ich odejdzie poza granat nocy, ze spokojnym westchnieniem pójda oboje do mogiły... Ach, nieobjęta dal!...

Piotr objął Annchen, ciepłą pod różowym jedwabiem, i tańczył z nią w milczeniu tak długo, aż muzycanci zaczęli się mylić.

Ufnie, pogodnie, czystym spojrzeniem zajrzała mu w oczy.

— Macie dziś zmartwienie, Peter?

*— Anusiu, kochasz mnie?

Anna na to spiesznie opuściła głowę. Na szyi miała aksamitkę. Wszystkie damy tańczące i siedzące zrozumiały i to, o co car pytał, i to, co odpowiedziała Anna Mons. Okrążywszy jeszcze raz salę Piotr powiedział:

— Z tobą moje szczęście,* VI

Patriarchę wprowadzono pod rękę. Błogosławiąc carową-matkę z bratem oraz bojarów, surowo przesunął po wargach kosteczki ascetycznej ręki. Cara Piotra ciągle jeszcze nie było. Joachim siadł na twardym krześle z wysokim oparciem i pochylił się tak nisko, że kłobuk zasłonił mu twarz. Promienie słońca były z głębokich okien pod pstrym sklepieniem Granowitej Sali. Wszyscy milczeli ze złożonymi rękoma i opuszczonymi oczyma. Spokój naruszał jedynie skrzydlaty cień go- lębia, który sadowił się na zewnętrznej, zaśnieżonej framudze okna. Gorąco szło od niebieskiego glazurowanego pieca, pachniało kadzidłem i woskiem. Siedzieć tak w solennym milczeniu, strzec dostojności i obyczajów było naczelnym, najważniejszym obowiązkiem. Niech o tę trwałość rozbijają się ludzkie fale — marność nad marnościami. Dostyc pokus i nowinek. Warownia Rosji tu taj — może pozostaniemy biedniejsi, lecz bliżsi prawdy... A co do reszty — Bóg pomoże. Milcząc czekali na przybycie cara. Natalia ., •,

Kiriłłowna zdrzemnęła się zbożnie? utyla w ostatnich miesiącach, zdrowie jej zachwiało się. Streszniew, chrząkając ostrożnie, podniósł różaniec, który spadł jej z kolan na dywan. Za Zofii w sali stał zegar wieżyczkowy. Kazano go wynieść — rozdrażniał cykaniem; powiedziano przecież: „Któż zważy czas...” Czas liczyć — to siebie oszukiwać. Niech wolniej płynie nad Rosją, spokojniej...

W sieni trzasnęły drzwi, mroźne głosy zburzyły błogą ciszę, carowa wstrzymując ziewanie przeżegnała usta. Rynda, łagodny młodzian, kornie oznajmił o przybyciu. Bojarzy bez pośpiechu pozdejmowali futrzane czapki. Natalia Kiriłłowna zmarszczyła brwi patrząc na wejście, ale dzięki Bogu Piotr był w rosyjskiej odzieży, za drzwiami jeszcze przestał się śmiać i wszedł wcale dostojnie. „Bocianie nogi, trudno kochaneczkowi wejść stacecznie” — pomyślała carowa promieniając powitaniem. Piotr zbliżył się do patriarchy po błogosławieństwo, zapytał o zdrowie chorego brata.

Pilnie trzeba mu było pieniędzy, toteż przyjechał posłusznie na wezwanie listowne matki, aby wysłuchać Joachima. Zasiadł na tronie i niby w puchu utonął w sennej ciszy sali, a wspierając się łokciami, przysłonił usta dłonią — na wypadek, gdyby zakradło się ziewnięcie.

Joachim wyjął zeszyt spod czarnego płaszcza — ręka jego trzęsła się starczo, powoli odwrócił kartę, wznosił oczy, długo przyciskał palce do ośmioramiennego krzyża na kłobuku i przeżegnawszy się jął czytać cicho przeciągle, kwaskowato: — „Nie chęlcie się, że ukróciwszy bunt, ustanowiliście pokój między ludziami i rzeczą... Smuci się dusza ma nie widząc myśli zgodnej i rozkwitu wśród ludów. Grodzie stołeczny! — luźne mnichy i mniszki, popi i diakoni bez parafij, nieprzystojnie i zapamiętałe, a także różny lud hultajski — imię ich legion — przewiązawszy ręce i nogi, a niektórzy oczy przesłoniwszy i zamknawszy, włóczą się po ulicach żebrząc miłosierdzia obłudnym podstępem... Azali to jest ów ogrojec rozkwitły? Widzę w domach pijaństwo, wieszczbiarstwo i czary, i nierząd ohydny. Mąż wrywa żonie włosy i nagą wypędza za bramę, a żona zabija męża; dzieci bezrozumne rosą na podobieństwo chwastu... Azali to jest ogrojec rozkwitły?... A dalej widzę: bojarski syn, rzemieślnik i chłop biorą kiścień, a rzuciwszy ogień na domy swe uchodzą w lasy gwoli swemu okrucieństwu. Chłopie, gdzie twa socha? Kupcze, gdzie twój łokieć? Synu bojarski, gdzie twa cześć?”

Tak gadał o niedoli rozpowszechniającej się naokoło. Piotra opuściła nuda. Natalia Kiriłłowna bolejąco spoglądała to na syna, to na bojarów, a oni, jak należało, trwali w milczeniu, wysuwając brody. Wszyscy wiedzieli — sprawy państwa źle stoją. Ale co robić? Cierpieć i tyle... Joachim czytał: — „Mizernym naszym rozumem postanowi

mimi

liśmy rzec wam, wielcy monarchowie, prawdę... Póty nie nastanie w kraju tym porządek i obfitość, póki szerzyć się w nim będzie bezbożność i plugawe łacińskie herezje, luterskie, kalwińskie i żydowskie... Cierpimy za własne nasze grzechy... Byliśmy trzecim Rzymem, a staliśmy się drugą Sodomą, i Gomorą... Wielcy monarchowie, nie można dozwalać, by innowiercy budowali u nas swe bożnice, a wybudowane należy zniszczyć. Zabronić, żeby w pułkach naczelnikami zostawali przekłeci heretycy. Co oni mogą pomóc prawosławnemu rycerstwu? Jeno gniew Boży sprowadzają. Przewodzą wilcy nad i jagniętami! Zabronić obcowania prawosławnych z heretykami. Cudzoziemskich obyczajów i przemian żadnych w odzieży nie wprowadzać. Aby z czasem, spoczawszy, wzmocniwszy ducha prawosławiu, cudzoziemców wyrzucić zupełnie z Rosji, a niemiecką slobodę, oną gehennę, pokusę — spalić!..."

Oczy patriarchy płonęły, trzęsła się twarz, trzęsła się wąska broda i fioletowe ręce. Bojarzy poopuszczali głowy — Joachim zaczął zbyt ostro, nie można w takiej sprawie - na odlew,..

Romodanowski wypuczył oczy jak rak. Natalia Kiryłowna nic nie rozurętała i jeszcze po zakończeniu czytania kiwała potakująco, z uśmiechem. Piotr zapadł w tron, odął wargi, Jak dziecko. Patriarcha schował zeszyt i przesunął palcami po oczach,

- Zaczniemy wielką rzecz od nuilej...

__ ii i

Zofii Alekfićjewny na moją błagalną prośbę schwytno nn Kukuju obrzydłego heretyka Kwiryna Kulmanna. Na badaniu powiedział: objawianiu się w Amsterdamie ktoś w białych szatach i kazał iść do Moskwy, bo tam, powiedział, umierają w mroku niewiary. (Joachim przez chwilę milczał wstrząśnięty.) „I wy — mówił na badaniu — Jesteście ślepi: nie widzicie, że moja głowa w Jasności, a przez usta me przemawia Duch Święty", I podawał teksty z przewrotnej nauki Jakuba Roch mego i Krzysztofa Bartuty *... A sam, między innymi, uwiódł w Moskwie dziewczynę, Marię Sellfontównę, i odział ją gwoli bojaźni w męską odzież, a mieszka ona w jego komorze... Upijają się codziennie obeje, grają na skrzypcach i blachach, on wychyla się z okna i wrzeszczy opętanym głosem, że nawiedził go Duch Święty, A przychodzącym prorokuje i każe się całować w dół brzucha... Boże, jak można przez chwilę pozostawać w spokoju, gdy tu Już szatan triumfuje! Proszę wielkich monarchów, aby ukazom swym stracili Kwiryna Kulmanna — spalić go żywcom z książkami...

Wszyscy zwrócili oczy na Piotra, a on zrozumiał, że wyrok na Kwiryna Kulmanna dawno zapadł. Wyczytał to w spokojnych oczach matki. Jeden Romodanowski niecierpliwie poruszał wąsami. Piotr usiadł prosto, paznokiec

sam ruszył mu do ust. Tak to pierwszy raz w życiu zażądano od niego decyzji państwowej. Było mu straszno, ale już gniewny chłodek ogarniał jego serce. Przypomnił sobie niedawne rozmowy u Leforta, pełne godności, mądre oblicza cudzoziemców... Grzeczna wzdarda... „Rosja zbyt długo pozostawała azjatyckim krajem — mówił Sydney (następnego dnia) — boicie się Europejczyków, ale sami dla siebie jesteście najgroźniejszymi wrogami...” Przypomnił sobie, jak wstyd mu było słuchać... (Kazał wówczas podarować Sydneyowi sobolową szubę — niech jedzie do Archangielska, a do Leforta więcej nie przychodzi.) Co powiedziała by Anglik słuchając tej przemowy? (Serce zaczęło mocno bić!) Zniszczyć kirchy i kościoły w slobodziel Przypomnił sobie — latem słycać było przez otwarte okno dzwonek z niemieckiej kirchy. W tym rannym dzwonieniu — sumienność i porządek, zapach schludnych domków na Kukuju, koronkowa firanka w oknie Anny Mons... I ją pewno byś spalił, żywy trupie, czarny kruk!, Kupy popiołu pozostawiłbyś na Kukuju! (Teraz już Piotr palił oczami patriarchę). Lecz mocniej niż gniew (czy to nie Leforta nauki?) powstały w nim upór i przebiegłość. Dobrze, bojarzy, rządowic — \$ bogacze. Skrzyczeć ich to nie na wiele się zda — upadną pyskami na kobierzec, rozplacze się matka, patriarcha utknie nosem w kolana, a zrobią tak czy owak po swojemu i jeszcze z pieniędzmi przycisną.

— Ojcie najświętobliwszy — rzekł Piotr z przystojnym gniewem (Natalia Kiriłłowna uniosła brwi w zdumieniu) — jakże mi gorzko, że nie ma między nami jednomyślności... My nie wglądamy w twoje chrześcijańskie sprawy, a ty w nasze wojenne sprawy wglądasz... Może mamy wielkie zamysły — czy je znasz? Chcemy morza zdobywać. Widzimy szczęście naszego kraju w korzyściach morskiego handlu. To jest błogosławieństwo Boże. Bez cudzoziemców w wojennych sprawach nic nie zdziałam. A spróbuj ruszyć ich kirchy i kościoły — rozbiegną się. Co to znaczy... (Zaczął spoglądać na wszystkich bojarów po kolei.) Chcecie mi skrzydła podciąć?

Dziwili się bojarzy słysząc, że Piotr mówi tak mężnie. „Ho! ho! — spojrzeli po sobie — patrzcie gol... Ostry!” Romodanowski potakiwał: „Tak, tak, prawda!” Patriarcha pochylił suchy nos ku tronowi i wykrzyknął z wielką namiętnością:

— Miłościwy panie! Nie odbieraj mi szatańskiego heretyka Kwiryna Kulmanna!

Piotr zasepił się. Czuł, że tu należy ustąpić brodaczo. Natalia Kiriłłowna wyszeptala: — Władco, ojcie — i złożyła ręce jak do modlitwy. Popatrzył na Romodanowskiego, ów z daleka rozłożył ręce.

— Kulmann nas nic nie obchodzi — powiedział Piotr — oddaję ci jego głowę. (Patriarcha siadł przymykając oczy w znużeniu.) A teraz oto, bojarzy — potrzebuję ośmiu ty-

siący rubli na wojskowe i okrętowe potrzeby.

Wychodząc z pałacu Piotr zaprosił do swego; ich sań Fiodora Juriewicza Romodanowskiego i pojechał do niego na obiad na Łubiankę.

VII

Zę wsi Mytiszczę przywieziono do krem- lowskiego pałacu babę Worobichę do młodej carowej. Jewdokia bardzo była rada —, rozkazała prosto z sań prowadzić ją do sypialni. Sypialenka carowej mieściła się w górnej bierwionowej nadbudówce — miała dwa ślepe okienka, pozastłaniane od słońca. Na gorącym piecu bezustannie drzemała w butach i szub- ce babka położna. Jewdokia wkrótce miała zlec i już od kilku dni nie wstawała z łabędzich pierzyn. Oczywiście, chciałoby się odetchnąć po dusznym kącie, przejechać sankami po zaśnieżonej Moskwie, gdzie niebieskie dymy, niskie słońce, gdzie srebrne gałęzie wierzby płaczącej, wychylając się z zaułków, zaczepiają o duhę... Ale stara carowa i wszystkie niewiasty w koło: „Boże uchowaj, co za przejażdżki! Leż, nie poruszaj się, strzeż brzucha nosisz carskie potomstwo...” Pozwalały jedynie słuchać bajek z religijnym zakończeniem. Nawet płakać nie wolno: noworodek się zasmuci...

Worobicha weszła zbożnie, lecz śmiało. Niewiasta była czysta, w nowych łapciach, pod płócienną spódnicą nosiła pęczek szatwii dla aromatu. Wargi mięsiste, oczy mysie, twarz stara, ale rumiana, gadać gotowa bez ustanku. Bystro spojrzała z progu, wszystko zauważyła, padła na kolana przed łóżkiem i dostąpiła łaski: młoda carowa podała jej wilgotną rękę do ucałowania.

— Usiądź, Worobicho, i opowiadaj... Odpędź ode mnie nudę.

Worobicha otarła czyste wargi i zaczęła bajeczki, jak to był sobie dziad i baba, o córeczkach popa, o koźle ze złotymi rogami.

— Czekaj, Worobicho — Jewdokia uniosła się badając, czy babka położna drzemie — powróz mi...

— Och, moje piękne słoneczko, nie umiem.

— Kłamiesz, Worobicho... Nie powiem nikomu, powróz choćby z bobu...

— Och, za ten bóć skórę batem teraz łupią. Chyba na papce — rozrobić na rzadko w święconej wodzie?

— Kiedy się zacznie ze mną? Czy prędko? Strach bierze... Nocami serce zamiera, przestaje bić... Zrywam się — czy też żyje dzieciątko? Boże!

— Kopie nóżkami? W którym miejscu?

— Kopie, o tutaj, nóżką... Kręci się — jakby kolankami i łokietkami ocierał się miękko...

— Wedle słońca się kręci czy na opak?

— I tak, i tak... Ruchliwy...

— Chłopiec.

— Och, czy na pewno?..

Worobicha mrużąc przymilnie mysie oczy wyszeptwała:

— A co jeszcze mam wróżyć? Widzę, piękności nieopisana, tajemne na usta się ciśnie... carowo — do ucha...

•

Jewdokia odwróciła się do ściany, twarz z popielatymi plamami na czole i skroniach, z nabrzmiętymi ustami, poróżniona. — Brzydka się zrobiłam czy co — nie wiem...

— Już drugiej takiej śliczności, takiej nieopisanej...

— A niechże cię... (Jewdokia odwróciła się, ciemne jej oczy napełniły się łzami.) Czy on żałuje, czy kocha? Objaw... Idź po mąkę...

Worobicha, okazało się, wszystko miała piizy sobie, w worku: gliniany talerzyk, fla- szeczkę z wodą i ciemny proszek. (Szeptwała: „Nasienie paproci, na święty Jan zebrane".) Zamieszała, postawiła naczynie na stołeczku przy łóżku, mrużąc niezrozumiałe słowa wzięła od Jewdokii ślubną obrączkę, zanurzyła ją w wodzie i kazała patrzeć.

— Myśl o tajemnym, chcesz — głośno, a nie chcesz, to tak. Co masz na sercu?

— Odkąd powrócił z klasztoru — odmienił się — Jewdokia ledwie poruszała wargami* — Nie chce mnie słuchać, jakbym była najgłupsza w świecie... „Poczytaj historię... Ucz się po holendersku, po niemiecku..." Próbowałam — nic nie rozumiem. Żonę przecie 1 bez książki się kocha...

— Dawno już razem nie śpicie?

— Trzeci miesiąc... Natalia Kiriłłowna zabroniła — lęka się o płód...

— W samą obrączkę patrz, aniele niebieski, widzisz męty?

— Jakby czyjeś oblicze...

— Patrz jeszcze... Niewieście?

— Jakby... Niewieście...

— Ona! — Worobicha zacisnęła usta, zrobiła minę świadomej rzeczy, popatrzyła paciorkami oczu, jak myszka z nory. Jewdokia uniosła się dysząc ciężko, przesunęła rękę ze spadzistego brzucha pod piersi, gdzie jak złapany ptak trzepotało serce.

— Co ty wiesz? Co ukrywasz przede mną? Co za jedna?

— No, kto, kto — żmija pełzająca, Niemka... O tym cała Moskwa szepcze, jeno boją się gadać... Poją go w niemieckiej slobodzie miłosnymi ziołami. Nie burz się, kwiatuszku, za wcześniej jeszcze płakać... Pomożemy ci... Weź igłę... (Worobicha szybko wyciągnęła z chustki na głowie igłę, szepcząc podała carowej.) Weź w paluszki, nie bój się niczego... Mów za mną: „Precz a precz, zła, niegodziwa żmijo, Anno, rosochata, zezowataj suchobol- na, sucherlawa, precz, nie oglądając się, za górę Fafer, gdzie słońce nie wschodzi, miesiąc nie świeci, rosa nie pada — precz do zimnej ziemi, na trzy obłożne sążnie, tam dla ciebie, złej, niegodziwej żmii, Anny, miejsce gotowe na wieki wieków, amen..." Kłuj, kłuj igłą w środek obrączki, kłuj ją w twarz...

Jewdokia kłuła, dopóki igły nie złamała

o talerzyk. Opadła na łóżko, zakryła łokciem -I / oczy, obrzmiałe jej wargi wykrzywiły się ■ j w płaczu...

Wieczorem mamki i niańki, babki położne i pałacowe głupki frasobliwie skrzypiały drzwiami: „Gar przyjechał...” Worobicha rzuciła na świecę szczyptą kadzidła — dla odświeżenia powietrza i szustnęła gdzieś. Piotr biegł na górę po trzy schodki. Gdy się pochylił nad pościelą żony, zaleciało od niego mrozem i wódką.

— Witaj, Duniu... Jeszcze się nie uwolniła? Bo ja myślałem...

Uśmiechnął się, wesoły, daleki, okrągłe oczy — obce... Jewdokia poczuła chłód w piersiach. Rzekła wyraziście:

— Rada bym się przypodobać. Widzę — wszystkim się naprzykrzyło czekać. Wybaczcie mi...

Piotr skrzywił się usiłując zrozumieć, o co jej idzie. Usiadł trzymając się ławki i drapał dywanik ostrogą.

■— Byłem na obiedzie u Romodanowskiego... Powiedziano mi, jakoby już zaraz... Myślałem — zaczęło się...

— Umrę w połogu — dowiesz się... Ludzie powiedzą...

— Od tego się nie umiera... Przestań...

Wtedy ona z całej siły odrzuciła okrycia i prześcieradła, wystawiła brzuch.

— Oto on, widzisz... Nie umiera się! Mę

czyć się, krzyknąć będę ja, nie ty... Nie umiera się! Ty dowiesz się o tym najpóźniej. Simiej się, baw, pij!... Odwiedzaj, odwiedzaj przeklętą slobodę... (Piotr otworzył usta i spojrzał bacznie.) Wstyd przed ludźmi — wszyscy już wiedzą...

— O czym wszyscy wiedzą?

Podciągnął nogi, zły, podobny do kota. Ach, teraz było jej wszystko jedno... Krzyknęła:

— O twojej heretyczce, Niemcel! O dziewce karczemnej! Czym ona ciebie społa?

Wówczas on poczerwieniał, spocił się. Odrzucił ławkę. Zrobił się tak straszny, że Jewdokia mimo woli zasłoniła twarz rękoma. Stał wlepiwszy w żonę oczy antychrystowe...

— Głupia! — tyle jeno powiedział. Jewdokia plasnęła rękami i pochwyciła się za głowę. Wstrząsnęło nią ciche łkanie. Dziecko miękko, niecierpliwie przekreśliło się w łonie. Ból rozpychający, ciągnący, straszny otoczył biodra niepojętą siłą...

Usłyszawszy niski, zwierzęcy krzyk, mamki i niańki, babki położne i głupki wbiegły do młodej carowej. Krzyczała z oszalałymi oczyma, szkaradnie rozwarłszy usta. Kobiety zaczęły się krzątać. Zdjęto obrazy, zapalono lampki. Piotr wyszedł. Gdy przeszły pierwsze bóle, Worobicha i babka położna przeprowadziły Jewdokię pod ręce do mocno nagrzanego łaźni — na poród.

Białooka kawka, przestraszona czymś, wyleciała spod słomianej strzechy, przysiadła na drzewie — sypnął się szron. Jednooki Cygan podniósł głowę: za ośnieżonymi gałęziami rozlewały się malinowe zorze zimowe. Dymy wolno wznosiły się — gospodynie paliły w piecach. Wszędzie skrzypienie butów i po- kaszliwanie; zgrzytały furtki, ciachała siekiera. Coraz jaśniej występowały spadziste dachy, między srebrnymi brzożami, a całe Za- moskworiecze kurzyło różowymi dymami; krzepkie dworki strzelców, wysokie spichrze kupców, domki pospólstwa miejskiego — garbarzy, pończoszników, kwasiarzy.

Skrzętna kawka skakała po gałązkach, prószyła w oczy śniegiem. Cygan gniewnie machnął na nią rękawicą. Wydobył ze studni pokryte lodem wiadro i lał śmierdzącą wodę w koryto. W taki jędry niedzielny poranek serce przepelniało się gorzką złością. „Dola przekłeta, zrobili człeka niewolnikiem... Prawie jak bydło... Sam chodziłbym koło gospodarstwa nie gorzej od was...” Okucie wiadra brzękało, żuraw skrzypiał, kiwało się złamane koło przywiązane do jego końca.

Na ganek wyszedł gospodarz, strzelec Owsiej Rżow, niepokryty kożuszek przepasał czerwonym wełnianym pasem. Prychnął w mróz, nasunął czapkę, naciągnął rękawice, zadzwonił kluczami.

— Nalałeś?

336

Cygan tylko błysnął jednym okiem — łapcie jego ześlizgiwały się lodowatego pagórka przy korycie. Owsiej poszedł otwierać oborę: dobry gospodarz powinien sam poić bydło. Po drodze kopnął filcowym butem, białym w czerwone muszki, żerdź leżącą nie na swoim miejscu.

— Jeszczem ci nie dał t^ żerdzią po garbie, chamski synyl Znowu wszystko rozrzucił po podwórzu...

Odemknął drzwi, podparł je kołem, wyprowadził za grzywy dwa dobrze odkarmione wałachy, poklepał, ogwizdał — konie piły mroźną wodę unosząc łby, patrzyły na zorzę, woda ciekła z ich ciepłych warg. Jeden zarażał otrząsając się. — Gzij się, gzij... — rzekł łagodnie Owsiej. Wygnał z obory krowy i byczka, za nimi pobieży kupą owce skrzypiąc kopytkami po śniegu. Cygan precz czerpał, natężał się, oblał portki. Owsiej rzekł:

— Dobrego w tobie mało, a złego dużo. Nie masz łagodności dla bydłęcia — jeno byś okiem świdrował. Nie wiem, coś ty za człowiek...

— Robię, jak umiem...

Owsiej uśmiechnął się niezyczliwie — no, nol... Kazał w swojej obecności zadać bydłu paszy, rzucić podściółki. Cygan z dziesięć razy chodził w oddalony koniec podwórza do zawalonych śniegiem stert, gdzie w rozgrzebanych plewach krzątały się wróble. Narą- bał i przyniósł drew. W niebieskości ranka

21'

33©

słońce rozjaśniło zaśniewane Szczyty brzoź. Dzwoniono w cerkwiach. Owsiej przeżegnał się statecznie. Na ganek wybiegła mała dziewczynka z okrągłą twarzą i niebieskimi oczyma jak u kawki. — Tata, chodź prędko jeść. Owsiej otrząsnął buty i wszedł w niziutkie drzwi, trzasnąwszy nimi po gospodarsku. Cygana nie wołano. Poczekał, wysmarkał się, długo wycierał nos połą dziurawej siermięgi i bez wezwania wszedł do ciepłej, ciemnej półpiwniczki, gdzie jedli gospodarze. Koło drzwi bokiem przesunął się na ławę. Pachniał mięsny kapuśniak. Owsiej i brat jego Konstantyn, również strzelec, jedli powoli z drewnianej miski. Podawała do stołu wysoka surowa staruszka z martwym wzrokiem.

Bracia mieli kram koszykarski, łaźnię publiczną na Bałczugu i wiatrak, a prócz tego dzierżawili od księcia Odojewskiego dwanaście dziesięcin pola i łąk. Poprzednio pracowali sami (w potrzebne krymskiej nie brali udziału), ale teraz car Piotr nie pozwalał odetchnąć: codziennie — albo warta, albo marsze. Strzelcom zabraniano siedzieć w sklepach i łaźniach. Służbie zaufać nie można. Muszą pracować żony i siostry, słowem — baby. Zaś siła męska idzie na carskie zabawy? .1

— Co to będzie latem ze żniwami — aż w głowie się kręci — mówił Owsiej. Przcisnął do piersi bochen drapiąc nim po płóciennej koszuli, ukrajał bratu i sobie. Westchnęli

340

przegryźli i znowu, otrząsając mięso na łyżkach, zabrali się do kapuśniaku.

— Ż parobkami teraz niebezpiecznie ||§§|| rzekł Konstantyn. — Nowy ukaz. Bezwarunkowo wydawać łążogów, którzy bez poręczenia mieszkają w slobodach albo w szynkach, łaźniach, cegielniach.

. •/— Jakże to, a jeśli pracuje?

—: No to co, odpowiesz za niego tak samo jak za rozbójnika. Brałeś od Cygana poręczające pismo? Co on za jeden?

li! Kaduk go tam wie... Milczy...

— Lepiej by go wyrzucić i zbyć się kłopotu.

Gdy Cygan wszedł i przesywając braci wzrokiem, obdzierał lód z brody, Owsiej powiedział głośno:^s

— On i tak naprzykrzył mi się już...

Zapanowała cisza. Jedli. Cygana mdliło od

zapachu chleba i kapuśniaku. Rzuciwszy sopelek pod próg, rzekł ochryplym głosem: t

—jj O mnie, widać, mówicie?

— A niechby i o tobie. — Owsiej położył łyżkę. — Siódmy miesiąc zresz chleb, a diabeł cię wie, coś za jeden... Dużo was takich hul- - tajów łązi po ludziach...

'— Jakże to — hultaj? Kradłem u ciebie? — . zapytał Cygan.

— No, jeszcze nie wiem...

— No, właśnie, nie wiesz.

— A może lepiej, żebyś kradł. Czemu więc dwie owce zdechły? Dlaczego krowy smutne, mleko śmierdzi, że do gęby nie można

34t

wziąć... Dlaczego to? — Owsiej przesunął się do brzegu stołu i wałnął pięścią. — Dlaczego nasze baby całą jesień na brzuchy stękały? Czemu? To zadane! Czarne oko psuje...

— Przeszałbyś się pieklić, Owsiej — powiedział Cygan znużonym głosem — i żeby choć kto głupi...

— Konstancynie, słyszałaś? Wymyśla mi! Ja się piekle! — Owsiej wyszedł zza stołu, zaigrał palcami zbierając je w pięści. Cygan spierać się nie mógł — bracia byli mocni, najedzeni. Podniósł się ostrożnie.

— Nie to miłe, co dobre, ale co się podoba... Nieżłem zginał krzyża na twoim gospodarstwie, Owsieju, dziękuję... (Uklonił się.) Myśl o mnie, jak chcesz, wszystko mi jedno... Wypląć mi jeno zarobione grosze.

— Jakież to pieniądze? — Owsiej zwrócił się do brata, do babki, patrzącej na sprzeczkę martwym wzrokiem. — Oddał nam na przechowanie skarb czyf co? A może ja wziąłem od niego?

— Owsiej, bój się Boga, po pół rubla na miesiąc — dwa i pół moje zapracowane...

Wówczas Owsiej podskoczył do niego i wrzasnął nieludzko;

— Dać mu pieniądze! A życie ci miłe?! Sk... synu, hyclu!

Chwyciwszy za kołnierzyk siermięgi uderzył go w ucho i krzyknął dziko. I gdyby się Cygan nie uchylił — drugie uderzenie położyłoby go na miejscu. Konstancyn przytrzymał brata za latające ramiona i Cygan słaniając się wyszedł. Konstancyn dogonił go i wypchnął na ulicę. Długo patrzył Cygan jednym okiem na bramę, jakby ją chciał przepalić. „No, poczekaj” — powiedział złowieszczo. Przesunął dłonią po policzku — krew. Obok przechodzili ludzie, oglądali się, drwili. Podniósł głowę i powlókł się szurgając łapcami — gdzie oczy poniosą.
IX

— Pchaj się, pchaj, rozpychaj,..

— Gdzie ludzie biegają?

— Patrzeć: człowieka będą palić...

— Tracenie?

— Sam tego nie zapragnął — ech...

— Są tacy, co się sami spalają.

— Tamci — za wiarę, raskolnicy.

— A ten za co?

— Niemiec.

— Chwała ci, Panie, i do nich się, widać, dobierają.

— Już dawno na nich czas, tytoniarze przeklęte... Brzuchy im porosły z naszego potu,

— Patrz, już się dymi...

Poszedł i Cygan ku brzegowi rzeki, gdzie na kupach popiołu tłoczyli się mieszczanie. Od dawna wpadli mu w oko dwaj — podobnie jak on — bezdomni. Stara się być blisko nich: może zdarzy się coś, można się będzie pożywić. Chłopkowie ci widocznie byli już doświadczeni, męczeni. Jeden, dziobaty, miał

polic/ek przewiązany szmatą — przykrywał piętno zrobione rozpalonym żelazem, Zwano go Judą. Drugi, zgięty w pasie prawie we dwoje, wspierał się na dwóch krótkich kosturach, ale chodził szybko, wysuwając bródkę. Oczy wesołe. Rogoża na połatanej siermiędze. Imię miał Owdokim. Bardzo się podobał Cyganowi. I Owdokim wkrótce zauważył, że koło nich objaja się trzeci — czarny, jednooki chłop z przetrąconą gębą; uniósł się na kosturach i rzekł łagodnie:

- Nie pożywisz się przy nas, kochasiu, my sami kradniemy...

Juda wykrzywiwszy gębę powiedział w bok przez zęby:

— Czepiał się podobnież jeden gagatek z tajnej kancelarii — to zleciał do przerebli.

„Efye! — pomyślał Cygan — to odważni ludzie...” I jeszcze bardziej chciało mu się zostać z nimi.

— Nie zabiera mnie jakoś śmierć przekłeta — powiedział mrugając zaszczyconymi rzęsami — żyć trza jakoś... Wzięlibyście mnie, ludzie, do spółki... Razem lżej...

Juda znowu przez zęby do Owdokima:

— Czy nie „ciemne oko”? He?

— Nie, nie widać — zaśpiewał Owdokim i zwróciwszy głowę obejrzał Cygana od stóp do głów.

Więcej nic nie mówili. Na dole, na lodzie, przemarznięci strzelcy tupali i trzaskali rękawicami. Otaczali oni zbudowany naprędce zrąb, cały nawalony drzewem. Obok sterczał słup, przy którym wykonywano wyroki, i paliło się ognisko kurząc białym dymem — rozpalano żelazo. Ludzie przemarzli w oczę- » kiwaniu.

— Wiozą, wiozą... Pchaj, rozpychaj się!

Od strony miasta ukazali się konni dragoni. Zjechali na lód. Za nimi w zwyczajnych saniach, plecami do konia, jechał Niemiec i jakaś dziewczyna w chłopskiej czapce. Dalej konni: bojar, dworzanie, diak. Na samym końcu — ciężka kolasa obita czarną skórą,

Strzelcy ustąpili z drogi jadącym. Diak zlązł z konia. Kolasa podjechała stając na boku, ale nikt z niej nie wyszedł. Wszyscy patrzyli na nią — szept zdziwienia przeszedł między ludem.

Spoza zrębu wyłonił się Jemielian Swie- zew w czerwonym kołpaku i z biczem na ramieniu. Pomocnicy jego wzięli z sań dziewczynę, szturchańcami przypchnęli do słupa, zerwali z niej szubinę i przywiązali ją tak, iż obejmowała słup rękoma. Diak czytał głośno z rozwiniętego papieru, kołyszając pieczęciami. Ale głos jego na trzaskającym mrozie ledwo było słychać, tyle jeno zrozumiano, że dziewczyna to Maszka Selifontowna, a Niemiec — Kuk lin albo coś podobnego. Widzia- no na saniach jego wystające ramiona i łysy tył głowy.

Końska twarz Jemieliana uśmiechała się nieruchomo. Wolno podszedł do słupa. Zdjął bicz. Usłyszano ostry świst i ujrzano czerwoną pręgę na ukos przez nagie plecy dziewczyny

HfBIB^{albi}

ny. Kwiknęła jak prosię. Otrzymała pięć uderzeń, i to z pomiarkowaniem. Odwiązali ją od słupa, podprowadzili ślaniającą się do stosu i Jemielian dobywszy z ognia żelazo przycisnął je do policzka dziewczyny. Przysiadła z piskiem, zaczęło nią rzucać. Podnieśli ją, odziali, wsadzili do sań i stępa pojechali z nią po lodzie rzeki Moskwy do klasztoru.

Diak ciągle czytał papier. Zabrali się do Niemca. Wylażł z sań, niziutki, krępy, i sam podszedł do stosu. Nagle złożył drżące dłonie, podniósł obrzmiałą, porośłą ciemną szczecinią twarz i — psubrat, Niemiec — zaszwar- gotał, zaszwargotał coś i głośno zapłakał... Chwycili go i zawlekli na stos. Tu Jemielian zdarł z niego wszystko, obnażył, obalił go, na różowe, tłuste plecy położył heretyckie książki i pisma i podaną z dołu głównią podpalił je. Tak opiewał wyrok: książki i pisma spalić na jego plecach. Z brzegu (gdzie stał Cygan) ktoś krzyknął:

—Kulkin, ogrzej się...

Lecz poczęto szemrać przeciwko temu od- migębie.

—Milcz, bezwstydnik Sam się tak ogrzej...

Gębacz natychmiast znikł. Z podpalonego z czterech stron stosu walił szary dym. Strzelcy stali wsparci na pikach. Zapanowała cisza. Dym wolno ulatywał do nieba.

—On naprzód zagorzeje, drzewa mokre.

—Niemiec to Niemiec, ale — palić żywcem... Och, Boże...

w z* i 3 • V- i jfjt ■< \yvjL i + 4 -

t : ' ■

tfmWm nmSSmZr, Sti^m

mm■

— Uczył się, pisał papiery i oto — masz tobie...

Ze skórzanej kolasy — teraz zauważ yli to wszyscy — patrzyło przez okienko na dym, na podlatujące języki ognia zwiędłe oblicze niby ze starodawnego obrazu świętego...

— Patrzaj, jak oczami błyska, aż strach bierze!

— Nie patriarchy rzecz jeździć na tracenia.

— Palą ludzi za wiarę... Och, pasterzel,.. Powiedział to Owdokim — dźwięcznie, odważnie. Wszyscy stojący koło niego odsunęli się, pozostali jedynie Juda i Cygan. Stukając kosturami powiedział znowu:

— Co z tego, że heretyk. Jak umie, tak wierzy. Nieporęcznie mu po naszymu — powiedzmy... I za to palą... Żyjemy w mękach, torturach...

Ogromny stos buczał i trzeszczał, dym i iskry zwiły się w lej. Niektórzy pono widzieli nawet przez płomień, że Niemiec jeszcze się rusza. Kolasa odjechała kłusem. Ludzie rozchodzili się powoli. Juda powtarzał:

—

Chodźmy, Owdokim... •

— Nie, nie, chłopcy... (Oczy mu się śmiały, ale czysta, jakby wyszedł z łaźni, czerwona twarz była zapłakana, a kozia bródka trzęsła się.) Nie szukajcie prawdy... Pasterze i naczelnicy, celnicy brząkający złotem — wszyscy chodzą w szatach swego okrucieństwa. Uciekajcie, dziatki, torturowane, palone, kołem łamane, uciekajcie ile sił w puszcze leśne.

347

X

Nareszcie Cygan ujął łyżkę — drżała mu ręka, gdy niósł do ust jałowy kapuśniak, kapiący na kromkę chleba. Bardzo się bał, że go nie wezmą ze sobą do karczmy, i uskarżał się w drodze na los wycierając oko rękawicą. Owdokim, nie odpowiadając biegł na kosturach, jak karakon. Koło bramy zapytał nagle: . •— Kraść umiesz?.

Tak, a jeśli kupą — to choćby do lasu z kiścieniem. „ _

— O, jaki zuch...

— Co ty o nas myślisz, kto my jesteśmy? — zapytał Juda.

Cygan przestraszył się: „Chcą się ode mnie . odczepić...” Z bólem patrzył na pochyloną bramę, na zaspę śnieżną na dziedzińcu, zlodowaciałą od wylewanych pomyj, na drzwi obite rogożą, spoza których szedł taki pożywny zapach, że się w głowie kręciło. Odpowiedział cicho:

— Jesteście ludzie sprawiedliwi... Cóż, jeżeli kradniecie, to przecież z biedy, a nie z własnej winy. Połowa ludzi w tych czasach do lasu ucieka. Moi drodzy, nie odpędzajcie mnie, dajcie zjeść cokolwiek...

— My, paneczku, czasem mamy litość, a czasem jesteśmy bez litości — rzekł Owdo-

i

Dopiero po pewnym czasie udało się zabrać Owdokima i ruszyli we trzech uliczką do karczmy.

sCéJ&U^Jt

1

kim. — Pamiętaj! — i wzięwszy oba kostury w lewą rękę pogroził mu: — Przyczepiłeś się do nas, to już się nie odczepisz... Judo, ko- chasiu, zdobyłeś co?

Juda wyciągnął z kieszeni sakiewkę, wysypał na dłoń miedziaki. Przeliczyli zdobycz we trzech. Owdokim powiedział wesoło:

— Ptaszek nie sieje i nie zbiera. Bóg go karmi. Dużo nam nie trza, tyle co na wyżywienie. Chodź z nami, ślepaku...

Usiedli w karczmie w najdalszym zakątku, dokąd ledwie dochodziło światło łojowej świeczki z szynkwasu. Ludzi było sporo — jedni darli się po pijanemu, rozpiąwszy prze- pocone kożuszki, inni spali na ławach. Owdokim zażądał butelki i garnka kapuśniaku. Gdy podano, stuknął łyżką.

— Jedz, ślepaku, to dar Boży...

Upił z butelki, gryzł szybko jak zając. Oczy płonęły mu śmiechem.

— Opowiem wam, dziatki, przypowieść. Słuchacie czy nie? Było dwóch — jeden we- soły, drugi smutny... Ten wesoły był biedny; co tylko miał, wszystko zabrali mu bojarzy, diacy i sędziowie i męczyli go za różne sprawy dybą, wiesznikiem, krzyż mu złamali — chodził zgarbiony... No, dobrze... ; A smutny był syn bojarski, bogacz, sknera. Służba z głodu i bicia pouciekała, a dziedziniec porósł trawą. Siedzi dzień w dzień sam na skrzyni ze złotem i srebrem. Tak to oni żyli. Wesoły nie ma nic — rosą się umył* przeżegnał się przed pieńkiem, a jak mu się

chciało jeść, to ukradł albo uzebrał sobie w imię Boże: biedni zawsze dadzą — oni rozumieją... I tak wędruje sobie, baraszkuje —• dzień po nocy — doba kroczy. A smutny precz myślał, jakby pieniędzy nie utracić. Ibał się, moi mili, śmierci. Och, ciężko jest umierać bogatym. A im więcej ma skarbów, tym gorzej. Świece pudowe na ofiarę nosił, wota dla cerkwi zakupił — precz myślał, że Bóg oddali od niego godzinę śmierci.

Owdokim roześmiał się zamiatając brodą stół. Wyciągnąwszy długą rękę z łyżką za* czerpnął z garnka, pogryzł jak zajac — i dalej:

- A bogaty był to ten sam człowiek, co męczył wesołego, puścił go z torbami... I oto pewnego razu wesoły poszedł do niego kraść, a wziął z sobą dobrego kija. Tędy, owędy, przez sale, patrzy — śpi bogaty na ławie, a skrzynia pod ławą. Skrzyni nie zobaczył, złapał bogacza za włosy: „Tyś mnie, powiada, wtedy a wtedy obdarł, dawaj teraz coś na życie”. Bogacz śmierci się boi i pieniędzy mu żal, zapiera się — nie ma i nie ma,.. Na to wesoły złapał kija i jak zacznie nim okładać po bokach i po pysku... (Juda wyszczerzył zęby i zachichotał z zadowolenia.) No, dobrze, smarował, smarował, dopóki samemu nie zrobiło mu się nijako. „Dobrze — mówi — przyjdę na drugą noc, nuszycuj mi pełną czapkę pieniędzy”.

Bogaty nie głupi, napisał do cara — car przysłał mu straż. Ale wesoły przebiegły był chłop. Oszukał tę straż, dostał się do bogacza i złapał za włosy: „Naszykowałeś pieniądze?” Ten trzęsie się, przysięga: nie ma i nie ma... Wesoły zaczął go znowu błogosławić kijem — ledwie mu dusza nie wyskoczyła „Dobrze — mówi — przyjdę na trzecią noc, przyszykuj teraz skrzynię pieniędzy,..”

— To sprawiedliwe — rzekł Cygan.

— Ale go pobłogosławił — śmiał się Juda, - No, dobrze. Tym razem car przysłał cały pułk na obronę bogatego. Co tu robić? Ale wesoły chłop był przebiegły. Przebrał się za strzelca, przyszedł do dworu bogacza i mówi: „Strażnicy, czyjego bogactwa strzeżecie?” Ci odpowiadają: „Bogacza, z carskiego rozkazu”. „A dużo wam za to zapłacili?” Ci milczą. „Echl — mówi wesoły — jesteście głupcy: strzeżecie bogactw darmo, a bogacz jak pies na tym skarbie zdechnie, jeno się potem obli- żecie”, I tak ich rozpałał, aż żołnierze ci poszli,, poobrywali kłódki w piwnicach i składach, zaczęli jeść, pić do odęcia i oczywista rozzłościli się na bogacza; nocą wyłamali drzwi i widzą: bogacz się trzęsie na skrzyni, cały zbity, spaprany, Tutaj nasz tęgi strzelec złapał go za włosy: „Nie oddałeś — mówi — kiedy prosiłem o swoje, to oddasz wszystko”. No i rzucił go żołnierzom, a ci go na kawałki rozszarpali, A wesoły wziął se, ile trzeba na życie, i poszedł swobodnie.

Do stołu, gdzie opowiadał Owdokim, przysiadali się ludzie, słuchali, pochwalili. Ktoś, czy to pijaniusieriki, czy to bez piątej klepki,

ciągle szlochał, rozkładał ręce, łapał się za łysą, wielką głowę. Gdy mu dano dojść do słowa, tak śpieszył się i ślinił, że nie można go było zrozumieć. Ludzie śmieli się:

— Chodził Kuźma do bojarów... Wsyпали mu rozum, ale nie w ciemie...

Oczyszczono knot świecy na szynkwasie, żeby się widniej było śmiać. Twarz owego Kuźmy z perkatym nosem i rzadziutką brodą była mocno obrzmiała, widocznie pił biedaczysko na umór. Miał na sobie jeno portki i rozdarta nie podpasaną koszulę. 'jkk— Przepił nawet krzyż.

— Od tygodnia się tu obja.

. — A gdzież on pójdzie boso na mróz...

— Och, nieszczęście moje na powszechności, oto ono — krzyczał Kuźma chwyciwszy się za portki. — Bojarzyn Trojekurow ręki dołożył — Szybko się obnażył i pokazał spuchnięty tyłek z bliznami i sińcami. Wszyscy ryknęli śmiechem. Nawet szynkarz znowu oczyścił palcami knot łożówki i przechylił się przez szynkwas. Kuźma podciągnął portki.

— Znaliście kowala Kuźmę Żemowa, kuźnia koło Barbary męczennicy? Ja tam piętnaście lat... Kowal Żemow! Nie urodził się jeszcze taki złodziej, co by moje kłódki otworzył. Sierpy moje szły do Riazania. Czyj sierp? — Żemowa... Panczerza mojej roboty kula nie przebije. Kto kuje konie? Kto chłopom i babom zęby rwie? Żemow. Wiedzieliście o tym?

— Wiemy, wiemy — krzyczano ze śmiechem — opowiadaj dalej.

I' IWWiH I I' !

— Ale tego to nie wiecie. Żemow noce całe nie śpi. (Złapał się za łysy czerep.) Żemow ma śmiałą głowę. W innym państwie byłbym wielki... A tutaj rozum mój — na żarcie dla świń... Ach, wy sobie jeszcze przypomnieli (Zacisnąwszy szeroką pięść groził nią w stronę zapłakanego okienka o czterech szybkach, w zimową noc.) Mogiły wasze pokrzywą porosną... A Żemowa jeszcze będą pamiętali.

— Poczekaj, Kuźmo, za co cię obili?

— Opowiedz... my cię nie wyśmiejemy... †

Patrzył zdziwiony, »jakby dopiero teraz zauważył otaczające go błyszczące nosy, skudlone brody, rozwarte usta gotowe do ryku, dziesiątki oczu żądnych widowiska... Widać — wszystko naokół niego płynęło, mieszało się...

— Chłopcy... Warunek — nie śmiać się. Przecie ja duszę mam obolałą...

Długo wydostawał z sakiewki złożony papierek. Rozłożył go na stole. (Z szynkwasu przyniesiono świecę.) Przycisnął paznokciem kartkę, na której były narysowane dwa skrzydła na podobieństwo nietoperza, z pętłami i sterami. Obrzmiałe policzki nadeły mu się.

— Zdziwiająca i cudowna mechanika — powiedział z dumą — skrzydła łyszczkowe trzyarszynowej długości, szerokość — arszyn i dwanaście werszków. Z a pomocą dźwigni — przez poruszanie nóg, a także i rąk — machają jakby nietoperz. Człowiek może latać — zupełnie pewnie. Ucieknę do Anglii... Tam zrobię te skrzydła. Z dzwonnicy zesko

czę i nic mi się nie stanie. Ludzie będą latać jak żurawie! (Znowu pogroził wściekle w stronę okna.) Bojarzyn Trojekurow przeliczył się Bóg człowieka uczynił pełzającym czerwiem, a ja nauczę go latać *...

Owdokim wyciągnął rękę i poklepał Kuźmę przyjaźnie.

— Po kolei opowiadaj, mój miły, za co to cię skrzywdzono?

Kuźma się zachmurzył i począł sapać.

— Zrobiłem za ciężkie, omyliłem się trochę... Jestem człowiek biedny... Zrobiłem małe skrzydła — z czego się dało, z łyka, ze skóry... Skakałem z chałupy pod wiatr, pięćdziesiąt kroków przeniosło. A w głowie już mi się pali... Poradzili mi — poszedłem do Urzędu Strzeleckiego i krzyknąłem: „Warta!” Pochwycili mnie i chcą bić, oczywiście. „Nie — mówię — nie bijcie mnie, lecz zaprowadźcie do bojarzyna, mam sprawę państwową”. Przeprowadzono. Siedzi, szatan — pyska przez trzy dni nie spaskudzisz — Trojekurow. Mówię mu, że potrafię latać jak żuraw — dajcie ml dwadzieścia pięć rubli i łyszczyku, a za sześć tygodni polecę. Nie wierzy... Mówię:

„Poślijcie podiaczego do mego domu, pokażę mu małe skrzydła, jeno że nieprzystojnie byłoby latać na nich przy carze”. Tędy, owędy, nie wie, co począć — krzyk mój wszyscy słyszeli. Łajał mnie, za włosy chwycił, kazał na Ewangelię przysiąc, że nie oszukam. Wydał osiem

naście rubli. I zrobiłem skrzydła przed terminem. Ciężkie były. Dopiero w karczmie — zrozumiałem... Po pijanemu zrozumiałem!... Łyszczyk nie nadaje się, trzeba pergaminu w drewnianej ramie!... Przywiozłem je na Kreml, próba... No, i nie poleciałem — gębę całą potłukłem... Mówię do Trojekurowa: „Próba się nie udała, dajcie mi jeszcze pięć rubli i wtedy możecie mnie ściąć — polecę!” Bojarzyn nie wierzy; „Złodziej — krzyczy — oszust! Heretyk! Chcesz być mądrzejszy od Pana Boga?!” Rozkazał przy sobie — dwieście kijów..

Wytrzymałem, bracia, całe dwieście, jeno zęby zgrzytały... I rozkazano ściągnąć ze mnie osiemnaście wydanych rubli, sprzedać kuźnię, narzędzia i dom... Co mam robić teraz, nagi — chyba do lasu z kiścieniem?

— To właśnie cierpiętnik — rzekł Owdokim cicho, dobitnie,

Kuźma 2emow przystał do szajki Owdoki- ma. Kupili mu na starzyźnie buty i siermięgę. Zaczęli teraz chodzić po Moskwie we czterech — na bazar, do publicznych łaźni, w ciasne uliczki Kitajgorodu. Juda kradł. Cygana nauczone zasuwac żenice, tak aby gałka oczna wyzierała straszliwie spod powiek, i śpiewać o Łazarzu. Kuźmfę nakładano na szyję postronek i Owdokim oprowadzał go jako opętańca i chorego na trzęsawicę. „Obłakanego nakarmcie — z drogi, z drogi, kochani, bo jeszcze się rzuci...” Zbierali tak codziennie na żywność, a czasem i na butelkę. Procy było dużo, a strachu jeszcze więcej, bo na

podstawie ukazu carskiego takich teraz chwytano i odprowadzano do Rozbojnego Urzędu.

Kończył się wielki post. Nad Moskwą coraz wyżej wznosiło się wiosenne słońce. Na południowych stronach ulic tajało, kapało, zaczynało śmierzdieć, śnieg, zmieszany z nawozem, nie skrzypiał już pod płozami. Pewnego wieczoru rzekł Owdokim w karczmie:

— Czy nie czas, dziatki, szykować się do drogi? Nie mamy tu czego żałować. Niech jeno pagórki obeschną... Pójdziemy w świat.

Juda się sprzeciwił:

— W małej garstce, bez broni, pomrzemy w lasach z głodu.

— A my — rzekł Owdokim — nim pójdziemy, postanowimy złą sprawę... (Popatrzyli na niego ze strachem.) Zdobędziemy, co potrza. Jeden grzech mąk naszych nie podwyższy. A jeśli podwyższy — no cóż, to znaczy, że i w Piśmie nie ma sprawiedliwości... Nie drzyjcie, gołąbki moje, wszystko biorę na siebie.

XI

Zacząło się to na wiosnę — kot się śmieje, a myszy płaczą. Ogłoszono wojnę dwóch królów: polskiego oraz króla stołecznego grodu Preszburga. Królowi preszberskiemu przydzielono ucieszne pułki: Butyrski i Leforta. Polskiemu dostały się wybrane oddziały najlepszych strzelców pułków: Strzemiennego, Suchariewa, Cyklera, Krowkowa, Nieczajewar

Durowa, Normackiego, Rlazanowa. Królem preszberskim został Fiodor Juriewicz Romodanowski, nazwany Frydrychusem, polskim zaś Iwan Iwanowicz Buturlin, mąż skory do zalewania pały, dokucznik i zdierca, lecz ma- jący szczęśliwą rękę w urządzaniu zabaw i hulanek. Na stolicę otrzymał dwór Sokolni- czy na Polu Siemionowskim.

Z początku myślano, że .wszystko to są dawne psoty Piotra. Ale co dzień — ukaz, i coraz to bardziej narwany. Bojarzy, okolniczowie, dworzanie zostali przypisani na dworskie urzędy do obu królów. Piotr poczynął się bawić nieprzystojnie. Wielu bojarów czuło się obrażonymi — kroniki rodowe nie podawały jeszcze takiego wypadku, żeby żartowano z godnościami. Szli do carowej Natalii Kiriłowny z ostrożnymi skargami na synka. Rozkładała pulchne ręce i nic nie rozumiała. Lew Kiriłowicz mówił z gniewem: — A co my możemy począć — przysłano ukaz wielkiego monarchy, z pieczęciami. Jedźcie do niego sami i proście, by odwołał. — Nie odważono się jechać do Piotra myśląc, że to tak jakoś samo przejdzie. Ale Piotrowi nie przechodziło. Do tego i owego spośród bojarów nieoczekiwanie wpadali żołnierze, siłą zmuszali do włożenia dworskiego stroju i uwozili do Preobrażeńskiego na błazeńską służbę. Staremu księciu Priimkowowi Rostowsklemu sparaliżowało nogi. Inni próbowali udawać chorych — nie pomaga. Nie ma się gdzie schować, Wypadło jechać na wstyd i hańbę...

W Preszburgu z daleka było widać ośmiokątne wieże z okrągłaków, darniowe wały zastawione armatami, dookoła białe namioty — Rosjanin mógł oszaleć. Niby sen Jakiś niedorzeczny — zabawa nie zabawa, a wszystko jakby naprawdę. W malowanej sali, na złożonym tronie, pod malinowym baldachimem siedzi rozwalony dumnie król Frydrychus, na łbie miedziana korona, biały atłasowy kaftan usiany gwiazdami, płaszcz na zajęczym futrze, długie za kolana buty, ozdobione grzmiącymi ostrogami. W zębach — cybuch... Błyska oczami wcale nie żartobliwie. A przypatrzysz się — Fiodor Juriewicz. Człek chce splunąć, ale nie wolno. Członek Dumy Zinowiew splunął z obrzydzenia — i tego samego dnia wywieźli go chłopskim wozem na zesłanie, zbawiwszy czci... Samej Natalii Kiriłłownie wypadło jechać do Preobrażeńskiego prosić o przebaczenie dla niego i zawrócenie z drogi-

A car Piotr — tu już pozostaje ręce tylko rozłożyć — nie ma żadnej godności i chodzi w żołnierskim kaftanie. Podchodząc do tronu Frydrychusa ugina kolano, a ten król z piekła rodem niekiedy krzyczy na niego jak na prostaka. Bojarzy i okolniczowie siedzą w bła- zeńskiej sali, rozważają sprawy, przyjmują posłów i zatwierdzają preszburskie ukazy pałac się ze wstydu, A nocami — uczty i pij®" tyka w pałacu Leforta, gdzie przewodzi drugi nocny władca — obrzydły Bogu człek, na którego spojrzeć nawet nie można bez sromu, cham Nikita Zotow, arcybłazeński książę-pa- pież kukujski.

Potem, widać już dla dopełnienia ruiny, z namowy cudzoziemców przeklętych, spędzono z Moskwy około tysiąc diaków i podia- czych, wybrano co młodszych z urzędów, uzbrojono, posadzono na konie, musztrowano na nic nie bacząc. Frydrychus w Dumie powiedział:

— W krótkim czasie wszystkich we'źmle- my w obroty. Karakony niedługo już będą siedzieć po dziurach. Wszyscy spróbują żołnierskiej kaszy. ^^iilll

Piotr stojący przy drzwiach (siadać przy królu nie ważył się) głośno się roześmiał przy tych słowach. Frydrychus gniewnie brzęknął na niego ostrogą — car zamknął usta... Płakać tu należało wspominając wszystkie swoje grzechy i gromadnie paść carowi do nóg z błaganiami: „Ścinaj nas, męcz, znęcaj się, Jeśli nie możesz się obejść bez tego... Ale, o następcu cesarzy bizantyjskich, w jakąż przepaść ciągniesz ziemię rosyjską.. Czy to aby nie cień Antychrysta za tobą?..." Jeno że nie starczało odwagi, nie potrafili tego powiedzieć.

Podobny dwór miał król polski, Wańka Buturlin, w Slemłonowskim. Ale tam nie trza było przynajmniej min stroić, służba była spokojna: bojarzy i okolniczowie, siedząc w uciesznej Dumie na ławkach wzdłuż ścian, ziewali w rękawy, dopóki zmierzch nie zamalował szyb na granatowo, po czym jechali

mM

do Moskwy na nocleg. Król, Wańka Kain, w swej zaciekłości i zberezeństwie chciał zmusić wszystkich, by mówili po polsku, ale przełamać bojarskiego uporu nie mógł, zresztą i jemu się sprzykrzyła zabawa, pozwolił im drzemać, jak chcą.

Nie zdołali przywyknąć, a tu nowy skok: za ledwie lasy pokryły się mgiełką zieleni — Buturlin posłał do króla Frydrychusa posła z wypowiedzeniem wojny i z pułkami, taborami i bojarami ruszył na Preszburg. Strzelcy maszerowali wściekli; był czas siewu, każdy dzień drogi, a tu diabeł podkusił cara do igraszek.

Oblężenie rozkazano prowadzić wedle wszelkich reguł — ludzie kopali szańce i aprosze, przeprowadzali podkopy, ruszali do szturmu. Igraszka była ciężka. Prochu nie żałowano. Strzelano z moździerzy glinianym garnczkami, rozrywającymi się jak bomby. Z twierdzy lano błoto i wodę z gnojem, spychano szturmujących drągami z zapalonymi pakułami na końcach, rąbano tępymi szablami. Opalano gęby, wybijano oczy, łamano kości. Pieniądzy kosztowało to niewiele mniej niż prawdziwa wojna, a ciągnęło się tygodnia mi, przez całą wiosnę. W przerwach obaj królowie ucztowali z Piotrem i jego ulubieńcami.

Mijało lato. Buturlin nie wzięwszy Preszburga odszedł o trzydzieści wiorst w lasy i tam się okopał. Z kolei ruszył na niego Frydrychus. Strzelcy, rozjuszeni takim życiem, bili się nie na żarty. Zabitych liczone już na dziesiątki. Generał Gordon dostał w głowę garnczkiem z moździerza — ledwie się wykała skała; Piotrowi opaliło twarz i brwi, chodził oblepiony plastrami. Połowa wojska rozchorowała się na krwawą biegunkę. Dopiero gdy wystrzelano wszystek proch, połamano broń, żołnierze i strzelcy obdarli się do łachmanów, gdy do obozu przyjechał Lew Kiryłowicz z listem carowej matki i błagał ze łzami o niewyciąganie pieniędzy, bo skarb i tak pusty — dopiero wtedy Piotr się uspokoił i królowie puścili wojska do słobód.

Między ludem wiele gadano o tych igraszkach wojennych. — Rozumie się, że takich wielkich pieniędzy nie wyrzucano by na zwykłą zabawę. Tu muszą być czyjeś knowania. Piotr młody jeszcze, głupi — co w niego wzmówią, to robi... Ktoś widać chce się pożywić na tej ruinie...

XII

Życie było biedne, mdłe. Za czasów Zofii istniało jeszcze jakieś wędzidło, teraz wielcy i potężni duszę wytrząsali z szarego człowieka. Sądy krzywoprzysiężne, powszechne zdzierstwo i rozkradanie dobra państwowego. Mnóstwo ludzi zbiegło do lasów na rozbój. Inni uciekali od przeklętego życia w mateczniki leśne nad północnymi rzekami, żeby nie dźwigać na plecach kupy wojewodów, szlachty, diaków i podiaczych, ławników i sędziów pijących krew bez miary i litości. Tam, na

północy, mieszkali sobie w zapomnieniu, żywiąc się płodami lasów i rzek. Karczowali polany, siali jęczmień. Chaty budowali obszerne, na słupach ze stuletnich sosen, daleko jedna od drugiej — pałace chłopskie. Z okolic porzuconych na zawsze przynieśli na te pustkowia jedynie baśnie, byliny i tęskne pieśni. Wierzyli w duchy domowe i leśne. Na modły chodzili do surowych starców raskolników, którzy rozdawali komunie pod postacią mąki z borówkami. — Antychryst na świecie — mówili starcy — ci jeno zbawią duszę, którzy uciekli od cara i patriarchy.

Ale zdarzało się, że i do tych pustkowi na skraju świata dobierali się słudzy Antychrysta, szukający opornych i złorzeczących. Wówczas chłopci z żonami i dziećmi, porzuciwszy dom i bydło, zbierali się w zagrodzie starca albo w cerkwi i strzelali do żołnierzy, a jeśli nie mieli czym strzelać — złorzeczyli im nie poddając się, ażeby nie wpaść w ich ręce, spalali się żywcem w chacie lub cerkwi i ginęli wśród okrzyków i jękliwych śpiewów.

Lud hultajski, uciekając przed biedą i niewolą do lasów na grabieże, kierował się pomału tam, gdzie ciepłej i urodzajniej — nad Wołgę, nad Don. Ale i tam załatywało jeszcze duchem rosyjskim, i tam dochodziły carskie ukazy i wojowali prawosławni popi. Wielu w licznych zbrojnych szajkach uchodziło jeszcze dalej — do Dagestanu, do Kabardy, za 1 erek, lub przechodziło w poddaństwo do tureckiego sułtana, do Tatarów na Krym.

Na wolnym południu wierzono raczej w krzywą szablę i dobrego konia niż w mroczne duchy.

Niemiała, nieprzytulna była ziemia rosyjska — gorsza od najcięższej niewoli, od tysiąclecia zdeptana łapciami, dłubana zgryźliwie sochą, pokryta popiołem zniszczonych wsi, zapomnianymi mogiłami. Niedola, dzi-kość.

Xlii

— Tato, co to jest? Dzwonią jakoś inaczej...

— Jakże inaczej?

— Oj, tato, nie tak... Teraz dzwonią przeciągle, a to... Tato, żeby jakiego nieszczęścia nie było, może by odejść...

— Poczekaj, głupia...

Browkin, Iwan Artiemicz (ludzie zapomnieli już nawet, że niegdyś zwano go Iwaszką), stał na przyslonku starodawnej cerkiewki na Miaśnickiej. Miał na sobie nowy barani kożuszek, kryty granatowym sukmem, nowe buty — prosto z kopyta, nowy wełniany szal okręcony tak, że głowa się zadzierała do góry. Wiał przejmujący wiatr, ciął w twarz. Na czarnej ulicę ze świstem sypała śnieżna kasza, zapelniała zmarznięte koleiny. Dużo ludzi stało przed sklepami, słuchali: ze wszystkich cerkwi dochodziło dzwonienie małych dzwonów, dzwoniło bez rytmu, w nieładzie — walono byle jak, niby na złość.

Sańka Browkina (zaczęła już osiemnasty rok), dobrze odziana, piękna, syta, dojrzała,

znowu pociągnęła ojca za rękaw: uciekać! W Moskwie bywała rzadko, a gdy była — trzepotało jej serce, bała się, żeby jej nie stratowali. Dziś przyjechała z ojcem kupić puchu na pierzynę — wyprawa. Swatki stale się kręciły koło domu Browkina, ale Iwan Artiemicz im dalej, tym wyżej mierzył. Syn Aloszka był już starszym bombardierem i ciągle przy carze. Rządca Wołkowa przyjeżdżał w goście do nowej, bogatej zagrody Browkinów. Iwan Artiemicz dzierżawił od Wołkowa łąki i pole. Handlował drzewem. Niedawno postawił młyn. Bydło jego pasło się oddzielnie. Dostarczał żywności do Preobrażeńskiego na carski stół. Cała wieś kłaniała mu się do pasa, wszyscy zadłużyli się u niego, a on niektórym folgował, innym nie — dziesięciu chłopów pracowało u niego w poddaństwie za długi.

— No, na cóż czekamy? — rzekła Sańka.

W tej chwili do przysionka Wszedł rudobrody pop Filka. (W ciągu dziesięciu lat pop się tak poprawił, że podbita futrem riasa omal na nim nie pękała.) Popychał słabowitego diaczka z posepnym nosem.

— Ruszaj, hulako przeklęty, ruszaj, Belzebubie...

Diak potknął się, przytrzymał się kłódki, począł otwierać cerkiewne drzwi. Filka szturchał go dalej.

— Ręce drżą — pijanica obrzydły... Wieczorem przecież, wieczorem, wieczorem (walił diaka w zgarbione plecy) powiedziano ci: idź, dzwoni... Przez ciebie znowu będę odpowiadał...

Diaczek wsunął się przez uchyloną połowę żelaznych drzwi i wszedł na dzwonicę. Filka pozostał przy wejściu. Iwan Artiemiewicz obiema rękami w nowych skórzanych rękawicach zdjął czapkę i skłonił się poważnie:

— Na ten przykład, to jakby święto dzisiaj czy co? Nie wiemy oboje z córką... Powiedz, z łaski swej, ojcz...

Filka mrużąc oczy patrzył na ulicę, pod wiatr ze śniegiem, rozwiewający mu brodę; powiedział głośno, żeby wszyscy słyszeli:

— Przyjście Antychrysta.

Iwan Artiemiewicz aż przysiadł na nowych butach. Sańka chwyciła się za piersi, przeżegnała się, zbladła i dopiero wówczas zrozumiała, że się boi. Od Bramy Miałnickiej walił z krzykiem tłum ludzi. Słychać było gwizd, dziki śmiech. Stojący ludzie patrzyli w milczeniu. Sklepy zamykano. Skądś wypełzli obszarpani żebracy, chorzy na trzęsa- wicę, nadzy do pasa, beznosi... Siwy nawiedzony z długą szyją, brzęcząc łańcuchami i kłódką na piersiach, wrzeszczał: — Nabu- chodonor, Nabuchodonor!

Iwanowi Artiemiczowi dusza uciekła w buty. Sańka powtarzając szeptem: — Oj-oj — przylgnęła do cerkiewnego zakratowanego okienka pod nie gasnącą lampką. Dziewucha była nad miarę bojaźliwa.

I oto, co ujrzeli... Rozciągnięte na całą ulicę, wolno jechały powozy zaprzężone w świ

nie — szóstkami} sanie, do których wprzęgnięto krowy, wysmarowane dziegciem i obsypane pierzem, - niziutkie dwukółki, ciągnięte przez kozły i psy. W saniach, wozach i wózkach siedzieli ludzie w kapeluszach z łyka, w płaszczach z łykowych worków, w słomianych butach, w mysich rękawicach. Niektórzy mieli na sobie kaftany z pstrych szmatek, ozdobione kocimi łapami i ogonami.

Trzaskały baty, świnię kwiczały, psy szczekały, poprzebierani ludzie miauczeli i beczeni — wszyscy pijani jak beły, gęby czerwone. W środku pochodu dwie jabłkowite kłaczki, przyozdobione miotłkami łąziebny- mi, ciągnęły złoconą carską karocę. Przez okna było widać: na przedzie siedział młody pop Bitka, towarzysz pijatyk Piotra. Spał z opuszczoną głową. Na tylnym (Siedzeniu rozwalił się mężczyzna z wielkim nosem, w bogatej szubie i kołpaku z pawimi piórami, a obok niego okrągłutka, tłuściutka niewiasta, malowana, wyfiokowana, obwieszona kolczykami, sobolami — z butlą w ręku. Byli to: Jakub Turgieniew — nowy carski błazen, dawny dworzanin Zofii, który zamienił nie- i łaskę na kołpak błazeński, i niewiasta Szu- szera, wdowa po diaczkę. Przed trzema dniami ożeniono Turgieniewa z Szuszerą i bez odpoczynku wożono w goście.

Za karetą szli obaj królowie: Romodanowski i Buturlin, a między nimi — księżę-papież, „jego świętobliwość kir Anikita preszbur- ski”, w blaszanej mitrze, czerwonym płasz- czu, z dwiema złożonymi na krzyż fajkami w ręku. Dalej kupą szli bojarzy i okolniczo- wie dworów królewskich. Poznawano Szeremietiewów, Trubeokich, Dołgorukich, Zino- wiewa, Boborykina... Sromoty takiej nie pamiętano od założenia Moskwy. Lud wskazywał ich, wydziwiał, ubolewał, trwożył się... Niektórzy podchodzili bliżej i kpiąco kłaniali się bojarom..

Za bojarami wieziono na kołach okręt, zadymkowy wiatr kołysał jego masztami. Przed końmi szedł Piotr w kaftanie bombardiera. Wysuwając szczękę, przewracając okrągłymi oczami, walił w bęben. Obawiano się nawet pokłonić — może zabronione. Nawiedzony, zoczywszy go z bębniem, znowu wrzasnął: — Nabuchodonozor! — ale wepchnięto go w tłum i schowano. Na okręcie stali w ubiorach holenderskich majtków: Lefort, Gordon, wą- saty Pamburg, Timmermann i nowo mianowani pułkownicy — Weide, Mengden, Graage, Bruce, Lewingstone, Salm, Schlippenbach... Śmiali się patrząc z góry, ćmili faje, przytupywali dla rozgrzewki.

Gdy Piotr zrównał się z cerkwią, Iwan Artiemicz pociągnął zmartwiałą Sańkę i sam upadł na kolana. — Głupia, pokłoń się — szeptał pospiesznie — nie na mój i twój rozum.— Pop Filka rozwarł wielkie usta i zaśmiał się basem (car nawet zwrócił się w jego stronę), śmiejąc się podniósł ręce, odwrócił się plecami i tak ze wzniesionymi rękoma wszedł do cerkwi.

Pochód przeszedł. Iwan Artiemicz powstał z kolan i nasunął głęboko czapkę.

— Tak — powiedział z wahaniem — rozumie się... Tak... A przecie... Oj, oj... No dobrze. — I ze złością do Sańki: — No, dosyć, ocknij się... Pójdziemy kupić pierza...

XIV

Ludzie podziwiali — skąd w tym diable bierze się tyle siły. Inny, nawet dojrzały wiekiem i siłami, dawno by wyciągnął kopyta. Co najmniej dwa razy na tydzień przywożono go z niemieckiej kolonii pijaniuteń-kiego. Pośpi ze cztery godziny, ocmucha się i znowu o tym jeno myśli, by nową zabawę urządzać.

W zapusty przyszło mu do głowy jeździć z księciem-papieżem, oboma królami, generałami i przybocznymi bojarami (bojarów powołał znowu przy pomocy srogich ukazów) po znamienitych domach. Wszyscy przebrani, w maszkarach. Wodzirejem został moskiewski szlachcic, pełen wszelkiej sprośności, pieniacz i szyderca — Wasilij Sokownin. Otrzymał godność „proroka”, przebierał się w habit kapucyna, z wycięciem na tyłku. W te zapusty ponizono i ze szczętem zhańbiono znamienite domy, osobliwie książęce i stare bojarskie. Czereda stu ludzi włamywała się z gwizdępi i wściekłymi wrzaskami, w ręku — domry, dudy, litaury. Bogobojnemu go spodarzowi włosy stawały dęba, gdy patrzył na te skoki, podrygi, na te ryje wykrzywione śmiechem. Cara poznawano po wzroście i po stroju szypra holenderskiego: sukienne spodnie z bufiastymi do kolan nogawkami, wełniane pończochy, drewniane trepy, czapka okrągła, w rodzaju tureckiej. Twarz przewiązana kolorową chusteczką lub też z przylepionym długim nosem.

Muzyka, przytupywanie, śmiech. Cała kompania bez wyboru miejsc rzucała się do stołów; żądali kapusty, pieczonych jaj, kielbas, wódki z pieprzem, dziewcząt tanecznic... Cały dom się trząsł; w tytoniowym dymie, w zaduchu pili do zamroczenia, a gospodarz dwa razy więcej, a gdy nie mógł — wlewano w niego siłą.

Im znamienitszego rodu gospodarz, tym dzi- waczniejsze wyrządzano mu figle. Księcia Biełosielskiego za opór rozebrano do naga i jego gołym kuprem ubijano kurze jaja w szafliku. Boborykina, aby wydrwić jego otyłość, przeciągano przez krzesła, przez które nawet szczupły człek nie mógłby się precisnąć. Księciu Wołkońskiemu wpakowali świecę woskową w odbyty i zapaliwszy ją, śpiewali hymny, dopóki wszyscy nie popadali ze śmiechu. Smarowano sadzami i smołą, stawiano do góry nogami. Szlachcica Iwana Akakiewicza Miasnego rozdymali miechem przez kiszkę stolcową, od czego też zmarł on w niedługim czasie.

Zabawy mięsopustne były tak ciężkie, że

Na stole przykrytym dywanem topniały dwie świece. Krople żywicy pelzły po świeżo ociosanych bierwionach ścian. Na czystych deskach podłogi ślady mokrych nóg — z kąta w kąt, do okna, do łóżka. Jeden zabłocony trzewik poniewierał się na środku izby, drugi pod stołem. Za oknami, w bezgwiezdnym półmroku białej nocy, szumiał nieznany, wilgotny wiatr, fale pluskały o pobliski brzeg.

Piotr siedział na łóżku. Gatki po kolana miał zmoczone, gołe stopy postawił krzywo. Wsparł łokcie na kolanach, wcisnął drobny

npi
wielu gotowało się na owe dni jak na śmierć... | Dopiero na wiosnę odetchnięto. Piotra po- Tniosło do Archangielska. W tym roku przyjechali znowu holenderscy kupcy, van Leyden i Henryk Peltenburg. Zakupywali oni dwa razy tyle towarów co w roku ubiegłym. Od skarbu — prasowany kawior, mrożone łososie, różne skóry, rybi klej, jedwab surowy oraz po dawnemu: dziegieć, konopie, płótno, potaż... Od rzemieślników nabywali wyroby z rosyjskiej skóry i z kości. Lew Kiriłłowicz, który odkupił od cudzoziemca Marcelisa tulską fabrykę brom, polecał Holendrom różny oręż, ale wyznaczył ceny tak słone, że do transakcji nie doszło.

Do wiosny naładowano sześć okrętów. Czekano tylko na spłynięcie lodów z Morza Północnego. Lefort (na prośbę Holendrów) pod- szepnął Piotrowi przy okazji, że dobrze by przejechać się do Archangielska — popatrzeć na prawdziwe morskie statki. I już na drugi dzień popędzili konno traktem wołogodzkiem uradnicy z pismami do wojewodów. Piotr ruszył ze swoją stałą kompanią — ksiązę-papież Anikita, obaj królowie, Lefort, bojarzy z obu dworów, ale oprócz tego zabrano też ludzi znających się na rzeczy — diaka Dumy Wi- niusa, Borysa Golicyna, Trojekurowa, Aprak- sina, szwagra zmarłego cara Fiodora, oraz pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem dzielnego Aleksaszki Mieńszykowa.

Do Wołogdy jechali konno; na spotkanie Piotra z miasta wyszło duchowieństwo i ku- piectwo. Ale Piotr śpieszył się. Tego samego dnia pojechali siedmioma łodziami Suchoną do Ustiuga Wielkiego, a stąd Dźwiną Północną do Archangielska.

Pierwszy raz Piotr widział takie obszary obfitych w wodę rzek, taką potęgę bezgranicznych lasów. Ziemia uciekała przed wzrokiem — nie widać było kresu. Obłoki płynęły ciemnymi grzędami. Chmary ptactwa zrywały się przed łodziami. Fale ponuro biły w burty, mocny wiatr nadymał żagle, maszty skrzypiały.

W nadbrzeżnych klasztorach dzwoniło na powitanie. A z lasów, z nieprzeniknionych gąszczy, czujne oczy raskolników bacznie śledziły łodzie Antychrysta.

podbródek w dłonie i spozierał w okno nio widzącymi oczyma. Za przepierzeniem jeden przez drugiego chrapali obaj królowie, W całym domu, postawionym spiesznie na przy- jazd cara na Wyspie Maslejewa, spano głębokim snem. Piotr tego dnia mocno utrudził wszystkich.

Dzisiaj o świcie podpłynęli do Archangiel- ska. Prawie wszyscy byli na północy po raz pierwszy. Stojąc na pokładach patrzyli, jak nie znane im zorze rozpały się między warstwami posępnych chmur. Nad ciemnymi brzegami lasów wzniosło się słońce niebywalej wielkości, promienie rozsypywały się po niebie, uderzyły w brzeg, w kamienie, w sosny; Za zakrętem Dźwiny, tam gdzie łodzie dążyły wielką pracą wiosel, rozciągał się długi bu- dynek — niby twierdza z sześcioma basztami, z okopami i palisadami — dwór cudzoziemski. W środku czworoboku mocne składy, czyściutkie domy kryte dachówką, na wałach — jednorogi i moździerz. Wzdłuż brzegu ciągnęły się przystanie na palach, drewniane nabrzeża, dachy nad górami tobo* łów, worków f beczek, Zwoje lin. Stosy tarcic. W przystani stało ze dwieście okrętów oceanicznych, a ze trzy razy więcej mniejszych statków, zakotwiczonych na rzece. Ogromne maszty z pajęczyną lin wznosiły się Jok las, wysokie rufy z rzeźbionymi ozdobami kołysały się leniwie. Płachty flag — holenderskich, angielskich, hamburskich zwiślały niemal do wody. Z otwartych luków na

372

wysmołowanych burtach z szerokimi białymi pasami wyzierały armaty.

Na prawym, wschodnim brzegu zadzwoniły dzwony na powitanie, Tam była ciągle to sama Ruś — dzwonnice i Chaty, płoty, kupy nawozu rozrzucone Jakby w leniwej nudzie. Przy brzegu — setki łódek, barki naładowane surowcem i przykryte rogożami. Piotr spojrzął na Leforta (stali obok siebie na rufie). Lefort, strojny jak zwykle, stukał laseczką — pod wąsikami miły, słodki uśmiezek, w obrzmiałych powiekach — uśmiezek, na u pudrowanym policzku — dotoczek, Zadovolony, wesoły, szczęśliwy... Piotr Jął sapać, tok mu się nagle zachciało dać w gębę serdecz- nemu przyjacielowi Franzowł... Nawet bezwstydną Aleksaszka, siedzący na ławeczce u nóg Piotra, kiwał głową, powtarzając: — AJI aj! ojl — Bogaty i poważny, grożący złotem i armatami brzeg europejski już od stulecia z górą patrzył na brzeg wschodni z pogardliwym zdumieniem, niby pan no niewolnika...

/ burty najbliższego okrętu poleciał obłok dymu, przetoczył się grzmot wystrzału zagłu- szejąc dźwięki dzwonu, Piotr biegł z rufy depcząc wiosłarzom po nogach, rzucił się do trzyfuntowej armatki, porwał z rąk bombardiera lont, Gruchnął strzał, ale czyż można było porównać to z grzmotem morskiego działa? W odpowiedzi no carskie powitanie wszystkie cudzoziemskie okręty okryły się dymem. Brzeg zdawał się trząść. Oczy Piotra

37.1

płonęły, powtarzał: — Dobrze, dobrze! — Jakby ożyły jego dziecięce obrazki... Gdy dym odpłynął, na lewym brzegu, na przystani, ukazali się cudzoziemcy — machali kapeluszami. Van Leyden i Peltenburg. Piotr zerwał trójganiasty kapelusz, machał w odpowiedzi wesoło, krzyknął na przywitanie. Ale w tej chwili, widząc naprężone oblicza Apraksina, Romodanowskiego, przemądrego diaka Winiusa — odwrócił się ze złością...

Siedząc na łóżku patrzył na szary półmrok za oknem. Na Kukuju mieszkali Niemcy oswojeni. A tutaj nie wiadomo nawet, kto jest gospodarzem. A jakże ubogo wyglądały barki swojskiej roboty przepływające obok wysokich burt okrętów! Wstyd! — wszyscy to poczuli: sposepniali bojarzy i uprzejmi cudzoziemcy na brzegu, i kapitanowie, i uszeregowani na pokładach marynarze, wilki morskie osmalone wiatrem oceanicznym... Śmieszne... Wstyd... Bojarzy (może nawet Lefort, rozumiejący, co powinien odczuwać Piotr) myśleli tylko o jednym: uratować godność. Bojarzy nadymali się wyniosłe, pragnąc choć w ten sposób pokazać, że dla cara Wielkiej i Małej, i Białej Rusi nie jest znów rzeczą zbyt ciekawą oglądać kupieckie okręciki. Jak mu będzie trzeba, wybuduje własne, nic nadzwyczajnego. A gdy zechce, aby te okręty na Morze Białe w przyszłości nie wchodziły —

Gdyby Piotr przyплыł nie barką, może i on zaraziłby się pychą. Ale doskonale pamiętał i znowu dostrzegł ową wyniosłą wżgardę, pokrytą grzecznymi uśmiechami, tych ludzi z Zachodu — od majtka z siwą brodą i wybitymi zębami do kupca wystrojonego w hiszpański aksamit. Wysoko na rufie koło latarni stoi krępy, opalony na brąz poważny człowiek ze złotymi galonami, w kapeluszu z czarnym strusim piórem, w jedwabnych pończochach. W lewej ręce — luneta przyciśnięta do biodra, prawa wspiera się na lasce. To kapitan, który walczył z korsarzami i piratami wszystkich mórz. Spokojnie patrzy z góry na długiego, niedorzecznego młodzieńca w niezgrabnej łodzi — cara barbarzyńców. Tak samo spoglądał z góry gdzieś na Madagaskarze, na Filipinach, uprzednio kazawszy armaty nabić kartaczami...

Piotr azjatycką przebiegłością wyczuł, jak powinien zachować się wobec tych ludzi, w jaki sposób uzyskać przewagę. Należało ich zadziwić czymś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widzieli, żeby potem w domu opowiadali o niebywałym carze, który pluje na to, że jest carem... Bojarzy — niech się nadymają, to nawet lepiej, a on, Piotr Aleksiejew, młodszy szyper floty perejasławskiej, będzie się zachowywał jako taki: jesteśmy sobie ludzie robotni, biedni, ale niegłupi, przyszliśmy z pozdrowieniem od naszego ubóstwa — bądźcie tak dobrzy, nauczcie nas, jak topór wziąć do garści...

Kazał wiosłować prosto ku brzegowi. Pierwszy wskoczył do wody po kolana, wszedł na przystań, uściśnął van Leydena i Peltenburga, pozostałym mocno ścisnął dłonie i klepał ich po plecach. Płacząc niemieckie i holenderskie wyrazy opowiadał o podróży i ze śmiechem wskazywał na barki, gdzie jak posągi stali jeszcze bojarzy: — Wyście pewno takich łód- czysk nawet we śnie nie widzieli! ||| Zachwycał się nadzwyczajnie okrętami uzbrojonymi w wielką ilość armat, przytupywał, uderzał się w chude łędwie: — Ach, przydałaby się nam para takich oto! — Mimochodem wtrącił, że nie zwłóczęc zakłada w Archangielsku stocznie: ^? — Sam będę cieślą, bojarów zmuszę do wbijania gwoździ.

Kącikiem oka dostrzegł, jak splezają udane uśmiechy, szanowni kupcy zaczynają się zdumiewać: rzeczywiście, czegoś takiego jeszcze nie widzieli... Sam się wprosił do nich na obiad, mrugnął: — Jak dobrze przyjmiecie — to i o interesach korzystniej pomówimy. — Zeskoczył z przystani do barki i popłynął na Wyspę Masiejewa, do świeżo wykończonych świetlic, gdzie w bojaźni bożej oczekiwał go wojewoda Matwiejew. Ale z tym Piotr rozmawiał już inaczej: po pół godzinie z wściekłością wyrzucił go za drzwi kopniakiem. (W drodze jeszcze doniesiono na Matwieje- wa, że wymusza datki od cudzoziemców.) Na' stępnie z Lefortem i Aleksaszką popłynął obejrzyć okręty. Wieczorem ucztowano w cudzoziemskim domu. Piotr tak tańczył z Angiel

kami i Hanowerkami, że mu obcasy odpadły. Tak, takiego cudzoziemcy widzieli po raz pierwszy...

I oto — noc bez snu... Zdziwić — zdziwił, ale co z tego? Rosja leży, jak leżała — śpiąca, biedna, nieruchawa... Co za wstyd! Wstyd bogatym, silnym. A tu nie wiadomo, jakimi siłami rozruszać ludzi, przetrzeć im oczy... Jesteście ludźmi czy też po tysiącletnim upływie łez i krwi, zważpiwszy już o prawdzie i szczęściu, podgniliście niby drzewo przechylone na mchy?

Diabli nadali urodzić się carem w takim kraju!

Przypomniał sobie, jak jesiennej nocy krzyczał do Aleksaszki, zachłystując się lodowatym wiatrem: „Lepiej być w Holandii czeladnikiem niż tu carem!” A co sam zrobił przez te lata? — nic. Bawił się Waśką Golicyn sta- wiał murowane domy, wojował, choćby niesławnie, zawarł pokój z Polską... Jakby coś pazurami drapało serce — męczył się własną winą i gniew go ogarniał na swoich, Rosjan, i zazdrość w stosunku do zarozumiałych kupców —! rozwiną żagle, popłyną do domów, do cudnych krajów... A ty wracaj do moskiewskiej biedy. Ukaz jaki straszny przygotować czy co? Baty spuścić, wywieszać... Ale kogo, kogo? Wróg niewidzialny, nie- uchwytny, wróg, wszędzie wróg — w nim samym...

Piotr otworzył gwałtownie drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Franz! (Lefort od razu zeskoczył z ławy, wytrzeszczając opuchnięte oczy.) Spisz? Przyjdź no tu...
Lefort w koszuli siadł na pościeli Piotra.

— Źle się czujesz, Peter? Może lepiej zwymiotuj...

— Nie, nie o to idzie... Franz, chciałbym kupić dwa okręty w Holandii...

— Cóż, to dobrze.

— I tu jeszcze wybudować. Sami będziemy towary wozić...

— Bardzo dobrze.

— A co byś mi jeszcze doradził?

Lefort ze zdumieniem zajął mu w oczy i jak zawsze, łatwiej niż on sam zorientował się w płątaniu pośpiesznych myśli. Uśmiechnął się.

— Poczekaj, spodnie włożę, przyniosę fajki... — Ubierając się powiedział dziwnym głosem z sąsiedniego pokoju: — Dawno na to czekałem, Peter... Jesteś w wieku, gdy czas na wielkie dzieła...

— Jakże? — krzyknął Piotr.

— Bohaterowie rzymscy, z których po dziś dzień bierzemy przykład (wrócił poprawiając loki peruki, Piotr nie spuszczał z niego dyszących źrenic) ...bohaterowie ugruntowali sławę swoją wojnami...

— Z kim? Znowu wlec się na Krym?

— Bez mórz Czarnego i Azowskiego nie obejdiesz się, Peter. Niedawno Peltenburg zapytywał mnie szeptem, czy naprawdę Rosjanie płacą jeszcze haracz chanowi krymskiemu... (Źrenice Piotra załatały, po czym niby szpilki utkwily w miłym przyjacielu.) I nie możesz się obejść, Peter, bez Morza Bałtyckiego. Gdy się sam nie zdecydujesz, zmuszą cię Holendrzy. Dziesięć razy tyle, mówią, wywozić będą towarów, jeno urządź porty na Bałtyku.

— Wojować ze Szwedami?! Oszalałeś... Drwisz sobie czy co? Nikt na świecie ich nie mógł zwyciężyć, a ty...

— To nie na jutro przecież, Peter. Pytałeś mnie, odpowiadam: rób zamach jak największy, przy, małym pięć tylko zbijesz.

XVI

— „Przyjeźdnym kupcom, sotniom kupieckim i miejskim oraz całemu stanowi kupieckiemu i rzemieślniczemu przez ciągnięcie po urzędach od wojewodów, urzędników i rozmaitych urzędowych ludzi wyrządza się w handlu a rzemiosłach wszelakich straty i rujnację. Jako lwy pożerają nas paszczami swymi, jako wilcy. Ulituj się, wielki monar- chd...”

— Znowu skarga na wojewodów? — zapytał Piotr.

Jadł na brzegu stołu. Dopiero wrócił ze stoczni, nie spuścił nawet zawiniętych po łokcie rękawów płóciennej koszuli, zwałanej smołą. Maczając kawałki chleba w glinianym naczyniu ze smażonym mięsem, jedząc szyb

ko — spoglądał to na spienioną łuskę ołowianej Dźwiny, to na dorodnego diaka z białą twarzą i jasną brodą, Andrzeja Winiusa, siedzącego przy drugim końcu stołu.

Winius czytał pocztę z Moskwy — okrągłe okulary na mocnym nosie, szeroko rozstawione niebieskie oczy, zimne i mądre. Ostatnimi czasy wpływy jego wzrosły, zwłaszcza gdy po nocnej rozmowie z Lefortem Piotr kazał czytać sobie pocztę moskiewską. Wszystkie te papierowe sprawy przechodziły dotychczas przez Trojekurowa. Piotr nie wtrącał się do tego, ale obecnie chciał sam wszystko wiedzieć. Pocztę czytano mu przy obiedzie —

0 Innej porze nie miał czasu: cały dzień przebywał na stoczni z cudzoziemskimi majstrami, wziętymi z okrętów. Pracował jako cieśla

1 kowal; zadziwiając cudzoziemców, z łapczywością dzikusa rozpytywał o wszystko, wymyślał, bił. Na stoczni pracowało już przeszło stu ludzi. Poszukiwano ich we wszystkich osadach i na przedmieściach, werbowano dobrowolnie, za pieniądze, lecz w razie oporu przywożono jak przestępców, w łańcuchach.

W obiadowej porze Piotr głodny jak zwierz wracał na żaglówce na Wyspę Masiejewa. Winius poważnym głosem czytał mu ukazy do podpisu, prośby, skargi, listy. Prastarą nudą wiało od tych górnolotnych dekretów, niewolniczymi jękami brzmiały skargi. Kłamała, kradła, gwałciła, wykręcała się sianem ustaw starodawna urzędowa Rosja, stękała zjadana przez wszy i karakony ociążała masa.

— Skarga na wojewodę — odrzekł Winius — znowu na Stiopkę Suchotina.

Poprawiwszy okulary czytał w dalszym ciągu łzawe jęki na wojewodę kungurskiego. Handel niszczy daninami do własnej kieszeni, a kupców i mieszczan trzyma u siebie w komorze i bije laską, z czego jeden zmarł niewinnie. Od przewozów na targ pobiera myto również do swej kieszeni, zimą po osiem groszy od wozu, latem — po altyne od barki. Bogatego przemysłowca Żmijewa dręczył w skrzyni, wywierciwszy w wieku jej dziury, żeby się nie udusił. Przywłaszcza sobie wszystkie podatki ziemskie i sądowe i wygraża, że cały Kungur zniszczy, jeżeli będą na niego skarżyć.

— Powiesić, psa, w Kungurze na rynku! — krzyknął Piotr. — Pisz!

Winius spojrział na niego surowo sponad okularów.

— Powiesić nietrudno, ale mało to na nich wpłynie... Ja już dawno mówię, Piotrze Alek- siejewiczu, że wojewodowie nie powinni siedzieć na miejscu dłużej niż dwa lata. Przy- wyka ją, poznają wszelkie podstępny... A nowy wojewoda przecie mniej rabuje... Piotrze Aleksiejewiczu, kupców ochraniaj przede wszystkim. Całą skórę, a nawet dwie ci oddadzą — zwolnij ich jeno od niepomiernych ciężarów. Przecież ten i ów obawia się wynieść dwie pary łapci na rynek — łapią, biją i pieniądze zabierają. A któż cię wzbogaci, jeśli nie kupiectwo! Od szlachty nie ma co

I wziąć, wszystko sami przejadają. A chłop od dawna goły... Posłuchaj oto...

Poszukawszy wśród kupy papierów Winius czytał:

— „...Z Bożego dopustu ciągle mamy nieurodzaje, zasiewy nasze niszczy mróz, a teraz oto nie mamy ani zboża, ani opału, ani bydła, giniemy śmiercią głodową i chłodną. Wejrzyj, monarcho, na naszą nędzę i każ nam wyznaczyć daninę wedle naszej możliwości... Mięsa wieprzowego i wołowego, i ptactwa, i wszystkiego, co na stół potrzeba, my, żebracy bezsilni, dostarczyć naszemu panu nie mamy z czego. Jemy lebiodę, ciało puchnie... Zmiłuj się..!'

Słuchając Piotr gniewnie uderzył krzesiwem o krzemień — do krwi skaleczył palec. Zapaliwszy fajkę głęboko wciągał dym. Zaśniedziały był! Poprzez płynące chmury promienie słońca padały na ciemną, sfałowaną rzekę. Na tamtym brzegu wznosiły się na pochylni wręgi budowanego okrętu. Stukały topory* zgrzytały piły. Pachniało tam tytoniem, dziegiem, wiórami, morskimi linami. Wiatr od morza przejmował serce... Wtedy nocą Lefort powiedział: „Rosyjski kraj jest straszny, Peter... Trzeba go jak szubę przenicować, budować na nowo”.

Za granicą nie kradną, nie grabią — powiedział Piotr mrużąc oczy od mieniących się fal. Czy ludzie tam innego gatunku, czy co?..!'

— Ludzie tacy sami, Piotrze Aleksiejewi- 382

czu, ale kraść im się nie oplaca; im uczciwiej, tym korzystniej. Kupca tam szanują i kupiec siebie szanuje. Ojciec mój przyjechał za Aleksego Michajłowicza, fabrykę postawił w Tule, chciał pracować ifczciwie. Nie pozwolono mu — samym dojrzkostwem zrujnowano... U nas jak nie złodziej, to znaczy, że głupi, a honor polega nie na uczciwości, ale żeby się tylko nad innych wywyższać. I między naszymi znajdziesz ludzi pojętnych... — Białe pulchne palce diaka poruszały się, jakby plotły pajęczynę, światło słoneczne odbijało się od okularów, mówił miękko, kwieciście. — Racz wywyższyć stan kupiecki, wyciągnij go z błota, daj mu siłę, a będzie honor kupiecki w jego słowie — śmiało oprzyj się na tym, Piotrze Aleksiejewiczu.

Te same myśli wypowiedali i Sydney, i van Leyden, i Lefort. Piotrowi majaczyło w nich coś nieznanego, jakby nogi szukały gruntu. To już nie jakieś trzy pułki do gier wojennych, ale trzon, siła. Wsparty łokciami o parapet patrzył na fale oleiście połyskujące w słońcu, na stocznie, gdzie kafar walił bezdźwięcznie w pał, a odgłos dochodził dopiero po pewnym czasie. Mrugał oczyma, serce biło mu pewnością siebie, niepokojem radosnym...

— Kupczyk wołogodzki, Iwan Zygułin, osobiście przyjechał z prośbą, błaga o dopuszczenie przed carskie oblicze — rzekł Winius ze szczególną wyrazistością. Piotr skinął głową. Otyły Winius kołysząc się z lekka podszedł

cio drzwi, wezwał kogoś i spiesznie zajął swoje miejsce. Za nim wszedł barczysty kupiec, ostrzyżony z nowogrodzka — włosy na czoło — mocna twarz, ostre spojrzenie spođe łba. Przeżegnawszy się zamasyście, skłonił się dp nóg. Piotr fajką wskazał mu krzesło i krzyknął:

- Rozkazuję: siadź! (Żygulin poruszył jeno brwiami i usiadł z wielką ostrożnością.) O co prosisz? (Żygulin spojrział z ukosa na Winiu- sa.) Mówże..,

Żygulin zrozumiał widać, że tutaj nie należy uderzać czołem, lecz pokazać się, z godnością rozgarnął wąsy, spojrział na swojo kozłowe buty, zakaszłał ba sowo,

- Padamy do nóg wielkiemu monarszo... Gdyśmy się dowiedzieli, że budujesz okręty nad Dźwiną — ojczce, jakaż radość!.. Chcemy, byś nio kazał nam sprzedawać towuru cudzoziemcom. Dalibóg, oddajemy za pół darmo. Tran, skóry focze, solone ryby, kość, perły... Każ nam wieźć na twoje okręty... Anglicy zrujnowali nas do szczeru... Ulituj się! Jul my się postaramy i miast obcym królom - własnemu usłużymy.

Piotr błyskał na niego oczami, przysunął się, poklepał go po ramieniui wyszczerzył radośnie zęby.

- I)o Jesieni dwa okręty zbuduję, a trzeci już zakupiony w Holandii. Wieźćie, wleźćie towar, ale bez oszukaństwa ~ - pamiętaj!...

— Boże, przecież...

— Ale sam pojedziesz z towarem? Pierw szy radca komercji... Do Amsterdamu sprzedawać?

— Języków nie jestem uczony... Ale jeżeli rozkażesz, to — cóż... Pohandlujemy i w Amsterdamie, oszukać się nie damy.

- Zuch! Winius, pisz ukaz... Pierwszemu negocjantowi nawigatorowi... Jak cię zwa — Żygulin Iwan, a imię ojca?...

Żygulin otworzył usta, podniósł się, oczy mu wylazły, broda zadorła się do góry.

— To z imieniem ojca nas zapiszesz?... Za to — co chcesz!...

I jak przed Zbawicielem, do którego się modlił o szczęśliwe załatwienie sprawy, padł do carskich nówek...

Żygulin wyszedł. Winius skrzypiał piórem. Piotr biegając po pokoju uśmiechał się. Przystanął.

- No, co masz jeszcze? Czytaj krócej...

—Znowu sprawy o rozbój. Na drodze trolc- kiej tabor z pieniędzmi skarbowymi rozbity, dwóch ludzi zabitych. Po śledztwie zabrany został z domu Stiopka Odojewski, młodszy syn Siemiona Odojewskiego, przywieziono go chłopskim wozem do Rozbojnego Urzędu, a tam się przyznał i ukarano go: w urzędzie, w lochu, bito go biczem i zabrano mu bezpowrotnie dom w Moskwie i czterysta zagród chłopskich. Ojciec, ksiązę Siemion, zabrał go za poręczeniem. A ze służby jego, Stiopki, powieszono piętnastu ludzi.

— Winius, oto nasi książęta, bojarzy — wzięli się do kiścieni, rozbój uprawiają...

— Rzeczywiście rozbój uprawiają, Piotrze Aleksiejewiczu.

— Trutnie, brodacze! Wiem, pamiętam... Każdy z nich ma na mnie nóż przygotowany... — Wciągnął głowę w ramiona. — Ale i ja mam na każdego topór... (Splunął, tupnął nogą. Rozcapierzonymi palcami wczepił się w obrus, pociągnął. Winius spiesźnie przytrzymał kałamarz i papiery.) Teraz mam siłę. Zetrzemy się. Bez miłosierdzia... Popamiętają mnie. (Ruszył ku drzwiom.)

— Wybacz, Piotrze Aleksiejewiczu, jeszcze dwa listy... Od carowych...

— Czytaj, wszystko jedno...

Wrócił do okna i dłużył w fajce. Winius czytał z półukłonem:

— „Bądź zdrow, radości moja, ojczy, carze Piotrze Aleksiejewiczu, po niezliczone lata... (Piotr zwrócił ku diakowi zdumioną brew.) Synek twój, Aloszka, błogosławieństwa od ciebie, słońca mego, radości mej, proszę. Przy* bądź, radości nasza, do nas, nie mieszkając... Dlatego łaski twej upraszam, że widzę mo- narchinię, babunię moją, w wielkim smutku... Nie zasmucaj się, radości moja, władco, że liche pismo: carewicz jeszcze się nie nauczył...”

— Kto pisał?

— Wielka władczyni, Natalia Kiriłowna. drżącą ręką, niewyraźnie.

— No, to odpisz cokolwiek... Powiedz, że

czekam na hamburskie okręty. Jestem zdrow, po morzu nie jeżdżę, niech się nie martwią. I żeby nie oczekiwano mnie prędko, rozumiesz...

Winius rzekł z cichym westchnieniem:

— Carewicz Aleksy Pietrowicz własnoręcznie odcisnął na piśmie atramentem swój paluszek.

— No, dobrze, dobrze — paluszek... (Prychnął, wziął od Winiusa drugi list.) Paluszek!...

List od żony przeczytał w łódce. Świeży wiatr z morza wydał żagle, wątła łódź jak żywa zanurzała się i wypływała, pienne fale uderzały w burzę, przelatując od dzioba. Piotr siedząc przy sterze czytał spryskany wodą list, przyciśnięty do kolana.

„Bądź zdrow, serdeńko moje, niezliczone lata... Proszę cię, światło moje, o łaskę, pociesz mnie, ojczy, napisz o zdrowiu swym, abym się mogła, biedna, w smutkach mych rozweselić... Od czasu gdy raczyłeś odjechać, o światłości moja — nie napisałeś do mnie ani słowa. A ja biedna, nieszczęśliwa na tym świecie, żeś nielaskaw na mnie, nie piesz o swym zdrowiu. Odpisz mi, radości moja, kiedy raczysz przybyć do mnie. Jesteśmy z Oleszeńką zdrowi...”

Żaglówka zaczerpnęła wody. Piotr pospiesznie przesunął ster na lewo, wielki bałwan z szumem uderzył w burzę, plusnął, oblał Piotra od głowy do nóg. Roześmiał się. Niepotrzebny list, porwany wiatrem z kolana, zginął gdzieś daleko w falach.

Natalia Kiryłłówna doczekała się wreszcie syna, właśnie tego dnia, gdy jakby gwóźdź ugrzązł jej w sercu. Leżąc wysoko na łabędzich poduszkach patrzyła rozszerzonymi źrenicami na ścianę, na złożone wzory odcisnięte na skórze. Bała się oderwać wzrok, poruszyć się, gorzej niż wszelkie pragnienie męczyła pustka w piersiach — brakowało powietrza, lecz gdy jeno próbowała odetchnąć, oczy wylaziły na wierzch z przerażenia.

Lew Kiryłłowicz coraz wchodził do sypialni na palcach, wypytywał pokojowe bojarynie:

— No, jak?... Boże mój, nie dopuść. Boże...

Przełykając ślinę siadał przy łóżku. Zaczynał mówić, siostra nie odpowiadała. Cały świat wydawał się jej omamem. Jedno tylko czuła — własne serce z wetkniętym w nie gwoździem.

Gdy na Kreml wpadli na spienionych koniach laufrzy krzycząc: — Jedzie, jedzie! — a diaczkowie wchodzili żegnając się na dzwonnice; gdy otwierano drzwi soborów Archangielskiego i Uspeńskiego, protopopi i diakoni z pośpiechem wydobywali włosy spod ornatów, urzędnicy dworscy tłumnie stanęli przy ganku, a gońcy popędzili boso we wszystkie strony Moskwy zawiadamiać dygnitarzy o przyjeździe — Lew Kiryłłowicz dysząc podbiegł do łóżka.

— Przybyło nasze słoneczko!...

Natalia Kiryłłówna od razu zaczerpnęła powietrza, pulchne ręce zaczęły szarpać koszulę na piersiach, usta jej zsiniały, odrzuciła głowę. Lew Kiryłłowicz sam nieprzytomnie otworzył usta. Bojarynie pobiegły po spowiednika, W pobliżu w zakamarkach jęli zawodzić ubodzy. Powstał popłoch w pałacu.

Ale oto rozległ się miedziany głos Iwana Wielkiego, zadzwoniły sobory i klasztory, gwarzyła czeladź, wśród wrzawy i krzyków rozlegały się twarde głosy oficerów niemieckich:— Achtung... Muszkiet do nogi... Haiti... Tak trzymać! — Karety, kolasy całym pędem mknęły obok wojska i ludu ku Czerwonemu Gankowi. Poszukiwano oczami, ale wśród bogatych ferezji, generalskich płaszczy i kapeluszy z piórami nie znaleziono cara.

Piotr pobiegł prosto do matki — w sieniach ledwo ludzie nadążali usuwać się z przejścia. Opalony, chudy, ostrzyżony krótko, w obcisłej kurtce z czarnego aksamitu, w bufiastych spodniach pędził po schodach — niektórzy ze spotkanych myśleli, że to lekarz z Kukuja, dopiero później, uświadomiwszy sobie, żegnali się ze strachu. Nieoczekiwanie, szarpnąwszy drzwiami, wbiegł do niziutkiej, dusznej sypialni, obitej kurdybanem. Natalia Kiryłłówna uniosła się w pościeli, wpiła błyszczące źrenice w tego szczupłego majtka holenderskiego...

— Mamusiu! — krzyknął Piotr jak w najwcześniejszym dziecięctwie — najmilsza!

Natalia Kiryłłówna wyciągnęła ręce.

— Piotrusiu, kochanie, synu mój...

Macierzyńskie uczucie przezwyciężyło gwóźdź sterczący w sercu, wstrzymywała oddech, gdy syn, pochylony u wezgłowia, całował jej ramiona i twarz, i dopiero śmiertelne rwanie w piersi obezwładniło jej ręce. Uwolniła jego szyję...

Piotr zerwał się, patrzył jakby z ciekawością na jej znieruchomiałe oczy. Bojarynie, bojąc się zawodzić, zatkały usta chusteczkami. Lew Kiriłłowicz trząsał się cały. Alpo oto rzęsy Natalii Kiriłłowny zatrzepotały z lekka. Piotr powiedział coś ochrypłym głosem — nie zrozumiano — rzucił się do okna, szarpnął ołowianą ramę, sypnęły się okrągłe szybki.

— Po Blumentrosta, na słobodę — a kiedy znowu nie zrozumiano, porwał za ramiona bojarynię. — Głupia, po lekarza! — Popchnął ją do drzwi...

Ledwo żywa, gdacząc, dreptała po schodach.

•— Car rozkazał! Car rozkazał...

Ale co rozkazał, nie powiedziała.

Natalia Kiriłłowna przyszła do siebie, a na trzeci dzień wysłuchała nawet nabożeństwa, podjadła dobrze. Piotr odjechał do Preobra-żeńskiego, gdzie mieszkała Jewdokia z carewiczem Aleksiejem {przeprowadziła się tam na wiosnę, aby przebywać dalej od świekry}- Męża spodziewała się dopiero za kilka dni i nie była przygotowana ani stosownie ubrana, gdy Piotr ukazał się nagle na piaszczystym dróżce w ogrodzie, gdzie w cieniu lipy smażono powidła z jabłek antonówek. Dziewczęta służebne, ładne, na wybór, z długimi warkoczami, w wiankach, w różowych letnikach, obierały jabłka pod nadzorem Worobichy, inne nosiły chrust do paleniska, na którym słodko parował kociołek miedziany, a jeszcze inne na rozesłanym dywanie zabawiały carewicza — chudziutkiego chłopca z wysokim czołem, ciemnymi, smutnymi oczami, z płaczliwymi ustami.

Nikt nie wiedział, czego malec chce. Tęgo- zade dziewczki miauczały jak koty, szczekały jak psy, pełzały na czworakach, same krztusiły się od śmiechu, a dzieciątko patrzyło na nie kwaśno — jeszcze chwila, a rozplacze się. Jewdokia złościła się:

— Wy, głupie, o czym myślicie... Stioszka, czemuś się tak wypięła, należałoby ci w to miejsce różgą wsypać... Wasieńka, pokaż mu kożę. Znajdźcie żuka, słomkę mu dajcie, domyślcie się... Żywi się całą zgrają, a dziecku nie ma kto zabawić...

Jewdokii było gorąco, naprzykrzały się jesienne muchy. Zdjęła czepiec i kazała się uczesać. Dzień był kryształowy, nad lipami — bezwietrzny błękit. Gdyby nie to, że było po święcie Zbawiciela, można by się wykąpać, ale już jeleń rogi w wodzie moczył — nie wolno, grzech...

Nagle na dróżce — długi, smagły człowiek, czarno ubrany... Jewdokia chwyciła się za policzki. Serce zaczęło bić gwałtownie, my

śli się rozbiegły. Dziewczęta wydały tylko okrzyk: — Ach! — i rozpierzchły się, powiewając warkoczami, gdzie która mogła, za krzewy głogu i bzu. Piotr podszedł, wziął pod pachy Jewdokię, pocałował w usta przyciskając je zębami. Zmrużyła oczy, nie odpowiedziała. Zaczął całować jej wilgotne piersi przez rozpięty letnik. Jewdokia wykrzyknęła: — Ach! — zalana wstydem, cała drżąca... Oleszeńka, pozostawiony sam na dywanie, rozpląkał się cieniutko jak zajęczek. Piotr chwycił go na ręce, podrzucił, a chłopak w ryk...

2le wypadło przywitanie. Piotr zapytywał

0 to i owo. Jewdokia na wszystko nie do sensu... Była z gołą głową, nie ubrana. Dziecko umazane powidłami... Oczywiście — mężulek pokręcił się jakiś czas i poszedł sobie. Koło pałacu obstąpili go majstrowie, kupcy, generałowie, towarzysze hulanki. Z daleka słychać było jego głośny śmiech. Potem poszedł nad rzekę obejrzeć flotę jauską. Stąd na Ku- kuj... Ach, Duniu, Duniu, przegapiłaś szczęście!...

Worobicha powiedziała, że można to jeszcze naprawić. Wzięła się energicznie do rzeczy. Kazała dziewczkom przygotować łaźnię mamkom — zabrać Oleszeńkę, umyć, ubrać.

1 szeptała carowej:

— Jeno nie mieszasz się w nocy, łabędziu. W łaźni cię wyparzymy, po naszymu, P° chłopku w kwasie spławimy, wymyjemy żywicznym pachnidłem — może cię wachać, gdzie chce... A dla chłopca zapach to najważniejsze... A na słowa jego śmieję się bez ustanku, moja śliczna, żeby ci się trzęsło wszystko, śmieję się cicho, drobno — piersią... Nieboszczyk nawet oszaleje od tego.

— Worobicho, on pojechał do Niemki...

— Och, carowo, nie wspominaj nawet

0 niej. To mi dopiero dziwota — Niemka: kręciocha, rozum chytry, dusza czarna, skóra lepka. Tyś wspaniała niby łabędź, jeno przyjmij go w łóżeczku delikatnie, wesoło — no, gdzie tam Niemce...

Jewdokia zrozumiała, zaczęła się śpieszyć. Wzięła gorącą łaźnię. Dziewczęta z Worobichą ułożyły carową na pryczy, wachlowały ją miotełkami zmoczonymi w mięcie i żywicznym pachnidle. Opadła z sił poprowadzono do sypialni, czesano, malowano, ułożono w łóżku, zaciągnięto kotary i Jewdokia zaczęła czekać.

Myszy skrobały. Nastąpiła noc. Pałac zamarł, bezsenny stróż postukiwał na dziedzińcu, serce uderzało w poduszkę. Piotruś ciągle nie przychodził... Pamiętna słów Worobichy leżała uśmiechając się po ciemku, chociaż z nienawiści do Niemki trząsał się brzuch

1 nogi były jak lód...

Oto stróż przestał stukać kołatką, myszy ucichły. Nawet służebnym wstyd będzie jutro pokazać się na oczy... Jednakże trzymała się mocno, dopiero gdy przypomniała sobie, jak to z Piotrusiem kurę jedli pierwszej nocy,

zanosła się płaczem, łzami zamoczyła poduszkę.

Zbudził ją gorący oddech. Rzuciła się: — Kto tu, kto tu!... — Rozespana, nie poznała, kto się tak na nią zwał... Poznawszy jękniętą z dojmującej przykrości, przycisnęła oczy pięściami... Piotruś był niepodobny do człowieka, pijany, utytoniony, wprost od dziewczki niemieckiej — do niej, która tak czekała... Nie pieścił, gwałcił, w milczeniu, strasznie. Warto było myć się pachnidłem...

Jewdokia odsunęła się na brzeg łóżka. Piotruś zamruczał coś i zasnął jak pijany chłop w rowie. Między zasłonami niebieszczało. Jewdokia wstydzając się długich, nagich nóg. Piotra przykryła je. Płakała cicho — rady Worobichy poszły na marne...

Z Moskwy przybył goniec: Natalii Kiryłow- nie znowu się pogorszyło. Szukano cara, który siedział w nowej Słobodzie Preobrażeń- skiej, w chacie żołnierza Buchwostowa na chrzcinach. Jedli bliny. Byli sami swoi: porucznik Aleksander Mieńszukow, Aloszka Browkin, niedawno wzięty przez Piotra na ordynansa, i księżę- papież. Żartowano i bawiono się. Mieńszukow opowiadał, jak dwanaście lat temu zbiegł z Aloszką z domu, jak mieszkali u Zajęca, włóczęgowali, kradli, jak spotkali nad Jauzą chłopczyka Piotra i nauczyli go przeciągać igłę przez policzek.

— Więc to ty byłeś?... Ty?... — krzyczał Piotr zdziwiony. — Przecież ja potem pół roku cię szukałem... Za tę igłę kocham cię.

Aleksaszfłto. — I całował go w usta i dziąsła.

■ — A pamiętasz, Piotrze Aleksiejewiczu — grożąc palcem pytał księżę- papież — przypomnij no ęobie mój bacik, jak bijałem cię za różne sprawki... Ale też urwis był... Bywało...

I Nikita Zotow zaczynał opowiadać, jak Piotr — taki oto, tyci chłopaczek, ledwo go widać było, a -już miał rozum państwowy. Bywało, że pyta o coś bojarów, oni myślą a myślą — nie mogą odpowiedzieć, a ten oto tak — machnie rączką i masz — odpowiedź gotowa. Cuda...

Wszyscy przy stole słuchali o tych cudach z otwartymi ustami, a Piotr, choć nie przypominał sobie takich wydarzeń, przytakiwał, skoro inni wierzą.

Buchwostow dolewał do czarek. Chłop był przebiegły, a z wyglądu prosty i nieintere- sowny, Piotra rozumiał i pijanego, i trzeźwego, lecz z Aleksaszką, oczywiście, współzawodniczyć nie mógł — i lata miał inne, i rozum ociężały. Uśmiechał się, częstował gościnnie, a do rozmowy się nie mieszał.

— A oto — mówił Mieńszukow drapiąc obrus malinowymi wyłogami, haftowanymi złotem (siedział prosto, jadł mało, wódka się go nie miała, jeno oczy mu niebieszczały) — zwiedzieliśmy się, że carów ordynans, Aleksy Browkin, ma piękną siostrę na wydaniu. Należałoby zająć się tą sprawą.

Poważny Aloszka jął mrugać oczami i nagle zbladł. Przycisnęli go, a najbardziej Piotr, więc potwierdził: tak, siostra Aleksandra jest

na wydaniu, ale narzeczonego odpowiedniego nie ma. Tata, Iwan Artiemicz, tak spyszniał, że nawet na kupców średniej miary nie chce patrzeć. Trzyma brytany, ludzie się boją, z dala dom omijają. Swatki pędzi na łeb. Sańkę doprowadził do tego, że płacze dzień i noc jest w wieku najsoczystszym i boi się, że miast wianka ślubnego przez ojcowską pychę czeka ją kłobuk mniszy.

— Jak to, nie ma narzeczonego? — gorączkował się Piotr. — Poruczniku Mieńszykow, zechciej się ożenić...

— Nie mogę, min herc, jestem za młody, nie dam babie rady...

— A ty, świętobliwy kir Anikito? Chcesz się ożenić?

— Przystarym, synku, dla takiej młódki... Ja tam więcej z k...

— Dobrze, diabły zapijaczone... Aloszka, odpisz ojcu, że ja sam będę swatem...

Aloszka zdjął wielką, czarną perukę i poważnie skłonił się do nóg. Piotr chciał zaraz jechać na wieś do Browkinów, gdy wszedł goniec z Kremla, podał list od Lwa Kirillo-wicza. Carowa umarła. Wszyscy podnieśli się od stołu i stali ze zdjętymi perukami, podczas gdy Piotr czytał list. Wargi obwisły mu, zadrżały... Wziął z okna kapelusz i nacisnął go na oczy. Po policzkach ciekły mu łzy. Wyszedł i w milczeniu kroczył przez slobodę, wzniecając kurz butami. W połowie drogi wsiał do karety, która wyjechała mu naprzeciw, i galopem popędził do Moskwy.

Podczas gdy inni radzili i rozważali, co teraz będzie — Aleksander Mieńszykow był już u Leforta z wielką wieścią: Piotr zostaje jedy-nowładnym gospodarzem. Rozradowany Lefort uściskał Aleksaszkę i obaj zaczęli cicho mówić o tym, że Piotr nie może już wykręcać się od spraw państwa — ma w rękę cały skarb i całe wojsko i nikt nie śmie wtrącać się do jego postanowień, chyba najbliżsi. Dwór carski należy przenieść do Preobrażeń-skiego, Annie Mons zapowiedzieć, by zaprzestała ceregieli, ma się oddać carowi bezwarunkowo... Tak trzeba.

Natałii Kiriłłowny nie ruszono aż do przybycia cara. Leżała ze zdziwionym obliczem, sinym jak z uduszenia; powieki miała mocno zaciśnięte, w obrzmiałych rękach obrazek.

Piotr patrzył na tę twarz. Zdawało się, że matka odeszła tak daleko, iż o wszystkim zapomniała. Szukał — może miłość pozostała choć w kącikach ust... Nie, nie... Nigdy te wargi nie były zsunięte tak obco... A przecież rankiem jeszcze wzywała dusząc się: „Piotrusia... po błogosławieństwo...” Odczuł — oto pozostaje sam, z obcymi... Zrobiło mu się śmiertelnie żal siebie, opuszczonego...

Uniósł ramiona, naburmuszył się. W sypialni prócz przesiąkłych łzami bojaryń byli: nowy patriarcha Adrian, niski, jasnowłosy, patrzący na cara z głupkowatym zaciekawieniem, oraz siostra, carówna Natalia Aleksie-

jewna, o trzy lata starsza od Piotra, miła i wesoła dziewczyna. Stała, zafrasowana po niewieściemu — wsparła policzek na, dłoni, w jej szarych oczach jaśniała litość macierzyńska.

Piotr podeszedł do niej.

— Natasza... Żal mamusi...

Natalia Aleksiejewna pochwyciła jego głowę, przycisnęła do piersi. Bojarynie jęły z cicha zawodzić. Patriarcha Adrian, żeby lepiej widzieć, jak car płacze, odwrócił się plecami do zmarłej, otworzył usta. Chwiejąc się wszedł Lew Kiriłłowicz z brodą mokrą, z obrzmiałymi, jak surowe mięso policzkami, upadł na kolana przed zmarłą, zamarł, tylko zad mu się wzdrygał.

Natalia Aleksiejewna zabrała brata do siebie, do swojej świetlicy na górę, na czas umywania i ubierania nieboszczki. Piotr usiadł przy kolorowym okienku. Nic się tu prawie nie zmieniło od dzieciństwa. Te same skrzynie i dywaniki, zwierzęta srebrne, szklane i kamienne, lustro w kształcie serca w weneckiej ramie, barwne ryciny z Pisma świętego, muszle zamorskie.

— Natasza — zapytał cicho — a gdzie ten... pamiętasz, miałas Turka ze strasznymi oczami? Oderwaliśmy mu głowę.

Natalia Aleksiejewna pomyślała chwilę, otworzyła skrzynkę, wyjęła Turka i głowę i pokazała. Brwi jej załamały się. Usiadła przy bracie, objęła go mocno, rozplakali się oboje.

Natalię Kiriłłównę, ubraną w złote ryzy, pod wieczór złożono w Granowitej Sali. Przy trumnie Piotr, zgarbiony nad modlitewnikiem między świecami, odmawiał psalmy głucha- wym basem. Przy obu drzwiach stali czterej biali ryndowie z toporkami na ramionach, przestępując nieznacznie z nogi na nogę.

, W nogach trumny klęczał Lew Kiriłłowicz. Wszyscy w pałacu, umęczeni, spali.

Głęboką nocą zaskrzypiały drzwi i weszła Zofia — w czarnym, szorstkim płaszczu i czarnym kołpaczku. Nie patrząc na brata, dotknęła wargami sinawego czoła Natalii Kiriłłowny i również uklękła. Piotr przewracał kartki, pozlepiane woskiem, recytował basowym półgłosem. Co jakiś czas słyhać było wydzwaniane kuranty. Zofia spoglądała na brata z ukosa. Gdy w oknie ukazał się świt, podniosła się miękko, podeszła do klęcznika i rzekła szeptem:

— Zastąpię cię... Odpocznij...

Uszy mimo woli skurczyły mu się na dźwięk tego głosu, zaciął się — poruszył ramieniem i odszedł. Zofia ciągnęła dalej od pół słowa, czytając oczyściła palcami knot świecy. Piotr wsparł się o ścianę, ale sklepienie przeszkadzało głowie. Usiadł na skrzyni, oparł łokcie na kolanach, zasłonił twarz. Pomyślał: „Wszystko jedno, nie przebaczę...” Tak minęła ostatnia wedle starego zakonu noc w krem- lowskim pałacu.

Na trzeci dzień prosto z pogrzebu Piotr pojechał do Preobrażeńskiego" i poszedł spać. Jewdokia przyjechała później. Towarzyszyły

jej w karetach bojarynie — nie znała nawet ich nazwisk. Nazywały ją teraz carową, ma- tuchną, przymijały się, wielbiły, prosiły o łaskę ucałowała ręki. Ledwo się ich pozbyła. Poszła do Oleszeńki, potem — do sypialni. Piotr leżał na białej atlasowej pościeli, tak jak przyszedł, w ubraniu, zrzucił jeno zakurzone trzewiki. Jewdokia skrzywiła się: „Och, te kukujskie obyczaje, jak piją, tak się wałd do łózka...” Usiadłszy przed lustrem, zaczęła się rozbierać, aby wypocząć przed obiadem. Nie mogły jej wyjść z głowy dworskie bojarynie i ich pochlebstwa. I nagle zrozumiała: przecie teraz jest pełnowładną carową... Zmrużyła oczy, ściągnęła wargi po carsku. Pierwsza rzecz: Ankę Mons — na Syberię do śmierci. Zabrać się porządnie do męża... Oczywiście, nieboszczka świekra, nienawistnica, stale podjudzała Piotra. Teraz wszystko pójdzie inaczej. Wczoraj była sobie Dunią, dzisiaj — monarchini całej Wielkiej i Małej, i Białej... (Wyobraziła sobie, jak będzie wychodzić z soboru Uspieńskiego przed bojarami do ludu, przy biciu dzwonów — aż ją zatknęło.) „Należy uszyć nowe suknie galowe, nie będę przecież dodzierała po Natalii Kirił- łownie... Piotruś stale jeździ, będę musiała sama władzę sprawować... Cóż, Zofia rządziła, a była niewiele starsza. A jak trzeba będzie pomyśleć — bojarzy są od tego, żeby myśleć... (Uśmiechnęła się, wyobraziła sobie Lwa Kiriłłowicza.) Dawniej bywało, że ledwie zauważy, patrzy w bok, a dziś na poگرزbie stale trzymał pod rękę, prosił oczami o łaskę... Uf, głupiec opasły...”

— Duniu... (Drgnęła, odwróciła się. Piotr leżał bokiem, wsparty na łokciu.) Duniu... Ma- munia umarła... (Jewdokia trzepotała rzęsami nie rozumiejąc.) Pusto... Trochę zasnąłem... Och... Dunieczko...

Piotr jakby czekał czegoś od niej. Oczy żałosne. Ale Jewdokia tak puściła wodze myślom, że nabrała nagle śmiałości.

— Widać taka wola Boska. Nie .trza szemrać. Popłakaliśmy sobie i dość. Jesteśmy carowie... Nie brak innych kłopotów. (Piotr z wolna wyprostował rękę, usiadł zwiesiwszy nogi. Pończocha przy dużym palcu — dziurawa.) A jeszcze — nie uchodzi, brzydtko — w ubraniu na atlasową pościel... Wciąż z żołnierzami, z chłopstwem, a przecieć byłby już czas...

— Co, co? — przerwał, oczy mu ożyły. — Duniu, tyś się grzybami paskudnymi struła czy co?

Przestraszył ją jego wzrok, ale ciągnęła dalej, chociaż innym tonem, te same brednie, niezrozumiałe dla niego. Ale gdy palnęła: „Marna zawsze nienawidziła mnie, od samego ślubu, mało to łez wylałam” — Piotr ostro wyszczerzył zęby i zaczął kłaść trzewiki.

— Piotruś, dziurawe, popatrz, zmień pończochy. Boże mój...

— Widziałem już głupie, ale takiej... No, no... (Ręce mu się trzęsły.) Ja ci tego, Duniu, nie zapomnę — mamusinej śmierci... Raz

w życiu cię o coś prosiłem... Nie zapomnę...

Wychodząc tak trzasnął drzwiami, że Jewdokia aż się skurczyła.

I długo jeszcze dziwiła się przed zwierciadłem. „No i cóż takiego powiedziałam?... Oszalał, naprawdę oszalał...”

Lefort już dawno czekał na Piotra w sieni koło sypialni. (Na pogrzebie widzieli się tylko z daleka.) Pochwycił gwałtownie ręce Piotra.

— O, Peter, Peter, jakże wielka strata... (Piotr był jeszcze naburmuszony.) Pozwól współczuć twemu cierpieniu... Ich kondoliere, ich kondoliere. Mein Herz ist voll Schmer-zen... O!... Moje serce pełne Schmerzen... (Zawsze przy wzruszeniu zaczynał mówić łamanym językiem i to szczególnie działało na Piotra.) Wiem — tu nie ma pociechy... Ale weź moje życie, zabierz i nie cierp...

Piotruś uściśnął go z całej siły, przyłgnął policzkiem do jego uperfumowanej peruki. To był wierny przyjaciel... Lefort powiedział szeptem:

— Pojedziemy do mnie, Peter... Rozprosz swój smutek... Rozśmieszymy cię trochę, jeżeli chcesz... Albo będziemy zusammen wei-nen... Płakać wspólnie...

— Tak, tak, jedźmy do ciebie, Franz...

U Leforta wszystko już było przygotowane. Nakryto stół na pięć osób w niewielkiej świetlicy z drzwiami wychodzącymi na ogród* gdzie w krzewach ukryci byli muzykanci.

Usługiwało dwóch karzełków w rzymskich chlamidach i wiankach z liści klonowych — Tomos i Sieka. Cała komnata przyozdobiona była różami wiązаныmi w girlandy. Przy stole zasiedli Piotr, Lefort, Mieńszykow i książę- -papież. Nie było ani wódki, ani zwykłych zakąsek. Karły wniosły na złożonych półmiskach, trzymając je nad głowami, pasztet z wróbli i pieczone przepiórki.

Lefort uśmiechał się wzniesionymi kącikami warg. .

— Dziś jest rzymska wieczerza na cześć bogini Cerery, tak słynnej z pokrzepiającej historii z jej córką Prozerpiną.

— A co to za historia? — zapytał Aleksaszka. Miał na sobie jedwabny kaftan i perukę z lokami do pasa — był nader melancholijny. Podobnie był odziany Anikita.

— Prozerpiną uwięziona przez piekielnego boga Plutona — mówi Lefort — matka cierpi... Zdawałoby się, koniec historii. Lecz nie — śmierci nie ma, jeno wieczne przeobrażenie. Nieszczęsna Prozerpiną przebiła się przez ziemię w postaci cudnego owocu granatu i tak objawiła się macierzy na pociechę...

Piotr był milczący i smutny. W ogrodzie ciemno i wilgotno, przez otwarte drzwi widniały gwiazdy, a w smudze światła z pokoju od czasu do czasu spadał uschły liść.

— Dla kogóż nakrycie? — zapytał znowu Piotr.

Lefort podniósł palec. W ogrodzie skrzypiał piasek. Weszła Annchen we wspaniałej suk

ni, w lewej ręce — kłosy, prawą przyciskała do boku misę z marchwią, sałatą, rzodkiewkami, jabłkami. Włosy zebrane w wysoki węzeł, a w nim — róże. Twarz jej była prześliczna w świetle świec.

Piotr nie wstał, jeno wyciągnął się cały, chwytając za poręcz krzesła. Anna postawiła przed nim misę, dygnęła w ukłonie, widać uczono ją, by coś przemówiła przy tym, ale zmieszała się, nic nie powiedziała, lepiej to nawet wypadło...

— Cerera ci płody przynosi, co oznacza, że śmierci nie ma... Przyjm i żyj! —■ wykrzyknął Lefort i podsunął Annie krzesło. Usiadła obok Piotra. Nalano pniącego się francuskiego sektu. Piotr nie odrywał wzroku od Anny. Ale wciąż jeszcze przy stole czuło się skrępowanie. Anna położyła palce na ręku Piotra. U — Ich kondoliere, Herr Peter. (Wielkie oczy zaszkliły się łzami.) Wszystko bym oddała, byle was pocieszyć...

Wino i bliskość Annchen rozlewały ciepło. Książe-papież zaczął już mrugać okiem. Aleksaszkę rozpieła chęć zabawy. Lefort posłał Karła do ogrodu, skąd rozległy się dźwięki strun i bębnow. Spódnice Anusi szeleściły» oczy wyschły jak niebo po deszczu. Piotr otrząsnął ze siebie smutek.

— Sektu, sektu, Franz!...

— Tak, tak, synku — rzekł Anikita promieniejąc zmarszczkami — z bogami greckimi i rzymskimi o wiele poręczniej...

W nieprzebytych lasach za Oką (tam prze- mieszkali całe lato) ubogi Owdokim poczuł się jak ryba w wodzie — sprawny i śmiały. Zebrał niewielką szajkę z chłopów doświadczonych i męczonych: śmierci i krwi nie bali się, psot bez potrzeby nie czynili. Obozowisko mieściło się na kępie wśród bagien, gdzie zarówno człowiek, jak i zwierzę przejść mogli po trzęsawisku jedną jedyną ścieżką. Tu znoszono wszelki łup: zboże, żywność, wódkę, odzież, srebro z ograbionych cerkwi. Mieszkali w dołach nakrytych gałęziami. Na odwiecznej sośnie znajdowała się strażnica, gdzie Juda włąził, aby zbadać okolicę.

Na wyspie było tylko dziewięciu rozbójników, a dwaj najzuchwalsi wałęsali się jako zwiadowcy po karczmach i drogach. Czy tabor kupiecki ciągnie z Moskwy do Tuły, czy bojarzyn wybiera się na wieś, czy karczmarz, pochwali się po pijanemu zakopaną skarbonką — natychmiast wiejski chłopak z batem lub kobiałką idzie w mroczny bór, a potem co tchu pędzi do wyspy. Gwiżdże. Juda ze strażnicy odpowiada gwizdnięciem. Z ziemiarki wypelza zgarbiony Owdokim. Chłopca przeprowadzano przez bagno na kępę i tam wypytywano. Owdokim miał takich posłańców we wszystkich osiedlach przy trakcie. Będą milczeli, choćby ich na kawałki rznąto... Owdokim darzył ich czułością — nakarmi, da kopiejkę, zapyta o tatę i mamę,

ale i dzieci, i dorośli bali się go: spokojny był i pogodny, ale nawet życzliwość jego przejmowała strachem.

Ponure było życie wśród bagien. Koło wieczora wzmogła się mgła jak mleko. Przenikało kości, blizny zaczynały boleć. Owdokim nie pozwalał rozpałać ognia w nocy. Pewnego razu jeden z rozbójników rozwrzeszczał się — noc była ciemna choć oko wykol. — Mało tego, że mamy nad sobą wojewodów i szlachtę, to jeszcze jeden diabeł na kark włazi — i zaczął rozpałać ogień. Owdokim podszedł do niego grzecznutko, przełożył kostury do lewej ręki i pochwylił za gardziel. Tamtemu oczy i język wylazły na wierzch. Wrzucili go do bagniska.

Słońce wznosiło się żółte, zimne, wierzchołki drzew stały po pas w mętnej mgle. Rozbójnicy kaszlali, drapali się w zabliźnione tyłki, przezuwali obuwie, stawiali kociołki na ogień.

Porządnej roboty nie ma. Dobrze, jeśli w lesie gwizdnie posłaniec. Inaczej człek cały dzień przewraca się z boku na bok, aż do otepienia. Z nudów opowiadali bajki i śpiewali pieśni katorżnicze, udęczone serce.

0 sobie mówili rzadko i mało. Oprócz Judy

1 Żemowa ,wszyscy byli zbiegłymi chłopami — łapano ich, zakuwano w łańcuchy, ale oni znowu uciekali z lochów.

Niekiedy Owdokim sadowił się na omszałym kamieniu i zaczynał opowiadanie. Słuchano go ponuro w sennej leśnej ciszy. Owdo-

406

kim mówił niepojęte rzeczy. Lepiej by jawnie zwodził jak inni, powiedzmy: „Oto, chłopcy, niedługo odnajdą carską Złotą Hramotę i wszyscy będą wolni — żyj, jak chcesz, spokojnie, syto, w zaciszu...” Oczywiście, że to są bajdy, ale słodko było pomyśleć o tym wśród wilgotnego szumu sosen... Nie, Owdokim nigdy nie mówił nic pocieszającego.

— Były, chłopcy, takie czasy, ale minęły — widać losy nie chciały... Chadzałem se w sukiennym kaftanie, przy boku — ostra szabla, w czapce pisma podżegające... Czasy te wrócą jeszcze, moje dziatki, dlatego was trzymam w lesie... Zbierała się hołota, nędza przelotna, zlatywali się jak kruki — chmary niepolicone... Mieli ze sobą Złotą Hramotę, Kozak Stiepan Timofiejewicz nosił ją zaszytą w kaftanie... Hramota krwią spisana, brali krew z naszych ran i pisali ostrym nożem... Powiedziano tam, żeby nie mieć litości: wszystkich bogatych, wszystkich znamienitych z dworami, miastami i osadami, ze stołecznym miastem Moskwą — wymieść na czy-sto. Na pustym miejscu ustanowić kozackie wolne koła. Ach, nie udało się to, gołąbki... Ale musi to być, musi... Tak napisano w „Księdze Gołębiej” *...

Wsparłszy brodę na kosturze, patrzy szklanymi oczami i uśmiecha się łagodnie.

I

- Pomieszkamy tu do Pokrowy, grzybów tu sporo,, A jak sypnie pierwszy śnieg — poprowadzę was, dziatki, ale już nie do Moskwy teraz,,. Tam ciężko, Rozbojny Urząd objął księżę Romodanowski, a o nim powiadają: którego dnia nałópie się krwi, tego dnia i tej godziny jest wesół, a kiedy nie żiopie — dnia tego nawet chleb mu nic- smakuje. Ale poprowadzę was nad rzekę Wygę, do matecznika, do schronienia raskolników. Stoi tam wielka cela z narami; urządzono w niej okna, z których można się bronić przed nasłanymi carskimi ludźmi. Piszczeli i prochu wiele, Mieszka w tej celi mnich, niewielki, siwawy i stary, W zborze swym ma chyba ze dwustu raskolników, mieszkających luźno nad Wygą,,. Mają domostwa na słupach i orzą bez koni, robią, co nakaze mnich, bez ustanku powiąkuza się ich liczba, A nikt nic nie może o sobie zataić, co tydzień spowiadają %\<-, przed nim, on bierze borówki, żytnią mąkę albo jęczmienną i sporządza proskurę. Poprowadzę tajemnymi drogami was do tego mrocz* nego ogrójca i tam odpoczniemy, dziatki, po łotrostwie.

Śluchając o Wydze rozbójnicy wzdychali, ale mało kto wierzył, że dostanie się tam żywy, Też baśnie, Owdokim rzadko bywał na robocie — po* zos tając sam jeden na wyspie, gotował kaszę, prał portki i koszule, Ale jeżeli wychodził zatknąwszy z tyłu za pas nabijany ki- ścię, wiedzieli, że sprawa będzie ciężka. Przy swej mizerocie był szybki jak pająk; nocą zagwizdawszy tak, że włosy na głowie stawały, rzucał się ku koniom i walił je w łeb kiścieniem. Gdy jechał ktoś znamienitszy lub bogatszy — Owdokim nie miał litości, sarn się załatwiał z ludźmi. Poddanych, nastraszywszy, puszczał, ale źle było z tymi, którzy go rozpoznali z twarzy,'

W Moskwie wiedziano o tych zbytkach na trakcie tulskim i kilka razy posyłano żołnierzy z porucznikiem, by znieść sząkę, Ale nikt z wysłanych nie wrócił, o złym losie żołnierzy wiedziały jeno mgliste oparzeliska, na które wywiódł ich Owdokim.

Życie upływało im niczego sobie — syto, W końcu lata Owdokim zebrał to i owo ze zdobyczy i posłał Cygana, Judę i Żemow a, by opylili to na wielkim bazarze w Tulę,

— Jeno już, gołąbki, powróćcie z pieniędzmi, nie obarczajcie dusz grzechem,,. Bo tak czy owak, żywi nie ujdziecie, nie,,. Znajdę,,. Po tygodniu wrócił Juda sam, z rozwaloną głową, bez rzeczy, bez pieniędzy. Wyspa była pusta — zimny popiół po ognisku i rozrzucone szmaty. Czekał, nawoływał. Nie ma nikogo, Zaczął szukać miejsca, gdzie OwrJokim zakopywał pieniądze i przetopione srebro\ ale skarbu nie znalazł.

Las był żółty i czerwony, latały pajęcze niej, opadały liście. Dusza Judy zasmuciła się, pozbiarał suche akórki i ruszył przed siebie — może do Moskwy, Tuż za bagniskiem, w czerwonym, pasiastym sosnowym lesie.

natknął się na jednego z towarzyszy, chłopca Fiodora Fiodorowa, poddanego Naryszkinów.

Fiodor był sobie człkiem spokojnym, rodzinnym i uległym jak koń, znosił ciężką pańszczyznę i można rzec, własnym ciałem żywił liczne potomstwo. Jedno tylko bruździło — wódka napędzała mu krzywdę do głowy, chodził po wsi z kołem i wygrażał Naryszkinowemu rządcy, że go przetrąci. Kto rządcę zabił, nie wiadomo, ale Fiodor poprzysiął dzieciom, że jest czysty przed Bogiem, i uciekł. Wisiał teraz na sosnowym sęku, ze skrzyżowanymi łokciami, z głową zwieszoną na bok, na twarz jego Juda nawet nie spojrział... „Ach! towarzyszu, towarzyszu” — rozplakał się i ruszył z tego miejsca przez wertepy leśne.

XIX,

Jeśli dygnitarze, rozmyślający w pałacu kremlowskim o sprawach państwowych, ciągle jeszcze mieli nadzieję żyć jak Bóg da — „młody car wyszaleje się, sprawy się jakoś ułożą, nie ma powodu do niepokoju, co będzie, to będzie — chłop zawsze człeka wyżywi”; jeśli w Preobrażeńskim Piotr z wszelką zbieraniną młodą a pożądaną, z kupcami, szlachtą, która zamieniła cześć pradziadów na trefioną perukę — teraz już bez żadnego hamulca wycieńczył skarb na gry wojaskowe i inne, na budowę okrętów, żołnierskich osad i pałaców dla swych ulubieńców, hulali bezwstydnie, bawili się bez troski? jeśli państwo po dawnemu utykało jak wóz w trzęsawisku — to na zachodzie (w Wenecji, w Cesarstwie Rzymskim, w Polsce) tak się sprawy układały, że nikt już nie chciał znosić dłużej moskiewskiego ospalstwa i dwulicowości. Na Morzu Północnym gospodarowali Szwedzi, na Śródziemnym — Turcy; król francuski wspierał ich sekretnie. Flota turecka zabierała weneckie statki handlowe. Tureccy janczarowie niszczyli Węgry. Poddani sułtana, krymscy Tatarzy, hulali na południowych polskich stepach. A państwo moskiewskie, zobowiązane wedle traktatów do prowadzenia wojny z Tatarami i Turkami, zwłóczyło i wykręcało się w pismach. „Posyłaliśmy przecie dwukrotnie wojska na Krym, ale sprzymierzeńcy nas nie wsparli, latoś mamy liche urodzaje — należałoby poczekać do przyszłego roku, od wojny się nie wymawiamy, ale czekamy, byście sami rozpoczęli, a my, dalibóg, pomożemy”.

W Moskwie siedzieli posłowie chana krymskiego, nie skąpili podarków bojarom, namawiali do zawarcia z Krymem wiecznego pokoju, przysięgali, że nie będą niszczyć ziem rosyjskich i że zrzekną się dotychczasowej poniżającej daniny. Lew Kiryłowicz pisał do wielkich posłów rosyjskich w Wiedniu, Krakowie i Wenecji, aby nie wierzyli obietnicom cesarza*, króla ani doży, a sami dawali wykrętne przyrzeczenia. Trzeci już rok ciągnęła

się ta mitręga. Turcy wygrzali, że przejdą jak ogień całą Polskę, a w Wiedniu i Wenecji zawieszą półksiężyc. I oto przybył z Wiednia do Moskwy cesarski poseł Johann Curtius. Bojarzy przestraszyli się — należało zdecydować. Posła przyjęto z wielką pompą, przeprowadzono go przez Kreml, umieszczono w bogatych komnatach, wyznaczono mil dwa razy większe strawne niż innym posłom i zaczęto mataczyć, kłamać, odwlekać sprawę, tłumacząc się, że car odbywa ucieszną kampanię, a bez niego nic nie mogą postanowić.

| Wypadło się jednak zdeklarować. Johann Curtius przyparł bojarów do muru dawnym traktatem i wymógł postanowienie: będzie wojna — co uroczyście zaprzysiężono. Curtius uradowany odjechał. Do Moskwy przybyły dziękczynne pisma od cesarza rzymskiego i króla polskiego, w których uczczono cara najjaśniejszym panem ze wszystkimi tytułami, włącznie do „pana ziem Iwierskiej, Gruzińskiej, Kabardyńskiej i prowincyj Diedicz i Otczyczy”. Po czym udało się jeszcze odwlec sprawę na pewien czas. Ale stało się jasne, że wojny nie można uniknąć.

XX

Po ostatekach, gdy wielkopostne dzwony uderzyły nad przycichłą w miękkim świcie Moskwą, od razu na wszystkich bazarach, osadach, przedmieściach zaczęto mówić o wojnie. Jakby w jedną noc podszeptano ludziom: „Będzie wojna — tak czy owak, ale będzie. A gdy Krym będzie nasz, możesz handlować choćby z całym światem. Wielkie morze, tam grosz sam idzie do kieszeni...”

Przywożący pszenicę chłopci-osadnicy i schłopiła drobna szlachta spod Woroneża, Kur-ska, Biełgorodu — opowiadali, że w stepach nie mogą się doczekać wojny z Tatarami. — Stepów mamy na południe i na wschód tysiące wiorst. Step jak ta dziewczka rozkwitła: potrząśniesz jeno nad nim portkami — i po szyję możesz chodzić w zbożu. Jeno Tatarzyn nie pozwala. Ileż tam braci naszej w jasyr na Krym uprowadzono — och!... A wolność w stepie, a ta wolność — nie to, co u was, Moskali...

Najwięcej sporów w sprawie wojny było na Kukuju. Wielu nie aproboowało: — Morza Czarnego nie potrzebujemy, do Turków i do Wenecji drzewa, dziegciu i tranu nie zawieziemy... Chleba mamy dość na Kubaniu... Trzeba zawojować północne morza. — Ale żołnierstwo, zwłaszcza młodsze, parło gorąco do wojny. Na jesieni dwie armie ruszyły pod wieś Kozuchowo i tam, inaczej niż ubiegłymi laty, wojowano wedle nauki. O pułkach Leforta i Butyrskim, o Preobrażeńskim i Siermionowskim — przemianowanych obecnie na lejbgwardię — cudzoziemcy mówili, że nie ustępują Francuzom ani Szwedom. Ale sławą kozuchowskiej potrzeby można się było szczy

cić jeno na ucztach, wiwatując wśród grzmotu trąb i salw armatnich. Oficerowie w kruczych perukach; z jedwabnymi szarfami aż do ziemi, z ogromnymi ostrogami — nieraz słyszeli z tyłu: — Kozuchowcy! Waleczni z papierowymi bombami, spróbujcie tatarskiej kulki.

Wahali się jedynie 'najbliżsi — Romodanowski, Artamon Gołowin, Apraksin, Gordon, Winius,, Aleksander Mieński: przedsięwzięcie wydawało się straszne. — A gdyby tak klęska? Nikt nie ocaleje wtedy, wszystkich zaleją wzburzone tłumy... A nie rozpocząć wojny —■ jeszcze gorzej, bo i tak już szemrzą^ że cara opętali Niemcy, duszę mu odmienili, moc pieniędzy idzie na zabawy, ludzie cierpią, a wielkich czynów nie widać.

Piotr milczał. Na pytania o wojnie odpowiedział dwuznacznie: — Dobrze, dobrze, zabawiliśmy się pod Kozuchowem, pójdziemy igrać z Tatarami. — Jedynie Lefort i Mieński wiedzieli, że Piotr ukrywa strach, ten sam strach, co w pamiętną noc ucieczki do Trójcy. Ale wiedzieli też, że w każdym razie zdecyduje się na wojnę.

Dwaj mnisi o ciemnych obliczach przywieźli z Jerozolimy list od jerozolimskiego patriarchy Dosytheosa. Patriarcha pisał łzawo, że do Adrianopola przybył poseł francuski z pismem królewskim dotyczącym miejsc świętych, złożył w darze wielkiemu wezyrowi siedemdziesiąt tysięcy dukatów, a przebywającemu wówczas w Adrianopolu chanowi krymskiemu — dziesięć tysięcy, i prosił, by Turcy oddali miejsca święte Francuzom. „A Turcy odebrali nam, prawosławnym, Grób Święty i przekazali Francuzom, pozostawiając nam jeno dwadzieścia cztery lampy. I odebrali nam Francuzi połowę Golgoty, cały kościół betlejemski, Grotę Świętą, zniszczyli wszystkie nasze tryptyki Męki Pańskiej, rozkopali refektarz, gdzie udzielamy świętej nauki, i postępują w Jerozolimie gorzej niżli Persowie i Arabowie. Jeśli wy, zbożni samowładcy moskiewscy, opuścicie sprawę świętej Cerkwi, to jakąż zyskacie sławę?... Nie zawierajcie z Turkami pokoju, póki nie oddadzą prawosławnym wszystkich miejsc świętych. A gdyby Turcy odmówili — zaczynajcie wojnę. Macie teraz najlepszą sposobność: trzy ogromne wojska sułtana ścierają się z cesarzem na Węgrzech. Zdobądźcie naprzód Ukrainę, potem Multany i Wołoszę, zdobądźcie Również Jerozolimę i wtedy dopiero zawierajcie pokój. Uprosilście Boga, żeby Turcy i Tatarzy wdali się w wojnę z Niemcami. A teraz, gdy pora najsposobniejsza po temu, wy zwlekacie! Patrzcie, jak muzułmanie szydzą z was: Tatarzy — garść ludzi — a chwalą się, że pobierają od was haracz, a że Tatarzy to poddani tureccy, więc wynika z tego, że i wyście tureccy poddani...”

Pismo to przeczytano w Moskwie ze wstydem. Zebrała się wielka Duma bojarska. Piotr siedział na tronie ponury, milczący — w car

skich szatach z barmami. Bojarzy dawali upust swym uczuciom w napuszonych przemowach, powołując się na kroniki starożytne, oplakiwali znieważone świątynie. Wieczór już zajrzał w okna i światło lampek z kąta sali oblało twarze — bojarzy, podnosząc się kolejno wedle godności i rodu, odrzucali ciężkie rękawy i gadali, gadali poruszając białymi palcami — dumne czoła oblane potem, surowe oczy, pielęgnowane brody i puste mowy, obracające się jak wiatraczki dziecięce, grzęzły drętwością w mózgu Piotra. Nikt nie mówił wprost o wojnie, lecz zezując w stronę diaka Dumy, Winiusa, z dwoma pomocnikami zapisującego mowy bojarskie, gadali ogródkami. Bali się rzec — wojna! — wywrócić spokojne życie. A może to nowe bunty i ruina? Oczekiwali carskiego słowa i, oczywiście, potwierdziliby to, czego by żądał.

Ale i Piotrowi ciężko* było ważyć się na postanowienie w sprawie tak wielkiej; był jeszcze młody i straszony od dzieciństwa. Wyczekiwał mrużąc oczy. W końcu zaczęli mówić przyboczni i już całkiem inaczej — do rzeczy. Tichon Streszniew powiedział:

— Oczywiście, będzie wedle woli miłościwego pana... A my, bojarzy, winniśmy żywoty oddać za znieważony grób Zbawiciela i za carską cześć... Szydzą już w Jerozolimie — czyż może być większa hańba? Nie, bojarzy, uchwalcie pospolite ruszenie...

Lew Kirillowicz, z ociężałością umysłu, zajechał z dala — od chrztu Rusi za Włodzimie rza, ale dostrzegłszy kwaśną minę Piotra, rozłożył ręce.

— Cóż, bojarzy, nie mamy się czego obawiać... Wasilij Golicyn oparzył się na Krymie. Ale jaką bronią wojowało jego wojsko? Kołami. Teraz, dziękować Bogu, mamy dosyć broni. Choćby moja fabryka w Tule — odlewamy działa nie gorsze od tureckich. A rusznice i pistolety moje są lepsze. Gdy miłościwy pan rozkaże — do maja dostarczę choćby sto tysięcy szabelk i ostrzy do pik. Nie, nie wolno cofać się przed wojną...

Romodanowski sapnął gardłowo i rzekł:

— Gdybyśmy sami żyli na świecie, moglibyśmy się jeszcze namyślać... Ale na nas patrzy cała Europa. Nie możemy dreptać w miejscu — to prowadzi do niechybnej zguby. To nie czasy króla Ćwieczka, nastają srogie czasy. A pobić Tatarów — to rzecz najważniejsza.

Zrobiło się cicho pod czerwonym, niskim sklepieniem. Piotr gryzł paznokcie. Wszedł Borys Aleksiejewicz Golicyn, wygolony, ale w rosyjskiej odzieży, wesoły — podał Piotrowi rozwinięty arkusz. Była to prośba kupieckiego moskiewskiego o obronę Golgoty i Grobu Pańskiego, o oczyszczenie dróg południowych od Tatarów i jeśli można, o stawianie grodów nad Morzem Czarnym. Winius podniósłszy na czoło okulary przeczytał dobitnie papier. Piotr podniósł się, sięgał czapką Mo- nomacha aż pod baldachim.

— Cóż, bojarzy, jakże postanowicie?

A patrzył gniewnie, wargi zacisnął w kurzy kuper. Bojarzy powstali, skłonili się.

— Twoja wola, wielki monarcho — zwołuj pospolite ruszenie...

— Cygan... Słuchaj no.

— No?

— Gadaj mu — byłeś u mnie w kuźni za podręcznego... I przysięgnij na to...

— A czy warto?

— Pewno... pożyjemy jeszcze. Przecież i to szczęście...

— Przykrzy mi się, Kuźmo. Byle prędej skończyli...

— Skończą! Możesz długo czekać... Wy- szarpią nozdrza, knutem obłupią do kości i na Sybir...

— Tak to... Chyba... To najgorsze...

— Rządca Lwa Kiriłłowicza był w Moskwie i dostał pismo, żeby poszukiwać w więzieniach ludzi zdatnych do fabryki. To akurat mój zawód — rozgadałem się. Pamiętają mnie. Ech, mój miły, o Kuźmie Żemowie nie- prędko zapomną. Dali mi jeść — kapuśniak z wołowiną. Obchodzenie — niczego sobie, nie biją... Ale — ostro. Zawołają, to powiedz, żeś kuł u mnie młotem...

— Kapuśniak z wołowiną? — rzekł Cygan po namyśle.

Cygan z Żemowom rozmawiali w tulskim

więzieniu, w lochu. Siedzieli już blisko miesiąc, Byli bici dopiero jeden raz po pojmaniu na bazarze z kradzionymi rzeczami. (Judzie udało się zbiec.) Oczekiwali badania i mąk. Ale wojewoda tulski z diakami i po- dia czym i sam znalazł się pod śledztwem.

0 kajdaniarzach zapomniano. Więzienny strażnik prowadził ich co rano skutych na bazar po jałmużnę. Z tego więźniowie żyli

1 jeszcze żywili dozorcę. I oto niespodzianie zamiast Syberii — fabryka broni Lwa Kiriłłowicza. W każdym razie nozdrza ocaleją.

Cygan powiedział, jak go nauczył Żemow. Z więzienia poprowadzono ich w kajdanach za miasto nad rzekę Upę, gdzie przy brzegu stały niskie ceglane budynki, otoczone parkanem, a w kanale przeprowadzonym od rzeki skrzypiały koła młyńskie. Było zimno, z północy ciągnęły chmury. Na gliniastym wybrzeżu tłum więźniów wyładowywał z berek drzewo, żelazo i rudę. Naokoło — pnie, ogołoczone krzewy, martwe pola. Jesienny wiatr. Jedyne oko Cygana płonęło żalem, gdy podeszli do okutej bramy, przy której stali strażnicy z berdyszami. Mało tego, że bili i pędzili po ziemi jak dzikie zwierzęta, że duszę wytrząsali — jeszcze im tego za małego Pracuj na nich, pracuj... Zdechnąć nie pozwalają..

Wprowadzono ich przez bramę na gospo- darczy dziedziniec, zawalony żelastwem. Ha*

łas, zgrzytanie pił, stukanie młotów. Przez okopcone drzwi widać iskry sypiące się z hutniczego pieca — tu obnażeni do pasa ludzie z kolistego zamachu kują szynę, tam wielo- pudowy młot, poruszany przez koło wodne, pada na blok żelaza i pryska ogniem w skórzane fartuchy, ówdzie ślusarze przy warsztatach. Z bramy po deskach jadą taczki z węglem na dach przysadzistego pieca, z którego wali ogień i czarny dym. Żemow trącał Cygana łokciem.

— Już oni poznają* kto jest Kuźma Żemow...

Z okna czystego murowanego domku, stojącego z dala od kuźni, wyglądało różowe jak po łaźni, wygolone oblicze w kołpaku. Był to zarządzający fabryką — Niemiec Kleist. Zastukał w szybę fajką. Dozorca spiesźnie przyprowadził Cygana i Żemowa — wyjaśnił, co za jedni i skąd. Kleist podniósł dolną część okienka, wysunął się zaciskając wargi. Chwaścik kołpaka kołysał się przed pełną twarzą. Cygan patrzył wrogo i ze strachem na ten chwaścik... „Och, ty duszożerco!” — pomyślał.

Za Kleistem na czystym stole stała pieczeń wołowa, rumiane chlebki i złocona filiżanka z kawą. Przyjemny dymek z fajki przepływał przez okno. Oczy jego, bezduszne jak lód, przenikały na wskroś rosyjskiego człowieka. Obejrawszy dokładnie obu kajdaniarzy rzekł z wolna:

— Kto oszukuje, z tym śle. Przysyłają nie zdatnych chłopów, świńskich synów... Nic nie potrafią — o, hołota. Jesteś topry kowal — topsze... Ale jak kłamiesz, to ja mogę nawet pofiesić... (Stuknął fajką w parapet.) Tak, ja pofiesić mogę, dano mi prawo... Stróż, odprowadź turnióff pod klucz...

W drodze dozorca rzekł do nich pouczająco:

— Tak, tak, chłopcy, z nim trza uważać... Pokpisz coś albo cię leń obleci, będzie bez litości.

— Nie przyszliśmy tu gęby rozdziawiać — powiedział Żemow. — Jeszcze wasz Niemiec może się od nas uczyć...

— A coście wy za jedni? Pono łotrzyki, zbóje? Za co was, w rzeczy samej?...

— My, Boży człeczce, z tym oto jednookim wędrowaliśmy do raskołu na życie świętobliwe, ale czart wziął górę...

— A, to inna sprawa — odpowiedział dozorca otwierając niziutkie drzwi. — U nas porządki, żebyście wiedzieli, są takie... Idźcie, ja zapalę świecę. (Zeszli do podziemia, promyki światła przedzierające się przez dziurki blaszanej latarni oświetliły nary, stoły z desek, zadymiony piec, łachmany na sznurach.) Takie oto porządki... Rano o godzinie czwartej ja biję w bęben, modlitwa — i do roboty. O siódmej — werbel — pół godziny na śniadanie. Zegarek mam, widziałeś? (Wydobył mosiężny zegarek wielkości sporej rzepy, pokazał im.) Znowu, znaczy się, do roboty. W południe — obiad i godzina spa

nia. O siódmej wieczera — pół godziny, i o dziesiątej — wolne...

— I ludzie nie nadrywają się? — zapytał Cygan.

— Chyba niektórzy, nie bez tego. Ale to, kochasiu, jest katoga: jakbyś nie łotrował, leżałbyś w domu na przypiecku. Jest u nas piętnastu ludzi z wolności, najemników — ci o siódmej kończą robotę i śpią oddzielnie, a w święta chodzą do domu.

— I cóż — jeszcze bardziej ochrypłym głosem zapytał Cygan siedząc na narach — czy my tu na zawsze?

Żemow cicho zakaszłał, wpatrzony w świecące dziurki okrągłej latarni. Dozorca odburknął coś pod wąsem. Odchodząc zabrał latarnię.

XXII

Szanowna szpakowata broda przyczesana, włosy namaszczone olejem, jedwabny pas z imionami czterdziestu męczenników obejmuje różową koszulę aż po pierś. Ale nawet nie na to wszystko — na okrągły, nasycony do pełności brzuch Iwana Artiemicza Browki- na patrzyli chłopci — byli kumowie, swatowie, szwagrowie. O to idzie, że byli... Iwan Artiemicz siedział na ławce, ręce zasunął pod tyłek. Oczy — surowe, bez zmrużenia, portki z cienkiego sukna, buty pstre, kazańskiej roboty, z haczykowatymi czubkami. A chłopci stali przy drzwiach na nowej rogoży, żeby nie zdeptać czystej izby łapciami.

— Cóż, kmiotkowie — mówił Iwan Artiemicz — nie jestem waszym wrogiem... Co mogę — to mogę, a czego nie mogę... nie gniewajcie się...

— Kuraka nie ma gdzie wypuścić, Iwanie Artiemiczu...

— Bydlę słowa ludzkiego przecie nie rozumie, znarowi się, wpadnie na twoją łączkę...

— A pastuch dostanie już baty od całej gromady, na twoje zdrowie...

— Tak, tak — powtórzył Iwan Artiemicz.

— Wypuście nasze bydła...

Jesteśmy tacy ściśnięci, tacy ściśnięci...

— Ja z was, kmiotkowie, wielkiej korzyści nie mam — odrzekł Iwan Artiemicz, a wyciągnąwszy ręce spod tyłka złożył splecione palce na brzuchu. — Porządek jest mi drogi, chłopkowie... Ileż pieniędzy rozdałem wam — ój, ój...

— Rozdałeś, Iwanie Artiemiczu, pamiętamy, pamiętamy...

— Z dobroci serca... Jakom urodzony w tej miejscowości, rodzic mój tutaj pomarł. Jako że — Bóg dla mnie miłościw, a ja dla was. Na jaki procent wam daję pieniądze — aż śmiech bierze... Dziesięć kopiejek od rubla na rok — ój, ój, ój... Nie dla zysku, jeno dla porządku.

— Bóg ci zapłać, Iwanie Artiemiczu.

— Niedługo już całkiem od was wyjadę. Duże sprawy rozpoczynam, duże sprawy...

W Moskwie będę mieszkał. No, dobrze... (Westchnął i przymknął oczy.) Gdybym miał żyć jeno z was, źle by mi było, oj źle... Po starej znajomości, dla duszy wyrządzam dobroczynność. A wy co? Jak mi się wywdzięczacie? Szkody na łące. Skargi... Ach! ach! No, już Bóg z wami. Po altynie od krówki, po groszu od owcy — zabierajcie bydło...

— Dzięki, daj ci Boże zdrowie, Iwanie Artiemiczu...

Chłopi kłaniając się wychodzili. On rad by jeszcze pogadał. Był dzisiaj dobry. Przez syna Aloszkę udało mu się dotrzeć do porucznika Aleksandra Mieńszykowa i pokłonić się dwu- stoma rublami. Mieńszykow spiknął go z Le- fortem. Browkin jeszcze nie sięgał tak wysoko — przelał się ujrzawszy niewielkiego człowieczka z włosami do pasa, całego w jedwabiu, w aksamicie, w pierścieniach błyszczących ogniami. Srogi — nos zadarty, oczy niby szpilki... Ale gdy Lefort dowiedział się, że przed nim stoi ojciec Aloszki, a jeszcze z listem od Mieńszykowa — rozjaśnił oblicze, uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu. Tak więc Iwan Artiemicz otrzymał pismo na dostawę owsa i siana dla wojska.

— Sania — zawołał, gdy chłopci wyszli — zabierz no rogożę. Kumowie napaskudzili.

Koło oczu Iwana Artiemicza promieniały zmarszczki uśmiechu. Bogaczowi wolno wszak pośmiać się — co nie zdarzało mu się od dziecięcych lat do siwej brody. Weszła Sańka w zielonym jak trawa, jedwabnym letniku

424
z guzikami. Warkocz ciemnoblond, grubości ręki, do kolan, brzuch nieco wypięty — bo piersi zrobiły się bardzo pełne, wstydziła się. Oczy modre, głupie.

— Fe, łapciami nanieśli! — odwróciła ładną twarz od rogoży, wzięła ją końcami palców za róg, wyrzuciła do sieni. Iwan Artiemicz patrzył filuternie na córkę. Taką nawet za króla wydać można bez wstydu.

— Postawię w Moskwie dom murowany. Do pierwszej sotni kupieckiej należeć będziemy... Saniu, słuchaj... To dobrze, żeś nie pośpieszył z tobą. Wejźmy w związek z dobrą rodziną. Czego się odwracasz? Głupia!

— No-o-o! — Sańka zawinęła warkoczem po izbie, błysnęła oczami na ojca. — Nie ruszajcie mnie...

— Co to: nie ruszajcie? Moja wola... Zgnie- wam się, to za pastucha wydam.

— Lepiej świnie z kimkolwiek paść niżli wiednać tu dla waszej głupoty...

Iwan Artiemicz rzucił w Sańkę drewnianą solniczką. Nie chciało mu się podnosić do bicia. Sańka jęła zawodzić bez łez. Tymczasem zapukano w bramę tak głośno, aż Iwan Artiemicz otworzył usta. Brytany poczęły szczekać. — Sania, zobacz.

— Boję się, idźcie sami...

— No, już ja tych pukaczy... — Iwan Artiemicz wziął z sieni miotłę, wyszedł na podwórze. — Ja was, bezwstydnicy... Kto tam? Psy spuszczyć...

425

— Otwieraj! — wołano wściekle za bramą, deski trzeszczały.

Browkin przeląkł się. Pospieszył do furtki — ręce mu się trzęsły. Ledwie odwalił zasuwę — brama rozwarła się i wjechali jeźdźcy, wspaniale odziani, z obnażonymi szablami. Za nimi złocona karetka, zaprzężona w cztery konie, na tylnym koźle Etiopy-karły. Za karetką, w dwukółce — car Piotr i Lefort, w trójgarniastych kapeluszach i opończach od błota. Tupanie, śmiech, krzyki...

Browkinowi podcięło nogi. Podczas gdy klęczał, jeźdźcy zeszli z koni, z karety wysiadł książę-papież, obrzmiały, senny, odziany z niemiecka, a za nim — młody bojarzyn w srebrzystym kaftanie. Piotr wszedłszy z Lefortem na ganek krzyknął basem:

— Gdzie gospodarz? Dawaj go tu żywego albo martwego!

Iwan Artiemicz zwilżył portki. Spostrzegli go. Mieńszykow i syn Aloszka podbiegli do niego, podnieśli, przyciągnęli na ganek. Trzymali go pod ręce, aby nie klękał. Zamiast bicia albo czegoś jeszcze gorszego Piotr zdjął kapelusz i nisko mu się uklonił.

— Witaj, ojcze, teściu. Zwiedziliśmy się* że masz piękny towar. Przywieźliśmy kupca. Nie będziemy się bardzo targowali...

Iwan Artiemicz milczał z otwartymi ustami- Przez głowę przebiegały szalone myśli: „Może wykryto jakieś hultajstwo, trza milczeć, milczeć...” Car i Lefort zaśmiali się, a reszta krztusiła się ze śmiechu. Aloszka zdołał

ojcu

426

szepnąć: — Przyjechaliśmy swatać Sańkę. — Choć już po śmiechu Iwan Artiemicz domyślił się, że nie sprowadzili mu nieszczęścia, ale wołał dalej udawać durnia. Wielkiego rozumu był chłop... A więc jak nieprzytomny ze strachu wszedł z gośćmi do izby. Usadzono go pod obrazami, car z prawej strony, z lewej — książę-papież. Szczeliną między powiekami Browkin badał: kto narzeczony? I nagle zamarł w rzeczy samej: między družbami — Aloszką i Mieńszykowem — siedział w srebrnym kaftanie jego dawny pan, Wasilij Wołkow. Iwan Artiemicz dawno już wypłacił się z poddaństwa, a teraz mógłby Wołkova całego z ojcowizną i chłopami kupić. Ale nie głowa — przstraszył się chłostany tyłek.

— Nie podoba ci się narzeczony czy co? — zapytał nagle Piotr.

Znowu śmiech... Usta Wołkowa wykrzywiły się pod zakręconymi wąsikami. Mieńszykow mrugnął w stronę Piotra.

— Może przypomniał sobie jakie stare krzywdy? (Mrugnął do Browkina.) Może narzeczony kiedyś darł cię za łeb? A może biczysko połamał na tobie? Przebacz mu, w imię Chrystusa... Pogódźcie się...

Co na to odpowiedzieć? Ręce, nogi drżały... Patrzył na Wołkova, który był blady, pokornie spokojny. Nagle przypomniał sobie, jak na dziedzińcu w Preobrażeńskim Alosza ujął się za nim i jak Wołkow biegł po śniegu za Mieńszykowem i błagał, czepiał się, omal nie płakał...

427

„Ehe! — pomyślał Iwan Artiemicz — widać, nie ja tu jestem główny dureń...” Spojrzał na Wołkowa i tak się ucieszył, że omal nie popsuł całej sprawy. Ale już wiedział, czego się po nim oczekuje: niebezpiecznej zabawy — przejść po żerdzi nad przepaścią... No, dobrze!

Wszyscy patrzyli na niego. Iwan Artiemicz niepostrzeżenie przeżegnał pępek pod stołem, skłonił się Piotrowi i księciu-papieżowi.

— Bóg zapłać za honor, swatowie... Wybaczcie, w imię Chrystusa, głupim wieśniakom, jeśliśmy czymkolwiek niechęcy was urazili. Jesteśmy, oczywista, ludzie handlowi, prości chłopci, nieuczenni. Gadamy zwyczajnie. Dziewka zasiedziała się w domu — całe nieszczęście... Radzi byśmy wydać choćby za ostatniego pijanicę... (Zerknął przerażony na Piotra, ale nic — car prychnął śmiechem jak kot.) W głowę zachodzimy, czemu to kawalerowie omijają naszą zagrodę? Dziewucha urodziwa, tyle że na jedno oczko ślepawa, przecie na drugie widzi. Że na liczku diabli groch młócili, to przecie liczko można zasłonić chusteczką. (Mroczne oczy Wołkowa wpijały się w Iwana Artiemicza.) No i nóżką powłóczy, głowa się jej trzęsie, bok trochę krzywawy... A więcej braków nie ma... Bierzcie, kochani swatowie, najdroższe dziecię. (Browkin rozpedził się tak, że sapał już i ocierał oczy.) Córkę moja, Aleksandro — zawołał głosem żalonym — wyjdź do nas. Alosza, idź po siostrę.. Byle jeno nie siedziała gdzieś w wygodce — słabuje brzuchem, o tym zabra-
czyłem, wybaczcie... Sprowadź narzeczoną...

Wołków porwał się od stołu. Mieńczykow przytrzymał go siłą. Nikt się nie śmiał — jeno Piotrowi drżał podbródek.

— Bóg wam zapłać, drodzy swatowie — mówił Browkin — narzeczonego spodobał nam się bardzo. Będziemy dla niego jak rodzony ojciec: za dobre kochali, a za winę ówoczyli. Czyli tam biczyskiem zmierzę, czyli wydrę za włosy — już nie pogńiewaj się, zięciuniu — do chłopskiej rodziny wchodzisz.

Wszyscy przy stole gruchnęli śmiechem, łapali się za boki. Wołków zacisnął zęby, wstyd palił mu policzki, oczy zaszyły łzami. Alosza wyciągnął z sieni opierającą się Sańkę. Zasłoniła twarz rękawem. Piotr zerwał się, rozsunał jej ręce. Śmiech ucichł — tak ładna wydała się Sańka: brwi niby strzały, oczy ciemne, rzęsy puszyste, nosek nieco zadarty, dziecięce wargi drżały, kołatały równiutkie zęby — rumiana niby jabłuszko. Piotr pocałował ją w usta, w gorejące policzki. Browkin krzyknął:

- Sańka, sam car, przyzwalaj!...

Odrzuciła głowę patrząc Piotrowi w twarz. Słysząc było, jak jej serce kołacze. Piotr objął ją za ramiona, podprowadził do stołu i wskazał palcem na Wasilija Wołkowa.

— A co — złego przywieźliśmy ci narzeczonego?

Sańka zgłupiała: wypadło zawstydzić się, a ta szalona wpatrzyła się w narzeczonego dyszącymi źrenicami. Nagle westchnęła i rzek

ła szeptem: — Oj, mamó kochana... — Piotr znowu porwał ją — by całować.

— Hej, swacie, nie uchodzi! — rzekł książe-papież. — Puść dziewczuchę...

Sańka schowała głowę w połę letnika. Alosza odprowadził ją ze śmiechem. Wołkow skubał wąsy — widać ulżyło mu na sercu. Książe-papież gadał przez nos:

— W ojcu naszym, Bachusie, kochajmy się wzajem, bracia... Prosimy o wódkę i zakąski.

Iwan Artiemicz połapał się, zakrzętnął. Na dziedzińcu parobcy chwytały kury. Alosza, uśmiechając się z miną skruszoną, nakrywał do stołu. Dobiegał załamujący się głos Sanki: — Matriona, przynieś klucze, są w izbie, pod czterdziestu męczennikami! — Piotr krzyknął na Wołkova: — Waśka, dziękuj za pannę! — Wołkow skłoniwszy się • pocałował go w rękę. Iwan Artiemicz własnoręcznie wniósł patelnię z jajecznicą. Piotr rzekł do niego bez uśmiechu:

— Dzięki za rozweselenie — ubawiłeś mnie. Ale, Wańka, pilnuj swego miejsca, nie zapędzaj się...

— Ojczy, czyżbym się ośmielił — gdyby nie twoja wola... a i tak dawno mam duszę na ramieniu... I

— No, no, znamy was, diabłów... A pośpiesz się z weselem — narzeczony niedługo pójdzie na wojnę. Dla córki wynajmij dziewczkę z Kukuju — do nauki politesy i tańców. Kiedy wrócimy z potrzeby, zabiorę Sańkę do dworu...

m

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W lutym roku 1695 na Kremlu diak Dumy Winius ogłosił z ganku wszystkim dworzanom, szlachcie moskiewskiej i szlachcie prowincjonalnej, aby z pocztami swymi i drużynami zbierała się w Biełgorodzie i Siewsku u bojara Borysa Pietrowicza Szeremietiewa na potrzebę krymską.

Szeremietiew był doświadczonym i ostrożnym wojewodą. Zebrał do kwietnia sto dwadzieścia tysięcy szlacheckiego wojska, połączył się z małorosyjskimi Kozakami i ruszył wolno w dół Dniepru. Była tam stara twierdza Oczakow i tureckie gródki obronne — Ki- zikerman, Arslan-Ordek, Szachkerman, a przy ujściu Dniepru na wyspie — Zamek Sokoli, od którego przeciągnięte były do brzegów żelazne łańcuchy, zagradzające drogę na morze.

Ogromne moskiewskie wojsko doszło do gródków i oblegało je przez całe lato. Mało pieniędzy, broni, brak armat, pisano do Moskwy o każdy drobiazg. Mimo to udało się w sierpniu wziąć szturmem Kizikerman i dwa inne gródki. Z tego powodu w kwaterze Szere-

mietiewa wydano wielką ucztą. Każdemu toastowi towarzyszyły strzały armatnie w okopach, ku wielkiemu strachowi Turków i Tatarów. Gdy w Moskwie dowiedzieli się o zwycięstwie, westchnęli z ulgą: — Nareszcie urwano choć kęs Krymu, zawsze to ho nor...

Tej samej wiosny, w tajemnicy, bez rozgłosu, dwadzieścia tysięcy najlepszego wojska — pułki Preobrażeński, Siemionowski i Leforta, strzelcy, żołnierze miejscy i rotty złożone z diaków — wsadzono koło mostu Wsieswiackiego na rzece Moskwie do barek, galer i łodzi i flotyła ta, rozciągnawszy się na wiele wiorst, popłynęła przy dźwiękach muzyki i armatnich strzałów na Okę, a stąd Wołgą do Carycyna.

Generał Gordon z dwunastotysięcznym oddziałem ruszył stepem na Czerkask.

Oba wojska szły pod twierdzę turecką Azow, nad Morzem Azowskim. Tu panowali Turcy nad drogami handlowymi na wschód i na żyzne stopy kubańskie i terskie. Dywersję pod Azow postanowiła rada wojenna, czyli konsylium, złożone z Leforta, Gordona, Arta- mona Gołowina i Piotra. Dla uniknięcia rozgłosu i aby nie robić Turkom zbyt wielkiego zaszczytu, rozkazano wojska tytułować Piotra bombardierem Piotrem Aleksiejewem. (No i hańba na wypadek niepowodzenia mniejsza.) W radzie długo namyślano się — komu powierzyć Moskwę? Lud był wzburzony. Bandy zbójców grasowały pod samą stolicą; drogi zarastały trawą, tak niebezpiecznie było jeździć. Straszny wróg, Zofia, siedziała w klasztorze Nowodewiczym, co prawda spokojnie, w milczeniu. Ale czy na długo?

Jednemu człowiekowi można było zaufać bez namysłu, jeden był wierny bez obłudy i jeden mógł utrzymać lud w strachu — Fiodor Juriewicz Romodanowski, książę-cesarz gier wojskowych i wszechbłazeńskiego soboru. Jemu też zdano Moskwę. By ludzie nie chichotali w rękawy z powodu przeszłości — rozkazano tytułować go bez żartów księciem- cesarzem i najjaśniejszym panem. Bojarzy przypomnieli sobie, że podobny wypadek zdarzył się sto lat temu, gdy Iwan Groźny, odjeżdżając do slobody Aleksandrowskiej, osadził w Moskwie półbłazna-półstraszydło, tatarskiego księcia Symeona Bekbulatowicza z tytułem cara Wszechrusi. Bojarzy przypomnieli sobie i poddali się. A ludowi było wszystko jedno, czy książę-cesarz, czy szatan-diabeł, wiedziano tyle, że Romodanowski nie zna litości i nie boi się krwi.

Bombardier Piotr Aleksiejew w płynął na czele flotyli na Lefortowej o wielu wiosłach galerze. W drodze doświadczyli utrapień. Łodzie, barki, galery, zbudowane przez kupiectwo i carskich gości, przeciekały i tonęły. Podczas mglistych wiosennych nocy błędzono po łachach, osiadano na mieliznach. W Niżnim Nowgorodzie wypadło przesiąść się na wołańskie barki. Piotr pisał do Romodanowskiego:

„Min her kenig... Jako za waszą cesarską mość powinniśmy przelać krew do ostatniej kropli, na co zostaliśmy posłani... O tutejszym uwiadamiam, że rabowie twoi, generałowie Artamon Michajłowicz i Franz Jakowle- wicz ze wszystkimi wojskami, z łaski Bożej, zdrowi... A zamierzają jutrzejszego dnia ruszyć w drogę. A spóźnili się dlatego, że niektóre statki po trzech dniach ledwie przyszły. Statki, co je robili kupcy, bardzo liche, niektóre ledwo przyszły. A żołnierstwa po dzień dzisiejszy zmarło niewiele. Za czym polecam się pod opiekę waszej szczodrobliwości. Wierny rab Najjaśniejszej Waszej Mości — Bom Bar Dier Peter”.

Nie zatrzymując się przepłynęli obok Kazania, gdzie rozlana rzeka dochodziła aż pod białe mury. Minęli Symbirsk leżący na wysokim brzegu i miasteczko Samarę, dla obrony przed koczownikami otoczone drewnianym częstokołem na wałach ziemnych. Za Saratowem trawiaste brzegi utonęły w omgleniu słonecznego światła, błękitna rzeka płynęła leniwie, ze stepu buchał żar jak z pieca.

Piotr, Lefort, Aleksaszka i książę-papież Zotow, zabrany z wojskiem na hulanki i pijaństwa — całymi dniami kurzyli fajki na wysokiej rufie galery. Patrzącemu na kilku- wiorstową karawanę statków błyskających uderzeniami wioseł mogło się zdawać, że to dalej ciągnie się wesoła gra wojskowa. Co to za twierdza ten Azow? I jak ją zdobyć? — tego dobrze nie wiedziano; na miejscu zoba

czy się lepiej... Książę-papież, pijaniuteńki a tkliwy, gadał zdzierając paznokciem łuski z fioletowego nosa:

— Doczekaliśmy się, synku... Dawnoż to uczyłem cię cyfr... Na wojnę płyniemy... Ach, ty, mój śliczny...

Lefort podziwiał wspaniałość i wielkość rzeki — bez końca i bez brzegów.

— Co tam król francuski, co tam cesarz austriacki — mówił — o, Peter, gdybyś jeno miał więcej pieniędzy... Sprowadzić jak najwięcej inżynierów z Europy, jak najwięcej oficerów, jak najwięcej mądrych ludzi... Jaki wielki kraj, dziki i bezludny kraj!...

Flotylla zatrzymała się w Carycynie. I tu rozpoczęły się nieszczęścia. Przygotowano wszystkiego pięćset koni. Żołnierze, sforsowawszy już sobie ręce wiosłowaniem, musieli sami ciągnąć armaty i wozy. Brakło chleba, jagieł, oleju. Zmęczone i głodne wojska szły trzy dni stepem do miasteczka Panszyna nad Donem, gdzie były główne składy żywności. Wielu ludzi zmarnowało się, zginęło. Myśleli, że odpoczną w Panszynie. Ale spotkał ich w drodze list stamtąd od bojarzyna Ticho- na Streszniewa, zawiadującego żywnością dla całej armii:

i, Panie bombardierze... Gorzki mamy żal z powodu złodziei dostawców. Kupcy Woronin, Uszakow i Goriezin zobowiązali się dostawić 15 000 wiader krupniku, 45 000 wiader octu i tyleż wódki, 20 000 jesiotrów solonych i tyleż leszczy, szczupaków i sandaczy, 10 000 pu

28*

435

dów szynki; masła i słoniny 5 000 pudów, soli — 800 pudów... Wydano dostawcom trzydzieści trzy tysiące rubli. Z tych pieniędzy połowę ukradli. Soli nie ma ani funta. Ryby prześmierdły — nie można wejść do śpichrza. Zboże zaprzało. Jeno — owies dobry, a siano również dobre dostawił kupczyk Iwan Browkin. Złodziejstwo to przyczyni smutku Waszej Miłości, a żołnierstwu niedoli. Bóg jeden może teraz zdziałać, by wasze sprawy wojenne nie stanęły w miejscu".

Piotr i Lefort, pozostawiając wojsko w tyle, pędzili do Panszyna. Niewielka stаницa na wyspie w środku Donu otoczona była dyszlami taborów niby spalonym lasem. Naokoło leżały wielkorogie woły, pasły się spętane konie. Lecz ani żywej duszy: pora poobiednia, wartownicy, stróże, żołnierze, woźnice — wszystko spało. Kopyta orszaku samotnie stukały nad Donem. Na wściekły okrzyk Piotra uniosła się spoza płota, z konopi, jakaś kudłata głowa. Drapiąc się chłop zaprowadził ich do chaty, gdzie mieszkał bojarzyn. Piotr szarpnął drzwiami, zabręczały przestraszone muchy. Streszniew spał na⁴ dwóch zestawionych ławkach, przykrywszy się cały wraz z głową. Piotr zerwał okrycie. Chwyił przestraszonego bojarzyna za rzadkie włosy, nie mógł mówić z wściekłości — plunął mu w twarz, ściągnął na ziemię, kopał butem w starczy, nalany bok...

Dysząc szybko, usiadł przy stole i kazał otworzyć okiennice. Wypuczyl oczy. Pod opalenizną — gniewne plamy na wychudzonej twarzy.

— Raportuj I... Wstań! — wrzasnął na Streszniewa. — Siadaj. Dostawców powiesiłeś? Nie? Dlaczego?

— Miłościwy panie. (Piotr tupnął.) Panie bombardierze. (Tichon Streszniew stękać się bał i kłamać się bał.) Niechże dostawcy oddadzą naprzód, co są winni wedle umowy, bo cóż ściągać od nieboszczyków...

— Wcale nie... Dureń... A czemu Iwan Browkin nie kradnie? Moi ludzie nie kradną. - a wasi wszyscy kradną. Wszystkie dostawy przekazać Browkinowi. Uszakowa, Woroni- na — zakuć w kajdany i do Moskwy, do Romanowskiego.

— Tak, gut — powiedział Lefort.

— Co tam jeszcze? Statki nie gotowe?

— Panie bombardierze, statki wszystkie gotowe... Onegdaj ostatnie przyszły z Woroneża.

— Chodźmy nad rzekę.

Streszniew w domowych safianowych butach, w nie przepasanej koszuli ruszył zgrzybiałym klusem za carem, krocącym jak na szczydach. Na lustrzanym zakręcie Donu stały w kilku rzędach niezliczone statki: łodzie, baty, wąskie kozackie barki z pławnikami trzciniowymi, galery z długimi dziobami, mające wiosła jeno na przodzie, z prostym żaglem i komórką na rufie. Wszystko nowe, prosto ze stoczni. Prąd je kołysał. Wiele było na pół zatopionych. Proporce zwisały w bez

ruchu. W słonecznym żarze pękało nieomalowane drzewo, błyszczały osmołowane burty.

Lefort, wysunąwszy nogę w żółtym botforcie, (patrzy) przez lunetę na flotyllę.

— Sehr gut,.. Statków mamy dosyć.

- Gut — powtórzył krótko Piotr. Drżały mu umazane ręce. I jak zawsze, Lefort wypowiedział jego myśl:

—Stąd zacznie się wojna.

— Tichonie Nikitiewiczu, nie gniewaj się — Piotr dziobnął płaczącego Streszniewa w brodę. — Wojska ładować od razu na statki. Nie mieszkać... Azow zdobędziemy najściem.

Szóstego dnia o świcie w chacie Streszniewa w tytoniowym dymie pisano list do księcia-cesarza:

„Min her kenig... Ojciec Twój, wielki monarcho, jego świętobliwość kir Anikita, presbiter burski arcybiskup, Wszechjaury i Wszechkukuju patriarcha, Jako i raby Twoje, generałowie Artamon Michajłowicz i Franz Jakowlewicz z towarzyszami — przy dobrym zdrowiu, a obecnie z Panszyna jedziemy w drogę również zdrowi. Zatrudnieni jesteśmy bezustannie w jarzmie Marsowym. Zdrowie Twoje pijemy wódką a także piwem...” Następowały mało czytelne podpisy: „Franczyszka Lefort... Olechszaska Mieńszykow... Fiedka Trojekurow... Pietruszka Aleksiejew... Artamoszka Gołowin... Warienoj Madamkln”.

Tydzień płynęli obok kozackich gródków

zbudowanych na wyspach na środku Donu, minęli Gołuboj, Zimowiejski, Cymłański, Razdory, Manycz. Na wysokim prawym brzegu ujrzeni wał, płoty i dębowe baszty Czerkaska. Tu rzucono kotwice i czekano trzy dni na pozostałe barki.

Ściągnąwszy flotyllę ruszono pod Azow. Noc była łagodna, ciemna, pachniało deszczem i trawą. Cykały pasikoniki. Nocne ptaki pokrzykiwały dziwnie. Na czołowej galerze Leforta nikt nie spał, fajek nie palono, nie żartowano, wolno pluskały wiosła.

Pierwszy raz Piotr odczuł w całej skórze dreszcz niebezpieczeństwa. Blisko, na brzegu, ciemność poruszała się, widniały jakieś zarysy. Wpatrując się słyszał szelest liści. Chwila jeszcze, a zabrzączy cięciwa tatarskiego łuku w ciemności. Podginały się palce nóg. Daleko na południu w chmurach łysnęła groźnie błyskawica. Grzmot nie doszedł. Lefort powiedział:

— Rano usłyszemy armaty generała Gordona.

Nad ranem niebo przejaśniło się. Kozak sternik skierował galere, a za nią całą flotyllę — na rzekę Kojsoję. Don został po prawej stronie. Podniosło się płomienne słońce, rzeka jakby wezbrała, brzegi odpłynęły, mgła na podmokłych łąkach rozwiewała się. Na przodzie za piaskami ukazało się znowu jaśniejące pasmo Donu. Na pochyłościach widać było płócienne namioty, wozy, konie. Powiewały flagi. Był to główny wojenny obóz Gor-

Idonaprzystań Młtiszewno piętnaście wiorst od Aftowń,

IMOif san i wystrzełił z arma iy na MóblG statku, pocisk skakał po wodzie jak piłfcfl« Zagrzmiały armaty I strzelby w dalej flotyli. Plot/ wołał załamującym się basenu Wio- liłujl Wlrmlujl - Wiesio Ohf)y nIci w Itiki# rznln Jerze pracowali ze spuszczoymi głowami.

W przystani MitifZiWfl wojsko wyladowywało się. Przemęczeni żołnierze zasypiali od razu im plasku, podoficerowie budzili leli kiju* ml, Wkrótce zabielały namioty, dymy ognlwk popłynęły nad r/.eką, Piotr, Lefort I (Jolowln z trzema lotniami Kossaków pędzili ze wzgó' r/n do obozu Włil'0WiwęfO Gordona w pO» Iowie drogi rlo AzoWfi, /. daltka nn kurhanie widniał pstry namiot (jenerała,

Na drodze legały konie przebito strzałnml* polMWiWti wozy, W piołunie tkwił nagi do pasn Talar kark w skrzepłej krwi, Koń Piotra zaczął clirapflć Idąc bokiem. Kozacy opowiadali)

« Ody tylko nasze tabory wyjdą % przy Stnml Talarstwo nadlatują ęłiiritirtl, Najnle* bezpieczniejsze miejsce,, Pnlrzcie pokazy Wall jinliajknml majączą za wzgóizaml. I" oni... Jeno patrzyć zaraz natią.

Jeźdźcy popędzili w stronę kurłianu. Prted namiotem Miał (iordori w stalowym pencefBUf w liałmle z piór orni, z perspektywą wspartą o bok, W pomarszczonej twarzy turowoló f powaga, Zagrały trąbki huknęły annały. Z kurhanu Wlcflć było jak rui dlonl zatoką

440

opromienioną Awlatłem zachodzącego słońca, wysmukło minarety I szarozółte mury Azowaj pogofzellsko przedmieścia spalonego przez Turków w dniu zbliżania nit; Hosjan; pod twierdzę na burych wzgórzach ciągnęły się łamano linie okopów i pięciokąty redut, W dali, w spokojnej zatoce/ stały pottfzfi0 nimi ty wojenne z opadłymi żaglami, Gordon Ja wskazał,

-• W zeizłym tygodniu Turcy podwieźli mor/urn z Kaffy półtora tysiąca (a n cza rów. Obecnie te okryty przyszły również z wojskiem. WzłęllAmy wczoraj językn • kłamie czy mówi prawdę W twierdzy sześć ty słęcy wojska I konnlca tatarska na stepie. Nie doznają braku morze należy do nich. (łodem Iwlwdzy nie weźmiesz,..

Zdobędziemy szturmem powiedział l efn/l machnąwszy rękawiczką.

Oolowln / pewnością siebie potwierdził;

- Weźmiemy na liura.,. Nie plmwszy- znn,

Piotr palrzył oczarowanym wzrokiem nn toń Morzn Azowsklego, na mu/y, nn Iskrząc* Alty półksiężyce minaretów* rin okryty, nu wspnlnały zachód słońen ukochane w dale (iństwie obrnzkl ożyły, oto widzi nn Jawie)f) nieznaną ziemię,

- No, a ty juk, Piotrze Jwnnowlczu? Cze "III milczysz? Zdobędziemy Azow?

Nalepy zdobyć odpowiedział Clordon szorstko, Aclą^ając zmarszczki pr/y war Mach,

441

Z namiotu wyniesiono mapę, rozłożono ją na bębnie. Generałowie pochylili się nad nią. Piotr oznaczał paznokciem miejsca, gdzie mają stanąć wojska: Gordon na środku, o pięćset kroków od twierdzy, Lefort — po lewej stronie, Gołwin — po prawej.

— Tutaj bateria dział oblężniczych, tu moździerz... Stąd poprowadzimy podkopy. Tak chyba, Piotrze Iwanowiczu?

— Można i tak, czemu nie —r odpowiedział Gordon. — Ale z tyłu będziemy mieli tatarską konnicę.

— Trzeba rozbić... Rzucimy na nich Kozaków...

— Tak, można i rozbić... — a powiadam — trudno będzie dostarczyć żywności z przystani Mitiszewa, posyłać z każdym transportem duże wojsko — to trudno.

— Słuchajcie no, generałowie, a czemu byśmy nie mogli dostarczać żywności łodziami?

Generałowie znowu powieszali peruki nad mapą. Gordon powiedział:

— Łodziami Jeszcze trudniej: Don zamknięty łańcuchami. Przy ujściu — dwie strażnice z bardzo mocną artylerią.

— Zdobyć strażnice. Panowie generałowie?...

— To mi dopiero: dwie strażnice! — roześmiał się Gołwin i zmrużył ładne, głupawe oczy patrząc w stronę szczytu okrągłej, zębatej wieży, widocznej za wzgórzami na zachodzie. Gordon pomyślawszy odpowiedział:

— Czemu nie, można zdobyć strażnice...

— No, z Bogiem, Piotrze Iwanowiczu. - Piotr przyciągnął Gordona za policzki i ucałował. — Jutro zwiń obóz i stawaj pod twierdzą. A my nie zwłócząc ruszymy wraz z całym wojskiem. Porzucą się z dzień albo ze dwa bomby i — do szturm.

Z okrętów tureckich dochodził słaby dźwięk trąbki — grano capstrzyk. Zatokę pokrywał cień wieczoru. Czerwieniły się jeszcze szczyty minaretów, ale i one gasły. W powietrzu sły- chać było jedynie suche cykanie pasikoników. Piotr wszedł do namiotu, w którym dwie świece paliły się na stole wspaniale nakrytym. Siedli na bębnach. Zadymił półmisek z baraniną. Piotr wsadził weń chciwie obie ręce. Lefort zdjawszy pancerz, by zabawa była swobodniejsza, lał wino węgierskie w cynowe kubki. Gdy spurpurowiały Gołwin ryknął: — Za pierwszego bombardiera! — pobiegło w ciemności od namiotu w dół, poprzez rzadki łańcuch żołnierzy: — Na wiwat! Na wiwat! — Od huku armat zakołysały się świece. — Doskonale! — krzyknął Piotr, Lefort śmiał się napelniając kubki.

— To piękne życie, Peter...

— Markietanki są w obozie, panie generale? — zapytał Gołwin, również zdejmując pancerz. Lefort i Piotr roześmieli się.

— W tej materii biegły jest Warienoj Ma- damkin...

— Posłać konnego po Madamkina.

Gordon, wzmocniony dwoma strzeleckimi pułkami, ruszył rano pod Azow. Czołowe sotnie kozackie klusem popędziły na szare wzgórze pod twierdzą — i wraz jęły osadzać konie. Kilku Kozaków popędziło z powrotem ku piechocie idącej czterema kolumnami, krzyknęli: — Tatarzy!... Baczość! Przygotować działa! — Z lewej strony wzniesienia rozwinęła się półksiężycem jazda tatarska. Tatarów było z dziesięć tysięcy. Pędzili coraz szybciej, wzbijał się coraz gęstszy kurz. Leciały strzały. Kozackie sotnie zmieszały się. Pojedynczy jeźdźcy, nachyleni nad karkami końskimi, galopowali z powrotem. Na próżno pułkownicy kazali machać buńczukami — cała kozacka ława popędziła w dół, nie dobywając szabel. Ale Tatarzy zachodzili już z prawej strony, kudłate koniki ich słały się po ziemi, krzywe szable młynkowały nad głowami. Wrzask. Kurz. Część Kozaków zawróciła na Tatarów. Starli się, skłębili. Podbiegała piechota, zaczęła się ustawiać w czworoboki. Strzelcy zaprzęgali się do dział. Półksiężyc tatarski zwierła się. Huknęły bezładne salwy. Warstwy dymu pokryły wzgórze. Przebiegł oszalały koń. Po ziemi toczył się Tatarzyn. Gwizdały pociski. Grzmiały salwy. Ludzie w zapamiętaniu strzelali, krzyczeli. Oficerowie miotali się. Całą wrzawę zagłuszył grzmot dział obłężniczych. Nikt nie mógł odróżnić — kto kogo bije. Nagle coś się stało, wszyscy poczuli ulgę. Dym zniosło, nie było widać ani Tatarów, ani Turków.

Rzucały się jeno ranne konie, a na burej ziemi widać było mnóstwo ciał, nieruchomych lub wijących się. Na przodzie, na wzgórzu, widniał na karym koniu generał Gordon. Żelazne plecy błyskały. Perspektywa wsparta o bok. Mała siwa głowa wystawała z pancerza jak kulka — zerwało mu z głowy hełm. Machnął z wolna szpadą i stępa zjeżdżał ze wzgórza w stronę Azowa. W wojskach krzyczano: — Naprzód, naprzód, śmiało!...

Oddział Gordona sypał szańce w pobliżu twierdzy i rzucał zasieki. Turcy z murów strzelali z armat do obozu, przyczyniając wielkiego strachu, gdy bomba padła sycząc i kręcąc się, pułkownicy, oficerowie, dworzanie, różny pałacowy lud padał twarzami do ziemi zakrywając się wyłogami... Bomby te — już nie garnki z grochem z gier wojskowych — wybuchały z takim grzmiotem, tak wysoko wyrzucały ziemię, że pobladli wojownicy jeno żegnali się, niezdolni do niczego. Jeden Gordon, surowy i spokojny, chodził po obozie nie zwracając uwagi na groźne poświsty kul i pokrzykiwał na żołnierzy, żeby nie kłaniali się tureckim piłkom.

— Za ukłony będę karał... Niedobrze bywać tchórz. Schande, Schande, wstyd! A jeszcze rosyjski soldat...

Jak przepowiadał, źle było z dostawą żywności, a zwłaszcza z wodą do picia. Tatarzy okrutnymi najściami rozbijali tabory ciągnące z przystani Mitiszewa. Lekka jazda tatarska była nie do pobicia — nie przyjmując

bitwy zasypywała Rosjan strzałami i uciekała w step. Nareszcie obóz wykończono, ludzie kryli się przed pociskami w głębokich okopach. Wojska Leforta i Gołowina dopiero po czterech dniach stanęły na pozycjach — z biciem w bębny, z muzyką, z rozwiniętymi sztandarami.

Piotr kroczył poważnie na czele bombardierskiej rotacji, w której jako szeregowcy szli: Mieńczykow, Alosza Browkin, Wołkow i sprowadzony niedawno sprawny puszkarz, Holender Jakub Jansen. Przed Piotrem walił nogami i bił w miedziane talerze ogromny człowiek z niedźwiedzim nosem i grubymi wargami — nowy kompan cara, litaurnik, przezwiskiem Warienoj Madamkin, dziwny i pijanica, jakiego świat nie widział.

Piotr z częścią bombardierów przeszedł do obozu Gordona (wojska Leforta na lewym skrzydle, Gołowina na prawym — okopywały się pośpiesznie). Reduty, zabezpieczone faszy- ną i workami z ziemią, wychodziły na pięćset kroków pod mury twierdzy. Stąd widać było na blankach murów fezy i świdrujące oczy tureckich strzelców. Piotr wsparł się o ramię Aleksaszkii i wyskoczył na faszy- nę. Gordon chwycił go gwałtownie.

— Achtung! Uwaga!

Długa lufa strzelby wysunięta ze strzelnicy pykała dymem, luneta wypadła z rąk Piotra. Zeskoczył do okopu i pochylił się. Rzucili się ku niemu. Wyszczerył zęby w zapiekłym uśmiechu.

— Diabli! Psy! — powiedział z trudnością. — Daj lont..,

Bombardierzy wytoczyli krótki miedziany moździerz, patrzący lufą w niebo. Piotr umiejętnie (biegając żenicami po ludziach) włożył ładunek prochu, podrzucił w rękach dwu- dziesiętofuntowy pocisk, poprawił zapal, wsunął do moździerza. Przysiadł i wycelował.

— Z Bogiem, pierwsza... Na bok...

Moździerz rzygnął płomiennym obłokiem.

Okragła bomba poszła ostrym łukiem i upadła w pobliżu murów. Turcy wysunąwszy się z otworów wykrzykiwali obraźliwe słowa. Piotr spurpurowiał. Wytoczono mu drugi moździerz.

Pod wysokimi murami Azowa wstyd było nawet wspominać o niedawnych przechwałkach — „zdobędziemy twierdzę szturmem”. Armia obleżnicza, zbudowawszy reduty, ustawiwszy baterię, bombardowała twierdzę już od dwóch tygodni. W mieście raz po raz wybuchały pożary. Runęła jedna z baszt wartowniczych (z tego powodu w ziemiance Piotra była wielka hulanka). Ale Turkom przybyła pomoc od morza na dwudziestu galerach. Pożary gaszono. Nocami janczary pelzli jak żmije do okopów Rosjan i krzywymi nożami zarzynali wartowników. A mury w dalszym ciągu pozostawały rozpaczliwie niedostępne. Najgorzej było z dostawą żywności. Na konsylium generałowie postanowili zwo

łać ochotników, obiecali po dziesięć rubli za zdobycie strażnic. Zgłosiło się dwustu Kozaków dońskich, do pomocy dano im pułk żołnierzy, w nocy Kozacy przedostawszy się do baszty stojącej na lewym brzegu próbowali wysadzić bramę — nie udało się, rozbili łomami mur i wdarli się do środka. Znajdowało się tam około trzydziestu Turków. Czterech zarąbano, pozostałym skrupowano ręce. Zdobyto piętnaście armat. Strzelano z nich przez Don do drugiej strażnicy tak skutecznie, iż Turcy uciekli z niej również. Stała się wielka rzecz: Don był wolny. W obozach odprawiano nabożeństwa, na ucztę przybył z Mitisze- wa książę-papież.

Wtem nieoczekiwanie spadło wielkie nieszczęście. Dni były upalne. Koło południa ludzie włożyli się jak ugotowani, szukając cienia. Nie chciało im się bić, nie było żadnej zawziętości. Roznoszono w kociołkach kapuśniak z suszonymi rybami, żołnierzom wydawano po czarce wódki. Ogromne słońce zalewało nieznośnym żarem, pasikoniki cykały, muchy lgnęły, odchody śmierdziały, zdawało się, że mury i wieże twierdzy chwieją się z upału. Starodawnym obyczajem cały obóz wypoczywał po obiedzie — rosyjska armia od generała do kuchcika zasypiała, chrapała. Kiwali się senni wartownicy.

O takiej sennej godzinie znikł bombardier holenderski Jakub Jansen. Zauważył to najpierw Piotr, gdy wyszedł koło drugiej z ziemianki, ziewając i mrużąc oczy przed oślepiającym światłem. Onegdaj szykowali się do obalenia minaretu trzema bombami. Jansen dowodził, że obali. Piotr krzyknął:

— Diabeł go porwał czy co?

Obszukano cały obóz. Jeden z żołnierzy

mówił, jakoby widział człowieka w czerwonym kaftanie, z workiem wyładowanym rzeczami, biegnącego do twierdzy. Piotr z prędkości dał żołnierzowi w gębę. Ale rzeczywiście w ziemiance nie było rzeczy Janse- na... Uciekł do Turków? Następnego dnia rozkazano we wszystkich pułkach rzucić na przekłętą Holendra kłatwę. Gordon, bardzo zaniepokojony zdradą, zażądał zwołania konsylium i oświadczył, że w obozach Gołowina i Leforta prace umacniające prowadzi się aby zbyć, między obozami nie ma rowów łącznikowych i jeśli Turcy zrobią wycieczkę — zakończy się to klęską.

— Wojna to nie żarty, panowie generałowie. Odpowiadamy za życie ludzi. A my wszystko robimy niby dla zabawy i żartu.

Lefortowi wargi pobladły z gniewu. Obrażony Gołowin patrzył jak byk na Gordona. Ów zaś dalej żądał pośpiesznego uporządkowania linii obronnej.

— Na wojnie przede wszystkim trzeba się bać wroga, panowie generałowie.

— My się ich mamy bać?!

— Zgnieciemy ich jak muchę!

— O nie, panowie generałowie, Azow to nie mucha...

Generałowie jęli wymyślać Gordonowi od

tchórzów i psów. Gdyby nie Piotr, zerwaliby mu perukę. Tego samego dnia, w czasie gdy wojsko mocno spało po obiedzie, Turcy otworzyli bramę twierdzy i bez hałasu rzucili się właśnie na nie wykończone okopy na styku między obozami.

Półowę strzelców wyrżnięto we śnie. Inni rzucając strzelby i halabardy biegli do sze- snastodziałowej baterii, również umocnionej byle jak. Nie zdołano nawet wystrzelić armat: Turcy wyprzedzali uciekających strzelców, wdzierali się z krzywymi jatagami na redutę, pochyliwszy głowy, z wyciem natarli na zbitą kupę artylerzystów, gdzie syn Gordona, pułkownik Jakub, machał wyciorem ...

W obozach wszczęło się zamieszanie, strzelanina. Piotr stał na dachu ziemianki zaciskając pięści — chlipał z podniecenia. Krzyżeć, komenderować byłoby bez pożytku. Rozespani ludzie miotali się jak w gorączce. Ujrzał, jak przez wał obozu przelał Gordon z podniesionymi pistoletami. Biegł starczym kłusem na redutę — ratować syna. Za nim lunęła bezwładna kupa zielonych, czerwonych, niebieskich kaftanów. Na wale obozu Leforta wymachiwano rozpaczliwie chorągwią — stąd również kupą ruszono na pomoc. Całe pole pokryło się żołnierzami. Dym spowił zdobytą redutę — Turcy strzelali osłaniając odwrót} uprowadzali działa biegiem po pochyłości ku twierdzy. Staczali się z wałów reduty, ostrzeliwali się, oganiali się szablami

450

■PU

mi — czerwone szarawary migotały. Rozrzućeni po polu Rosjanie ścigali się teraz w nierówną linię, która szybko posuwała się za Turkami ku twierdzy. Z ziemianki, skąd patrzył Piotr, wszystko to podobne było do zabawy. Nasi górą!... Turcy, a za nimi Rosjanie — stoczyli się do fosy twierdzy.

— Konial — krzyknął Piotr. — Szturm! Trę- baczel

Tupał obcasami, ale nikt go nie słuchał. Obok pędził z oczyma zeszkłalymi Aleksaszka Mieńszukow. Chlasnął płazem konia — przesadził rów. — Hurral — ryczały jego rozwarłe wargi. Grzmiały bębny. Nagle coś się stało. Turcy dobiegli do muru. Brama rozwarła się. Wypadł tłum janczarów i ktoś na białym koniu, cały w czerwieni, w wielkim turbanie, rozłożył wzniesione ręce... Przez strzelaninę dobiegł ryk tak straszny, że Piotr się wzdrygnął. Rosjanie biegli już z powrotem, za nimi piesi i konni Turcy. Padali, padali... Piotr chwycił się za skronie... Znowu dojrzał Aleksaszkę: mknął do tego w czerwonym turbanie — zderzyli się... Kłęby dymu prochowego. Wybuchy bomb. Oszalałe konie. Ludzie rośną podbiegając, twarze zniekształcone przerażeniem... Przez przedplersia staczają się do okopu. Rozbici, rozbici...

Stracono w tej potyczce około pięciuset ludzi, pułkownika, dziesięciu oficerów i całą baterię. Przez kilka dni Piotr nie mógł patrzeć w stronę murów, gdzie Turcy szczyrzyli zęby. Aleksaszka chwalił się, przed kim mógł,

skiwawioną szpadą — o, Aleksaszka to był bohater... W obozach panował smutek. Masz tobie spaniel Lefort i Gołowin nie pokazywali się na oczy. W obozach ich widać było teraz jeno ziemię leącą z łopat.

Piotra zdumiało niepowodzenie. Chodził zasepiony, milczący, jakby dojrzał w ciągu tych dni. W głowie utkwilo niby klin: Azow mus[^] być zdobyty. Ze sławą czy bez sławy — choćby cała Rosja miała stanąć na czworakach — Azow będzie zdobyty I Wieczorami, siedząc przed ziemianką pod rozgwieżdżonym niebem, paląc fajkę, rozpytywał Gordona

o wojnę, o szczęście wojenne, o sławnych wodzów. Gordon mówił:

— Ten wódz szczęśliwy, który wojuje kaszą i łopata, który jest uparty i ostroszny. Jeśli soldat wieszty wodzowi i jest syty — soldat bije się odwasznie.

Piotr nie zabawiał się więcej strzelaniem z armat do twierdzy. Czas spędzał przy robotach ziemnych' w aproszach, którymi wojska krok za krokiem zbliżały się do twierdzy. Zrzuciwszy kaftan i perukę kopał ziemię, plótł faszynę, tutaj też jadł razem z żołnierzami.

Azow od strony rzeki położony był na wzgórk. Gordon poradził zbudować na wyspie naprzeciwko twierdzy szaniec z bateriami. Zgłosił się do wykonania tej niebezpiecznej pracy Jakub Dołgoruki, człek zajadły i uparty. Nie dbał o głowę, byle sławę zdobyć wojenną. Nocą z dwoma pułkami zajął wyspę i okopał się. Rankiem Turcy zrozumieli niebezpieczeństwo i zaczęli przeprowadzać silny oddział wraz z jazdą tatarską przez Don, na prawy brzeg, aby stąd wypędzić Rosjan z wyspy. Gordon prosił generałów, by wspomogli Dołgorukiego, i nie czekając ruszył z armatami i jazdą, stanął za zasiekami, poniżej wyspy.

Turcy się przestraszyli, zatrzymali się. I tak stali — Gordon na lewym brzegu, Dołgoruki w strachu na wyspie, Turcy w niepewności — na prawym. Lefort i Gołowin zwlekali, wreszcie postanowili nie opuszczać obozu: obaj mieli Gordona po gardło... „Niech sobie sam < da radę...”

Piotr z reduty obserwował ruchy wojsk i podobnie jak wszyscy nie rozumiał, co się dzieje. Bał się wmieszać do sprawy. Nagle jazda tatarska rzuciła się do wody, janczarzy płynęli trzymając się ogonów końskich. Tatarzy ruszyli w step, Turcy — z powrotem do twierdzy. Gordon powrócił z muzyką i rozwiniętymi sztandarami. Bitwę wygrano bez strzału.

Wysoko poleciały bomby na Azow, widoczny jak na dłoni, burząc domy, wznecając pożary. Widać było, jak mieszkańcy ratowali życie uciekając pod mury. W rosyjskim obozie zapanowała radość. Znowu poczęto mówić o szturmie. Lecz i tym razem Gordon powstrzymał od nierozsądnych usiłowań: radził spróbować — może komendant twierdzy, Mur- toza-pasza, podda się na dobrych warunkach.

Po silnym bombardowaniu, gdy cały Azow zaczął dymić — wysłano dwóch Kozaków z pismem do paszy. Czekano, co będzie: Kozacy podeszli pod mury, machali czapkami i pismem, wpuszczono ich bramą, ale wkrótce wyrzucono niegodnie... Carskich posłów Pi- smó przynieśli z powrotem. Ręką Jakuba Jan- sena dopisane tam były po rosyjsku szpetne słowa.

W namiocie Gołowina Gordon przekonywał na próżno, że wedle nauki wojennej należy najprzód podejść pod mury twierdzy aprosza- mi i zrobić w nich wyłom, a dopiero potem ruszyć do szturm. Nie chciano go słuchać. Generałowie siedzieli przy szklankach wina. Piotr, objąwszy głowę rękoma, drapał się, patrzył na świecę: już słyszał dźwięki zwycięskich trąb na murach Azowa. Gordon stukał szpadą.

— Przesławny marszałek Kondeusz miał zawsze we zwyczajach...

— Kondeusz, Kondeusz — przerwał przez nos Gołowin — mam gdzieś twego Kondeu- sza.

Zmitrężyliśmy jeno przez ciebie czas i cześć carską dali w poniewierkę.

Lefort bezczelnie śmiał się Gordonowi w oczy. Piotr uporczywie żądał natychmiastowego ataku. Szturm wyznaczono na piątego sierpnia.

Wezwano ochotników. Oficerom obiecano po dwadzieścia pięć rubli, żołnierzom — P^o dziesięć za wzięcie armaty. Popi pułkowi na nabożeństwach skłaniali żołnierzy do poświęceń. W strzeleckich i żołnierskich pułkach ochotników nie było. Odwracali się ponuro plecami: „Znaleźli głupców, co głowę nadstawia...” Lecz dońscy Kozacy posłali do Piotra esaulów z oświadczeniem, że półtrzecia tysiąca Kozaków wdrze się na mury, a gdyby potrzeba było — to i więcej się znajdzie, byle jeno pozwolono im grabić Azow choć przez jeden dzień.

Piotr, a z nim generałowie uścisnęli esaulów, obiecali oddać im twierdzę na trzy dni. Do pomocy wyznaczono pięć tysięcy strzelców i żołnierzy. W nocy przed szturmem Gordon wszedł do ziemianki, w której Piotr ssał fajkę nad wojskową mapą w świetle ogarka.

— Mówiłeś z żołnierzami? No co, Piotrze Iwanowiczu — zaczynamy w imię Boże?...

Gordon usiadł trzymając hełm na kolanach. Starzec był zmęczony. Siwa szczecina, na zapadłych policzkach. Oddychał z trudnością, otwierając usta z dużymi żółtymi zębami, z których dwóch brakowało na przodzie. Patrzył z przyjaznym smutkiem na pewnego siebie młokosa. A może tak być powinno, by młodość szła przebojem...

— Zimą zaczniemy budować wielką flotę w Woroneżu — powiedział Piotr podnosząc zaczerwienione oczy. — Jutro trzeba wziąć Azow, Piotrze Iwanowiczu. (Wskazał cybuchem niewielką zatokę na zachód od ujścia Donu.) Patrz... Tu zbudujemy drugą twierdzę. W ciągu zimy Turcy nie wysuną nosa na Mo

rze Azowskie, a na wiosnę przyplniemy tutaj z wielką flotą... Patrz — nad cieśniną Kercz wybudujemy twierdzę, i całe morze nasze... Budujemy morskie okręty i — na Morze Czarne. (Cybuch latał po mapie.) Tutaj jesteście już swobodni. Krym będziemy zdobywać z morza. Krym — nasz. Pozostają Bosfor i Dardanele. Droga wojenną lub pokojową przebijemy się na Morze Śródziemne., Zasypiemy jedwabiem i pszenicą... Patrz — co za kraje: Wenecja, Rzym... A oto patrz: Moskwa — drogą wodną powieziemy towary do Carycyna, a tutaj, gdzieś szli do Panśzyna, na przesmyku, przekopimy kanał do Donu. Prościu- sieńko: Moskwa-Rzym. He! Wówczas zostaniemy kupcami! Piotrze Iwanowiczu, czy zdobędziemy Azow?

Gordon pomyślawszy odpowiedział:

— Nie wiem dobrze... Widziałem żołdat... Dużo bardzo głupich — myślą, że można iść do szturm bez drabin. Na wielu twarzach widziałem niepokój, a nawet zgnębienie. Ale powiedziałem: kiedy wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one, kto się zgłosił, musi pójść, tchórzów będę rozstrzeliwał. Zresztą, wszystko przygotowane — drabiny, faszyna i ręczne bomby. Będziemy prosić Boga o pomoc...

Piotr nie był spokojny. O godzinie pierwszej zbudził Mieńszykowa i popędzili razero do obozu kozackiego. Było tam cicho. Kozacy spokojnie spali na wozach. Na spotkanie wyszedł ataman — z ogoloną głową, czerstwą twarzą, biegającymi oczyma. Posadził Piotra na siodle przy ognisku, sam siadł po turecku. Kozacy stłoczyli się koło nich. Przyniesiono suszonych ryb i wódki. Zaczęła się pogawędka śmiała, kpiarska. Kozacy, widać, nawet diabła by się nie ulękli. Przeciskając się do ogniska Oświetlającego czarne brody i zuchwałe twarze, mówili wśród uśmieszków:

— Kozactwo to sam rdzeń, sam trzon ludu... A co o nas wiedzą w Moskwie? Żeśmy rozbójnicy... Dopiero ci... Przyślą do nas wojewodę, to on od nas więcej rozboju czyni. Dobrze, żeś do nas przyszedł, miłościwy panie. Przyjrzyj nam się dobrze. Czy wyglądamy na kpów? Kozacy to orły! Ho! Ho! Trzeba o nas dbać...

Gdy wschód pozieleniał, przez obóz przeleciały niegłośne okrzyki. Sotnie zaczęły przechodzić przez wał — Kozacy jak koty kryli się w ciemnym polu, w pobliżu nadbrzeżnych murów twierdzy. Inni siadali do barek. Nieśli postronki z hakami, lekkie drabiny. Obóz pustoszał bez hałasu.

Na ogromnym niebie blakły gwiazdy. Zapiały obozowe koguty, wczesny ranny wietrzyk obejmował dreszczem plecy. Na północy błysnęło krótkie światło, huknęła armata. To pułki generała Gordona — Butyrski i Tam-bowski, ruszyły do szturm.

Wedrzeć na mury udało się jeno butyrczy- kom i tambowczykom. Idący za nimi strzel

cy zobaczywszy wściekłą rzeź, słysząc jęki i zgrzyt żelaza, przestraszyli się i zalegli wiśniowe sady spalonego przedmieścia. Kozacy z determinacją natarli od strony rzeki, ale drabiny ich były za krótkie, Turcy rzucali z góry kamienie, lali gorącą smołę. Kozacy wrócili z niczym do obozu. Szturm był odparty.

Gdy słońce wstało, ujrano mnóstwo trupów pod twierdzą. Turcy zrzucali Rosjan z murów, rozkołysawszy ich uprzednio — trupy staczały się do fosy. Zginęło przeszło półtora tysiąca ludzi. W okopach żołnierze wzdychali:

— Wczoraj żartowaliśmy sobie z Waniusz-ką, a dziś go tam ptaki dziobią...

■ — I po co leżymy do Turków... Cośmy tam zgubili...

|| — Czy to my możemy prowadzić wojnę... Wszystkich wytluką...

— Sami generałowie wrócą do Moskwy...

Generałowie zeszli się do cara w namiocie

Gołowina. Gordon był smutny i milczący. Lefort tłumił ziewanie z miną znudzoną, nie patrzył w oczy.

Zgnębiony Gołowin stał ze spuszczoną głową. Jeny przybyły z carem Mieńszykow zachowato ujmował się pod boki — głowę obwiązał szmatą, szpada znowu skrwawiona: był na murach. Diabeł! — śmierć się go nie miała.

Piotr siedział sztywny, zgniewany. Generałowie stali.

— No? — zapytał. — Co powiecie, pano

wie generałowie? (Lefort niepostrzeżenie ścisnął Gordona za łokieć. Gołowin beznadziejnie machnął dłońmi.) Zhańbiliśmy się doszczętnie? Cóż, zaniechać oblężenia?

Milczeli. Piotr pukał paznokciami, muskuł na policzku mu drgał. Mieńszykow zbliżył się do stołu — oczy miał zuchwałe... Podniósł rękę.

— Piotrze Aleksiejewiczu, pozwól... Nie mam rangi, aby tu mówić. Ale sam byłem na murach. Agę przebiłem szpadą, oczywista... Powiem o ich obyczajach... Na Turka należy brać naszych żołnierzy — pięciu na jednego. Tacy zawzięci aż strach. Już mam agę na szpadzie, a on, przeklęty, jeszcze kwiczy ze złości jak kiernoz i zębami za ostrze chwyta. A uzbrojenie mają zdatniejsze od naszego, jatagan to brzytwa; ty jego szpadą albo ber- dyszem — a on ci przez ten czas trzy razy głowę zetnie. Dopóki murów nie przebijemy — dopóty Turkom nie damy rady. Mury trza burzyć. A żołnierzom zamiast długiego oręża wydać ręczne bomby i szable kozackie.

Aleksaszka poruszył brwiami i zachowato usunął się w cień. Gordon rzekł:

— Młody człowiek bardzo dobrze nam to wyłuszczył... Ale mury zburzyć można tylko minami, to znaczy, że należy prowadzić podkopy. A to bardzo niebezpieczna i bardzo długa robota.

— A my zjadamy resztę chleba — powiedział Gołowin. — Wszystkie zapasy są na wyczerpaniu.

— Czy nie warto by odłożyć do przyszłego «>ku? — przemówił Lefort z namysłem.

Piotr, odrzucony na siedzeniu, patrzył szklanymi oczami na niedawnych kompanów i przyjaciół.

— Generałowie, do... mamyl — zacharczał czerwieniejąc. — Sam pokieruję oblężeniem. Sam. Dzisiaj w nocy rozpocząć podkopy. Żeby mi chleba nie brakło... Będę wieształ... Wojna zaczyna się od dnia jutrzejszego. Aleksaszka, sprowadź inżynierów.

Do namiotu wszedł postarzały i nalany Franz Timmermann oraz wysoki, kościsty człowiek z rozumną szczerą twarzą, cudzoziemiec Adam Weide.

— Panowie inżynierowie — Piotr wygładził dłońmi mapę, przysunął świecę — do września należy wysadzić mury. Patrzcie, myślcie... Daję miesiąc czasu na podkop.

Podniósł się, zapalił fajkę od świecy i wyszedł z namiotu — popatrzeć na gwiazdy. Aleksaszka szeptał mu coś za ramieniem. Generałowie pozostali w namiocie, zmieszani niesłychanym zachowaniem się Bom Bar Diera.

Oblężenie trwało dalej. Turcy, pokrzepieni niepowodzeniem szturmów, nie dawali teraz spokoju ani w dzień, ani w nocy, niszczyli roboty, wdzierali się do okopów. Tatarska jazda krążyła w chmurach kurzu pod samym obozem. Rozbijali tabory. Dużo Kozaków ginęło w potyczkach z Tatarami. Armia rosyjska topniała. Ciągłe czegoś brakło. Od Mo-

rza Czarnego ciągnęły burzowe chmury — takich burz Moskwićini jeszcze nie widzieli: pioruny padały płomiennymi słupami, ziemia drżała od grzmotu, potoki deszczu zalewały okopy i lochy podkopów. Potem przyszły szarugi, nieoczekiwanie podkładała się jesień, armia nie miała ciepłej odzieży. Zaczęły grasować choroby. W pułkach strzeleckich szemrano... A dzień w dzień na coraz zimniejszej powłoce morza wyrastały żagle: Turcy otrzymywali posiłki.

Lefort niejednokrotnie próbował skłonić Piotra do przerwania oblężenia. Ale wola Piotra jakby skamieniała. Zrobił się srogi, ostry. Wychudł do tego stopnia, że zielony kaftan wisiał na nim jak na żerdzi. Przestał żartować. Księcia-papieża, który przyszedł pijany do obozu, obił trzonkiem łopaty.

Nikt nie sądził, aby można było pracować z takim natężeniem, jakiego żądał Piotr. Ale okazało się, że można. Inżynier Adam Weide zawiadomił w połowie września, że podszedł już pod sam bastion i robotnicy w podkopie słyszą jakieś szmery: czy aby Turcy nie prowadzą kontrminy? Wówczas sprawa przepadła. Piotr włożył z ogarkiem do podkopu i również słyszał szmery. Zdecydowano nie zwlekać i zaraz wysadzić choćby tę jedną minę. Założono osiemdziesiąt trzy pudy prochu. Wydano wojsku rozkaz szykowania się do szturmów. Trzema wystrzałami armatnimi dano

Żołnierzom. Piotr podpałił lont i pobiegł w głąb obozu — za nim Aleksaszka i Warie- noj Madamkin. Turcy uciekli z murów do wewnętrznych umocnień. Zrobiło się niezwykle cicho. Jeny kruki krakały lecąc za Don. Nagle koło muru twierdzy wznosił się pagórek ziemi i rozległ ciężki grzmot: z rozerwanego pagórka wybuchł kosmaty słup ognia ziejąc dymem, ziemią, kamieniami, bierwionami, a po chwili wszystko to zaczęło padać na rosyjskie okopy. Wionął gorący wicher. Pałające bierwiona z sykiem leciały aż do środka obozu. O trzy kroki od Piotra padł Warie- noj Madamkin z rozłupaną czaszką. Koło stu pięćdziesięciu żołnierzy i strzelców oraz dwóch pułkowników i podpułkownik było zabitych lub rannych. Nieopisane przerażenie padło na wojsko. Gdy kurz się rozwiął, ujrza- no nienaruszone mury, a na nich zaśmiewających się do rozpuku Turków.

Do Piotra bano się podchodzić. Sam napisał (krzywo, przepuszczając litery, z kleksami) rozkaz, żeby najpóźniej do końca miesiąca przygotować ogólny szturm od strony łądu i wody. Kończono dwa pozostałe, nie uszkodzone podkopy. Wojsku rozkazano wypowiadać się i przyjmować komunię. I wszyscy przygotowywali się na śmierć.

Stale teraz widywano Piotra objeżdżającego obozy na kudłatym koniku. Trawa smagała jego chude nogi, na uszy naciskał wojłokowy kapelusz, zrudziały od deszczów. Z tyłu nieodmiennie na koniach: Mieńszykow z pi stoletami zatkniętymi za szarfą i Aleksy Browkin z muszkietem i perspektywą. Ludzie chowali się do okopów: nie tylko że słowa nie można było powiedzieć, ale nawet smutna mina mogła nie podobać się tym trzem dia- błom. Wzywają podoficera i — badanie. O byle co baty. Kilku strzelców mówiących między sobą, że „spędzili nas tu, aby rosyjskim mięsem tureckie kruki karmić”, Piotr zbił po twarzy i kazał powiesić w obozie na wzniesionych w górę dyszlach..

W nocy dwudziestego piątego sierpnia Piotr przepłynął na wyspę do Dołgorukiego, aby stąd śledzić przebieg bitwy. Żołnierze nie spali w żadnym obozie. Popi pułkowi siedzieli przy ogniskach — taki był rozkaz — wszędzie poruszały się wąsy podoficerów. O świcie w chłodzie porannym pułki wyszły w pole. Zagrzmiały dwa wybuchy. Płomienie przez chwilę oświetlały posepnie minarety twierdzy, wzgórze, rzekę, ludzkie twarze, oczy rozszerzone strachem... Rosjanie ruszyli do szturm.

Pułk Butyrski wdarł się przez wyłom w murze i walczył na wewnętrznych palisadach, rażony ręcznymi bombami. Preobrażeńcy i sie- mionowcy podpłynęli na łodziach, przystawili drabiny i ruszyli na mury. Turcy przebijali ich strzałami, kłuli spisami. Ludzie setkami walili się z drabin. Rozjuszeni wdzierali się klnąc wściekle zdławionymi głosy. Weszli. Sam Murtoza-pasza z wyjąłymi nieludzko janczarami rzucił się w wir bitwy...

Pozostałe pułki podeszły do murów, krzyczały i uwijały się, ale nie stało im determinacji, by iść na śmierć. Nie poszli. Strzelcy znowu nie wyszli poza wał. Wówczas Gordon kazał bić w bębny do odwrotu. Z butyrczyków połowa zaledwie wróciła z wylomu. Gwardziści walczyli przeszło godzinę, odpychając Murtoza-paszę, wdzierali się w wąskie ulice, gdzie spoza gruzów i pogorzeliisk leciały na nich strzały, bomby i kamienie. Ale nikt ich nie wsparł. Piotr szalał na wyspie, pędził gońców z rozkazem zawrócenia wojska, nowego szturmu na mury. Lefort, w złotym pancerzu z piórami, pędził ze zdobytym tureckim sztandarem wśród zmieszanych pułków? Gołowin jak oślepy walił ludzi odłamkiem kopii. Gordon sam stał na wale wśród strzały i kul — chrypiał i nawoływał. Wojska dochodziły do rowu i cofały się. Wielu rzucało strzelbę lub pikę, siadało na ziemi, zasłaniało twarz: zabijcie nas tutaj na miejscu, nie pójdziemy, nie możemy... Znowu bębny uderzyły do odwrotu.

Wszystko przycichło i w twierdzy, i w obozach. Ptactwo zlatywało się na stosy trupów. Na trzecią dobę w nocy przerwano oblężenie. Nie paląc ogni, po cichu zaprzęgnięto konie do dział i ruszono lewym brzegiem Donu: na przedzie tabory, potem — szczytki wojska, na tyłach — dwa pułki Gordona. W umocnionych strażnicach pozostawiono trzy tysiące żołnierzy i Kozaków.

Rankiem zerwał się huragan od morza. Don wzburzył się i pociemniał. Próbowano przepłynąć na krymską stronę i utopiono sporo wozów i ludzi. Armia maszerowała dalej brzegiem nogajskim w oczach Tatarów. Gordon musiał bez ustanku odpierać ich napady: odprzodkowywano działa, tworzone czworoboki i salwami odrzucano wroga. Mimo to zabłąkany nocą zaciężny pułk Swerta cały zginął pod szablami tatarskimi wraz z pułkownikiem i sztandarami; pozostałych przy życiu uprowadzono do niewoli.

Za Czerkaskiem Tatarzy cofnęli się, Rosjanie szli przez bezludny, nagi step. Dojadali ostatnie suchary. Nie było z czego rozpalić ognia, nie było gdzie ukryć się w noc przed zimnem. Napływały ogromne, jesienne chmury. Zadał północny wiatr, zaczęły się przymrozki. Ziemia zlodowaciała. Sypnął śnieg, zawyła zamieć. Żołnierze bosy, w letnich kaftanach wlekli się martwą białą równiną. Kto upadł — już się nie podniósł. Rankiem wielu pozostawało na biwakach. Za wojskiem szły wilki wyjąc poprzez zamieć.

Po trzech tygodniach dotarli do Wołujek — z armii pozostała zaledwie trzecia część. Stąd Piotr ze świtą pojechał naprzód do Tuły do fabryki broni Lwa Kirillowicz. Za carem wieziono dwóch Turków zabranych do niewoli i zdobytą sztandar. W drodze Piotr napisał do księcia-cesarza: „Min her kenig... Po powrocie i niezdobyciu Azowa konsylium panów generałów doradziło mi na przyszlą wojnę budować okręty,

galery, barki i inne statki. Które to prace od dziś będziemy prowadzić bez ustanku. A o tutejszym zawiadamiam, że ojciec wasz cesarzów, jego świętość Janikita, arcybiskup preszburski, Wszechjauzy i Wszechkukuju patriarcha, z rabami swymi z łaski Bożej trwa w najlepszym zdrowiu. Peter".

Tak niesławnie zakończyła się pierwsza kampania azowska.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I

Minęły dwa lata. Ci, co gardłowali — przygryźli języki, ci, co się śmiali, zamilkli. W owym czasie działy się rzeczy wielkie i straszne. Zachodnia zaraza niepowstrzymanie przenikała w sennie bytowanie. Głębiej zarysowywały się pęknięcia, wrogie siły stawały przeciw sobie coraz wyraźniej.

Bojarzy i szlachta, duchowieństwo i strzelcy bali się przemian (nowe sprawy, nowi ludzie), nienawidzili szybkości i twardości, z jaką wprowadzano nowinki... „To już nie świat, lecz szynk, wszystko łamią, wszystkich niepokoją... Kupczyk podłego rodu sięga po władzę... Nie żyją — śpieszą się. Car oddał rządy państwa w ręce lubieżników, dzierców, nie znających bojaźni Bożej. Staczamy się w przepaść...”

Ale ci, gminnego rodu a roztropni, którzy pragnęli przemian, którzy niby zaczarowani garnęli się do Europy, aby choć ziarno uszczknąć ze złotego pyłu otaczającego kraje zachodnie ci mówili, że nie zawiedli się na młodym carze; okazał się człowiekiem,

na którego czekali. Pod Azowem, wśród nieszczęść i hańby, kukijski hulaka od razu zmęźniał, niepowodzenie osadziło go wściekłym wędzidłem. Nawet najbliżsi nie poznawali go — inny człowiek: zły, uparty, rzeczowy.

Po azowskim niepowodzeniu wpadł na krótko do Moskwy, gdzie wszyscy podrwiwali:— To nie kozuchowska zabawa — i zaraz pojechał do Woroneża. Tu poczęto spędzać z całej Rosji robotników i rzemieślników. Jesiennymi drogami ciągnęły tabory. W lasach nad Woroneżem i Donem padały pod toporem odwieczne dęby. Budowano stocznie, składy, barki. Założono stępki dwu okrętów, dwudziestu trzech galer i czterech statków-branderów. Zima była mroźna. Wszystkiego brakło. Ludzie umierali setkami. Takiej niewoli nie ujrzyć nawet we śnie: uciekających łapano i zakuwano w kajdany. Zamieć kołysała na szubienicach zmarznięte trupy. Zrozpaczeni ludzie podpalali lasy naokoło Woroneża. Chłopi idący z taborami różni konwoje żołnierskie i zagrabiwszy, co można, uciekali — gdzie oczy poniosą... Po wsiach kaleczono się, odrąbywano palce, byle nie iść pod Woroneż. Cała Rosja stanęła okoniem — zaprawdę nadeszły czasy Antychrysta: mało było dotąd ciężarów, niewoli i pańszczyzny, teraz wlekli jeszcze do nowej, niezrozumiałej roboty. Klęła szlachta płacąc pieniądze na budowę okrętów, stękała patrząc na nie obsiane pola i puste stodoły. Nieprzychylnie szemrało duchowieństwo, zakonne i świeckie: władza jawnie przechodziła od nich do cudzoziemców i do wszelkiej nowo- zaciężnej, podle urodzonej hołoty.

Ciężko się rozpoczynał nowy wiek. Lecz mimo to flota została zbudowana przed wiosną. Z Holandii sprowadzono inżynierów i komendantów pułków. W Panszynie i Czerkaszkach zgromadzono duże zapasy żywności. Wojska uzupełniono. W maju Piotr na nowej galerze „Principium” na czele floty zjawił się pod Azowem. Turcy oblężeni od lądu i morza bronili się rozpaczliwie, odparli wszystkie szturmy. Gdy się skończyło wszystko zboże i proch, poddali się na parol. Trzy tysiące janczarów z bejem Hassanem Araslanowem opuściło zburzony Azow.

Przede wszystkim było to zwycięstwo nad swoimi — Kukuj pobił Moskwę. Wysłano natychmiast górnołotne pisma do cesarza Leopolda, doży weneckiego, króla polskiego. Nad rzeką Moskwą, przy podjeździe mostu Kamiennego, staraniem Winiusa postawiono portę, czyli bramę triumfalną. Na szczycie jej siedział orzeł dwugłowy wśród sztandarów i broni, a pod nim widniał napis:

„Bóg z nami, któż przeciw nam. Rzecz nigdy nie widziana”.

Dach bramy podtrzymywali złoceni Herkules i Mars, chłopcy na trzy sążnie każdy. Niżej — z drzewa i pomalowani: pasza azowski w łańcuchach i murza tatarski również w łańcuchach, pod nimi napis:

„Dawniej żeśmy po stepie hulali, a teraz ucieczką życie ratowali”.

Na bokach bramy namalowano na wielkich płótnach obrazy — bóg morza Neptun, z napisem: „Oto i ja wieszuję zdobycia Azowa i hołd składam”. A na drugim — jak Rosjanie biją Tatarów: „Ach! Azow myśmy stracili, nieszczęście na się ściągnęli”.

W końcu września chmury ludu pokryły brzegi i dachy: z Zamoskworieczja przez most i portę szła armia azowska. Na czele jechał szóstką koni książę-papież z mieczem i tarczą. Za nim śpiewacy, dudziarze, karły. Diacy, bojarzy, wojsko. Dalej prowadzono czternaście wierzchowców Leforta we wspaniałych rzędach. Sam Lefort w pancerzu, z planem Azowa w rękach, jechał po gołoledzi stojąc w carskich złożonych saniach. Znowu — bojarzy, diacy, wojsko, marynarze, nowi wiceadmirałowie: Lima i de Lozióre. Z wielką pompą, na greckim rydwanie, otoczony litaurzystami jechał przysadzisty, napuszony, z rozlaną wszere twarzą bojarzyn Szeina, generalissimus, obdarzony owym tytułem przed drugą azowską kampanią, by zatkać gęby bojarom. Za nim wleczono po ziemi szesnaście tureckich sztandarów. Prowadzono jeńca, bagadyra tatarskiego Ałatyka — mrużył skośne oczy i wściekle szczyrzył zęby — tłum gwizdał. Za pułkiem Preobrażeńskim wieziono na wozie w czterokonnym zaprzęgu szubienicę, a pod nią zdrąpcę Jakuba Jonsena z pętlą na szyi. Po obu stronach śledzieli dwaj kaci szczękając kleszczami i potrząsając biczami. Szli inżynierowie, majstrowie okrętowi, cieśle, kowale. Za strzelcami generał Gordon konno, następnie — jeńcy tureccy w całunach. Osiem siwych koni ciągnęło złoty wóz w postaci okrętu. Przed nim szedł Piotr w marynarskim kaftanie, w wołokowym trójganiastym kapeluszu ze strusim piórem. Podziwiano jego okrągłe oblicze i długie ciało — ponad miarę ludzką — a wielu, zegnając się, przypominało sobie straszne i tajemnicze wieści krążące o tym carze.

Wojska przeszły przez Moskwę do Preobrażeńskiego. Rozkazano bojarom spieszenie zjeżdżać tutaj na obrady. Na wielkiej Dumie obecni byli, wbrew obyczajowi, cudzoziemcy: generałowie, admirałowie i inżynierowie. Piotr rzekł mężnym głosem do bojarów:

— Jako że fortuna skroś nas bieży, która nigdy tak blisko na południe z nami nie chadzała — szczęśny, kto chwyta ją za włosy. Przeto uchwalcie, bojarzy: zburzony i spalony Azow odbudować na nowo i zaludnić wojskiem niemałym, a założoną w pobliżu przeze mnie twierdzę Taganrog sprawnie urządzić i zaludnić... A trzeba jeszcze — gdy poręczniej nam na morzu wojować niżli na lądzie — wybudować morski tabor w sile czterdziestu okrętów i więcej... Okręty budować z całym ekwipunkiem, z armatami i lekkim orężem, jak powinny być na wojnie. A robić je tak: patriarcha i klasztory po jednym okręcie na osiem tysięcy dymów chłopskich. Bojarzy

i wszystka szlachta — po okręcie z dziesięciu lysięcy dymów. Kupcy, sotnie kupieckie, sotnie czarne i przedmieścia wykonają dwanaście wielkich okrętów. A bojarzy i duchowieństwo, i szlachta, i kupcy zjednoczą się w kompanie, czyli towarzystwa, i ma być trzydzieści pięć kompani]...

Bojarzy uchwalili, chociaż wielu z nich oczy wylazły na wierzch, a szuby przepotniały. Kompanie rozkazano utworzyć przed grudniem pod grozą przepisania majątków i domostw na cara. Każda kompania obowiązana była utrzymywać prócz miejscowych cieśli i traczy jeszcze cudzoziemskich majstrów, tłumaczy, dobrych kowali, jednego snycerza i jednego stolarza dobrego, jednego malarza artystę i lekarza z apteką.

Następnie Piotr rozkazał przygotować pobór specjalnego podatku na budowę kanału Wołga-Don i kopać ów kanał niezwłocznie. Bojarzy rozłożyli ręce i uchwalili bez sprzeciwu. Ciężki był dla bojarów taki pośpiech, ale wiedzieli, że gadał czy nie gadał — Piotr wszystko sam naprzód postanowił. Z tronu nie przemawia, lecz łąje surowo, a jego wygoleni generałowie potrząsają tylko perukami... Och, jak srogol Naokoło Preobrażeń- skiego — obóz wojskowy: trąby, bębny, pieśni żołnierskie. I było widoczne, że Duma bojarska kiśnie tutaj jeno przez wzgląd na stary obyczaj — mało wiele, a car i bez niej się obejdzie.

Rzeczywiście, wkrótce dokonano wielkiej rzeczy bez uchwały bojarskiej, a zwykłą drogą: diak osobistej kancelarii cara i książę-papież napisali i przesłali przez żołnierzy pięćdziesięciu spośród najprzedniejszej moskiewskiej szlachty carski ukaz polecający jechać za granicę — uczyć się matematyki, fortyfikacji, budowy okrętów i innych rzeczy (bez czego, chwalić Boga, żyło się jakoś od czasów świętego Włodzimierza). W wielu domach w Moskwie wszczęły się jęki, ale bano się prosić o odwołanie lub też wykręcać chorobą. Młodzież zebrano, błogosławiono, żegnano się z nią jak na śmierć. Każdy z młodzieńców otrzymał żołnierza do osobistych usług i na posyłki i tak pojechali oni wiosennym bezdrożem do dalekich krain, pełnych pokus.

Wśród tych dworzan wyjechał Piotr Andriejewicz Tołstoj, zięć Trojekurowa. Gotów on był na wszystko, byle zatrzeć swój udział w buncie strzelców.

II

Zdobycie Azowa było czynem nader lek* komyślnym i niebezpiecznym: Rosjanie ścigali na się- wielką wojnę z całym imperium tureckim. A sił było zaledwie tyle, by się uporać z jedną małą twierdzą. Zrozumiał to doskonale Piotr i jego generałowie w czasie walk pod Azowem. Z poprzedniej kozuchowskiej zadzierzystości nie pozostało śladu. Nie myślano już nawet o dalszych zdobyciach —

było jeno utrzymać się na razie — na wypadek gdyby Turcy chcieli prowadzić wojnę z Rosją na morzu i na lądzie.

Należało z wielkim pośpiechem szukać sprzymierzeńców. Wrócić do ulepszenia i uzbrojenia armii i floty, przebudować i zadbać o doszczętnie maszynę państwową na nowy, europejski sposób i zdobyć pieniądze, pieniądze, pieniądze...

Wszystko to mogła dać jedynie Europa. Trzeba było tam posłać ludzi, i posłać tak, żeby Europa dała. Zadanie trudne, nie nadające się do odkładania na później. Piotr (wraz z najbliższymi) rozwiązał je z azjatycką przebiegłością: posłał się z całą pompą wielkie poselstwo, a car pojedzie z nim sam — przebrany jak na maskaradzie — w postaci uradnika pułku Preobrażeńskiego, Piotra Michajłowicza. Wyglądało to tak: „Uważacie nas za barbarzyńców zaściankowych, a my tymczasem, choć carowie i zwycięzcy Turków pod Azowem, jesteśmy ludzie niedumni, prości, łatwi, a zaściankowości mamy może nawet mniej niż wy — możemy spać na podłodze, jemy z chłopami z jednej miski i mamy tylko jedną troskę: rozwiązać jak najprędzej naszą ciemnotę i głupotę, nauczyć się u was, dobrodzieje...”

Obliczenie było, oczywiście, słuszne: gdyby z Rosji przywieziono dziewczkę z rybim ogonem, mniej by się ludzie zadziwili. Pamiętali, że jeszcze bratu Piotra oddawano cześć niemal boską. A ów dorodny olbrzym z oszpeconą drgawkami pluje na carską wielkość gwoli ciekawości do handlu i nauk. To nie do wiary, zadziwiająco...

Wielkimi posłami pełnomocnymi mianowano: Leforta, syberyjskiego namiestnika Fiodora Aleksiejewicza Gołowina, męża bystrego rozumu, znającego języki, oraz diaka Dumy, Prokofija Woznicyna. Z nimi dwudziestu moskiewskiej szlachty i trzydziestu pięciu wolontariuszy, wśród nich — Aleksaszka Mieńszykow i Piotr.

Odjazd się opóźnił z powodu nieoczekiwanej przykrości: wśród Kozaków dońskich wykryto spisek z pułkownikiem Cyklerem na czele, tym samym, który podczas pobytu Piotra w Trójcy pierwszy przyprowadził mu pułk strzelecki. Piotr nie mógł nigdy zapomnieć, że Cykler długo był jednym z najwierniejszych sług Zofii, i uparczywie nie dowierzał jego pochlebstwom. Po zdobyciu Azowa posłał Cyklera, by budował twierdzę w Tagan-rogu — dla ambitnego pułkownika równało się to zesłaniu. Stwierdziwszy na miejscu niezadowolenie wśród Kozactwa z powodu przymusowych robót — ich stepowa wolność ginęła w twardych rękach cara — Cykler z miejsca jął spiskować, mówiąc Kozakom: — W państwie teraz wielki nieład, bo car jedzie za morze i posyła jako wielkiego posła wroga naszego, cudzoziemca, przeklętego Leforta, i zabiera w drogę wielkie skarby... Car uparty* nie chce nikogo słuchać, trawi czas w bezczynnych zabawach, spycha wszystkich w nę

dżę i żalność, a pieniądze wyciąga bez potrzeby. Chodzi sam nocami do Niemki, łatwo by można go przyłapać i roznieść na nożach. A gdy się go zabije — nikt wam, Kozacy, nie będzie przeszkadzał; czyńcie, jak czynił Stieńka Razin. A jak to uczynicie, nawet mnie możecie na cara wybrać: jestem za starą wiarą i kocham prosty lud.

Kozacy zakrzyknęli: — Daj nam czas, gdy car odjedzie do Niemców — uczynimy, jak Stieńka Razin...

Pięćdziesiątnik strzelecki Jelizariew popędził, nie szczędząc koni, do Moskwy i zawiadomił o tym łotrostwie. Przy badaniu wykryto, że moskiewscy szlachcice Sokownin i Puszkina byli najbliższymi współnikami Cyklera i mieli związki z klasztorzem Nowodiewiczym. Piotr sam badał Cyklera, który upadłszy na duchu, w bólu i śmiertelnym umęczeniu opowiedział wiele nowego o dawniejszych morderczych zamysłach Zofii oraz Iwana Michajłowicza Miłosławskiego (zmarłego przed trzema laty). Znowu ukazywał się straszliwy cień Miłosławskiego z lat dziecięcych, ożywała nie dobita, znieawidzona przeszłość...

W klasztorze Dońskim rozbito grobowiec Miłosławskich, wzięto trumnę ze szczątkami Iwana Michajłowicza, rzucono ją na chłopskie sanie i dwanaście garbatych świń z długimi ryjami, kwicząc pod batami, powlokło trumnę przez gnojówki całej Moskwy do Pre- obrażeńskiego. Lud biegł tłumnie, nie wiedząc — śmiać się czy krzyżeć ze strachu.

Na majdanie żołnierskiej osady w Preobrażeńskim ujrano czworobok wojska z muszkietami u nogi — bębny huczały. Na środku rusztowanie, obok generałowie i Piotr konno, w trójgraniastym kapeluszu, w czarnej opończy. Ręka szarpała cugle — nawykły do tego koń stał spokojnie — noga wyskakując ze strzemienia wierzgała, blade oblicze wykrzywiło się, zarzucał głową jakby w śmiechu. Ale się nie śmiał. Otworzono trumnę. W na pół przegniłym złotogłowie niebieszczyl się czerep i rozpadłe dłonie. Piotr podjechał i plunął na szczątki Iwana Michajłowicza. Trumnę wciągnięto pod pomost. Przyprawdzono złamanych katuszami Cyklera, Sokownina, Puszkina i trzech urzędników strzeleckich. Książę- -papież, pijany do zamroczenia, odczytywał wyrok.

Cyklera pierwszego wciągnięto na pomost za włosy po spadzistej drabince. Zdarli zeń odzież, nagiego rzucili na szafot. Dysząc ostro, kat obciął ciężkim toporem prawą i lewą rękę — słyhać było, jak spadały na deski. Cykler począł kopać nogami — oprawcy na- siedli, wyciągnęli, odrąbali obie do pachwin. Krzyknął. Kaci unieśli nad pomostem kadłub ze zmierzwioną brodą, rzucili na szafot, ścięli głowę. Przez szczeliny pomostu krew lała się do trumny Miłosławskiego...

Rządy w państwie powierzono bojarom pod przewodnictwem Lwa Kirillowicza, Streszniewa, Apraksina, Trojekurowa, Borysa Golicyna i diaka Winiusa. Moskwa oraz sprawy buntów i rozbojów przypadły Romodanowstkiemu. W połowie marca wielkie poselstwo z Piotrem Michajłowem wyjechało do Kurlandii.

Pierwszego kwietnia Piotr pisał atramentem sympatycznym:

„Min her Winius... Dnia wczorajszego przyjechaliśmy do Rygi, chwalić Boga, w dobrym zdrowiu, przyjęto panów posłów z wielkimi honorami. Przy którym to wjeździe było strzelanie z dwudziestu czterech armat, gdyśmy do zamku wchodzili i wychodzili. Dźwięnę znaleźliśmy pokrytą jeszcze lodem i dlatego przymuszeni jesteśmy pozostać tu czas pewien. Racz pokłonić się wszystkim znajomym. A w przyszłości będę pisał sekretnym atramentem, potrzymaj nad ogniem — przeczytasz. A dla oka będę pisał czarnym atramentem, gdzie wypadnie, takie słowa: «Pokłoń się ode mnie panu memu generałowi i bij czołem, aby raczył nie opuszczać mego ubogiego domku». Reszta wszystko sekretnym atramentem, bo ludzie tutejsi wielce ciekawi”.

Na to Winius odpowiedział:

„...Ile że od pana posła nadzwyczajnego z towarzyszami nadeszła pierwsza poczta, wpadłem w pewną kompanię w onej godzinie i za zdrowie posłów i walecznych kawalerów, a najwięcej za carskie, tak sobie wszyscy podochocili, że Bachus z wnukiem swym Iwaszką Chmielnickim boki nadwężyli ze śmiechu. Generałowie i pułkownicy, i wszyscy naczelnicy, uradnicy i wszyscy żołnierze Waszej Miłości przesyłają pokłony. W kompanii pierwszej umarł dobosz Łuka. Etiop Haniabalka, dzięki Bogu, zachowuje się teraz spokojnie, spuszczone go z łańcucha, uczy się po rosyjsku. A w domach Waszych wszyscy są zdrowi! Po tygodniu do Moskwy przybył drugi list: „Her Winius... Dzisiaj pojechaliśmy stąd do Mitawy. A mieszkaliśmy za rzeką, która ruszyła w samą Wielkanoc. Tutaj żyliśmy jak niewolnicy i syciliśmy się jeno samymi oczyma. Kupcy chodzą tutaj w mantlach i zda się — dość rzetelni, ale z woźnicami naszymi, gdy zaczęli sanie sprzedawać, o każdą kopiejkę szpetnie się kłócą i przeklinają. Za konia z saniami dają dziesięć kopiejek. A jak co chcesz kupić, zdzierają trzykrotnie...”

Pokłoń się ode mnie panu memu generałowi i bij czołem, by raczył nie opuszczać mego ubogiego domku... (Dalej wszystko atramentem sympatycznym.) A gdyśmy jechali z Rygi przez miasto i zamek — stali na murach żołnierze, których było nie mniej niż dwa tysiące. Miasto ufortyfikowane nad podziw, jeno nie dokończone. Tutaj boją się bardzo, | do miasta i do innych miejsc nie puszczają

nawet z wartą, i mało przyjemni... A w kraju wielki głód — nieurodzaj".

I jeszcze po dwóch tygodniach:

„Dzisiaj pojedziemy stąd morzem do Królewca. Tutaj, w Li bawię, widziałem osobliwość, cp u nas by nazwali kłamstwem. U pewnego człowieka w aptece salamandra w szklanym słoju w spirytusie, którą wyjmowałem i brałem do ręki. Słowo w słowo taka, jak opisują: salamandra — zwierzę żyjące w ogniu. Woźniców wszystkich odesłaliśmy stąd. A którzy by woźnice zbiegli — każ odszukać i obić porządnie biciem wodząc po bazarze, a pieniądze z nich ściągnąć, żeby inni na przyszłość nie łotrowali".

IV

Przyjemny wiatr wypełniał cztery wielkie proste żagle na grotmaszcie i fokmaszcie i dwa proste dziobowe — na końcu długiego bukszprytu. Przechylony nieco na lewą burtę „Święty Jerzy" ślizgał się po wiosennym, słonecznym, szarym morzu. Tu i ówdzie widać było skruszałe kry, otoczone pianą. Na masywnej jak wieża rufie powiewała flaga brandenburska. Pokład okrętu był czysty, wyszorowany, błyszcząca wypucowana miedź. Wesołe fale biły w dębowego Neptuna na dziobie pod bukszprytem i wzlatywały tęczowym pyłkiem.

Piotr, Aleksaszka Mieńszykow, Alosza Bro-wkln, Wołkow i słabowity, o wielkiej głowią pop Bitka z przystrzyżoną brodą — wszyscy odziani w niemieckie ubrania z szarego sukna, w nicianych pończochach i juchtowych trzewikach z metalowymi sprzączkami — siedzieli na zwojach usmołowanych lin, palili w fajkach dobry tytoń.

Piotr wsparł łokcie na wysoko zadartych kolanach i mówił wesoło, dobrotliwie:

— Fryderyk, kurfirst brandenburski, do którego płyniemy do Królewca, nasz brat — u wascie, jak nas przywita... Jesteśmy mu bardzo potrzebni... Żyje w strachu: z jednej strony cisną go Szwedzi, z drugiej Polacy. Dowiedzieliśmy się już o tym. Będzie nas prosił o przymierze wojskowe — zobaczycie, chłopcy...

— O tym jeszcze pomyślimy... — rzekł Aleksaszka.

Piotr splunął do morza, wytarł koniec fajki o rękaw.

— Otóż właśnie, że nam to przymierze na nic się nie zda. Prusy z Turkami nie będą wojowały. Jenó ml, chłopcy, nie figlujcie w Królewcu, bo lby pourybam... Żeby się o nas zła sława nie rozeszła.

Pop Bitka odpowiedział z pijackim natężeniem:

— Zachowanie nasze jest zawsze godne, nie ma co grozić... A o takim dostojęństwie jak kurfirst — Jeszcześmy nie słyszeli.

Aleksaszka odpowiedział:

— Mniej niż król, więcej niż diuk — czyni

kurii rata, Ale, oczywista, ten ma kraj zrujnowany, żyje o chlebie i wodzie...

Aloszka Browkin słuchał z wytrzeszczonymi, Jasnymi oczyma i otwartymi ustami. Piotr dmuchnął mu w usta dymem. A loszka się zakaszał. Roześmiali się, Jęli go poszturchiwać. Alosza rzoltł;

--- No co, co... Zawsze to strach — pomyśleć: Jedziemy do nich, my.,,

Z podziwem patrzył na nich, zbytkujących wśród lin, stary kapitan, Flnlandczyk. To nie do wiary, że Jeden z tych wesołych młodzieńców Jest moskiewskim carom. Zresztą, małoż tu cudactw na świecie.,,

Od lewej burty, z dali, płynął piaszczysty brzeg, 7. rzadka ukazywał się żagiel. Na zachodzie oddalał się poza widnokrąg okręt w pełnym ożaglowaniu. Było to morze Wikingów, kupców hanzenlyckich, obecnie w szwodziłnt władaniu. Słońce skłaniało się ku zachodowi. „Święty Jat/y" miękko szemrząc płynął po lalach ku długiemu osyplsku, które oddzielało zamkniętą Zatokę Świeżą od morza. Wynurzyła się latarnia morska i ni* skle forty twierdzy pllawskieJ, strzegące, przejścia do zatoki. Podpływając wystrzelili

Rankiem wyszli na brzeg. Nic tu osobliwego nie było: piasek i sosny. Ze dwadzieścia łodzi rybackich, sioci schnące na kołkach. Chaty niziutkie, zżarto przez wichury, ubogie, ale w oknach za szybkami ~~ biało franki. (Piotr ze słodkim rozrzewnieniem przypomniał sobie Annchen.) Koło czysto zamiecionych progów kobiety w płóciennych czopkach zajmowały się pracę domowaj mężczyźni w skórzanych czapkach ■ „s(hłwe- stkach", koło warg wygoleni, zarost jeno nu szyi. Poruszają się, co prawda, wolniej niż nasi, ale widać, że każdy Jost czymś zatrudniony i są życzliwi bez bojaźni,

Piotr zapytał o szynk, Zasedli przy dębowych, czystych stolach, podziwiając schludność i dobre powieli ze, i zaczęli pić piwo. Tu Piotr napisał po rosyjsku Ust do elektora Fryderyku z prośbą o spotkanie. Ust zawiózł do Królewcu Wołkow w towarzystwie żołnierzy z twierdzy.

Rybacy i rybaczki stali w drzwiach, zaglą* dali przez okna. Piotr wesoło mrugał do tych dobrych ludzi, zapytywał O nazwiska, o polów ryb, po czym zaprosił wszystkich do stołu i poczęstował piwem.

W południe podjechała pod szynk złocona karota ze strusimi piórami na dachu, wyskoczył z niej z gracją upudrowany, cały w nie blwsklm Jedwabiu kamorj-unker von Prinz i rozpychając rybaków i rybaczki, z wystra u*

szonym obliczem zbliżał się do Moskwićnów stukających cynowymi kuflami. Na trzy kroki od stołu — zdjął szeroki kapelusz i zamiótł piórami podłogę, przy czym cofnął się z ręką w kablak i podgięta nogą.

— Jego wysokość władca mój, wielki elektor brandenburski Fryderyk, ma przyjemność prosić waszą... (Tu zająknął się. Piotr pogroził mu.) Prosi wysokiego i dawno oczekiwanego gościa, aby zechciał opuścić tę biedną chatę i zająć mieszkanie odpowiedniejsze jego godności...

Aleksaszka Mieńszykow wpił się oczyma w niebieskiego kawalera i trącił pod stołem Aloszkę.

— To mi dopiero politesa... Na paluszkach stoi — obrazek... Peruka, patrz no, krótka, a nasze — po pepek... Ach, psubratL.

Piotr wsiadł z von Prinzem do karety. Chłopcy pojechali za nim zwykłym wozem. Di a gości przeznaczono kupiecki dom na Kneipbofie, w najlepszej dzielnicy miasta* Wjechali do Królewca o zmierzchu, koła za-grzmiały po czysto zamiecionym bruku. Ani parkanów, ani częstokolów — co za dziwo! Domy wprost frontem do ulicy, do dużych okien z małymi szybami ręką można sięgnąć od ziemi, Wszędzie przyjemne światła. Drzwi pootwierana. Ludzie chodzą bez obawy* Chciało się zapytać; jakże to, nie boicie się grabieży? Czy#by u was rozbójników ni@ było?

W domu kupieckim, gdzie zamieszkali, zno-
4fi4

wu niczego nie schowano, cenne rzeczy Jeżą sobie na wierzchu. Głupi chybaby nie ściągnął. Piotr, oglądając jadalnię z ciemnego dębu, bogato ozdobioną obrazami, porcelaną, rogami turów, rzekł z cicha do Aleksaszki, 'Zapowiedz wszystkim srogo, jeśli który połaszczy się choćby na drobnostką powieszę na bramie...

— Bardzo słusznie, min herc, ja sam się boję... Dopóki nie przywykną, każę wszystkim kieszenie pozaszywać. Ale gdy, nie daj Boże, po pijanemu...

Von Prfnz znowu powrócił w karecie. Piotr pojechał z nim do pałacu. Przeszli tam ukrytą furtką przez ogród, w którym pluskała fontanna — wśród trawników krzewy, strzyżone to w kształcie kuli, to znów koguta albo piramidy. Fryderyk powitał goicla w oszklonych drzwiach na ogród, wyciągnął do niego końce palców pokryte koronkowymi mankietami. Jedwabista peruka okalała jego twarz wielce przenikliwą, z ostrym nosem i dużym, odsłoniętym czołem, Na szarfię niebieskiej, Idącej przez pierś, mieniły się brylantowe gwiazdy.

— O, mój bracie, młody mój bracie — wyrzekł po francusku i powtórzył to gamo po niemiecku. Piotr patrzył na niego z góry jak żuraw f nie wiedział, jak go ma tytułować watem? Nie pozwala różność hiopnla... Wu- jaszkiem? Nie wypada. Jasnością czy jak jewzcze? Trudno odgadnąć — gotów się jeszcze obrazić...

Nie puszczać rąk gościa, idąc tyłem, elektor wprowadził go do niewielkiej komnaty. Piotrowi zakręciło się w głowie — jakby ożył jeden z ulubionych w dzieciństwie obrazków, które wisiały u niego w Preobrażeńskim. Na marmurowym kominku z wesołym ogniem poruszało się wahadło zegara cudnej roboty, ozdobione sferą niebieską, gwiazdami i księżycem. Miękkie światło, padające od trójramiennych świeczników z lustrami, oświetlało malowane szpalery na ścianach, kruche krzeselka i ławeczki — mnóstwo pięknych i ujęsnych przedmiotów, dla których trudno było wymyślić użytek. W wysokich kubkach, cieniutkich jak bańka mydlana, stały gałązki z kwiatami jabłoni i wiśni.

Elektor obracał tabakierkę, przymykając dobrodusznie swe ostre oczy. Posadził gościa przy ogniu na tak lekkim złożonym krzeselku, że Piotr nateżał mięśnie nóg w obawie, że gdy siądzie naprawdę, kruchy przedmiocik trzaśnie... Elektor przeplatał niemiecką mową francuskimi słowami. W końcu wspomniął o przymierzu wojskowym. Teraz Piotr-zrozumiał. Skrepowanie zaczęło zeń powoli spływać. Holendersko-niemieckim językiem majtka wyjaśnił, że przybywa incognito i nie rozmawia o sprawach państwowych, ale za tydzień przybędą wielcy posłowie i z ninu należy rokować o układzie.

Elektor klasnął w dłonie. Cicho otworzyło się coś, co Piotr uważał za okno — lustrzane drzwi — i lokaje w czerwonej liberii wnieśli stół zastawiony jadłem i napojami. Piotrowi kiszki skręcały się z głodu, od razu poweselał. Lecz jadła było obraźliwie mało: kilka plasterków kielbasy, pieczony gołąbek, pierożek z pasztetem, sałata... Elektor wytwornym ruchem zaprosił gościa do stołu, założył krochmaloną serwetkę za kamizelkę i mówił z delikatnym uśmiechem:

'r— Cała Europa z zachwytem patrzy na olśniewające sukcesy oręża waszej cesarskiej mości przeciw wrogom Chrystusa. Niestety, jako ów Rzymianin z ławy amfiteatru, zmuszony jestem ograniczyć się jedynie do oklasków. Mój nieszczęsny kraj jest otoczony wrogami — Polacy i Szwedzi. Dopóki w Saksonii, w Polsce, na Morzu Bałtyckim, w Inflantach gospodarują ci rozbójnicy Szwedzi, rozkwit narodów jest niemożliwy... Mój młody przyjacielu, nieza długo sami zrozumiecie — naszym wspólnym wrogiem, karą boską zesłaną za grzechy nasze są nie Turcy, lecz Szwedzi... Pobierają myto od każdego okrętu na Morzu Bałtyckim. My wszyscy pracujemy, oni żyją z grabieży jak osy. Nie my jedni cierpimy z tego powodu, ale również Stany Generalne Niderlandzkie oraz Anglia. A Turcy, Turcy! Cała ich siła polega na poparciu Francji, tego nienasyconego tyrana, wyciągającego uzurpatorską dłoń po hiszpańską koronę Habsburgów... Drogi przyjacielu, nieza długo będziemy świadkami wielkiej koalicji przeciwko Francji. Król Ludwik XIV jest sta- 'Yi jego znamienici marszałkowie leżą w mo

giłach, Francja niszczy od nadmiernych podatków... Nie będzie miała sił pomagać sułtanowi tureckiemu. W grze międzynarodowej karty Turcji zostaną pobite. Ale Szwecja, o, to najniebezpieczniejszy wróg za plecami Moskowii.

Elektor skubał kwiat jabłoni lekko dotykając łokciami stołu. Jego wodniste oczy rzucały błyski. Wygolone oblicze, opromienione światłem świec, było szatańsko mądre.

Piotr czuł — Niemiec może go uwikłać. Wypił dużą szklankę wina.

— Chciałbym nauczyć się u waszych inżynierów strzelania z dział...

— Cały park do usług waszej cesarskiej mości.

— Danke.^.

— Proszę skosztować łyk tego oto wina mozelskiego...

— Danke. Dla nas jeszcze za wcześnie pchać się w bigos europejski — Turcy nam wielce psocą...

— Jenó nie liczcie na pomoc Polski, młody mój przyjacielu — oni tańczą, jak Szwed zagra...

— A wino mozelskie doskonałe...

— Morze Czarne da wam tyle co nic dla rozwoju handlu. Podczas gdy kilka portów na wybrzeżu bałtyckim otworzy Rosji dostęp do niezliczonych bogactw.

Elektor pogryzał płatki jabłoni, jego stalowy wzrok z niewidocznym uśmiechem przemknął po zmieszonym obliczu Mosikwicina...

Cały tydzień następny aż do przyjazdu poselstwa Piotr spędził za miastem, strzelając z dział do celu.

Główny artyleryjski inżynier Steizner von Sternfeld wydał mu świadectwo:

„...Pana Piotra Michajłowa należy uznać i uważać za mistrza w miotaniu bomb, tak w teorii nauki, jak i w praktyce, ostrożnego i wytrwałego w kunszcie broni palnej, i z uwagi na jego znamienitą wiedzę należy okazywać mu wszelką pomoc i życzliwą przychyłność”.

Wielcy posłowie zjechali do Królewca tak wspaniale, jak nigdy i nigdzie dotychczas nie wjeżdżano. Na czele orszaku prowadzono wierzchowce we wspaniałych czapkach i oponach, za nimi — pruska gwardia, paziowie, kawalerowie i rycerze. Trębacze rosyjscy grzmieli ogłuszająco. Za nimi szło trzydziestu wolontariuszy w zielonych kaftanach haftowanych srebrem, heroldzi konni w kaftanach malinowych, ze złotymi herbami na piersiach i plecach. W rozłożystej, oszklonej dokoła karecie jechali trzej posłowie — Lefort, Gołowin i Woznicyn — w "białych atlasowych szubach na sobolach, z brylantowymi orłami dwugłowymi na bobrowych czapach, wielkich jak kominy. Siedzieli rozparci, nieruchomi jak posągi, błyskając pierścieniami na palcach i końcach lasek. Za karetą — moskiewska szlachta, przyodziana we wszystko, co posiadała cennego.

Podczas przyjęć i rokowań z elektorem Piotr żeglował na jachcie po Zatoce Świeżej. Nie miał tu co robić — mimo całej przebiegłości elektora przymierze z Polską było potrzebniejsze niż z nim. Wielcy posłowie, wbrew tradycji, nie czepiali się słów ni liter, zachowywali się uprzedzająco, nie chcieli jeno z przykleśnięciem całować elektora w rękę, bo to jeszcze nie król. Zaproponowali miast ścisłego sojuszu wojskowego przymierze sąsiedzkie i obstawali przy tym. Elektor naciskał. Posłowie rzekli: dobrze, niech będzie sojusz wojskowy, ale przeciwko tym państwom, które uchylą się od wojny z Turcją. To postanowienie również nie podobało się elektorowi, pojechał na jacht do Piotra i rozmawiał z nim całą noc. Ale młokos ogryzał jeno brudne paznokcie. W końcu rzekł:

— No, dobrze... Jeno nie będziemy ujmować tego na piśmie. Jeśli będziesz w potrzebie, kurfirście, pomożemy ci, oto krzyż... Czy wierzysz?

Zawarłszy ustnie tajemną umowę sojuszniczą (którą jednak wypadło utrwalić na piśmie), wielcy posłowie przygotowali się do odjazdu: trzeba było przecie zatrzymać się na trzy tygodnie w Piławie z powodu bardzo ważnej wieści: w Polsce zaczęły się wybory nowego króla. Na sejmach i sejmikach szlachta rąbała się szablami i strzelała z pistoletów, broniąc swych kandydatów. Znalazło się ich przeszło dziesięciu, ale głównymi

490

i pewnymi byli: elektor saski August i książę Conti, brat króla francuskiego.

Francuz na tronie polskim oznaczał zerwanie przez Polskę przymierza przeciw Turkom i wojnę z Moskwą. Dopiero tu, na europejskim brzegu, Piotr zrozumiał, co to jest gra polityczna. Z Piławy' posłał gońca do Winiusa z rozkazem napisania do Polaków takiego pisma, by jak najbardziej nastraszyć partię księcia francuskiego. W Moskwie opracowano pismo na ręce kardynała-prymasa gnieźnieńskiego. Napisano w nim: „Gdyby w państwie polskim Francuz królem został, to nie tylko przeciw nieprzyjacielowi krzyża świętego sojusz, ale i wieczny pokój z Polską poniósłby znaczny uszczerbek... Z tej przyczyny my, wielki monarcha, żywiąc dla monarchów waszych, królów polskich, stateczną przyjaźń, jako i dla panów rady i Rzeczypospolitej — króla takiego ze strony francuskiej i tureckiej sobie nie życzymy". List wzmocniono sobolami i czerwońcami. Paryż również przysłał złoto. Interesowni Polacy wybrali obu: Augusta i księcia Conti. Wszczęły się zamieszki. Panowie zbroili czeladź i chłopów, niszczyli sobie wzajemnie folwarki, palili miasteczka. Strwożony Piotr pisał do Moskwy, by wysłano wojsko ku granicy litewskiej na pomoc Augustowi. Lecz August sam stawił się w Polsce z dwunastotysięcznym wojskiem, by zająć tron. Partia francuska została pobita. Panowie rozjechali się do zamków, drobna szlachta do szynków. Książę

491

Conti — o tym dowiedziano się w Europie — dojechawszy jeno do Boulogne, wzruszył ramionami i wrócił do swych rozrywek. Król August przysięgał rezydentowi rosyjskiemu w Warszawie, że będzie jednej myśli z Piotrem.

Wielka sprawa zakończyła się szczęśliwie. Posłowie i Piotr z wolontariuszami opuścili Piławę.

VII

Piotr wyprzedziwszy posłów jechał rozstawnymi końmi przez Berlin, Brandenburg, Halberstadt, nie zatrzymując się nigdzie. Zboczył jedynie do głośnych hut żelaznych w pobliżu Ilsenburga. Tu pokazano, jak żelazo wylewa się z wielkiego pieca, dalszą obróbkę — wykuwanie luf karabinowych z cienkich płyt/ toczenie i borowanie przy wykorzystaniu energii wodnej. Pracowali tu majstrowie i czeladnicy cechowi we własnych kuźniach i warsztatach. Wyroby: strzelby, pistolety, szable, kłódki, podkowy — znoszono do zamku ilsenburgskiego. Piotr namówił dwóch dobrych majstrów, aby jechali do Moskwy, ale cech ich nie puścił.

Jechali drogami wysadzonymi gruszami i jabłoniemi, a nikt z mieszkańców nie krał owoców. Naokół gaje dębowe, prostokąty zbóż, za ogrodzeniami sady, a wśród zieleni — czerwone dachy i gołębniki. Na pastwiskach — piękne, dobrze utrzymane krowy, nad lśniącymi strumieniami prastare dęby, młyny wodne. Co jakie trzy wiorsty — miasteczko, kircha murowana ze spiczastą wieżą, brukowany plac z murowaną studnią, wysoki dach ratusz a, spokojne, czyściutkie domy, ucieszne godło piwiarni, miedziana miseczką nad drzwiami cyrulika. Przyjaźnie uśmiechający się ludzie w szydełkowej roboty kołpakach, krótkich kurtkach, białych pończochach. Stare, dobre Niemcy...

W ciepły lipcowy wieczór Piotr i Aleksaszka wjechali pierwszą dormezą do miasteczka Koppenburg niedaleko Hanoweru. Szczekały psy, światła z okien oświetlały drogę, w domach zasiadano do wieczery. Jakiś człowiek w fartuchu stanął w drzwiach oberży „Pod Złotym Prosięciem” i krzyknął coś do stangreta, który zatrzymał zmęczone konie i odwrócił się do Piotra.

— Jaśnie panie, oberżysta zarznął świnię, będzie miał dziś kiszki nadziewane. Lepszego noclegu nie znajdziemy...

Piotr z Mieńszykowem wysiedli z dormezy prostując zdrętwiałe nogi,

— No co, Aleksaszka, urządzimy kiedyś u nas podobne życie?

— Nie wiem, min herc, chyba nieprędko...

— Miłe życie... Uważasz, nawet psy szczekają tutaj bez zajadłości. Paradis... Gdy sobie przypomnę Moskwę — tobym ją spalił...

— Chlew, to prawda...

— Siedzą w tej starzyźnie — d... im zgniła. Przez tysiąc lat ziemi nie nauczyli się nawet

orać... Skąd to pochodzi? Kurfirst Fryderyk to mądry człowiek: należy przebić się do Morza Bałtyckiego — ot, co. I można by tam miasto nowe zbudować — istny raj... Patrzaj, gwiazdy nawet jaśniejsze niż u nas...

— O, u nas by, min herc, wszystko zaświ- nili dokoła.

— Poczekaj, Aleksaszka, jak powrócę — ducha wytrzęsę z Moskwy.

— To jedyny sposób...

Weszli do oberży. Nad wielkim ogniskiem i na dębowej belce pod stropem zwisały szynki wędzone i kielbasy; w świetle płonącego chrustu miedziane naczynia błyszczały. Gospodarz kłaniał się nisko, z uśmiechem na czerwonej jak rondel gębie. Zażądali piwa i ledwie zdołali się do przekąski — z ulicy wszedł kawaler.

Był w wielkim stożkowatym kapeluszu z szerokim rondem, w sukiennym płaszczu zaczepiającym o ostrogi. Dał znak oberżycie, żeby się usunął, podskoczył, ujął kapelusz pośrodku i jał się kłaniać latając po kuchni, zadzierając szpadą płaszcz. Piotr i Aleksaszka spoglądali nań z otwartymi ustami. Kawaler rzekł miękkiem akcentem południowym:

— Jej jasność elektorowa hanowerska Zofia z córką Zofią Karoliną, elektorową brandenburską, oraz z synem, księciem Jerzym Ludwikiem, najdostojniejszym następcą tronu angielskiego, i z księciem Zels oraz dworskimi damami i kawalerami — opuściwszy

Hanower pospieszyli na spotkanie waszej carskiej mości w tej jedynie myśli, aby przez poznanie niezwykłego a sławnego cara moskiewskiego wynagrodzić sobie nużącą drogę i niewygodę noclegów...

Koppenstein — tak Zwał się kawaler — prosił Piotra na wieczerzę: elektorowa z córką nie zasiadły jeszcze do stołu czekając na gościa... Piotr zrozumiał jeno połowę przemówienia, a tak się przestraszył, że omal nie dał dęba na ulicę.

— Nie mogę — rzekł jękając się — śpieszy mi się wielce... A i pora spóźniona... Może wracając z Holandii... wtedy...

Płaszcz i kapelusz Koppensteina znowu jęły latać po kuchni. Nalegał nie zrażony odmową. Aleksaszka szepnęła po rosyjsku:

— Nie odczepi się... Lepiej idź na godzinkę, min herc — Niemcy są obrażliwi...

Piotr ze złości urwał guzik od kamizeli. Zgodził się pod warunkiem, że go wraz z Aleksaszką przeprowadzą jakoś tyłami: bez ludzi, i przy stole będzie sama jeno elektorowa, najwyżej z córką. Naciągnął na oczy zakurzony kapelusz i spojrzął z żalem na kielbasy nad ogniskiem. Na ulicy czekała kareta.

VIII

Elektorowa Zofia z córką Zofią Karoliną siedziały przy nakrytym stole przed komin

kiem, którego brzydotę przysłonięto kitajką. Matka i córka mężnie znosiły niewygody średniowiecznego zamczyska, którego im użył miejscowy ziemianin. Trochę nowszych obić i kobierców ledwo zakrywało poobijane z tynku mury sali, pod której wysokim Sklepieniem niewątpliwie gnieździły się sowy. Zdobyte naprędce przez gospodarza foteliki kryte jedwabiem stały na taflowej posadzce, startej butami rudobrodych rycerzy i podkowami rycerzowych ogierów. Wszędzie czuć było myszy i kurz. Damy wzdrygały się na myśl o pierwotności obyczajów, które, dzięki Stwórcy, przeminęły na zawsze. Oczy ich cieszył jedynie wielki obraz zawieszony na zardzewiałym haku przeznaczonym dla pancerzy i tarcz. Obraz przedstawiał rozkoszne obfitości: ladę ze stosem ryb morskich i langust, pęki zabitego ptactwa, owoce i jarzyny, dziki przeszyte włóczniami. Barwy promieniowały słonecznym światłem.

Malarstwo, muzyka, poezja, zabawy ukształconego umysłu, dążącego ku wszystkiemu, co subtelne i piękne — oto jedyna godna treść przemijającego życia: tak myślała matka i córka. Były to najbardziej wykształcone kobiety Niemiec. Obie korespondowały z Leibnizem który mówił: „Umysły tych kobiet tak są badawcze, że nierzadko wypada skapitulować przed ich głębokimi zapytaniami”. Popierały sztuki piękne i piśmiennictwo.

Zofia Karolina założyła w Berlinie Akademię Nauk. W tych dniach elektor Fryderyk z dobrodusznym dowcipem podzielił się w liście wrażeniami o carze barbarzyńców, podróżującym pod postacią cieśli. „Moskwa, jak widać, budzi się z azjatyckiej drzemki. Jest rzeczą ważną, aby jej pierwsze kroki skierować ku pożytecznym celom”. Matka i córka nie lubiły polityki, do Koppenburga sprowadziła je szlachetna ciekawość.

Elektorowa Zofia ścisnęła chudymi palcami poręcz fotela. Nasłuchiwała — z otwartego okna wychodzącego na ogród poprzez szmer liści dobiegał odgłos kół. Sznureczki pereł drgały na jej białej peruce, naciągniętej na fiszbinowy szkielet, tak wysoki, że nawet podniósłszy ręce nie mogłaby dosięgnąć jego czubka. Elektorowa była chuda, pomarszczona, braki w dolnej szczęce miała wypełnione woskiem, koronki na dekolcie fioletowej sukni zasłaniały to, co nie mogło już nikogo kusić. Jedynie czarne, duże oczy błyskały żywością i dowcipem.

Zofia Karolina, o ciemnych, jak matka, lecz spokojniejszych oczach, była piękna, majestatyczna i biała. Rozumne czoło pod upodrobioną peruką, wspaniałe ramiona i piersi, obnażone niemal do sutek, cienkie wargi, mocny podbródek... Jej zadarty nieco nos skłaniał, by uważniej przyjrzeć się twarzy w poszukiwaniu ukrytej lekkomyślności.

— Nareszcie — rzekła Zofia Karolina podnosząc się — przyjechali.

Matka ją wyprzedziła. Obie szeleszcząc jedwabiem podeszły do okna w głębokiej ciszy. Na dróżce ogrodowej poruszał się gwałtownie długi cień wymachujący rękami, za nim spieszył drugi, w płaszczu i stożkowatym kapeluszu, dalej — trzeci.

— To on — powiedziała elektorowa Zofia. — Boże, toż to wielkolud...

Drzwi otworzył Koppenstein.

— Jego carska mość.

Ukazała się niedźwiedziowata noga w zakurzonym trzewiku i wełnianej pończosze — Piotr wszedł bokiem. Ujrzawszy dwie damy w blasku świec, mruknął: — Guten Abend... — Podniósł rękę do czoła, jakby chcąc je potrząść, zmieszał się doszczętnie i zasłonił twarz dłonią.

Elektorowa Zofia podeszła o trzy kroki, uniosła koniuszkami palców suknię i z lekkością nie idącą w parze z jej wiekiem wykonała rewerans.

— Dobry wieczór waszej carskiej mości...

Zofia Karolina również, wszedłszy na jej miejsce, uniosła wspaniałe suknie i dygnęła.

— Wasza carska mość wybaczy nam tę zrozumiałą niecierpliwość, z jaką dążyliśmy do ujżenia młodego bohatera, władcy niezliczonych ludów i pierwszego z Rosjan, który złamał zgubne przesady swych przodków...

Odciągając rękę od twarzy Piotr łamał się w ukłonie jak żerdź i wiedział, że jest śmieszny — chwila jeszcze, a obie damy wybuchną drwiącym śmiechem. Zmieszał się nadzwyczaj

498

■pp

czajnie, niemieckie słowa pouciekały mu z pamięci...

— Ich kann nicht sprechen... Nie mogę mówić — mruczał z przygnębieniem. Ale mówić nie potrzebował. Elektorowa Zofia zadała sto pytań nie czekając na odpowiedź: o pogodę, o drogę, o Rosję, o wojnę, o wrażenia z drogi, wsunęła mu rękę pod łokieć, zaprowadziła do stołu. Siedli wszyscy troje zwrócenii twarzami ku ponurej sali z ciemnym sklepieniem. Matka postawiła przed nim pieczonego ptaszka, córka nalała wina. Niewiasty słodko pachniały perfumami. Staruszka w rozmowie suchymi paluszkami dotykała delikatnie, jak matka, jego ręki kurczowo zaciśniętej w pięść, bo wstydził się swych paznokci na białym obrusie, wśród kwiatów i kryształów. Zofia Karolina przyjmowała go w sposób mile uprzedzający, unosząc się, by sięgnąć po dzban lub talerz, zwracała się ku niemu z czarującym uśmiechem:

— Proszę spróbować tego, najjaśniejszy panie... Naprawdę, to zasługuje na spróbowanie...

Gdyby nie była tak piękna i obnażona, gdyby nie szeleściły tak jej pachnące suknie — mogła się zdawać siostrą rodzeńą. Głosy dam były również takie, jakie mają najbliżsi. Piotr przestał się burmuszyć, zaczął odpowiadać na pytania. Elektorowe opowiadały mu o znakomitych malarzach flamandzkich i holenderskich, o wielkich dramaturgach na francuskim dworze, o filozofii i pięknie. O wielu

499

rzeczach nie miał pojęcia, rozpytywał, dziwił się.

— W Moskwie — nauki, sztuki I — powiedział wierzgnąwszy nogą pod stołem. — Ja sam dopiero tutaj je zobaczyłem... U nas tego nie wprowadzano, bali się. Bojarzy nasi i szlachta to chamstwo zakamieniałe — śpią, żrą i modlą się... Kraj nasz jest ponury. Nie wytrzymałybyście tam ani jednego dnia ze strachu. Siedzę tu z wami — strach obejrzeć się za siebie... Pod samą jeno Moskwą trzydzieści tysięcy rozbójników... Opowiadają 0 mnie, że przelewam dużo krwi, a w podrzucanych pismach — że sam biorę na męki.

Wykrzywiły mu się usta, policzek skoczył, wypukłe oczy zaszklily się na chwilę, jakby widział przed sobą nie stół z jadłem, lecz stęchlą od krwi izbę bez okien w Preobrażeńskim. Ostro szarpnął szyją i ramieniem, strząsając z siebie widziadła... Obie kobiety śledziły zmiany jego twarzy z bojaźliwą ciekawością.

— Ale nie wiercie temu... Najbardziej lubię budować okręty. Galerę „Principium” od masztów do kilku budowały te oto ręce (wyprostował nareszcie dłonie, pokazał odciski)... Lubię morze i bardzo lubię ucieszne fajerwerki. Znam czternaście rzemiosł, ale jeszcze źle, dlatego tu przyjechałem. Ze jestem zły

1 lubię krew — to kłamstwo... Nie jestem zły... A niechby kto pożył w Moskwie z naszymi — każdy się wścieknie. W Rosji wszyst

ko trzeba przełamać — wszystko na nowo... A ludzie nasi uparci! Niejednemu mięso z kości pod batem złazi...

— Zająknął się, spojrzal kobietom w oczy i uśmiechnął się do nich przepraszająco. — Być u was królem to arcymiała rzecz... A przecie ja, mateczko — chwycił elektorową Zofię za rękę — a przecie ja sam naprzód muszę nauczyć się ciesielstwa.

Elektorowe były zachwycone. Wybaczyły mu brudne paznokcie i to, że wycierał ręce obrusem, że mlaskał głośno, że opowiadając

0 moskiewskich obyczajach wtrącał słowa właściwe marynarzom, mrugał krągłym okiem

1 by opowiadanie uczynić bardziej wyrazistym, próbował niejednokrotnie szturchnąć łokciem Zofię Karolinę.

Wszystko to — nawet jego srogość, którą sobie wyobrażały, i pierwotne niezrozumienie pewnych przejawów ludzkości, wydało się im czarujące, choć nieco okropne. Od Piotra biło pierwotną świeżością niby od mocnego zwierza. (Później elektorowa Zofia zapisała w dzienniku: „To bardzo dobry człowiek i jednocześnie bardzo zły. W sensie moralnym — typowy przedstawiciel swego kraju”.)

Perłące się wino, obcowanie z takimi mądrymi i pięknymi kobietami rozruszało Piotra. Zofia Karolina zapagnęła przedstawić mu wuja, brata i dwór. Piotr sięgnął do kieszeni po fajkę, dziwnie się uśmiechnął drobnymi wargami, skinął głową: — Dobrze, jazda... — Weszli: księżę Zels, wysuszony staruszek

z hiszpańską bródką, obecnie już niemodną, i siwymi, podkreconymi wąsami kobieciarza i pojedykowicza, następcy tronu — apatyczny, wąskolicy młodzian w czarnym aksamicie, pstre i wspaniałe damy oraz kawalerowie, barczysty piękniś Aleksaszka, otoczony damami dworu — ten wszędzie czuł się jak w domu — i posłowie — Lefort z grubym Gołowinem, namiestnikiem syberyjskim. (Dogonili w Koppenburgu carską dormezę; dowiedziawszy się, gdzie jest Piotr, bardzo przestraszeni, nie jedząc i nie przebierając się, pośpieszyli na zamek.)

Piotr uściskał księcia, uniósł pod pachy i pocałował w policzek przyszłego króla Anglii, zgiął kabłąkowato rękę i dziarsko skłonił ę dworowi. Damy dygnęły razem, kawalerowie jęli skakać z kapelusami.

— Aleksaszka, zamknij no drzwi porządnie — powiedział po, rosyjsku. Nappełnił puchar mieszczący bez mała kwartę, skinieniem zaprosił najbliższego kawalera i rzekł, znowu z dziwnym uśmiechem:

— Wedle rosyjskiego zwyczaju nie wolno wymawiać się od spełnienia carskiego pucharu, wszyscy: i damy, i kawalerowie piją po pełnym...

Słowem, zaczęła się zabawa jak na Kukuju. Sprowadzono włoskich śpiewaków z mandolinami. Piotr chciał tańczyć. Ale Włosi grali zbyt miękko i przeciągle. Piotr posłał Aleksaszkę do oberży po swych muzykantów. Wprowadzono preobrażeńskich dudarzy i graj

502

ków na rozkach — wszyscy strzyżeni pod miskę, w malinowych koszulach, stanęli jak posągi przy ścianie i uderzyli w łyżki, w talerze, zagrali na krowich rogach, drewnianych fujarkach i miedzianych piszczałkach... Średniowieczne sklepienia nigdy jeszcze nie sływały takiej diabelskiej muzyki. Piotr przytupywał, przewracał oczami.

— Rznij, Aleksaszka!

Mieńszykow poruszył ramionami, poruszył brwiami i z miną tęskną ruszył z nosków na pięty. Zofia chciała spróbować, jak Piotr tańczy. Ujął, więc delikatnie staruszkę i poprowadził jak łabędzia. Posadził ją na miejsce, zaprosił pulchną młodą damę i zaczął wycinać kurbety. Lefort wziął na siebie obowiązki wodzireja. Zofia Karolina wybrała grubego Gołowina. Przybiegli z ogrodu wolontariusze, rozchwytali damy i zaczął się taniec z przy- siadywaniem, z wygięciami, z dzikim tatarskim pokrzykiwaniem. Zakręciły się spódnice, roztrzępały peruki. Przyprawili Niemki o poty. Wielu podziwiał, czemu damy mają takie twarde żebra. Piotr również zapytał o to Zofię Karolinę. Elektorowa z początku nie zrozumiała, o co chodzi, a potem śmiała się do łez; — To nie żebra, lecz sprężyny i kość w naszych gorsetach.

503

W Koppenburgu rozdzielono się. Wielcy posłowie ruszyli okrężną drogą do Amsterdamu, Piotr z niewielką liczbą wolontariuszy popędził prosto ku Renowi. Nie dojeżdżając do miasteczka Xanten wsiadł na statek i popłynął w dół rzeki. Za Schenkenschanz zaczynała się upragniona Holandia. Skręcili w prawą odnogę Renu i pod wsią Vort przedostali się przez służę na kopańce, czyli do kanałów.

Barcę o płaskim dnie ciągnęły dwa ciężkie, skarogniade konie w wysokich chomątach; poruszając rozważnie głowami, szły piaszczystą ścieżką przez trawiasty brzeg. Kanał ciągnął się prostym szlakiem przez równinę, podzieloną, niby na mapie, na ogrody, pastwiska, plantacje kwiatów, przez sieć rowów i kanałów. Dzień był upalny, lekko zamglony. Lewkonie, hiacynty, narcyzy już prze- kwitały, gdzieniegdzie ścinano resztki z grządek i pakowano do koszy. Lecz tulipany — ciemnofioletowe, czerwone jak płomień, pstre i złociste —■ pokrywały ziemię aksamitem. Wszędzie poruszone leniwie wietrzykiem skrzydła Wiatraków, folwarki, zagrody, domki ze spadzistymi, dachówką krytymi dachami, Z gniazdami bocianimi, rzędy niskich wierzb wzdłuż kanałów. W niebieskawej mgle — zarysy miast, katedr, wież i wiatraki, wiatraki...

Łódź napełniona sianem płynęła kanałem obok ogrodów. Spoza folwarcznych dachów ukazał się żagiel i cicho mknął między tulipanami... Holendrzy, w spodniach szerokich jak beczki, wąskich kurtkach, w drewnianych trepach, siedzieli koło służy zielonej od pleśni, ich łódki z warzywami stały w kanale biegnącym tam, gdzie mgliście błyskało słońce. Pałac spokojnie fajki czekali na otwarcie służy.

Miejscami barka płynęła wyżej niż pola i budynki. W dole widać było owoce na drzewach, rozplaszczających gałęzie wzdłuż ceglanych murów, bieliznę na sznurach, pawie spacerujące na czyściutkim piaszczystym dziedzińcu, Rosjanie, patrząc na te ptaki w stanie żywym, wydawali okrzyki podziwu. Snem na jawie wydawał im się ten kraj, nadzwyczajną pracą wydarty morzu. Najmniejszy skrawek pola szanowano tu i pielęgnowano. Nie jak u nas w dzikim stepiel... Piotr mówił wolontariuszom dymiąc z glinianej fajki na dziobie barki:

— Niejeden dziedziniec u nas w Moskwie bywa przestronniejszy... Wziąć jeno miotły i podmieść dziedziniec oraz założyć ogród przyjemny i pożyteczny — o tym u nas nikt nie pomyśli... Niechby budynek się walił, i wówczas, diabelskie syny, z pieca nie po- złazicie, by naprawić — już ja was znam... Za swoją potrzebą lenicie się pójść, gdzie trzeba, świniacie zaraz przy progu... Czemu to? Siedzimy na wielkich obszarach — i że- bracy... Sprawia to nam wielką zgryzotę... Patrzcie — tutaj ziemię z dna morskiego wy

do było, każde drzewo trzeba było przywieźć i zasadzić. A urządzili istny paradis.

Śluzami barka przeszła z wielkiego kanału na mały. Szła na spych, ciągle mijając ciężko wyładowane łodzie. Na wschodzie słał się mlecznoszary woal Zuiderzee — holenderskiego morza. Coraz więcej widziało się żagli. Coraz było ludniej. Zapadał wieczór, zbliżano się do Amsterdamu. Okręty a okręty na różowiejącej morskiej toni. Maszty, żagle, spiczaste dachy katedr i domów płonęły w zachodzącym słońcu... Purpurowe obłoki niby góry wstawały zza morza, ale światło dnia szybko gasło, zmierzch zaciągał je popiołem. Na równinie zapłonęły ogniki ślizgając się po kanałach.

Zatrzymali się na wieczere na brzegu w przyjemnie oświetlonej oberży. Pili gin i angielski ale. Tu Piotr odesłał do Amsterdamu wszystkich wolontariuszy z tłumaczami i tobołami, sam zaś z Mieńszykowem, Aloszą Browkinem i popem Bitką przesiadł się na bat i płynął dalej (mijając stolicę) do wioski Saardam.

Tę miejscowość ukochaną od dzieciństwa pragnął ujrzeć prędzej niż cokolwiek na świecie. Opowiadał mu o niej stary przyjaciel, kował Harriet Kiest (gdy budowali statki do gier na Jeziorze Perejaśławskim). Kiest zarobiwszy trochę grosza wrócił zaraz do ojczyzny, ale z Saardamu przybyli (do Archangielska, później do Woroneża) inni kowale i cieśle okrętowi i mówili: — Jezeli

506

gdzie budują statki, Piotrze Aleksiejewiczu. to chyba w Saardamie, lekkie, zwrotne, mocne — okręty nad okrętami... , O jakieś dziesięć kilometrów na północ od Amsterdamu, we wsiach Saardam, Kog, Oost- -Zaan, West-Zaan, Zaandijk, znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt stoczni. Pracowano dniem i nocą z taką szybkością, że okręt wychodził gotowy w ciągu pięciu, sześciu tygodni. Wkoło mnóstwo fabryk i zakładów poruszanych wiatrem; wyrabiano tu wszystko, czego trzeba dla stoczni — toczony części drewniane, gwoździe, klamry, liny, żagle, urządzenia wewnętrzne. W tych stoczniach prywatnych budowano statki średniej wielkości: -kupieckie i wielorybiczne; okręty — wojenne i wielkie kupieckie kursujące do ko- lonij — budowano w Amsterdamie w dwóch stoczniach admirałskich.

Z łódki, płynącej głęboką a wąską zatoką, przez całą noc widać było ognie, słycać stuk toporów, skrzyp bierwion, brzęk żelaza. Przy świetle ogniska uwydatniały się żebra wręg, rufa okrętu na pochylni, rusztowanie maszyny drewnianej, podnoszącej na blokach wiązki desek, ciężkie belki. Snuły się łódki z latarkami. Słycać było ochryple głosy. Pachniało sosnowymi wiórami, smołą, rzeczczą wilgocią... Czterej rośli Holendrzy skrzypieli wiosłami, posapywali zwisającymi fajkami.

W połowie nocy zajechano na odpoczynek do oberży. Wioślarze zmienili się. Ranek nastał wilgotny, szary. Domy, wiatraki, barki,

507

m

■

długie baraki - wszystko to, co w nocy wydawało się takie ogromne — zmalowało na brzegach pokrytych błękitną rosą. Płaczące wierzby pochylały się nad mglistymi wodami. Gdzież tu słynny Saardam?

— Oto Saardam - rzekł jeden z wiosłarzy wskazując niewielkie domki ze spadzistymi dachami, płaskimi fasadami z drzewa i poczerniałej cegły. Łódź płynęła obok nich brudnym kanałem niby ulicą. Wieś budziła się, gdzieś gdzieś płonął już ogień na kominie. Kobiety myły kwadratowe okna z rzułymi szybkami, tęczowymi ze starości. Czyściły miedzianą klamki i skobły na spaczonych drzwiach. Kogut piał na dachu pokrytym darnią. Kobiło się widno, woda kanału dymiła. W poprzek niego na sznurze wisiała bielizna — szerokachne spodnie, płócienne koszule, wełniane pończochy. Płynący musieli nachylać się. Skręcono w poprzeczny rów obok zgniłych pał i, kurników, szop z przylepionymi do nich wygodkami, dziuplastych wierzb. Rów kończył się niewielką zatoczką, na której środku w łodzi siedział człowiek w szydełkowej roboty kołpaku, z głową schowaną w ramiona łapał węgorze na wędkę. Wpatrzony Piotr zerwał się, krzyknął:

— Harrlet Kiest, kowal — to ty?

Człowiek wyciągnął wędkę i dopiero wówczas spojrzał, widać było, że choć flegmatyk, a je się zdumiał: w podpływającej łodzi stał młodzłun w odzieży robotnika holenderskiego-

go, w lakrowanym kapeluszu, czerwonej kurtce, płóciennych spodniach,.. Ale Kiest nie znał drugiej podobnej twarzy — otwarta, władcza, z szalonymi oczyma... Harrlet Kiest przeraził się car moskiewski w mglisty poranek wypłynął rowem na prostej łodzi, Harrlet Kiest ją mrugać rudymi rzęsami: rzeczywiście, car krzyknął;

He j, to ty, Pi ter?

- Witaj I

- Witaj, Piter!..,

Harrlet Kiest ścisnął ostrożnie jego rękę swymi twardymi palcami, Dostrzegł Aleksaszkę,

P-e, to ty, młodzieńcze?.. Patrzę, tak jakby wy,, .tak dobrze, żeście przyjechali do Holandii..,

• Na całą zimę, Kiest, ciesielkę robić w stoczni. Dziś popędzimy kupić narzędzia,

• U wdowy po Jakubie Ohmie można kupić dobro narzędzia I — pogadam z nią..

Jeszcze w Moskwie myślałem, że Mś zatrzymam u ciebie..,

W mnie będzie ciasno, Piter, jestem biedny, domek mam lichy..

- Toć przecie i jaki taki zarobek chyba mi dadzą w stoczni..,

Hej, toś ty ciągle jetzeze taki nam /ar- hiwnłś, Piter?..

- Nie mamy chat u nas żarty. Przez dwa lata musimy wybudować flotę, z durniów stać się mądrymi/ Żeby w państwie ani jedna r<{ka nie próżnowała!

— Dobrą sprawę zamyśliłeś, Piter.

Podpłynęli do brzegu pokrytego trawą, I gdzie stał drewniany domek z zapadniętym czerwonym dachem, dwoma oknami i przybudówką. Ze spłaszczonego, wysokiego kominu unosił się dym pod gałęzie starego klonu. U przekrzywionych drzwi z kratkowanym okienkiem położono czyściutką deskę do ustawiania drewnianych chodaków, jako że w Holandii do mieszkań wchodziło się w pończochach. Szczupła staruszka patrzyła z proga na przybyłych, założywszy ręce pod schludny fartuch. Gdy Harriet Kiest krzyknął do niej rzucając na brzeg wiosła: — Hej, ci do nas, z Moskwy! — poważnie skłoniła sztywny czepiec z uchemi.

Piotrowi bardzo podobało się mieszkanie, wynajął izbę o dwóch oknach, niewielką, ciemną komorę z pościelą (dla siebie i Alekszki) i poddasze (dla Aloszy i Bitki), dokąd prowadziła drabinka przystawiona z izby. Tego samego dnia kupił od wdowy po Jakubie Ohmie dobre narzędzia, a gdy je wiozł w taczce do domu — spotkał cieślę Rensena, który przez jedną zimę pracował w Woroneżu. Otyły, dobroduszny Rensen zatrzymał się, otworzył usta i nagle zbladł: ten pchający taczkę młodzian w lakierowanym kapeluszu zsuniętym na tył głowy przypominał Rensenowi coś okropnego — serce mu się ścisnęło... Pamięć odtworzyła — lecący śnieg» łunę i kołysane przez zamieć trupy rosyjskich robotników...

510

"— Witaj, Rensen! — Piotr puścił taczkę, wytarł rękawem spoconą twarz i wyciągnął rękę. — No, tak, to ja... Jak ci się powodzi? Niepotrzebnie uciekłeś z Woroneża... A ja pracuję od poniedziałku na stoczni Lingsta Rogge... Nie wygadaj się, pamiętaj... Nazywam się Piotr Michajłow. — I znowu w jego badawczo-wypukłych oczach błysnęła woroniska łuna.

X

„Min her kenig... Którzy to nawigatorzy wysłani wedle Waszego ukazu na naukę — , zostali umieszczeni... Iwan Gołowin, Pleszczejew, Krapotkin, Wasilij Wołkow, Wereszczagin, Aleksander Mieńczykow, Aleksy Browkin, pijany przez wszystkie dni Bitka, z którymi i ja przebywam, pracują — jedni w Saar-damie, drudzy w stoczni oostzańskiej przy budowie okrętów... Aleksander Kikin, Stiepan Wasiliew — robią maszty; Jakim malarz i diakon Kriwosychin uczą się wszelakich wodnych młynów Borysow, Uwarow — przy budowie łodzi; Łukin i Kobylin bloki robią. Konszyn, Skworcow, Pietielin, Muchanow i Siniawin — poszli na majtków na okręty w różne miejsca; Arczyłow pojechał do Hagi uczyć się bombardierstwa... A dworzanie, których tu wcześniej wysłano, zapoznawszy się jeno z kompasem, chcieli do Moskwy wracać, uważali, że to wszystko...

Ale my od

511

■■■■■■

mieniliśmy ich zamiary każąc iść na stoczną oostzaańską na prostych wyrobników — niech jeszcze posrają gębami.

Pan Jakub Bruce przyjechał tutaj i oddał list Waszej Jasności. Pokazywał rany nie zabliznione do tej pory, uskarżał się, że otrzymał je od Waszej Jasności na uczcie... Zwierzu! Długoż to jeszcze będziesz ludzi męczyć? I żeby tutaj ranni przez Was przyjeżdżali! Przestań zadawać się z Iwaszką Chmielnickim. Jeszcze to wam wylezie na gębę... Piter".

„...W liście Twoim, Panie, napisano, jakobym się zadawał z Iwaszką Chmielnickim, a to, Panie mój, nieprawda. Jakub przyjechał do Was nie wytrzeźwiał po Moskwie i gadał w zamroczeniu. Nie mam czasu na znajomości z Iwaszką — zawsze w złorzeczeniu, w łajaniu, zawsze we krwi się nurzam. Wasza to sprawa w wolnym czasie zadawać się z Iwaszką, a my nie mamy wolnej chwili. Jak już pisałem ci, Panie — znowu z tej samej bandy łotrowskiej pojmano ośmiu ludzi, a między łotrami są miejscy ludzie: rzeźnicy, woźnice, handlarze, a również i bojarscy ludzie — Pietruszka Sielezień i Mitka Piczuga, i Popugaj, i Kuska Zajka, i syn szlachecki Miszka Tyrtow... Legowisko i skrytkę ze złu- pionymi rzeczami mieli za Bramą Twerską. A czy Bruce albo też inni przyjadą ze skargą na mnie — to wszystko z pijaństwa... Czołem biję, Fied'ka Romodanowski."

„Min her kenig... Pismo Twoje monarsze oddano mi, w którym napisano o cudzoziemcu, o Tomaszu Fadenlbrachcie — jak ma na przyszłość handlować tytoniem. O tym jeszcze zimą wydano ukaz, że pierwszy rok — handluje na siebie, drugi rok — też na siebie z cłami, w trzecim roku przetarg: kto da więcej, temu oddać. Dziwię się jeszcze — czyż Wasi cesarscy bojarzy sami nie mogli o tym pomyśleć, a zda się, sprawa miernej wagi. Gwoli pożytkowi Waszemu, Panie, kupiono tutaj 15 000 strzelb i 10 000 zamówiono, także kazano zrobić 8 haubic i 14 jednorogów dla Was. O majstrach do hut wielokroć tutaj gadałem, ale znaleźć jeszcze nie możemy, dobrzy trzymają się tu mocno, a lichych nam nie trzeba. Pokłoń się, proszę, panu mojemu generałowi i bij czołem, aby raczył nie opuszczać mego domku. (Dalej atramentem sympatycznym:) A wieści tutaj takie: król francuski szykuje oto flotę w Breście, a dokąd — nikt nie wie... Wczoraj otrzymano z Wiednia wiadomość, że król hiszpański umiera. A co będzie po jego śmierci — o tym Wasza Miłość sama wiesz...

Pisziesz o wielkich deszczach, co u nas spadły. Dziwimy się, że na takiej wysokości w Moskwie macie takie błocko... My tu mieszkamy poniżej wody, a przecie sucho... Piter."

Wasilij Wołkow, prowadząc z rozkazu Piotra dziennik, zapisał:

t

„W Amsterdamie widziałem dziecię płci żeńskiej, półtoraletnie, kosmate całkiem i grube wielce, twarz w poprzek — półtorej piędzi, przywiezione było na jarmark. Widziałem tutaj słonia, który grał menuety, trąbił po turecku, strzelał z muszkietu i świadczył sympatię psu, który z nim przebywa — bardzo dziwne, zadziwiające...

Widziałem głowę sztuczną, drewnianą, ludzką — a mówi! Nakręcają jak zegar, a co ty powiesz, to głowa mówi. Widziałem dwa konie drewniane na kole — siadają na nie i prędko jadą po ulicy, gdzie się podoba. Widziałem szkło, przez które można roztopić srebro i ołów, przez nie palono drzewo pod wodą, wody było na cztery palce — woda wrzała, a drzewo spalili...

Widziałem u doktora anatomię: całe wnętrzości rozebrane oddzielnie — serce człowiecze, płuco, nerki i jak w nerkach rodzi się kamień. Żyła, na której płuco żyje, podobna jakby do starej ścierki. Żyły, które w mózgu żyją — jak nitki. Wielce dziwne...

Miasto Amsterdam stoi koło morza na nizinie, wszystkie ulice mają przeprowadzone kanały, tak wielkie, że można okręty wprowadzać, po bokach kanałów ulice szerokie — w niektórych miejscach można w dwie karety jechać. Po obu stronach wysokie drzewa przy kanale i między nimi — latarnie. Na wszystkich ulicach latarnie i każdy koło swego domu musi na noc taką latarnię zapalić.

w/Mmmmmwtw^g^m

Na wspomnianych ulicach plezyr, czyli spacery wielkie odbywają się.

Kupiectwo tu mieszka bogate, które uchodzi w Europie za największe, lud handlowy też bardzo bogaty. Przyodziewają się jak nigdzie. Giełda, która cała zrobiona z białego kamienia, a wewnątrz cała w rzeźbach z alabastru — wielce cudna... Podłoga zrobiona jak na szachownicy i każdy kupiec stoi na swoim kwadracie. I tak dużo 'bywa tu co dzień ludzi, że na całym placu chodzą w wielkiej ciasnocie... I bywa tam wielki zgiełk... Niektórzy ludzie — Żydzi co biedniejsi — chodzą między kupcami i dają wachać tabakę, komu pilnie potrzeba — i z tego żyją..."

Jakub Nomen, wykształcony Holender, zapisał w dzienniku:

„...Carowi nie dłużej niż tydzień udało się przebyć incognito: niektórzy bywający w Moskwie poznali go z oblicza. Wieść o tym rozpowszechniła się prędko w całej naszej ojczyźnie. Na giełdzie amsterdamskiej ludzie zakładali się o wielkie sumy — czy naprawdę jest to wielki car, czy też jeden z jego posłów, Pan Hautman, prowadzący handel z Moskwą i niejednokrotnie w Moskwie goszczący u siebie cara, przyjechał do Zaandamu złożyć carowi swoje głębokie uszanowanie. Powiedział: «Najjaśniejszy pomazańcze, wyż to je- -steście?» No to car odpowiedział dość ostro: «Jak widzisz®. Po czym długo rozmawiali

O trudności drogi północnej do Moskwy i o zaletach portów bałtyckich — przy czym Hatft- man nie ważył się patrzeć carowi prosto w twarz, wiedząc, że to mogłoby cara zgniewać: nie znosił, by mu patrzono prosto w oczy. Był taki wypadek: niejaki Alderston Błock spojrział kiedyś na ulicy zbyt zuchwale carowi w oczy — słowem, jakby oglądał dziwo wielce ucieszne. Za to car uderzył go tak mocno w twarz, że Alderstona Błocka zabolalo i uciekł zawstydzony, a przechodnie śmiali się z niego: «Braw o, Alderston, zostałeś pasowany na rycerza!»

Inny kupiec chciał widzieć cara przy robocie i prosił majstra stoczni, aby zaspokoił jego ciekawość. Majster uprzedził, że ten, komu on powie: «Piter, cieślo zaandamski, zrób to a to» — jest carem moskiewskim. Ciekawy kupiec wszedł na stocznię i zobaczył, jak kilku robotników niosło ciężką belkę. Wówczas boss, czyli majster, krzyknął: «Piter, cieślo zaandamski, czemu nie porno- żesz?»

Na to jeden z cieśłów, wysoki prawie na siedem stóp, w odzieży zawalanej smołą, z kędziorami przylepionymi do czoła, zaciął topór i nadbiegłszy posłusznie, podstawił ramię pod belkę i poniósł ją razem z innymi ku niemałemu podziwowi wymienionego kupca...

Po robocie odwiedza skromną oberżę portową, gdzie siedząc przy kuflu pali fajkę

1 gwarzy wesoło z najbardziej nieokrzesany

mi ludźmi, śmieje się z ich żartów, nie troszcząc się wcale o swoje dostojęstwo. Często odwiedza żony tych robotników, którzy pracują obecnie w kraju moskiewskim, pije z kobietami jałowcówkę, klepie je i żartuje z nimi. O pewnych jego dziwactwach mówi następujący wypadek. Kupił śliwek, wsypał do kapelusza, wziął go pod pachę i jadł idąc ulicą przez tamę do Zuiddijku. Przyczepiła się do niego gromada chłopców. Niektóre z dzieci podobały mu się, powiedział: «Człowieczki, chcecie śliwek?» I dał im kilka sztuk. Wówczas podeszli inni i rzekli:

«Daj nam też śliwek albo co innego?, Ale on wykrzywił się śmiesznie i splunął w nich pestką, zabawiając się ich rozdrażnieniem. Niektórzy chłopcy zgniewali się tak bardzo, iż zaczęli rzucać w niego zgniłymi jabłkami, gruszkami, trawą i różnymi śmieciami. Śmiejąc się odszedł od nich. Jeden z chłopców trafił go w plecy kamieniem, sprawiając ból, co go już zniecierpliwilo. Wreszcie przy śluzie pecyna ziemi trafiła go w głowę, a on nie panując nad sobą krzyknął: «Czy tu u was nie ma burmistrzów, żeby pilnowali porządku? {;}» Ale i to bynajmniej nie przestraszyło chłopców...

W święta jeździ po zatoce żaglówką kupioną od malarza Harmensena za czterdzieści guldenów i kufel piwa. Pewnego razu, gdy jeździł po Kerkraku, do jego łodzi zaczął zbliżać się statek pasażerski, na którego pokła

dzie było dużo ludzi płonących chęcią zobaczenia cara z bliska. Statek podszedł prawie do samej łodzi, a car broniąc się przed natręctwem porwał dwie puste butelki i rzucił je jedną po drugiej prosto w tłum pasażerów, ale na szczęście nikogo nie trafił...

Jest niezwykle żądny wiedzy, przy każdej okazji zapytuje: «Co to jest?» A gdy odpowiedzą — mówi: «Chcę to zobaczyć». Ogląda i wypytuje, dopóki nie zrozumie. W Utrechcie, dokąd jeździł ze swymi współtowarzyszami w celu zobaczenia się ze stathouderem Holandii, królem angielskim Wilhelmem Orańskim —* trzeba go było oprowadzać po domach wychowawczych, szpitalach, różnych fabrykach i warsztatach. Zwłaszcza podobał mu się gabinet anatomiczny profesora Ruisha — tak go zachwycił doskonale spreparowany trup dziecka, które uśmiechało się jak żywe, że pocałował je. Gdy Ruish zdjął prześcieradło z rozczłonkowanego anatomicznie trupa — car zauważył obrzydzenie na twarzach swych rosyjskich współtowarzyszy i krzyknawszy na nich gniewnie kazał im zębami chwytać i rozrywać muskuły trupa...

Wszystko to zapisałem wedle opowiadań różnych ludzi, ale wczoraj udało mi się samemu ujrzyć go. Wychodził ze sklepu wdowy po Jakubie Ohmie.

Szedł szybko, wymachując rękoma, a w każdej miał nowe toporzyisko. Jest to człek wysokiego wzrostu, okazały, mocno zbudowany, ruchliwy i zręczny. Twarz ma okrągłą, z wyrazem surowości, brwi ciemne, włosy krótkie, kędzierzawe i ciemne. Był w szarszowym kaftanie, czerwonej koszuli i wołokowym kapeluszu.

Takim go widziały setki ludzi zebranych na ulicy, a również moja żona i córka".

„Min her kenig... W dniu wczorajszym przysłali z Wiednia posłowie cesarscy do naszych posłów szlachecka z wieścią, że Bóg dał wojskom cesarza Leopolda zwycięstwo nad Turkami takie, iż Turcy w trzech okopach nie potrafili się utrzymać i ze wszystkich zostali wyrzuceni i pobici, i uciekali przez most, ale cesarscy zaczęli z baterij strzelać. Turcy rzucali się do wody, a cesarscy rąbią z tyłu, i tak zupełnie Turków pobili i tabor wzięli. W bitwie tej zabito Turków 12 000, między którymi wielkiego wezyra, a powiadają, jakoby sułtan zabity...

Generalissimusem nad cesarskimi wojskami był brat księcia sabaudzkiego — Eugeniusz: człek młody, ma, jak powiadają, 27 lat, i to jego pierwsza bitwa.

Donosząc to i winszując Wam, Panie mój, onego triumfu, prosimy, żeby wszelka uciecha przy strzelaniu z armat i muszkietów okazana została. Z Amsterdamu, 13 dzień września... Piter."

W styczniu Piotr przyjechał do Anglii i zamieszkał w miasteczku Deptford na stoczni, o trzy wiorsty od Londynu, gdzie zobaczył to, czego na próżno domagał się w Holandii — sztukę budowy okrętów na zasadzie naukowej, czyli geometryczną proporcję statków. Dwa i pół miesiąca uczył się matematyki i kreślenia planów okrętowych. W celu założenia szkoły żeglarskiej w Moskwie zaprosił uczonego, profesora matematyki Andrzeja Fergarsona i mistrza w budowie śluz, kapitana Johna Perry — do ibudowy kanału między Wołgą i Donem. Marynarzy Anglików zdobyć nie mógł, drożyli się, a pieniędzy w poselskim skarbcu było mało. Z Moskwy bezustannie przesyłano skóry sobole, złotogłów, nawet to i owo z carskich klejnotów — kubki, naszyjniki, chińskie filiżanki, ale wszystkiego tego nie starczało na opłacanie wielkich zamówień i wynajem ludzi.

Pomógł uprzejmy Anglik lord Peregrin, markiz Carmathen — zaproponował objęcie w dzierżawę całego handlu tytoniem w państwie moskiewskim i pozwolenie wwozu trzech tysięcy beczek owego ziela, nikocja-ny — każda po pięćset funtów wagi angielskiej — zapłacił z góry dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów. Wówczas udało się zwerbować znamienitego holenderskiego kapitana wielkiej żeglugi, człeka butnego i porywczego, ale wytrawnego marynarza — kapitana

520

Korneliusza Kreisa: — wyznaczono mu pensję 9000 guldenów Bj po naszymu 3600 talarów — dom w Moskwie i całkowite utrzymanie, tytuł wiceadmirała i prawo zabierania trzech procent ze zdobyczy na nieprzyjacielu, a gdyby się dostał do niewoli — wykup na koszt skarbu.

Przez Archangielsk i Nowogród przybywali do Moskwy cudzoziemscy komandorzy, szturmani, bosmani, lekarze, majtkowie, kucharze oraz mistrze okrętowi i armatni. Stosownie do carskich ukazów umieszczano ich w domach szlacheckich i kupieckich. W Moskwie powstała ciasnota. Bojarzy nie wiedzieli, co mają robić z taką chmarą cudzoziemców.

Ciągnęły tabory z bronią, z żaglowym płótnem, z różnymi narzędziami do obróbki drzewa i żelaza, fiszbinem, tekturą, korkiem, kotwicami, z jesionem, bryłami marmuru, skrzynie z noworodkami i potworami w spirytusie, suszone krokodyle, wypchane ptaki. Ludzie żyją o suchym chlebie i kwasie. Moskwa przepelniona żebrakami, nawet rozbójnicy puchną z głodu, a tu zwożą... Napierają gładcy, zuchwali cudzoziemcy. Czy aby nie pomieszały się carowi klepki w głowie?

Od pewnego czasu po moskiewskich bazarach krążyła wieść, że car Piotr utonął za morzem (niektórzy mówili, że do beczki wpakowany), a Lefort wynalazł pewnego Niemca całkiem podobnego, zastawia się nim jako Piotrem, w jego imieniu będzie teraz rządził,

521

dręczyl i wykorzeniał wiarę prastarą. Łapacze chwyłali takich warchołów, prowadzili do urzędu preobrażeńskiego, Romodanowski'. sam ich badał doświadczając biczem i ogniem, ale nie można było dotrzeć, skąd idą pod-^ burzające wieści, gdzie się znajduje ich gniazdo. Wzmocniono dozór nad klasztorem Nowodiewiczym, aby nie przepuścić żadnych przesylek od carówny Zofii.

Romodanowski spraszał do siebie na uczyty bojarów i możną szlachtę, trunku nie skąpił. Stawiano w drzwiach muszkietarów, aby goście nie uciekali za wcześnie, i tak ucztowali doby całe i dłużej, karły i błazny pełzali pod stołami podsłuchując rozmowy — między pijanymi chodził uczony niedźwiedź, podawał łapami kubek z winem, aby gość pił, a gdy kto nie chciał niedźwiedź rzucał kubek, walił się na opornego, drapał pazurami i próbował ssać twarz. Książę-cesarz, otyły, zmęczony, drzemał na tronie, pilnie nasłuchując, bystro patrząc, ale goście nawet po pijanemu nie mówili nic niepotrzebnego, choć wiedziano, iż wieiu czeka jeno, kiedy pod Piotrem i jego kompanią zatrząsie się ziemia...

Wkrótce wróg wystąpił otwarcie. W Moskwie ukazało się około stu pięćdziesięciu strzelców, którzy uciekli z wojska znad granicy litewskiej. Posłano tam na pomoc wo-
mu, cztery pułki strzeleckie pod dowództwem

m

ki, które po wzięciu Azowa pozostały przy budowie twierdz w Taganrogu i Azowie i które pozaprzeszłej jesieni buntowały się wraz z Kozakami i groziły czynić to, co Stieńka Razin. Ciężka służba dojadła im niepomiernie, chcieli wrócić do Moskwy, do żon, do spokojnego handelku i rzemiosł. A tu zamiast odpoczynku wysłano ich nad litewską granicę, w bagniste miejscowości, na głód i chłód.

Widocznie na strzelców ktoś w Moskwie czekał. Ich pismo hołdownicze (przez dwór-kę) trafiło od razu na Kreml, do panieńskiego teremu, gdzie mieszkała pod niezbyt ostrym nadzorem siostra Zofii, carówna Marta. Przez tę samą niewiastę Marta przesłała wkrótce odpowiedź: v

„U nas przy dworze zagmatwało się: niektórzy bojarowie, co na Kuktij jeżdżą i kumają się z cudzoziemcami, chcą carewicza Aleksego zadusić. Ale myśmy podstawili kogo innego i oni, zgniewani, bili młodą carową po twarzy. Co 'będzie — nie wiemy... A monarcha — nie wiadomo, czy żyje, czy umarł. Jeśli wy, strzelcy, nie pospieszycie zaraz do Moskwy, to już jej nie ujrzycie, ukaz o was jest już napisany..."

'Z pismem tym strzelcy biegali po placach i gdzie należało wykrzykiwali: — Bywało, że carówna Zofia karmiła osiem razy do roku po trzystu ludzi, a siostry jej, carówny, również żywiły — w mięsopust wydawano prostemu ludowi ozory wędzone, studzienę,

półgęski, kury z kaszą i pierogi z mięsem i jajami, a jeszcze dawano wieprzowinę peklowaną i ryby, i śmietaną, i dużo wódki, dwójniaka, miodu syconego... Oto, jakich mieliśmy carów. Teraz obżerają się jeno cudzoziemcy, a wy możecie z głodu pozdychać, za wasze dobro krokodyle za morzem kupują. — Szli z wrzaskiem do Urzędu Strzeleckiego, nie zlékli się nawet Iwana Borysowi- cza Trojekurowa, a gdy kilku krzykaczy chwycono i poprowadzono do więzienia — towarzysze ich odbili.

Książę-cesarz wezwał generałów — Gordona i Artamona Gołowina — postanowiono niezwłocznie wyrzucić z Moskwy zbiegłych strzelców. Fiodor Juriewicz, mocno zatrwożony, ruszył na przegląd pułków gwardyj- skich i żołnierskich, ale wszędzie zastał porządek i spokój. Wybrano stu siemionowców i wezwano ochotników spośród kupiectwa. Nocą po cichu obchodzili strzeleckie domy na przedmieściu, wyłamywali wrota, rugowali strzelców w pojedynkę. Ale z tych żaden nie stawiał oporu: — A, to wy, siemio- nowcy... Czego się rzucacie? My i tak pójdziemy. — Brali worek z pierogami, strzelbę zawiniętą w gałgan i odchodzili pokpiwając, że dokonali tego, po co przyszli do Moskwy.

Strzelcy ponieśli na litewską granicę list carówny Zofii. Tego właśnie dnia Marta przez karlicę posłała carównie Zofii do Nowodie- wiczego postny pieróg, w którym znajdowało się pismo hołdownicze strzelców. Zofia przez tęż karlicę wysłała odpowiedź:

„Strzelcy... wiadomo mi, że z waszych pułków pewna liczba przybyła do Moskwy. A winniście być w Moskwie i wszystkimi czterema pułkami stanąć obozem pod klasztorem Diewiczym, i bić mi czołem, bym szła do Moskwy władać po dawnemu. A jeśli by żołnierze, którzy stoją pod klasztorem, nie puszczali do Moskwy — należy się z nimi załatwić, wybić ich i ruszyć na Moskwę. A kto by sprzeciwił się — z ludu czy żołnierzy — powinniście ich zabijać”.

Był to rozkaz wzięcia szturmem Moskwy. Gdy dezerterzy wrócili z listem carówny do pułków nad litewską granicę, rozpoczął się tam bunt.

XII

I Piotr, i wielcy posłowie niezbyt rozumieli się na polityce europejskiej. Wojowanie dla Moskwiczinów znaczyło: ochraniać stepy przed koczownikami, znosić rozbójnicze zagony Tatarów krymskich, uczynić bezpiecznymi wodne i lądowe drogi na wschodzie, przebić się do morza.

Polityka europejska wydawała się im sprawą mętłą. Wierzyli mocno w umowy pisę* mne i przysięgi królów. Wiedzieli, że król francuski z tureckim sułtanem idą razem i że Wilhelm Orański, jako król angielski i stat-

houder Holandii, obiecał Piotrowi pomoc w wojnie z Turcją. A nagle — jak cegła na głowę — spada niezrozumiała wieść (przywiózł ją z Polski szlachcic od Augustę?), że cesarz austriacki Leopold wszczął rokowania pokojowe z Turcją, a zamierzenia te popiera mocno Wilhelm Orański, nie pytając się ani Moskwy, ani Polski.

A jego niedawne zapewnienia, że pragnie żarliwie zwycięstwa chrześcijańskiego oręża nad wrogami Grobu Pańskiego? Co to znaczy? Podarował Piotrowi jacht... Nazywał bratem... ucztowali razem... Co o tym wszystkim myśleć?

Można było jeszcze zrozumieć, że cesarz Leopold rokuje z Turkami o pokój: między nim i królem francuskim wszczynana się wojna o sukcesję hiszpańską, to jest (wedle rozumienia posłów) — który z nich osadzi swego syna na tronie hiszpańskim. Sprawa wielka, oczywiście, ale co ma do tego Anglia i Holandia?

Piotrowi i wielkim posłom trudno było zrozumieć, że angielscy i holenderscy kupcy dawno już mają na sercu wojnę, która by położyła kres handlowemu i wojskowemu panowaniu Francji na Oceanie Atlantyckim i Morzu Śródziemnym, że dziedzictwo hiszpańskie to nie tron dla tego lub innego królewskiego syna, nie drogocenna korona Karola Wielkiego, lecz swobodne szlaki morskie dla okrętów naładowanych sukniem i żelazem, jedwabiem i korzeniami, obszerne

526

rynki i wolne porty, i że Holendrzy i Anglicy wolą nie walczyć sami, lecz szczuć innych...

Jeszcze trudniejsze do zrozumienia zdawało się to, że Anglicy i Holendrzy, usiłując rozwiązać ręce cesarzowi austriackiemu do wojny z Francją — stanowczo pragną, aby Rosjanie dalej prowadzili wojnę z sułtanem. Oto jest owa dwuznaczna i wielka polityka europejska...

Piotr wrócił do Amsterdamu. Burmistrzowie, pytani o nieprzyjemne wieści z Wiednia, odpowiadali wymijająco i rozmowę przesuwali na sprawy handlowe. Równie uchylali się od innej, bardzo ważnej dla Moskwi-ków sprawy. W tym roku na Uralu majster kowalski Demidow znalazł żelazną rudę magnetyczną. Winius pisał do Piotra:

„Nie było lepszej rudy w całym świecie i być nie może, taka 'bogata, że ze stu funtów rudy wychodzi czterdzieści funtów żelaza. Racz przypilić posłów, aby znaleźli dobrych majstrów umiejących wyrabiać stal”.

Anglicy i Holendrzy nader uważnie słuchali o rudzie magnetycznej na Uralu, ale gdy była mowa o wyszukaniu odpowiednich majstrów, zaczęli kręcić, mówili: — Wy sami nie dacie sobie rady z takimi zakładami, pojedziemy na miejsce, zobaczymy, może sami weźmiemy się do tego... — I ostatecznie nie udało się nająć majstrów ani w Anglii, ani w Holandii.

Do tych wszystkich niepokoju przybyła jeszcze wieść o buncie strzelców w Moskwie.

52?

Wielcy posłowie otrzymali od sekretnego korespondenta z Wiednia wieść, że i tam wiedzą już o tym — jakiś książę paple po mieście, że w Moskwie był bunt, książę Wasilij Golicyn wrócił z zesłania, carówna Zofia objęła tron, a lud zaprzysiął jej wierność...

„Min her kenig... W liście Waszym cesarskim objaśniono nas o buncie strzelców i że Wasze zarządzenia i gorliwość żołnierska stłumiły go. Wielceśmy radzi. Jeno gniewam się wielce na Ciebie, czemu nie dochodziłeś tej sprawy i złoczyńców puściłeś na rubież, Bóg Cię osądzi... Nie tak było mówione w zamiejskim domu w sieniach.

A jeśli myślicie, żeśmy zginęli tutaj, dlatego że poczta wstrzymana — to, z łaski boskiej, nikt u nas nie umarł, wszyscy żywi... Nie rozumiem, skąd na Was taki babski strach. Racz nie gniewać się: zaprawdę piszę z bólem serdecznym... My stąd jedziemy w tym tygodniu do Wiednia. Tam o niczym nie gadają, jeno żeśmy przepadli... Piter."

XIII

W dniu Zielonych Świąt, jasnym i pogodnym, ulice były zamiecione. Brzozowe gałązki wędły na bramach i furtkach. Jeśli nawet widać było jakiego człowieka — to chyba stróża z dębową pałą lub spisą koło skle

pów zamkniętych na pudowe kłódki. Cała Moskwa była na nabożeństwie. Gorące, przesycone kadzidłem powietrze płynęło z niziutkich drzwi ozdobionych brzoźkami. Tłumy żebraków stały w przedsiódkach — nawet tych rozebrało przy takim dniu; wśród dźwięku dzwonów świąteczne słońce prażyło skołtunione głowy, ciała pod łachmanami. Zalatywało wódką.

Tę zbożną ciszę zamącił turkot kół — Ni- kolską wściekle podskakiwał po bierwionowej jezdni wóz porządnie okuty, dobrze utrzymany koń pędził galopem, na wozie trząśł się kupczyk bez czapki, w zakurzonym niebieskim kaftanie, wypuczywszy oczy, ćwiczył konia. Wszyscy poznali Iwana Artiemicza Browkina. Na placu Czerwonym zostawił podbiegającym żebrakom konia robiącego bokami i rzucił się — rozpalony, miedziany — do soboru Kazańskiego, gdzie dygnitarze słuchali nabożeństwa. Przepychając się między takimi ludźmi, których nawet w myśli strach dotknąć, dostrzegł krępe, brokatowe plecy księcia-cesarza: Romodanowski stał przed wszystkimi na osobnym kobierczyku koło starodawnych carskich wrót*, jego żółtawe, grube oblicze tonęło w perłowym kołnierzu. Przecisnąwszy się Browkin odwalił przed księciem-cesarzem pokłon do pasa i śmiało zajrzał w mętne oczy, straszne od nabrzmiałych gniewem powiek.

— Miłościwy panie, przez całą noc pędziłem ze Syczewki — to moja wioska pod Nową Jerozolimą... Straszne wieści...

— Ze Syczewki? — Romodanowski, nie rozumiejąc, gniewnie spojrzął na Iwana Artiemicza. — Co ty? Spileś się, obyczajnie nie znasz? — Kark zaczął nabrzmiewać mu gniewem, zwisające wąsy poruszyły się. Browkin bez bojaźni przysunął się do jego ucha.

— Cztery pułki strzelców idą na Moskwę. Od Jerozolimy dwa dni drogi... Idą wolno, z taborami... Przebacz więc, miłościwy panie, iż niepokoję cię z powodu takiej wieści.

Wsparłszy się na lasce Romodanowski pochwycił Iwana Artiemicza za rękę, ścisnął z natężeniem, czerwieniejąc, i obejrzał się na wspaniale odzianych bojarów, na ich zaciekawione twarze. Wszyscy oczy przed księciem-cesarzem opuścili. Powolnym kiwnięciem przywołał Borysa Aleksiejewicza Golicyna.

— Po nabożeństwie — do mnie. Archimandryta niech pospieszy z modłami... Rzeknij Artamonowi i Winiusowi, żeby do mnie — bez zwłoki...

I znowu, czując szepty bojarские za plecami, odwrócił się nieco, mąt opadł mu z oczu. Ludzie ze strachu zapominali się żegnać. Słysząc było pobrzękiwanie trybularza i trzepot skrzydeł gołębia w zakurzonym okienku pod sklepieniem.

Mki

Cztery pułki — Hundertmarka, Czubarowa, Kołzakowa i Czermnego — stały na wilgotnej nizinie pod murami klasztoru Woskriesieńskiego, zwanego Nową Jerozolimą. Na zielonawym zachodzie, poza tarasową babilońską dzwonnica, mrugnęła gwiazda. W klasztorze było ciemno, brama zamknięta. Ciemno było również na błoni, ogniska zdeptano, wozy skrzypiały, dobiegały surowe głosy — strzelcy chcieli w nocy przeprowić się z taborami przez wąską rzeczka Istrę na drogę moskiewską.

Zatrzymali się pod klasztorem i we wsi Syczewce dla furazowania. Wywiadowcy, którzy wrócili spod Moskwy, mówili, że tam wielkie zamieszanie, bojarzy i bogate kupiectwo uciekają na wieś do dóbr. Przedmieścia oczekują strzelców i byle jeno podejść — wybiją straże przy bramach i wpuszczą pułki do miasta. Generalissimus Szejn zebrał ze trzy tysiące ludzi z uciesznych pułków Piotra, butyrczyków i lefortowców i będzie walczył, ale należy się spodziewać, że cały lud poprze strzelców, a strzelcowe już teraz ostrzą piki i topory, biegają po przedmieściu jak oszalałe, czekając na mężów, synów, braci.

Przez cały dzień spierano się w pułkach — jedni chcieli walić prosto do Moskwy, drudzy powiadali, że należy Moskwę obejść i stanąć w Sierpuchowie albo w Tule i stam-

ład słać gońców nad Don i do miast kresowych, wzywać Kozaków i strzelców na pomoc.

- Po co do Sierpuchowa? Do domów, na slobodę...
- Nie chcemy zaczynać oblężenia. Co tam Szein... Całą Moskwę podniesiemy.
- Raz Już nie podnieśliśmy... Sprawa niebezpieczna.
- Oni mają wojsko Gordona i pułkownika Kraagego... Ci nie żartują...
- A my jesteśmy zmęczeni. I prochu mało... Lepiej się okopać.

Na wóz wszedł Owsiej Rżow. Wybrano go na pięćsetnika. Jeszcze w Toropcu, gdzie rozpoczął się bunt, wytracono wszystkich oficerów i pułkowników. Tichon Hundertmark ocalał jeno dlatego, że był na koniu, Kołza- kow z rozbitą głową ledwo uszedł za rzekę poprzez kładki. Wówczas zwołano koło i wybrano zwierzchność strzelecką. Owsiej zrywając głos wrzeszczał:

— Kto ma całą koszulę na ciele? Moja przegniła, od roku brodyim nie cesał, w łaźni nie byłem... Kto ma koszulę, niech się okopuje. A my o jednym myślimy — byle do domu.

— Do domu, do domu! — krzyknęli strzelcy włączając na wozy. — Zapomnieliście, co Zofia napisała? Jak najprędzej iść na pomoc. Jeśli nie pospieszymy — sprawa nasza zgubiona. Franza Leforta będziemy mieli na karkach aż do śmierci. Lepiej od razu wszczać walkę i Zofię obwołać carową. Dostaniemy żołąd, żywność i przywileje. Postawimy znowu słup na placu Czerwonym. Bojarów po- zrzucamy z dzwonnicy, domy ich podzielimy, sprzedamy, carowa nam odda wszystko. A co do niemieckiej slobody — ludzie zapomną nawet, gdzie stała...

Na wóz do Owsieja wskoczyli strzelcy prowadzący — Tuma, Proskuriakow, Zorin, Jersz. Brzęknęli szablami o pochwy.

- Chłopcy, zaczynajcie przeprawę...
- Który nie zechce iść na Moskwę — na spisek takiego!

Wielu pobiegło do wozów, krzycząc dziko na konie. Tabor z tłumami strzelców ruszył ku rzece, nad którą stały opary. Ale na tamtym brzegu, w zamglonych krzakach, dawano jakieś znaki i słychać było natężony głos:

- Stój, stój...

Wpatrzywszy się zauważyli nad wodą człowieka w pancerzu, w hełmie z piórami. Poznali Gordona. Zapanowała cisza.

— Strzelcy! — usłyszeli jego głos. — Mam ze sobą cztery tysiące wojska wiernego swemu monarsze. Zajęliśmy doskonałą pozycję do bitwy. Ale nie chcę przelewać bratniej krwi. Rzeknijcie mi, co zamysławacie i dokąd idziecie?

- Do Moskwy... Do domu... Jesteśmy zagłodzeni... Obszarpani...
- Dlaczego zapędziliście nas w podmokłe lasy?...

- Mało nas wybito pod Azowem... Małośmy jedli padliny w drodze spod Azowa...
- Opadliśmy z sił przy budowaniu twierdzy.
- Puśćcie nas do Moskwy. Ze trzy dni po- będziemy w domu, potem wrócimy do posłuszeństwa...

Gdy się wykrzyczeli, Gordon przystawił dłonie do ust.

— Parco topsze... Ale tylko klupi przeprawiają się w nocy przez rzekę! Istra — klepo- ka rzeka, zatopicie tabor. Lepiej poczekać na tamtym przeku, my na tym, a jutro pogadamy.

Dosiadł rosłego konia i popędził w mrok nocny. Strzelcy pokręcili się, pokrzyczeli i jęli rozpalać ogień, gotować kaszę...

Gdy na bezchmurnym niebie ukazało się słońce, ujrzeni na wzgórzu za Istrą równe szeregi pułku Preobrażeńskiego, a wyżej — dwanaście miedzianych armat na zielonych lawetach. Lonty dymiły. Na lewym skrzydle stało pięć sotni dragonów z chorągiewkami. Na prawym, osłonięta zasiekami — reszta wojska, zasłaniając drogę moskiewską.

Strzelcy podnieśli wrzawę, spiesznie zaprzęgali konie, ustawiali wozy w czworobok kozackim obyczajem. Ze wzgórza zjeżdżał stępa Gordon z sześciu dragonami, podjechał do rzeki, kary koń jego powąchał wodę i skokami w bród przeniósł go na drugi brzeg. Strzelcy otoczyli generała.

— Słuchajcie... — podniósł rękę w żelaznej rękawicy. — Jesteście ludzie topszy i rozsądni. Po co się mamy bić? Wydajcie nam podżegaczy i złoczyńców, co byli w Moskwie.

Owsiej rzucił się ku jego koniowi — broda potargana, oczy czerwone.

— Wśród nas nie ma złoczyńców. To wy, hultaje, ochrzciliście Rosjan złoczyńcami! Wszyscy mamy krzyżyki na szyjach... A może Franzowi Lefortowi nie podobają się te krzyżyki, co?

Nacierali, wszczął się krzyk. Gordon siedział na koniu z oczyma na pół przymkniętymi, bez ruchu.

— Do Moskwy was nie puścimy. Usłuchajcie starego wojaka, zaprzestańcie buntów, będzie źle...

Strzelcy unosili się, zaczęli już przeklinać. Wysoki, ciemnowłosy, sokolooki Tuma wlaź na armatę i wymachiwał papierem.

— Wszystkie nasze krzywdy tu zapisane... Puśćcie choć ze trzech od nas za rzekę, przeczytamy wojsku nasze żale.

j — Niech zaraz czyta... Gordon, słuchaj...

Tuma czytał jękając się i rąbiąc powietrze zaciśniętą pięścią:

— „...będący pod Azowem heretyk Franz Lefort, aby rosyjskiej prawowierności krzywdę wielką uczynić, poprowadził ów Franz najlepszych strzelców moskiewskich pod mury w czas niesposobny i ustawiwszy w najkrwawszych miejscach, mnóstwo ich wytracił... Jego też zamysłem zrobiono podkop, a

podkopem tym wytracił on ze trzystu strzelców i więcej!"

Gordon dotknął ostrogami konia, chciał porwać pismo. Tuma odskoczył. Strzelcy poczęli wściekle krzyżeć. Tuma czytał:

— „...Onego Franza zamysły całemu ludowi czynią gwałty, jako to: golenie bród i palenie tytoniu gwoli zupełnemu obaleniu starodawnej prawowierności...”

Widząc, że nie przekrzyczy strzelców, Gordon wspiął konia i poprzez ustępujący z drogi tłum strzelców popędził ku rzece. Widziano, jak zeskoczył z konia przy namiocie generalissimusa. Wkrótce w skośnych promieniach słońca błysnęły ryzy popów. Wówczas strzelcy również kazali odprawić nabożeństwo przed bitwą. Pokryli kapą lawetę armaty, postawili wiadro do pojenia koni — na pokropek. Zdjęli czapki. Bosi, obszarpani popi zaczęli zbożnie modły... „Panie, daj zwycięstwo nad Filistynami i Amalekitami, nad innowierczymi bałwochalcami...”

Na tamtej stronie, przy namiocie Szeina, całowano już krzyż, a strzelcy wciąż klęczeli i śpiewali. Żegnając się brali broń, odgryzali ładunki, nabijali. Popi zwinęli zniszczone stuły i odeszli za wozy. Wówczas z pagórka huknęło dwanaście dział jednocześnie... Pociski z gwizdem leciały nad obozem i pękały pod klasztornymi murami, wyrzucając kłęby ziemi.

Owsiej Rżow, Tuma, Zorin, Jersz wywijali szablami.

- Bracia, stańmy pierś przy piersi!
- Zdobędziemy Moskwę własnymi piersiami!
- Szykować się rotami!
- Działa, działa wytaczać!

Zbiegając się w kupy rotami, rzucali do góry czapki, wykrzykując dziko umówione zawołanie:

- Siergijew! Siergijew!

Pułkownik Kraage kazał celować niżej i baterie gruchnęły pociskami w tabor — poleciały drzazgi, konie zaczęły się szarpać. Strzelcy odpowiadali salwami strzelb i bombami czterech swoich armat. Za trzecim razem ze wzgórza wycelowano w gęszcz pułków. Część strzelców rzuciła się ku zasiekom, lecz tam spotkali ich butyrczyki i lefortowcy. Po raz czwarty zagrzmiały działa, wzgórek pokrył się gęstym dymem. Strzeleckie rotę zmieszały się, skłębily, rozbiegły. Rzucając sztandary, broń, kaftany, czapki, pędzili gdzie kto mógł. Dragoni przeprawiwszy się przez rzekę popędzili za nimi, zganiając uciekających, jak psy stado, z powrotem do obozu.

Tego samego dnia generalissimus Szein przeniósł swój obóz pod mury klasztorne i rozpoczął śledztwo. Ani jeden strzelec nie wydał Zofii, nie wspomniał o jej piśmie. Płakali, okazywali blizny, potrząsali łachmanami, mówili, że na Moskwę szli opętani zjadłością niepomierną, lecz teraz oprzytomnieli i sami widzą, że są winni.

Tum a, wisząc na belce z grzbietem porozrywany biczem na strzępy, nie powiedział ani słowa, patrzył jeno złym wzrokiem w oczy Ibadających. Tumę, Proskuriakowa i pięćdziesięciu sześciu najzawziętszych strzelców powieszono na drodze moskiewskiej. Resztę rozesłano do więzień i do klasztorów pod straż.

XV

Ludzi tak wykrętnych i takich kłamców jak na cesarskim dworze w Wiedniu Rosjanie nigdy jeszcze nie widzieli. Piotra przyjęto z honorami, ale jako osobę prywatną. Leopold nazywał go życzliwie bratem, ale tylko w cztery oczy, na spotkania przychodził incognito, wieczorami, w półmasce. Kanclerz, gdy była mowa o pokoju z Turcją, ze wszystkim się zgadzał, niczemu nie przeczył, wszystko obiecywał, lecz gdy chodziło o postanowienie ostateczne, wywijiał się jak piskorz. Piotr mówił mu:

— Anglicy i Holendrzy troszczą się jeno

0 dochody z handlu, nie we wszystkich sprawach należy ich słuchać. A do nas pisał jerozolimski patriarcha, żeby Grób Pański ratować... Czyżby Grób Pański nie był cesarzowi drogi?

Kanclerz odpowiadał:

— Cesarz zupełnie podziela owe wysokie

1 dostojne myśli, ale przez piętnaście lat wojowania wydano tak olbrzymie sumy, że jedynym dobroczynnym działaniem jest w obecnym czasie dążenie do pokoju.

— Pokój, pokój — mówił Piotr — a przecież gotujecie się do wojny z Francuzami, więc jakże to?

Ale kanclerz w odpowiedzi patrzył jeno .wesołymi wodnisto-nerozumiejącymi oczyma. Piotr mówił, że potrzeba mu tureckiej twierdzy Kercz — niechby cesarz, podpisując pokój z Turcją, zażądał tej twierdzy dla Moskwy. Kanclerz odpowiedział, że bez wątpienia dwór wiedeński podziela z zachwytem te pretensje, ale on przewiduje w tej sprawie trudności, albowiem Turcy nie zwykli oddawać twierdz bez bitwy. > Słowem, odwiedziny wiedeńskie nie dały nic wyraźnego. Nawet posłów nie chciano przyjąć na uroczystej audiencji, by mogli złożyć dary i listy wierzytelne. Posłowie zgadzali się już iść przez kawalerskie komnaty bez kapeluszy i ograniczyć liczbę orszaku dla niesienia podarków do czterdziestu ośmiu zwykłych obywateli, ale nastawali uparcie, aby przy wejściu na salę ochmistrz dworu głośno wygłosił carski tytuł, choćby mniejszy, i aby carskich darów nie kładziono na dywanie u nóg cesarskich. „Nie jesteśmy, tego, Czuwasze albo cesarscy poddani, lecz naród równy waszemu i wielki...” Minister dworu uśmiechał się, rozkładał ręce: „Tym niesłychanym pretensjom nie ma sposobu zadośćuczynić...” Tu jevzcze dotkliwiej niż w Holandii do

wiedzieli się, co to jest europejska polityka. Ze zmartwienia jeździli do opery, podziwiali. Odwiedzali zamki podmiejskie. Byli na wielkiej maskaradzie dworskiej. Piotr przygotowywał się już do wyjazdu do Wenecji. Z Moskwy od Romodanowskiego i Winiusa przyszły listy o strzeleckim buncie pod Nową Jerozolimą...

„Min her kenig... List twój 17 czerwca napisany oddano mi, w którym Wasza Miłość piszesz, iż nasienie Iwana Miłosławskiego rozmnaża się — w czym proszę nie pobłażać, inaczej ognia tego ugasić nie potrafimy.

Choć nam wielce żal terazniejszych użytecznych spraw, jednakowoż z powodu owej przyczyny będziemy u Was rychlej, niżli spodziewacie się... Piter...”

XVI

Podczas nabożeństwa w soborze Uspeńskim książę-cesarz po ucałowaniu krzyża wszedł na ambonę, zwrócił się do bojarów, laską brzęknął o płyty.

— Wielki monarcha Piotr Aleksiejewicz raczy być w drodze do Moskwy.

Kołysząc otyłym ciałem, ruszył przez tłum. Wsiadł do złoconej karety z dwoma sążnistymi, o zwierzęcych pyskach hajdukami na tylnym koźle i z hukiem pojechał przez Moskwę.

540

Wieść ta spadła na bojarów jak grom. Zasiedzieli się, przywykli przez półtora roku do cichej pomyślności... Przylatuje jasny sokół! Żegnajcie, śnie i drzemko — znowu nakładaj maskarę! A odpowiedzialność za strzeleckie bunty? Za marudną wojnę z Tatarami? Za pusty skarbiec? Za wszystkie sprawy, które już miały być rozpoczęte, ale jakoś się jeszcze przewlokły? Górze nam!

Ani pomyśleć o wytchnieniu i wygodzie. Wielka Duma carska zbierała się dwa razy dziennie. Wszystkim kupcom kazano zamknąć sklepy, iść do urzędu Wielkiego Skarbu — liczyć miedziane pieniądze, i żeby w ciągu trzech dni wszystko było przeliczone... Zwołali diaków z urzędów — prosili W imię Syna Bożego: jeśli są jakie nieporządki w urzędach — uporządkować to jakoś, podać i pisarzy nie puszczać w te dni zupełnie na noc do domu, krnąbrnych przywiązywać do stołów za nogi...

Bojarzy przygotowywali się na powitanie cara. Niektórzy wyciągali ze skrzyń obrzydłą odzież niemiecką i peruki przysypane miętą, by ich mole nie zjadły. Rozkazywali usunąć z sal jadalnych zbyteczne obrazy święte, a nawieszać jakichkolwiek zwierciadeł i maszkar. Jewdokia z carewiczem i ulubioną siostrą Piotra, Natalią — pospiesznie wróciła z Trójcy.

Czwartego września pod wieczór przy żelaznej bramie domu księcia-cesarza zatrzymały się dwie zakurzone karety. Wysiedli

541

Piotr, Lefort, Gołowin i Mieński. Zapukali. Straszliwe brytany na dziedzińcu jeły ujadać. Otwierający żołnierz nie poznał cara. Piotr pchnął go w pierś i ruszył z ministrami przez dziedzińiec ku niziutkiemu gankowi pod blachą ołowianą, wspartemu na kulach i kręconych słupkach, gdzie przy wejściu siedział na łańcuchu uczony niedźwiedz. Z góry wyjrzał Romodanowski unosząc ramę okienną — jego nalana twarz zadrgała radością.

XVII

Od Romodanowskiego car pojechał na Kreml. Jewdokia już wiedziała o przybyciu i oczekiwała męża, wystrojona i zarumieniona. Worobicha w pięknym kaftanie, z uśmiechem na ustach, mrużąc oczy stała na straży na bocznym ganku. Jewdokia co chwila spoglądała przez okienko na Worobichę, oświetloną przez szczelinę w drzwiach — czekała, kiedy tamta machnie chusteczką. Wtem baba wtoczyła się do sypialni.

— Przyjechał... Ale wysiadł zaraz przy ganku carówny... Pobiegnę, dowiem się...

Jewdokia od razu poczuła pustkę w głowie, ogarnęły ją przykre przeczucia. Siadła bezsilna. Za oknem gwałdzista jesienna noc. Przez półtora roku rozłąki nie napisał ani jednego listu. Przyjechał i od razu popędził do Natalii Trzasnęła palcami... „Żyliśmy so

bie w zbożnej ciszy, w nieustannej radości. Przyleciał — dręczyć!"

Zerwała się... Gdzież Aloszeńka? Trzeba pobiec z nim do ojca!... W drzwiach zderzyła się z Worobichą. Baba szeptała głośno:

— Widziałam na własne oczy... Wszedł do Natalii... Uściskał ją — a ta w płacz... A on — oblicze srogie... Policzki drżą... Wąsy podkręcone do góry. Kaftan zamorski, szary, z kieszeni chusteczka i fajka sterczy, buty ogromne cudzoziemskiej roboty...

— Głupia, głupia, mów, co było...

— I mówi do niej: „Droga siostrze, chcę widzieć syna mego jedyne". A ta — jak ona się zakręciła! — zanitko wprowadziła Aloszeńkę.

— Zmija, zmija Nataszka — szeptała drżącymi wargami Jewdokia.

— On złapał Aloszeńkę, przycisnął do piersi i jak nie zacznie całować, pieścić... Potem postawił go na podłodze, kapelusz zamorski nacisnął: „Spać — powiada — pojedę do Pre- obrażeńskiego..."

— I pojechał? (Chwyciła się za głowę.)

— Pojechał, carowo, mateńko, aniele dobroci — pojechał, pojechał, może spać, a może do niemieckiej slobody...

XVIII

Już o zorzy porannej ciągnęły do Preobra- żeńskiego karety, kolasy, jezdni. Bojarzy,

gonorałowło, pułkownicy, co znamienitsza szlachta, diacy Dumy spieszili z hołdem do nowo odzyskanego władcy. Przechodząc się przez sień nabitą ludźmi, pytali z trwogą: — No co? No Jak miłościwy pan? —•
Odpowiadano z dziwnym uśmiechem: Miłościwy pan wesoly.

Przyjmował w wielkiej sali, świeżo odnowionej, przy długim stole zastawionym flaszkami, szklankami, kubkami i półmiskami z zimnym jabłkiem. Dym z fajek kłębił się w promieniach słońca. Carska powierzchowność wydawała się nierosyjska: cudzoziemski kaftan z cienkiego sukna, na szyi — niewieście koronki, wychudzony, z zadartymi ciemnymi wąsiskami, w jedwabistej peruczce siedział nio po naszymu, podglądając nogi we włóczkowych pończochach.

Ludzie pochodzili do cara — w długich szubach, z brodami naprzód — wytrzeszczając oczy kłaniali się wedle godności, do nóg albo do pasa, i dopiero wówczas dostrzegali u nóg Piotra dwóch Bogu obrzydłych karłów. Tomowa ł Siekę, z nożycami do strzyżenia owiec,

Przyjąwszy hołd Piotr jednych podnosił j całował, innych klepał po ramieniu, a do każdego mówił wesoło:

— Hol ho! Aleś brodę zapuścił! Mój panie, w Kuropla ludzie szydzą z bród... Musisz mi ją darować na to powitanie.

Bojarzyn, książę, wojewoda, stary czy młody stali, bezradnie rozkładając rękawy...

Tom os ł Sieka stawali na palcach i obcinali onymi nożycami trefiono, pielęgnowano brody. Starodawna uroda opadała do carskich nóżek. Bojarzyn w milczeniu, dygocząc zasłaniał dłonią poszarpane oblicze, Jecz car podawał mu osobiście sporą szklanice potrójnej pieprzówki.

Pij nasze zdrowie na mnogie lata... I Samsonowi włosy ścięto... (Spoglądał błyszczącymi oczyma na dworzana, podnosił palec.) Skąd wzięło się golenie bród? To przyszło z Paryża, Jako rzecz miła rodzajowi niewieściemu. Chał chał (dwukrotnie, drewnianym głosem), A żal ci brody — każ Ją włożyć do trumny, przyrośnię na tamtym świecie,,,

Gdyby okazywał srogość, gdyby krzyczał, darł za owo brody, wygrażał — byłby mniej straszliwy... Niepojęty, zupełnie obcy, podstawiony — uśmiechał się tak, że serca chłód obejmował.

W końcu stołu krzątał się Polaczek cyrulik, namydlął ostrzyżone podbródki i golił.., Jeszcze, potępieniec, lustro podstawił, by okaleczony bojarzyn mógł patrzeć na bosy srom własnego oblicza ze skrzywionymi, dziecięcymi ustami.., Tuż przy stole płakali ci z ogolonych, co się już upili. Jeno po odzieży poznawano — generalissimusa Szeina, bojara Trojekurowa, książąt Dołgorukich, Bielosiel- skich, Mścislawskich, Car ujmował ogolonych dwoma palcami z/t policzek.

- Teraz śmiało — choćby i na dwór cesarski..

Piotr pojechał na obiad do Leforta. Kochany przyjaciel Franz przebudził się ledwie koło południa i ziewając siedział przed lustrem w obszernej i słonecznej sypialni obitej złoconą skórą. Służba krzątała się koło niego ubierając go, fryzując, pudrując. Na kobiercu błaznowali karzeł i karlica, przywiezieni z Hamburga. Rządca, koniuszy, ochmistrz, naczelnik straży z szacunkiem stali w oddaleniu.

Wszedł Piotr. Przytrzymał- Franza za ramiona, aby nie wstawał, i spojrzął na niego w lustro.

— To nie śledztwo było, lecz karygodna pobłażliwość, figle... Szein powiedział mi teraz; sam nie rozumie, głupiec, że miał nic w rękach... Strzelec Fałalejew, gdy go wieszali, krzyknął do żołnierzy: „Szczupakaście zjedli, ale zęby zostały!”

Dziki oczy Piotra pociemniały w lustrze. Lefort odwrócił się i kazał ludziom wyjść.

— Franz!... Żądła nie wyrwanol... Goliłem dziś bojarów, a wszystko się we mnie gotowało... Gdy pomyślę o tej krwiożerczej szarańczy!... Wiedzą, wszystko wiedzą — milczą, przyczaili się. To nie był zwyczajny bunt, nie do żon szli... Szykowano tu straszne rzeczy... Całe państwo rażone gangreną... Gnijące członki należy wyciąć żelazem... A wszystkich bojarów-brodaczy związać krwawą po- ręką. Nasienie Miłosławskiego!... Franz, dziś jeszcze rozesłać ukazy — strzelców z więzień i klasztorów sprowadzić do Preobrażeń- skiego.

XX

Przy obiedzie znów jakby poweselał. Niektórzy zauważyli w nim nową osobliwość — mroczne, badawcze spojrzenie. Wśród rozmowy i żartów nagle milkł, patrzył na tego lub owego niezrozumiale, badawczo, nieludzkimi oczami... nozdrza mu zadrgają i znowu uśmiecha się, pije, wybucha drewnianym śmiechem.

Cudzoziemcy — wojskowi, żeglarze, inżynierowie — siedzieli wesoło, oddychali swobodnie. Rosjanom było ciężko na tym obiedzie. Grała muzyka, oczekiwano dam do tańca. Aleksaszka Mieńszykow coraz spoglądał na dłonie Piotra, leżące na stole — zaciskały się one i rozwierały. Lefort opowiadał kurioza przeróżne o kochankach króla francuskiego. Robiło się weselej. Nagle Piotr, wrzasnąwszy wysoko jak z koguciego gardła, porwał się, przechylił wściekle przez stół do Szeina:

— Łotr, łotr!

Odepchnął krzesło, wybiegł. Zmieszani goście powstawali, Lefort rzucił się do nich, uspokajał. Muzyka grmiała na chórze. W sieni zjawiły się pierwsze damy, poprawiały peruki i suknie. Wszystkie spojrzenia wabiła wspaniała modrooka piękność z wysoko upię

tymi popielatymi włosami jedwabne jej spódnice ze złotymi koronkami były niepomierne rozłożyste, obnażone ramiona i ręce — białe i niesłychanie kuszące. Nie patrząc na nikogo weszła na salę, z wolna, uczenie dygnęła i stała tak, patrząc w górę z różą w ręku.

Cudzoziemcy pospiesznie wypytywali: — Kto to? — Okazało się — córka arcyboga- tego kupca Browkina, Aleksandra Iwanowna Wołkowa. Lefort ucałowawszy koniuszki jej palców zaprosił ją do tańca. Ruszono parami, szurając i kłaniając się. I znowu zamieszanie: Piotr wrócił z rozdętymi nozdrzami, źrenice jego odnalazły Szeina — dobył szpady i z rozmachem rąbnął nią w stół przed twarzą generalissimusa, który się pochylił. Prysnęły odłamki szkła. Podskoczył Lefort, Piotr uderzył go łokciem w twarz i po raz drugi chybiając zamachnął się szpadą w stronę Szeina.

— Cały twój pułk, ciebie, wszystkich twoich pułkowników zarąbię, łotrze, sk... synu, durniu...

Aleksaszka opuścił damę, śmiało podszedł do Piotra nie bojąc się szpady, objął go, szepnął mu coś do ucha. Szpada opadła, Piotr zaczął dyszeć w perukę Aleksaszki:

— Łotry, ach, łotry... Handlował pułkowni- kowskimi godnościami...

— No, nic, min herc, załatwimy to, napij się węgryzna...

Przeszło. Wypił wino, po czym pogroził pal

■ i

XXI

Skutych strzelców zwożono zewsząd do Słobody Preobrażeńskiej, umieszczano ich w chatach i lochach pod strażą. Śledztwo rozpoczęło się w końcu września. Badali: Piotr, Romodanowski, Tichon Streszniew i Lew Kirilłowicz. Przed domami, w których strzelców brano na męki, ogniska płonęły całą noc. W czternastu katowniach podwieszano strzelców, bito biczem, po czym zdjąwszy — wiecem Szeinowi... Przywołał Leforta, pocałował go w spuchnięty nos.

— A gdzie Anna? Dowiadywałaś się? Zdrowa? — Wykrzywił zaciśnięte usta, spojrzął na pomarańczowy zachód za wysokimi oknami... — Stój! sam wstąpię po nią...

W domku wdowy Mons biegano ze świeczkami, drzwi trzaskały, wdowa i dziewczęta pokojowe przewracały się w pośpiechu — nieszczęście: Annchen zgniewała się, bo źle nakrochmalono halki, wypadło krochmalic i prasować na nowo. Anna siedziała na górze, w upudrowanej peruce, lecz nie ubrana, w pudermantlu — cerowała pończochę. Tak zastał ją Piotr przebiegłszy na górę obok przestraszonych dziewcząt i wdowy.

Annchen podniosła się, odrzuciła głowę, słabo krzyknęła. Piotr porwał ją chciwie — półnągą, ukochaną. W niziutkim pokoiku głośno pukało jej serce.

czono na dziedziniec i trzymano nad palącą się słomą. Pojono wódką, by człek ożył, i znowu podciągano na wyłamanych rękach, pytając o nazwiska głównych podżegaczy.

Po dwóch tygodniach udało się wpaść na ślad. Owsiej Rżow, w bólu, litując się nad własnym ciałem, gdy kleszczami rozpalonymi do czerwoności poczęli mu łamać zębra, zeznał o liście Zofii; z jej rozkazu szli do klasztoru Nowodiewiczego — osadzić ją na tronie. Konstantyn, brat Owsieja, po trzecim badaniu zeznał, że list oni, strzelcy, wdeptali w nawóz pod środkową wieżą Nowej Jerozolimy. Wykryto udział carówny Marty, karlicy Awdotii i Wierki —; przybocznej niewiasty Zofii.

Tych jednak, co mówili na mękach, było niewielu. Strzelcy przyznawali się jedynie do zbrojnego buntu, ale bez spisku. W tym śmiertelnym uporze Piotr odczuwał całą siłę zawziętości przeciw sobie.

Noce spędzał w katowniach. Dnie — na rozmowach z cudzoziemskimi inżynierami i majstrami, na przeglądach wojsk. Pod wieczór jechał do Leforta, do któregośkolwiek posła lub generała na obiad. O dziesiątej wśród śmiechu, muzyki, błazeństw księcia-papieża podnosił się — wyprostowany, z głową wciśniętą w ramiona — wychodził z balowej sali na ciemny dziedziniec i jechał taradajką po gołoledzi, chroniąc szydełkowym szalem twarz przed lodowatym wichrem, w stronę

550

Preobrażeńskiego — widocznego z daleka dla mglistej łuny od ognisk.

Jeden z sekretarzy cesarskiego poselstwa zapisywał w dzienniku to, co sam widział w te dni i co mu opowiadano.

„Urzednicy posła duńskiego — pisał — poszli z ciekawości do Preobrażeńskiego. Obchodzili różne ciemnice, kierując się tam, gdzie okrutne krzyki wskazywały miejsca najżałobniejszej tragedii... Zdołali już obejrzeć, wzdrygając się ze zgrozy, trzy pomieszczenia, gdzie na podłodze, a nawet w sieniach widniały kałuże krwi — gdy krzyki jeszcze bardziej przejmujące i niezwykle bolesne jęki wzbudziły w nich chęć zobaczenia okropności dziejących się w czwartej izbie...

Ale zaledwie tam weszli, cofnęli się z przestachem, albowiem wpadli na cara i bojarów. Car, stojący przed nagim, zawieszonym pod stropem człowiekiem, odwrócił się do wchodzących, widocznie bardzo niezadowolony, że cudzoziemcy zastali go przy takim zajęciu. Naryszkin, wybiegłszy za nimi, spytał: «Kto wy jesteście? Po coście przyszli?...| A ponieważ milczeli, polecił im, aby natychmiast udali się do domu księcia Romodanowskiego,.. Urzednicy uważając się za nietykalnych zlekceważyli owo dość bezczelne zarządzenie. Jednakowoż pojechał za nimi w pogoń oficer, mając zamiar zabiec im drogę i zatrzymać ich konia. Lecz siła była po stronie

55*

urzędników — było ich więcej i byli śmielszego ducha. Zauważywszy jednak, że oficer chce przedsięwziąć ostre środki, zbiegli w miejsce bezpieczne. Potem dowiedziałem się nazwiska tego oficera — Aleksaszka, carski faworyt, człek bardzo niebezpieczny..." -

„...Ustanowiono nową daninę pieniężną: na każdego pracującego w urzędzie — nałożono podatek odpowiedni do zajmowanego stanowiska.

Wieczorem urządzono w pałacu Leforta zabawę z królewskim przepychem. Zebrani rozkoszowali się widokiem fajerwerku. Car niby jakiś duch ognia biegał po огоłoconym z liści ogrodzie i podpalał transparenty i fontanny miotające iskry. Carewicz Aleksy i carówna Natalia również byli widzami owych ogniów, ale z oddzielnej komnaty. Na odbytym balu za najpiękniejszą damę uznano jednomyślnie Annę Mons, zastępującą, jak mówią, carowi prawowitą żonę, która ma być zesłana do dalekiego klasztoru."

„...Dziesiątego października, przystępując do tracenia, car zaprosił wszystkich cudzoziemskich posłów. Do szeregu koszarowych domków w kolonii preobrażeńskiej przylega plac położony nieco wyżej. Jest to miejsce tracen: stoją tam zwykle hańbiące pale z wetkniętymi na nich głowami straconych. Wzgórze to otoczone zostało przez pułk gwardii w pełnym uzbrojeniu. Znajdowało się tu sporo Moskwinów, którzy powłazili na dachy i bramy. Cudzoziemców, znajdujących się między prostymi widzami, nie dopuszczono bliżej do miejsca tracenia.

Były tam już przygotowane rusztowania. Dął mroźny wiatr, wszystkim zmarzły nogi, wypadło długo czekać. Nareszcie jego carska mość przybył w karecie z wiadomym Aleksandrem, wyszedłszy z karety car zatrzymał się koło szafotów. Tymczasem tłum skazańców wypełnił nieszczęsny plac. Pisarz wchodząc w różnych miejscach placu na ławkę, którą podstawił mu żołnierz, czytał ludowi wyrok na buntowników. Lud milczał i kat rozpoczął swoją pracę.

Nieszczęśnicy musieli zachować porządek, szli na stracenie po kolei... Na twarzach ich nie było widać ani smutku, ani strachu przed zbliżającą się śmiercią. Nie uważam takiej nieczułości za męstwo, wpływała ona nie z mocy ducha, lecz jedynie stąd, że wspominając swe okrutne męki nie dbali już o siebie — życie im obrzydło. Jednego z nich odprowadzała do rusztowania żona z dziećmi — słychać było przejmujące krzyki. Skazaniec zaś oddał spokojnie żonie i dzieciom na pamiątkę rękawice i pstrą chustkę i położył głowę na pieńku. Inny przechodząc obok cara powiedział głośno: «Odsuń no się, miłościwy panie, ja tu się położę...»

Opowiadano mi, że car tego dnia uskarżał się generałowi Gordonowi na upór strzelców, nawet pod toporem nie chcących przyznać swej winy. Rzeczywiście, Rosjanie są nadzwyczaj uparci..." dwustu ludzi... Wątpić należy, czy jakiegokolwiek inne miasto było kiedyś otoczone przez częstokół równie niezwykle jak ten, który przedstawiali strzelcy, wywieszani dookoła Moskwy."

„Pod klasztorem Nowodiewiczym ustawiono czworobok z trzydziestu szubienic, na których powieszono dwustu trzydziestu strzelców. Trzech prowodyrów, którzy napisali list hołdowniczy do carówny Zofii, powieszono na murze klasztoru, pod samymi oknami celi Zofii. Wiszącemu w środku przywiązano list do martwych rąk."

„Jego carska mość był obecny przy traceniu popów, uczestników buntu. Dwóm z nich kat przetrącił ręce i nogi żelaznym łodem, po czym naciągnięto ich żywcem na koła, trzeciego ścięto. Jeszcze żywi popi złowrogim szeptem wyrażali oburzenie, że trzeci z nich wykręcił się tak szybkim rodzajem śmierci..."

„Chcąc widocznie okazać, że mury miasta, przez które strzelcy chcieli przejść siłą, są święte i nietykalne, car kazał wsunąć belki w strzelnice murów moskiewskich. Na każdej belce powieszono po dwóch buntowników. W ten sposób tego dnia stracono przeszło

„27 października... To tralenie jaskrawo różni się od poprzednich: wykonano je różnymi sposobami prawie nie do wiary... Trzystu trzydziestu ludzi jednocześnie splamiło krwią plac Czerwony. Ta ogromna egzekucja mogła być wykonana jedynie dlatego, że wszyscy bojarzy, senatorowie carskiej Dumy, diacy — z rozkazu carskiego — musieli wziąć się do pracy katowskiej. Nieufność cara wysoce się zaostrzyła, zdaje się każdego podejrzewać o sympatię do traconych buntowników. Przyszło mu do głowy związać krwawą poręką bojarów... Wszyscy ci panowie z wielkich rodów stawili się na placu, drżąc przed mającą się odbyć próbą. Przed każdym z nich postawiono przestępcę. Każdy miał odczytać wyrok stojącemu przed nim, a następnie wykonać go, własnoręcznie ścinając skazańca.

Car siedział na przyniesionym z pałacu fotelu i patrzył suchymi oczyma na tę straszliwą rzeź. Był niezdrów — z powodu bólu zębów spuchły mu oba policzki. Gniewało go, gdy widział, że większości bojarów, nie na-

pełnienia obowiązku kata, ale wymówił się tym, że w jego ojczyźnie to nie jest przyjęte. Trzystu trzydziestu ludzi, prawie jednocześnie rzuconych na szafoty, ścięto, ale niektórych mało udatnie: Borys Golicyn ciął swą ofiarę nie w kark, lecz przez plecy; strzelec, rozrąbany w ten sposób prawie na połowę, byłby znosił niewysłowione męki, gdyby nie Aleksander, który sprawnie działając toporem, oddzielił nieszczęśliwcowi głowę od ciała. Chwalił się następnie, że tego dnia ściął trzydzieści głów. Książę-cesarz własnoręcznie uśmiercił czterech ludzi. Niektórych bojarów wypadło odprowadzić pod ręce, tak byli błądzi i osłabieni."

Całą zimę męczono i tracono. W odpowiedzi wybuchały bunty w Archangielsku, w Astrachaniu, nad Donem i w Azowie. Napełniały się katownie i zawieje kołysały nowe tysiące trupów na murach moskiewskich. Groza objęła cały kraj. Staroświecczyzna chowała się w ciemne zakamarki. Ruś bizantyjska kończyła się. W marcowej wicherze majaczyły widma okrętów handlowych za bałtyckim wybrzeżem.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

i

Koguty piałły w mętym świtanu. Lutowy poranek wstawał niechętnie. Nocni stróże, płacząc się w połach baranich kozuchów, sprzątali z ulic rogatki. Dym z pieców słał się po ziemi, w krzywych zaułkach zapachniało gorącym chlebem. Przejechała konna straż, rozpytywała stróżów, czy nie było w nocy rozboju. — Jakże miało nie być rozboju — odpowiadali stróże — małoż to naokół hułtajstwa?

Moskwa budziła się leniwo. Dzwonnicy wdrapywali się na wieże pokaszlując z zimna, czekali, aż uderzy Iwan Wielki Wielkopostne dzwonicie płynęło powoli i ciężko nad omglonymi ulicami. Zaskrzypiały otwierane cerkiewne drzwi. Diaczek śliniąc palec zdejmował grzyb z knota niegasnących lamp. Wlekli się żebracy, kaleki, poczwary — sadowili się w przedsionkach cerkwi Złorzeczyli sobie półgłosem na czczo. Żegnając się kiwali tułowiami w stronę uchylonych drzwi i ciepła płonących świeczek.

Bosy nawiedzony biegł w podskokach —
smrodliwy, grzbiet nagi, we włosach rzep

»

jeszcze od lata. W kruchcie aż jęknęli: w rękach Bożego człeka — płat surowego mięsa... Znak, że znów rzeknie coś takiego, co szeptem rozejdzie się po całej Moskwie. Siadł przed samym przedsiönkiem, dziobate nozdrza wetknął między kolana — czeka, aż zbierze się więcej ludu.

Na ulicy zrobiło się widno. Furtki trzaskały. Szli kramarze ściśnięci mocno pasami. Otwierali sklepy bez dawnej dziarskości. Pod gnanyimi wiatrem chmurami unosiły się stada wron. Przez zimę car wykarmił ptaki surowym mięsem — nie wiadomo skąd zleciały się takie chmary wron, opaskudziły wszystkie kopuły. W kruchcie zebractwo gadało ostrożnie: — Będzie wojna i pomór. Owo rzekome carstwo — wedle przepowiedni — przetrwa półczwarta roku...

Dawnymi laty o tej godzinie w Kitajgoro- dzie — rwetes, krzyk, ciasno. Bywało, że zza rzeki Moskwy ciągną tabory ze zbożem, jarosławską drogą wiozą żywność, drwa, mo- ząjską drogą — kupcy w potrójnym zaprzęgu. A teraz — patrzcie — otworzyli dwie wózczyzny, handlują stęchlizną. Połowa kramów zabita deskami. Na przedmieściach i za rzeką Moskwą — pustkowie. Ze strzeleckich domów nawet dachy pozrywane.

Świątynie zaczynają świecić pustkami. Sporo ludu odstręczyło się: prawosławni popi zła- komili się na dostatki — trzymają z tymi, co tej zimy w Moskwie tracili i wieszali. W niejednej cerkwi pop nie zaczyna nabo żeństwa, ale zadarłszy brodę krzyczy na dzwonnika: — Uderz w wielki dzwon, zakuty łbie, uderzaj głośniej!... — Dzwonił nie dzwonił, lud omija cerkwie, nie chce się żegnać szczyptą. Raskolnicy nauczają: — Szczypta to jest figa, rozsuń dwa palce, wielki palec wetknij pomiędzy nie. Wiadomo, kto naucza wywijać figą przed nosem...

Ludu przecie na ulicach przybywało: bojarska czeladź, darmożjady, hultajstwo nocne, włóczęgi objijające się bez dachu nad głową. Wielu gromadziło się przed karczmą czekając, kiedy otworzą; węszyli: załatywało czosnkiem, postnymi pierogami. Od Nieglinnej ciągnęły tabory z prochem, pociskami działowymi, konopiami, żelastwem. Podskakując na wybojach, przeprawiały się przez rzekę Moskwę na drogę woroneską. Konni dragoni w nowych, nie pokrytych kozuszkach, w cudzoziemskich kapeluszach, wąsaci, jakby nie ■ rosyjscy, klęli straszliwie z całego gardła, zamierzali się batami na woźniców. Między ludem mówiono: — Znowu Niemcy podjudzają naszego do wojny. W Woroneżu z Niemkami i Niemcami nasz skaził się do reszty!

Otworzono karczmę. Na ganek wyszedł znany wszystkim karczmarz. Zamarli, nikt się nie roześmiał, zrozumieli — biada: oblicze karczmarza — gołe, wczoraj ogolono go w Izbie Ziemskiej, wedle ukazu. Podwinął wargi niby w płaczu, przeżegnał się w stronę pięciu niziutkich wieżyczek, wyrzekł ponuro: — Wchodźcie.

Przed cerkwią nawiedzony skakał po psiemu, ukosem, potrząsając mięsem w zębach. Biegły baby, chłopcy — dziwowali się... Szczęście to dla świątyni, gdy się pojawi nawiedzony. Ale w dzisiejszych czasach bywa to niebezpieczne. U starego Pimena żywiono nawiedzonego, aż pewnego razu wszedł w świątyni na ambonę, pokazał palcami rogi i tak wrzasnął do ludu: — Oddajcie mi pokłon, azali nie poznajecie mnie?... — Żołnierze zabrali nawiedzonego razem z popem i diakonem, powieźli do Preobrażeńskiego Urzędu, do księcia-cesarza, Fiodora Juriewi- cza Romodanowskiego.

Nagle rozległ się krzyk: — Z drogi, z drogi! — nad cizbą zakolysały się kapelusze z czerwonymi piórami, peruki, golone zwierzęce pyski.— jezdni na dzielnych koniach. Ludzie rzucili się do parkanów, na śnieżne zaspę. Przemknęła złocona kolaska ze szklanymi szybami. W kolasce, stercząc martwo jak kukła, siedziała uróżowana dziewczka, na wysoko upiętych włosach filcowa czapeczka z diamentami i wstęgami, ręce aż po łokcie wsunięte w sobolową mufkę. Wszyscy poznali tę wywłokę — kukujską carycę, Annę Mon- sównę. Pojechała do kramów. Tam już kupczyków poderwało, wybiegli na spotkanie, ponieśli do kolaski jedwabie, aksamity...

A ślubną carową Jewdokię Fiodorownę tej jesieni, o pierwszym śniegu, prostymi saniami powieźli na Suzdał, do klasztoru, na wieczny płacz i narzekanie...

— Bracia, dobrzy ludzie, co łaska... Oj, oj! Ckni mnie... Wczoraj krzyż przepiłem...

— Coś ty za jeden?

— Malarz świątków z Palechy, my z dziada pradziada... Tak teraz sprawy stoją — czysta ruina.

— Jak się zwiesz?

— Andriuszka...

Człek bez czapki, bez koszuli, łąta na łacie. Oczy gorzeją, twarz wąska, ale obyczajny, podszedł grzecznie do stołu, gdzie pił wódkę. Trudno takiemu odmówić...

— Siadaj, no cóż...

Naleli. Nie przerwali rozmowy. Wielkiej przebiegłości chłopak, z cienką szyją, z kaprawymi oczami, opowiadał:

— Wytracili strzelców. Pięknie. To carska sprawa. (Podniósł koślawy palec.) Nas to nie tyczy... Ale...

Pulchny mieszcuch w strzeleckim kaftanie (wielu teraz dodzierało strzeleckie kaftany i kołpaki — strzelcowe zawodząc oddawały dobytek prawie za darmo), mieszcuch ów zastukał paznokciem w cynowy kubeczek.

— To, to — ale!... Ot, co!...

Przebiegły chłopak — kiwając na niego palcem:

— My siedzimy cicho... A u was w Moskwie o byle co — larum... Widać, było za co strzelców wieszać po murach, lud straszyć... Ale nie w tym rzecz, kupcze... Wy, kochasiu,

dziwicie się, czemu do Moskwy nie ma dowozu?... I nie macie na co czekać... Gorzej będzie. Dziś nie wie człek, czy śmiać się, czy płakać... Przywiozłem tu beczułkę solonych rybek. Soliłem dla siebie, ale zaśmiardły. Sta-
nąłem na targu; myślę sobie, jeszcze pobiją mnie za to smrodzisko, a tu w godzinę, dwie — wszystko rozdrapali... Nie, teraz Moskwa — miejsce stracone...

— Och, prawda! — malarz chlipnął. Chłop popatrzył na niego i — rzeczowo:

— Nakaz: do zapustów strzelców z murów pozdejmować, wywieźć za miasto. A jest ich osiem tysięcy. Dobrze. A gdzie podwodyr To znaczy, znów się, chłopie, wysilaj? A przedmieścia od czego? Trza by szarwarki nałożyć na mieszczan.

Pulchne policzki mieszczucha zadrżały. Pokiwał chłopu z wyrzutem.

— Ech, ty, oraczu... Pochodziłbyś tak zimą pod murami... Zamieć poderwie, zaczną się kołysać... Dość nam i tego strachu...

— Ano, byłoby lżej pochować od razu — powiedział chłop. — W pierwszą niedzielę postu przyjechaliśmy w osiemnaście wozów, nie zdołaliśmy ich jeszcze rozewrzeć — przylatują żołnierze: „Opróżniać wozy!” „Jak to? Po co?” „Nie gadaj!” — wyrażają szpadami, wywracają sanie. Przywiozłem beczkę drobnych grzybów — zrzuciły, diabły. „Ruszaj — krzyczą — do Warwarskiej Bramy...” A koło Warwarskiej Bramy leżą ze trzy setki strzelców... „Ładuj, taki owaki...” Aniśmy jedli, ani pili, ani konie nakarmili — do nocy woziliśmy nieboszczyków... Wróciliśmy do wsi — wstyd swoim spojrzeć w oczy...

Do stołu podszedł jakiś nieznaną człowiek. Stuknąwszy denkiem, postawił butlę.

— Durniami wodę wożą — rzekł. Siadł śmiało. Nalał wszystkim z butli. Mrugnął szelmowskim okiem. — Wasze zdróweczko! — Nie otarłszy wąsów jał gryźć główkę czosnku. Twarz miedziana, płonąca, broda kędzierzawa, szpakowata.

Kaprawy chłopiek ostrożnie przyjął od niego kubek.

— Chłop — głupi, głupi, wiesz, ale chłop rozumie... (Ważył w rękę kubek, wypił, odchrząknął gruntownie.) Nie, moi drodzy... (Wyciągnął rękę po główkę czosnku.) Widzieliście — rano szedł tabor do Woroneża. Draj z chłopą skórę. Czynsz — płac, dziesięcinę — płac, na pański stół — daj, podatki do skarbu — płac, mostowe — płac, na targu staniesz — płac...

Szpakowatobrody otworzył zębate usta, zarechotał. Chłop urwał, prychnął:

— Dobrze... Teraz — dawaj konie pod carski tabor. A jeszcze te ókrutniki nas ciągną... Nie, moi kochani... Policzcie po wsiach — ileż to pozostało zamieszkanym zagród? Gdzie reszta? Szukaj wiatru w polu... Dziś prawie każdy gotów uciekać. Chłop — głupi, póki syty. Ale jeśli tak, jeśli spod tyłka wy-

Iciągacie ostatek... (Ujął dłoń bródkę, pokłó- [nił się.) Chłop wzuje łapcie i pójdzie, gdzie trzeba.
|— Na północ. Na jeziora... Do pustelni!...— Malarz świątków pochylił się ku niemu, wja- rzył się mrocznymi oczami.

Chłop odsunął go: — Zamilcz. — Mieszczuch obejrzawszy się przywarł piersią do stołu. V

— Chłopcy — szeptał — rzeczywiście, wielu przeraża się, ucieka za Białe Jezioro, za Woł Jezioro, za Matkę Jezioro, Wyg Jezioro... Tam spokojnie. (Obrzmiałe policzki zadrżały.) Ocaleją ci jeno, co uciekną...

Czarne źrenice malarza rozlały się na całe oko — obracał się od jednego rozmówcy do drugiego.

— Prawdę mówi... My w Palesze na Wielki Post namalowaliśmy sześćset obrazów. Wedle dawnych lat — za mało. A teraz ani jednego nie sprzedaliśmy w Moskwie. W Palesze jęk. Dlaczego? Malowanie nasze jasne, tytuł Jezusa z dwoma „i”. Ręka błogosławiąca szczyptą. I krzyż malujemy czteroramienny. Wszystko wedle obrządku prawosławnego. Rozumiecie? Ci, co kupują od nas obrazy — kramarze Korzinkin, Diaczkow, Wykulin — mówią nam: „Przestańcie tak malować. Deski te trza spalić, one są pokaśne, na nich — powiadają — jest łapa...” „Jak to łapa?” (Malarz chlipnął krótko. Mieszczuch zaszczekał zębami, pochylając się nisko nad stołem.) „A tak — powiadają — ślad jego łapy... Widzieliście na ziemi ślad ptasi — cztery kreski... A na waszych obrazach to samo...” „Gdzie?” „A krzyż czwororamienny... Rozumiecie? Wy — powiadają — nie woźcie do Moskwy tego towaru. Teraz już cała Moskwa zrozumiała, skąd ciągnie smrodem...”

Chłop mrugał powiekami, trudno zmiarkować: wierzy czy nie wierzy. Obcy podśmiewał się, żuł czosnek. Mieszczuch mrugał, potakiwał i naraz, obejrzawszy się, wysunął wargi, szepnął:

— A tytoń? W jakich to księgach wyczytano, żeby człowiek połykał dym? Kto to ma dym w paszczy? Co? Za czterdzieści i osiem tysięcy rubli wszystkie miasta i cała Syberia oddana w dzierżawę Anglikowi Carmarteniowi dla sprzedaży tytoniu. I nakaz, żeby to diabelskie ziele, nikocjanę, palić. Czyja to sprawa? A herbata, a kawa? A kartofla — tfu, niech będzie przeklęta Antychrystowa pokusa — kartofla I Wszystko to zielsko zza morza, a handlują nim u nas lutrzy i katolicy... Kto pije herbatę — ten heretyk... kto pije kawę, tego dusza w okowach... Tak, tfu — zdechnę raczej, a nie wezmę tego do swego sklepu...

— A czym handlujesz? — zapytał szpakowatobrody.

— Jaki tam teraz handel... Niemcy handlują, a my jęczymy. Nie znaliście to czasem Owsieja Rżowa i brata jego, Konstantyna? Strzelcy pułku Hundertmarka... Tu mój sklep,

!tam ich łaźnie. Nie ma juź teraz takich łudzi. Obu łamano kołem... Nieraz Owsiej gadał: „Za to cierpimy, że wtedy, w osiemdziesiątym drugim roku, nie posłuchaliśmy w Kremlu starców. Wtedy należało nam, strzelcom, zgodnie stanąć przy starej wierze... Nie ostałby się w Moskwie ani jeden cudzoziemiec, wiara by zajaśniła, a naród byłby syty i zadowolony... A teraz nie wiemy nawet, jak ujęć z duszą...” Oto jacy zacni ludzie przez całą zimę huścali się po murach... Nie stało strzelców — bierz nas choćby gołymi rękami... Wszystkim pyski ogola, wszystkich zmuszą, by pili kawę, zobaczycie...

— Więć zboże zjemy, a na wiosnę wszyscy się rozejdziemy — rzekł chłop twardo.

— Bracia! — malarz z tęsknotą wpatrzył się w mokre okienko. — Bracia, na północy — piękne pustelnie, spokojna przystań, ciche życie...

W karczmie robiło się coraz głośniejsze i goręcej, trzaskały obite rogozami drzwi. Pijani klóćcili się, przed szynkwasem kiwał się chłop obnażony do pasa, bez krzyżyka, błagał o czarkę wódki na kredyt. Innego znów wywlekli za włosy do sieni, gdzie, pokrzykując ze stękaniami, bili go — widać, było za co.

Zatrzymał się przy stole żebrak, zgięty prawie we dwoje. Opierał się na dwu kulach, twarz rozpływała mm się w dobrodusznych zmarszczkach. Szpakowatobrody spojrział na niego, ściałnął brwi. Garbaty rzekł:

— Skądęś to przyleciał, sokole?

— Stąd nie widać. Odejdź, czego stoisz...

— Onwąd z unod? * — półgłosem i szybko spytał garbaty.

— Ruszaj — my tu jawnie...

Garbaty nie pytając juź o nic wysunął rzadką bródkę, zastukał kulami kuścikając w głab karczmy. Mieszczuch — z przestraczem:

— A to co za jeden?

— Pątnik na sierocej drodze — rzekł ostro szpak owa tobr ody,

— A po jakimu on z tobą gadał?

— Po ptasiemu.

— A przecie on jakby cię poznawał, człe- cze!

— Mniej pytaj — mędrszy będziesz... (Wytrząsnął z brody okrucy, położył na stole duże ręce.) Słuchaj teraz... My z Donu w sprawie handlowej.

Mieszczuch żwawo przysunął się, zamrugął.

— Co kupujesz?

— Trzeba mi dziesięć beczek prochu strzelniczego. Pięćdziesiąt pudów ołowiu. Dobrego sukna na żupany. Żelaza na podkowy, gwoździ. Pieniądze są.

— Dobrego sukna, żelaza — można dostać... O proch i ołów trudno: nigdzie nie dostać, jeno przez skarb.

— Właśnie trzeba się postarać, żeby było bez skarbu.

■— Mam znajomego podiaczego. Trza kuba- nów.

— To się rozumie...

Mieszczuch, śpiesznie drapiąc haftkami po kożuszku, powiedział, że postara się i zaraz sprowadzi podiaczego. Wybiegł. Chłop miał ochotę wmieszać się do handlu. Zmarszczył czoło, odkaslnął.

— A czy, kochasiu, nie potrzebujesz wełny, skór? Co też powiecie — pięćdziesiąt pudów ołowiu... Cóż to, Kozaczkowie, na wojnę się wybieracie czy jak?

— Strzelać przepiórki...

Szpakowatobrody odwrócił się. Znow podchodził do niego zgięty człowiek na kulach. Trzymając czapkę z jałmużną, siadł obok i — nie patrząc:

— Witaj, Iwanie...

— Witaj, Owerianie — odrzekł tamten, również nie patrząc.

— Dawnośmy się nie widzieli, atamanie...

— Na dziady zeszedłeś?

— Od niemocy... Latoś zabawiałem się trochę w lesie, ale już nie te czasy... Obrzydło —I trza umierać...

— Poczekaj jeszcze trochę...

— A co, słyhać co dobrego?

Iwan uśmiechając się spoglądał poprzez opary na pijanych. Oczy mu zastygły. Cicho, półgębkiem:

— Ruszamy na Don.

Owerian utknął twarzą w czapce, przerzucał półgroszaki.

— Nie wiem — zagadał — pono dońscy Kozacy spokornieli, osiedlają się po chutorach, porastają w pierze...

~ Dużo przybyszów, luźnych ludzi. Ci zaczną. Kozacy ich wesprą... A nie wesprą — wszystko jedno, albo uciec do Turcji, albo zostać pod Moskwą w niewoli na wieczne czasy... Wtedyśmy pomogli carowi pod Azowem, a teraz on położył swoją łapę na cały Don. Każą wydawać zbiegów. Nagnali z Moskwy popów, wykorzystują starą wiarę... Koniec cichemu Donowi...

— Do takiej roboty trza wielkiego człowieka — rzekł Owerian — aby się tak nie skończyła, jak wtedy, za Stiepana *...

— Człowieka mamy — i nie takiego jak Stiepan, co bez zastanowienia głowę dał pod Ewangelię. Będzie prawdziwym wodzem... Za nim stanie cały rąskoł.

— Zmąciłeś mi spokój, Iwanie, kusisz, a już chciałem odpocząć.

— Przyjdź wiosną. Trzeba nam starych ata- manów. Weselej pohulamy niż przy Stiepanie...

— Bodajże... bodajże... A czy wielu nas ze starej wiary zostało? Chyba jeno ty i ja...

Wrócił zdyszany mieszczuch mrugając oczkiem. Za nim poważnie kroczył łyśy podiaczy w burym niemieckim kaftanie z miedzianymi guzikami, w rozdeptanych filcowych butach.

Na piersi gęsie pióro wetknięte w pętelkę. —

Nie witając się siadł grymaśnie przy stole. Twarz łapczywa, oczy mętne, antychrystowe, głęboko wykrojone nozdrza. Mieszczuch nie siadając, spoza pleców — dół ucha:

— Kuźmo Jegoryczu, oto człowiek, który...

— Blinów — przemówił podiaczy, zmiętym głosem, nie zwracając nań uwagi — blinów z brzuszkiem rybim...

III

Roman, księcia Borysa syn, książę Bujnosow, dla domowników — Roman Borysowicz, siedział na krawędzi posłania w samej jeno białej, postępując skrobał się po piersiach i pod pachami. Z przyzwyczajenia sięgał do brody, ale odrywał rękę: goło, kłuje nieprzyjemnie... Ha-ha-ha-a-a — ziewał spoglądając w małe okienko. Świtało — mgliście a nudno.

Za dawnych czasów Roman Borysowicz wciągałby już o tej porze na ramiona szubę podbitą kunami, z dostojnością nasuwałby na oczy bobrową czapę — z wysoką łaską schodziłby uroczyście po skrzypiących stopniach na ganek. Półtorasta dusz czeladzi dworskiej — jeden spieszy podtrzymać konie u kolaski, inny bieży do wrót. Wesoło podrywali czapki kłaniając się w pas, a ci co stali bliżej, całowali pańskie nóżki... Ujmowali pana pod łokcie, pod boczki, podsadzali do kolaski. Co rano, w pogodę czy słotę Roman Borysowicz jechał do pałacu — czekać, aż zwróci się na niego miłościwe oczy cara (a potem najmiłościwsze oczy carówny). I nieraz doczekał się tej fortuny.

Wszystko minęło I Budzisz się — ach, czy naprawdę minęło? Aż dziwnie przypomnieć: był niegdyś spokój i honor. Ot, na gładkiej ścianie, gdzie nic nie powinno wisieć, wisi holenderska bezwstydną dziewczka z zadartym podółkiem, namalowana gwoli piekielnej pokusie. Car rozkazał zawiesić w sypialni, ni to dla śmiechu, ni to za karę. Cierp, człeczce.

Roman Borysowicz ponuro patrzył na odzież rzuconą wieczorem na ławę: wełniane, babskie pończochy w poprzeczne pasy, krótkie pludry — uwierają z przodu i z tyłu — zielony, jak z blachy, kaftan z galonami. Na gwoździu — czarna peruka, z której kurzu żadnym kijem nie wypędzi. Na co to wszystko?

— Miszka! — zawołał pan gniewnie. (W niziutkich, obitych czerwonym sukrem drzwiach stanął żwawy wyrostek w długiej, prawosławnej koszuli. Odwalił pokłon, odgarnął włosy.) — Miszka! Podaj do mycia. (Chłopak postawił miednicę, nalał wody.) Trzymaj no miskę porządnie... Lej na ręce...

Roman Borysowicz więcej parskał w ręce, niż mył się — nieprzyjemnie myć coś ogolonego, kłującego... Burcząc siadł na posłaniu, żeby wciągnąć pludry. Miszka podał spodek z kredą i czystą szmatkę.

— krzyknął Roman Bo- zębów.

Jako że miłościwy car Jaśnie pani kazała

• A to znów co? rysowicz.

— Do czyszczenia!

— Ni© będę. Wola pańska...

nakazał czyścić zęby co dzień podawać.

- Bo Jak dam spodkiem w pysk... Zrobiłeś się mowny...

— Wola pańska...

Już ubrany, Roman Borysowicz poruszył ciałem — uwiera, ciasno, sztywno... Po co to? Ale nakazano surowo — wszystka szlachta musi pełnić służbę w niemieckiej odzieży, w długachnej peruce. Cierp, człecz.

Zdjął z gwoźdźcia perukę (nie wiedzieć, z Jakiej baby te włosy), włożył ją ze wstrętem. Miskę (zabrał się do poprawiania mocno zakarbowanych kosmyków) trzepnął w rękę. Wyszedł do sieni, gdzie trzaskał ogień. Z dołu, z kuchni (do której prowadziły kręte schody), gorzko zalatywało spalenizną...

- Miska, skąd ten smród? Znów gotują kawę?

- Miłościwy car kazał pani i pannom co d/iono rano pić kawę, więc gotujemy...

— Wiem... Nie szczerz zębów...

Wola pańska... Miska otworzył obite suknem drzwiczki wiodące do kapliczki, domowej. Roman Borysowicz, żegnając się solennie, podszedł do ołtarzyka. Na aksamicie — otwarty, zakopany woskiem modlitewnik. Oczyszczył knot świo-

cy. Nałożył okrągłe żelazno okulary. Polizał palec, odwrócił kartkę i zamyślił się patrząc w kąt, gdzie słabo połyskiwały ramy świętych obrazów: palił się jeden tylko zielony płomyk przed Mikołajem Cudotwórcą.

A było nad czym medytować... Przecie jeśli tak dalej pójdzie — ruina czeka wszystkie rody książęce i szlacheckie, nie mówiąc już o despektach i naigrawaniu się. „Widzicie ich — chcą wykorzenić szlachtę. Wykorzeniajcie... Już za Iwana Groźnego próbowali zrujnować wielkie familie... Wynikł z tego bunt i zamieszki. I teraz będzie znowu bunt... Kość pacierzowa państwa to my... Jak nas wytepicie, nie ma państwa, nie ma po co żyć. Cóż to, carze, chłopami będziesz władał?... Duby smalone!... Młodyś Jeszcze, słabyś na umyśle, a coś miał, przepiłeś, widać, na Kukuju..”

Roman Borysowicz poprawił okulary, zaczął się modlić — z godnością, przez nos. Lecz myśl wybiegała poza wiersze modlitewnika...

„Zabrali do wojska pięćdziesiąt dusz czeladzi... Pięćset rubli ściągnęli na woroneską flotę. W woroneskich dobrach skarb zabrał zboże za grosze — ogołocili wszystkie spichrze. Pszenicy uciułało się z trzech lat urodzajnych, czekałem, aż pójdzie w cenę... (Z ostrej zgryzoty robiło się gorzko w ustach.) Teraz, słychać — klasztorom będą odbierać dobra, wszystkie dochody pójdą na skarb... Nakazano przygotować dziesięć beczek solo

nego mięsa, Boże mój, ach, na co im mięso solone?..."

| Modlił się. Za mikowym okienkiem oprawionym w ołów zielenił się ranek. Przy drzwiach Miszka bił pokłony.

„W zapusty despektowali wielkie familie... O północy albo i później nadbiegało po trzystu przebranych... Co za strach! Pyski uma- zane sadzą. Pijani. Ani rozeznac, który car. Nażrą się, nachlają, narzygają, dziewczkom dworskim naobrywają podołków... Wrzeszczą głosami koźlimi, kogucimi i ptasimi..."

Roman Borysowicz przestąpił z nogi na nogę — przypomniał sobie, jak to w ostatki, spoiwszy go aż do zamroczenia, ściągnęli mu pludry, posadzili w kobiałkę z jajami... Wcale niewesoło... Żona widziała. Miszka widział... „Boże wielki! Czemu? Na co to?"

Roman Borysowicz rozmyślał z natężeniem: gdzież przyczyna nieszczęścia? Może to za grzechy? Szepczą w Moskwie: ukazał się na świecie kusiciel. Katolicy i lutry — jego słudzy; cudzoziemskie towary — wszystkie z pieczęcią Antychrysta. Nadszedł więc koniec świata.

Krzywiąc czerwoną twarz od blasku świeczki, Roman Borysowicz rozważał niepewnie: „Niemożliwe... Bóg nie dopuści, by rosyjska szlachta zginęła... Przeczekać, przecierpieć... E-he-he..."

Pomodliwszy się gorliwie, siadł pod filarem koło okna, przy stoliku nakrytym kobiercem. Rozłożył dość gruby rejestr, gdzie wszy

stko było napisane po porządku, co komu zostało pożyczone, od kogo ściągnięto należność, z jakiej wioski wzięto czy to pieniądze, czy zboże, czy inne zapasy. Powoli odwracał kartki, poruszał wygolonymi wargami.

Do sali wszedł starszy rządca Sieńka, wyniesiony z pańszczyźnianego chłopca dla bystrego i podstępного umysłu i wielkiej zawziętości na ludzi. Był jak zły pies łańcuchowy: wyciskał pańską należność do ostatniego szeląga. Jużci że kradł, choć -w miarę, ile sumienie pozwala; a choćbyś go żywcem krajał — nigdy nie przyzna się do złodziejstwa. Nieraz Roman Borysowicz chwycił go za gęstwinę brody na tłustych pyskach, szarpał i tłukł łbem o ścianę: — Ukradłeś, ukradłeś przecie, przyznaj się... — Sieńka, ani mrugnawszy ryżymi oczami, patrzy na bojarzyna jak na Boga. Dopiero gdy pan przestanie bić, odwija połę zgrzebnego kaftana, uciera miękki nos i płacze:

— Bez przyczyny bijesz swego sługę, Romanie Borysowiczu. Niech Bóg ci przebaczy, a jam nie przewinił niczym wobec ciebie.

Sieńka wsunął się bokiem w ledwie uchylone drzwi, przeżegnał się w stronę Mikołaja Cudotwórcy, pokłonił się panu i ukląkł.

— Cóż powiesz dobrego, Sieńka?

— Bóg łaskaw, Romanie Borysowiczu.

Sieńka klęcząc wznosił oczy na powalę i zaczął wyliczać z pamięci, ile i od kogo ściągnięto w dniu wczorajszym, skąd i co przywieziono, kto został winien. Z wioski Iwankowo

przywiózł dwóch chłopów, Fied'kę i Kośkę, nie wypłacających się złośliwie, i już od wczorajszego wieczora postawił ich na egzekucję.

Roman Borysowicz zdziwił się, otworzył usta — czyżby nie chcieli płacić? Zagłębił się w rejestr: Fied'ka wziął w zeszłym roku sześćdziesiąt rubli — a to na pobudowanie nowej chaty, na uprząż, na nowy lemiesz, na nasiona... Kośka wziął trzydzieści i pół rubla i też — chyba łgał — że na gospodarkę.

— A psubraty, a oszusty! Kazałeś bić kijami?

- Od wieczora biją — rzekł Sieńka. — Postawiłem po dwóch ludzi na każdego, biją bez miłosierdzia... Co się tam będziecie kłopotać, ojczulku, Romanie Borysowiczu: jeżeli Fied'ka i Kośka nie zapłacą — mamy przecie na nich oblig — weźmiemy ich za dług w niewolę na dziesięć lat. Trza nam poddanych...

— Mnie trzeba pieniędzy, a nie podda-'nych! — Roman Borysowicz rzucił na stół gęsie pióro. — Karm i pój poddanych, a car znowu ich weźmie do wojska...

— Trza pieniądze, to zróbcie, panie, jak Iwan Artiemicz Browkin: postawił u siebie na Zamoskworieczu fabrykę płótna, dostawia żaglowe płótno carstwu. A trzos aż pęka od pieniędzy...

— Tak, słyszałem... A ty precz łżesz...

Romanowi Borysowiczowi dawno już nie dawała spokoju Browkinowa fabryka płótna. Sieńka prawie co dzień o niej wspominał: jasne było, że chce przy tym ukraść niemało, a oto Naryszkin Lew Kirilłowicz (carów wu- jaszek) lepiej sobie poczyną: daje pieniądze pewnemu Holendrowi z niemieckiej slobody, van der Vijkowi, a ów posyła je do Amsterdamu na giełdę, na procent, a z oddanych dziesięciu tysięcy rubli Naryszkin ina rocznie sześćset rubli samego procentu. Sześćset rubli — ni siał, ni orał!...

— Dziadowie żyli bez kłopotów — przemówił Roman Borysowicz. — A państwo było mocniejsze. (Wdział podaną przez Sieńkę szubę podbitą barankiem.) Siedzieliśmy z carem, rozmyślali — takie to były nasze troski. A teraz przykro oczy rozewrzeć...

Roman Borysowicz szedł schodami — w górę i w dół — szedł przez chłodne sionki. Po drodze otworzył spazzone drzwi — zaleciało stamtąd gorącą, przekisłą parą, w głębi ledwie było widać w świetle płonącego łuczycywa czterech chłopów — bosy, w samych jeno koszulach — folujących wełnę owczą. — Pracujcie, pracujcie, a nie zapominajcie o Bogu — powiedział Roman Borysowicz. Chłopi nic nie odpowiedzieli. Idąc dalej otworzył drzwi do rękodzielni. Dziewki i dziewczęta, dwadzieścia dusz, wstawszy od stołów i krosien pokłoniły się w pas. Pan pokręcił nosem: — Ale tu u was, dziewczki, zaduch... Pracujcie, pracujcie, a nie zapominajcie o Bogu...

Roman Borysowicz zajrzał i do szwalni, i do garbarni, gdzie w kadziach mokły i dę

mm Wskwt

biły się skóry. Ponurzy chłopci-garbarze mięk- czyli skóry rękami... Sieńka, umieściwszy łojową świeczkę w okrągłej latarni z otworkami, zdejmował ciężkie kłódki z drzwi komór i strychów, gdzie przechowywano zapasy. Wszystko było w porządku. Roman Borysowicz zeszedł na obszerny dziedziniec. Było już widno, pochmurnie. Przy studni pojono owce. Od wrót aż do progu stały szeregiem wozy z sianem. Chłopi zdjęli czapki.— Chłopkowie, wozy jakoś mi szczuple! — zawołał Roman Borysowicz.

Zewsząd, ze zmurszałych kurnych chat i kleci, wydobywały się dymki, a pędzone wiatrem tłukły się po dziedzińcu. Wszędzie — kupy popiołu i gnoju. Zmarznięte gałgany łopotały na sznurkach. Koło stajni ponuro przestępowali z nogi na nogę dwaj chłopci bez czapek, twarzami zwrócenii do ściany. Ujrawszy pana na ganku, spieszenie wybiegli ze stajni rośli parobcy, poderwali z ziemi pałki i gorliwie zaczęli bić chłopów po plecach i lędźwiach...

— Oj, oj! Boże, za co?... — jęczeli Fied'ka i Kośka.

*— Tak, tak, należy się, wspan no jeszcze r— zachęcał z ganku Roman Borysowicz.

Fied'ka, długi, dziobaty, czerwony chłop, odwrócił się.

— Miłościwy Romanie Borysowiczu, nie mamy... Dalibóg, do Bożego Narodzenia zjedliśmy zboże... Zabierz chyba bydło — nie można już wytrzymać takich katuszy...

Sieńka rzekł do Romana Borysowicza:

— Ma bydło nędzne, małe — łże... Za połowę długu można mu zabrać dziewczkę — resztę niech odrobi.

Roman Borysowicz skrzywił się i odwrócił.

— Pomyślę. Pogadamy wieczorem.

Spoza dymów, spoza nagich drzew rozległ

się dźwięk wielkopostnego dzwonu. Nad rdzawymi kopułami uniosło się stado wron. — Och, wielkie nasze grzechy — wymamrotał Roman Borysowicz. Jeszcze raz obrzucił okiem gospodarstwo i poszedł do sali jadalnej — pić kawę.

Na holenderskich składanych krzesłach w końcu stołu siedziała księżna Awdotia i trzy księżniczki. Altembasowy obrus był w tym miejscu odwinęty, żeby go nie zbrukać. Księżna — w rosyjskim, obszernym letniku z ciemnego aksamitu, w cudzoziemskim czepku na głowie. Księżniczki w niemieckich sukniach z trenami. Natalia ■— w brzoskwińowej, Olga — w zielonej w paski, najstarsza Antonida — w sukni barwy „niezapomnianego zachodu". Włosy miały napuszone» posypane mąką. Policzki wyróżzowane okrągło, brwi przyczernione, ręce czerwone.

Naturalnie, że dawniej ani Awdotia, ani dziewczęta nie miały wstępu do jadalnej komnaty: siedziały z robótkami w świetlicach przy okienkach, a w lecie — huštały się w ogrodzie na huśtawkach. Pewnego razu przyjechał car z pijaną kompanią. Stanąwszy na progu, obrzucił komnatę straszonymi ocza-

mi: — Gdzie córki? Posadzić je przy stole!... (Posłano po nie. Zamieszanie, strach, lzy. Przywieziono trzy głupki półprzytomne.) Car brał każdą za podbródek: Umiesz to tańcować?... (Gdzie tam — ze wstydu dziewczętom lzy kapią z oczu.) Nauczyć... Żeby mi na zapusty tańczyły menueta, poloneza i kon-tredansa... — Wziął księcia Romana za kaftan i potrząsnął nie na żarty: — Zaprowadzić mi w domu politesę jak należy — zapamiętaj sobie! — Posadzili dziewczuchy przy stole, zmusili do picia... Dziw — piją, bezwstydni- ce... Niedługo czekać — zaczęły się śmiać, jakby to im nie pierwszyna...

No i wypadło zaprowadzić w domu politesę. Księżna Awdotia w swej głupocie jeno dziwiła się wszystkiemu, ale dziewczki od razu nabrały, śmiałości, zadzierzystości, zuchwalstwa. Dać im to, tamto. Haftować nie chcą. Siedzą wystrojone od rana, robią plezyr — piją herbatę i kawę.

Roman Borysowicz wszedł do sali. Spojrzał na córki z ukosa. One jeno pochyliły głowy. Awdotia wstając pokłoniła się: — Witaj, ojczu. — Antonida syknęła na matkę. — Siądźcie, mutter... — Roman Borysowicz miałby ochotę wypić lampkę galganówki na mróz, przegryźć czosneczką... Wódki to tam jeszcze jako tako, ale czosnku nie dadzą...

— Jakoś dziś nie mam ochoty na kawę. Przewiało mnie na ganku czy co... Matko, daj no czegoś mocniejszego...

—• Z wami, fater, co rano ta sama gadka:

wódki — powiedziała Antonida — a jak się jeno przyzwyczaiacie...

— Milcz, kobylicko! — wrzasnął Roman Borysowicz — bo jak wezmę bata...

Księżniczki odwróciły nosy. Awdotia po dawnemu, z ukłonem podała lampkę, szepnęła: — Przegryź, ojczulku, jak należy...

Wypił, sapnął. Gryzł ogórek ochlapując sokiem kamizelę.

Na stole ani kapusty z borówkami, ani rydzyków solonych krajanych z cebulką. Żując maleńki pierożek — diabli wiedzą z czym — spytał o syna:

— Gdzie Miszka?

— Uczy się, ojczulku, arytmetyki. Sama już nie wiem, co będzie z tą jego główką...

Ospowata Olga, najczęściej na politesę pazerna, sznurując usta rzekła:

— Miszka to jeno wciąż z chłopami a z chłopami. Wczoraj znów w stajni muzykował na bałajce i grał w noski...

— To jeszcze małe dziecko — stęknęła Awdotia.

Przez jakiś czas milczeli. Najmłodsza Natalia.*— śmieszka i wiercipięta — pochyliła się do okienka (w ramy zamiast miki wstawiono niedawno szkło).

— Ach, ach, panny! Goście przyjechali... Panny zatrwożyły się, potrząsnęły uniesionymi rękami, aby dłonie zrobiły się białe. Przybiegły służebne dziewczki sprzątnąć ze stołu, zsunąć obrus. Majordomus (dawniej — czeladny), stary zbożny sługa, ogolony i wy

strojony jak na święto, uderzył laską i oznajmił, że przyjechała bojarynia Wołkowa. Roman Borysowicz z niechęcią wstał od stołu — świadczyć galanterię: potrząsać przed sobą kapeluszem i wierzgać nogami... Przed kim to ma firycykować księżę Bujnosow? Siedem lat temu ta bojarynia Wołkowa zwała się Sań-ka, zdartym podółkiem ocierała smarki. Wyszła z najędzniejszej zagrody pańszczyźnianej. Ojciec jej, Iwaszka Browkin, był chłopem pańszczyźnianym. Należałoby jej do śmierci kręcić się przy kurnym kominie. Patrzcie no — majordomus ją melduje. Przyjechała złoconą kolaską. Mąż jej w łasce u cara... (Mąż wypada księciu Romanowi cioteczny siostrzeńcem.) Ojcu diabeł dopomógł. Wyskrobał się na kupca, a teraz, powiadają — ma w swoich rękach całą dostawę dla wojska.

Majordomus otworzył drzwi (po staremu niziutkie i wąskie), zaszeleściła suknia różowa i żółta. Nurkując nagimi ramionami, pochylając obojętną, ładną twarz, z opuszczonymi rzęsami, weszła bojarynia Wołkowa. Zatrzymała się w środku sali. Błysnąwszy pierścieniami, ujęła wspaniałe spódnice z koronkami, haftowane w róże, wysunęła nóżkę — atlasowy trzewiczek z obcasem wysokim na dwa cale — zrobiła rewerans wedle francuskiej etykiety, nie zginając kolana wysuniętej nogi. Kiwnęła na prawo i na lewo upudrowaną głową ze strusimi piórami. Skończywszy pod

niosła modre oczy, uśmiechnęła się odsłaniając zęby.

— Bonżur, prynces!

Panny Bujnosowówny dygały po kolei, przypadając na tyłki, pożerały gościa oczami. Ręman Borysowicz ujął kapelusz, pomachał nim rozcapierzając nogi i ręce. Poprosili bojarynię do stołu spróbować kawy. Poczęli rozpytywać o zdrowie krewnych i domowników. Panny oglądały jej strój i uczesanie.

— Ach, ach, koafiura oczywiście na fiszbinach!

— A nam podkładają pręty i szmatki.

Sańka odpowiadała:

— Z koafierem prawdziwe utrapienie: jeden na całą Moskwę. W zapusty damy wyczekiwały po tygodniu, a które były już uczesane — spały na krześle... Prosiłam tatusia, żeby mi przywiózł koafiera z Amsterdamu.

— Proszę oddać ukłony szanownemu Iwanowi Artiemiczowi — powiedział książe. — A co słyhać z jego fabryczką płótna? Wciąż wybieram się obejrzeć. Nowa sprawa, zajmująca...

— Tatuś w Woroneżu. I Wasia teraz też w Woroneżu, przy monarsze.

— Słyszeliśmy, słyszeliśmy, Aleksandro Iwanowno.

— A wczoraj Wasia przysłał list. — Sańka wsunęła dwa palce za głęboko wycięty gors (Roman Borysowicz zamrugął: jeno patrzeć, a obnaży się niewiasta), wydobyla niebieski

papier. — Żeby tak mojego Wasi nie posłali do Paryża...

— Co pisze? — zapytał księżę zakaszawszy. — Co napisał o miłościwym monarsze?...

Sańka długo patrzyła na papier, na czole ukazały się zmarszczki. Policzki i szyja oblały się rumieńcem.

Szeptem:

— Czytać nauczyłam się niedawno. Wybaczcie...

Wodząc palcem po gęsto usianych wierszach z tytlami i zakrętasami, jęła czytać, powoli wymawiając każde słowo:

— „Saszeńko, serce moje, bądź zdrowa po długie lata... Oto co się dzieje u nas w Woroneżu... Niedługo już spuścimy na Don flotą i pobyt nasz tutaj skończy się... Nie chcę cię straszyć, ale przypadkiem dowiedziałem się, że miłościwy monarcha chce mnie posłać razem z Andrzejem Artamonowiczem Matwie- jewem do Hagi i dalej jeszcze — do Paryża. Nie wiem, co o tym myśleć: daleko, a i strasznie... Bogu dzięki, wszyscy zdrowi. Herr Piter przesyła ci ukłony — wspominał o tobie niedawno przy wieczerzy. On mozoli się przez całe dnie. Pracuje na stoczni jak prostak. Sam kuje gwoździe i zwory, sam nawet konopaci. Nie ma czasu golić brody; wielce wszystkich popędza i ludzie opadają z sił. Ale flotę zbudowano...”

Roman Borysowicz uderzył po stole paznokciami.

— Tak... Naturalnie, flota, tak... Sam kuje, sam konopaci... Znaczy, że siły ma wiele — nie wie, co z nią począć...

Sańka skończyła czytanie. Cichutko otarła usta. Złożyła papier i — za stanik.

— Jak miłościwy pan wróci na święta, do nóg mu padnę... Chcę do Paryża...

Antonida, Olga, Natalia klasnęły w ręce:

— Ach! — i: —• Ach! — i: Ach!

Księżna Awdotia przeżegnała się.

— Nastraszyłaś nas, duszko, co za ochota — do Paryża... Przecie tam okropnie!

Modre oczy Sańki pociemniały. Przycisnęła do piersi pierścienie.

— Ja tak nudzę się w Moskwie! Tak bym pofrunęła za granicę... U carowej Praskowii Fiodor o wny jest Francuz — uczy politiesy, i mnie on uczy. Ach, co on opowiada! (Westchnęła krótko.) Co noc widzę we śnie Jjf i niby ja tańczę menueta w malinowej jubce, tańczę najlepiej ze wszystkich, w głowie się kręci, kawalerowie rozstępują się, a do mnie podchodzi król Ludwik i podaje mi różę... W Moskwie zrobiło się tak nudno. Bogu dzięki, że choć strzelców uprzątnęli, bo ja się strasznie boję nieboszczyków...

Bojarynia Wołkowa odjechała. Roman Borysowicz, posiedziawszy jeszcze trochę przy stole, rozkazał zaprząć kolaskę — jedzie na służbę, do Urzędu Wielkiego Pałacu. Teraz wszyscy muszą służyć. Jakby mało było w Moskwie pisarczyków. Szlachtę zmuszają

Ido skrobania piórem. A car sam cały w dziegiu, w tytoniu, wymachuje toporem, z chłopami srwuehę pije... „Och, źle, och, smutno” — spluwał Roman Borysowicz sadowiac się w kolasce...

IV

W głębokim rowie przy Bramie Spaskiej, gdzie nad lodem sterczały gdzieniegdzie zbutwiałe pale, Roman Borysowicz zobaczył ze dwadzieścia sań pokrytych rogożami. Chude koniska stały z pochylonymi łbami. Na pochyłości chłop ospale odbijał łomem przy- marzłego trupa strzelca. Dzień był szary. Śnieg — szary. Po placu Czerwonym, po grudach nawozu, brnęli ludzie w siermięgach, ze zwieszonymi głowami. Zegar na wieży za- skrzypiał, zachrypiał (a dawnymi czasy bił dźwięcznie). Romanowi Borysowiczowi zrobiło się smutno.

Kolaska potoczyła się przez zmurszały most ku Spaskiej Bramie. W Kremlu ludzie chodzą w czapkach jak na targu. Przy ogryzionym przez konie palu stoją proste sanie... Serce Romana Borysowicza ścisnęło się. Opustoszało to miejsce, nie ma już najmiłościszych oczu, co w tym oto carskim okienku płonęły niby lampy ku chwale trzeciego Rzymu. Tęskno!

Roman Borysowicz zatrzymał się przy ganku urzędu. Nie znalazł się nikt, kto by księ- cia wysadził z kolaski. Sam się wygrzebał. Poszedł, sapiąc, po zewnętrznych krytych schodach. Stopnie zdeptane śniegiem, zaplute. Z góry, omal nie potraćiwszy księcia, zbiegli jacyś tam ludziska w niepokrytych kozuszkach. Ostatni — szpakowatobrody — zuchwale drapnął hultajskim okiem... Roman Borysowicz zatrzymał się na połowie schodów, z oburzeniem stuknął laską.

— Czapka! Czapkować należy!

Krzyczał na wiatr! Takie to obyczaje zagościły na Kremlu.

W urzędzie, w niskich komnatach, swąd z pieców, zaduch, nie zamiecione podłogi. Przy długich stołach pisarze skrobią piórami, łokieć przy łokciu. Rozprostowawszy plecy jeden drapie się w skołtuniony łeb, inny drapie się pod pachami. Przy małych stołach — przemądrzali krętacze, podiaczowie, od każdego zalatuje na wiorstę pierogiem na oleju; przerzucają rejestry, wodzą palcami po skargach. Z brudnych okienek — mętne światło. Po kancelarii przechadza się koło stołów diak-referendarz w okularach na dziobatym nosie.

Roman Borysowicz poważnie kroczył przez sale, z kancelarii do kancelarii. Spraw w Urzędzie Wielkiego Pałacu było dużo, i to spław zawikłanych: zarządzano carskim skarbem, składami złotych i srebrnych naczyń, pobierano cła, opłaty kozackie i strzeleckie, zajezdne i daniny z pałacowych wsi i miast. Rozeznawał się w tym wszystkim Jeno diak

i co starsi referendarze. Świeżo wyznaczeni bojarzy przesiadywali po całych dniach w niedużej, mocno ogrzanej komnacie, udrećzeni, ciasną, niemiecką odzieżą, spoglądali poprzez mętne okienka na opustoszały pałac carski, gdzie ongi przechadzali się po ganku pościelnym albo bojarskim placyku — w sobolowych szubach, potrzęsali jedwabnymi chusteczkami, rozprawiali, radzili o sprawach.

A przez ten plac przewaliło się wiele strasznych rzeczy. Z tego oto, zbutwiałego, teraz zabitego deskami ganku, wedle podania, wyszedł z Kremla car Iwan Groźny z oprycznikami i udał się do Aleksandrowskiej slobody, aby swą wściekłość i okrucieństwo wyrzucić na wielkich bojarskich familiach. Ścinał głowy, piekł na rusztach, wbijał na pal. Zabierał dobra. Bóg nie dopuścił przecie do ostatecznej ruiny bojarów. Podźwignęły się wielkie rody.

Z tamtego drewnianego teremu z miedzianymi kogutami na cebulastym dachu wyleciał przeklęty Griszka Otrepiw — inny burzyciel przesławnego bojarstwa rosyjskiego. Moskiewska ziemia stała się pustynią, zgłiszcza, kości ludzkie po drogach, ale Bóg nie dopuścił — podźwignęły się wielkie rody.

Teraz znowu zawisła groza — za nasze grzechy... „E-che-che” — bojarzy chrząkali znudzeni w nagrzejonej komnacie przy okienkach. „Jak nie kijem, to pałką... Ogotlili wszystkim brody, kazali wszystkim pełnić służbę, synów przypisali do pułków, powy* syłali na obczyznę... E-che-che, i teraz Bóg nie dopuści...”

Wszedłszy do komnaty Roman Borysowicz spostrzegł, że znów coś podjęto u góry. Staremu księciu Martynowi Łyków owi trzęsły się babskie policzki. Szlachcic, członek Dumy, Iwan Jendogurow i stolnik Ławrientij Swinin, zacinając się czytali papier. Podnosząc głowy mogli jeno wyrzec: — Ach, ach!

— Książę Romanie, siądź, posłuchaj — rzekł książę Martyn omal nie płacząc. — Co to będzie? Teraz każdy ubliży i despekt wyrządzi... Jedno mieliśmy prawo, a i to odbierają.

Jendogurow i Swinin znowu zaczęli sylabizować carski ukaz. Była w nim inowa o tym, że jemu, carowi i wielkiemu księciu itd., itd., książęta i bojarzy, szlachta dumską i moskiewską wielce naprzykrzają się skargami o despekty. Tego a tego dnia przedłożono mu, carowi itd., skargę Martyna, syna Grigorija, księcia Łykowa, że na ganku pościelnym został on wyłajany i znieważony, a krzyczał i znieważał porucznik Preobrażeńskiego pułku, Oleszka Browkin... Porucznik ów, przechodząc przez ganek, krzyczał na księcia Martyna: — Cóż to tak patrzysz na mnie wilkiem, ja już teraz dla ciebie nie chłop, byłeś kiedyś księciem, a teraz jesteś bajbardzo!!

- Szczeniak, chamskie nasienie, parobek — książę Martyn trząsnął policzkami — zapomniałem wtedy z gorączki, on jeszcze gorzej mi wymyślał...

— A jak on ci wtedy wymyślał, księżę Martynie? — spytał Roman Borysowicz.
— No co tam, co tam... Krzyczał, wielu słyszało: „Martynuszka — małpa łysa...”
— Aj-aj-aj, co za obraza! — pokręcił głową Roman Borysowicz... — A co, czy ten Oleszka to nie syn

Iwana Browkina?

— Diabli go tam wiedzą, czyj on syn...

— „Car i wielki księżę itd. — czytali dalej Jendogurow i Swinin — żeby nie naprzykrzano się w tak ciężkich dla państwa czasach, za natręctwo i przykrość, jaką mu sprawiono, rozkazał ściągnąć z oskarżyciela, księcia Martyna, dziesięć rubli i pieniądze te rozdać biednym, a na przyszłość zakazuje składania skarg o despekt...”

Skończywszy czytanie pokręcili nosami. Księżę Martyn znów się rzucił:

— Bajbardzo! Zbadaj, jakie to ze mnie baj- bardzo! Ród nasz — od księcia Łyczkol — W trzynastym wieku księżę Łyczko wyszedł z ziemi węgierskiej z trzema tysiącami ko- pijników. A od Łyczki — wywodzą się Łyko- wowie, księżęta Briuchatowie i Taratuchino- wic, Suponiewowie, a od młodszego syna — Bujnosowowie.

— Łzeszl Pleciesz bzdury, księżę Martynie! — Roman Borysowicz odwrócił się na ławie, nastroszył brwi, błysnął spojrzeniem (ach, gdyby nie bosa policzki, nagie, skrzywione wargi, straszny byłby wówczas księżę Roman). — Bujnosow od wieków brał miejsce przed Łykowem. My ród swój, poko* lenie po pokoleniu, wywodzimy od czerni- howskich książąt panujących. A wy, Łyko- wowie, samiście się za Iwana Groźnego wpisali do heroldii... Diabeł go tam widział, księcia Łyczkę, jak wychodził z ziemi węgierskiej...

Oczy księcia Martyna jęły się obracać, woreczki pod oczami podskoczyły, cała twarz z grubą górną wargą zadrżała jak w płaczu.

— Bujnosowowie! Czy aby nie w Tuszynie, w obozie, hultaj tuszyński, samozwaniec, dobra wam ponadawał?

Obaj księżęta powstali z ław, jęli mierzyć się oczyma od stóp do głów. I byłby wielki krzyk i gwałt, gdyby nie wdali się Jendogurow i Swinin. Wyperswadowali, uspokoili. Ocierając chustkami czoła i szyje, księżęta siedli, każdy na innej ławie.

Z nudów szlachcic dumski Jendogurow opowiadał, o czym plotą bojarzy w carskiej radzie — ręce rozkładają, niebożęta: car w Woroneżu wraz ze swoimi doradcami wie jedno tylko — pieniędzy i pieniędzy. Dobrał sobie doradców — sami kupcykowie, nasi i cudzoziemscy, i wszelacy ludzie podłej kondycji, cieśle, kowale, marynarze, młokosy jakież, tyle jeno, że im kat jeszcze nie wyrwał nozdrzy. Car słucha ich hultajskich rad. Tam w Woroneżu jest prawdziwa Duma państwowa. Tam sypią się skargi ze wszystkich miast od Łyków i kramarzy, doczekali się nowego

władcy... I z taką zgrają chce pobić tureckiego sultana... Pewien człowiek z poselstwa Prokofija Woznicyna pisał z Karłowic do Moskwy: Turcy dworują sobie z woroneskiej floty, powiadają, że nie pójdzie dalej niż do ujścia Donu, cała osiadzie na mieliźnie.

— Boże, siedzielibyśmy spokojnie, nie drażnilibyśmy Turków — rzekł cichy Ławrentij Swinin. (Trzech synów zabrano mu do pułków, czwartego I— do marynarki. Stary tęsknił.)

— A jakże to: spokojnie? — przemówił Roman Borysowicz wytrzeszczywszy na niego groźne oczy. — Czy to powinieneś, Ław- rientiju, w swym chudopacholstwie wyskakiwać w rozmowie przed innymi? (Uderzył się po udzie.) Jak to można spokojnie — przed Turkiem, Tatarzynem? A po co aż dwa razy posyłaliśmy na Krym księcia Wasilija Golicyna?

Książę Martyn — patrząc na piec:

— Nie wszyscy mają dobra za Woroneżem, za Riazaniem.

Roman Borysowicz prychnął nań nozdrzem, lecz zlekceważył uwagę.

— W Amsterdamie za pud polskiej pszenicy płacą guldena. A we Francji jeszcze drożej. W Polsce panowie leżą na złocie. Pogadajcie z Iwanem Artiemiczem Browkinem, on wam powie, gdzie leżą pieniądze... A ja zeszlóroczne zboże sprzedawałem gorzelnikom po trzy i pół kopiejki za pudzik, jak z łaski... Przecie złość bierze, tuż obok — rzeka Wo-

rona, tuż — Don, poszłaby moja pszeniczka na morze... Wielka to sprawa, dałby Bóg, byśmy pokonali sultana. A ty — spokojnie... Zdałby się nam jeden gródek nad morzem, Kercz albo inny. A znowu my, jako trzeci Rzym, winniśmy chyba troszczyć się o Grób Pański. Czyśmy to już do szczętu sumienie stracili?

— Sultana nie pobijemy, nie. Niepotrzebnie zadzieramy — rzekł łagodząco książę Martyn. — A że zboża mamy pod dostatkiem — Bogu dzięki. Nie pomrzemy z głodu. Byle jeno nie przyczepiać trenów córkom i nie zaprowadzać w domu politesy.

Roman Borysowicz zmilczał spoglądając przez rozstawione kolana na sęczki w podłodze, potem zapytał:

—Dobrze. Któż to córkom treny przycze- pia?

—Naturalnie, takich durniów, co to w niemieckiej slobodzie kupują kawę po pół rubla i drożej za funt, takich żaden chłop nie wyżywi. — Książę Martyn zezując na piec trząśł starczym podbródkiem, znowu wyraźnie parł do kłótni.

Ktoś mocno szarpnął drzwi. W zaduch izby prosto z mrozu wskoczył rumiany oficer z okrągłą twarzą, zadartym nosem, w rozwichrzonej peruce i w niewielkim, nasuniętym na uszy trójgraniastym kapeluszu. Ciężkie buty, botforty, zielony kaftan z szerokimi czerwonymi wyłogami — osypane śniegiem. Widać pędził przez Moskwę, ile sił.

Książę Martyn ujrzawszy oficera zaczął otwierać usta, aż je wreszcie rozdziawił. Był to jego krzywdzieli, preobrażeński porucznik Aleksy Browkin — jeden z carskich faworytów.

— Bojarzy, rzucacie urzędowanie... (Ałoszka z pośpiechu trzymał drzwi na oścież otwarte.) Franz Jakowlewicz umiera...

Potrząsnął peruką, zuchwale (Jak oni wszyscy — chudopacholstwo wykarmione przez Piotra) błysnął oczami, zatupał obcasami i zadzwonił ostrogami po zbutwiałej podłodze urzędu. Łysi pisarze zezowali w Jego stronę: — Ciszej trza by, zuchwalcze, tu nie stajnia.

V

d

Tydzień temu Franz Jakowlewicz Lefort ucztował w swoim pałacu z posłami duńskim i brandenburskim. Nastąpiła odwilż, z dachów kapało. W sali było gorąco. Franz Jakowlewicz siedział plecami do kominka, gdzie płonęły drwa, i z ożywieniem rozprawiał o wielkich projektach. Zapalając się coraz bardziej, raz wraz podnosił kubek z kokosowego orzecha i pił za braterski sojusz cara Piotra z królem duńskim i elektorem brandenburskim. Pod oknami dwanaście dział na jasnozielonych lawetach razem — gdy stojący w oknie majordomus dał znak chusteczką — uderzało grzmotem salwy. Kłęby białego prochowego dymu zasmiwały pogodne niebo.

Lefort przeginał się na złożonym krzeselku, szeroko otwierał oczy, zwoje peruki lepiły się do poblądłych policzków.

— Wzdłuż naszych wielkich rzek szumi las masztów. Samymi jeno rybami możemy wyżywić wszystkie chrześcijańskie narody. Lnem i konopiami obsiejemy choćby tysiące wiorst. A dzikie pola — południowo stepy, gdzie Jeździec chowa się w trawie! Wyrugujemy stamtąd Tatarów — będziemy mieli bydła jak gwiazd na niebie. Trzeba nam żelaza? — depczemy po rudzie. Na Uralu — całe góry żelaza. Czym nas mogą zadziwić kraje europejskie? Macie manufaktury? Sprowadzimy Anglików, Holendrów. Każemy swoim. Nie obejrzycie się nawet — a już będziemy mieli Wszelakie manufaktury. Mieszczan wykształcimy w naukach i sztukach. Wywyższymy kupców i przemysłowców, Jak im się, nawet nie śniło.

Tak mówił pijany Lefort do podchmielonych posłów. Kręciło im się w głowach od wina i od tego, co im prawił. W sali zrobiło się duszno. Lefort kazał majordomusowi otworzyć oba okna i z zadowoleniem wciągał w nozdrza wilgotne, chłodne powietrze. Aż do zmierzchu spełniał puchary za powodzenie wielkich projektów. Wieczorem pojechał do posła polskiego i tam pił i tańczył aż do rana.

Nazajutrz Franz Jakowlewicz, wbrew zwyczajowi, poczuł się znudzony. Włożył zajęczy kozuszek, owiązał głowę fularem, nakazał, aby nikogo nie wpuszczano. Zaczął pisać

list do Piotra, ale szło mu niesporo — zziął otulając się kożuszką przy kominku. Sprowadzono Włocha, doktora Policolo. Doktor wężał mocz i flegmę, cmokał, skrobał się po nosie. Admirałowi dano na przeczyszczenie, puszczo krew. Nic nie pomogło. W nocy Franz Jakowlewicz od wielkiej gorączki stracił przytomność.

Pastor Strumpf (w ślad za dzwoniącym kościelnym) z trudem przeciskał się przez wielką salę trzymając nad głową oleje. Pałac Leforta rozbrzmiewał głosami — zjeżdżała się cała Moskwa. Drzwi trzaskały, dmuchały przeciągi. Służba krzątała się nieprzytomnie, niektórzy już byli pijani. Żona Leforta, Elżbieta, powitała pastora u drzwi męzowskiej sypialni — twarz zwiędła, z czerwonymi plamami, ponury nos, zapłakana. Malinowa suknia zapięta byle jak, spod peruki wysuwały się rzadziutkie pasemka włosów. Admirałową przeraził śmiertelnie widok tylu zjeżdżających się znamienitych osób. Po rosyjsku prawie nie mówiła, życie całe spędziła w tylnych komnatach. Wyciągnęła złożone ręce ku piersi pastora i szeptała po niemiecku:

— Co ja pocznę? Takie mnóstwo gości- Panie pastorze Strumpf, proszę mi poradzić —I może podać lekką przekąskę? Służba jak zwariowana, nikt mnie nie słucha. Klucze od piwnic u biednego Franza pod poduszką. (Łzy pociekły z bladożółtych oczu admirałowej, zaczęła szukać za stanikiem, wyciągnęła mokrą chusteczkę, ukryła w niej twarz.) Panie pastorze Strumpf, boję się wyjść do sali, ja zawsze mieszam się... Co to będzie, co to będzie, pastorze Strumpf?...

Basem odpowiednim do okoliczności pastor wypowiedział słowa pociechy. Powiódł dłonią po dokładnie, aż do siności wygolonej twarzy, spędzając z niej ziemską marność, i wszedł do sypialni.

Lefort leżał na szerokim, zmiętym posłaniu, wsparty o poduszki. Na zapadniętych policzkach i wysokim czerepie wyrosła mu już szczecina. Oddychał często, ze świstem, obojczyki mu się wzdymały, jakby usiłując jeszcze raz wejść w chomąto życia. Rozwarte usta były spalone gorączką. Jeny oczy żyły — czarne, nieruchome.

Doktor Policolo wziął pastora Strumpfa na stronę, zmrużył oczy znacząco, na policzkach skupiły się zmarszczki.

— Suche żyły — powiedział — przez które, jak nasza wiedza uczy, dusza zespała się z ciałem, w tym wypadku u pana admirała są tak bardzo wypełnione flegmą, że dusza z każdą chwilą sływa do ciała coraz węższymi kanalikami i należy oczekiwać całkowitego zatkania ich przez flegmę.

Pastor Strumpf siadł cicho u wezłowia umierającego. Lefort ocknął się niedawno | maligny, wrócił do przytomności i był czymś widocznie zaniepokojony. Gdy usłyszał swe imię, | wysiłkiem zwrócił oczy na pastora

MMM

i znów ją patrzył tam, gdzie w kominku dymiło wilgotne polano. Tam, nad ornamentacją kominka, leżał Neptun — bóg mórz, z trójzębem, a spod jego ręki ze złoczonej misy lała się złota woda rozplywając się w złotych zakrętach. Pośrodku, w czarnej dziurze, dymiło polano.

Strumpf starał się zwrócić wzrok admirała na krucyfiks, mówił o nadziei wiecznego zbawienia, której nie odmówiono nikomu ze śmiertelnych... Lefort wymamrotał coś niewyraźnie. Strumpf pochylił się ku jego fioleto-
wym wargom. Lefort — dysząc urywanie:

— Nie gadaj dużo...

Pastor mimo to spełnił swoją powinność: umierającego rozgrzeszył i dał mu komunię. Gdy wyszedł, Lefort uniósł się na łokciach. Zrozumieli, że wzywa majordomusa. Pobiegli, znaleźli w kuchni płaczącego starca. Major- domus, spuchnięty od łez, w kapeluszu ze strusimi piórami, z buławą, stanął w nogach posłania. Franz Jakowlewicz rzekł do niego:

— Sprowadź muzykantów... Przyjaciół... Kielichy...

Muzykanci — nie ubrani, w czym kto był — weszli na palcach. Wniesiono puchary z winem. Muzykanci otoczywszy posłanie przyłożyli do ust instrumenty i na sześćdziesięciu rożkach — srebrnych, miedzianych i drewnianych — zagrali rozkoszny taniec: menueta.

Lefort, śmiertelnie blady, osunął się ramionami w poduszki. Skronie mu zapadły jak u konia. Oczy płonęły nienasyconie. Podano kielich, ale on już nie mógł podnieść ręki — wino rozlało się na pierś. Wśród dźwięków muzyki znowu stracił przytomność. Oczy przestały widzieć.

Lefort umarł. W Moskwie nie wiadano, co począć z uciechy. Teraz koniec cudzoziemskiej władzy — Kukujskiej slobody. Zdechł przeklęty doradca. Wszyscy widzieli, wszyscy wiedzieli: poił cara Piotra zaczarowanym odwarem — ale nic nie wolno było powiedzieć. Odbiły mu się lzy strzeleckie. Opustoszeje na zawsze antychrystowe gniazdo — pałac Lefortów...

Opowiadano: umierając Lefort kazał grać muzykantom, błaznom skakać, tancerkom — puścić się w płasy, a sam — zielony, trupi — porwał się z posłania i w tan... A w pałacu na strychach — jak zawyje, zagwiżdże nie-
czysta siła...

Przez siedem dni bojarzy i wszelki lud urzędowy odwiedzali trumnę admirała. Ukrywając radość i lęk, wchodzili do oświetlonej z dwóch stron sali. W środku na podwyższeniu stała trumna, do połowy nakryta czarnym jedwabnym płaszczem. Czterech oficerów z obnażonymi szpadami stało przy trumnie, czterech — niżej, przy podwyższeniu. Na rozkładanym krześle w dole, przed katafalkiem, siedziała wdowa w żałobnych szatach.

Kpig

Bojarzy wstępowali na podwyższenie, odwracając nos i wargi — aby się nie skazić — dotykali policzkiem sonej ręki diabelskiego admirała. Potem, podszedłszy do wdowy — ukłon, w pas, palcami aż do podłogi i — precz za bramę...

Ósmego dnia, zajeżdżając rozstawne konie, przybył z Woroneża Piotr. Jego skórzana kolaska — w poszóstnym zaprzęgu — przeleciała przez Moskwę prosto we wrota pałacu Leforta. Konie różnej maści z trudem robiły zmydlonymi bokami. Spoza fartucha ukazała się ręka — szukała rzemienia, by odpiąć.

Z pałacu wychodziła właśnie Aleksandra Iwanowna Wołkowa, na ganku prócz niej nie było nikogo. Sańka pomyślała, sądząc z koni, że przyjechał ktoś mało znaczący. Rozgniewała się, że zagradza drogę jej karecie. — Zjeżdżajże szkapami, czego stoisz na drodze — rzekła do carskiego woźnicy.

Wysunięta ręka nie znalazłszy sprzączki gniewnie oderwała rzemień fartucha i z powozu wysiadł człek w aksamitnej czapce z nau&znikami, w baraním kożuchu krytym szarym sukmem, w filcowych butach. Wysiadł, wysoki — patrząc na niego Sańka zadarła głowę... Okrąg ława twarz — pomizer- niata, oczy obrzmiałe, ciemne wąsiki sterczą* Święci pańscy — car!

Piotr jedną po drugiej rozprostował zdrętwiałe nogi, brwi mu się zbiegły. Poznał przybraną córkę, uśmiechnął się zmarszczkami drobnych warg. Rzekł głucho:

50

■1

— Biada, biada...

I wszedł do pałacu wymachując rękawami kożucha. Sańka — za nim.

Wdowa na krześle, ujrawszy cara, struchlała. Zerwała się. Chciała paść mu do nóg. Car objął ją, uściskał patrząc na trumnę ponad jej głowę. Przybiegli słudzy. Zdjęli zeń kożuch. Piotr niedźwiedzi o wato, w filcowych butach, ruszył pożegnać się. Długo stał — z ręką na krawędzi trumny. Pochylił się nisko, całował czoło i ręce miłego przyjaciela. Ramiona pod zielonym kaftanem zadrgały, kark naprężył się.

Oczy Sańki, patrzącej na jego plecy, rozplynęły się we łzach — wsparła się i zawodziła z cicha, cienko, po chłopsku. Tak jej było żal, tak było czegoś żal... Zeszedł z podwyższenia sapiąc jak mały chłopak. Zatrzymał się przed Sańką, Kiwała gorzko głową.,,

— Drugiego takiego przyjaciela już nie będzie — rzekł. (Zasłonił sobie dłonią oczy, potrząsnął ciemnymi, zmierzwionymi w drodze kędzierzawymi włosami.) — Radość i troski — razem, wszystko — razem. Myśleliśmy jedną głową... — Nagle odjął rękę, obejrzał się, oczy obeschły, zrobił się podobny do kota. Do sali wchodzili bojarzy — dziesięciu człeka, żegnając się skwapliwie.

Wedle starszeństwa, zbożnie zbliżali się do Piotra Aleksiejewicza, przyklękali i wspierając się dłońmi o podłogę mocno bili czołem o dębowe klepki.

Piotr ani jednego nie podniósł, nie uściskał,

nawet nie skinął — stał obcy, pyszny. Nozdrza krótkiego nosa rozdymały się.

— Radziście, radzi, widzę! — rzekł niezrozumiale, wyszedł z pałacu i wsiadł do kolaski.

VI

Tej jesieni w niemieckiej slobodzie obok luterskiej kirchy zbudowano dom wedle holenderskiego wzoru, z ośmiu oknami frontu. Budował Urząd Wielkiego Pałacu, pośpiesznie — w dwa miesiące. Do domu przeniosła się Anna Iwanowna Mons z matką i młodszym bratem, Willimem.

Tu już otwarcie przyjeżdżał car i często zostawał na noc. W Kukuju (a nawet w Moskwie) dom ten nazywano pałacem carowej. Anna Iwanowna zaprowadziła pańskie obyczaje: majordomus i służba w liberii, w stajni dwie szóstki drogich polskich koni, karety na rozmaite okazje.

Teraz do Monsów, jak to dawniej bywało, ani zajrzeć, ogrzać się przy ogieńku austerii, wypić kufel piwa. Che, che — przypominali Niemcy — czy tak dawno niebieskooka Annchen w czyściutkim fartuszkuzku roznosiła kufle po stołach, płoniąc się jak polna róża, gdy jaki poczciwiec poklepał ją po panieńskim tyłeczku i powiedział: — No, rybko, spij pianę, kwiat dla ciebie, piwo dla mnie...

Z mieszkańców Kukujskiej slobody bywali teraz u Monsów jeno znamienitsi kupcy i ma- nufakturyści, a i to za zaproszeniami, w niedziele, na obiad. Owszem, pożartowali sobie, ale przyzwoicie. Po prawej stronie Annchen stale siadywał pastor Strumpf. Lubił on opowiedzieć coś uciészego lub pouczającego z dziejów rzymskich. Krwiści goście w zamyśleniu kiwali kufkami z piwem, wzdychając przyjemnie nad znikomością świata. Anna Iwanowna szczególnie dbała o przyzwoitość w domu.

W ciągu tych lat dojrzała jej uroda: w chodzie — powaga, w spojrzeniu — spokój, obyczajność i melancholia. Gadajcie, co chcecie, mogą tam ludzie kłaniać się nie wiem jak nisko oszklonej karocy — car przyjeżdżał do niej pospać i tyle. No, a co dalej? Pomiestny Urząd nadał Annie wioski. Na bale mogła się przybrać kosztownościami nie gorzej od innych, a na piersi zawieszała portret Piotra Aleksiejewicza, wielkości spodka, w diamentach. Nie doznawała braku, nie odmawiano jej niczego. Ale na tym się kończyło.

Czas płynął. Piotr coraz częściej przebywał w Woroneżu albo pędził rozstawnymi końmi od południowego morza do północnego. Anna Iwanowna posyłała mu liściki, a przy każdej okazji — cytryny, pół tuzina pomarańcz (dostarczonych z Rygi), kiełbasy z kar- damonem, nalewki ziołowe. Ale czy długo utrzyma się kochanka listami i podarkami? A niech jeno przyplącze się jakakolwiek nie

wiasta, wkradnie mu się do serca! Przewracała się na piernatach całymi nocami, bez snu. Wszystko nietrwałe, mętne, dwuznaczne. Wrogowie — dokoła wrogowie, czyhają jeno, by się Monsównie noga powinęła.

A nawet Lefort, najbliższy — gdy Anna Iwanowna ogródkami naprowadzała rozmowę, czy Piter długo jeszcze zamierza żyć w niechlujnym kawalerstwie — uśmiechał się niewyraźnie, delikatnie szczypał Annchen w policzek: „Na obiecanego czeka się trzy lata...” Ach, nikt nie rozumiał: przecie Anna Iwanowna nie chciała ani carskiego tronu, ani panowania — panowanie niespokojne, niepewne... Jeno trwałości, schludności, przyzwoitości...

Pozostawał jeden środek — uroki, czary. Za radą matki pewnego razu Anna Iwanowna wstała z posłania od śpiącego mocno Piotra i zaszyła mu w brzeg kamizelki maleńką szmatkę ze swoją krwią... Pojechał do Woroneża, a kamizelę zostawił w Preobrażeńskim i od tego czasu nie włożył jej ani razu. Stara Monsowa sprowadzała do tylnych izb baby-wróźbiarki. Ale i matka, i córka lękały się im zawierzyć — na kogo rzucić urok. Za czary książę-cesarz Romodanowski brał na męki.

Zda się, gdyby tak Annę Iwanownę pokochał teraz człek prosty (zamożny) — ach, wszystko by oddała za spokojne życie. Czyściutki domek — niechby już bez majordo- musa — słońce pada na wywoskowaną po dłogę, w oknach przyjemnie pachnie jaśmin, z kuchni dolatuje zapach palonej kawy, płynący z kirchy dźwięk dzwonu wlewa do duszy spokój, a poważni ludzie, przechodząc, z szacunkiem kłaniają się Annie Iwanownie siedzącej przy oknie z robótką...

Ze śmiercią Leforta jakby czarna chmura spadła na głowę Anny Iwanowny. Przez te siedem dni (do przyjazdu Piotra) tak płakała, że stara Monsowa kazała sprowadzić doktora Policolo. Ów nakazał płukania, przeczyszczenie, żeby wydalić nadmiar flegmy, która pojawiła się we krwi wskutek zmartwienia. Anna Iwanowna, sama nie rozumiejąc dobrze czemu, czekała z przerażeniem na przyjazd Piotra. Przypominała sobie jego ziemistą twarz z policzkiem rozdętym od bólu zęba, kiedy po najstraszniejszej kaźni strzelców siedział u Leforta. Gniew zastygł w rozszerzonych oczach. Ręce czerwone od mrozu leżały przed pustym talerzem. Nie jadł, nie słuchał żartó^r biesiadników. (Żartowali szczękając zębami.) Na nikogo nie patrząc zagadał niezrozumiale:

— Nie cztery pułki, legion... Kładli się na szafocie — wszyscy żegnali się dwoma palcami... W imię starzyzny, w imię biedy... Żebractwo, nawiedzenia... Mieszczuchy! Nie od Azowa należało zaczynać — od Moskwy!

Po dziś dzień Anna Iwanowna wdrygała się wspominając Pitera z owych czasów. Czuła, że ten dręczący człowiek odrywa ją od spokojnego okienka i wtrąca w okrutne nie-

pokoje... Na co? Czy nie jest on naprawdę Antychrystem, jak szepczą Rosjanie... Wieczorami, w łóżku, przy łagodnym świetle woskowej świeczki, Anna Iwanowna załamując ręce płakała rozpaczliwie.

— Mamo, mamo, co ja pocznę z sobą? Ja go nie Kocham. Przyjdzie — niecierpliwym... Ja — martwieję... Lepiej bym może już leżała w trumnie jak biedny Franz.

Nie ubrana, z napuchniętymi powiekami, rano nieoczekiwanie dostrzegła oknem, że za ogrodzeniem na wyboistej ulicy zatrzymała się carska kolaska. Tym razem nie zakrzętnęła się wcale: a niech sobie — jaka jest, to jest — w czepku, w wełnianym szalu. Przechodząc przez ogródek Piotr dostrzegł ją w oknie, kiwnął głową, bez uśmiechu. W sieni wytarł nogi o dywanik. Potulny, trzeźwy.

— Witaj, Anusiu — powiedział miękko i pocałował ją w czoło. — Osierocieliśmy. — Siadł pod ścianą, przy zegarze kołyszącym powoli roześmianym miedzianym obliczem na wahadle. Mówił półgłosem, jakby się dziwił, że śmierć jest tak szalenie nierozważna. — Franz, Franz... Lichym był admirałem, ale wart był całej floty. Biada, biada, Anusiu... Czy pamiętasz, jak pierwszy raz przyprowadził mnie do ciebie, ty byłaś jeszcze dziewczynką — przelękną się, bym nie połamał grającej szkatułki... Innego śmierć winna była porwać... Nie ma Franza! — niepojęte...

Anna Iwanowną słuchała, miękki szal na cięgnęła aż na oczy. Nie była przygotowana — nie wiedziała, co odpowiedzieć. Łzy pelzły pod szal. Za drzwiami ostrożnie pobrzękiwano naczyniami. Chlipnąwszy nosem pełnym łez wymamrotała, że pewno Franzowi jest teraz dobrze w niebie. Piotr popatrzył na nią jakoś dziwnie...

— Piter, jeszczeście z drogi nic nie jedli, zostańcie, proszę, posilcie się. Akurat dzii są wasze ulubione zapiekane kiełbaski...

Widziała ze smutkiem, że nawet kiełbaski go nie skusiły. Siadła obok, wzięła go za rękę, którą czuć było baranią, jeła całować. A on drugą ręką pogłaskał jej włosy pod czepkiem,

— Wieczorem przyjadę na godzinkę. No, dość, dość, całą rękę zamoczyła...- Idź, przynieś kiełbaski, lampkę wódki. Idź, idź... Mam dziś dużo spraw.

VII

Leforta pochowano z wielkim przepychem. Szły trzy pułki z opuszczonymi sztandarami, z działami. Za rydwanem (w szesnastu wronych koni) niesiono na poduszkach kapelusze, szpadę i ostrogę admirała. Jeźdźcy w czarne zbroje i piórach dzierżyli zgaszoną pochodnię. Szli posłowie i rezydenci w żałobnej odzieży. Za nimi — bojarzy, okolniczowie, szlachta dumską i moskiewską — około tysiąca ludzi. Trąbili wojskowi trębacz, wolno war-

czały bębny. Piotr maszerował na przedzie z pierwszą rotą preobraźców.

Niektórzy z bojarów, nie widząc w pobliżu cara, po trochu klusem wyprzedzali posłów cudzoziemskich, aby być pierwszymi w pochodzie. Posłowie wruszali ramionami, poszeptywali. Na cmentarzu zupełnie ich odepchnięto. Roman Borysowicz Bujnosow i mialkiego rozumu książę Stiepan Biełosielski leżeli przy samych kołach, trzymając się rydwanu. Wielu Rosjan było już podchmielonych: na wyprowadzenie zebrali się skoro świt, o czczym brzuchu, nie czekając na stypę tłoczyli się koło stołów zastawionych półmiskami z zimnym jadłem, podjedli sobie i podpili.

Gdy trumnę ustawiono na wykopanej z dołu, zmarzniętej glinie. Piotr zbliżył się pośpiesznie. Spojrzał na wygolone, nagle ze-strachane twarze bojarów, wyszczerzył zęby tak złowrogo, że ten i ów cofnął się za plecy najbliższych. Kiwnięciem przywołał otyłego Lwa Kiryłowicza.

— Dlaczego oni powyłazili przed posłów? Kto pozwolił?

— Już ich zawstydziałem, beształem, nie słuchają — odrzekł cicho Lew Kiryłowicz.

— Psyl (I głośniej.) Psy, nie ludzie!

Szarpnął szyją, pokręcił głową, wierzgnął!

botfortem. Przez rozstępującą się ciżbę bojarów posłowie i rezydenci przeciskali się ku mogile, gdzie sam przy odkrytej trumnie stał car, wszystkim obcy, zziębnięty, w sukienym kaftanie. Wszyscy patrzyli ze strachem, co on tu będzie jeszcze wyprawiał. Wetknął szpadę w ziemię, padł na kolana i przycisnął twarz do tego, co pozostało z mądrego druha, poszukiwacza przygód, wietrznika, hulaki i wiernego towarzysza. Wstał, gniewnie ocierając oczy.

— Zamknijcie... Opuszczajcie...

Zawarczały bębny, pochyliły się sztandary, huknęły działa wzbijając białe kłęby. Jeden z puszkarzy zamarudził, nie zdążył odskoczyć — urwało mu głowę. W Moskwie tego dnia mówiono:

— Pogrzebali jednego diabła, a drugi został — widać, za mało jeszcze ludzi wytepił.

VIII

Sławetni ludzie parający się handlem i przemysłem zostawiali przed bramą sanie i zdejmując czapki wchodzili po długich, idących nieomal od środka dziedzińca, krytych schodach do pałacu Preobrażeńskiego. Goście * i kupcy z Gościnnej Sotni * przyjeżdżali w trzy konie, w saniach wyściełanych kobiercami — wchodzili bez obawy, w lisich, kosztownych szubach na hamburskim suknie. Stara komnata była źle ogrzana. Śmiało spoglą

dali na zbutwiały, potrzaskany pułap, na stoczone przez mole czerwone sukno na ławach i drzwiach i mówili:

— Budowa, że aby, aby... Znać bojarską starość. Szkoda, szkoda...

Na gwałt zgromadzono kupców wedle imiennych spisów. Niektórzy nie przyjechali w obawie, że każą im jeść z nikonowskiego naczynia i palić tytoń. Dociekali, po co car wezwał ich do pałacu. Niedawno na placu Czerwonym z poczestnego miejsca, przy odgłosie bębna, diak Dumy odczytał wielki ukaz.

„Doszło do wiadomości monarchy, że goście i kupcy Gościnnej Sotni oraz wszyscy mieszcianie i lud handlujący i trudniący się przemysłem, przez rozliczne ciągnięcia ich po urzędach, od wojewodów, od urzędników i pisarzy doznają w handlu i przemyśle wielkich krzywd i ruiny... Litując się nad nimi, on, monarcha, postanowił we wszelkich sporach, sprawach sądowych i skargach oraz interesach kupieckich i ściąganiu danin państwowych poddać ich burmistrzom, a na burmistrzów niech wybierają corocznie sami spośród siebie; kogo zechcą jśfi ludzi zacnych i sprawiedliwych. A z nich co miesiąc jeden człek będzie najpierwszy i zasiądzie jako prezydent...”

W miastach, osadach i slobodach nakazano również wybierać ziemskich burmistrzów spośród lepszych i sprawiedliwych ludzi dla spraw sądu, karania i pobierania podatków, a dla ściągania opłat celnych i dochodów z szynkowni wybierać — kogo zechcą — na burmistrzów celnych i szynkowych. Burmistrze będą radzić i zawiadywać sprawami handlowymi i podatkowymi w osobnej Izbie Burmistrzowskiej, a ta Izba — pomijając urzędy — wszelkie spory i skargi będzie przedkładać samemu monarsze.

Dla Izby Burmistrzowskiej wyznaczono na Kremlu, w pobliżu świątyni Jana Chrzciciela, gmach starocarskiego pałacu z lochami na skarbiec.

Dla tak słusznej sprawy kupcy moskiewscy nie poskapili grosza (czy to dawno chodzili na Kremlu bez czapek, a i to z bojaźnią — teraz sami tam zasiedli): stary pałac pokryli nowym, srebrzystym dachem, pomalowali z zewnątrz i wewnątrz, wstawili okna, nie z miki, lecz szklane. Przy lochach postawili swoją straż.

Za wybawienie od wojewodzińskich krzywd i urzędniczych matactw, kupiectwo musiało teraz płacić podwójny, w porównaniu z dawnym, podatek. Dla skarbu — wyraźny zysk. A dla kupiectwa? By tak rzec... Oczywiście, wojewodowie, urzędnicy i pisarczykowie nie dawali żyć: chciwi jak wilki, nie upilnujesz się — przegryzą gardło — w Moskwie będą ciągać po sądach, obedrą do naga, a w innych miastach i osadach zadręczą na egzekucji w domu wojewodzińskim. Wszystko to prawda...

6t Igi

A przecie wielu — rzecz oczywista prze* biegłsi — opędzało się i żyło całkiem nieźle, wojewodzie pokłonił się rublem, podiaczemu posłał cukru, sukna albo rybkę, pisarza zaprosił pojeść co Bóg dał. Niejednemu bogaczowi nie tylko wojewoda albo ławnik —> sam diabeł nawet nie wykazałby, ile ma towarów i pieniędzy. Naturalnie, takie orły jak Mitrofan Szorin, pierwszy kupiec Sotni Gościnnej, albo Aleksy Swiesznikow — u tych wszystko jak na dłoni, u nich w domu bywa sam metropolita. Ci radzi zapłacą nawet potrójny podatek do Izby Burmistrzowskiej — mają z niej honory, siłę i porządek. — A powiedzmy — Waśka Riewiakın starszy? W jego kramie z żelastwem towaru za trzy szóstki — siedzi, szmatką oczy ociera. A ludzie znający się na rzeczy mówią: gdyby tak policzyć, to znalazłby u niego ze trzy tysiące dusz pańszczyźnianego chłopca. A co tam chłop albo łyk! — rzadko który kupiec nie siedział u niego na ciężkim obligu. Nie ma takiego miasta, takiej osady, gdzie by Riewiakın nie miał składu albo sklepiku z żelastwem, a wszystko ma zapisane na krewnych albo faktorów. Żadnymi sposobami go nie przy- łapią: gładki i śliski jak piskorz. Dla niego Izba Burmistrzowska — to ruina, przed swoimi się nie ukryje.

W oczekiwaniu na przyjście cara znamienitsi siedzieli na ławkach, pomniejsi stali. Rozumieli: potrzeba, widać, pieniędzy miłościwemu panu, nadziei naszej, chce prze-

■MMI

mówić do serca. Dawno by już tak trzeba — do serca... Ci, co byli tu po raz pierwszy, nie bez bojaźni spoglądali na malowane w lwy i ptaki drzwi obok tronowego miejsca (tronu nie było, pozostał jeno baldachim).

Piotr wyszedł niespodzianie z bocznych drzwiczek — był w holenderskiej odzieży — czerwony, widać podochocony. — Witajcie, witajcie — powtarzał dobrodusznie, podawał rękę, niektórym klepał po plecach, po głowie. Z nim kilku ludzi: Mitrofan Szorin i Aleksy Swiesznikow (w węgierskich kaftanach); bracia Osip i Fiodor Bażeninowie — poważni, okazali, z podkreślonymi wąsami, w cudzoziemskiej, sukiennej odzieży wąskiej w ramionach; niziutki, godny Iwan Artiemicz Browkin — z nowobogackich, dokładnie ogolony, kruzca peruka aż do pepka; surowy diak Dumy Lu- bim Domnin i jakiś tam jeszcze, nikomu nie znany człowiek — z odzieży prosty mieszczuch, z cygańską brodą, z wielkim łysym czołem. Ów, widać wielce onieśmielony, szedł z tyłu za wszystkimi.

Piotr siadł na ławie, wsparł się dłońmi o rozsunięte kolana.

— Siadajcie, siadajcie — rzekł do przysuwających się kupców.

Wzdragali się. Nakazał, miotnął głową. Starsi natychmiast siedli. Diak Dumy Lubim Domnin nie siadł, wyjął z tylnej kieszeni pismo zwinięte w rurkę, poruszył cienkimi wargami. Wówczas bracia Osip i Fiodor Bażeninowie zerwali się trzymając na brzuchu an-

gielskie kapelusze, poważnie opuścili oczy. Piotr znów na nich skinął.

— Obyśmy mieli więcej takich... Chcę przy całej powszechności nagrodzić Osipa i Fio-1 dora... W Anglii, w Holandii, nagradzają za uczciwy handel i dobrą manufakturę, trzeba i u nas wprowadzić ten zwyczaj. Słusznie mówię? (Obejrzał się na prawo, na lewo. Podniósł brew.) Co się wam nie widzi? Boicie się, że zażądam od was pieniędzy? Trzeba zacząć żyć na nowy sposób, oto czego od was chcę, kupcy...

Momonow, bogaty sukiennik, skłonił się i zapytał:

— Jak to, miłościwy panie — żyć na nowy sposób?

— Oduczyć się żyć na osobności... Moi bojarzy siedzą w swych dworach jak borsuki. A wam nie wolno, wyście ludzie handlowi... Należy uczyć się handlować nie w pojedynkę — kompaniami!... Ost-Indyjska Kompania w Holandii — to dobra rzecz: wspólnie budują okręty, wspólnie handlują. Osiągają wielkie zyski. Od nich powinniśmy się uczyć... W Europie są od tego akademie. Zechciejcie jeno — zbudujemy giełdę nie gorszą niż w Amsterdamie. Twórzcie kompanie, zakładajcie manufaktury. A wy wiecie jedno: nie oszukasz — nie sprzedasz.

Młodziutki kupczyk, miłośnie wpatrzony w cara, trzepnął nagle czapką o rękę.

— Tak, to prawda, u nas tak wszystko...

Zaczęli go za poły ciągnąć w tłum. A on kręcił głową, ruszał ramionami.

— A co, czy nieprawda? Oszustwem żyjemy, samym oszustwem — dajemy fałszywą wagę, fałszywą miarę...

Piotr zaśmiał się (niewesoło, basem, okrągło rozwierając wargi). Stojący bliżej również zaśmiali się grzecznie. Car urwał śmiech — srogo:

— Dwieście lat handlujecie i nie nauczyliście się... Przechodźcie obok bogactwa... Wciąż to samo ubóstwo, nędza. Utargował kopiejkę i — do szynku. Tak czy nie?

— Nie wszyscy tak, miłościwy panie — przemówił Momonow.

— Właśnie, że tak. (Nozdrza mu się rozděły.) Jedźcie za granicę, popatrzcie na tamtejszych kupców — królów! Nie mamy czasu czekać, aż się sami nauczycie. Poniektórą świnię trza gwałtem pchać do koryta. Czemu cudzoziemcy żyć mi nie dają? Oddaj im w dzierzawę a to, a tamto... Lasy, rudę, rzemiosła... Dlaczego swoi nie umieją? Do Woroneża przyjechał, diabli wiedzą skąd, jakiś tam człek, jakie tam wyrabiał tra-la-la, co za projekty rozwinał! Macie, powiada, złoty kraj, jeno ludzie z was biedni. Czemu tak? Zmilczałem... Pytam: a czy w naszym kraju żyją nie-ludzie? (Obrzucił kupców wybałuszonymi oczami.) Bóg innych nie dał. Z tymi trzeba sobie radzić, tak czy nie? Czasem rosyjscy ludzie stają mi ością w gardle... Tak, ością

Iw gardle... (Ucho mu się napreżyło, jeno pa trzyć, a wyskoczy mu żyła na szyi.)

Wówczas Iwan Artiemicz Browkin, siedzący obok niego, zagadał pocziwie, śpiewnie:

— Rosjan bili dużo, ale bili bez sensu, więc wyrosły niedorajdy.

— Głupiec — krzyknął Piotr — głupiec! — i trącił go łokciem w bok.

Iwan Artiemicz jeszcze bardziej błazeńsko:

— O to, to właśnie powiadam...

Piotr przez chwilę patrzył wściekle na lśniące, z głupia frant zmrużone, uśmiechnięte oblicze Browkina.

Klepnął go dłonią po głowie.

— Wańka, jeszczem ci nie kazał być tref- nisiem!

Ale widać sam zrozumiał, że wybuchać gniewem przy kupcach byłoby niemądre. Kupcy — tonie bojarzy: tamci nie mają gdzie się podziać, dóbr nie schowa w kieszenie, nie uniesie. A kupiec jak ślimak: jak tylko coś — schowa rożki i pójdzie sobie z kapitałem.- Rzeczywiście, w komnacie zrobiło się cicho, obco. Iwan Artiemicz spojrział na Piotra przebiegle, szczelinką oczu.

— Lubim, czytaj — rzekł Piotr do diaka.

Bracia Bażeninowie znowu godnie spuścili oczy. Lubim Domnin czytał wysokim głosem, sucho i powoli:

— „...przywilej ów miłościwie darowany dla gorliwości, starowności i pilności w budowaniu okrętów.

Minionego roku Osip i Fiodor Bażeninowie we wsi Wowczudze zbudowali wedle niemieckiego wzoru wodny tartak, sami, bez majstrów zamorskich, aby w tym tartaku trzeć drzewo na deski i sprzedawać je w Archangielsku cudzoziemcom i kupcom rosyjskim. Tarli drzewo, przywozili deski do Archangielska i wysyłali je za morze. A teraz mają zamiar w swojej fabryce budować okręty i jachty dla wysyłania za morze desek i innych rosyjskich towarów. My, wielki monarcha, obdarzyliśmy ich przywilejem— pozwoliliśmy im w tej ich wsi budować statki i jachty, a jeśli zostaną sprowadzone zza morza jakie potrzebne do budowy okrętów rzeczy, rozkazujemy nie pobierać od nich cła i zezwalamy im na wolny najem majstrów cudzoziemskich i rosyjskich z własnych zasobów. A gdy okręty będą gotowe — mają utrzymywać na nich dla obrony przed łotrzykami działa i proch na wzór innych cudzoziemskich okrętów handlowych...”

Diak czytał długo. Pismo ze zwisającą pieczęcią zwinął w rurkę, położył je na dłoni, podał Osipowi i Fiodorowi. Bracia odebrali pismo, podeszli do Piotra i w milczeniu padli mu do nóg — wszystko ceremonialnie, statecznie. Podniósł ich za ramiona i obu pocałował, ale już nie carskim obyczajem, muskając policzek — lecz w usta, mocno.

— Początek dobry — połowa roboty — rzekł do kupców. Odszukał biegającymi źrenicami nikomu nie znanego mieszczanina z cygańską brodą i wysokim czołem. — Demi- dycz! (Ów, gwałtownie się przepychając, prze

darł się przez tłum.) Demidycz, pokłoń się kupiectwu... Nikita Demidycz Antufiew — tulski kowal... Robi pistolety i strzelby nie gorsze od angielskich. Żelazo wytapia, rudy wydobywa. Ale nie może rozwinąć skrzydeł. Pogadajcie z nim, kupcy, pomyślcie... Jestem mu przyjazny. Trza będzie — damy ziemię i wioski. Demidycz, kłaniaj się, kłaniaj się, ja za ciebie poręcę...

IX

— Ktoś ty? Po co? Kogo szukasz?

Sroga, barczysta baba przyglądała się Andrzejowi Golikowowi (malarzowi świątków z Palechy) złym spojrzeniem. Drobny dreszcz wstrząsał spryszczoną skórą Andrzeja pod brązową siermięgą, dziurawą i wystrzępioną. Dmuchał ostry marcowy wiatr. Na zniszczonym murze Bielgorodu gwizdały nagie krzaki. Wrony wrzeszczały niespokojnie, wzlatając nad kupami śmiecia — zgłodniałe i nastroszone. Wzdłuż zbiegających się w klin miejskich murów ciągnęły się niedostępne parkany kupca Wasilija Riewiakina. Miejsce było ponure, zaułki ciasne i puste.

— Od starca Abrahama — wyszeptał Andrzej przyciskając mocno do czoła dwa palce. Za plecami baby, na wyżłobionym koleinami dziedzińcu, koło pokrzywionych spic^W^Ji wspinały się targając łańcuchami chude psi' ska... Andriuszka zlodowaciał, gorzały @u jeno oczy. Baba pomarudziwszy wpuściła go w obejście, pokazała drogę przez deski rzucone w błoto, prowadzące do wysokiego i długiego budynku bez schodów i ganku. Pod samym dachem łomotały okiennice mikowych okienek.

Weszli do ciemnej sieni, gdzie zalatywało kadziami. Baba trąciła Andriuszkę: — Wytrzymaj nogi o słomę, toć nie chlew — i przeczekawszy, jednako nieprzychylnie: — W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. — Otworzyła niziutkie drzwiczki do dolnej izby. Było tu gorąco, węgle z pieca rzucały światło na ciemne deski ikon. Andrzej długo żegnał się w stronę strasznych oczu starych świątków. Zestrachany, zatrzymał się przy drzwiach. Baba usiadła. Za ścianą śpiewały głucho liczne głosy.

— Po co przysłał cię starzec?

— Na życie świątobliwe.

— Na jakie?

— Na trzy lata do starca Nektariusza.

— Do Nektariusza — przeciągnęła niewiasta.

— Przysłał mnie, aby mi pokazano drogę dę niego. Nie mogę żyć życiem światowym — ciało wygłodniałe, a dusza w przerażeniu. Boję się. Szukam pustelni, rajskiego żywota... (Andriuszka pociągnął nosem.) Zmiłuj się, matko, nie wypędzaj.

— Już starzec Nektariusz zada ci pustelni? — przemówiła baba zagadkowo. Oczy jej, widoczne w świetle węgielków, zwięzły się.

Andrzej jął opowiadać: już przeszło pół roku wałęsa się bez dachu nad głową, mrze i głodem, cierpi od straszliwego zimna. Stowarzyszał się z różnymi ludźmi, ale namawiali go do lotrostwa. — Nie mogę, dusza się wzdryga. — Opowiadał, jak tej zimy podczas zawiei sypiał pod szczupłymi okapami murów miejskich. — Zdobędę trochę słomy, nakryję się rogożą. Zamieć szaleje, wzbija śnieg, na sznurach tańczą trupy strzelców, tłuką się o mury. W te noce załaknąłem spokojnej przystani, cichego życia...

Niewiasta rozpytała dokładnie o starca Abrahama, potem wstała z westchnieniem: — Chodź za mną. — I znów poprowadziła Andrzeusza przez ciemne sienie, w dół po stopniach. Nakazawszy mu zatrzymać się w miejscu dla żebraków, wpuściła go do podziemia, gdzie śpiewano. Pachniało gorącym woskiem, kadzidłem. Na heblowanej podłodze klęczało ze trzydziestu, może więcej ludzi. Człowiek z krzywymi ramionami, w czarnej szacie i skufce odmawiał modlitwy przy aksamitnym klęczniku. Odwracając zbutwiałe kartki rękopiśmiennego modlitewnika podniósł skołtunioną brodę ku ogniom świece. Świece płonęły na całej ścianie, już od samej podłogi przed dużymi i małymi obrazami, malowanymi na starodawny, nowogrodzki sposób.

Odprawiali modły wedle bezpopowskiego obrządku. Śpiewali posepnie, przez nos. Przed modlącymi się, na prawo od starca, klęczał niziutki, z kozią bródką Wasilij Riewiak. Przebierał różaniec, wznosił oczy na święte oblicza albo leciutko odwrócony spoglądał zezem — a wówczas pod jego oczkiem modlący się jeszcze żarliwiej bili pokłony, kalecząc czoła.

Połamany starzec zamknął księgę, wznosił ją nad głowę, obrócił się: broda powydzierana na kępami, niezbyt jeszcze stara twarz z przetrąconym nosem. Wpijając rozszerzone źrenice niby w jakąś straszłą zjawę, rozdziawił usta z powybijanymi zębami, wznosił głos:

— Wspomnijmy słowa cnotliwego Hipolita, papieża rzymskiego: „A gdy nadejdą czasy Antychrysta, kościół Boży zapadnie się i bezkrwawa ofiara zostanie zaniechana. Pokusa zagości w miastach i siółach, w klasztorach i na pustelniach. I nikt nie zostanie zbawiony okrom małej garstki...”

Głos był straszny. Pobożni padli na twarze, ramiona dygotały. Starzec stał ze wzniesioną księgą, dopóki płacz nie stał się powszechny.

— Ot, co wam powiem, bracia — mówił starzec po skończonym nabożeństwie, obejmując ręką drewniany krzyż na piersi. — Doznałem łaski. Przywiódł mnie Bóg nad jezioro Woł, na pustynię, do starca Nektariusza. Pokłoniłem się starcowi, a on zapytał mnie: „Co chcesz zbawić: duszę czy ciało?” „Duszę, du-

sze" — odpowiedziałem. A wówczas rzekł do mnie starzec: „Błogosławią ci, dziecię!” I ratował moją duszę, umartwiając ciało... Na pustyni jedliśmy paproć i szczaw, żołądźce dębu miast chleba, a z pni sosnowych odrywaliśmy korę, suszyli i ugniatali z rybą — oto było nasze jadło. I nie umorzył nas Pan. A oto, co znosiłem od mego przewodnika od pierwszych dni: każdego dnia bił mnie dwa razy... I na Wielkanoc też bił mnie dwa razy. Przez dwa roky, licząc dwa razy dziennie — otrzymałem tysiąc czterysta trzydzieści chłost. A ile miałem codziennie z jego czcigodnych rąk ran i uderzeń — tego nie zliczę. Pasterz poskramiał moje ciało: co mu się w rękę przygodziło — tym też mnie darzył, sierotkę swoją, pisklę małe. Pouczał ożogiem i tłuczkiem, czym tłuką w stepie, pogrzebaczem i statkami — r w czym warzy, się strawę, i wałkiem, którym robią ciasto... Gwoli oświeceni ciemnej duszy przewodnik mój ranił ciało moje... Nosidłem, na którym noszą cebry z wodą, tym drewnem odbił mi z nogi łydkę, aby nogi moje przysposobić do posłuszeństwa. A umartwiał moje ciało nie tylko wszelakim drewnem, ale i żelazem, i kamieniem, i szarpaniem za włosy, a bywało i cegłą. Wówczas to palce rąk moich zostały wytrącone ze stawów i połamane kości i żebra. I nie umorzył mnie Pan. Teraz ciało moje nie-
— Nie leńcie się w trosce o dusze wasze!

— Nie leńcie się w trosce o dusze wasze! — wykrzyknął starzec trzykrotnie, wżerając się bezlitosnymi oczyma w strwożoną owczarnię. Byli tu sami swojacy, krewni, raby Wasilija Riewiakina: jego faktorzy, czeladź ze spichrzów i sklepów. Słuchając wzdychali ze skrucą. Niektórzy nie mogli wytrzymać szalonego spojrzenia starca. Andrzej Golikow giął się w łkaniach, płakał objawwszy dłońmi policzki, a poprzez łyzy w całej kaplicy żółtawe promienie ogników świec zdawały się kołysać niby skrzydła archaniołów.

Starzec pokłonił się owczarni w pas i odszedł. Na jego miejscu stanął sam Wasilij Riewiak, niziutki, siwawy, miast oczu — dwie zmarszczki, gdzie nieuchwytnie biegały źrenice. Przebijając paciorki zagadał cicho, obyczajnie:

— Drodzy moi, niezapomniani... Strach! Ukochani, strach! Był dzień jasny, nadeszła chmura, całe nasze życie pokryła się smrodem... (Obejrzał się przez prawe ramię, przez lewe ramię, jakby ktoś za nim stał. Miętko, w filcowych bucikach zrobił krok naprzód.) Antychryst jest tuż. Słyszycie? Zasiadł na kopułach cerkwi Nikonowskiej. Pieczęć jego — szczypta, nie ma zbawienia dla żegnających się szczyptą: już zostali pochłonięci... I nie ma zbawienia dla tych, co z nimi jedzą i piją. Kto przyjmie od popa sakrament — dla tego nie masz zbawienia, proskury ich są piętnowane, a kapłaństwo ich udane... Jak dostąpić zbawienia? Słyszeliśmy oto, jak można się zbawić. Nikomu nie wzbraniam — idźcie,

uciekajcie, kochani, przyjmijcie męki, oświećcie się. Będziecie nowymi orędownikami za nas grzesznych i słabych... Może i ja sam pójdę. Pozamykam spichrzą, sklepy, rozdám ubogim towary, bydełko. Jedyne zbawienie — wiara przodków, posłuszeństwo i bojaźń... (Potrząsnął gorzko bródką, otarł rzęsy sukiennym rękawem. Owczarnia przycichła. Wstrzymali oddech, nie poruszali się.) Błogosławiony, kto wydoła... A kto nie wydoła — i ten niech nie rozpacza. Starcy wymodlą. Jednego tylko lękajcie się więcej niż śmierci — a to, by zły nie popchnął cię w łokieć... To nie dawne czasy; jego niewidzialni słudzy obścapiłi każdego, na to jeno czyhają... Zgrzesz, zapaskudź duszę, zataj przed gpspodarzem kopiejkę... Niby drobnostka? Kopiejka! Nie... Rzucą się na ciebie i już przeznaczonyś na wiekiustą mękę. Bójcie się, aby starcy nie przestali się za was modlić... (Jeszcze posunął się naprzód, różańcem uderzył po udzie.) Macie ich, nowa pokusa; Izba Burmistrzowska!... Oto gdzie piekło, prawdziwe piekło... Kupie- ctwo z dawien dawna płaciło podatki do skarbu, a poza tym; czym handluję, jak handluję — to moja sprawa... Bóg ci dał rozum — jesteś kupcem. Głupiec całe życie będzie klepał biedę za parobka. Wybierać burraistrzów! A taki — i do mojego spichrza, i do mojej skrzyni... Wszystko mu powiedz, wszystko pokaż... Dłaczego? Na co to komu potrzebne? Zarzucają antychrystową sieć na kupiectwo... A do tego jeszcze — poczta! Na co? Poślę do Wielkiego Ustiuga zaufanego człowieka, dojedzie prędzej od poczty i powie, co trzeba — tajemnie... A poczta — czy ja wiem, co za człowiek powiezie moje pismo? Nie, nie trzeba nam ani poczty, ani burmistrzów, ani płacenia podwójnych podatków, ani palenia tytoniu z cudzoziemcami i nikonowcami. (Nie chciał, ale zgniewał się. Sięgnął do kieszeni drżącą, fioletową ręką, dobył chustkę, otarł się. Pokiwał głową patrząc na dopalające się świece. Ciężko westchnął i zakończył); — Chodźmy wieczerzać...

Wszyscy, kto był w kaplicy, poszli razem przez sienie i kuchnię do dolnej izby. Siedli przy stole z desek, nakrytym pod- obrazami barwną tkaniną — tam wieczerzali Wasilij Riewiakini i trzech starych sprzedawców, jego ciotecznych braci. Prosilili pod obrazy również starca. Lecz ów nagle splunął głośno i ruszył ku drzwiom, do żebraków siedzących na podłodze. Był tam i Andrzej.

Na środku stołu paliła się łożowa świeca. Z ciemności wychodziła sroga baba z pełnymi misami. Od czasu do czasu z powały spadał karakon. Jedli w milczeniu, żuli powoli, cicho kładli łyżki. Andrzej przysunął się do starca. Starzec, zgarbiony, trzymał miskę na kolanach, łykał kurczowo, pa rzył się ochlapując skudloną brodę, chleb odgryzał małymi kęsami. Zjadł, pomodlił się, złożył ręce na brzuchu. Po zmętniałych oczach widać było, że złagodniał.

Andrzej do niego cicho:

— Ojczulku, chcę do starca Nektariusza. Pozwól.

Starzec jął mocno dyszeć. Ale oczy znów osowiały.

— Potem, jak zasną — przyjdź do kaplicy. Doświadczę cię.

Andrzej wzdrygnął się — w smutku, w zatrwożeniu jął wodzić głową po zadzierkach bierwionowej ściany...

Z południa, z Dzikich Pól, wiał ciepły wiatr. Śnieg zginął w ciągu tygodnia. W wiosennych wodach zalewających równiny odbijało się modre niebo. Rzeczki wezbrały. Don ruszył. Przez jedną noc rzeka Woroneż wystąpiła z brzegów i zatopiła stocznie. Od miasta aż do samego Donu kołysały się na kotwicach statki, brygantyny, galery-katongi, łodzie. Z burt kapała nie wyschnięta jeszcze smoła, błyszcząco połacane i posrebrzane gęby Neptunie. Trzepotały żagle, podniesione dla wysuszenia. Szumiały nurkując w mętnych wodach ostatnie kry. Nad murami twierdzy, po prawej stronie rzeki, na wprost Woroneża, wzbijały się kłęby prochowego dymu, a wiatr rwał je na strzępy. Po wodach toczyły się wystrzały z dział, jakby ziemia sama nabrzmiwała i pękała pęcherzami.

Robota na stoczni szła dniem i nocą. Wykańczano czternastodziałowy okręt „Kriepost”. Kołysała się wysoka, rzeźbiona rufa okrętu i jego trzy maszty przy świeżych palach nabrzeża. Przez rzekę coraz to podpływały ku niemu czółna naładowane prochem, solonym mięsem i sucharami — przycumowano je do czarnej burty okrętu. Prąd zaciągał węzły lin, drzewo trzeszczało. Na rufie, na mostku, przekrzykując dudnienie toczących się po pokładzie beczek i gwizdy bloków, przeklinał po rosyjsku i po portugalsku brązowopyski kapitan Pamburg — wąsiska sztorcem, oczy jak u wściekłego barana, bot-forty zabłocone, na kaftanie — niepokryty kożuszek, głowa przewiązana czerwoną jedwabną chustką: „Darmozjady! Pszubraty! Carrambal” Marynarze dobywali resztek sił wciągając na burtę wory z sucharami, beczki, skrzynie — biegiem toczyli je do ładowni, gdzie bosmani w sukiennych wysokich czapkach, w brązowych bufiastych spodniach, chrzypieli niby brytany.

Na górze, nad rzeką, garbiły się czworograniaste baszty ze spadzistymi dachami, za zgrzybiałymi ścianami rdzawiły się makówki cerkwi. Przed starym miastem, na pochyłości góry rozrzucone były lepianki i zbite z desek baraki robotników. Blżej rzeki — ciosowe chaty nowo mianowanego admirała Gołowina, Aleksandra Mieńszykowa, naczelnika admiralicji Apraksina, kontradmirała Korneliusza Kreisa. Za rzeką, na niskim brzegu zawałonym wiorami i porytym kołami, stały zakopczone zręby kuźnic z ziemnymi dachami, wznosiły się

siły się wręgi nie wykończonych statków, na pół zatopione stopy desek, wydobyte z wody promy, beczki, liny, zardzewiałe kotwice. Kotły ze smołą dymiły czarno. Skrzypiały cienkie kółka warsztatu powroźniczego. Tracze machali ramionami, stojąc na wysokich kozłach. Flisacy biegali boso po błocie, wyciągali belki unoszone przez powódź.

Główne roboty były już zakończone. Flotę spuszczone. Pozostawał jeno okręt „Krie- post' ", wykańczany ze szczególną starannością. Rozkazano w ciągu trzech dni wywiesić na nim flagę admiralską.

Coraz ktoś szarpał drzwiami, wchodzili coraz to inni ludzie i nie rozbierając się ani nie wycierając nóg siadali na ławach, a kto znaczniejszy — prosto do stołu. W carskiej izbie jedzono i pito okrągłą dobę. Paliło się mnóstwo świec, wetkniętych w puste flaszki. Na bierwionowych ścianach wisiały peruki, w izbie było gorąco. Snuł się dym z fajek,

Przy stole spał wiceadmiral Korneliusz Kreis z twarzą w haftowanych złotem wylogach. Szaubentacht * floty rosyjskiej, Holender Juliusz Rez — dzielny włóczęga morski, z głową ocenioną na dwa tysiące funtów angielskich za różne sprawy na dalekich oceanach — sączył anyżówkę, skierowawszy na świeczkę wściekłą, jednooką twarz ze zmarszczonej brwi.

Józef Nay i John Day, majstrowie okrętowi, obrośli szczecina przez te gorące dni, pykali z fajek i szydersko mrugali na rosyjskiego majstra, Fiedosieja Sklajewa. Fiedosiej dopiero co przyszedł, rozwiązał szal, rozpiął kozuszek i spożywał kluski z wieprzowiną.

— Opowiedz no, Fiedosieju — mówił doń Nay mrugając rudymi rzęsami — opowiedz, jak uczutowałeś w Moskwie?

Fiedosiej jadł nic nie odpowiadając. Naprawdę już mu się to uprzykrzyło. W lutym wrócił z zagranicy, należało od razu, stosownie do pisma Piotra Aleksiejewicza, udać się do Woroneża. Ale diabeł podkuśił. W Moskwie zawieruszył się z przyjaciółmi i wtedy zaczęło się. Trzy dni w czadzie: bliny, przekąski, przystawki, gorzała. Koniec łatwy do przewidzenia: ocknął się w Urzędzie Preo- brażeńskim.

Car dowiedziawszy się, że oczekiwany ulubieniec Fiedosiej siedzi u księcia-cesarza, popędził do Moskwy umyślnego z listego do Romodano wskiego:

„Min her kenig... Gdzie to zatrzymujesz naszych kompanów, Fiedosieja i Sklajewa i innych? Wielce mnie to smuci. Oczekiwałem Sklajewa bardziej niżli innych, jako że zdatny w kunszcie okrętowym, a Ty go raczyłeś uwięzić. Bóg Cię osądzi. A ja tu zaprawdę bez żadnego pomocnika. Przecie mniemam, że to sprawa nie państwowej wagi. Zwolnijże, na Boga, i przyślij tu. Piter".

n

Po dziesięciu dniach Sklajew sam przywiózł odpowiedź od księcia -cesarza:

„Przewina jego taka: jechał pijany z kompanami i przy rogate weszła bójka z żołnierzami pułku Preobrażeńskiego. Na śledztwie okazało się: zawiniły obie strony. A ja po dochodzeniu oświadczyłem Sklajewa za jego zbiorczych 1 oświadczyłem skarżących żołnierzy, z którymi wynikła zwada. O to nie gniewaj się na mnie — ale nie nawykłem płać w swawoli ludziom 1 nie takiego stanu”.

Dobrze. Na tym mogłoby się skończyć. Piotr Aleksiejewicz ujrawszy Sklajewa przyjął go mile, ścisnął, klepał się po łyżwiach i zaczął. Już nie śmiać się, ale rzeć aż do łez... — Fiedosieju, to ci nie Amsterdaml — A przy wieczery przeczytał głośno pismo księcia -cesarza.

Fiedosiej zjadłszy kluski odepchnął miszkę, pochylił się ku Noyowi po tytoń.

— No, diabelskie syny, chyba się dość no- śmieliście — rzekł grubym głosem. — A czyście dziś schodzili do ładowni na rufie?

— Schodziliśmy — rzekł Noy.

— Nie, nie schodziliście.

John Day, wyjąwszy powoli glinianą fajkę, opuścił kąty prostych ust i przez ściśnięte zęby przemówił po rosyjsku:

— Dlaczego tok się dopytujesz, Fiedosieju Sklajewie, jakobyście nie schodzili do || downi?

— A dlatego... zamiast mnie przedrzeźniać, wzięlibyście latarnie i poszli.

— Przecieka?

- Właśnie przecieka. Jak zaczęli ładować beczki z solonym mięsem — wręgi rozsadziło i z dołu wali. woda. — To być nie może.

— Właśnie, że może. A czy to ja wam nie mówiłem, że zamocowanie na rufie jest za słabe?

Józef Noy i John Day spojrzeli po sobie. Wstali bez pośpiechu, wdziali czapki z na- usznkami. Fiedosiej wstał również, gniewnie zamotał szal, wziął latarnię.

— EJ wy, generałowie!

Do stołu przysiadali się oficerowie, marynarze, majstrowie, zmęczeni, umazani smołą, ochlapani błotem. Zaczernawszy z glinianej konwi czarę mocnej jak ogień wódki, rękami brali z półmisek co popadło — pieczone mięso, prosięcinę, wołowe wurgły w occio. Jedli naprędce, wielu z nich znowu wychodziło, nie przeżegnawszy się, nie podziękowawszy...

O drzwi drewnianej przegrody wsparł się szerokim ramieniem sennocki marynarz w wy- Hokijskiej sukiennej czapce, zsuniętej na ucho. Na jego żyłastym karku wisiała smołowana, z węzłami linka. (Częstował nią też kogo należy.) Do każdego, kto zbliżał się ku drzwiom, mówił głosem cichym 1 leniwym:

r Gdzie cieciesz, bodlwa twoja mać... Za przepierzeniem, w części sypialnej, sie-

<t

dzieli obecnie mężowie stanu: admirał Fiodor Aleksiejewicz Gołowin, Lew Kiriłłowicz Naryszkin, Fiodor Matwlejewicz Apraksin — naczelnik admiralicji, i Aleksander Daniłowicz Mieńszykow. Ów po śmierci Leforta od razu mianowany został generał-majorem i gubernatorem pskowskim. Piotr, wróciwszy z pogrzebu do Woroneża, miał Jakoby rzec: —» Miałem dwoje rąk, została jedna, choć złodziejska, ale pewna.

Aleksaszką, w cienkim preobrażeńskim kaftanie, zgrabnie ściągniętym szarfą, w peruce, zanurzywszy wąski podbródek w koronki, stał przy gorącym ceglany piecyku. Apraksin i otyły Gołowin siedzieli na nie zasłanym łóżku, Naryszkin, z czołem wspartym na dłoni—; przy stole. Słuchali, co mówił diak Dumy i wielki poseł — Prokofij Woznicyn. Ten dopiero co wrócił z Karłowic nad Dunajem, ze zjazdu, na którym posłowie: cesarski, polski, wenecki i moskiewski traktowali z Turkami o pokój.

Cara jeszcze nie widział. Piotr kazał zgromadzić się ministrom, naradzić się, póki on nie nadejdzie. Woznicyn trzymał na kolanach papiery z zsfrowanymi zapiskami, okulary opuścił na koniec suchego nosa i opowiadał:

— Zawarłem z tureckimi posłami, rejs-efendi Rami i tajnym radcą Maurocordato mistycję, co znaczy czasowe zawieszenie broni. Nic więcej nie można było osiągnąć. Osądźcie sami, panowie ministrowie: w Europie szykuje się bi'os — starczy go bodaj dla całego świata. Król hiszpański zestarzał się, nie dziś — to jutro umrze bezdzietny, Król francuski dąży do osadzenia w Hiszpanii swego wnuka ?iipa, już go nawet ożenił, trzyma przy sobie w Paryżu — rychło go ukoronuje. A z drugiej znów strony cesarz austriacki chce osadzić w Hiszpanii swego syna, Karola,...

— Tak, to wszystko wiemy, wiemy — przerwał niecierpliwie Aleksaszką.

— Cierpliwości, Aleksandrze Daniłowiczu, gadam, jak umiem. (Woznicyn wbił w pięknie- sia swe spojrzenie znad okularów.) Między Francją a Anglią rozstrzyga się wielki spór... Jeżeli Hiszpania stanie przy królu francuskim — połączone floty hiszpańska i francuska wezmą górę na wszystkich morzach, a gdy Hiszpania stanie po stronie cesarza austriackiego, wtedy Anglicy rozprawią \$J| z francuską flotą. Anglicy mają europejską politykę. Sprzęgli w Karłowicach Austriaków z Turkami. Cesarz austriacki musi mieć rozwiązane ręce dla wojny z królem francuskim, a Turcy żarliwie pragną pokoju, aby odsapnąć, zebrać siły: księżę Eugeniusz Sabaudzki zdobył na nich dla cesarza wiele ziem i miast na Węgrzech, w ziemi siedmiogrodzkiej i na Morei, a cesarscy spoglądają już na Carogród... Teraz Turcy troszczą się o jedno — odebrać swoje... Teraz im ani w myśli wojować gdzieś daleko — z Polakami czy z nami. Co się tyczy Azowa —

nie wart on tego, co by musieli pod nim stracić.

— Czy sułtan turecki aby naprawdę taki słaby, jak nas uspokajasz? Wątpliwe — odezwał się Aleksaszka. (Gołwin i Apraksin uśmiechnęli się, Lew Kirillowicz widząc, że ci się uśmiechają, również pokiwał głową z uśmiechem.) Aleksaszka poruszył tydką, zadzwonił ostrogą. — A jeśli słaby, czemuś z nim nie podpisał wieczystego pokoju? A mo- żeś zapomniał powiedzieć rejs-efendiemu, że na Ukrainie zimuje czterdzieści tysięcy strzelców grodzkich, w Achtyrce zgromadzony wielki konny pułk Szeina, zaś w Briańsku już gotowe statki do przeprawy. Nie posłano cię z gołymi rękami... Annistycjal...

Prokofij Woznicyn powoli zdjął okulary. Ciężko było przywyknąć do nowych porządków — aby jakiś tam młokos podłego rodu rozmawiał z wielkim posłem! Prokofij powiódł suchą dłonią po drżącej od gniewu twarzy, skupił myśli. Jasne, że połajanką nic tu nie wskóra.

— Oto czemu zawarto nie pokój, lecz ar- mistycję, Aleksandrze Daniłowiczu... Cesarscy posłowie, nie widując się z nami ani z Polakami, ani z Wenecjanami, sami sekretnie rokowali z Turkami. Polacy również w tajemnicy przed nami zawarli układy. Opuścili nas. Turcy, ukończywszy pomyślnie sprawy z cesarzem, z początku nie chcieli nawet z nami gadać, tak spysznieli... Gdyby tam nie było mojego starego znajomego, Aleksandra

Maurocordato, nie mielibyśmy nawet armi- stycji... Wy, panowie ministrowie, siedzicie tu i myślicie, że na was patrzy cała Europa. Ale nie — my dla nich jesteśmy małą polityką, można powiedzieć — żadną...

— No, co to, to jeszcze babka na dwoje...

— Poczekaj, nie gorączkuj się, Aleksandrze Daniłowiczu — zatrzymał go miękko Gołwin.

— Wyznaczyli nam w poselskim obozie najgorsze miejsce. Postawili straż... Nie pozwolili nigdzie chodzić ani widywać się z Turkami, ani posyłać do nich... Jeszcze w Wiedniu wziąłem ze sobą pewnego doktora, Polaka, człeka obytego. Zacząłem posyłać doktora do tureckiego obozu, do Maurocordato. Posłałem go raz.

Maurocordato kazał się kłaniać. Posłałem drugi raz... Maurocordato kazał się kłaniać i powiedzieć, że zimno.

Ucieszyłem się. Wziąłem swój kaftan z czarnobu- rych lisów pokrytych malinowym sukmem, posłałem go przez doktora, ale kazałem okrążyć poselskie obozy — jechać stepem. Maurocordato przyjął kaftan, a nazajutrz przysłał mi tytoniu, dwa dobre cybuchy, do tego jeszcze z funt kawy i papieru do pisania. Aha — myślę sobie — odwzajemniasz dary... To ja mu znowu na wozie kawioru prasowanego, jesiotrowych grzbietów, pięć dużych brzuszków wyzich, różnych nalewek. A w nocy sam jeden, w prostej odzieży, pojechałem do tureckiego obozu. A tego dnia właśnie Turcy podpisali pokój z cesarskimi,...

— Ech! — Aleksaszka brzęknął ostrogą.

— Maurocordato powiada mi* ii Nie wiadomo, czy z wami dojdziemy do ładu, póki nam nie zwrócić dnierzańskich gródków, byśmy mogli zamknąć Dniepr i na zawsze odebrać wam dostęp do Morza Czarnego? wypadnie wam oddać Azow i po dawnemu płacić haracz krymskiemu chanowi..." Tak oto, Aleksandrze Daniłowiczu, Turcy puszyli się przy pierwszej rozmowie... A przecież ja — sam. Sojusznicy pokończyli swoje sprawy, porozjeżdżali się... Grozę woroneską flotą. A Turcy śmieją się: „Pierwszy raz słyszemy, żeby budowano okręty o tysiąc wiorst od morza, pływajcie sobie na nich po Donie, ale przez ujście się nie przedostaniecie..." Groziłem też ukraińskim wojskiem, a oni mi — Tatarami: „Tatarzy teraz mają ręce rozwiązane, uważajcie, by wam nie zrobili tego, co za Dewlet- -Gireja *". Gdyby Turcy nie mieli kłopotów, zwałiliby nam na głowę wojnę... Nie wiem, Aleksandrze Daniłowiczu, być może, dla mizerii umysłu nie mogłem dokazać więcej, armistycja — to przecie nie wojna...

Sporo szczegółów było jeszcze nie wykończonych. Nie starczyło gwoździ. Dopiero wczoraj po roztopach przybyła z Tuły część taborów z żelastwem na saniach. W kuźniach pracowano całą noc. Każdy dzień był drogi/by na czas popędzić okręty po wysokiej wodzie do ujścia Donu.

Wszystkie piece płonęły. Kowale w przepalonych fartuchach, w koszulach słonych od potu, rośli czeladnicy obnażeni do pasa, z opaloną skórą, okopceni chłopcy dmący w miechy — wszyscy walili się z nóg, opadały im ręce, poczernieli. Ci, co odpoczywali (zmieniali się w nocy po kilka razy), siedzieli tuż obok: ów przy otwartych drzwiach żuł wędzoną rybę, inny spał na kupie węgla brzoźowych.

Starszy majster Kuźma Żemow, przysłany przez Lwa Kiriłowicza z warsztatu w Tule (dokąd go wzięto z tulskiego więzienia na dożywotnie roboty), skaleczył sobie rękę. Drugi majster zaczął i teraz pojękiwał na nocnym wietrzyku, leżąc przy kuźni na wilgotnych deskach.

Rozgrzewano łapę wielkiej kotwicy przeznaczonej dla „Krieposti". Kotwica, zawieszona u sufitu na głównej wzdłużnicy, tkwiła w piecu. Strząsając pot, świszcząc płucami, chłopcy poruszali dźwignie sześciu miechów. Dwaj czeladnicy stali w pogotowiu, spuściwszy ku nodze młoty z długimi trzonkami.

Żemow zdrową ręką (druga była owiązana szmatą) gmerał w węglach i dogadywał:

— Nie lenić się, nie lenić, mocniej...

Piotr w brudnej białej koszuli, w fartuchu z żaglowego płótna, z plamami kopcju na po- mizerniałej twarzy, ściągawszy usta w kurzy kuper, ostrożnie obracał w piecu długimi kleszczami łapę kotwicy. Obróbka takiej

wielkiej części była robotą odpowiedzialną i kunsztowną.

Żemow zwrócił się do robotników stojących u sznurów bloku:

— Brać... Słuchaj... (A dó Piotra:) W sam raz, bo przepalimy... (Piotr, nie odrywając wypukłych oczu od węgla, kiwnął głową, poruszył kleszczami.) Prędko, ciągnąć... Da- wajl...

Spiesznie przebijając rękami robotnicy pociągnęli linę. Blok zaskrzypiał. Czterdziesto- pudowa kotwica wyszła z pieca. Po kuźni rozsypała się zamieć iskier. Rozpalona do białości łapa kotwicy zawisała nad kowadłem wśród trzeszczenia żużli. Teraz trzeba było ją przechylić i porządnie ułożyć na kowadle. Żemow — już szeptem:

— Pochylaj, kładź... Nakładaj ściślej... (Kotwica legła.) Zgarnij żużle. (Jął omiatać żużle zapalającą się miotłą.) Łapał (Zwróciwszy się do Piotra wrzasnął dzikim głosem:) A ty co?i Dawaj I

— Jest.

Piotr wyszarpnął z pieca pudowe obcegi, zrobił niezręczny ruch na kowadle i — o mało nie wypuścił z kleszczy rozżarzonej łapy. Przysiadł z wysiłku, wyszczerzył zęby, położył...

— Ściślej! — krzyknął Żemow i spojrział jeno na kowali.

A ci, dysząc z charkotaniem, jęli uderzać kolicie, z rozmachem. Piotr trzymał łapy Żemow postukiwał młotkiem — tak-tak-tak,

88

Sm^I

tak-tak-tak. Tlejący żużel odpryskiwał na fartuchy.

Klepali. Czeladnicy sapiąc odeszli. Piotr rzucił obcegi w kadź. Otarł się rękawem. Oczy jego zwęziły się wesoło. Mrugnął na Żem owa. Twarz Żemowa pokryła się zmarszczkami.

— No cóż, Piotrze Aleksiejewiczu, zdarza się... Ale na drugi raz nie szarp tak kleszczy — bo w ten sposób można zawadzić o człowieka i zawsze utrafisz poza kowadło. Mnie też bijali za takie sprawy...

Piotr zmilczał, umył w kadzi ręce, wytarł fartuchem, włożył kaftan. Wyszedł z kuźni. Pachniało ostro wiosenną wilgocią. Pod wielkimi gwiazdami szemrały kry na ledwie szarzejącej rzece. Na „Krieposti" chwiało się światło na maszcie. Piotr, wsunąwszy ręce w kieszenie, pogwizdując z cicha, szedł brzegiem, przy samej wodzie.

Marynarz siedzący koło przepierzenia ujrzawszy cara rzucił się głową ku drzwiom — zameldował ministrom. Ale Piotr wszedł tam nie od razu — z zadowoleniem pociągnął nosem: ciepło i dym tytoniowy; pochylił się nad stołem, obejrzał półmiski.

— Słuchaj no — rzekł do okrągłobrodego człowieka z brwiami zadartymi z wyrazem zdziwienia (na malutkiej twarzy jasnoblękitne oczy — Aładuszkin, znamienity cieśla okrętowy) — Miszka, podaj to — poprzez stół pokazał pieczoną wołowinę obłożoną kiszonymi

89

jabłkami. Przysiadłszy na ławce naprzeciw śpiącego wiceadmirała, powoli —• tak piją ludzie zmęczeni — wycedził lampkę, rozeszło się po żyłach. Wybrał co twardsze jabłko. Żując wypluł pestkę na łysinę Korneliusza Kreisa.

— Pijanyś czy co?

Wtedy wiceadmirał podniósł zmiętą twarz i — przeziębionym basem:

— Wiatr — siid-sud-west, jeden stopień. Na komandorskiej warcie — Pamburg. Ja wypoczywam. — I znów utknął twarzą w ugalonowane rękawy.

Podjadłszy Piotr rzekł:

— Cóż to u was jakoś niewesoło? — Położył pięści na stole. Chwilę przeczekał, wyprostował grzbiet. Poszedł za przepierzenie. Siadł na łóżku. (Ministrowie stali z uszanowaniem.) Dużym palcem mocno ubił w fajce zmierzwiony holenderski tytoń, zapalił od podanej przez Aleksaszkę świecy. — No, witaj, wielki pośle.

Starce nogi Woznicyna w sukiennych pończochach ugięły się, twarde poły francuskiego kaftana ruszyły do góry — skłoni) się w wielkim ukłonie, rozsywał kosmyki peruki tuż przy carskich trzewikach, oblepionych błotem. I tak czekał, aż go car podniesie. Piotr rzekł wsparty łokciem o poduszkę:

— Aleksaszka, podnieś wielkiego posła... A ty, Prokofij, nie złość się — jestem jakoś zmęczony... (Woznicyn podniósł się sam, oburzony, odsuwając Mieńszykowa.) Czytałem twoje listy. Piszesz, żebym się nie gniewał. Nie gniewam się. Robiłeś uczciwie, wedle starego obyczaju. Wierzę... (Gniewnie odsłonił zęby.) Cesarscy AngUcyl Dobrze. Ostatni to raz jeździliśmy tak z pokłonem... Siądz. Opowiadaj.

Woznicyn znów zaczął opowiadać o krzywdach, o wielkich pracach na poselskim zjeździe. Piotr już to wszystko wiedział z listów — w roztargnieniu dymił fajką.

— Rab twój, miłościwy panie, swoim lichym rozumkiem tak osądził: jeśli nie zadrzemy z Turkami, to armistycja da się długo przeciągnąć. Posłać do Turków odpowiedniego człowieka, roztropnego, przebiegłego. Niech rokuje, czas przeciąga — niech coś obieca, coś niecoś ustąpi, bo przecie, miłościwy panie, oszukać mahometanina to nie gTzech — Bóg przebaczy.

Piotr uśmiechnął się... Połowa jego twarzy pozostawała w cieniu, ale krągłe oko, oświetlone świecą, patrzyło srogo.

— Co jeszcze powiecie, bojarzy? — Wyjął fajkę i splunął przez zęby na trzy łokcie.

Zakołysały się na ścianie cienie dwóch rogatych peruk Apraksina i Gołowina. Naturalnie, trudno było tak z miejsca coś odpowiedzieć... A rozpraw górnołotnych i ogródkowych, jak dawniej rozprawiano w Dumie — Piotr nie lubił. Aleksaszka, wodząc ramionami po gorącym piecu, krzywił wargi.

— No? — zapytał go Piotr.

— No, cóż, Prokofij rozważył pradziadow-

skim obyczajem: mataczyć, zwlekać. Teraz to nam nie uchodzi...

Lew Kiriłłowicz — astmatycznie, gorączkując się:

— Bóg sam nie dopuścił, byśmy z Turkami podpisali pokój. Jerozolimski patriarcha pisze do nas ze łzami: obrońcie Grób Pański, A gospodarowie moldawski i wołoski żebrzą omal że na klęczkach, by ich wybawić z tureckiej niewoli. A my, ach Jezul (Piotr — szydersko: — Nie kawęcz... — Lew Kiriłłowicz utknął rozdziawwszy usta i oczy.) A wreszcie, miłościwy panie, co za życie bez Morza Czarnego! Bogu dziękować, mamy teraz siłę, a Turcy słabi... Nie na Krym chodzić, jak Waśka Golicyn, a przez Dunaj do Carogrodu — wzniesić krzyż na Świętej Zofii.

Rogate peruki kołysały się niespokojnie. Oko Piotra połyskiwało jednakowo niezrozumiale, fajka chrypiała. Spokojny Apraksin rzekł cicho: \

— Pokój lepszy niż wojna. Wojna, Lwie Kiriłłowiczu, kosztuje. Zawrzeć z Turkami pokój choć na dwadzieścia pięć lat, choć na dziesięć, nie oddając Azowa ani gródków naddnieprzańskich — cóż może być lepszego... (Spojrzał z ukosa na Piotra, westchnął.)

Piotr wstał, chciał chodzić — nie było miejsca, siadł na stole.

—Wiecznie mam się oglądać na was, na szlachtę, na magnatów! Szlacheckie pospolite ruszenie! Siada, diabły spasionie, na koń, nie wiedzą nawet, w którym ręku trzymać szablę. Darmozjady, zaiste darmozjadyl Pogadałbyś tak z ludem handlowym... Archan- glejsk — to dziura, na końcu świata: Anglicy, Holendrzy kupują tam wszystko za grosze, płacą, ile chcą... Mitrofan Szorin opowiadał: zgnoił w składach osiem tysięcy pudów konopi, przez trzy nawigacje wyczekiwał na cenę. A te herody przechodzą sobie obok — śmieją się jeno. A lasi Za granicą potrzebują drzewa, wszystko drzewo u nas, a my jeszcze się kłaniamy: kupcie... Płótnol Iwan Browkin powiada: „Raczej spalę je w Archangielsku razem ze składami, niż oddam za taką cenę...” Nie! Nie Morze Czarne nas kłopotuje... Musimy mieć swoje okręty na Morzu Bałtyckim Rzekł słowo. Patrzył zza stołu oczami wy- puczonymi na panów ministrów, długi, prostacki. Zasepili się. Wojować z Tatarami, niechby z Turkami — ciężko, ale sprawa to powszednia... Ale zdobywać Bałtyk? Wojować z Infantczykami, Polakami, Szwedami? Pchać się do europejskiego bigosu? Lew Kiriłłowicz przesunął tłustą ręką po sterczącej pole kaftana, wyjął jedwabną, orzechowej barwy chusteczkę, obtarł się. Woznicyn kołysał suchutką twarzą. Piotr — wyciągnąwszy ze spodni kapciuch:

— Teraz nowym sposobem będziemy prosić Turków o pokój, nie jak Prokofij... Pójdziemy do nich nie z samym kaftanem na czarnoburych lisach...

— Oczywiście! — rzekł nagle Aleksaszka błysnąwszy oczami.

Płynęli po mętnych, wysokich wodach Donu, pod pasiastymi żaglami, wypełnionymi ciepłym wiatrem. Osiemnaście dwupokładowych okrętów, przed nimi i poza nimi — dwadzieścia galiotów i dwadzieścia brygantyn, skampaweje, jachty, galery; osiemdziesiąt sześć statków wojennych i pięćset barek z Kozakami rozciągnęło się szeroko po zakrętach rzeki.

Z wysokich pokładów było widać zazielenione stopy, łuskę powstałych na łąkach jezior. Na północ leciały klucze ptactwa. Czasem w dali bieleły się kredowe szczyty. Z początku wiał przeciwny wiatr południowo-wschodni — trzeba było włożyć dużo wysiłku, zanim udało się popłynąć Donem na zachód: zaklaskały żagle, okręty dryfowały, kapitanowie wściekle wrzeszczeli w miedziane tuby. Flota otrzymała taki rozkaz:

„Niechaj nikt nie ośmieli się odbić od okrętu komandora, lecz niech płynie jego śladem. Jeśli ktokolwiek odbije się o trzy godziny drogi — potracić mu z rocznej pensji czwartą część, jeżeli o sześć — dwie trzecie, jeżeli o dwanaście godzin — pozbawić całorocznego żołdu”.

Zawróciwszy na południowy wschód, płynęli swobodnie. Wspaniałe, wilgotne zachody słońca nie na długo rozpościerały się po stepie. Z admiralskiego okrętu potoczył się wystrzał. Biły dzwony okrętowe. Po wierzchołkach masztów pełżyły światełka. Zwijano żagle, kotwice opadały z pluskiem. Na mrocznych brzegach rozpalano ogniska. Kozacy nawoływali przeciągle.

Z ciemnej masy „Piotra Apostoła” (na którym car służył w randze komandora) rakietą niby miotłą wiedźmy, z sykiem, strasząc przepiórki, wzbijała się ku gwiazdzystemu niebu. W messie zabierano się do wieczery. Z bliższych okrętów przybywali w te i tak już pijane noce admirałowie, kapitanowie, zaufani bojarzy.

W pobliżu klasztoru Diwnogorskiego przyłączyło się do floty sześć statków wystawionych przez kompanię księcia Borysa Aleksiejewicza Golicyna. Z tej okazji przez dwa dni stali na kotwicy przy kredowym brzegu i ucztowali na wolnym powietrzu w klasztornej sadzie. Gorszyli mnichów graniem na rożkach i tłustymi żartami, straszili strzelaniną z ośmiuset okrętowych dział.

I znów po całej rzece wzdymały się żagle. Płynęli obok wysokich brzegów, obok gródków obwiedzionych tynami i wałami ziemnymi. Obok nowych bojarskich i klasztornych dóbr, gospodarstw rybnych. Pod miasteczkiem Panszyn, na lewym brzegu, ujrzeli chmary konnych Kałmuków z długimi spisami, a na prawym — Kozaków w czworoboku taboru, z dwoma działami. Kałmucy i Kozacy zjechali na bitwę, nie mogąc się ugodzić co do podziału tabunów koni i połowy jesiotrów. Wojewoda Szejn udał się szalupą do Kał-

muków, Borys Aleksiejewicz Golicyn — do Kozaków. Pogodzili ich. Z tego powodu ucztowano na zielonych wzgórzach pod powoli płynącymi obłokami, pod przelatującymi kluczami żurawi. Korneliusz Kreis, podochocony, kazał nałapać żółwi i sam gotował na nich polewkę. Piotr również kazał nałapać żółwi i ugościł bojarów przedziwnym daniem, a gdy zjedli — pokazał im żółwie łebki, Wojewodę Szeina zemdliło. Było wiele śmiechu.

Dwudziestego czwartego maja, w najgorętszej porze dnia, z morskiego omglenia na południu wynurzyły się bastiony Azowa. Don rozlewał się tu szeroko, głębokość jego była jednak wciąż niedostateczna, aby przez odnogę mogły przedostać się czterdziestodziałowe okręty.

Gdy wiceadmirał mierzył odnogę Donu, Kuturmu, a Piotr jeździł jachtem do Azowa i Taganrogu oglądać twierdzę i forty — z Bakczyseraju przybyło poselstwo chańskie na pięknych koniach z jucznym taborem. Rozbili namioty z kobierców, na wzgórku zatknęli buńczuk — koński ogon z półksiężycem na długiej spisie, posłali tłumacza, by się dowiedział, czy car przyjmie od chana pokłon i dary. Odpowiedziano posłom, że car w Moskwie, a tu — jego namiestnik, admirał Gołowin z bojarami. Buńczuk powiewał na wzgórku przez trzy dni. Tatarzy cwałowali na ognistych koniach przed paszczami dział. Czwartego dnia posłowie udali się na okręt admirała. Rozesłali białe, anatolijskie koblerze, rozłożyli dary — kuty łęk do siodła, szabelkę, pistolety, nóż, rzępel — wszystko takie sobie, wykładane srebrem, z tanimi kamykami. Gołowin siedział uroczyście na rozkładanym krześle, a Tatarzy — na dywanie, podgiąwszy nogi. Gwarzyli o rozejmie podpisanym przez Woznicyna, o tym i owym, poskubując rzadziutkie rozdwojone brody, wszędzie szperali oczami bystrymi jak u foki, cmokali językami.

„Topra Moskwa, topra flot... Ale próżna nadzieja, przez Kuturmu na dużych okrętach się nie przedostaniecie, nie tak dawno sułtańska flota próbowała wdrzeć się na Don, ale z niczym powróciła do Kerczu...”

Wszystko wskazywało, że przybyli tylko na zwiady. Nazajutrz nie było już na wzgórzu ani namiotów, ani jeźdźców.

Pomiary wykazały, że Kuturma jest płytka. Rozlane wody Donu opadały z każdym dniem. Można już było pokładać nadzieję jeno w południowo-wschodnim wietrze, jeśli napędzi do ujścia wody z morza.

Piotr powrócił z Taganrogu. Dowiedziawszy się o płytkości wody, spochmurniał. Z południa wiał leniwy wiatr. Zaczęły się upały. Okrętowe burty ociekały smołą. Drzewo, nie dosyć wysuszone podczas zimy, rozsychało się. Z podpokłodzią pompowano wodę. Okręty ze spuszczonej żaglami stały nieruchomo w omgleniu upału. Rozkazano wrzucić ba-

Iast do wody. Wydobywano z ładowni beczki z prochem i solonym mięsem, przeładowywano je na barki, wieziono do Taganrogu. Okręty stawały się coraz lżejsze, woda w Kuturmie opadała dalej.

Dwudziestego drugiego czerwca w porze obiadowej szautbenacht Juliusz Rez wyszedł z messy, czerwony i ocieżały, odlać się u burty; kołującym okiem dostrzegł szybko rosnący szary obłok na południowym zachodzie. Załatwiwszy potrzebę, jeszcze raz spojrzął na obłok, wrócił do messy, wziął kapelusz i szpadę i rzekł głośno:

— Sztorm idzie.

Piotr, admirałowie, kapitanowie zerwali się od stołu. Ku górze szybowały rozdarte obłoki, spoza białawego całunu wodnego powstawał mrok. Słońce piekło żelaznym blaskiem. Bandery, wimpe, bielizna marynarzy na wantach zwisały martwo. Na wszystkich statkach bosmani zagwizdali — wszyscy na pokład! Umocowywano żagle, zarzucano sztormowe kotwice.

Chmura pokryła pół nieba. Wody mroczyły. Spoza skraja mrugnął szeroki błysk. W olinowaniach zagwizdało silniej, trwoźniej. Zatrzepotały wimpe. W wirujących, rozrzuconych strzępach oćmy nadleciał całą siłą wiatr. Maszty zaskrzypiały, sfrunęły zerwane z wan- tów gacie. Wiatr wzburzył wodę, szarpał olinowania. Chwytały się za nie kurczowo marynarze na rejach. Kapitanowie tupali nogami, przekrzykiwali narastającą burzę. Spie

nione fale z pluskiem uderzały o burty. Niebo strzelało piorunami, ciosami rozdzierającymi duszę, grzmiało nieustannie. Padały słupy ognia.

Piotr bez kapelusza, z podgiętymi połami kaftana, wpijając się w poręczę, stał na wznoszącej się i opadającej rufie. Otworzył usta jak ryba, ogłuszony, oślepiony. Zdawało się, że błyskawice padały dokoła okrętu w grzywy fal. Juliusz Rez krzyknął mu w ucho:

— To jeszcze nic. Zaraz zacznie się prawdziwy sztorm!

Sztorm przeleciał narobiwszy wiele szkód. Na brzegu zginęło od pioruna dwóch marynarzy. Poniosło liny kotwiczne, połamało kilka masztów, wyrzuciło na brzeg i zatopiło wiele mniejszych statków. Ale w zamian nadszedł silny wiatr południowo-wschodni: to, czego było trzeba.

Woda w Kuturmie podnosiła się szybko. O świcie zaczęto wyprowadzać statki. Pół setki poruszanych wiosłami barek na długich linach pociągnęło najpierw „Kriepost”. Od wiechy do wiechy, ani razu nie zawadziwszy kilem, przedostał się przez Kuturinę na Morze Azowskie, wystrzelił z działa i podniósł osobistą flagę kapitana Pamburga.

Tego samego dnia wyprowadzono najgłębiej zanurzone okręty — „Piotra Apostoła”, „Woroneż”, „Azow”, „Gut Dragers”, „Wein Dragers”. Dwudziestego siódmego czerwca

| cała flota została zakotwiczona przed bastionami Taganrogu.

Tu, pod ochroną mola, znowu poczęto ko- nopacić, smarować smołą, malować roze- schnięte statki, naprawiać olinowanie, obciążać balastem. Piotr po całych dniach wisiał w koszu u burty „Kriepósti”, pogwizdując stukał młotkiem po deskach. Albo wypiąw- szy chudy tyłek, w płóciennych umazanych portkach, wspinał się po stopniach sznurowych na maszt — umacniać nową reję. Lub też spuszczał się do podpokładzia, gdzie pracował Fiedosiej Sklajew (który skłął od ostatnich Johna Daya i Józefa Naya). Narządził kunsztowne umocowanie wręgów rufy.

— Dalibóg, Piotrze Aleksieiczu, lepiej mi już nie przeszkadzajcie — mówił Fiedosiej niegrzecznie — jeżeli moje umocowanie będzie złe — odrąbiecie mi głowę, wasza wola, jeno nie płączcie się pod ręką...

— No dobrze, dobrze, trochę pomogę...

— Idźcie pomagać Aładuszkinowi, bo my to się jeno poswarzymy...

Pracowano przez cały lipiec. Szautbenacht Juliusz Rez nieustannie ćwiczył załogi okrętowe, wybrane spośród żołnierzy pułków Pre- obrażeóskiego i Siemionowskiego. Wśród nich było sporo synów szlacheckich, którzy nigdy w życiu nie widzieli morza. Juliusz Rez — z dzikości i odwagi prawdziwy wilk morski — linką wpajał w marynarzy ochotę do nawigacji. Kazał im stać na bom-bram-rejach, na dwanaście sążni ponad wodą, skakać

z burty głową w dół, w pełnej odzieży: — Kto utonie, ten nie marynarz! — Rozkraczył nogi na kapitańskim mostku, ręce z laską za plecami, szczęki jak u brytana, wszystko, pirat, dostrzegał jednym okiem: kto marudzi przy rozwiązywaniu węzła, kto źle umacnia linę. — Hej, ty tam na stensztakslu, brutna krofa, jak luzujesz fał? — Tupał trzewikiem: — Wszyscy na pokład... Od poszontku!

Przybył do Moskwy nowo mianowany poseł, Jemielian Ukraincew, najdoświadczeńszy z głowaczy Poselskiego Urzędu, a z nim — diak Czerediejew i tłumacze Ławrecki i Bot- winkin. Na podarki dla sułtana i paszów przywieźli soboli, wyrzynanej kości i półtora puda herbaty. .

Czternastego sierpnia „Kriepost' " podniosła żagle i w otoczeniu całej floty wypłynęła na pełne morze przy silnym północno-wschodnim wietrze, biorąc kurs na zachód — po- łudnio-zachód. Siedemnastego z lewej burty od strony nogajskiej ukazały się smukłe minarety Tajnania, flota przecięła cieśninę i wśród salw, otulona prochowym dymem, przeszła na oczach Kerczu i zakotwiczyla się. Mury miasta były już wielce postarzałe: wy- sokie, kwadratowe baszty gdzieniegdzie zaczynały się walić. Ani fortów, ani bastionów. Blisko brzegu stały cztery okręty. Turcy widocznie przestraszyli się — nie spodziewali się, nie myśleli nawet, że zobaczą zatokę peł- ną żagli i prochowego dymu.

Pasza kerczeński Murtaza, wymuskany, leniwy Turek, wyglądał z przerażeniem przez strzelnicę jednej z baszt. Posłał przybocznych pa moskiewski admirałski okręt — spytać, czemu przybyła ta wielka flota. Przed mie- Isiącem Tatarzy chańscy donieśli, że flota carska licha, całkiem bez dział i przez mielizny azowskie jako żywo nie przejdzie.

— Aj! aj! aj!... Aj! aj! aj! — Murtaza zawodził z cicha, odginając gałązkę krzewu w otworze, żeby lepiej widzieć. Liczył okręty, liczył. Przestał. — Kto zaufał szpiegom chana? — krzyknął do urzędników, stojących z tyłu, na pomoście baszty zapaskudzonej przez ptactwo. — Kto zaufał psom tatarskim?

Murtaza tupał pantoflami. Urzędnicy, syci i rozleniwieni w spokojnym ustroniu, przyciskali ręce do serca, ze skrucą kołysali fezami i turbanami. Rozumieli, że Murtazie wypadnie napisać do sułtana nieprzyjemny list, a nie wiadomo, jaki obrót wezmą rzeczy, bo sułtan, choć najjaśniejszy namiestnik Proroka, bywa zapalczywy, zdarzały się wypadki, że potężniejsi nawet paszowie stękając siadali na pal.

Skośny żagiel feluki z urzędnikami oddzielił się od admirałskiego okrętu. Murtaza posłał na brzeg urzędnika, aby przynaglił wysłanników, a sam znów jął liczyć okręty. Zjawili się przyboczni — dwaj Grecy — tocząc oczami, wciskając głowy w ramiona, klaskając językami. Murtaza z wściekłością wysunął ku nim tłustą twarz. Opowiedzieli:

— Moskiewski admirał kazał cię pozdrowić i powiedzieć, że oni wiozą posła do sułtana. Powiedzieliśmy admirałowi, że ty przecie nie możesz puścić posła przez morze — niech jedzie, jak wszyscy, przez Krym, na Babę. Zaś admirał odrzekł: „Jeśli nie chcecie przepuścić morzem, to my całą flotą odprowadzimy posła do Konstantynopola”.

Nazajutrz Murtaza-pasza wysłał do admirała znacznych bejów. A bejowie powiedzieli:

— Żal nam was, Moskwicini, bo wy nie znacie naszego Morza Czarnego — w czas burzy serca ludzkie czernieją na nim, dlatego nazywają je Czarnym. Wysłuchajcie nas, jedźcie lądem na Babę.

Admirał Gołowin jeno się napuszył:—Nastraszyli! — A stojący tuż jakiś długi człowiek z błyszczącymi oczyma, w holenderskiej odzieży, zaśmiał się i wszyscy Rosjanie się zaśmieli.

No i co tu poradzić? Jakże ich nie puścić, gdy moskiewskie okręty z rannym wietrzykiem nastawiają żagle i wedle wszelkich morskich zasad czynią przygotowania, chodzą po cieśninie, strzelają do płóciennych tarcz na pływakach. Spróbuj odmówić takim natrętom! Pokładając nadzieję jedynie w Allachu, Murtaza-pasza przewlekał rokowania.

Szalupa podpłynęła do tureckiego admirałskiego okrętu. Wspiął się na burtę Korneliusz

mt

Kreis i dwaj wiosłarze w holenderskiej odzieży marynarskiej — Piotr i Aleksaszka. Załoga na pokładzie pozdrowiła moskiewskiego kontradmirała salwą. Admirał Hassan-pasza poważnie wyszedł z kajuty na rufie — miał na sobie biały jedwabny chałat i turban z diamentowym półksiężycem. Z godnością przyłożył palce do czoła i piersi. Korneliusz Kreis zdjął kapelusz i cofając się powiał piórami przed Hassan-paszą.

Podano dwa krzesła. Admirałowie siedli pod płóciennym daszkiem. Niziutki, tłusty człowiek — kucharz eunuch — przyniósł na tacy talerzyk ze słodyczami, dzbanek kawy i filiżaneczki, niewiele większe od naparstka. Admirałowie wszczęli grzeczną rozmowę. Hassan-pasza spytał o zdrowie cara. Korneliusz Kreis odpowiedział, że car zdrowy, i spytał z kolei o zdrowie jego sułtańskiej mości. Hassan-pasza nisko pochylił się nad stołem: — Allah strzeże dni jego sułtańskiej mości... — Patrząc smutnymi oczami gdzieś obok Kreisa, rzekł:

— W Kerczu nie utrzymujemy dużej floty. Nie mamy tu się kogo bać. Ale za to na morzu Marmara mamy potężne okręty. Działa na nich tak wielkie, że mogą wyrzucać kamienne pociski wagi trzech pudów.

Korneliusz Kreis — popijając kawę: j. •— Nasze okręty nie używają kamiennych pocisków. My strzelamy pociskami żelaznymi wagi osiemnastu i trzydziestu funtów. Ale przedziurawiają one na wylot nieprzyjacielskie okręty przez obie burty.

Hassan-pasza uniósł lekko ładne brwi.

— Zdziwiliśmy się wielce, ujrawszy, że w carskiej flocie gorliwie służą Anglicy i Holendrzy — najlepsi przyjaciele Turcji...

Korneliusz Kreis — z jasnym uśmiechem:

— O Hassan-paszo, ludzie służą temu, kto daje więcej pieniędzy. (Hassan-pasza skłonił poważnie głowę.) Holandia i Anglia prowadzą z Moskwą zyskowny handel. Wygodniej jest żyć w zgodzie z carem niżli wojować. Moskonia jest tak bogata, jak żadne inne państwo na świecie.

Hassan-pasza — w zamyśleniu:

— Skąd to car ma tyle okrętów, panie wiceadmirał?

— Moskwićni zbudowali je sami przez dwa lata.

— Aj! aj! aj! — Hassan-pasza chwiał turbanem.

Gdy admirałowie gwarzyli, Piotr i Aleksaszka częstowali tureckich marynarzy tytoniem i rozśmieszali ich wszelakimi sposobami. Hassan-pasza coraz spoglądał na tych ogromnych chłopów — jakoś zanadto ciekawi. Jeden oto włożył na maszt, do bocianiego gniazda. Drugi strzygł oczyma na angielskie działo szybkostrzelne. Lecz Hassan-pasza zmilczał przez grzeczność, nawet gdy marynarze zaprowadzili Moskwićniów na dolny pokład.

Korneliusz Kreis prosił o pozwolenie udania się na brzeg, by kupić owoców, słodczy i kawy. Hassan-pasza pomyślał chwilę i rzekł, że on sam mógłby nawet sprzedać kawę panu wiceadmirałowi.

— Dużo kawy potrzebujesz?

— Za siedemdziesiąt czerwonoćwów.

— Abdułła-Ałła! — krzyknął Hassan-pasza, tupnął piętą. Kołysząc się podbiegł kucharz eunuch.

Wysłuchawszy powrócił z wagą. Za nim marynarze dźwigali worki z kawą. Hassan-pasza przysunął się do stołu wygodniej, sprawdził wagę, wydobył z zanadru bursztynowe paciorki — odliczał miary. Kazał rozwiązać worek. Przesypując ziarna w wypielęgnowanych palcach, na pół przymknął oczy.

— Ta kawa pochodzi z najlepszego zbioru na Jawie. Będziesz mi za nią wdzięczny, panie wiceadmirał.

Widzę, żeś człek poczciwy. (Pochylił się do jego ucha.) Nie życzę ci źle — odwiedź Moskwinów od zamiaru udania się morzem: przy brzegach mnóstwo skał podwodnych i niebezpiecznych mielizn. Sami boimy się tych miejsc.

— Czemuż mamy płynąć brzegiem — odrzekł Korneliusz Kreis — droga naszego okrętu prowadzi prosto przez morze, byleśmy mieli jeno wiatr pomyślny.

Odliczył siedemdziesiąt czerwonoćwów. Pożegnali się. Podszedłszy do trapu Korneliusz Kreis krzyknął ostro:

— Hej, Piotrze Aleksiejewi

— Jest — odezwał się skwapliwie głos. Piotr, a za nim Aleksaszka wyskoczyli z luku, obaj mieli na głowach czerwone fezy. Wiceadmirał pomachał admirałowi kapeluszem, siadł przy sterze, szalupa pomknęła do brzegu. Piotr i Aleksaszka, naciskając giętkie wiosła, wesoło szczyrzyli zęby.

Z napływającą falą szalupa werżnęła się w łupkowe kruszywo brzegu. Od bram warowni, obok przegniłych łódek i pozieleniałych pali, nadchodzili przybocznicy i ci sami co poprzednio bejowie, prosząc, by nie chodzić do miasta, a jeśli czego potrzeba, kupcy przyniosą tu, do szalupy, wszelkie towary... Żrenice Piotra biegały, policzki zapłonęły gniewem. Aleksaszka — trzymając podniesione na sztorc wiosło:

— Min herc, powiedz słowo... Podpłyniemy flotą na odległość strzału... Rzeczywiście...

— Mają prawo nie puszczać: to twierdza — rzekł Korneliusz Kreis. — Przejdziemy się po brzegu przy murach i zobaczymy wszystko, co trzeba.

XII

Murtaza-pasza nic już więcej nie mógł wymyślić: — Allah z wami, pływajcie.

Piotr wraz z flotą wrócił do Taganrogu. Dwudziestego ósmego sierpnia „Kriepost”, wzięwszy na pokład posła, diaka i tłumaczy, w towarzystwie czterech tureckich okrętów

wojennych, ominęła kerczeński przylądek i przy słabym wietrze popłynęła wzdłuż południowych brzegów Krymu.

Za rufą, w pianie, płynęły okręty tureckie.

Na pierwszym znajdował się przyboczny, Hassan-pasza pozostał w Kerczu — w ostatniej chwili prosił, aby mu choć dano świadectwo na piśmie, że carski poseł jedzie samowolnie, a on, Hassan, odradzał. Ale i tego mu odmówiono.

W pobliżu Bałakławy przyboczny siadł na łódkę, zrównał się z okrętem „Kriepost” i jął zapraszać, by zatrzymali się w Bałakławie — nabrać świeżej wody. Rozpaczliwie wywijał rękawem chałata w kierunku rudych wzgórków: — Piękne miasto, wstąpcie z łaski swojej! — Wsparty łokciami o nadburcie, kapitan Pamburg — basem z góry:

— Czy my to nie rozumiemy, że przyboczny chce wstąpić do Bałakławy — ścignąć z mieszkańców suty bakszysz na zaopatrzenie posłów. Ha! A wody mamy pełne beczki.

Odmówiono przybocznemu. Wiatr ochłodził się. Pamburg rozejrzał się po niebie i kazał rozpiąć więcej żagli. Ciężkie tureckie okręty zaczęły znacznie pozostawać w tyle. Nfl pierwszym z nich uniosły się sygnały: — Ująć żnql. — Pamburg wpatrzył się w lunetę, zaklął po portugalsku. Zbiegł na dół, do messy bogato wyłożonej drzewem orzechowym. Tam przy stole, na woskowanej ławce, siedział wielki poseł Jemielian Ukraińców cierpiąc od kołysania okrętu —• oczy przy*
mknęte, peruka zmięta w garści. Pamburg — wściekle:

-7 Te diabły nakazują mi ująć żagli. A ja nie posłucham. Wychodzę na pełne morze.

Ukraincew jeno słabo machnął na niego peruką.

— Idź, dokąd chcesz.

Pamburg wyszedł na rufę, na kapitański mostek. Podkrecił wąsy, by mu nie przoszka- dzały w ryku.

— Wszyscy na pokład! Słuchać komendy. For-bom-bramsel staw... Grot, krus-bom-bram- sel... For- stonga-sztaksel, foka-sztaksel... Obrót na lewą burłę... Trzymać kurs...

„Kriepost*” skrzypiąc i pochylając się zrobiła obrót, chwyciła wiatr pełnymi żaglami i uciekając od Turków, którzy stali niby nieruchomi, ruszyła przez odmęty Euksynu prosto na Carogród...

Mocno pochylony okręt leciał po ciemnoniebieskim morzu, wzburzonem przez wiatr północno-wschodni. Zdawało się, że fale podnosiły spienione grzbiety, aby zobaczyć, czy długo jeszcze muszą toczyć się samotnie do wypalonych słońcem brzegów. Szesnastu Judzi załogi — Holendrzy, Szwedzi, Duńczycy, wszystko włóczęgi morskie — spoglądali na fale, śmiali fajeczki: lekko było płynąć, zabawka. Ale za to połowa załogi wojskowej — żołnierze i puszkarze — poniewierali się pod pokładem, między beczkami z wodą i solo-

mm

nym mięsem. Pamburg kazał wszystkim chorym wydawać wódkę trzy razy dziennie: — SgBJljs Do morza trzeba przywyknąć!

Płynęli dzień i noc, drugiego dnia zerwał się szwał — okręt zapadał mocno, czerpiąc wodę, przez cały pokład przelatywał pienisty całun. Pamburg jeno wyparskiwał z wąsów krople.

Wielkie poselstwo, bardzo cierpiało od kołysania. Ukraińców i diak Czerediejew, leżąc w komorze na rufie — w malutkiej, świeżo malowanej kajucie — odejmowali głowy od poduszek, spoglądali w kwadratowe okienko... Oto spada ono na dół, w odmęty, zielone wody syczą, wspinają się ku czterem szybkom, | ciężkim pluskiem zasłaniają w kajucie światło. Skrzypią przepierzenia, niziutki sufit zapada się. Poseł i diak z jękiem przymykają oczy.

Drugiego września jasnym rankiem Kałmu- czek. chłopiec okrętowy, krzyknął z masztu z bocianiego gniazda: — Ziemia! — Zbliżały się błękitnawe, pagórkowate zarysy brzegów Bosforu. W dali — skośne żagle. Nadleciały mewy, z krzykiem krążyły nad wysoką, rzeźbioną rufą. Pamburg kazał wszystkich wywołać na pokład: — Myć się. Oczyszczyć kaftany. Wdziać peruki...

W południe „Kriepost' " pod wszystkimi żaglami wtargnęła do Bosforu mijając starożytne strażnice. Na fortecznym wale, na maszcie wznosiły się sygnały: „Czyj okręt?" Pamburg kazał odpowiedzieć: „Trzeba znać flagę 2no*

skiewską". Z brzegu: „Weźcie locmanal" Pamburg zasygnalizował: „Płyniemy bez locma- na".

Ukraińców wdział malinowy kaftan ze złotymi galonami, kapelusz z piórami, a diak Czerediejew (kościsty, cienkonosy, podobny do męczennika z suzdalskiego malunku) włożył kaftan zielony ze srebrem i kapelusz z piórami. Puszkarze stali przy działach, żołnierze z muszkietami na pokładzie.

Okręt ślizgał się po zwierciadle cieśniny. Na lewo, pośród suchych wzgórz — jeszcze nie sprzątnięte pola kukurydzy, pompy wodne, owce na zboczach, rybackie chaty z kamienia, kryte kukurydzianą słomą. Na prawym brzegu — wspaniałe sady, białe ogrodzenia, ceglane dachówki, schody biegnące ku wodzie. Ciemnozielone drzewa —• cyprysy, wysokie, wrzecionowate. Zwaliska zamku zarośnięte krzewami. Spoza drzew okrągła kopuła i minaret... Zbliżając się do brzegu ujrzeli dziwne owoce. Dolatywał zapach oliwek i róż. Rosjanie dziwili się bogactwu tureckiej ziemi: — Gadają ciągle — golone lby i bisurmanie, a widzicie, jak to żyją!

Rozlał się daleki, jakby poza siódmą górą, złoty zachód. Prędko spurpurowiał, przygasał, zabarwiał krwią wody Bosforu. Stanęli na kotwicy o trzy mile od Konstantynopola. Na ciemny błękit nocy wyległy ogromne gwiazdy, jakich w Moskwie nigdy nie widziano. Droga Mleczna znaczyła się mgliście. Na okręcie nikt nie miał ochoty spać. Pa

trzyli na przycichłe brzegi, przysłuchiwali się skrzypieniu studni, niemelodyjnemu cykaniu koników polnych. Nawet psy czekały tu inaczej. W głębinie wód prąd unosił dziwne, świecące ryby. Żołnierze, siedząc spokojnie na działach, gwarzyli: — Bogaty kraj, żyć im tu chyba lekko...

Spoglądając w zamyśleniu na płomyk świecy, zaćmiewającej swym światłem kilka dużych gwiazd w czarnym okienku kajuty, Jemielian Ukraincew ostrożnie maczał gęsie pióro, patrzył, czy na końcu nie ma włoska (w takim wypadku wycierał pióro o perukę), i szyfrem, bez pośpiechu, pisał list do Piotra Aleksiejewicza:

„...Staliśmy tu około doby...^Trzeciego tego miesiąca podeszły okręty tureckie, które pozostawiliśmy za sobą. Przyboczny wyrzucał nam z płaczem, czemuśmy uciekli naprzód — sułtan każe mu za to ściąć głowę — i prosił, by tu na niego poczekać: on sam obwieści sułtanowi o naszym przybyciu. Nakazaliśmy, aby u sułtana przyjęto nas ze wszystkimi honorami. Pod wieczór przyboczny wrócił z Ca- rogradu i oznajmił, że sułtan przyjmie nas z honorami i przyśle po nas sandały — takie ich łódki. Odpowiedzieliśmy, że nie — popłyniemy na swoim okręcie. Spieraliśmy się o to i zgodziliśmy się płynąć na sandałach, ale pod warunkiem, że naprzód popłynie «Kriepost».

Nazajutrz przybyły trzy sułtańskie łódki wmoszczone kobiercami. Siedliśmy do łodzi, a przed nami płynął statek «Kriepost*». Dostrzegliśmy wkrótce Carogród, miasto godne podziwu. Mury i baszty, choć stare, przecie mocno budowane. Wszystkie domy kryte dachówką, wielce cudne i arcywspaniałe meczety z białego kamienia, a Sofia — z piaskowca. A sam Stambuł i przedmieście Pera widoczne z wody jak na dłoni. Z lądu powitano nas strzelaniem, a kapitan Pamburg odpowiedział strzelaniem ze wszystkich dział. Zatrzymaliśmy się na wprost sułtańskiego seraju, gdzie z murów patrzył na nas sułtan —; trzymano nad nim wachlarz i wachlowano go.

Na brzeg wyszło na spotkanie nasze stu konnych czauszów i dwustu janczarów z bambusowymi pałeczkami. Dla mnie i diaka przysłano konie w bogatych rzędach. A jak wysiedliśmy z łodzi, naczelnik czauszów spytał o nasze zdrowie. Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do sułtańskiej rezydencji licznymi, bardzo krzywymi i wąskimi ulicami. Z boków biegła gawiedź.

Twojemu okrętowi wielce się tu dziwią: kto go budował i jak on przedostał się z Donu na płytkich wodach. Dopytywali się, ile masz okrętów i czy są duże. Odpowiadałem, że dużo i że ich dna wcale nie są płaskie, jak tu łąą, a po morzu pływają dobrze. Tysiące Turków, Greków, Ormian i Żydów przyjeżdżało oglądać «Kriepost», przyjeżdżał nawet

sam sułtan; trzykrotnie na łodzi opłynął okręt. Osobliwie chwałą zagle i liny, i drzewo masztowe za trwałość. A niektórzy wymyślają, że zbudowany jest słabo. Wybacz, ale i ja tak mniemam: płynęliśmy morzem przy nie bardzo silnym wietrze, a «Kriepost'» wielce skrzypiała i kładła się na boki, i czerpała wodę. Jego budowniczości, Józef Nay i John Day, myślę, dobrze się obłowili. Okręt — niemała to rzecz, wart niejednego miasta. Oglądają go tu, ale nie pytają o cenę i kupca by na niego nie znalazł... — Wybacz — piszę, jak umiem. Turcy budują swoje okręty bardzo porządnie i mocno, spajają nader ściśle — są one niższe od naszych, ale nie nabierają wody.

Jeden Grek powiadał mi tak: Turcy się boją; jeśli Twoja Carska Mość zamknie Morze Czarne — w Carogrodzie będzie głodno, jako że chleb, oliwę, drwa przywożą tu z nad- dunajskich miast. Chodzą tu wieści, żeś już z całą flotą podchodził pod Trapezund i Sy- nopeę. Pytają mnie o to, a ja odpowiadam: nie wiem, przy mnie nie chodził..."

Pamburg pojechał z oficerami do Pery, do niektórych posłów europejskich, spytać o zdrowie. Posłowie holenderski i francuski przyjęli Rosjan grzecznie, podziękowali i gro nowym winem pili zdrowie cara. Potem poje chali do rezydencji trzeciego posła — anioł skiego. Zsiedli z koni koło paradnego ganku zakolatali. Wyszedł sążnisty, ognistobrody lokaj. Przytrzymując drzwi, spytał, czego chcą. Pamburgowi zapaliły się oczy, powiedział, kim są i po co przyszli. Lokaj zatrzaskał drzwi i wrócił niezbyt prędko, choć Moskwi- cini czekali na ulicy. Wyrzekł szydersko:

— Poseł zasiadł do obiadu i kazał powiedzieć, że nie ma po co widzieć się z kapitanem Pamburgiem.

— Więc rzeknij posłowi, niech się udławi kością! — krzyknął Pamburg. Wściekle wskoczył na konia i popędził po płaskich ceglanych stopniach, obok ulicznych handlarzy, nagiej dzieciarni i psów, w dół do Galaty, gdzie wcześniej jeszcze w szaszlyczarniach, kawiarniach i przy drzwiach domów publicznych dojrzał kilku swych starych przyjaciół.

Tu Pamburg i oficerowie spili się greckim winem, dużikiem, jak nieboskie stworzenia, wrzeszczeli i wyzywali na pojedynek angielskich marynarzy. Przyszli tu jecro przyjaciele — szturmani żeglugi wielkiej, znamienici korsarze, ukrywający się w wertepach Galaty, i różni arcyosobliwi ludzie. Wszystkich ich Pamburg zaprosił na „Kriepost' " na ucztę.

Nazajutrz zaczęli przybijać do okrętu na łodziach marynarze różnych nacji — Szwedzi, Holendrzy, Francuzi, Portugalczycy, Maurowie, jedni w perukach, w jedwabnych pończochach, przy szpadach, drudzy z głowami ściśle owiązanymi czerwoną chustką, na bosych nogach — pantofle, za szerokim pasem —

pistolety, jeszcze inni w skórzanych kurtkach i siidwestkach, przesiąkniętych zapachem solonych ryb.

Zasiedli do uczy na otwartym pokładzie pod niegorącym słońcem wrześniowym, ^a murami — widok na pałac sułtana, z gęsto okratowanymi oknami, po drugiej stronie cieśniny — wspaniałe gaje i sady Skutari. Pre-obrażeńcy i siemionowczycy grali na rożkach, na łyżkach, śpiewali pieśni taneczne, gwizdali „wiosennie” rozlicznymi ptasimi głosy.

Pamburg w peruce obsypanej srebrzystym pudrem, w malinowej kurtce ze wstęgami i koronkami, w jednej ręce — czasza, w drugiej — chusteczka, mówił, rozgrzany, do gości:

— Potrzeba nam będzie tysiąc okrętów — wybudujemy tysiąc. Mamy już na sztoczniach okręty osiemdziesięcio- i studziałowe. Na przyszły rok możecie się nas spodziewać na Morzu Śródziemnym, na Morzu Bałtyckim. Przyjmujemy do służby wszystkich znamienitych marynarzy. Wyjdziemy na ocean...

— Wiwat! — krzyczeli purpurowi marynarze. — Salut kapitanowi Pamburgowi!

Zaczęli morskie pieśni. Przytupywali nogami. Dym z fajek snuł się nad pokładem w nieruchomym powietrzu. Nie zauważyli, jak słońce zaszło, jak attyckie gwiazdy zaczęły oświetlać tę niezwykłą ucztę. O północy, gdy połowa wilków morskich chrapała (jedni leżąc pod stołem, inni — złożwszy osiwiiałe w burzach głowy między talerze), Pamburg nagle rzucił się na mostek.

— Na moją komendę! Bombardierzy, pusz- karze na miejsca! Kładź nabój! Przybij nabój! Zapal lonty! Komenda... Z obu burt — salwa... O-o-ognia!

Czterdzieści sześć ciężkich dział razem zionęło płomieniem. Nad uśpionym Konstantynopolem jakby niebo waliło się od grzmotu... „Kriepost' ", osnuta dymem, dała drugą salwę...

Jemielian Ukraincew pisał szyfrem: „...na samego sułtana i cały lud padł wielki strach: kapitan Pamburg przez cały dzień pił na okręcie z marynarzami, wielce sobie pod- ochocił i o północy strzelał z okrętu ze wszystkich dział, i to nie raz. A od tej strzelaniny po całym Carogrodzie rozeszło się wielkie szemranie i wieści, jakoby on, kapitan, tą nocną strzelaniną dawał znak Twojemu, Miłościwy Panie, morskemu taborowi, który pływa po Morzu Czarnym, aby wchodził do cieśniny...

Jego sułtańska mość przeraził się tej nocy, wybiegł z sypialni w tym, co miał na sobie, i przeraziło się wielu ministrów i paszów, a od tej niezwyčajnej kanonady działowej dwie sułtanki z górnego seraju przed czasem poroniły niemowlęta. Za to wszystko jego sułtańska mość wielce pogniewał się na kapitana Pamburga i kazał nam powiedzieć, byśmy onemu kapitanowi odebrali komendę

i ucięli głowę. Powiedziałem sułtanowi, że nie wiem, dlaczego kapitan strzelał, ale go o to spytam, a jeśli jego sułtańskiej mości strzelanina zdała się przykra, to na przyszłość zabronię kapitanowi strzelać, a nawet surowo zakazę, ale nie mam za co odbierać mu komendy. Na tym się skończyło.

Sułtan przyjmie nas we wtorek. Turcy oczekują przybycia kapitana Medzomorta-paszy, który był dawniej algierskim rozbójnikiem morskim, dla naradzenia się, czy zawierać z Tobą pokój, czy prowadzić wojnę".

ROZDZIAŁ DRUGI

Wrześniowe słońce wznosiło się niewysoko nad zalesionym brzegiem. Dzień po dniu, im dalej posuwano się na północ — tym dziksza stawała się miejscowość. Ze spokojnej rzeki zrywały się stada ptactwa. Wykroty, bagna, bezludzie. Gdziegdzie widniała lepianka rybacka i czółno wyciągnięte na brzeg. Do Jeziora Białego pozostawał jeszcze tydzień drogi.

Czternastu ludzi holowało na linie ciężką barkę ze zbożem. Z opuszczonymi głowami, z opuszczonymi przed sobą rękami, parli piersią na szleje. Szli od samego Jarosława. Słońce zachodziło za czarne ostrza świerków, długo ćmiło w mrocznej łunie. Z barki krzyczano: — Hej! przycumuj!

Burlacy wbijali kół albo przymocowywali linę do drzewa. Rozpalali ognisko. Las świerkowy na błotnistym brzegu tonął powoli w mlecznej mgle. Na tle zachodu długoszyimi cieniem! przelatowały kaczki. Łamiąc chrust przychodziły do rzeki łosie, rosły jak konie. Las był pełen zwierzyny nie tępionej i nie płoszonej.

Po rzece pluskały wiosła — od barki do brzegu płynął sam gospodarz, starzec Andrzej Denisów; wiózł czeladce suchary, jagły, niekiedy i rybkę, a w dni wolne od postu — solone mięso. Oglądał, czy mocno przycumowano. Wsunąwszy ręce za skórzany pas zatrzymywał się przy ognisku — czerstwy jeszcze mężczyzna, w półhabicie, w sukiennej skufii, kędzierzawobrody, jasnooki.

— Bracia, życie to wszyscy? — pytał. — Pracujcie, Bóg lubi pracę. Radujcie się — wszystko będzie wam policzone. To szczęście, żeśmy uszli od nikonowskiej zgnilizny. A co dopiero będzie, gdy przedostaniemy się za jezioro Onegę — co za kraina! Rajska, zaiste...

Wyrwawszy ręce z za pasa kucął przy ogniu. Zmęczeni ludzie słuchali go.

t— W krainie tej, nad rzeką Wygą, żył starzec... Również uciekł od pokus antychrystowych. A dawniej był kupcem, miał dom, sklepy i spichrze. Miał raz widzenie — ogień, w ogniu człowiek i głos: „Uległem pokusie, ginę na wieki...” Oddał wszystko żonie, synom. Poszedł. Sklecił terem. Tam mieszkał, komunikował się samym jeno ognistym pragnieniem. Orał rolę ożogiem, wysiewał dwie czapki jęczmienia. Przyodział się surową skórą kozłą, przyschła na nim i tak nosił ją zimą i latem. Drewniany kubek, łyżka i starodawnego obrządku modlitewnik — oto cały jego sprzęt. A wprędce zdobył wielką przewagę nad biesami — znaczyły dla niego tyle co muchy... Ludzie zaczęli przychodzić do niego — spowiadał ich, komunikował listkiem albo jagódką. Nauczał: raczej w ogniu żywcem spłonąć niż pójść na wieczne męki. Rok po roku — zaczęli koło niego osiedlać się ludzie. Palili las, orali pogorzelsko. Bili zwierza, łowili ryby, zbierali grzyby, jagody. Wszystko — pospólnie, stodoły i piwnice — wspólne. A on rozdzielił społeczność: niewiasty — osobno, mężczyźni — osobno.

— To dobrze — odezwał się surowy głos — przy babie niczego dobrego się nie doczekasz.

Denisów spojrział wesołym wzrokiem w ciemność na mówiącego.

— Na modlitwę starca zwierz podchodził do jego rąk, a nieraz wyciągnęli takie ry- bisko aż dziw! Rodziły się grzyby i jagody. Pokazał — znaleźli rudy miedziane i żelazne, postawili kuźnie... Ustronie stało się prawdziwie święte, życie spokojne...

Zza wykrotu podniósł się Andriuszka Goli- kow, przysiadł koło Denisowa, zaczął patrzeć mu w oczy. Andriuszka szedł z burłakami wypełniając ślub. (Wówczas w domu Riewia- kina starzec wyspowiadał Andriuszkę, bił różańcem i kazał iść do Jarosławia, oczekiwać barki Denisowa ze zbożem.) Na czterestu ludzi było tu dziewięciu takich, którzy szli również wypełniając pokutę albo ślubowanie. Denisów opowiadał: — W godzinie śmierci starzec pobłogosławił nas, dwóch braci: Siemiona i mnie, Andrzeja, na zwierzchników wygowskiej wspól-

| noty. Dał komunię — i odeszliśmy. Pustelnia jego stała opodal, w wąwozie. Jenośmy odeszli, patrzmy — jasność. Cela — w ogniu, jak w krzaku ognistym. Chciałem pobiec, a Siemion mnie za rękę: stój! Z ognia, słyszemy — słodkie śpiewanie. A z góry, w dymie — diabły, kręcą się jak sadze, skowyczą, dacież wiarę? My z bratem — na kolana i sa- miśmy zaśpiewali... Przychodzimy na to miejsce rankiem — spod popiołu bije jasne źródło... Nad źródłem postawiliśmy kapliczkę dla ikony... Ale nie mogliśmy znaleźć malarza, by wymalował, jakeśmy chcieli.

Golikow chlipnął. Denisów leciutko pogłaskał go po zmierzwionych kudłach.

— Z tym jeno bieda, bracia moi, że już trzeci rok zboże nam się nie rodzi. Zeszłego lata wszystko wymokło od deszczów, nie zebraliśmy nawet słomy. Trza wozić z daleka... Ale to święta sprawa, dziatki. Trudzicie się nie na próżno.

Denisów jeszcze trochę pogwarzył. Odmówili wspólną modlitwę. Siadł na łódkę, popłynął ku bramie przez ciemny pas zorzy na rzece. Noce były chłodne i zimno spać w lichej odzieży.

Gdy jeno zaświtało, Denisów znów przypląwał do brzegu, budził ludzi. Kaszlali, drapali się. Pomodliwszy się gotowali kaszę. Gdy galaretowate słońce zawisło we mgle mętnym pęczem, burłacy wrzęgali się w szleje, człapali łapciami po nadbrzeżnym błocie, wiorsta za wiorstą, dzień za dniem. Z północy

122

Hm

HBRM

nadpełzły grzędy chmur, zadął ostry wiatr. Szeksna wylała.

Chmury płynęły teraz nisko nad wzburzonymi wodami Jeziora Białego. Obrócili na zachód ku Biełozierskowi. Fale wdierały się na pustynny brzeg, waliły burłaków z nóg. Ciężko było ciągnąć barwę. W obiad suszyli się w rybackiej lepiance. Tu dwóch najemników pokłóciło się z Denisowem o strawę, wzięli zarobek — po siedemdziesiąt kopiejek, i poszli, gdzie oczy poniosą...

Barka stała na kotwicy na wprost miasta, na fali. Wiatr był coraz zimniejszy, przejmował do szpiku. Ogarniała rozpacz, pomyśleć jeno — iść z liną na północ. Wszyscy najemnicy pokłócili się z Denisowem, porozłazili się po rybackich slobodach. A reszta: ten spotkał znajomka, ów zakręcił się i — już go nie ma...

Na brzegu na odwróconej łodzi, między mokrymi kamieniami, siedzieli: Andriuszka Golikow, Iliuszka Diechtiarow (zbiegły kaszyr- ski chłop) i Fied'ka, z przyzwiska Umyj-się- -Błotem, zgarbiony człek, włóczęga z klasztornych chłopów, wiele męczony i lamany. Rozglądali się na wszystkie strony.

Wszystko tu było ponure: śnieżna od fal, mętna powierzchnia jeziora, chmury pełznące grzędami z północy, za nadbrzeżnym wałem — płaska równina, a na niej niemal pokryte chmurami, stare drewniane miasteczko: na

123

basztach dziurawe drewniane daszki, porzewiałe cebule cerkiewek, wysokie domy z zawalonymi dachami. Na brzegu poruszały się na wietrze żerdzie od sieci. Ludzi prawie nie widać. Dzwon dzwonił ponuro.

— Ten Denisów to też — umie karmić słowami. Zanim dostaniesz się do owego raj — chyba jeno dusza zostanie człękowi — przemówił Umyj-się-Błotem wydłubując paznokciem odcisk na dłoni.

— A ty wierz! (Golików do niego ze złością.) A ty wierz! — i z żalem patrzył na białe fale. Nieprzytulnie, samotnie, zimno... — I tu chyba daleko do Boga...

Iliuszka Diechtiariow (chłop z dużymi wargami i wesołymi oczami) opowiadał cicho, powoli:

— ...ja, znaczy, pytam tego człeka: „Czemu to u was w osadzie taka pustka, połowa zagród zabita deskami?” „Dlatego pustka w osadzie — powiada — że mnichy się znęcają... Posłaliśmy do Moskwy już niejedną skargę, ale tam, widać, nic ich nie obchodzimy... Oto, co zrobili w Wielkim Tygodniu — to pojęcie przechodzi. Mnisi wyjechali dziesięciu saniami z obrazami świętymi — jedni do osad, drudzy do słobód, inni znów na wieś. Wchodzą do izby, krzyż — do pyska, żegnaj się szczyptą, eałuj krzyż... A żądają zboża i śmietany, i jaj, i ryb... Wszystko jakby miotłą wymiółł. I chcą pieniędzy. «Ty — gadają — jesteś raskolnik, bezpopowiec. Gdzie masz księgi starego obrządku?» I prowadzą czoło wieka do siebie, zakuwają w łańcuchy i męczą”.

Umyj-się-Błotem nagle odrzucił głowę, zaśmiał się ochryple:

— Ci jedzą! Ci piją! Ach, mnichy, bata na nich nie ma!

Diechtiariow trącił go kolanem. Do łódki, pod wiatr, zbliżał się mnich z cygańską brodą, przytrzymując rozwiany habit — skufia nasunięta na czoło. Popatrzył straszonymi oczami na statek skrzypiący na falach, potem na tych trzech.

— Skąd barka?

— 'Spod Jarosławia, ojcz — odrzekł Diechtiariow leniwie i potulnie.

— Z czym barka?

— Nie mówili nam.

— Ze zbożem?

— No, tak.

— Dokąd ciągniecie?

— A kto wie, gdzie każą<.

— Nie kłam, nie kłam, nie kłam! — mnich szybko zaczął zawijać prawy rękaw. — To barka Denisowa... Płyniecie do Powieńca, wieziecie zboże do raskolniczych pustelni, pa- robasy...

Zaraz porwał się, chwycił Iliuszkę Diechtiariowa za pierś, potrząsnął struchlałym chłopem i zwracając się w stronę miasteczka wrzasnął ile siły:

— Straż!...

Andriuszka Golików zeskoczył z łodzi, pobiegł wzdłuż jeziora do rybackich lepianek.

— Straż! — zaryczał mnich po raz drugi i urwał. Umyj-się-Błotem porwał go za włosy, odciągnął od Iliuszki, zwałił z nóg i zaczął kręcić się pochylony, szukając kamienia. Mnich poderwał się zwawo, wpadł na niego z boku, ale Fied'ka ze złości zrobił się jakby kościany, nie drgnął nawet, znów go zagarnął, przygiął, wyrzwał w kark. Mnich stęknął. Z zaułka biegło do brzegu czterech chłopów z kołami...

Andriuszka Golikow w strachu wyglądał zza węgła rybackiej lepianki. Umyj-się-Błotem walczył z pięcioma: jednemu wyrwał kół, uderzał pokrzykując dziko — Andriuszka póki życia nie widział w człowieku takiej zajadłości... „Bies, prawdziwy bies!...” Potem ruszył się i Diehtiarow: uchwyciwszy sposobność zdzielił mnicha w ucho — ów potoczył się po raz trzeci. Pomocnicy jego zaczęli się cofać. Gdzeniegdzie w miasteczku wychodzili z bram ludzie, pochrząkiwali: tak to, tak!...

Iliuszka i Fied'ka zwyciężyli, przepędzili tamtych, a gdy wrócili na brzeg i wysmarkali krew, poszli prosto ku chatce, gdzie dygotał Golikow.

— Tobie też, w samej rzeczy, warto by dać nauczkę — rzekł do niego Umyj-się-Błotem — dureń z ciebie, a jeszcze do rajy chciałbyś...

W drzwiach lepianki (zwróconej tyłem do morza) ukazała się skudlona głowa, szara broda aż po same oczy. Pomrugawszy wyszedł

krępy, bosy człowiek, czarny od kopcia. Spojrzał w stronę miasteczka — nie było już tam żywej duszy.

— Wejście — rzekł i znów skrył się w niziutkiej lepiance. Wdzierała się tam jeno odrobina światła przez szczelinę nad drzwiami. Czuć było gorzki zapach ryby, połowa pomieszczenia zawałona sieciami. Ilija, Andrzej i Fiodor wszedłszy przeżegnali się dwoma palcami. Rybak powiedział im:

— Siadajcie. A wiecie, kogoście teraz bili?

— Mnie tam bili całe życie, a nie spytali ani razu — odrzekł Umyj-się-Błotem.

— Biliście Teodozego, klucznika klasztoru Kriestowozdwiżeńskiego. Rozbójnik, ach, jaki rozbójnik, szatan! Wścieklizna!

Rybak widząc, że to swoi ludzie, siadł między nimi na ławie, wsunął ręce za pazuchę i kiwając się opowiadał:

— Ryby tu w bród, można by żyć niezgorzej — ale ucieknę... Nie sposób, szatan ten zawładnął całym jeziorem... Dawaliśmy mnichom zimną czwartą część połowu, a również i od każdej ławicy dajemy. Wszystkiego mu mało. Zobaczy żagiel, zaraz pędzi na brzeg i tyle ci jeno ryby zostawi, co do zżarcia... A nie dać — to zaraz: „Jak ty się, człeku, żegnasz?” Naturalnie, że zgrzeszysz, człeku, wywiniesz* szczyptą. „Właśnie, że nie tak, cyganisz! Chodź za mną!” A wiadomo, co znaczy iść za nim: w klasztornych lochach zakuwają w łańcuchy. A ileż on nam porwał sieci,

napsuł czółen. Chodziliśmy na skargę do "wojewody. Ale wojewoda sam wypatruje, gdzie by co złasować. A ci w klasztorze mają pismo od Metropolity: wykorzeniać starowier- ców. Musicie, bracia, czym prędzej stąd ucie- kać.

— Och, nie, my jesteśmy z Denisowem — przemówił Golikow, trwożnie spoglądając na Iliuszkę i Fied'kę.

— Denisów okupi się, to człek mocny... Nic mu nie będzie... Płynie z północy z futrami, kością, miedzią — okupuje się. Wraca — okupuje się. A bo mu to pierwszozna... On, bracie, wszędzie ma swoich ludzi.

Umyj-się-Błotem — z uśmiechem:

— Bajarz! Całą drogę paś nas sucharami, a tyle nagadał, jakbyśmy kurczaki jedli.

Golikow naburmuszył się, gdy jeno zaczęli otwarcie mówić o wygowskim starcu. Przypomniawszy sobie skąpą pieczętę Denisowa, głaszczącego po głowie: „Cóż, chłopcze, dusza żywa? No, to dobrze...” Przypomniawszy sobie, jakie cudowne gawędy prowadził przy ognisku, jak siadał na łódce i czerniał skufią na wodzie pod zachód. Na starych obrazach przedstawiano tak świętych na łódce. Za niego Andriuszka dałby się spalić żywcem w słomie.

Siedzieli na ławie, myśleli: co zrobić ze sobą? Dokąd uciekać? Było nie było, iść na północ? Rybak odradzał: iść na północ, do Wygi, bez czółna, dwa miesiące w lasach — zginą...

— Puścilibyście się chyba do łatwych krajów, na Don czy jak...

— Byłem już na Donie — zachrypiał Umyj- -się-Błotem — tam nie ta co dawniej swoboda. Kozacy- stanicznicy wydają hultajów. A mnie już dwa razy w łańcuchach wozili do Woroneża na carskie roboty.

Nie wymyślili nic dorzecznego, posłali An- driuszkę, aby ruszył poszukać Denisowa — co ów powie?

Andriuszka najadł się strachu: za ledwie doszedł do starej miejskiej bramy — krzyki: — Stój! stój! — t— Biegli ludzie¹ oberwani, bosy, coraz to któryś przeskakiwał przez płot. Za nimi pędzili trzymając kapelusze dwaj żołnierze w zielonych kaftanach. Ciężko dysząc zniknęli w krzywym zaułku. Szanowny staruszek przy furtce powiedział: — Łapią już drugi dzień. — Golikow spytał go, czy nie zna czasem kupca Andrzeja Denisowa, czy go czasem nie widział. Staruszek po namyśle:

— Idź na plac, poszukaj Denisowa w woje- wodzińskim domu.

Na niedużym placu, zawałonym kupami gnoju, kramy były pozamykane, słupki przekrzywiły się, dachy pochyliły. Jakieś dwa, trzy sklepiki sprzedawały obarzanki, rękawice. Stary sobór stał nie ogrodzony, z popęka- nymi ścianami. Przy niziutkiej krytej sieni spały na trawie żebraczki owinięte szmatami, nawiedzony, położywszy koło siebie trzy ozo-

ziewał aż do łez, trząsł łbem. Widać, żyło k tu nieszczególnie.

Na środku placu, gdzie stał pręgierz dla kaźni, przytupywał strażnik ze spisą. Golikow podszedł do niego bojaźliwie. Z drewnianego kramu wysunął się naprzeciw niemu kupiec, istny lis, i słodkim głosem:

Ach, co za obarzaneczki z makiem!

Pokornie kłaniając się strażnikowi Golikow zapytał, gdzie wojewodziński dwór. Krótko- nogi strażnik, w połatanym strzeleckim kaftanie sięgającym aż do pięt, odwrócił się pochmurnie. Na słupie był przybity blaszany napis z orłem. — Idź precz! — krzyknął strażnik. Andriuszka oglądał się odchodząc przegniłe płoty, pochylone izby... Chmury zaczepiały o cerkiewne krzyże. Zbliżał się do niego nisko przepasany człowiek w filcowych, butach — jego grube, złuszczone wargi wyciągnęły się pożądliwie. Strażnik przy pręgierzu i kramarze od sklepów spoglądali, co teraz będzie.

— Skądś przyszedł? Czyj jesteś? Obijasz się bez dachu nad głową? — Człek dyszał mocno czosnkiem. Golikow ze strachu zająknął się, zamamlał językiem. Człek złapał go za kołnierz.

— To człek Denisowa — krzyknęto ze sklepu.

— On prowadzi dziesięciu ludzi na spalenie — odezwał się cienki głos z drugiego kramu.

Człek potrząsnął Andriuszką.

— Czytałeś na słupie carskie pismo? Chodź za mną, psu bracie!...

I powłókł go (choć Andriuszka wcale się nie opierał) na skraj placu, do domu wojewo- dzińskiego.

Andrzej Denisów, strojny, przyczesany, trzymając na kolanach kunia czapkę, siedział w komnacie wojewody — podupadłego stolnika Maksyma Łupandina. Wojewoda patrzył stroskany, jakie to kupiec ma porządne trzewiki kozłowe i myszaty kaftan na czerwonym jedwabiu, z hamburskiego, a może nawet z angielskiego sukna. A sam wojewoda siedział w wytartej szubce popielicowej — niepozor- ny, łysy, wągrowaty. Za nieboszczyka cara Fiodora Aleksiejewicza był dworzaninem, a za Piotra Aleksiejewicza ledwie dochrapał się kawałka chleba w Biełoziersku.

Rozmawiali kołując: Denisów nie nalegał i wojewoda nie nalegał. „Jaki to ma kaftan — myślał wojewoda tó a może go odda?” Potajemnie wysłał chłopca do klasztoru Kriesto- wozdwiżeńskiego po ojca Teodozegó, ale i Denisów chował coś w zanadrzu.

— Ależ to pogoda, nie daj Boże — mówił Denisów. — Jak się wiatr odmieni, pójdziemy pod żaglami przez jezioro... A jeśli się nie odmieni — jakoś chyba brzegiem dobijemy. Najciężej będzie dostać się do Kowzy, a tam już znajdziemy ludzi aż do samego Po- wieńca...

— Juści, twoją sprawę rozumiem odrzekł wymijająco wojewoda spoglądając na kaftan.
i — Maksymie Maksymyczu, zrób mi łaskę, nie zatrzymuj barki i mojej czeladki.
— Gdyby nie ukaz — nie ma o czym gadać. — Wojewoda wyciągnął z kieszeni carskie pismo zwinięte w rurkę, krótkowzrocznie wodził po nim bródką. — „...wedle ukazu Wielkiego Księcia i Cara Wszech... Nakazano... Trutni i darmożjadów, co żywią się przy klasztorach, i wszystkie klasztorne służki brać do wojska...”
— Klasztorne nas nie tyczy, my wedle handlu...
— Poczekaj... „...i brać do wojska również koniuchów i bojarskich poddanych, i wszelkie hultajstwo, żebraków i zbiegów...” Co mam z tobą począć, Andrzeju? Nic mi na myśl nie przychodzi... Gdyby to jakiś tam poddany przywiózł to pismo... A przywiózł je porucznik pułku Preobrażeńskiego Aleksy Browkin z żołnierzami. Wiesz, jak to teraz gadać z porucznikami?
Denisów odwinął połę kaftana, brzęknął w kieszeni srebrem. Wojewoda zląkł się, że teraz za mało weźmie, zaczął oglądać się na drzwi — czy nie wchodzi Teodozy. Wszedł pachol z grubymi wargami, popychając przed sobą Andriuszkę Golikowa. Zerwał czapkę, pokłon[^] się w pas.
— Maksymie Maksymyczu, złapałem jeszcze jednego...
— Na kolana! — krzyknął gniewnie wojewoda. (Pachol przycisną! Golikowa i ten stuknął o podłogę kościstymi kolanami.) — Jak się nazywasz? Czyj poddany? Skądś uciekł? (Do pachola:) Wańka, podaj atrament, pióro...
Denisów rzekł cicho:
— Daj spokój, Maksymie Maksymyczu, on z mojej czeladzi...
Wojewodzie błysnęły oczy, wydłubał daszek z miedzianego kałamarza, stękając wyjmował piórem muchę. „Och, a ten klucznik nie przychodzi” — myślał, gdy właśnie skrzypnęły deski w sieni. Wańka otworzył drzwi — gniewnie wszedł ów mnich — cygańską brodą, jedno oko miał podbite. Ujrawszy Denisowa stuknął kosturem.
— Jego ludzie bili mnie i mordowali, omal nie przyprawili o śmierć — zagadał donośnie. — A ty, Maksymie, posadziłeś go przy sobie! Kogo, pytam, kogo? Przeklętego ras- kolnika! Wydaj mi go, wydaj, wojewodo, wzywam cię po trzykroć!
Wsparłszy ręce na wysokim kosturze, dzikim okiem świdrował Denisowa i Maksyma Maksymowicza. Golikow, oszołomiony, po- pełznął w kąt. Wańka pożądliwie wyczekiwał znaku, by rzucić się, wykręcić łokcie. „Kaftan mój” — pomyślał wojewoda.
— Coś ty za jeden, mnichu, że przychodzisz z wymysłami, nie wiem i nie chcę wiedzieć — przemówi! Denisów. Wstał. (Teodo- zemu posiniały ręce na lasce.) Rozpiął koszu

łę i z miedzianego ośmioramiennego krzyża zdjął woreczek. — Chciałem uczciwie, Maksymie Maksymowiczu, pokłonić się z mego mizernego dorobku... Ale, widać, nie możemy się dogadać... — Wyjął z woreczka złożone pismo, ostrożnie rozwinął. — Pismo to zostało wydane przez Izbę Burmistrzowską nam, Andrzejowi i Siemionowi Denisowom, z tym, byśmy handlowali, gdzie chcemy, i żeby nikt nie śmiał nam, Andrzejowi i Siemionowi, czynić szkód i ruiny... Pismo podpisał własnoręcznie prezydent, Mitrofan Szorin...

— Co mnie obchodzi Mitrofan — zrywając rękę z laski krzyknął Teodozy — twój Mitrofan dla mnie ot, figa!

— Och! — westchnął słabo wojewoda. Na policzki Denisowa wystąpił rumieniec.

— To dla ciebie prezydent spośród wybranych moskiewskich kupców — tyle co figa? To bunt!

. — Udław się, udław się nim, potępieńcze — powtarzał zajadle Teodozy napierając brodą i porwał Denisowa za miedziany ras- kolniczy krzyż. — Za to spalę cię, bezpopow- cze... Przeciw twemu lichutkiemu pismu mam mocniejsze...

— Och, pojednajcie się — stęknął wojewoda. — Andrzej, daj mnichowi ze dwadzieścia rubli, to się odcepi...

Ale mnich i Denisów nie słuchali, nozdrza im się rozdymały. Pachol zaczął podchodzić boczkim.

Wówczas Denisów wyrwawszy

klucznikowi krzyż rzucił się do okienka, podniósł ramę i krzyknął na podwórze:

— Panie poruczniku, monarsze za mną słowo!...

W komnacie od razu zamilkli, przestali sapać. W sieni zadźwięczały ostrogi. Wszedł Alosza Browkin — w botfortach, w białej szarfie, ze szpadą. Młodzieńcze policzki rumiane, na brwi nasunięta trójgraniasta czapka.

— O co spór?

— Panie poruczniku, klucznik Teodozy i wojewoda gadają przewrotnie na pismo prezydenta i pokazują figę, szarpali mnie za piersi i wygrażali, że spalą...

Oczy Aloszy okręgały, wytrzeszczały się srogo — całkiem jak oczy Piotra Aleksiejewicza. Obejrzał mnicha, wojewodę (wspierającego się rękami o ławkę, żeby wstać). Stuknął laską i do żołnierza, który wbiegł:

.— Obu pod straż...

II

Kukujanie mówili o Annie Mons: „Dziw! Skąd u takiej młodej dziewczyny bierze się tyle rozsądku? Inna dawno by straciła głowę. Annchen wdała się w nieboszczyka Mon- sa”.

Piotr powróciwszy z Morza Czarnego był niezmiernie szczodry. „Moje serduszko — mówiła nieraz do niego Annchen z delikat-

nym wyrzutem — przyzwyczajacie mnie, panie, do trwonienia pieniędzy na głupie stroje... A byłoby o wiele rozsądniej, gdybyście pozwolili napisać do Rewia, tam — dowiedziałam się — można po korzystnej cenie kupić krowy dające dwa wiadra mleka na dobę... Przyszlibyście niekiedy na śniadanie do mojego czystutkiego, ładnego folwarczku, na bitą śmietaną..."

Folwark stał w brzozowym gajku, na darowanej ziemi, ciągnącej się łąnem od podwórza, obok strumienia Kukuj, aż do Jauzy. Był tu niewielki dom tak pomalowany, że z daleka wyglądał jak z cegły, obory kryte dachówką, ryga, spichrze. Nad rzeką, na zboczu pagórka, pasły się łaciate, dobrze odkarmione krowy — każdą z nich nazwano na cześć jakiejś greckiej bogini — cienkorune owce, angielskie świny i mnóstwo różnego drobiu. W ogrodzie rosły zagraniczne warzywa i kartofle.

Skoro świt Annchen w chustce z cienkiej wełny, w zwyczajnej szubce, szła piaszczystą dróżką na folwark. Doglądała udoju, karmienia drobiu, liczyła jaja, sama ścinała sałatę do śniadania. Dla ludzi była surowa, szczególnie srożyła się za niechlujstwo. Przyszła pora szatkowania kapusty. Takich główek nie spotykało się nawet w ogrodzie samego pastora Strumpfa. Niemcy przychodzili, podziwiali: taką kapustę albo rzepę można by posłać do Hamburga, do kunstkamery. Żartowali: — Chyba Annchen zna Jakąś modlitwę, że na

Mi

tym niedawnym pustkowiu tak wspaniale wyrastają płody ziemi.

Rosyjskie dziewczęta ze śpiewaniem szatkowały kapustę w nowym, lipowym korycie. Annchen dobierała spośród czeladzi Mieńszykowa albo admirała Gołowina (których nowe dwory i pałace znajdowały się w pobliżu niemieckiej slobody) same Jeny zdrowe i wesołe dziewczki. Stukały tasaki, rumiane dziewczki pachniały świeżymi głębami, na trawie, tam gdzie padał długi cień szopy, leżał jeszcze szron, śnieżne gęsi poważnie przechodziły z ptaszarni do wykopanej sadzawki. W jesiennej niebieskości wznosił się dymek nad ostrym dachem domu. Przez zamiecione podwórko dwaj ochędźni chłopcy-piekarze nieśli kosz ze świeżo upieczonymi kołaczami.

Annchen była uszczęśliwiona — przytupując zziębniętymi nogami, nie mogła nacieszyć się tym dostatkiem. Lecz, ach, kończyło się wszystko, gdy przychodziła do domu: ani dnia spokoju, zawsze należało oczekiwać jakiegoś pomysłu Piotra Aleksiejewicza. To najeżdża się podchmielonych Rosjan, nadepczą, nadymią, potłuką kieliszki, nasypią popiołu w doniczki od kwiatów, albo — chcesz, nie chcesz — wystrój się, uganij po asambłach, zbijaj obcasy.

Zabawa i taniec dobre są od czasu do czasu, w ciche jesienne wieczory albo zimą, przy święcie. Ale u tej rosyjskiej nuignaterii dzień w dzień — obżarstwo, tańce. Lecz nadt» wszystko Annę Iwanownę rozgoryczało na

rwaniu samego Piotra: nigdy nie uprzedzał, czy i kiedy będzie na obiedzie albo wieczerzy i ilu spodziewać się gości. Niekiedy w nocy spadał na dom cały tabor obżartuchów. Wypadało na wszelki wypadek gotować i piec taką kupę wszelakiego dobra, że serce bolało, a często wszystko to wyrzucano świniom.

Annchen poprosiła raz Piotra ostrożnie: — Mój aniołeczku, byłoby dużo mniej niepotrzebnych wydatków, gdybyście raczyli uprzedzać mnie za każdym razem o przybyciu. — Piotr spojrział zdumiony, zachmurzył się, nic nie odpowiedział i wszystko szło do dawnemu.

Słońce wzniosło się nad pożółkłymi, sypiącymi liśćmi brzoza. Dziewki poszły do kuchni. Anna Iwanowna zajrzała do małej szopy, gdzie w płóciennych woreczkach wisiały gęsi z wysuniętymi głowami — na dwa tygodnie przed zarżnięciem tuczono je orzechami; Annchen sama każdej oświałej z obżarstwa gęsi wepchnęła w gardziel małym paluszkiem po orzechu w łupinie; popatrzyła, jak myją łapy kosmatonogim kurom — należało to robić co rano; w owczarni brała na ręce jagnięta, całowała je w kędzierzawe czółka. Potem niechętnie zawróciła do domu. No tak, na ulicy stała karetka. Majordomus, spotkawszy Annchen na kuchennym ganku, oznajmił szeptem:

— Pan Koenigseck, saski poseł.

No, to było jeszcze nieźle. Annchen

Wt0

uśmiechnęła się, uniosła spódnicę, pobiegła po wąziutkich schodach — przebrać się.

Koenigseck siedział z nogami podwiniętymi pod krzesło, w lewej ręce — tabakierka, prawa — 7 wolna dla wytwornej gestykulacji; przeplatając niemieckie słowa francuskimi, paplał o tym i owym: o uciesznych wydarzeniach, o kobietach, o polityce, o swoim władcy — królu polskim i elektorze saskim, Augustcie. Jego peruka woniąca piżmem była niemal szersza od ramion. Kapelusz i rękawiczki leżały na kobiercu. Zadarty nos marszczył się zabawnie przy żartach, wodniste, beztrosko zuchwałe oczy pieściły Annchen. Sie[^] działa naprzeciw niego (przy kominku, gdzie rozpałały się drwa), prosta — w sztywnym gorsecie opuściwszy okrągło ręce, dłońmi do góry. Słuchała ze spuszczonej oczyma, kąciki ust unosiły się filuternie, wedle wymagań politesy.

Pan poseł opowiadał:

— ...nie można go nie uwielbiać. Jest piękny, miły, śmiały. Król August — bóstwo wcielone w postać człowieka. Niestrudzony w namietnościach i rozrywkach. Zbrzydnie mu Warszawa — pędzi do Krakowa, po drodze poluje na dziki, ucztuje wspaniale w zamkach magnatów lub w nocy, gdzieś na sianie, pocałunkiem Feba darzy zmieszana prostaczkę... Każe sobie wypisać dokument na imię kawalera Wintera i w postaci poszukiwacza

przygód ukazuje się w Paryżu przebiegłszy Europę. Tą szpadą nieraz odparowywałem ciosy skierowane w jego pierś podczas nocnych bójek na rogach ulic paryskich. Cwałujemy do Wersalu na nocną fetę — król August w przebraniu wędrownego oficera. Och, Wersal, Fraulein Mons, musicie zobaczyć ten ziemski raj... Ogromne okna rozjaśnione milionem świec, po fasadzie przepływają światła lampionów. Na tarasie, wzdłuż boskietów, spacerują damy i kawalerowie. Na drzewach chińskie latarenki — niby rajskie owoce. Za jeziorem wzlatają rakiety, iskry spadają w wodę. gdzie na łodziach — granie harf i wioli. Szemrzą fontanny, latają nocne motyle. Marmurowe posągi wydają się poprzez listowie ożywionymi bóstwami. W fotelu ar- cychrześcijański król Ludwik. Cień peruki przesłania jego otyłą twarz, a jednak udało mi się dostrzec jego dumny profil — z wysuniętą dolną wargą i pasemkiem wąsików, znanym całemu światu. O jego fotel wsparła się na łokciu dama w czarnym domino i kapturze spuszczonej na oczy. Była to madame de Maintenon. Po prawej ręce siedział na krześle Filip d'Anjou — przyszły król Hiszpanii, jego wnuk, trawiony melancholią. - Wszystko dokoła — tysiące twarzy w pół- maskach, pałac, park cały — było, zda się, opromienione złotem sławy...

Paluszki Annchen drżały, okrągłości piersi uniosły się z ciasnoty gorsetu.

-t— Ach, trudno uwierzyć, że to nie sen...

140

Ale kto ona -- pani Maintenon, która stała za fotelem króla?

—Jego faworyta... Kobieta, przed którą drżą ministrowie i posłowie... Mój władca, król August, przeszedł kilka razy obok madame de Maintenon i został przez nią zauważony...

—Panie pośle, czemu król Ludwik nie żeni się z madame Maintenon?

Koenigseck zdumiał się nieco, jego ruchliwa ręka przez chwilę zwiśla bezsilnie między rozsuniętymi kolanami. Annchen spuściła głowę niżej, w kąciку warg zaległa drobna zmarszczka.

— Ach, Fraulein Mons... Czyż znaczenie królowej może równać się z potęgą faworyty? Królowa — to jeno ofiara dynastycznych związków. Przed królową zginają kolana i spieszą do faworyty, bo życie — to polityka, a polityka to złoto i sława. A w nocy król zaciąga zasłonę nie u łoża królowej — u faworyty. Wśród uścisków na roz- ; grzanej poduszce... (Na policzki Annchen wypełził słaby rumieniec. Poseł przysunął bliżej woniejącą perukę.) Na rozgrzanej poduszce wyjawia się najbardziej ukryte myśli. Kobieta obejmująca króla słyszy bicie jego serca. Ona przechodzi do historii.

— Panie pośle — Annchen podniosła wi}- ^: gotne, niebieskie oczy — nade wszystko chciałoby się wiedzieć, że szczęście będzie trwałe. Co mi po tych strojach, co po tych. ' kosztownych zwierciadłach, gdy brak pew
i|||gg

ności... Niechby już mniej sławy, ale niechby Imoim maleńkim szczęściem władał jeden bóg. Płynę na wspaniałej, lecz jakże wątłej łodzi.

Powoli wyciągnęła spoza gorsetu koronkową chusteczkę, lekko strzepnęła, przyłożyła do twarzy. Pod koronkami usta drżały jak u dziecka...

— Moje śliczne dziecię, pani jest niezbędny wierny przyjaciel. — Koenigseck ujął ją za łokieć, ścisnął delikatnie. — Nie masz komu zwierzać tajemnic... Proszę mnie je powierzać. Oddaję się pani z zachwytem... Całe moje doświadczenie... Na panią patrzy Europa. Mój miłościwy monarcha w każdym piśmie zapytuje o „nimfę kukujskiego strumienia”...

— Nie rozumiem, w jakiej myśli pan mi się polecasz...

Annchen odjęła, chusteczkę, odsunęła się od zbyt niebezpiecznego sąsiedztwa pana posła. Nagle przeleżała się, że Koenigseck padnie jej do nóg... Wstała prędko i omal nie potknęła się przydepnąwszy suknię, f— Nie wiem, czy powinnam nawet słuchać pana...

Annchen zmieszana się do reszty, podeszła do okienka. Poprzedni błękit zasnuły chmury, zerwał się wiatr wzbijając kurz na ulicy. Na oknie pomiędzy geraniami uczona przepiórka — dar Pitera — nastroszyła się w złotej klatce na pochmurny dzień. Annchen próbowała skupić myśli, lecz może dlatego, że Koenigseck stał bez ruchu, patrzył na jej plecy — serce biło trwożnie... „Fi, co za głupstwa... Skądże znowu!” Bała się odwrócić. Dobrze, iż się nie odwróciła: oczy Koenigsecka błyszczały, jakby dopiero teraz ujrzął tę dziewczynę... Nad wspaniałymi spódnicami cienka talia, ramiona mlecznej delikatności, popielate, wysoko upięte włosy, karczek stworzony do pocałunków...

Przecie nie tracił rozsądku: „Gdyby ta nimfa miała nieco więcej bystrości, rozumu i ambicji — można by z nią tworzyć historię”.

Annchen odsunęła się nagle od okna, jej biegające źrenice zatrzymały się zmieszane na Koenigsecku.

— Carl...

Posel podniósł kapelusz i rękawiczki, poprawił koronki na piersi. Za płotem ogródka zatrzymała się dwukółka, car wysiadł krzywiąc się od kurzu. Tuż za nim nadjechała skórzana kolasa. Piotr krzyknął coś w tamtą stronę i wszedł do domu. Z kolasy wysiadło dwóch ludzi; zasłaniając się płaszczami od pędzącego kurzu spieszenie przebiegli przez ogródek. Dwukółka i kolasa natychmiast odjechały.

Tych dwóch Anna Iwanowna widziała po raz pierwszy. Pokłonili się z godnością. Piotr sam odebrał od nich kapelusze. Jednego - ^ rosłego, z twarzą złą i wyniosłą — ujął za ramiona, potrząsnął, poklepał.

— Tu jesteście u mnie w domu, Herr Jo-11 hann Patkul... Zjemy obiad...

Piotr był trzeźwy i bardzo wesoły. Wyciągnął perukę spoza czerwonego wyłogu.

— Anusiu, weź grzebień, rozczesz. Przy stole będę z włosami, jak każesz... Umyślnie posłałem po nią żołnierza — i do drugiego gościa, generała Karłowicza (z fioletowo-purpurowymi, nalanyimi policzkami): >— Jaką bym perukę nałożył — nie sposób sprostać królowi Augustowi: wielce pyszny i arcywspaniały... A my j| po kuźniach, po stajniach...

Botforty miał zakurzone, kaftan trącił końskim potem. Idąc umyć się mrugnął na Koenigsecka.

— Patrzcie no, pan poseł coś często zagląda do mojej kobietki...

—Najjaśniejszy panie — Koenigseck powiał kapeluszem cofając się i przysiadając na kolano — nie karze się śmiertelników ofiarujących kwiaty i gołębie na ołtarz Wenus.

Podczas gdy Piotr mył się i czyścił, Anna Iwanowna świadczyła politezę: wzięła z tacy po kieliszku kminkówki, poczęstowała gości, spytała każdego o zdrowie i — >,czy dawno raczyliście, panie, przybyć do Moskwy i czy nie doznajecie jakichkolwiek braków?" Pamiętna tego, co jej mówił Koenigseck, wysunęła śmiało tępy koniec pantofelka, rozpostarła suknie po obu stronach krzesła.

— Z początku przyjeżdżającym z Europy bywa u nas smutno. Ale, gdy jeno Bóg po

i

zwoli zawrzeć pokój z Turkami —| rozkażemy wszystkim nosić węgierską i niemiecką odzież, ulice będziemy brukować kamieniami, wytępimy w Moskwie rozbójników.

Johann Patkul odpowiadał jej tonem lodowatym, nie rozsuwając cienkich warg. Przyjechał do Moskwy tydzień temu z Rygi. Zatrzymał się nie w poselskim domu, lecz u wiceadmirała Korneliusza Kreisa, wraz z generał-majorem Karłowiczem, który przybył nieco wcześniej z Warszawy od króla Augusta. Braków żadnych dotychczas nie doznają. Rzeczywiście, Moskwa nie jest brukowana — przeto pełna kurzu, a lud odziany marnie.

r— Zdołałem zauważyć — Patkul z uśmiezkiem spojrział na Karłowicza, któremu z lekka świszczalo w gardle z krwistości i ciasnoty wojskowego kaftana, przepasanego . szeroką szarfą na tłustym brzuchu — zauważyłem osobliwy sposób, w jaki moskiewski motłoch zdobywa kilka kopiejek na wódkę. Kupisz u takiego cośkolwiek i zażadasz reszty, wówczas on umyślnie myli się na swoją korzyść i prosi o sprawdzenie.

Przeliczywszy mówisz mu, że rachunek nie jest rzetelny. Ów zaklina się, jakobym ja mianowicie przeliczył się, na nowo zaczyna liczyć resztę i żegna się na wieże cerkiewne, że rachunek rzetelny. Przeliczam po raz drugi i trzeci, a on spiera się i znowu sam liczy. I tak robi dziesięć razy z rzędu, póki ci się nie naprzykrzy i nie odejdiesz machnąwszy ręką na stratę.

— Trzeba kazać czeladzi brać takiego czle-

ka i zaciągnąć do Izby Ziemskiej, tam go już porządnie oćwiczą pałkami — rzekła twardo Anna Iwanowna.

Patkul wzruszył pogardliwie ramieniem.

Wszedł Piotr, wyświeżony, w rozczesanej peruczce. Annchen skwapliwie podała mu kieliszek kminkówkl,, Wypiwszy sięgnął ustami, cmoknął ją w policzek. Majordomus otworzył drzwi, uderzył laską. Przeszli do ja* dalni, gdzie na sklepionym suficie, wśród obłoczków, swawoliły Kupidyny, zdobione sztukateriami ściany pokryte były flamandzkimi arrasami, nad glazurowanym kominkiem obraz sławnego Snydersa — obfitość bitego ptactwa i płodów ziemi.

Piotr siadł plecami do płonącychb drew, Patkul po jego prawej ręce, Karłowicz i Koenigseck — po lewej, zakłopotana Annchen — naprzeciwno- Na pstrym płóciennym obrusie w kryształowych kubkach tłał już węgrzyn, na środku stołu leżały kielbasy i kiszki, wołowe, wieprzowe, pasztetowe. Zimne dania woniały korzeniami. Za fjkien- kiem wzbijał się ostry pył miotały się nagfe konary. Tu było ciepło. Zastawa na stole, zadowolone twarze gości, ogień z kominka — przytulnie odbijały się w zwierciadłach ściennych świeczników.

Piotr wznosił czarękę za drogiego set ca przyjaciela — króla polskiego Augusta* Goicie odrzucili na ramiona pukle peruk i a* brali się do jedzenia.

Miłościwy panie, prosimy o dochowanie tajemnicy, gdyż sprawa jest wielce sekretna rzekł Johann Patkul po czwartej zmianie dań: gęsiętach z włoskimi orzechami,

- Dobrze — Piotr skinął głową. Popsunąwszy łokciami cynowe talerze, mamzcząc twarz w uśmiechu spoglądał na różowe po* j liczkł podchmielonej Annchen. Żartował przez cały obiad, pokpiwał z gospodarskiego sknerstwa Anny Iwanowny, mrugał w stronę Koenigsecka: — Czy ten sos na stole nie pochodzi z jego gołąbków, które składa na ołtarzu pani Wenerki? — Trudno było roze* znać, czy naprawdę chce wysłuchał nadzwyczajnej wagi wieści, dla której udzielenia Jo hann Patkul i Karłowicz ipiesznie przybyli - do Moskwy,

Do dzisiejszego dnia widzieli go jeno raz jeden - • u wiceadmirała. Piotr był łaskawy, lecz uchylał się od rozmowy. Dziś sam zaprosił ich tu, do faworyty, na tajemny obiad. Patkul wodził za tym Azjatą spojrzeniem, w którym był szacunek i chłód, Rozmówić *>'; z nim należało natychmiasti Poselstwach młodego króla szwedzkiego Karola XI1 już przebywało w Moskwie, wkuwało z lwem Kirilłowiczem i bojarami o wieczysty ze Szwecją pokój- Szwedzi również nie widzfeti jeszcze cara, ale w tych dniach oczekiwali I"zyjęcia na Kremlu i doręczenia listów |twie* rzytelniających* potwierdzą,

z serdecznym życzeniem najjaśniejszego króla Augusta. Zaprawdę, mówię z bólem serca. Całe inflanckie rycerstwo i całe sławetne kupiectwo Rygi błaga, miłościwy panie, byś skłonił kii nam swe ucho.

Wielkie czoło Patkula pokryło się zmarszczkami. Mówił powoli, niekiedy hamując gniew:

—Nieszczęsne Inflanty pragną pokoju i bezpieczeństwa. Niegdyś stanowiliśmy część Rzeczypospolitej, zachowując hasze wolności, a miasto Ryga słynęło na całe Morze Bałtyckie. W sercach ludzkich mieszka czarna zawiść. Rzeczypospolita wyciągnęła rękę po nas^e dostatki, jezuici wszczęli prześladowanie naszej wiary, naszego języka i obyczaju... Bóg zamroczył rozumy w tej nieszczęsnej godzinie. Inflanckie rycerstwo dobrowolnie oddało się w opiekę szwedzkiego króla. Z pazurów polskiego orła rzucono się w paszczę lwa.

—Nieostrożne to było — rzekł Piotr. — Szwed to drapieżnik znany na całym świecie. — Wydobył z kieszeni krótką fajeczkę. Koenigseck porwał się śpiesznie, jął krzesać iskrę krzesiwem. Podał Piotrowi na talerzu dymiący kawałek hubki. Johann Patkul czekał grzecznie, aż car zapali.

—Miłościwy panie, raczyliście chyba słyszeć o prawie ustanowionym przez senat i zatwierdzonym przez nieboszczyka króla szwedzkiego, Karola XI: o redukcji. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Szwedzcy senatorowie — mieszcuchy, złośliwi kramarze — nie wiem już, czym odurzili króla skłoniwszy go do niesłychanego rabunku: odebrania szlachcie wszystkich dóbr nadanych przez dawnych królów... Jarlowie i baronowie zmuszeni zostali do opuszczenia zamków, a smerd jął orać ziemie szlachetnie urodzonych. My, rycerstwo inflanckie, otrzymaliśmy zaprzysiężoną obietnicę, że redukcji się na nas nie rozciągnie. Ale po ośmiu latach król rozkazał przeciw komisji redukcyjnej zabrać na skarb ziemie nadane nam przez poprzednich królów. Trzeba było starymi dokumentami dowodzić praw do dziedzicznych ziem rycerskich wielkich mistrzów zakonu i biskupów, a gdy takich dokumentów nie znalazło się, dobra przechodziły do skarbu... Za czasów Iwana Groźnego i Stefana Batorego Inflanty zostały spustoszone przez wojnę, dokumenty nasze zagubione, nie możemy udowodnić dziedzicznych praw... Napisałem skargę o łotrostwach komisji redukcyjnej i w imieniu całego rycerstwa inflanckiego podałem ją szwedzkiemu królowi. Ale tyle jeno uzyskałem, że senat skazał mnie na odrąbanie prawej ręki, która napisała tę skargę, i na odrąbanie głowy (Patkul podniósł głos, jego uszy skuliły się, cienkie wargi pobladły) — na odrąbanie głowy, która nie chciała poniżyć się przed złoçyzystwem... Miłościwy panie, inflanckie rycerstwo jest zrujnowane. Ale i naszemu kupiectwu też nie jest lżej... (Od tej chwili Piotr jął słuchać wielce uważnie.)

Szwedzi nałożyli wysokie cło na wszystko, co się przywozi i wywozi z ryskiego portu. Zaprawdę chciwością i zdzierstwem nie tylko nam, ale i sobie gotują ruinę. Cudzoziemskie okręty omijają teraz Rygę i płyną do Królewca, całe zboże z Polski idzie do elektora brandenburskiego. Pola nasze porastają zielskiem. Port opustoszał, miasto podobne do cmentarza. A w Rewlu Szwedzi rządzą się jeszcze gorzej. Cóż nam pozostaje? Albo ostateczna ruina, albo wojna. Teraz lub nigdy, miłościwy panie. Całe rycerstwo siądzie na koń. Król August zaprzysiął, iż weźmie nas pod władczą rękę Polski...

Patkul spojrział twardo na generała Karłowicza, po (czym przeniósł żółtawe oczy na Koenigsecka. Obaj poważnie skłonili peruki. Piotr —I gryząc cybuch:

— Byście znów nie wpadli z deszczu pod rynnę... Król August rękę ma lekką, ale za to polscy panowie — chwytnie pazury. Dajecie im wielki kęs — Rygę i Rewel...

— Polska teraz już nie ta, co za Stefana Batorego. Polska nie chce naszej .zguby — rzekł Patkul. — Wspólnego mamy wroga na lądzie i morzu. Rzeczpospolita nie będzie na- stawać na wolności nasze i wiare...

— Daj Boże, daj Boże... Dziś sejm to uchwali, jutro co innego ■— co tam panom ' strzeli do głowy. Gdyby król August był monarchą samowładnym — to byłaby pewnośc... Ale panowie... (Piotr rezonował dobrodusznie, pykając fajeczkę. Patkulowi aż kości wystą piły pod skórą, tak wpił się w cara źrenicami...) A czy panowie zechcą wojować?

— Miłościwy panie, saskie wojsko króla Augusta, które słucha jeno rozkazów samego króla, ma już nakazane udać się na leże zimowe do powiatów szawelskiego i birzań- skiego, w pobliżu granicy inflanckiej...

— Jak wielkie to wojsko?

— Dwanaście tysięcy dobranych Niemców.

— Trochę przymało na taką potrzebę.

— Lecz tyleż inflanckich rycerzy stanie pod Rygą. Garnizon szwedzki nieliczny. Rygę weźmiemy znienacka. A gdy się wojna zacznie, panowie sami porwą za szable. Drugi sprzymierzeniec tej koalicji to król duński, Chrystian. Miłościwy panie, wiadomo wam, jak wielką nienawiścią pała On do księcia i Szwedów. Flota duńska będzie nam ochroną od strony morza...

Patkul doszedł do trudnego punktu. Car zwiesiwszy rękę bębnił po stole paznokciami; na jego okrągłej twarzy nie było widać ani aprobaty, ani sprzeciwu. Zaczynało zmierzchać, za oknem wzmagął się wiatr, skrzypiał okiennicami. Annchen chciała zapalić świece. Piotr — przez zęby: — Nie trzeba.

— Miłościwy panie, nie mieliście jeszcze sposobniejszej pory, aby się umocnić na Morzu Bałtyckim, odebrać Szwedom z powrotem wasze dziedziczne ziemie — Ingrię i Karelię. Aby poraziwszy Szwedów i utwierdziwszy się na morzu osiągnąć sławę na cały świat, zacząć

handel z Holandią, Anglią, Hiszpanią i Portugalią, ze wszystkimi północnymi, zachodnimi i południowymi krajami i dokonać tego, czego ani jeden monarcha europejski nie był w stanie dokazać — otworzyć przez Moskwę * drogę handlową między Wschodem i Zachodem. Związać się ze wszystkimi chrześcijańskimi monarchami, mieć głos w sprawach europejskich. Stworzywszy groźną flotę na Bałtyku, stać się trzecią potencją morską. A przez to prędzej można uzyskać sławę na cały świat niż poskramianiem Turków i Tatarów. Teraz albo nigdy...

Patkul podniósł rękę, jakby niebo wzywał na świadectwo. Koenigseck powtórzył szeptem: — Teraz albo nigdy. — Generał Karłowicz sapnął znacząco.

— Cóż tak — od razu! Pali się czy co? Wojować ze Szwedami — wielka to sprawa — rzekł Piotr gryząc cybuch. (Czujne oczy cudzoziemców połyskiwały ogniami kominka.) fejfc Dwanaście tysięcy Sasów — znaczna siła. Duńska flota... Hm... Rycerze i panowie. To jeszcze babka na dwoje wróżyła. Szwedzi, Szwedzi... Pierwsze wojsko w Europie... Nie- łącno jest wam coś doradzić...

Znów zastukał paznokciami. Patkul — z hamowaną zajadłością:

— Dziś można wziąć Szwedów gołymi rękoma. Karol XII — młody i głupi... To mi król! Wystrojony jak panna, jeno mu w głowie uczyły i gonitwy po lasach za zającami! Na maskarady wyciągnął wszystkie pieniądze ze skarbu. Lew bez kłów... Nie darmo szwedzkie poselstwo już od wiosny siedzi w Moskwie, o pokój wieczysty prosi... Posłowie — aż śmiech bierze! Całej Europie wiadomo: ani jeden nie ma jedwabnych pończoch. Przejedli wszystko, żywią się samym jeno grochem. Oto, miłośnicy panie, w zeszłym roku generał Karłowicz był w Sztokholmie, napatrzył się królowi... Panie generale, proszę opowiedzieć...-

Karłowicz wysunął nieco szyję z kołnierza.

— Byłem, w rzeczy samej... Miasto niewielkie, ale niedostępne od morza i od strony lądu, istne legowisko lwa. Wysiadłem z okrętu, a byłem pod zmyślnym nazwiskiem i w pospolitej odzieży. Idę na rynek, dziwuję się: miasto jakby zdobył nieprzyjaciel — w sklepach i domach zamykają okiennice, kobiety chwytają dzieci. Pytam przechodnia. Macha ręką, ucieka: „Król!” Widziałem niejedno podczas pochodów w wielu miastach, gdzie staliśmy na kwaterze, ale by lud uciekał przed swoim królem jak przed zarazą, bez pamięci rzucał się we drzwi!... Patrzę, z zalesionego wzgórza cwałuje — bez ochyby — nie mniej niż stu myśliwych, za plecami — rogi, na smyczach — psy... Przez kamienny most pędzą do miasta. A plac już pusty. Na czele, na karym ogierze — młodzian lat siedemnastu, w żołnierskich botfortach, w samej koszuli. Cwałuje rzuciwszy cugle: król Karol XII... Lwiątko... Myśliwi za nim —

d, śmiechy. Przemknęli przez rynek Jak k Dobrze, że się na tym skończyło, bo J bywa, że kogoś stratuja...

Będać z natury ciekawy, poprosiłem pewnego znajomka, aby mnie zaprowadził do pałacu w przebraniu sprzedawcy arabskich pachnideł. Godzina była wczesna, ale w pałacu już ucztowano. Król zabawiał się. W ja-dalni ściany zbryzgane krwią na wysokość człowieka, na podłodze — strumienie krwi. Smród, walają się pijani. Król i ci, co jeszcze trzymali się na nogach, ucinali głowy baranom i cielętom jednym uderzeniem szabli o zakład — dziesięć koron szwedzkich. Nie mogłem nie pochwalić ciosów królewskich: koniuchy pchali do niego ciele, król podbiegał kłusem i kreśląc szablą koło zmiatał cielecą głowę, odskakując zręcznie, by krew nie bluznęła na botforty.

Pokłoniłem się dwornie, król rzucił szablę na stół i podał mi do pocałunku unurzana rękę. Dowiedział się, że jestem handlarzem. „Przygodziłeś się w samą porę — powiedział — nie mógłbyś pożyczyć mi pięćset ho-lenderskich guldenów?” Posadzono mnie przy stole i pojono bez miary. Jeden z dworaków szepnął mi: „Nie sprzeciwiajcie się królowi, już trzecią dobę pijany. Wczoraj pewnego szanownego negocjanta rozebrali tu do naga, wymazali miodem i osypali pierzem”. Aby ująć despektu, obiecałem królowi pięćset guldenów, których nie miałem, i do nocy przesiedziałem przy stole udając pijanego. Dwo

rzanie drzemali, Jedli, pili, ryczeli pieśni, wypróżniali półmiski na głowy lokajów i znów walili się z nóg.

W nocy król z tłumem zauszników wyszedł z pałacu — tłuc szyby, straszyć śpiących obywateli. Skorzystałem z ciemności i ukryłem się. Całe miasto jęczy od szaleństw królewskich. Przy mnie w trzech świątyniach kaznodzieje z ambon tak przemawiali do ludu: „Biada państwu, które ma młodego króla”. Miesz-czanie posyłają znaczniejszych ludzi do pałacu, do króla, z prośbą, by porzucił swawolę, zajął się czym przystoi. Skarżących się wyrzucają precz. Jarlowie i baronowie, zrujnowani przez nieboszczyka króla, nienawidzą rządzącej dynastii. Senat jeszcze stoi przy królu, ale skąpi grosza. A ten jakby nigdy nic. Szaleniec.

Nie tak dawno, przyszedłszy do senatu, zażądał dwustu tysięcy koron bez rachunku. Senat odmówił jednogłośnie. Król złamał laskę z wściekłości: „Tak stanie się z każdym, kto wystąpi przeciwko mnie...” A nazajutrz wpadł z myśliwymi do sali obrad — wypuścili z worka z pół tuzina zajęcy i poszczuli psy gończe... (Piotr nagle zaśmiał się wesoło, odrzucając głowę.) Senatorowie powłazili na parapety, niektórym psy poszarpały kaftany. Taki z niego król — zbereźnik... To mi straszne Iwiątkol
Generał Karłowicz wyciągnął spoza wyłogów fularową chusteczkę, wytarł twarz i szy- .. ję pod peruką. Piotr, wsparty łokciami o stół,

^U/LćA^C.

śmiał Się dalej.. Anna Iwanowna nieoczekiwanie dla wszystkich rzekła z pogardą:

— Też mi król! Takiego Karola można by wziąć z jednym naszym pułkiem Preobrażeń- skim...

Wszyscy zwrócili ku niej głowy. Koenigseck przyłożył do ust chusteczkę. Piotr — niezbyt głośno:

.r— No, Anusiu, to już nie twoja głowa. Kazałabyś lepiej zapalić świece.

Zapalono świece w ściennych świecznikach przed zwierciadłami. W kryształowe kubki nalano wina. Ciepłe światło zdawało się łagodzić nawet oblicze Johanna Patkula. Annchen przyniosła niewielką szkatułkę grającą, nakręciła, zdjęła wieczko i postawiła na kominku. Szkatułka cieniutkimi głosami grała niemiecką piosenkę o tym, że wszystko dzieje się pomyślnie na tym świecie, gdzie świece płoną, jadlo na stole i uśmiechają się modre oczęta — niechże sobie szumi wiatr za okienkiem... Piotr uśmiechał się, kołysał w takt głową, przytupywał trzewikiem. Tego wieczora o polityce nie powiedział już ani słowa.

III

Aleksandra z mężem bywała co niedziela na obiedzie u Iwana Artientócza w jego nowym murowanym domu na Ilince. Iwan Artiemicz był wdowcem. Starszy syn, Alosza, wy^ljechał na pobór do wojska. Niedawno wyda-

156

ny ukaz nakazywał zarekrutować trzydzieści pułków — trzy dywizje. Dla zaopatrzenia wojska powołać nowy urząd — Wydział Prowiantowy — pod dowództwem generał-pro- wianta. Rozumie się, że generał-prowiant z samych jeno urzędowych papierów nie mógł wydostać owsa, siana, sucharów i innej żywności. Browkin, choć bez zaszczytów i tytułów, znów stał się głównym dostawcą. Szedł szybko w górę i wielu sławetnych kupców pozostawało na jego służbie.

Inni synowie — Jakub służył w Woroneżu, w marynarce, Gawryła uczył się w Holandii, na stoczni. Jeno najmłodszy, Artamon — zaczął dwudziesty pierwszy roczek — przebywał przy ojcu, pisywał listy, prowadził ra,- chunki, czytywał różne książki. Znał biegle język niemiecki i tłumaczył ojcu dzieła handlowe, a dla własnej rozrywki — historię Pufendorfa *. Iwan Artiemicz słuchając wzdychał: — Mocny Bpże, a my tak na końcu świata — żyjemy jak te świnie.

Wszystkie dzieci — przychodziły na świat co roku — były roztropne, ale ten —| prawdziwe złoto. Widać nieboszczka matka oddała im po kropelce wszystką krew swoją, całą duszę, tak pragnęła szczęścia dla swych dzieci. W zimowe zawieje, bywało, furczy wrzecionem w zadymionej izbie, spogląda na

II S

światełko płonącego łuczywa oczyma strasu nymt jak przepaść. Na piecu sapią maleństwa, w szparach gmerają się karakony, a nad słomianą strzechą zawieja wyje o nieludzkim życiu... „Czemu dzieci muszą niewinnie cierpieć?” Nie doczekała szczęścia. Iwan Artiemicz nie żałował jej wówczas, nie było czasu, ale teraz, gdy zbliżała się starość, ciągle wspominał żonę. Umierając zaklinała go: — Nie bierz macochy dzieciom! — I nie ożenił się po raz drugi...

Dom Browkina był urządony na cudzoziemską modłę: prócz trzech zwykłych komnat — sypialnej, z ikonami i stołowej — była jeszcze czwarta — bawialnia, gdzie goście przesiadywali aż do obiadu, i to nie na ławach pod ścianami, z nudów ziewając w rękawy, lecz na holenderskich krzesłach, pośrodku komnaty, dokoła stołu nakrytego wzorzystym aksamitem. Dla rozrywki leżały tu ucieszne ryciny, kalendarz z przepowiedniami, grająca szkatułka, szachy, fajki, tytoń. Wzdłuż ścian — nie skrzynie i septy z różnymi rupieciami, jak to bywa u szlachty żyjącej jeszcze wedle starodawnego obyczaju, ale kredensy, czyli szafy ogromne; przy gościach otwierano ich drzwi, by widać było kosztowną zastawę.

Wszystko to urządziła Aleksandra. Dawała również baczenie na ojca, by się przyzwocioie odziewał, aby się często goił i zmieniał peruki. Iwan Artiemicz rozumiał, że w tych sprawach należy córki słuchać. Ale, prawdą 156

mówiąc, było mu nudno. Nie miał teraz prawie przed kim nadymać się pychą — przecie z samym Carem witał się za rękę. Chciałoby się nieraz posiedzieć w karczmie na Warwar- ce z kupcami, posłuchać zadzierzyetego gadania, samemu powecować język. Nie można — nie wypada. Trza się nudzić.

Iwan Artiemicz stał przy okienku. Oto biegnie ulicą starszy faktor Swlesznlkowa, śpieszy się, psubrat. Mądrala. Spóźniłeś się, ko- chasiu, tam, gdzie idziesz, myśmy już wczesnym rankiem zabrali len. Oto Riewiakin w nowych filcowych butach odwrócił pysk od okna — pewno idzie z Urzędu Sądowego. Tak, tak, kochastu, nie prawuj się z Brow- kinem,...

Wieczorem, gdy Sańki nie było w domu — Iwan Artiemicz zdejmował perukę i kaftan z hiszpańskiego aksamitu, schodził na dół, do kuchni — wieczerać z czeladzią, z chłopami. Jadł kapuśniak, figlował. Szczególnie lubił, gdy przyjeżdżali dawniejsi sąsiedzi, pamiętający Iwaszkę Browkina, najuboższego z całej wsi. Wejdzie taki chłop do kuchni, ujrzawszy Iwana Artiemicza truchleje i nie wie — paść do nóg czy co, I wzbrania się, nie śmie usiąść przy stole. Juści, że rozgada się po trochu, ogródkami zbliżając się do sprawy, dla której przyjechał.

— Ach, Iwanie Artiemiczu, ani to cię te- | raz poznać, chyba po głosie. V nas we wsi, ciągle jeno gwarzą, usiądą chlōpi na przy' zbie i — jazda: pamiętamy przecie, jak to ty

w owe lata — jeden koński ogon, wciąż w obligach, a już orzeł...

— Z trzema rubelkami zacząłem życie. Tak, tak, Konstancyne.

Chłop rozwierał oczy, surowo kręcił głową.

• „— Bóg, widać, patrzy na człowieka, kieruje nim. Tak... (Potem miękko, przymilnie:) Iwanie Artiemiczu, toć ty gadasz o Konstancyne Szutpwie, a nie o mnie. Ja nie Konstancyne... On stał naprzeciwko ciebie, a ja — trochę na lewo, z boku. Chałupka lichutka...

— Zahaczyłem, zahaczyłem.

^r — Chata całkiem do niczego — chłop mówił już ze łzą, przez ściśnięte gardło — jeno patrzeć, a rozwali się. W tych dniach osiadł przysionek, wszystko gnije — jałoszkę przygniotło, miarkujesz... Co począć — inie wiem.

Iwan Artiemicz wiedział, co począć, ale nie mówił od razu: — Idź jutro do rządcy, zaczekam do Pokrowy.

— Rozpytywał, kto żyje, kto umarł, kto doczekał wnuków, dokąd go nie zmogła senność... Pokpiwał: — Poczekajcie, przyjadę na Przewodnią Niedzielę poszukać sobie kobiety.

Chłop zostawał w kuchni na nocleg. Iwan Artiemicz wchodził na górę do przegrzanej sypialni. Dwaj ludzie w liberii, dawno już śpiący przy progu na wołoku, zrywali się, rozbierali go — niziutkiego i otyłego. Wybiwszy przed lampką pokłonów ile trzeba, podrapawszy się po bokach i brzuchu, wsuwał bosc nogi w okraje filcowych butów

i szedł do zimnej wygodki. Dzień skończony. Kładąc się na piernacie Iwan Artiemicz za każdym razem wzdychał głęboko: „Dzień minął...” Pozostawało ich nie tak już wiele. Szkoda — teraz dopiero człek mógłby żyć a żyć... Zaczynał myśleć o dzieciach, o sprawach — sen plątał myśli.

Dziś po obiedzie mieli być wielcy goście. Najpierw przyjechała Sańka z mężem. Wasilij Wołkow pocałował teścia bez żadnych pokłonów, siadł niewesoło przy stole. Sańka, musnąwszy ojca wargami, skoczyła do zwierciadła, zaczęła kręcić ramionami, wspaniałymi spódnicami — barwy fraise ecrasée* — oglądała nowy strój.

— Tatulu, muszę z wami pomówić... Po*- mówić poważnie... — Podniosła obnażone ręce, poprawiła w napudrowanych włosach jedwabne kwiatki. Nie mogła oderwać się od zwierciadła niebieskooka, rozmarzona, usteczka drobne. — Pomówić tak bardzo poważnie... (I znowu dygnęła, wachlowała się piórami.)

Wołkow rzekł ponuro:

— Zrobiła się jakaś od rzeczy. Wbiła sobie do łba — Paryż, Paryż... Czekają tam na nią... Śpimy teraz osobno.

Iwan Artiemicz siedząc przy holenderskim piecu pokpiwał sobie:

— Aj-aj-aj! Trza ją pouczyć.

— Spróbuj jeno pouczyć — wrzask na cały dom. O byle co odgraża się: „Poskarżę się Piotrowi Aleksiejewiczowi”. Nie chcę jej wziąć do Europy — do reszty przewróci się jej w głowie.

Sańka odeszła od zwierciadła, zmrużyła oczy, podniosła paluszek. ⁷ — Zabierzesz. Sam Piotr Aleksiejewicz przykazał mi jechać. A tyś zacofaniec.

Widzi teść? No i co?... ;; — Aj-aj-ajl...

— Tatulu — rzekła Sańka rozprostowawszy suknię, siadła obok ojca. — Rozmawiałam wczoraj, z młodszą Bujnosowów, Natalią. Dziewka pali się. Jeszcze najstarszej nie ocze- pili, to kiedyż przyjdzie kolej na nią? Natalia dojrzała, śliczności. Politesę i obyczajność dworską rozumie nie gorzej ode mnie...

— Cóż to, czyżby sprawy księcia Romana stały kiepsko? — spytał Iwan Artiemicz drapiąc miękki nos. — Toć on zagaduje ze mną o fabryce płótna...

•-:■- §— Sprawy kiepskie, kiepskie. Księżna Awdotia płakała. A on sam chodzi jak chmura...

— Strzeliło mu do głowy jąc się dostaw wojskowych, nasi nieźle porachowali kości...

— Ród wielki, tatulu — Bujnosowowie!... Niemały honor wziąć do domu taką księżniczkę. Jeśli nie będziemy uganiać się za posagiem, wydadzą. Mówię o najmłodszym, Artamosz. (Iwan Artiemicz poskrobał się po głowie, potargał perukę.) Najważniejsze, aby przed moim wyjazdem do Paryża odbyć zrę-

onp

kowiny Artamona z Natalią. Dziewczynie bardzo się przykrzy. Już gadałam Piotrowi Aleksiejewiczowi.

— Gadałaś? — Iwan Artiemicz od razu przestał międlić nos. — Co.on na to?

— Dobra sprawa, powiada. Tańczyliśmy razem wczoraj u Mieńszykowa. Łaskocze mnie wąsami po policzku i powiada: „Zwiążcie ich czym prędzej”.

r- Dlaczego czym prędzej? — Iwan Artiemicz wstał i z naprężeniem patrzył na córkę. (Sańka była od niego wyższa.)

— Wojna czy coś... Nie spytałam go, nie w głowie mi to było. Wszyscy wczoraj mówili — będzie wojna.

— Z kim?

Sańka odęła jeno wargi. Iwan Artiemicz splótł za plecami krótkie ręce i chodził kołysząc się jak kaczka — w białych pończochach, w trzewikach z szerokimi nosami, z dużymi kokardami, czerwonymi obcasami.

Przed gankiem zaturkotała karetą, przyjechali goście.

Iwan Artiemicz, wedle rangi gościa — albo witał na górze, przy drzwiach, wypinając brzuch w jedwabnej kamizeli, albo schodził | aż na ganek. Księcia Romana Borysowicza, przybywającego karetą z lokajami z tyłu, powitał w połowie schodów, dobrodusznie klasnąwszy dłonią w jego dłoń, Za księciem Romanem skakały po żelaznych stopniach

Antonida, Olga i Natalia, uniósłszy spódnice. Iwan Artiemicz przepuściwszy przodem Natalią obrzucił ją wzrokiem — panna wcale dojrzała.

Panny Bujnosow hałaśliwie siadały przy stole pośrodku bawialni. Łapiąc Sańkę za gołe łokcie zaterkotały o różnych głupstwach. Poważni goście f- prezydent Mitrofan Szorin, Swiesznikow, Momonow — aby nie deptać panieńskich trenów, usunęli się pod piec i stamtąd zezowali spod brwi: „Wszystko, oczywista, tak: wola carska — dążyć do Europy, ale Co dobrego wyniknie z wodzenia dziewcząt w goście?”

Sańka pokazywała dopiero co przywiezione z Hamburga drukowane arkusze — gra- wiury słynnych mistrzów holenderskich. Dziewczęta sapały w chusteczki, oglądając nagich bogów i boginie.. — A to kto? A ten co ma? A ona co? Aj!

Sańka pouczała gniewnie:

— Ów chłop z krowimi nogami to satyr... Olgo, pani na próżno się boczy, on ma listek figowy — zawsze tak malują. Kupido chce- ją przebić strzałą... Ona, nieszczęsna, płacze — życie jej obrzydło. Serdeczny przyjaciel rozamorował ją i odpłynął — widzicie, żagiel... Nazywa się — „Opuszczona Ariadna”.., Powinnyście się tego wszystkiego nauczyć. Kawalerowie ciągle teraz rozpytują o greckich bogów. Nie to, co w zeszłym roku... A już z cudzoziemcami lepiej nie chodźcie w taniec...

— My byśmy się nauczyły — nie ma książki... W potrzebie ani się tatusia doprosić o szeląga — powiedziała Antonida. Dziobata Olga ze zgryzoty aż kąsała koronkę na rękawie. Nagle Sańka wzięła Natalię za ramiona, coś jej szepnęła. Okrągłolica, jasnowłosa Natalia stanęła w ogniach...

Do bawialni wszedł skromnie i obyczajnie Artamosza— w brązowej niemieckiej odzieży, szczupły, podobny do Sańki, ale z ciemniejszymi brwiami, na wardze puszek, oczy błękitne. Sańka uszczypnęła Natalię, by spojrzeć na brata. Dziewczyna zmieszała się, spuściła nisko głowę, wysunęła łokcie — ani drgnie...

Artamosza skłonił się w pas znamienitym gościom i podszedł do siostry. Sańka, zesznurowawszy usta, pośpiesznie zagadała ,z krótkim dygiem:

§!| Prezante mego młodszego braciszka, Ar- tamoszę.

Panny leniwo kiwnęły wysokimi napudrowanymi fryzurami. Artamon, jak go uczono, cofnął się, zatupał nogą, zamachał ręką, jakby prał bieliznę. Sańka przedstawiała: księżniczka Antonida, księżniczka Olga, księżniczka Natalia. Każda panna wstała, dygnęła, przed każdą Artamon pomachał ręką. Ostrożnie siadł przy stole. Ściągnął ręce między kolanami. Na policzkach płonęły wypieki. Smętnie podniósł oczy na siostrę. Sańka groźnie ściągnęła brwi. — Jak często czynicie plezyr? — spytał

1651 §§1

Natalii jękając się. Ta szepnęła coś niezrozumiale. Olga odpowiedziała rezolutnie:

— Onegdaj tańcowałam u Naryszkinów, trzy razy zmieniałymy suknie. Taki miałyśmy sukces, taki był gorący. A czemu to pana nigdzie nie widać?

— Młodym jeszcze.

Sańka powiedziała:

— Tatuś boi się rozpuścić go. Jak go ożenimy, wtedy niech tam... Ale do tańca, strach, jaki zdatny... Nie zważajcie, że lękliwy. Gdy zagada po francusku, nie wiadomo, gdzie oczy chować.

Poważni goście spoglądali na młodzież z ciekawością... „Ależ to teraz dzieci!” Mitrofan Szorin zapytał Browkina:

— Gdzieście to synka okrzęśli?

— Przychodzą nauczyciele, inaczej nie można, Mitrofanie Iliczu: jesteśmy na oczach... Pochodzenie za nami nie przemawia, więc inaczej musimy się starać...

— Słusznie, słusznie... Czas już wyłazić z dziupli...

— A miłociwy pan fuka: „Cóż to — powiada — pieniądze zgarniasz łopata, więc wyłaż ze skóry”.

— Samo przez się... Takie wydatki opłacą się.

— Jedna Sańka ile mnie kosztuje! Ale kobietka obraca się w wielkim świecie...

— i Rezulotna kobietka. Jenó uważajcie, Iwanie Artiemiczu, żeby...

— Ano, można by ją batem zapędzić na

górze, by siedziała przy krosnach — odpowiedział Iwan Artiemicz po chwili milczenia. — Ale na co się to zda? Że mąż będzie miał spokój? Ech! Rozumiem, kręci się koło grzechu. Prawdać to, Boże kochany... Grzech tryska jej z oczu. Inne czasy, Mitrofanie Iliczu... W Anglii — słyszałeś? — żona Malbruka trzęsie całą Europą... Stój tu z batem przy kiecce jak głupi...

Aleksy Swiesznikow, kupiec, surowej twarzy, z gęstymi brwiami (w obszernym węgierskim szamerowanym kaftanie), bez peruki — włosy kędzierzawe, ciemnoszakowa- te — kręcił młynka za plecami, czekając, aż prezydent i Browkin przestaną gadać o głupstwach.

— Mitrofanie Iliczu — zahuczał basem — ja znów wedle tego: trzeba się z naszą sprawą pospieszyć.

Chodzą wieści, że nam mogą wleźć w drogę.

Ostronosą, czysto wymytą, przebiegłą twarz prezydenta uśmiechała się miodowymi wargami.

— Jak nasz dobrodziej, Iwan Artiemicz, postanowi, jego pytaj, Aleksy Iwanowiczu...

Browkin również prędko jął kręcić młynka za plecami; rozstawiwszy krótkie nogi patrzy z dołu na orłów — Szorina i Swiesznikowa. Od razu zmiarkował: śpieszą się herody widać się o czymś osobliwym zwiędzieli... (Wczoraj Browkin cały dzień spędził w spichrzach zbożowych, nie widział nikogo ze znacznych ludzi.) Nie odpowiadał, nady

mając się powagą, dociekał, co to być może. Wyjął zza pleców rękę, pogładził nos.

- No cóż — powiedział — chodzą wieści; sukno teraz pójdzie w górę... Można pogadać.

Swieszniow od razu wytrzeszczył swe cygańskie oczy.

— To i ty też wiesz o wczorajszym, Iwanie Artiemiczu?

. — Coś niecoś • wiem... Nasza sprawa — wiedzieć, a język za zębami... (Iwan Artiemicz całą ręką objął dolną część twarzy: „Cóż u diaska! Czego się dowiedzieli?”).

Zezując na innych gości cofnął się za kaflowy piec, Swieszniow i Szorin — za nim. Tam, ściśnięci, zagadali okrężnie, czujnie...

— Iwanie Artiemiczu, toć cała Moskwa gada.

— Tak, gwarzą se.

- Z kim? Czyżby ze Szwedem?

■ — To rzecz miłościwego pana.

- Ale przecie... Czy prędko? (Swieszniow wbił paznokcie w drucianą brodę.) Akurat pora, byśmy postawili fabryczkę. Miłościwemu panu miłe będzie nie to, że sukno tańsze od hamburskiego, ule że własne. Mogą zamknąć granicę, a tu — swojo sukno... Złoty interes. Ilu to ludzi się kręciło choćby Martysen...

„Oto, co przewąchali” — zrozumiał Iwan Artiemicz uśmiechając się w garść.

W tych dniach Martysen, cudzoziemiec, był u Browkina z tłumaczem Szafirowem, proponował założenie fabryki sukna: część pieniędzy

mał włożyć car, część Browkin, a on, Martysen, za trzecią część zysków zobowiązał się sprowadzić z Anglii warsztaty tkackie, zdatnych majstrów i wszystkim kierować. Swieszniow i Szorin ze swej strony dawno już proponowali Browkinowi spółnictwo w kompanii dla założenia fabryki sukna. Ale jak dotąd — były to tylko rozmowy. Wczoraj, widać, coś się zdarzyło, najpewniej sam Martysen dotarł do monarchy.

— Jakże można tak wielką sprawę oddać cudzoziemcom? — rzekł z płonącymi oczyma Swieszniow.

Prezydent Szorin mrużąc oczy westchnął:

— A my chyba gotowiśmy nałożyć życiem, oddamy ostatni grosz...

— Jutro, pogadamy jutro, — Iwan Artiemicz podążył od pieca ku drzwiom. Do bawialni wszedł przez nikogo nie wprowadzony (w czarnej sukiennej odzieży, trzewiki zakurzone) niziutki, wygolony aż do siności, nalany człek z szerokim przedziałem między brwiami, z jastrzębim nosem; ciemne oczy błędziły niespokojnie po twarzach gości. Ujrawszy Browkina, wcale nie po rosyjsku wyciągnął krótkie ręce, wyszczerzył się w skośnym uśmiechu.

r Wielce szanowny Johann Artiemicz — zagadnął przyśpiewując na każdej sylabie i począł ścisnąć gospodarza; cudak, ucałował trzykrotnie, jak na Wielkanoc. Po czym skłoniwszy się na strony ognistorudą peruką, szepnął: - Z Martysenem Jak do-

ftąd — nic. Aleksander Daniłowicz wkrótce ■raczy nadejść.

— Rad cię widzę, Piotrze Pawłowiczu, bardzo prosimy.

Był to tłumacz Urzędu Poselskiego, Szafirów, z pochodzenia Żyd. Jeździł z carem za granicę, ale do tej jesieni było o nim cicho. Teraz zaś, będąc przy szwedzkim poselstwie, widywał się z Piotrem codziennie i uważano go za człeka wpływowego. , — Johannie Artiemiewiczu, zajdź jutro z łaski swojej na Kreml do pałacu... Monarcha rozkazał stawić się dziesięciu z Izby Burmistrzowskiej. Przyjmujemy pismo od Szwedów...

. — Doszliście do ładu?

— Nie, Johannie Artiemiewiczu, miłościwy pan nie przysięgnie na Ewangelię szwedzkiemu królowi.

Browkin słuchając wstrzymał oddech, szybko przeżegnał pepek.

— Więc to znaczy — wieści są prawdziwe, Piotrze Pawłowiczu?

— Dożyjemy, zobaczymy, Johannie Artiemiewiczu, wielkie sprawy, wielkie sprawy... — i zwrócił się ku pannom Bujnosow, by zagranicznym obyczajem ucałować im ręce.

Książę Roman Borysowicz siedział zasepiony na krześle pod ścianą. Bywanie w takich domach nie przydawało splendoru. Patrzył mętnie na córki: „Głupie srokif Kto je weźmie? Boże, zmiłuj się, co za okrutne czasy!

Hi

HhBh

Pieniądze, pieniądze! Jakby je wicher wyrywał z kieszeni... Już od samego rana głowa pęka od myślenia: jak tu zaradzić, jak żyć dalej? Z wiosek wszystko wyciśnięte, a i tego nie starcza. Czemu? Przecie dawniej starczało... Ech, dawniej... Siedzi człowiek przy okienku, chce — zje jabłuszko, chce — posłucha dzwonu... Spokój na wieki wieków... Zerwał się wicher. Ludzie rozleźli się jak mrówki z oblanego wrzątkiem mrowiska. Nie do pojęcia... I pieniądze, pieniądze. Jakieś tam fabryki, kompanie!"

Siedzący obok księcia Romana niemłody kupiec, Jewstrat Momonow, jeden z przednie jszych w Gościnnej Sotni, rozprawiał cicho:

— Tak nie uchodzi, ojczulku, książę Romanie Borysowiczu, rozważmy po kupiecku: zrobiło się ciasno, nie do wytrzymania, cudzoziemcy jak chcą, tak nas gnębią... Taki nie zabierze od ciebie towaru, najpierw pošle pocztę i za osiemnaście dni list jego już jest w Hamburgu, a jeszcze za osiemnaście dni — odpowiedź: jaka cena towaru na giełdzie... A nasze głuptasy trzymają się jednej ceny rok i dwa, a takiej ceny już dawno nie ma na świecie. Cudzoziemcy już dawno wyrąbali okno z naszej ziemi. A my — ciągle siedzimy w norze. Nie, ojczulku, wojny nie unikniemy... Żeby tak choć z jeden gródek, powiedzmy, Narwę, dawną carską dzielnicę... — Pęczniejcie od pieniędzy, a ciągle wam, kupcom, mało — rzekł wzgardliwie Roman

i •

Borysowicz. --- Wojna! Ech! Wojna — sprawa państwowej wagi, nie wam, chudopachoł- kom, pchać się do tego bigosu...

— Prawda, prawda, ojczulku — natychmiast przytaknął Momonow — my tak gada- ' my, z niedostatku rozumu...

Roman Borysowicz skierował na niego porysowane żyłkami białka: macie go, odzież prosta, twarz pospolita, a pieniądze U? garnkami zakopane w lochu.,

— Synów dużo?

— Szczęściu, ojczulku, książę Romanie Borysowiczu.

— Bezzenni?

— Żonaci, ojczulku, wszyscy żonaci.

Za oknami zaturkotała karetka po bierwionowej jezdni. Iwan Artiemicz popędził na schody, niektórzy z gości do okien. Rozmowy urwały się. Słysząc było, Jak na żelaznych stopniach brzęczą ostrogi. Wyprzedzając gospodarza wszedł generał-major Aleksander Mieśnykow, gubernator pskowski, w kaftanie z czerwonymi wyłogami — Jakby rękawy aż do łokcia miał unurzane we krwi. Od progu powiódł po gościach zimnoniebieskim, sro- gopaństwowym spojrzeniem. Zdjąwszy kapelusz, zamasyżycie skłonił się księżniczkom. Podniósł lewą ładną brew, z leniwym uśmiechem podszedł do Sańki, pocałował ją w czoło, potrząsnął ręką za koniuszki palców; obróciwszy się powitał gości lekkim skinieniem.

Otwarto drzwi do jadalni. Aleksander Daniłowicz klepiąc Browkina pochylił mu się do ucha.

— Ze Swiesznikowem i Szorlnem nie zaczynaj, to nie interes... Martysenowi nic nie damy. Samemu, samemu trza się brać... Pogadaj dziś z Szafirowem.

IV

Poselstwo szwedzkie z rezydencji poselskiej wyjechało w czternastu karocach, każda zaprzężona w czwórkę koni. Wzdłuż całej Ilinki — przez plac, aż do murów Kremla — w ordynku, z bronią u nogi stały pułki zaczęte w trójganiastych kapeluszach, krótkich kaftanach, białych pończochach. Październikowy wiatr szarpał sztandary i proporczyki na pikach. Szwedzi przez okna karet poważnie spoglądali na to nowe wojska.

Minąwszy Bramę Spaską ujrzeli po bokach ośnieżone stopy kul działowych, patrzące w niebo otwory miedzianych moździerzy; przy każdym — czterech sążnistych, wąsatych puszkarzy z wyciorami, dymiącymi lontami. Przed Czerwonym Gankiem nu ognistocisa- i wym źrebca dońskim — stary generał Gor- doń. Jego czerwony płaszcz wzdymał się od wiatru, lodowata kasza stuknęła po hełmie i pancerzu. Gdy poselski orszak zatrzymał się, generał wznosił rękę — zagrzmiały działa, mroczne okienka urzędów i kopuły cer* I kiewne zasnuły się dymem.

Na ganku na żądanie stolników posłowie [oddali szpady. Tu oraz w sieniach stało stu żołnierzy pułku Siemionowskiego, dzierżąc królewskie dary i upominki — srebrne misy, kubki, dzbany; na widok posłów podnieśli we wspaniałych drewnianych ramach portret — w całej wysokości — młodzieńczego króla szwedzkiego Karola XII.

Posłowie statecznym krokiem weszli do sali tronowej, w drzwiach zdjęli kapelusze.

Pod czterema ścianami siedzieli na ławach 1 bojarzy, moskiewska szlachta, goście, co znamenitsi kupcy. Wszyscy byli w zwykłej, sukiennej odzieży, wielu w szatach cudzoziemskich. W odległym końcu sklepionej, niby skrzynia, komnaty, ze ścianami i sufitem pokrytym malowanymi rycerzami, zwierzętami i ptakami, na tronie ze srebra i wyrzynanej kości siedział niby bożek — Piotr, z nieruchomo wypuczonymi oczami, bez kapelusza i peruki, w kaftanie z szarego sukna, podbitym rysiami. Po jego lewej ręce stał Ławren- tija Swinin ze złotą misą, po prawej — Wasilij Wołkow trzymał ręcznik w wyciągniętych dłoniach.

Posłowie zbliżyli się i przyklękli na dywanie przed stopniami tronu. Swinin podsunął misę, Piotr, patrząc przed siebie, wetknął palce do wody, Wołkow wytarł je i posłowie ucałowali carską szorstką dłoń. Potem Piotr wstał — sięgał głową pod baldachim — i po rosyjsku, nadymając gardziel, odezwał się wedle starodawnego rytuału:

— Król Karol szwedzki zdrówli?

Posel przyłożywszy rękę do piersi i skłoniwszy na bok rogatą kopę peruki odrzekł, » że z łaski Bożej król jest zdrow i pyta o zdrowie cara całej Wielkiej, Małej, Białej itd. Tłumacz Szafirów, odziany podobnie jak Szwedzi w krótki płaszcz, w aksamitne spodnie ze wstęgami i rozcięciami na łydkach, przetłumaczył głośno odpowiedź posła. Bojarzy uważnie rozchyliłi usta, bacznie ściągnęli brwi słuchając, czy choćby w literze jakiegś nie kryje się despekt. Piotr skinął: — Zdrow, dzięki. ^ Posel wziął od sekretarza z aksamitnej poduszki zwój listy uwierzytelniające — i podał je Piotrowi przyklękając. Car wziął listy i nie patrząc sunął je w stronę pierwszego ministra, Lwa Kiriłłowicza Naryszki, który — w przeciwieństwie do innych — był odziany z nadzwyczajną okazałością w biały atlas, połykiwał od drogich kamieni. Lew Kiriłłowicz nie otwierając zwoju oznajmił głośno, że posłuchanie skończone.

Posłowie wśród ukłonów tyłem wycofali się do drzwi.

Posłowie widocznie spodziewali się, że teraz na uroczystej audyencji podniesiona zostanie sprawa najważniejsza, dla której przez pół roku męczyli się w Moskwie: przysięga cara Piotra na Ewangelię, potwierdzająca traktat pokoju ze Szwecją. Ale minął tydzień, zanim ministrowie moskiewscy wezwali posłów do Urzędu Spraw Zagranicznych na konferencję. Tu Prokofij Woznicyn oznajmił

Szwedom w odpowiedzi, że poprzednie układy J pokojowe ze Szwecją car Piotr podtrzymuje z całego serca, a drugi raz nie będzie całował Ewangelii, gdyż już przysięgał ojcu' obecnego króla. A za to młody król winien całować Ewangelię, gdyż on carowi Piotrowi nie przysięgał. Taka jest wola monarsza przedstawiona posłom i nie będzie zmieniona.

Posłowie spierali się gorąco, lecz słowa ich odbijały się od napuszonych godnością Mo- skwicinów jak groch od ściany. Posłowie rzekli, iż bez ? zgody króla w żaden sposób nie mogą przyjąć takiego aktu ostatecznego — na pokój wieczysty — i napiszą do Sztokholmu. Prokofij Woznicyn odpowiedział z uśmiechem w starczych oczach: - — Droę do Sztokholmu znacie — odpowiedzi nie dostaniecie przed czterema miesiącami, wypadnie wam żyć w Moskwie po próżnicy na własnym wikcie.

Na drugiej konferencji i na trzeciej ciągle było to samo. Urząd Poselski przestał wydawać nawet siano dla koni. Posłowie, żeby wyżywić się, wysprzedawali różny dobytek: peruki, pończochy, guziki. I wreszcie poddali się. W Kremlu car Piotr, jak uprzednio, siedząc na tronie, w rysim kaftanie, przekazał zabiedzonym posłom nie zaprzysiężone ostatecznie pismo.

nego ganku pałacu Preobrażeńkiego. Wilgotna mgła powlekała jego wymyślne dachy. Na ganku przytupywał niecierpliwie botfor- tami Aleksander Daniłowicz. Zauważywszy dziewczkę pałacową, przechodzącą gdzieś w kaff- tanie narzuconym na głowę, krzyknął: — Precz stąd, ścierwo! — Dziewczyna popędziła bez pamięci, ślizgając się bosymi nogami po mokrych liściach.

Z karety wyszli polski generał Karłowicz i rycerz inflancki Patkul. — No, chwała Bogu — rzekł Mieńszykow potrząsając ich ręce. Przez puste sienie i schody zalatujące myszami poszli na górę. Aleksander Daniłowicz ostrożnie zapukał do niskich drzwiczek.

Drzwi otworzył Piotr. W milczeniu, bez uśmiechu pochylił głowę. Wprowadził gości do pełnej dymu sypialenki z jedynym okienkiem mikowym, za ledwie przepuszczającym mgliste światło. — No, cóż, rad jestem, rad — mruknął wracając do okienka. Wszędzie, na małym nie nakrytym stole, na parapecie, na podłodze, rozrzucone były arkusze papieru, książki, gęsie pióra.

— Daniłycz!... — Piotr ssał palec powalany atramentem. — Daniłycz, ja temu podiaczemu nozdrza wyrwę, ty mu to powiedz. Jedno ma zajęcie: temperować pióra — a śpi, diabeł, przez cały dzień... Och, ludzie, ludzie! (Patkul j i Karłowicz stali wyczekująco. Piotr połapał się.) Daniłycz, daj gościom krzesła, weź kape- . tusze... Oto... (Uderzył paznokciami w zapisane krzywo arkusiki.) Od czego wypada za- '■:

czynąć, od o b c., Rosną w moskiewskich dworach takie gamonie — po trzy łokcie wzrostu. Dębczakiem trza pędzić do nauki... Och, ludzie, ludzie!... Cóż, panie Patkul, Anglicy Ferguson i Grens — znakomici uczeni?

— Będąc w Londynie słyszałem o nich — odrzekł Patkul. —

Ludzie niezbyt znamienici, nie filozofowie, bardziej od nauk praktycznych... <j

— Właśnie, od teologii nas wszy zajadają... Nauki matematyczne, nawigacyjne. Kupiec* two, medycyna. Tego nam trzeba... (Wziął arkusiki i znowu rzucił na stół.) Bieda tylko, że wszystko w pośpiechu..

Siadł, zarzucił nogę na nogę. Palił wsparty na łokciach. Tryskający zdrowiem Karłowicz chryplął mrugając na cara. Patkul posepnie spoglądał pod nogi. Aleksander Danłłowicz kaszlnął wstrzemięźliwie. Piotrowi zadrzała ręka trzymająca fajkę.

— No Jak, napisaliście, przywieźliście?

— Spisaliśmy tajny traktat i przywieźli — rzekł twardo Patkul unosząc pobladłą twarz. — Rozkażcie, miłośniwy panie, aby pan Karłowicz przeczytał,

— Czytajcie.

Mieńszkowi przysunął się blisko na palcach. Karłowicz wyjął niewielki arkusz niebieskiego papieru, odsunął go daleko od oczu i zaczął czytać z natężeniem:

- „Dla współdziałania z monarchą rosyj-

bezprawnie oderwanych i ugruntowaniu mocnym panowania rosyjskiego nad Morzem Bałtyckim król polski przez wtargnięcie wojsk saskich do Inflant i Estonii rozpocznie wojnę z królem szwedzkim, obiecując skłonić również Rzeczpospolitą do zerwania pokoju. Car ze swojej strony rozpocznie działania wojenne w Ingrll i Karelii natychmiast po zawarciu pokoju z Turcją, nie później niż w kwietniu 1700 roku, a tymczasem, gdy zajdzie potrzeba, przyśle królowi polskiemu posiłki w formie wojska zaciężnego. Sprzymierzeńcy zobowiązują się nie wszczynać z nieprzyjacielem oddzielnych rokowań i nie opuszczać się wzajemnie. Umowę tę zachować w nieprzeniknionej tajemnicy”.

Piotr spytał oblizawszy suche wargi:

— To wszystko?

— Wszystko, najjaśniejszy panie.

Patkul rzekł:

:— Otrzymał waszą zgodę, najjaśniejszy panie, jutro już wyjeżdżam do Warszawy i mam nadzieję, że w połowie grudnia przywiozę własnoręczny podpis króla Augusta.

Piotr dziwnie — tak uporczywie, że aż napłynęły łzy — spojrzął w Jego żółtawe, twarde oczy. Skrzywił się w uśmiechu.

— Wielka to sprawa... No cóż... Jedź, Johannie Patkul...

u*

V

Na katedralnej wieży donośnie wybiło południe. Szanujący się mieszczanie zasiadali do obiadu. Senatorowie opuszczali fotele w sali posiedzeń. Kramarze przymykali drzwi skle pów. Majster cechowy, odłożywszy narzędzia mówił do czeladzi: — Myjcie ręce, synkowie i do modlitwy. — Stary arystokrata zdejmował okulary i przetarłszy smutne oczy uroczyście przechodził do sali jadalnej, pocie mniał od dymu minionej chwały. Żołnierze i marynarze wesołymi gromadkami kierowali się do traktierni, gdzie cudnie woniały pętle kielbas lub wędzona szynka, zawieszona nad drzwiami.

W całym mieście może jeden tylko człowiek nie szedł za głosem rozsądku — król Karol XII. Filiżanka czekolady stygła przy łożu, między butelkami złotawego wina reńskiego. Purpurowe zasłony na wysokich oknach były rozsunięte. W ogrodzie śnieg padał na zielone jeszcze krzewy, przyszytych w kształt kuli, piramidy, prostokąta. Zwierciadło nad kominkiem odbijało śnieżny blask i dwa kandelabry z woskowymi sopłami wypalonych świec. Sosnowe polana trzaskały. Spodnie króla wisiały na głowie złotego Kupidyna', w nogach łożka. Jedwabne spódnice i niewieścia bielizna rozrzucone po krzeselkach.

Wsparty łokciem o poduszkę, król czytał na głos Racine'a. Między strofami wyciągał

180

rękę po puchar z 'wonnym winem reńskim. Obok drzemała czarnowłosa kobieta, przykryta pikowaną kołdrą aż po czubek nosa; kędziory miała rozrzucone, róż starty, twarz zdawała się żółtawa, niemal jak wino w pucharze.

Była to znana ze swych przygód, lekkomyślna Athalie hrabina Desmont. Ścieżka jej życia była kręta jak lot nietoperza. Z jednakim wdziękiem nosiła suknię damy dworu, kostium aktorki i kolet oficera gwardii. Potrafiła zlaźić z okna po drabince sznurowej przed natrętą ciekawością cesarskiej lub królewskiej policji. Śpiewała w wiedeńskiej operze, lecz straciła głos w zagadkowych okolicznościach. Tańczyła przed Ludwikiem XIV w feerii wystawionej przez Moliere. W przebraniu muszkietera towarzyszyła marszałkowi Luxembourg podczas oblegania flamandzkich miast — opowiadano, że po zdobyciu Namuru jej polowy sakwojaż wypełnił się kosztownościami. Wyjechała prawdopodobnie na nalegania dworu francuskiego i zjawiała się w Londynie zdumiewając Anglików swoimi wierchowcami i toaletami. Uległo jej czarowi kilku parów Anglii, a wreszcie piękny wojak książę Marlborough. Lecz hrabinę powia- ; domiono, że księżna Marlborough radzi jej ; opuścić Londyn najbliższym statkiem. Wresz- 1 cie wicher przygód zaniósł ją w łóżko króla szwedzkiego.

— Miłość, miłość — rzekł Karol sięgając po butelkę i jeszcze raz miłość... To w koń-

181 B

cu nudzi. Racine jest nużący. Król mirmidoński Pyrrus był chyba niezgorszym rębaczem — na przestrzeni pięciu aktów plecie nieszczęsne brednie... Ja wolę biografie Plutarcha lub „Komentarze” Cezara. Chcesz wina?

Hrabina nie otwierając oczów odrzekła:

— Proszę dać mi pokój, najjaśniejszy panie, głowa mi pęka, chyba nie przeżyję tego dnia.

Karol uśmiechnął się, pociągnął ze szklanki. Skrobano do drzwi. Wetknąwszy nos w Racine'a, rzekł leniwo: — Proszę wejść. — Wszedł uśmiechnięty, szeleszczący jedwabiem baron Berkenhelm, kamerjunkier jego królewskiej mości. Zadarty nos z niewielką brodaweczką zdawał się wyrażać najwyższą gotowość oznajmienia najświeższych nowin.

Skłonił się królewskim spodniom i w dobranych wyrażeniach począł opowiadać o błahych wydarzeniach pałacowych. Nic nie mogło ukryć się przed jego badawczym umysłem, nawet taka drobnostka jak dziwne szmerzy nocne w sypialni cnotliwej damy dworu, Anny Boström. Athalie jęknęła przewracając się na prawy bok:

— Boże mój, Boże, co za bzdury...

Baron nie zmieszał się — widać miał w pogotowiu coś poważniejszego.

— Dziś o dziesiątej rano sklepikarze złożyli w senacie nową petycję o zbadanie listy cywilnej... (Karol prychnął.) Sknerstwo tych mieszczuchów nie ma granic. Dopiero co wi

B

działem posła francuskiego — jechał ze wspaniałymi angielskimi chartami tropić zające na pierwszym jesiennym śniegu... Co za ogier pod nim! Ten sam, którego wygrał w karty od Renskjólta... Opowiadam mu — poseł wzrusza ramionami: „Oczywiście intrygi hugonotów — to jego własne słowa — ci sklepikarze i rzemieślnicy rozbiegli się po Cctłej Europie. Wynieśli z Francji sześćdziesiąt milionów liwrow... Ci heretycy trwają w zatwardziałości i wszędzie, gdzie jeno można, podkopują samą zasadę władzy królewskiej. Wszędzie mają swe tajne związki: w Szwajcarii, w Anglii, w Niderlandach i u nas... Wykorzystują każde zdarzenie, by wpoić mieszczanom nienawiść do szlachty i monarchów...”

— Czegoś się jeszcze dowiedział? — spytał Karol posepnie.

— Byłem oczywiście w senacie... Dzisiejsza petycja — to tylko jeden z pozorów. Gadałem z tym i owym w korytarzach. Przygotowują ustawę ograniczającą królewskie prawo wypowiedzenia wojny.

Karol gniewnie zatrzaskał „Andromachę” Racine'a. Cisnął książkę. Siadł* podwijając koldrę:

— Pytam, czegoś się dziś dowiedział. (Berkenhelm wskazał oczami na kędzierzawą głowę hrabiny.)

Głupstwo! Nie ma tu zbyt cnych uszów, gadaj...

— Wczoraj przybył z Rygi na kupieckim okręcie pewien szlachcic... Jeszcze nie udało mi się z nim rozmówić... Opowiada — o ile

można mu wierzyć — opowiada, jakoby Patkul niespodzianie ukazał się w Moskwie...

Głowa hrabiny uniosła się na poduszce. Karol przygryzł zadzierkę na wardze.

— Idź, poproś do mnie hrabiego Pipera.

Berkenhelm zamachał kciukami rąk w koronkach niby skrzydełkami i pofrunął po kobiercu. Karol patrzył na śnieg padający za oknem. Jego wąska twarz z wysokim czołem, niewieściami wargami i długim nosem była bezbarwna jak dzień zimowy. Nie zauważył ironicznego oka hrabiny, błyskającego spoza pasma włosów. Obserwując lot śnieżnych płatków, wnikał w budzące się w nim nowe uczucia — napływający płomień gniewu i wyrachowaną ostrożność. Gdy za drzwiami dały się słyszeć ciężkie kroki, porwał poduszkę i rzucił hrabinie na głowę.

— Przykryj się, pani, muszę być sam.

Poprawił koszulę, wziął dawno ostygłą filiżankę czekolady (naśladowując obyczaj dworu francuskiego, królom podawano do łóżka czekoladę).

— Wejść.

Wszedł radca tajny Karol Piper, niedawno obdarzony przez króla tytułem hrabiego, ro- sły, grubonogi, odziany starannie, lecz nijako, ze zmiętym, czujnym obliczem doświadczzonego urzędnika. Karol rzekł spojrzawszy na niego zimno:

— Zmuszony jestem dowiadywać się nowin od nadwornych plotkarzy.

— Miłościwy panie, dowiadują się ich ode

184

mnie. — Piper nigdy nie uśmiechał się, nigdy nie tracił równowagi ducha, jego mieszczańskie nogi mogły wytrzymać największe kołysanie gruntu. — Ale dowiadują się tego jeno, co uznam za potrzebne podać gadułom pałacowym.

— Patkul w Moskwie? (Piper milczał. Karol podniósł głos.) Jeśli król daje do zrozumienia, że jest sam, to znaczy, że jest sam dla ziemi i nieba, do wszystkich diabłów!...

— Tak, miłościwy panie, Patkul przebywa w Moskwie wraz ze znanym awanturnikiem, generałem Karłowiczem.

— Co oni tam robią?

— Można się domyślić... Nie mam jeszcze pewnych wieści.

— Ależ w Moskwie siedzi nasze poselstwo.

— Poselstwo zostało wyprawione na żądanie senatu. Panowie senatorowie chcą pokoju na wschodzie za wszelką cenę, niechże więc zabijają o pokój własnymi środkami. My w każdym razie nie ofiarowaliśmy na to ani jednego farthinga ze skarbca waszej królewskiej mości.

— Chciałbym ja wskrobać w moim skarbcu tego farthinga — rzekł Karol. — Słyszeliście, panie, o nowej petycji? Słyszeliście, co mi gotują panowie senatorowie? (Piper wzruszył ramionami. Karol spiesznie postawił z powrotem filiżankę na stoliku.) Wiadomo panu, I że ja już nie chcę więcej odgrywać roli pokornego osła? Gwoli tym posepnym dusigro- - szom ojciec mój zrujnował szlachtę. Teraz ci

1851\

J „hugonoci” chcą mnie zamienić w bezmowną kukłę... Mylą się!... (Pokiwał na Pipera wąskim obliczem.) Tak, mylą się. Hrabio Piper, wiem wszystko, co pan powie — że mam narwaną głowę, puste kieszenie i złą reputację... Cezar zawładnął Rzymem dzięki zwycięstwom w Galii Zaalpejskiej. Cezar nie mniej ode mnie lubił kobiety, wino i wszelkie szaleństwa... Proszę się uspokoić, nie zamierzam bynajmniej zdobywać w konnym szyku naszego szacownego senatu. W Europie jest pod dostatkiem miejsca dla zdobycia sławy... (Zagryzł wargi.) Jeśli Karłowicz jest w Moskwie, to znaczy, mamy do czynienia z królem Augustem?

— Myślę, że nie tylko z nim jednym. :<| —• To znaczy?

— Jeśli się nie mylę, mamy przeciw sobie koalicję...

. — Tym lepiej... Któż to?

..— Zbieram wiadomości.

— Wyśmienicie. Niech senat myśli o sobie, my również będziemy myśleć o sobie... Nie masz pan już nic więcej do oznajmienia? Dziękuję panu, hrabio, i nie zatrzymuję...

Piper skłonił się niezgrabnie i wyszedł nieco oszołomiony: król mógł zmieszać każdego nieoczekiwanymi zwrotami myśli. Piper przygotowywał ostrożnie walkę z senatem, lękającym się wojennych wydatków więcej niż czegokolwiek na świecie. Po krótkiej przerwie znów od Renu aż do Bałtyku powiał cierpki zapach wojny. Wojna stanowiła jedyną drogę do władzy. Karol to rozumiał, ale rwał się do walki zbyt gorąco, na oślep; sam jego temperament nie wystarczał.

W korytarzu, przed drzwiami sypialni, hrabia Piper ujął Berkenhelma za łokieć i — frasobliwie:

— Spróbujcie, panie, rozerwać króla. U- rządźcie wielkie polowanie, opuście Sztokholm na kilka dni... Postaram się o pieniądze...

Karol dalej siedział na posłaniu, źrenice jego były rozszerzone jak u człowieka, który ogląda zdarzenia powstałe w wyobraźni. Athalie gniewnie odrzuciła z głowy poduszkę i przytrzymując zębami koszulę, poprawiała włosy. Miała piękne ręce i smagłe ramiona. Zapach piżma przyciągnął wreszcie uwagę króla.

— Czy znaliście, pani, króla Augusta? — spytał. (Athalie zwróciła na niego puste spojrzenie krągłych, ciemnych oczu.) — Wieść niesie, iż jest to najświetniejszy kawaler w Europie, ulubieniec fortuny. Wydaje po czterysta tysięcy złotych na maskarady i fajerwerki. Piper zaklinał się, jakoby raz August wyraził się o mnie, że wpadłem w ojcowskie botforty, skąd warto by wyciągnąć i mnie za kołnierz i oćwiczyć różgami...

Athalie wypuściła z zębów koronki koszuli i roześmiała się wesoło, beztrąsko, nieco ochryple. Karolowi zadrżała powieka.

— Ja zaś powiadam, że August jest dow- J cipny i świetny... Posiada dziesięć tysięcy własnej saskiej piechoty i rozległe zamysły.

łona stanowczość. Chłopczek rokował nadzieje. Athalie z dawnego przyzwyczajenia (nabytego jeszcze podczas kampanii z marszałkiem Luxembourgem) gwizdnęła z cicha.

— Czy wasza królewska mość chce, abym weszła do łóżka króla Augusta?

Karol natychmiast odszedł do kominka, ujął się pod boki, jego powieki w pół przymknęły się, niby tęsknie.

—> Pani,, wybaczę ci każdą zdradę... Ale jeśli to się zdarzy, klnę się na świętą Ewangelię, że V każdym ukryciu odnajdę cię i zabiję...

No chyba, Szwecja z takim królem w ojcowskich botfortach jest bezbronna jak owca... A jednak ja chcę sprawić sobie przyjemność i przypomnieć Augustowi tę dykteryjkę, gdy moi dragoni przywiodą go z łokciami skrepowanymi na plecach do mego namiotu...

— Brawo, chłopcze! — rzekła Athalie. — Za pomyślność wszelkich poczyń! — Tegim łykiem opróżniła puchar reńskiego wina, otarła usta koronką prześcieradła.

Karol wyskoczył/spod kołdry, bosy, w nocnej koszuli do pięt, pobiegł do sekretarzyka, z tajemnej szkatułki wyjął puzdro — był w nim brylantowy diadem. Przysiadłszy na krawędzi łóżka przyłożył klejnot do czarnych kędziarów Athalie. — Będziesz mi wierna? ; — Najprawdopodobniej, miłościwy panie; jesteś prawie dwa razy młodszy ode mnie, chwilami mam dla ciebie uczucie matki. fęs Pocałowała go w nos (bo to było pierwsze, co nawinęło się pod usta) i z tkliwym uśmiechem obracała diadem.

— Athalie, chcę, abyś pojechała do Warszawy... Za kilka dni odbija wspaniały okręt „Olaf”. Wsiądziesz w Rydze. Wszystko będzie przygotowane — konie, powóz, ludzie, pieniądze. Będziesz do mnie pisała każdą pocztą...

Athalie z uważną ciekawością spojrzała w te młodzieńcze oczy: były one jasne, twarde i — diabli je znają, te oczy północne, sza- rowodniste — gdzieś, w nich kryła się sza-

W Kitajgorodzie nie mówiono o niczym innym, jeno o Browkinach. Piotrowi Aleksieje- wiczowi jak zwykle nagle strzeliło do głowy wydać za mąż młodszą księżniczkę Bujno- sow — Rurykównę! — za Artamoszkę Browkina. Wszystkie sprawy car porzucił. Ministrowie i bojarzy przyjeżdżali na próżno — odpowiadano im to samo: — Nie wiadomo, gdzie monarcha.

Pewnego wieczora, gdy już zaczynano ustawiać na ulicach rogatki, podjechał do Brow- kinowego domu. Iwan Artiemicz był na dole, w kuchni, z chłopami; przy łojowej świecy grał w karty, w durnia —' lubił się zabawić, przypomnieć sobie dawne czasy.

Nagle wsunęła się w niskie drzwi schylona

głowa w trójkątnym kapeluszu. Z początku myśleli, że to żołnierz Jakiś strzegący składów przyszedł się ogrzać. Struchleli. Piotr Aleksiejewicz uśmiechnął się obejrzawszy gospodarza: niezbyt okazały — w zajęczym znoszonym kubraku, z siwą głową, wciśniętą ze strachu w ramiona.

Piotr Aleksiejewicz zażądał kwasu. Usiadł na ławie i tak przemówił przy chłopach i czeladzi:

— Już raz byłem u ciebie za swata, Iwanie. Chcę być jeszcze raz. Pokłoń się.

Iwan Artiemicz nie mieszkając, cały w pocie, fiknął na polepę, do nóg carskich.

— Iwanie — rzekł Piotr Aleksiejewicz — sprowadź syna.

Artamoszka był tuż, za piecem. Piotr Aleksiejewicz postawił go między kolanami, badawczo obejrzał.

— Cóż to, Iwanie, chowasz przede mną takiego chwata? Ja miotam się jak nieczłowiek, a oni — patrzcie...

(I — do Artamona:) Jesteś piśmienny?

Artamoszka jeno pobladł nieco i po francusku, bez zająknięcia, jakby grochem sypnął:

— Rozumiem po francusku i po niemiecku, biegle czytam i piszę...

Piotr Aleksiejewicz rozdziawił usta: | Matko święta! No, jeszcze! —, Artamon to samo — po niemiecku. Skierował zmrużone oczy no świeczkę i — po holendersku, ale już jękając się.

Piotr Aleksiejewicz począł go całować, kle-

■
pać, popychać, potrząsał, przyciągał ku sobie.

- Powiedzcie nol Ach, zuch! Ach! Ach! Dziękuję, Iwanie, za podarek. No, teraz, bracie, pożegnaj się z chłopaczkiem. Ale nie pożałujecie, niezadługo zacznę hrabstwem za rozum darzyć...

Kazał zastawić wieczerzę. Iwan Artiemicz błagał, żeby wejść na górę do świetlicy: tu nie uchodzi. Na gwałt, za piecem, włożył perukę, wciągnął kaftan. Po kryjomu posłał pacholka po Sańkę. W drzwiach stanął major-domus ze srebrną gałką na lasce. Piotr Aleksiejewicz jeno śmiał się:

— Nie pójde na górę. Tu cieplej. Co masz, kucharka, dawaj nam z garnka...

Posadził obok siebie Artamoszkę, rozmawiał z nim po niemiecku. Żartował. Chłopów i czeladź częstował wódką. Kazał śpiewać pieśni. Podstarzali chłopci, stojący przy drzwiach — gdzie tu się podziac — zaśpiewali niedźwiedzimi głosami. Nagle do kuchni wpadła Sańka, upudrowana, na pół obnażona, w Jedwabiach. Piotr porwał ją za ręce, posadził z drugiej strony. Kobiетка nie tracąc głowy Jęła wtórować chłopom przeciągłym, delikatnym głosem, przysunęła świeczkę bliżej twarzy, spoglądała na Piotra — filuternie, przezroczo... Bawili się aż do północa.

Rankiem Piotr Aleksiejewicz pojechał z drużbami do księcia Bujnosowa — swatać Natalię. I tak Jeździł przez cały tydzień, to do Browkinów, to znów do Bujnosowów, ciągnął za sobą z pół setki ludzi. Stroili się,

Do Wiaźmy jechali powoli, z taborami. Długo karmili konie w zajazdach. Śniegu napadało sporo, dni były pogodne, droga lekka.

W Wiaźmie, w zajeździe, Aleksandra Iwanowna pokłóciła się z mężem. Wasilij zamierzał tu wypocząć, wyparzyć się w łaźni, a nazajutrz po nabożeństwie pójść do wojewody, dalekiego krewniaka, na obiad. No i przekuć konie, a to, a owo.

— Ja chcę jechać prędko. Już mi ta droga dała się we znaki — powiedziała do męża Aleksandra Iwanowna. — Odpoczniemy w Rydze.

— Saszał Przecież ci tłumaczę: za Wiaźmą niebezpiecznie. Tabory zbierają się po pięćset sań, żeby przebyć te okolice...

— O niczym nie chcę wiedzieć...

Siedzieli przy wieczerzy, na górze, w czystej komorze oświetlonej lampami. Wasilij — w rozpiętym kozusku podróżnym, Aleksandra Iwanowna — w żółdziowej aksamitnej szacie z długimi rękawami, w miękkiej wełnianej chuście, jasny warkocz upięty dokoła głowy. Nie jadła, kruszyła jeno chleb. Twarz mizerna, pod oczami — cienie, wszystko z niecierpliwości; Boże, co za niewiasta!

ucztowali na panieńskich i kawalerskich wieczorach. Szumne wesele odbyli na Pokrowę. Wesele to nieźle uderzyło Iwana Artiemicza po kieszeni. W dwa tygodnie potem Sańka z mężem wyjechała do Paryża.

Wołkow — niechętnie, żując marynowaną szynkę:

— Powiedz mi, coś ty za człowiek? Skaranie boskie. Ani spokoju, ani ciszy — nie śpi, nie je, po ludzku nie rozmawia... Pędzi cię na kraj świata — po co? Tańcować z królami owe minuwety? Byle jeno zechcieli...

— Dlatego tylko słucham tego wszystkiego, że jesteśmy w zajeździe.

Wasilij opuścił widelec z kęsem, długo patrzył na czoło żony z wysokimi, załamany mi tęsknotą i marzeniem brwiami, na ciemnoniebieskie oczy, błędzące licho wie gdzie...

— Och, Aleksandro, jestem cichy, cierpliwy.

— A choćbyś wrzeszczał — co mi tam.

Wasilij kiwał głową z wyrzutem. Wstydy, kochał żonę, chociaż nie wiedzieć za co. W kłótni — gdy jeno zaczęła sypać obraźli- wymi słowy — tracił głowę. Teraz to samo: czuł, że ustąpi, a przecie jeno wariat o dwóch głowach mógł zdecydować się na jazdę bez pewnego towarzystwa lasami, od Wiaźmy do Smoleńska. Opowiadano o tych miejscach straszne rzeczy: na przejezdnych napadał ata- . man Jesmień Sokół. Jedzie ktoś, powiedzmy, w dzień. Patrzy — na drodze stoi wysoki człowiek w kołpaku, w łapciach, za pasem nóż. Gęba od ucha do ucha, zęby ogromne. Jak gwizdnie, konie padają na kolana. A wtedy — poleć duszę Bogu.

— Bym się miała bać rozbójników, siedziałabym w Moskwie — rzekła Aleksandra Iwa-

nowna. — Konie mamy dobre, wyniosą. A zresztą, tym lepiej — będzie o czym opowiadać. Nie będę przecie z ludźmi rozmawiała o tym, jak ty chrapiesz w zajazdach.

Odepchnęła talerz i zawołała dziewczynę Kałmuczkę, kazała podać sobie zeszyt i posłać łóżko. Zeszyt zapisany przez brata, Arta- moszę — przekład z historii Samuela Pufendorfa, rozdział o Galii — położyła na kolanach i czytała schylona nisko. Wasilij podparł dłonią policzek — patrzył na ładną głowę Sańki, na szyję w lokach. Królowa za^ morska. A czy to dawno sama żęła i gnój roztrząsała! A teraz oto wpadnie do Paryża bez żadnej bojaźni i samemu królowi nagada różnych bzdur... „Ach, Sania, Sania, uspokoiłabyś się, brzuch by ci urósł, człek z tobą żyłby w domu, w ciszy...”

Sańka czytała poruszając wargami:

„...Okrom tego Francuzi są to ludzie wesołej myśli, skorzy do wszystkiego, chętni i łatwi w obejściu, a osobliwie w ozdobie zewnętrznej i poruszeniach ciała okazuje się w nich naturalna uroda. Wielu z nich pokusy wenusowe poczytuje sobie za chwałę i objęcia pięknych osób płci niewieściej wielce sobie chwala. Gdy zaś inni ludy chcą się do nich upodobnić i brać z nich wzór — jeno się same hańbią i podają na pośmiewisko...”

— Sam, miast tak siedzieć... (podniosła głowę, Wasilij chciał ziewnąć — zdrygnął się...) pofechtowałbyś się lepiej po drodze...

— A to znów po co?

194

— Jak przyjedziesz do Paryża, to zobaczysz, po co...

— Tego to już nadto! — rozzłoszczony Wasilij wylał z za stołu, nacisnął czapkę, poszedł na dwór — dojrzeć koni..

Zamglony księżyc wznosił się wysoko nad ośnieżonymi dachami szop. Na niebie — ani gwiazdki, jeno latają lśniące igielki. Łagodne powietrze z lekka mroziło włoski w nosie. Pod dachem, w czarnym cieniu, żuły konie. Obok sąsiedniej cerkiewki strażnik postukiwał sennie kołatką.

Do Wasilija podszedł pies, obwąchał jego wysoki walonek w kropki i podniósłszy pysk patrzył spod brwi, jakby w zadziwieniu na coś czekał. Wasilijowi nagle odechciało się jechać do Paryża, opuszczać tę ojczystą ciszę... Skrzypiąc butami, zawrócił z zalem — na górze, w bierwionowej świetlicy, z mikowego okienka lało się łagodne światło: Sańka czytała Pufendorfa... Nic nie poradzisz — taki już los...

Nałany jaskrawym światłem, pąsowy zachód zapadał za szczyty lasu. Obok przelatywały pnie, sterczące konary, ciężkie, fioletowe gałęzie zawadzały o wierch kolaski, osypywały śnieżnym pyłem. Wasilij wysunąwszy się po pas spoza odrzuconego skórzanego fartucha trzymał lejce, pokrzykiwał nieswoim głosem. Woźnica, zwałony z kozła, leżał gdzieś za zakrętem. Dobre konie, zaprzężone

13*

195

w szydło, dyszlowy wrony — pokryty szronem, drugi — cisawy i zła siwa klaczka, rwały chrapiąc. Podrzucalo na wybojach. Rozrzczeni z tyłu, pędzili zbóje. Głosy hukaly po lesie, odbijaly się echem...

Pięć minut przedtem za zakrętem, tam gdzie trakt krzyżował się z drogą pojną, spoza zeszlórocznego stogu wyszło dziesięciu chłopca — rośli, z toporami, z kołami. Woźnica, przerażony, całkiem zgłupiał i począł osadzać konie... Czterej rzucili się do koni krzyżąc strasznymi głosy: — Stać, stać! — Inni zapadając w śnieg biegli do kolaski. Woźnica rzucił lejce, zamachnął się na rozbójników rękawicami. Uderzyli go kołem w głowę.

Stało się to, nim człek, oprzytomniał — w mgnieniu oka...

Wyratowała szpicowa klacz: wspięła się, podniosła na uździe dwóch chłopów, poczęła wierzgać, gryźć. Sańka odrzuciła fartuch. — Bierz wodze! — Wyrwała mężowi pistolet zza kożucha, strzeliła w czyjeś brodate oblicze. Chłopi odskoczyli przed ognistym ciosem, ale więcej dlatego, że zdziwili się niewieście... Konie targnęły. Wołkow chwycił lejce, popędzili. Sańka rękąjęścią pistoletu okładała męża bez ustanku po plecach: — Pędź, pędź!

Pogoń ustała. Z koni buchała para. Ukazał się przed nimi ogon wielkiego taboru. Wołkow puścił konie stępa. Oglądał się szukając czapki w kolasce. Dostrzegł okrągłe oczy Sańki, rozdęte nozdrza.

— No, radaś? Nie wierzyłaś w Jesmienia

Sokoła? Ech, ty głupko, kurzy łbie!... Co będziemy robić bez woźnicy? A i szkoda go — dobre było chłopisko... A wszystko przez twoją babską głupotę, diablico...

Sańka nawet nie zauważyła, że jej wymyśla. Ach, to było życie — nie drzemka i nuda!...

Codziennie przez wszystkie rogatki wjeżdżały do Moskwy liczne tabory: wieszono ludzi do regularnego wojska, niektórych związanych jak łotrów, ale wielu przybywało dobrowolnie — z biedy-niedoli. Na placach moskiewskich do słupów przybito malowane na blachach • obwieszczenia o poborze ochotników do prawdziwego regularnego wojska. Żołnierze mieli obiecane jedenaście rubli na rok, żywność, furaz i porcję wódki. Chłoptwo, czeladź poddańcza, przymierająca głodem na przeludnionych bojarskich dworach, zadarłszy z rządcą, a nieraz samemu panu rzuciwszy czapkę pod nogi, uciekała do Preobrażeńskiego. Codziennie spędzano tu do tysiąca głów.

Nieraz ludzie do zmroku wyczekiwali na mrozie, aż oficerowie z ganku wywołają wszystkich z list imiennych. Wprowadzano ich do dolnych izb pałacowych. Wąsaci preobrażeńcy nakazywali ostro rozebrać się do naga. Człek, zastraszony, rozmotywał onu

ce, obnażał się, zakrywając przyrodzenie garścią — wchodził do sali. Między płonącymi świecami siedzieli długowłosi oficerowie w pilśniowych kapeluszach, patrząc na wchodzącego niby jastrzębie: — Imię? Przewisko? Ile masz lat? — Ale: coś ty za jeden, może zbieg czy złoczyńca — nie pytali. Mierzyli wzrost, wywracali wargi, kazali okazać przyrodzenie. — Zdatny. Do takiego a takiego pułku. *

Za pałacowym podwórzem w śnieżne pola ciągnęły się nowo wybudowane stodoły żołnierskie. W chatach umieszczano zdatnych całymi gromadami. W każdej chacie pełno było chłopów. Naczelnik każdej — młodszy podoficer z trzcina. Ów mówił do nowo przybyłych:— Słuchać mnie jak Boga, nie będę wam powtarzał dwa razy, skórę złupię. Jestem dla was Bóg, car i ojciec. — Żywiono dobrze, ale swobody nijakiej nie było; nie to, co za dawnych czasów w strzeleckich pułkach. Żołnierka!... Budzono bębniem. Pędzono na czczo przez stratowane pole. Ustawiano w szeregu po czterech. Uczono najpierw rozróżniać ręce: która lewa, która prawa. Niejeden chłop odkąd żył nie zastanawiał się, jakie ma ręce. Pamięć wpajano kijem. Zjawiał się oficer, przeważnie cudzoziemiec; często — na pół pijany. Stanąwszy przed szeregiem, wytrzeszczał zamglone oczy na siermięgi, półkożuszki, łapcie, buciory filcowe, czapki barankowe. Wymagał, aby go rozumieli, wymachiwał trzcina. Bieda uczyła rozumieć: „Marsziren” —

to iść, „halt” — stanąć. „Szwejna” albo „ru- sysz szwejna” — to znaczy, że wymyśla... Po śniadaniu — znów w pole. Zjedli obiad — po raz trzeci marsz z kijami albo muszkietami. Uczono ciągłego szyku jak w wojskach księcia Sabaudzkiego, równego marszu, zgodnego strzelania, atakowania z nasadzonymi bagnietami. Winnych sieczono bez litości tuż przed szeregiem, na śniegu, spuściwszy spodnie.

Trudne były wojenne artykuły: „Nabij muszkiet!” Należało pamiętać po porządku: „Otwórz panewkę! Syp proch na panewkę. Zamknij panewkę. Wyjmij ładunek. Odgryź ładunek. Kładź w lufę. Wyjmij stempel. Nabijaj muszkiet. Odwóź kurek. Cel...” Strzelano plutonami — jeden szereg nabijał na kolanie, drugi stojąc dawał ognia; strzelano ni-derfałami, gdy wszystkie szeregi — oprócz jednego — po kolei padały twarzą na ziemię.

Instrukcją wojenną zarządzał brygadier Adam Iwanowicz Weide, wojak cesarski. On, generał Artamon Michajłowicz Gołowin i książę Anikita Iwanowicz Riepnin otrzymali rozkaz sformowania trzech dywizji po dziesięć pułków w każdej.

Porucznik Aleksy Browkin zwerbował na północy pięciuset ludzi zdatnych do służby i przekazał ich bądź wojewodom, bądź świeżo mianowanym landratom, by ich odesłano do Moskwy. Teraz posuwał się dalej za Północ, w głuchą puszczy. Opowiadano, że

tam w pustelniach ukrywa się mnóstwo zbiegów i luźnego chłopstwa. Ludzie świadomi rzeczy nie radzili mu zapuszczać się za daleko:

— Po pustelniach rozeszła się wieść, ras- kolnicy mają się na baczości. Ich kupa, a was — dziesięciu na trzech saniach. Zginiecie bez wieści.

Lud w tych okolicach był srogą — myśliwi, puszcacy. Mieszkali w ogromnych chatach ze starych pni, gdzie pod jednym dachem mieściła się i obora, i sąsiedzi. Wsie nazywały się pohostami. Od sadyby do sadyby — całe ani marszu po leśnym bezdrożu. Aleksy rozumiał, że sprawa będzie niełatwa. Lecz trudno przeżyć życie bez żadnej bojaźni. A oto gdy zaczniesz Piotrowi Aleksiejewiczowi zdawać sprawę, że dotarłeś het, na północ, ale strach cię obleciał — ów spojrzy jak żuraw, z góry na dół, pożerającym wzrokiem, szarpnie ramieniem — odwróci się: to dopiero strach! Skończyło się twoje szczęście, choćbyś, człe- cze, łbem tłukł o ścianę. Aleksy młody był, zapalczywy, uparty. We śnie nawet pamiętał, jak przywędrował do Moskwy z groszakiem za policzkiem, zębami wydarł losowi białą szarfę oficerską.

W Powieńcu na bazarze Aleksy znalazł myśliwca, Jakima Kriwopałowa, i wziął go za przewodnika. Jakim już dwadzieścia lat był zatrudniony przez kupców Riewiakinów jako łowca; strzelał lisy, kuny, wiewiórki, a za dawnych lat bijał i sobole, ale teraz w tych okolicach sobole zostały wytrzebione. Skórki oddawał faktorowi w Powieńcu i hulał, póki nie przepił wszystkiego aż do krzyżyka na szyi. Riewiakinowy faktor znowu zaopatrywał go w odzież, piszczel i zapas prochu. Tej jesieni łów był lada jaki, z rejestru okazało się, że Jakimowi nie tylko nic się nie należy, ale jeszcze we dwie zimy nie odrobi całego długu. Pokłócił się, zaczął pić. Aleksy Browkin podniósł go ze śniegu pod karczmą, pobitego i gołego. Jakim okazał się złotym człowiekiem — byle jeno wiedział, że w saniach pod kozłem leży butla z gorzałką.

Jakim biegł na krótkich nartach przed saniami: wskazywał drogę. Lasy były cudne i straszne. Poprzez pnie widniały ogromne kamienne łby, obrośnięte drzewami. Wyjeżdżali na brzeg samotnego jeziora, od śnieżnej gładziny bolały oczy. Niekiedy dawał się słyszeć przygłuszony szum spadającej wody. Jakim przysiadł na bok sań.

— Tu nigdy jeszcze ludzi nie rachowano. Takie diabelskie miejsca, - ja jeden wiem, jak się tam dostać. Ale tu lud twardy, ciężko będzie go wziąć.

Na noc skręcali do zimowiska albo na polankę, na brzeg rzeczki, gdzie pod śniegiem leżały ścięte drzewa, przygotowane na wiosnę, na stopy. Przy pochylonym zrębie wyprzęgali konie. Żołnierze ścioali gałęzie świerkowe, wnosili do izby. Rozkładali ogień na polepie. Dym powoli uchodził ze szpar pod dachem, wznosił się nad lasem w szare niebo.

Jakim kręcił się niespokojnie, póki nie dostał czarki wódki. Uspokojony, przysiadł na gałęziach w pobliżu ognia — szerokobrody, z grubymi wargami, wielką grdyką, oczy okrągłe, leśne — istny duch leśny; sam zaczął opowiadać:

Rozumiesz, byłem wszędzie, zlażłem cały Wyg, w Pustelni Wygowskiej przebyłem niejeden tydzień, znam takie mateczniki, do których prowadzi jedna jedyna ścieżka, a i tą idzie się z bojaźnią. Nie mogą dociec, gdzie kryje się starzec Nektariusz. Strzegą, nie mówią. Napomknij jeno o nim jakiemuś raskolnikowi, zmilczy, choćbyś pasy darł. Dla waszej sprawy pożytecznie byłoby się z nim zobaczyć: a może by wam odstąpił ze dwustu suchów... Och, siła...

—r- Czymże on jest u nich — spytał Aleksy — patriarchą czy kimś takim?

— Starcem. Protopop Awwakum błogosławił go przed straceniem w Pustoziersku... Dwanaście lat temu w Paleostrowsku spalił półtrzecia tysiąca raskolników. Podeszli nocą po lodzie, wyłamali klasztorną bramę, związali mnichów, przeora, wrzucili do lochów, rozbili komory — wszystkich nakarmił, napił. Zabrali skarbiec. Wszystkie obrazy w cerkwi wymyli święconą wodą. Zapalili świece i dalej odprawiać swój obrządek. Chłopów miał ze sobą niewielu, ale tych bab, dziecisków... Z Powieńca idzie po lodzie wojewoda ze strzelcami.

„Poddajcie się!” Chłopi przez trzy dni grozili bitwą, ale że strzelcy

mieli działa — nanieśli do cerkwi słomy, smoły, saletry i w nocy, akurat na Boże Narodzenie, spalili się. A przecie Nektariusz uszedł, a z nim garstka chłopów. Po trzech latach spalił na Pudożeskim pohoście półtora tysiąca głów. Całkiem niedawno około jeziora Woł znów było w lasach wielkie palenie. Powiadają, że to on. Teraz rozeszły się wieści o wojnie, o brance do wojska, niedługo będzie wielkie palenie... Wierzcie mi. A lud wali do niego.

Aleksy i żołnierze dziwili się słuchając: — Palić się dobrowolnie! Skąd się biorą tacy ludzie?

— To proste — mówił Jakim. — Uciekają do niego chłopci czynszowi, pańszczyźniani, czeladź, opuszczają zagrody i gadzinę: spod Nowogrodu i Tweru, moskiewscy, wołogodzcy. Boże kochany! Ileż tu po lasach kości ludzkich... Zbierają się w pustelni tysiące — jak ich wyżywić? Nie ma tu własnego zboża. Zaczynają stękać, upadać na duchu. Mają po próżnicy grzeszyć — Nektariusz wyprawia ich do rajy najkrótszą drogą.

— No, teraz to już łzesz.

— Aleksy Iwanyczu, nigdy nie łżę. Ludzie żywcem kładą się do grobu — są i tacy... Niedaleko od Morza Białego jeden staruszek komunikuje rodzynek, komu włoży w usta rodzynek, to znaczy, że błogosławił na porzebanie żywcem...

— Pal cię lichu — przed nocą takie gadki... — Aleksy przy ognisku owinął się na

gałęziach kozuchem. W chwilę potem rzekł: — Jakimie, musimy dostać w ręce tego starca Nektariusza... Z lasu na oświetloną księżycem polankę wyszło dwóch ludzi na nartach. Od zimowiska zalatywało dymkiem. Przy saniach stały konie z pochylonymi łbami, nakryte rogożą; wartujący żołnierz, przypadłszy do przodu sań, spał obejmując muszkiet rękawami kozucha.

Dwaj ludzie na nartach bezszelestnie okrążyli zimowisko. Stali wsparci na rohatynach, nasłuchiwali. Księżyc okolony bladawym kręgiem, w oszronionym lesie — cisza. Za ścianą chaty ktoś głucho zamamrotał. Koń u sianek westchnął z głębi brzucha. Wartujący żołnierz leżał jak zastygły — wąsata twarz w świetle księżyca.

Jeden na nartach rzekł:

— Związać by go? Śpi mocno. Potem rzuciłoby się w ogień z modlitwą.

Drugi wpatrywał się wysuwając brodę.

— Wiązać go — narobi się rwetesu, będzie wrzeszczał. A tam ich dziesięciu.

- Więc jak?

— Żgnąć raz rohatyną. Potem podparlibyśmy drzwi.

— Ach, Pietrusza, Pietrusza — pierwszy człek zakopał czapą z nausznikami.—A ciebie kto ciągnie za język? Krew? Człek przecie nie zwierz... Powiedziano: „W ogniu otrzy masz chrzest, człecze...” W ogniu... A ty — rohatyną! Duszę zgubisz...

— Wezmę grzech na siebie...

— Ani się waż o tym myśleć. Nie kuś mnie, na miłość Jezusa...

— A przecie to dobra sprawa: prędko i cicho...

— Zobaczymy, co ci jeszcze rzeknie ojciec Nektariusz za te myśli.

—Przecie ja chcę jak najlepiej...

Zamilkli. Rozmyślali, co począć. Po błękitnym śniegu przebiegł nierówny cień sowy: zwietrzyła żer, krążyła, przekłęta. Nagle skrzypnęły drzwi chałupki, wylazła stamtąd satyrza głowa Jakima — widać, za potrzebą. Zobaczył tych dwóch, krzyknął, rzucił się w tył, wszczął gwałt. Owi dwaj prześliznęli się za ośnieżone gałęzie, pobiegli; dosłyszeli — gruchnął strzał, zmącił ciszę leśną.

Długo uciekali klucząc umyślnie, płącząc ślady. Przedarli się przez gęstwinę świerków aż do strumienia, świt był już bliski — księżyc wysoko. W pobliżu uderzano w blachę powoli, żałośnie.

i

Andriuszka Golikow dzwonił na jutrznię. Był w nie pokrytej, lisiej starej szubinie, lecz boso. Przeszępując parzonymi przez śnieg, po- siniałymi stopami, powtarzał śpiewnie słowa Awwakuma: — W urzędzie męczeńskim, w pułku apostołskim, w obliczu świętych pańskich — f raz po raz uderzał kołatką w bla

chę zawieszoną zamiast dzwonu na słupie pod daszkiem, na wprost bramy pustelni. Starzec zadał mu taką pokutę za to, że wczoraj, w dzień postu, zapragnął i napił się kwasu.

Na dzwonięcie zaczęła się gromadzić brać. Wychodzili z cel: mężczyźni — osobno, kobiety — osobno. Pustelnia, ogrodzona częstokołem, była niewielka. Wielu mieszkało opodal, na brzegu strumienia, na skraju bagnistej kępy. Stamtąd przychodzili ścieżynami leśnymi. Dalsi śpieszyli bojąc się spóźnić: starzec był wielce surowy.

W środku pustelni, między ściślo ułożonymi wałami słomy, stała kaplica, niska, ciosowa chata z szerokim, pochylonym na cztery strony dachem, ze stożkową wieżyczką pośrodku na ośmiościennym zrębie.

Brać wstąpiwszy w bramę szła w bojaźni, zwiesiwszy głowy, przycisnąwszy do piersi ręce: mężczyźni niestarzy i średnich lat, niewiasty — w płóciennych całunach na kożuszkach, w chustach spuszczonej na twarz. Głucho, z pojęciem — żalem cielesnego bytu — w księżycowej poświacie dźwięczało żelazne brzękadło i skrzypiał śnieg pod łapciami.

Przed drzwiami ludzie żegnali się dwoma palcami, kornie wchodzili do kaplicy z bierwionowymi, oszroniałymi ścianami. Przed obrazami malowanymi wedle dawnego obyczaju paliły się groszowe świeczki. Zdawało się to cudem — świeca w takiej puszczy.

Klękali; mężczyźni — po prawej stronie, kobiety — po lewej. Dzieliła ich szyta z gałga- nów zasłona, zawieszona na powrozie z łyka.

Owi dwaj na nartach, dysząc ciężko, wpadli do bramy pustelni i — głośno do Andrzeja:

— Przestać kołatać — biadał

— Czym prędzej powiedz starcowi, niech wyjdzie do nas...

Dusza Andrzeja była napięta jak ścięgno — z postu, z bezsennego czuwania, wiecznego strachu. Przeraził się, upuścił kołatkę, zadygotał, jął dyszeć. Nie na próżno Nektariusz uczył go zwycięzać biesy (a jest ich niezliczona mnogość: ile myśli, tyle biesów), w myśli wykrzyknął śpiesznie: „Wrogu, szatanie, odstęp ode mnie...” Podniósł kołatkę, uderzył w żelazo pod daszkiem, szarpnął głową: nie przeszkadzajcie, idźcie precz...

— Andrzeju, gadają ci: tam oficer z żołnierzami — o pięć wiorst stąd;..

— Dzwon choć ciszej, usłyszają... Jest z nimi Jakim... Przyprowadzi ich tu za głosem.

Andrzej — poprzez szybko szczękające zęby:

— Starzec jeszcze w celi, idźcie wprost do niego.

Zdjęli narty, poszli. Obaj, Stiopka Barmin i Pietruszka Kożewnikow, byli z powienieckiej osady, łowili ryby, polowali na zwierza... Za żeganie się dwoma palcami powieniecki wojewoda nieraz ich grabił i tłukł, zabrał bydło z zagrody, aż im to obmierzło. Już ze dwa lata ich żony i dzieci mieszkały po

tajemnie w Wygowskiej Pustelni, a oni sami w różnych miejscach — gdzie dalej i łatwiej o zwierza. Gdy przyszła wieść, że do pustelni przybywa oficer z żołnierzami (ogoleni, mięsożerni, tytoń „taguntrawa” śmierdzi o wiorstę), Nektariusz nakazał Stiopecie i Pietruszce śledzić ich, wodzić po manowcach i jeśli się nadarzy sposobność, bez grzechu zgładzić antychrystowe sługi.

Wprost do ojca Nektariusza nie można się było dostać. Do zimnej sieni wyszedł probant — dwu ich miał starzec: Andrzeja i tego oto, kuternogę Porfirija, wątłego młodziana z wywróconymi oczyma. Opowiedzieli mu się szeptem. Porfirij skłonił głowę na bok, przemówił samym jeno westchnieniem: — Wejdźcie... — Leśni chłopci, zerwawszy czapki, wchodząc z sieni do celi starali się jakoś zmaleć byli nad miarę zdrowi i tędzy. Starzec nie cierpiał bujności cielesnej.

Stojąc przed ołtarzykiem — malutki, zgarbiony, w starego kroju czarnej szacie domowego wyrobu — Nektariusz spojrział zezem na Stiopkę i Pietruszkę. Klinowata, wąska broda sięgała niemal kolan, pod czarnymi brwiami — węgle, nie oczy. Świeca, przylepiona do stoczonyj przez robaki oprawy książki, skwierczała cicho — widać na mocniejszy mróz. Piec zrobiony z nadjeziornych głazów zionął gorącem. Bierwionowe ściany dokładnie wygładzone. Pod sufitem na łyku pęczki suchego ziela.

Z wąsów Stioпки i Pięteuszki zsuwały się lodowate sople, ale bali się wytrzeć, poruszyć, póki starzec nie skończy. On zaś modlił się groźnym głosem. Z ciemnego kąta patrzył na niego leżąc na boku opętany chłop, przykuty łańcuchem w poprzek tułowia do żelaznego haka w ścianie. Przy piecu rosło ciasto w dzieży nakrytej starym habitem.

— No, czego chcecie? — Nektariusz odwrócił się do chłopów, ruszył na nich siwą brodą. Chadzali na niedźwiedzia, łosia bili w pojedynkę — przed nim przecie truchleli. Stioпка jął zawile opowiadać, co się zdarzyło, Pietruszka przytakiwał z miną winowajcy.

— A więc — rzekł Nektariusz miękkiem głosem — więc ty, Pietruszka, chciałeś tego żołnierza zadźgać rohatyną, a ty, Stioпа, grzechu się uląkleś?

Stiepan mu na to — gorąco:

— Ojczy, już dwa tygodnie, jak za nimi chodzimy. Przeklęty Jakim zna te miejsca, prowadzi prosto tutaj. Myśleliśmy i tak, i siak... Tamci strzegą się, a byłaby dobra rzecz: podeprzeć drzwi do zimownika i — ogieniek. Ochrzcilibyśmy ich z modlitwą... Im byłoby dobrze i nam... Ale jakoś się nie udało... A zabijać — uchowaj, Chryste... Dziś tylko bies nam przeszkodził...

— Czym ja w: s błogosławił na to spalenie? — zapytał starzec. (Chłopi spojrzeli na niego ze zdziwieniem, nie odpowiedzieli.) A więc twoja modlitwa, Stioпа, dość jest gorąca, by dziesięciu ochrzcić w ogniu? Och! och! Któż ci dał taką władzę? Patrzcie go,

bies podkusił Pietruszę, a tyś zmógł nawet biesa. Ach, świętości! Ach, władza!

Stiepan zasepił się. Pietruszka patrzył na starca mrugając, bo nie rozumiał.

— Porfirij, rybeńko, włóż węgielek w kadzidło, rozdmuchaj z modlitewką — wyrzekł starzec.

Kulawy Porfirij zdjął z drewnianego gwoźdźnia kadzidło, pokuśtykał do pieca, rozdmuchał węgielek świerkowej żywicy i podał starcowi, całując dłoń jego. Nektariusz drugą ręką omal że szurając kadzielnicą po podłodze, jął ze szczękiem dymić na chłopów w twarz i z boków — obchodził ich z tyłu, szepcząc, bijąc pokłony. Oddał kadzidło Porfirijowi? wyjąwszy spoza rzemiennego pasa różaniec, boleśnie chlasnął po twarzy Stiopkę, potem Pietruszę. Chłopi uklękli. On z szeptem posiniałych warg: — Pycha, pycha potępiona — zapalając się bił ich po twarzach. Opętany chłop zarżał nagle na całą izbę, począł targać łańcuch, rzucając się jak pies.

— Bij ich, bij, staruszk, wypędzaj czarta!

Starzec zmęczył się, odszedł, ciężko dyszał.

— Za co, zrozumiecie później sami — rzekł krztusząc się. — Idźcie w imię Jezusa...

Chłopi ostrożnie wyszli z celi. Księżycowe światło pobladło; za kaplicą, za czarnym lasem występowała zorza. Przejmował mróz. Chłopi rozłożyli ręce: czym zawinili? Dlaczego? Co teraz począć?

— Dużośmy chodzili, a mało jedli — przemówił z cicha Pietruszka.

— Jak teraz go prosić?

— Może choć chleba da?...

— Już lepiej mu się nie pokazywać. Chodźmy tak — znowu do tamtych. Zabijemy wiewiórkę, zjemy...

Andriuszka Golikow wlaź na piec, dygotał całym ciałem. (Starzec idąc do kaplicy kazał mu przestać dzwonić, nie dopuścił do nabożeństwa: — Idź, sadzaj chleby do pieca.) Odziębione nogi bolały dotkliwie na gorących kamieniach, z głodu mąciło się w głowie. Leżał twarzą do polepy, wpiwszy zęby w podściółkę. Aby nie krzyczeć, powtarzał w myśli z pisma Awwakuma: „Człeczce, jesteś gnojem i kałem... Przysłało mi życie z psami i świńmi, śmierdzą one równie obrzydłym smrodem, jako cała moja dusza. Cuchnę od grzechów jako pies padły...”

Opętany chłop, kręcąc się w kącie na łańcuchu, zagadał:

— Dziś nocą znowu ojczulek żarł miód.

Tym razem Andrzej nie krzyknął na niego: — Nie szczekaj — mocniej zagryzł podściółkę. Już brakło mu siły, by dłużej dławić w sobie strasznego biesa zwątpienia. Wlaź ów bies w Andriuszkę z błahego powodu. Pościli we trzech — Nektariusz z nowicjuszami — czterdzieści dni, nie przyjmując żadnego pokarmu prócz małego łyka wody. Aby Andrzej i Porfirij nie chwiali się przy czytaniu zasad wiary, pozwolił im zwilżać usta

kwasem i pierś rozgrzewać parą. O sobie powiadał: — Mnie tego nie potrza, mnie anioł rajska rosą usta odświeża. — I dziw: Andriuszka i Porfirij ledwie zipali z osłabienia, w twarzy zostały im same jeno oczy, a ów — czerstwy.

Raz jeno Andrzej dojrzał nocą, jak starzec cichutko zlazł z pieca, zaczerpnął z garnka łyżką miodu i spożył z nie poświęconą pros- kurą. Andrzej zeszywniał: zda się, lepiej by już widzieć, jak zarzynają czleka, niżli to, co teraz. I nie wiedział — zataić, co widział, czy rzec? Rano przecie zapłakawszy powiedział; Nektariusza aż zatknęło.

— Psie, głupcze I Bies to był, nie jal A tyś się uradował! Oto ono, cielsko potępionel Ty byś za łyżkę miodu królestwo niebieskie sprzedał!

Począł bić Andrzeja ożogiem, którym wsadzają do pieca garnki, wypchnął go z celi na śnieg w samej koszuli. Myśli uspokoiły się na pewien czas. Ale gdy w celi nikogo nie było, opętany chłopek (siedzący tu na łańcuchu od jesieni, w ciepłe, z łaski Bożej) rzekł do Andriuszki:

— Popatrz no, łyżka umazana miodem, a wieczorem była umyta. Obliz.

Andrzej wymyślał chłopa. Następnej nocy starzec znów jadł miód po kryjomu, mlaskał wargami drobno jak zając. O świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, Andriuszka obejrzał łyżkę — umazana miodem! I nawet siwy włos przygnał...

Wielkie zwątpienie rozdarło duszę. Kto kłamie? Czy jego oczy kłamią — na łyżce miód, włos z wąsa, siwy (toć przecie nie szatański włosi)? Czy starzec łże? Komu wierzyć? Była taka chwila, że omal nie postradał zmysłów: zamęt, rozpacz! Nektariusz powtarzał nieustannie: — Antychryst podszedł do bram świata, a padół cały pełen jego bękartów. I w naszej ziemi zagnieździł się wielki szatan, miarą zaś jego — najgłębsza otchłań piekiel. — A skoro tak, spróbuj przekonać, że sam Nektariusz nie jest zwodzicielem? I diabeł potrafi okładać ożogiem po grzbiecie. Wszystko dwuznaczne, wszystko grząskie niby moczary. Pozostało jedno: o niczym nie myśleć, zwiesić głowę Jak zbity pies i — wierzyć, wierzyć brzuchem. A gdy nie można wierzyć? Jeśli musi się myśleć? Myśli nie można zdławić, ugasić — migają jak błyskawice. Więc i to sprawa Antychrysta? Myśli — błyskawice Antychrysta? Andrzejowi zamierały wnętrzości: gdzież się udam? gdzież się obrócę? Słaby, nędzny, ubogi... Paść by starcowi do nóg — poucz! wybawi Ale nie mógł: majaczyły mu wąsy w miodzie... Przyszedł na pustelnię szukać ukojnego bytowania, znalazł zwątpienie...

Potem Andrzej dla słabości ciała zaniemógł, myśli otepiały, przycichły, uspokoiły się... Codzienne plagi znosił niby łaskotanie. Starzec srożył się nad nim co dzień gorzej. Do drugiego: „Porfiriuszka, rybeńko”, a tego — nawet konia tak nie biją. Gdyby tak uciec...

Ale dokąd? Juści, Denisów mówił do Andriuszki (gdy w końcu grudnia przywieźli saniami zboże do Wygowskiej Pustelni): — Posiedź u nas, popracuj przy malowaniu świątyni. Jak lody ruszą, pošlę cię z towarem do Moskwy. Ufam ci. — Andriuszka odmówił, pragnął czego innego: ciszy, ukojenia... Zdawało się, że już widzi celkę w lesie; nad rzeczką na kamieniu staruszeczek w skufii prawi o nieziemskim świecie ukochanemu probantowi, zwierzowi, który wyszedł z lasu posłuchać, ptactwu siedzącemu na gałęziach i północnemu słońku, skąpo świejącemu nad gładką powierzchnią oddalanej rzeczki... Znalazł ciszę i takiej nawałnicy nie miał w myślach nawet wówczas, gdy w nocne zawieje dygotał w rozpadlinie kitajgorodzkiego muru, słysząc, jak uderzają o siebie zmarzłe trupy strzelców, jak skrzypią szubienice.

Opętany chłop patrząc na zapiecek, gdzie Andriuszka przypadł twarzą do polepy, prawił:

— Tu długo nie pociągniesz, wątłyś. Staruszek wpędzi cię do piachu, stanąłeś mu ością w gardle. Och, staruszek jest pyszny, lubi władać! Święci spać mu nie dają po nocach. Naczyta się „Żywotów” i nuż wydziewać!... Gdyby nie lute zimy, przesiedziałyby na sośnie nawet dziesięć lat. A ludzi dlatego pali, że lubi władzę! Leśny car!... Przejrzałem go na wskroś, ja, bracie, mędrszym od niego, dalibóg. Jestem mędrzy od was wszystkich.

Prawda, siedzą we mnie trzy biesy... Pierwszy — padaczka, to mocny bies... Drugi bies — jestem leniwy... Gdybym nie był leń, czybym tu siedział na łańcuchu... Trzeci bies — jestem nazbyt mądry, aż strach. Na dzień, nim padaczka zacznie mną rzucać, wszystko przenikam. Robię się zły, wszystko mi wstrętne. Wiem o każdym człowieku, skąd on, co z niego za głupiec i czego chce. I umyślnie gadam duby smalone, dla śmiechu. Gryzę łańcuch, miotam się — wierzą, a mnie śmiech... Staruszek nawet patrzy, bałuszy gały... On się mnie boi, bracie. Na wiosnę znów odejdę od niego. Tobie, Andriuszka, on wątrobę ożogiem odbije, uświerkniesz. A najpewniej pierwszego spali ciebie przy najbliższym paleniu.

— Och, na miłość Boską, zamilcz...

Andrzej zlął z pieca, umył ręce, zakasał rękawy, zdjął z dzieży pokrycie. W innych celach robiono ciasto z trzeciej części mąki a dwóch trzecich suszonej i tłuczonej kory — tu ciasto było z czystej mąki, wyrosło jak czapa. Opętany chłopek wysunął się, by popatrzeć. Targnął łańcuch, wyrwał go ze ściany razem z hakiem. Andrzej przestraszył się. Chłop rzekł zakasując rękawy:

— To nic... Często tak robię. Starzec powróci... — hak znów zatknę, siądę.

Również umył ręce. Razem z Andrzejem jął wyrabiać proskury, wsadzać do pieca.

— A przecie nudy, Andriuszko... Żeby tu jaką babę sprowadzić...

— Cicho bądź... ,Tfu! (Andriuszka znakiem

krzyża chciał się obronić przed takimi słowami, palce były oblepione ciastem.) Dalibóg poskarzę się starcowi...

— Ja ci się poskarzę... Myślisz, głupi, że w pustelniach babom brzuchy rosną od wiatru? Jest ich w Wygowskiej Pustelni ze trzydzieści, chodzą jak cielne krowy... A przecie tam srogo na te rzeczy...

- —r Wszystko łesz...

— Widzę, żeś ty jeszcze nie próbował tego miodu, Andriuszka?

— Nigdy w życiu nie splugawię się...

— Zawołać gładką kobietkę i kazać umyć podłogę. Myje, a ty siedzisz na ławce, rozpalasz się. To ci mocniejsze niż wódka...

Andriuszka pospiesznie zeskrobał z palców ciasto. Wyszedł z celi na mróz, postać trochę. Za lasem rozlała się szeroko zorza poranna, jeno patrzeć, a słońce wszędzie. Siady na śniegu wypełnione miękkim cieniem, przy chatkach pochylały się cukrowe zasy, zieleniły się wierzchołki ogromnych świerków. Przez uchylone drzwi kaplicy dał się słyszeć posępny śpiew. Stiopka i Pietruszka znowu przebiegli obok Andriuszki, krzyknęli:

— Idą tu! Zawieraj wrota...

Aleksy Browkin posłał Jakima, by pogadał z raskolnikami: co zacz, ilu ich jest i czemu nie otwierają bramy carskiemu oficerowi. Konie zostawił w lesie, na drodze, a sam z żołnierzami, rozkazawszy nabić muszkiety, podszedł do pustelni. Spoza wysokiego tynu skrzyły się na dachach czapy śniegu, ośmioramienny krzyż niebieszczył się na kaplicy — ' dobiegał stamtąd śpiew, choć czas nabożeństwa dawno już minął.

Jakim długo dobijał się do furty. Wlazł na płot, popatrzył, czy nie ma psów, i zeskoczył na podwórze.

Aleksy dla postrachu włożył trójgraniasty kapelusz, kożuszek przepasał szarfą ze szpadą — tu chyba można by się zasilić ludźmi, gdyby dobrze postraszyć. Rzadko kiedy dobierali się do takiego matecznika podiaczowie albo komisarze z Izby Burmistrzowskiej, ściągający podwójne opłaty z ludzi żegnających się dwoma palcami. Czas upływał. Żołnierze spoglądali na niskie słońce, od rana nic jeszcze nie jedli. Aleksy kaszłał gniewnie w rękawicę.

Nareszcie Jakim przelazł przez tyn na tę stronę.

— Aleksy Iwanowiczu, udało się: jest tu Nektariusz...

— Czemu ten diabelski kum nie otwiera bramy! Żołnierze mi wymarzną.

— Aleksy Iwanowiczu, wszystek lud zamknął się w kaplicy. Widzisz, jest taka sprawa: spotkałem tu znajomka — pewien taki chłopiec nowogrodzki siedzi u nich na łańcuchu... Opowiedział mi: jest dwieście ludzi owczarni, są zdadni do wojska, ale trudno ich będzie wziąć: starzec chce ich spalić...

Aleksy spojrział na Jakima ostro, z niedowierzaniem.

Idź do kaplicy...

— Gadałem ci, że nie pójde, odczep się — powtórzył ponuro opętany chłop.

Nektariusz wszedł z powietrza zdyszany, na brodzie długie sople wosku. Źrenice zbielełych oczu skurczyły się jak makowe ziarn

— Jak to; spalić? A któż mu pozwolił? Nie dopuścimy. Nie jego ludzie — carscy...

— Jużci, ale w lasach on dla nich jest carem...

— Dość tego łgarstwa! (Aleksy, nachmurzony, przywołał żołnierzy, ci zaczęli zbliżać się niechętnie, rozumieli, że sprawa jest niezwykajna.) Nie będziemy długo gadać. Chłopcy, wyważyc bramę...

— Aleksy Iwanowiczu, trza by ostrożniej. Kaplica gęsto obstawiona snopami, a we środku — słoma, smoła i beczułka z prochem... Już lepiej ja starca jakoś wywabię. On sam chyba rozumie, że to nie żarty, dwieście ludzi namówić na taką rzecz. Aleksy Iwanowiczu, okażcie mu szacunek, staruszek lubi władzę, dogadacie się polubownie...

Aleksy odepchnął gadatliwego chłopca. Podeszedłszy do bramy spróbował, czy mocna.

— Chłopcy, bierzcie belkę...

Jakim odszedł na stronę. Mrugając patrzył z ciekawością — co teraz będzie? Żołnierze rozhuścili belkę, uderzyli w przemarzłe pale bramy. Po trzecim uderzeniu oddalony śpiew raskolników ucichł.

ka, czy to, by nastraszyć, a najpewniej, że już sobą nie władał. Zapiał przez zaciśnięte gardło:

— Jewdokimie, Jewdokimie, nastał sąd ostateczny,.. Ratuć duszę! Pozostała ci jedna godzina do wiecznych mąk... Och, strasznie! Jak to złe duchy radują się w tobie! Ratuć się!

— Wynoś się na pysk! — wrzasnął Jew- dokim i złowrogo potrząsnął łbem. — Jakie tam biesy I Nigdy ich we mnie nie było. Idź sam błaznować przed durniami...

Nektariusz podniósł różaniec. Opętany chłop pochylił się, spojrział spode łba — starzec osłabł na chwilę, przysiadł na ławce. Milczeli.

— Gdzie Andriuszka?

— Diabli go wiedzą, tego twojego An- driuszkę.

— Nie, potępieńcze, nie masz dla ciebie zbawienia...

— No dobrze już, dobrze, przestań labi- dzić...

Starzec porwał się, by zobaczyć, czy nowicjusz nie schował się za piec w obawie utraty życia. Gdy wtem na podwórzu huknęło, zatrzeszczało.

— Wysadzają bramę — rzekł chłop szcze- ' rząc zęby. Nektariusz doszedłszy do pieca potknął się i poczał niesamowicie dygotać. Szata jego wzdeła się jak żagiel, gdy popędził na dwór. Drzwi zostawił otwarte na oścież.

- Andriuszka — zawołał chłop — zamknij drzwi, ciągnie.

Nikt nie odpowiedział. Chłop wyciągnął ze ściany hak, klnąc podszedł, zatrzasnął drzwi.

- Nie zanosz się na nic dobrego. Trza uciekać.

Zajrzał za piec. A tam, między ścianą a piecem, stał Andriuszka Golikow — biały, bez zmysłów. Czkał ledwie dosłyszalnie. Jewdo- kim pociągnął go za rękę.

— No co, nie chce się umierać? Nie chce się — I nie potrza, obejdz się bez ognia... Poszukaj no klucza, słyszysz? Gdzie stary schował klucz? Chcę zdjąć łańcuch. Andriuszka I Opamiętaj się...

Wszyscy klęczeli. Niewiasty płakały bez słowa, przyciskając dzieci. Mężczyźni — jedni, z opadającymi na czoła włosami, zakrywali twarz sękatą dłonią, inni bezmyślnie patrzyli na płomyki świec. Starzec wyszedł z kaplicy nie na długo. Odpoczywali, zmęczeni przez tyle godzin; a jemu było jeszcze mało, że wszyscy potulni jak małe dzieci... Krzyczał straszliwie z ambony: — Letnie z ust wypłunę! Chcę gorącego! Nie owce pędzę do raj, lecz krzewy gorejące!...

Trudno było uczynić to, czego żądał: duszę rozżarzyć... Tu wszyscy ludzie byli męczeni, uciekli od niedoli wiejskiej, gdzie nie pozwalano obrosnąć, lecz strzyżono chłopca jak owcę, do samej skóry. Szukali spokoju. To nic, że puchli od wilgoci bagiennej, że jedli chleb z tłuczonej kory: przecie w lesie, w polu, sami byli sobie gospodarzami... Ale, widać, spokoju nikt nie dawał darmo. Nektariusz był surowym pasterzem dusz. Nie folgował rozpalając nienawiść do władcy świata — Antychrysta. Opieszających w nienawiści karał, a nawet całkiem przepędzał. Chłop nawykł z dawien dawna — każą, trza robić. Każą rozgorzeć duszą — co począc — gorzej!...

Dziś starzec dręczył osobliwie, widać było, że sam się znużył. Porflriusz odmawiał modły przy ołtarzu wysokim, pełnym wyrzeczenia głosem. Pod kopułą z desek wznosiła się para oddechów. Z sufitu kapłało...

Starzec wrócił niespodziewanie szybko. — Słyszycie I — wrzasnął we drzwiach — słyszycie sługi Antychrysta? — Wszyscy usłyszeli ciężkie uderzenia w bramę. Starzec gwałtownie przeszedł przez kaplicę zawadzając połamami szaty o głowy. Zadzierając brodę, z rozmachem uderzył trzykrotnie czołem przed ciemnymi Obliczami. Odwrócił się ku owczarni tak gniewnie, że dzieci zapłakały. W rękach miał żelazny młotek i gwoździe.

— Duszo ma, duszo, ocknij się, czemu śpisz? — krzyknął. — Spełniło się, kres bliski... Miejsca na świecie zostało nam tyle, ile w tych ścianach. Ulecimy, dziatki... w ognistym płomieniu. Na Boga, dopiero co widziałem nad świątynią przeogromną szparę w niebie... Aniołowie schodzą ku nam, gołąbeczki, radują się, mili...

Kobiety wzniosłszy oczy zalały się łzami. Ten i ów z chłopów zasapał ciężko...

— Kiedyż doczekamy znowu takiej chwili? [Królestwo niebieskie samo idzie nam do ust... | Bracia, siostry i Słyszycie — wyważają bramę... Szatańskie zastępy obstały tę wyspę zbawienia... Za ścianami — mrok, wicher smrodliwy...

Podniósłszy w górę młotek i gwoździe ruszył ku drzwiom, gdzie były przysposobione trzy deski. Kazał chłopom pomóc, sam zaczął przybijać deski w poprzek drzwi. Oddychał ze świstem. Pobożni patrzyli na niego w przerażeniu. Jakaś młoda kobieta w białym całunie jęknęła na całą kaplicę:

— Co robicie? Ach, kochani, moi mili, nie trza...

— Trza! — zakrzyknął starzec i znów poszedł ku ambonie. — Chrześcijanin miałby nie pójść w ogień? Spłonimy, ale będziemy żyć wiecznie. (Zatrzymawszy się uderzył młódkę w policzek.) Głupia! Masz może męża, masz dom, masz może skrzynię pełną dostatków... A co później? Czyż nie mogiła? Litowaliśmy się nad wami, nierozumnymi. Ale teraz już nie wolno... Wróg za drzwiami. Opity krwią Antychryst siedzi za bramą na czerwonej bestii. Rozjuszony, dzierży w ręku czaszę pełną obrzydliwości i kału. Komunikujcie się z niej! Komunikujcie! Och, okropność!

Kobieta przypadła twarzą do kolan, zadygotała, poczęła krzyczeć straszonym głosem, coraz głośniejsze. Inne zatykały uszy, ścisnęły gardło, by się również nie rozkrzyczeć...

— Idź, idź za drzwiami... (Znów uderzenia i trzask.) Słyszycie! Car Piotr — wcielenie Antychrysta... Słudzy jego dobijają się do naszych dusz... Piekło! A wiesz ty, co to piekło? Stoi w pustej otchłani nad sklepieniem... Próżnia najgłębsza, tartar i ciemność. Opływają ją dokoła planety, mróz tam okrutny, nieznośny... Ogień nieugasający... Robactwo i siarka! Płonąca smoła... Królestwo Antychrysta. Tam chcesz iść?

Starzec ją zapalał świece, chwycił je z cerkiewnej skrzyni pęczkami, biegł żwawo, przylepiając do obrazów — gdzie popadło. Po kaplicy jasno rozlało się żółte światło.

— Bracia! Odpywamy... Do królestwa niebieskiego... Dajcie tu bliżej dzieci, będzie im tu lepiej — usną od dymu... Weselcie się, bracia i siostry... Wieczne odpoczywanie — zaśpiewał rozdymając szatę łokciami. Chłopi patrzyli na niego zadzierając brody i wtórując mu — podpełzli na kolanach bliżej ku ołtarzowi. Podpełzły kobiety chowając głowy dzieci pod chustami.

Ściany kaplicy zadrżały: ze dworu uderzono czymś we drzwi zabite deskami i podparte kołem. Starzec wszedł na ławkę, przycisnął twarz do zasuwanego okienka nad drzwiami.

— Nie zbliżajcie się... Żywych nas nie weźmiecie...

— Ty jesteś starzec Nektariusz? — spytał Aleksy Browkin. (Bramę wylamali, teraz do-
Jbijali się do drzwi kaplicy.) Z długiego okien- Pka wychyliła się bokiem biała starcza twarz. Aleksy do niego —
ze wściekłością:

— Co wy tu, poszaleliście?

Ręka starcza wysunęła się z trudem, przeżegnała dwoma palcami carskiego oficera. Za ścianą jęknęła setka
głosów: — Zmartwychwstał Pan. — Aleksy jeszcze więcej się rozzłościł.

— Nie wymachuj paluchami, jam ci nie diabeł, a tyś dla mnie nie kapłan. Wychodźcie wszyscy, bo inaczej
wyważę drzwi.

— A coście za jedni? — spytał starzec osobliwie, z naigrawaniem. — Po co przyjechaliście do tak pustej,
leśnej okolicy?

— Co my za jedni — my z carskim pismem. Nie posłuchacie, zwiążemy wszystkich i odstawimy do
Powieńca.

Głowa starca cofnęła się bez odpowiedzi. Cóż było robić? Jakim szeptał rozpaczliwie: — Aleksy
Iwanowicz, na litość Boską, spala się...

A tam znów zaintonowano: — Wieczne odpoczywanie... — Aleksy dreptał przed bramą prychając gniewnie
nosem. Jakże tu odejść? Rozgłoszą po wszystkich pustelniach, że przepędzili oficera. Zdjął rękawice,
podskoczył, uchwycił za krawędź okienka, podciągnął się i zobaczył: w gorącym świetle mnóstwa świec
zwróciły się ku niemu wystraszone brodate twarze; osłaniając się palcami, syczeli: —
Święty, święty, święty! — Aleksy zeskoczył.

— Dalej, jeszcze raz we drzwi...

Żołnierze uderzyli jeszcze raz. Jęli czekać.

Wtedy z dymnika wylazło trzech (Jakim poznał Stiopkę Barmina i Pietruszkę Kozewni-
kowa), w rękach myśliwskie łuki, za pasem — strzały, trzeci — z piszczelem. Wleźli na dach, patrzyli na żołnierzy. Chłop z
piszczelem rzekł surowo:

— Odejdźcie, będziemy strzelać. Jest nas dużo.

Aleksy Browkin stracił głowę od takiego zuchwalstwa. Gdyby to były jakieś łuki miejskie, krótkie byłoby z
nimi gadanie. Ale to sami rdzenni chłopci — znał ich upór. Ów z piszczelem — wykapany nieboszczyk
chrzestny, grubonogi, nisko podpasany, broda w strąkach, ślepiec niedźwiedzie... Jakże tu strzelać do swojego.
Aleksy jeno mu pogroził. Wmieszał się Jakim:

— ■- A jak się zowiesz?

— No, wołają mnie Osip — odrzekł niechętnie chłop z piszczelem.

— No cóż, Osip, czy nie rozumiesz, że pan oficer nie z własnej woli... Pogadalibyście z nim po dobroci,
uradzili.

— A czego on chce? — spytał Osip.

— Dajcie mu do wojska jakich dziesięciu, piętnastu chłopca i pozwólcie ogrzać się naszym żołnierzom. W
nocy pójdziemy.

Pietruszka i Stiepan słuchając przykucnęli na brzegu dachu. Osip długo myślał.

— Nie, nie damy. — Czemu?

— Odeślecie nas do dawnych wsi, w niewolę. Żywcem nie damy się. Chcemy umrzeć za starodawne modły, za żeganie się dwoma palcami. Tyle gadania...

Podniósł piszczał, dmuchnął na panewkę, podsypał z rogu prochu i stał rozkraczony nade drzwiami. Co tu począć? Jakim radził machnąć ręką na ten cały kram: Nektariusza nie zmoże.

— On jest uparty i ja też — odrzekł Aleksy. — Bez ludzi nie pójdę. Weźmiemy ich oblężeniem. Dwóch żołnierzy posłał do koni — obrządzić, nakarmić. Czterech do celi — ogrzać się. Reszta — dawać baczenie, żeby do kaplicy nie przenoszono wody i strawy. Dzień dobiegał końca. Mróz wzmagął się. Raskolnicy śpiewali pogrzebowo. Pietruszka i Stiepan posiedzieli, posiedzieli, poszeptali ze sobą na dachu, zrozumieli, że zanosi się na długo.

— Musimy za potrzebą — zaczęli prosić. — Na dachu — grzech, pozwólcie zeskoczyć.

Aleksy rzekł: — Skaczcie, nic wam nie będzie. — Nagle Osip strasznie potrząsnął na nich brodziskiem. Pietruszka i Stiepan zmieszali się, ale jednak wylazłszy za kopułę skoczyli na słomę.

Starzec Nektariusz również, widać, zrozumiał, że jest dobrze osaczony. Dwa razy zbliżał twarz do zasuwanego okienka, wpatrywał się ślepo w zmierzch. Aleksy próbował za gadać — ów jeno spluwał. I znowu z kaplicy dobiegał jego ochrypły głos, głuszący śpiew, modły i płacz dziecięcy. Gotowało się tam coś niedobrego.

Gdy już zachód pociemniał zupełnie, z dymnika wylazło na dach dziesięciu chłopów bez czapek. Wywijając rękami, rzucając się opętańczo, wrzasnęli:

— Odejdźcie, odejdźcie l...

Wszyscy jęli się śpiesznie rozbierać, zdejmowali półkożuszki, walonki, koszule, portki...

— Macie! — chwyтали odzież, rzucali ją w dół, na żołnierzy. — Macie, prześladowcy! Rzucajcie losy.

Nadzy się rozdaliśmy, nadzy odchodzimy...

Nadzy, posiniali, rzucali się twarzami na dach, tarli twarze śniegiem, chliali, pokrzykiwali, wyskakując wznosili ręce i znowu wszyscy — z brodami ubabranymi śniegiem — poleżli w dymnik. Pozostał jeno Osip. Nie dopuszczając do drzwi, mierzył z piszczela do żołnierzy... Aleksy przestraszył się bardzo nagich chłopów. Jakim wykrzykiwał rozpaczliwie w stronę okienka:

— Ulitujcie się nad dziećmi! Bracia! Ulitujcie się nad niewiastami!

W kaplicy powstał lament, niezbyt głośny, ale taki, że jeno zatkać uszy. Żołnierze zaczęli przystępować bliżej, twarze wszystkich były poważne.

— Panie poruczniku, źle się dzieje, niech już Osip w nas łupnie, a my wyważymy bramę...

— Wyważaj! — krzyknął Aleksy zaciskając wargi.

Żołnierze żwawo położyli strzelby, znów pochwycili za belki. Kopuła z krzyżem, ledwie widocznym o zmierzchu, zakotłosała się nagle. Ziemia ciężko zadygotała, rozległ się huk, w pierś każdego uderzyło powietrze. Ze szczelin pod dachem ukazał się dym, prędko zgęstniał, rozplomienił się. Języki ognia jęły się ślizgać między bierwionami...

Gdy drzwi rozpadły się pod uderzeniami, wyskoczył stamtąd człek cały w ogniu, z owę- gloną głową, począł wic się na śniegu, jak robak. We wnętrzu kaplicy wirował dymny płomień, objęci ogniem ludzie skakali i miotali się. Ogień walił spod podłogi. Dokoła dymiły już snopy słomy.

Żołnierze cofali się przed gorącym nie do zniesienia. Nikogo nie sposób było ocalić. Zdjąwszy trójganiaste kapelusze żegnali się, niektórym spływały łzy po twarzy. Aleksy poszedł za wyłamaną bramę, aby nic nie widzieć, nie słyszeć zwierzęcych wrzasków. Kolana trzęsły się, nabiegała mdłość. Wsparł się o drzewo, potem siadł. Zerwawszy czapkę, chłodził głowę, jadł śnieg. Łuna jeszcze jaśniej oświetlała zaśnieżony las. Niepodobna było się ukryć przed zapachem spalonego mięsa.

Dostrzegł: niedaleko, grzęznąc w szkarłatnym śniegu, idzie trzech ludzi. Jeden pozostał w tyle i załamując ręce patrzył, jak wysoko ponad lasem nad pustelnią wije się wśród buchającego dymu ognisty język i wznosi w niebo zamieć iskier... Drugi człek miotał się i ciągnął za rękę niedużego długo- brodego staruszka w niepokrytym kozusku na szacie duchownej.

— Uciekł, uciekł, psu brat! — krzyczał miotający się chłop ciągnąc staruszka do carskiego oficera. — Jego trza rozszarpać... Uciekł z ognia przez loch, przełazem. Chciał mnie i Andriuszkę spalić, diabeł przeklęty!...

VIII

Ukaz carski opiewał: „Wzorem wszystkich chrześcijańskich narodów — liczyć lata nie od stworzenia świata, lecz od narodzenia Chrystusa, po ośmiu dniach, i liczyć nowy rok nie od pierwszego septembra, lecz od pierwszego januara obecnego 1700 roku. A na znak tak dobrego początku i nowego stulecia niech jedni drugich z Nowym Rokiem pozdrawiają w weselu. Bramy i domy na znaczniejszych i ludniejszych ulicach przybrać zielonią, gałęziami sosnowymi, świerkowymi i jałowcem, wedle wzoru uczynionego na domu kupieckim, przed dolną apteką. A ludzie ubodzy niech umieszczą nad bramą choć jedno drzewo lub gałąź. We dworach urzędników i wojskowych oraz w domach kupców uczynić strzelanie z niewielkich działek lub strzelb, puszczać rakiety, ile kto może, i zapalać ogień. A tam, gdzie domy są małe —

niech się zbiera po pięć, sześć domów i niech zapalają zwykłe beczki smolne, napełniwszy je słomą albo chrustem. A na ratuszu niech będzie strzelanie i iluminacja, wedle uznania burmistrzowego..."

Takiego dzwonienia dawno już w Moskwie nie słyszano. Powiadano, że patriarcha Adrian, nie śmiejąc w niczym sprzeciwiać się carowi, dał dzwonnikom tysiąc rubli i pięćdziesiąt beczek mocnego patriarszego podpiwka. Dzwonnicy aż przysiadali na wieżyczkach i dzwonnicach. Moskwa była spowita dymami, parą z koni i ludzi. Zmarznięty śnieg skrzypiał. Konary ugiwały się pod sadyą. Karczmy, otwarte dniem i nocą, zionęły czadem. Nad dymami wstawało słońce, rumiane, ogromne — odbłyśkując na szerokich berdy- szach straży przy ogniskach.

Poprzez dzwonienie po całej Moskwie trzaskały wystrzały, działa ujadały basem. Przebiegały cwałem dziesiątki sań, pełne pijanych i przebranych ludzi, umazanych sadzą, w szubach wywróconych na nice. Zadzierali nogi, wywijali butłami, ryczeli, miotali się, na zakrętach wywalali się kupą pod nogi ogłupiałym od dzwonienia i dymu prostakom.

Moskwa dzwoniła i hulała cały tydzień aż do Jordana*. Wybuchły pożary. Dobrze, iż nie było wiatru. Do miasta zbiegło się mnóstwo rozbójników z okolicznych lasów. Niech jeno gdzie bądź wzbije się dym za ośnieżonymi dachami, już pędzą w saniach łotrzyki — z wyschłymi łbami owiec, w błazeń- skich kołpakach — wyłamując bramy, rzucając się do płonącego domu, grabią, niszczą wszystko do imentu. Niektórych wyłapano, niektórych ludzie sami podławili. Chodziły wieści, jakoby w Moskwie hulał sam Jesmień Sokół.

Car w kompanii swych bliskich, z księciem- -papieżem — starym rozpustnikiem Nikitą Zotowem — z wszechbłazeńskimi arcybiskupami, w archidiakońskiej ryzie z kocimi ogonami — odwiedzał znaczniejsze domy. Pijani i nażarci aż po samo gardło, wpadali jak szarańcza, nie tyle Jedli, ile rozgrzebywali, ryczeli pieśni pobożne, odlewali się pod stoły. Gospodarzy poili aż do zamroczenia i — hajda dalej. Aby nazajutrz nie zjeżdżać się z różnych miejsc, walili się pokotem gdzie bądź, w czymkolwiek domu. Obchodzili Moskwę od końca do końca wśród uciechy winszując nadejścia nowego roku i stulecia.

Miejscy ludzie, spokojni i bogobojni, dni te przeżywali w utrapieniu, bali się wysunąć nosa. Trudno było wyrozumieć, na co to szaleństwo. Diabeł chyba podszeptował carowi, by mącić ludziom w głowach, łamać stary obyczaj — trzon bytu, to, czym się żyło... A choć żyli ubogo, ale poczciwie, ściskali kopiejkę, wiedzieli, że to tak, a tamto nie. Wszystko okazało się głupie, nie po jego myśli.

Nie uznający krzyża czteroramiennego i szczypty zbierali się w piwnicach na nocne czuwania. Znów poszeptowano, że życia zostało tyle, co do zapustów: z soboty na niedzielę zagrzmi trąba sądu ostatecznego. W Bronnej Słobodzie ukazał się człek* zapędzał lud do łaźni, miotał się, bił się dłońmi po twarzy, krzyczał śpiewnie, że on — bóg Sa- baoth we własnej osobie, i padał cały w pianie... Inny człek, kosmaty, nagi i straszny, ukazywał się ludowi trzymając w ręku trzy ożogi, przepowiadał niezrozumiale, groził nieszczęściami.

U bram Kitajgorodu i Biełgorodu przybito nowy ukaz carski; „Bojarzy, dworzanie, ludzie urzędowi oraz handlowi mają odtąd i nieodmiennie nosić węgierską odzież, a wiosną, gdy mrozy sfolgują, nosić saskie kaftany”.

Na hakach wywieszono te kaftany i kapelusze. A pilnujący tego żołnierze mówili, że niedługo kupcowe, strzelcowe, mieszczi, po- padie i diakonowe będą miały nakazane chodzić z gołą głową, w krótkich niemieckich spódnicach, a pod odzież nakładać na boki zebra wielorybie... Pod bramami stały zaniepokojone tłumy w pomieszaniu i strachu. Podawano szeptem, jakoby nieznaną osobę 7. trzema ożogami obrzucił kałem taki kaftan na haku i wołał: — Czekaście, niedługo zabronią rozmawiać po rosyjsku! Nazjeżdżą się rzymskich i luterskich popów, aby przechrzcić cały naród. Mieszczan oddadzą Niemcom na wieczną niewolę. Moskwę nazwą po nowe mu — Czartogrodem. Okazało się z dawnych ksiąg, że car Piotr — to Żydowin z pokolenia Dana.

Jak można było nie wierzyć takim słowom, gdy koło Jordana czeladnicy kupca Riewia- kina poczęli nagle opowiadać, uwijając się po kramach, o wielkiej i strasznej ofierze za odkupienie świata od Antychrysta: w pobliżu jeziora Wyg spaliło się żywcem kilkuset ludzi żegnających się dwoma palcami. Nad pogorzelskiem rozstąpiło się niebo i stał się widoczny firmament i tron wsparty na czterech bestiach. Pan siedzący na tronie, po lewicy i po prawicy — dwa razy po dwunastu starców, a naokół cherubiny „latające na dwóch skrzydłach, dwoma zasłaniający oczy, dwoma — nogi”. Z tronu sfrunęła Gołębica i ogień zgasł, a nad pogorzelskiem rozeszła się błoga woń.

W Zajeźdnyim Urzędzie jakiś człek pospolitego wyglądu i wzrostu odchodząc rzucił pismo na podłogę. Okrzyknięto go: — Hej, co zgubiłeś? — Ów przeraził się, zbiegł, ukrył się. Na zapieczętowanym piśmie — napis: „Doręczyć wielkiemu monarsze nie rozpieczę- towawszy”. Diak Paweł Wasiliewicz Susłow ledwie trafił w rękawy szuby roztrzęsionymi rękami. Grożąc woźnicy, że mu skórę złupi z pleców, pognął do Preobrażeńskiego.

W pałacowych sieniach oficer warty z pogardą obejrzał diaka od łysiny aż do safia

nowych bucików na futrze. — Nie można do cara. — Paweł Wasiliewicz usiadł na ławce osłabły z trwogi. Zwalila się moc ludzi: zuchwali wojskowi, Rosjanie — wszyscy wysokiego wzrostu, szerocy w ramionach, zdrowi jak byki} cudzoziemcy — drobniejsi, ale przyjemniejszej twarzy (niebożęta, ostatnimi czasy poczęto ich wypędzać ze służby za głupotę i opilstwo); zmyślni gońcy władimirowscy, jarosławscy, orłowscy, rzemieślnicy, kupcykowie. Tuż obok siedziało dwóch bojarów znakomitego rodu, jeden miał owiazaną głowę, drugi — czerwony siniak pod okiem: po bóje przyszli tu ze skargą jeden na drugiego; założywszy ręce za plecami, w króciutkim brązowym kaftaniku, w nicianej peruce, przechadzał się nie patrząc na nikogo człek w okularach o dobrotliwym, wygłodzonym obliczu, matematyk, chemik, sławny wynalazca perpetuum mobile — wiecznego wodnego koła — i miedzianego człowieka-auto- matu, grającego w szachy i wyrzucającego z siebie wódkę albo piwo zgodnie z naturą. Matematyk proponował carowi przeszło sto patentów mogących wzbogacić monarchię rosyjską.

Ze dworu zwałił się do sieni Nikita Zotow z człkiem niesłychanej grubości. — Nie bój się, on lubi szkaradzieństwo, da ci grosza 1 — Książę-papież włókl grubasa na carskie pokoje. Paweł Wasiliewicz, rozgorzawszy służ- bistą gorliwością, podszedł do oficera warty i rzekł mu w twarz zdławionym głosem: —

Słowo i sprawa! — W sieniach od razu zrobiło się cicho. Oficer wyprężył się, z krótkim sapnięciem dobył szpady: — Chodźmy.

Pismo oddane przez Pawła Wasiliewicza do własnych rąk cara (Piotra bolała głowa, powitał diaka nasepiony, niecierpliwy), pismo to — otwarte natychmiast — było podpisane przez Aloszkę Kurbatowa z czeladzi księcia Piotra Pietrowicza Szeremietiewa. Przeczytawszy pobieżnie Piotr podparł ręką brodę: — Hm! ^- przeczytał po raz drugi, odrzucił głowę: •— Ha! — i zapomniawszy o Susłowie, gwałtownie wkroczył do sali jadalnej, gdzie świta dręczyła się w oczekiwaniu obiadu.

— Panowie ministrowie! -7- Piotrowi zajaśniały oczy. — Karmi się was i poi do syta, a czy wiele z was pożytku? Proszę, o! (Potrzęsnał pismem.) Lichy człeczyna, chłop — wymyślił! Wzbogacenie skarbu... Fiodorze Ju- riewicz... (Odwrócił się ku posapującemu księciu Romodanowskiemu.) Nakaż odszukać, natychmiast dostawić Kurbatowa... Bez niego do obiadu nie siądziemy... Ot co, panowie ministrowie — trzeba sprzedawać papier herbowy; dla wszystkich kontraktów, dla skarg —papier z orłem, od kopiejki do dziesięciu rubli. Zrozumiano? Nie ma pieniędzy na wojnę? Oto one — są pieniążki!

ROZDZIAŁ TRZECI

Nim jeszcze zaświtało, już w całym domu trzaskały drzwi, skrzypiały schody, dziewczki ciągnęły na dwór kosze, toboły, sepety podróżne. Książę Roman Borysowicz pożywiał się przy byle jak nakrytym stole, przy świeczce łojowej. Jedząc kapuśniak odwracał się z nieukontentowaniem.

— Awdotia... Antonida... Olga!... Och, Boże, przecie...

Uniósłszy brzucha sięgnął po flaszę. Majordomus też gdzieś przepadł. Ale oto ktoś gruchnął łbem w dół po schodach.

Ciszej, diabły!... O Boże...

Wpadła roztrzęsiona Antonida — w starej matczynej szubie, włosy potargane.

— Antonido, siądźże, pojedz...

— Tak, ach, tatusiu...

Pochwyciła miękką wełnianą chustkę, rzuciła się do sieni. Roman Borysowicz zaczął rozglądać się, co by tu jeszcze przegryźć. Nad głową (w świetlicy) coś tam włączono, upuszczono — z desek pułapu posypały się śmieci. Cóż to znów? Dom rozwalają? Kręcąc głową, nałożył sobie jesiotrka. We drzwi wniósł księżną Awdotię — w szubie, w ciepłych chustach — utknęła pod ścianą na weneckim krześle. Ze strachu pomizerniała: przez całe życie wyjeżdżała z Moskwy jeno dwa razy — do Trójcy i do Nowej Jerozolimy. A tu nagle taka droga i — na gwałt...

— Czemu już naprzód opatulilaś się chustkami? Zdejmij, zjedz co. W drodze nie jadło, ale lży.

— Dalekaż to podróż, Romanie Borysowi- czu?

— Do Woroneża, mamó.

— Święci p-a-ańscy...

Chlipnęła bez łez. Z góry — piskliwy głos Olgi: — Mateczko, gdzieście wetknęli peruki? — Awdotię lekko niby liść poderwało z krzesła i wyniosło za drzwi.

Romana Borysowicza pocieszało jedno: wiedział, że w całej Moskwie taka sama krzątana. Książę-cesarz, gospodarz i postrach stolicy, onegdaj podał do wiadomości ukaz carski: dworzanie wraz z żonami i dziećmi, znamienici kupcy i mieszkańcy niemieckiej sło- body mają jechać do Woroneża na spuszczenie na wodę okrętu „Predestynacja”, tak wielkiego, jak rzadko widuje się nawet za granicą. Z powodu bliskich roztopów jechać nie mieszkając, żeby móc odbyć drogę sanna.

Roman Borysowicz, choć z wysiłkiem, ale zaczął już przecie rozumieć się na polityce. W styczniu, po rozgłoszonych uroczystościach, przyszły listy z Konstantynopola od wielkiego posła Jemieliانا Ukraincewa: Turcy zga-

dzali się na wieczysty pokój, żądali jeno niedużych ustępstw i aby ułagodzić wzburzone serca, Jemielian Ukraincew natchnął ich tą myślą, że stoimy niezłomnie przy fundamencie oznaczonym na kongresie karłowickim: „Kto co dzierży, niech dzierży” — gdy nagle w Carogrodzie coś się wydarzyło, jakiś wróg wmieszał się do układów i Turcy zrobili się jeszcze bardziej zaczepni niż na początku: żądali zwrotu Azowa i miasta Kizykerman z naddnieprzańskimi gródkami, domagali się, by jak dawniej moskiewscy carowie płacili daninę chanowi krymskiemu. A o Grobie Pańskim nawet słuchać nie chcieli.

Piotr otrzymawszy te wieści puścił się do Woroneża. Aleksander Daniłowicz, wypędziwszy brzoźwą miotelką łąziebną resztki świątecznego pijaństwa, jeździł wspaniałą karocą do znacznych kupców. Mówił do nich serdecznie; — Trza dopomóc. Jeżeli z wiosną nie nastraszymy Turków wielką flotą — ^ pokoju nie będzie. Wszystkie poczynania w proch się obróca.

Lew Kiryłowicz ze swej strony mówił ze łzami do dygnitarzy: — Czyż możemy znosić tę hańbę? Płacić po dawnemu haracz chanowi krymskiemu, co wiosna spodziewać się najazdu hord tatarskich na nasze najpiękniejsze ziemie? Jakże możemy ścierpieć/ by Turcy i katolicy nadal hańbili Grób Pański? Jak za Minina i Pożarskiego, ostatnią koszulę oddamy na wystawienie wielkiej woroneskiej floty.

LCTff MJrffl

Znowu kompanie okrętowe musiały rozwiązać mieszek. Po Moskwie rozeszły się złowróżbne wieści o bliskiej wojnie: powiadają, że bez mała cały świat powstaje zbrojnie, jeden przeciw drugiemu. Cudzoziemcy biegający jak myszy — do Moskwy, z Moskwy — rozgadywali po całej Europie, że Moskwa już nie ta co dawniej — cicha przystań prawego chrześcijaństwa; teraz pełna jest żołnierstwa i armat, młody car dyszy pychą, doradcy jego zuchwali, Moskwa rwie się do bitki...

Onegdaj na Kremlu Roman Borysowicz w zapale obiecał dostawić roczny zapas żywności na budujący się okręt „Predestyna- cja”. Odęty purpurą wściekłości, wrzeszczał przed obliczem Lwa Kiryłowicza: — Sam siądę na koń. Nie pozwolę bezcześcić imienia carskiego! — A nawet gdy w nocy, zlazłszy ze świecą do sekretnego loszku, wydobył z wilgotnej ziemi w kącie garnek z monetą i odliczając kopiejkami półtora rubla — jego udział w kompanii — sam jeden w lochu, macając przy słabym świetle świeczki każdą kopiejeczkę — nawet wówczas nie pozwalał sobie na myśli przeciwne. Książę Bujnosow był już nie ten co dawniej — okzesano go.

Myśli przeciwne zdusił w sobie, zamknął na czterdzieści kłódek. Z takimi oto myślami książę Łyków siedzi obecnie u siebie na wsi, w niełasce. Głupi książę Stiepan Biełosielski, podpiwszy sobie na uczie u księcia-cesarza, jął wrzeszczeć: — Co, może nawet we śnie myśleć nie pozwolisz mi po swojemu? Brodę

zgołiłem, francuskie pludry noszę, ale spróbuj oto, wygryź mi duszę... — pokazał figę. Książę-cesarz jeno się szpetnie uśmiechnął. Lecz nazajutrz przyszedł ukaz: książę Stiepan pojechał na wojewodę do Pustozierska.

Romanowi Borysowiczowi nie brakło rozumu, ale tu już trza było nie wiadomo jakiego rozumu, by nadażyć za cudactwami cara Piotra. Zda się, jakby go po nocach trapiło, byle nie dać ludziom spokoju. Spędzić całą Moskwę do Woroneża... Na co to? W ciasnocie, nie dojadając, walać się na ławie w nędznych chałupach, pić wódkę z marynarzami? A po co jeszcze baby wlec ze sobą? Bożel...

Roman Borysowicz wypił dodatkową lampkę, aby zagłuszyć podrażnione myśli. W oknie świtało. Kawki siadały na obnażonym drzewie pod oknem. Carze, możesz, jak chcesz, łamać nasz spokój, lecz zielonawe światło ranka jest to samo co za ojców i dziadów, takie same obłoczki różowieją za kopułkami... Roman Borysowicz zabeczwał w głębi duszy, nie rozwierając warg. Słysząc było, jak na- dworze dźwięczał dzwonek, koniuchy pokrzykiwały zaprzęgając konie.

Wyjechali taborom w dwóch kolaskach (i jeszcze troje sań z domowymi rupieciami i żywnością). Dzwoneczki wyspiewywały smutek podróży. Kołomieński trakt był wyjeżdżony, acz wyboisty. Co wiorsta sterczały czerwone słupy, między nimi — brzozy dawno posadzone. Antonida z Olgą liczyły słupy i brzozy (nie było czym rozerwać się

w drodze — w dali brązowe zarośla, lodowa powłoka na śniegu pod marcowym słońcem). Wedle wron, spotykanych na drzewach przydrożnych, panny wróżyły sotfie o spotkaniach i amorach. W drugim pojeździe sapał Roman Borysowicz przytłoczywszy ramieniem księżnę Awdotię, na wybojach trzęsły mu się wargi. Droga była spokojna.

Popas wyznaczono w wiosce Ulianino, o pięćdziesiąt wiorst od Moskwy. Nim jeszcze z wąwozu pojawiły się słomiane strzechy, obok taboru Bujnosowów przemknęła wysoka skórzana kolaska, zaprzężona w szóstkę gnia- dych z dwoma jezdnymi. Tęskna piękność otulona w czarne sobole Ipojrzafa obojętnie przez szklane okienko na panny, wierzące się z ciekawości.

— Monsówna, Monsówna... — Antonida poruszyła się wysuwając szyję z matczynej szuby. — Olga, popatrz no, kawaler siedzi przy niej... (W głębi przelatującej kolaski rzeczywiście mignęła wygolona twarz i galon na kapeluszu.)

— Koenigseck, bodajem oczy zgubiła I

Antonida plasnęła rękawicami.

— Ależ co ty? Oj, jaka bezwstydnal...

— Patrzenie ją, opamiętała się... Kobyliisko, Niemka... Cała Moskwa szepcze o Koenigsec- ku, jeno miłościwy pan ślepy.

— Złupić by ją batem na placu.

— Na tym się chyba skończy.

We wsi nieomal w każdej zagrodzie stały wozy. Przez otwarte wrota widać było kola

ski bojarów. Chłopki biegały po kupaćh nawozu, łapiąc kury. Roman Borysowicz zgnle- wał się na Awdotię:

— Macie wasze babskie marudzenie, należało wyjechać przed świtem... Szukajcie teraz postoju.

Kazał jechać do carskiego domu. Takie domy zajezdne — z czterema oknami, z paradnym gankiem o pięciu stopniach — w tym roku stały na każdym postoju, aż do samego Woroneża. Komendantom nakazano, aby mieli dostateczny zapas pożywienia i napojów i by strzegli się karakonów pod grozą wielkiej kary (jako że miłościwy pan obawia się tych domowych stworzonek).

Komendant wyskoczył na ganek — w pe- ruczce, przy szpadzie, zaczął wołać: — Już pełno, już pełno, nie można!

Roman Borysowicz odepchnął go dumnie i wszedł do sieni. Za nim księżna i księżniczki. Komendant syczał z tyłu w rozpacz. Rzeczywiście w obu izbach, na prawo i na lewo sieni, nie można było się przecisnąć. Stosy szub, walonek, kapeluszy, szpady leżały na podłodze, dwórki krzątały się, pachniało kapuśniakiem.

— Tatulu, tu dygnitarze — szepnęła Olga, Ojciec już sam wiedział, że trzeba uciekać bez hałasu. Wtem z prawej izby, gdzie śmiali się kawalerowie w perukach, rozległy się słowa z niemiecka po rosyjsku:

— Ksieszna Olga, ksieszna Antonida, proszę do nas do stołu.

242

Peruki rozsunęły się. Przy nakrytym stole Anna Mons w czerwonej sukni, w czepecz- ku podróżnym, trzymając wysoki kieliszek z winem, odwrócona uśmiechała się i nawoływała... Kawalerowie — poseł saski Koe- nigseck, Karol Knlpperkrone, krewniak szwedzkiego rezydenta w Moskwie Knipper- krone'a, 1 jeszcze Jnkiś nie znany pannom Francuz — podskoczyli, by zdjąć szuby z księżniczek. — Ach, my same, same — pan- ny śpiesznie zerwały z siebie matczyną starzyznę i wetknęły w stos czyichś futer. („Czekaj, matulu, wypomnimy ci ten sroml") Weszły z kawalerami pod rękę i dygały z zamierającymi sercami.

Zwrócony plecami do zarosiałego okienka siedział na ławie ciemnowłosa chłopczynna z dużymi oczyma i na pół rozchylonymi wargami. Przechyliwszy na ramię słabą główkę patrzył znużony na roślach, odkarmionych, rumianych ludzi, którzy go widocznie ogłuszali wrzawą i śmiechem. Miał na sobie jaskrawy zielony kaftanik preobrażeński i sza- belkę na rapciach, nogi w białych bucikach nie dostawały do podłogi.

Roman Borysowicz, chlipnąwszy jeszcze od progu, podszedł do dziesięcioletniego chłopaczka, przypadł czołem do podłogi i sapiąc prosił miłościwego pana, następcę tronu, carewicza Aleksego Pietrowicza, o pozwolenie ucałowania rączki.

— Podaj mu rączkę, Aloszeńka, podaj H&|| rzekła śpiewnie 1 wesoło rumiana carówna

2 43

Natalia Aleksiejewna. (Od czasu gdy carową Jewdokię wywieziono do Suzdała, ciotka Natalia zastępowała carewiczowi matkę.)

Aloszeńka powoli spojrział na nią i pokornie wyciągnął palce, okryte koronkowym wyłogiem. Książę Roman przyłgął grubymi wargami. Carewicz próbował wyrwać rączkę. Olga i Antonida wedle reguł politesy rozpostarły spódnice, postawni kawalerowie jęli potrząsać perukami, tupać nogami, przyłączając się do hołdu rodziny Bujnosowów — ciemne oczy malca napełniły się łzami.

— Chodź do mnie, chodź do mnie, Alo- szeńka... Ale też cię obiegli. — Jasnowłosa, pełnej piersi Natalia, z twarzą krągłą jak u brata, z wesołym dołeczkiem na podbródku, przyciągnęła do siebie chłopca przykrywając go końcem puszystej chusty.

— No nic, doczekamy się, że wyrośnie

1 sam znacznie straszyc ludzi... Co, Aloszeń- ka? — Carówna pocałowała malca w skroń, wzięła z talerza miodowy barwny piernik, nadgryzła pięknymi zębami i podała carewiczowi. —■ No cóż, księżniczki, siadajcie, jedzcie... A ty, książę Romanie, postój jeszcze z kawalerami. Podadzą wam jeść, jak my skończymy.

Za stołem oprócz Natalii i Anny Iwanowny siedziała długa panna o rozumnym, żółtawym obliczu, z brwiami i rzęsami nie różniącymi się barwą od skóry. Lniane włosy zwinięte na czubku w mocny węzeł. Skończyła już jeść — odsunawszy talerz i nie dopity kieliszek, z uśmiechem żwawo robiła szydełkiem robótkę z kolorowej wełny. Była to przyjaciółka cara Piotra, Amalia Knipperkrone, córka szwedzkiego rezydenta.

— Aleksy Pietrowicz, prósz okazać wasz jasny twarzyczka — rzekła tkliwie po rosyjsku, przykładając robótkę do szyi chłopca. — O... Wi benzecie nosić ten szarf.

Chłopiec bez uśmiechu tarł policzkiem o jej dużą, niemal męską rękę. Anna Mons, siedząca prosto i dwornie, rzekła również po rosyjsku, słodko unosząc kąciki warg:

— Carewicz wytrzymał się w kolasce, lecz my jesteśmy pewni — carewicz odważny żołnierz... Jak dzielnie nosi swoją szabelkę...

Spod łokcia ciotki, spoza puszystej chusty chłopczyk niechętnie spojrział na białolicą Niemkę. Kawalerowie stojący za krzesłami jęli zapewniać, że carewicz rzeczywiście zapowiada się na dzielnego wojaka.

— Ojcie nasz, miłościwy panie, nasza nadziejo — jął nagle zawodzić Roman Borysowicz, wypuczył tyłek, ugiął kolana wpatrując się z bliska w twarz malca. — Dosiądź konia dobrego, doładź ostrej szabelki i zwalcz nie- policzone zastępy wrogów. Obroń Ruś prawosławną, ojcie, wszak ona sama jedna na tym świecie...

Chciał ucałować malca w główkę, ale nie śmiał, dotknął ustami ramienia carewiczowe- go i wielce rad wyprostował się rozcierając krzyże... Natalia Aleksiejewna nie wiadomo czemu patrzyła na niego ze strachem. Anna

Mons wzruszyła ramionkiem i rzekła uśmiechając się pobłaźliwie:

— Na kogóż to tak zgniewaicie się, książę Romanie? Zdaje się, że okrom Turków nie mamy wroga, a i z tymi chcemy pokoju. Wojny się wszak nie przewiduje... (Zerknęła politycznie na Amalię Knipperkronę.)

— Ale co wy, co wy, matuchno, Anno Iwanowno? Wyruszymy w wieiki pochód, niech jeno drogi podeschną, nie na próżno zbieramy wojsko, zbroimy je w strzelby z Lifège... Nie dla czezej to uciechy...

Amalia Knipperkronę opuściła robótkę, oczy jej rozszerzyły się w zdumieniu, wargi zmalowały, twarz przeciągnęła się... Kawalerowie spoglądali na siebie słuchając, jak Bujnosow w pysza łkowanym uniesieniu maluje przygotowania wojenne. Poseł saski Koenigseck dobył z kamizelki tabakierkę podsuwając ją z przestrachem Romanowi Borysowiczowi. Lecz ów: — Czekaj, a niech cię z tą twoją tabaką~.

— Nie, nie, matuchno, Anno Iwanowno, cała Moskwa gada jeno o tym. Gotujemy się... Nadstawimy piersi za nasze starodawne posiadłości inflanckie...

W tym miejscu Koenigseck nastąpił księciu Romanowi na nogę. Carówna Natalia krzyknęła z płonąca gniewnie twarzą:

— Przystań gadać po próznicy... Przysniła ci się ta wojna czy co? Widać, jeszcześ nie wytrzeźwiał po wczorajszym.

I ' 1

Trzymając za ramiona Aloszeńkę odeszła za pstrą zasłonę, gdzie drwa trzaskały w piecu. Za carówną odpłynęła Anna Iwanowna z Olgą i Antonidą. Po chwili zwłoki odeszła również Amalia Knipperkronę. (Zdumienie nie opuściło już jej twarzy.) Kawalerowie siedli do stotu. Na Romana Borysowicza nikt nie patrzył, jakby go wcale nie było. Zrozumiał, że nie trafił... Ale jak nie trafił? To chyba już nie wolno ująć się za Rusią prawosławną? Masz, rosyjski człeku, milczeć w obecności cudzoziemców? Patrzył na stół, zasepiony. Podano strawę. Pozostało jedno miejsce na szarym końcu stołu. To już wstyd, że czeka jak głupi, aż poproszą. A niech was... Książę Roman odwrócił się i wszedł do sieni. Tara księżna Awdotia siedziała potulnie na zydlu koło szub,

— Cóż ty tu czekasz niby jakie chudopa- cholstwo?

— Nie zaproszono mnie na pokoje, ojczulku.

—* Nie zaproszono! Ach, ty gapo, zapomniałaś, kim jesteś. Chodźmy do drugiej świetlicy.

Podjadłszy gruntownie i podpiszy Roman Borysowicz uspokoił się. Może naprawdę palnął coś niepotrzebnego wobec carewicza i ca- / równy... Tam w górze są drażliwi, a osobU- - wie wobec cudzoziemców. No, nfc — staremu chyba to ujdzie...

Po południu, rozwaliwszy się w kolase, ociężały i senny, Roman Borysowicz pc

wał, wybrał sobie tyłkiem miększe miejsce i zasnął beztrudnie w powiewie wilgotnego wietrzyka marcowego... Gdyby miał sumienie zbrukane, ale nie, sumienie miał czyste, skąd mógł się domyślić, jak ciężkie i niezwykle skutki wynikną dla niego z tego błahego wypadku w carskim zajeździe.

Przed Woroneżem przecie najedli się przykrości. Gdyby nie obróciło na lodowaty wichur z zamiecią, wypadłoby utopić się na jakiejś przepławie przez rzeczkę. W pośpiechu rzucili swoje konie i jechali teraz rozstawnymi. Im bliżej Donu, tym mniej przystępni byli chłopcy we wsiach, patrzyli ponuro, wilkiem, czapki zdejmowali jeno na wołanie. Roman Borysowicz aż ochrypl od wrzasku, na każdym postoju żądając koni. Sam wchodził do chat, trząsał chłopów za orzydle: — A wiesz ty, kogo masz przed sobą, psubracie? Zniszczę cię!

Głowa chłopca chwiała się, stał z gniewnie zaciśniętymi zębami, dzieciarnia na piecu błyskała oczyma jak wilczęta. Grubokoścista baba złowieszco trzymała pogrzebacz albo łopatę. — Nas już nie masz co niszczyć, panie. Zniszczeliśmy już, nie mamy koni, idź z Bogiem.

W pewnej wiosce — jakieś dziesięć zagród niby przez zamieć rozrzuconych na spadku, nad rzeczką — Bujnosowom wypadło stać całą dobę. We wsi same baby, ani koni, ani chłopów. Nocowali w kurnej chacie (gdzie człowiek stojący tonął głową w dymie). Księżniczki jęczały leżąc pod kozuchami na zestawionych ławach. Dym gryzł w oczy. Wichur był bezdomnie.

Roman Borysowicz budząc się dosłyszał głosy na ulicy — widać ktoś przyjechał. Stękając, niechętnie wylazł spod szuby. Na dworze biało. Niebo błyska gwiazdami wśród lotnych chmur. Załatwiwszy potrzebę książę Roman podszedł do wrót. Dochodziły stamtąd ściszone głosy.

— Żukowscy chłopcy rozbiegną się wszyscy
O wiośnie, Iwanie Wasiliewiczu.

— Żyliśmy z łaski Bożej, aż póki owo błoto... Przyjechał Asmus, czy jak tam zwą tego Antychrysta, i zaczęło się... Narobili czerpaków, kazali błoto czerpać z bagna, lepić cegły i suszyć w sąsiekach... Nasi chłopcy od rana do nocy wożą to błoto, sąsieki zawalone, Konie okaleczone, ani orać, ani siać.

— Przyjeżdżał car... „Tego za mało” — powiada. Kazał postawić młyn z czerpakami i ciągnąć z dna to błoto. Przy nim wypalali je, wzięwszy z sąsieków. Nie, tej powinności my już nie wytrzymamy. Uciekać, gdzie oczy poniosą!

— Chowamy się w parowach, Iwanie Wasiliewiczu. Nocą jeno człek przyjdzie po kawałek chleba. Co to za życie?

—| Atamanie, czy ruchawka prędko się zacznie?

Roman Borysowicz nie zauważył nawet, jak

wicher przenika go pod szubą narzuconą na głowę. Przynął oczy do szpary we wrotach. Odróżnił (w mętnym świetle gwiazd) kilku chłopów stojących ponuro koło sanek obitych kobiercem, a w nich z lejcami w ręku — szerokiego człeka w czepanie, broda srokata, jakby obryzgana wapnem. „Oj, ojl Tego lotra musiałem już gdzieś widzieć” — pomyślał Roman Borysowicz z przestachem.

Jeden z chłopów pochylił się nad siedzeniem sań.

— A co tam na Donie słyhać, atamanie? Srokatobrody rzekł poważnie, przebijając lejcami :

Zaczekajcie do lata... Chłopi przysunęli się. „Będzie wojna czy co? , — Bóg by dał!

— Byle się to jeno jakoś skończyło... Skończy się, skończy — rzekł szpakowatobrody groźnym basem. — Mamy ostre zęby. — Obrócił się krzepko w saniach: — Chłopcy, gdzie tu ja mogę konia postawić? . — Iwanie Wasiliewiczu, ja mógłbym... Cóż, kiedy wczoraj diabli przynieśli bojarzyna z babami... Wydziwiają, aż strach... Siano, . słomę rozrzučili, schowałem owies, Znaleźli. Trudne do wiary, wiadrami podsypują koniom... A co ja mam z niego, przecie on mi j grosza nie da.

Srokatobrody rozchylił wargi. — Cha! — zaśmiał się. r— Cha! cha!... Pod kozłem mam nożyk w worku, weź... Zdobądź -

grosza. Tak, tak, chłopkowie niewolni (pociągnął lejce). No, do kogo?

Jeden odskoczył od sań.

— Do mnie, Iwanie Wasiliewiczu, u mnie dużo miejsca.

Dopiero teraz Romana Borysowicza nagle objął chłód. Dzwoniąc zębami pośpieszył do ciemnej chaty.

— Awdotia... — trząśł oczadziała we śnie księżnę. — Gdzieś zapodziała moje pistolety? Wstawajcie, Olga, Antonida! Zapalcie ogień! Gdzieście zapodziały krzesiwo, hubkę... Miszka, Wańka, wstawać! Zaprzęgaście...

Świeżo zbudowany carski drewniany pałac stał nad rzeką na półwyspie, między dawnym a nowym korytem rzeki. Piotr prawie tam nie mieszkał — nocował, gdzie zastała go noc. W pałacu zatrzymała się Natalia Aleksiejewna z carewiczem i carowa wdowa, Prasko- wia*, z córkami Anną Iwanowną, Katarzyną Iwanowną i Praskowią Iwanowną. Tutaj też pokotem rozmieszczono bojarowe i bo- jarówny przybyłe na uroczystości. Z pałacu nie sposób nogi wysunąć, wszędzie błoto, woda. Z Okien widać było jeno drewniane dachy składów okrętowych, jaskrawożółte szkielety okrętów na pochylniach (na brzegu starego Woroneża), parowy z brudnym śniegiem i wzgórza pokryte szczecią pni. „ _

Panny Bujnosow w oczekiwaniu na bale i fajerwerki nudziły się przy okienku — trudno już o gorszą okolicę. Nie ma ani gajki na przechadzki, ani brzegu, na którym by można posiedzieć, wszędzie bajora, śmiecie, wióry. Z brzegu od żółtych okrętów dobiega stukot, wrzaski chłopstwa. Tam często podjeżdżały konne gromadki kawalerów, lecz panny — ach! wzdychały jeno z dala do zgrabnych jeźdźców. Nikt nie wiedział, kiedy się rozpoczną zabawy. Teraz nocami zapalano ognie koło okrętów. Praca szła całą noc. Panny przysłaniały spódnicami oba okienka w świetlicy, by się nie budzić od strasznych blasków płomieni.

Gdy na podwórze ogrodzonym bierwionowym parkanem podeszło błoto, wychodziły na ganek, na słońce, nudzić się. Naturalnie, można się było bawić z pannami siedzącymi na innych gankach: z księżniczką Łykową — głupkowata, szersza niż dłuższa, oczy zapłynięte tłuszczem — albo z księżniczką Dołgorukową, nadętą czarnulą (może ukrywać, jak chce — cała Moskwa wie, że ma nogi włochate), lub też z ośmiu księżniczkami Szachowskimi, te znów — pomiot obrzydły, jeno szeptały między sobą, wecując języki. Olga i Antonida nie znosiły tego babiń- ca.

Razu pewnego na podwórze spędzono chłopstwo. W jeden rano postawili huśtawki i karuzele z końmi i łódkami. Ale do tych rozrywek nie -można się było do tłoczyć: to

252

■T

' I • . ffi x ś. »£ vW i

carewicz chciał się huśtać, odpychając niańki, by nie trzymały go za pasek, to znów małe carówny Joannówny. Wychodził z nimi guwerner mając w jednej kieszeni tabaczkowego kaftana jedwabną chusteczkę do nosa, w drugiej zaś — pęczek pręcików, różgi. Był to Niemiec Johann Ostermann, o wielkim, nader głupim obliczu, naburmuszonym od powagi, w okrągłych okularach. Sadał carówny do łódeczek, sam sadał na malowanego konia i mówił do chłopów obracających karuzele: — Zaszynaś, aber langsam, lang- sam — i przymknąwszy oczy pod okularami, szurając ogromnymi podeszwami, kręcił się aż do zamroczenia.

Niekiedy z wielkiego ganku staczała się pstra kupa błaznów w kaftanach na wywrót, Etiopowie czarni jak sadza, dwóch starych trefnisiów w niewieściej odzieży, grubozade pokojowe, wreszcie wypływała, sprowadzana pod ręce ze stopni, carowa Praskowia w obszernej odzieży z czarnego aksamitu. Wynoszono jej krzesło, poduszki, sadała odwracając od słońca niebieskookie, pełne jak dynia, naróżowane oblicze. Peruki nie nosiła, wystarczały jej własne ciemne włosy. Karzelki, trefnisie, głupki sadały przy jej nogach nadymając policzki. Pokojowe stawały za krzesłem przymilnie.

— Siadajcie, siadajcie — mówiła leniwo carowa do bojarówien, aby się już nie kłaniały i siedziały dalej na gankach. Patrzyła na huśtawki, na karuzele, poczynała słabo stę-

kac przechylając głowę na bok. Kobiety przysuwały się z przestraczem. | — Co boli, matuchno, światło nasze jasne, co boli?

— Nic, odczepcie się... (Carową zawsze coś bolalo — była kompleksji flegmatycznej.) Hej tam! Johann, dość tego kołowania, carów- nom w główkach się zakręci. Boże, wybacz, co to za dureń ten Niemiec! Taka tyka w okularach, a jeno by się kręcił...

Johann Ostermann prowadził córki do matki. Najstarsza, ośmioletnia Katarzyna, była dziobata, oczki jej zezowały, dlatego carowa litowała się nad nią. Najmłodsza, wesolutka grubaska Praskowia, była jej ulubienicą. Matka głaskała ją po kędzierzawych włoskach i całowała w czółko, przycisnąwszy do brzucha, między rozsuniętymi kolanami. Średnia, Anna Iwanowna *, smągława, ponura dziewczynka z bladymi wargami, podchodziła nieśmiało, zawsze z tyłu za siostrami.

— Czemu patrzysz w ziemię, matka cię nie zje — mówiła carowa. Z talerzyka podawanego przez starego trefnisia brała słodycze i obdarzała kochaną Paszeńkę, Kasię, zaś Annie wsuwała; — Na, piernika. — Wzdychając oglądała guwernera od brązowych wełnianych pończoch aż do przylizanej pe- ruczki. — Och, za wcześniej oddałam mu dziatki! Trza by im jeszcze trochę pieszczoty v niańczynej...

* -"«. fprzyp.

Grubozade kobiety trzęsły spódnicami za krzesłem.

— Za wcześniej, matuchno, światło nasze, za wcześniej im na naukę...

— A niech was licho, nie sycicie mi do ucha — carowa krzywiła się. Przywoływała Ostermanna. — No, cóż, Niemcze, co im dzisiaj czytałeś? Czy uczyłeś pryncesy po niemiecku, uczyłeś je liczb?

Johann Ostermann wysuwał nogę, poprawiał okulary i raportował długo a od rzeczy. Carowa kiwała głową powoli, nie rozumiejąc ani słowa. Rozumiała jedno: nie można żyć już tak jak dawniej, wedle starego obyczaju. Choć trudno, ale należy przystosować się do nowych porządków. Pozostał jej na zawsze w pamięci rok dziewięćdziesiąty ósmy, gdy za te stare obyczaje rozpędzono cały dwór kremlowski, carówna Zofia z siostrami ledwie uniknęła bicza, carowa Jewdokia jako szara mniszka leje łzy w Suzda- lu, gdy mąż jeszcze żyw...

Praskowia nie darmo była z domu Sałtyko- wa — ocieężała, lecz niegłupia, niegłupi był też Wasilij, brat rodzony, doradca, ekonom i rządca. Rozumieli, że Piotr Aleksiejewicz nie może się obejść w Moskwie bez porządnego dworu carskiego: posłowie cudzoziem.- • scy, znakomici cudzoziemcy są wymagający— nie każdego można ciągnąć do Mon- • sówny na Kukuj... Carowa Praskowia zaprowadziła u siebie politesę i przyjmowała posłów, podróżników, poważnych kupców z za

granicy. Drogi sercu stary obyczaj pozostawał na tylnych komnatach, ale gdy trzeba było, uprzątno go z oczu. Za to wszystko Piotr Aleksiejewicz lubił i cenił carową Praskowię.

Wynudziwszy się na słońcu Praskowia Fiorodowna oddalała się z córkami i czeladzią. Panny Bujnosow siadały na karuzelę, nakazując chłopom kręcić jak można najszybciej. Piszczwały z cicha. Z dala dobiegały wystrzały armatnie i krzyki chłopów podnoszących maszt na jakimś okręcie. A obiad — tuż. Drzemka w gorących świetliczkach, pachnących żywicą. Parę razy czeladź Romana Borysowicza przychodziła z miasta po bieliznę. Posłaniec opowiadał, że księżę mieszka w wielkiej ciasnocie — we czterech w komorze w domu Apraksina, i że nikt nie wie, kiedy się skończy to siedzenie w Woroneżu...

Pewnego dnia w południe na podwórze zjechał konno Piotr; wychudł, ogorzałe policzki świeżo ogolone. Spojrzał wesoło na karuzelę, spojrzął w okienka, gdzie miala się zaspany babiniec. Zeskoczył z konia, poprawił szarfę, która przepasywała jego obcisły kaftan, i pobiegł na górę do carowej Praskowii. Nie upłynęła jeszcze minuta, gdy cały pałac wiedział: jutro rano spuszczenie okrętu na wodę i początek uroczystości.

Dwupokładowy, o pięćdziesięciu działach okręt „Predestynacja” stał na pochyłym brzegu, na pochylni i palach. Stroma rufa z trzema rzędami kwadratowych okienek była kunsztownie ozdobiona rzeźbionym dębem. Wzdłuż czarnej burty — dwa białe pasy, armatnie luki uniesione na miedzianych pętłach. Żagle z surowego płótna przymocowane do rei. Na tępych dziobie, umieszczonym poniżej rufy, goła najada krzepkimi jak belki rękoma podtrzymywała długi bukszpryt, posiadający w odróżnieniu od innych statków same jeno trójkątne żagle. Okręt był zbudowany wedle planów Piotra, pod nadzorem jego, Fiedosieja Sklajewa i Aładuszkina.

Słońce wzniosło się poza zielonymi wzgórkami i zmurszałymi basztami Woroneża. Dzień był niebieski, chłodny, bezchmurny. Przyjemny wietrzyk pokrywał wodę łuską, kusił, aby rozpiąć żagle i płynąć tam, gdzie płynie wezbrana rzeka — w wiosenną dal.

Na pomoście z desek, tuż koło okrętu, stały stoły z jadłem i napojami. Wiatr trzepotał brzegami czerwonych sukienych obrusów, piórami kapeluszy, puklami peruk, chwastami oficerskich szarf. Za stołami siedziały carowa Praskowia i carówna Natalia z dziećmi, posłowie cudzoziemscy, kupcy holenderscy i angielscy, Polacy i Niemcy, jezuita z Paryża, Amalia Knipperkrona, saski inżynier wojskowy Gallart i dopiero co przybyły z listem króla Augusta Karol Eugeniusz von Croy, księżę cesarstwa rzymskiego. Goście nawet wielkiego rodu, ale w tym momencie mniej ważni stali przy stołach na pomoście. Maryna- ; rze roznosili wódkę w drewnianych wiadrach.

Książę von Croy siedział w niedbalej postawie między carową I carówną. Wsparty na łokciach, pokręcając jasnego wąsa patrzył w górę nie widzącymi oczyma. Miał długi, haczykowaty nos, oblicze gnuśne, z workami pod oczyma, płaska peruka zaczynała się tuż przy samych brwiach. Pod fioletowym kaftanem wstęga orderowa, złoty łańcuch na szyi, na bokach gwiazdy diamentowe. Nawet carowa z entówna były onieśmiałe: ba — książę świętego cesarstwa rzymskiego, niezwyciężony wojownik, uczestnik piętnastu znacznych bitew. Ale widać (Moskwiciń to rozumieli, choć nie dawali poznać) kieszeń książęca musiała być pusta, bo inaczej po co by go diabli nieśli do Woroneżo... Za krzesłem stał tłumacz, Piotr Pawłowicz Szafirów.

Książę mówił mrużąc czerwono powieki;

Rosja to piękny kraj. Rosjanie — naród pracowity i bogobojny, kobiety rosyjskie — zachwycające, W Europie ludzie nieco się dziwią upartemu dążeniu Rosjan do przejmowania naszych obyczajów i naszej odzieży, Bóg sam nakazuje Rosji zwrócić oczy w stronę Azji. Przywieść do stóp carskiego tronu niezliczone mnóstwo narodów azjatyckich, utworzyć wolną drogę do Persji i Chin - oto wspaniałe zadanie gwoli pożytkowi całego świata chrześcijańskiego...

Książę nie dokończył swych rozmyślań; rozległ się gwar, gościn zaczęli szurać nogami. Od statku szedł szybko car w aksamitnych holenderskich spodniach do kolan, w

koszuli z żaglowego płótna z zakasnymi rękawami* na czubku głowy krągły kapelusz z ceraty. Zatrzymał się przy pomoście, zdejmując z szacunkiem kapelusz przed grubym admirałem Gołownem, który siedział pod stogiem peruki przy szklanicy węgryzyna.

=- Życzę zdrowia panu admirałowi...

Witaj, majstrze Piotrze Aleksiejow! — odrzekł godnie Gołowin.

— Panie admirałe, okręt gotów do spuszczenia, rozkaż wybijać pale.

- — Zaczynicie z Bogiem!

Książę przestał skubać wąsy patrząc ze zdumieniem, jak car niby prosty cieśla, niby człek podłej kondycji ukłonił się admirałowi, włożył kapelusz i śpiesznie kroczył poprzez wióry. — Przygotować się! — krzyknął na robotników i ci jęli się krzątać pod stromym bokiem okrętu. Po drodze porwał żelazny młot: — Stawać do palii Razem... wybijać!... — Rozległy się uderzenia młotów w pale podpierające z przodu ogromny statek, Rożk grały przeciągle. Goście powstali unosząc wysoko szklanico. Było widać, jak łopatkami ruszają się pod koszulą Piotra walącego młotem. Maszty zakołysały się, statek nieco osiadł na sankach spustowych, po chwili ruszył po pochylni nasmarowanej łojem, ~ Ruszył, ruszył...! — krzyknięto na pomoście.

Statek ślizgał się coraz szybciej do rzeki. Kój pod płozami począł dymić. Dziób dotknął wody. Złocona najada zanurzyła *Ię do pasa. Statek szybko wyleciał na wodę odrzucając

przed sobą dwie fale, odwrócił się i zakrzywił. Proporczyki pobiegły na maszty, wiatr rozwinął ich wąskie jedwabne języki. Burty wyzionęły ogień, działa zagrzmiały...

| Już drugi dzień ucztowano w siedzibie Mieńskiowa — od strony miasta, koło mostu. Część gości w ogóle nie spała, niektórzy walili się na siano pod stołami (w sali jadalnej już kilka razy sprzątano siano z podłogi i ścielono znowu). Damy, wypocząwszy odrobinę, przypudrowawszy się, naróżowawszy, zmieniawszy suknie, pędem, wśród grznotu karet znowu podjeżdżały. Wczoraj były fajerwerki, dziś wielki bal.

Cudzoziemcy byli nader zadowoleni z uroczystości. Piotr Pawłowicz Szafirów nie szczędząc własnego zdrowia poił ich najlepszym węgrynem i sektem (swoi dostawali gorsze). Chytry Żydowin dopiął tego, że niektórzy posłowie napisali przyjaciółom w Konstantynopolu, co tu widzieli: po „Predestynacji” spuszczone w ciągu tygodnia jeszcze pięć wielkich okrętów i czternaście galer. Inne statki wykańczano szybko —■ wręgi ich szkieletów widniały aż do samej slobody Czyżówki. Jeśli dodać to wszystko do floty azowskiej, to sułtan, strzegący Morza Czarnego niby czystej, nie tkniętej dziewicy, nie powinien zanadto drożyć się podczas rokowań pokojowych.

Antonida w stroju bładoniebieskim, Olga w jaskrawocytrynowym — jadły w oświetlonej z dwóch stron, naprędcie skleconej z desek sali; półtorej setki gości siedziało z zewnętrznej strony stołu, wewnątrz figlowali trefnisię, skakali przez siebie, walczyli na pęcherze z grochem, szczekali, miauczeli, wszczynali taki rwetes, aż siano leciało na talerze i peruki. Na trefnisiów nikt już nie patrzył. Księżę-papież w blaszanej mitrze siedział pod baldachimem; starego umęczyło machanie chusteczką w okno na puszkarzy po każdym toaście: ściany trzęsły się od salw armatnich. Szlachetnie urodzony trefniś Jakub Turgieniew rozmieszył niedawno wszystkich: włożywszy turban, chałat tatarski i pantofle wjechał do sali na brudnej garbatej świni, potrząsając nalaną twarzą i przyprawioną brodą. — Podchodźcie — krzyczał — podchodź" cie, całujcie pięty jego sułtańskiej mości... — Teraz pijany jak bela walał się pod stołem.

Majtkowie-pieśniarze ochrypli. Trębacze grali ni w pięć, ni w dziewięć. Wszyscy czekali na tańce. Przy Oldze siedział kawaler, chorąży pułku Preobrażeńkiego Leopoldus Mirbach, przy Antonidzie marynarz, porucznik Bartłomiej Bram. Kawaler Olgi gadał jako tako po rosyjsku i tarł dłońmi oblicze, aby otrzeźwieć, lecz czerwony jak wołowina Duńczyk Bram jeno pił mrugając na omdlewającą pannę. Ach, jakie tam rozmowy i o czym?... — wszystko głupstwo 1... Byle jeno podać kawalerowi koniuszki palców, unieść

Iz przodu spódnic i w takt skrzypiec ślizgać się z ukłonami po nawoskowanej podłodze! Panny były rozfalowane niby leśne jezioro lw czas burzy.

| Roman Borysowicz siedział z Awdotią przy [drugim końcu stołu. Księcia korciło, że tak daleko od monarchy. Piotra otaczali cudzoziemcy. Obok niego siedział książę von Croy, tak pijany, że jeno rzucał głową jak koń przed muchami, z drugiej strony Amalia Knipperkrona. Aż do ostatniej chwili Piotr był wesół, żartował i bawił się. Wtem coś się przydarzyło (zauważono tylko, że podszedł doń Mieńszykow i szepnął do ucha) — z oczu cara zniknął śmiech. Widać było, że się hamuje. Gdy wniesiono nowe danie, zaczął wiercić nożem i widelcem to obok talerza, to koło twarzy — Amalia Knipperkrona z tkliwym współczuciem położyła mu rękę na wyłogu.

— Herr Piter, trzeba się uspokoić...

Rzucił widelec, nóż i zaśmiał się krzywo:

— Moje ręce są mi wrogami... (Wsunął

ręce pod stół.) No, cóż tak na mnie-patrzysz, mądralo? Zatańczymy dziś. Poobijamy obcasy...

Zmarszczki zbiegły się na jej czole, rzekła cicho, z wyrzutem:

— Herr Piter, czyżbym już nie zasługiwała na wasze zaufanie?

Żrenice mu załatały, nozdrza krótkiego nosa rozděły się.

— Bzdury, bzdury.

— Herr Piter, mam złe przeczucia.

— A co, może starka wywróżyła ci coś na bobie?...

Odwrócił się. Amalii zadrżały wargi.

— Mój ojciec także wielce niespokojny... Otrzymałam dziś list...

— List? wpił się krągłymi jak u drapieżnego ptaka oczyma we wzruszoną twarz dziewczyny. — Co pisze

Knipperkrona?

— Herr Piter, chcielibyśmy nie widzieć tego, czego już nie można nie dostrzegać... Chcielibyśmy nie słuchać. Ale o tym się mówi już bez ukrywania... (Amalia bała się wypowiedzieć jakieś słowo, nos jej zaczął czerwienić.) Byłoby to przeciwne rozumowi, byłby to wielki fałsz. (Oczy jej wypełniły się łzami z natężenia.) Jedno wasze słowo, Herr Piter...

Rozchyliła usta jakby do głębokiego westchnienia. Za krzesłem Piotra szybko, ostro przystanął Wasilij Wołkow, nie golona twarz ścięta wiatrem, sukienny kaftan zmięty — widać dopiero co wydobyty z torby podróźnej —■ za wyłogiem sterczał róg pisma. Amalia mocno przybladła. Żrenice jej śpiesznie przebiegały z cara na Wołkova, wiedziała, że Wasilij wraz z żoną znajduje się za granicą... Przyjechał, na pewno nie z dobrymi wieściami.

Piotr wskazał ręką na krzesło obok: — Siadaj. — Podszedł Mieńszykow we wspaniałej peruce, z krzywym uśmiechem. Piotr wyciągnął rękę. Wołkow podał śpiesznie list.

— Od króla Augusta — rzekł Piotr nie patrząc na Amalię. — Złe wieści. Na Inflantach

ipwipp

a i n t i—i

niespokojnie. (Obracał w ręku pismo — stanowczym ruchem wsunął je w zanadrze.) No cóż, Inflanty daleko, to nam nie przeszkodzi bawić się... (I — do Wołkowa:) Powiedz słowami...

Wołkow się podniósł. Mieńczykow przycisnął mu ramiona, posadził go i stał wsparty o poręcz krzesła.

— Saskie wojsko króla Augusta wtargnęło do Inflant bez wypowiedzenia wojny — rzekł Wołkow zacinając się. — Podeszli do Rygi, ale zdołali zająć jeno niewielką twierdzę Koberschanz, bali się atakować miasto dla okrutnego ognia Szwedów... Po tej nieudanej dywersji generał Karłowicz podszedł do morza i szturmem wziął twierdzę Diinamunde, gdzie pod koniec szturmego został zabity na miejscu z muszkietu. — Szkada, szkoda Karłowicza — rzekł Piotr. — Cóż, czy to już wszystkie twoje wieści?... — Położył zimną rękę na ręce Amalii. Dziewczyna dyszała mocno. Ścisnął boleśnie jej rękę. Wołkow utknął. Aleksander Daniłowicz, przesuując pukle peruki przez upierścienione palce, rzekł niedbale:

- Rozpytywałem go, więcej nic nie wie, był w Warszawie, gdy przyszły wieści spod Rygi. Król August wysłał go tu tego samego dnia. Sasi Rygi nie zdobyli i nie zdobędą — Szwedzi mają mocne zęby. Wszczęto błahą sprawę.

Amalia, nie wrywając ręki, szybko przechyliła drgającą twarz.

— To wojna, Herr Piter, to wojna — wyszeptwała. — Proszę, nie ukrywajcie przede mną, zrozumiałam to jeszcze w drodze^, O, co za nieszczęście...

Milczał chwilę. Po czym — ochryple:

— Cóżżeś zrozumiała? Gadali ci coś? Kto gadał?

Wówczas ona jęła beładnie opowiadać o tym, jak ją zdumiały słowa księcia Romana w zajeździe.

— Bujnosow ci napłótl? — rozpytywał z groźbą Piotr. — Który? Ten błazen? (Amalia, bryzgając łzami z policzków, kiwała głową.) Uwierzyłaś temu durniowi? A u nas słyniesz jako mądra kobieta... Weź chusteczkę, otrzyj. (Czuł — Amalia wbrew woli daje mu posłuch, cichnie.) Napisz więc do ojca: nigdy nie zgodzę się na rozpoczęcie niesprawiedliwej wojny, nie zerwę wieczystego pokoju z Karolusem. A gdyby nawet król polski zagarnął Rygę, miasta tego nie utrzyma, wydrę mu z łap... Co przysięgam na Boga.

Oczy Piotra zaokrągliły się poczciwie. Aleksander Daniłowicz pochylił głowę potwierdzająco, przykrywając jedynie wargi palcami, albowiem jakiegokolwiek uśmiechy byłyby w danym wypadku nie na miejscu,

Amalia przykładła chusteczkę do policzka, uśmiechała się zmieszana. Uwierzyła, robiła sobie wyrzuty. Piotr wesoło opadł na skórzaną poręcz krzesła.

t— Książę Romanie — wezwał — chodź no do nas.

Wśród pisków trefnisiów, którzy wszczerli rwetes dokoła talerza z minogami (toczyli się zbici w kłębek wyrывая sobie minogi z ust), Roman Borysowicz nie od razu usłyszał carski głos — aż czkawki dostał ze śmiechu. Antonida i Olga wskazywały mu straszyni oczyma: „Wzywa, wołał” Księżna Awdotia szarpnęła go za spodnie: — Idźże, ojcz, łaska pańska... doczekaliśmy się... idź.

Roman Borysowicz ruszył klusem na wezwanie i kłaniał się zadzierając szpadą ka-’ftan z tyłu. — Otom przybył, nadziejo nasza, oddany ci duszą i ciałem! — Piotr nawet nie zwrócił się w jego stronę — i do Amalii: — Mąż ów to polityk wyśmienity a zaczepny. Sam już nie wiem, czy go mianować generalissimusem, boję się, że zbyt wiele krwi przeleje... Czy też wziąć go do użytku domowego... — I nagle tak zwrócił się do Romana Borysowicza, że tamtemu czerwona mgła przepłynęła przed oczyma:

— Słyszałem, że się gotujesz do wojaczki, chcesz odebrać z powrotem nasze starodawne dziedzictwo inflanckie. Takli, pytam?

Roman Borysowicz począł mrugać oczyma, od brzucha do kolan spływała mdłość...

— Potrzeba nam śmiałych generałów. Za tę wielką odwagę mianuję cię generalissimusem wszego błazeńskiego wojska...

Piotr zerwał się i pociągnął Romana Borysowicza za rękę na wzniesienie, gdzie księżę-papież, zwiesiwszy rękę, zasepiwszy nabrzmiałe oblicze, charczał we śnie, jakby już

konał. Piotr jął go trząść. — Idź do diabła — mruknął księżę-papież. Goście przeczuwając nową zabawę tłoczyli się koło pomostu. Błazny przełaziły między nogami, rozsiadały się na stopniach. Księżciu-papieżowi włożono do jednej ręki krzyż z dwóch związanych fajek, do drugiej — surowe jaje. Romanowi Borysowiczowi kazano przyklęknąć. Rozmamlany księżę-papież wsysał ślinę.

— Mianować go? A mianuję, do chrzanu z nim...

Stuknął jajem w ciemność Romana Borysowicza, żółtko spłynęło po peruce, przytknął do twarzy fajki, po czym odepchnął nogą. Błazny zapiały. Księcia Romana posadzono na krześle jak na koniu, dano do trzymania ogryzioną kość szynki i pociągnięto między stoły. Roman Borysowicz skamieniał, ścisnął kość rozdziawwszy usta. Goście pokazywali go palcami i brali się za boki ze śmiechu. Amalia Knipperkrone również śmiała się dźwięcznie — wszystkie jej obawy, cały ból serca 'skończył się uciechą.

Antonida i Olga dopiero wówczas zrozumiały naprawdę swoje nieszczęście, gdy spojrzawszy nie znalazły już przy sobie kawalerów — Leopold Mirbach i Bartłomiej Bram w drzwiach sali tanecznej nisko, z pijackim uporem kłaniali się obrzydłym Szachowskiemu. Osiem księżniczek, wierząc pudrowanymi perukami, zaokrąglając obnażone ręce i robiąc niezliczoną ilość dygów, patrzyło zaczepnie na panny Bujnosow.

Owej zimy Wołkowowie nie dojechali przecie do Rygi. Szeroki zimowy trakt prowadził ze Smoleńska przez Orszę na Kreuzburg. Za polską granicą było już inaczej niż w moskiewskim carstwie (gdzie od wsi do wsi można było dzień cały jechać głuchym lasem) — tu wszę trafiały się często: na wzniesieniu klasztor, kościół lub dwór pański, gdziegdzie zamek otoczony kamiennym murem i fosą. U nas w dobrach przebywała sama jeno niemajętna szlachta lub też jakiś bojarzyn w nielasce siedział ponuro jak borsuk za wysokim tynem. Polscy panowie żyli wesoło, szeroko.

Aleksandrze Iwanownie strasznie się chciało zawrócić z drogi do jednego z tych cudnych zamków, których ostre łupkowe dachy i ogromne okna widniały spoza odwiecznych lip. Wołkow złościł się: — Jesteśmy ludzie carscy, jedziemy z papierami, zrozumże, nie możemy się napraszać...

Napraszać się nie było trzeba. Pewnego razu późnym wieczorem wjechali do wielkiej wsi, jakby wymarłej — nawet psy nie czekały. Zatrzymali się przy karczmie. Podczas gdy gospodarz, wysoki, przygarbiony Żyd w lisiej czapie, z trudnością otwierał wrota, Aleksandra Iwanowna wyszła z kolaski rozprostować nogi na śniegu. Patrzyła na połówkę miesiąca, jego mdłe światło nie zacierało gwiazd. Sańka była Jakaś rozmarzona...

268

Cicho szła ulicą... Niewielkie chaty były niemal wszystkie pozapadane, sporo bez dachów, jeno krokwie czerniały na księżycowym niebie. Doszła do oszroniałej wierzby płaczącej. Była tu kapliczka. Koło zamkniętych drzwiczek przypadła twarzą do ziemi jakaś kobieta w białej świtce, zacisnąwszy twarz w dłoniach. Nie odwróciła się na skrzywienie śniegu. Sańka powstała chwilę, westchnęła i odeszła. Ciągłe się jej zdawało, że gdzieś daleko gra muzyka.

Wołkow przywołał ją. Weszli do karczmy przez długie sienie, zastawione kadziami i beczułkami. Gospodarz poświecił łożówką — gęsta broda sterczała mu przed drobną twarzą z oczyma starczymi i posepnymi. — Pluskiew nie ma, będzie się wam dobrze spało — rzekł po białorusku — byle Jenowi panu Małachowskiemu nie strzeliło do głowy zajechać do karczmy. Ach, Boże, Boże...

W nagrzanym karczmie rozchodził się kwaśny zapach. Za podartą zasłoną płakało w kołysce dziecko. Sańka zdjęła szubę i upadła na przyniesione z mrozu poduszki. Jej również chciało się płakać, zmrużyła oczy i poczuła na prawo od serca (gdzie mieści się dusza) — jakiś wielki niepokój... Czy to kogoś żał, czy że chce się kochać.

Drzwi w karczmie trzaskały co chwila: gospodarz wchodził, wychodził, to znowu Jacys ludzie. Dziecko płakało pokornie..... Znowu noc nie przespana..." Mąż przywołał: — Sa- nia, chcesz wieszcząć? — Udała, że śpi. Ma

jaczył wyszczerbiony księżyc, mętnie oświetlający plecy kobiety w białej świtce przed kapliczką. Chciała odepchnąć obraz — ale nie... Majaczyły jakieś zapomniane dzieje: straszne oczy matki, kiedy umierała... Płonie kaganek... Mali braciszki w zmoczonych koszulkach zwiesili głowy z pieca; słuchając, jak matka jęczy, patrzą na cień od wrzeczona na bierwionowej ścianie; wygląda jak staruch z koźlą bródką i cienką szyją... „Sania, Sania — przywołuje matka samym jeno westchnieniem — Sania, żal mi ich...”

Wołkow bez pośpiechu jadł kluski. Drzwi' znowu trzasnęły, ktoś wchodząc wzdychał ostrożnie. Sańka przelknęła łzy: „Tak oto przejedzie człek obok szczęścia.” Mąż znowu: — Sania, napiłabyś się choć mleczka.

Przy drzwiach kobiecy głos: — Panie miłosierny, niech cię Królowa Niebieska ma w swojej opiece, nie jedliśmy już trzeci dzień, daj nam chleba z łaski swojej! — Sańka siadła na ławce, jakby jej duszę przebito. Przy drzwiach klęczała kobieta. Za pazuchą białej świtki leżała boczek żalosa twarzyczka dziecka. Sańka porwała się, złapała talerz gęsiny. — Na! — podała i mimo woli sama pokiwała jej po bab9ku. — Odejdź, odejdź.

Kobieta odeszła. Sańka usiadła przy stole. Serce biło tak, że nawet mleka nie mogła wypić.

Wołkow zapytał Żyda karczmarza:

— Cóż to, mieliście nieurodzaj czy co?

— Nie, Bóg tego jeszcze nie dopuścił. Pan

Małachowski zebrał dobry urodzaj i Już zawiózł do Królewca...

— Widzicie! — zdziwił się Wołkow i położył łyżkę. — Sprzedają w Królewcu; ceny chyba biorą porządne.

— Oj, te ceny, ceny — gospodarz stęknął kręcąc wójłokiem brody. Postawił lichtarz na ławce, ale sam nie śmiał się. — Dzisiaj królewieccy kupcy rozumieją dobrze, że nigdzie indziej nie można wywieźć pszenicy: do Rygi nie pojedzie — któż zechce płacić Szwedom myto? No i dają guldena...

— Guldena! Za pud? — Wołkow z niedowierzaniem otworzył niebieskie oczy. — Ale ty chyba łiesz.

— Ej, dalibóg, nie łę. Co miałbym jaśnie wielmożnego pana okłamywać? Kiedy byłem młody, woziliśmy zboże do Rygi, płacono tam półtora i dwa guldeny. Pan się nie pogniewa, że ja siadę. Ach, Boże... Boże... Wszystko te żarty pana Małachowskiego... Zarąbał szablą naszego Żyda Altera we wsi pana Badowskiego. A pan Badowski to jest taki pan, że za zwyczajną kurę gotów podnieść całą swoją szlachtę zaściankową — Alter był pachcia- rzem. To pan Badowski napadł ze szlachtą na pana Małachowskiego, była strzelanina z pistoletów, że jej. Boże kochany... Potem pan Małachowski napadł ze swoją szlachtą na pana Badowskiego. Ile prochu namarnowali — a wszystko za jednego zabitego Żyda... Potem pojednali się i wypili pięćdziesiąt antałów piwa. Wpadła tu szlachta pana Mała

chowskiego, złapali ..mnie, złapali pięciu naszych Żydów, rzucili nas na chłopski wóz, przycisnęli żerdziami, jak się zboże wozi, i powieźli na dwór do pana Badowskiego. Pan Małachowski aż trzymał się za brzuch, tak się śmiał: „Masz oto, panie Badowski, za jednego Żyda sześciu”. Jankielowi Kaganowi złamali żebro, kiedy leżał w wozie. Moszko- wi Lewidowi odbili wątrobę, a mnie od tej pory nogi schną...

— Jeżeli nie kłamiesz — rzekł Wołkow nalewając mleka na gliniany talerz — to czemu wioska wasza taka licha?

— Az czego chłop ma obrosnąć sadłem?

No, po co sadłem? Chłopu nie można

pozwoić, żeby zanadto porósł w sadło... A przecie należałoby poszyć chaty. Patrzyłem —| przecie u nas było lepiej żyje... Czyn- szowników, widać, nie ma całkiem.

- U nas wszyscy chłopci na pańszczyźnie. . — A ile dni pańszczyzny? .. — Całe sześć dni robią na pana.

Wołkow znowu się zdziwił... „U nas by skarb carski do tego nie dopuścił — z takiego gołego chłopca nie dostanie ani grosza...” :'. — A kto tu u was podatki płaci do skarbu? Panowie czy co?

— Nie, panowie podatków nie płacą. To my płacimy panom...

— To mi państwo! — Wołkow uśmiechnął się i pokręcił głową. — Sania, tu panom swoboda...

Ale Sańka nie słuchała. Oczy rozwarte, zre

nice nieruchome. Odwróciła się do okna, przyłgnęła do mokrej szyby. Na ulicy coraz głośniejszy słychać było muzykę, bębny, głosy. Karczmarz zaniepokoił się, wziął lichtarz i zgarbiony podreptał ku drzwiom.

— Mówiłem przecie — pan Małachowski nie da wam spać.

Przed karczmą zatrzymał się dziesiątek sań. Żydzi rzępolili na skrzypcach, dęli w ochryple klarnety.

Szlachta rozwalona na kobiercach śmiała się hałaśliwie, zadzierając nogi, pokrzykując, kpiąc. Jeden wąsaty, w krótkim kożuszku, tańczył na udeptanym śniegu; raz kroczył poważnie, przesuwał dłoń po wąsach, to znów okręcał się wściekle, aż szabla leciała za nim.

Przypędzili jeźdźcy z pochodniami, zeskoczyli na ziemię. Z ciemności wynurzyła się czwórka rosnących koni z pawimi piórami na zadartych łbach; w otwartych saniach damy. (Sańka całkiem przyłgnęła do szyby gapiąc się na cudzoziemki: wszystkie w wąskich aksamitnych futerkach, futrzane kołnierze, małe czapeczki na bok.) Damy śmiały się w świetle pochodni. Z tyłu sanek zlaźł krępy pan. Chwiejąc się na nogach, ruszył do karczmy, dojrzał twarz Sańki za mętną szybką. — Hajda! — machnął na szlachtę. Pan wtargnął do karczmy, a za nim szlachta, niektórzy w zwyczajnych kożuchach, niektórzy całkiem obdarci, ale wszyscy przy szablach i pistoletach. TM Pan, czerwony jak kocioł miedziany, rozsta

szuli dobywając z zanadru mieszek z papierami, jako dowód, że jest osobą nietykalną. Sańka, jękając się nieco, przemówiła jednak głosem śpiewnym: — Cieszę się z poznania...

wił nogi, przesunął garścią po wąsach tak wielkich, że nie mieściły mu się w dłoni; jego kontusz, podbity lisim futrem, był utyłany w śniegu — widać pan nieraz musiał spaść z sanek. Grzmiać szablą, błyskając oczyma na Sańkę, jął gadać napuszenie, z pijackim natężeniem:

■— Miłościwa księżniczko moja, przekłety karczmarz za późno doniósł mi o waszym przejeździe. Jakże można, by tak urodziwa, wielkiego rodu pani nocowała w paskudnej karczmie. Nie pozwalamy! Panowie, padać do nóg, prosić księżnę do zamku...

Szlachta — byli wśród niej ludzie siwi, ozdobieni szramami w poprzek twarzy — napełniła karczmę pijackim zaduchem. Jęli przyklękać na jedno kolano przed Sańką, zrywając czapy, waląc się dłonią w piersi.

— Miłościwa księżniczko, raczej umrę, niż wstanę od waszych boskich nóżek — jedź do pana Małachowskiego...

Aleksandra Iwanowna, jak skoczyła spoza stołu, ściągnąwszy z ramion szal podróżny, tak też stała przed klęczącą szlachtą, blada, z uniesionymi brwiami, jeno nozdrza jej drgały. Karczmarz trzymał wysoko świecę. Pan Małachowski patrząc na taką urodę trącił jednego szlachcica, potem drugiego i robiąc krok sam osunął się ciężko na jedno kolano.

— Ja proszę.

Sańka miała przecie na tyle rozsądku, iż spojrzała na męża. Wasilij przestraszył się wielce, drżącą dłonią rozpinał kołnierz ko

Pan Małachowski ucztował już drugi tydzień, hulał na całe województwo. Żona jego, pani Augusta, przepadała za tańcami i zabawą, obtańcowywała kawalerów do zamroczenia. Niejeden, zmożony, chował się gdzieś na poddaszu — budzono go, wleczono zaspanego do sali kolumnowej, gdzie na chórze wychudli muzykanci w łatanych chałatach dobywali resztki sił. Z weneckich kandelabrow pod wspaniale malowanym sufitem kapał wosk na przepocone peruki, rozwiane spódnice, w sąsiednich komnatach piła i gardłowała z ożywieniem drobna szlachta.

Nagle wśród nocy pani Augusta, drobniutka, kędzierzawa, z dołkami na policzkach, wpadała na pomysł nowej zabawy i klaskała w dłonie: — Jedziemy! — Wypadali do sań i z pochodniami mknęli do sąsiada, gdzie znowu antańki węgryzyna, całe barany pieczone dla wysokich gości, a dla szlachty — ogromne michy flaków z czosnkiem. Osuszano puchary za zdrowie pięknych dam, za honor, za wielką wolność Rzeczypospolitej.

Niekiedy pani Augusta wpadała na pomysł przebrania gości za Turków, Greków, Indusów.- Biedniejszej szlachcie smarowano twa-

I rze sadzą. Nauczutowawszy się w nocy, o świcie szli przebrani do sąsiedniego klasztoru, brząkającego gościnnie dzwonkiem spoza ogołoconych drzew na wzgórze. Słuchali mszy, a potem w białym refektarzu, ogrzanym płonącymi drzwami na kominku, spijali stuletnie miody i przekomarzali się z grzecznymi mnichami w perfumowanych habitach i przy ostrogach — na wszelki wypadek.

Sańka z całym żarem duszy rzuciła się w te uciechy. Zmieniała jeno suknie i mokre koszule, nacierała się pachnącą wódką i znowu — zeszczupiała, wysoka — cała przesycona muzyką, kłaniała się dumnie w menuecie i jak szalona wirowała w polskich tańcach.

Wasilij z początku wzbraniał się, ale przystawiono do niego dwóch żarłoków i opilców, bohaterów sławnych ha całą Polskę, pana Chodkowskiego i pana Domarackiego. Ci szlachcice jednym haustem opróżniali garniec piwa, zjadali całą gęś nadzianą śliwkami, zagryzali miską pierogów i zapijali pięciu butelkami węgrzyna. Wasilij całował się z nimi dzień i noc. Gdy rozjaśniało mu się w głowie, poczynał w trosce szukać żony... — Saniecz-ko, kochanie, musimy się zbierać, dość tego! — Sańka nawet nie patrzyła na niego. Pan Chodkowski obejmował go za ramiona; kołysząc się na nogach, szli dalej ucztować...

Wasilij mruzczał chowając głowę w poduszkę — ktoś potrząsał go za ramię. (Spał w ubraniu, zdjął jeno kaftan i szpadę.) Głowa ołowiana, arii podnieść. Ów ktoś trząsał uparcie, wpijał w ramię paznokcie... — Och, co tam znowu?

— Chodź tańczyć ze mną... No, chodźże, chodź. — Głos Sanki szybko powtarzał swoje, wydawał się tak dziwny, że Wasilij uniósł się na łokciu. Sańka przy łóżku kiwała na niego upudrowaną głową... Oczy takie... jakby w domu zdarzył się pożar czy inne nieszczęście...

— Nie chcesz ze mną tańcować?

— -Pomieszało ci się w głowie, mateczko, przecie na dworze już świta...

Zmieniona twarz Sańki, obnażone ramiona były niebieskawe od światła zorzy za wielkim przezroczystym oknem... „Co ona z siebie zrobiła, jakby krew z niej wyssała!”

— Połóż się lepiej spać.

Nie chcesz, nie chcesz... Ach, Wasilij...

Siadła gwałtownie na wysokim krześle, opuszczając obnażone ręce. Pachniała słodka- wymi perfumami francuskimi i jeszcze czymś obcym. Patrzyła na męża nie mrugając oczu. W krtani jakby przesuwiał się kłębuszek.

— Wasia, kochasz ty mnie?

Gdyby spytała jak zwykle, miękko — ale nie, pytała jakby z groźbą. Wasilij w złości wyrznął pięścią w poduszkę.

— Pozwól mnie choćby żyć spokojnie.

Znowu przełknęła kłębuszek.

— A powiedz, jak ty mnie kochasz?

Cóż na to rzec? Babskie gładzenie! Gdyby

tak łeb nie pękał po pijaństwie, Wasilij sklął- by ją, ale nie miał sił ani ochoty, milczał patrząc na żonę z uśmiechem wyrzutu. Sańka cicho plasnęła rękami.

r— Nie ustrzeżesz... Grzech spadnie na ciebie...

Powstała, odrzuciła nogą długi ogon sukni i wyszła.

— Zamknij drzwi, Sania...

Wasilij nie mógł przecie zasnąć — wzdychał, przewracał się z boku na bok słuchając dalekiej muzyki na dole, w salach. Nie chciało mu się, a przecie myślał: „Źle, niedobrze”. Siedział na łóżku, trzymał się za głowę... „Takie życie to na nic...” Ubrał się. Służbowymi schodami poszedł do stajni — dojrzeć, czy kolaska w porządku. Spostrzegłszy w wozowni stangreta Antypa (kupił go od smoleńskiego wojewody za sześćdziesiąt rubli na miejsce tego, co przepadł pod Wiaźmą), ucieszył się na widok swego człeka.

— No cóż, Antypie, jedziemy jutro.

— Ach, Wasiliju Wasiliewiczu, warto by, przykrzy się tu już.

— Wieczorem pobiegnij do karczmarza, dowiedz się o konie.

Wasilij wracał powoli przez park. Miotło czysty śnieg, poważnie szumiały drzewa z ga- wronimi gniazdami. Na stawie pracowało sporo chłopów i bab, widocznie spędzono całą wieś do zmiotania śniegu, ustawiono jakieś żerdzie z proporcami, trzepocącymi na wietrze. „Ciągłe głupstwa i uciechy...” Wasilij nagle zatrzymał się, jakby go ktoś złapał za ramiona. Skrzywił się, serce waliło, domyślił się: to on, ileż razy widział go w pijackich oparach, ale teraz dopiero zrozumiał, to on, pan Władysław Tykliński, rosły piękniś w paryskim kaftanie z pomarańczowego aksamitu. Aleksandra cały czas jeno z nim: menueta — z nim, kontredansa — z nim, mazura — z nim.

Wasilij patrzył pod nogi. Śnieg przylegał do policzka, do szyi. Ale ledwie domysł ostro mignął, znów wszystko jęła powlekać pijacka mgła. Nic nie postanowił. A już szukano go na śniadanie. (Tu był taki zwyczaj: po wesoło spędzonej nocy — wczesne śniadanie i sen aż do obiadu.) Uprzykrzeni kompanowie, Chodkowski i Domaracki, samochwały, brzuchaci łgarze, złapali go pod ręce ze śmiechem: — Panie Wasilij, co za bigos!... — Aleksandry nie było przy stole, tamtego również. Wasilij golnął krzepkiej starki, lecz nie szła mu do głowy.

Wstał od stołu i przeszedł do sali tanecz- nej — pustka. Na chórze spał długi, kościsty Żyd przypadszy do tureckiego bębna. Wasilij ostrożnie przymknął podwójne drzwi do zwierciadlanej galerii. Wzdłuż okien, po woskowanym parkiecie zaśmieconym kolorowymi papierkami, szedł pan Władysław, beczelnie zadzierając szpadą połą pomarańczowego kaftana, oraz Aleksandra. Mówił coś do niej gorąco, wstrząsał porywczco peruką,

ona słuchała z głową spuszczoną. W tej pochylonej szyi było coś dziewiczo bezbronnego: wywieźli za granicę niedoświadczoną gąskę, pozostawili samą, ukrzywdzą — jeno łzy łykać...

Należało podejść gniewnie, zażądać satysfakcji od dumnego Polaka, lecz Wasilij jeno patrzył przez szczelinę drzwi, czując dojmującą litość... „Ech, Wasilij, kiepskim jesteś opiekunem”. Tymczasem pan Władysław pięknym gestem wskazał boczne drzwi. Łopatki Sańki uniosły się nieco, pokręciła lekko głową. Zawrócili, weszli do zmarzniętego ogrodu. Wasilij mimo woli zrobił ruch — zakasać rękawy... Nie ma rękawów, same koronki, a szpada została na górze... Niech to diabli!...

Z hałasem odrzucił skrzydło drzwi, lecz z tyłu wpadły nań hałaśliwe grubasy — Chodkowski i Domaracki. — Panie Wasilij, spróbuj jeno, gorące kołduny ze śmietaną...

Znowu siedział za stołem w zamięcie dusznym. Wstyd, gniew. To jawna zмова. Te żarłoki spajają go... Biec po szpadę, bić się? Dobry mi carski wysłannik, wdał się w bijatykę z powodu baby, niby chłop w karczmie. A niech tam! Niechby się raz skończyło.

Odepchnął podaną szklankę i wybiegł szybko z jadalni. Na górze szukał szpady, zaciskając zęby. Znalazł ją pod stosem spódnic Sańki... Z całej siły zacisnął szarfę. Zbiegł po kamiennych schodach. W zaniku już poszli spać. Obiegł ogród nikogo. Natknął się na dziewczkę pokojową. Dygnawszy nisko, zapiszczała:

— Księżna pani, pani Małachowska i pan Tykliński pojechali na przejażdżkę, powiedzieli, że nie wrócą przed wieczorem...

Wasilij wrócił na górę i aż do zmierzchu siedział przy oknie i patrzył na drogę... Rozmyślenia doprowadziły go do tego, że począł już układać list pokutny do Piotra Aleksiejewicza, ale nie znalazł ani papieru, ani pióra.

Potem okazało się, że Sańka już dawno wróciła i odpoczywa w sypialni pani Augusty. Po wieczery miała się odbyć na stawie zabawa karnawałowa i fajerwerk. Wasilij pobiegł do wozowni, nakazał Antypowi przygotować cichaczem konie i przenieść do kolaski niektóre toboły. Wrócił posepnie do zamku. Na gzymsach zapalono lampiony, wiatr' przebiegał po płomykach. Śnieżne chmury ustąpiły, noc niebieska, księżyc ścięty z boku.

Koło, pawilonu ogrodowego z kamiennymi niewiastami, osypanymi śniegiem, Wołkow usłyszał ochryple okrzyki, mocne sapanie, szczękanie kling. Już miał przejść obok — nieciekawie. Za rogiem (przy postumencie Kupidyna ze strzałą) stała kobieta przytrzymując przy samej szyi narzuconą szubkę. Skłoniła białą perukę. Popatrzył — Aleksandra. Podbiegł. Tuż za rogiem, w świetle księżycy, rąbali się szablami pan Władysław z panem Małachowskim. Podskakiwali w rozkroku, dobiegali do siebie, przytupywali, wypluwali

wściekle powietrze, trzaskali szablą o szablę.

Sańka przypadła do Wasilija, objęła go, przylgnęła; odrzucając głowę, mrużąc oczy — przez zęby: — Zabierz mnie, zabierz... Wąsaty Małachowski dojrzawszy Wołkowa wykrzyknął głośno. Pan Władysław wpadł na niego. — Nie twoja, nie pozwolimy! — Przez park biegła szlachta z gołymi szablami — rozdzielić panów.

Wasilij uspokoił się dopiero wtedy, gdy odjechali z jakie pięćdziesiąt wiorst od pana Małachowskiego. Sańce nic nie wypominał, o nic nie pytał, ale był surowy. Siedziała w kolasce przycichła, nie otwierając oczu. Omijali teraz z dala bogate dwory.

Pewnego razu siedzący na koźle przewodnik, wsunawszy odziębione palce w wąskie rękawy kożuszka, zaczął się kręcić pokazując z górki ceglany daszek przydrożnej kapliczki. Antyp wsunął głowę do kolaski.

— Wasiliju Wasiliewiczu, tu już nie minie nas postój.

Okazało się, że kapliczka ta (ku czci Św. Jana Nepomucena) zbudowana została przez głośnego pana Borejko, którego otyłość, obżarstwo i gościnność stały się przysłowiowe. Dwór pana znajdował się z dala od drogi, za ciemnym laskiem. By móc bez fatygi werbować kompanię, do butelki, postawił kapliczkę na samym trakcie; w jednej przybudówce —

kuchnia i piwniczka, w drugiej — jadalnia. Mieszkał tu stale kapucyn — grubas i żarto-wniś. Odprawiał nabożeństwo i dla zabicia czasu grał z panem w karty, we dwóch czyhali na przejezdnych.

Ktokolwiek jechał, czy to znamienity pan, beztroski szlachcic, co ostatnią czapkę przepił, mieszcuch-kramarz z miasteczka — czeladź przeciągała sznur w poprzek drogi, pan Borejko, kołysząc się ciężko, ze świstem w gardle, częstował przejezdnego pucharem wina, czeladź żwawo wyprzęgała konie, struchlałego człeka wciągano do kaplicy, kapucyn odmawiał modlitwę i zaczynała się uczta. Pan Borejko nie wyrządzał ludziom nic złego, ale nie wypuszczał trzeźwych. Niektórych odnoszono do sań bez przytomności. Ten i ów, nie mogąc przyjść do siebie, oddawał duszę niebu przy głuchym wtórze rozgrzeszeń kapucyna...

— Cóż mamy robić, Wasiliju Wasiliewiczu? — zapytał Antyp.

— Zawracaj, pędź, ile pary w koniach, polem.

Widać panowie myśleli tylko o jednym:

O uciechach. Zdawało się, że cała Rzeczpospolita ucztuje beztrosko. W miasteczkach i gródkach, w każdym znamienitszym domu wrota otwarte na oścież, na ganku gardłuje podchmielona szlachta. Za to ulice miejskie były czyste. Sporo dobrych kramów i straganów* Nad sklepami, na warsztatami rzemieślników i tam, gdzie siedzieli cyrulicy, wisiły szyldy

w poprzek ulicy: dama w kaftanie, kawaler na koniu, miednica. W drzwiach życzliwie uśmiechał się Niemiec z porcelanową fajką albo Żyd w przyzwoitej szubie nienatarchy- wie zachęcał przechodzącego do odwiedzenia sklepu. Nie to, co w Moskwie, gdzie kramarz ■ciągnie kupującego za połę do marnego kra- |miku: zbutwiały towar —.za potrójną cenę. Tutaj, gdy wejść do jakiego sklepu, aż oczy człowiekowi wyłażą. Nie masz pieniędzy —. dadzą na borg.

Im bliżej inflanckiej granicy, tym częściej trafiały się miasteczka. Na wzgórkach kręciły się skrzydła wiatraków. We wsiach wywożono już nawóz. W pochmurnym niebie pachniało wiosną. Oczy Sańki znowu zaczęły błyszczeć. Podjeżdżali do Kreuzburga, lecz tu zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

W zajeździe, za przepierzeniem, spoczywał dworzanin Piotr Andriejewicz Tołstoj. (Wracał do Moskwy z zagranicy.) Usłyszawszy rosyjską mowę wyszedł w kożuszk narzuconym na ramiona, łysa głowa przewiązana była fularową chustą.

jj— Nie miejcie staremu za złe — skłonił się grzecznie Aleksandrze Iwanownie. — Jestem nader rad z przyjemnego spotkania...

Spoglądał badawczo i uprzejmie spod brwi czarnych jak gronostajowe ogony na rozbie-1 rającą się Sańkę. Miał już pod pięćdziesiątkę, był szczupły i niski, lecz wielce żyłasty. W Moskwie Tołstoja nie lubiano, car nie mógł mu wybaczyć przeszłości, gdy to on wraz z Chowańskim podburzył strzelców w obronie Zofii. Lecz Tołstoj umiał czekać. Podejmował się trudnych poleceń za granicą, wypełniał je znakomicie. Posiadał języki, sztukę pięknego wysławiania się, potrafił niedrogo kupić obraz (do pałacu Mieńszykowa), dobrą książkę, zwerbować użytecznego człeka, nie wysuwał .się zanadto naprzód. Niektórzy już uważali go za niebezpiecznego.

— Czy droga wasza nie prowadzi czasem do Rygi? — zapytał Aleksandrę Iwanownę. Kałmuczka ściągała jej z nóg walonki. Sańka odrzekła z miną znudzoną:

rr- Spieszymy do Paryża.

Tołstoj dobył rogowej tabakierki, stuknął środkowym palcem i wsunął szczyptę tabaki do dużego nosa.

Nie unikniecie prywaty, jedźcie lepiej przez Warszawę. (Wołkow rozcierając zziębniętą twarz zapytał: „Czemu to?”) W Inflantach wojna, Wasiliju Wasiliewiczu, Ryga obleżona.

Sańka złapała się za głowę. Wołkow mrugał oczyma z przest్రachem.

— Zaczyna się. Jakże to? August sam jeden czy co?...

I zakrztusił się; Piotr Andriejewicz ukłął go oczyma zimno, ostrzegająco. Podniósł nos zawalany tabaką. Kichnął — końce fularowej, chustki wstrząsnęły się niby uszy.

— Radzę, drogi Wasiliju Wasiliewiczu, zawrócić natychmiast na Mitawę. Jest tam król August. Będzie niezmiernie rad widzieć pana,

a osobiwie małżonkę, tellement charmante et sympathique *...

Tolstoj opowiedział coś niecoś o rozpoczętej wojnie. Jeszcze na jesieni saskie bataliony króla Augusta zaczęły zbierać się nad inflancką granicą w Janiskach i Mitawie. Gubernator ryski Dahlberg (który przed trzema laty wyrządził despekt wielkiemu poselstwu moskiewskiemu z Piotrem Aleksiejewiczem) czy to zlekceważył dywersję, czy też nic nie chciał widzieć. Rygę można było wziąć zniemacka, lecz przez wenusowe uciechy i nierozsądną lekkomyślność zmarnowano bezcenny czas: saski głównodowodzący, młody generał Flemming, zakochał się w siostrzenicy pana Sapiehy, przebalował całą zimę w jego zamku, żołnierze hulali swoim porządkiem. Grabili kurlandzkie wioski, chłopcy poczęli uciekać na Inflanty, w Rydze spostrzeżono się wreszcie: gubernator umocnił miasto.

— Po przybyciu do wojsk generała Karłowicza, chwalić Boga, nareszcie rozpoczęły się wojenne działania — opowiadał Piotr Andriejewicz fałdując wygolone wargi i lubując się słowami — lecz, niestety, Wenus i Bachus — nśgligent* świst kulek: generał Flemming szuka starć bardziej gorących. Miał szturmować Szwedów, zdobywa dzielnie fortecę pięknej Polki — już wywiół ją do Drezna, gdzie wkrótce odbędzie się wesele...

Z tego opowiadania Wołkow zrozumiał, że sprawy króla Augusta stoją źle. Rozważył, iż aby nie popełnić jakiegoś niedopatrzania i nie odpowiadać potem przed Piotrem Aleksiejewiczem, trzeba zawrócić do Mitawy.

— Gdzie są pańscy rycerze? Gdzie pański dziesiątek tysięcy pancernych? Pańskie zakłęcia? Okłamałeś pan króla.

August mocno stuknął zapalonym kandelabrem przed lustrem gotowalni, wśród rękawiczek, flakonów z perfumami, puszków — jedna świeca upadła i zgasła. Jął chodzić po srebrzystym dywanie sypialni. Jego opięte, krzepkie łydki gniewnie drgały. Johann Patkul stał przed nim błąd, posepny, ściskając kapelusz.

Uczył wszystko, co było w ludzkiej mocy: przez całą zimę pisał podżegające listy, przysyłał je sekretnie rycerzom do dworów inflanckich i do Rygi. Lekceważąc groźby szwedzkiego prawa, przebrany za kupca przekroczył granicę i odwiedził zamki von Benckendorfa, von Sieversa i von Pahlena. Rycerze czytali jego listy i płakali wspominając dawną potęgę Zakonu, uskarżając się na cła zbożowe, a ci, co przez redukcję stracili część ziemi, zaklinali się, że oddadzą życie. Ale gdy wreszcie wojska saskie wtargnęły do Inflant z manifestami Augusta o zrzuceniu szwedzkiej niewoli, nikt z rycerstwa nie ośmielił

się sięść na koń, ba, co gorsza — wielu zaczęło razem z mieszczanami umacniać Rygę i bronić jej przed królewskimi najmitami, dyszącymi żądzą grabieży.

Dziś Patkul przywiózł do Mitawy te mało pocieszające wieści. Król przerwał obiad, wziął ze stołu kandelabr, porwał Patkula za rękę i podążył do sypialni...

— Popchnęliście mnie do tej wojny! Obnażyłem szpadę polegając na pańskich uroczystych zaklęciach i pan ośmielasz się oświadczyć, że inflanckie rycerstwo, ci opoje, pożeracze kiszek pasztetowych, jeszcze się waha.

August, olbrzymi, wspaniały, w białym wojskowym kaftanie, szedł na Patkula zaciskając pięści, potrząsał wściekle koronkowymi mankietami i w rozdrażnieniu wykrzykiwał więcej niż należało.

— Gdzie duńskie wojska pomocnicze? Obiecano mi je! Gdzie pięćdziesiąt pułków żołnierzy cara Piotra? Gdzie wasze dwieście tysięcy dukatów? Do diabła! Polacy czekają na te pieniądze. Polacy czekają mego powodzenia, by porwać za szablę, lub mej klęski, by wszcząć niesłychane zamieszki...

Piana pryskała z jego pełnych, ostro zarysowanych warg, wypielęgowane oblicze trzęsło się... Patkul, odwracając oczy na stronę, hamując wściekłość podchodzącą do gardła, odrzekł:

— Miłościwy panie, rycerstwo chciałoby otrzymać gwarancje, że obaliwszy szwedzkie
HHHW

panowanie nie podlegnie najściu moskiew- |skich barbarzyńców. Tu, sądzę, tkwią przyczyny wahań...

—Bzdury! Próżne strachy... Car Piotr przysięgał na krucyfiks, że nie pójdzie za Jam- burg; Rosjanie potrzebują Ingót i Karelii. Nie sięgną nawet po Narwę.

— Miłościwy panie, obawiam się wiaro- łomstwa. Wiadomo mi, że z Moskwy wyszły przespiewki do Narwy i Rewia, jakoby po zakup towarów. Mają nakazane ściągnąć plany twierdz.

August zrobił krok w tył. Jego wielka ręka z malowanymi paznokciami opadła na gardę szpady, krągły podbródek wysunął się dumnie.

— Panie von Patkul, daję słowo królewskie: ani Narwa, ani Rewel, ani tym bardziej Ryga nie zobaczą Rosjan. Cokolwiek by się zdarzyło, wydrę te miasta z pazurów cara Piotra...

Król nudził się rozpaczliwie w pałacu książęcym w Mitawie. Jego pobyt w pobliżu wojsk nie przyspieszał biegu wydarzeń. Udało się zdobyć jedynie małą forteczkę Koberschan^^ Rygę bombardowano dwukrotnie, lecz bez powodzenia. Inflanckie rycerstwo wciąż jeszcze namyślało się, czy sięść na koń. Polscy magnaci bacznie wyczekiwali gotując widocznie na następnym sejmie pytanie dla . króla: „Dla jakich to widoków król wciąga Polskę w tę niebezpieczną wojnę?" 4

Pogoda w Mitawie była obrzydliwa. Pieniądzy mało. Kurlandzka szlachta nieokrzesała. Żony ich przypominały raczej cielne krowy niżli płęć piękną. Młody książę kurlandzki Fryderyk Wilhelm, pyszałkowany opój, przyprawiał o nieznośną nudę. Gdyby nie wysiłki nowej przyjaciółki, Athalie Desmont, która wraz z królem opuściła wesołą Warszawę, bujnemu temperamentowi Augusta groziłaby melancholia.

Athalie Desmont obmyślała bale i polowania, sprowadziła z Warszawy włoskich aktorów, rozrzuciła pieniądze z taką niepojętą hojnością, że nawet August sapał niekiedy, dając rozporządzenie ministrowi dworu, by wydać hrabinie tyle a tyle złotych dublonów. Wskutek ostrego klimatu włoscy aktorzy kichali i kaszlali. Miejskowa szlachta, nie rozumiejąca wytwornych rozrywek, na pięknie obmyślonych balach wytrzeszczała jeno oczy na przepych obliczając w myśli, ile to mogło króla kosztować.

Pewnego razu król obiadował. Wedle zwyczaju jadł sam przy niedużym stole, zwrócony plecami do kominka. Damy siedziały przed nim półkolem na złożonych krzeselkach. Król był w niewielkiej, wytwornej peruce, lekkim kaftanie w kwiaty, batystowa koszula opadała koronkami aż na dół brzucha. Krajczy, pergaminowy staruszek z uczernionymi wąsami, dolewał grzanego wina. Dziś było na przyjęciu sześć miejscowych baroness z buraczkowymi policzkami, sześciu dorodnych baronów stało sztywno za ich posypanymi mąką perukami. Dwa krzeselka były puste.

Jedząc faszerowanego zająca August spoglądał mętym wzrokiem na damy. Drwa trzaskały. Baronowie i baronowe nie poruszali się, widocznie obawiając się nieprzyzwoitych dźwięków w rodzaju sapania. Milczenie przeciągało się zbyt długo. August wsparł się łokciami o stół, otarł usta, upuścił serwetkę na stół.

— Mesdames et messieurs, nigdy nie zdołam was dość zapewnić o tym wysokim zadowoleniu, którego doznaję pozostając gościem waszego pięknego miasta. (Potwierdził to lekkim ruchem dłoni.) Wysokie wartości moralne szlachty kurlandzkiej świecą przy-' kładem, łącząc w szczęśliwy sposób trzeźwą praktyczność ze szlachetnym sposobem myślenia.

Baronowie pochylili godnie peruki z końskiego włosia, baronowe, po chwili zwłoki (ponieważ nieszczególnie rozumiały francuszczyznę), dygnęły unosząc wspaniałe turniury.

— Mesdames et messieurs, niestety, w naszym praktycznym wieku nawet królowie w trosce o wyższe dobra swych poddanych zmuszeni są niekiedy schodzić na ziemię. Prawdę tę nie wszyscy chcą zrozumieć (westchnął wywracając oczy). Cóż prócz boleści może wzbudzać ślepa i lekkomyślna rozrzutność niektórych panów nadętych pychą, rozrzucających złoto na bale i polowania, na karmienie opojów i pieczeniary, podczas gdy

ich król niby prosty żołnierz ze szpadą w ręku szturmuje twierdze wroga...

August popił wina. Baronowie słuchali z napięciem.

— Królów nie wypada pytać. Lecz królowie w oczach poddanych widzą niepokój ich dusz. Messieurs, wojnę tę zacząłem sam jeden z dziesięciu tysiącami mojej gwardii. Messieurs, zacząłem tę wojnę w imię wielkich zasad. Polska jest rozdarta domowymi swa-rami. Brandenburski elektor, ten wilk drapieżny, wgryza się nam w wątrobę. Szwedzi gospodarzą na Morzu Bałtyckim. Król Karol nie jest dzieciuchem, robi się zuchwały. Gdybym ja pierwszy nie wtargnął do Inflant, jutro Szwedzi byłiby tutaj. Obłożiliby pięciokrotnym cłem kurlandzkie zboże i rozszerzyliby redukcję na wasze ziemie.

Jego jasne oczy rozszerzyły się. Baronowie jęli sapać, damy wsunęły głowy w ramiona. — Bóg powierzył mi misję ustanowienia pokoju i pomyślności w jednej wielkiej monarchii od Elby do Dniepru, od Pomorza do fińskich wybrzeży. Ktoś musi zjeść uwarzony barszcz. Szwedzcy, brandenburscy, amsterdamscy kupcy wyciągają swoje łyżki. Messieurs, jestem szlachcicem. Chciałbym, abyście wy spokojnie jedli ten barszcz (wzniósł oczy w sufit iakby mierząc odległość, z której należy się spuścić). Rozkazałem wczoraj powiesić dwóch furazerów — ograbili kilka zagród w majątku barona Uksktila... Lecz, messieurs... Żołnierze moi przelewają krew,

nie trzeba im nic prócz sławy... ale konie potrzebują owsa i siana, do wszystkich diabłów! Zmuszony jestem odwołać się do przezorności tych, za których przelewamy krew...

Baronowie pałowili, rozumiejąc teraz, do czego zmierzał. August, coraz bardziej podrażniony ich milczeniem, jął zaprawiać swoją przemowę żołnierskimi wyrażeniami. Weszła Athalie Desmont. Pod na pół opuszczonymi powiekami blada, smagła jej twarz miała wy-, raz namiętny. Dygnęła przed królem z wytworną niedbałością i wachlując się wachlarzem z perłowej masy (baronowe spojrzały z ukosa na zadziwiająco paryską nowość) pochyliła głowę.

— Miłościwy panie, pozwól, że będę miała szczęście przedstawić ci moskiewską We-nerę...

Wlokąc ogromny tren podeszła ku drzwiom i za rękę wprowadziła Aleksandrę Iwanownę? rzeczywiście, ze wszystkich jej pomysłów ten może był najdowcipniejszy. Athalie, dowiedziawszy się pierwsza o przybyciu Wołko-wów, zjawiła się u nich w zajeździe, oceniła | zalety Aleksandry, przywiozła ją do siebie do pałacu, przewertowała jej stroje i surowo zabroniła włożyć na siebie coś moskiewskiego. — Moja przyjaciółko, jest to odzież Samo jedó w. (O najpiękniejszych strojach, płaconych po sto czerwońców!) Peruki! Ależ noszono je w minionym stuleciu. Po święcie nimf w Wersalu już się nie nosi peruk, moje maleństwo. — Kazała pokojówce wrzucić pe-

Już tydzień mijał, jak Wasilij siedział w zajęździe. Sańkę wywieziono, a o nim zapomniano. Jeździł dowiadywać się do pałacu — adiutant króla grzecznie za każdym razem zapewniał, że jutrykról nie omieszka go przyjąć. Z nudów Wasilij wałęsał się całymi dniami po krzywych uliczkach miasta. Wąskie posępne domy z ostrymi dachami, z żelazny-

■ ■ HHHHHH —

ruki do kominka. (Sańka tak onieśmiała, że jeno mrugała oczyma, godząc się na wszystko.) Athalie otworzyła swe sepety i wystroiła Aleksandrę jako „femme de aualitś” * w wieczorowym stroju.

August z przyjemnym zdziwieniem patrzył na moskiewską Wenerę; na pochylonej głowie dwie jasnopopielate fale, kędzierzawa przedza opada na nisko odstąniętą pierś, kilka kwiatów we włosach i na sukni — prostej, bez wcięcia w” pasie, przypominającej tunikę grecką; przez ramię złotem tkany płaszcz wlokący się po dywanie.

August ujął ją za koniuszki palców, pochylił się, pocałował. (Mignęły jej przez chwilę purpurowe twarze baroness.) Oto z dawna oczekiwana chwila. Król był niby z zacczarowanej krainy, niby z talii kart — wielki, strojny, miłościwy, z czerwonymi wargami, z wyniosłymi sobolowymi brwiami. Sańka urzeczona patrzyła w jego oczy, które błysnęły pewnością siebie. „Przepadłam”.

mi drzwiami — były niby wymarłe; niekiedy wysoko w okienku przyłgnie do szyby gniewne oblicze w kołpaku. Na placach targowych prawie wszystkie kramy zamknięte. Niekiedy po wielkich kamieniach bruku grzmiała armata, zaprzężona w czwórkę wychudłych koni. Posępni jeźdźcy chronili się wełnianymi opończami przed przenikliwym wiatrem. Jedynie chłopci-żebracy, kobiety z zapłakanymi twarzami i dzieci w łachmanach wałęsali się kupami po mieście i zdjawszy czapki patrzyli w okna.

Wiezorami po wieczerzy Wasilij siedział przy świecy wsparłszy ręką policzek. Myślał o żonie, o Moskwie, o niespokojnej służbie. Żyjąc wedle nauk ojców i dziadów — bądź cichy, bogobojny, szanuj starszego — teraz się daleko nie zajęździe. Pną się w górę ci, co mają pazury i zęby. Aleksander Mieńszykow, (fłelny, zuchwały — czy tak dawno był ordynansem — dziś gubernator, kawaler, upatruje jeno sposobności, by się o dwie głowy wysunąć ponad wszystkich. Aloszka Browkin za werbunek do wojska został mianowany kapitanem gwardii, wojewodów śmiało za peruki szarpie; Jaszka Browkin, chło- pisko grubolyde, złe i nieobyczajne, dowodzi okrętem- Sańka, ach, Sańka! Boże drogi... Inny mąż posiekałby jej całe plecy batem...

Więc należy jeszcze coś wyrozumieć. Dzisiaj cisi nie są w cenie przy dworze. Chcesz czy nie chcesz, musisz się drzeć... (Patrzył smpfnirm? orwma na nłomvk świecy. A tak

by duszo spoczęła tkliwło, Jak ongi, w cichym dworkut wśród wycia zawiei ponad ośnieżonym dachem... Piec, świerszcze, niespieszne, przyjemne myśli...) Zacząć czytać Pufendorfa czy co, u licha? Zająć się komercją, Jak Aleksander Mieński lub Szafirów? Trudno, nie uczono nas tego. Wojna, byle najprędzej... Wołkowowle — cisi, cisi, ale Jak dosiądą konia, to zobaczymy, kto będzie pierwszy — może Jaszka i Aloszka Drowklowle?

Podczas Jednego z takich wieczornych rozmyślań — w zajeździe zjawił się adiutant kró- lowski przepraszając nader grzecznie, prosił, aby Wołkow niezwłocznie stawił się w pałacu. Wasilij wzburzony odział się śpiesznie. Pojechali karete. August przyjął go w sypialni. Wsunąwszy rękę na spotkanie, nio pozwolił, by Wołkow upadł na kolana ~ uściśnął, posadził obok.

—• Nic nio rozumiem, mój młody przyjacielu. Pozostaje mi Jeno przeprosić za nieporządek na moim dworze... Dopiero co, podczas obiadu, dowiedziałem się o pańskim przyjeździe. Hrabina Athalie, najlękomyślniejsza z kobiet, oczarowana pańską małżon- z objęć mężowskich I już cały tydzień sama Jedna rozkoszuje się jej przyjaźnią, chowając Ją przed wszystkimi...

Wołkow nie nadażał kłaniać się w odpowiedzi, porywał się, aby wstać, lecz August przyciskał mu ramię. Mówił prędko, ze śmiechem. Zresztą wkrótce przestał się śmiać.

jś Wiom, że Jedziesz do Paryża. Chcę panu zaproponować, przyjacielu, zawiezenie sekretnych pism bratu momu, Piotrowi. Aleksandra Iwanowna oczekiwać będzie pana pod opieką hrabiny Athalie w całkowitym bezpieczeństwie. Czy wiadome są panu ostatnie wydarzenia?

Z twarzy Jakby starło śmiech — gniewne zmarszczki zaległy w kątach warg.,.

— Sprawy moje pod Rygą stoją źle — infanckie rycerstwo mnie zdradziło. MÓJ najlepszy generał, Karłowicz, przed trzema dniami legł śmiercią bohatera.

Przykrył twarz dłonią, chwilą skupienia oddając hołd pamięci nieszczęsnego Karłowicza...

— Jutro Jadę do Warszawy no sejm, by zapobiec groźnemu fermentowi umysłów... W Warszawie oddam panu listy i papiery... Proszę nie skąpić wysiłków, dowodząc konieczności natychmiastowego wystąpienia armii rosyjskiej...

Wśród nocy Athalie budziła pokojową, zapalano świece, rozpalano kominek, wnoszono stolik z owocami, pasztetami, dziczyzną, winem. Athalie I Sańka wylaziły z szerokiego łoża, w samych koszulach i czepcach koronkowych zasiadały do wieczerzy. Sańce śmiertelnie chciało się spać (I jak jeszcze — przez cały dzień ani chwili wytchnienia, ani słowa po prostu, wszystko z wykrętami, ciągle w pogotowiu), lecz przetarłszy nabrzmiało uczy piła mężnie wino z kieliszka migającego

03845233

jak bańka mydlana, uśmiechała się wzniesionymi kącikami warg. Przecie wyjechała za granicę nie na drzemkę, ale by poznać raffinés. Owego raffinés (wedle wyjaśnień Athalie) nie pojmowano nawet na wszystkich dworach królewskich: w samym Wersalu ileż grubiań- stwa i świństw...

- — Wyobraź sobie, kochanie, podczas wilgotnego wieczoru nie sposób otworzyć okna — taki zaduch naokoło pałacu, z krzaków, a nawet z balkonów. Dworzanie gnieźdzą się w ciasnocie, śpią byle jak, w niechlujstwie, oblewają się wonnościami, aby zniweczyć zapach brudnej bielizny... Ach, powinniśmy razem pojechać do Włoch. Byłby to piękny sen... To ojczyzna wszelkiego raffinés... Poezja, muzyka, gra namiętności, subtelne rozkosze umysłu — wszystko masz na twoje usługi...

Athalie obierała jabłko srebrnym nożykiem. Założywszy nogę na nogę, machała pantofelkiem, sączyła wino z współprzymkniętymi oczyma.

— Ludzie raffinés — to prawdziwi królowie życia. Posłuchaj, co powiedziano: „Pocziwy oracz idzie za pługiem, pilny rzemieślnik siedzi przy krosnach, odważny kupiec z narażeniem życia podnosi żagiel na swym statku... Na co pracują ludzie? Wszak bogowie umarli... Nie, inne bóstwa dostrzegam na Olimpie wśród różowiejących obłoczków”.

Sańka słuchała jak oczarowany królik. Na czole Athalie zbiegły się zmarszczki. Wyciągając pustą szklanke: — Nalej! — mówiła:

— Moja przyjaciółko, ja przecie ciągle nie rozumiem, czemu pani obawiasz się przyjąć miłość Augusta — on cierpi... Cnota jest jedynie oznaką braku rozumu. Kobieta pokrywa cnotą brzydotę moralną — jak hiszpańska królowa zwiotczała pierś suknią pod szyję. Lecz pani jest rozumna, świetna... Jesteś .zakochana w mężu? Nikt nie przeszkadza okazywać mu najgorętszych uczuć, lecz nie należy robić tego jawnie. Nie bądź śmieszna, droga przyjaciółko. Pocziwy mieszczanin idzie na przechadzkę w dzień świąteczny ze swą małżonką trzymając ją poniżej talii, aby nikt nie ośmielił się odjąć mu tego skarbu... Lecz my jesteśmy kobiety raffinéses — to obowiązuje.

Pod koronkami czepeczka nie widać było opuszczonej twarzy Sańki. Cóż miała począć? Mogła tańczyć choćby całą dobę, nie siadając, małpować, jaką chcecie, grecką boginię, przez noc przeczytać książkę, wyuczyć się na pamięć wierszy... Lecz czegoś nie mogła w sobie przemóc: spłonęłaby ze wstydu, zamęczyła się, gdyby Athalie skłoniła ją, by po kobiecemu użaliła się nad królem... („Przecie to nastąpi, nastąpi, ale nie zaraz...”) Jak to wytłumaczyć? Przecie nie można wyznać, że urodziła się nie na Parnasie — pasła krowy, że gotowa była rozstać się z cnotą, ale nie miała sił, by coś wydrzeć z siebie, jak gdyby straszne oczy matuchny strzegły czegoś zabronionego, jakiegoś trzonu...

Athalie nie nalegała. Uszczypnąwszy Sańkę w policzek zmieniała temat:

— Marzę o tym, by ujrzeć cara Piotra. O, ja ze czcią ucałuję tę rękę umiejącą dzierżyć młot i miecz. Car Piotr przypomina mi Herkulesa i jego dwanaście prac — walczy z hydrą, oczyszcza stajnie Augiasza, podtrzymuje na swych barkach kulę ziemską... Czyż naprawdę nie jest baśnią, droga przyjaciółko, że przez kilka lat Piotr stworzył potężną flotę i niezwyciężoną armię? Chciałabym poznać nazwiska wszystkich jego marszałków, generałów. Wasz monarcha to przeciwnik godny króla Karola. Europa czeka na chwilę, gdy wreszcie moskiewski orzeł wpije szpony w grzywę szwedzkiego lwa. Musisz zaspokoić moją ciekawość...

Za każdym razem Athalie sprowadzała rozmowy na sprawy moskiewskie. Sańka odpowiadała, jak umiała. Nie rozumiała jeno, czemu wydaje jej się przykry głos przyjaciółki, przymilnie czujny... Później w łóżku, nasuńawszy koldrę aż na nos, długo nie mogła zasnąć, wybita ze snu nocnymi rozmowami. Ach, niełatwa rzecz to całe raffine...

III

wreszcie cała ta koalicja to nie więcej niż arkusz papieru, który może nastraszyć szanownych senatorów, lecz' nie Waszą poręczną odwagę... Duńczycy nie ośmielą się naruszyć pokoju — można wierzyć kobiecej przenikliwości. Car Piotr skrepowany roko-

300

waniami POKOJowymi — nie wyruszy, nim Turcy nie rozwiążą mu rąk. Ale to się nie stanie. Diak Ukrainców rozdał wezyrom wszystkie swoje futra na sobolach — nie ma nic więcej do gadania. Car Piotr usiłował nastraszyć Turków spuszczeniem na wodę nowej floty woroneskiej, lecz miast tego spowodował wzmożenie czujności Anglików i Holendrów. Ich posłowie w Konstantynopolu nawet słyszeć nie chcą o rosyjskich okrętach na Morzu Czarnym. Najbardziej nieprzejednany jest polski poseł Leszczyński, zakłęty wróg Augusta. Błagał sułtana w imieniu Rzeczypospolitej, by pomógł Polakom zdobyć na Rosjanach Ukrainę z Kijowem i Połtawę.

Oto ostatnie nowości — lub też plotki — jeśli wola, przepelniające Warszawę. My z Augustem tracimy wielkie pieniądze na bale i rozrywki — niestety, popularność króla dalej spada. Jest wściekły i stawia się w śmiesznej sytuacji, umizgając się do pewnej rosyjskiej prostaczki...

A więc pomyślny wiatr historii nadyma Wasze żagle, gwizdże w olinowaniach o bliskiej sławie. Teraz lub nigdy.

Oddana Athalie"

Król otrzymał ten list w Lesie Kungsórskim, czytał wsparty o drzewo. Sosny szumiały, pod marcowym niebem przelatywały nisko obłoki. W dole, w mglistym wąwozie, ujadały ogary. Z ich niecierpliwych głosów można było poznać, że gonią grubego zwierza. Stary strze-

lec, ubijając śnieg między kamieniami, zeszedł o kilka kroków i obejrzał się wyczekująco. Król czytał list raz i drugi. Goniec, który go przywiózł, trzymał za uzdę konia zezującego fioletowym okiem w stronę psich głosów. Z wąwozu pokazał się jeleń. Mocnymi skokami wdzierał się po pochyłości. Karol nie podniósł muszkietu. Jeleń odrzuciwszy rozłożyste rogi przebiegł między drzewami. O pięćdziesiąt kroków rozległ się wystrzał — tam gdzie było stanowisko francuskiego posła. Karol nawet się nie obejrzał, list trzepotał mu w poczerwieniałej ręce. Strzelec, utknąwszy zmarszczkami podbródka w futrzanym kołnierzu, wrócił na dawne miejsce. Stał z tyłu za tym młodzieńcem z drobną głową, wąską twarzą, chudym jak tyka — w losiowym kaftanie z długimi plecami.

Kto panu dał ten list? — zapytał Karol. Oficer zbliżył się o krok nie wypuszczając uzdy.

— Hrabia Piper, a ustnie kazał zawiadomić waszą królewską mość o wieściach wielkiej wagi, jeszcze nie znanych senatowi.

Szare oczy rumianego, o grubym obliczu oficera były pytające i zuchwałe. Karol odwrócił się. Ci panowie szlachta tak oto właśnie, co do jednego, patrzyli na niego wyczekująco — cała gwardia, niby sfora głodnych ogarów.

— O czym mianowicie kazano panu mnie zawiadomić?

— Duńskie wojska — piętnaście lub dwadzieścia batalionów — przekroczyły granicę holsztyńską.

Karol powoli zgniół pismo Athalie. Ujadanie ogarów zbliżało się znowu. Z leśnego wąwozu dobiegał ryk niedźwiedzia. Karol podniósł muszkiet wsparty o drzewo i — przez ramię — do oficera:

— Proszę zmienić konia i wracać do Sztokholmu. Proszę powiedzieć hrabiemu Piperowi, że bawimy się tu tak dobrze jak nigdy. Wytropiono trzy wielkie niedźwiedzie. Zapraszam na obławę hrabiego Pipera, generała Renskjolda, generała Löwenhaupta, generała Schlippenbacha. Proszę wyruszać, pośpieszyć się.

Na jego zwykle bladej twarzy wystąpiły czerwone plamy. Błądzącym palcem odwiódł kurek muszkietu. Ruszył stanowczo w stronę zbocza, kłapiąc obmarzłymi botfortami. Oficer popatrzył z uśmiechem na jego chłopiące, zgarbione plecy, na ambitnie napięty kark, dosiadł konia i skacząc po głębokim śniegu, zniknął w lesie.

Zabito lub zapędzono w sieci czternaście niedźwiedzi. Karol cieszył się jak mały chłopiec rozpaczliwym rykiem niedźwiedziąt w sieci — wiązano je surowymi rzemieniami, aby odesłać do Sztokholmu. Piper, Renskjöld, Löwenhaupt i Schlippenbach, którzy przybyli tegoż dnia o świcie (w kaftanach skórzanych i kapeluszach z cietrzewim piórkiem), nadziali

na rohatynę każdy jednego zwierza. Posól francuski Guiscard własnoręcznie zastrzelił potwora wysokiego na słodom stóp.

Znużeni myśliwi wrócili do drewnianego zarnku nad wodospadem szumiącym wśród lodów na dnie wąwozu. W jadalni było gorąco od płonących szczap sosnowych, Szklane oczy głów jelenich i losich połyskiwały ze ścian. Niziutki, nalany czerwonym winem Guiscard machał krótkimi rękoma, podkrecał węża i z ożywieniem opowiadał, jak bestia, rozrzucając śnieg niby huragan, wyskoczyła z legowiska a i już gotowa była go pożreć: —* Już czułam na twarzy jej cuchnący oddech, lecz odskoczyłam szczęśliwie, wycelowałam, Spaliło na panewce... W jednym mgnieniu oka całe życie przesuwają się przed moim wzrokiem... Chwytam zapasowy muszkiet...

Milczący Szwedzi słuchali, popijali i uśmiechali się. Podczas wieczerzy Karol nie wypił ani jednego łyka piwa. Gdy francuskiego posła z trudnością odprowadzono na spoczynek, Korol nakazał postawić przy drzwiach wartę i siadł przy ogniu. Piper i generałowie przysunęli się blisko do jego krzesła.

— Chciałbym poznać waszą opinię, panowie rzekł i mocno zacisnął wargi. Jego chłopięcy, spierzchnięty non poczerwieniał od ognia.

Generałowie pochylili czoła. W każdej sprawie — dobrze pomyśleć, a cóż dopiero w takiej. Piper powoli tarł kwadratowy podbródek,

Senat boi się i nie chce wojny. W wille

304

naszego odjazdu były nadzwyczajne obrady. Wieść o wtargnięciu króla polskiego do inflant, a zwłaszcza rozpoczęcie wrogich działań przez Duńczyków wzburzyły Sztokholm. Właściciele statków, kupcy leśni i zbożowi wysłali do senatu deputacje. Zostali uważnie wysłuchani, a wśród senatorów nie rozległ się ani jeden głos za wojną. Postanowiono wysłać posłów do Warszawy i Kopenhagi, by za wszelką cenę zatarg skończyć pokojowo.

— A opinia króla o tym wszystkim? — zapytał Karol.

— Senat uważa, że ambicje waszej królewskiej mości w dostatecznej mierze zaspokajają polowanie na niedźwiedzie.

— Doskonale — Karol szybko jak ryś zwrócił wąską twarz do Renskjólda, Generał wciągnął powietrze przez wielkie nozdrza zadartego nosa,

— Ja myślę — wyrzokł patrząc szczerze krągłymi, Jasnymi oczyma — myślę sobie; w armii niemało jest młodej szlachty, której ciasno w Szwecji,, Znajdzie się dość chętnych, by szpadą zdobyć sławę. Jeśli krój powiedzie nas na kraj świata — pójdziemy na kraj świata. Szwedom to nio pierwszozna...

Jego proste wargi uśmiechały się dobrodusznie. Generałowie kiwali głowami twierdząco: „Nam nie pierwszozna odpływać od rodzinnych skał na cudze złomie po złoto i sławę”. Gdy skończyło się kiwanie głowami, Piper rzekł;

— Senat nie da ani farthinga na wojnę. Skarb królewski jest pusty. To należy rozważyć.

Generałowie milczeli. Karol przygryzł wargi. Wsparte o kratę komina podeszwy jego botfortów parowały. — Pieniądzy trzeba jeno na pierwsze dni, by wsadzić wojsko na statki i przewieźć do Danii. Pieniądze te da mi poseł francuski. Da mi je, bo w przeciwnym razie wezmę od Anglików... Dalsze nasze operacje wojskowe powinien opłacać król duński. Zapłaci.

Generałowie przysunęli się blisko do krzesła króla potwierdzając: — Tak, tak. — Piper szybko poruszył skórą na czole — znowu wypadło podziwiać tego chłopaka.

— Gdybyśmy nawet nie zdecydowali się na tę wojnę, to mocarstwa nas zmuszą — rzekł Karol — zróbmy, co możemy najlepszego: napadnijmy pierwsi... Wspaniały August marzy o wielkim imperium. On podobnie jak i ja nie posiada pieniędzy, wyprasza czerwonocę od cara Piotra i przepija je z dziwkami. Z Augusta mógłby być niezły aktor jarmarczny. Jeszcze mniej przstrasza mnie car moskiewski: utraci sprzymierzeńców, nim nauczy swe chłopskie pułki strzelać z muszkietu... Panowie, chcę wam zaproponować rozważenie pewnego planu...

Tegoż wieczora nad rozwiniętą mapą, leżącą u Karola na kolanach, trzech generałowie opracowali dyspozycje: gubernator Narwy Welling otrzymuje dowództwo nad wojska mi szwedzkimi w Inflantach i Estonii i wyruszy na pomoc Rydze; Löwenhaupt i Schlippenbach pod pozorem manewrów ściągną armię i gwardię do Landskrony, portu wojennego na Sundzie; Piper zrobi w Sztokholmie wszystko, co trzeba, by odciągnąć uwagę senatu od tych przygotowań.

Do ogniska dorzucono szczap sosnowych i odesłano wartownika spode drzwi. Zastawiono do wieczery. Monsieur Guiscard, który pospał nieźle, zjawił się w jadalni zacierając ręce. Karol wskazał mu miejsce przy ognisku i rzekł pokaszlując, jakby słowa więzły mu w gardle:

— Drogi przyjacielu, może pan być przekonany o mej gorącej i oddanej miłości dla mego brata a pańskiego władcy... (Guiscard coraz wolniej tarł dłoń o dłoń, stał się czujny.) Szwecja pozostanie wiernym strażnikiem francuskich interesów na morzach północnych. W sporze o tron hiszpański oddaję szpadę mą Ludwikowi. (Guiscard skłonił się nisko, rozkładając krótkie ręce.) Lecz nie będę ukrywał: Anglicy robią wszystko, by przeciągnąć Szwecję na swoją stronę... W Szwecji poza królem istnieje senat, zaś ja nie mogę czytać w ich myślach... Niestety, świat dzisiejszy jest pełen przeciwieństw... Dzisiaj oto dowiadujemy się — flota angielska zjawiła się w Sundzie... Aby zapobiec fatalnemu błędowi, muszę otrzymać istotne dowody pańskiej przyjaźni, monsieur Guiscard...

Ryczące niedźwiedzieta wieziono na wozie przez ulice Sztokholmu. Z tyłu jechał konno Karol, myśliwi i strzelcy. Grzmiąły myśliwskie rogi, ujadaly sfory psów. Poczciwi ludziska podchodząc do okien kiwali głowami: „Niezbyt fortuną okazję wybrał król dla rozrywek”.

Trwożne wieści poruszyły miasto, nawykłe do długoletniego pokoju. Angielska i holenderska flota zjawily się na wodach Sundu — po co? Czy nie po to, by połączyć się z Duńczykami i położyć kres potędze szwedzkiej na morzach północnych? Olbrzymia Polska grozi zmieceniem szwedzkich garnizonów z wybrzeży Bałtyku. Na wschodzie tysięcilmowa granica moskiewska niemal niczym nie osłonięta, jeśli nie liczyć forteczki Nienschanz w pobliżu ujścia Newy i twierdzy Nótéburg przy ujściu jeziora Ładoga.

Strach pomyśleć — wojować niemal z całą wschodnią Europą, posiadając niewielką armię z dwudziestu tysięcy żołnierzy i narwanego króla. Pokój, pokój, oczywiście, choćby wypadło oddać to i owo dla ocalenia trzonu.

Karol stawil się w senacie nie zdjawszy myśliwskiego kaftana — z dumnym roztargnieniem wysluchal ojcowskich przemowien o dłoni Pańskiej, wzniesionej w owej godzinie nad Szwecją, o rozsądku, o cnocie. Bawiąc się kościaną rękojeścią kordelasa, odrzekł, iż zajęty jest urządzeniem karnawału wiosennego na zamku KungSOR i dopiero po uroczystościach wypowie się o polityce zagra nicznej. Powstał najstarszy z senatorów i z niskim ukłonem, w dobranych wyrażeniach życzył królowi beztróskiej rozrywki.

Krół wzruszył ramionami i wyszedł. Po kilku dniach rzeczywiście wyjechał do KungSOR. Tam zmieniawszy wierzchowce, w towarzystwie Renskjddla i dziesięciu oficerów gwardii popędził do Landskrony. W drodze prawie nie odpoczywał, nie szczędząc koni ani ludzi. Jakby wcielił się w niego inny człowiek, jedna myśl opanowała jego namiętności i wolę; I , .

W bezobłoczny wiosenny ranek szwedzkie statki z piętnastoma tysiącami doborowego wojska wyszły na Sund. Koło południa na przesłonecznionej łusce morza ukazały się czarne, niby zwisające między skrajem morza i jasnego nieba zarysy okrętów, brygów i galer. Powiewały setki proporczyków. Była to dryfująca flota angielsko-holenderska.

Gdy sztandar królewski wciągnięto na maszt czołowej fregaty szwedzkiej, od burt okrętów jeły oddzielać się kragłe obłoczki dymu. Rozległy się strzały działowe. Powłokę dymu znosiło na południe. Haftowani złotem admirałowie holenderski i angielski wyruszyli szalupami do czołowej fregaty.

Karol oczekiwał ich stojąc na pomoście; miał na sobie szarozielony kaftan sukienny, zapięty aż pod szyję, czarny halsztuk i smarowane botforty rozszerzone nad kolanami,

przysposobione do wszelkich odmian losu. Pod małym, spłaszczonym z boków kapeluszem peruką miał zaplecioną w warkoczyk, który spoczywał w skórzanym woreczku. Ręka wspierała się na długiej szpadzie niby na lasce. Tak wyruszył w daleką drogę — na podbój Europy.

Admirałowie, którzy wiele słyszeli o tym zepsutym młodzianie, zdziwieni byli jego niezwykłą stanowczością i opanowaniem. Jął mówić o krzywdach nie do zniesienia, wyrządzonych mu przez królów polskiego i duńskiego, i wspaniałomyślnie zgodził się przyjąć pomoc iloty anglo-holenderskiej, aby ukarać Duńczyków za wiarołomstwo.

Tegoż dnia trzy złączone floty pokrywając żaglami morze wzięły kurs na Kopenhagę.

Deszcz przeleciał, chmury ustąpiły. Był ciepły wieczór, pachniało trawą, dymem. Z daleka w niemieckiej slobodzie brzęczał dzwonek na kirsze.

Piotr siedział przy otwartym okienku, świec jeszcze nie zapalono. Kończył czytanie prósb. W głębi sypialni, przy drzwiach, bez ruchu białął łysawym czerepem Nikita Deinidycz, kowal z Tuły.

„...Zaiste, Miłościwy Panie, ludy słabną w obowiązkach, a co słabsi myślą, że wszystko znowu będzie po staremu... (Pisał poborca

danin Aleksy Kurbatow.) Kupiec gościnnej sotni Matwiej Szustrow podał oświadczenie o swych handlach i majątkach i pisał, jakoby całego majątku posiada jeno na dwa tysiące rubli, a zrujnowany jest do szczętu. Wiadomo mi — Matwiej w domu na Zariadiu ma pod podłogą w wychodku, gdzie nawet zajść wstyd, majątku jeszcze jho dziadku, zakopanego, na czterdzieści tysięcy czerwonych złotych. A ów Matwiej, człek nierzetelny, wyniszcza majątek pijaństwem, a nie powiększa, a jeśli go nie poskromić, zrujnuje wszystko do reszty. Rozkaż, Wielki Monarcho, posłać do Matwieja do Zariadia podiaczego z dwudziestu żołnierzami, niech on wydobędzie te złote pieniądze...”

Piotr wstrząsnął głową, położył pismo na oknie, na lewo — do wykonania. Następne pochodziło od sędziego Miszki Beklemisze- wa, napisane drżącą ręką — rozróżnił jeno: „służyłem ojcu Twemu i bratu Twemu i byłem na wielu służbach, i nakazano mi być sędzią w Moskiewskim Sądowym Urzędzie. Po dziś dzień siedzę jako sędzia bez zapłaty, a z tego urzędowania zadłużyłem się i wyniszczyłem do szczętu. Ulituj się, Wielki Monarcho, za to darmowe urzędowanie każ wysłać mnie na wojewodę, choćby do Połtawy...”

Piotr ziewnął, rzucił pismo na kupę papieru, na prawo. Były jeszcze doniesienia z Bieł- gorodu i Siewska, że ludzie pułkowi, miejscy i pozostający w służbie carskiej, ludzie różnych stanów i chłopci nie chcą pełnić powin-

ności dla monarchy, nie chcą budować statków morskich i wypełniać robót leśnych i uciekają zewsząd do dońskich gródków kozackich. W rogu papieru napisał: „Wezwać wojewodów bielgorodzkiego i siewskiego i wy badać pod strachem”.

Była łzawa skarga chłopów carskich na wojewodę kungurskiego Suchotina, że począł ściągać z każdej zagrody po osiem altynów dla siebie, poza innymi daninami. Każe pieczętować chaty i łaźnie — rób, człecze, co chcesz — pora mroźna, wiele położnic rodzi w chlewie, niemowlęta mrą przedwcześnie, a poniektóre niewiasty wojewoda w Izbie Ziemskiej łapie za pierś, ściska im cycki aż do krwi i na wszelkie sposoby naigrawa się i kaleczy...

Piotr poskrobał się w głowę. Nad całą ziemią rozlegał się jęk, ledwo zabiorą jednego wojewodę, już następny jeszcze gorzej sobie poczyna. Skąd brać ludzi? Złodziej na złodzieju. Jął pisać pryskając gęsim piórem: „Posłać do Kunguru...”

Nikita — obejrzał się — r a jak ciebie wyznaczyć wojewodą, będziesz to kradł?

Nikita Demidycz westchnął ostrożnie, nie odchodząc od drzwi.

. — Wedle obyczaju, Piotrze Aleksiejewi- czyj już taki urząd.

— Nie ma ludzi, hę?

Nikita wzruszył ramieniem — niby, z jednej strony, nie ma ludzi...

— Łamiesz go na mękach... Dajesz mu wiel-

ką pensję... Kradnie... (maczał pióro, pisał, choć się już całkiem ściemniło). Brak sumienia, brak honoru...

Błądnów z nich porobiłem. Czemu to? (Odwrócił się.)

— Syty jeszcze gorzej kradnie, Piotrze Aleksiejewiczu, bo śmielszy...

— No, no — sameś nadto śmiały...

— Chce się płakać, Piotrze Aleksiejewiczu... Trapisz się, że nie ma ludzi, a od pieców zabrali jedenastu najlepszych kowali do wojska.

— Kto zabrał?

— Bojarzyn twój miłości, Czemodanow —j§ przybył do Tuły z diakami na branke... (Nikita utknął, wpatrzył się — twarzy Piotra nie można było rozróżnić: odwrócił się cały do okna.) Co tu będę przed tobą ukrywał, takie to rzeczy działy się w Tule! Kto mógł zapłacić, ten się wykupił... Posłał on i do mnie podiaczego na fabrykę-, gdybym był wtedy w Tule, nie pożałowałbym pięciuset rubli odstępnego za takich majstrów... Już zlituj się żeby to jakoś... Przecie wszystko to rusznikarze, majstrowie nie gorsi od angielskich...

Piotr — przez zęby:

— Napisz skargę.

— Słucham. Nie, Piotrze Aleksiejewiczu, ludzi by znalazł, oczywista...

— Dobra... Gadaj do rzeczy...

Nikita podszedł ostrożnie. Sprawa była wielkiej wagi. Tej zimy jeździł na Ural, wzięwszy z sobą syna Akinfija i trzech zna- •

jących się na rzeczy chłopków, raskolników z pustelni Daniłowej, którzy wydobywali ru- Idę. Złazili łańcuch uralski od Newlańska do pGródków Czusowskich. Znaleźli góry żelazne, znaleźli miedź, rudę srebrną, azbest. Skarby leżały nie poruszone. Wokół pustka. Jedyna odlewnia żelaza, zbudowana przed dwoma laty nad rzeczką Nejwą na rozkaz Piotra, wytapiała zaledwie pół setki pudów, a i ten drobiazg trudno było wywieźć dla braku dróg. Rządca, bojarski syn Daszków, rozpił się z nudów. Wojewoda newiański, Protasiew, foził się również. Robotnicy co krzepszi rozbiegli się, została sama słabizna. Szyby pozawałały się. Naokół stoją odwieczne lasy. W jeziorach i rzeczkach można czerpać dzbanem i przemywać złoto choćby na skórze baraniej. Tu całkiem inaczej niż w tulskiej fabryce Nikity Demidycza, gdzie ruda uboga i brak drew (przeszłego roku zakazano rąbać na węgiel dęby, jesiony i klony), gdzie krętacze .podiaczowie siedzą na karku. Tu był olbrzymi obszar, ale podejść trudno: trzeba wielkich pieniędzy. Ural jest bezludny.

- Piotrze Aleksiejewiczu, u nas nic nie można zrobić. Gadałem ze Swiesznikowem, z Browkinem, jeszcze z innymi... Ściskają kabzę, nie chcą iść na taki niepewny interes., , A mnie to ubliża — jakbym był faktorem u nich czy co? Ileż to pracy trza włożyć, aby podnieść Ural... Piotr nagle tupnął trzewikiem. — Czego ci potrzeba? Pieniądzy, ludzi?

Siadaj... (Nikita żwawo przysiadł na brzegu krzesła, wpił w Piotra zapadłe oczy.) Mnie potrzeba na lato sto tysięcy pudów pocisków żelaznych, pięćdziesiąt tysięcy pudów żelaza. Nie mam czasu czekać, aż wy — terefere — namyślicie się... Bierz oną newiańską fabrykę, bierz cały Ural... Nakazuję! (Nikita wysunął naprzód cygańską brodę, a Piotr zbliżył się do niego.) Nie mam pieniędzy, ale na to dam... Do fabryki przypiszę dobra. Pozwolę kupować ludzi z dóbr bojarskich. Ale uważaj mi... (Podniósł długi palec, pogroził nim dwukrotnie.) Szwedom za pud żelaza płacę rubla, a ty będziesz mi dostarczał po trzy grywienniki...

— Nie opłaca się — rzekł spieszenie Nikita. — Nie obstanie. Pół rubelka...

I patrzył wylupiając niebieskawe białka, a Piotr przez chwilę patrzył na niego wściekle. Rzekł:

— Dobrze. To później. A jeszcze — ja ciebie, złodzieju, przejrzałem... Zwrócisz mi wszystko żelazem lanym i kowalnym do trzech lat... Ej, ej! Nadość zuchwały... Zapamiętaj to sobie, dalibóg — połamię na kole...

Nikita odchrząknął z cicha — i samym jeno gardłowym świstem:

— Ja ci te pieniążki wcześniej zwrócę, dalibóg!

Nadarzył się przecie taki wieczór — nie wiadomo, co z sobą zrobić... Piotr chciał powiedzieć, żeby zapalono świecę, spojrział

z ukosa na nie przeczytane papiery — legł na parapecie, wyglądał oknem.

Była już noc, a zrobiło się jakby jeszcze cieplej. Z liści kapalo. Nad trawą wiała się mgielka. Piotr czerpał nozdrzami gęste powietrze — pachniało wzbierającymi sokami. Na kark spadła kropla, dreszcz przebiegł po ciele. Powoli roztarł dłonią wilgoć na szyi.

Wszystko spało czujnie w ciszy wiosennej. Nigdzie ani ognika, jeno z daleka, z żołnierskiej slobódki — przeciągły okrzyk wartownika: „Czu-u-u-u-waj!” W ciele — niemoc, jakby wszystko skrępowane. Słysząc, jak spieszenie bije serce, przycisnięte do parapetu. Pozostawało jeno czekać zacisnąwszy zęby.

Czekać, czekać... Jak byle baba w nocnej ciszy podnosząca głowę z gorącej poduszki, by nasłuchiwać wyimaginowanego tętentu. Przez cały dzień robota leciała z rąk. Proszono na wieczerzę do Mieńszykowa — nie pojechał... A teraz pewnie tam uczują. Nigdy jeszcze nie było tak ciężko, teraz cała rzecz w tym, żeby czekać — umieć czekać... Król August porwał się do wojny na oślep, nie wyczekał, pazurki mu uwieżły pod Rygą. I Chrystian duński nie wyczekał — sam sobie winien...

— Sam sobie winien, sam sobie winien — burczał Piotr wytrzeszczając oczy na ciemne krzewy bzu, ociężałego po deszczu. Ktoś tam się szwendał — pewnie ordynans z dziewczyną... Od króla Augusta przyjechał dziś pułkownik Langen z niepokojącymi wieściami:

mi: szwedzkie lwiatko niespodzianie pokazało zęby... Karol zjawił się z ogromną flotą przed fortami Kopenhagi, zażądał poddania miasta. Przerażony Chrystian wszczął rokowania unikając bitwy. Tymczasem Karol wysadził na ląd piętnaście tysięcy piechoty na tyłach duńskiej armii, oblegającej twierdzę holsztyńską. Szwedzi wpadli do Danii gwałtownie jak burza. Nie śniło się ani swoim, ani obcym, by ten lekkoduch, zniewieściał młokos wykazał w tak krótkim czasie rozum i odwagę prawdziwego wodza.

Langen przedstawił jeszcze prośbę Augusta o, przysłanie pieniędzy: Polskę będzie można skłonić do wojny, jeśli dostarczy się prymasowi i hetmanowi koronnemu ze dwadzieścia tysięcy dukatów dla rozdania między panów. Langen błagał Piotra ze łzami: wyruszyć w pole nie czekając na pokój z Turkami.

Od tych gadań cała skóra zaczynała swędzić. Ale — nie wolno i Nie wolno wikłać się w wojnę, dopóki chan krymski wisi nad karkiem. Czekać, czekać na swoją godzinę... Niedawno był Iwan Browkin, opowiadał: w Izbie Burmistrzowskiej wielki gwałt, Swiesznikow i Szorin zaczęli cichaczem skupować zboże, przewozić je wodą i lądem do Nowogrodu i Pskowa. Pszenica od razu poszła w górę o trzy kopiejki. Riewiakina na nich krzyczał: — Czemu wariujecie — Ingria jeszcze nie nasza, a czy kiedy będzie nasza? Na próżno zgnoicie zboże w Nowogrodzie i Pskowie... — A oni mu odpowiadają: — Na jesie^

ni Ingria będzie nasza, o pierwszym śniegu powieziemy zboże do Narwy...

Mokre krzewy zakołysały się nagle, sypnęły dżdżem. Szarpnęły się dwa cienie... — Aj, nie, kochany, nie trzeba, nie trzeba... — Niższy cień cofnął się, pobiegł lekko — bosi... Tamten długi (ordynans Miszka) — poczłapał botfortami w ślad za niższym. Stanęli obok siebie pod lipą i znowu: — ■ Oj, nie, kochany...

Piotr wychylił się przez okno prawie do pasa. Na nizinie, za siwymi wierzbami, wstawał wielki, zasnuty mgłami księżyc. Na równinie zarysowały się stogi, korony drzew, mleczny pas rzeczki. Wszystko jakby od wieków nieporuszone, niezmienne, nalane niepokojem... A ci, dwa cienie pod ciemną lipą, spieszenie szeptały ciągle o tym samym...

— Figiel — wrzasnął Piotr basem. — Miszka! Skórę złupił

Dziewczyna przyczaiła się za pnem. Ordynans — nie upłynęła nawet minuta — przebiegł na palcach skrzypiącymi schodami, za- skrobał do drzwi.

— Świecę — rzekł Piotr. — Fajkę.

Pałił, chodził. Wziąwszy ze stołu papier przysuwał blisko do świecy, rzucał. Noc zaczynała się dopiero. Nieswojo było pomyśleć — iść spać... Dym z fajki płynął do okienka, załamywał się pod krawędzią ramy, odpływał w wonną npcJ

— Miszka! (Ordynans znów wpadł we drzwi — gęba pucółowata, nos zadarty, oczy ogłupiałe.) Uważaj mi — dziewczki! A to co takiego? (Zbliżył się do niego, ale Miszka, widać — można go walić czym popadło — ciągle jednak nieprzytomny.) Pędź, niech zajedzie dwukółka. Pojedziesz ze mną.

Księżyc wstał nad równiną, w błękitnawej trawie połyskiwały krople. Koń chrapiąc boczył się na niewyraźne krzaki, Piotr uderzył go lejcami. Spod kół chlastało błoto, rozpryskiwały się zwierciadlane koleiny. Popędzili uśpioną ulicą Kukuja, gdzie podobnie jak za dawnych lat kwiecie tytoniu za ogrodzeniem pachniało duszną słodyczą. W oknach Anny Mons, za wspaniale rozrośniętymi topolami, jaśniały otwory — serduszka wycięte w każdej okiennicy.

Anną Iwanowna, pastor Strumpf, Koenigseck i księżę von Croy spokojnie grali w karty przy dwóch świecach. Od czasu do czasu pastor Strumpf, nabwszy nos tabaką, wyciągał kraciastą chustkę i kichał z zadowoleniem, zażawionymi oczyma obrzucał wesoło współbiesiadników. Księżę von Croy, wpatrując się w karty, w skupieniu mrugał bezrę- symi powiekami, obwisłe wąsy, uczestniczące w piętnastu sławnych bitwach, stroszyły się podchodząc aż pod same nozdrza. Anna Iwanowna w domowej niebieskiej sukni, z obnażonymi aż do łokcia krągłymi rękami, z brylantowymi łezkami w uszach i na aksamitce pod szyją, marszczyła lekko czoło badając karty. Koenigseck opięty, wystrojony, na- pudrowany, bądź uśmiechał się do niej deli

katnie, bądź ruchem warg nieznacznie starał się jej dopomóc.

Niewątpliwie, wszystkie burze przelatwały obok tej spokojnej izby, gdzie przyjemnie pachniało wanilią i kardamonem, który bierze się do ciast, gdzie krzesła i sofy stały już w płóciennych pokrowcach i powoli cykał ścienny zegar. ■— Powiadamy skromnie: trefle — wzdychał pastor Strumpf podnosząc wzrok na sufit. — Piki — mówił książę von Croy, jakby wyciągał na pół zardzewiałą szpadę. Koenigseck uniósłszy się, by spoza pleców Anny Iwanowny spojrzeć w jej karty, mówił słodko: — My znowu kiery.

Piotr, przeszedłszy przez służbową sień, nieoczekiwanie otworzył drzwi. Z rąk Anny Iwanowny wypadły karty. Mężczyźni Spiesznie wstali. Choć Anna Iwanowna panowała nad sobą — wykrzyknęła radośnie i cała rozjaśniona w uśmiechu, przysiadła w reweran- sie, ucałowała rękę Piotra i przycisnęła ją do piersi na pół osłoniętej chusteczką — przecie w jej przezroczych niebieskich oczach zamajaczył mu, mignął poblask strachu. Piotr pochyłony szedł do sofy.

— Grajcie, ja tu sobie zapalę.

Ale Anna Iwanowna, pobiegłszy do stołu na spiczastych obcasikach, już zmieszała karty.

— Zabawialiśmy się z nudów... Ach, Piter, jak przyjemnie — zawsze wnosicie do tego domu radość i wesele... (Klasnęła w dłonie jak dziecko.) Zjemy wieszczkę...

— Nie chcę jeść — odburknął Piotr. Gryzł cybuch. Nie wiadomo czemu do gardła jęła podchodzić wściekłość. Zezował na pokrowce, na ramkę z kłębkami wełny... Na jasnym czole Annchen ukazała się gruba zmarszczka (dawniej ta zmarszczka była niewidoczna).

— Och, Piter, więc obmyślmy jakąś wesołą grę... (I znowu coś żalnego w oczach.)

Milczał. Pastor Strumpf, spojrzawszy na zegar ścienny, potem na swój kieszonkowy: — Mój Boże, już trzecia godzina — wziął modlitewnik z okna. Książę von Croy i Koenigseck również sięgnęli po kapelusze. Annchen głosem bardziej żalnym, niż wypadałoby z samej grzeczności, zawołała trzaskając palcami: ■-■.-!— O, nie odchodźcie...

Piotr zasapał — z fajki sypnęły się iskry. Jego nogi zaczęły się kurczyć. Zerwał się. Krocząc gwałtownie, wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Annchen jęła dyszeć coraz mocniej, mocniej, przykryła twarz chusteczką. Koenigseck śpieszył na palcach po szklankę wody. Pastor Strumpf ostrożnie kiwał głową. Przy stole książę von Croy przerzucał karty.

Drewniane dachy i schnące ulice parowały, w kałużach — modre przepaście. Dzwięczały dzwony, była Niedziela Przewodnia, pokrzykiwali pasztetnicy i krupnikarze. Snuł się odświętny lud, wszyscy przeważnie pijani. Na poobijanym z tynku miejskim murze, między blankami, chłopcy w nowych koszu

lach wywijali żerdziami z łykiem — gonili gołębie. Białe ptaki trzepotały w błękitnym niebie, igrając — koziółkowały, spadały. Wszędzie — za wysokimi parkanami, pod skąpanymi w nocy lipami i szarymi wierzba-
mi — huśtano się na huśtawkach: tu dziewczęta z rozwianymi kosami wzlatywały między gałęzie, tam jakiś łysy
staruch zbytkując huśtał spasioną kobietę, która siedziała na desce i piszczała.

Piotr jechał przez ulicę krok za krokiem. Oczy miał zapadnięte, twarz zasępioną. Słońce parzyło w plecy.
Ordynans Miszka, który całą noc czekał na niego w dwukółce, wstrząsał głową, by się nie zdrzemnąć. Ludzie
roz- stępowali się przed końskim pyskiem, rzadko który przechodzień poznawszy cara zrywał czapkę, kłaniał się
za nim aż do ziemi.

Tej nocy od Anny Mons Piotr pojechał do Mieńszykowa. Ale jeno popatrzył na duże, zasłonięte okna, skąd
dochodziła muzyka, pijacka wrzawa: „Pal ich diabli” — uderzył lejcami, wyjechał z podwórza, zawrócił prosto
do Moskwy, do strzeleckiej slobody. Jechał ostrym klusem, potem popędził w cwał.

W slobodzie zatrzymali się przed zwykłą zagrodą, gdzie nad bramą sterczała żerdź z wiązką siana. Piotr rzucił
Miszce lejce, zastukał do furtki. Z niecierpliwością dreptał po chlupiącym nawozie. Uderzył pięściami.

Otworzyła kobieta. (Miszka zdołał się jej przyjrzeć: rosła, okrągłolica, w ciemnym sa- rafanie.) Krzyknęła lekko,
objęła dłońmi po

liczki. Piotr, pochylony, ruszył w obejście, trzasnął furtką.

Miszka stojąc w dwukółce widział, jak za bramą, wysoko, w dwóch okienkach bierwion nowego domu,
rozbłysło światło. Później owa kobieta wyszła śpiesznie na ganek, zawołała:

— Łukasz, hej, Łukasz...

Odezwał się starczy głos:

— A juści...

— Łukasz, nikogo nie wpuszczaj — no, słyszysz?

— A co, jak zacząć się dobijać?

— A ty co? Czyś nie chłop?

— Dobrze, to ja ich rożnem.

Miszka pomyślał: — Teraz rozumiem. — Wkrótce wyszło z zaułka trzech ludzi w strzeleckich kołpakach,
rozejrzeli się po pustej ulicy oblanej światłem księżyca i — prosto do bramy. Miszka rzekł ostro:

— Idźcie dalej...

Strzelcy podeszli wrogo do dwukółki.

— Coś za człowiek? Czemu w slobodzie o tej godzinie?

Miszka do nich — cicho, z pogróżką:

— Chłopcy, zmiatajcie stąd czym prędzej...

— A bo co? — krzyknął gniewnie jeden z nich, bardziej pijany niż inni. — Czego straszysz? Wiemy skąd...

(Dwaj pozostali porwali go za ramiona, zaczęli szeptać.) Twoja głowa też wisi jeno na włosku... Poczekajcie...

Poczekajcie... (Towarzysze już go odciągali nie dopuszczając, by zakasał rękawy.)

Jeszcze nie wszystkich wywieszaliście... Mamy zęby... Żeby ów tam nie siadł jeszcze na palu... (Wyrznęli go w kark, spadła mu czapka, powlekli w zaułek.)

Światło w okienkach wkrótce zgasło. Ale Piotr nie wychodził. Za bramą Łukasz od czasu do czasu postukiwał sennie kołatką. Wkrótce nastąpiła cisza — nawet zmorzony koń zwiesił głowę. Mieszka usłyszał poprzez drzemkę, jak pieją koguty. Światło księżycy przygasło. Jutrzienka żółciła się, różowiła w końcu ulicy. Drugi raz zbudziły go szepty |J| dokoła dwukółki stali chłopcy, niektórzy bez spodni. Ale gdy jeno otworzył oczy — wszyscy rozbiegli się machając rękawami, migając czarnymi piętami. Słońce podniosło się już wysoko.

Z furtki wyszedł Piotr nasunawszy kapelusz na oczy. Odchrząknął mocno, ujął lejce. — No, zbyłem kłopotu — wyrzekł basowo i ruszył klusem.

Gdy z Moskwy wyjechali na zielone pole — w dali ostre dachy niemieckiej slobody, za nimi leżące za widnokretem śnieżyste obłoki — Piotr rzekł:

— Tak to bywa z wami — ordynansami. A jak mi jeszcze zaczniesz gzić się po no- cacy, zamknę w komorze. j|§ Roześmiał się, zsunął kapelusz na tył głowy.

Dopędzili pół roty żołnierzy w borych, niezdatnych kaftanach, wszyscy mieli przywiązane do nóg pęczki trawy i słomy, szli bezładnie, stykając się bajonetami. Sierżant — rozpaczliwie: — Baczość! — Piotr wysiadł z dwukółki, ujął za ramiona jednego, drugiego żołnierza, obracał, macał kostropate sukno.

— Mierzwa! — krzyknął wytrzeszczając oczy na krostowatego sierżanta. — Kto dostarczył kaftanów?

— Panie bombardierze, kaftany wydała su- chariewska szwalnia.

— Rozbieraj się! — Piotr porwał trzeciego, ostronosego, chuderlawego żołnierza. Ale ów jakby się zatchnął przerażeniem patrząc w nawisłą nad nim okrągłą twarz bombardiera, ze szczecina czarnych wąsików. Stojący w pobliżu towarzysze wyrwali mu z rąk strzelbę, rozpięli pas, ściągnęli kaftan z grzbietu. Piotr porwał kaftan, rzucił do dwukółki i nie dodając ni słowa więcej, siadł — popędził w stronę pałacu Mieńszykowa.

Rozebrany żołnierz, drżąc na całym ciele, patrzył jak zakłęty na dwukółkę oddalającą się po trawiastej drodze. Sierżant trącił go trzcina.

— Golikow, precz z szeregu, idź z tyłu... Ba-a-a-czość! (Rozwarł paszczę, osadził się, ryknął na całe pole.) Lewa noga — siano, prawa noga — słoma. Zapamiętać naukę... Marsz — siano — słoma, siano — słoma...

Do suchariewskiej szwalni wojskowej dostarczyła sukna nowa fabryka Iwana Browki- ua, zbudowana nad rzeką Nieglinną, przy

moście Kuźnieckim. Jako wspólnicy weszli do interesu Mieńczykow i Szafirów. Urząd Preobrażeński wpłacił z góry sto tysięcy rubli za dostawę sukna na kaftany. Mieńczykow chwalił się Piotrowi, że dostarczą sukno nie gorsze od hamburskiego. Dostawili part na poły z papierem. Zrodzony w złodziejstwie Aleksaszka Mieńczykow złodziejem był i złodziejem pozostał. „No, poczekaj!” — myślał Piotr szarpiąc lejce niecierpliwie.

Aleksander Daniłowicz siedział na łóżku; po wczorajszej hulance (hulano do siódmej) pił kwas ogórkowy, w niebieskich oczach — męt, powieki nabrzmiały. Kubek z kwasem ogórkowym trzymał domowy diakon nazwiskiem Piedryła, chłopisko o zwierzęcym głosie i wyglądzie — wzrost sążen bez cała, w sobie — jak beczka. Współczująco maczał palce w kubku. > — Przegryź ogórka, na...

— Idź do diabła...

Piotr Pawłowicz Szafirów siedział przy wspaniałym łożu — oblicze rozumne, obleśne, rozplywające się jak blin, otwarta tabakierka w pogotowiu. Radził puścić krew, z pół szklanki, albo przystawić do karku pijawki.

— Ach, serce moje, Aleksandrze Daniłowiczu, gubicie się niepomiernym użyciem rozpalających napojów...

— Idź tam, gdzie i on...

Diakon pierwszy dojrzał Piotra przez okienko: — Jakoś groźnie nadchodzi. — Nim się zdołali połapać, Piotr wszedł do sypialni i nie

witając się — prosto do Aleksandra Daniłowicza, podsunął mu pod nos żołnierski kaftan.

— To lepsze od hamburskiego? Milcz, łotrze, milcz, nie wykręcisz się.

Porwał go za pierś, za koronkową koszulę, powlókł do ściany, a gdy Aleksandra Daniłowicza — z rozdziawionymi ustami — przyparł do niej, jał bić to z jednej, to z drugiej strony, a tamtemu jeno głowa latała z boku na bok. Porwał w gorączce laskę stojącą przy kominku i złamał ją na Aleksaszce. Rzucił kij, zwrócił się do Szafirowa — ów klęczał pokornie przy fotelu. Piotr jeno posapał nad nim.

— Wstań. (Szafirów zerwał się.) Wszystko liche sukno sprzedasz do Polski królowi Augustowi po tej cenie, jaką ja wam płaciłem... Daję tydzień czasu. Nie sprzedasz — będziesz bity batem na koźle, na gołą skórę. Zrozumiałeś?

— Sprzedam, sprzedam o wiele wcześniej, wasza carska mość...

— A mnie zamiast tego dostawicie z Wańką Browkinem porządne sukno.

— Boże, min herc — rzekł Aleksaszka ocierając smarki i krew — a kiedyż to myśmy ciebie oszukali?... A z tym suknem coś się musiało zdarzyć...

— Dobrze... Każ podać śniadanie...

ROZDZIAŁ CZWARTY

, Upał. Martwota. Zblakły ceglaste dachy; Konstantynopola. Nad miastem — znojne omglenie. Nie ma cienia nawet w burych, zakurzonych ogrodach sułtańskiego pałacu. U stóp warownych murów na kamieniach, nad zwierciadłem wody, śpią obszarpani ludzie. Miasto ucichło. Jenó z wysokich minaretów zaczynają wołać przeciągłe głosy żalosnym upomnieniem. A po nocach psy wyją na wielkie gwiazdy.

Już minął rok od czasu, jak wielki poseł Jemielian Ukraincew i diak Czerediejew siedzieli w rezydencji poselskiej w Pera. Zwołano dotychczas dwadzieścia trzy konferencje, ale my -4- i ani kroku w tył, ani naprzód. W tych dniach przybył od Piotra goniec z nakazem: zawrzeć spiesznie pokój — ustąpić Turkom wszystko, co można, oprócz Azowa, o Grobie Pańskim lepiej zupełnie nie wspominać, aby nie drażnić katolików, i ustąpiwszy, już tym razem stać twardo przy swoim.

Na dwudziestej trzeciej konferencji Ukraincew rzekł: — Oto nasze ostatnie słowo... W Carogrodzie siedzimy jeszcze dwa tygo

dnie. Nie będzie pokoju — sami na siebie narzekajcie: ani porównać floty Wielkiego monarchy z zeszłoroczną. Chybaście słyszeli... Dla postrachu wielkie poselstwo przeniosło się z rezydencji na okręt. „Krie- post” tak długo stała bezczynnie, że burty obrosły pleśnią, w kajutach pojawiły się karakony i pluskwy, kapitan Pamburg z nudów zaniedbał się zupełnie^

Ukraincew i Czerediejew budzili się przed świtem, drapali się i postękiwali w dusznej kajucie. Wkładali wprost na bieliznę tatarskie chałaty, wychodzili na pokład. Smutno — nad ciemnym jeszcze Bosforem, nad spalonymi wzgórkami rozlewała się bezobłoczna zorza, kryjąca skwar. Siedli przegryźć. Żeby tak kwasu z loszku... Diabła tam! — jedli cuchnącą rybę, pili wodę z octem, wszystko bez smaku. Kapitan Pamburg, golnawszy na czczo lampkę, w samych gatkach przechadzał się po rozeschniętym pokładzie. Wytaczało się pomarańczowe słońce. I wkrótce nie można już było patrzeć na przelewającą się wodę, na łódki z arbusami i dyniami, leniwo kołyszące się przy brzegu, na kredowe kopuły meczetów, na kłujące w oczy półksiężycy na niebieskim tle. Z wąskich zaułków Galaty dobiegał gwar głosów, krzyki i dzwonki handlarzy.

— Jemielianie Ignatiewczu, no, co ty ze mnie masz za pożytek — mówił diak Czere-- diejew — puść mnie... Pójdę pieszo...

— Już niedługo do domu, niedługo, cierpli-

wości, Iwanie Iwanowiczu — odpowiadał Ukraincew przymykając oczy, aby samemu nie widzieć obrzydłego miasta.

•— Jemielianie Ignatiewiczu, zgodziłbym się na jedno: poleżeć w ogródku, w lebiodzie, w chłodku... (I tak już długa, wąskobroda twarz Czerediejewa całkiem wyschła z upału i tęsknoty, oczy zapadły.) Mam w Suzdalu domek... W ogrodzie dwie stare brzozy — widzę je węż śnie... Człek wstanie rankiem, pójdzie spojrzeć na bydełko, już wygnano je na łąkę. Pójdzie do pasieki, trawa po pas... Rzeczułką idą chłopcy z siecią... Baby stukają kijankami. Wszystko takie życzliwe...

— Aj, aj! tak, tak, tak — wielki poseł kiwał pomarszczoną twarzą.

— Na obiad — pieróg z sumem. Ukraincew kołysał się nie otwierając oczu. :— Sum... za tłusto, Iwanie Iwanowiczu. Letnią porą — botwinka... Kwasek miętowy...

— Z jazgarza bywa dobra polewka, Jemielianie Ignatiewiczu...

— Byle jazgarza nie sprawić — gotuje się ze śluzem, jaki jest. Zgotowany — wyrzucić i dopiero — czeczugę...

gp&s-T- Boże, to mi państwo! — A tu, Jemielianie Ignatiewiczu? Sprawiedliwie — bisurma- nie! Taka jakowaś oćma. A Greczynki tutejsze, zaiste — naczynie sprośności... | ~ Tego winienes się strzec, Iwanie Iwanowiczu.

Na wielkim nosie Czerediejewa wystąpił pot jak ziarna prosa. Oczy jego zapadły jesz-

Mil

cze głębiej. Od brzegu płynął do okrętu sze- ściowiosłowy sandał, wymoszczony kobiercem. Kapitan Pamburg nagle krzyknął ochryple:

— Bosman, gwizdek, wszyscy na pokład! Dawać, trap!

Na sandale podpłynął i przebijając pośpiesznie pantoflami, wszedł po trapie Salomon, jeden z pisarzy wielkiego wezyra, z wystającymi policzkami, spłaszczonym nosem, bystry w myślach i ruchach. Spiesznie obrzucił spojrzeniem okręt, spiesznie — dłoń do czoła, do warg, do serca — zagadał po rosyjsku:

— Wielki wezyr polecił spytać o twoje zdrowie, Jemielianie Ignatiewiczu... Obawia się, że ci ciasno na okręcie. Czemuś się na nas pogniewał?

— Witaj, Salomonie — odrzekł Ukraincew, jak mógł najwolniej — i ty mi rzeknij, jak się miewa wielki wezyr... Czy wszystko u was pomyślnie? (Przy tych słowach odsłonił bystre oko.) A nam i tu dobrze. Zatęskniliśmy do domu. A tu całego domu — pięćdziesiąt stóp pod nogami.

— Jemielianie Ignatiewiczu, chciałbym na osobności.

— Czemu nie, można na osobności — kaszlnąwszy rzekł do Czerediejewa i Pamburga: — Zostawcie nas samych. — I usunął się w cień żagla.

Salomon odsłonił w uśmiechu kostropate dżiąsła.

— Jemielianie Ignatiewiczu, jestem szczerym waszym przyjacielem, a wrogów waszych mógłbym wyliczyć na palcach... (Mignął palcami przed nosem Ukraincewa \— ów Je* no: — Tak, tak.) — Drwię z ich podstępów... Gdyby nie ja, Dywan przestałby już z wami gadać... Udało mi się korzystnie pokierować sprawą, wielki wezyr podpisał pokój choćby jutro... Trzeba bakszysz dać temu i owemu...

— To tak? — powtórzył Ukraincew.

Wszystko teraz było zrozumiałe. Pewien

Greczyn, będący na jego żołdzie, doniósł wczoraj, że do Konstantynopola wrócił z Paryża poseł francuski, odbyło się zebranie Dywanu — ministrów sułtańskich — otrzymali oni znaczne dary. Jemielian, dręczony przez gorąco i karakony, całą noc myślał: „Do czego to zmierzał Nic innego, jeno znówu szczują Turków do wojny z austriackim cesarzem. A dlatego Turcy muszą uwolnić sobie ręce od spraw moskiewskich...”

- Bakszysz — to nie najważniejsze... Ty zaś powiedz wielkiemu wezyrowi, że czekamy jeno na wiatr pomyślny. Będzie pokój — dobrze, a nie będzie — Jeszcze lepiej. A pokój będzie taki... (Zaczął twardo patrzeć spod siwych brwi na Salomona). Naddnieprzańskie gródki zburzymy, wedle umowy... Ale w zamian dokoła Azowa ziemia na dziesięć dni drogi konnej będzie rosyjska. Przy tym obstajemy.

Salomon uląkłszy się, aby mu bakszysz nie uciekł zupełnie — widać Rosjanie wiedzieli więcej, niż trzeba — chwycił wielkiego posła za rękawy. Jął spierać się. Poszli do kajuty. Pamburg wiedząc, że dużo oczu patrzy przez perspektywy na „Kriepost”, wysłał majtków na reje — niby przygotowywać żagle do odjazdu. Jemielian wyszedł na chwilę z kajuty.

— Iwanie Iwanowiczu, ubierzcie się, pojedziemy do miasta.

I wkrótce wyszedł sam, w peruce, przy szpadzie. Salomon podtrzymywał go za łokcie/ gdy schodzili po trapie do sandału.

Po południu po raz pierwszy od wielu dni leniwo zatrzepotał na okręcie wąski proporczyk. Bezbarwna mgła Jęła zasnuwać dalekie wzgórza. Modrość nieba jakby nasyciała się kurzem, który powoli zakrywał miasto. Z pustyni zaczął wiać wiatr.

Nazajutrz podpisano pokój.

Iwan Wielki huczał nad Moskwą — Jego wielkim sercem kołysało dwudziestu czterech zuchów z kupiectwa. Odprawiano modły na intencję zwycięstwa rosyjskiego oręza nad heretykami. Dziś po nabożeństwie diak Dumy Prokofij Woznicyn, wedle starodawnego obyczaju — w rosyjskiej szubie, futrzanym kołpaku, safianowych butach, wyszedł na ganek pościelny (porastający Już pokrzywami i ło? I planem) i zbiegającemu się ludowi przeczyła! wyraźnie carski ukaz: ludzie wojenni ruszą

M3v-

w pochód na szwedzkie grody. Stolnicy, striapczowie, moskiewska szlachta, rezydenci i wszyscy urzędnicy zapisani na naukę wojenną siadają na koń.

Dawno już na to czekano, a jednak całą Moskwę wstrząsnęło aż do trzewi. Pułki i tabory przechodziły od rana, wzbijały na ulicach kurz. Żołnierki biegnęły obok, rozpaczliwie wymachując długimi rękawami. Mieszczuchy* kupami cisnęły się do parkanów przed podskakującymi po bierwionowej jezdni działami. W starych cerkiewkach diakoni grzmieli rozgłośnie przez otwarte drzwi: -r- Zwy-y- -cięstwo!... — Rozwierały się gwałtownie bramy bojarskich domów, wyskakiwali jeźdźcy — niektórzy starodawnym obyczajem w zbrojach i opończach — zagrzewając konie wrzynali się w tłum, siekli po głowach nahajami. Wozy zderzały się, trzeszczały osie, konie gryzły się i rżały.

W soborze Uspieńskim w ogniach mnóstwa świec słaby ciałem patriarcha Adrian, spowity dymami kadzideł, płakał wzniosłszy dłonie. Klęczeli bojarzy, za nimi zbitą ciżbą sławetni kupcy i znaczniejsi ludzie z Gościnniej Sotni. Wszyscy płakali patrząc na łzy ciekące po obliczu władcy, wzniesionym ku kopule. Archidiakon, rozwarłszy paszczę, z napiętymi na skroniach żyłami, okrzykami zwycięstwa niby trąbą sądu ostatecznego zagłuszał chór patriarszy. Czarna była szata patriarchy, czarne oblicza patronów w złotych szatach — świątynia jaśniała złotem i sławą.

Po raz pierwszy kupiectwo w takiej liczbie zostało dopuszczone do soboru Uspieńskie- go — twierdzy bojarskiej. Izba Burmistrzowska wyekspensowała na tę okazję dwadzieścia pięć pudów świec woskowych, a jeszcze wielu sławetnych dostarczyło świec od siebie — niektórzy pół puda, a niektórzy i pud. Prosilili diakonów, by nie żałować kadzidła.

Iwan Artiemicz Browkin, sapiąc wśród łez, powtarzał: — Sława, sława... — Po jednej jego stronie prezydent Mitrofan Szorin w zapamiętaniu wtórował chórowi, po drugiej zaś Aleksy Swieszniukow tak chciwie pożerał cygańskimi oczyma złoto ołtarza, sukien i aureoli świętych, jakby ta cała potęga była jego dziełem... — Zwycięstwo! — ryknął wspaniale przybrany archidiakon wstrząsając sklepieniem; czerwone róże wyhaftowane na jego ryzie zasnuły się kłębam dymu z kadzielnic.

Podeszli do krzyża. Pierwszy — otyły, siwy książę Fiodor Juriewicz — całował krzyż z minutę, dygocąc starczymi ramionami. Po nim książęta i bojarzy, jeden starszy od drugiego (wszyscy młodzi byli już na służbie, w marszu). Ruszyło poważnie kupiectwo. Staroście cerkiewnemu, trzymającemu wielką tacę, rzucano z dźwiękiem czerwonce, pierścienie, sznurki pereł. Wychodzili z soboru z podniesionymi głowami. Przeżegnawszy się jeszcze raz przed ogromnym Obliczem nad wejściem, j potrząsali włosami, nakładali czapki i kapelusze, szli przez łysiejący, porośnięty trawką plac do Izby Burmistrzowskiej, śmiało stuka

jąc obcasami, spoglądając po gospodarski! na tłumy prostego ludu, na okna urzędów.

Przy wyjściu z dziesięć czarnych kostropatych rąk pochwyciło Iwana Artiemicza za aksamitne poły. — Książę, książę!... Kopie-ej" -kę... zuche-e-elek! — skomlili kosmaci, bezzębni, nadzy, gnijący... Pelzli, wlekli się potrzęsając łachmanami. — Książę, książę I... — Iwan Artiemicz rozglądał się przerażony. — Co wy, głupie dziady, jaki ja tam książę!... — Wywrócił obie kieszenie, rzucał kopiejki... Łysy nawiedzony brzęknął ożogami, zawył nieludzkim głosem: — Pragnę węgielków rozżarzonych...

Tuż obok, uśmiechając się szparkami oczu, skubiąc bródkę, stał Waśka Riewiak. Wyrwawszy jakoś poły Iwan Artiemicz — do niego: — Kupcze, czy nie twoje to wojsko?... Lepiej byś w takim dniu położył na czole znak krzyża...

— Myśmy ludzie pokoju, Iwanie Artiemiczu — Riewiak pokłonił się przyłożywszy ręce do brzucha. — Korzemy się kornie... Ubożęta u Boga...

— Tfu! Pies, świętoszek... Prawdziwy piesi — Iwan Artiemicz ruszył pośpiesznie, nawiedzony beknął za nim jak kozioł.

Od czasu do czasu żołnierze musieli podsadzać się i wyciągać z błota wozy i działa.

-Przez wiele dni wiał wiatr z zachodu, dokąd powoli, rozwleczone na setki wiorst, ciągnęły wojska generałów Weidego i Artamona Gołowina (Riepinowa dywizja w żaden sposób- nie mogła jeszcze wyruszyć z Moskwy). Szło czterdzieści pięć tysięcy piechoty i jazdy i około dziesięciu tysięcy wozów.

Zimne mgły snuły się po wierzchołkach drzew. Deszcz strącał ostatnie liście z brzoź i osik. W niebieskawym błocie wyjeżdżonych dróg koła więzły aż po piasty, konie łamały nogi. Wzdłuż całej drogi walały się rozdęte brzuchy, zadarte nogi padłych koni. Ludzie w milczeniu siadali na brzegach rowów — możesz ich bić na śmierć. Szczególnie delikatni okazali się cudzoziemscy oficerowie, dawno już pozłazili z siodeł, w mokrych płaszczach, w mokrych perukach dygotali wśród rupieci pod rogożowymi daszkami wozów.

Z Moskwy wojska wychodziły strojne, w kapeluszach z piórami, w zielonych kaftanach, w zielonych pończochach, a do szwedzkiej granicy dochodziły bosa, unurzane po szyję, w bezładzie. Gdy okrążyli jezioro Ilmeń, wezbrane wody chlusnąwszy na nadbrzeżne łąki zatopiły wiele taborowych wozów.

Z wielkiego nieporządku tabory nie nadążały, błędziły. Na postojach nie można było rozpaścić ognisk: z góry — deszcz, w dole — 1 trzęsawisko. Gorsze od złego wroga były konne sotnie szlacheckiego pospolitego ruszenia. Niby szarańcza porywali wszelkie jądło z wio- • sek okolicznych. Przejżdżając obok piechoty

krzyczeli: —• Z drogi, chamy! — Aleksy Browkin — kapitan w przednim pułku von Schwe- dena — kłócił się i nieraz bił laską konnych posesjonatów. Trudów i kłopotu było dużo, porządku mało.

Przednie strażnice wyrnęły z błot dopiero przy rzece Łudze, w pobliżu granicy, i tu stanęły obozem w oczekiwaniu taborów. Rozbito namioty, osuszano się jako tako. Żołnierze wspominali wyprawy azowskie, niektórzy wojacy pamiętali pochody Wasilija Golicyna na Krym. Ani porównania — marsz przestronnymi stepami na ciepłe południe! Pamiętają, szło się z pieśniami... A co tu za ziemia? Ponure błota, chmury i wiatr. Trza będzie przelać dużo łez zdobywając tę głodną ziemię.

Ogniska przed namiotami dymiły gryząco. Żołnierze łatali przyodziewek, po oślizłej skarpie schodzili do rzeczki prać. Wojskowe buty rozleciały się do wszystkich diabłów dobrze temu, kto zdobył łapcie i onuce, inni okręcali nogi gałganami. Tu do listopada nawet bez wojny padnie połowa ludzi. Konni przyprowadzali niekiedy na arkanie Czuchonca-języ- ka. Otaczali go, pytali po rosyjsku i po ta- tarsku — jak tu żyją. Głupi to był lud ci Czuchoncy, jeno mrugali krowimi rzęsami. Prowadzono brańca do namiotu do Aleksego Browkina na badanie. Rzadko takiego języka wypuszczano; związane go odsyłano do taboru, sprzedawano za siedemdziesiąt pięć kopiejek; niektórych, bardziej krzepkich, drożej — markietanom, a ci sprzedawali ich do Nowo grodu, gdzie przebywali faktorzy dostawców wojskowych.

Aleksy Browkin surowo gospodarował w swojej rocie; jego żołnierze byli syci, nie srożył się bez potrzeby, jadł z żołnierskiego kotła, ale swawoli, niedbalstwa nie puszczał płazem: każdego dnia ktoś krzychał pod prętami, leżąc gołym tyłkiem do góry koło jego namiotu. Budził się wśród nocy, sam sprawdzał warty. Pewnego razu niedosłyszalnie podszedłszy do zagajnika jął nasłuchiwać: czy to skrzypiało drzewo, czy skuczył zwierz jaki? Okrzyknął niezbyt głośno. Mętnie widniał żołnierz siedzący na pniu — objął lufę strzelby, głową przywarł do żelaza. Aleksy — do niego:

— Kto na warcie?

Żołnierz poderwał się — ledwie dosłyszalnie:

— To ja...

— Kto na warcie? — wrzasnął Aleksy.

— Golikow Andriuszka.

,— Tyś skomlał?

Żołnierz — patrząc mu w twarz dziwnie:

— Nie wiem...

— Nie wiem! Ech, świętoszki...

Oczywista, należało go zbić... Aleksemu

przypomniał się płomień wlatujący powyżej lasu nad zapadniętą cerkiewką, nad spalonymi żywcem, a na czerwieniejącym śniegu — tamten, załamujący ręce. Wtedy Aleksy kazał go wziąć razem z opętanym chłopem i starcem Nektariuszem. W drodze Nektariusz

uciekł — diabli go wiedzą jak — w nocy, na postoju pod świerkami. Andriuszka Golikow leżał w saniach pod rogożą bez zmysłów, nie jadł, nie gadał. W Powieńcu, w Izbie Ziemskiej, gdy na śledztwie zagrożono mu biczem, nagle porwał się. — ■ Za co męczycie? Mnie już męczyli... Takich mąk jeszcze nie było — i zaczął wszystko opowiadać (podia- czy nie mógł nadażyć z maczaniem pióra), zerwawszy koszulę pokazał rany od uderzeń. Aleksy zmiarkował — człek nie prosty, piśmienny; kazał kudły ostrzyć, wymyć w łaźni, zapisać do wojska.

- — Czy wojakowi przystoi skomleć? Możeś chory czy co?

Golikow nie odpowiadał, stał wyprężony jak należy. Aleksy pogroził mu laską, od-^ szedł. Golikow — rozpaczliwie: |. — Panie kfeptanie...

W Aleksym coś drgnęło od tego głosu z ciemności, kiedyś sam był taki. Zatrzymał się. Surowo: ... — No, cóż jeszcze?

— Panie kapitanie, strasznie jest po ciemku, boję się nocnej pustki... Żal gorszy od śmierci... Po co nas tu przygnali?

Aleksy zdziwił się niezmiernie — znów podszedł do Golikowa.

— Jak śmiesz rozważać, hultajul! Za takie gadanie — wiesz?

— Zabijcie mnie od razu, Aleksy Iwanowiczu... Sam . dla siebie jestem gorszy od wroga... Takie życie — bydlę zdechłoby jtiz daw-

340

HH^HIIMHHHHHI

no... Świat mnie nie przyjmuje. Wszystko wypróbowałem — i śmierć mnie nie chce... Oblęd. Weźcie strzelbę, zakłujcie bajonetem...

Aleksy, zacisnąwszy zęby, w odpowiedzi uderzył Andriuszkę w ucho — tamtemu kiwnęła się głowa, ale hawet nie jęknął.

— Podnieś kapelus. Włóż. Ostatni raz mówię z tobą po dobroci, bezpopowcze. Uczyleś się u starców!... Nauczyl ci rozum!... Jesteś żołnierz. Kazano: ruszaj na wojnę — idź. Kazano umrzeć — umieraj. Dlaczego? Dłatego, że tak należy. Stój tu aż do świtu... Jak mi zaś znów będziesz skomlił, a ja usłyszę — zobaczysz...

Aleksy odszedł nie odwracając się. W namiocie legł na sianie. Do świtu było jeszcze daleko. Przejmowało do kości, choć bez deszczu i wiatru. Naciągnął na głowę derę. Westchnął. „Jużci, każdy z nich milczy, a przecież myślą... Och, ludzie...”

Zgarbiony żołnierz, Fied'ka Umyj-się-Błotem, ponuro lał ze dzbana na ręce — Aleksy parskał w lodowatą wodę, drżał całą skórą. Ranek był chłodny, na zdeptanej trawie — siwy szron, pod botfortami chrzęściło grząskie błoto. Między i namiotami wznosiły się wysoko dymy ognisk. Niewyspany chorąży Leopoldus Mirbach, w baranym kozuchu narzuconym na kaftan z galonami, krzyczał coś do dwóch żołnierzy, a ci stali, bojaźliwie zardarłszy głowy.

```
£ y . jf, ■  
nA Wmk9.  
J  
. -> \  
Sf^JfeR • »'  
/• ■» <  
> *
```

— Oswiczyc, oswiczyc! — powtarzał zachrypniętym głosem. — Pfuj! Szwinia! — Ujął jednego za twarz, ścisnął palcami, pchnął. Poprawiając kozuch na plecach, poszedł do namiotu Aleksego. Dawno nie golona twarz nabrzmiała, oczy zapuchnięte.

— Goroncy woda — f nie ma... Jesz • nie ma. To nie wojna. Regularny wojna — oficer zadowolona... Ja niezadowolona... Wasz szol- nierz parszywa...

Aleksy nic nie odrzekł, ze złością tarł ręcznikiem policzki. Chrząknawszy nadstawił Fied'ce grzbiet w brudnej koszuli: — Wal!... — ów jął okładać dłońmi. — Mocniej...

W tym czasie z lasu wyjechała fura z płócienną budą na obręczach. Z szóstki koni różnej maści biła para. Z tyłu — dziesięciu jeźdźców w płaszczach oblepionych błotem. Fura, przewalając się na boki po stratowanym ściernisku, zbliżała się stępą ku obozowi. Aleksy porwał kaftan, z pośpiechu nie trafił w rękawy, chwycił szpadę, pobiegł do namiotów.

— Dobosze, alarm!

Fura zatrzymała się: wysiadł Piotr w futrzanej czapie z nausznikami. Zawadzając gwiazdzistymi ostrogami, wysiadł Mieńczykow w malinowym szerokim płaszczu, podbitym sobolami. Jeźdźcy zsiadli z koni. Piotr marszcząc twarz spoglądał na obóz, czerwone ręce wsunął w kieszenie kozuszka. W przeźroczyście powietrzu zaśpiewała trąbka, zawarczały bębny. Żołnierze złazili z wozów, wybiegali z namiotów, zapinali się, nakładali pasy. Ustawiali się w czworobok. Wzdłuż szeregu kłusem przebiegali chorążowie tkając trzcina, klnąc po niemiecku. Aleksy Browkin—lewa ręka na szpadzie, w prawej kapelusz — zatrzymał się przed Piotrem. (Peruki w pośpiechu nie znalazł.)

Piotr — patrząc ponad jego zwichrzonymi włosami:

— Nakryj głowę. W marszu nie zdejmuj się kapelusza, głupcze. Gdzie tabor z prochem?

— Został na jeziorze Ilmeń, wszystek proch zamókł, panie bombardierze.

Piotr przeniósł wzrok na Mieńczykowa. ów leniwie skrzywił wygoloną twarz.

— Zechciej powiedzieć, kapitanie — rzekł, również patrząc ' ponad głowę Aleksego — gdzie inne rotty pułku? Gdzie pułkownik von Szweden?

— Poniżej rzeki stoją rozruceni, panie generale...

Mieńczykow poruszył głową z tym samym krzywym uśmiechem, Piotr jeno zasepił się.

Obaj sążniowego wzrostu, ruszyli po kolcach ścierniska ku uszykowanemu czworobokowi. Nie wyjmując rąk z kieszeni Piotr jakby w roztargnieniu oglądał szare, chude twarze żołnierzy, wykrzywione przez niepogodę, brzydki przyklapnięte kapelusze, zniszczone kaftany, szmaty i chodaki na nogach. Tylko chorążowie-cudzoziemcy przeżyli się zuchowato. Długo tak stali przed szykiem. Piotr — szarpnąwszy w górę głowę:

— Jak się macie, chłopcy!...

Chorażowie zwrócili się zajadłe ku linii. Wzdłuż szeregów potoczyło się bezładnie: . — Życzymy zdrowia, panie bombardierze. ^ Kto ma jakie skargi? — Piotr podszedł bliżej.

Żołnierze milczeli. Chorażowie (ręka na odchylonej na bok trzcinie, lewy botfort — naprzód) wpili się oczyma w cara.

Piotr powtórzył ostrzej: Kto ma skargi, niech wychodzi bez obawy.

Ktoś nagle westchnął głęboko — z chlipnię- ciem (Aleksy ujrzał Golikowa: muszkiet latał mu w rękę, ale powstrzymał się, zmilczał). . — Jutro ruszymy na Narwę. Będzie wiele trudów, chłopcy. Sam Karolus, król szwedzki, idzie na spotkanie nasze. Trzeba go zwyciężyć. Nie możemy odstąpić ojcowizny. Tu — Jam-gród, Iwan-gród, Narwa, wszystka ziemia do morza — nasza dawna ojcowizna. Rychło zwyciężymy, rychło odpoczniemy na leżach zimowych. Zrozumiano, chłopcy?

Napuczył się groźnie. Żołnierze patrzyli na niego w milczeniu. Cóż bardziej zrozumiałego! Z szeregów zachrypiał jakiś ponury głos: — Pobjemy, starczy na to ludzi. — Mieńczykow natychmiast posunął się naprzód, patrzył, kto się odezwał. (Aleksemu ścisnęło się serce: wołał Fied'ka Umyj-się-Błotem, żołnierz nader niepewny.)

> ■ — Panie kapitanie... (Aleksy podskoczył.) Dziękuję za porządek w rocie... Co do reszty — nie twoja wina. Proszę wydać ludziom potrójną porcję wódki.

Piotr odszedł do wozu opuściwszy głowę. Mieńczykow mrugnął na Aleksego (tym razem raczył poznać dawnego druha), wysunął z futrzanego płaszcza wypielegnowaną rękę, poklepał Aloszkę i — pochyliwszy się do ucha:

— Piotr Aleksiejewicz — owszem, zadowolony. U ciebie inaczej niż u innych... Odznacz się pod Narwą — dostaniesz pułkownika... Widziałem w Nowogrodzie Iwana Artiemicza, kazał ci się kłaniać...

— Dziękuję, Aleksandrze Daniłowiczu...

— Powodzenia! — ująwszy z przodu płaszc Mieńczykow klusem dopędził Piotra. Siedli na wóz, pojechali brzegiem tam, gdzie rzeka odbijająca zimne niebo skręcała za sosnowy las.

O dwie wiorsty od Narwy, idąc z prądem, poprzez dwie odnogi rzeki Narowy, obejmujące długą i bagnistą wyspę Kamperholm, przerzucono most. pontonowy. Po nim przeszły konne pułki Szeremietiewa i ruszyły na rewelski trakt — szarpać nieprzyjaciela. Następnie przeszły na lewy brzeg oddziały dywizji Trubeckiego. O wiorstę od kamiennych bastionów Narwy otoczyły się taborem. Garnizon narwski nie przeszkadzał w przeprawie, widocznie bał się wyjść w otwarte pole dla zbyt szczupłej liczby.

Dwudziestego trzeciego września wszystkie oddziały czołowe, skręciwszy z jamgorodzkiej drogi, wyszły na pagórkowatą równinę i wo-

bec przysadzistych, porośniętych trawą baszt [Iwangorodu — ongi warowni Iwana Groźnego — błękitniejących za rzeką spiczastych kirch i ceglanych dachów Narwy skierowało się na wyspę Kamperholm i zaczęło przeprawę po kołyszących się mostach poprzez mętłą i rwącą rzekę.

Dzień był spokojny. Słońce — ubogie, przyćmione. Na ceglanych kościołach Narwy i Iwangorodu dźwięczały dzwony na trwogę.

Ku mostom po szeroko wyjeżdżonej piaszczystej drodze zdążali bezładnie żołnierze; strzelcy w znieprawionych przez Piotra kołpakach z lisimi obramowaniami; połamane, jako tako związane wozy z beczułkami, tobołkami, skrzyniami, pozieleniałymi bochnami chleba; chłopci-woźnice, doszczętnie obdarci podczas drogi, okładali wymizerowane koniska, gwałtem wepchnięte w konopiane chomąta; przepływał sztandar przymocowany do drzewca, chorągiewka na pice, wycior na plecach puszkarza, który zgubił swój oddział; stukając trzcina po głowach, przeciskał się konny oficer przerzuciwszy płaszcz przez ramię; z krzykiem pędził bojarski syn w rozwianej szubie, zarzuconej na kołczugę odziedziczoną po przodkach, a za nim tłukli się na chabetach jego ludzie — jak beczki, w kaftanach z pikowanego wołoku, z tatarskimi łukami i sajdakami na plecach.

Wszyscy przechodzący odwracali się ku łysemu pagórkowi; z boku drogi, na pagórku, siedział na siwym koniu car w żelaznym kiserze, spoglądał przez perspektywę. Tuż, strzemię przy strzemieniu, wsparty, pod boki, Mieński na wronym koniu spoglądał wesoło; wiatr igrał piórami jego złoczonego hełmu.

Wojska rozłożyły się półkolem na odległość strzału działowego przed twierdzą, wsparte skrzydłami o Narwę; powyżej miasta wzdłuż rzeki stały oddziały dywizji Weidego, w środku, u stóp lesistego wzgórka Hermańsberg, dywizja Artamona Gołowina, na lewym skrzydle, przy moście przez wyspę Kamperholm — siemionowcy, preobrażeńcy i strzeleckie pułki Trubeckiegó. Tu również rozbito namiot księcia von Croy, przebywającego przy wojsku jako wysoki doradca. Piotr i Mieński zatrzymali się na samej wysepce w rybackiej chacie.

Wzdłuż całej linii zaczęto kopać głęboki okop z lunetami, szańcami i bastionami, obróconymi ku zewnętrznej stronie — na wypadek nadejścia Szwedów rewersną drogą. Przed bastionami Narwy wznoszono reduty dla ustawienia dział oblężniczych. Pracami oblężniczymi kierował inżynier Gallart. Z blanków twierdzy odrywały się kłęby dymu, działa ujadły wściekle w jesiennej wilgoci, bomby leciały zachodzącymi wysoko, dymiącymi łukami, padały, wybuchały w pobliżu wozów, namiotów, w rowach, skąd wyskakiwali żołnierze. Od bomb zajęło się kilka zagród poród wśród sadów i ogrodów. Dym pożarów i niezliczonych ognisk ciągnął siwą chmurą na miasto, skąd zrywały się ogniste języki wy

strzałów armatnich. Komendantem Narwy był doświadczony i dzielny wojownik, pułkownik Horn.

Piotr z inżynierem Gallartem przejeżdżali konno pod osłoną sadów i zabudowań, oglądali bastiony — „Tomasz”, „Gloria”, „Criste-wal”, „Triumf”. Czasami wypadało podjechać tak blisko, że przez strzelnicę widać było surowe twarze szwedzkich puszkarzy. Bez zbytecznego pośpiechu, ale żwawo rychtowali działa, celowali, wyczekiwali czujnie. Ognia! Kula, rżnąc nieubłaganie powietrze, z sykiem przelatowała ponad głowami. Oczy Piotra rozszerzały się, na policzkach wzdymały się guzy, ale kulom się nie kłaniał. Inżynier Gallart, człek obyty (rzeczowy, spokojny, nudny), w porę dotykał konia ostrogą, odjeżdżał na bok. Wspaniały Mieńczyk — do niego coraz to celowano — jeno potrząsał piórami hełmu, chełpliwie krzycząc do puszkarzy: — Kiepsko, kamraci — poklepywał po szyi tańczącego ogiera. Pół setki wąsatych dragonów czekało nieruchomo — w kogo trzeźnie czarna piłka.

Mury twierdzy były wysokie. Bastiony występujące półkolem stawiano z głazów tak krzepkich, iż żelazne pociski rozbiły się o nie jak orzechy. Ze szczelin baszt i ze strzelnic wysuwały się ciężkie działa; twierdza posiadała ich co najmniej trzysta, załogi — dwa tysiące: piechoty, jazdy i uzbrojonych mieszczan. Wywiadownicy łgali, jakoby Narwę można było zdobyć nagłym wypadem.

Piotr zsiadł z konia, przysiadłszy na bębnie rozkładał na kolanach kartki papieru. Ordynans Miszka podawał kałamarz. Gallart kuczał obok, mierzył odległość na oko. Duża ręka Piotra, trzymająca gęsie piórko, ostrożnie kreśliła drżące linie. Mieńczyk przechadzał się przed półkolem siedzących na koniach dragonów.

— Na każdy bastion po piętnaście dział oblężniczych, dla zrobienia wyłomu trzeba sześćdziesiąt miedzianych dział czterdziesto-ośmifuntowych — mówił Gallart równym, nudnym głosem. — Sto dwadzieścia tysięcy pocisków, od biedy...

— Nieźle! — rzekł Piotr.

■— Dla wzniesienia przed szturmem pożarów w mieście trzeba nie mniej niż czterdzieści* moździerzy i po tysiąc bomb na moździerz...-

— Patrzcie, jak oni to w Europie rozważają — rzekł Piotr kreśląc cyfry.

— Dziesięć dużych beczek octu do chłodzenia dział... Jedyne nieustanna kanonada, istne piekło wszystkich baterii, kruszy zatwardziałość oblężonych — poucza marszałek Luxembourg... Trzeba piętnaście tysięcy granatów ręcznych. Tysiąc oblężniczych drabin, piętnastołokciowych, tak lekkich, aby każdą mogło nieść biegiem dwóch ludzi. Pięć tysięcy worków wełny...

— Po co?

— Dla ochrony żołnierzy przed kulami muszkietów. Przy obleganiu Dunkierki marszałkowi Yaubanowi udało się pod osłoną ta

kich worków podejść do samych bram, mimo nader ostrej strzelaniny, gdyż kula łatwo wkręca się w wełnę...

— Dobrze — rzekł Piotr niepewnie, notując na kartce. — Daniłycz, trzeba pięć tysięcy worków wełny...

Wsparty łokciami o rozstawione kolana Mieńszykow pochylił się nad furkającą od wiatru karteczką.

Poruszył wargami:

— Rozpusta, min herc. A skąd weźmiemy wełny? (Do Gallarta:) Pod Azowem wdzieraliśmy się na mury ze szpadami jeno i zdobyliśmy miasto...

Z tyłu — w szeregu dragonów — zaczął miotać się koń, człowiek krzyknął głucho. Odwrócili się. Siwy koń jednego dragona, z podkurczonymi nogami, ślepo wyrzucił łbem, ponad nozdrzami płynęła szeroka na palec struga krwi. Wąsaci dragoni kuląc się zezowali w stronę krzaków, skąd — o sto kroków — wybuchały dymki. Piotr podniósłszy rękę z piórem jakby zastygł siedząc na bębnie.

Nieznacnie, wśród grzmotu dział, z bramy fortecznej baszty (stąd niewidocznej za występem bastionu „Gloria”) wyszedł oddział jegrów i przebiegł poza płotami ogrodów. Za nimi na ciężkich cisawych koniach wypadło pół setki rajtarów w żelaznych kirysach, nisko opuszczonych kaskach. Podniósłszy szpady cwałowali rozciągając się na wrzosowisku, obchodząc z lewego flanku.

Aleksander Daniłowicz przez sekundę —

nie dłużej ■ — patrzył szeroko rozwartymi oczyma na dywersję nieprzyjaciela, rzucił się ku wronemu ogierowi, odpiął płaszcz, odrzucił, skoczył na siodło: — Do szpad! — ryknął czerwieniejąc. Wyrwał szpadę, zgnął gwiaździstymi ostrogami, przypadł do szyi stojącego dęba żrebca, puścił go z miejsca całym pędem. — Dragoni za mną! — i wszyscy, Mieńszykow i dragoni, wymijając stojącego przy bębnie Piotra, pocwałowali przecinając drogę rajtarom, którzy zaczęli już osadzać konie i zawracać...

Zatroskany Gallart, podwinąwszy cienkie wargi, podprowadził Piotrowi jego siwą, niespokojną klacz z czarną grzywą.

— Najjaśniejszy panie, proszę usunąć się z pola obstrzału.

Piotr podskoczył na jednej nodze; sadowiąc się w siodle, patrzył, jak dragoni i rajtarzy schodzą się. Nasi cwałowali zwartą kupą, na przedzie podskakiwały pióra na świecącym hełmie Aleksaszki; Szwedzi rozciągnęli się po polu daleko, a teraz flankowi, zawróciwszy ostro, kluli konie ostrogami i okładali szpadami. Ale nie zdążyli się skupić. Piotr widział: wrony żrebiec Aleksaszki Uderzył, piersią cisawego konia, rajtar zwałił się łapiąc za grzywę... Czerwone pióra miotały się wśród żelaznych kasków. Ale Już dragoni nadbiegli ławą i nie zatrzymując się cwałowali dalej (wywijali szpadami Jakby dla zabawy). Za nimi na polu pozostali leżący ludzie: jeden miotał opuszczoną głową, usiło-

Wjechali w brzeziny, Piotr odetchnął pełną piersią. Puścił klacz stępa. „Tak, nie pójdzie to łatwo” — powiedział do swoich myśli. Gallart rzekł:

— Muszę pogratulować, wasza carska mość ma wyborną kawalerię.

— Co z tego — to dopiero połowa roboty— Rozjuszyc się, gnać, rąbać... Tym się twierdzy nie zdobędzie... Wjechał na pagórek, ściągnął cugle i długo, marszcząc czoło, patrzył na rozciągającą się ze siedem wiorst linię wojsk i taborów. Zewsząd z rowów leniwo wyskakiwały grudy ziemi. Krzyki, wymyślania. Przy ogniskach i przy wyprężonych wozach jacyś beczcyjni ludzie, spętane, wychudzone koniska. Łachmany na krzakach. Zdawało się, że ta cała

wał unieść się, inny podrygiwał zadartymi kolanami. Kilka koni bez jeźdźców w przerażeniu cwałowało po polu.

Gallart uporczywie ciągnął za uzdę: — Wasza carska mość, tu niebezpiecznie. Siwą klacz przysiadła, kręciła zadem. Piotr uderzył ją piętami. Odjechał nie przestając oglądać się. Teraz rajtarzy uciekali co siły przed Rosjanami; z prawej strony, zagradzając im drogę do miasta, poprzez bure zagony ściernisk cwałowała i z tatarską wywijając krzywymi szablami pstra, różnobarwna jazda — kilka sotni nieregularnego szlacheckiego pułku. Spod drewnianego daszka na murze twierdzy trzaskaly do nich wystrzaly muszkietów.

masa wojska żyje i porusza się nieobrotnie; z wielką niechęcią.

- „§j| Nie ma co myśleć przed listopadem — rzekł Piotr. — Póki mróz nie chwyci, nie podwieziemy oblężniczych dział. Co innego na papierze, co innego — w robocie...

Znowu, ruszywszy stępa, jął rozpytywać Gallarta o kampanie i Oblężenia znamienitych marszałków, Vaubana i Luxembourg, twórców sztuki wojennej. Rozpytywał o fabryki broni i dział we Francji. Szarpał cienką szyją, mocno zaciśniętą płóciennym halsztukiem.

— Samo przez się... Tam wszystko przygotowane, wszystko pod ręką... Ich drogi, a nasze drogi...

Przesadzając rowy pędził Mieńczykow, jeszcze rozgrzany cały, wesoło wyszczerzony, z dzikimi oczyma. Na hełmie sterczało tylko jedno pióro, na miedzianym kirysie — ślady ciosów. Osadził konia ciężko robiącego bokami.

— Panie bombardierze... Wróg odparty ze stratą, uszła przed nami ledwie połowa rajtarów... (W zapale, oczywista, podełgał.) Dwu naszych zabitych, ale są i podrapani...

Piotrowi aż z ukontentowania zmarszczył się nos, gdy patrzył na Aleksaszkę.

— Dobrze -r- powiedział — chwyt.

Wieczorem w namiocie księcia von Croy zebrali się: odęty, wielce nasrożony Artamon Gołowin (pierwszy twórca uciesznego woj

ska) i książe Trubecko — ulubieniec strzeleckich pułków — dorodny, bogaty bojarzyn; komendant gwardii Buturlin, słynny ze stętorowej gardzieli i ciężkiej pięści; schorowany, łysy Weide, dygocący w baranym kożuchu. Gdy przybyli Piotr, Mieńczykow i Gallart, książe zaprosił do stołu na obozową wieczerzę. Podano rzadkie, nawet nieznane dania (książe sprowadził je z Rewia przez umyślnego); wina francuskie i reńskie roznoszono w obfitości.

Książe czuł się jak ryba w wodzie. Kazał zapalić mnóstwo świec. Gestykułując kościstymi rękoma, opowiadał o sławnych bitwach, gdzie on na wzniesieniu, nad polem krwawej walki, postawiwszy nogę na rozbitym dziale, wydawał rozkazy: kirasjerom — przerwać czworobok, strzelcom — obalić skrzydła. Topił w rzekach całe dywizje, palił miasta...

Rosjanie z Chmurnie spuszczonej oczyma jedli szparagi i sztrasburskie pasztety. Piotr patrzył w roztargnieniu na twarz księcia z długim nosem i mokrymi wąsami. Zaczynał bębnić po stole albo poruszał łopatkami, jakby go swędziało. (Ten roztargniony wzrok zauważono u Piotra Aleksiejewicza od początku kampanii.)

— Narwał — wykrzyknął książe wyciągając do ordynansa pustą czarę. — Narwał! Jeden dzień porządnego bombardowania i krótki szturm południowych bastionów... Na srebrnym talerzu klucze od Narwy dla najjaśniejszego pana. Zostawić tu niewielką załóżkę*

gę, a wszystkimi siłami, rozstawiwszy na flankach konnicę, zwalić się na króla Karola. Wigilię będziemy obchodzić w Rewlu, słowo honoru...

Piotr wstał od stołu, chodził pochylając się, żeby nie zawadzać głową o płótno namiotu, podniósł z ziemi słomkę, położył się na księżęcym łóżku (przyniesionym z pobliskiego folwarku). Podhubał słomką w zębach.

— Gallart dał mi spis — rzekł i wszyscy zwrócili się ku niemu, przestali jeść. — Jeśli będziemy mieli wszystko, co jest w tym spisie, zdobędziemy Narwę. Trzeba sześćdziesiąt dział oblężniczych... (Siadłszy na łóżku dobył z zanadru zmiętą kartkę, rzucił na stół — do Gołowina.) Przeczytaj... Nie mamy dotąd ani jednego porządnego działu na redutach. Repnin z działami oblężniczymi szamocze się w błocie pod Twerem... Możdżerze — dziś się dowiedziałem — utknęły na Wałdaju... Tabory artyleryjskie do tej pory przy jeziorze Iimeń... Cóż wy o tym myślicie, panowie generałowie?...

Generałowie przysunęli świecę i pochylili głowy nad spisem. Jeny Mieńczykow siedział opodal przed pełnym kubkiem, ze złośliwym uśmiechem.

— To nie obóz — tabor cygański — po chwili milczenia przemówił znów Piotr surowo, bez pośpiechu. — Przygotowywaliśmy się dwa lata... A nic nie jest gotowe... Gorzej niż pod Azowem. Gorzej, niż bywało u Walki Gollcyna... (Aleksaszka zadzwonił

ostrogą, wyszczerzył się aż po same uszy — paskudnik!) Obóz — żołnierze wałęsają się między wozami... Bab Czuchonek pełen tabor... Rwetes. Nieporządek. Pracują leniwo, jeno splunąć na ich robotę... Chleb — spleśniały... W niektórych pułkach — peklowanego mięsa jeno na dwa dni... Gdzie wszystko mięso? W Nowogrodzie? Czemu nie tutaj? Przyjdą deszcze — gdzie ziemianki dla żołnierzy?

W namiocie jeno skwierczały świece. Książę, nie bardzo rozumiejąc, o czym mowa, z ciekawością przerosił oczy z Piotra na generałów.

— Idziemy od Moskwy dwa miesiące i nie możemy dojść. Pochód! Wiadomo wam, że król Karol zmusił Chrystiana do haniebnego pokoju, zmusił do zapłacenia dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych dublonów kontrybucji. Obecnie Karol z całym wojskiem wylądował w Parnawie i maszeruje na Rygę... Jeżeli teraz pod Rygą rozbije króla Augusta, w listopadzie trza się go spodziewać tutaj, u nas... Jak go spotkamy?

Artamon Gołowin, najstarszy rangą, wstał, pokłonił się, nastrzępił siwe brwi.

— Piotrze Aleksiejewiczu, z Bożą pomocą...

— Dział trzeba! — przerwał Piotr, na czole nabrzmiała mu żyła. — Bomb! Sto dwadzieścia tysięcy pocisków obłężniczych! Peklowi-ny — stary głupcze... »

Znów na dwa tygodnie nastaly szarugi, nadciągnęły od morza gęste mgły. Żołnierskie ziemianki zalewało, namioty przeciekały, nie było gdzie się ukryć przed wilgocią i nocnym zimnem. Cały obóz był po pas pogrążony w błocie. Ludzie zaczęli chorować na biegunkę, pojawiła się gorączka, co noc dziesiątki wozów wywoziły w pole trupy.

Z twierdzy bezustannie strzelano do oblegających z dział i broni mniejszego kalibru. Najczęściej o świcie robiono wycieczki; Szwedzi porywali warty, podpełzali do ziemianek, obrzucali śpiących ręcznymi granatami. Piotr codziennie objeżdżał całą linię szanców. W mokrym płaszczu, w kapeluszu z obwisłymi kryzami, milczący, surowy, wynurzał się na siwej klaczy spoza deszczowej zasłony, by zatrzymać się, popatrzeć szklanym spojrzeniem i dalej stępa po zrytym polu —, • w mgłę.

Tabory nadchodziły powoli. Z drogi donoszono, że najgorzej z podwodami — chłopom wszystko zabrano, trzeba brać od ziemian i klasztorów. Koniska chude, pasza spasiona i co dzień ciężej — dla wielkich deszczów i rozmiękłych dróg. Chodziła wieść, że Piotr u siebie, w rybackiej chacie na kępie, własnoręcznie zbił do nieprzytomności generała-pro-wiantmajstra, a jego pomocnika kazał powiesić. Z jadłem jakby zrobiło się nieco lepiej. I w obozie było więcej porządku. Dowództwo było złe: Rosjanie --- opieszali, nawykli żyć po dawnemu, gadatliwi i głupi, cudzoziemcy

Jumieli jedno — chłać wódką na wilgoć i walić w zęby, czy było za co, czy nie było.

Potwierdziła się wieść: król Karol, wylądowawszy w Parnawie, obrócił się na Rygę, samym jeno ukazaniem się poskromił inflanckich rycerzy i wojska króla Augusta wyparł do Kurlandii. August zaś siedział w Warszawie wśród wzburzonych sporami panów i stamtąd słał do Piotra gońców — domagał się pieniędzy, Kozaków, dział, piechoty... Pod Narwą zrozumiano — Szwedów należy spodziewać się z pierwszymi przymrozkami.

Szeremietiew, wysłany z czterema nieregularnymi pułkami jazdy, by szarpać nieprzyjaciela, doszedł już do Wezenberga i szczęśliwie rozbił oddział szwedzki zagradzający drogę, gdy niespodzianie cofnął się ku nadmorskim wąwozom Pyhajoki — o czterdzieści wiorst od Narwy — i stamtąd pisał do Piotra:

„...Cofnąłem się nie z bojaźni, ale dla większego bezpieczeństwa... Pod Wezenbergiem niesłychane topiele i przeogromne lasy. Paszę, jaka była nie tylko tu, ale wózków, wszyst-kaśmy spaśli. A ponadto miałem obawy, by nas nie odcięto od Narwy... Gniewasz się, że palę wszystkie wioski i rozbijam Czuchonców, więc porzuć owe wątpliwości: wiosek spaliłem niewiele, jeno po to, by nieprzyjaciel nie miał przytułku. A teraz rozkazałem, by żadną miarą bez przyzwolenia kraju nie pustoszyć... Tu, gdzie stanął, pod Pyhajoki — nieprzyjaciel bez uwagi obok nas nie przejdzie, dalej cofać się nie będę, tu położymy swe głowy, w co możesz nie wątpić...”

W końcu — na szczęście czy na nieszczęście — i zadał wiatr z północy. W ciągu dnia rozpędził mokrą mgłę, niskie słońce skąpo oświetlało grzęznący w błocie obóz, w mieście na kościelnym szpicu zapłonął złoty kogucik. Mróz ściał ziemię. Zaczęły nadchodzić tabory z zapasami amunicji. Wołami — po dziesięć par na każdy — przewieziono dwa znamienite, ważące po trzysta dwadzieścia pudów piszczele „Lew” i „Niedźwiedź”, odlane przed stu laty w Nowogrodzie przez Andrzeja Czochowa i Siemiona Dubinkę. Jak żółwie pełzły haubice na szerokich i niskich kołach, krótkie moździerze, wyrzucające trzy- pudowe bomby. Wszystkie wojska stały pod bronią, wszystkie pułki jazdy — przy koniach, z obnażonymi szablami na wypadek wycieczki Szwedów.¹

Dwustu ludzi wciągnęło na linach „Lwa” i „Niedźwiedzia” na środkową redutę, na wprost południowych bastionów twierdzy. Na bateriach przez całą noc rozstawiano haubice i moździerze. W twierdzy również nie spano, przygotowywano się do odparcia szturm, po tynach pełzły ogniki latarni, warty pokrzykiwały.

Piątego listopada o Świcie Piotr z księciem i generałami wyjechał na wzgórze Hermans*? berg. Wiał kłujący wiatr. Obóz był jeszcze pograżony w mroku, czerwone światło słońca padło na ostre dachy miasta i blanki baszt. W dole wybuchnęły długie ognie; wstrząsając

równiną grzmotnęły działa, bomby poleciały ku miastu skrzącymi się łukami. Dym spowił obóz i mury. Piotr opuścił perspektywę i z rozdętymi nozdrzami skinął na Gallarta. Ów podjechał klaskając językiem. " • §j| Żle. Nie donosi. Proch do niczego.

— Co zrobić? Nie mieszkając...

— Zwiększyć ładunek... Ile jeno działa wytrzymają.

Piotr zjechał ze wzgórza, przez zwodzony most i bramę z dębowych bali popędził na częstokół i zasieki. W środkowej baterii puszkarze oblewali wodą z octem długie lufy „Lwa” i „Niedźwiedzia”. Komendant baterii, Holender, Jakub Winterschiwerk, niziutki, stary marynarz z brodą pod kołnierzem, podszedłszy do Piotra rzekł chłodno: & §j| To na nic się nie zda... Tym prochem chyba jeno do wróbli strzelać ® nic prócz dymu i kopcia...

Piotr zrzucił płaszcz, kaftan, zakasał rękawy, wziął od puszkarza wycior, silnym ruchem przetarł okopconą lufę. — Nabój.

Z lochu baterii zaczęto przerzucać z rąk do rąk paczki prochu w szarym papierze. Nad- darł jedną paczkę, wysypał ziarenka na dłoń, prychnął jeno jak kot, gniewnie, wbił w lufę sześć paczek...

— To będzie niebezpieczne f§§ rzekł Winterschiwerk.

H■ Milcz, milcz... Kulę...

Podrzucił w rękach pudowy okrągły pocisk,

360

wtoczył do lufy przyciskając wyciorem, przybił szczelnie. Przysiadł nad celownikiem, kręcił gwintem.

— Lont... Niech wszyscy odejdą od działa.

Rozdzierając uszy „Niedźwiedź” zionął

ogniem, ciężko szarpnął się w tył żelaznymi kołami, zarył się paszczą. Kula leciała niby coraz malejąca piłeczka — na baszcie bastionu „Gloria” rozprysnęły się kamienie, oberwał się kawał blanki.

— O, to nieźle — rzekł Jakub Winterschiwerk.

— Tak strzelać...

Narzuciwszy kaftan Piotr popędził do baterii haubic. Wszystkim bateriom wydano rozkaz powiększenia ładunku półtora raza. Ziemia znowu zadrżała od grzmotu stu trzydziestu dział. Ze stojących sztorcem moździerzy wylatywał straszliwy płomień. Gdy opadły chmury dymu, ujrzeni: w mieście paliły się dwa domy. Druga salwa była równie skuteczna. Lecz wkrótce dowiedziano się: w zachodniej baterii rozsadziło dwie haubice, niedawno odlane w tulskiej fabryce Lwa Kiriłowi- cza, przy niektórych działach pękły w lawetach osie... Piotr rzekł: — Później rozpatrzemy. Znajdziemy winowajców... Tak strzelać...

Tak rozpoczęło się bombardowanie Narwy i ciągnęło się bez przerwy do piętnastego listopada.

Carski kucharz Pelten mrucząc pod nosem smażył na szczapkach jajecznice. Z trudem wydostano dziesięć jaj — kuchcik gnał konno omal nie do Jamburga — wszystkie były stęchłe...

— Felten, czego mamroczesz, przypieprz no je mocniej...

— Słucham, najjaśniejszy panie... Pieprz.

Piotr siedział przy gorącym piecu. Tu tylko

było ciepło (w komorze za przepierzeniem, gdzie spał z Aleksaszką, wiało przez ściany). Teraz, o północy, słychać było wycie wiatru i skrzypienie skrzydeł wiatraka stojącego na kępie obok domku. Brzozowe drewno potrzaskiwało przytulnie. Króciutki, gniewliwy Felten rozłożył na kominie zapasy i ciągle węszył; na jego mięsistym nosie gniewnie płonęły odbłaski płomienia.

— A jak cię Szwedzi wezmą do niewoli, to wtedy co, Felten?...

— Słucham, najjaśniejszy panie...

— Aha, powiedzą, carski kucharz! Powieszają za nogi...

- No to powieszają, znam swą powinność...

Nakrył czystym ręcznikiem chwiejący się stół z desek. Postawił glinianą karafkę z pleprówką, pokrajał cienko czarny czerstwy chleb. Piotr, lekko pykając fajką, spoglądał, jak Felten porusza się zwinnie, cicho, skrętnie — w walonkach, w watowanej kurtce, przepasany fartuchem.

— Ja wcale o Szwedach nie żartuję. Uprzątnąłbyś swe gospodarstwo.

Felten spojrzął z ukosa — zrozumiał: nie żartuje. Podał gorącą patelnię z Jajecznicą, nalał z karafki do cynowego kubeczka.

— Wasza cesarska mość raczy do stołu... Cała chałupka zadygotała Od wiatru. Zakolysała się świeca. Z dworu wszedł hałaśliwie Mieńszykow.

— Ależ pogoda...

Krzywiąc się rozwiązywał węzeł na szarfie. Zaczął grzać ręce nad szczapami.

— Zaraz przybędzie...

— Trzeźwy? — zapytał Piotr.

— Spał. Dopierom go z łóżka... Aleksaszka siadła naprzeciwko. Spróbował,

czy stół mocno stoi. Nalał, wypił, pokręcił łbem. Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Piotr — niezbyt głośno:

— Za późno... Już się nic nie da naprawić... Aleksaszka — łykając z trudem:

— Jeśli on jest o sto wiorst, a Szeremietiew go nie wstrzyma, pojutrze będzie tu... Wyjść na otwarte pole — mielibyśmy nie dać rody jazdą? (Rozpiął kołnierz, zwrócił się do Peltena.) Kapuśniaczku nie zostało ci? (Nalał cfrugą czarę.) Ma z dziesięć tysięcy, nie więcej — Jeńcy przysięgają na Ewangelię... Czyśmy to już takie ciury?... Wstyd...

— Wstyd — powtórzył Piotr. — W dwa dni nie napędzi się ludziom rozumu. Jeśli nie powiedzie się pod Narwą, zatrzymamy go w Pskowie i Nowogrodzie.

— Min herc, grzech nawet myśleć o tym... - Dobra, dobra...

Zamilkli. Felten przykucnąwszy dmuchał w węgle, grzał piwo w miedzianym kociołku.

| Pod Narwą działo się niedobrze. Bombardowali dwa tygodnie, wysadzali mury, podsuwali się aproszami, a przecie murów nie skruszyli i miasta nie podpalili. Na szturm generałowie nie zdecydowali się. Ze stu trzydziestu dział połowę rozsadziło i uszkodziło. Wczoraj zaczęto rachować — w lochach zostało prochu i pocisków na jeden dzień takiej strzelaniny, a tabory z amunicją jeszcze wlokły się gdzieś pod Nowogrodem.

Armia szwedzka szybkimi marszami zdążyła rewelską drogą i teraz być może walczyła już z Szeremietiewem w pyhajockich wąwozach. Rosjanie znaleźli się w kleszczach — między artylerią twierdzy i zbliżającym się Karolem.

— Narobiliśmy wrzawy... To potrafiemy — Piotr rzucił łyżką. — Wojować jeszcześmy się nie nauczyli. Zaczęliśmy nie z tej beczki, co trzeba... To na nic się nie zda. Żeby działo tu wystrzeliło, trzeba je w Moskwie nabić. Zrozumiałeś?

Aleksaszka rzekł:

— Jadę teraz — w pierwszej rocie żołnierze gadają przy ognisku. Czekaają na Szweda — cały obóz huczy. Wygadują na generałów, że ha... Słyszę, jeden gada: „Pierwsza kula dla chorążego”.

— Generałowie I (Piotrowi zamigotały oczy.) Chorągwie nosić na procesji! Wojewodowie... Stare drożdże...

Wówczas Aleksaszka rzekł ostrożnie, zerkając okiem:

— Piotrze Aleksiejewiczu... Powierz mi wojsko na te trzy dni... Dalibóg! He!

Jakby nie dosłyszawszy Piotr sięgnął do kieszeni po kapciuch. Sapiąc ugniatał palcem okruchy tytoniu.

— Od jutrzejszego dnia głównodowodzącym ma być książę von Croy. Głupiec wierutny, ale zna się na rzeczy po europejsku, wojenny człek. I nasi cudzoziemcy nabiorą przy nim otuchy. A ty zbieraj się, słyszysz — wyjedziemy przed świtem...

Sapał. Przysunąwszy świecę zapalał od niej fajkę; Aleksaszka zapytał cicho:

— Piotrze Aleksiejewiczu, dokąd pojedziemy?

— Do Nowogrodu.

Piotr spojrział wreszcie w rozwarłe ogromnym zdumieniem, przezroczonebieskie oczy Aleksaszki. Nagle jął mocno czerwienieć (w poprzek spoconego czoła nabrzmiała żyła) i — wstrzymując gniew:

— Ten młokos nie ma nic do stracenia, a ja mam... Myślisz, że pod Narwą początek i koniec? Dopiero początek wojny. Musimy zwyciężyć... A z tym wojskiem nie zwyciężymy... Zrozumiałeś? Trzeba zaczynać od tyłów, od wozów taborowych. Pędzić ze szpadą — to na końcu. Głupcze, chcesz być waleczniejszy od Karola? Spuść oczy! (Wściekłość przeleciała mu po twarzy.) Nie waż się na mnie patrzeć!

Aleksaszka nie usłuchał, nie spuścił oczu,

lzy napłynęły od palącego wstydu, kropla pelzła po naprężonym policzku. Piotr wpił się w niego wąskimi źrenicami. Obaj wstrzymali oddech. Nagle Piotr uśmiechnął się. Przypadając do ściany wsunął ręce głęboko w kieszenie.

— „Min herec” — przedrzeźniał głosem Aleksaszki. — Przyjaciół serdeczny... Za mnie ci się wstyd zrobiło? Poczekaj, jeszcze niejedno się zdarzy, wszyscy odwrócą pyski. Karola się przestraszył!... Wojsko opuścił. Pognął do Nowogrodu, tak samo jak wówczas — do Trójcy... Pięknie... Otrzyj liczko. Wyjdź na spotkanie — panowie generałowie przybyli...

Nawoływania szyldwachów. Tętent podków po zamrożonej ziemi. Za oknem blask pochodni. Dzwoniąc ostrogami wszedł książę z generałami — zaczerwieniem od wiatru, zaniepokojeni — co mogło się zdarzyć o tak późnej porze?... Piotr kiwnął im głową, podszedłszy do księcia uściśnął go. Wskazał Mieńszykowowi, by wziął świecę, i wszedł za przepierzenie z desek, do komory.

Tu Mieńszykow postawił świecę na stoliku zarurowanym papierami, obsypanym tytoniem. Wszyscy stali. Piotr usiadł, wziął kartkę, poruszając wargami, z surową miną przepowiedział sobie zasypane popiołem, pokreślone linie. Odkaslnął i — na nikogo nie patrząc:

— „Ingottsnam, w imię Boże” — jął czytać surowym, twardym głosem. — Ile że jego carska mość gwoli ważniejszym sprawom

opuszcza wojsko, przeto powierzamy wojsko jaśnie oświeconemu księciu von Croy, wedle poniższych artykułów... (Księciu, stojącemu przy samym stole, zadrgała łydka. Piotr popatrzył na jego chude łydki w białych łosiowych nogawicach, potem — na chude ręce, obejmujące złotą rękojeść szabli.) Pierwszy artykuł: Jaśnie oświecony książę ma być głównodowodzącym... Drugi: Wszyscy generałowie, oficerowie, aż do żołnierza, mają być posłuszni jego rozkazom jak rozkazom samej jego carskiej mości... Trzeci... (Podniósł głos.) Nie mieszkać zdobyć Narwę i Iwan- gorod wszelkimi sposobami. Czwarty: Generałów, oficerów i żołnierzy za nieposłuszeństwo sądzić jak własnych poddanych i karać, nawet na gardle..."

Zaczął poprzez księcia spoglądać na generałów: Weide kiwał głową aprobująco, spocona twarz księcia Trubeckiego nabrzmiała, siwe przystrzyżone włosy Buturlina poruszyły się nad niskim czołem, Artamon Gołowin pochylił nisko głowę, jakby hańba i nieszczęście już spadły na jego ramiona.

— „Jaśnie oświecony książę gorliwie ma się wywiadywać o sukurs szwedzki. Gdy istotnie upewni się o przybyciu króla Caro- lusa | jeśli ów posiada znaczne siły, strzec się pilnie, by go nie przepuścić do miasta Narwy, i z Bożą pomocą kusić się o sukces. Bo lepiej wyczekać ile możności na przybycie posiłków..." (Opuścił kartkę i — do księcia:) O kilka dni drogi — Riepnin, het

man z Kozakami i tabory z amunicją... (Do Gołowina:) Siadaj, przepisz na czysto.

Z sieni zapukano do drzwi. Mieńczykow, zafrasowany, przeciskał się do kuchni. Ktoś wszedł, w otwarte drzwi wdarły się z szumem wiatru oddalone krzyki mnóstwa Judzi. Piotr, odepchnąwszy kogoś, skierował się do kuchni.

— Co się stało? — krzyknął straszonym głosem.

Przed nim stał młodzik: wychudła, różowa jak u dziewczyny twarz, zadarty nos, śmiałe oczy, jasne włosy nad uchem zlepione krwią...

— Paweł Jagużyński, porucznik przy Borysie Pietrowiczu Szeremietiewie — rzekł szybko Mieńczykow.

— No?

Tamtemu zadrgała twarz. Podniósłszy nos ku Piotrowi stanął w postawie.

— Miłościwy panie, Borys Pietrowicz przysłał z zapytaniem, gdzie mają stanąć pułki.

Piotr milczał. Przestraszeni generałowie tłoczyli się w drzwiach komory.

Mieńczykow — śpiesznie wdzwiewając kozuszek:

— Uciekali bezecnie od samych Pyhajoków... Rzucali czapki... Szlachta...

Nieregularne pułki szlacheckiego pospolitego ruszenia dowiedziawszy się rankiem siedemnastego listopada od czujek, że szwedzkie podjazdy przeszły w nocy brzegiem

morza obok wąwozów na tyły, na rewelski gościniec, zmieszały się i nie słuchając Borysa Pietrowicza Szeremietiewa, zaczęły uchodzić z Pyhajoków — w obawie, że zostaną odcięte od głównego wojska.

Szeremietiew pędził do rozproszonych sotni, łapał za cugle, zrywał głos, walił nahajem konie i ludzi — tylne szeregi parły, jego koń szamotał się w ławicy uciekających. Udało mu się jedynie zebrać kilka sotni, żeby osłonić tyły i ocalić część taboru wojskowego przed Szwedami, którzy ukazali się o wschodzie słońca — w żelaznych kirysach, żebrowanych kaskach — na wszystkich wzgórzach skalnych. Szwedzi nie ścigali.

Szlacheckie pułki uchodziły cwałem. W nocy ukazały się pod palisadami obozu narwskiego. Straże na wałach, wzięwszy ich w ciemnościach za wrogów, otworzyły ogień. Jeźdźcy przeraźliwie krzyczeli: — Swoi, swoi!... Cały obóz zbudził się i zahuczał.

Wpuszczono za palisadę porucznika Pawła Jagużyńskiego, a ów pognął do cara. Szalał lodowaty wicher. Wojacy zsiadłszy z koni stali po tamtej stronie rowu, przed podniesionymi mostami. Z palisad wołano na nich: — Cóżecie tak prędko przybiegli, dzie-1 dzice? Pilno do oblężenia, serdeńko? — W całym obozie zaczęły bić bębny, popłynęły ogniki, pognali jeźdźcy z latarniami. W pułkach i sotniach czytano pod chorągwiami ukaz carski o powierzeniu wojska sławnemu i niezwyciężonemu księciu Cesarstwa Rzymskie

go, von Croy. Wojska milczały, rażone zdumieniem i strachem. Wkrótce z ust do ust przeleciała wieść, że cara w obozie już nie ma, a cała potęża szwedzka stoi o pięć wiorst.

Nikt nie spał. Rozpalono ogniska — wiatr je rozrzucał. Nad ranem jazdę Szeremietiewa przeprowadzono na prawe skrzydło. Nie wchodząc za palisadę stanęła nad samym brzegiem, tam gdzie Narowa, powyżej miasta, szumiała wściekle między wysepkami na porohach. Rozwidniało się — Szwedów nie było widać. Wysłane patrole nigdzie w pobliżu wroga nie napotkały, chociaż szeremietiewowcy zaklinali się, że deptał im po piętach od samych Pyhajoków.

Wśród ochrypłych pojęków surm książę we wspinałym płaszczu, wsparty pod bok marszałkowską buławą, za nim — z tyłu o pół konia — generałowie: Gołowin, Trubeckoj, Buturlin, carewicz Imeretyński i książę Jakub Dołgoruki — objeżdżali obóz. Książę, strosząc obwisłe wąsy brzegiem rękawiczki, krzyczał do żołnierzy: — Witajszje, zuhi! Umszym za ojczulka caral — We wszystkich pułkach wśród warczenia bębnow odczytano rozkaz: „...W nocy połowa wojska ma stać pod bronią... Przed świtem rozdać żołnierzom po dwadzieścia cztery ładunki z kulami, o wschodzie słońca cała armia ma stanąć w szyku i po trzech działowych sygnałach niech zagra muzyka i biją bębny, wszystkie chorągwie umieścić na wałach. Strzelać nie

rychlej, aż nieprzyjaciel zbliży się na trzydzieści kroków...”

W nocy wiatr odmienił się, powiał na zachód, od morza. Pocięła. W ciemności szwedzki generał-major Riebing z dwoma rajtarami, nakazawszy owinać wołokiem końskie kopyta, podjechał skrycie do samych palisad, zmierzył głębokość rowu i wysokość nasypów.

Aleksy Browkin, głodny jak wilk, na wskroś przeniknięty wiatrem, chodził po* wale — trzy kroki naprzód, trzy w tył — przy proporczyku roty. Wał rozciągał się na siedem wiorst, żołnierze stali daleko jeden od drugiego. Trąbki zagrały, bębny zawarczały. Działa i muszkiety nabito, lonty dymiły. Wiatr szarpał sztandarami na szańcach. Była jedenasta rano.

Aleksy ściągnął pas z całej siły. Nowy wódz naczelny o wszystko się zatroszczył, jeno zapomniał nakarmić. Który to już dzień żołnierze — i oficerowie liniowi — żuli spleśniałe suchary, wytrząsali okruchy z torb. A tej nocy nawet sucharów nie wydano. Żołnierze sterczeli na okopie niby strachy na wrony (z roty Browkina pozostało osiemdziesięciu zdrowych). Był czas, ach, jakże Aleksy pragnął bitwy — poprowadzić rotę w dymie dział, samemu pochwycić drzewce nieprzyjacielskiego sztandaru... („Dziękuję, Aleksy, mia

nuję cię pułkownikiem...") Dziś chciało się tylko jednego — wleźć w ciepły zaduch ziemiarki, pojeść z kociołka rzadkiej kaszy, żeby oparzyła gardło...

Mrużąc oczy od wiatru Aleksy krzyknął do najbliższego Golikowa: — Czegoś rozdziawił gębę, stać dzielnie! Ow nie dosłyszał; podniósłszy obdarte ramiona osłupił twarz ostronosą, jakby śmierć zobaczył... A inni żołnierze niby najeżone psy również patrzyli w stronę wzgórza Hermans-berg. Nad wzgórzem, w gwałtownie lecących chmurach raz ukazywało się, to znów chowało niewysokie słońce. Wśród pni i kiwających się obnażonych brzoź posuwali się ciężko obciążeni ludzie — wychodziło ich z lasu coraz więcej. Zrzucali z ramion wory i juki, wybiegali naprzód, ustawiali się szerokimi, ścisłymi kolumnami. Sześciokonnymi zaprzęgami wyjeżdżały działa, jedno w dół — prosto — ku środkowej reducie, inne — kłusem poprzez strumień, ku silnym umocnieniom Weidego, jeszcze inne mknęły galopem na prawo, po równinie. Na wzgórzu Hermans-berg stawało w szyku sześć pieszych kolumn. Z lasu wyjeżdżała konnica podwójnymi, bezbarwnymi, żelaznymi szeregami. Aleksy krzyknął nieswoim głosem: — Dobosze, bojowy alarm! Wąsaci podoficerowie wyskakiwali na okop, naciskali trójgraniaste kapelusze, by ich wiatr nie porwał. Zawarczały bębny... Leopoldus Mirbach, rozradowany nie wiado-

no czym, pokazywał palcem, krzyczał do Aleksego: — Patrzcie, ten na koniu — to król Karol! — Kolumny Szwedów, straszliwe w swej regularności i ładzie jakby nieludzkim, nieczułe, nieśmiertelne, kolebały się ciemnoniebieskimi szeregami, pełzły ze wzgórza... Tam na wyniosłości stało pięciu czy sześciu jeźdźców, a jeden, szczuplutki z przodu — wymachiwał ręką; podjeżdżali ku niemu jeźdźcy i gnali w dół, ku kolumnom.

Wiatr przyginał na szaniec drzewca sztandarów i proporców, bębny warczały rozdzierając duszę. Od strony morza wznosiła się ołowianośnieżna chmura, szybko pokrywała niebo. Podjechały pędem cztery artyleryjskie zaprzęgi, o dwieście kroków od rowu, na wprost miejsca, gdzie stała rota Browkina, zawróciły w biegu, odprzodkowały, cwałem przebiegły zielone jaszczce z amunicją, zawróciły. Zeskoczyli krzepcy ludzie w ciemnoniebieskich mundurach, stanęli przy działach. Biegiem, nie łamiąc regularnego szyku, podeszła kolumna piechoty, przed nią wyskoczyło kilku ludzi z białymi wyłogami... Szpady błysnęły zamasyście, zdwojone szeregi Szwedów rozwinęły się po obu stronach baterii, przypadły nisko poleciały grudy ziemi...

Aleksy przyłożywszy do ust ręce przekrzykiwał wiatr: — Panowie chorążowie... Nakazać podoficerom... Nakazać żołnierzom... Nie strzelać bez rozkazu pod karą śmierci... — Leopoldus Mirbach w długich botfortach biegł

wałem krzycząc po niemiecku, wygrażając laską, Fied'ka Umyj-się-Błotem (brodaty, ubłocony, istne straszdyło) wyszczerzył się złośliwie, Leopoldus wyrznął go w łeb. Wiatr szarpał poły kaftanów, czyjś kapelusz poleciał wysoko.

Aleksy zwrócił się do naszej baterii: — Nuże, prędzej! — W końcu ciężko szarpnęło uszy. „Diabły, nie potrafią strzelać!” W odpowiedzi cztery szwedzkie działa odskoczywszy plunęły ogniem. O pół wiorsty osobliwie i poważnie zagrzmiały „Lew” i „Niedźwiedź”. „Och, nasi tak opieszale!” Znowu przycwa-łowwały cztery zaprzęgi, zabrały działa, podciągnęły bliżej do wału. Puszkarze dopędzili je biegiem, przetarli, nabili, odskoczyli — dwóch do kół, trzeci przykucnął z lontem. Człowiek z białymi wyłogami podniósł szpadę... Salwa... Cztery pociski uderzyły w sosnowe bierwiona palisady, szarpnęło żelazne wycie, poleciały drzazgi. Aleksy cofnął się, upadł. Zerwał się... Przelotnie, ale straszliwie jasno (zapamiętał na całe życie) ujrzał: przez kępiaste pole, blisko, wzdłuż rowu, cwałuje na siwym koniu prosty, cienki jak palec młodzik w małym trójgraniastym kapeluszu, spod którego podsłakuje mu na karku skórzany woreczek, stopy jego nie z rosyjska wysunięte naprzód, zachodzą w strzemiona aż po obcasy, wąskie oblicze drwiąco zwrócone ku strzelającym z palisady; za nim dwa dziesiątki podwójnych, równych szeregow kirasjerów na wielce kościstych koniach cwałuje

głowa w głowę... — Boże zmiłuj się! — dobiegł przerażony okrzyk Golikowa.

Niska chmura gwałtownie zakrywała niebo. Dzień mroczniał szybko. Tuman śniegu przysłaniał obóz, szeregi cwałujących kirasjerów, poruszające się szwedzkie kolumny. Wśród wycia wiatru szczykały działa, płomienie ich wznosiły się mętym lśnieniem. Palisada trzeszczała, waliła się. Kule syczały nad głowami zajadłe. Zerwała się zadymka, skośny, kłujący śnieg ciał w twarz, zalepiał oczy. Nie było widać ani tego, co się dzieje z przodu, po tamtej stronie rowu, ani tego, co się zaczęło w obozie już od kwadransa.

Na Aleksego wpadł biegnący bez opamiętania, zgarbiony żołnierz z obcej rotty. Aleksy porwał go za boki. Żołnierz ryknął desperacko: — Zdrada!... — wyrwał się, przepadł w zamieci. Dopiero wówczas Aleksy zauważył, że wśród wirującej powłoki śniegu zaczęło padać do rowu coś niby wiązki chrustu. Ścierając z twarzy śnieg krzyknął:

— Ognia!... Ognia!...

W rowie już uwijali się sprawni ludzie...

(Szwedzy grenadierzy, którym śnieg ciał plecy, podbiegłszy zaczęli wypełniać rów fa-szyną i po niej bez drabin wśliznęli na palisadę...)

...Aleksy dostrzegł jeszcze: Golikow wystrzelił, cofając się bódł przed sobą bajonetem... Wielki, osypany śniegiem człek przerzucił nogi przez palisadę, schwycił ręką za bajonet, Golikow ciągnął muszkiet do siebie,

ów — do siebie... Aleksy zapał dżgając tamtego szpadą jak prosiaka. Wciąż jeszcze przelewali się ludzie, jakby pędzeni przez burzę śnieżną. Aleksy dżgał w próżnię, to znowu w coś miękkiego... Bryznął ból z oczu — czaszka, cała twarz spłaszczyła się od ciosu...

...Golikow nie pamiętał, jak stoczył się do rowu. Pełził na czworakach, w zwierzęcym strachu... Obok ktoś uciekał wymachując rękoma, za nim z nastawionymi bajonetami dwóch Szwedów, rozjuszeni, szerocy... Golikow przytaił się jak żuk: „Och, co za ludzie!” Podniósł głowę — śnieg zatkał usta. Porwał się chwiejnie, natychmiast natknął się na dwóch ludzi. Fied'ka Umyj-się-Błotem leżał brzuchem na Leopoldusie Mirbachu, dobierał mu się palcami do gardła... Leopoldus rwał brodę Fied'ki... — Łzesz, szatanie — chrypiał Fied'ka, zwałił się nań ramionami. Andrzej uciekł. „Och, co za ludzie!...”

Środkowa kolumna Szwedów — cztery tysiące grenadierów — z całą furią rzuciła się na dywizję Artamona Gołowina. Walka na palisadach trwała kwadrans; Rosjanie, oślepieni zamiecią, wycieńczeni głodem, nie dowierzając dowódcom, nie rozumiejąc, dlaczego trzeba umierać w tym śnieżnym piekle, odpadli od wału... — Chłopcy, zaprzęдали nas. Bij oficerów!... — strzelając bezładnie, biegali po obozie, tratowali jedni drugich w zasypanych rowach i na stokach bateryj... Zmieszali i pociągnęli za sobą pułki Trubeckiego. Tysiącami biegli ku mostom, do przeprawy.

Szwedzi nie ścigali nazbyt daleko, sami bojąc się zgubić w zamieci, pośród tak wielkiego obozu. Ochryple trąby wołały rozkazująco — nazad, na wał. Ale część grenadierów natknęła się na zasieki, za nimi stały tabory... Grenadierzy krzyknęli: — Mit Gots hilf — z pomocą Bożą — i wzięli tabory szturmem. Tu pod zasypanymi śniegiem rogożami znaleźli beczki z zatechłą peklowiną i baryłki z wódką. Ponad tysiąc grenadierów pozostało już do końca bitwy przy odbitych baryłkach... Rosjan miotających się między wozami albo wykłuli, albo po prostu przepędzili.

Śladem piechoty przez wylamaną bramę wdarła się do obozu jazda — wprost na główną redutę. Piszczele „Lew” i „Niedźwiedź” zdobyte zostały w konnym szyku, obsługa wyrąbana, komendant Jakub Winterschiwerk, ranny w głowę, oddał szpadę. Piszczele zwrócono na wschód i zaczęto z nich strzelać w umocnienia Weidego. Tu Szwedzi napotkali zawzięty opór. Weide ustawił na palisadach całą dywizję, szczelnie, w cztery rzędy, sam oficerską piką strącał pnących się na tyn Szwedów. Z tyłu żołnierze nabijali muszkiety, przednie szeregi strzelały sprawnie. Cały rów zawałony był zabitymi i rannymi. Gdy z głównej reduty zaczęły dolatywać pociski i gdy rozpoznali głosy „Lwa” i „Niedźwiedzia”, Weide pocwałował konno przez wał: — Stać mocno, dziatki... — Pod koniem jego wy-

buchła bomba, dostrzegli: wśród lecącego śniegu, w dymie, koń stanął dęba i przewrócił się...

Konne pułki Szeremietiewa stały przyparte [do rzeki między palisadami Weidego i lasem. W twarz bił śnieżny wichur, z tyłu ryczała rzeka Narowa. Las szumiał przeraźliwie. Stali nic nie widząc, nic nie rozumiejąc. Z prawej strony, z daleka, strzelały działa coraz częściej... Całkiem blisko, na palisadach zaczęła się strzelanina z muszkietów, takie krzyki, jęki śmiertelne — że bojarskim synom włosy stanęły dęba pod myckami...

Borys Pietrowicz stał na wzgórzu pośród swojego wojska. Schował perspektywę do kieszeni, ledwie można było rozróżnić uszy konia. W naszym obozie działo się coś niepojętego. Daremnie czekał na rozkaz dowódcy. Lecz ów czy to zapomniał o szlacheckiej konnicy, czy też nie mógł jej odszukać, czy też stało się coś niedobrego...

Z lewego skrzydła dała się słyszeć strzelanina, chyba spoza losu. Borys Pietrowicz słuchał uniósłszy się w strzemiączkach. Przywołał młodego księcia Rostowskiego.

- Weź, kochasiu, cztery sotnie, pędź do lasu, wypłóż no stamtąd nieprzyjaciela*.. Z Bogiem...

Książę, odrętwiały w kolczudze i żelaznym kołpaku, odpowiedział coś niezrozumiale, zjechał ze wzgórza... Z lasu szcześnieła armata. Czyjś głos zaniósł się w śmiertelnej skardze.

I od razu z prawej strony, z lewej, z przodu jęły trzaskać wystrzały muszkietów. Borys Pietrowicz rozejrzał się, aby rozkazać: „Do szabel I naprzód I... w imię Bożej” Ale rozkazać nie było komu: końskie kłęby parły na wzgórek... — Giniemy, giniemy, uciekać przez rzekę — krzyknęło tysiące głosów. Borysowi Pietrowiczowi pozostało tylko jedno — samemu zawrócić konia, żeby nie zostać stratowanym; zmrużył oczy, płakał szarpając cugle...

Wycie, dzikie wrzaski... Rozkołysana ława końskich zadartych łbów, kosmatych grzyw, grzbietów obsypanych śniegiem pędziła ku rzece. Brzeg był urwisty, konie obsuwały się na zadach, opierały, pędzący z tyłu wrzynali się pędem w przednich, przeskakiwali przez padających... W żółtej wodzie pod powłoką zamieci zamajaczyły końskie pyski, zachłystujące się twarze ludzi, z wirów wynurzały się ręce, kurczowo chwyciły powietrze... Coraz nowe setki jeźdźców rzucały się w Narowę, płynęły, pasowały się z nurtami, tonęły...

Dobry koń Borysa Pietrowicza wydostał się na kępę pośrodku rzeki, stał robiąc bokami, znowu ostrożnie zsunął się do wody, popłynął, szczerząc zęby wyniósł na przeciwległy brzeg...

Zamieć zwisająca nad polem bitwy była może niebezpieczniejsza dla Szwedów niż dla Rosjan. Zerwała się łączność między nacierającymi kolubami, pocztowi na próżno miotali się w śnieżystej wichurze, szukając

generałów i króla. Śmiały plan — gwałtownymi uderzeniami obalić flanki przeciwnika, otoczyć go, przyprzeć do twierdzy pod ogień bastionów — plan ten nie udał się: od razu zostało rozdarte centrum Rosjan — wojska Artamona Gołowina cofnęły się bezładnie, przepadły w śnieżycy, ale flanki broniły się z nieoczekiwanym uporem, szczególnie prawy, gdzie znajdowały się najlepsze pułki — Siemionowski i Preobrażeński.

Dochodziła czwarta, strzelanina nie ucichała. Śnieg walił, wirował. Do zmierzchu koniecznie należało zakończyć bitwę zwycięstwem, inaczej bowiem cztery bataliony Szwedów, które wdarły się w centrum obozu, przetrzebione i zmordowane, mogą być z kolei otoczone i zniszczone, gdyby Rosjanie odważyli się wreszcie wyjść poza palisady; na flankach mieli jeszcze, skromnie licząc, piętnaście tysięcy świeżego żołnierza.

Na początku bitwy Karol z trzema szwadronami kirasjerów znajdował się między kołumnami Steinbocka i Meidela, by obserwować jednocześnie atak centrum i prawego skrzydła. Tu zaskoczyła go zamieć. Atakujące kolumny pokrywał całun śniegu, nie było widać nawet wybuchów działowych. Karol podniósł nos, zacisnął zęby — słuchając j upojnych dźwięków boju. Przybyły adiutant generała Renskjolda raportował, że grenadierzy przerwali centrum i pędzą Rosjan w głąb obozu. Karol porwał oficera za ramię i krzyknął mu do ucha:

— Powiedz generałowi, że król rozkazuje zaprzestać pogoni, zająć środkową redutę, przygotować się do obrony, czekać na dyspozycje...

Posyłał jednego pocztowego za drugim na prawe skrzydło do Schlippenbacha, bezskutecznie szturmującego linię umocnień Weidego. — Oznajmijcie generałowi, że król się dziwi. — Wysłał mu na pomoc dwie rotę rezerwy, ale nie znaleziono ich i nie posłano. Szwedzi zajadłe szturmowali na pół zburzoną palisadę, generał Weide był ranny odłamkiem bomby. Rosjanie nie przestawali opędzać się czym popadło...

Niebezpieczeństwo wzrastało z każdą chwilą. Wczoraj na radzie wojennej wszyscy generałowie wypowiedzieli się przeciw szalonej operacji pod Narwą: z dziesięciu tysiącami głodnych, znużonych żołnierzy, objuczonych workami (w pospiesznym marszu wypadło porzucić tabory), porwać się na pięćdziesięciotysięczną armię za silnymi umocnieniami... To było nieostrożne... Ale Karol rzekł: — Wygrywa atakujący, niebezpieczeństwo wzmagą siły, jutro przyprowadzicie mi do namiotu cara Piotra. — Przedstawił generałom swoje dyspozycje, było tam przewidziane i obliczone wszystko — prócz burzy śnieżnej.

Podniósł nos, wyprężył się w siodle, cały ośnieżony wsłuchiwał się w odgłosy bitwy. Niebezpieczeństwo upajało go. Z tą grą nie da się nawet porównać polowanie na niedźwiedzie w Kungsórskim lesie. Wiatr ze

szczególną siłą donosił wystrzały z lewego skrzydła, gdzie dwa bataliony grenadierów generała Lówenhaupta szturmowały pozycje siemionowców i preobrażeńców. Czyżby i tam, w najbardziej odpowiedzialnym punkcie, nie było jeszcze sukcesu?

Obróciwszy się Karol schwycił za uzdę jakiś koński pysk (w zamieci nie było widać ani konia, ani jeźdźca), krzyknął, aby Lówen- hauptowi posłano na pomoc cztery roty z rezerw. Koński pysk, zdarty, zniknął. (Owych rot również nie znaleziono i nie posłano.) Strzelanina z lewej strony stawała się coraz zawziętsza. Z obłoków śniegu wyskoczył ośnieżony jeździec.

— Królu... Generał Lówenhaupt prosi o posiłki...

— Posłałem mu cztery roty... Jestem zdumiony...

— Królu... Palisady rozbite, rowy zawałone faszyną i trupami... Ale Rosjanie cofnęli się za zasieki. Rozjuszył ich strach i krew... Wykrzykują przekleństwa i idą na bagnety... Generał Lówenhaupt otrzymał kilka ran i dalej walczy pieszo wśród żołnierzy... jś .— Prowadź!...

Karol ruszył koniem, schylony pod wiatr i śnieg, i popędził strzemię w strzemię z przysłanym oficerem w stronę strzałów na lewym skrzydle. Wiatr przenikający ciało, zda się, śpiewał w sercu... W tym upojeniu wichrem, śniegiem, grzmotem wystrzałów chciał jeszcze poczuć opór klingi zanurzającej się w żywe ciało... Oficer coś krzyknął wskazując przed siebie, gdzie na śniegu rozplywała się żółta plama... Było to zasypane koryto strumienia. Karol wbił ostrogi, koń ciężkim susem przesadził żółty śnieg i ugrzązł w trzęsawisku, rzucając się, jeszcze głębiej wpadł zadem, jął chrapać nozdrzami w śnieżny wiatr. Karol zeskoczył, lewa noga pograżyła się w grząskim mule aż do samej pachwiny... Targnął się, wyciągnął nogę z botforta, na czworakach, zgubiwszy kapelusz i szpadę, popęzł na brzeg, gdzie — spieszony już — stał oficer wyciągając rękę.

I tak — w jednym botforcie, bez kapelusza — Karol wdrapał się na drżącego, pokrytego strupami lodu, lichego konia, uderzając ostrogą pocwałował ku bliskim wystrzałom, dzikim krzykom. Koń zaczął przeskakiwać przez śnieżne wzgórki — byli to zabici lub ranni... Z przodu przelatowały niewyraźne cienie. Działo zionęło ogniem. Niespodzianie blisko dostrzegł bezładną kupę swych grenadierów— stali posepnie, wsparci na muszkietach, spoglądając tam, gdzie na zdeptanym, skrwawionym śniegu, za osuniętymi ciałami zabitych, sterczały na ukos zaostrome koły zasieków. Za nimi kołysał się mur Rosjan. Ci coś tam z wyteżeniem pokrzykiwali, wygrażając pięściami i muszkietami. Widocznie dopiero co odparli atak.

Najechał koniem na grenadierów: — Szpada! — krzyk jak wystrzał.. Zwrócili się ku

niemu, poznali go... Przechylony na siodle, wyciągnął ręką, rozcapierzył palce.

— Szpada 1 (Ktoś wetknął mu w rękę gardę szpady.) Żołnierze! Honor waszego króla jest tu, na tych zasiekach... Muszą być zdobyte... Zepchnijcie do Narowy brudnych barbarzyńców. (Podniósł szpadę i natychmiast przeciągle zagrała surma, druga i — jeszcze jedna, niewidoczna wśród zamieci.) Żołnierze!... Z wami Bóg i wasz król! Idę na czele... Za mną!

Popędził po skrwawionym śniegu. Z tyłu ryknęły ponure gardziele: — W imię Bożel — Od zasieków padły rzadkie strzały. Karol wybrał sobie jednego: Rosjanin olbrzymiego wzrostu pochyliwszy łeb stał pośrodku wyłomu w zasiekach strzaskanych pociskami... Karol z uśmiechem ściągnął konia, by stanął dęba, Rosjanin z rozjuszoną twarzą wbił bajonet w pierś konia, niby widły. Karol rozplaszczony na końskim grzbiecie, w poślizgu, wyprężył się z całej siły, pograżył szpadę w piersi olbrzyma...

Ale zeskakując z konia zachwiał się... (Dokoła — ryczące usta, szczęk żelaza, chrzęst uderzeń.) Potrącili go — upadł. Ciężki but nastąpił na plecy, wcisnął w śnieg... Natychmiast króla pochwycono, podniesiono, zabrano... Myśli jego zmały się. Karol ocknął się na lawecie działa pod cuchnącym płaszczem. Surmy przeciągle grały odwrót. Zrzuciwszy płaszcz usiadł.

— Przynieście jakie bądź buty, jestem bosy... Buty i konia...

Zmieszane pułki Gołowina i Trubeckiego w obawie, by nie zostały odcięte od przeprawy, dobiegły do brzegu i taką masą zwały się na most, że pontony zanurzyły się — żółte wody Narowy, wzdęte przez wiatr zachodni, jęły chlustać przez poręcze. Tam, w spienionej wodzie, pod śnieżną powłoką płynęły trupy koni i ludzi jazdy Szeremietiewa (poto- nęli podczas przeprawy o pięć wiorst w górze rzeki). Końskie tułowia spływały, gromadziły się przy zapadniętym moście. Z brzegu parli wrzeszczący ludzie. Chwiejny most silniej pochylił się prawą burtą, woda chlusnęła przez wierzch, zatrzeszczały poręcze, konopne liny zaczęły pękać, środkowe pontony pograżyły się całkiem, rozlazły się. Ci, co byli na mo- ście, wpadali do ryczącego nurtu, gdzie wirowały trupy koni i ludzi. Wszczęli krzyk, ale z tyłu nie przestano napierać, całe setki żołnierzy parły do Narowy, dopóki oderwanej połowy mostu nie zniosło do błotnistej brzegu.

Tam, w pobliżu rzeki, stał namiot księcia von Croy — z tyłu za pozycjami pułków Pre- obrażeńskiego i Siemionowskiego. Już trzecią godzinę trwała rozpaczliwa walka w zasiekach na południowej i zachodniej stronie obozu. W tym śnieżnym piekle niepodobna było ani dowodzić, ani wydawać rozkazów... W namiocie siedział przy stole otyły pułkownik Preobrażeńskiego pułku Blumberg, trzymał się za głowę, od czasu do czasu sapął. Naprzeciw niego — nudny Gallart mrugał rzę-

sami w stronę świecy, czekał spokojnie, kiedy trzeba będzie oddać szpadę szwedzkiemu oficerowi — z ukłonem, gardą do przodu.

Do namiotu wszedł książę w ośnieżonej jeleniej szubie na pancerzu — przyłbica podniesiona, wąsy zwisały soplami, wargi trzęsły się...

— Niech diabli wojują z tymi rosyjskimi świniami! — wykrzyknął książę. — Major Cuningham i major Gast zaduszeni w ziemiankach... Kapitan Walbrecht z poderżniętym gardłem leży tu, o dwanaście kroków od namiotu... Car wiedział, co mi podsunął — armia! Hałastra! Kanalie!...

Gallart powstał śpiesznie i odrzucił kobierzec — do namiotu wdarł się śnieżny wiatr. Ryk wielotysięcznego tłumu głużył huki wystrzałów. Książę wypadł z namiotu. W dole widniały zarysy znoszonego ku brzegowi mostu, krzyczeli na nim ludzie. Z prawej strony, tam gdzie częstokół obozu przylegał do rzeki, miały się niezliczone tłumy...

— Centrum przerwane — rzekł Gallart — to pułki Gołowina...

Żołnierze włązili przez częstokół, oddzielne ich gromadki biegły ku namiotowi...

— O, do czarta! — krzyknął książę. — Na koń, panowie! — Ściągał z siebie jelenią szubę, zbroja hamowała ruchy. — Pomóżcie przecie, do czarta!

Książę, Gallart i Blumberg siedli na konie, zjechali w dół ku wodzie i grząskim brzegiem ciężko pocwałowali na zachód, na spotkanie

szwedzkim wystrzałom — poddać się, by w ten sposób uchronić żywot przed rozjuszonym żołnierstwem.

Ściemniło się. Wiatr przycichł, sypał miękki śnieg. Z rzadka trzaskał pojedynczy wystrzał. W rosyjskim obozie było cicho jak na cmentarzu, ani jednego ognika... Jeno w centrum, w zdobytych taborach, pijani szwedzcy grenadierzy ryczeli ochryple pieśni. Płomień palących się beczek oświetlał całun śnieżny zalegający spitych na umór i pozabijanych.

Artamon Gołowin, Trubeckoj, Buturlin, carewicz Imeretyński, Jakub Dołgoruki, dziesięciu pułkowników (pośród nich syn sławnego generała Gordona i syn Franza Leforta), podpułkownicy, majorowie, kapitanowie, porucznicy — osiemdziesięciu dowódców — zebrali się konno i pieszo przy ziemiance, gdzie radzili generałowie. Dopiero co wysłano do króla Karola parlamentariuszów I| księcia Kozłowskiego i majora Peela — ale natknęli się oni na własnych żołnierzy, zostali poznani i zabici.

W ziemiance przy świetle łuczywa Artamon Gołowin mówił:

— Umocnienia przerwane, głównodowodzący uciekł, mosty połamane, tabory artyleryjskie w ręku Szwedów... Jutro bitwy wznović nie możemy. Dopóki w nocy Szwedzi nie widzą naszej klęski, możemy uzyskać honorowe warunki, zachować broń i wojsko... Ty,

Iwanie Iwanowiczu (skłonił się Buturlinowi), idź sam, ojczy, do króla i powiedz mu, że nie chcąc przelewu krwi chrześcijańskiej, pragniemy rozejść się: my wracamy do naszej ziemi, a on również niech wraca do swojej...

— A działa? Oddać? — zachrypił Buturlin.

Nikt na to nie odpowiedział, generałowie spuścili oczy. Pyszemu Gołwinowi twarz skrzywiła się łzawo. Czarny, grubowargi Jakub Dołgoruki rzekł ściągając brwi: ż— Co tu mlec po próżnicy... Najemy się hańby do syta... Poddajemy się na łaskę.

Buturlin szczęknął krzemieniami dwóch pistoletów, wsunął je za pas, nasunął kapelusz na czoło, wyszedł z ziemianki.

— Trębacza!

Oficerowie zbliżyli się do niego.

— Iwanie Iwanowiczu, no co? Poddajemy się?

— Gotowiśmy umrzeć, Iwanie Iwanowiczu... Ale jakże tak ginąć z ręki swoich?...

Karol i generałowie przyjęli Buturlina na folwarku o wiorstę od rosyjskiego obozu. Szwedzi podobnie jak Rosjanie obawiali się dnia jutrzejszego. Podrożywszy się dla honoru, zgodzili się przepuścić na tamtą stronę Narowy całe rosyjskie wojsko z bronią i sztandarami, lecz. bez dział i taborów. Jako rękojmi zażądali, by im przywiedziono na folwark wszystkich generałów i oficerów, a wojsko niech idzie do domu z Bogiem. Buturlin próbował targować się. Karol rzekł do niego z uśmiechem:

— Z miłości do brata mego, cara Piotra, ocalam jego sławnych generałów przed żołnierską zjadłością. W Narwie będzie wam bezpieczniej i sytniej niż z wojskiem...

Trzeba było zgodzić się na wszystko. Pluton kirasjerów popędził klusem po zakładników. Szwedzcy saperzy rozpaliwszy na brzegu ogniska poczęli naprawiać mosty, by jak najprędzej przeprowadzić Rosjan przez rzekę. Pierwsi opuścili obóz siemionowcy i pre- obrażęcy — ze sztandarami i bronią — przeszli przez most wśród warczenia bębnow; wszyscy żołnierze byli rośli, wąsaci, posepni. Rannych nieśli na ramionach. Gdy zaczęła przechodzić dywizja Weidego, szwedzcy kirasjerzy zbliżyli się groźnie, zażądali wydania broni. Żołnierze klnąc rzucali muszkiety. Ostatnie pułki przepędzono po prostu —§ wystrzałami.

O świcie szczątki czterdziestopięciotysięcznej armii rosyjskiej — bosa, głodna, bez dowódców, w nieładzie — ruszyły w powrotną drogę. Bastiony twierdzy Iwangorodu posłały za nimi kilka bomb...

IV

Wieść o narwskim pogromie dopędziła Piotra tego dnia, gdy wjechał do Nowogrodu, do domu wojewody. W otwarte wrota za carską kolaską wpadł na chwiejącym się koniu Paweł Jagużyński, zeskoczył przy ganku i patrzył na cara błyszczącymi oczyma.

- Skąd? — spytał Piotr nachmurzony.
- Stamtąd, panie bombardierze.
- Cóż tam?
- Kontuzja, panie bombardierze...

Piotr szybkim ruchem spuścił nisko głowę. Zbliżył się Mieńczykow rozprostowując nogi — od razu wszystko zrozumiał: o co pytano i jaka była odpowiedź. Wojewoda Ładyżeński, wypukłooki starzec, stał na najniższym stopniu, rozdziawił usta — kłujący wiatr rozrzucał jego rzadkie włosy.

— No... Chodźmy, opowiedz. — Piotr postawił nogę na stopniu i nagle zwrócił się do wojewody, niby z wielkim zdumieniem oglądając nowogrodzkiego wielkorządcę.

— Czy wszystko masz gotowe do obrony?

— Wielki monarcho... Po nocach nie śpię, lecz wciąż myślę, jak by cię ukontentować — wojewoda Ładyżeński padł na kolana, zebrał psimi oczyma, wywrócone powieki drżały. — Jakże tu się bronić? Gród lichy, fosy pozasy- pywane, most na Wołchowie całkiem zgnił... Chłopów nie sposób ściągnąć ze wsi, wszystkie konie pobrane do podwód... Okaż zmiłowanie...

Wojewoda nie mówił, a szlochał czepiając się nóżek miłościwego pana. Piotr strząsnął go z nogi, wbiegł do sieni. Tam pozrywali się z miejsc mnisi, mniszki, popi, starcy w myckach. Jeden, z dzwoniącymi łańcuchami na gołym ciele, wpęził pod ławę... :- Co to za ludzie?

Ćzerńcy i popi zginali tułowie. Surowy. ^{za"}

żywny opat począł mówić wywracając oczy aż pod czoło:

— Wielki monarcho, nie dozwól, by opustoszały klasztory i świątynie Boże. Ukazem twoim polecono, by każdy klasztor dostarczył po dziesięć i więcej podwód i ludzi, o ile można, z żelaznymi łopatami, i pożywienia dla nich. A każda parafia ma dawać podwo- dy i ludzi... Zaiste, wielki władco, jest to ponad ludzkie siły... Żyjemy jeno z jałmużny, z miłosierdzia ludzkiego...

Piotr słuchał trzymając za skobel drzwi; najeżony, spoglądał na kłaniających się mnichów.

iH Czy to suplikanci ze wszystkich klasztorów?

. — Ze wszystkich — żwawo, jednym głosem odpowiedzieli mnisi. — Ze wszystkich, ze wszystkich, łaskawco — zaśpiewały mniszki chóralnymi głosy.

— Daniłycz, postaw wartę, nikogo nie wypuszczać!...

Wszedłszy do jadalni kazał Jagużyńskiemu opowiadać o konfuzji. Nie siadając chodził po niziutkiej gorącej izbie, brał ze stołu kiszony ogórek, żuł, wypytywał gwałtownie. Paweł Jagużyński opowiedział o stracie całej artylerii, o zagładzie tysięcy jeźdźców z konnicy Szeremietiewa, którzy potonęli w Narowie, o zagładzie pięciu tysięcy żołnierzy na rozwalonym moście — ale więcej zostało zabitych w czasie walki — o poddaniu się siedemdziesięciu dziewięciu generałów i ofice

rów (w ich liczbie był ranny Weide), o nieszczęsnym odwróceniu wojska — bez dowódców i taborów (pozostali jeno niżsi oficerowie i podoficerowie, a i to głównie w pułkach gwardii)...

. — Księżę poddał się pierwszy? Cesarski bohater, psubrat! I Blumberg z nim? Aleksaszka, czy możesz to wyrozumieć? Blumberg — brat rodzony — uciekł do Szwedów... Łotr, łotr! (Pestki ogórka leciały z ust Piotra.) Siedemdziesięciu dziewięciu zdrajców! Gołowin, Dołgoruki, Buturlin Wańka, wiedziałem, że głupiec... ale że łotr! Trubeckoj, knur spaśny! Jak się poddali?

— Podjechał do ziemianki kapitan Wran- gel z kirasjerami, nasi oddali mu szpady... ; I nawet ani jeden?...

— Niektórzy płakali...

— Płakali! Bohaterzy! Cóż tamci? Spodziewają się, że ja po takiej konfuzji będę prosił o pokój?

— Prosić teraz o pokój — równa się śmierci — rzekł niezbyt głośno Aleksaszka.

Piotr zatrzymał się przed mikowym okienkiem w głębi niskiego sklepienia, rozkraczył nogi, ścisnął i rozprostowywał palce za plecami.

— Konfuzja — dobra to nauka... Nie szukamy sławy... Rozbiją nas jeszcze dziesięć razy, ale potem to już my zwyciężymy. Da- niłycz... Poruczam ci miasto. Roboty zaczniesz już dziś — kopać rowy, stawiać palisady nie możemy puścić Szwedów dalej niż do No-

wogrodu, choćbyśmy wszyscy mieli polec... Rzeknij jeszcze, by odszukano Browkina i Swiesznikowa i by się stawili nie mieszkając, a nowogrodzcy kupcy, z lepszych — również niech przybędą... Wojewodzie urząd odebrać. (Aleksaszcze na odchodnym:) Każ przepędzić na łeb. (Mieńszykow wyszedł śpiesznie. Piotr do Jagużyńskiego:) A ty idź, zbież ze trzysta podwód, naładuj chlebami i pod wieczór wyjedź z taborom na spotkanie wojska. Zrozumiałeś?

— Wedle rozkazu, panie bombardierze...

— Wołaj mnichów...

Siadł na ławie na wprost drzwi — niezycyliwy, istny Antychryst. Duchowni weszli. I tak już było duszno, teraz — ani odetchnąć.

— Otóż to, orędownicy Boży — rzekł Piotr — rozejdźcie się po klasztorach i parafiach: dziś wszyscy mają wyjść na robotę — do kopania ziemi. (Do opata, • wznoszącego pod kłobukiem gęste brwi U z groźbą:) Zamilcz, ojczy... Mają wyjść z żelaznymi łopatami i kołmi j nie jeno sami nowicjusze, ale wszyscy mnisi stanu anielskiego *, i wszystkie ęiewiasty zakonne, i popi, i diakoni z popowymi i diakonowymi... Popracujcie na chwałę Bożą... Milczcie, powiadam, opacie... Ja jeden pomodłę się za wszystkich, na tę okoliczność namaścił mnie patriarcha konstantynopolitański... Wyślę porucznika do

klasztarów i cerkwi i kogo zastanie bez roboty — piędziesiąt kijów przy słupie na rynku... Ten grzech przyjmę także na siebie. Póki nie będą przekopane rowy i wzniesione palisady, nabożeństwo odprawiane w cerkwiach nie będzie okrom soboru Sofijskie- go... Ruszajcie!...

Ujął za krawędź ławki, wyciągnął szyję — szczecina odrośnięta na okrągłych policzkach, wąsy na sztorc. Och, straszny I Duchowni, stłoczeni tyłkami, leźli we drzwi. Piotr krzyknął:

— Który tam w sieni, zdjąć wartę!

Nalał czarkę wódki i znów począł chodzić. Niedługo potem trzasnęły drzwi od ulicy. W sieni — półgłosem: — Gdzież on jest? Groźny? Och, czasy, czasy...

Weszli: Browkin, Swiesznikow i pięciu nowogrodzkich kupczyków — ci miętosili czapki, mrugali bojaźliwie. Piotr nie pozwolił całować ręki, sam wesoło brał za ramiona, całował w czoło, Browkina — w usta.

«— Witaj, Iwanie Artiemiczu, witaj Aleksy Iwanowiczu! (Do nowogrodzkich:) Witajcie, sławetni... Siadajcie... Widzicie, na stole wódka, przekąski, a gospodarza kazałem przepędzić... Ach, jakże mnie zmartwił ten wojewoda: spodziewałem się, że macie już tu gotowe i rowy, i niedostępne palisady... Żeby choć łopatą ruszyli...

Nalał wszystkim wódki. Nowogrodzcy przy- jawszy czarki zerwali się. Piotr wypił pierw-
394

szy, odchrząknął gruntownie, stuknął pustą czarką.

— Wypiliśmy na dobry początek... (Zaśmiał się.) No cóż, kupcy, słyszeliście? Szwedzki król poturbował nas troszkę... Z początku — to nic... Za bitego dają dwóch nie bitych, czy nie?

Kupcy milczeli. Iwan Artiemicz patrzył na stół, zagryzł wargi, Swiesznikow zmarszczył groźnie brwi i również chował oczy. Nowogrodzcy kupcykowie wzdychali ledwie dosłyszalnie.

— Szwedów można się tu spodziewać do tygodnia. Oddamy Nowogród — oddamy i Moskwę, a wtedy przepadniemy wszyscy.

— Och-ho... — ciężko westchnął Browkin. Twarz czarnobrodego Swiesznikowa zrobiła się żółta jak olej.

— A jak Szwedów zatrzymamy w Nowogrodzie, do lata zbierzemy i wyćwiczymy liczniejsze wojsko niż teraz. Odlejemy dwa razy tyle dział. Działa pod Narwą! A proszę bardzo, bierzcie je, lichota ostatnia! Już takich dział odlewać nie będziemy. Generałowie w niewoli, jestem z tego rad. Starzy dla mnie — niby kule u nóg. Potrzeba generałów młodych, świeżych. Postawimy na nogi całe państwo. Doznaliśmy konfuzji — dobrze! Teraz dopiero zaczynamy wojnę. Dasz na wojnę rubla, Iwanie Artiemiczu, Aleksy Iwanowiczu — za dwa lata dziesięć oddam...

Odrzuciwszy głowę uderzył pięściami w stół.

— Tak czy nie, kupcy?

— Piotrze Aleksiejewiczu — rzekł Swiesznikow — ale skądże brać tego rubla? Czy w skrzyniach mamy pieniądze? Myszy biegają!...

Prawda, och, prawda — jęknęli nowogrodzcy kupcykowie.

Piotr rzucił na nich wzrokiem. (Skurczyli się.) Położył ciężką dłoń na krótkich plecach Iwana Artiemicza.

— A ty co rzekniesz?

— Bóg związał nas jedną linką, Piotrze Aleksiejewiczu, gdzie ty, tam i my.

Grube oblicze Browkina było szczere, poczciwe, Swiesznikow aż zamarł: toć dopiero zmówili się — ścisnąć pieniążki, a nagle Wańka, filut, sam się wyrwał... Piotr wziął go za ramiona, przycisnął spólną twarz do piersi, do miedzianych guzików. ... ■ — Innej odpowiedzi nie spodziewałem się po tobie, Iwanie Artiemiczu... Jesteś mądry, śmiały, nie minie cię nagroda... Kupcy, pieniądze potrzeba niezwłocznie. Przez tydzień musicie Nowogród ufortyfikować i przyjąć dywizję Anikity Riepnina na garnizon.

„...Kopano rowy, i burzono cerkwie... Budowano palisady ze strzelnicami, a palisady z obu stron okładano darnią...

A na robocie byli dragoni i żołnierze, i lu" dzie wszelkiego stanu, i kapłani, i wszelkie stopnie duchowne — płci męskiej i żeńskiej.

— Baszty zaś obsypywano ziemią, na wierzchu kładziono darń — roboty były nasypowe. A wierzchy baszt drewniane i dachy drewniane z murów zerwano wszystkie... A w onczas w żadnej cerkwi parafialnej oprócz soborowej nie odprawiano nabożeństw.

W klasztorze Pieczerskim rozkazano wyjść na robotę podpułkownikowi Szenszynowi. A miłościwy pan, przyszedłszy do klasztoru i nie zastawszy tam Szenszyna, kazał go przy szańcach osiec batogami bez litości i posłać do pułku na prostego żołnierza.

A tamże w Nowogrodzie powieszono naczelnika Aleksego Poskoczyna za to, że brał pieniądze za podwody — po pięć rubli odstępnego, żeby podwody nie wychodziły na robotę..."

V

Na ganku pałacu Preobrażeńskiego oficer warty odpowiadał wszystkim:

— Nikogo nie kazano wpuszczać, odejdźcie...

Na dziedzińcu zebrało się dużo powozów i karet. Grudniowy wiatr zasypywał śnieżną kaszą czarne koleiny. Szumiały osędziały drzewa, na zmurszałych dachach pałacu skrzypiały chorągiewki. Ministrowie i bojarzy siedzieli w karetach i kolasach przez cały dzień od samego rana, W poszóstnej złoconej karocy wtoczył się Mieńszykow, ale i jemu zawrócono dyszle...

Wieczorem około godziny jedenastej przyjechał Romodanowski. Oficer warty zadrżał ujrawszy księcia-cesarza, jak pelzł kołysząc się w niedźwiedziej szubie po wydeptanych ceglach stopni. Puści — złamie carski rozkaz, nie puści — książę-cesarz swoją władzą, nie pytając cara, każe złupić biczem...

Romodanowski wszedł do pałacu; strażę przy drzwiach słysząc ocieżały krok kryły się. Po drodze do sypialni cara przysiadł trzykrotnie. Postukawszy paznokciem, wszedł, pokłonił się wedle starodawnego ceremoniału.

— Po coś tu włożył, wujaszku? — Piotr chodził z fajką wśród dymu, odwrócił się niezadowolony, na pokłon nie odpowiedział. — Rzekłem: nie wpuszczać nikogo.

— No i nie puszczają nikogo, Piotrze Aleksiejewiczu. A mnie jeszcze rodzic twój wpuszczał bez oznajmiania. (Piotr wzruszył ramieniem, gryzł cybuch nie przestając chodzić.) O czymże rozmyślasz przez dzień i noc, Piotrze Aleksiejewiczu? Rodzic twój i matka twoja przykazywali ci słuchać mojej rady. Więc wspólnie pomyślmy... A nuż co wymyślimy.

- Przestań młócić pustą słomę... Przecie wiesz... O czymże...

Fiodor Juriewicz odpowiedział nie od razu, siadł, rozpiął szubę (staremu trudno oddychać w takim zaduchu), otarł barwną chustką oblicze.

— A może przyszedłem nie dla młócenia pustej słomy... Kto wie, kto wie...

Piotr, sam nie słysząc własnego głosu, nagle począł krzyczeć tak głośno, aż szyldwach za ścianą w nie oświetlonej sali tronowej upuścił ze strachu strzelbę:

— Robigrosze w Izbie Burmistrzowskiej zaczęły rozprawiać: „Pokazaliśmy pod Narwą, że wojować ze Szwedem nie możemy... Trzeba zawrzeć pokój...” Nie patrz mi w oczy... A ja z nimi tak oto rozmawiałem... (Złapał Fiodora Juriewicza za kaftan na piersi, potrząsnął.) Płaczą: „Każ nam choćby na szafot, wielki monarcho, ale pieniędzy nie mamy, zbiednieliśmy...” O czym myślę? Trzeba mi pieniędzy! Całą dobę myślę, skąd wziąć. (Puścił go.) He? Wujku?...

— Słucham, Piotrze Aleksiejewiczu, powiem swoje potem.

Piotr zmrużył oczy: — Hm. — Pochodził jeszcze, zezując na księcia-cesarza i — już łagodniejszym głosem:

— Potrzeba miedzi... Za wiele dzwonów — po co tyle dzwonienia, obejdą się bez niego, zdejmujemy dzwony, przetopimy... Pisze mi z Uralu Akinfij Demidow: na wiosnę będzie w gęsiach pięćdziesiąt tysięcy pudów żelaza... Ale pieniądze! Znów ciągnąć z mieszczan i chłopów? Czy dużo wyciągnie? I tak ledwie zipią, a wcześniej niż za rok daniny nie zbierze... A przecie jest złoto i srebro, Jest — leży bez pożytku,.. (Piotr Aleksiejewicz jeszcze nie dopowiedział, a już oczy Fiodorowi Juriewiczowi wylazły jak u raka.) Wiem, wujaszku, co odpowiesz. Dlatego po

ciebie nie posyłał. Ale wezmę te pieniądze;..

— Teraz nie wolno ruszać skarbów klasztornych, Piotrze Aleksiejewiczu...

Piotr krzyknął głosem kogucim: > ~ Czemu?

— Nie pora... Dziś ~ niebezpiecznie... Już ci nawet nie mówię, jakich ludzi ściągają do mnie omal nie co dzień. (Grube palce Fiodora Juriewicza, leżące na kolanie, jęły poruszać się niespokojnie.) Moskiewskie kupiectwo póki co — twoi wierni słudzy. No cóż — przestraszyli się Narwą. Każdy się przestraszy. Pogadają i przestaną, wojna jest dla nich korzystna. I pieniądze dadzą, jeno nie gorączkuj się. A tknij teraz klasztory, ich podporę. Nawiedzeni wrzaskną na wszystkich rynkach, co wczoraj krzyczał z dachu na bazarze Griszka Talicki*. Wiesz? No, właśnie... Do klasztornych skarbów trza się dobierać powoli, bez wrzawy...

— Zwodzisz, wujaszku...

— Stary jestem, po co miałbym zwodzić...

— Ale pieniądze trzeba mi natychmiast — a choćby je zdobyć rozbojem...

— Dużo ci trzeba?

Fiodor Juriewicz zapytał i uśmiechnął się nieznacznie. Piotr znowu;^- Hm! Przebiegł po sypialence, zapalił fajkę od świecy, wypuścił jeden kłęb dymu, potem drugi i wyrzekł twardo:

— Dwa miliony.

— A mniej nie można? ^Natychmiast Piotr usiadł przed nim, jął trząść księcia za kolana.

— Nie dręcz mnie już... Niechże będzie \— tymczasem nie tknę klasztorów... Dobrze! Są pieniądze?

Dużo?

— Zobaczmy jutro...

— Zaraz... Jedźmy...

Fiodor Juriewicz wziął czapkę, podniósł się ociężale.

— Bóg z tobą... Skoro cię już tak przycisnęło... (Pokuśtykał do drzwi jak niedźwiedź.) Jeno nikogo ze sobą nie bierz, sami pojedziemy...

Na Spaskiej Wieży wydzwoniła pierwsza godzina, skórzana karetka księcia-cesarza wjechała do Kremla, pokręciła się po ciemnych, wąskich zaułkach, między starymi budynkami urzędów, i zatrzymała się koło przysadzistego ceglanego domu. Na stopniu niziutkiego ganku stała latarnia — przypadłszy do żelaznych drzwi chrapał człek w kozuchu. Książę-cesarz wysiadł z karety za Piotrem Aleksiejewiczem, podniósł latarnię (łojowa świeca topiła się i kopciała), trącił nogą łapę sterczący spod kozucha. Człek §1 na pół we śnie: — Czego chcesz, czego? — podźwignął się, odwinął brzeg baraniego kozucha, poznał, zerwał się.

Książę-cesarz odsunął go ode drzwi, odemknął zamek własnym kluczem, przepuścił

—t-

r-iuua, wazeui sani x zauu&ixqi zd suuq tu-zwi.

Trzymając wysoko latarnię ruszył kołysząc się ciężko przez zimne i ciepłe sienie do niziutkiej, sklepionej, z poobijanymi ścianami sali Urzędu Spraw Tajemnych, ustanowionego jeszcze przez Aleksego Michajłowicza. Zalaływało tu kurzem, suchą pleśnią, myszami, Dwa zakratowane okieneczka — zasnutę pajęczyną. Uchyłono drzwi, trwożnie wysunęła się starcza głowa wewnętrznego zaufanego, dozorca.

— Kto tu? Co za ludzie?

— Podaj świecę, Mitrycz — rzekł do niego książę-cesarz.

Pod przeciwległą ścianą stały dębowe niziutkie szafy z kutymi zamkami (nie tylko dotykaniem szaf, ale nawet zaciekawienie, jakie tam kryją się w nich sprawy, było wzbronione pod gardłem). Stróż przyniósł świecę w żelaznym świeczniku. Książę-cesarz — wskazując na środkową szafę:

—■ Odsuń od ściany... (Stróż potrząsnął głową.) Ja nakazuję... Ja odpowiadam...

Stróż postawił świecę na podłodze. Napał wątlým ramieniem, szafa nie poruszyła się. Piotr zrzucił śpiesznie kożuszek, czapkę, podsadził się, —■ kark mu poczerwieniał — odsunął. Spod szafy wybiegła mysz. Za szafą w ścianie ukazały się żelazne drzwiczki osnute kłakami pajęczyny z kurzem. Książę-cesarz dobył dwufuntowego klucza, sapiąc: — Mitrycz, poświeć — nic nie widać! — nie- zręcznie wsuwał klucz do dziurki. Przez trzy

dzieści lat zamek zardzewiał, nie poddawał się. — Chyba łomem go czy co — pobiegnij, Mitrycz.

Piotr — oglądając przy świecy: ' — Cóż tam?

— Zobaczysz, synku... Wedle pałacowych ' dokumentów kryją się tam tajne sprawy. Za czasów krymskiej potrzeby księcia Golicyna siostra twoja Zofia przychodziła tu raz w nocy... Ale ja też jakoś nie mogłem otworzyć... (Książę-cesarz uśmiechnął się nieznacznie pod tatarskim wąsem.) Postąpiła sobie Zofia i odeszła.

Stróż przyniósł łom i topór. Piotr począł wyłamywać zamek, złamał toporzysko, skaleczył palec. Zaczął walić ciężkim łomem w krawędź drzwi. Uderzenia rozlegały się donośnie w opustoszałym budynku, zaniepokojony książę-cesarz podszedł do okienka. Udało się wreszcie wsunąć w szparę koniec łomu. Piotr, naciskając z całej siły, wyłamał zamek — żelazne drzwi odchyliły się ze skrzypieniem. Porwał niecierpliwie świecę, wszedł pierwszy do sklepionego lochu bez okien.

Pajęczyna, kurz. Wzdłuż ścian na półkach stały nabijane rozłożyste dzbany z czasów Iwana Groźnego i Borysa Godunowa, włoskie pucharki na wysokich nóżkach; srebrne misy do mycia carskich rąk podczas wielkich posłuchań; dwa srebrne lwy ze złotymi grzywami i zębami z kości słoniowej; stopy złotych talerzy; połamane srebrne kadzielnice; wielki paw ze szczerego złota ze szmaragdo-

wymi oczyma był to jeden z dwóch pawów stojących niegdyś po bokach tronu cesarzy bizantyńskich; mechanizm miał zepsuty. Na dolnych półkach leżały skórzane woreczki, z niektórych poprzez zbutwiałe szwy sypały się holenderskie talary. Pod ławami leżały zwały skór sobolich, aksamity, jedwabie oraz inne rupiecie — wszystko zjedzone przez mole, zbutwiało.

Piotr brał do rąk przedmioty, śliniąc palec tarł: „Złoto!... Srebro!...” Liczył worki z talarami — czterdzieści pięć czy nawet więcej... Brał sobole, lisie ogony, potrząsał.

— Wujaszku, przecie to wszystko zbutwiało.

Zbutwiało, ale nie przepadło, synku... . Czemuś mi wcześniej nie powiedział?

— Dałem słowo... Rodzic twój, Aleksy Michajłowicz, w różnych czasach wyruszając na potrzebę, mnie w zaufaniu oddawał na przechowanie zbywający pieniąż i skarby. Na schyłku żywota rodzic twój przywoławszy mnie zarządził, aby żadnemu z następców tego nie oddawać, chyba że państwo przycisnie ostateczna potrzeba w godzinie wojny...

Piotr trzepnął się po udach.

— Wybawiłeś mnie, wybawiłeś... Starczy mi tego... Mnichy ci podziękują... Paw! — pułk obuć, odziać, uzbroić i wsolić Karolowi jak się patrzy... Ale, wujaszku, co dotyczy dzwonów — nie złość się, dzwonnice obedrę tak czy owak...

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

W Europie pośmiano się i wkrótce zapomniano o carze barbarzyńców, który omal nie nastraszył ludów nadbałtyckich — jego zawzione pułki rozproszyły się niby mara. Karol, wyparłszy je po kłęsce pod Narwą z powrotem do dzikiej Moskwy, gdzie przeznaczono im nadal wegetację w odwiecznej ciemnocie (bowiem znana jest ze słów znakomitych podróżników niska i podła natura Rosjan) — król Karol na krótko stał się bohaterem stolic europejskich. W Amsterdamie na cześć zwycięstwa pod Narwą ozdobiono flagami ratusz i giełdę; w Paryżu w księgarniach wystawiono dwa medale z brązu — na jednym była wyobrażona sława wieńcząca młodego króla szwedzkiego: „Wreszcie słuszna sprawa triumfuje”, na drugim — car Piotr ucieka gubiąc kałmucką czapkę; były austriacki poseł w Moskwie, Ignacy Gwarient, opublikował w Wiedniu zapiski, czyli dziennik swego sekretarza Jana Jerzego Corby, w którym nader żywo opisano śmieszne i nieoświecone urządzenia moskiewskiego państwa, jak również krwawe kaźnie strzelców w dzie-

WXtji-Uiiioiqtyiii uaiiyyiii iulu. IUU yyicucua&uu

dworze mówiono głośno o nowej porażce Rosjan pod Pskowem, o ucieczce Piotra z nieliczną garstką, o powstaniu w Moskwie i uwolnieniu z klasztoru carówny Zofii, która znowu objęła rządy w państwie.

Ale wszystkie te drobne wydarzenia od razu zostały przyćmione przez burzę wojenną, która wreszcie wybuchła. Zmarł król hiszpański, Francja i Austria sięgnęły po jego sukcesję. Wmieszała się Anglia i Holandia. Świetni marszałkowie — John Churchill hrabia Marlborough, książę Eugeniusz Sabaudzki, książę Vendôme ■ — poczęli niszczyć kraje i palić miasta. We Włoszech, w Bawarii, w pięknej Flandrii, po wszystkich drogach snuli się uzbrojeni włóczędzy czyniąc gwałty na spokojnej ludności, grabiąc zapasy żywności i wina. Na Węgrzech i w Cšvennes wybuchły zamieszki. Rozstrzygały się losy wielkich państw: kto, czyja flota ma władać oceanami. Sprawy na wschodzie wypadło zostawić ich własnemu biegowi.

Karol po Narwie chciał w zapale rzucić się w pogoń za Piotrem w głąb Moskwy, ale generałowie błagali go, by nie igrał z losem, po raz drugi. Znużone i pokiereszowane wojsko odprawiono na leże zimowe do Lais w pobliżu Dorpatu. Stamtąd król wystosował || senatu wyniosły list żądając uzupełnienia armii i pieniędzy. W Sztokholmie ci, co nie chcieli wojny, umilkli. Senat uchwalił nowe podatki i z wiosną posłał do Lais dwadzieścia

tysięcy piechoty i jazdy. Opublikowano książkę w języku łacińskim .V-, „O przyczynach wojny Szwecji z carem moskiewskim" — europejskie dwory przeczytały ją z zadowoleniem.

Teraz Karol miał jedną z najsilniejszych armii w Europie. Wypadło rozstrzygnąć, w którą stronę skierować uderzenie: na wschód, na pustynną Moskwę, gdzie nieliczne i nędzne miasta obiecywały mało zdobyczy i sławy, czy na południowy zachód przeciw wiarołomnemu Augustowi, w głąb Polski, do Saksonii, w samo serce Europy? Tam już grzmiały działa wielkich marszałków. Przecucie sławy drugiego Cezara zawróciło Karolowi w głowie. Jego gwardziści, potomkowie rozbójników morskich, roili o wspaniałych jedwabiach Florencji, o złocie w podziemiach Eskurialu *, o jasnowłosych kobietach Flandrii, o oberżach na skrzyżowaniach bawarskich dróg.

Gdy skończyły się roztopy, Karol wydzielił ośmiotysięczny korpus pod dowództwem Schlippenbacha, nakazując mu posuwać się ku rosyjskiej granicy, sam z całą armią przeszedł forsownymi marszami Inflanty; o dwie wiorsty powyżej Rygi w oczach wroga przeprawił się na barkach przez Dźwinę i pobił na głowę saskie wojska króla Augusta. . W bitwie tej, ósmego lipca, został raniony

Johan Reinhold Patkul} ledwie uszedł konno przed królewskimi kirasjerami, unikając tym razem niewoli i kaźni.

Pod Rygą zostali rozgromieni nie jacyś tam zawszeni Rosjanie, ale słynni na całą Europę sascy żołnierze. Zdawało się, że u ramion rozpostarły się skrzydła Sławy. „Król Karol nie myśli o niczym innym, jeno o wojnie... (Tak pisał o nim do Sztokholmu generał Stein- bock.) Wcale nie słucha rozsądnych rad., Przemawia, jakby sam Bóg bezpośrednio podsuwał mu dalsze zamysły. Jest pełen zarozumiałości i nierozsądku. Myślę, że jeśli pozostanie mu tysiąc ludzi, rzuci się z nimi na całą armię. Nawet nie zatroszczy się, czym żywią się jego żołnierze. Gdy kogoś z naszych zabiją, już go więcej nie obchodzi...”

Spod Rygi Karol podążył w pogoń za Augustem. W Polsce wszczęły się krwawe niesnaski między panami: jedni byli za Augustem i przeciwko Szwedom, drudzy wołali, że jeno Szwedzi mogą przywrócić porządek i do- pomóc do odzyskania prawobrzeżnej Ukrainy z Kijowem i że Polsce potrzebny jest nowy król (Stanisław Leszczyński). August uciekł z Warszawy. Karol wszedł do stolicy bez walki. W Krakowie August zbierał po- śpiesznie nowe wojsko...

Zaczęło się rzadkie polowanie — króla za królem. Na europejskich dworach znowu oklaskiwano młodego bohatera, imię jego wymawiano obok imion księcia Sabaudzkiego i Marlborougha. Powiadano, że Karol nie po- zwala zbliżyć się do siebie żadnej kobiecie, że śpi nawet w botfortach, że na początku bitwy ukazuje się przed wojskiem — konno, bez kapelusza, w niezmiennym szarozielonym kaftanie zapiętym pod szyję — i w imię Boże rzuca się pierwszy na wroga porywając za sobą wojsko... Rozprawę na posępnym Wschodzie z carem Piotrem pozostawił trosce generała Schlippenbacha.

Piotr spędził całą zimę między Moskwą, Nowogrodem i Woroneżem (gdzie prowadzono wyteżoną budowę okrętów dla floty czarnomorskiej). Do Moskwy zwieziono dziewięćdziesiąt tysięcy pudów miedzi z dzwonów. Naczelnikiem robót przy odlewaniu nowej artylerii został mianowany znawca hutnictwa, stary diak Dumy Winius. Przy ludwisarni w Moskwie założył szkołę, gdzie dwustu pięćdziesięciu synów bojarskich, mieszczańskich tudzież młodzieńców podłego rodu, ale rozgarniętych, uczyło się odlewnictwa, matematyki, fortyfikacji i historii. Zabrakło czerwonej miedzi do zmieszania z dzwonową — Piotr posłał Winiusa na Syberię — szukać rudy. Andrzej Artamonowicz Matwiejew (syn zabitego na Czerwonym Ganku bojara Matwiejewa) zakupił w Liege piętnaście tysięcy nowiutkich muszkietów, działa szybkostrzelne, perspektywy, strusie pióra do oficerskich kapeluszy. W Moskwie pracowało pięć manufaktur sukna i płótna — w całej Europie werbowano majstrów za dobre pieniądze. Żołnierzy ćwiczano od świtu do zmierzchu.

Najtrudniej było z oficerami: musieli żołnierzy uczyć i sami się uczyć; dadzą człękowi rangę — a ów albo zgłupieje od władzy, albo rozpuści się, rozpije...

Wówczas, w dwa tygodnie po narwskiej klęsce, Piotr napisał do Borysa Pietrowicza Szeremietiewa, zbierającego w Nowogrodzie rozproszone resztki pułków jezdnych (ten bez konia, tamten bez szabli, inny jeszcze — ogołocony doszczętnie):

„...Nie uchodzi w nieszczęściu tracić wszystko... Dlatego rozkazuję, byś nadal trwał przy powierzonej ci rozpoczętej sprawie, to znaczy nad jazdą, z którą masz strzec pobliskich miejsc aż do późniejszych czasów i posuwać się dalej, szkodząc nieprzyjacielowi ile możności. Nie masz się czym wymawiać: jako że ludzi pod dostatkiem, a rzeki i bagna przy- marzły. Napominam jeszcze, nie daj nikomu wymawiać się niczym, osobliwie chorobą... Wielu między zbiegami pochorowało się, których kompan, major Łobanow, powieszon za taką chorobę...”

Ale szlachecka jazda nieregularna była niepewna — na jej miejsce werbowano ludzi wszelkiego stanu: chłopów^ nawet pańszczyźnianych — na ochotnika, za jedenaście rubli na rok z wyżywieniem — do dziesięciu pułków dragońskich. Od pańszczyzny i chłopskiej niewoli tylu ludzi pchało się do służby konnej, że wypadło brać jeno najzdrowszych i najokazalszych. Wyćwiczone sotnie dragonów odchodziły do Nowogrodu, gdzie generał

Anikita Riepnin porządkował i musztrował dywizje, które były pod Narwą.

Na nowy rok umocniono Nowogród, Psków i klasztor Pieczerski. Na północy obwarowano Chołmogory i Archangielsk, a o piętnaście wiorst od niego, przy ujściu berezowskim, pośpiesznie budowano kamienną twierdzę Nowo-Dwińsk. Latem przyплыnęło do Archangielska na czerwcowy jarmark wiele okrętów handlowych z Anglii i Holandii. (W tym roku wzięto do skarbu dla handlu z cudzoziemcami nowe, w porównaniu z poprzednimi laty, towary: żywinę morską, klej rybi, dziegieć, potaż i wosk... Carscy kupcy brali wszystko do skarbu, prywatnym kupcom pozostawał handel chyba skórzanymi wyrobami i rzeźbioną kością.) Dwunastego czerwca do ujścia północnej Dwiny wdarła się szwedzka flota wojenna. Ujrzawszy świeżo wznoszoną twierdzę nie ośmieliła się jej zlekceważyć — przejść obok do Archangielska, rozpoczęła ogień na forty Nowo-Dwińska ze wszystkich burt. Podczas dywersji jedna z czterech szwedzkich fregat osiadła na mieliźnie przed samą twierdzą, po niej osiadł jacht. Rosjanie rzucili się do czółen i po walce opanowali fregatę i jacht, pozostałe statki niesławnie odpłynęły na Morze Białe.

Przez lato odbywały się utarczki przednich straży Szeremietiewa i Schlippenbacha. Szwedzi podeszli do klasztoru Pieczerskiego, ale spalili jeno okoliczne wsie, twierdzy nie zdobyli. Zaniepokojony Schlippenbach pisał do

Karola prosząc o jeszcze osiem tysięcy wojska; Rosjanie z każdym miesiącem stają się coraz zuchwalsi; widać po narwskim pogromie, wbrew oczekiwaniu, szybko przyszli do siebie i nawet zrobili postępy w sztuce wojennej i uzbrojeniu, teraz ani myśleć o rozbiciu rosyjskich wojsk dwiema brygadami. W tym czasie Karol zdobył Kraków i pędził Augusta do Saksonii — pzbostawał głuchy na głos rozsądku...

Tak stały sprawy do grudnia tysiąc siedemset pierwszego roku.

Podczas głębokiej zimy Borys Pietrowicz Szeremietiew dowiedział się od języka, że generał Schlippenbach stanął na leżach zimowych na folwarku Erestver pod Dorpatem. Dowiedziawszy się o tym, sam przeraził się zuchwałą myślą: wtargnąć niespodzianie w głąb nieprzyjacielskiej ziemi i zaskoczyć wroga zniecka, podczas odpoczynku. Rzadka okazja. Dawnymi czasy, oczywiście, Borys Pietrowicz wolałby nie kusić niepewnej fortuny, ale w tym roku przy Piotrze Aleksiejewiczu zrobiło się ciężko: nikomu nie dawał ani spokoju, ani odpoczynku, poczytywał za winę nie tylko to, coś zrobił, ale to również, co mógłbyś zrobić dobrego, a nie zrobiłeś...

Trzeba było spróbować szczęścia. Borys Pietrowicz odział w kozuszki i walonki dziesięć tysięcy nowozaciężnego, świeżo wymusz- trowanego żołnierza i z piętnastu lekkimi działami na saniach szybko, ale z wielkimi ostrożnościami, wysyłając naprzód lekkie pułki jezdne Czerkiesów, Kałmuków i Tatarów, w ciągu trzech dni doszedł do Erestveru. Szwedzi zbyt późno dostrzegli na wysokim ośnieżonym brzegu rzeki Aa uszatyh jeźdźców z łukami i końskimi ogonami na spisach. Podpułkownik Lieven wyruszył na rzekę z dwiema rotami i działem. Na przeciwległym brzegu skońnoocy barbarzyńcy podnieśli wygięte łuki, wypuścili chmurę strzał, rozległo się potężniejące, niby wilcze, wycie; po spadzistych zaspach śnieżnych pomknęli w dół poprzez rzeczkę z prawej i z lewej strony pa- siaci Tatarzy z krzywymi szablami, Czerkiesi w granatowych żupanach, z dzidami i arkanami, od czoła wpadli z wyciem Kałmucy — trzystu estońskich strzelców Lievena wraz z podpułkownikiem zostało zrąbanych, skłutych, obdartych do bielizny.

W szwedzkim obozie powstał popłoch. Nowy oddział z sześciu działami odrzucił od rzeki konny podjazd. Schlippenbach przebiegał z trębaczami obóz, Szwedzi wypadli z izb i ziemianek, w czym kto był, biegli przez głęboki śnieg do swych oddziałów. Całe wojsko uszykowało się przed folwarkiem, witając ogniem artyleryjskim zbliżającą się armię rosyjską. Borys Pietrowicz w samym jeno sukiennym kaftanie, z trójbarwną szarfą przez ramię, jechał konno w środku czworoboku.

Ogień szwedzki zmieszał pierwsze sotnie dragonów, którzy jeszcze nigdy nie wączali prochu. Szwedzi posunęli się naprzód. Lecz piętnaście lekkich dział, podwiezionych na

saniach, rozpoczęło taki ogień z szybkostrzelnych kartaczownic, że Szwedzi zdumieli się, ich szeregi zatrzymały się w mieszanin. Z flanków mknęły na nich oprzytomniałe pułki dragońskie Kropatowa, Zybina i Gulicy.— Bracia! — krzychał wyteżonym głosem w środku czworoboku Szeremietiew. — Bracia! Uderzcie mocno na Szweda!... — Rosjanie z przyśrubowanymi bajonetami ruszyli naprzód. Zapadał szybki zmierzch, rozjaśniony wybuchami strzałów. Schlippenbach nakazał odwrót pod osłonę zabudowań folwarcznych. Ale zaledwie surmy zaśpiewały smutnie na odwrót, dragoni, Tatarzy, Kałmucy, Czerkiesi ze wzmożoną zajadłością natarli na cofające się, najeżone czworoboki Szwedów, rozdarli je, ębalili. Zaczęła się rzeź... W ciemności generał Schlippenbach ledwie zdołał ująć konno samoczwart do Rewia.

W Moskwie z powodu pierwszego zwycięstwa palono ognie galowe i fajerwerki. Na placu Czerwonym wystawiono beczki z wódką i piwem, na ogniskach pieczono całe barany, ludowi rozdawano kołacze. Z Wieży Spaskiej zwisały szwedzkie sztandary. Mieńczykow pognął do Nowogrodu, by Borysowi Pietrowiczowi wręczyć carską persone, czyli portret osypany diamentami, i nie znaną dotychczas godność generała-feldmarszałka. Wszystkim żołnierzom, uczestnikom zwycięstwa, wydano po srebrnym rublu (wybito je po raz pierwszy w moskiewskiej mennicy zamiast dawniejszych monet).

Borys Pietrowicz dziękował ze łzami i przez Mieńczykowa posłał do Piotra pismo prosząc, by pozwolił mu udać się do Moskwy w sprawach nie cierpiących zwłoki. „Żona moja po dziś dzień mieszka w cudzej oficynie, trza by jej znaleźć jaki taki domek, gdzie by mogła skłonić głowę...” Piotr odpowiedział: „Panie feldmarszałku, w Moskwie nic po was. Atoli zdaję to na waszą rozwałę. A jeśli nawet odwiedzić Moskwę — to tak, by przyjechawszy w Wielki Tydzień, przed Przewodnią Niedziłą wracać z powrotem”.

Po sześciu miesiącach Borys Pietrowicz znowu starł się z generałem Schlippenbachem pod Hummelshofem; w tej krwawej bitwie z siedmiu tysięcy Szwedzi stracili pięć i pół tysiąca zabitych. Nie było już komu bronić Inflant — droga do nadmorskich miast stała otworem. I Szeremietiew jął pustoszyć kraj, miasta, wsie i starodawne zamki rycerzy... Na jesieni pisał do Piotra:

„...Bóg Wszchemogący i Przenajświętsza Bogurodzica spełnili Twe pragnienie: już nic nie ma do niszczenia na nieprzyjacielskiej ziemi, wszystkośmy zburzyli i opustoszyli, pozostały całe jeno Marienburg, Narwa, a jeszcze Rewel i Ryga. Przybył mi kłopot: gdzie podziać jasyr. Pełno Czuchonców i w obozach, i w więzieniach, i u naczelników — wszędzie... A jeszcze i niebezpiecznie, boć to lud nader zawzięty... Rozkaż wydać ukaz: przebrać zdatniejszych Czuchonców umięjących władać toporem i znających się na kun-

sztach i odesłać do Woroneża albo do Azowa na roboty..."

II

Dwunasty dzień słano bomby do starej twierdzy Marienburg. Znikąd nie można było do niej podejść — stała na niewielkiej wysepce (na jeziorze Pejpus), mury wyrastały prosto z wody, od bramy zamkniętej na okazywały zamek wiódł drewniany, stusążniowy most, teraz rozwalony przez samych Szwedów.

W twierdzy znajdowały się spore zapasy żyta. Rosjanom, wygłodzonym w spustoszonych Inflantach, zapasy te bardzo by się zdały. Borys Pietrowicz kazał skrzyknąć ochotników, wyszedł do nich i rzekł tak: — W twierdzy jest wódka i baby — postarajcie się, chłopcy, pozwolę wam hulać przez całą dobę. — Żołnierze żwawo rozebrali kilka bierwionowych chat w nadbrzeżnej osadzie, zbili tratwy i w tysiąc ochotników, odpychając się żerdziami, popłynęli ku murom twierdzy. Szwedzkie bomby pękały między tratwami.

Borys Pietrowicz wyszedłszy na ganek chatki patrzył przez perspektywę. Szwedzi zawzięci, rozjuszeni — jeśli odeprą? Obiegać — och, jak się nie chciało — użerać się tu do późnej jesieni. Nagle ujrzał: w pobliżu bramy z ziemi wydarł się wielki płomień, na baszcie zakołysała się bierwionowa nadbu-

416

dówka. Część muru runęła. Tratwy zbliżały się do wylomu. Wówczas z okna zamkowego wysunęła się i zwiśla biała płachta. Borys Pietrowicz zsunął składaną perspektywę, zdjął kapelusz, przeżegnał się.

Po palach rozbitego mostu mieszkańcy twierdzy zaczęli jakoś przeprowiać się na brzeg. Dźwigali na rękach dzieci, tłumoki, kosze. Kobiety z płaczem oglądały się na porzucone domostwa, patrzyły z przerażeniem na Rosjan upatrujących zdobyczy. Lecz zaledwie ostatni uchodźcy opuścili twierdzę, gdy kuta brama zatrzasnęła się z grzmotem, z niskich strzelnic wyleciały dymki; pierwszy padł porucznik, który przepłynął czółnem zatknąć na twierdzy rosyjski sztandar. W odpowiedzi z brzegu uderzyły moździerze. Ludzie na moście miotali się roniąc do wody węzełki i kosze. Ogromny płomień podrzucił do góry dachy zamku, wybuch wstrząsnął jeziorem, spadające głązy jeły ranić ludzi. Pożar objął twierdzę i skały. Okazało się, iż chorąży Wulf i sztykjunkier Gottschlich wbiegli w bezsilnej wściekłości do prochowni i zapalili lont. Wulf nie zdołał ująć przed wybuchem. Sztykjunkier, poparzony i okrwawiony, ukazał się w wylomie ściany, runął do wody, zabrano go do czółna.

Komendant twierdzy z oficerami wszedłszy do izby, gdzie siedział godnie — plecami do

okna — przy nakrytym do obiadu stole generał-feldmarszałek Szeremietiew, zdjął kapelusz, skłonił się dwornie i podał szpadę. To samo uczynili oficerowie. Borys Pietrowicz, rzuciwszy szpadę na ławę, począł gniewnie krzyżeć na Szwedów — czemu nie poddali się wcześniej, sprawili tyle ciężkich krzywd i śmierci, podstępnie wysadzili twierdzę... W izbie stali obrońcy szczecina, ogorzali, gotowi na wszystko pułkownicy kawalerii — spoglądali złym okiem. A przecie komendant odpowiedział mężnie generał-feldmarszałkowi:

— Mamy między sobą dużo kobiet i dzieci jak również superintendenta, wielebnego pastora Ernesta Gliicka z żoną i córkami... Proszę przepuścić ich wolno, nie oddawać żołnierzom... Kobiety i dzieci nie przyczynią ci honoru...

— O niczym nie chcę wiedzieć! — krzyknął Borys Pietrowicz. Jego miękkie, wygolone oblicze, raczej domatora niż wojownika, spotniało z gniewu. Wstał od stołu wciągając brzuch. — Pana komendanta i panów oficerów wziąć pod straż.

Poprawił trójbarwną szarfę, narzucił wojowniczo krótki płaszcz z malinowego sukna, wyszedł do wojska w towarzystwie pułkowników.

Z twierdzy walił czarny dym przesłaniając słońce. Na brzegu stało około trzystu osowiałych jeńców szwedzkich. Rosyjscy żołnierze nie wiedząc jeszcze, co każą zrobić z jeńcami,

przechadzali się obok zawziętych chłopów niemieckich, którzy przed dwoma tygodniami uciekali do Marienburga chroniąc się przed najściem — zagadywali niewiasty, które siedząc na tobołkach, głowy rozpaczliwie pochylały na kolana. Zagrała surma. Generał-feldmarszałek szedł poważnie, dzwoniąc długimi gwiaździstymi ostrogami.

Spoza gromadki spieszonych dragonów spojrzęły nań czyjeś oczy, sparzyły serce niby dwa ogniki... Czas wojenny, niewieście oko bywa niekiedy ostrzejsze niż klinga. Borys Pietrowicz zakaszał godnie: — Hm! — i odwrócił się. Za pokrytymi kurzem żołnierskimi kaftanami — niebieska spódnica... Zasepił się, wysunął szczękę i — dojrzał te oczy: ciemne, błyszczące łzami, prośbą i młodością... Spoza żołnierskich ramion patrzyła na feldmarszałka wspiąwszy się na palce dziewczyna lat siedemnastu. Wąsaty dragon narzucił jej na sukienkę zmiętą opończę żołnierską (sierpniowy dzień był chłodny) i teraz usiłował zasłonić ją ramieniem przed feldmarszałkiem. W milczeniu wyciągała szyję, jej udręczona strachem, świeża twarz siliła się na uśmiech, wargi krzywiły się. — Hm — Borys Pietrowicz odchrząknął jeszcze raz, przeszedł obok do jeńców...

O zmierzchu, odpocząwszy po obiedzie, Borys Pietrowicz siedział na ławce, wzdychał. W izbie był z nim jeno sam Jagużyński — skrobał piórem na rogu stołu.

- Uważaj, zepsujesz sobie oczy — rzekł cicho Borys Pietrowicz.
- Kończą, panie feldmarszałku...
- Ano, jeśli kończysz, to kończ... (I — już całkiem do siebie:) Tak to z nami, ludźmi. No, no... Ach, Boże drogi...

Leciutko postukiwał po stole zaciśniętą dłonią, patrzył w mętne okienko. Na jeziorze, w twierdzy, błyskał jeszcze płomień. Jagu- żyński zerkał z ukosa na pana feldmarszałka wesoło, kpiąco: patrzcie, jak go przyparło, kark nabrzmiały, twarz zmieszana.

— Odniesiesz rozkaz pułkownikowi — rzekł Borys Pietrowicz — no i zajdź chyba do drugiego pułku dragonów... Odszukaj tego, jak mu tam, Oskę Diemina, uriadnika. Ma on tam w taborze — pewną niewiastę... Szkoda, zmarnuje się — dragoni ją zatłamszą... Przeprowadź ją tu... Poczekaj. A dla Ośki masz, daj mu rubla — powiedz, że mu daruję...

— Wszystko wykonam, panie feldmarszałku...

Borys Pietrowicz zostawszy sam w izbie chrząkał, kiwał głową. Nie ma rady: jakbyś się, człeku, starał, bez grzechu nie wyżyjesz... W dziewięćdziesiątym siódmym roku jeździł do Neapolu. Wpiła mu się w serce czarnula. Rób, co chcesz... Na Wezuwiusz się wdrapywał, patrzył na ogień piekielny, a na wyspie Capri łąził na straszne skały, oglądał bożnice pogańskich bogów rzymskich, pilnie zwiedzał klasztory katolickie, oglądał i dotykał rękę

ma: deskę, na której siedział Pan Jezus myjąc uczniom nogi, i cząstkę chleba z Ostatniej Wieczerzy, i drewniany krzyż — w nim część Chrystusowego pępka i obrzezka, i jeden Chrystusowy trzewik — zmurszały, i głowę proroka Zachariasza — ojca Jana Chrzciciela, i wiele rzeczy nader dziwnych i niepojętych. A przecie wszystko to przesłoniła by- strooka Giulka, tańczyła z bębenkiem, śpiewała pieśni... Chciał ją zabrać do Moskwy, włożył się u nóg dziewczusze... Boże drogi! Ach! Boże...

Jagużyński zakrzętnął się duchem jak zawsze — leciutko wepchnął do izby ową dziewczynę w niebieskiej odzieży, w białych czystych pończochach, pierś przepasana na krzyż chustą, w kędzierzawych ciemnych włosach — słoma (widać, że już w taborach zabierali się do tarzania jej pod wozami)... Dziewczyna przy progu padła na kolana, pochyliła nisko głowę wyrażając pokorę i błaganie...

Jagużyński chrząknął rześko, wyszedł. Borys Pietrowicz przez czas pewien przyglądał się dziewczynie. Hoża, widać — zgrabna, szyja, ręce — delikatne, białe... Wielce przylepna. Przemówił do niej po niemiecku:

— Jak zowią?

Dziewczyna lekko, krótko westchnęła:

— Helene Catherine...

— Katarzyna... Dobrze... Kto twój ojciec?

— Sierota... Byłam na służbie u pastora Ernesta Glucka...

— Na służbie... Bardzo dobrze! Umiesz pracować?

• — Umiem pracć... Dużo umiem... Dzieci doglądać...

— Widzisz... Nie ma mi kto pracć bielizny... No a jak tam — panna?

Katarzyna chlipnęła i — nie podnosząc głowy:

— Już nie... Niedawno wyszłam za mąż...

— A-a-a... za kogo?

Kirasjer królewski Johann Raabe...

Borys Pietrowicz zasępił się. Zapytał nieprzychylnie o kirasjera: gdzież on teraz — czy między jeńcami? Może zabity?

— Widziałam, jak Johann z dwoma żołnierzami rzucił się w pław przez jezioro... Już go więcej nie widziałam.

— Nie trzeba płakać, Katarzyno... Jesteś młoda... Znajdziesz innego... Chcesz jeść?

— Bardzo — odpowiedziała cienkim głosem, podniosła zmierzniałą twarz i znów uśmiechnęła się pokornie, ufnie. Borys Pietrowicz podszedł do niej, wziął za ramiona, pocałował w ciepłe włosy. I ramiona miała ciepłe, delikatne...

— Siądź przy stole. Pozywimy cię. Krzywdy nie zrobimy. Pijesz wódkę?

— Nie wiem...

— To znaczy: pijesz...

Borys Pietrowicz przywołał ordynansa, ostro (by żołnierz nie pomyślał czegoś niepotrzebnego, Boże uchowaj — nie uśmiechnął się), kazał podawać wieczerzę. A sam przy wieczerzy nie tyle jadł, ile spoglądał na Katarzynę — patrzcie, jaka wygłodniała. Je po

rzładnie, zręcznie — spojrzy na Borysa Pietrowicza wilgotnymi oczyma, z wdzięcznością odsłoni białe ząbki.

Od jedzenia i wódki po- różowiały jej policzki...

— Przyodziewek ci się chyba spalił?...

— Wszystko przepadło — rzekła beztrosko.

— Nic nie szkodzi, zdobędziemy... Za jaki tydzień pojedziemy do Nowogrodu, będzie ci tam lepiej... Dziś — jak to w pochodzie — prześpimy się na piecu...

Katarzyna spojrzała na niego spod rzęs mrocznie, spąsowiała, odwróciła twarz, zasłoniła ręką...

— Patrzcie ją, jaka... Katarzyna, niewiasta. — Strach, jak się podobała Borysowi Pietrowiczowi ta pokojówka... Przechylił się przez stół, wziął ją za kiść ręki. Ona wciąż się zasłaniała, przez palce cudnie błyskało jej oko.

— No, no, no, nie zapiszemy w niewolę, nie bój się... Będziesz przebywać na pokojach... Już dawno trzeba mi gospodyni...

III

Gdy rozbite pod Narwą wojska wracały do Nowogrodu, wiołu żołnierzy zbiegło — i jedni na północ do wsi raskolniczych, inni na wielkie rzeki — na Don, na Wołgę, na niż Dniepru... Zbiegł i Fied'ka Umyj-się-Błotem, ponury chłop, co z niejednego pieca chleb jadał. (I tak nie uratowałby głowy za zabicie po

ruczniaka Mirbacha.) Namówił do ucieczki Andriuszkę Golikowa — przecież razem ciągnęły kiedyś szleje na Szeksnie, długo jedli z jednego kotła. Zaś Andriusze po narwskiej grozie było wszystko jedno, dokąd pójść, byle nie znowu pod muszkiet...

W nocy uprowadzili z postoju klacz pułkową, sprzedali ją do klasztoru za pięćdziesiąt kopiejek, podzielili się pieniędzmi, zawinęli je w szmaty. Poszli w bok od głównego traktu, od wsi do wsi, tu zebrząc, ówdzie kradnąc: popu porwali kurczaka, w Ostaszkowie wykradli z domu burmistrza ozdobną uzdę i siodło, sprzedali karczmarzowi. Dwa razy udało się im oderwać skarbonkę cerkiewną, ale jedna była pusta, a w drugiej — kopiejka na dnie.

■• Zimę spędzili na Wałdaju w zasypanych śniegiem kurnych chatach, z dzieciskami zczadziały od dymu, z niemowlętami w kołyskach — wtórującymi krzykiem wyciu wiatru... Andriuszka Golikow często budził się wśród nocy, siadał trzymając się za gołe stopy. Obok, na śmierdzącej słomie, w kącie przeżuwa cielę. Chłop chrapie na ławie. Pod kominem śpi na polepie baba, zgiąwszy kolana. Przez sen mamrocą na piecu zaczadziały dzieci. Karakony gryzą niemowlę w końce palców i policzki. Niemowlę w kołysce — ua-a-a, ua-a-a... Nie wiadomo, po co się urodziło, czemu gryzą je karakony...

— Czemu nie śpisz, Andrzeju? — pyta Fied'ka (sam też nie śpi, myśli).

— Chodźmy, Fiedia...

— Głupi, gdzie to pójdziemy w nocy, w zamieć...

— Ckliwo, Fiedia...

— Smrodzisko tu, ciężko oddychać. Żyją gorzej od bydła. O, jak ten chłop chrapie. Wychrapie się, wypije dzban wody i weźmie się do roboty, jak koń — cały dzień... Pytałem się niedawno — cała wieś na pańszczyźnie. Młody szlachcic poszedł z wojskiem, a stary tu mieszka we wsi, ma za parowem porządny dwór. Stary — sknera, męczydusza. Obdziera chłopów do ostatka, zostaje im jeno lebioda. A wszyscy jego chłopci — głupi. Który mądrzejszy, śmielszy, on go zaraz na wóz, wiezie do Wałdaju i sprzedaje takiego chłopca na targu, prosto z woza — sam. Wszystkich mądrych wyzbył się, ma życie spokojniejsze. Tu i dzieci rodzą się głupie, niemow...

Andriuszka siedzi ściskając gołe, zimne stopy, kołysze się. Na dziesięciu starczyłoby tego, co Andriuszka przecierpiał przez te swoje dwadzieścia cztery lata. Twardy... A żyje nie samym tylko wątłym ciałem, lecz nieugaszonym pragnieniem wyjścia z mroku... Jakby laź obdarty, głodny przez matecznik, przez straszną puszcę — rok po roku, wiorsta po wiorście — wierząc, że jest gdzieś jasna kraina, do której przecie zdoła dotrzeć, przedrze się przez życie. Gdzie ta kraina, jakaż ona?

Ot i teraz, nie bardzo słuchając tego, co mówi Fied'ka obok na słomie, Andrzej wlepił

1111;

oczy w ciemność... Ni lo przypomina nobla, ni lo marzy; zielony pagórek, brzoza —■ drży wszystkimi gałązkami, wszystkimi listeczkami* ml, trzopoczo się na ciepłym wietrze... Och, co za radość. I Już jej nio ma... Zjawia się twarz nigdy nio widziana, zbliża się — jeit tuż, otwiera oczy, patrzy na Andriuszkę żywiej niż namo życie,,. Gdyby miał teraz da* «kq, pędzel, farby — wymalowałby Uśmiechnęła się, odpłynęła... Marzy mu się miasto w niebieski oj mgle... Przedziwne, przucudno, och, co za miasto! Gdzie szukać tego miasta, gdzie szukać drżącej brzozy, uśmiechniętej cudnie twarzy?

— Jutro hajda prosto do dworu, nażoiny bojarzynowi, aż się będzło kurzyło, to mozo nakarmią w czeladnej — chrypie Pied'ka.

W bogatych dworach zawsze wszczynał opowiadania o klęsce pod Narwą, plótl, co było i czego nio było, a osobliwie doprowadzał słuchaczy do łez (zdarzało się, że i sam dziedzic zajdzie z nudów do czeladnej i zafrasuje się podparłszy policzek) — doprowa* dzał do łoz opowiadaniem, Jak to król Karoli wytraciwszy niezliczone tysiące wojaków pra* WON łownych, przejeżdżał przez pdle bitwy...

— ...Na twarzy Jasny, w lowej rączce — ostra szabla, cały w złocie, nim siwy, gorący, aż po Juszo, konia prowadzę zfl gonorałowie... I najożdzn oczywista, leżę, w piartti mnie Szwedzi Jak rozrzu-berło, w prawoj — srebrze, koń pod brzuch w ludzkiej uzdę dwaj mężni król na mnie... Ja mam kulę... Obok

eona wory —■ pozabijani, Najechał na mnie król, zatrzymał się I pyta generałów: „Co tu za człowiek loży?” Generałowie odpowiadają: „To loży odważny żołnierz rosyjski, walczył za prawosławną wiarą, sarn Jedoń zabił dwunastu naszych grenadierów”, Król im odpowiada: „Mężna śmierć”, A na to generałowie: „Nie, on żyje, ma kulę w piersi”. Podnoszą mnie, Ja wstaję, biorę muszkiet I prezentuję broń, jak przystało przed królem, A on powiada „Zuch” —• wyjmuję z kłoszeni czerwony złoty. „Naści — powiada mężny żołnierz rosyjski, idź spokojnie do swej ojczyzny I rzeknij Roajanom: z Bogiem nie zadzierajcie, z bogatym się nio prawujeło, zo Szwedom nie wojujcie...”

Po takim opowiadaniu boz ochyby pozostawiano Fiod'kę, a z nim Andrluszkę w czeladnej na nocleg I karmiono ich, Ale dostać się do bogatego dworu było trudno, Ludzie stali się podejrzliwi. Rokrocznie coraz wlecej chłopstwa uciekało przód branę, przód wojskowymi I ziemskimi powinnościami, kryli się w lasach, Nwawolli w pojedynkę I kupami. Były takie miasteczka, w których pozostali Jeno sami starcy, staruchy I małe dzieci; o kogo spytać ton wzięty do dragonów, ton na robotach ziemnych albo wywieziony na Ural, a tamten -• Jeszcze do niedawna miał sklepik na bazarze, I szanowany, I bogoboyny —* porzucił żonę, drobne dziatki, wyczokuje z klicienlom w parowie przy głównym trakcie...

FiecTka nieraz rozważał, czyby nie przystać do rozbójników, nie poswawolić. Bo i tak, wzięwszy na rozum, gdzie mieli się podziać? Całe życie nie można plątać się bez dachu nad głową — obmierźnie... Lecz Andrzej — za nic. Uparł się: — Pójdziemy, pójdziemy na południe, na kraj świata... — FiecTka mu na to: — No dobrze, pójdiesz, tam też są ludzie, nie będą żywić darmo, wypadnie iść do Kozaków na wyrobek albo do dziedzica w niewolę, zginać grzbiet dla diabła... A tak poswawolilibyśmy, pohulali — tylko patrzeć, a każdy z nas zaszyłby sobie w czapkę po sto rubli. Z takimi pieniędzmi można by wyjść na kupca. A wtedy już się do ciebie nie przy-
czepi ani dragon, ani podiaczy, ani dziedzic — sam jesteś sobie panem,...

Pewnego razu, było to latem, siedzieli o wieczornej zorzy w polu. Od ogniska z suchego nawozu załatywał dymek, wiatr zginał łodygi, pogwizdywał. Andriuszka patrzył na dogasającą zorzę, pozostało z niej niewiele — mdle pasemko na krawędzi ziemi.

— Fiedia, powiem ci to jeno.. Żyje we mnie siła, ale taka siła — większa od ludzkiej... Słucham: wiatr gwizdże w łodygach, pojmuję, tak wszystko pojmuję, aż serce rozpięra... Patrzę: zorza wieczorna, zmierzch i — wszystko rozumiem, rozlałbym się tak po niebie z tą zorzą, taki mam w sobie smutek i radość...

— Był tu u nas we wsi pomyłony, pasał gęsi — rzekł Fied'ka grzebiąc łodygą w roz sypujących się węglach — bywało, tak samo czasem plół, że nic nie można było wyrozumieć... Grywał ładnie na dudce wierzbowej — cała wieś chodziła słuchać... Wtedy szukano ludzi na muzykantów dla nieboszczyka Franza Leforta — no, co też myślisz, wzięli go...

— Fiedia, pod Narwą chłop z czeladzi Borysa Pietrowicza opowiadał mi o krainie włoskiej... O malarzach... Jak żyją, jak malują... Nie spocznę, zostanę ostatnim rabem u takiego malarza — będę farby rozrabiać... Fiedia, ja potrafię... Wziąć deskę dębową, przetrzeć olejem, zagruntować... Rozrobić w skorupkach farby, jedne z olejem, inne z jajkiem... Ujmiesz pędzelek... (Golikow mówił całkiem cicho, nie głośząc pogwizdów wiatru.) Fiedia, dzień rozbłysnął i zmierzchnął, ale na mojej desce dzień płonie wiecznie... Stoi drzewo — brzoza, sosna — cóż jest w nim? A spójrz na moje drzewo, na mojej desce, wszystko zrozumiesz, zapłaczesz...

— Gdzież owa kraina?

— Nie wiem, Fiedia... Zapytamy, powiedzą...

— Możemy i tam... Wszystko jedno...

IV

Wiosną siedemset drugiego roku przybyło okrętem do Archangielska dziesięciu majstrów od budowy kanałów, najetych w Ho

landii przez Andrzeja Artamonowicza Matwiejewa za dużą pensję (siedemnaście rubli dwadzieścia kopiejek- na miesiąc i carski wikt). Połowę majstrów wyprawiono pod Tu- łę na Jezioro Iwanowskie, by tam zbudowali (jak obmyślono jeszcze w przeszłym roku) trzydzieści jeden śluz kamiennych między Donem i Oką przez Upę i Szatę. Druga połowa majstrów udała się do Wyszniego Wo- łoczka — budować śluzy między Twiericą i Mstą.

Kanał Wyszniwołocki miał połączyć Morze Kaspijskie z jeziorem Ładoga, Kanał Iwanowski — jezioro Ładogę, całe Powołże — z Morzem Czarnym.

Piotr przebywał w Archangielsku, gdzie for- tyfikowano ujście Dwiny i budowano fregaty dla floty białomorskiej. Tutejsi myśliwcy opowiedzieli mu, że już dawno znana jest droga z Morza Białego do Ładogi przez Wyg, jezioro Onegę i Świr. Droga ciężka — często trzeba łodzie przeciągać lądem, dużo porohów, ale gdyby zrobić przesieki i postawić śluzy do jeziora Onegi — całe pomorze bia- łomorskie powiezie towary prostym spławem do Ładogi.

Tam — u jeziora Ładogi — schodziły się trzy wielkie szlaki z trzech mórz: Wołga, Don i Świr. Krótkie koryto Newy, strzeżone przez dwie twierdze — Nótéburg i Nienschanz, oddzielało Ładogę od czwartego morza — Bałtyckiego. Holenderski inżynier Izaak Abraham mówił do Piotra wskazując na mapę: „Przekopawszy kanały ze śluzami, ożywiecie martwe morza, i setki waszych rzek, wody całego państwa skierują się do potężnego koryta Newy i wyniosą wasze statki na pełny ocean”.

Tam, ku opanowaniu Newy, na jesieni roku siedemset drugiego skierowano wysiłki. Apra- ksin, syn admirała, całe lato pustoszył Ingrię, doszedł do Izory i na brzegu bystrej rzeczki, wijącej się po nadmorskiej posępnej równinie, rozbił szwedzkiego generała Krongórta, odrzucił go na duderhofske wzgórza, skąd ów w konfuzji cofnął się za Newę, do for- teczki Nienschanz, nad Ochtą.

Apraksin z wojskiem skierował się ku Ła- dodze i zatrzymał się przy rzece Nazji. Z Nowogrodu szedł tu również Borys Pietrowicz Szeremietiew z dużą artylerią i taborami. Piotr z pięcioma batalionami siemionowców i preobrażeńców przyplłynął z Archangielska do zatoki Onegi i wylądował na płaskim wybrzeżu w pobliżu osady rybackiej Niuchcza. Stamtąd posłał do Soroka, do raskolniczej wioski przy ujściu jeziora Wyg, kapitana Aleksego Browkina. (W lecie Iwan Artiemicz uzyskał wymianę syna na jeńca, szwedzkiego podpułkownika — sam jeździł do Narwy, jeszcze dał na dokładkę trzysta talarów.) Aleksy miał przepłynąć Wyg czołnem wzdłuż i wszerz i rozejrzeć się, czy rzeka nadaje się do budowania śluz.

Z Niuchczy wojska ruszyły przez jezioro Puł i pohost Woźmosalmę na Powieniec —

przesiekami, chruścianymi groblami i mostami. Wybudował tą drogą w ciągu trzech miesięcy sierżant Szczepotiew, spędziwszy włościan i klasztorne sługi z Kemi, z osady Su- mskiej, z raskolniczych wiosek i pustelni. Wojska ciągnęły na walkach dwa wyekwipowane jachty. Szli przez bagna, gdzie gnily drzewa i dzwoniły komary, gdzie ogromne kamienie pokrywał mech niby futrem. Ujrzeni dziwne jezioro Wyg z mnóstwem zalesionych kęp E-* ich najeżone garby, podobne cudacznym stworom, wynurzały się z wód zalanych słońcem. Na bładym niebie — ani obłoku, jezioro i brzegi opustoszałe, jakby wszystko, co żywe, skryło się w gąszczu.

O dziesięć wiorst od wojskowego traktu, w wygoreckiej społeczności Daniłowej odprawiano nabożeństwo dniem i nocą, niby w Wielkim Tygodniu. Mężczyźni i kobiety w śmiertelnych całunach z płótna modlili się na klęczkach i bez przerwy palili świece. Wszystkie cztery bramy zamknięte na mur, w kłitkach stróżowskich oraz koło kapliczek przygotowano słomę i smołę. W dni te wyszedł z odosobnienia starzec Nektariusz. Po spaleniu owczarni oraz ucieczce, nie mając co robić, osiedlił się w pustelni. Lecz Andrzej Denisów nie uszanował go i nie dopuszczał do ludu. W gniewie Nektariusz skrył się w jamie, na milczenie, siedział tam i milczał przez dwa lata. Gdy zaś kto zbliżył się do jamy,

1

przykrytej żerdkami i darnią, lub przechodził obok, starzec obrzucał go kałem. Dziś samowolnie ukazał się ludowi; wąska broda urosła mu do kolan, płaszcz stoczony przez robaki, w dziurach prześwitywały żółte żebra. Wzniósłszy wyschłe ręce wołał: — Andriuszka Denisów sprzedał Chrystusa za pieróg z grzybami... Na co czekacie?... Sam Antychryst nas odwiedził z dwoma okrętami na płozach... Napchają was tam jak świń — powiozą do obrzydłego piekła... Ratujcie dusze.. Nie słuchajcie Andriuszki Denisowa... Patrzcie, jak to pysk nadął w okienku... Car Piotr przysłał mu pieróg z nadzieniem...

Andrzej Denisów widząc, że zanoszą się na coś niedobrego i może znajdą się tacy, co naprawdę zechcą się spalić, jął strofować starca i krzyczał na niego z okna celi: — Chyba- żeś rozum stracił w onej jamie, Nektariuszu, jeno byś ludzi palił — cały świat byś spalił... Car nas nie rusza, niechże sobie idzie z Bogiem, nic mu do nas... A że mi pieróg wytykasz — w swoim życiu zeżarłeś już więcej pierogów ode mnie. Wiemy, kto ci po nocach znosi do dołu kurzęcinę, wytrzebiłeś w pustelni wszystkie kury, dół pelen kości.

Wówczas ten i ów pospieszył do jamy i — prawda — w kącie zakopane kurze kości. Wszczęło się zamieszanie. Andrzej Denisów opuścił potajemnie pustelnię i na dobrym koniu pojechał za rzekę, do wojska — odszukał je po łunie z ognisk, po rzeniu koni, po gra- niu trąb miedzianych o wieczornej zorzy.

gi, zaś w pobliżu Powieńca jest nawet takie miejsce, gdzie z puda rudy wytapiają pół puda żelaza — zadymił fajką.

— Więc czego ode mnie chcecie, bezpo- powcy?

Denisów odrzekł po namyśle:

r— Tobie, miłościwy panie, trzeba żelaza dla wojska. Rozkaż — wybudujemy, gdzie poręczniej, piec hutniczy i kuźnię. Nasze żelazo lepsze od tulskiego i wypadnie taniej... Akin- fij Demidow na Uralu liczy pół rubelka...

— Łżesz, po trzydzieści pięć kopiejek...

— No cóż, to i my policzymy po trzydzieści pięć kopiejek. A przecie Ural daleko, a my — blisko. Jest tu i miedź. Pod Powieńcem drzewo masztowe, na Górach Niedźwiedzich — maszty na pięćdziesiąt łokci, drzewo aż dzwoni... Jak zdobędziesz Nowę — zaczniemy wysyłać tratwy do Holandii. Boimy się jeno popów z podziaczymi... Nam ich nie trzeba... Wybacz mi, mówię, jak potrafię... Pozwól nam żyć wedle naszego obrządku... Ach, jakież postrach!... Już trzeci dzień, jak w społeczności; wszyscy porzucili robotę, przybrali się w całuny, śpiewają psalmy... Bydło nie pojone, nie karmione, ryczy w oborach. Przyślesz nam popa z krzyżem nikonowskim, z komunią — wszyscy rozbiegą się gdzie oczy poniosą... Czyż można utrzymać... Nasi ludzie wszyscy męczeni, łamani... Znów zaszyją się w gęstwinie i sprawa przepadnie...

— Dziw — rzekł Piotr. — A czy dużo ludzi w waszej społeczności? wspominać...

Ł — A teraz co się robi? — spytał Piotr.

— Teraz, miłościwy monarcho, gospodarstwo nasze stoi mocno. Ziemi ornej wykar- czowano przeszło pięćset dziesięcin, a łąk tyle samo. Stado bydła — sto dwadzieścia głów. Rybołówstwo, wędzarnie, garbarnie i folusz- nie. Ruda swojego wytopu. Mamy takich kowali i rudników, jakich nawet w Tule nie ma.

Piotr Aleksiejewicz już bez uśmiechu rozpytywał, gdzie i jakie są rudy. Dowiedziawszy się, że żelazo — na brzegach jeziora One-

Piotr przyjął Andrzeja Denisowa w płóciennym namiocie; siedział z oficerami przy polowym stole, wszyscy palili fajki, by dymem odpędzić komary. Piotr, zoczywszy czerstwego mężczyznę w szacie duchownej i skuffi, uśmiechnął się.

— Witaj, Andrzeju Denisów, co rzekniesz dobrego? Ciągłe jeszcze opędzacie się przede mną dwoma palcami?

Denisów usiadł przy stole, jak mu wskazano, nie krzywił się, jeno przy samym nosie z lekka rozpędzał dym tytoniowy? rzekł uczciwie, jasno patrząc w oczy:

— Miłościwy monarcho, Piotrze Aleksiejewiczu... Rozpoczęliśmy sprawę w pustynnym miejscu, zbiegał się tu ciemny naród, przeróżni ludzie. Jednych skłanialiśmy do posłuszeństwa przychylnością, innych postrachem- Wybacz — ale straszaliśmy tobą... W wielkim przedsięwzięciu nie obejdzie się bez błędu. Było tak i siak, czego nie warto nawet

; -r- Piąt tysięcy zdatnych do roboty płci męskiej i niewieściej, a jeszcze starcy, którzy już nie pracują, i niemowlęta... J; igji I wszyscy co do jednego wolni?

— Uciekli od niewoli...

— Cóż z wami pocznę? Dobrze, zdejmujcie całuny. Módlcie się dwoma palcami, choćby nawet jednym— tylko płacicie podwójny podatek z całego gospodarstwa...

τ— Zgadząmy się z radością... Ete-sr- Do Powieńca wyślecie majstrów zdatnych do wyrobu łodzi. Potrzeba mi kryp i batów, pięćset statków...

— Z największą radością...

— No, Andrzeju Denisów, wypij za moje zdrowie. — Piotr nalał z blaszanej butli pełną czarękę wódki, podał schylając głowę. Denisów pobladł. Jasne oczy mu zabiegały. Lecz wstał godnie. Przeżegnał się powoli, szeroko, ściskając dwa palce. Ujął czarękę. (Piotr patrzył na niego przenikliwie.) Wypił do ostatniej kropli. Zdjąwszy skufię otarł nią czerwone wargi.

ę r- Dziękuję za łaskawość.

— Przekąś dymem, jgg Piotr wyciągnął do niego fajkę — zaślinionym cybuchem do przodu. Teraz w oczach Denisowa zamigotał uśmiech, bez drgnienia wyciągnął rękę po fajkę. Piotr usunął ją.

— A okolice... (Powiedział jakby nigdy nic.) A okolice, gdzie znajdziecie rudę i ziemi tyle, ile trzeba, wymierzcie i postawcie słupy. Piszcie o wszystkim do Moskwy — do Winiusa. Powiem mu, żeby z robót leśnych i pieców hutniczych nie ściągać podatku przez dziesięć lat... (Denisów podniósł brwi.) Za mało? Przez piętnaście lat nie będziemy ściągać podatku. Co do ceny żelaza dogadamy się. Zaczynajcie pracować — nie zwlekajcie. Trzeba będzie ludzi czy jeszcze czego ~ pisz do Winiusa... Pieniądzy nie żądajcie... Wypij no jeszcze lampkę, święty człeku...

Przy końcu września, w słotne dni, trzy wojska połączone na brzegach Nazji ruszyły do NÓteburga. Starodawna twierdza stała na wyspie pośrodku Newy u samego jej wyjścia z Ładogi. Statki mogły wypłynąć na rzekę przez obie odnogi, ale nie inaczej jak obok twierdzy, na dziesięć sążni od bastionów, pod paszczami dział.

Wojska wyszły na przylądek przed NÓte- burgiem. Poprzez lecące nisko chmury deszczowe widniały kamienne baszty z chorągiewkami na stożkowatych dachach. Mury były tak wysokie i mocne, iż rosyjacy żołnierze, kopiący na przylądku aprosze i reduty dla baterij, jeno wzdychali. Nie na próżno nowogrodzianie, którzy wybudowali twierdzę, nazwali ją Orzeszkiem — nie da się zgTyżć łatwo. Szwedzi zdawali się długo namyślać. Na murach nie było widać ani żywej duszy. Posępne chmury powlekały ołowiane dachy. Lecz oto na krągłej baszcie zamku popęzła na maszt królewska chorągiew ze lwem —1

zatrzepotała na wietrze. Ciężkie działo odezwało się miedzianym rykiem, pocisk sycząc wpadł w błoto na przylądku, przed aproszami. Szwedzi przyjęli walkę.

Prawy brzeg Newy z tamtej strony twierdzy był potężnie umocniony, a od jeziora trudno się było przedostać poprzez mokradła. Wcześniej jeszcze, nim całe wojsko przybyło pod Nótburg, na lewym brzegu wyrąbano przesiek od jeziora przez przylądek ku Newie. Teraz kilka tysięcy żołnierzy wyciągało linami czółna z jeziora Ładoga — wlekli je przesieką i spuszczały na Newę, poniżej twierdzy. Po pięćdziesięciu ludzi uchwyciwszy za liny ciągnęło, inni podtrzymywali burty, żeby statek pełzył na kilu po belkach. — Jeszcze raz! Jeszcze raz! Ciągnąć razem! — wykrzykiwał Piotr. Zrzucił kaftan, koszula przemokła, na długiej szyi, obciążonej skręconą chustą, nabrzmiały żyły — potłukł sobie kostki u nóg wpadając między belki. Porywał linę, wytrzeszczał oczy: — Razem! Ciągnij! — Ludzie nie jedli od wczoraj, pościerali dłonie do krwi. Ale ten diabeł nie folgował, krzyczał, wymyślał, bił, ciągnął! — Przed nocą udało się przeciągnąć i spuścić na Newę pięćdziesiąt ciężkich łodzi z pomostami dla strzelców na dziobie i rufie. Ludzie nie chcieli już jeść, zasypiali, gdzie kto upadł, na mokrym mchu, na kępach...

Jeszcze przed świtem zawarczały bębny. Chorążowie potrząsali ludźmi, stawiali na nogi. Rozkazano nabić muszkiety, dwa ładunki prochu wsunąć w zanadze (aby ochronić przed deszczem), za policzki włożyć po dwie kule. Żołnierze, nakrywając zamki połami kaftanów, włązili na pomosty kołyszących się łodzi. Fala podbijała. W ciemności płynęły przy pomocy wiosł przez bystrą rzekę na prawy brzeg. Szumiał tam las. Żołnierze zeskakiwali w sitowie. Oficerowie klęli szeptem, zbierając rotę.

Czekali. Zaczęła wschodzić wietrzna zorza —■ malinowe pasma poprzez lotną mgłę. Po ołowianej rzece płynęło czółno. Wskoczyli z niego: Piotr, Mieńczykow i Koenigseck. (Saski poseł wprosił się do wyprawy na ochotnika i przebywał przy carze.) — Gotuj się! — krzyknęły przeciągłe głosy. Piotr chwytając za krzaki wdrapał się na urwisty brzeg. Wiatr unosił połę jego krótkiego kaftana. Ruszył mętnym, długim cieniem, za nim szli śpiesznie żołnierze. Z lewej strony — Mieńczykow z pistoletami, z prawej — Koenigseck. Nagle zatrzymali się. Minął ich pierwszy szereg żołnierzy nie przerywając marszu. Piotr rozkazał: — Muszkiety w pogotowiu... Odwieść kurki... Strzelać plutonami... — W szeregach ostro trzasnęły skałki. Drugi szereg wysunął się naprzód, mijając Piotra. -^- Patrzeć przed siebie! — wrzasnął Piotr dzikim głosem — pierwszy pluton — pa! — Ogniki strzałów oświetliły kolebiące się pojedyncze sosenki, a niedaleko na równinie, za pniami — niski nasyp szwedzkiego szańca. Stamtąd strzelano również, ale nie

pewnie?. — Drugi pluton — pall — Drugi-szereg, podobnie jak pierwszy, wystrzelił i padł na kolana... — Trzeci... Trzeci! — krzyczał wyteżony głos. — Nastaw bajonety... Biegiem...

Piotr biegł po nierównym polu. Żołnierze, płacząc szeregi, krzyząc coraz głośniejszymi i zajadlej, tysięczną rozgrzaną cizbą, nastawili bajonety, runęli na nasyp. Z rowu już sterczały uniesione ręce poddających się. Część Szwedów uciekała w stronę lasu.

Szańce na prawym brzegu zostały zdobyte. Gdy się zupełnie rozwidniło — przez rzekę przeprowiono moździerz. Tego samego dnia zaczęto słać do Noteburga pociski z obydwu brzegów rzeki.

W twierdzy, od dwu tygodni wytrzymującej ostre bombardowanie, powstał wielki pożar, wybuchały loszki z pociskami działowymi, od czego zawaliła się wschodnia część murów. Wówczas dostrzeżono łódkę z białą flagą na rufie? pospiesznie płynęła do przylądka, do szanów. Rosyjskie baterie zamilkły. Z moździerzy oblewanych wodą buchała para. Z łódki wysiadł wysoki, bladej twarzy oficer — głowę miał owiazaną skrwawioną chustką. Oglądał się niepewnie. Przez szaniec skoczył do niego Aleksy Browkin; zapytał patrząc za- dzierżyście: — Cóż dobrego niesiesz? — Oficer szybko przemówił po szwedzku — wskazywał na ogromny dym wznoszący się z twierdzy ku bezwietrznemu niebu. — Gadaj po rosyjsku — poddajecie się czy nie? przez rwał gniewnie Aleksy. Przyszedł mu na pomoc Koenigseck — strojny, uśmiechnięty — grzecznie zdjął kapelusz, skłonił się oficerowi, rozpytał i przetłumaczył: że żona komendanta i żony innych oficerów proszą o pozwolenie opuszczenia twierdzy, gdzie nie można wytrzymać ogromnego dymu i ognia. Aleksy przyjął od oficera list w tej sprawie do Borysa Pietrowicza Szeremietiewa. Obracał list w garści. Nagle twarz jego wykrzywiła się złością, rzucił pismo w błoto, pod nogi oficerowi.

— Nie będę meldował feldmarszałkowi... Co to znaczy? Wypuścić z twierdzy baby! A my mamy jeszcze dwa tygodnie tracić ludzi przy szturmach... Zdawajcie się na parol od razu — i tyle gadania...

Koenigseck był grzeczniejszy: podniósł pismo, otarł o kaftan, zwrócił oficerowi objaśniewszy, że prośba — nadaremna. Oficer, wzruszając ramionami, z oburzeniem siadł do łódki i — gdy jeno odpłynął — szczęką nęły wszystkie czterdzieści dwa moździerze baterij Goszki, Hintera i Piotra Aleksiejewicza.

Pożar szalał całą noc. Ołowiane dachy na basztach topiły się, płonące krokwie padały miotając ognistymi językami. Luna oświetlała rzekę, dwa obozy Rosjan i niżej w dole rzeki — sto łodzi w pogotowiu u brzegu, z ochotnikami zwarcie stojącymi na pomostach, ze szturmowymi drabinami, położonymi w poprzek burt. Po północy kanonada uci-

chła, dobiegał jeno trzask buzującego ognia.

Na dwie godziny przed świtem wystrzeliło działo z carskiej baterii. Bębny uderzyły rozzwierająco. Łodzie ruszyły pod twierdzę, coraz jaśniej oświetlane płomieniem. Prowadzili je młodzi oficerowie: Michał Golicyn, Karpow i Aleksander Mieński. (Wczoraj Aleksaszką mówił do Piotra ze łzami: — Min herc, Szeremietiew wyskoczył na feldmarszałka... A ze mnie ludzie natrzęsają się — generał-major, gubernator pskowski! A w samej rzeczy ordynansem był i ordynansem pozostał... Poślij w sprawę, bym mógł zdobyć rangę!)

Piotr z feldmarszałkiem i pułkownikami pozostał na przylądku, przy baterii. Patrzyli przez perspektywę. Łodzie podchodziły szybko od strony wschodniej, tam gdzie zawałała się ściana — na ich spotkanie leciały rozpalone pociski. Pierwsza łódź werżnęła się w brzeg, ochotnicy jak groch stoczyli się z pomostów, dźwignęli drabiny, ruszyli. Ale drabiny nie sięgały szczytu nawet w wyłomie. Ludzie wśliznęli się na plecy, wdrapywali się po występach muru. Z góry sypano kamienie, lał się roztopiony ołów. Ranni spadali z wysokości trzech sążni. Kilka łodzi zapaliło się od pocisków i płonął jasno, spływało z prądem.

Piotr chciwie patrzył przez perspektywę. Gdy dym prochowy zaścielał miejsce boju, wsuwał perspektywę pod pachę, począł kręcić guziki kaftana (już kilka oberwał).

Twarz ziemista, wargi szerniały, oczy zapadły się... Co to, co to takiego! — powtarzał głucho, szarpał szyją, odwracał się do Szeremietiewa. (Borys Pietrowicz wzdychał jeno opieszale — przez te dwa lata widywał już potrzeby straszniejsze...) — Znowu poskąpili pocisków. Brać gołymi rękoma! Przecie tak nie wolno! — Borys Pietrowicz odpowiadał przymykając oczy: — Bóg łaskaw, zdobędziemy i tak. — Piotr, rozkraczywszy nogi, znowu przykładł perspektywę do lewego oka.

Mnóstwo zabitych i rannych wałało się pod murami. Przesłonięte mgiełką słońce było już dość wysoko. Z baszt twierdzy wznosił się dym aż pod obłoki, ale pożar widocznie słabł. Nowy oddział ochotników, podszedłszy łodziami od strony zachodniej, rzucił się na drabiny. Każdy miał w zębach płonący lont, wrywali z worków granaty, odgryzali, podpalali, rzucali. Temu i owemu powiodło się usadowić w wyłomie, ale stamtąd trudno już głowę wysunąć. Szwedzi opierali się zajadle. Wystrzeliły działo, trzask granatów, krzyki słabo dochodzące przez rzekę — to przycichały, to znowu rozpałały się. Ciągnęło się to godzinami...

Zdawało się, że wszelkie nadzieje, los wszystkich ciężkich poczyną — zawisł od uporu tych małych ludków, skrętnie pnących się po drabinach, odpoczywających pod występami murów, strzelających, kryjących się przed szwedzkimi kartaczami za kupą kamie

ni. Nijak nie można pomóc. Baterie były zmu- szone do bezczynności. Gdyby tak zapasowe łodzie — można by przewieźć na pomoc ze dwa tysiące żołnierzy. Ale nie było wolnych łodzi i drabin nie było, nie starczało granatów...

— Ojczulku, poszlibyście do namiotu pożywić się, odpocząć... Po co darmo dręczyć serce — mówił Borys Pietrowicz wdychając po babsku.

Piotr nie opuszczając perspektywy wyszczerzył się niecierpliwie. Tam na murze ukazał się wysoki siwobrody starzec w żelaznym pancerzu, w starodawnym hełmie. Wskazując w dół, na Rosjan, szeroko rozdziawiał usta — krzyczał widać. Szwedzi obstąpili go ciasno, również krzyczeli, jakby się sprzeciali. Ów trącił jednego, drugiego uderzył pistoletem — ciężko zląził w dół, po kamiennych występach, do wylomu. Za nim potoczyło się tam z pół setki ludzi. W wylomie Rosjanie i Szwedzi zbili się w rozżarty tłum. Ciała ludzkie leciały w dół jak tłumoki... Piotr odchrząknął z długim stęknięciem.

— Ten stary — to komendant Eryk Schlippenbach, starszy brat generała Schlippenbacha, któremu rozbił rękę — rzekł Borys Pietrowicz.

Szwedzi szybko opanowali wylom, zaczęli stamtąd trzaskać z muszkietów. Biegli w dół po drabinach, rzucali się na Rosjan z samymi szpadami. Wysoki starzec w pancerzu stał w wylomie, tupał nogą, wymachiwał rękoma

niby kogut skrzydłami... (— Jak się Szwed rozeźli, to i śmierć mu niestraszna — rzekł Borys Pietrowicz.) Resztki Rosjan cofały się ku wodzie, ku łodziom. Jakiś człek z twarzą owiązaną szmatą miotał się, odpędzał żołnierzy od łodzi, aby do nich nie siadali, skakał, bił... Naparłszy na dziób łodzi odepchnął ją pustą od brzegu. Skoczył do drugiej — odepchnął... (— Miszka Golicyn — rzekł Borys Pietrowicz — też gorący!) Przy samych łodziach toczyła się walka wręcz.

Dwanaście dużych czółen z ochotnikami, zginając wiosła w łuki, mknęło pod prąd ku twierdzy. Była to ostatnia rezerwa, oddział Mieńszykowa. Aleksaszka, bez kaftana, w różowej jedwabnej koszuli, bez kapelusza, ze szpadą i pistoletem, pierwszy wyskoczył na brzeg... (— Fanfaron, fanfaron — zamruczał Piotr.) Szwedzi ujrawszy nowego przeciwnika pobiegli do murów, ale jeno część zdołała wydostać się w górę, pozostałych skłuto. I znowu poleciały z murów kamienie, polana, działa zionęło kartaczami. Znowu Rosjanie wdrapywali się po drabinach. Piotr upatrywał przez perspektywę różowej koszuli. Aleksaszka nieustraszenie zdobywał sobie rangę i sławę. Wdarłszy się na wylom natarł na starego Schlippenbacha, uchylił się przed kulą pistoletu, zmierzył się z nim na szpady — swoi ludzie obronili starego, wciągnęli na górę... Od tego nowego naporu Szwedzi osłabli. (— A to diabeł! — krzyknął Piotr, zupał botfortem.) Różowa koszula Aleksaszki

już miotła się na samym szczycie, między blankami murów...

Przez perspektywę źle było widać. Za twierdzą rozlewała się ogromna, rozżarzona łuna zachodu dalekiej Północy.

— Piotrze Aleksiejewiczu, zdaje się, że już wywiesili białą flagę — rzekł Borys Pietrowicz. — Czas najwyższy, bijemy się już trzynaście godzin...

Nocą na brzegu Newy płonęły wielkie ogniska. W obozie nikt nie spał. Miedziane kotły ze strawą kipiały, na żerdkach piekły się całe barany. Koło rozpiłowanych na dwoje beczek stali wąsaci frajtrzy — obdzielali każdego wódką, do woli, ile dusza zapragnie.

Ochotnicy, jeszcze nie ostygli po trzynasto- godzinnym boju, wszyscy niemal owiązani skrwawionymi szmatami, siedząc u ognisk na pniach, na świerkowych gałęziach, opowiadali żalosne wydarzenia z potyczek — o ranach, o śmierci kamratów. Żołnierze, którzy nie uczestniczyli w bitwie, stali z rozdziawionymi gębami półkolem z tyłu za opowiadającymi. Słuchając oglądali się na mętne, ciemniejące na tle rzeki, opalone baszty. Tam, pod murami opustoszałej twierdzy, leżały kupy martwych ciał.

Poległo przeszło pięciuset ochotników, a na wozach w taborze i w namiotach jęczało około tysiąca rannych. Żołnierze wdychając powtarzali: — Masz ci — rozgryźli Orzeszek.

Za strumieniem, na wzgórku, z oświetlonego namiotu carskiego, dobiegały okrzyki i granie na piszczalkach. Przy toastach nie było strzelania — nastrojono się dość przez cały dzień. Od czasu do czasu z namiotu wychodzili pijani oficerowie za potrzebą. Pewien pułkownik podszedłszy do brzegu strumienia długo wypinał się na żołnierskie ognie po tamtej stronie — wrzasnął pijacko:

— Chwaty, chłopcy, postaraliście się...

Ten i ów z żołnierzy podniósł głowę, warknął: — Czego ryczysz, idź, pij dalej — wo- jak-samochwał. — Z namiotu wyszedł Piotr, również za potrzebą. Załatwiał się stojąc chwiejnie. Ognie obozowe płynęły przed oczyma — rzadko się upijał, ale dziś go rozebrało. Za nim wyszli Mieńszykow i Koenigseck.

— Min herc, co tak długo, może ci przynieść świecę? — zapytał Aleksaszka pijanym głosem. Koenigseck roześmiał się: — Ach, ach! — jął podrygiwać jak kura, zadzierając z tyłu poły kaftana. Piotr do niego:

— Koenigseck...

— Jestem, najjaśniejszy panie...

— Cóż ty się tak chełpił przy stole?...

— Ja się nie chełpiłem, najjaśniejszy panie...

— Łżesz, wszystko słyszałem... Coś tam plótł Szeremietiewowi? „Ta rzecz droższa mi nad zbawienie duszy”... Co to za rzecz?

— Najjaśniejszy panie, to Szeremietiew chwalił się pewną branką, Inflantką. A ja nie Przypominam sobie, żebym...

Koenigseck zamilkł, jakby od razu wytrzeźwiał. Piotr, wyszczerzony w uśmiechu — jak żuraw, z góry na dół — patrzył mu w przerażoną twarz...

— Ach, najjaśniejszy panie... To ja chyba wspomniałem o tabakierce — francuskiej roboty — mam ją w taborze... Przyniosą...

Chwiejnym klusem skierował się do strumienia, w przerażeniu rozpinął na piersi guziki kamizelki... „Boże, Boże, jak on się dowiedział? Schować, wyrzucić bez zwłoki...” Palce błędziły w koronkach, namacał medalion na jedwabnym sznurku — usiłował zerwać, sznurek boleśnie wpijał się w kark... (Piotr sterczał na wzgórk, patrzył na niego.) Koenigseck pokiwał uspokajająco: „Oczywista, zaraz przyniosę.” Przez głęboki strumień, szumiący między granitowymi głazami, przerzucono belkę — od brzegu do brzegu. Koenigseck wszedł na belkę — trzewiki urna- zane gliną ślizgały się, Koenigseck wciąż targał sznur. Potknął się, rozpaczliwie wywinął rękami, runął na wznak do strumienia.

— Ot, pijany dureń — rzekł Piotr.

Odczekali. Aleksaszka zasępił się, zeszedł z pagórka zafrasowany.

— Piotrze Aleksiejewiczu, zdaje się, nieszczęście... Wypadnie zawołać ludzi...

Koenigsecka znaleziono nie od razu, choć strumień miał zaledwie dwa łokcie głębokości. Padając uderzył, widać, tyłem głowy o kamień i od razu poszedł na dno. Żołnierze po' nieśli go przed namiot, ułożyli przed ogni' skiem. Piotr począł zginać mu tułów, rozkładać ręce, dmuchał w usta. Nedorzecznie zakończył żywot poseł Koenigseck... Rozpinając na nim odzież, Piotr odsłonił na piersi medalion — wielkości dłoni dziecięcej. Obszukał kieszenie, wyciągnął paczkę listów. Natychmiast ruszył z Aleksaszką do namiotu.

— Panowie oficerowie — rzekł głośno Mieńszykow — kończmy ucztę, monarcha pragnie się położyć...

Goście śpiesznie opuścili namiot (tego i owego wypadło wlec pod pachy — ostrogami po ziemi). Tu zaraz, wśród nie dojedzo- nych półmisków i dopalających się świec, Piotr rozłożył mokre listy. Oderwał paznokciami wieczko medalionu — był to przedziwnej roboty portret Anny Mons: Annchen jak żywa uśmiechała się niewinnymi modrymi oczyma, równymi ząbkami. Pod szkłem dokoła portretu wiło się pasemko jasnych włosów, tak często całowanych przez Piotra Aleksiejewicza. Na wieczku, wewnątrz, wyskrobano igiełką po niemiecku: „Miłość i wierność”.

Odłupawszy również i szkło, dotknąwszy pasemka włosów, Piotr rzucił medalion w kałużę wódki na obrusie. Począł czytać listy. Wszystkie były od niej do Koenigsecka — głupia, cikliwa pisanina rozmiędalonej baby.

—■ Tak — rzekł Piotr. Wsparł się na łokciach, patrzył na świecę. — No, powiedzże, proszę. (Uśmiechnął się, pokiwał głową.) Zamieniła... Nie pojmuję... Kłamała. Aleksaszka,

kłamała... Całe życie — od pierwszego razu czy co?... Nie pojmuję... „Miłość i wier* ność!”...

— Ścierwo, min herc, ladaco, szynkarka... Już dawno chciałem ci opowiedzieć...

— Milcz, milcz, nie waż się... Idź precz! — Nabił fajkę. Znowu wsparł się na łokciach, dymiąc. Patrzył na miniaturę walającą się w kałuży wódki. „Do ciebie przeleziłem przez parkan... ileż razy powtarzałem twoje imię... z ufnością zasypiałem na twym gorącym ramieniu... Głupia, głupia... Kury ci pasać... Dobrze... Skończone...” Piotr machnął ręką, rzucił fajkę. Upadł na skrzypiące posłanie i nakrył się baraním kozuchem.

V

Twierdzę Nótęburg przemianowano na Schliisselburg — Kluczogród. Zasypano wyłom, na spalonych basztach położono drewniane dachy. Osadzono załogę. Wojska udały się na leże zimowe. Piotr wrócił do Moskwy.

Przy Bramie Miąsńskiej wśród bicia dzwonów powitali Piotra sławetni kupcy i Gościnna Sotnia z chorągwiemi. Ulicę Miąsnicką wysłano czerwonym sukmem na sto sążni. Kupcy podrzucali czapki wykrzykując z cudzoziemska: „Wiwat!” Piotr jechał stojąc jak Mars w złożonym rydwanie, za nim wleczono P° ziemi szwedzkie chorągwie, szli jeńcy z pO' chylonymi głowami. Na wysokim rydwanie wieziono drewnianego lwa, na którym niby na koniu siedział książę-papież Nikita Zotow w blaszanej mitrze, w czerwonym płaszczu, dzierżąc miecz i butlę z gorzałką.

Moskwa uczutowała dwa tygodnie — tyle, ile godziło się przy takim wydarzeniu. Od tego uczutowania niemało znamienitych ludzi zaniemogło i zmarło. Na placu Czerwonym pieczono pierogi i karmiono mieszczan i osadników. Rozeszła się wieść, że car kazał rozdawać wiaziemskie malowane pierniki i chusty, ale bojarzy oszukali lud; po te pierniki przyjeżdżano z odległych wsi. Co noc nad basztami Kremla wlatywały rakiety, na murach wirowały ogniste koła. Na samo święto Pokrowy wyuczutowano i wyswawolono wielki pożar.

Wybuchnął w Kremlu, rozszedł się po Kitajgorodzie, wiatr był silny i głównie niosło za rzekę Moskwę. Płomień ruszył na miasto falami. Lud pobiegł do rogatek. Widziano, jak w dymie, w ogniu Piotr pędził na holenderskiej sikawce. Nic się nie dało uratować. Kreml spłonął do cna, prócz Żytniego spichrza i dworu Koroszkiniów — spalili się stary pałac (ledwie zdołano wyciągnąć ca- równę Natalię z carewiczem Aleksym), wszystkie urzędy, klasztory, składy wojennego sprzętu, ija Iwanie Wielkim oberwały się dzwony, największy, wagi ośmiu tysięcy pudów, rozpękł się.

Potem na zgłiszczach ludzie mówili:—Po- caruj, pocaruj, jeszcze niejedno zobaczysz...

^J^apsrgga®

Z okazji przyjazdu z Holandii syna Gawry- 1 ły zebrała się u Browkina po nabożeństwie cała rodzina: Aleksy — niedawno mianowany podpułkownikiem, Jakub — woroneski szturman, ponury, z grubym głosem, przesiąknięty na wskroś fajkowym tytoniem, Artamon z żoną Natalią — Artamon urzędował przy Szafirowie jako tłumacz w Urzędzie Poselskim, Natalia była w ciąży po raz trzeci, zrobiła się piękna, ociążała, roztyła się — Iwan Artiemicz nie mógł się napatrzeć na synową, - był też Roman Borysowicz z córkami. Antonidę udało się na jesieni wypchnąć za mąż za porucznika Bielkina — niewielkiego rodu, lecz dobrze widziany przez cara (teraz był w Ingrii). Olga dręczyła się jeszcze w panieństwie.

Roman Borysowicz w ostatnich latach znie- dołęźniał, głównie przez to, że wciąż wypadalo mu pić. Nie zdążył jeszcze przespać się po uczcie, a już od rana siedzi w kuchni żołnierz z rozkazem — być dziś tu albo tam... Roman Borysowicz zabierał ze sobą wąsy z pakul (sam je obmyślił) i drewniany miecz. Jechał na służbę carską.

Było sześcioro takich bojarów dla uczt, wszyscy z wielkich rodów, wzięci ku uciesze bądź za głupotę, bądź z czyjegoś złośliwego poduszczenia. Przewodził im książę Szachowski, wyschły staruszek — rozpijaczony i wielce nieżyczliwy dla bliźnich, intrygant. Sam^a służba niezbyt ciężka: zazwyczaj po piąty[®] daniu, gdy już tego podpito, Piotr Aleksiej^e

wicz kładł ręce na stole, wyciągał szyję i rozglądając się mówił: — Widzę, jako Iwaszko Chmielnicki wielkie osiąga przewagi — żeby nie było konfuzji. — Wówczas Roman Borysowicz wstawał od stołu, przywiązywał pakulaste wąsy, dosiadał niziutkiego drewnianego konia na kółkach. Podawano mu puchar wina — miał, podniósłszy miecz, żwawo wychylić puchar, po czym wykrzyknąć: „Umieramy, lecz nie poddajemy się!” Karzelki, głupki, trefnisie. garbusy, natarłszy z piskiem, ciągnęli Romana Borysowicza na koniu dokoła stołu. Oto cała służba — jeśli Piotrowi Aleksiejewiczowi nie przyszedł do głowy pomysł jakiej innej zabawy.

Iwan Artiemicz był dziś w doskonałym usposobieniu: zebrała się cała rodzina, sprawy stały tak, iż lepiej nie trzeba, nawet pożar ominął dom Browkinów. Brakowało jeno ulubienicy — Aleksandry. O niej właśnie opowiadał Gawryła, stateczny młodzian, który skończył w Amsterdamie szkołę nawigacji.

Aleksandra mieszkała teraz w Hadze (z poselstwem Andrzeja Artamonowicza Matwiejewa), ale ona i mąż nie kwaterowali w rezydencji poselskiej, lecz odnajmowali osobny dom. Trzymała konie pełnej krwi, karety, a nawet dwumasztowy jacht... (—Ach! ach! — dziwował się Iwan Artiemicz, choć w tajemnicy przed Piotrem Aleksiejewiczem posyłał Sańce na konie i jacht niemało pieniędzy.) Wołkowowie opuścili Warszawę przeszło rok temu, gdy król August uciekał przed Szwecją

dami. Byli w Berlinie, ale niedługo — Aleksandrze nie podobał się niemiecki dwór królewski: król skąpy, Niemcy prowadzą życie nudne, wyrachowane, każdy kęs obliczony...

— W Hadze ma dom pełen gości — opowiadał Gawryła — znakomitych, rozumie się, niewielu ||j przeważnie ludzie bez powagi: awanturnicy, malarze, muzykanci, Indianie, umiejący świecić bakę... Ona z nimi jeździ żaglowcem po kanale, siedzi na pokładzie na krzeselku, gra na harfie...

— Wyuczyła się? — klasnął w ręce Iwan Artiemicz spoglądając po domownikach. HK- Wychodzi na przechadzkę — wszyscy kłaniają się jej, a ona w odpowiedzi jeno głową — tak... Wasilija nie zawsze puszcza do gości, ale on z tego rad, zrobił się taki spokojny, zamyślony, zawsze z książką, a nawet po łacinie czyta, jeździ na stocznie okrętowe, do kunstkamery i na giełdę, przygląda się...

Przed samym wyjazdem Gawryły Sańka mówiła, że w Hadze już jej się naprzykrzyło: cała rozmowa z Holendrami obraca się dookoła handlu i pieniędzy, z kobietami — nie są raffines, w tańcu depcą po nogach... Chce się jej do Paryża...

— Najwidoczniej chce z francuskim królem tańczyć menueta! Ach, co za dziewczyno- nisko — jęczał Iwan Artiemicz, ale oczy mrużyły mu się z ukontentowania. — A kiedy wybiera się do domu? O tym powiadaj...

— Czasami, gdy uprzykrzą się jej awantur nicy, mówi do mnie: „Wiesz, Gaszka, chce mi się agrestu z naszego ogrodu... Tak bym się pohuśtała na huśtawce w sadzie nad rzeką Moskwą...”
jjpfjg Widać, że do swojego zawsze ciągnie...

Iwan Artiemicz mógł słuchać bez końca opowiadań o córce Aleksandrze. W połowie obiadu przyjechał Piotr z Mieńszykowem. (Piotr często tu teraz zaglądał.) Skinął domownikom i rzekł do rozdygotanego Romana Borysowicza: ■—r Siedz — dziś nie ma służby. — Zatrzymał się przy oknie i długo patrzył na pogorzelsko. Na miejscu niedawnych ożywionych ulic sterczały nad zgliszczami kominy i opalone cerkiewki bez kopuł. Słotny wiatr podrywał chmury popiołu.

— Stracone miejsce — rzekł dobitnie. — Zagraniczne miasta stoją po tysiąc lat, a to — nie pamiętam, kiedy się nie paliło... Moskwa!

Siadł do stołu niewesoły, przez pewien czas jadł dużo, w milczeniu. Przywołał Gawryłę, począł rozpytywać surowo — czego się w Holandii nauczył, jakie przeczytał książki. Kazał przynieść papier, pióro, kreślić części okrętu, żagli, plany morskich fortyfikacji. Raz sprzeciwił się, ale Gawryła twardo obstawał przy swoim. Piotr poklepał go po głowie: — Widzę, żeś ojcowskich pieniędzy nie przejadł na próżno. — (Iwan Artiemicz słysząc to wciągnął nosem łzy szczęścia.) Zapaliwszy fajkę Piotr znowu podszedł do okienka.

— Artiemicz — rzekł — trzeba nowe miasto budować...

— Wybuduje się, Piotrze Aleksiejewiczu — przez rok znowu domy wyrosną...

— Ale nie tu...

— A gdzie, Piotrze Aleksiejewiczu? Tu miejsce osiadłe z dawien dawna — Moskwa. (Zadarłszy głowę — niziutki, króciutki — mrugał szybko...) Ja, Piotrze Aleksiejewiczu, już zabrałem się do tej sprawy... Zgodziłem pięć tysięcy chłopów — do rąbania lasu... Będziemy nad Szeksną i Szełonią klecić chaty, zwieziemy na tratwach — jeno brać i stawiać: za pięć rubelków chata z drzwiami, z futrą... Cóż przyjemniejszego? Aleksander Daniłowicz będzie moim współnikiem...

— Nie tu — powtórzył Piotr patrząc w okienko — trzeba budować miasto nad Ładogą, nad Newą... Tam pędź drwali...

Krótkie ręce Iwana Artiemicza same rwały się za plecy — skrócić palcami młynka...

— Można... — rzekł cienkim głosem.

Ękrr- Min herc, znowu do mnie przychodziła stara Monsowa... Płacze, prosi, żeby ją z córką choć do kirchy puszczono na modły — zagadał ostrożnie Mieńczykow. Zapadał wieczór, wracali od Browkina, przejeżdżali obok pogorzelska. Wiatr obrzucał popiołem skórzany bok karety. Piotr osunął się w głąb — jakby nie słyszał słów Aleksaszkii.

Po Schliisselburgu raz jeno, już w Moskwie, wspomniał o Annie Mons: kazał Aleksaszcze pojechać do niej i odebrać swą miniaturę wysadzaną diamentami, którą nosiła na szyi — innych klejnotów jako też pieniędzy nie odbierać i pozwolić jej mieszkać, gdzie mieszkała (jeśli chce — niech jedzie na wieś), ale ma nie wychodzić nigdzie i nie pokazywać się.

Z korzeniem, z krwią, niby krzew zielska, wyrwał z serca tę kobietę. Zapomniał. A teraz (w karecie) nawet mięsień nie drgnął mu w twarzy. Anna Iwanowna pisała do niego — nie odpowiedział. Posyłała matkę z podarkami do Mieńczykowa błagając, by jej pozwolono paść do nóg najjaśniejszemu panu, którego jedynie kochała przez całe życie... Medalion został jej przez Koenigsecka skradziony. (O listach przy nim znalezionych nie wiedziała.)

Mieńczykow wiedział, że „min herc” odczuwa niezmiernie brak kobiecej pieczy. Carscy ordynansi (wszyscy byli u Mieńczykowa na żołdzie) donosili mu, że Piotr Aleksiejewicz źle sypia po nocach, stęka, uderza kolanami o ścianę. Potrzebna mu była nie tylko niewiasta, ale dobra przyjaciółka. Teraz Aleksaszka wtrącił, o Annie Mons jeno dla sprawdzenia. Piotr — nijak. Z bierwionowej jezdni zjechali na miękką drogę, - Aleksaszka zaczął się nagle śmiać do siebie, kręcić głową.

Piotr — do niego |j| zimno:

— Dziwuję się sobie, że cię znoszę, ale nie wiem...

— A bo co?... Przecie dalibóg...

— Wszędzie musisz koniecznie ukraść... I teraz — widzę, wierzysz się...

Aleksaszka pociągnął nosem. Jakiś czas jechali w milczeniu. Znowu zagadał z uśmiechem:

— Między mną a Borysem Piotrowiczem powstał spór... On ci się jeszcze poskarży... Ciągłe chęłpił się swoją gospodynią. Odkupił ją od dragona za rubla... „A nie odstąpię — powiada — nawet za dziesięć tysięcy... Taka — powiada — żwawa, wesola, jak ogień... Dziewka na schwał...” Więc pojechałem do niego... Podpiliśmy sobie — pokaz... Kurczy się: „Nie wiem — powiada —% gdzie poszła...” A ja upieram się. Stary — przyciśnięty do muru wykręcał się — ale zawołał. Podobała mi się od razu — nie to, żeby znowu jakaś uroda jak malowanie... Przyjemna, głos dźwięczny, oczy bystre, włosy kędzierzawe... Powiadam: należy się gościowi wedle starego obyczaju — czara z pocałunkiem. Borys Pietrowicz szerniał, ta śmieje się. Nalewa pucharek i daje z pokłonem. Wypiłem — a ją w usta. Pocałowałem w usta, min herc — oparzyło mnie, o niczym nie mogę myśleć, krew wre... „Borysie Pietrowiczu — powiadam — odstąp dziewczkę... Pałac oddam, ostatnią koszulę zdejmę... Jakże sobie z taką poradzisz? Trza jej młodego, żeby ją pieścił... A ty ją jeno drażnisz na próżno... A zresztą — mówię — tobie to grzech: żona, dzieci... A jeszcze jak Piotr Aleksiejewicz wejrzy w twój rozpustę...” Przycisnąłem starego...

Sapie... „Aleksandrze Daniłyczu, ostatnią radość mi zabierasz...” Machnął ręką, popłakał się... Dalibóg, śmiech zbiera... Poszedł, zamknął się sam w sypialni... A ja zaraz dogadałem się z ową gospodynią, posłałem po karetę, wsadziłem ją razem z tobołami i — do siebie na kwaterę. A na drugi dzień — do Moskwy. Tydzień se popłakała, ale myślę, że dla pozoru. A teraz w moim pałacu jak ptaszek...

Ani zmiarkować — czy Piotr słucha, czy nie... Pod koniec opowiadania zakaszła. Aleksaszka znał na wylot wszystkie jego kaszle. Zrozumiał — Piotr Aleksiejewicz słuchał uważnie.

VI

Browkin, Swiesznikow, Kramarz, Zatrapię- zny i carscy goście: Dubrowski, Szczegolin, Jewreinow — budowali nad Jauzą i nad rzeką Moskwą fabryki sukna, płótna, jedwabiu, papiernie, warsztaty powroźnicze. Wielu przedsiębiorstwom nadano z Pomiestnego Urzędu wioski na wieczyste władanie (do Urzędu przechodziły dobra szlachty poległej na wojnie lub ukaranej przez cara).

Kupiectwo ocknęło się z drzemki. Zbierając się na wielkim ganku Izby Burmistrzowskiej, szybko odbudowanej po pożarze ~ gadali jeno o świeżo podbitej Ingrii, gdzie należało już tego lata mocno usadzić się na brzegu

morskim. Z loszków wydobywali zakopane przez dziadów garnki z dukatami i talarami. Rozsyłali faktorów po bazarach i karczmach— werbować ludzi do roboty na oblig.

W ciągu tej zimy Iwan Artiemicz rozszerzył swoje przedsiębiorstwa. Za pośrednictwem Mieńszykowa uzyskał prawo brania z więzień Romodanowskiego kajdaniarzy na ciężkie obligi — umieszczał ich, jednych zakutyh w łańcuchy, innych bez łańcuchów, w swoich fabrykach sukna i płótna, szumiących wodnymi kołami na Jauzie. Za siedemset rubli wykupił znamienitego majstra kowalskiego Zemowa (przywiózł go z Woroneża trójką koni), a ów w nowym tartaku Iwana Artiemicza w Sokolnikach zaraz postawił nigdy nie widzianą maszynę ognistą, pracującą parą z kotła.

Nie starczało nigdzie rąk roboczych. Z nadanych wiosek wielu ludzi uciekało przed nową niewolą na dzikie kresy. Ciężko pracować we wsi na pańszczyźnie — czasem koniowi bywa lżej niż chłopu. Ale niewola w tych fabrykach zdawała się jeszcze bardziej beznadziejna — gorsza niż więzienie i dla kajdaniarza, i dla najemnika. Dokoła — wysoki tyn, przy bramie — strażę bardziej rozżarte niż psy. W ciemnych komorach, zgarbiony nad stukającym warsztatem, nawet pieśni nie zaśpiewasz — cudzoziemiec majster oparzy plecy trzcina, zagrozi karcerem. We wsi to chłop choć w zimie wyśpi się na piecu. Tu zimą i latem, dniem i nocą machaj czółenkiem. Zapłata, odzież — dawno przepite, z góry. Niewola. Ale najstraszniejsze, ciemne wieści krążyły o uralskich fabrykach i kopalniach Akinfija Demidowa. Z przypisanych do nich powiatów ludzie uciekali bez pamięci z samego strachu.

Faktorzy, werbownicy Akinfija Demidowa chodzili po bazarach i karczmach, hojnie częstowali każdego, przedstawiali wymownie, jakie to lekkie życie na Uralu. Ziemi tam niezmierzone obszary i popracuj z roczek, pieniążki zaszyjesz w czapkę, idź z Bogiem, nie zatrzymujemy... Chcesz — staraj się, szukaj złota — bo tam złota pod nogami jak mierzwy.

Spoiwszy upatrzonego człeka, taki faktor namową albo oszustwem, przy karczmarzu jako świadku, podsuwał oblig: — Zrób tu, głowo kochana, krzyżyk atramentem. — I — przepadł człowiek. Sadzali go na wóz, jeśli gwałtownik — nakładali łańcuchy, wieźli tysiące wiorst, za Wołgę, za porośle ostnicą stepy kirgiskie, za wysokie, lesiste góry — do niewiańskiej fabryki, do kopalń. A stamtąd to już mało kto wracał. Przykuwano tam ludzi do kowadeł, do hutniczych pieców. Krnąbrnych sieczono różgami. Uciec nie ma dokąd — jezdni Kozacy z arkanami strzegli wszystkich dróg i ścieżyn leśnych. A tych, co próbowali podburzać, rzucano do głębokich szybów, topiono w stawach.

Po Bożym Narodzeniu rozpoczęto nowy pobór do wojska. Po wszystkich miastach car

scy werbownicy najmowali cieśli, kamieniarzy, kopaczy. Od Moskwy do Nowogrodu sporządzano pogłówny spis do podwód.

VII

— Czemu nie pokazujesz Katarzyny?

— Płoszy się, min herc... Pokochała mnie, przywiązała się tak, że na nikogo nie spojrzy... Żenić się z nią czy co...

— Czemu się nie ożenisz?

— No jakże, przecie...

Mieńszykow przysiadł na wywoskowanej podłodze przy kominku, odwracając twarz grzebał wśród płonących polan. Wiatr wył w kominie, grzmiał na blaszanym dachu. Śnieg walił w szyby wysokiego okna. Na stole chwiały się płomyki dwóch świec woskowych. Piotr palił fajkę, pił wino, ocierał serwetą czerwoną twarz, mokre włosy. Dopiero co wrócił z Tuły Sjl z fabryk — i nie wstępując do Preobrażeńskiego pojechał prosto do Mieńszykowa, do łaźni. Parzył się trzy godziny. Zasiadł do wieczerzy (nakazał, by w małej jadalni nikogo nie było, nawet służby) w perfumowanej bieliźnie Aleksaszki, w jego jedwabnym kaftanie, bez halsztuka — z odkrytą piersią — rozpytywał o różne błahe sprawy, śmiał się. I nagle spytał o Katarzynę (od czasu rozmowy w karecie wspominał o niej po raz pierwszy).

-7- Żenić się przy moim niskim pochodzeniu, Piotrze Aleksiejewiczu, a jeszcze z branką... Bo ja wiem... (Grzebał pogrzebaczem, sypały się iskry.) Swatają mi Awdotię Arse- niewą. Ród stary, ze Złotej Ordy... Przecie zakryje moje pierogi... W pałacu ciągle mam cudzoziemców — pytają najpierw, z kim jestem ożeniony, jaki mój tytuł... A te nasze opasy z wielkich rodów — radzi im szepczą: „Przecie on wzięty z ulicy...” Bgi Słusznie — rzekł Piotr. Otarł się serwetką. Oczy mu błyszczały.

— Żebym choć tytuł dostał: hrabski czy jaki. — Aleksaszka rzucił pogrzebacz. Zasłonił palenisko miedzianą siatką, wrócił do stołu. — Zamieć, że strach. Min herc, nie ma co myśleć nawet, żebyś jechał do domu.

— Wcale się nie wybieram.

Mieńszykow wziął kieliszek — zadrzał mu w rękę. Siedział nie podnosząc oczu.

— Nie ja wszcząłem tę rozmowę, sameś zaczął — rzekł Piotr. — Pójdź, zawołaj ją...

Aleksaszka pobladł. Podniósł się mocnym ruchem. Wyszedł. Piotr siedział kołysząc nogą. W domu było cicho, jeno zamieć hulała po obszernych poddaszach. Piotr słuchał podniósłszy brwi. Noga huśtała się niby nakręcona. Znowu kroki — szybkie, gniewne. Aleksaszka wrócił, stał w otwartych drzwiach przygryzając wargi.

— Zaraz przyjdzie.

Piotr poczuł chłód w uszach — słuchał:

zdawało się, że w ciszy domu wesoło, beztrudnie biegają lekkie nogi niewieście na postukujących obcasikach,

— Wejdziesz, nie bój się — Aleksaszka wpuściła Katarzynę.

Wchodząc z mroku korytarza w światło świec zmrużyła lekko oczy. Spojrzała na Aleksaszkę jakby pytając (sięgała mu do ramienia, czarnowłosa, z ruchliwymi brwiami), tym samym lekkim krokiem podeszła bez obawy do Piotra, dygnęła nisko, wzięła niby martwy przedmiot jego dużą rękę leżącą na stole, pocałowała. Poczuli ciepło jej warg i chłodek równych, białych ząbków. Złożyła ręce pod białym fartuszkim, przystanęła przed fotelem Piotra. Nogi, co ją tak lekko tu przyniosły, były z lekka rozstawione pod spódnicami. Patrzyła w oczy jasno, wesoło. a- . — Siadaj, Katarzyno.

Odpowiedziała łamaną ruszczyzną, ale ta[^] kim miłym głosem — od razu zrobiło mu się cieplej przy kominie, przytulniej wśród wycia wiatru, znikł chłodek w uszach, przestał machać nogą. Odpowiedziała:

— Usiądę, dzięki. — Zaraz przysiadła na brzeżku krzesła, wciąż jeszcze trzymając ręce na brzuchu pod fartuchem.

— Pijesz wino?

— Piję, dziękuję.

— Niezgorzej ci się dzieje w niewoli? 5j:>-r Niezgorzej, dziękuję...

Aleksaszka przyszedł ponury, nalał wina wszystkim trojgu.

[— Cóż tak ciągle śpiewasz: dziękuję a dziękuję. Opowiedz coś.

.; — A cóż powiem, oni nie prosty człowiek.

Wyciągnęła ręce spod fartucha, wzięła kieliszek, uśmiechnęła się do Piotra bystrymi oczyma.

— Oni sami wiedzą, o czym rozmawiać...

Piotr roześmiał się. Już dawno nie śmiał się tak dobrotliwie. Począł rozpytywać Katarzynę, skąd pochodzi, gdzie mieszkała, jak dostała się do niewoli. Odpowiadając wygodniej usiadła na krześle, wsparła na obrusie obnażone łokcie; ciemne oczy błyszczały, lśniły się jak jedwab czarne kędziory, dwoma pasmami opadające na lekko falującą pierś. I zdawało się, iż równie lekko jak przed chwilą po schodach przebiegła poprzez wszystkie przykrości swego króciutkiego żywota...

Aleksaszka wciąż dolewał do kieliszków. Dorzucił polan do komina. Wyła północna zawieja. Piotr przeciągnął się, zmarszczył krótki nos — popatrzył na Katarzynę.

— No cóż, trza by spać, co? Pójdę... Kasiu, weź świecę, poświecisz mi...

Ponury chłop Fied'ka Umyj-się-Błotem, ze świeżym pasowym piętrem na czole, rozstawiwszy na wysokich kozłach boscie noćji skute łańcuchem, przesuwał w rękach długą rękojeść dębowego młota i walił z rozmachem w wierzch pala. Chłop był krzepki. Inni — ten postawił taczki, ów stał po pas w wodzie,

zadarłszy brodę, tamten zrzucił z ramienia belkę — patrzyli, jak z każdym uderzeniem pal zagłębia się w grząski brzeg.

Wbijano pierwszy pal dla umocnienia brzegów małej wysepki Janni-saari, co po fińsku znaczy — wyspa zajęcza. Trzy tygodnie temu rosyjskim wojskom poddała się na parol ziemna twierdza Nienschanz — o dwie wiorsty w górę Newy. Szwedzi opuścili brzeg Newy i cofnęli się za rzekę Siestrę. Szwedzka flota, obawiając się mielizn, ciemniała żaglami daleko na zatoce, na rozslonecznionej łusce fal. Dwa nieduże statki odważyły się wejść w ujście Newy — do wyspy Chirwi-saari — gdzie w leśnym zasieku ukrywała się bateria kapitana Wasiliewa — lecz galery oblepiły okręty, szepiły się z nimi i zdobyły w boju.

Krwawymi trudami zostało otwarte przejście z Ładogi na otwarte morze. Ze wschodu ciągnęły niezliczone tabory, rzesze robotników i kajdaniarzy. (Piotr pisał do Romodanowskiego: „...ludzi brak wielki, każ we wszystkich miastach, urzędach i ratuszach zebrać łotrzyków — i ślać ich tutaj”.) Tysiące robotników, którzy przewoźowali tysiące wiorst, przewożono tratwami i czółnami na prawy brzeg Newy, na wyspę Kojbu-saari, gdzie na brzegu stały szałas i ziemianki, dymiły ogniska, stukwały topory, zgrzytały piły. Tu, na kraj świata, szli a szli robotnicy, bez powrotu. Przed Kojbu-saari — na Newie — na błotnistej wysepce Janni-saari, na straży drogo okupionego ujścia wszystkich dróg handlowych ziemi rosyjskiej — zaczęto budować twierdzę o sześciu bastionach. („...Będzie ją budowało sześciu naczelników: pierwszy bastion buduje bombardier Piotr Aleksiejew, drugi — Mieńszykow, trzeci — książę Trubeckoj, czwarty — książę-papież Zotow...”.) Po założeniu fundamentów na wielkiej uczcie w ziemiance Piotra, wśród toastów i strzelania z dział, obmyślono nazwę dla twierdzy — Piterburg.

Otwarte morze było stąd na długość ręki. Wiatr pokrywał je wesołą łuską. Na zachodzie, za żaglami szwedzkich okrętów, wznosiły się wysoko chmury morskie — niby dymy innego świata... Na te nierosyjskie chmury, na wodny obszar, na straszne pożary wieczornej zorzy patrzyli jeno dozoruujący żołnierze na pustynnej wyspie Kotlin. Brakło chleba. Ze spustoszonej Ingrii, gdzie zaczęła się szerzyć zaraza, nie było dowozu. Jedzono korzenie, tłuczono korę drzew. Piotr pisał do księcia-cesarza prosząc ciągle o przysłanie ludzi: — Dużo tu choruje, a wiele pomarło. — Ciągnęły i ciągnęły tabory, robotnicy, kajdaniarze...

Z włosami opadającymi na rozpalone, mokre czoło Fied'ka Umyj-się-Błotem młotem dębowym walił a walił w pale...

KONIEC KSIĘGI DRUGIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

W Moskwie zrobiło się nudno. W porze obiadowej -7?: w upale lipcowym — jeno bezpańskie psy wałęsały się ze zwieszonymi ogonami po krzywych ulicach obwąchując przeróżne niepotrzebne rupiecie, które ludzie wyrzucali za wrota. Na placach nie było dawnej ciżby i krzyku — gdzie niejednemu zacnemu człowiekowi poobrywano poły przy zapraszaniu do straganów albo kieszenie wyrócono na nice, nim zdołał kupić coś w tym kołowrocie. Bywało dawniej, iż przed świtaniem jeszcze ze wszystkich przedmieść — arbackich, suchariewskich, zamoskworieckich — ciągnęły pełne wozy towarów łokciowych, żelaznych, skórzanych, garnki, czarki, kaganki, obarzanki, rzeszota z jagodami, przeróżne warzywa, niesiono drażki z chodakami, niecki z pierogami, na placach rozstawiano z pośpiechem wozy i stragany. Opustoszały osady strzeleckie, obejścia zakłęśły, obrosły bujnie pokrzywą. Mnóstwo ludu pracowało teraz w nowo otwartych manufakturach wespół z kajdaniarzami i pańszczyźnia- "Ymi. Płótno i sukno szło stąd prosto do

Urzędu Preobrażeńskiego. We wszystkich kuźniach moskiewskich kuto szpady, piki, strzemiona i ostrogi. W całej Moskwie nie można było dostać konopnego powrózka — skarb zabrał wszystkie konopie.

Nie stało też dawnego dzwonienia od zorzy do zorzy — w wielu cerkwiach zdjęto wielkie dzwony, odwieziono do ludwisarni i przetopiono na działa. Dzwonnik od Starego Pimena, gdy prześmierdli tytoniskiem dragoni ściągnęli z dzwonnicy wielki dzwon, spił się na umór i chciał się na belce powiesić, a potem leżąc skrępowany na skrzyni wykrzykiwał w szaleństwie, iż Moskwa słynęła była ze wspaniałego dzwonienia, a teraz nad Moskwą nastanie tęskność.

Dawniej przed wrotami każdego bojarzkiego dworu zuchwali dworscy sługusi w czapkach na bakier przekpiwali się, grali w klipe, w orła i reszkę albo też po prostu napastowali każdego — pieszego czy konnego — śmiech, zberezeństwo, szarpanina. A teraz wrota zaryglowane, w rozległym obejściu — cisza; czeladź wzięta do wojska, synowie i zięciowie pańscy albo służą w pułkach jako podoficerowie, albo wysłano ich za morze, wyrostki — uczą się w szkołach nawigacji, matematyki i fortyfikacji, a sam pan siedzi bez- czynnie przy otwartym okienku — rad, i? choć przez krótki czas nieobecny car Pi^ot^l nie przymusza go do palenia tytoniu, skrobania brody albo też wywijania i podrygiwania nogami w białych pończochach po kolana, w peruce z babskich kłaków — do pępka.

Niewesołe, tęskne są myśli pana siedzącego przy okienku... „Tak czy owak mego Miszki matematyki nie wyuczycie, Moskwę zbudowano bez matematyki, Bogu dzięki, pięćset lat żyliśmy bez matematyki — lepiej niż teraz; wiadomo — z tej wojny nie wyniknie nic innego okrom rujnacji ostatecznej, choćby nie wiem jak obwozić na złoconym wozie sprośnych pogańskich Neptunów i Wenerki ku chwale wspaniałej wiktorii odniesionej nad Newą... Szwed jak amen w pacierzu pobije nasze wojsko, a i Tatarzy dawno już na to czekają, wyjdą ordą z Krymu, przeprawią się przez Okę... Och-hol!”

Pan wetknął gruby palec w talerzyk z malinami — przekłete osy oblepiły cały talerzyk i parapel! Przesuwając leniwo paciorki różańca z pestek oliwkowych — z góry Athos — bojarzyn spoglądał na podwórze. Opuszczenie! Który to już rok dla carskich fantazji i zabaw o swej chudobie nie ma kiedy pomyśleć... Spichrze pochyliły się, darń na piwnicach osiadła, wszędzie szkaradny chwast... „Popatrzcie no, kury takie jakieś długonogie, a i kaczki jakoś teraz drobniejszej garbate prosięta — brudne i zabiedzone — idą gęsiego za lochą. Och-hol...” Brał to pan na rozum, że trza by zawołać świniarkę i pastuszkę i tuż pod oknem wysmagać je

witką, zadarłszy kieciki. Ale w taki upał krzyżeć i złościć się — szkoda zdrowia.

Pan powiódł oczyma wyżej — ponad ty- nem, ponad lipami pokrytymi biało-żółtym kwieciami i brzęczącymi pszczołami. Niedaleko widniały zwietrzałe mury Kremla, w których — między blankami — rosły krzewy. A to Piotr Aleksiejewicz się docarował, Boże odpuść! Fosa twierdzy już od samej Bramy Troickiej, gdzie leżały kupy śmiecia, całkiem zamieniła się w bajoro, kura przez nią przejdzie, a smród wali stamtąd!... I rzeczka Nie- glinna spłycała, po prawej stronie od niej jest bazar Gałganiarski, gdzie z ręki do ręki przechodzi kradziony towar, a na lewym brzegu chłopcy w .uwalanych koszulach siedzą pod murem z wędkami i nikt ich stamtąd nie pędzi...

W kramach na placu Czerwonym kupy zamykają sklepy, wybierają się na obiad — wszystko jedno, targi i tak marne — zawieszają na drzwiach pudowe kłódki. I dzwonnik przymknął drzwi, potrząsnął koźlą brodą na dziadów i również poszedł wolniutko do domu — pojeść kwasu z cebulą, z rybą wędzoną, a potem — chrapanąć w chłodku pod bzem. A dziady, żebracy, pokraki wszelkie, spełzli z przedsionka cerkwi i powlekli się wśród skwaru południa — każdy gdzieś tam-

W samej rzeczy czas by już zabrać się do obiadu, bo to słabość zupełnie człowiekiem oładnęła, taka markotność. Pan wpatrzył się, wyciągnął szyję i wargi, nawet uniół się z zydlą i przysłonił oczy dłonią — po murowanym moście, który przerzucono od Bramy Troickiej przez Nieglinną aż do bazaru Gał- ganiarskiego, jechała połyskująca w słońcu oszklona karetą, zaprzężona w cugową czwórkę siwych koni, z malinowym hajdukiem na stopniu. To ukochana siostra cara Piotra, ca- równa Natalia, równie niespokojnego obyczaju co brat, wyruszyła na wyprawę. Święci pańscy, dokądże to ona jedzie? Pan opędzając się gniewnie chusteczką przed osami wychylił się przez okienko.

— Griszutka! — krzyknął na niedużego chłopaka w zgrzebnej koszuli, czerwonej pod pachami, moczącego nogi w kałuży koło studni — biegaj co tchu, bo ja cię tu!... Zobaczysz na Twerskiej złoconą karetę — biegnij za nią nie odstępując, a jak wrócisz, powiesz, dokąd pojechała...

II

Czwórka siwków — czerwone pióropusze przy uszach, blachy miedziane i brzękadła na szorach — ciężkim klusem poniosła karetę przez rozległą łąkę i zatrzymała się przed starym pałacem Izmajłowskim. Pobudował go jeszcze car Aleksy Michajłowicz, który lubił w swej posiadłości oddawać się różnym fantazjom; dotychczas razem z krowami pasły się dwie obłaskawione klepy, w dołach siedziały niedźwiedzie, po podwórzu chodziły wśród

drobiu pawie, sypiające latem na drzewach. Na bierwionowym, szerniałym od lat pałacu nie zliczyć mieniących się barwami i cynowanych dachów nad świetlicami, galeriami i gankami: stromych, grzebieniastych niby jazgarz, to beczkowatych, to niby kokosznik. Nad dachami w ciszy południa pruły powietrze złe jerzyki. Wszystkie okna pałacu zamknięte. Na ganku drzemał na jednej nodze stary kogut; gdy nadjechała karetą, spostrzegł się, zapiał jak ogień i pobiegł — kury pod wszystkimi ganeczkami zagdakały. Wówczas otwarły się niziutkie drzwi dolnej izby i wysunął się stróż, również stary. Ujrzawszy karetę ukląkł bez pośpiechu i pochylił czoło ku ziemi.

Carówna Natalia wysunęła głowę z karety i spytała niecierpliwie:

— Gdzie panny, dziadziu?

Stary powstał, wysunął siwą brodę i wydłużył wargi.

— Witaj, matuchno, śliczna carówno Natalio Aleksiejewno, witaj — i spoglądał na nią życzliwie spod brwi zasłaniających mu oczy. — Ach, ty przez Boga zesłana, kocha- neczko. Gdzie panny, pytasz? Gdzie panny, nie wiem, nie widziałem.

Natalia wyskoczyła z karety, zdarła z głowy ciężki, perłowy, rogaty diadem, zrzuciła z ramion brokatowy letnik — przywdziewała staromoskiewską odzież jeno na wyjazd — Wasilisa Miasnaja, zaufana bojarynia, zabrała to wszystko do karety. Natalia, wysoka, smukła, rączna, w lekkiej holenderskiej odzieży, przeszła przez łąkę ku zagajnikowi. Tam w chłodzie aż oczy przymknęła — tak mocna była i słodka woń kwitnących lip.

— Aul — krzyknęła Natalia.

Nie opodał, z tamtego brzegu, gdzie za drzewami słońce odbite od wody raziło oczy, odkrzyknął leniwy głos niewieści. Nad brzegiem stawu, w pobliżu wody, na piasku tuż obok kładki stał pstry namiot, a w jego cieniu cztery młode kobiety leżały na poduszkach zmorzone upałem. Zerwały się spieszenie na spotkanie Natalii, rozgrzane, z rozplecionymi warkoczami. Najstarsza, niziutka, z długim nosem, Anisja Tołstaja, podbiegła do niej pierwsza i klasnęła w dłonie przewracając ruchliwymi oczyma.

— Natalka, słoneczko nasze, carówna miłościwa, ach! ach! Toaleta zagraniczna! Ach! ach! bóstwo!

Dwie inne — siostry Aleksandra Daniłowi- cza Mieńszykowa, niedawno rozkazem Piotra zabrane z domu ojcowego do pałacu w Izmaj- łowie pod opiekę Anisji Tołstoj dla nabrania poloru i nauki — młode panny Marta i Anna, obie hoże, mało jeszcze okrzese, rozchyliły obrzmiałe wargi, rozwarły rzęsy spozierając przezroczo na carównę. Miała na sobie strój holenderski: czerwoną, szeroką spódniczkę z cieniutkiej wełny z potrójną złotą lamówką u dołu i niesłychanie wąziutki staniczek; szyja i ramiona były obnażone, ręce do łokcia — gołe. Natalia sama rozumiała, że można

ją równać jeno z boginią, choćby z Dianą, jej okrągła twarz z krótkim nosem, zadartym podobnie jak u brata, drobne uszki, usteczka — wszystko było jasne, młodzieńcze, harde.

• — Toaletę przywieziono mi wczoraj, przysłała z Hagi Sańka, Aleksandra Iwanowna Wołkowa... Ładna i ciału daje swobodę. Już- ci, nie od wielkiej parady, ale do gaju, na łąkę, do zabawy.

Natalia okręcała się, by mogły obejrzeć dokładnie. Czwarta młoda kobieta stała opodal ze skromnie złożonymi, opuszczonymi na po- dołek rękoma, uśmiechając się świeżymi jak wiśnia, filuternymi wargami; i oczy miała jak wiśnie, rozedrgane iskierkami, niewieście; Kragłe policzki — zarumienione od upału, ciemne falujące włosy — również wilgotne. Natalia, obracając się wśród okrzyków i pla- skania w ręce, spojrzała na nią kilkakrotnie, odęła porywczo dolną wargę; sama jeszcze nie pojmowała: czy miła jest jej, czy też nieprzyjemna ta marienburska branka, wzięta spod wozu w żołnierskim lejniku do namiotu feldmarszałka Szeremietiewa, wyhandlowana odeń przez Mieńszykowa i pewnej nocy, przy płonącym kominku i szklance wina — po* kornie oddana Piotrowi Aleksiejewiczowi.

Natalia była dziewczicą w przeciwieństwie do siostr przyrodnich — rodzonych siostr zamkniętej w klasztorze regentki Zofii — caró- wien Kaśki i Maszki, z których miała uciechę cała Moskwa. Natalia miała usposobienie zapalczywe i nieustępliwe. Nieraz Kaśkę i Maszkę wyzywała od szantrap i krów — w podnieceniu policzkowała je. Wygnała ze swego dworu dawne obyczaje teremowe, gorące, sprośne szeptu niewiast, dworskich zausznic. Nawet bratu Piotrowi Aleksiejewiczowi wypominała, gdy on, po odprawieniu swego czasu bezwstydnego faworyty Anny Mons, stał się zbytnio już niewybredny i prostacki z podwikami. Natalia myślała z początku, że i ta żołnierska branka też jeno na pół godziny: otrząśnie się i zapomni. Tymczasem nie, Piotr Aleksiejewicz nie zapomniał owego wieczora u Mieńszykowa, gdy wiatr huczał a Katarzyna wzięwszy świecę prowadziła go do sypialni. Kazano kupić dla gospodyni Mieńszykowa niewielki domek na Arbacie, dokąd sam Aleksander Daniłowicz odwiózł jej pościel, toboły i koszyki, a w krótkim czasie stamtąd przewieziono ją do pałacu Izmajłowskiego pod opiekę Anisji Tołstoj.

Tu żyła sobie Katarzyna bez frasunku, zawsze wesoła, prostoduszna, świeża, choć swego czasu poniewierała się pod żołnierskim wozem. Piotr Aleksiejewicz często przysyłał jej przez okazję krótkie, żartobliwe listy — czy to ze Swiru, gdzie zaczął budować flotę bałtycką, czy z nowego miasta Piterburga, czy. też z Woroneża. Tęsknił za nią. A ona, sylabizując jego karteluski, jeszcze bardziej rozkwitała. W Natalii rozżęła się ciekawość: czymże wreszcie tak go oczarowała? — Chcesz, to ci sprawię taki strój na przy

jazd miłościwego pana? — rzekła patrząc surowo na Katarzynę.

Tamta dygnęła i bąknęła zmieszana:

— Bardzo chcę... Dziękuję...

— Ona się ciebie boi, słoneczko Natałko — szepnęła Anisja Tołstaja — nie spalaj jej tak spojrzeniem, bądź dla niej miększa. Ja jej i siak, i owak o twej dobroci — a ona precz swoje: „Carówna bezgrzeszna, jam — grzesznica, niczym — powiada —■ na jej dobroć nie zasłużyłam... Miłościwy pan pokochał mnie — powiada a dla mnie to dziwne niby grom z jasnego nieba, nie mogę przyjść do siebie...” No i te dwie moje błażnice wiecznie nagabują ją pytaniami — a co z nią było, a jak. Macie oto — powiadam — bogów greckich i Amorów, o ich przygodach myślcie i rozprawiajcie... Ale gdzie tam, tak się w nie wżarło to chłopstwo — paplać o pospolitosciach... Od rana do nocy powtarzam im: byliście niewolnicami, jesteście boginiami.

Koniki polne z gorąca tak rozczykały się w skoszonej trawie, że uszy puchły. W oddali, na drugim brzegu stawu, czarny sosnowy bór zdawał się wierzchołkami rozplywać w omgleniu. Na osokach siedziały ważki, na bładwej wodzie ślizgały się nartniki. Natalia weszła w cień namiotu, zdjęła staniczek, kasztanowate warkocze opłótła dokoła głowy, rozpięła i upuściła spódniczkę, wyszła z niej, zrzuciła cienką koszulę i całkiem jak na rycinach holenderskich, które od czasu do czasu przysyłano wraz z książkami z Urzędu Pałacowego, nie wstydząc się nagości — weszła na pomost.

— Wszystkie kąpać się! — krzyknęła Natalia obracając się do namiotu i wciąż jeszcze okręcając warkocze.

Marta i Anna ceregielowały się przy rozbieraniu, aż Anisja Tołstaja krzyknęła na nie: — Cóż tak kucacie, tłuściochy, nikt się na wasze wdzięki nie połaszczy! — Katarzyna zmieszana się również, spostrzegając, że carówna ogląda ją uważnie. Carówna jakby i brzydziła się nią, i lubowała. Gdy Katarzyna opuściwszy kędzierzawą głowę szła ostrożnie po skoszonej trawie i żar ozłocił ją — krągło-ramienną, krzepkobiodrą, nalaną zdrowiem i siłą — Natalia pomyślała, że braciszek budując na północy okręty musi oczywiście tęsknić za tą kobietą i z pewnością poprzez dym tytoniowy przywiduje mu się, jak ona pięknymi rękoma podniesie niemowlę do wysokiej piersi... Natalia nabrawszy pełną pierś powietrza rzuciła się z zamkniętymi oczyma w zimną wodę... W tym miejscu z dna tryskały źródła.

Katarzyna statecznie zlazła boczkiem z pomostu, zanurzając się coraz śmielej; zaśmiała się z uciechy i wtedy dopiero Natalia zmiarkowała, że — zda się — gotowa jest polubić ją. Podpłynęła i położyła ręce na jej śniadych ramionach.

— Ładnaś, Katarzyno, cieszę się, że brat kocha ciebie.

— Dziękuję, miłościwa pani...

— Możesz nazywać mnie Nataszą...

Pocałowała Katarzyną w chłodnawy, okrągły, mokry policzek, zajrzała w jej wiśniowe oczy.

— Bądź mądra, Katarzyno, będę ci przyjaciółką...

Marta i Anna zanurzały to jedną, to drugą nogę, wciąż jeszcze bały się, piszczały na pomoście. Anisja Tołstaja, zgniewana, siłą zepchnęła do wody obie hoże 'dziewoje. Wszystkie nartniki rozbiegły się, wszystkie ważki porwały się z osoki, fruwały, igrały nad kąpiącymi się boginkami.

III

W cieniu namiotu, okręciwszy mokre włosy, Natalia piła dopiero co przyniesione z piwnicy jagodowe nalewki, gruszowe miodki i kwaski. Wkładając do ust mały kawałek cukrowego piernika mówiła:

— Przykro patrzeć na nasze zacofanie. Bogu dzięki, nie jesteśmy głupszy od innych narodów, nasze panny tak są foremne i gładkie jak żadne inne — mówią to wszyscy cudzoziemcy — zdatne do nauki i polityki. Ile to już lat braciszek męczy się, siłą wyciąga ludzi z teremów, ze stęchlizny... Opierają się, nie panny — ojcowie i matki. Braciszek odjeżdżając na wojnę tak mnie błagał: „Natasza, zlituj się, nie folguj tym zacofanym brodaczm... Dopiekaj im, jeśli nie zechcą V° dobroci... Wsiąknijemy w to bajoro...” Morduję się samiotka... Bóg zapłać carowej Prask owii, że w ostatnich czasach pomaga mi; chociaż ciężko jej łamać starodawny obyczaj, a przecie ustanowiła dla córek nowe porządki: w niedziele po nabożeństwie wychodzą we francuskiej odzieży, piją kawę, słuchają grającej szkatułki i rozmawiają o rzeczach świeckich... A u mnie oto na Kremlu będzie na jesieni nowość, i jaka jeszcze!

— Cóż to będzie za nowość, słonko nasze? — spytała Anisja Tołstaja ocierając słodkie* usta.

— Nowość nie najgorsza... Teatrum... Rozumie się, że nie takie jak na dworze francuskim. Tam, w Wersalu, są przesławni akto- rowie, tancerze, malarze i muzykanci... A tu ja sama; a to tragedie przekładaj z francuskiego na rosyjski, a to i ułóż, czego brakuje, a to z komediantami się kramarz...

Gdy Natalia wyrzekła: „teatrum”, obie panny Mieńszykówny i Anisja Tołstaja, i Katarzyna, przysłuchująca się z utkwionym w nią zamyślnym spojrzeniem, spojrzały po sobie i plasnęły w dłonie.

— Na początek, żeby nie bardzo nastraszyć, będzie pokazane „Zdarzenie w piecu ognistym” ze śpiewem. Ze śpiewem wierszy. A na Nowy Rok, gdy miłościwy pan przyjedzie na święta i zjadą się z Piterburga, przedstawimy „Pouczające zdarzenie o rozwiązłym lubieżniku Don Zuanie, czyli jak go ziemia pochłonięła”... Już ja wszystkim każę przychodzić

do teatrum, a zaczął się upierać — będą posyłać dragonów, żeby przyprowadzali... Szkoda, że nie ma w Moskwie Aleksandry Iwanowny Wołkowej — ona by mi bardzo pomogła... Choćby ona, na przykład: pochodzi z nędznej chłopskiej rodziny, jej ojciec łykiem się podpasywał, sama dopiero zaczęła się uczyć czytać, gdy za mąż wyszła... A teraz mówi śmiało trzema językami, układa wiersze, obecnie przebywa w Hadze u naszego posła Andrzeja Artamonowicza Matwiejewa... Kawalerowie biją się o nią na szpady, są nawet zabici... A ona wybiera się do Paryża — na dwór Ludwika XIV — błyszczeć... Zrozumiałyście pożytek z nauki?

Tu Anisja szturchnęła twardą piąstką pod boki Martę i Annę.

— Czekaliście na to pytanie? A przyjedzie miłościwy pan i — zdarzy mu się — przyprowadzi do ciebie albo do ciebie grzecznego kawalera, a sam będzie słuchał, jak się zaczniesz błażnić...

— Anisjo, daj im spokój, upał — rzekła Natalia — no, bądźcie zdrowe. Muszę jeszcze pojechać do slobody Niemieckiej. Znowu skargi na siostronie. Lękam się, że dojdzie do miłościwego pana. Chcę z nimi rozmówić się ostro.

IV

Już dawno, po zamknięciu Zofii w klasztorze Nowodiewiczym, wysiedlono z Kremla na Pokrowkę carówny Katarzynę i Marię, byle z dala od oczu. Urząd Pałacowy wydawał im prowiant, dbał o ich wygodę, wypłacał pensje ich pieśniarzom, masztalerzom i całej czeladzi, lecz pieniądze do rąk carównom nie dawał: po pierwsze, nie było po co, a po wtóre, i niebezpiecznie, zważywszy ich głupotę.

Kaśka miała pod czterdziestkę, Maszka o rok mniej. W całej Moskwie wiedziano — na Pokrowce żarcie je rozpiera. Późno wstają, przez pół dnia siedzą rozmamłane przy oknach i ziewają do łez. A o zmierzchu — przychodzą do ich świetlicy pieśniarze z dom-rami i piszczałkami; carówny naróżowane niby jabłuszka, z brwiami poczerwionymi sadzą, wyfiokowane, słuchają pieśni, piją słodkie nalewki i skaczą, tańczą do późna noc, aż stary drewniany dom cały drży. Podobno carówny żyją z pieśniarzami, mają z nimi dzieci, które oddają na wychowanie do miasta Kimry.

Owi pieśniarze tak się rozpuścili, że na co dzień chodzą w malinowych jedwabnych koszulach, kunich wysokich czapkach, w safianowych butach, wciąż wyludniają od carównien pieniądze, które przepijają w loszku przy Bramie Pokrowskiej.

Żeby zdobyć pieniądze, carówny posyłają na bazar Gałganiarski babę kimriankę, Domnę Wachramiejewą, która mieszka w komórce pod schodami; baba sprzedaje ich znoszone suknie, lecz tych pieniędzy nie star

cza i carówna Katarzyna marzy o znalezieniu skarbów — dlatego nakazuje Domnie mieć sny o skarbach. Domna nieważ takie sny i carówna cieszy się nadzieją posiadania pieniędzy.

Natalia już dawno chciała rozmówić się ostro z siostrami, ale jakoś nie składało się; albo ulewny deszcz z grzmotami stanął na przeszkodzie, albo też co innego. Wczoraj doniesiono jej o nowych przygodach carówien: zachciało się im pojechać do slobody Niemieckiej. Wybrały się odkrytym powozem do domu posła holenderskiego; podczas gdy poseł — w zadziwieniu — wdziewał perukę, kaftan i przypasywał szpadę, Kaśka i Maszka siedziały w bawialni na krzesłach, szeptały i chichotały; a gdy poseł jął kłaniać się, jak wypada wobec wysoko postawionych osób — zamiatając kapeluszem podłogę, nie potrafiły odpowiedzieć, jeno uniosły zady nad krzesłami i zwały się z powrotem, i zaraz spytały: — Gdzie tu mieszka Niemka-cukiernica, która sprzedaje cukier i marcypany? — po to właśnie do niego przyjechały.

Posł holenderski uprzejmie poprowadził carówny do samego sklepu z cukrami. W sklepie łąpiąc rękami to i tamto wybrały cukruj karmelków, ciastek, marcypanowych. jabłuszek i jajeczek — na dziewięć rubli. Maria powiedziała:

— Prędko zanieście to do karety.

Kupcowa odrzekła:

— Bez pieniędzy nie zaniosę.

Carówny poszeptały gniewnie i rzekły do niej:

— Zapakuj, zapieczętuć, pieniądze odeślemy później.

Już ze wszystkim straciwszy wstyd, ze sklepu z cukrami pojechały do byłej faworyty Anny Mons, która ciągle mieszkała w tym samym domu, zbudowanym dla niej na rozkaz Piotra Aleksiejewicza. Nie od razu wpuszczono do niej carówny; wypadło długo stukać, psiska wyły na uwięzi. Dawna faworyta przyjęła je w łóżku, chyba położyła się naumyślnie. Rzekły do niej:

— Bądź zdrowa przez długie lata, droga Anno Iwanowno; wiemy, że pożyczasz pieniądze na lichwę, daj nam chociaż ze sto rubli, ale chciałybyśmy dwieście.

Monsówna odpowiedziała z całą zawziętością:

— Bez zastawu nie dam.

Katarzyna aż się rozplakała.

— Krucho u nas, nie mamy zastawu, myślałyśmy, że tak wyprosimy.

I carówny poszły precz z domu faworyty.

Wtenczas zachciało im się jeść. Kazały zatrzymać karete przed pewnym domem, bo zobaczyły przez otwarte okna, że tam bawią się goście; to żona sierżanta Daniły Judina, będącego w owym czasie na wojnie w Inflantach, urodziła bliźnięta i teraz wyprawiała chrzciny. Carówny weszły do domu i przy- mówiły się o poczęstunek; przyjęto je z honorami.

W jakie trzy godziny potem, gdy opuściły sierzantową, poznał je w karecie idący drogą kupiec angielski, William Peel, a one go zatrzymały i spytały, czy nie zechciałby poczęstować ich obiadem. William Peel podrzucił w górę kapelusz i rzekł wesoło:— Z największą przyjemnością! — Carówny pojechały do niego, jadły i piły angielską wódkę i piwo. Przed wieczorem wyjechawszy od Peela odbyły przejażdżkę po slobodzie zaglądając w oświetlone okna. Katarzyna pragnęła wprosić się jeszcze gdzieś na wieczerzę, lecz Maria powstrzymywała ją. Tak oto wietrzyły się do samego zmierzchu.

V

Kareta Natalii gnała całym pędem przez sło- bodę Niemiecką obok drewnianych domków kunsztownie pomalowanych na cegłę, obok długich i przysadzistych składów kupieckich z bramami okutymi żelazem, obok zabawnie przystrzyżonych krzewów w żywopłotach; wszędzie w poprzek ulicy wisiały malowane szyldy, otwarte drzwi sklepików — obwieszone różnymi towarami. Natalia siedziała z zaciśniętymi wargami, nie patrząc na nikogo, na podobieństwo kukły — w rogatym diamencie, letniku zarzuconym na ramiona. Kłaniały się jej grubasy w szelkach i szydełkowej roboty szlafmycach; stateczne niewiasty w słomkowych kapelusikach pokazywały

\, M

dzieciom jej karete? odskakiwał z drogi jakiś strojniś w kaftanie odstającym na bokach, osłaniał się kapeluszem od kurzu; Natalia omal nie płakała ze wstydu, rozumiejąc doskonale, że Maszka i Kaśka ubawiły całą sło- bodę, a teraz, oczywista — wszystkie Holenderki, Szwajcarki, Angielki, Niemki jazgoczą o tym, że siostry cara Piotra to dzikuski, zgłodniałe dziadówki.

Odkryty powóz sióstr dostrzegła w krzywym zaułku przy pasiastej czerwono-żółtej bramie domu posła pruskiego, Kayserlinga, o którym powiadano, że rad by się żenić z Anną Mons, ale ciągle jeszcze obawia się Piotra Aleksiejewicza. Natalia zastukała pierścieniami w przednią szybę, stangret odwrócił smolistą brodę i z przejściem krzyknął: — Tpru-u, gołąbki! — Siwki stanęły, ciężko robiąc bokami. Natalia rzekła do zaufanej bojaryni:

— Idź, Wasiliso Matwiejewno, rzeknij posłowi niemieckiemu, że niby Katarzyna Aleksiejewna i Maria Aleksiejewna są mi bardzo potrzebne... I nie daj im przelknąć ani kęsa, wyprowadź choćby siłą...

Wasilisa Miasnaja, wzdychając cicho, wydostała się z karety. Natalia opadła na siedzenie i jęła czekać wyłamując palce. Wkrótce poseł Kayserling zbiegł z ganku — szczuplutki, drobny, z cielecymi rzęsami; przyciskając do piersi schwyty w pośpiechu kapelusz i laskę, kłaniając się na każdym stopniu, wywijał nogami w czerwonych poń

czochach, przymilnie wysuwał ostry nos, błagał carównę, by zaszła do niego pokosztować zimnego piwa.

— Brak czasu! — rzekła Natalia ostro. — Nie będę u ciebie pić piwa... Zajmujesz się waszmość brzydkimi sprawami... (Nie pozwalając mu otworzyć ust.) Idź, idź, a przyślij mi carówny jak najprędzej...

Katarzyna Aleksiejewna i Maria Aleksiejewna wyszły wreszcie z domu niby dwie kopy — w szerokich falbaniastych sukniach z potrzebami; obie miały krągłe oblicza, jednakowo wystraszone, naróżowane, głupie, miast własnych włosów — kruczoczarne peruki zafrызowane wysoko, obwieszane paciorkami. (Natalia aż jęknęła przez zęby.) Carówny mrużyły na słońcu opłknięte tłuszczem oczy, za nimi bo jary ni Miasnaja syczała: —• Nie róbcie sobie wstydu, wsiadajcie prędzej do jej karety. — Kayserling wśród ukłonów otworzył drzwiczki. Carówny, zapomniawszy nawet pożegnać się z nim, wtoczyły się do karety i z trudem umieściły na ławeczce naprzeciw Natalii. Kareta, wzniciając kurz czerwonymi kołami i przechylając się na boki, pomknęła przez pustkowie ku Pokrowce.

Natalia milczała przez całą drogę, carówny ze zdziwieniem wachlowały się chusteczkami! I dopiero wszedłszy do nich na górę do Białni i nakazawszy zamknąć drzwi Natalia wywnętrzyła się:

— Czyście wy, bezwstydnice, całkiem oszft' lały, czy też zachciało się wam pod klucz m klasztoru? Mało wam osławy w Moskwie? Trzeba wam jeszcze hańby przed całym światem? A kto to nauczył was do posłów rozjeżdzać? Przyjrzyjcie się w zwierciadle — tłuszcz ledwie nie rozsądzi policzków, a jeszcze zachciało się im holenderskich i niemieckich przysmaków! Gdzieście miały rozum kłaniać się o dwieście rubli przed tą obrzydłą babą, Anną Monsówną? Ona cieszy się, że wypędziła was, dzładówki, a Kayserling ani chybi skreślił pismo do króla pruskiego, a król roztrąbi po całej Europie! Handlarke cukrami chciałyście okraść — chciałyście, nie zapierajcie się! Już ona dobrze pomiarkowała, że wam towaru nie dała bez pieniędzy! Boże, co teraz miłościwy pan powie na to? Co teraz z wami, kobyłami, uczyni? Jen o ostrzyc i nad rzekę Peczorę odesłać do Pustozierska...

Natalia nie zdejmując diademu i letnika chodziła po bawialni wzburzona, załamywała ręce i obrzucała Kaśkę i Maszkę płonącymi spojrzeniami — one z początku stały, a potem nie panując nad nogami usiadły; nosy im poczerwieniały, tłuste policzki trzęsły się, wzbierały szloch, lecz głosu wydać nie śmiały ze strachu.

— Miłościwy pan ponad siły ciągnie nas z odmetu — mówiła Natalia. — Nie dośpi, nie doje, sam deski piłuje, sam gwoździe wbija, wśród kul i pocisków chadza, byle Jen o wykierować nas na ludzi... Wrogowie Jego tylko na to czyhają — oszkalować i zgubić. A te! Przecie żaden najgorszy wróg nie wy-

Donna. Wacferamiejewa. Ona tą kupcową wi- działa we śnie, ery jej wierzymy, zachciało się ram marcypailów_

Natalia porwała się, rozwarła drzwi* zza których odskoczył starszek-trefni pokojowy w niewieściej sukni, cofnęły się niewiasty, czeladne, pokraki biainice z rzepem wczepionym we włosy. Natalia chwyciła za rękę chedogą, łagodną niewiasty w czarnej dsś-

Kobieta w m-Lczenic całym tolowien: asac- nfcia solenny pokłon.

— Jasna carównno, prawdziwie z aiató Kizary jtójfcd uboga wdowa, Dosasa Wa-

— Tyś podmówiia carówny, żefey jeebatr do tioóody KseiLiecluej? Oripow-ácáj^

492

Biała twarz Wachramiejewej drgnęła, dł-j gie wargi wykrzywiły się.

— Jam pomyłona niewiasta, miłościwa p* ni, duby smalone plotę w pomieszania tjz&y. słu, carówny dobrodziejki bawią się rnoirc głupimi słowami, a dla mnie i to radość** p_o nocach sny miewam niewypowiedziane, A cz- carówny dobrodziejki moim snosa wierzą, czy nie wierzą — tego nie wiem... Jak żyję, nie byłam w slobodzie Niemieckiej i żadnej cukiernicy na oczy nie widziałam.

Znowu wdowa Wachramiejewa wybiła pokłon przed Natalią i stanęła złożywszy ręce na brzuchu pod chustką, skamieniała —choć ogniem przypiekaj...

Natalia spojrzała na siostry posepnie; Kaśka i Maszka jeno postękiwały niezbyt głośno, odrażone gorącem. We drzwi wsunął si/ę sta- rr^szek-trefniś z samyrc-: nozdrza^ . zarsiastr nosa, wąsy i bródka rozczochrane, warki wywinięte,

— Aj, rozśmieszyć trzeba?

Maszka machnęła .ca niego ^ąseWBi© eh 3- stką. Lecz z drugiej śtrasy jssz z óz&męsz rajc wczepiło się w drzwi, tiaznice i potworki w łachn^macb, jedne z gołfmśi ggęwam . 'ce znów w cudacznych sarafanach, w i Pianych kokosznikach, popychając dzzadka-trefniśsa wtoczyły do bawialni F-ochiawe, bezwstydne, jęły podrygiwać, pokrzykiwać, bić targać za włosy, chlastać po fOiidaz Dziadek-tref nłś dosiadł garbatej hak&i i wy% *---ąwszy łapcie spod a:/Sdnicv szytej ze strze-

140 1

pów, wrzasnął przez nos: „Niemiec pojechał oklep na Niemce piwo pić I” W sieniach przybyli pieśniarze puścili się w płasy pogwizdując. Domna Wachramiejewa odeszła i stanęła za piecem zsunawszy chustę na brwi. W zmartwieniu i gniewie Natalia tupnęła czerwonymi trzewiczkami. — Precz! — krzyknęła na tę skłębioną łachmaniarską hołotę. — Precz! — Lecz głupki i błażnice głośnie jeno zaskowyczały. Cóż sama mogła poradzić z tą diabelską tłuszcza?! W całej Moskwie roi się od tego, w każdym pańskim domu, dokoła każdego przedsiönka cerkiewnego zalega ten potępieńczy mrok... Natalia z obrzydzeniem uniosła spódnicy — zrozumiała, iż na tym skończyła się jej rozmowa z siostrami. Zaś odejść teraz byłoby głupio — Kaśka i Masz-ka wyglądałyby za nią oknem i szyderstwami odprowadzały karetę...

Nagle wśród wrzawy i zamieszania dał się słyszeć ze dworu tętent kopyt końskich i grzmot kół. Umilkli w korytarzu pieśniarze. Dziadek-trefniś krzyknął wyszczerzywszy zęby: — Nogi za pas! — głupki i błażnice niby szczury rzuciły się ku drzwiom. W domu jakby nagle wszystko zamarło. Drewniane schody zaskrzypiały pod ciężkimi krokami.

Do bawialni wszedł sapiąc otyły człowiek — laska okuta srebrem i czapka w ręku. Ubrany był po staromoskiewsku, w długą do ziemi, żurawinową, obszerną kapotę; szeroka śniada twarz ogolona, czarne wąsy zakręcone z pól" ska, bladawe oczy załzawione, wybaluszone jak u raka. Skłonił się w milczeniu — czapką do podłogi — Natalii Aleksiejewnie, obrócił się ciężko i tak samo skłonił się carównom Katarzynie i Marii, którym strach zaparł oddech. Potem siadł na ławie kładąc obok siebie czapkę i laskę.

— Uf — rzekł — no, więc przybyłem. — Wydobył z zanadrza kolorową, dużą chustkę, otarł twarz, szyję, mokre włosy szesane na czoło. Był to najstraszniejszy człowiek w Moskwie: książę-cesarz Fiodor Juriewicz Romodanowski.

— Słyszeliśmy, słyszeli — niepiękne sprawy się tu zaczęły. Aj! aj! aj! — wsunawszy chustkę za wylóg książę-cesarz przetoczył oczy na carówny Katarzynę i Marię. — Mar- cypanów się zachciało? Tak, tak, tak... Głupota bywa gorsza od łotrostwa... Zrobiła się wielka wrzawa... — Zwrócił, niby bałwan, szerokie oblicze ku Natalii. — Posyłano je po pieniądze do slobody Niemieckiej — tak jest. To znak, że komuś potrzeba pieniędzy. Nie gniewaj się już na mnie — lecz wypadnie przy domu sióstr twoich postawić wartę. W komorze mieszka u nich baba kimrianka i nosi po kryjomu jadło w garnuszku na pustkowie za ogród do opuszczonej łaźni. W tej łaźni żyje zbiegły pop Griszka... (Tu Katarzyna i Maria poblady, chwyciły się za policzki.) Który to zbiegły pop Griszka warzy jakoby w onej łaźni ziele miłosne i ziele od poczęcia i na spędzenie płodu. Dobrze. Wiadomo nam, że prócz tego zbiegły pop Griszka

pisuje w łaźni łotrowskie pisma ulotne, a nocami chadza do slobody Niemieckiej do domów niektórych posłów i odwiedza niewiastę, służką zakonną, która to służka bywa w klasztorze Nowodiewiczym, gdzie szoruje podłogi i myje podłogę w celi byłej władczyni Zofii Aleksiejewny... (Książę-cesarz mówił niezbyt głośno, powoli, w bawialni wszyscy wstrzymali oddechy.) Więc ja tu zabawię czas niedługi, droga Natalio Aleksiejewno, a ty już nie brukaj się tymi sprawami, idź do domu o wieczornym chłodzie...

ROZDZIAŁ DRUGI

Przy stole siedzieli trzej bracia Browkino- wie — Aleksy, Jakub i Gawryła. Rzadkie w obecnych czasach wydarzenie, by mogli zejść się tak i serdecznie pogwarzyć przy czarce wódki. Teraz wszędzie — pośpiech, wciąż — brak czasu, dziś tu, a jutro trzeba już pędzić tysiąc wiorst w saniach, zagrzebawszy się w siano pod kożuchem... Okazało się, że ludzi jest mało, ludzi brak.

Jakub przyjechał z Woroneża, Gawryła — z Moskwy. Obaj dostali rozkaz budowania na lewym brzegu Newy powyżej ujścia Fontanki spichrzów, czyli cekhauzów; u nabrzeży — cumownic, na wodzie — doków dla statków; oraz umacniania całego brzegu palami 11|| w oczekiwaniu na pierwsze okręty floty bałtyckiej, którą z całym pośpiechem budowano w pobliżu Łodiejnego Pola na Świrze. Jeździł tam w roku zeszłym Aleksander Daniłowicz Mieńszykow, kazał rąbać wysoki bór i akurat na Wielkanoc pobudował pierwszą stocznię. Tu sprowadzono znakomitych cieślów z powiatu ołonieckiego i kowali z Ustiu- żyny Żeleznopolskiej. Młodzi majstrowie-na-

wigatorzy, którzy tej sztuki nauczyli się w Amsterdamie, starzy majstrowie z Woroneża i Archangielska, słynni mistrze Holandii i Anglii budowali na Świrze dwudziestodziałowe fregaty; dwumasztowce, galioty, szkuty, barki, brygantyny, galery i szkunery. Piotr Aleksiejewicz przypędził tu jeszcze drogą sanna i wkrótce spodziewano się go tutaj, w Piterburgu.

Aleksy, bez kaftana, w samej jeno koszuli z holenderskiego płótna, świeżej przy niedzieli, zawinawszy koronkowe mankiety, kroił nożem na deseczce peklowane mięso. Przed braćmi stała gliniana misa z gorącym kapuśniakiem, karafka z wódką, trzy cynowe kubeczki, przed każdym leżał glon czerstwego razowego chleba.

— W Moskwie kapuśniak z peklowiną to nie osobliwość — mówił do braci Aleksy, rumiany, czysto wygolony, z jasnymi wąsami zakręconymi do góry i ostrzyżoną głową (jego peruka wisiała na ścianie na drewnianym kołku) — a tu jeno w święta raczymy się peklowinką. A kiszoną kapustę Aleksander Daniłowicz, Bruce, no i ja — owszem — mamy w piwnicy, ot i wszystko... A i to dlatego, że dopiero latoś domyśliliśmy się posadzi* kapustę w ogrodzie. Ciężko, ciężko nam żyć> Wszystko drogie i dostać nie sposób.

Aleksy rzucił pokrojone mięso z deseczk' do misy z kapuśniakiem, nalał po czarce. Br*! ci a pokłoniwszy się sobie westchnęli, wyp*! i jęli chlipać z namaszczeniem.

— Boją się przyjeżdżać tutaj, kobiet nie ma bodaj wcale, żyjemy niby na pustyni, dalibóg!... W zimie jeszcze jako tako — straszne zawieje, mgławice, a i roboty tej zimy było dużo. Ale kiedy — jak dzisiaj — zakołuje wietrzyk wiosenny, pchają się do głowy jakieś duby smalone... A przecie tu, bracie, dużo od ciebie wymagają..

Jakub gryząc chrząstkę rzekł:

— Tak, niewesołe macie okolice.

Jakub w przeciwieństwie do braci nie dbał o siebie: jego brązowy kaftan był poplamiony, z poobrywanymi guzikami, czarny hał- sztuk na obrośniętej szyi — wytłuszczony; prześmierdł tytoniem. Włosy miał własne, do ramion, niedbale czesane.

— Co też ty, bracie — odpowiedział Aleksy — okolice u nas są nawet bardzo wesołe, niżej, na wybrzeżu i od strony przylądka Du- derhof. Trawa — po pas, gaje brzoźowe — aż pod niebo, i żyto się rodzi, i wszelkie wazrywo, i jagody... Juści, przy samym ujściu Newy — topielisko, pustkowie. Lecz tu miłościwy pan obrał miejsce na miasto. Miejsce wojenne, dogodne. Ta jeno bieda — Szwed nie daje spokoju. W zeszłym roku jak runął na nas od rzeki Siestry i flotą od morza, duszę mieliśmy na ramieniu. Aleśmy ich odparli. Teraz już się od morza nie wciśnie. W styczniu koło wyspy Kotlin puściliśmy pod lód drewniane zręby z głazami, a przez całą zfmę zwoziliśmy 1 sypali kamienie. Nim rzeka ruszy— krągły bastion plędzlesięclodziałowy będzie

gotów. Piotr Aleksiejewicz przysłał z Woroneża plany i własnoręczny model i kazał nazwać bastion — Kronsztot.

— No cóż, wiadoma rzecz — odezwał się Jakub — spierałem się o ten model z Piotrem Aleksiejewiczem. Ja powiadam: „Bastion za niski, przyptyw pozalewa działa, trzeba go podwyższyć o trzydzieści cali”. Pogłaskał ci mnie dębczakiem. Nazajutrz przywołał: „Ty — powiada — Jakubie, masz słuszność, nie ja”. No i podaje mi czarkę i obarzanek. Pogodziliśmy się. Podarował tę oto fajkę.

Jakub wyciągnął z kieszeni napchanej różnymi rupieciami przepaloną fajkę z wiśnio- ^ wym cybuchem, ogryzionym na końcu. Nabił ją i sapiąc ją krzesać iskrę na hubkę. Młodszy, Gawryła, wyższego wzrostu niż bracia i mocniejszej budowy, z policzkami młodzieńczymi, z ciemnymi wąsikami, wielkimi oczyma, podobny do siostry Sańki, jął nagle potrząsać łyżką z kapuśniakiem i odezwał się ni w pięć, ni w dziesięć:

— Alosza, złowiłem karalucha.

— Co ty, głupcze, to węgielek. — Aleksy zdjął z jego łyżki coś czarnego i upuścił na stół. Gawryła odrzucił głowę i zaśmiał się odsłaniając jak na pokaz cukrowej białości zęby.

— Kubek w kubek nieboszczka matusiai Zdarzało się, tato rzuca łyżkę: „Paskudztwo — powiada — karaluch!” A matusia: „Kochanie, to węgielek!” — chce się śmiać i płakać. Ty» Alosza, byłeś starszy, ale Jakub pamięta, keśmy bez portek przesiedzieli na piecu całą zimę. Sańka opowiadała nam straszne bajki. Tak...

Bracia odłożyli łyżki, wsparli łokcie na stole i przez chwilę zamyślili się, jakby z oddali powiało na nich żalnością. Aleksy nalał do czarek i znowu wszczęli niespieszną rozmowę. Aleksy jął użalać się: dozorował roboty w twierdzy, gdzie piłowano deski do budowy soboru Piotra i Pawła; brakło pił i siekier, coraz trudniej było dostarczać chleba, jagieł i soli dla robotników; padały z głodu konie, które drogą sanna zwoziły kamienie i drzewo z brzegu fińskiego. Teraz saniami już nie przejedzie, potrzebne są wozy — a kół nie ma...

Potem, nalawszy po czarce, bracia przystąpili do roztrząsania polityki europejskiej. Dziwili się i potępiali. Zdawałoby się, państwa oświecone winny pracować i uczciwie handlować. Tymczasem — nie. Król francuski wojuje na lądzie i morzu z Anglikami, Holendrami i cesarzem i końca tej wojny nie widać. Turcy z Wenecją i Hiszpanią nie podzieliwszy się Morzem Śródziemnym palą sobie floty wzajemnie; jeden Fryderyk, król pruski, do czasu siedzi spokojnie i kręci nosem wężąc, gdzie łatwiej można coś urwać. Saksonia, Śląsk i Polska wraz z Litwą od krańca do krańca płoną wojną i zamieszkami; w pozaprzyszłym miesiącu król Karol kazał Polakom wybrać nowego króla, no i teraz Polska ma dwóch królów — Augusta Saskie

go i Stanisława Leszczyńskiego; polscy panowie opowiedzieli się jedni za Augustem, inni za Stanisławem, zgorączkowani, rąbią się szablami na sejmikach uzbroiwszy szlachtą, palą jeden drugiemu wioski i dwory, a król Karol wodzi za sobą po Polsce wojska, fura- żuje, grabi, niszczy miasta i odgraża się, że gdy ujarzmi całą Polską, obróci się na cara Piotra i spali Moskwę, państwo rosyjskie obróci w pustynią j wówczas obwoła się nowym Aleksandrem Macedońskim. Można rzec: cały świat oszalał...

Nagle za czteroszybowym okienkiem, głęboko wpuszczonym w uszczelnioną gliną ścianę, spadł z brzękiem duży sopel lodu. Bracia odwrócili się i ujrzeni niebo bezdenne, granatowe, wilgotne — jakie bywa jedynie tu, nad morzem — usłyszeli ściekające często z dachu krople i krzątanię wróbla na gołym krzaku. Wtedy zagadali o powszedniości.

— Trzech nas oto braci — rzekł w zadumie Aleksy — trzech żalonych wędrowców. Ordynans pierze mi koszule, guzik też przy- ^{sz}Yj^e> jak trzeba, a przecie... Co innego niewieścia ręka... Ale nie w tym rzecz, pal sześć koszule... Chciałoby się, żeby czekała na mnie przy okienku, na ulicę wyglądała. Bywa, przyjdiesz umączony, zziębnięty, padasz na twarde posłanie, utkniesz nosem w poduszkę, sam jeden na świecie, jak pies... Gdzie ją znaleźć?

— Toteż właśnie — gdzie? — odezwał się Jakub oparłszy łokcie na stole i wypuścił z fajki trzy kłęby dymu jeden po drugim. — Jam, bracie, stracony. Z jaką bądź nieuczoną gęsią nie ożenię się, o czymże bym z nią rozmawiał! A bojarówna o białych rączkach, którą obtańcowuję na ansambli i prawie jej komplementy wedle rozkazu Piotra Aleksiejewicza, z dobrej woli za mnie nie wyjdzie... To i radzę sobie jako tako, gdy mnie przyprze,.. Szpetne to, wiadomo, plugawe. Zresztą jedna matematyka droższa mi od wszystkich bab na świecie...

Aleksy doń — cicho:

— Jedno drugiemu nie zawadzi...

— Musi zawadzać, skoro ja to mówię. Oto na krzaku siedzi wróbel, nie ma innego zajęcia, obskakuje wróblczkę... A Bóg stworzył człowieka po to, żeby myślał.¹ — Jakub spojrział na młodszego i zachrypiął fajką. — Chyba jeno nasz Gawriuszka zdatny do tego interesu?

Twarcz Gawryły zalał rumieniec aż po uszy. Uśmiechnął się opieszale, oczy powlekła wilgoć — w zmieszaniu nie wiedział, gdzie je podziać.

Jakub szturchnął go łokciem.

H Opowiadaj. Lubią takie pogadanki.

— Co wy znowu, doprawdy... Nie mam co opowiadać... Młodym jeszcze...

Lecz Jakub, a potem Aleksy przyparli go do muru: — Przecieśmy swoi, głupcze, czegoś się zalał... — Gawryła długo się opierał, potem jął wzdychać i oto, co wreszcie braciom opowiedział.

Przed samym Bożym Narodzeniem nad wieczorem do domu Iwana Artiemicza przybiegł laufer z pałacu i oświadczył: „Gawryle Iwa- nowiczowi Browkinowi rozkazano stawić się w pałacu natychmiast”. Z początku Gawryła zaciął się; choć młody, ale przecież persona, u cara na oku, a prócz tego pociągał tuszem chińskim ukończony już plan dwupokładowe- go okrątu sporządzony dla stoczni worone- skiej i chciał rysunek pokazać swym uczniom w szkole nawigacji, co mieści się w Sucha- riewskiej Wieży, gdzie z rozkazu Piotra Ale- ksiejewicza wykładał szlacheckim pacholećtom sztukę okrętową. Iwan Artiemicz surowo upomniał syna: „Przywdziewaj kaftan francuski, Gawriuszka, i ruszaj, gdzie ci kazano, bo to nie żarty”.

Gawryła wdział biały jedwabny kaftan, przepasał się szarfą, wypuścił pod szyją koronki, napachnił piżmem kruczą perukę, narzucił płaszcz sięgający aż po ostrogi i ojcowską trójką, wzbudzającą zazdrość całej Moskwy, pojechał na Kreml.

Posłaniec poprowadził go przez wąziutkie schodki i ciemne galerie na górę do starodawnych kamiennych teremów, które wyszły cało z wielkiego pożaru. Tam wszystkie komnaty były niziutkie, sklepione, wymalowane w rozmaite trawy i kwiaty na tle złotym, jasnoczer- wonym i zielonym; pachniało w nich woskiem i starym kadzidłem, było gorąco od kaflowych pieców, na każdej leżance drzemał leniwy kot angorski, za mikowymi

serwantek połyskiwały dzbany i puchary, 1 których może pijał Iwan Groźny, ale obecnie już ich nie używano. Gawryła, pełen pogardy dla tej starzyzny, dzwonił ostrogami po rżniętych kamiennych płytach. W ostatnich drzwiach przekroczył schylając się próg i zachwyty ogarnął go niby żar.

Pod matowozłotym pułapem stał stół na skrzydlatych gryfach, na nim płonęły świece, a przed nimi, złożywszy gołe łokcie na rozrzuconych kartkach papieru, siedziała młoda niewiasta w serdaku futrzanym narzuconym na obnażone ramiona; światło miękko lało się na jej delikatną, okrągłą twarz; pisała — rzuciła pióro łabędzie, podniosła upierścienioną dłoń do kasztanowatej głowy, poprawiła okrecony gruby warkocz i podniosła na Gawryłę aksamitne oczy. Była to carówna Natalia Aleksiejewna.

Gawryła nie padł do jej nóg, jak by, zda się należało wedle barbarzyńskiego obyczaju, lecz zgodnie z regułami francuskiej politesy tupnął przed sobą lewą nogą i machnął nisko kapeluszem, okryty czarną kądzielą peruki. Carówna uśmiechnęła się do niego kącikami drobnych ust, wyszła spoza stołu, ujęła po bokach szeroką spódnicę z perłowego atłasu i nisko dygnęła.

— Tyś Gawryła, syn Iwana Artiemicza? — spytała carówna patrząc nań z dołu do góry oczyma błyszczącymi od świec — był bardzo wysoki, peruką sięgał niemal pod sam pułap. — Witaj. Siadaj. Twoja siostra, Aleksan

dra Iwanowna, przysłała mi list z Hagi; pisze, iż możesz być pożyteczny dla moich zamysłów. Byłeś w Paryżu? Widziałeś teatry paryskie?

Gawryła musiał opowiedzieć, jak w poza- przeszłym roku w mięsopest pojechał z dwoma nawigatorami z Hagi do Paryża i jakie tam widział cuda, teatry i karnawały uliczne. Natalia Aleksiejewna chciała wiedzieć wszystko szczegółowo, niecierpliwie tupiała obcasikami, kiedy plątał się — nie mógł gruntownie objaśnić; w zachwycie przysuwała się blisko, patrząc rozszerzonymi źrenicami, nawet usta rozchyłała podziwiając obyczaje francuskie.

— To, to — mówiła — ludzie nie siedzą niby wilki w swych dworach, potrafią sami zabawić się, innych rozweselić, na ulicach tańczą i komedii chętnie słuchają... To samo i u nas trzeba wprowadzić. Mówią, żeś inżynier. Każę tobie przebudować pewną salę, upatrzyłam ją na teatr... Bierz świecę, pójdziemy...

Gawryła wziął ciężki lichtarz z płonącą świecą; Natalia Aleksiejewna powiewnie, szeleszcząc suknią ruszyła przodem przez sklepione komnaty, gdzie na gorących leżankach koty angielskie budziły się, wyginały grzbiety i znów układały się pieszczotliwie; gdzie spod stropów — to tu, to ówdzie — oschłe oblicza carów moskiewskich spoglądały surowo, nieprzejednanie w ślad za carówną Natalią, wprowadzającą w otchłań i siebie, i te

go młodzieńca w peruce rogatej jak diabeł, i całą starą tradycję moskiewską.

Na stromych wąskich schodach Natalia Aleksiejewna schodząc w ciemność zalęknęła się, wsunęła gołą rękę Gawryle pod łokieć; poczuł ciepło jej ramienia, zapach włosów, futra jej serdaka; wysunęła spod spódnicy safianowy trzewiczek z tępym noskiem i pochyłona w ciemność — schodziła coraz ostrożniej; Gawryła poczuł w sobie drobny dreszcz, głos jego stał się zduszony; gdy zeszli na dół, zajrzała mu w oczy szybko, uważnie.

— Otwórz te oto drzwi — rzekła wskazując niziutkie drzwiczki obite sukniem stoczonym przez mole. Natalia Aleksiejewna pierwsza stąpnęła przez wysoki próg, tam — w ciepły mrok, gdzie pachniało myszami i kurzem. Gawryła podniósł świecę wysoko i zobaczył dużą sklepioną salę z czterema przysadzistymi kolumnami. Tu w dawnych czasach była jadalnia, w której łagodny car Michał Fiodorowicz obradował z Soborem Ziemskim. Malowidła na stropach i kolumnach poodpadały, drewniane podłogi skrzypiały. W głębi wisały na gwoździach peruki konopne, papierowe płaszcze oraz inne rupiecie komedianckie, w kącie leżały zwalone na kupę blaszane korony i zbroje, berła, drewniane miecze, połamane krzesła — wszystko, co zostało z rozpędzonego niedawno — dla głupoty i wielkiej nieobyczajności — niemieckiego teatru Johanna Kunsta z placu Czerwonego.

— Tu będzie mój teatr — rzekła Natalia — z tej strony ustawisz pomost dla komediantów, z kurtyną i lampionami, a tu dla patrzących — ławy. Stropy wymalować paradnie, żeby już jak zabawa — to zabawa...

Tym samym porządkiem Gawryła odprowadził carównę Natalię na górę, a ona odprawiła go, dozwoliwszy ucałować rączkę. Wrócił do domu po północy i jak stał — w peruce i kaftanie — rzucił się na posłanie i patrzył w sufit, jakby w mglistym świetle okapującej świecy ciągle jeszcze widział owalną twarz z aksamitnie badawczymi oczyma, malutkie wargi wymawiające słowa, gładkie ramiona na pół okryte wonnym futrem i jakby ciągle szeleściły uciekające przed nim w gorącą ciemność ciężkie fałdy perłowej spódnicy...

Następnego wieczora carówna Natalia znowu kazała mu być u siebie i przeczytała „Zdarzenie w piecu ognistym”, własną, jeszcze nie ukończoną komedię o trzech pacholętach w piecu ognistym. Gawryła słuchał do późna, jak ona, wywijając łabędzim piórem, recytuje składne wiersze, i wydawało mu się, iż sam jest jednym z trzech pacholąt, gotów krzyknąć — szalony ze szczęścia — stojąc nagi w piecu ognistym.

Do przebudowania starej sali zabrał się z całą pasją, chociaż zrazu podziaczowie Urzędu Pałacowego jęli mu czynić przeszkody i wszelkie urzędowe mitręgi, a to z drzewem, a to z wapnem, gwoździami i tam dalej. Iwan Artiemicz milczał, choć i widział, że Gawryła

zarzucił plany i nie jeździ do szkoły nawigacyjnej, przy obiedzie nie ruszy nawet łyżki, jeno głupie spojrzenie utkwi w jednym miejscu, a w nocy, gdy ludzie śpią, wypala całą trzykopieskową świecę. Raz jeno Iwan Artiemicz, młynkując palcami za grzbietem, poruszywszy wargami, odezwał się do syna:

— To jeno rzeknę, Gawriuszka — chodzisz blisko ognia, bacz pilnie...

W wielkim poście car Piotr z Woroneża przez Moskwę pognął na Swir i kazał Gawryłemu udać się z bratem Jakubem do Piterbur- ga — budować przystań. Na tym skończyły się jego sprawy z teatrem... Na tym też Gawryła zakończył swoje opowiadanie. Wstał od stołu, rozpiął mnóstwo guziczków na holenderskiej kurtce, rozwarł ją na piersi i wsunąwszy ręce w krótkie spodnie, szerokie jak bania, jął chodzić po lepiance — od drzwi do okna.

Aleksy rzekł:

— I zapomnieć o niej nie możesz?

— Nie... Ale też nie chcę tego zapomnieć, choćbyś mi szafotem groził...

Jakub odezwał się stukając paznokciem po stole:

— Matuś obdarzyła nas takim szalonym sercem... Sańka taka sama... Nie ma na to rady — nie ma lekarstwa na tę słabość. No cóż, braciszkanie, nalejmy i wypijmy — na pamiątkę naszej rodzicielki, Awdotii Jewdo- kimowny...

Tymczasem w sieni rozległo się otrząsanie

butów z błota, brzęk ostróg, szarpnięto drzwi — w czarnym płaszczu schlastanym błotem, w czarnym kapeluszu ze srebrnym galonem wszedł bombardier-porucznik Preobrażeńskiego pułku, generał-gubernator In- grii, Karelii i Estonii, gubernator Schliissel- burga, Aleksander Daniłowicz Mieńszykow.

II

— Aleście tu nadymili jak w szynku. Siadajcie, siadajcie, żadnych szarż. Jak się macie! — wyrzekł z gburowatą wesołością Aleksander Daniłowicz. — Może pójdziemy nad rzekę? He? — zrzucił płaszcz, zdjął kapelusz razem z ogromną peruką, siadł przy stole, popatrzył na walające się ogryzione gnaty, zajrzał do pustej miski. — Z nudów wcześniej zjadłem obiad, podrzemałem godzinkę, budzę się — w domu nie ma nikogo, ani gości, ani czeladzi. Opuścili generał-gubernatora... Mógłbym zmrzeć we śnie i nikt by o tym nie wiedział. — Mrugnął do Aleksego: — Panie podpułkowniku, stawiaj pieprzówkę, postaraj się o kapustkę, głowa mnie jakoś boli... A jak tam wasze sprawy, braci okrętowa? Trza pośpieszać, trza. Jutro przyjdę, popatrzę.

Aleksy przyniósł z sieni kapustę i butlę- Aleksander Daniłowicz odcapierzył mały pa-, lec wypielęgowanej ręki z dużym brylantowym pierścieniem, nalał ostrożnie tylko dla siebie, wziął z talerza szczyptę oblodzonej ka pusty, zmrużywszy oczy wypił lampkę i rozwarłszy je zaczął z chrzęstem żuć kapustę.

— Nic gorszego od niedzieli, strach, jak mi się w niedzielę przykrzy. Czy może tutejsza wiosna taka szkodliwa?... W całym ciele łamanie, ciągoty... Niewiast brak — oto przyczyna!... Ot, macie zdobywców! Zwojowaliśmy! Pobudowaliśmy gródek, a bab nie ma! Jak mi Bóg miły, wyproszę się od Piotra Aleksiejewicza, na co mi generał-gubernator- stwo... nie chcę... Wolę raczej w Moskwie handlować byle czym na straganach — klepać będę... A w Moskwie co za dziewczki! We- nusy! Oczki figlarne, buzie gorące, delikat- niutki, chichotki... No, chodźmy, chodźmy nad rzekę, tu jakoś duszno...

Aleksander Daniłowicz nie mógł usiedzieć długo na jednym miejscu, zawsze mu brakło czasu, jak wszystkim zresztą, którzy pracowali z carem Piotrem; mówił o jednym, myślał o czym innym, o różnych rzeczach. Dopasować się do niego ciężko, a człek był niebezpieczny. Znowu nacisnął perukę i kapelusz, narzucił płaszcz na sobolowych brzuszkiach i wyszedł z lepianki wraz z braćmi Browkinami. Od razu zadał w twarz wiatr silny, wilgotny, wiosenny. Po całej wyspie Fomin — jak nazywano ją po dawnemu, obecnie Strona Piterburska — szumiały sosny tak miękko i potężnie, jakby z otchłani lazurowego nieba spływała rzeka... Gawrony wrzeszczały krążąc nad gołymi, rzadkimi brzożami.

Lepianka Aleksego stała wgłębi oczyszczonego z drzew i wykarczowanego placu Troickiego, niedaleko od dopiero wybudowanych drewnianych straganów; kramy były zabite na krzyż deskami, kupcy jeszcze nie przybyli; na prawo widniały ogołocone ze śniegu wały ziemne i bastiony twierdzy; dotychczas tylko jeden z bastionów — bombardiera Piotra Aleksiejewicza — był do połowy okryty kamieniami, tam na maszcie trzepotała flaga morska, biała, z krzyżem św. Andrzeja — zwiastun oczekiwanej floty.

Na całym placu wiatr marszczył wodę; Aleksander Daniłowicz, nic nie zważając, człapał botfortami, szedł na przelaj ku Newie. Główny plac Piterburga istniał jeno w rozmowach i planach, które Piotr Aleksiejewicz kreślił w swym notesie; stała tu jeno drewniana, utkana mchem cerkiewka — sobór Troicki, a niedaleko soboru, bliżej rzeki, dom Piotra Aleksiejewicza, gładko obciosana chata z dwiema izbami, z zewnątrz oszalowana tarcicą i pomalowana na ceglasto; na daszku ustawiono drewniany malowany moździerz i dwie bomby niby z zapalonymi lontami.

Po drugiej stronie placu znajdował się niziutki domek holenderski, nader zachęcający do wejścia; z jego komina bez przerwy unosił się dymek, za oknem poprzez mętne szybki widniała cynowa zastawa i wiszące kielbasy, na drzwiach wejściowych wymalowany był arcystrasliwy szturman z brodą pirata, trzymający w jednej ręce kufel piwa, w drugiej — czym się gra w kości, nad wejściem skrzypiał na drągu szyld: „Austeria pod Czterema Fregatami”.

Gdy przyszli nad rzekę, wiatr poderwał płaszcze, wzburzył peruki. Łódź na Newie był niebieski, z dużymi łysinami, z wysokimi, już zagnojonymi szlakami. Aleksander Daniłowicz zgniewał się nagle:

— Na wszystkie roboty przyznali dwa tysiące rubli! Ach, dusze atramentowe, ach, olejarze, grzybojady! Mam gdzieś tych diaków, podiaczych, wszystkie urzędy; w Moskwie trzęsą się nad każdym złamanym groszem, papier psują! Jam tu gospodarz! Mam pieniądze, mam konie, chłopów dobrych mogę dostać ile trzeba, a gdzie ich znajdę, to moja rzecz... Zapamiętajcie sobie, bracia Browkinowie, żeście tu nie przyjechali na drzemkę... Nie dospać, nie dojeść — a na koniec mają muszą być gotowe wszystkie nabrzeża i mola, i spichrze. I to nie tylko na lewym brzegu, gdzie wam nakazano. Tutaj, na Stronie Piterburskiej, powinny być urządzenia, by duży okręt mógł podejść, zakotwiczyć się... — Aleksander Daniłowicz szedł szybko brzegiem, pokazując, gdzie zacząć wbijać pale, gdzie stawiać nabrzeża. — Po zwycięstwie na morzu podpłynie flagman wiwatując, z podziurawionymi żaglami — to co, przy ujściu Fontanki ma się zakotwiczyć? Nie, tu właśnie! — tupał botfortem w kałużę. — Zdarzyć się może — j przyplynie z Anglii czy Holandii gość jaki bogaty: oto dom Piotra

Aleksiejewicza, ' a tu oto mój — prosimy, ' gość w dom, Bóg w dom...

Dom Aleksandra Daniłowicza, czyli pałac generał-gubernatorski, o sto sążni od chatki carskiej, w górze rzeki, ulepiony był w pośpiechu z gliny, otynkowany, z wysokim holenderskim dachem, widocznym z rzeki już z daleka; akurat w środku fasady wybudowano ganek na dwóch płaskich kolumnach z portykiem, na którym na prawym zbocz — leżał drewniany, połączony Neptun z trójzębem, na lewym zbocz — najada z dużymi piersiami, wsparta łokciem o przewrócony garnek; w trójkącie portyku — inicjały: „A.M.” w oplotach węża; na dachu, na maszcie, osobisty porządek generał-gubernatora; przed gankiem stały dwa działa.

— Nie wstyd pokazać domek cudzoziemcom! Dobrze, ach dobre bóstwa morskie! Zda się oto, jakby wyszły z morza i legły u mnie nad gankiem... A gdy flota ze Swiru przepłynie obok, zadymimy z armat... Pięknie, ach, pięknie!...

Aleksander Daniłowicz patrzył z upodobaniem na swój dom mrużąc niebieskie oczy. Potem odwrócił się i chrząknął gniewnie^ spojrzawszy na oddalony lewy brzeg, gdzie wiatr kołysał samotnymi sosnami wśród pni i łysin.

— Ach, co za szkoda!... W gorączce niema- łośmy tu napsocili... — Wskazał laską to miejsce, gdzie Fontanka wypływała z Ne

wy. — i Co za perspektywa była przed mymi oknami — bór stał ścianą, należałoby tam belweder wystawić dla letnich zabaw... Wyrąbaliśmy... Do diaska, zawsze to samo... Cóż, wstąpcie do mnie, znajdziemy co bądź, popijemy.*.

— Panie generał-gubernatorze — odezwał się Aleksy — proszę spojrzeć — Nową mnóstwo sań jedzie. Czyżby miłościwy pan?

Aleksander Daniłowicz ledwie spojrział: — On! — zakrzętnął się. Bracia Browkinowie rozbiegli się natychmiast z rozkazami w różne strony, a on sam pośpieszył do domu, zwołując ludzi gromkim głosem. Po krótkim czasie znowu stał przy brzegu na mostku — w samym jeno mundurze preobrażeńskim z ogromnymi wyszywanymi złotem czerwonymi wyłogami, z jedwabną szarfą przez ramię, ze szpadą, tą samą, z którą w poprzednim roku, siedł na abordaż, na burtę szwedzkiej fregaty przy ujściu Newy.

Po wzdętym lodzie Newy, na którą strach brał patrzeć, zbliżał się daleko rozciągnięty tabor. Pół setki dragonów zagrzewając zmordowane konie pognąło ku brzegowi, z obawy przed ruszeniem lodów. Za nimi — całkiem w wodzie — potoczyła się skórzana kolaska i zatrzymała przy mostku. Ledwie z głębi kolaski spod futer niedźwiedziich wysunęła się długa noga w botforcie — przed domem generał-gubernatora wystrzeliły dwie armaty. Za botfortem wyciągnęły się dwa rękawy ko-

zucha, odsłoniły się z nich palce z mocnymi paznokciami, ujęły za skórzany fartuch kolaski; z wnętrza dochodził niskawy głos:

— Daniłycz, pomóż, do diaska, bo nie wy- leżę...

Aleksander Daniłowicz skoczył z mostku w wodę po kolana i wyciągnął Piotra Aleksiejewicza. Wtedy wszystkie bastiony twierdzy Pietropawłowskiej błysnęły ogniem, okryły się dymem, po Newie potoczył się grzmot. Nad domkiem carskim na maszt popelzła flaga.

Piotr Aleksiejewicz wylaź na pomost, przeciągnął się, wyprostował, zsunął na tył głowy futrzany kołpak i — przede wszystkim spojrzął na Daniłycza, na jego długą twarz zaczerwienioną z radości, skaczące brwi. Ujął go ręką za policzki, ścisnął.

— Witaj, kamracie... Nie raczyłeś do mnie przyjechać, a ja czekałem... No i samem przyjechał... Ściągaj ze mnie kozuch. Droga kiepska, poniżej Schlüsselburga małośmy nie po- tonęli, na wybojach wytrzęsło mnie porządnie, w nodze mrówki...

Piotr Aleksiejewicz został w sukiennym kaftanie na popielicach; wystawił na wiatr okrągłą, nie ogoloną twarz z nastroszonymi wąsami i patrzył na przepływające chmurki wiosenne, na szybkie cienie przesuwające się po kałużach i podeszłym wodą łodzie, na zapalczywe — poprzez przerwy w obłokach — niezmożone słońce za Wyspą Wasiliewską; nozdrza mu się rozdęły, po bokach małych ust ukazały się dołki.

— Paradyz! — wyrzekł. — Dalibóg, Daniłycz, paradyz, raj ziemski... Pachnie morzem...

Placem biegli ludzie rozchlapując kałuże. Z tyłu biegnących szli szeregiem preobrażeń- cy i siemionowcy w wąskich zielonych kaftanach, białych kamaszach — ciężko walili trzewikami, trzymali przed sobą karabiny z bajonetami.

III

...w Warszawie, u kardynała Radziejowskiego przy stole, mówił: „Nie dopuszczę do Newy najmniejszej łupiny, niech Moskwićini pożegnają się z nadzieją, że osiądą nad morzem... Gdy skończę z Augustem — mogę Sanktpiterburg zgryźć jak pestkę wiśni i wypluć...”

— Ależ głupiec, bodliwa jego mać! — Aleksander Daniłowicz siedział goły na ławie i mydlił głowę. Żeby tak się z nim zjechać w polu — pokazałbym temu bohaterowi pestkę wiśniową...

— Powiadał jeszcze: „Nie przepuszczę do Archangielska ani jednego okrętu angielskiego, niech kupcom moskiewskim towar gnije w składach”.

— Min herc; alboż to u nas towar nie gnije?

— Trzydzieści dwa okręty Angielczyków zebrały się w karawanę, z czterema fregatami ochronnymi przyplłynęły do Archangielska z Bożą pomocą bez strat; przywiozły żelazo i stal, i miedź armatnią, i tytoń w beczkach,

i wiele innych różności, niepotrzebnych nam, ale które wypadło kupić.

No cóż, min herc, nie stracimy... Oni również muszą mieć zadowolenie, płynęli odważnie... Kwasu dodać? Nartow! — krzyknął Aleksander Daniłowicz człapiąc po świeżo skrobanej, mokrej podłodze ku niziutkim drzwiom do przedśionka łaźni, — Nartow, co tam, zaczadziałeś? Bierz dzban z kwasem i podlej no dobrze...

Piotr Aleksiejewicz leżał na półce pod samą powałą, - uniósłszy chude kolana trzepał się z lekka miotelką. Ordynans Nartow już dwa razy puszczał parę i oblewał go lodowatą wodą, teraz Piotr spoczywał rozkosznie. Poszedł do łaźni zaraz po przyjeździe, by potem smaczniej wieczerzać. Łaźnia była z lipowego, drzewa, lekka. Piotrowi Aleksiejewiczowi nie chciało się stąd wychodzić, chociaż od dwóch godzin w jadalni generał-gubernatora nudzili się w goście w oczekiwaniu na wejście cara 1 na wieczerzę.

Nartow otworzył miedziane drzwiczki pieca i odskoczywszy na bok chlusnął dzban kwasu głęboko na rozpalone kamienie. Wyleciała silna, miękka para, gorąco uderzyło po całym ciele, zapachniało chlebem. Piotr chrząknął obmachując sobie pierś liśćmi brzozonej miotelki.

— Min herc, oto Gawryła Browkin opowiada — w Paryżu, na przykład, żeby parzyć się, a w dodatku kwasem — nic podobnego nie znają, a lud tam drobny.

— Tam co innego znają, co nie wadziłoby i nam znać — rzekł Piotr Aleksiejewicz. — Nasi kupcy to prawdziwi barbarzyńcy; co ja się z nimi naużerałem w Archangielsku! Dla nich najważniejsza rzecz to sprzedać zepsuty towar; przez trzy lata będzie ci taki kłamał, zaklinał się, płakał, podsuwał zgniliznę, a przez ten czas i świeże mu zgnije... W północnej Dźwinie tyle ryb — wsuń wiosło — stanie, takie tam ławice śledzi! A obok składów nie można przejść — smrodzisko... Pogadałem z nimi w ratuszu, z początku łaskawie; no, później wypadło się zgniewać.

Aleksander Daniłowicz westchnął ze skrucą.

— Tak to dzieje się u nas, min herc... Ciemnota... Jeno tym diabelskim kupczykom pofolgować, ściągną wstyd na całe państwo!... Nartow, podaj no zimnego piwa...

Piotr Aleksiejewicz spuścił długie nogi, usiadł na półce, pochylił głowę, z jego kędzierzawych, ciemnych włosów lał się pot.

— Dobrze — powiedział. — Bardzo dobrze. Tak to, miły kamracie... My bez Piterburga — jak ciało bez duszy.

IV

Tutaj, na kresach ziemi rosyjskiej, nad zdobytą zatoką morską, przy stole u Mieńszykowa siedzieli ludzie nowi — ci, których wedle wskazań, cara Piotra „odtąd godności mie

rzę się zdatnością"; samym talentem swoim wydobyli się z kurnej chaty, łapcie zamienili na buty juchtowe z tępyimi nosami, ze sprzączkami, a miał żalostnego rozmyślania: „Bo-, że, czemu skazujesz mnie, bym jęczał z głodu w zimnym obejściu?” —^ siedzą oto jak teraz przy pełnych półmiskach i chcąc nie chcąc muszą myśleć i mówić o państwie. Byli tu bracia Browkinowie, Fiedosiej Sklajew i Gawryła Awdiejewicz Mieński — znamiennicy majstrzy okrętowi, którzy towarzyszyli Piotrowi Aleksiejewiczowi z Woroneża nad Świr, dostawca Jermołaj Niegomorski, nowogrodzianin, z oczyma świecącymi jak u kota w nocy, Trierientij Buda, majster kotwiczny, i Jefriem Tarakanow, przesławny snycerz i złotnik.

Przy stole znajdowali się nie tylko ludzie niskiego rodu: po lewej ręce Piotra Aleksiejewicza siedział Roman Bruce rudy Szkot królewskiego rodu, z kościstym obliczem i cienkimi wargami zaciętymi gniewnie — matematyk i pożeracz ksiąg, podobnie jak i jego brat Jakub; bracia urodzili się w Moskwie, w slobodzie Niemieckiej, przy Piotrze Aleksiejewiczu przebywali od jego młodych lat i sprawy cara uważali za swoje sprawy; siedział sokolooki, marzycielski, wyniosły, z wąsikami zgolonymi w linijkę pod delikatnym nosem — pułkownik gwardii Michał Michajłowicz Golicyn, wstawiony szturmem i zdobyciem Schliisselburga; podobnie jak wszyscy tu, pił sporo, bladł i pobrzękiwał pod stołem ostrogami; siedział wiceadmirał przyszłej floty bałtyckiej — Korneliusz Kreis, włóczęga morski, z głębokimi, surowymi zmarszczkami na ciemnym obliczu, z wodnistym spojrzeniem równie zagadkowym jak zimny oddech morski; siedział generał-major ■ Chambers, tęgi, o krzepkim obliczu, z haczykowatym nosem, również awanturnik, z tych, którzy uwierzywszy w fortunę Piotra oddali mu wszystko, co posiadali — szpadę, męstwo i honor żołnierski; siedział łagodny Gawryła Iwanowicz Gołowkin, podkomorzy carski, człek rozumu bystrego i przebiegłego, pomocnik Mieńskiego przy budowaniu miasta i twierdzy.

Goście mówili już wszyscy naraz, hałaśliwie; poniekąd zaczął krzyknąć, żeby miłościwy pan go usłyszał. W wysokiej izbie pachniało świeżym tynkiem, na białych ścianach płonęły świece w kinkietach z miedzianymi zwierciadłami. Na pstrym obrusie paliło się również wiele świec zatkniętych w puste flasze — wśród cynowych i fajansowych półmisek, na których w obfitości leżało wszystko, czym mógł potraktować gości generał-gubernator: szynka i ozory, wędzone kielbasy, gęsi i zające, kapusta, rzodkiew, kiszzone ogórki — wszystko to przywiózł dostawca Niegomorski w podarunku dla Aleksandra Daniłowicza.

Najwięcej było krzyku i kłótni o wydawanie prowiantu i furazu — kto u kogo wybrał za dużo. Żywność szła tutaj z Nowogrodu,

m

z głównego urzędu prowiantowego — latem barkami przez jeziora Wołchow i Ładoga, w zimie — nowo wyrąbaną drogą w dziewiczym lesie — do magazynów w Schliissel- burgu, pod opiekę potężnych murów twierdzy; tam w magazynach siedzieli jako ziemscy komisarze ławnicy, dobrani z zacniejszych ludzi, i na zapotrzebowanie wysyłali towar do Piterburga dla wojska, kwaterującego w ziemnym gródku na Stronie Wybor- skiej, dla rozmaitych urzędów zajętych budową, dla chłopów pracujących tu na trzy zmiany — od kwietnia do listopada — kopaczy, drwali, cieśli, kamieniarzy, dekarzy. Droga z Nowogrodu była ciężka, okolice tutejsze zrujnowane wojną — w pobliżu nie sposób nic dostać, zapasów ciągle nie starczało, i Bruce, i Chambers, i Kreis oraz inni — pomniejsi — każdy szarpał do siebie, a teraz przy stole, rozgorączkowani, załatwiali porachunki.

Piotrowi Aleksie je wieżowi podano gorące danie: kluski. Żołnierzom rozesłanym w różne strony udało się wynaleźć do nich — na jednym z chutorków nad brzegiem Fontanki, u rybaka Czuchonca t— starego koguta, za którego, korzystając z okazji, tamten zdarł aż pięć szóstek. Podjadłszy, Piotr Aleksiejewicz położył na stole długie ręce o dużych dłoniach; po łaźni wystąpiły mu na nich żyły. Mówił mało, słuchał uważnie; jego wypukłe oczy były surowe, straszawie; gdy przy nabijaniu fajki lub z innego powodu opuszczał je, krągłe oblicze z krótkim nosem i uśmiechającymi się niedużymi ustami wydawało się dobroduszne — podejść doń śmiało, stuknij czarką o jego czarkę: — Na zdrowie, panie bombardierze! — A on — wedle człeka oczywiście — jednemu nawet nie odpowiadał, drugiemu kiwał głową z góry na dół, wstrząsając ciemnymi kędzierzawymi włosami: — W imię Bachusa! — mówił basem i pił, jak go nauczyli w Holandii szturmani i marynarze, nie dotykając ustami czarki, przez zęby prosto w grdykę.

Dziś Piotr Aleksiejewicz był zadowolony i z tego, że Daniłycz na złość Szwedom wybudował taki piękny dom z Neptunem i panną morską na dachu, i z tego, że przy stole siedzą sami swoi ludzie i kłóć się, gorączkują o wielką sprawę, nie zastanawiając się, jak dalece jest ona niebezpieczna i czy się uda, a w szczególności radowało jego serce, że tutaj, gdzie zbiegały się dalekosiężne zamiary i trudne poczynania, wszystko to, co dla pamięci zapisywał niewyraźnie w grubym rejestrze, znajdującym się w kieszeni wraz z ogryzionym kawałkiem ołówka, fajką i kap- ciuchem — wszystko stało się jawą: wiatr szarpie flagą na bastionie twierdzy, z bagnistych brzegów sterczą pale, wszędzie krzątają się ludzie wśród pracy i troski i stoi miasto, niewielkie jeszcze, ale całkiem jak inne.

Piotr Aleksiejewicz przygryzając bursztynowy cybuch fajki słuchał i nie słuchał, co

zgniewany Bruce trąbił mu o zgniłym sianie, co krzyczał pijany Chambers usiłując stuknąć z daleka w jego czarkę... Upragnione, umiłowane było to miejsce. Dobrze jest oczywiście i na Morzu Azowskim, białawym, ciepłym, zdobytym w trudzie niemałym, dobrze na Morzu Białym, rozkołysanym lodowatymi falami pod zasłoną mgły, lecz gdzie im się równać z Bałtykiem, szerokim gościńcem do cudownych miast, do bogatych krajów. Tu nawet serce kołace jakoś szczególnie, myśl rozwija skrzydła, sił przybywa w dwójnasób... Aleksander Daniłowicz coraz to spoglądał, jak „minhercowi” mocniej rozdymają się nozdrza, coraz gęstszy dym wali z fajki.

— Zostawcie 1 — krzyknął nagle na gości. — W kółko to samo: owies, jagły, owies, jagły! Pan bombardier nie po to przyjechał, żeby słuchać o owsie i jagłach. — Mieńczykow całym policzkiem mrugnął na tłusciutkiego, uśmiechającego się słodko człowieczka w króciutkim, odstającym kaftanie. — Felten, nalej reńskiego, tego, co wiesz — i zwrócił się do Piotra Aleksiejewicza wyczekująco. Mieńczykow zgadł jak zawsze, odczytał w jego pociemniałych oczach, że oto — nadeszła chwila, gdy wszystko, co już dawno fermentowało, kłębiło się, dręczyło, układało się w jego głowie tak i owak — stawało się wolą, jasno i niezachwianie... A wtedy nie ma sprzeciwu, nie sposób stanąć w poprzek jego woli.

Przy stole umilkli. Jenó bulgotało wino lejące się z pękatej butli do czarek. Piotr Ale-

ksiejewicz nie zdejmując rąk ze stołu odrzucił głowę na oparcie złoconego krzesła.

— Król Karol odważny, ale nieroztropny, tyle że wielce pyszny — wypowiedział przewlekłe, z moskiewska wymawiając słowa. — W siedemnastym roku fortunę swą puścił. A mogła mu fortuna dopisać — nie pilibyśmy tu reńskiego. Konfuzja pod Narwą wyszła nam na wielki pożytek. Od bicia żelazo twardnieje, człowiek — męźnieje. Nauczyliśmy się wiele, o czymesmy nawet nie marzyli. Nasi generałowie wraz z Borysem Pietrowiczem Szeremietiewem, Anikitą Iwanowiczem Riepninem pokazali całemu światu, że Szwedzi — to nie żadne dziwo, można ich bić i w otwartym polu, i na murach. Wy, dzieci serca mego, zdobyliście i urządzili to miejsce święte. Bóg Neptun, piastun głębi morskich, leżał na dachu domostwa onego wielmoży w oczekiwaniu okrętów, nad którymi trudziliśmy się do nagniotków na rękach. Ale czy to rozropne: stojąc mocno w Piterburgu ciągle opędzać się Szwedom na rzece Sistrze i na wyspie Kotlin? Czekać, aż Karol, gdy mu zbrzydnie wojowanie jeno z własnymi marzeniami i chimerami, odwróci swe wojska z Europy na nas? Wtedy tu nas chyba i bóg Neptun nie zbawi. Tu nasze serce, zaś Karola po- ; witać należy na kresach oddalonych, w warownych twierdzach. Winniśmy sami wziąć na odwagę — natrzeć. Skoro jeno spłyną lody — iść na Keksholm, odebrać go Szwedom, by jezioro Ładoga jak w czasach staro

dawnych znowu było nasze, by nasze okręty płynęły bezpiecznie z północy. Winniśmy iść za rZekę Narowę tym razem bez kontuzji^ Kamraci, szykować się do wyprawy natych? miast! Zwłoka — równa śmierci!

V

Poprzez dym tytoniowy, poprzez gęste ramki okna Piotr Aleksiejewicz dostrzegł, że księżyc z odkrojonym bokiem, pomykający przez cały czas wśród rozdartych chmur, zatrzymał się i zawisł.

— Siedz, siedz, Daniłycz, nie trzeba odpro, wadzać, wyjdę, odetchnę, wrócę.

Wstał od stołu i wyszedł na ganek pod Neptuna i piersistą pannę ze złotym garnkiem. Wleciał w nozdrza wiatr przenikliwie wonny, miękki. Piotr Aleksiejewicz włożył fajkę do kieszeni. Od ściany domu, spoza kolumny, oderwał się człek jakowys bez czapki, w siermiędze, w łapciach, ukląkł i podniósł nad głową papier.

— Czego chcesz? — spytał Piotr Aleksiejewicz. — Coś za jeden? Wstań — nie znasz rozkazu?

• — Wielki monarcho, — rzekł człowiek głosem cichym, przenikającym — bije ci czołem chłopię nędzne i ubogie, bezbronne i winne, Andriuszka Golikow... Ginę, miłościwy panie, zmiłuj się...

Piotr Aleksiejewicz gniewnie prychnął no*

sem, gniewnie wziął pismo, raz jeszcze rozkazał ~ wstać!

. • — Od roboty uciekasz? Choryś? Wydają wam wódkę na szyszkach sosnowych, jak przykazałem?

— Zdrow jestem, miłościwy panie, od roboty nie uciekam, kamienie wożę i ziemię kopię, drwa piłuję...

Miłościwy panie, siła cudowna ginie we mnie... Malarzem jestem z rodu Golikowów — malarzy świątków z Pa-lechy. Potrafię konterfekty malować niby żywe oblicza człowiecze, nie starzejące się i nie umierające, bowiem duch żyje w nich wiecznie... Potrafię malować fale morskie i okręty na nich pod żaglami, wśród dymu armatniego, nader zmyślnie...

Piotr Aleksiejewicz prychnął po raz wtóry, ale już bez gniewu.

— Okręty potrafisz malować? A jak przekonać się, że nie łżesz?

— Mógłbym pobiec, przynieść, pokazać — ale to na ścianie wymalowane, na tynku, i nie farbami — węglem... Nie mam farb, pędzli. Po nocach mi się śnią. Za farby, choćby w garnuszkach jak naparstek, za parę pędzelków odsłużyłbym, panie miłościwy, w ogień bym skoczył...

Po raz trzeci Piotr Aleksiejewicz prychnął krótkim nosem: — Chodźmy! — I podniósłszy twarz do księżycy, który świecił na cienki lodek kałuży chrzęszczący pod botfortami, poszedł gwałtownie jak zawsze. Andrzej Golikow klusem podązał za nim, bacząc na nie

zwykle długi cień cara Piotra i starając się nań nie nadebrać.

Minęli plac, skęcili pod rzadkie sosny, doszli do Wielkiej Newki, gdzie nad brzegiem- stały kryte. darnią niziutkie ziemianki robotników budowlanych. Przy jednej z 'nich; Golikow — odchodząc od zmysłów, wśród pokłonów i modlitewnych szeptów — otworzył garbate drzwi. Piotr Aleksiejewicz nachylił się, wszedł. Na pryzkach spało ze dwudziestu ludzi, spod kożuszków, spod rogoży sterczały bosc nogi. Człek goły do pasa, z ogromną brodą, siedział na niziutkiej ławeczce — łatał koszulę przy świetle płonącego łuczywa. ;

Nie zdziwił się ujrawszy cara Piotra, wpiął igłę, odłożył koszulę, wstał i skłonił się powoli niczym w cerkwi przed ciemnym obliczem.

— Skarż się! — odezwał się Piotr krótko. — Jadło złe? . :

— Złe, miłościwy panie — odparł człowiek po prostu, wyraźnie.

— Odzież licha?

— Na jesieni wydano przyodziewek; przez zimę — wiadomo, zdarło się.

— Chorujecie?

— Wielu choruje, miłościwy panie —' to miejsce bardzo ciężkie.

— Z apteki korzystacie?

— O apteceśmy słyszeli, a juści.

— Nie wierzycie w aptekę?

. — Jak by tu rzec, poprawiamy się sami z siebie.

i, — Skąd jesteś? Z jakiego werbunku tu przyszedłeś?

— Przybyłem z miasta Kiereńska, z trzeciego werbunku, jesienno... Myśmy mieszczanie. My wszyscy w tej ziemiance — ludzie wolni...

— Czemu zostałeś na zimę?

— Nie chciało mi się wracać na zimę do domu — wszystko jedno, jęczałbym z głodu na piecu. Zostałem na wynajem, na rządowym chlebie, zwozimy drwa. Patrz, jaki to chleb nam dają. — Chłop wydobył spod kożucha kawałek czarnego chleba, zgniół, złamał w sztywnych palcach. --- Pleśń. Czyż tu apteka pomoże?

Andrzej Golikow po cichutku zmienił łuczywo — w niziutkiej, pomazanej gliną, miejscami jeno bielonej lepiance zrobiło się jaśniej. Ten i ów podniósł głowę spod rogoży.

Piotr Aleksiejewicz przysiadł na pryzcy, objął kolano, przenikająco, oko w oko — patrzył na brodatego chłopca. '■■, , 'r—" A co robisz w domu, w Kiereńsku?

— Myśmy krupnikarze, ale teraz mało kto pije krupnik, nikt nie ma pieniędzy.

— Jam winien, wszystkich obdarłem? Tak?

Brodacz podniósł, potem opuścił gołe ramiona, miedziany krzyżyk na chudej piersi uniósł się i opadł; chłop z uśmiechem poTu-"" szyl głową.

— Chcesz dowiedzieć się prawdy... Cóż, nie boimy się mówić prawdy, łamano nas... Juźci, za dawnych czasów narodowi wiele lżej się

żyło. Nie było takich danin i podatków... A teraz — dawaj pieniądze a dawaj,.. Płaciliśmy dawniej podymne, poradne, po większej części — pospólnie, można się było dogadać, zwolnić — była możliwość... A teraz kazałeś płacić pogłównę, wszystkie dusze spisa-; łoś, koło każdej duszy kręci się komisarz, poborca ziemski — płac. A w ostatnich latach jeszcze tu, do Piterburga, dostarczaj ci latem trzy zmiany, czterdzieści tysięcy ludzi... Czy to łatwo? U nas z co dziesiątego dymu biorą człowieka — z siekierą, z dłutem albo z łopatą, z piłą tracką. Z pozostałych dziewięciu dymów zbierają pieniądze na jego utrzymanie — z każdego dymu po trzynaście troja-ków i dwa grosze... Mus je znaleźć! No i zdzieraj tu gardło na bazarze: „Krupnik, krupnik gorący!” Niejeden zacny człek napiłby się — cóż, kiedy w kieszeni nie ma nic prócz „Bóg zapłać”. Synów moich wzięłeś w dragony, w domu — stara i cztery dziewczuszki, co jedna to mniejsza... Juźci, miłościwy panie, ty lepiej wiesz, co i jak...

— To prawda, że ja wiem lepiej! — rzekł twardo Piotr Aleksiejewicz. — Daj no mi ten chleb. — Wziął spleśniały kawałek, rozłamał, powąchał, wsunął do kieszeni. — Jak Newa ruszy, przywiozą nową odzież, łapcie. Mąkę przywiozą, będziemy tutaj piekli chleb. — Skierował się do drzwi zapomniawszy o Golikowie, lecz ów tak błagalne spojrzenie rzucił na niego, że Piotr wyrzekł z uśmiechem: i*^ No, malarzu? Pokaż...

Część' ściany między pryczami, starannie zalepiona i wybielona,- przesłonięta była ro- gożą. Golikow ostrożnie zdjął rogożę, przysunął ciężki kaganek, zapalił jeszcze nowe łuczywo i trzymając je w drżącej ręce recytował wysokim głosem:

— Przesławna wiktoria morska przy ujściu Newy, dnia piątego maja tysiąc siedemset trzeciego roku: nieprzyjacielska szkuta „Astrel”, czternastodziałowa, i łódź admirałska „Hedan” — dziesięciodziałowa, poddają się panu bombardierowi Piotrowi Aleksieje- wiczowi i porucznikowi Mieńszykowowi.

Na otynkowanej ścianie kunsztownie, cienkim węglem przedstawiono dwa szwedzkie statki na pienistych falach, wśród armatniego dymu, otoczone łodziami, z których żołnierze Tosyjscy rzucali się na abordaż. Nad okrętami wysuwały się z chmur dwie ręce dzierzące długi proporzec z wymalowanym napisem. Piotr Aleksiejewicz przykucnął. — No, no! — odezwał się. Wszystko było utrafiłone: i olinowanie statków, i zagle wzdęte niby pęcherze, i flagi. Rozpoznał nawet Aleksaszkę z pistoletem i szpadą, wspinającego się po szturmowym trapie, i siebie poznał —| zbyt strojnego; lecz istotnie stał wówczas na dzio-t bie łodzi pod samą rufą nieprzyjacielską, krzyczał i rzucał granaty.

— No, no, a skąd ty wiesz o tej wiktorii?

— Byłem wtedy wioślarem na twojej łodzi, miłościwy panie...

Piotr Aleksiejewicz dotknął palcem rysun

ipm i

ummrn i..... i
mm

||

ku prawdziwie węgiel. (Golikow za jego plecami jęknął z cicha.)

— No, to ja cię chyba wysłę do Holandii na naukę. A nie rozpijesz się? Już ja was znam, diabelskie nasienie...

Piotr Aleksiejewicz wrócił do generał-gubernatora, znowu zasiadł na złożonym krześle. Świece dopalały się. Goście byli już mocno podchmieleni. Na drugim końcu stołu majstrowie okrętowi pochyliwszy głowy śpiewali żalospieśń. Tylko Aleksander Daniłowicz miał jasno w głowie. Od razu zauważył, że minhercowi drży kącik ust, i zastanawiał się spiesznie, co by to mogło być.

— Na, przekaś! — krzyknął nagle do niego Piotr Aleksiejewicz wyszarpując z kieszeni kawałek spleśniałego chleba. — Zagryź no tym, panie generał-gubernatorze!...

— Min herc, nie moja w tym wina, fasowaniem chleba zawiaduje Gołowkin, niech on udławi się tym kęsem... Ach, łotr, ach, bez-wstydnik!

— Jedz! — oczy Piotra Aleksiejewicza rozszerzyły się wściekle. — Gnojem ludzi karmisz — sam jedz, Neptunie! Ty tu odpowiadasz za wszystko! Za każdą duszę ludzką...

Aleksander Daniłowicz zwrócił na minherca spojrzenie melancholijne, pełne skruchy, i jął żuć ową skórkę, przetykając z udanym trudem, niby przez lzy...

Piotr Aleksiejewicz poszedł spać do swojego domku, ponieważ u generał-gubernatora komnaty były wysokie, a on lubił niziutkie pułapy, izdebki przytulne. Podczas swego pobytu w Saardamie sypiał w chacie kowala Kiesta w szafie; nie mógł nawet nóg wyciągnąć, a przecie podobało mu się tam.

Ordynans Nartow dobrze napalił w piecu, na stole pod długim okienkiem, przez które można było wyglądać jeno schylając się, rozłożył książki i zeszyty, papier, wszystko, co trzeba do pisania, przybory — kreślarskie, stolarskie, medyczne, w grubych skórzanych torbach — lunety, kompas, tytoń i fajki. Izba była obita płótnem żaglowym. W kącie stała wysoka na pół człowieka, miedziana lampa, przywieziona dla latarni morskiej twierdzy Petropawłowskiej; leżało kilka kotwic dla batów i lekkich łodzi żaglowych, nasmołowane liny, bloki żaglowe.

Tu, po kąpieli i dobrej wieszce, Piotr Aleksiejewicz naciągnąwszy szlafmycę na głowę — powinien by zasnąć słodko na drewnianym łóżku, za kotarami z barwnego płótna na czterech wygiętych słupkach. Ale sen go nie brał. Na dachu hałasował wiatr — wył porywicznie w kominach, trząsał okiennicami. Na podłodze na wołoku siedział, postawiwszy obok krągłą latarkę z otworami — druh serdeczny, Aleksaszka, i opowiadał o trudnościach piętynych króla Augusta, o kó

rych donosił stale — na piśmie i przez umyślonych — poseł przy jego dworze, książe Grigorij Fiodorowicz Dołgoruki.

Faworyty ze szczętem zrujnowały króla Augusta, pieniędzy brak; sascy poddani jego oddali wszystko, co mogli; powiadają, że tam nie znajdzie stu talarów do pożyczania; Polacy na sejmie w Sandomierzu odmówili pieniędzy; August sprzedał za pół ceny królowi pruskiemu swój zamek, no i znowu ktoś — król Karol czy sam diabeł — podsunął mu pewną osobę, pierwszą piękność w Europie, hrabinę Aurorę Koenigsmarck, i on te pieniądze strwonił na fajerwerki i bale na jej cześć; gdy hrabina przekonała się, że pozostało mu płótno w kieszeni, pożegnała go komplementem i odjechała zabrawszy pełną karete aksamitów, jedwabi i srebrnej zastawy. A on nie miał co jeść. Udał się do księcia Grigorija Fiodorowicza Dołgorukiego, obudził go, padł na fotel i dalej płakać: „Moje wojska saskie — powiada już drugi tydzień gryzą same suchary, polskie wojska nie otrzymując żołdu jęły się grabieży... Polacy oszaleli całkiem — takiego opilstwa, takich zamieszek nie było w Polsce od niepamiętnych czasów, panowie wraz ze szlachtą zdobywają szturmem — jedni na drugich—miasta i zamki, palą wioski, grasują gorzej od Tatarów; o los Rzeczypospolitej niezbyt się trapią... O, jam król nieszczęsny! Raczej bym dobył szpady i nadział się na nią!” -

Książe Dołgoruki, człek dobry, wysłuchał wszystkiego, lżę nawet uronił nad takim nieszczęściem i dał mu ze swych pieniędzy — bez rewersu — dziesięć tysięcy talarów. Król. natychmiast potoczył się do domu, gdzie szalała nowa faworyta — hrabina Kozielska — i dalej z nią ucztować.

Aleksander Daniłowicz przysunął żelazną latarkę, wyjął pismo i podniósłszy je ku świecącym dziurkom przeczytał jękając się, bo nie nazbyt jeszcze był mocny w pisanym:

— Min herc, oto, na przykład, co nam wypisuje z Sandomierza książe Grigorij Fiodorowicz: „Wojsko polskie wojuje doskonale w szynkowniach przy kuflach, ciężko wyprowadzić je w pole na nieprzyjaciela... Wojsko saskie króla Augusta niezgorsze, jeno serca

| przeciwko Szwedom nie ma. Połowa Polski zrujnowana przez Szweda do szczętu, nie oszczędzono ani kościołów, ani grobów. Lecz panowie polscy na nic nie patrzą: każdy myśli jeno o sobie. Nie pojmuję, jak takie państwo może się ostać! Dla nas z niego żaden pożytek, tyle że odwraca uwagę nieprzyjaciela...”

— Na wielki pożytek nawet nie liczę — rzekł Piotr Aleksiejewicz — do Dołgorukiego napisałem — jeśli chce, niech sam dochodzi na królu swych dziesięciu tysięcy talarów, a mnie o to nie pozywa... Za takie pieniądze można fregatę zbudować! — Ziewnął, szczęknął zębami. — Córeczki Ewy! Co one z nami wyrabiają! W Amsterdamie przychodziła do mnie jedna z traktierni, kłameczucha, filut

ka — ale niczego sobie... Również nietanio mi wypadła...

— Min herc, nie możesz w tej materii równać się z Augustem. Sama jeno Aurora Koenigsmarck kosztowała go pół miliona. A tej z traktierni — doskonale pamiętam — darowałaś trzysta czy pięćset rubli za ledwie...

— Ale, ale, pięćset rubli? Oj! oj! oj!... Bata na mnie nie było... August to nie dla nas wzór, my — ludzie rządowi, nie mamy własnych pieniędzy. Uważaj mi, Aleksaszka, z tym swoim „za ledwie”, ostrożniej rezonuj o pieniądzach rządowych... — Zamilkł na chwilę. — Masz u siebie pewnego człeka, drzewo wozi... Obdarzył go Bóg talentem...

— To Andriuszka Golikow, tak?

— Tu on niepotrzebny, nie przy swej robocie... Trza go wysłać do Moskwy... Niech wymaluje konterfekt pewnej osoby. — Piotr Aleksiejewicz spojrzął z ukosa, Aleksaszka — pomiarkować trudno, ale zda się — jął szczyrzyć zęby. — Ot, jak wstanę, jak złoję dęb- czakiem, kumciu; pojdziesz, jak się śmiać... Nudno mi bez Katarzyny i tyle... Zamknę oczy — widzę ją jak żywą, otworzę oczy — czuję ją nosem... Wybaczam jej wszystko, wszystkich jej chłopów razem z tobą... Córeczka Ewy, co tu wiele gadać...

Piotr Aleksiejewicz zamilkł nagle i odwrócił się do długiego okienka, szarzejącego od świtania. Aleksander Daniłowicz uniósł się lekko na wołoku. Za oknem — w szumie wiatru — wszczywał się inny, ciężki ^zum pękającego, kruszącego się, gromadzącego zatory lodu.

— Nawa ruszyła, min herc!...

Piotr Aleksiejewicz wyciągnął nogi spod niedźwiedziego przykrycia.

— Ale! Gdzie nam teraz do spania!

ROZDZIAŁ TRZECI

I

Wyprawę na Keksholm przerwano na samym początku. Pułki piechoty i tabory, które wyruszyły zawczasu, nie uszły nawet pół drogi do Schliisselburga, konnica zaledwie przepawiła się przez rzekę Ochtę, ciężkie łodzie wiosłowe z preobrażcami i siemionowcami nie przepłynęły po Newie nawet pięciu wiorst — na brzeg ze zniszczonego lasu jodłowego wypadł jeździec i rozpaczliwie machał kapeluszem. Piotr Aleksiejewicz krążył na łodzi z tyłu za flotyllą galer; usłyszawszy wołanie tego człowieka: — Hej, wiosłarze, gdzie miłościwy pan? Pismo do niego! — przerzucił żagiel i podpłynął do brzegu. Jeździec zeskoczył z konia, podbiegł do samej wody, uderzył dwoma palcami w rondo filcowego oficerskiego kapelusza; wysunąwszy naprzód rumianą twarz z pełnymi gotowości a wystraszonymi oczyma, przemówił ochrypłym głosem:

— Panie bombardierze, od zaufanego dworzanina, Piotra Matwiejewicza Apraksina.

Wyrwał zza czerwonego, brudnego wyłogu pismo przeszyte nicią i zapieczętowane wojskiem, podał, cofnął się. Był to porucznik Paszka Jagużyński.

Piotr Aleksiejewicz rozgryzł nitkę, przebiegł oczyma pismo, przeczytał jeszcze raz uważnie, zasępił się. Zmrużywszy oczy jął patrzeć tam, gdzie po rozświetlonych falach płynęły ciężko ładowane łodzie, jednostajnie poruszając wiosłami.

— Oddaj konia marynarzowi, siadaj na łódź — rzekł do Jagużyńskiego i nagle krzyknął: — Włóż w wodę, widzisz przecie, żeśmy na mieliźnie, odepchnij łódź, potem skocz.

Milczał przez całą drogę, aż do strony Pieterburskiej, gdzie wypadło płynąć manewrując pod wiatr. Zręcznie podprowadził łódkę do pomostu, dwaj majtkowie pośpiesznie zwinęli duży żagiel i rzucili się stukając butami na dziób łodzi, gdzie na zasupłanym kliwerszku łopotało płótno. Piotr Aleksiejewicz w milczeniu błyskał źrenicami, dopóki porządnie, wedle regulaminu, nie zwinęli żagla i nie oporzadzili całego takielunku. Wtedy dopiero podążył do domu. Natychmiast zebrali się tam zaniepokojeni: Mieńszykow, Golowkin, Bruce i wiceadmirał Kreis. Piotr Aleksiejewicz uchylił okno wpuszczając wiatr do dusznej izdebki, siadł przy stole i przeczytał głośno pismo Piotra Matwiejewicza Apraksina, dowodzącego garnizonem twierdzy Jamburg, leżącej w odległości dwudziestu wiorst na północ od Narwy.

— „Wedle Twego, rozkazu, Miłościwy Panie, na przedwiośniu wyruszyłem z trzema

pułkami piechoty i pięciu rotami konnicy do ujścia rzeki Narowy i stanąłem w miejscu, gdzie wpada struga Rossoń. Wpędce nadeszło pięć szwedzkich okrętów, a daleko na morzu jeszcze widać było proporce. Przy małym wietrze dwa okręty wojenne weszły do ujścia i jęły strzelać z dział do naszego obozu. Odpowiedzieliśmy, dzięki Bogu, niezgorzej z dział polowych, jeden okręt szwedzki rozbiwszy pociskami, wyparliśmy nieprzyjaciela z ujścia Narwy.

Po tej bitwie Szwedzi drugi tydzień stoją na kotwicy przy wybrzeżu — pięć okrętów wojennych i jedenaście szkunerów towarowych, czym wprowadzają mnie w niemałą troskę. Bez przerwy rozsyłam podjazdy po całym brzegu morskim, nie pozwalając Szwedom na żaden wylądunek na ląd. A wysyłam też dragonów na drogę rewelską i pod samą Narwę i rozbijam straże nieprzyjacielskie. Języki powiadają, że w Narwie bieda i wielkie strapienie, jako że dzięki Twojemu arcy-mądrymu przykazaniu zajęliśmy ujście Narowy.

Nasi ochotnicy, przeprawiwszy się aż pod same bramy Narwy, nocą przychwycili wysłannika gubernatora rewelskiego do komendanta Narwy Horna z szyfrowanym pismem. Ów wysłannik okazał się znakomitego rodzaju kapitanem gwardii Stahl von Holsteinem, per-sonatem mile widzianym przez Króla Karola. Z początku nie chciał nic odpowiadać, ale gdym troszkę przykrzyknął na niego, opowiedział, że w Narwie spodziewają się wkrótce samego Schlippenbacha z wielkim wojskiem i Szwedzi już tam wysłali karawanę — trzydzieści pięć okrętów i fife ze zbożem, słodem, śledziami, rybą wędzoną i mięsem peklowanym. Karawaną dowodzi wiceadmiral de Proux, Francuz, który ma lewą rękę urwaną i miast niej przyprawioną srebrną. Na okrętach ma ponad dwieście dział i piechotę morską.

Nie wiedziałem, czy mam wierzyć kapitanowi Holsteinowi w sprawie arcywielkiej i strasznej, ale oto, Miłościwy Panie, dziś wczesnym rankiem mgła nad morzem rozwiła się i ujrzeliśmy cały horyzont w żaglach i naliczyliśmy ponad czterdzieści proporców. Słabe są moje siły, konnicy — ilość niewielka, armat — dziewięć jeno, a i to jedną w tych dniach rozerwało przy strzelaniu... Nie spodziewam się niczego prócz ostatecznej zagłady... Pomóż, Miłościwy Panie..."

— No? Co powiecie? — spytał Piotr Aleksiejewicz skończywszy czytanie.

Bruce wsunął wściekle podbródek w czarny Halsztuk. Ciemne oblicze Korneliusza Kreisa nic nie wyrażało, zwięził jeno źrenice, jakby stąd dojrzał pół setki proporców szwedzkich w Zatoce Narwskiej; Alejsander Daniłowicz, zwykle rychły w odpowiedzi, dziś również milczał zasępiiony.

— Pytam, panowie — rado wojenna, czy uważać mamy, iż król Karol w swym przebiegłym posunięciu wygrał ode mnie figurę:

jednym zręcznym ruchem na Narwę obronił Keksholm? Czy też mamy trwać w uporze i prowadzić gwardię na Keksholm oddając Narwę Schlippenbachowi?

Korneliusz Kreis potrząsnął głową; z ujmą godności wiceadmiralskiej dobył z tabakiery prymkę marynarską, warzoną w rumie z pieprzem kajeńskim, i wetknął za policzek.

Nie! — wyrzekł.

:— Nie! — wyrzekł Bruce twardo.

— Nie! — wyrzekł Aleksander Daniłowicz : trzaskając w kolano.

— Nietrudno nam będzie zdobyć Keksholm — odezwał się Gawryła Iwanowicz Gołowkin spokojnym głosem — byle jeno król Karol nie zaszachował nam drugiej figury, tym razem — damy.

— Tak! — rzekł Piotr Aleksiejewicz.

Było zrozumiałe i bez słów; przepuszczenie do Narwy korpusu Schlippenbacha — oznaczało rezygnację z głównych twierdz, i Narwy i Juriewa, bez których dostęp do Pieterburga stał otworem. Nie wolno było zwlekać ani godziny. W niedługim czasie umyślni pocałowali drogą schliisselburską i wzdłuż Newy z rozkazem: zawrócić do Pieterburga wojsko i flotę wiosłową.

Porucznik Paszka Jagużyński, który nie schodził z siodła trzy doby, zdołał tylko wyprosić u ordynansa Nartowa kusztyczek carskiej pieprzówki, kawał chleba z solą i odjechał z powrotem do obozu Piotra Matwiejewicza Apraksina, któremu rozkazano strapienia swe z ufnością ofiarować Panu Bogu, a trwać z wojskiem mocno przeciwko flocie szwedzkiej, choćby do ostatniego tchnienia. Odprawiając Jagużyńskiego Piotr Aleksiejewicz wziął go za rękę, przyciągnął, pocałował w czoło.

— Przekażesz mu ustnie: za tydzień będę pod Narwą ze wszystkimi wojskami.

II

Króla Karola zbudziło rozlewne pianie koguta; otworzywszy oczy, w półmroku namiotu przysłuchiwał się, jak kogut z przydechem, gorliwie nadrywa gardziel: wożono go w taborze i na noc stawiano w klatce przed namiotem królewskim. Potem róg otrąbił przeciągle pobudkę; królowi przypomniał się zamglony wąwóz, granie rogu, szczekanie psów i niecierpliwa chęćka — przelać krew zwierza... Tuż przy namiocie zaszczekał piesek, z głosu — paskudztwo, jakie damy wożą ze sobą w karetach. Ktoś syknął, psina żałośnie zaskomlała. Król zakonotował sobie: „Dowiedzieć się, skąd piesek”. Niedaleko przy konowiązie zatupotały wierchowce, któryś koń zarżał dziko. Król zakonotował: „Szkoda, ale wypadnie chyba Neptuna owałaszyć”. Ktoś przeszedł miarowymi, ciężkimi krokami. Król nadstawił ucha, by usłyszeć komendę przy zmianie warty. Nad namiotem przeleciały ptaki, ze świstem przecinając powietrze. Za-

konotował: „Dzień będzie pogodny”. Dźwięki i głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Ponad wszystkie wiole, harfy i klawesyny słodsza była ta rześka, mężna muzyka budzącego się obozu.

Król czuł się doskonale po krótkim śnie na polowym łóżku, pod płaszczem woniejącym kurzem drogi i potem końskim. O tak, tysiąc razy przyjemniej byłoby obudzić się przy pianiu koguta, gdyby po przeciwnej stronie pola stał nieprzyjaciel i ciągnęło stamtąd przez wilgotną mgłę dymkiem jego ognisk... Wtedy — jednym skokiem z posłania w bot- forty i — na konia... I powstrzymując blask oczu, wyjechać stępa do wojsk, które już uszykowały się przed bitwą i stoją, wąsate, surowe...

Pal diabli! Po fatalnej dlań bitwie pod Kli- szowem król August straciwszy wszystkie działa i sztandary cofa się jeno, już cały rok cofa się, kluczy niby zając po niezmierzonej Polsce... O tchórz, o łgarz, intrygant, zdrajca, rozpustnik! Boi się otwartego spotkania, zmusza swego przeciwnika do trwonienia sławy, rozgłośniej zwycięstw pod Narwą, Rygą i Kli- szowem, w jałowej pogoni za głodnymi saskimi fizylierami i pijaną polską husarią... Zmusza swego wroga, by ten na podobieństwo kurtyzany wylegiwał się cały ranek w pościeli!...

Król Karol przyłożył do ust dwa palce, gwizdnął. Natychmiast odchylił się brzeg płótna i do namiotu wszedł kamerjunker, ba

ron Berkenhelm, z brodaweczką na zadartym nosku, i ordynans — strażnik przyboczny — sięgający głową pod wierzchołek namiotu; przyniósł wyczyszczone botforty i ciemnozielony mundur, na którym w kilku miejscach widniały zacerowane ślady kul i odłamków.

Król Karol wyszedł z namiotu i podstawił dłonie, ordynans jął lać ostrożnie wodę ze srebrnego dzbanka. Do lecących pocisków król Karol przywykł łatwo, lecz zimnej wody bał się, gdy trafiała mu na szyję i za uszy... Rzuciwszy ręcznik ordynansowi przyczesał krótko ostrzyżone włosy, nie patrząc w zwier- ciadélko podane przez barona Berkenhelma. Obciągnął mundur zapięty pod szyję i zlustrował okiem równe rzędy namiotów na zielonym zboczu opadającym ku strumieniowi. Z tyłu za namiotami zwykła krzątania przy koniach; artylerzyści czyścili szmatami miedziane lufy dział. Karol zauważył wzgardliwie: „O ileż wspanialej, gdy lawety zapry- skane błotem, a miedź okopcona prochem!” W dole, nad brzegiem strumienia, żołnierze prali koszule, rozwieszali je na gałęziach niziutkiej łoży. Z drugiej strony wybrzeża po bagnisku z powagą spacerowały bociany, podobne do profesorów teologii. Dalej — sterczały gołe kominy spalonej wsi, za nią, na wzgórzu, spoza stuletnich drzew żółciły się dwie odarte wieże kościoła. Królowi Karolowi zbrzydł aż do mdłości ów pejzaż zaślosny, powtarzający się niezliczoną ilość razy! Trzy lata krążyć po przeklętej Polsce! Trzy lata,

które mogłyby mu dać połowę globu — od Wisły po Ural!

— Wasza królewska mość raczy spożyć śniadanie — rzekł baron Berkenhelm, wytwornie pielęgnowaną ręką wskazując na rozchylone płótna namiotu. Tam na pustej beczce od prochu, przykrytej śnieżnobiałym płótnem, leżał na srebrnym talerzu chleb pokrajany na cieniutkie kromeczki, stała miska z gotowaną marchwią i druga — z żołnierską polewką z orkisz. To wszystko. Król wszedł, usiadł, rozpostarł na kolanach serwetę. Baron stał za jego plecami nie przestając dziwić się upartym dziwactwom królewskim: rujnować swe zdrowie tak chudym jadłem! Może to niezbędne dla przyszłych memuarów? Król jest ambitny... W złożonym pucharze roboty wielkiego mistrza Benvenuto Celliniego — z kolekcji króla Augusta zagarniętej po bitwie pod Kliszowem — woda ze strumienia zalatująca żabami. Niewątpliwie, sława światowa — niełatwe to brzemię!

— Skąd się wziął w obozie parszywy psiak, czy ktoś przyjechał? — spytał Karol żując marchewkę.

— Wasza królewska mość, późną nocą zjechała do obozu faworyta króla Augusta, hrabina Kozielska, w nadziei, że wasza królewska mość okaże jej łaskawość i — przyjmie ją.

— Hrabia Piper wie o jej przyjeździe?

Baron odpowiedział twierdząco. Król Karol skończywszy żałosne śniadanie odważnie napił się wody z kubka, zmiął serwetkę i wyszedł z namiotu, naciskając na tył głowy mały trójgraniasty kapelusz bez galonów. Spytał, gdzie karetą hrabiny, i udał się w kierunku krzewów leszczynowych; tam wśród gałęzi połyskiwał w słońcu złożony Kupidyn i gołąbki zdobiące wierzch ekwipażu.

Hrabina Kozielska spała w powozie wśród stosu poduszek i koronek. Była to wspaniała, świeża jeszcze niewiasta z bardzo białą skórą i jasnymi lokami wymykającymi się spod zmiętego czepka. Zbudzona skomleniem pieska — który wpadł królowi pod botfort — otworzyła wielkie, szmaragdowe, słowiańskie oczy, którymi król Karol gardził u mężczyzn i których nienawidził u kobiet. Ujrzała zbliżoną do szkła drzwiczek karety ziemistą, szczupłą twarz z drwiącymi, chłopcęcymi ustami i dużym, mięsistym nosem? hrabina krzyknęła i zasłoniła się rękoma.

— Po cóż pani przyjechała? spytał król. — Proszę kazać niezwłocznie zaprząć konie i jak najprędzej wracać, bo inaczej zostaniesz potraktowana jako szpieg tego brudnego bezwstydnika, króla Augusta... Czy pani mnie słyszy?

Hrabina była Polką — nie tak łatwo można ją było nastraszyć. W dodatku król od razu postawił sprawę w sposób dla siebie niekorzystny: zaczął od grubiaństwa i pogroźek... Hrabina odjęła od twarzy pulchniutkie rącz

ki, obnażone do łokcia, uniosła się na poduszkach i uśmiechnęła do niego z czarującą prostotą.
— Bonjour, sire — rzekła z wdziękiem — stokrotnie przepraszam, że przestraszyłam króla moim krzykiem... Winien jest Bijou, mój piesek, przyczynia mi tyle niepokoju przez to niezgrabne wpadanie pod nogi! Wypuściłam go z karety, by sobie poszukał jakiej skórki albo kosteczki kurzej... Sire, oboje umieramy z głodu... Cały wczorajszy dzień pędziliśmy przez pustynię, obok zrujnowanych wsi i spalonych pałaców — nie mogliśmy dostać ani okruszyny chleba, chciałam płacić po dukacie za jajko kurze... Dobrzy Polacy, którzy wychodzili z jakichś nor, jeno wznosili ręce do Boga... Sire* chcę zjeść śniadanie... Chcę wynagrodzić sobie wszystkie okropności podróży, odwołuję się do dobroci waszej, do wspaniałomyślności — proszę mi pozwolić zjeść śniadanie w waszej obecności, najjaśniejszy panie.

Hrabina, mówiąc bez zamilknięcia francuszczyzną tak wyszukaną, jakby życie całe spędziła w Wersalu, zdążyła jednocześnie poprawić włosy, podmalować usta, upudrować się, naperfumować i zmienić nocny czepek na koronki hiszpańskie... Król Karol starał się bezskutecznie wstawić słowo — hrabina wyfrunęła z karety i wzięła go pod ramię.

—i O mój królu, cała Europa traci głowę dla waszej królewskiej mości, już nie mówi się o księciu Eugeniuszu Sabaudzkim, o hrabim Marlborough — Eugeniusz i Marlborough muszą odstąpić wieniec sławy królowi Szwedów ... Można wybaczyć moje wzruszenie; za chwilę widzenia waszej królewskiej mości, bohatera snów naszych, gotowam bez namysłu oddać życie... Proszę oskarżać mnie

0 wszystko, sire, jestem szczęśliwa, nareszcie słysząc twój głos...

Hrabina chwyciła płaczącego się pod nogami kudłatego pieska z krótkim noskiem

1 tak mocno wczepiła się królowi w łokieć, że naraziłby się na śmieszność odrywając od siebie tę damę.

■— Jadam jarzyny i piję tylko wodę — rzekł urywkowo — wątpię, czy mogłabyś pani tym się zadowolić po zbytkach króla Augusta... Proszę do mego namiotu...

Cały obóz szwedzki był wielce zdumiony ujrzawszy swego króla wyprowadzającego z gaju leszczynowego wspaniałą piękność we fruwających od porannego wietrzyka lekkich spódniczkach i koronkach. Król prowadził ją, gniewnie zadarłszy nos. Przy namiocie oczekiwali: baron Berkenhelm we wdzięcznej pozycji, ze złotą lornetką, w olbrzymiej peruce, i masywny, wyglądający z chłopska, spokojnie drwiący hrabia Piper.

Przepuściwszy hrabinę do namiotu król Karol rzekł do niego przez zęby:

— Tego panu długo nie przebaczę! — A do Berkenhelma: — Proszę, do diaska, postarać się o jakąś wołowinę dla tej osoby... Król zasiadł na bębnie naprzeciwko hrabi

ny, ona zaś na poduszkach podsuniętych jej przez barona. Śniadanie, podane na beczcze od prochu, przeszło wszelkie oczekiwania: był to pasztet, dróbki gęsie, dziczyzna na zimno, a w pucharze roboty Benvenuto Celliniego znalazło się wino. Król zakonotował sobie ściągnawszy wargi: „Doskonale! Wiem teraz, czym pożywia się w swym namiocie ten hul- taj Berkenhelm...” Hrabina ze smakiem pałaszowała śniadanie rzucając pieskowi kostki i nie przestawała szczebiotać:

— Ach, Jezus Maria, na cóż się zda udawanie?... Sire, czytasz w myślach moich... Przyjechałam tu z jedyną nadzieją. — ocalenia Rzeczypospolitej... To misja, którą nakazało mi moje serce... Chcę przywrócić Polsce jej beztroskę, jej wesołość, jej słynne uczty, wspaniałe polowania... Polska — w gruzach! Sire, proszę nie-marszczyć brwi — wszystkiemu winna lekkomyślność króla Augusta. Och, jak on teraz kaja się, że w złą godzinę posłuchał tego demona, Johanna Patkula, i stał się wrogiem waszej królewskiej mości! Proszę mi wierzyć, nie zła wola Augusta, to jedynie Patkul, godzinie ćwiartowania, rozpoczął tę nieszczęsną wojnę o Inflanty. Patkul, jedynie Patkul stworzył przeciwny naturze związek króla Augustą z królem duńskim i tym dzikim potworem — carem Piotrem- Lecz czy błędy nie są do naprawienia? Czyż wspaniałomyślność nie przewyższa innych cnót... O, wasza królewska mość jesteście człowiekiem wielkim, wspaniałomyślnym...

Słowiańskie oczy hrabiny stały się podobne do wilgotnych szmaragdów. Lecz apetytu nie straciła. Jej myśli mknęły w takim galopie, że król Karol z trudem za nimi nadązał i ledwie zamierzył wyrzec ostrą replikę, gdy już należało odpowiadać na nowe zdanie. Berkenhelm wstrzymywał westchnienia. Piper, w kącie namiotu, rozstawiwszy ciężkie nogi, z teką przyciśniętą do brzucha, uśmiechał się subtelnie.

— Pokoju, jeno pokoju chce król August, gotów z ulgą zerwać handlową umowę z carem Piotrem. Przecie głośniej od innych my, kobiety, błagamy waszą królewską mość o pokój... Trzy lata wojny i zamieszek — to za wiele dla naszych krótkich lat...

-T- Nie pokój: kapitulacja — wyrzekł wreszcie król Karol utkwivszy w hrabinie żółtawe oczy. — Zamierzam rokować nie tu, w Polsce, już nie należącej do Augusta, lecz W Saksonii, w jego stolicy. Czy pani już się nasyciła? Nie masz mi nic więcej do zarzucenia?...

— Sire, ja całkiem straciłam głowę — rzekła hrabina śpiesznie, oblizując różowe pa- luszki po uporaniu się ze wspaniałe upieczonym bekasem. — Zapomniałam oznajmić o tym, co najważniejsze, z czym pędziłam do waszej królewskiej mości na złamanie karku. — Otworzyła złote puzdereczko, które wisiało przy bransoletce, dobyła rurkę papieru i rozwinęła ją. — Sire, oto depesza poczty gołębiej otrzymana wczoraj rano. Car

Piotr z wielkimi siłami ruszył pod Narwę. Poczytuję sobie za obowiązek uprzedzić waszą królewską mość o tym niebezpiecznym marszu moskiewskiego tyra...

Hrabia Piper przestał uśmiechać się, podszedł do króla i razem jeli odcyfrowywać drobne pismo depeszy gołębiej. Hrabina zwróciła piękne oczy na Berkenhelma, westchnęła lekko i podniósłszy puchar Benvenuto Celli- niego upiła zeń...

III

Wspaniały król August, stworzony, zda się, przez naturę dla pysznych balów, dla opieki nad sztukami, dla uciech miłosnych z najpiękniejszymi kobietami Europy, dla chluby Rzeczypospolitej, pragnącej mieć króla nie gorszego niż w Wiedniu, w Madrycie czy w Wersalu, znajdował się obecnie w ostatecznym upadku ducha. Jego dwór rozta- wał się w na pół rozwalonym zamku nędznego miasteczka Sokal w województwie lwowskim — i cierpiał braki. Nie było tu nawet targu niedzielnego, ponieważ ludność ukraińska okolicznych wsi albo pochowała się w lasach czekając na koniec wojny, albo po- sła diabli wiedzą dbkąd, najprawdopodobniej na Zadnieprze, skąd dochodziły głuche wieści o rozpoczynającej się hajdamaczyz* nie...

Żeby nie kłaść się spać z pustym żołądkiem.

królowi Augustowi wypadło przyjmować zaproszenia okolicznych dziedziców, prawić francuskie komplementy prowincjonalnym damom i pić podłe wino. Niejeden pan polski,* podkrecając wspaniałe wasy i dumnie spoglądając na odległy, „szary” koniec stołu, gdzie pobrzękiwała szablami i czarkami roz- pasana szlachta zagonowa, czuł się bardziej królem niż król August. Sejm warszawski zdetronizował go. Co prawda, połowa województw polskich nie uznała tego, niemniej jednak w jego zamku w Warszawie siedział drugi król polski, Stanisław Leszczyński, pisał obelżywe uniwersały i rozdawał swej służbie jego — Augustowe — ^ kaftany z brokatu i pończochy paryskie. Cały wschód — prawy brzeg Dniepru, od Winnicy do Podola — rozgorzał powstaniem chłopskim, nie mniej krwawym niż za Bohdana Chmielnickiego. A zamykając pierścień, niezbyt daleko stąd, gdzieś między Lwowem i Jarosławiem, stał król Karol z wyborowym trzy- dziesiątosięciowym wojskiem, odcinając Augustowi odwrót do ojczystej Saksonii.

August tracił pewność siebie z powodu obrzydłego strachu przed królem Karolem — tym wściekłym chłopakiem w zakurzonym mundurze i zrudziałych botfortach, o twarzy rzezańca i oczach tygrysa. Karola niczym nie można było przekupić ani skusić — niczego nie żądał od życia prócz grzmotu i dymu armatniego, zgrzytu krzyżującego się żelaza, jęku rannych żołnierzy i widoku stratowane

go pola, pachnącego spalenizną i krwią, po którym ostrożnie — poprzez trupy — A stąpa jego koń o spadzistym zadzie. Jedyłą ksiązką, którą Karol trzymał u siebie pod cienką poduszką, były „Komentarze” Cezara. Kochał wojnę z namiętnością średniowiecznego Normana. Wolałby dostać w głowę dwu- dziesiętofuntowym pociskiem niż zawrzeć pokój, choćby najkorzystniejszy dla swego królestwa.

Dziś przez cały dzień król August czekał na powrót hrabiny. Nie spodziewał się, aby przy całej swej kobiecej zręczności mogła skłonić Karola do pokoju. Lecz wiadomości dostarczone z Litwy przez gołębia pocztowego o wystąpieniu cara Piotra były tak ważne i groźne, że Karol mógł zaprzestać polegania na jednym korpusie generała Schlippenbacha i zawahać się, czy prowadzić dalej bezmyślną pogoń za Augustem, czy też obrócić wojska dla zmierzenia się z carem Piotrem ku Bałtykowi, gdzie pchali go stanowczo wszyscy: cesarz austriacki, który bał się śmiertelnie, by Karol nie zawarł przymierza z królem francuskim i nie skierował swych wojsk na Wiedeń, i król francuski, lękający się, by dyplomaci wiedeńscy nie przeciągnęli Karola na stronę cesarza i nie zaproponowali mu spaceru wojennego do granicy francuskiej, i król pruski, bojący się absolutnie wszystkich, a ponad wszystkich szalonego Karola, którego nic nie kosztowało wtargnąć do Prus Brandenburskich, zagarnąć Królewiec, a je go — króla tak obrobić, że nie ruszy ani ręką, ani nogą.

Potem przyszedł zły jak diabeł Patkul, który wydawał się jeszcze grubszy w źle uszytym, zielonym z czerwonymi wyłogami mundurze rosyjskiego generała. Chrypiał, marszczył wysokie czoło, zbyt wąskie dla tłustego, pełnego pychy oblicza, i kiepską francuszczyzną skarżył się na tchórzliwość cara Piotra, który uchyla się od decydującego spotkania z królem Karolem. . UJ Car ma dwie duże armie. Powinien wtargnąć do Polski i połączywszy się z waszą królewską mością rozbić Karola nie bacząc na żadne ofiary — mówił Patkul, a jego czerwone policzki trzęsły się. To byłby krok śmiały i mądry. Car jest łapczywy jak wszyscy Rosjanie. Dopuszczono go do Zatoki Fińskiej, gdzie z dziecinnym pośpiechem buduje swoje miasteczko; dostał Ingrię i dwie wspaniałe twierdze — Jam i Koporie; niech się tym kontentuje i spłaca swój dług wobec Europy! Ale ori ostrzy sobie apetyt na Narwę i Dorpat, rozdziawia gębę na Rewel. Potem zachce mu się Inflant i Rygi! Cara należy utrzymać we właściwych granicach... Ale na nic się nie zda rozmawiać o tym z jego ministrami... To nieokrzesane chłopcy w perukach z farbowanych pakuł, dla nich Europa tym, czym dla brudnej świni czyste posłanie... Wasza królewska mość, wyrażam się nadto ostro i otwarcie, lecz boli mnie to... Pragnę jednego — by moje Inflanty wróciły

pod berło waszej królewskiej mości... Lecz wszędzie, w Wiedniu, w Berlinie i tu, u was, spotykam się z całkowitą obojętnością... Gubię się — któż w końcu jest większym wrogiem Inflant: król Karol, grożący mnie osobiście ćwiartowaniem, czy car Piotr, który okazał mi tyle pochlebnego zaufania — aż do rangi generał-porucznika włącznie. Tak, przywdziałem mundur rosyjski i uczciwie doprowadzę tę grę do końca... Ale moje uczucia pozostają moimi uczuciami... Ból mego serca pogłębiony jest odrętwieniem i bezczynnością waszej królewskiej mości... Najjaśniejszy panie, podnieś głos, zażądaj od cara wojsk, domagaj się rozstrzygającego starcia z Karolem...

Kiedy indziej król August po prostu wyrzuciłby za drzwi tego zuchwalca. Teraz wypadło milczeć, obracając w palcach tabakierkę. Wreszcie Patkul odszedł. Król wezwał dyżurnego — rotmistrza Tarnowskiego i powie- ; dział, że ofiaruje sto dukatów (których nie posiadał) temu, kto pierwszy oznajmi o powrocie hrabiny Kozielskiej. Wniesiono świece w pozieleniałym lichtarzu, zabranym chyba z synagogi. Król podszedł do zwierciadła i w zadumie jął oglądać swe nieco pomizer- niałe oblicze. Nigdy mu się to nie uprzykrzyło, ponieważ żywo wyobrażał sobie, jak niewiasty muszą kochać te wargi zarysowane niby na antycznym posągu, nieco zmysłowe, z mocnymi zębami, duży rasowy nos, wesoły blask pięknych oczu — latarń duszy...

Król uniósł peruki — tak jest, siwizna! Od oka ku skroni biegną zmarszczki... Przeklęty Karol!

— Wasza królewska mość pozwoli sobie przypomnieć — rzekł rotmistrz stojący przy drzwiach — pan Sobieszczański po raz trzeci przysyła szlachcica z oznajmieniem, że pan i pani nie siadają do stołu w oczekiwaniu waszej królewskiej mości... Dania są takie, że mogą się zepsuć...

Król wyjął z kieszeni jedwabnej kamizeli, pachnącej mocno piżmem, puderniczkę, puszką łabędzim przesunął po twarzy, z koronek na piersi strzepnął puder i tytoń i spytał niedbale: — Cóż tam osobliwego będzie u nich na wieczerzę?

— Wybadałem szlachcica — powiada, że od wczoraj rżną u państwa prosięta, ptactwo, robią kielbasy i farsz. Znając wybredne gusty waszej królewskiej mości sama pani przygotowała pieczone pijawki z gęsią krwią...

— Bardzom rad... Daj szpadę, jedziemy...

Majątek pana Sobieszczańskiego znajdował się niedaleko od miasta. Chmura burzowa przesłoniła matowiejącą smugę zachodu, pachniało mocno kurzem drogi i deszczem, który jeszcze nie zaczął padać. August w skórzanej karecie, dość zniszczonej w czasach niepo- myślności, podjeżdżał do dworu. Przybycie jego oznajmił szlachcic, który przycwałował wcześniej. Pod ciemnymi konarami odwiecznej alei na spotkanie karety biegli ludzie z pochodniami... Kareta wyminęła klomb

i wśród ujadania psów zatrzymała się przed długim jednopiętrowym domem, pokrytym J trzciniowym dachem. Tu również miotła się z pochodniami pańska czeladź w podartych koszulach, z dziko zmierzwionymi włosami. Przy samym ganku stłoczyło się z pięćdziesięciu szlachty zagonowej, utrzymywanej przy dworze pana Sobieszczańskiego, osiwiiałych weteranów pańskich bójek, ze strasznymi szramami od szabli na twarzach; spaszle obżartuchy, dumne z natłuszczonych, sterczących niby kolce wąsów — długich bez mała na ćwierć łokcia; młodziki w zniszczonych kaftanach — z cudzego grzbietu, lecz mimo to nie mniej czupurni. Wszyscy stali ujawszy się pod boki, z ręką na główicy szabli, na znak swej szlacheckiej wolności; gdy król August zgiąwszy ogromne ciało wysunął się z karety, jednym głosem wykrzyknęli łacińskie powitanie. Z ganku schodził rozkładając ręce niemłody już pan Sobieszczański, gotów w owej chwili — wiedziony hojną polską gościnnością — podarować gościowi wszystko, czego by zapragnął: psy gończe, konie ze stajni, wszystką służbę, jeśli będzie mu potrzebna, własny kontusz z chabrowego sukna, lamowany futrem. Nie oddałby chyba jeno młodej pani Sobieszczańskiej... Pani Anna stała za małżonkiem, śliczna, bieluchna, z zadartym noskiem, zdziwionymi oczyma, w wysokiej hiszpańskiej czapeczce z piórem — królowi Augustowi odpłynęła z serca cała melancholia.

Z niskim ukłonem ujął panią Annę za ko- niuszeczki palców i nieco podniósłszy jej rękę — niby w figurze poloneza — powiódł do jadalni. Za nimi szedł pan z oczyma wilgotnymi z rozczulenia, za panem — spowiednik, pachnący kozłem, wygolony do siności bosi mnich, przepasany sznurem, dalej — wedle godności — szlachta.

Stół, na którym pod obrusem rozesłane było siano, a na wierzchu rozrzucone kwiaty, wywołał okrzyki - zachwyty; długi szlachcic, w kontuszu, wdzianym na gołe ciało, aż porwał się za głowę, becząc i kołysząc się, czym wywołał ogólny śmiech. Na półmiskach srebrnych, cynowych, malowanych leżały stopy kielbas, pieczonego ptactwa, udźce cielęce i szynki, wędzone półgęski, ozory, mięsa marynowane i gotowane, rogaliki, chlebki, obarzanki, placuszki, stały ukraińskie z zielonego szkła — gąsiory z wódkami, beczulki węgryzyna, dzbany z piwem... Płonęły świece, a poza tym dworscy chłopcy świecili w okna dymiącymi pochodniami, patrząc poprzez zmętniałe szkła, jak wspaniale ich pan ucztuje.

Król August miał nadzieję, że jego obecność każe gospodarzowi odstąpić od zwyczaju upijania gości tak, aby nikt nie mógł utrzymać się na nogach. Ale pan Sobieszczański stał twardo przy staropolskim obyczaju. Ilu gości siedziało przy stole — tylekroć wstawał, podkręcał siwe wąsy, wymawiał głośno nazwisko, poczynając od króla, a kończąc na

tym ostatnim — owym długim szlachcicu na końcu stołu, który, jak się okazało, butów również nie miał — i pił zdrowie kubkiem węgryzyna. Wszyscy wstawali krzycząc: „Wiwat!” Gospodarz podawał gościowi pełen kubek, a ów pił wzajemnie za zdrowie pana i pani. Gdy już wszystkie zdrowia wypito, pan Sobieszczański znowu zaczął kołem, wznosząc najpierw toast na cześć Rzeczypospolitej, potem najmiłościvszego króla polskiego, Augusta 1 — „jedynego, któremu oddamy szable nasze i krew naszą”. — Wiwat! Precz ze Stanisławem Leszczyńskimi — krzyczała szlachta w szalonym podnieceniu. Następnie wzniesiono napuszony toast na cześć nienaruszalnej wolności szlacheckiej. Wtedy rozognione głowy ze wszystkim straciły rozwagę, goście dobywali szabel, stół zachwiał się, świece pospadały. Pewien tęgi, jednooki szlachcic z okrzykiem: — Tak zginą wrogowie nasi — heretycy i Moskale! — dzielnie rozrąbał olbrzymi półmisek z kielbasami.

Po lewej ręce Augusta, od strony serca, siedziała zarumieniona niby róża pani So- bieszczańska. Wspaniale jej szło rozpytywanie króla o powabne obyczaje Wersalu, o jego tamtejsze przygody, śmiała się lekko, leciutko, dotykała go łokciem, to ramieniem, a jednocześnie dawała baczenie na gości, szczególnie na tych z szarego końca, gdzie poniektóry szlachcic, oszołomiony trunkiem, wypychał do kieszeni płóciennych szarawarów wędzony ozór albo półgęsek, i szybkimi, kłu

jącymi spojrzeniami przyzywała służbę wydając rozkazy.

Król już nieraz próbował objąć delikatną talię gospodyni, lecz za każdym razem pan Sobieszczański podawał mu napełniony puchar do toastu. — W ręce twoje, najmiłościv- szy panie. — August starał się nie dopijać bądź też niedostrzegalnie wylewał pod stół — nic nie pomagało, puchar natychmiast był napełniony bądź przez służbę stojącego za krzesłem, bądź też przez drugiego, który siedział z butelką pod stołem. Wreszcie podano drogiemu gościowi słynne danie z przypiekanych pijawek — gospodyni własną ręką nałożyła ich pełen talerz.

— Doprawdy wstydzę się, że wasza królewska mość chwali takie wiejskie jadło — mówiła głosem naiwnym, lecz w jej oczach czytał zupełnie co innego. — Przyrządzenie nie czyni trudności... rzecz w tym, by gęś była młoda i nie za tłusta. Gdy opiją się krwi, wsuwam je wraz z gęsią do pieca chlebowego, odpadają wtedy od gęsiej piersi i układa się je na patelni...

— Biedna gęś — rzekł król biorąc dwoma palcami pijawkę i odgryzając z chrzęstem kawałek. — Czego to nie wymyślą piękne niewiasty dla rozkoszy podniebienia.

Pani Anna śmiała się, pióro na jej wysokiej czapeczce, zsuniętej na bok, drgało zaczepnie. Król widział, że wszystko idzie dobrze. Czekał jeno na rozpoczęcie tańców, by porozumieć się bez przeszkód. Tymczasem,

rozpychając we drzwiach pijaną szlachtę, wdarł się czarny od kurzu, spocony, wystraszony człek w porwanym kontuszu...

— Panie, biada, panie! — krzyknął padając na kolana przed pańskim krzesłem. — Posłałeś mnie do klasztoru po beczkę starego miodu... Załatwiłem wszystko rzetelnie... Ale z powrotem diabli mnie ponieśli okrężną drogą — wielkim traktem... Wszystkom stracił — i beczkę z miodem, i konia, i szablę, i czapkę... Ledwie uszedł z duszą... Poturbowali mnie! Niezliczone wojsko zbliża się pod Sokal.

Król August zasepił się. Pani Anna wpiła się paznokciami w jego rękę. Jakież inne wojsko mogło teraz podchodzić do Sokala — jedynie król Karol w uporczywej pogoni... Szlachta wrzasnęła dziko: Szwedzi! Ratuuj się, kto może! — Pan Sobieszczański trzasnął pięścią w stół, aż podskoczyły kubki.

— Ciszej, waszmościowie! Każdemu, komu wino natychmiast nie wywietrzeje z czuba, każę wyliczyć pięćdziesiąt plag na kobiercu... Słuchać mnie, psułaty... Król moim gościem — nie okryję wiecznym sromem mej siwej głowy... Może tu sobie przyjsz choćby całe wojsko szwedzkie, nie damy naszego gościa... , ~ Nie damy! — wrzasnęła szlachta, z traskiem wyrwijając szablę z pochew.

— Siodłać konie... Nabijać pistolety... Umrzemy, nie pohańbimy imienia polskiego...

— Nie pohańbimy... Wiwat!

Dla króla Augusta było jasne, że jedyne rozumne postanowienie — to niezwłocznie dosiąść konia i uciekać, korzystając z ciemnej nocy... Ale on, August Wspaniały, miałby uciekać niby godny pożałowania tchórz, porzucić wesołą ucztę i rozkoszną niewiastę, wciąż jeszcze nie puszczającą jego ręki? Do takiego upokorzenia Karol go nie zmusi! Pał sześć roztropność!

— Rozkazuję wam, mości panowie, wrócić do stołu. Uczujmy dalej — rzekł i siadł odrzuciwszy od rozognionych policzków kędziory peruki. Koniec końców, gdy Szwedzi zjawią się tutaj, to go ci gdzieś ukryją, wywiozą — królom nie dzieje się krzywda... Nalał wina, wzniosł puchar, - jego duża, ładna ręka nie drżała... Pani Anna spojrzała na niego z zachwytem — za takie spojrzenie istotnie można było oddać królestwo...

— Dobra nasza! Król rozkazuje nam ucztować! — pan Sobieszczański klasnął w dłonie i polecił szlachcicowi, który rozrąbał półmisek z kielbasą, jechać z towarzyszami do wielkiego traktu i stanąć na straży; wszystkim biesiadnikom — aż do szarego końca — nalewać najlepszego węgryna i pić, dopóki w ostatniej beczce nie ukaże się dno, z piwnic i komór wynosić wszystko, co jest w domu najlepszego, sprowadzić muzykantów...

Uczta rozbrzmiała nowym ożywieniem. Pani Anna puściła się w płąsy z królem. Tańczyła, jakby miała skusić samego apostoła Piotra, by jej otworzył wrota raj. Czapeczka zsu

nęła się jej na bok, w kędziorach wiły się dźwięki mazura, krótka spódnica owijała się i łąsiła do zgrabnych nóg, trzewiczki z czerwonymi obcasikami przytupywały, to znowu leciały, jakby nie dotykając podłogi... Wspaniały był też król tańczący z nią — olbrzymi, pyszny, pobladły od wina i żądry...

— Pani Anno, tracę rozum — zmiłowania, na wszystkie świętości — mówił do niej przez zęby, a ona odpowiadała spojrzeniem, że nie ma zmiłowania, a wrota do rajy już rozwarte...

...W ciemności za oknami dały się słyszeć wystraszone głosy służby, parskanie koni... Muzyka zmiłła... Nikt nie zdążył nawet porwać za szablę czy odwieść kurek pistoletu... Jenó król, któremu wszystko płynęło przed oczyma, mocno objął panią Annę i sięgnął do szpady...

Do sali balowej weszło dwóch ludzi: pierwszy — olbrzym, ślepy na jedno oko, w wysokiej czapie baraniej ze złotym chwastem, z obwisłymi jasnymi wąsami pod dużym nosem, drugi — niższy od niego — wyglądający z pańska, z miłą miękkością w obliczu, odziany w zakurzony mundur z generalską szarfą przez ramię.

— Czy tu znajduje się jego królewska mość, król August? — zapytał i dojrawszy Augusta stojącego w groźnej postawie ze szpadą, zdjął kapelusz, skłonił się nisko. — Najmiłościwszy królu, przyjmij raport: z rozkazu pana mego, Piotra Aleksiejewicza, przybyłem pod rozkazy waszej królewskiej mości

564

z jedenastu pułkami piechoty i pięciu pułkami jazdy kozackiej...

Był to gubernator Kijowa, dowodzący wojskami posiłkowymi, Dymitr Michajłowicz Golicyn, starszy brat bohatera spod Schlussemburga, Michała Michajłowicza. Drugi — wysoki, w żurawinowym kaftanie i w opończy do pięt — był to nakazny ataman kozacki, Daniłó Apostoł. Szlachta groźnie poruszała wąsami na widok tego Kozaka. Stał na progu, niedbale ująwszy się pod boki, bawiąc się buławą, na ładnych wargach — uśmieszek, brwi niby strzały, w jednym oku — noc, rozświetlona pożarami hajdamackich najazdów.

Król August zaśmiał się, wrzucił szpadę do pochwy, uściskał Golicyna, atamanowi dał rękę do ucałowania. Po raz trzeci nakryto do stołu. Półkwartowy puchar węgryna szedł z rąk do rąk. Pito zdrowie cara Piotra, który dotrzymał obietnic — przysłał pomoc z Ukrainy, pito za wszystkie pułki, które nadeszły, i na pohybel Szwedom. Czupurnej szlachcie chciało się szczególnie spoić na umór atamana Daniłę Apostoła, lecz on spokojnie wychylał kubek za kubkiem i jeno nosił brwi — ściać go z nóg okazało się niemożliwością.

O świcie, gdy już niemało ze szlachty wypadło powlec na podwórze i ułożyć przy studni, król August rzekł do pani Anny:

— Nie mam skarbów, by rzucić je u twych stóp, pani. Jam wygnaniec żyjący z jałmużny. Lecz dzisiaj znowu jestem możny i bo

565

gaty... Anno, chcę, byś siadła do karety i jechała za mym wojskiem. Należy wyruszyć' natychmiast, ani godziny zwłoki!... Ja króla Karola powiodę za nos jak wyrostka... Boska Anno, chcę pani ofiarować na półmisku moją Warszawę... — Powstawszy, wspaniale skinął ręką i zwrócił się ku tym biesiadnikom, którzy jeszcze wytrzeszczali oczy i stroszyli wypomadowane wąsy.

— Panowie, zalecam wam i rozkazuję — siodłajcie konie, wszystkich was biorę do mej osobistej świty.

Ile tam nie próbował książę Dymitr Michajłowicz Golicyn grzecznie, nader pocziwie perswadować, że wojska muszą ze trzy dni odpocząć, odkarmić konie i podciągnąć tabory — król August pozostał nieubłagany. Nim słońce osuszyło rosy, powrócił do Sokala odprowadzony przez Golicyna i atamana. Wszędzie na ulicach miasta stały wozy, konie, armaty, na kędzierzawej trawce spali zmęczeni żołnierze rosyjscy. Dymiły ogniska. Król spoglądał przez okno karety na śpiących piechurów, na Kozaków, malowniczo rozłożonych na wozach.

— Co za żołnierze! — powtarzał. — Co to za żołnierze — bohaterowie!

W bramie zamku rotmistrz Tarnowski powitał go wystraszonego szeptem:

— Hrabina powróciła, nie zyczy sobie udać się na spoczynek, bardzo zagniewana...

— Ach, takie drobiazgi! — król wszedł wesoło do sklepionej, wilgotnej sypialni, gdzie, spływając sopolkami, dopalały się świece w pozieleniałym świeczniku z synagogi. Hrabina powitała go stojąc, patrząc w milczeniu w jego twarz i wyczekując jeno pierwszego słowa, by odpowiedzieć należyście.

— Sophie, nareszcie! — rzekł z większym pośpiechem, niżby pragnął. — No, jakże? Widziałaś się pani z królem Karolem?

— Tak, widziałam króla Karola, dziękuję... — Jej twarz była niby obsypana mąką, wydawała się obrzmiała, nieładna. — Król Karol niczego tak nie pragnie, jak powiesić waszą królewską mość na pierwszej z brzegu osice... Jeśli miłościwemu panu niezbędne są szczegóły mej rozmowy z królem, opowiem... Lecz teraz mam ochotę zapytać: jak wasza królewska mość sam nazwie swoją konduite? Wysyłasz mnie niby ostatnią pomywaczkę dla obrabiania swych brudnych sprawek... Narażam się na zniewagi, w drodze czyha na mnie tysiąc niebezpieczeństw: mogę być zgwałcona, zarżnięta, ograbiona... A wasza królewska mość szukasz tymczasem rozrywki w ramionach pani SobieszczańskiejL. Tej małej szlachcianeczki, którą kępowałamby się wziąć do siebie na pokojówkę...

— Cóż za drobiazgi, Sophie!

Okrzyk ten był nieostrożnością ze strony króla Augusta. Hrabina zbliżyła się do niego i — zgrabnie niby kot łapką — wycięła mu policzek...

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Na wzgórzu, gdzie ustawiono wieżę strażniczą, Piotr Aleksiejewicz zeskoczył z konia i jał wspinać się po ułożonych stromo belkach na pomost. Za nim Chambers, Mieńszykow, Anikita Iwanowicz Riepnin, jako ostatni — Apraksin Piotr Matwiejewicz; temu nadzwyczaj przeszkadzała otyłość i zawroty głowy: to nie żarty wchodzić na coś takiego — dziesięć sążni nad ziemią. Piotr Aleksiejewicz, nawykły do wspinania na maszty, nawet się nie zadyszał, dobył z kieszeni perspektywę i jał patrzeć rozkraczywszy nogi.

Narwę widać było jak na zielonym półmisku, wszystkie jej przysadziste baszty z bramami i zwodzonymi mostami, na zakrętach murów — wypukłości bastionów pobudowanych z ciosanych głazów, masyw starego zamku z krągłą wieżą prochową, kręte ulice miasta, ostre dachy kirch, niczym gwoździe sterczące w niebo. Na drugim brzegu rzeki wznosiło się osiem posepnych baszt, pokrytych łożnianymi czapami, i wysokie, zdziurawione pociskami mury twierdzy Iwango-

nego. — Miasto będzie nasze! — rzekł Mieńszykow, który również patrzył w perspektywę.

Piotr Aleksiejewicz do niego przez zęby:

— Ty, nie nadymaj się przed czasem!

Poniżej miasta wzdłuż rzeki, w okolicy, gdzie nad strumieniem Rossoń znajdowały się umocnienia ziemne Piotra Matwiejewicza Apraksina, sunęły z wolna tabory i wojska, źle widzialne poprzez kurz, jaki wzbijały. Przebywszy most pontonowy pułki konnicy i piechoty rozkładały się na lewym brzegu w odległości pięciu wiorst od miasta. Już tam białą namioty, wznosiły się o bezwietrzu dymy, rozsiadane konie chodziły po łąkach... Dobiegał stuk siekier — odwieczne sosny padały wstrząsając wierzchołkami.

— Otoczyliśmy się jeno wozami i zasiekami, czy nie rozkażesz jeszcze gwoli przezorności kopać rowów i ustawić palisady? — spytał książę Anikita Iwanowicz Riepnin. Człek był ostrożny, roztropny i biegły w sztuce wojennej, odważny bez czupurności, lecz gotów — gdy trzeba — raczej umrzeć dla wielkiej sprawy niż cofnąć się. Nie udał się jeno z oblicza i postawy, aczkolwiek ród swój mniemał starożytniejszym od rodu cara Piotra; był postaci nierzemnej, ślepowy — przecie spod zmrużonych powiek jego malutkie oczy spoglądały nader mądrze.

— Rowy i palisady nie zbawią nas! Nie po tośmy tu szli, by siedzieć za palisadami — rod, wzniesionej jeszcze przez Iwana Groź-

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na wzgórzu, gdzie ustawiono wieżę strażniczą, Piotr Aleksiejewicz zeskoczył z konia i jął wspinać się po ułożonych stromo belkach na pomost. Za nim Chambers, Mieńszykow, Anikita Iwanowicz Riepnin, jako ostatni — Apraksin Piotr Matwiejewicz; temu nadzwyczaj przeszkadzała otyłość i zawroty głowy: to nie żarty wchodzić na coś takiego — dziesięć sążni nad ziemią. Piotr Aleksiejewicz, nawykły do wspinania na maszty, nawet się nie zadyszał, dobył z kieszeni perspektywę i jął patrzeć rozkraczywszy nogi.

Narwę widać było jak na zielonym półmisku, wszystkie jej przysadziste baszty z bramami i zwodzonymi mostami, na zakrętach murów — wypukłości bastionów pobudowanych z ciosanych głazów, masyw starego zamku z krągłą wieżą prochową, kręte ulice miasta, ostre dachy kirch, niczym gwoździe sterczące w niebo. Na drugim brzegu rzeki wznosiło się osiem posepnych baszt, pokrytych ołowianymi czapami, i wysokie, zdziurawione pociskami mury twierdzy Iwango-

rod, wzniesionej jeszcze przez Iwana Groźnego.

— Miasto będzie nasze! — rzekł Mieńszykow, który również patrzył w perspektywę.

Piotr Aleksiejewicz do niego przez zęby:

— Ty, nie nadymaj się przed czasem!

Poniżej miasta wzdłuż rzeki, w okolicy,

gdzie nad strumieniem Rossoń znajdowały się umocnienia ziemne Piotra Matwiejewicza Apraksina, sunęły z wolna tabory i wojska, źle widzialne poprzez kurz, jaki wzbijały. Przebywszy most pontonowy pułki konnicy i piechoty rozkładały się na lewym brzegu w odległości pięciu wiorst od miasta. Już tam białą namioty, wznosiły się o bezwietrzu dymy, rozsiadane konie chodziły po łąkach... Dobiegał stuk siekier — odwieczne sosny padały wstrząsając wierzchołkami.

— Otoczyliśmy się jeno wozami i zasiekami, czy nie rozkażesz jeszcze gwoli przezorności kopać rowów i ustawić palisady? — spytał książę Anikita Iwanowicz Riepnin. Człek był ostrożny, roztropny i biegły w sztuce wojennej, odważny bez czupurności, lecz gotów — gdy trzeba — raczej umrzeć dla wielkiej sprawy niż cofnąć się. Nie udał się jeno z oblicza i postawy, aczkolwiek, ród swój mniemał starożytniejszym od rodu cara Piotra. Był postaci nierzadkiej, ślepowy — prze-^{ci}e spod zmrużonych powiek jego malutkie ^oczy spoglądały nader mądrze.

— Rowy i palisady nie zbawią nas! Nie po tośmy tu szli, by siedzieć za palisadami j—

odburknął Piotr Aleksiejewicz kierując perspektywą dalej na zachód.

Chambers, który miał przyzwyczajenie od samego rana wypijać tęgą czarkę wódki dla podtrzymania ducha, wychrypiął gardłowo:

— Można rozkazać żołnierzom spać w bu- tach, przy broni... Głupstwo! Jeśli jest wiaro- godne, że generał Schlippenbach stoi w We- zenbergu — nie można się spodziewać sukursu szwedzkiego wcześniej niż za tydzień...

— Ja już pewnego razu czekałem tutaj na sukurs szwedzki... Dziękujemy, mamy nauczkę I — odparł Piotr Aleksiejewicz dziwnym głosem. Mieńczykow zaśmiał się krótko, grubiańsko.

Na zachodzie, dokąd Piotr Aleksiejewicz patrzył z chciwością, rozpościerało się morze, najłżejszy wietrzyk nie marszczył szarawego całunu, drzemiącego w potokach światła. Na wyraźnej linii granicznej morza można było wyteńczywszy wzrok dojrzeć mnóstwo masztów okrętowych ze zwiniętymi żaglami. To w martwocie morską sztalu stała flota admirała de Proux ze srebrną ręką.

Apraksin, wczepiony w poręcz chwiejnego pomostu, rzekł:

— Panie bombardierze, jakżem to miał się nie nastraszyć takiej potęgi — pół setki okrętów i taki dzielny admirał... Zaiste, Bóg mnie zratował — nie dał temu potępieńcowi wiatru od morza...

- Ech, ile dobytku się marnuje! — Mieńczykow paznokciem liczył maszty na hory zonie. — Z pewnością trapy ma zawałone po brzegi wędzonymi flądrami, węgorzami, śledziami, rewelską wędliną... A ich wędlina, braciszku! Gdzie jak gdzie, ale w Rewlu to umieją zjeść... W taki upał wszystko za- śmierdnie, wszystko wyrzuci za burtę diabeł jednoręki... Apraksin, Apraksin, zadku lądowy, siedzisz przecie nad morzem! Czemu nie masz łodzi? W taką ciszę — posadzić rotę grenadierów na łodzi — de Proux nie będzie się miał gdzie podziać.

— Mewa siada na piasku! — krzyknął Piotr Aleksiejewicz. — Dalibóg, siada! — Minę miał czupurną, oczy okrągłe. — Założę się o dziesięć talarów — sztormu jeno patrzeć... Kto idzie o zakład? Ech, wy, marynarze! Nie stękaj, Daniłycz, może pokosztujemy szynki admirałkiej.

Wsunąwszy perspektywę w zanadrze, jął szybko schodzić z wieży. Do pułkownika Rena, który podbiegł do cara, by mu pomóc zeskoczyć na ziemię, powiedział: — Jeden szwadron wyślij przodem, z drugim podążaj za mną.

Skoczył na siodło i zawrócił w stronę Narwy. Jego rosły gniady wałach z dużymi uszami, podarunek feldmarszałka Szeremietiewa, który zdobył tego konia w bitwie pod Erestver, jakoby spod samego Schlippenba- cha, szedł tęgim kłusem. Piotr Aleksiejewicz niezbyt lubił konną jazdę i w kłusie podskakiwał wysoko. Za to Aleksander Daniłowicz zagrzewał swego ogiera, białego jak śraieta-

na, również odbitego Szwedom, i koń z wesołymi oczami, i jeździec zupełnie jakby igrali — koń to sunął boczkiem w krótkim galopie po świeżej łące, to stawał dęba, przysiadał na ogonie, bił powietrze czarnymi kopytami, okręcał się i cwałował; krótki jasno- czerwony płaszcz, zarzucony na jedno ramię, wzbijał się nad plecami Aleksandra Daniłowicza, trzepotały pióra na kapeluszu, końce jedwabnej szarfy. Dzień był piękny, choć skwarny — w niewielkich gajach, opuszczonych teraz sadach, ptaki rozśpiewały się, roz- ćwierkały.

Anikita Iwanowicz Riepnin, nawykły od małości jeździć po tatarsku, spokojnie —* boczkiem — trząśnięty się w wysokim siodle na drobnym, wytrzymałym koniku. Apraksin zalewał się potem pod ogromną peruką, która dla rosyjskiego człeka nie przedstawiała ani wygody, ani piękna. Daleko na przodzie, wśród zarośli, przemykał w rozsypce szwadron dragonów. «— Z tyłu — w ordynku — szedł drugi szwadron, przed nim kłusował pułkownik Ren, piękniś i bibosz, który podobnie jak generał Chambers w poszukiwaniu szczęścia po świecie oddał carowi Piotrowi swój honor i szpadę.

Piotr Aleksiejewicz pokazywał jadącemu obok niego Chambersowi rowy i doły, wysokie nasypy porośnięte burzanem i wikliną, przegniłe koły sterczące zewsząd z ziemi. ; — Tu zgniła moja armia — rzekł po prostu. — Na tym miejscu król Karol znalazł

wielką sławę, a my — siłę. Tu nauczyliśmy się, od której strony rzepę gryźć, tu na wieki wieków pogrzebaliśmy skostniałą starzyznę, która omal nam nie zgotowała ostatecznej zguby...

Odwrócił się od Chambersa. Rozglądając się zauważył nieopodal opuszczony domek z zapadniętym dachem. Jął wstrzymać konia. Jego krągła twarz stała się zła. Mieńczyk nadjechałszy rzekł wesoło:

— Ten sam domek, min here. Pamiętasz?

— Pamiętam... p Zasepiony Piotr Aleksiejewicz uderzył konia i znowu jął podskakiwać w siodle. Jak nie pamiętać tej bezsennej nocy przed klęską! Siedział wówczas w tym domku patrząc na okapującą świecę; Aleksaszka leżał na wojłoku i płakał w milczeniu. Ciężko było pokonać w sobie rozpacz, srom, złość bezsilną i pogodzić się z tym, że jutro Karol ma niechybnie go pokonać... Ciężko było zdecydować się na rzecz niesłychaną, nieznośną — zostawić w tej godzinie armię, sięść w kolasę i pędzić do Nowogrodu, by tam zacząć wszystko od początku... Zabiegać o pieniądze, zboże, żelazo... Brać się na sposoby, sprzedawać cudzoziemskim kupcom ostatnią koszulę z grzbietu, żeby kupić broń. Łać armaty, pociski... A najważniejsze §§ ludzie, ludzie, ludzie! Wyciągać ludzi z odwiecznego bagna, otwierać im oczy, brać pod zębra. Walczyć, krzesać ludzi, uczyć... Gnać tysiące wiorst po śniegu, po błocie... Burzyć, budować... Wywijać się z tysięcznych sidił poli-
Stt

tyki europejskiej. Oglądać się z przerażeniem: „Jakiż to ogrom jeszcze nie poruszony...”

Dragoni idący przodem wypadli z gęstego cienia sosen na szeroką łąkę przed murami Narwy, wznoszącymi się po przeciwnej stronie fosy pełnej wody. Przerażeni mieszkańcy wśród bieganiny i krzyku pośpiesznie spędzali do miasta bydło. Łąka opustoszała, zwodzony most zagrzmiał, podniósł się ciężko i zatrzasnął bramę. Piotr Aleksiejewicz wjechał stępą na górę. Znowu wszyscy dobyli perspektyw i przyglądali się wysokim, mocnym murom, porośłym trawą w szczelinach między głazami.

Na szczycie baszty przy bramie stali Szwedzi w żelaznych kaskach, w skórzanych pancerzach. Jeden dzierżył w wysuniętej ręce żółty sztandar. Drugi człek, nader wysokiego wzrostu, zbliżył się na skraj wieży, wsparł łokieć na kamiennym występie i również jął patrzeć przez perspektywę — z początku wodził nią po jeźdźcach na górze, a potem nastawił prosto na Piotra Aleksiejewicza.

— Krzepki to lud, zobaczy człek takich na baszcie, to się nastraszy — mówił z cicha Apraksin do Anikity Iwanowicza Riepnina wachlując się kapeluszem. — Widzisz teraz, com wycierpiał przy ujściu Narwy, sam» z dziewięciu armatami, gdy zwała się na mnie flota. A ten długi —• co patrzy w perspektywę — och, to niebezpieczny człek!... Przed samym przybyciem Waszym starłem się

574

z nim w polu, chciałem go pojmać... Ale gdzie tam...

UJ Kto jest ów wysoki na wieży? — spytał ochryple Piotr Aleksiejewicz.

— Miłościwy panie, przecież to on właśnie, generał Horn, komendant Narwy.

Ledwie Apraksin wymienił to nazwisko |— Aleksander Daniłowicz ruszył koniem i pocwałował łąką ku wieży... — Durniu! — krzyknął za nim rozwścieczony Piotr Aleksiejewicz, lecz tamten, z powodu świstu wiatru w uszach, nie słyszał. Osadził konia niemal pod samą bramą, zerwał kapelusz i wywijając nim, jął wołać przeciągle:

— Hej, tam na wieży... Hej, panie komendancie! Wypuścimy was z miasta z honorami, ze sztandarami, z bronią i muzyką... Wychodź z dobrej woli!...

Generał Horn opuścił perspektywę nasłuchując, co wykrzykuje ten szalejący na koniu Rosjanin, strojny niby kogut. Zwrócił się do jednego ze Szwedów, widać, by mu przetłumaczył. Surowe starcze oblicze zmarszczyło się jakby po czymś kwaśnym; przechylił się przez krawędź wieży i splunął w stronę Mieńszykowa.

— Oto moja odpowiedź, głupcze! — krzyknął. — Zaraz dostaniesz coś mocniejszego.

Szwedzi na wieży zaśmiali się zelżywie. Błysnął ogień, wzbił się biały obłoczek, bomba prując powietrze przeleciała z sykiem nad głową-Aleksandra Daniłowicza.

— E-hej-hej! — krzyknął ze wzgórza Ani-

d«

kita Iwanowicz Riepinin cienkim głosem. — Żle strzelacie, Szwedzi, przyslijcie do nas puszkarzy, poduczmy ich...

Na wzgórzu również roześmiali się wszyscy. Aleksander Daniłowicz, który wiedział, że i tak nie uniknie harapa Piotra Aleksiejewicza, okręcał konia i podskakiwał, machał kapeluszem i szczyrzył zęby do Szwedów, dopóki drugi pocisk nie pękł tuż obok konia, który targnąwszy się uniósł go daleko od baszty.

Skończywszy objazd twierdzy i naliczywszy na murach przynajmniej ze trzysta dział, Piotr Aleksiejewicz w drodze powrotnej skręcił do pamiętnego domku, zsiadł z konia i rozkazawszy wszystkim, by czekali, wezwał Mieńszykowa do tej samej komnaty, gdzie przed czterema laty uczynił ofiarę ze swego wstydu i hańby dla ocalenia państwa rosyjskiego. Podówczas był tu dobry piec, obecnie walała się kupa opalanej cegły, na podłodze — brudna słoma; widocznie spędzano tutaj na noc owce i kozy. Siadł na parapecie okienka. Aleksaszka stał przed nim skruszony.

— Zapamiętaj to sobie, Daniłycz, jak Bóg na niebie, skoro raz jeszcze zobaczę twą głupią chełpliwość, złupię ci skórę harapem — rzekł Piotr Aleksiejewicz. — Milcz, nie odpowiadaj! Dziś sam sobie wybrałeś los. Myślałem: komu powierzyć dowództwo nad wojskiem oblężniczym — tobie czy feldmarszałkowi Ogilwy. Chciało mi się w takiej spra-

wie dać pierwszeństwo swojakowi przed etW dzoziemcem... Sameś wszystko zepsuł, druhu serdeczny, tańcowałeś na koniu przed generałem Hornem jak pajac! Wstyd! Wciąż jeszcze nie możesz zapomnieć o bazarach moskiewskich! Wciąż chcesz błaznować jak u mnie przy stole! A na ciebie Europa patrzy, durniu! Milcz, nie odpowiadaj! — Sapał na- pychając fajkę. — I jeszcze jedno: popatrzyłem ja znowu na te ściany i skonfundowałem się, Daniłycz... Odstąpić od Narwy po raz drugi — nie sposób... Narwa — to klucz całej wojny... Jeśli Karol jeszcze tego nie rozumie, to ja rozumiem... Jutro tak obstawimy miasto całym wojskiem, by ptaszę nawet nie przeleciało... Za dwa tygodnie przyjdą działa oblężnicze... A co dalej? Mury mocne, generał Horn uparty, na karku wisi Schlippenbach... Gdy będziem tutaj dreptać — sprowadzimy z Polski Karola z całą armią... Miasto trza brać szybko, a tak nie chce się przelewać za wiele krwi naszej... Co powiesz, Daniłycz?

— Juźci, można obmyślić jakiś fortel. To sprawa nietrudna. Ale skoro feldmarszałek Ogilwy jest tu głową, niech już tam wedle książek postanowi co i jak... A ja co mogę rzec? Znowu jakieś głupstwo ni w pięć, ni w dziewięć — po chłopsku. — Mieńszykow dreptał, ociągał się, podniósł oczy — twarz Piotra Aleksiejewicza była spokojna i smutna, rzadko go takim widział. Aleksaszkę litość cięła niby nożem po sercu. — Min

herc! — szepnął ściągnawszy brwi — co ty, min herc! Daj czas do wieczora, przyjdę do namiotu, obmyślę coś. Nie znasz to naszych ludzi czy co?... Przecie teraz nie rok siedem- setny... Nie frasuj się, dalibóg...

II

W obszernym namiocie płóciennym dzięki staraniom Nartowa tak jak w domku petersburskim rozłożono na stole połowym cyrkle, instrumenty, papiery, mapy wojskowe. Przez rozchylone płótna tchnął — niby z pieca — żar ziemi i choćbyś uszy zatkał smołowanymi pakułami — ostro, sucho cykały w trawie świerszcze.

Piotr Aleksiejewicz pracował w samej koszuli rozchełstanej na piersi, w holenderskich spodniach do kolan, w pantoflach na boscie nogi. Od czasu do czasu wstawał od stołu i w kącie namiotu Nartow wylewał mu na głowę dzban wody źródlanej. Przez te dni pochodu na Narwę — jak zawsze zresztą — nagromadziło się wielkie mnóstwo pilnych spraw.

Sekretarz Aleksy Wasiliewicz Makarów, niepozorny młody człowiek, niedawno przyjęty na służbę, stojąc u brzegu stolika przy kupce papierów, podając sprawy szemrał wyraziście wargami — tak głośno, by zagłuszyć cykanie świerszczy. „Ukaz dla Aleksego Sidorowicza Siniawina o zawiadywaniu łaźniami handlowymi w Moskwie i innych miastach” — kładł cicho przed monarchą arkusz papieru z zarządzeniem wypisanym w słupku z lewej strony. Piotr Aleksiejewicz skacząc źrenicami po wierszach czytał, wtykał do kałamarza pióro gęsie i grubo, krzywo, nieczytelnie, z pośpiechu opuszczając litery, pisał z prawej strony arkusza: „Gdzie można, umieścić przy łaźniach cyrulików, by ludzi zachęcić do golenia brody, a także utrzymywać dobrych mistrzów do wycinania odcisków”.

Makarów kładł przed nim nowy arkusz. „Ukaz dla Piotra Wasiliewicza Kikina o zawiadywaniu rybołówstwem a młynami wodnymi w całym państwie...” Ręka Piotra Aleksiejewicza z kleksem na końcu pióra zawisała nad papierem.

— Kto przygotował ukaz?

— Ukaz przysłano z Moskwy od księcia-cesarza, na własnoręczny podpis miłościwego pana...

— Moskwa pełna darmozjadów, siedzą przy okienkach i z nudów żrą kwaśny agrest, a do roboty nie sposób znaleźć ludzi... Dobrze, wypróbujemy Kikina, zacznie kraść — biczem złupię skórę; więc odpisz księciu-cesarzowi, żem w zwątpieniu...

— Z Piterburga umyślny z wiadomością od podpułkownika Aleksego Browkina — ciągnął Makarów. — Przybyło z Moskwy od Tichona Streszniewa sześć krzaków piwonii do ogrodu miłościwego pana na Stronie Piterburskiej, przybyły w całości, jeno ogrodnik

!

Lewonow, nie zdoławszy posadzić ich, zmarł.

— Jak to — zmarł? — spytał Piotr Aleksiejewicz. — Co za głupstwa!

— Kąpiąc się w Newie — utonął...

— Oczywiście, po pijanemu. Tak więc dobrzy ludzie nie żyją długo... A wielce zdatny był ogrodnik, szkoda. Pisz...

Piotr Aleksiejewicz poszedł w kąć namiotu zlewać głowę i parskając mówił do Makarowa, który stojąc pisał zwinnie na rogu stołu;

— „Do Streszniewa... Piwonie otrzymaliśmy w porządku, żałujemy jeno, że przysłałeś tak mało. Zechciej skorzystać z pory — przyslij z Izmajłowa wszelakiego kwiecica, najwięcej takiego, co pachnie: kanupera, mięty i rezedy... Przyslij dobrego ogrodnika z rodziną, żeby nie tęsknił... A odpisz, na Boga, jak się miewa w Izmajłowie Katarzyna Wasiljewska z Anisją Tołstoj i innymi... Nie zapominaj pisać o wszystkim części... Podobnież chciej powiadomić, co słyhać z poborem do pułków dragońskich — należy jeden pułk sformować natychmiast — z ludzi co zdatniejszych! tutaj przysłać...”

Wrócił do stołu, przeczytał, co Makarów napisał, uśmiechnął się do siebie — podpisał.

— Co jeszcze? Ale nie podsuwaj mi wszystkiego za kolejną, ale dawaj, co najważniejsze...

— Pismo Grigorija Fiodorowicza Dołgorukiego, z Sokala, o pomyślnym naszych wojsk przybyciu.

— Czytaj! — Piotr Aleksiejewicz zamknął

oczy, wyciągnął szyję, jego duże, pełne zadrapań, mocne ręce spoczęły na stole.

Dołgoruki pisał o tym, że z przybyciem wojsk rosyjskich do Sokala król August zapłonął znowu niezmierną odwagą i chce starcia z Karolem na polu bitwy, by z Bożą pomocą w generalnej batalii wziąć rewanż za konfuzję pod Kliszowem. Do tego szaleństwa podmawiają go zwłaszcza faworyty — ma ich teraz dwie, a Jego żywot upływa w wielkim niepokoju. Dymitr Michajłowicz Golicyn z trudem niemalym zdołał odwieść go od niezwłocznego starcia z Karolem (który niby wilczyśko drapieżne na to jeno czyhu) i wskazać mu drogę na Warszawę, pozostawioną przez Karola ze słabą obroną. Co z tego może wyniknąć — Bogu Jednemu wiadomo...

Piotr Aleksiejewicz słuchał cierpliwie długiego listu, jego warga z pasemkiem wąsików unosiła się odsłaniając zęby. Targnąwszy głową, wymamrotał: „Sprzymierzeńczy!” Przysunął czysty arkusz, poskrobał się paznokciem w tył głowy i z trudem nadążając piórem za myślami, jął pisać — odpowiedź Dołgorukiemu:

„...Upominam Jeszcze waszą miłość, byś nie ustawał w odwiedzeniu najjaśniejszego króla Augusta od zgubnego i okrutnego zamiaru. Spiesz do generalnego spotkania ufając fortunie — co znaczy szczęście, ale to sprawa w zawiadywaniu Jeny Najwyższego!... Nam zaś, ludziom, roztropniej spoglądać na to, co bliższe, co istotą spraw ziemskich... Krótko

mówiąc — dążenie do batalii walnej jest wielce dlań niebezpieczne, bowiem w jednej godzinie może stracić wszystko. Jeśli walna bitwa się nie uda — od czego Boże obroń i jego, i nas wszystkich — jego królewska mość August oddań będzie melancholii nie od samego jeno wroga, lecz i od Polaków rozjuszonych odjęciem szczęścia ojczyźnie, wygnan zostanie sromotnie i tronu pozbawi on... Po cóż rzucać się w takowe nieszczęście? Co do faworytek, o których piszesz, wasza miłość — w istocie nie masz leku na takową gorączkę... Jedno — staraj się pozyskać sympatię i alians owych mamzelek..."

Nie było już czym oddychać w kłębach dymu tytoniowego. Piotr Aleksiejewicz podpisał z kleksami — „Ptr” i wyszedł z namiotu na nieznośny upał. Stąd, ze wzgórza, widać było w stronie Narwy tuman kurzu, wzniecony przez tabory i wojska ciągnące z obozu na pozycje oblężnicze przed twierdzą. Piotr Aleksiejewicz przesunął dłonią po piersi, po białej skórze — serce stukało powoli, mocno. Wówczas jął patrzeć tam, gdzie na nieogarnionym szklanym morzu drzemały niewidoczne stąd okręty admirała de Proux, pełne dostatków, których wystarczyłoby dla całej armii rosyjskiej. Ziemia, niebo i morze zdawały się udrećzone oczekiwaniem, czas zatrzymał się jakby. Wtem wiele czarnych ptaków przeleciało bezładnie obok pagórka w stronę lasu. Piotr Aleksiejewicz zadarł głowę — tak jest! Z południowego zachodu wysoko, w niebo rozpalone jak blacha, jęły wznosić się przeźrocze kłaczków obłoków.

— Makarów! — zawołał. — Założysz się o dziesięć talarów?

Maków natychmiast wyszedł z namiotu — ostronosy, pergaminowy ze zmęczenia i bezsenności, z prostymi ustami bez uśmiechu — wyciągnął z kieszeni sakiewkę.

— Wedle rozkazu, miłościwy panie...

Piotr Aleksiejewicz skinął nań ręką.

— Idź, powiedz Nartowowi, żeby podał kurtkę marynarską, sudwestkę, botforty... A niechby też umocowali namiot, bo go porwie... Będzie tęgi sztorm.

Morze zawsze go czarowało, ciągnęło do siebie. W skórzanej czapie z osłoną na kark, w szerokiej kurtce, jechał tęgim klusem ku morskemu brzegowi w eskorcie pół szwadronu dragonów. (Do Apraksina do obozu posłano po dwa działa i grenadierów.) Słońce kłuło niby skorpion przed zagładą. Na drogach wiły się słupy kurzawy. Po całunieniu morza przebiegały pasmami wiatry. Spoza mrocznego widnokregu wypełzła czarna chmura. Wreszcie morze tchnęło w twarz zapachem wodorostów i rybiej łuski. Wiatr przybierający na sile zagwizdał, zaryczał wszystkimi Neptunowymi wargami...

Piotr Aleksiejewicz przytrzymując stidwe- stkę wesoło szczyrzył zęby. Zeskoczył z konia na piaszczysty brzeg? słońce po raz ostatni błysnęło spoza skłębionego skraju chmury, szkliste światło przebiegło po skędzierzawio-

nich falach. Nagle wszystko pociemniało. Bałwany toczyły się coraz wyższe i wyższe, bryzgały wodnistym pyłem. Pogrzmiwająca chmura od końca do końca rozbłyskiwała mglistymi płomyczkami, jakby ją podpalono. Oślepiająca, kręta błyskawica wpadła blisko do wody. Grzmotnęło tak, aż ludzie na brzegu przysiedli; niebo oberwało się...

Przy Piotrze Aleksiejewiczu znalazł się Mieński, również w siidwestce i kurtce.

— Oto mi sztorm! Fiu! fiu! — krzyknął do niego Piotr Aleksiejewicz.

— Min herc, aleś ty domyślny...

— A ty dopiero teraz zrozumiałeś?

— Wyjdziemy ze zdobyczą?

— Poczekaj, poczekaj...

Nie trzeba było czekać zbyt długo. Wśród wybuchów błyskawic stały się widoczne tuż niedaleko wojenne i transportowe okręty admirała de Proux — burza pędziła je do brzegu, na mieliznę. Zdawały się tańczyć — nagie maszty kołysały się, powiewały strzępami żagli, rzeźbione wysokie rufy z Neptunami i morskimi pannami wznosiły się. Zda się, maluczko — a cała rozproszona flota przybije do brzegu.

— Chwat! Chwat! krzyknął Piotr Aleksiejewicz. — Patrz, co on robi! To mi admirał! Podnosi bom-kliwery, for-stenga-staksele, fok-staksele podnosił Trisele podnosi! Ach, szatan! Ucz się, Daniłycz!

— Och, ucieknie, och, ucieknie! — jęczał Mieński.

Czy wiatr się nieco zmienił, czy też w walce z morzem wzięła górę umiejętność admirała — okręty jego, lawirujące na sztormowych żaglach, jęły się po trosze oddalać za horyzont. Jedyne trzy ciężkoładowne barki znosiło w dalszym ciągu na piaszczyste mielizny. Z trzaskiem, grzmotem rei, klaskaniem strzępów żagli osiadły na mieliznie o trzysta kroków od brzegu. Zaczęły bić w nie olbrzymie fale, przelewając się zmywały z pokładów łodzie, beczki, kruszyły maszty.

— A teraz ognia do nich tak, by nie doniosło, na postrach! — krzyknął Mieński na kanonierów.

Działa ryknęły, pociski wyrzuciły fontanny wody w pobliżu burty jednej z barek. W odpowiedzi rozległy się stamtąd strzały pistoletowe. Piotr Aleksiejewicz dosiadł konia i popędził go w morze. Za nim z krzykiem po-biegli grenadierzy. Mieński musiał zsiąść z siodła — ogier znarowił się, więc on również brnął przez mętne fale plując i krzycząc:

— Hej, wy na barkach! Skakać do wody! Poddać się!

Szwedów widać przeraził mocno widok jeźdźca wśród fal i ogromni wąsaci grenadierzy idący na abordaż w wodzie po pierś, klnący i grożący dymiącymi granatami. Z barek jęły skakać marynarze i żołnierze. Oddawali pistolety i szable. — Moskow, Moskow, druh! — i brnęli do brzegu, gdzie ich okrażali konni dragoni. Z kolei Mieński z grenadierami wdrapał się na barkę, na rzeźbioną

rufę, wziął do niewoli kapitana, który poddał się na parol — z miejsca poklepał go łaskawie po plecach, a zwróciwszy mu kordelas krzyknął stamtąd:

— Panie bombardierze, z ładowni zalatuje, ale kapitan robi nadzieję, że śledzie i pekło- winę można jeść!

III

Wojska, wsparte o rzekę poniżej i powyżej miasta, otoczyły Narwę podkową. Po drugiej stronie rzeki podobnie został otoczony Iwan- gorod. Kopano szańce, obstawiono się częstokołami i zasiekami. Obóz rosyjski był hałaśliwy, /dymiący, zakurzony. Szwedzi spoglądali ponuro z wysokich murów. Po sztormie, który rozproszył flotę de Proux, wielce się zeżlili i strzelali z dział nawet do pojedynczych jeźdźców, pędzących krótszą drogą przez łąkę obok groźnych bastionów.

Z rozkazu Piotra beczki ze śledziami i pe- klowiną, wyładowane z barek, na oczach Szwedów przewieziono do obozu; za wozami w przybraniu z gałęzi, żołnierze nieśli nagiego, tłustego chłopca oplątanego wodorostami i na całe gardło śpiewali sprośną piosenkę o admirale de Proux i generale Hornie. Beczki rozdzielono na rotę i baterie. Żołnierze wywijali nadzianym na bagnet śledziem albo kawałkiem słoniny krzyżąc: — Hej! Szwedzie, mamy zakąskę! — Wtedy Szwedzi nie

wytrzymali. Zatrąbili w rogi, uderzyli w bębny, most opadł; tłocząc się w bramie, na olbrzymich koniach wyjechał szwadron kirasje- rów; z pochylonymi głowami w żeberkowych hełmach — szerokie rapiery między końskimi uszami — pokłusowali ciężko na rosyjskie szańce. Wypadło porzucić dostatki, bronić się czym popadło: kołami, wyciorami, łopatami. Rozpoczęła się bitka, powstał krzyk. Kirasje- rzy dostrzegli dragonów pędzących na nich z tyłu, dostrzegli przełazących przez częstokół strasznych grenadierów i zawrócili konie, jeno kilku ludzi zostało na łące, lecz długo jeszcze galopowały przerażone konie bez jeźdźców, a za nimi uganiałi żołnierze rosyjscy.

Mimo podobnych wycieczek, Szwedzi nie okazywali szczególnego niepokoju. Generał Horn, jak donosiły języki, powiedział jakoby: „Nie boję się Rosjan, a skoro przy pomocy swojego świętego Jerzego Zwycięzcy odważą się na szturm, uczęstuję ich lepiej niż w roku siedemsetnym...” Zboża, prochu i pocisków miał pod dostatkiem, lecz największą nadzieję pokładał w Schlippenbachu, oczekującym posiłków, żeby na Rosjan zwalić okrutny sukurs. Stał on na drodze rewelskiej, w miasteczku Wezenberg. Sprawdził to Aleksander Daniłowicz, który sam wyjeżdżał na rekonesans.

Wojska rosyjskie również stały beczynnice: cała artyleria oblężnicza — olbrzymie działa kruszące i móżdziejce do podpalania

miasta — ciągle Jeszcze brnęły z Nowogrodu drogami nie do przebycia. Bez ciężkiego uzbrojenia nie sposób było myśleć o szturmie.

Wiadomości od feldmarszałka Borysa Piotrowicza Szeremietiewa również nie były wcale zachęcające: obiegi Juriew, okopał się, ogroził, przeprowadził podkop w celu przebicia muru i Jął bombardować miasto. „Szwedzi wielce nam dopiekają — pisał do narw- skiego obozu do Aleksandra Daniłowicza — dotychczas nie mogę powstrzymać strzelaniny wroga z armat i moździerzy; potępieńcy, dają salwy od razu z wielu dział, wałą w nasze baterie po dziesięć bomb na raz, a nade wszystko strzelają do taborów. Staramy się — również na próżno — dostać Języka z miasta, ale wyszło do nas jeno dwóch ludzi — Czuchońców, nic rzetelnego nie wiedzą, powtarzają w kółko, że Schlippenbach robi miastu nadzieję na szybką odsiecz...”

Schlippenbach był prawdziwą drzazgą, którą należało wyciągnąć jak tylko można najprędzej. To zaprzętało wszystkie myśli Piotra Aleksiejewicza. Wtedy w nocy Mieńszykow nie zwiódł go; przyszedłszy do namiotu i odprawivszy wszystkich, nawet Nartowa, opowiedział, Jaki fortel obmyślił, żeby generałowi Hornowi odebrać nadzieję pokładaną w Schlippenbachu. Piotr Aleksiejewicz z początku nawet zgniwał się: „Chybaś to po pijanemu wymyślił!...” Lecz pochodziwszy po namiocie, pykając fajkę, roześmiał się nagle:

A przecie byłoby nieźle okpić starego.

— Min herc, okpimy, dalibóg...

— To twoje „dalibóg” tanio kosztuje. A Jak nic z tego nie wyjdzie? Odpowiesz, kumciu, nie na żarty.

— To 1 odpowiem. Nie pierwszyczna. Całe życie spędzam na odpowiedzialności...

— Działaj!

Tej samej nocy porucznik Paszka Jagużyński wypiwszy strzemiennego pognał do Pskowa, gdzie mieściły się magazyny wojskowe. Z niepospolitą roztropnością przywiózł stamtąd na wozach wszystko potrzebne do obmyślanego planu. Szwalnie rot i szwadronów przez dwie noce przerabiała i dopasowywały kaftany i opończe, szarfy oficerskie, sztandary, brzegi trójgraniastych kapeluszy żołnierskich obszywały białą tasiemką. W owe krótkie noce ukradkiem — szwadron za szwadronem — dwa pułki dragonów Asafiewa i Gorbowa oraz pułki Siemionowski i Inger- manlandzki z działami, których lawety przemalowano z zielonych na żółte, ruszyły drogą rewelską i rozłożyły się w uroczysku leśnym Torwiegi, o dziesięć wiorst od Narwy. Tu — do uroczyska — zwieziono odzież przerobioną w szwalni. Szwedzi nic nie dostrzegli.

O jasnym poranku ósmego czerwca w rosyjskim obozie pod murami Narwy wszczęło się nagle zamieszanie. Bębny odezwały się trwoźnie, zahuczały ogromno litaury, oficerowie cwałowali zdzierając gardła. Żołnierze wyskakiwali z szałasów i namiotów zapina

jąc kaftany i guziki na kamaszach, zakładali za uszy długie włosy wysuwające się spod kapeluszy, formowali się w dwie linie. Kano- nierzy z wrzaskiem wytaczali działa, kierowali je w stronę drogi rewelskiej. Konne ciury spędzały tabuny koni z łąk do obozu, za wozy.

Szwedzi ze zdumieniem patrzyli z murów na rozpaczliwy nieład rosyjskiego obozu. Generał Horn wszedł z gołą głową po kamiennych schodach zewnętrznych na wieżę nad bramą i skierował perspektywę na drogę rewelską. Stamtąd dobiegły dwa wystrzały armatnie, po chwili znowu dwa i tak do sześciu razy. Wówczas Szwedzi zrozumieli, że to sygnały zbliżającego się Schlippenbacha, i natychmiast z bastionu „Gloria” odpowiedzieli hasłem królewskim z dwudziestu jeden dział. Na wszystkich kirchach miasta świętecznie rozbrzmiewały dzwony.

Po wielu dniach oblężenia surowy generał Horn po raz pierwszy skrzywił w uśmiechu wargi ujrawszy, jak po przeciwnej stronie szańców przed formującymi się w dwie linie wojskami rosyjskimi stoją Mięszkowie, najbezpieczniejszy z Rosjan, koźlim sposobem podskakuje na białym koniu. Niby naprawdę doświadczony wódz, ruchem szpady rozkazuje tylnej linii żołnierzy zwrócić się twarzą ku twierdzy, a ci biegiem, jak stado, rzucili się i zajęli pozycje w szańcach za częstokołem. A ten oto wspiął konia i pocałował wzdłuż przedniej linii

żołnierzy zwróconych twarzą ku drodze rewelskiej. Wszystko było zrozumiałe dla generała Horna, doświadczonego laty i słynnymi bitwami: ten kogut w czerwonym płaszczu i strusich piórach zaraz zrobi głupstwo nie do naprawienia — poprowadzi rozciągniętą rzadko linię swej piechoty na spotkanie żelaznych kirasjerów Schlippenbacha, który zasypie ją pociskami, potnie, rozdepcze, unicestwi. Generał Horn wciągnął powietrze owłosionymi nozdrzami. Dwanaście szwadronów konnicy i cztery bataliony piechoty stały przy zamkniętej bramie, by za ukazaniem się Schlippenbacha wpaść z tyłu na wojska rosyjskie.

Mięszkowie, jakby śpiesząc na spotkanie śmierci, bez żadnego powodu zerwał kapelusz i wywijając nim, skłonił wszystkie bataliony maszerujące śpiesznym krokiem z tyłu za jego krygującym się konikiem, by krzyczały „hura”. Krzyk dobiegł do murów Narwy i stary Horn uśmiechnął się znowu. Z lasu sosnowego, dokąd zdążyły bataliony Mięszkowskiego, jeśli wypadać jeźdźcy rosyjscy, popędzani wystrzałami z karabinów. I wreszcie zewsząd, spoza sosen, w całej okazałości, ramię przy ramieniu niby na paradzie, wysuwając przed się karabiny z nasadzonymi na lufy bajonetami, wyszły roty gwardii Schlippenbacha. Drugi szereg sprawnie, w marszu, strzelał ponad głowami pierwszego szeregu, trzeci szereg nabijał karabiny i podawał strzelającym. Żółte królewskie sztandary trzepotały uniesione wysoko. Stary Horn oderwał się na

chwilę od perspektywy, wyjął z taszki płócienną chustkę, strzepnął, przesunął po oczach, „Bogowie wojny” — mruknął.

Mieński przytrzymując kapelusz pomknął przed frontem i zatrzymał swe bataliony. Na flanki gnały ku niemu armaty w sześciokonnym zaprzęgach i dwukonne jaszczce z amunicją. Kanonierzy rosyjscy byli sprawni — nauczyli się coś niecoś przez te lata. Armaty wyczyszczone aż do połysku — po osiem na każdym skrzydle — zgrabnie zwróciły paszce na Szwedów (odczepione zaprzęgi uskoczyły w bok) i natychmiast wyrzuciły gęste, białe dymy, co wskazywało na dobry gatunek prochu. Szwedzi nie zdołali przejść nawet dwudziestu kroków, a działa już znowu zagrzmiały do nich. Stary Horn jął miąć w rękę chusteczkę: ta szybkość ostrzeliwania była zdumiewająca. Szwedzi zatrzymali się. Ki diabeł! Skonfundować się strzelaniną armatnią — to niepodobne do Schlippenbacha! Czy chce kirasjerów puścić przodem do ataku, a może też czeka na swą artylerię? Horn przesunął perspektywę, szukając Schlippenbacha, lecz przeszkadzał mu dym, coraz gęściej zaścieniający pole bitwy. Wydało mu się nawet, jakoby Szwedzi zachwiali się pod gradem kartaczy... Lecz ciągle czekał. Nareszcie! — z lasu wysunęły się działa szwedzkie z żółtymi lawetami i przemówiły potężnie...

Wówczas — dostrzegł wyraźnie — szyki Mieńskiego zmieszają się... Czas! Horn odwrócił od perspektywy zmarsz

czoną twarz i ukazując aż po dziąsła żółte zęby rzekł do swego zastępcy, pułkownika Markwarta:

— Rozkazuję: bramy otworzyć i atakować prawe skrzydło Rosjan.

Zagrzmiały mosty, jednocześnie z czterech bram wyjechały szwadrony kirasjerów, za nimi biegiem — piechota. Pułkownik Markwart prowadził garnizon narwski uszykowany w klin, by — w rozpędzie przeskoczywszy rosyjskie częstokoły i zasieki — uderzyć Mieńskiego z tyłu we flankę, przycisnąć do Schlippenbacha i zgnieść w żelaznym uścisku.

To, co Horn dojrzał przez lunetę, najpierw uradowało, go. a potem zmieszało. Oddział pułkownika Markwarta szybko, bez większych strat, rozrzuciwszy rosyjskie kozły przebył częstokoły i znalazł się z tamtej strony szaniec. Za nim wyszli z bram — pieszo i na wozach — mieszkańcy Narwy, by rabować obóz rosyjski. Bataliony Mieńskiego, strzelające beładnie z karabinów, nagle jeły czynić mało zrozumiałe ruchy: ich prawe skrzydło, na które skierował się Markwart, zaczęło z całym pośpiechem cofać się ku swojej palisadzie i zasiekom, a lewe, dalsze — z takim samym pośpiechem rzuciło się ku Szwedom Schlippenbacha, jak gdyby z zamiarem poddania się. Działa z obu stron zamilkły nagle. Wspaniale atakujący Markwart znalazł się w pustym polu, w rozwidleniu między wojskami Mieńskiego i Schlippenbacha. Łyskające pancierzami szwadrony jego

kirasjerów jęły osadzać konie, rozwijając się w półkole i zatrzymały się w niepewności. Stanęła również piechota, która ku nim była nadbiegła...

— Nic nie rozumiem! Co się stało, bodaj diabli tego Markwarta! — krzyknął Horn.

Stojący obok adiutant Bystrom rzekł:

— Ja również nie wszystko rozumiem, panie generale.

Następnie coraz spieszniej wodząc perspektywą Horn dostrzegł Mieńszykowa — ten kogut ile sił w koniu gnał ku Szwedom. Po co? Do niewoli?... Markwart poznawszy go puścił się wraz z dwoma kirasjerami, by przeciąć mu drogę. Lecz Mieńszykow wyprzedził go i na wzgórku pokrytym trawą zeskoczył z konia obok gromadki oficerów; — sądząc po opończach i po żółtym, z lwem wspiętym na zadnie łapy, sztandarze, był to sztab Schlippenbacha... Lecz gdzież sam Schlippenbach? Jeszcze ruch perspektywy i Horn dojrzał, jak Markwart, zbliżywszy się w pościgu za Mieńszykowem do tejże gromadki oficerów, dziwnie machnął ręką, jakby broniąc się przed widmem, i próbował zawrócić, lecz tamci podbiegli do niego i ściągnęli z siodła... Na wzgórek wspinał się jeździec na wielkim, kłapouchym koniu — sztandar pochylił się przed nim. Mógł to być jeno Schlippenbach... Łza zmaciła oko starego Horna, spędził gniewnie i wcisnął w oczodół miedzianą oprawę perspektywy. Jeździec na kłapouchym koniu nie był podobny do Schlippenbacha... Przypominał raczej...

— Panie generale, zdrada! — wyszeptał adiutant Bystrom.

— I bez pana widzę, że to car Piotr ustrojony w mundur szwedzki. Porządnie wystrychnęli mnie na dudka, to rozumiem bez pańskiej pomocy! Każ pan dać mi pancierz i szpadę — generał Horn zostawił niepotrzebną już teraz perspektywę i niby młodzik zbiegł po stromych schodach wieży nadbramnej.

Na polu maskaradowej bitwy zaczęło się to, co musiało się zdarzyć, gdy dowódcę wystrychnięto na dudka. Przebrani za Szwedów siemionowcy i ingermanlandczycy, dragoni Asafiewa i Gorbowa, ukrywający się do czasu w lesie, z drugiej strony bataliony Mieńszykowa — wpadli z całą furią z obu stron na Szwedów nieszczęsnego Markwarta, który oddawszy carowi Piotrowi szpadę rzucił hełm na trawę i stał na wzgórku wśród oficerów rosyjskich, zwisiwszy głowę we wstydzie i rozpaczy, by nie widzieć, jak ginie jego świetny oddział, stanowiący co najmniej trzecią część garnizonu narwskiego.

Jego kirasjerzy, osłaniający piechotę, przez pewien czas cofali się nie psując szyku, opędzając się krótkimi wypadami. Lecz kiedy od tyłu, z brzoźowego gaju, pomknął na nich siedzący tam w zasadzce pułkownik Ren ze szwadronami dragonów, zaczęła się rzeź.

Strzelanina została przerwana. Słychać było jeno dzikie wrzaski Rosjan tnących na odlew, schryplę okrzyki ginących Szwedów, zgrzyt rapierów uderzających o pancerze i hełmy. Konie stawały dęba gryząc się. Padł sztandar królewski. Pojedynczy jeźdźcy wypadłszy z kłębowiska gnali łąką na oślepi, potykali się, padali z rozpostartymi rękoma... Całe wojsko rosyjskie wyległo na szańce, niby w zapusty, gdy pospólstwo zbiega się popatrzeć na szczucie niedźwiedzia... Żołnierze pokrzykiwali, przytupywali, wyrzucali do góry kapelusze.

Jeno niewielkiej części oddziału szwedzkiego udało się przedrzeć ku Narwie. Wszystko, co mógł uczynić generał Horn, to utrzymać bramy, by wróg z rozpędu nie wdarł się do miasta. Mieszkańcy, którzy byli wyszli na rabunek, miotali się na wozach przed fosą. Żołnierze przeskakiwali palisady i w zapale, nie lękając się ostrzeliwania z murów, pochwycili niemało mieszkańców Narwy z wozami i końmi; sprowadzili ich do obozu, żeby sprzedać panom oficerom.

Wieczorem w wielkim namiocie Mieńszykowa była wesola wieczerza. Pito ognisty rum admirała de Proux, jedzono szynkę rewel- ską — rzadko przez kogo dotąd widziane — wędzone flądry. Rybki nieco zalatywały, ale były smaczne. Aleksandrowi Daniłowiczowi poobijano cały grzbiet pijąc za jego zmysł- ność. — Wspaniale utarłeś nosa przemądrzałemu Hornowi. Zaiste, dziś jesteś solenizantem! — mówił basem, podrzucając ramionami

ze śmiechu, mocno podchmielony Piotr Aleksiejewicz i pięścią jak młotem walił go między łopatki. — Idę o zakład — mógłbyś przechytryć samego króla Odysa! — krzyczał Chambers i również trzasnął w plecy generał-gubernatora. — Trudno wyobrazić sobie ludzi zmyślniejszych od Rosjan!

Goście, przekrzykując się wzajemnie, kilkakrotnie próbowali wykoncypować dyplom dla generała Horna z nadaniem mu orderu „wielkiego nosa”. Początek był składny: „Tobie, zasiedzialemu w Narwie, z mokrymi portkami, staremu durniowi, trzebionemu kotu, ryczącemu niby lew...” Dalej w pijackim bezładzie następowały słowa tak mocne, iż sekretarz Makarów nie wiedział już, jak je przenieść na papier.

Anikita Iwanowicz Riepnin, wyśmiawszy się koźlim głosikiem, ile trzeba, rzekł w końcu:

— Piotrze Aleksiejewiczu, a godziż się to hańbić starego? Przecie sprawa jeszcze nie skończona...

Zaczęto walić pięściami w stół, krzyżeć. Piotr Aleksiejewicz wziął od Makarowa nie dokończone pismo, zmiął, wetknął do kieszeni:

— Pośmieliście się — dość...

Wstał, zatoczył się wczepiony Makarowowi w ramię, rozluźnione rysy krągłego oblicza z trudem stwardniały; szarpnąwszy długą szyją opanował się jak zwykle.

— Kończyć zabawę!

I wyszedł z namiotu. Świtało. Od nadmiaru rosy trawa wydawała się siwa, snuł się po niej dymek obozowy. Piotr Aleksiejewicz głęboko odetchnął poranną świeżością.

— Ano, w dobrą godzinę... Czas! — I natychmiast z gromadki wojskowych stojących za jego plecami wysunęli się ku niemu Anikita Iwanowicz Riepnin i pułkownik Ren. — Raz jeszcze powtarzam wam obu: nie potrzebuję wspaniałych relacji o zwycięstwie. Nie czekam na nie. Mamy przed sobą ciężką sprawę. Trzeba go pobić tak, by nie mógł więcej zebrać sił. Na taką sprawę należy się skrzepić sercem... Ruszajcie....

Anikita Iwanowicz Riepnin i pułkownik Ren skłonili się nisko, odeszli od namiotu i brnęli w gęstej po kolana trawie do ciemnego lasu, gdzie czekały na odmarsz przebrane na nowo w swe mundury pułki dra-
gońskie i piechota wsadzona na wozy —| wszyscy uczestnicy wczorajszej maskaradowej bitwy. Dziś czekała ich gra nie lada: otoczyć pod Wezenbergiem i zniszczyć korpus Schlippenbacha.

/

IV

— A więc, panowie, były król August, którego uważaliśmy za unicestwionego, otrzymał pomoc od Rosjan i szybko zmierza ku Warszawie — rzekł młody król Stanisław Leszczyński otwierając radę wojenną.

Król był zmęczony narzuconymi mu sprawami państwa, jego delikatna, dumna, niedobra twarz była biała aż do siności pod opuszczonymi rzęsami; nie podnosił oczu, ponieważ obmierzli mu napuszeni dworacy, te wszystkie rozmowy o wojnie, pieniądzech, pożyczkach... W słabej ręce przesuwiał paciorki różańca. Miał na sobie polski strój, którego nie znosił, lecz od czasu gdy w Warszawie stanął garnizon szwedzki pod dowództwem pułkownika Arwida Horna — synowca narw-
skiego bohatera — magnaci polscy, znamienici panowie, zawiesili peruki na kołkach, kaftany francuskie przesypali tabaką i chodzili w kontuszach z odrzuconymi wylotami, w bobrowych czapkach, w miękkich butach z mocno dzwoniącymi ostrogami; miast szpad — przypasywali ciężkie karabele przodków.

W Warszawie żyło się wesoło i beztrosko pod niezawodną ochroną Arwida Horna — wybacząc mu jego prostactwo, gdy zmusił sejm do wybrania na króla tego niezbyt znamienitego, lecz wytwornie ukształconego młodzieńca. Oficerowie szwedzcy byli grubiań-
scy i nadęci, ale w picu wina i miodu nie potrafili dotrzymać placu Polakom, a i w tańcu ustępowali świetnym mazurzystom — Wi-
śniowieckiemu czy też Potockiemu. Był jeno kłopot, że coraz mniej płynęło pieniędzy z majątków zrujnowanych przez wojnę — leż i ta okoliczność, myślano, odmieni się wkrótce: Karol nie będzie wiecznie w Polsce

gospodarował, pójdzie kiedyś na wschód —• rozprawić się z carem Piotrem.

I oto ni z tego, ni z owego nadciągnęła nad Warszawę czarna chmura. August opanował bez walki bogaty Lublin i z hałaśliwą jazdą [polską] zmierzał szybko lewym brzegiem Wisły do Warszawy; jednookie straszycło, ataman Danił Apostoł, z naddnieprzańskimi Kozakami przedostał się na prawy brzeg Wisły i zbliżał się do Pragi — przedmieścia Warszawy; jedenaście pułków piechoty rosyjskiej oczyszczało nadbużańskie gródki ze zwolenników króla Stanisława, zajęło już Brześć i również skręcało ku Warszawie; a z zachodu szedł ku niej szybko korpus saski feldmarszałka Schulenburga, który zręcznym manewrem zwiódł króla Karola, gdy ten szukał go na innym szlaku.

— Bóg widzi i Najświętsza Panna, że nie ubiegałem się o koronę polską, taka była wola sejmu — nie podnosząc oczu mówił król Stanisław ze wzgardliwą opieszałością. Na dywanie u jego nóg leżała z pyskiem w łapach biała charcica szlachetnej krwi. — Poza troskami i przykrościami niczego dotąd nie doznałem w moim wysokim stanie. Gotów jestem złożyć koronę, jeśli sejm zażąda tego w imię przezorności i zdrowego rozsądku, dla uchronienia Warszawy przed złością Augusta. A niewątpliwie ma on wiele powodów, by psuć sobie wątrobę. Jest dumny i uparty. Jego sojusznik car Piotr — bardziej jeszcze uparty i przebiegły. Będą walczyli, póki nie osiągną celu, póki nas wszystkich nie doprowadzą do ostatecznej ruiny. — Wsparł nogę w safianowym bucie na grzbiecie sukni, która zwróciła na króla fioletowe oczy. — Naprawdę, ja nie upieram się przy niczym, z zachwytem udam się do Włoch... Nęcą mnie ćwiczenia w naukach na uniwersytecie bolońskim...

Rumiany, tęgi, w zielonym zniszczonym mundurze, z chłodno wściekłymi oczyma, pułkownik Arwid Horn warknął siedząc naprzeciwko króla na rozkładanym krześle:

— To nie rada wojenna, ale haniebna kapitulacja...

Król Stanisław wolno skrzywił usta. Kardynał prymas Radziejowski, zacięty wróg Augusta, nie słysząc nieprzyzwoitej uwagi Szweda, przemówił głosem przymilnym, z cicha władczym, jakiego pilnie uczył w kolegiach jezuickich od czasu Ignacego Loyoli. Powiedział:

— Pragnienie waszej królewskiej mości uchylecia się od walki — jest niczym więcej jak chwilową słabością... Kwiat duszy waszej królewskiej mości opadł pod srogim wichrem — jesteśmy wzruszeni. Lecz koronę króla katolickiego, w odróżnieniu od kapelusza, można zdjąć jedynie wraz z głową. Będziemy z należytych męstwem rozprawić o stawieniu oporu uzurpatorowi i wrogowi Kościoła, jakim jest elektor saski August, lichy katolik. Posłuchajmy, co rzeknie pułkownik Horn.

Kardynał prymas szeleszcząc jedwabiem wspaniałej purpurowej sutanny, odbijającej się w wywoskowanej posadźce, zwrócił się ociężale do Szweda z tak wyszukany gestem, jak gdyby go zapraszał do najsmaczniejszego jadła. Pułkownik Horn odepchnął krzesło, rozkraczył krzepkie nogi w botfortach z grubej skóry (zniszczony mundur i ordynarne botforty z szerokimi nakolankami nosił — podobnie jak inni Szwedzi — naśladując króla Karola), odkasznął sucho dla przeczyszczenia gardła.

— Powtarzam: rada wojenna winna być radą wojenną, a nie rozprawianiem o kwiatkach. Będę bronił Warszawy do ostatniego żołnierza; taka jest wola mojego króla. Wydałem rozkaz moim fizylierom — z nastaniem ciemności strzelać do każdego, kto wyjdzie za bramę. Nie wypuszczę z Warszawy ani jednego tchórza — u mnie i tchórze muszą się bić. Śmiesz mnie to, mamy nie mniej wojska niż August. Wie o tym lepiej ode mnie hetman wielki, książę Lubomirski... Śmiesz mnie to: August nas otacza... znaczy to jedynie, iż daje nam możność rozbicia go częściami: na południu — jego pijacką konnicę szlachecką, na wschód od Warszawy — atamana Daniłę Apostoła, którego Kozacy są lekkobrojni i nie wytrzymają uderzenia pancernej husarii... Feldmarszałek Schulenburg znajdzie sobie grób nie dochodząc do Warszawy — mój król za nim bez wątpienia goni. Jedynie znaczniejsze niebezpieczeństwo — to jedenaście rosyjskich pułków księcia Golicyna, lecz nim one dowloką się pieszo z Brześcia, my już zniszczymy Augusta; wypadnie im albo cofnąć się, albo zginąć. Proponuję, by książę Lubomirski dzisiejszej nocy ściągnął do Warszawy wszystkie pułki jazdy. Proponuję waszej królewskiej mości natychmiast, nim się jeszcze dopalą te świece, ogłosić pospolite ruszenie. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie wydrzemy Augustowi wszystkich piór z ogona...

Rozdmuchując jasne wąsy Arwid Horn zaśmiał się i usiadł. Obecnie nawet król podniósł oczy na hetmana wielkiego Lubomirskiego, który dowodził wszystkimi wojskami polskimi i litewskimi. Przez cały czas rozmowy siedział on po lewej ręce króla, w złożonym fotelu, z czołem wspartym na dłoni, tak iż widoczna była tylko jego krągła głowa z podgolonym czubem, niby posypana pieprzem, i obwisłe, rzadkie, długie wąsy.

Gdy nastała cisza, ocknął się, jakby westchnął, wyprostował się — był wysoki, kościsty, barczysty — powoli położył rękę na buławie usianej diamentami, wsuniętej za wzorzysty, drogocenny pas. Jego twarz z garbatym nosem, naznaczona ospą, z zapadniętymi policzkami, z naciągniętą na szczękach rozpaloną skórą, była tak dzika i posepnie dumna, że królowi zdrzały powieki — pochylony ją głaskać sukę. Hetman wielki powstał ociężale. Nadeszła dlań długo oczekiwana chwila porachunku.

Był najznamienitszym magnatem w Polsce, mającym władzę większą niż niejeden król. Gdy udawał się na sejm albo na pielgrzymkę do Częstochowy, przodem i za karetą jechało wierzchem, na bryczkach i wozach nie mniej niż pięć tysięcy szlachty, odzianej — jeden w drugiego — w malinowe żupany z błękitnym podszyciem na wylotach. Na pospolite ruszenie — pochody przeciw buntującej się Ukrainie czy też przeciwko Tatarom — wyprowadzał własne trzy pułki husarzy w stalowych zbrojach ze skrzydłami u ramion. Piast z krwi, uważał się za głównego pretendenta do tronu polskiego po strąceniu Augusta. Wówczas — w zeszłym roku — już dwie trzecie deputatów trzaskając szablami krzyczało: „Chcemy Lubomirskiego!” Lecz tego nie życzył sobie król Karol, któremu potrzebna była kukła. Pułkownik Horn otoczył wrzący sejm swymi fizylierami — zapalił lonty i znieważył uroczystą chwilę biciem w bębny. Horn podszedł, jakby obcasami wbijał gwoździe, do pustego tronu i zawołał: — Proponuję Stanisława Leszczyńskiego!

Utaił gniew hetman wielki. Nikt i nigdy nie ośmielił się dotknąć jego honoru. Uczynił to król Karol, który miał z pewnością mniej niż Lubomirscy ornej ziemi i złotej zastawy. Wodząc dzikim, mrocznym spojrzeniem i skrobiąc paznokciami po jabłku buławy, odezwał się z wściekłością, sycząc na spółgłoskach niby wąż:

— Czym ja się przesłyszałam, czy mi się przywidziało: mnie, hetmanowi wielkiemu, mnie, księciu Lubomirskiemu, ośmiela się rozkazywać komendant garnizonu! Żarty to czy bezczelność? (Król podniósł rękę z różańcem, kardynał podał się naprzód na krześle, potrząsnął sówią, obrzękłą twarzą, lecz hetman jedynie groźniej podniósł głos.) Tu oczekuje się mej rady. Słuchałem was, panowie, rozprawiałem z własnym sumieniem... Oto moja odpowiedź: wojska nasze są niepewne. By zmusić je do przelania krwi własnej i bratniej, trzeba, by serce każdego szlachcica wezbrało uniesieniem, a głowa zapłonęła gniewem... Może król Stanisław zna taki zew bojowy? Ja go nie znam. „W imię Boże, naprzód, na śmierć, za sławę Leszczyńskich”. Nie pójdą... „W imię Boże, naprzód, za sławę króla Szwedów”. Rzucą szable. Ja prowadzić wojska nie mogę. Jam już nie hetman. Wykrzywiona twarz hetmana spąsowiała aż po krzaczaste brwi. Nie panując nad sobą, wyciągnął zza pasa buławę i rzucił pod nogi królowi-młodzikowi. Biała suka zaskomlała żałośnie.

— Zdrada! — krzyknął Horn wściekle.

Wyraz „berserkier” — czyli opętany szałem — wywodzi się z głębokiej starożytności, od obyczaju ludzi północy oszalać się grzybem muchomorem. Później, w śred-

niowieczu, u Normanów berserkierami nazywano wojowników opętanych szałem bitewnym; walczyli oni bez koleczugi, tarczy i hełmu, w samych jeno płóciennych koszulach, a tak byli straszni, że jak mówią podania, dwunastu berserkierów — synów konunga Kanuta — pływało na osobnym statku, gdyż sami Normanowie obawiali się ich.

Napad szału, który zdarzył się królowi Karolowi, można było nazwać jedynie berser- kiera, do tego stopnia wszyscy dworzanie, którzy w tym czasie znaleźli się w jego namiocie, byli przerażeni i przygnębieni, a hrabia Piper stracił nawet nadzieję ostania się przy życiu... Wówczas, otrzymawszy od hrabiny Kozielskiej depezę poczty gołębiej, Karol, na przekór mniemaniu Pipera, feldmarszałka Renskjólda oraz innych generałów, okazał się niezachwiany w swym mściwym pragnieniu natychmiastowego dobiecia Augusta, doprowadzenia całej Polski do posłuchu dla Stanisława Leszczyńskiego, dania wojsku porządnego odpoczynku, a na przyszły rok, w ciągu jednej letniej kampanii, zakończenia wojny na wschodzie świetnym pogromem wszystkich hord Piotra. O los Narwy i Dorpatu nie troskał się — były tam pewne garni* zony i mocne mury, nie na zęby Moskwici- nów, był tam Schlippenbach, najmężniejszy z mężnych. Poza tym ucierpiałaby duma dziedzica sławy Aleksandra Macedońskiego i Cezara, gdyby pogmatwał wielkie plany z powodu jakiejś tam depezy poczty gołębiej, 606

w dodatku przekazanej przez rozwiązłą kurtyzanę...

Wieść o przybyciu do Sokala rosyjskich wojsk posiłkowych i niespodziewanym marszu Augusta na Warszawę spod samego nosa Karola (który leniwie, niby nasycony lew, nie spieszył się wbić kły w skazanego na zagładę króla) przywiózł ten sam szlachcic, który na uczcie u pana Sobieszczańskiego rozrąbał szablą półmisek z kielbasą. Hrabia Piper, zafrasowany, poszedł zbudzić króla; było to o świcie. Karol spał spokojnie na łóżku polowym, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nikły płomyk miedzianego kaganka oświetlał jego duży nos z garbem, ascetyczną wklęsłość policzka, mocno zaciśnięte wargi; nawet we śnie chciał być niezwykły. Przypominał kamienną rzeźbę rycerza na sarkofagu.

Z początku hrabia Piper pokładał nadzieję w kogucie królewskim, któremu właśnie nastała pora rozedrzeć się na całe gardło. Lecz kogutowi wypadło dzielić z królem zakonny żywot, pokrzętał się jeno po klatce za płótnem namiotu i wykrztusił ochryple coś w rodzaju: — H-che-che!

— Wasza królewska mość, proszę się zbudzić — wyrzekł hrabia Piper jak można najdelikatniej, objaśniając płomyk w kaganku — wasza królewska mość, nieprzyjemna wiadomość. (Karol, nieruchomy, otworzył oczy.) August uszedł nam...

Karol natychmiast wyrzucił na dywanik nogi w płóciennych gatkach i wełnianych

skarpetach, wsparty na pięściach patrzył na Pipera. Ów z całą dworską oględnością opowiedział o szczęśliwej odmianie losu Augusta.

Botforty, spodnie! — powoli wyrzekł Karol, jeszcze okropnie otwierając nie mrugające oczy — zaczęły nawet połyskiwać, a może to było odbicie płomienia kaganka zaczynającego kopcić, Piper wyskoczył z namiotu i natychmiast wrócił z Berkenhelmem w peruce nasadzonej byle jak. Do namiotu wchodzili generałowie. Karol wdział spodnie, zadzierając nogi naciągnął botforty, zapiął mundur złamawszy przy tym dwa paznokcie i dopiero wówczas dał upust swej wściekłości.

— Spędzasz pan czas z brudnymi dziewczkami, spasz się jak mnich katolicki! — głosem szczekliwym (policzki drgały mu i zęby szczękały) krzyczał na Bogu ducha winnego generała Rosena. — Dziś dzień pańskiej hańby — krzyczał zwróciwszy się do generała Lowenhaupta, jakby go chciał pchnąć szpadą — winienes być ciurą w taborach mojej armii! Gdzie wasz wywiad? Dowiaduję się nowin najpóźniej ze wszystkich!... Dowiaduję się o najważniejszych sprawach, od których zależy los Europy, od jakiegoś zapijaczanego szlachcica! Dowiaduję się Qd kurtyzan! Ośmieszam się! Dziwię się jeszcze, że mnie śpiącego Kozacy nie wynieśli z namiotu i ze sznurem na szyi nie odwieźli do Moskwy! Radzę, panie Piper, zamienić hrabiowską koronę w pańskim herbie na kołpak b!a-

żeński! Pożeraczu bekasów, kuropatw, wszelakiej dziczyny, ośle, opojul Nie waż się okazywać obrazy! Z satysfakcją połamię pana kołem, poćwiartuję! Gdzie wasi szpiedzy, pytam? Gdzie wasi kurierzy, którzy powinni powiadamiać mnie o wypadkach o dobę wcześniej, niż się wydarzyły? Do diabła! Opuszczam armię, zostaję prywatną osobą! Mierzi mnie być waszym królem!

Następnie Karol oberwał wszystkie guziki surduta. Kopnięciem botforta przedziurawił bęben. Zerwawszy Berkenhelmowi perukę z głowy potargał ją na strzępy. Nikt mu nie oponował — rzucił się po namiocie wśród cofających się dworaków. Gdy napad berser- kierii przycichnął, Karol założył ręce do tyłu, pochylił głowę i wyrzekł:

— Rozkazuję natychmiast otrąbić alarm. Daję wam trzy godziny na przygotowania. Wyruszam. Dowiecie się wszystkiego z mojego rozkazu. Opuśćcie mój namiot. Berkenhelm, pióro, papier i atrament.

VI

— To nieznośne... Stoimy, stoimy wieczność całą. Więcej stanowczości, dobry atak — i dzisiaj noc moglibyśmy spędzić w Warszawie — gderała hrabina Kozielska patrząc przez okno karety na niezliczone ogniska, rozrzucone szerokim półkolem przed miastem, niewidocznym w ciemności nocy. Hrabina

B

Jbyła znużona aż do utraty zmysłów. Jej wytworna karetą ze złotym Kupidyńkiem zepsuła się podczas przeprawy przez rzeczulkę i hrabina musiała przesiąść się do niewygodnej, trzęsącej, szpetnej kolaski pani Anny Sobieszczańskiej. Hrabina była taka zła, pani Anna wydawała się jej istotą tak godną pogardy, że stała się aż uprzejma dla tej zaściankowej szlachcianki.

— Karetą króla stoi przed nami, ale jego tam nie ma... O czym on myśli — Bóg raczy wiedzieć... Żadnych przygotowań do wieczerzy i odpoczynku...

Hrabina z trudem, szarpiąc ramię, opuściła okno karety. Powiało ciepłym zapachem potu końskiego i sytym dymkiem kuchen żołnierskich. Noc była pełna wrzawy obozowej, przekrzykiwały się głosy, trzeszczały poszczepiane wozy — wrzawa, kłótnie, śmiech, tupanie koni, oddalone wystrzały. Hrabinie obmierzły te marszowe rozkosze, podniosła szybę. Rzuciła się w kątek karety, wszystko jej przeszkadzało: splątana suknia i burnus, i kanty puzderek, z rozkoszą ugryzłaby kogoś do krwi...

— Obawiam się, iż pałac królewski zastaniemy w całkowitym nieładzie, ograbiony... Rodzina Leszczyńskich słynie z łapczywości, ja aż nadto dobrze znam Stanisława — bigot, skąpy i drobiazgowy... Uciekł z Warszawy nie z samym jeno modlitewnikiem w kieszeni. Radzę pani, moja droga, mieć w zapasie jakiś dom prywatny, oczywiście, o ile masz w Warszawie jakich przyzwoitych znajomych... Proszę nie bardzo liczyć na króla Augusta... Boże, co to za nikiemnik!

Pani Anna rozkoszowała się rozmowami z hrabiną — była to wyższa szkoła wychowania światowego. Pani Anna od wczesnego panieństwa, za ledwie pod koszulką uwidoczniły się rozkoszne wypukłości, marzyła o niezwykłym życiu. Zresztą wystarczyło spojrzeć w zwierciadło: ładna — nie tak sobie, po prostu ładniutka, lecz z pieprzykiem, rozumna, bystra, rześka i niestrudzona. Dom ojcowski był ubogi. Ojciec, zrujnowany szlachcic, radził sobie po kontraktach i przy stoliku karcianym u bogatych panów. Rzadko bywał w domu. W lichym kitlu, zmęczony, potulny, ze zmiętym obliczem, siedział przy okienku i patrzył ospale na swe nędzne gospodarstwo. Anna, jedyna, ukochana córka, naprzykrzała mu się, aby opowiadał o swych przygodach. Ojciec, z początku niechętnie, potem — rozgrzany, zaczynał chętnie się czynami i potężnymi koneksjami. Anna słuchała niby czarodziejskiej opowieści bają o cudach i przepychach książąt Wiśniowieckich, Potockich, Lubomirskich, Czartoryskich... Gdy ojciec na dług karciany sprzedał ostatnią klacz ze stajni i, zjadłszy ostatniego kurczaka, wyswatał córkę za podeszłego wiekiem pana Sobieszczańskiego, Anna nie sprzeciwiała się rozumiejąc, że to małżeństwo stanowi jedynie obiecujący stopień w przyszłość. To ją jeno smuciło, że mąż rozkochał się nadto gorąco,

niestosownie do wieku. Serce miała dobre, zresztą całkowicie podporządkowane rozsądkowi. I oto — przypadek wyniósł ją na sam szczyt drabiny szczęścia. Król wpadł w jej sidła. Pani Annie nie uderzyło to do głowy, niby głuptasce; jej bystry rozsądek jął szperać jak mysz w saszku; wszystko należało obmyślić i przewidzieć. Panu Sobieszczańskiemu, który, zwyczajnie jak zakochany mąż, nic nie rozumiał i nie widział, oznajmiła łagodnie: — Mam dość wiejskiego pustkowie! Waćpan, drogi Józefie, winieneś cieszyć się moim szczęściem: teraz ja chcę być pierwszą damą w Warszawie. Nie martw się o nic, zabawiaj się i adoruj mnie. Trudniejsze było co innego: zwieść hrabinę Kozielską, cichaczem pograżyć ją i wreszcie — sprawa najdrażliwsza — usłużyć królowi nie dla chwilowej uciechy, lecz przywiązać go trwale...

Do tego mało czarów niewieścich, do tego trzeba doświadczenia. Pani Anna nie tracąc czasu zgłębiała tajniki sztuki uwodzicielskiej.

— Ależ nie, droga hrabino, w Warszawie gotowa jestem mieszkać w lepiance, byle w pobliżu pani, niby szara pszczołka w pobliżu róży — mówiła pani Anna siedząc z podwinętymi nogami w drugim końcu karety i spoglądając przelotnie w twarz hrabiny z zamkniętymi oczami, która to różowiła się w odbłasku ognisk, to znów pograżała JOCgg" niu (niby księżyc w chmurach).

Przecie

I jam jeszcze zupełne dziecko. Dotąd drzę, gdy I król rozmawia ze mną — nie chciałabym odpowiedzieć głupio albo nieprzystojnie.

Hrabina odezwała się, jakby odpowiadając na myśli swe, kwaśne jak ocet:

— Król będąc głodny pożera z jednakim zadowoleniem razowy chleb i pasztety sztrasburskie. W pewnym szynku przydrożnym uczepił się dziobatej Kozaczki biegnącej przez podwórze, niby błyskawica, do piwnicy i z powrotem do szynku z dzbankami... Wydała mu się kobietą... To jedynie ma dlań znaczenie... Och, potwór! Hrabina Koenigsmarck i tym go wzięła, iż w tańcu ukazywała podwiązki: czarne aksamitne wstążeczki związane w kokardę na różowych pończochach.

—¹ Jezus Maria! I to tak działa? —■ szepnęła pani Anna.

— Jak bydlę zakochał się w rosyjskiej bo- jaryni Wołkowej; ta podczas balu parokrotnie zmieniała suknię i koszulkę; on wpadł do izby, pochwycił jej koszulkę i wytarł spoconą twarz... Podobna historia zdarzyła się w ubiegłym stuleciu z Filipem II —• królem Francji... lecz tam skończyło się długim przywiązaniem, a bojarynia Wołkowa ku ogólnemu zadowoleniu wyśliznęła mu się sprzed nosa...

— Jestem strasznie głupia! —■ wykrzyknęła pani Anna — nie rozumiem, co ma do tego koszulka tej osoby?

— Nie koszulka, ale skóra tej osoby jest ważna, właściwy jej zapach... Skóra niewiasty to to samo, czym aromat dla kwiatka.

wiedzą o tym wszystkie dziewczęta w szko-# łach klasztornych... U takiego rozpustnika jak nasz ukochany monarcha nos przesądza o jego sympatiach... rafl?. Och, Panno Najświętsza!

— Przyglądała się asani jego olbrzymiemu nosowi, z którego jest wielce dumny znajdując, że to nadaje mu podobieństwo z Henrykiem IV... Ciągłe rozdyma nozdrza niby pies gończy, który zwęszy kuropatwę...

— To znaczy, że szczególnie znaczenie mają perfumy, pudry ambrowe, nacierania aromatyczne? Czym dobrze zrozumiała, droga hrabino?

— Jeśli pani czytałaś „Odyseję”, powinnaś pamiętać, że czarodziejka Circe zamieniała mężczyzn w wieprze... Proszę nie udawać naiwnej, kochanie... A zresztą, wszystko to jest dość wstrętne, nudne i poniżające...

Hrabina zamilkła. Pani Anna jęła zastanawiać się, kto kogo teraz właściwie zwiódł. Za oknem kalrety ukazał się pysk koński z ociekającymi pianą czarnymi wargami. Nad- I jechał król. Zeskoczył z siodła; nozdrza miał I rozdęte, dużą, ożywioną twarz — czarująco uśmiechniętą. Przy świetle pochodni, którą I niósł jezdny pacholek, był tak olśniewający w lekkim połaczanym hełmie z podniesioną j przyłbicą, w purpurowym płaszczu dumnie I przerzuconym przez ramię, iż pani Anna I rzekła do siebie: „Nie, nie, żadnych głupstw-” Król wykrzyknął wesoło:

— Wsiadajcie, moje panie, będziecie przytomne historycznemu widowisku...

Pani Anna wydawszy cieniutki okrzyk natychmiast wyfrunęła z karety. Hrabina odezwała się:

Krzyże mam przełamane, o co niewątpliwie postarałeś się, wasza królewska mość. Jestem nie ubrana i pozostanę tu, by drzemać o pustym żołądku.

Król odrzekł ostro:

— Jeśli są pani potrzebne nosze, przyślę...

— Mnie, nosze?... — August zachnął się nieco pod ciosem zielonego błysku jej rozwartych nagle oczu. Hrabina wypadła z karety jak z zapalonym lontem — w brzoskwiniowym burnusie, w ognikach drogocennych kamieni drżących w uszach, na szyi, na palcach, z fryzurą w nieładzie, lecz niemniej powabną. -t- Zawsze do usług waszej królewskiej mości! — i wsunęła obnażoną rękę pod jego łokieć. Raz jeszcze pani Anna zrozumiała, jak wielka jest sztuka tej kobiety...

Poszli we troje ku karcie królewskiej, gdzie przy świetle pochodni stał szwadron wyborowej jazdy szlacheckiej — w zbrojach ze skrzydłami z piór łabędzich, przymocowa- . nymi z tyłu do ramion na żelaznych obsa- . dach. August i damy po obu jego bokach, nieco z tyłu — zasiedli w fotelach na kobiercu. Pani Annie łomotało serce: wydawało

jej, że otaczający ich wysocy jeźdźcy ze skrzydłami, z odblaskami ogni na zbrojach

I hełmach - to aniołowie Boży, którzy zstąpili na ziemię, by przywrócić Augustowi jego zamek w Warszawie, sławę i bogactwo,, Zamknęła oczy I odmówiła krótką modlitwę;

— Niech król będzie w mych rękach jako jagnię,,

Dał się słyszeć tętent konia. Szwadron rozstąpi! się, Z ciemności zbliżał się hetman wielki Lubomirski ze swą swiłą, również ze skrzydłami u ramion, Jeno z czarnych piór. Podjechawszy blisko do króla, hetman wielki szarpnął cugle, rozwiązał opończę, zeskoczył! z chrapiącego konia i zgiął kolana na kobiercu przed królem Augustem.

— Miłościwy królu, wybacz, jeżeli możesz, moją zdrady,,

Jego gorące, ciemne oczy patrzyły twardo, I rozogniona twarz była posepna, głos rwa! się, I Przełamywał swą dumę. Nie zdjął futrzanej czapki z diamentową staponą, jego suche ręce drżały,,

— Zdrada moja to szaleństwo, zaćmienia I rozumu,,; Wlerzaj - ani przez godzinę nawet nie uznawałem Stanisława za króla,, Obraz* I szarpała mi wnętrze. Doczekałem chwili- j Rzuciłem mu pod nogi buławę, Plunałem I

I wyszedłem od niego,, Na dworze królew' I skim opadli mnie żołnierze komendant*-- j Bogu dzięki, moja ręka jeszcze krzepko dzierży szablę — krwią potępieńców przypieczę towałern zarwanie z leszczyńskim,, ToW^-I ofiaruję me życie,

August, słuchając go, powoli ściągał że!@*' I

ne rękawice, Upuścił je na kobierzec, twarz Jego rozjaśniła się. Powstał, wyciągnął! ręce, potrząsnął! nimi,

- Wiercę ci, hetman/e wielki,,; Przebaczam z całego sefca I przyjmuję w objęcia,,

/ z całej siły przycisnął jego twarz do piersi, do wyczelowanych centaurów i nimf, przedstawionych na jego pancerzu włoskiej roboty. Przetrzymawszy go tak w uścisku diu* żej, niż wypada/o, August rozkazał podać Jeszcze jedno krzesło, Ale krzesło Jtż %t\$o. Hetman wielki dotykając zgniecionego po-* liczka jął opowiadać o wydarzeniach, które zaszły po tym, gdy odmówił wystąpienia przeciw Augustowi i Rosjanom.

W Warszawie wszczął się popłoch. Kardyna! prymas Radziejowski, który w zeszłym roku na sejmie lubelskim publicznie, na kolanach przed krucyfiksem przysięgał wierność Augustowi i wolności Rzeczypospolitej, a po miesiącu całował w Warszawie luter ań^ Ewangelię na znak wierności dla króla Karola I żądał — z pianą na wargach - de^ tronlacji Augusta, wysunął! Jako kandydata na tron księcia Lubomirskiego i natyctóf^^ na żądanie Arwida Horna, zdradził i jego; ów po trzykroć sprzedawczyk pierwszy udek! z Warszawy, zdoławszy przy tym wywieźć kilka ku/rów kosztowności z kościelnego skarbcza.

Kró! Stanisław przez trzy dni błąka! sie po pustym zamku — z każdym rankiem coraz mniej dworaków zjawiało ślę na powitanie

króla. Arwid Horn nie spuszczał go z oczu; przysiągł mu utrzymać Warszawę własnym jeno garnizonem. Ponieważ wedle reguł etykiety nie mógł zasiadać przy królewskim stole, przeto podczas obiadu i wieszery siedział obok w komnacie i pobrzękiwał ostrogami. Stanisław, by nie słyszeć dokuczliwego pobrzękiwania, czytał między daniami na głos po łacinie wierszyki Apuleja. Czwartej nocy i on wysłiznął się z pałacu wraz ze swym fryzjerem i lokajem, przebrany w wiejską odzież, z przyklejoną brodą. Wyjechał za bramy miasta na wozie z dwiema beczkami dziegciu, w których znajdował się cały skarb królewski. Arwid Horn zbyt późno domyślił się, że król Stanisław — prawdziwy Leszczyński — poza czytaniem Apuleja i nudnymi spacerami z psem po pustych komnatach, zajmował się przez owe dni czymś jeszcze. Arwid Horn zdarł i podeptał kotary z królewskiego łoża, przebił szpadą marszałka dworu i rozstrzelał dowódcę warty nocnej. Ale teraz nic nie mogło powstrzymać od ucieczki z Warszawy znamienitszych panów, tak czy inaczej związanych z Leszczyńskim.

August śmiał się przy tym opowiadaniu, bił pięściami w poręczę fotela, odwracał się do dam. Oczy hrabiny Koziełskiej wyrażały jeno chłodną wzgardę, za to pani Anna zanosila się śmiechem podobnym do srebrnego dzwoneczka.

— Jaką radę mi dajesz, hetmanie wielki? Oblężenie czy natychmiastowy szturm?

— Jedynie szturm, miłościwy królu. Garnizon Arwida Horna niewielki — Warszawę należy wziąć przed przybyciem króla Karola.

— Szturm natychmiastowy, pal diabli! Rada mądra. — August szczęknął wojowniczo żelaznymi naramiennikami. — Aby szturm był fortunny, należy dobrze nakarmić wojsko, choćby gotowaną gęsiną... Skromnie licząc pięć tysięcy gęsi!... Hm! — zmarszczył nos. — Nie wadziłoby też wypłacić żołd... Książę Dymitr Golicyn był w stanie użyczyć mi jeno dwudziestu tysięcy talarów... Groszel Co się tyczy pieniędzy — car Piotr nie jest hojny, tak, nie jest hojny! Liczyłem na skarb kardynała i zamkowy... Skradzione! — krzyknął czerwieniejąc. — Nie mogę przecie nałożyć kontrybucji na własną stolicę!

Książę Lubomirski wysłuchał tego wszystkiego patrząc w ziemię i rzekł z cicha:

— Moja szkatuła wojskowa jeszcze nie próżna... Rozkaż jeno...

— Dziękuję, chętnie skorzystam — nieco zbyt pośpiesznie, lecz z czysto wersalskim wdziękiem odrzekł August. — Potrzeba mi stu tysięcy talarów... Zwrócę po szturmie... — Rozjaśniony, powstał znowu i uściskał hetmana dotykając policzkiem jego policzka. — Idź, książę, spocznij. I my pragniemy odpocząć.

Hetman dosiadł konia i nie odwracając się popędził w ciemność. August zwrócił się do dam:

— A więc, panie, wasza nużąca wędrówka zostanie wynagrodzona, Wymieńcie mi jedynie wasze pragnienia. Pierwszego i najskromniejszego z nich domyślam się — wieczerza. Nie sądzicie, abym zapomniał o waszych wygodach i rozrywkach... Powinnością królewską nigdy i niczego nie zapominać... Proszę do mojej karety.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Gawryła Browkin z carskim rozkazem jazdy bez odpoczynku gnał do Moskwy rozstawnymi trójkami w krótkim wozie okutym żelazem. Wiózł pocztę carską i rozkaz dla księcia-cesarza: przyspieszyć dostawy wszelkich wyrobów żelaznych do Piterburga. Jechał z nim Andrzej Golikow. Mieli rozkaz w drodze nie marudzić. Jakie tam marudzenie! Niecierpliwe serce Ga wryły wyprzedza[^] ło trójkę o sto sążni. Przybywszy na kolejną stację pocztową, cały pokryty kurzem, wpadał na ganek i grzmocił we drzwi ręką i harapą: — Komisarzu 1 — wołał przewracając oczyma — natychmiast konie! — i wpadał na zaspanego ławnika, którego jedyną oznakę urzędu komisarzkiego stanowił kapelusz z galonami, bo dla upałów chadzał boso, w gatkach jeno i w długiej koszuli na wypust. — Dzban kwasu; i zanim wypiję, żeby konie były gotowe...

Andrzej Golikow przebywał również w oparze zachwycenia. Z zębami zaciśniętymi, wczepiony w poręczę wozu — by nie wypaść i nie zabić się — z włosami odrzuconymi

w tył, z nosem wystoperczonym niby kulik, jak gdyby po raz pierwszy otworzył oczy, spoglądał na płynące na spotkanie lasy, tchnące żywicznym ciepłem, na obrzeżone jaskrawą zielenią okrągłe jeziora błotne, odbijające niebo i chmurki letnie, na kręte rzeczulki, skąd — gdy koła grzmiały na moście — znad czarnej wody podrywały się stada dzikiego ptactwa. Pod kołyszającym się hołoblem dzwoneczek zanosił się tęsknym śpiewaniem o dalekiej, nieskończonej drodze. Woznica popędzał trójkę, popędzał, czując zgarbionymi plecami wściekłego podróżnika z harapem.

Rzadko spotykano wsie stare, wyludnione, z nędznymi chałupami, zamiast okien — otwory wielkości dwóch dłoni, zaciągnięte pęcherzem; nad niziutkimi drzwiczkami okopcona szczelina; pod rozlupaną wierzbą — daszek z obrazkiem, by w takim pustkowiu było chociaż przed czym westchnąć do Boga. W poniektórych wioskach ostały się jedno dwa, trzy zamieszkałe domy, w innych nędzne strzechy zapadły, pochyliły się wrota, dokoła zarosła pokrzywa. A ludzie — szukać by ich trzeba w nieprzebytych gąszczach, gdzie diabeł dobranoc powiedział, na północy wzdłuż Dźwiny czy Wygi; albo zbiegli za Ural, na dolny Don.

— Ach, jakie ubogie wioski, jak nędznie tu ludzie żyją — szeptał Golikow i ze współczuciem przyciskał do policzka wąską rękę. Gawryła odpowiadał rozsądnie:

— Ludzi mało, a carstwo takie, że i dziesięć lat nie starczy, by je objechać wzdłuż i wszerz — dlatego bieda; od każdego dużo się żąda. Byłem oto we Francji... Święci pańscy! Chłopi chwieją się od wiatru, jedzą trawę z kwaśnym winem, i to nie wszyscy... A gdy markiz albo sam delfin francuski wyjedzie na polowanie, nabijają dziczyzny całe fury...-Tam oto — bieda. Ale tam inne przyczyny...

Golikow nie pytał, co jest przyczyną, że chłopi francuscy chwieją się od wiatru. Jego rozum nie był oświecony, nie wyznawał się w przyczynach; oczyma swymi, uszami, nozdrzami pił słodkie i gorzkie wino żywota i radował się, i cierpiał niepomierne...

W górach Wałdajskich zrobiło się weselej; spotykano polany z zeszłorocznymi stogami, z siedzącym na czubku jastrzębiem, ścieżki leśne ginące w gąszczu liści, gdzie chciałoby się pójść, zbierać jagody; i szum lasów stał się inny — miękki, niby z pełnej piersi. I wsie — zamożniejsze, bramy mocne, rzeźbione ganki. Zatrzymali się przy studni napoić konie — ujrzeli dziewczę lat szesnastu, z grubym warkoczem, w kokoszniku z kory brzożowej przybranym błękitnymi paciorkami na każdym ząbku, tak urodziwe —^v że jeno wyjść z wozu i pocałować w usta. Golikow jął wzdychać powściągliwie, Gawryła zaś, nie zwracając uwagi na takie głupstwa jak dziewczyna wiejska, rzekł do niej: — No, czego stoisz i wytrzeszczasz gały?

Widzisz, pękła nam obręcz, pobiegnij no, sprowadź kowala.

— Oj, tak — krzyknęła z cicha, porzuciła wiadra, nosidła i pobiegła po trawie świecąc różowymi piętami spod haftowanego podółka płóciennej' koszuli. Coś tam komuś powiedziała, wkrótce przyszedł kowal. Patrząc na takiego chłopca każdy by odchrząknął z zadowoleniem: ale chłop na schwał! Oblicze krzepkie, z kędzierzawą bródką, na wargach uśmieszek, jakby kowal jeno z łaski podchodził do przejezdnych durniów, pierś taka, iż bez krzywdy można w nią bić dwupudowym gwichtem, potężne ręce założone za skórzany napierśnik.

— Pono obręcz pękła? — spytał drwiąco śpiewnym basem. — Od razu widać: moskiewska robota. — Kiwając głową obszedł wóz dokoła, zajrzał pod spód, ujął za tył i potrząsnął lekko wraz z siedzącymi. — Cały się rozlatuje. Na tym wozie jeno diabłom drwa wozić,

Gawryła, gniewny, jął się Ispierać. Golikow patrzył na kowala z zachwytem — ze wszystkich cudów to było bodaj że najdziwniejsze. Jakże mógł nie tęsknić za pędzlami i farbami, za wonnymi deskami dębowymi! Wszystko, wszystko mknie w oczach, umyka bezpowrotnie w mgłę zapomnienia. Jeno malarz sztuką swą mocen na biało zagruntowanej desce powstrzymać nierozumną siłę zniszczenia.

— A długo będziesz się z nim krama-

Hm

rzył? — spytał Gawryła. — Każda godzina mi droga, pędzę z rozkazu carskiego.

— Można się krótko kramarzyć, a można i długo — odparł kowal.

Gawryła spojrział surowo na swój harap, a potem z ukosa na niego.

— Dobra... Ile zażadasz?

— Ile zażadam? — kowal roześmiał się. — Moja robota jest droga. Gdybym zażądał, ile się należy — nie starczy ci pieniędzy. Znam cię przecież, Gawryło Iwanowiczu, na wiosnę przejeżdżałeś tędy z bratem, nawet u mnie nocowałeś. Zapomniałeś? Twój brat to chłop rozsądny. Ja cara Piotra też dobrze znam i on mnie zna — za każdym razem skręca do kuźni. On też człek z głową. No cóż, skręcajcie do kuźni, zaradzimy coś niecoś.

Kuźnia stała na zboczku wzgórza przy trakcie, niska, z ogromnych bali, z darniowym dachem, z trzema przegrodami dla kucia koni; dokoła wałały się koła, sochy, brony. Przy drzwiach stali dwaj młodszy bracia kowala — w skórzanych fartuchach, z kędziorami przewiązanymi rzemykiem, i starszy — ponury, brodaty dryblas, od wielkiego młota. Kowal bez pośpiechu, jakby igrając, rześko wziął się do roboty. Sam odprzągnął konie, odwrócił wóz, zdjął koła, wyciągnął żelazne osie. — Popatrz, obie nadpęknięte — ech, tą osią należałoby kowala moskiewskiego po ciemiączku... — Wetknął osie w ognisko, wsypał worek węgla, krzyknął do młodszego

brata i WnnhB/fl, dmij l^yol Nla Mu\,n i Th w 1111,1(llroclrt w/hjll nhf dl o robol,y, (lti wryte py U fi J#i#
tajk* wiparł wifji a iir/, wi, Go« llknw wlfifM iw wywoklm progū, ipyUll, r/y file pomóc, jfcoby by jo pnjd/oJ,
Kowel niACb* n<fl] kjMj • •• Nlfcd^clti Npokopde, pr/,ypalr/,cie nio ChOĆ i ci/,) nry kowfllō WrlljFjfidyn,

WnnluH/n dflj mirrlimu hin/n tafcie / tr/,n*kłoiTl wzbljnl/i tiUj pod dach, Oifwlfcdlo iij Mlfiił bfOflltly
nitiriay hml itllł niby boisk/ |M»li»/ywtł/y pęflfl nn dñiifflłj KjkoJwśtiJ pudfl* W\$ffO młota, Kownł obfDCAł
owlu w oc/nlwku, dyis^eym źfiT^ni,

ZowilJ iiiih, hyAult* wifiił/Mt, wolnjty un Iiflb Woiooblowowlfc IllÓWil 14Af91i<i11 jf|<' pod
lojd/lfi/fiwyin wtjsorn. My kownlc, ru*'/<iilkfif7,tt, odlt*WK"/.tt d/wonówur Pod hoioblrt iifi('l(3 d/wonnk
Mom/ulio odlewu pl^kiilu d/wonbjcy,, W ssoizłym reku fit pjdti l/ik nn hi n Miody,irtf nn pa o Cl ii I ('Itiifa
py< idli „l'r/nMlttfi no, Honilrnlj Woiooblow, nlii* ka<\ odpowlad/ nil nijpiui w, dliii/<(p> Iwojft d/wonki
mim)r| tak) *lodM d^wtłjk, f)lrK"/»(P klientfł twojoj iiiiłoty ynie n nic Ininlul l)Jnr/fH|o pINtoM woroblowtflk
blj& o dwti' d/icilełfl kruków dflilj i nic* wpflłri nn pnii«w- rui" A)« "i' "dpowjrtfdflifi! „WriW/fl rnmkn
n/uh('. l'loht/e Alukttliāl&wbr/ii, dlflUfłO uaw/,e d/woiikł Hinjr) tak! dfcwłtjk, odwiñmy nn will/t* tnUnł), 1

)<>k nan ur/yłj ludilft

/,ri«)q(;y un r/,ev;/,y, i odłęWfimy bu/ |/,y» A n/p'idn iinn/rt tflflftlyo ynlu, n n# lamio, fce ri»/p<łtt»y M # do
Mwy malino-

w fi) I bat I u jemy w oleili konopnym, A pif to* J#ty dlflft(fo bij ty (Iflhikn I lift* upalają nn pa- nawet*, ih
roiłlr ouM/ Htlepan hl lepa no wic/, wier/ny mu odpor/,yuek, w (falwifisiwitt hi* Jtil nnfi holftfinlw WjfAffy '/fl
k/i^do nłft(ilntłniwo I dogndywnli 41John iof;of" ifufMn od /io' d/|u)ftlvv«#". Ano Ink,,,

KmididliJ wy)f} f fej^MMd oii /, e/01(i nn kuwnfilo, omiótł mloltłkti, ktfim od ulali '/tjftłti, I klwntfl
luóilM na ularn/ttyi/ Inn I n, ()w roi nul tik} o krok i>(lr/uca jrte »H) do tyld l iiniln)A<: naprzód, tiptłtłitr
miotam kolo, Jol WrlllA to/dar/ont* tniptynkl ttynly nł^ nn AcUoiy, Kmidf/itłJ tik! u fil nn sf@M@(jo hm tai
l)łl@ 1, MUoptm T\$ñ, /• miotom niw,o mnlfiłji/.yin, utaniti po ilrucjfaJ ilronhf i rot- lior/ał fjr/mol niby
Wl@lk(lfidGiW d/won lti* uhi nlnin/y wallł mloltwi rn/, Hłof/a (/od/i! dwn /rt/.y, Krinflintł), tak
I ulek, pr/ykłtipywal mlolkhm, StójI «*» kr/,ykfir|| j pi/nkulą oA un pobfnj,
WnnUH/a, ihn/do o(iula,,,

I'owlniln on flo mufa, /nnr/y ullak flnlfiłj kowal olatln/y pot wlt>f/r.'htim dl on li „Hly H'/nlt^, Knutlrnlł)
Wotohlow, n ho Wfllif Inlklrth Nikicie Ptimldyr/n9 Ma d/lś na Htaln wltwiw fabryki, wltiMi* kop/tlrild rudy i
chłnpów pańu/t7.yłnlatiynh, I boo^tfr/y UIA jrt, a pr/Mjl&ft tac/,flł podobni© Jak ty, / nj« c/tHju,, (/aft, byt 1 ty
poinyAlal o t"/,yitiA pg* wainpln/ym, nlti biiiii/fan/ pam&U calu łyda ku) koni pr/y (rakrio... Nie mnntA
iiltinłtjd/y na altf, dam choć i u mnie kKi

I

Sj

cho z groszem. Zakładaj fabrykę broni w Moskwie albo jeszcze lepiej — zakładaj w Piter- burgu... Tam raj..." Tak mi on to wszystko pięknie opowiedział; patrzę — a mnie nijako, nijako... Och — odpowiadam — najmiłości- szy panie, Piotrze Aleksiejewiczu, żyjemy sobie przy trakcie szumnie i wesoło... Rodzic nasz mawiał: «Blin nie klin, brzucha nie przebije, jedz do syta, śpij twardo, pracuj ochoczo...* Postępujemy wedle jego przykazania... Wszystkiego mamy pod dostatkiem. O jesieni nawarzymy sobie podpivka, mocnego takiego — aż obręcze na beczkach trzeszczą, i wypijemy za twoje zdrowie, miłościwy panie. Wdziemy wyszywane rękawice, wyjdziemy na ulicę — spróbować się na pięści, to i mamy rozrywkę... Nie chce się stąd odchodzić..." Ta- kem mu odpowiedział. A on jak się nie rozzłości! „Nic gorszego nie mogłeś mi odpowiedzieć, Kondratij Worobiov. Kto jest ze wszystkiego kontent, kto nie chce zamienić dobrego na lepsze, ten wszystko traci. Ach — powiada — kiedyż to zrozumiecie, wy diabły leniwe?" Zabił mi klina...

Kowal zamilkł, zachmurzył się, opuścił oczy. Młodszy bracia spoglądali na niego, oni też, rozumie się, mieli ochotę coś o tym rzec, ale nie śmieli. Pokiwał głową, uśmiechnął się do siebie.

— Wszystkim tak mąci on w głowie... Widzicie go, to my jesteśmy leniwi? Wychodzi na to, że — leniwi! Szybko odwrócił się do ogniska, gdzie roz-

628

pałała się druga oś, chwycił kleszcze i — do" braci: — Stawaj!

W półtorej godziny wóz był gotowy, zestawiony, mocny, lekki. Dziewczę w brzozowym kokoszniku cały czas kręciło się koło kuźni. Kondratij zauważył ją wreszcie.

— Maszutka! — Zamachnęła warkoczem i stanęła jak wryta. — Pobiegnij no, przynieś panom zimnego mleka — napić się na drogę.

Gawryła patrząc zmrużonymi oczyma na jej migające pięty spytał:

— Siostra? Powabna dziewczucha...

— A niech ją — rzekł kowal. — Wydać za mąż szkoda jeszcze. A w domu ona do niczego, ani uprząć, ani krowy wydoić, ani gęsi paść. Jeny tylko — umiesić trochę gliny i bawić się; zrobi kota jadącego wierzchem na psie albo starą babkę z kijem, jak żywą, naprawdę... Nalepi ptactwa, zwierzaków, bzdur niestworzonych. Pełna świetlica tych głupstw. Próbowaliśmy wyrzucać — krzyk, płacz. Machnęliśmy ręką...

— Boże mój, Boże — wyrzekł cicho Golikow — trzeba czym prędzej to zobaczyć! — I jakby w zbożnym przerażeniu rozwarł oczy na kowala, ów uderzył się po bokach ze śmiechem. Waniusza i Stiopa uśmiechnęli się powściągliwie, chociaż obaj byli nie od tego, by parsknąć śmiechem. Dziewczę w łubianym kokoszniku przyniosło garnek prażonego mleka. Kondratij rzekł do niej:

— Maszka, człek ten chce zobaczyć twoje bałwanki, po co — nie wiadomo. Pokaż...

629

Dziewczę struchlało, garnek z mlekiem zadrżał w jej rękach.

— Och, nie trzeba, nie pokażę! — postawiła garnek na trawie, zawróciła i odeszła jak we śnie, ukryła się za kuźnię. Wtedy już wszyscy bracia jęli chwycić się za boki, trząść włosami... Jeden Golikow nie śmiał się — wysunął nos i patrzył tam, gdzie za węglem kuźni schowała się dziewczyna. Gawryła rzekł:

— No jakże, Kondratij Stiepanowicz, musimy się policzyć?

— Jak tam się liczyć? — Kowal otarł mokre oczy, rozgarnął wąsy i już w zamyśleniu pogłaskał bródkę. — Zobaczysz się z carem Piotrem — oddaj mu pokłon. Sam od siebie dodaj, co wypada. I powiedz: Kondratij Worobiov prosi, żeby się na niego nie gniewać, nie ma człeka głupszego niż Kondratij Worobiov... Miłościwy pan zrozumie moją odpowiedź...

Za falistymi polami, za brzoźowymi gajami, za smugami żyta, daleko poza granatowym lasem rozpostarła się tęcza, jeden koniec jej ginął w uciekającej chmurze deszczowej, a tam, gdzie drugi koniec wspierał się o ziemię — złote iskry połyskiwały i migotały.

— Widzisz, Andriuszka?

— Widzę... M,rr- Moskwa...

-r— Gawryło Iwanowiczu, to jest niby znak. Tęcza ją oświetliła.

— Sam nie rozumiem, czemu Moskwa tak się rozigrała... Tyś rad chyba — do Moskwy?

— A jakżeby nie... I rad jestem, i boję się...

— Przyjedziemy — od razu do łaźni! Rankiem pobiegnę do księcia-cesarza. Potem zaprowadzę cię do carówny Natalii Aleksie-jewny.

— Tego to się boję...

-r- Słuchaj, woźnico — rzekł Gawryła tym razem nawet przymilnie — I popędzaj, sokole, proszę po ludzku, popędzaj...

Deszcze uklepały drogę. Spod kopyt leciały bryłki. Liście brzoź lśniły. Wietrzyk stał się wonny. Na spotkanie ciągnęły puste wozy z chłopami, z nie sprzedaną krówką czy kulawym konikiem uwiązany z tyłu. Umykał słup wiorstowy z orłem i literami: „Do Moskwy 34 wiorsty”. Znowu nędzne chatynki, rozstawione niektóre bokiem, inne tyłem przy drodze; za siwą łożyną na cmentarzu -rrzłusz- czona kopułka cerkiewki. I znowu w poprzek ulicy przed samymi końmi biegnie chłopczyk w kusej koszulinie odrzucając do tyłu włosy, udaje konia. Woźnica pochylił się, ściągnął go batem w pogryzione przez komary miejsce, skąd wyrastają nogi, ale ten — jakby nigdy nic — jeno czmychnął odprowadzając zaprzęg oczyma.

I znowu — z górki i na górkę. Spojrzeć na prawo, gdzie poprzez krzaki lśni rzeczka: brodac i chłopci w długich koszulach jeden za

drugim, szeroko rozstawiając nogi, idą łąką, zgodnie połyskując kosami. Spojrzeć na lewo: na leśnej polance, przy krawędzi cienia, leży stado, pastuszek z batem ugania za pstrym byczkiem, a za nim trzęsąc w trawie uszami pędzi mądry piesek. Znowu pasiasty słup wiorstowy — 31 wiorst... Gawryła jęknął:

— Woźnico, dopiero trzy wiorsty przejechaliśmy...

Woźnica zwrócił do niego wesołą twarz z niefrasobliwie zadartym nosem, który, zda się, jeno dlatego ulokował się między rumianymi policzkami, żeby zaglądać do kieliszka.

— Nie liczcie, panie, wiorst wedle słupów, jeno wedle karczmem, w słupach nie ma prawdy... Uważajcie no, zaraz popędzimy...

Nagle krzyknął przeciągle: — Hoj, hoj! hoj! koniki!!! — odchylił się do tyłu, rzucił lejce, koniki różnej maści, z dużymi łbami, pomknęły cwałem, zakreśliły ostro i stanęły przed karczmą — starą, długą chałupą z wysoką wiechą sterczącą nad bramy, i z szyldem — dla piśmiennych — wypisanym cynobrem na lazurowym tle nad drzwiami: „Korcma”.

— Róbcie, panie, co chcecie, konie ochwaciły się — rzekł wesoło woźnica i zdjął z głowy wysoką filcową czapkę — chcesz, bij na śmierć, a jeszcze lepiej, każ podać zielenia- ka...

Karczmarz, odziany wedle starego obyczaju w żurawinowy kaftan z kołnierzem powyżej łysiny, już wyszedł przymilny, świeży na

632

przegniły ganeczek, trzymając na tacy trzy kieliszki zielonawej wódki i trzy obarzanki z makiem na zakąskę... Co począć j§| wypadło zejść z wozu, rozprostować kości...

Do Moskwy zbliżyli się o szarym zmroku. Nie było końca zagrodom, wioskom, zagajnikom, cerkiewkom, płotom. Gdy duha zawadzała o gałąź lipową, na jadących spadały krople dżdżu. Wszędzie tliły się światła widoczne przez szybki z pęcherzy lub okienka mikowe; w przedsionkach cerkwi jeszcze siedzieli żebracy, - w otworach dzwonnicy darły się kawki. Koła zadudniły po drewnianej jezdni. Gawryła chwyciwszy woźnicę za ramię pokazywał, w jakie krzywe zaułki skręcać. — O tu, gdzie pod płotem leży człowiek, tu, naprzeciwno — w ślepią uliczkę. Stój, stój, przyjechaliśmy!... — Wyskoczył z wozu i zastukał do bramy okutej niby kufer sztabami pobielanego żelaza. W odpowiedzi gruchnęły wściekłym ujadaniem, zagrzmiały łańcuchami słynne Browkinowe wilczury.

Dobrze jest po długiej nieobecności przyjechać do rodzinnego domu. Wchodzisz — wszystko, do czego przywykłeś, i wszystko po nowemu znajome. W chłodnej sieni pod oknem pali się świeca, tu pod ścianami — rzeźbione ławy dla suplikantów, by siedzieli i spokojnie czekali, aż ich wezwą do gospodarza, dalej — puste, zimne sienie, z dwoma piecami, tu świeca stoi na podłodze wśród przeciągów, stąd — na lewo — obite sukmem drzwi do niezamieszkałych komnat holender-

I

mmmmmmmmmm

skich • cli u znamienitych gości, drzwi na prawo — do ciepłych niziutkich Izb, a pójść prosto — człek zacznie błędzić po przejściach, stromych schodach do góry i na dół, gdzie spiżarnie, schowki, świetlice, alkierze, komórki... I zapach jakiś osobliwy, w domu rodzicielskim — przyjemny, przytulny... Ludzie, radzi przybyszowi, mówią i patrzą miłośnie, gotowi spełniać życzenia...

Rodzica, Iwana Artiemicza, w domu nic zastał, wyjechał był do swych manufaktur. Na powitanie Ga wryły wyszli: klucznica, okazała (jak przystoi), stateczna niewiasta z ciężką ręką i śpiewnym głosem, starszy faktor, 0 którym sam iwan Artiemicz powiadał, że to szatan wcielony, i niedawno zgodzony za granicą majordomus Karło — nazwiska jego nikt nie mógł wymówić — długi, posepny mężczyzna z twarzą o wydatnych szczękach, obrzękłą od nieróbstwa i rosyjskiego jadła, z potężnym podbródkiem i nawisłym czołem, wskazującym na wielki rozum tego człowieka j jeden miał przecie feler, z powodu którego trafił do Moskwy za umiarkowaną pensję — miał nosa miał czarny aksamitny koł- paczek, a przy mówieniu kluski w gębie,

- Nic nio chcę, jeno do łaźni - * rzekł do nich Gawryła. — Na wieczere niech bidzie studzienina, pieróg z wołowiną, gęś i Jeszcze <^>.4 *ytniej*zego,, W Piter burgu człek się ze fzczeńtem wycieńczył na śmierdzącej pekło- winie i sucharach,,

1 Klucznjefl rozłożyła pulchne dłonie, a po-

tern je znowu złożyła: Jezu Chryste, jakże to, jadłeś suchary? ~ Paktor-szatan — ajf ajf aj! - pokiwał z ubolewaniem koźlą bródką. Majordomus, nie rozumiejący po rosyjsku ani słowa, stał niby bałwan odstawiwszy ze wzgardliwą powagą olbrzymią, płaską stopę i założywszy ręce za plecami. Klucznica jęła przygotowywać do łaźni czystą bieliznę i opowiadała śpiewnie:

W łaźni wyparzemy, napoimy, nakarmimy, potem ułożymy panicza na łabędziej pierzynie, na słodki sen w domu rodzicielskim... A nas, Bogu dzięki, bieda z n<;dzą omijają... Krowy holenderskie pocieliły się wszystkie co do jednej, świnię angielskie dały po szesnaście sztuk przychówku, sam książę-cesarz przyjeżdżał, dziwował się... Maliny, wiśnie w ogrodzie, Jakich jeszcze nie bywało. Raj to, raj, dom rodzicielski,, Jeno że pusto, ach! ach! Kodzie twój, Iwan Artiemicz, chodzi sobie, chodzi, biedaczek, po komnatach, „Przykrzy mi się, Agapowna — powiada — chyba pojedę znowu na te manufaktury..?” Pieniędzy rodzic ma tyle, że stracił rachunek, żeby nie Sieńka -■■ mrugnęła na szatana-taktora nigdy w życiu by się nie doliczył... Jeno z tym czarnonosym nledogoda... Juici, nasz dom bez takiej osoby teraz *ię obejść nie może, ludzie w Moskwie powiadają, że iwanowi Artlemiczowi dadzą chyba tytuł. No, a ten wdzieje na teb kapelus z czerwonymi piórami, stuknie buławą w podłogi/, przy tupnie kulasom, co tu gadać -■- parada... 1/ kró-

Jęci pruskiego był majordomusem, póki mu nosa nie odgryzłó czy co... Z początku balięmy się go — cudzoziemieć przecie, to nie [żarty! Stajenny Ignaszka nauczył go grać na bałałajce... Od tego czasu brzdąka całymi jdniami], aż wszystkim obmierzłó... I zře tęgo. Chodzi za mną; „Matka, Jeść,..” Głuptas, ja- kiegoęmy Jeszcze nie widzieli. Choć może to wynika z jego procederu. Na święty Jan była u nas wielka feta, carowa Praskowia Piodo* równa zaszczyciła nas, już bez Karła byłoby nam trudno. A ten, serdeńko, jak wdzieje kaftan — tańry i frędzli miał no sobie napłątane z dziesięć funtów — łosiowe rękawice z palcami; bierze złoty talerz, stawia puchar wart tysiąc rubli i przyklęknąwszy na jedno kolano — podaje carowej. Bierze drugi talerz, puchar, lepszy jeszcze od tamtego, i podaje carównie Natalii Aleksiejewnie...

Podczas opowjadania klucznicy czeladny, którego ze zjawieniem się majordomuso zaczęto nazywać kamerdynerem, zdjął z Gaw- ryły zakurzony kaftan, kamizelkę, rozwiązał halsztuk i pokaszlując jął ściągać bot/orty. Gawryła szarpnął nagle nogami, skoczył, krzyknął;

— U nas w domu była carówna? Co ty pleciesz?

— Była, było krasawica, siedziała po lewej ręce Iwana Artiemicza, napatrzeć się jej nie można,.. Wszyscy się na nią zapatrzyli, zapomnieli o piciu I jedzeniu. Rączki w pier~ ścieniach, w bransoletach, ramiona łąbędzie, m

nad Saflią piersią znamię rodzinne niby ziairn

ko gryki wszyscy zauważyli, Suknia na

niej niby kwitnący len, lżejsza od powietrza, po bokach wspaniale nabufiona, na podółku cała w Jedwabne róże, a na główce ogon rajskiego ptaka,..

Gawryła dalej nie słuchał. Narzuciwszy na plecy barani kożuszek, człapiąc talarnkimi pantoflami ruszył przejściami I schodami do izby łaziebnej. W wilgotnym przedsiönku łaziebny przypomniał sobie nagle.

Ag o pown a, a gdzie człek, co ze rna przyjechał?

Okazało się, że majordomus nie wpuścił Andriuszki Golikowa i ten ciągle jeszcze siedział na podwórzu na wyprężonym wozie. Zresztą i tarn było mu dobrze z własnymi myślami. Ponad czarnymi dachami świeciły gwiazdy, pachniało kuchnią, sianem, chlewami nader przytulnie i skądęs jakby załatywał najslódzsy zapach kwitnącej lipy. Od tego serce biło osobliwie, Andrzej wsparłszy się na łokciach patrzył w gwiazdy. Czym są owe ogłębki rozsypane gęsto po ciemnofioletowym stropie, czy są one daleko i po co tam płó~ ną - nie wiedział i nie myślał o tym. Ale stamtąd spływał mu do duszy spokój. Jakiż on, Andrzej, był drobniutki na tym wozie!

Drobniutki —■ ale przecie nie taki, Jak go niegdyś nauczał starzec Nektariusz; nie czuł się pełzającym robakiem i żalósną znikomo- ścią ciała. Zda się, zwierz nie znióslby tego, co Andriuszka wycierpiał w ciągu krótkiego

żywota — unicestwiano go, bito, dręczono, tracono śmiercią z głodu i mrozu — a teraz niby król królów zwraca oczy ku ogniom wszechświata i słyszy w sobie tajemny głos: „Idź, Andrzeju, nie upadaj na duchu, nie zwracaj z drogi, niedługo już, niedługo, a rozraduje się, wyzwoli twoja cudowna moc, wszystko dla niej stanie się możliwe: ze szkarady stworzysz świat piękna we własnym przeobrażeniu...”

Och, och! Za taki głos szatański — w czasie pobytu u starca — siedziałby na łańcuchu ze czterdzieści dni o wodzie i ukradkiem smarowałby oliwą z lampki krwawe blizny. Pomyślawszy o tym Andrzej uśmiechnął się bez gniewu. W pamięci przesunęło się wspomnienie: pewnego razu jakieś łyki były ze szczególną zjadłością — jego, króla królów, w zadymionym szynku na Warwarce, wywlekli za nogi na ganek i rzucili w zgnojony śnieg. Za co go bili? — nie pamiętał. Było to owej strasznej zimy, gdy na murach Kitajgorodu i Kremla kołysali się powieszni strzelcy. Andrzej wówczas, głodny, w porwanej kapocie na gołym ciele, bosi, chodził w rozpacz i żalości po szynkach wyżebując od pijących czarkę zieleniaka, z tajemną nadzieją, że w końcu zabiją go; pragnął tego podówczas boleśnie, litując się nad sobą aż do łez... Tam w karczmie spotkał pijanego dzwonnika od Barbary Męczenniczki — ze zmrużonymi oczkami, rozdwojonym nosem, sterczącym kosmykiem włosów. On to namówił Andrzeja,

by szukał ukojenia rajskiego u starca Nektariusza, by ciało jego szarpane było niby przez lwa. „Cudaki! — szepnął Andrzej — umartwiać ciała! A ciało, ach, bywa piękne...” A jeszcze przemknęło w pamięci: spokojny wieczór na wsi Palecha, w powietrzu zwisa żółty kurz, ryczą krowy, skręcając do zagród. Matka wychudła, z męskimi ramionami, idzie do wrót — dawno już trza by je naprawić — obejście nędzne, zaniedbane. Andrzej i bracia — co rok to prorok — siedzą na przewróconym wozie bez kół. Czekaają, niecierpliwą się — ile to udreki z taką matką!... Odsuwa pochylone wrota. Ocierając szerokimi bokami o wrótnie, porykując krótko, dobrotliwie wchodzi Buruchna, karmicielka. Matka ma twarz ciemną, gniewną, smutną, pysk Buruch-ny jest ciepły, czoło kędzierzawe, nos wilgotny, oczy wielkie, fioletowe. Buruchna nie ukrzywdzi. Tchnęła w stronę chłopczyków i poszła do studni pić. I tuż przy studni matka przysiadła na ławeczce i zaczęła ją doić. Szyrk-szyrk, szyrk-szyrk, mleko Buruchny spływa do skopka. Chłopcy siedzą na wozie, czekają cierpliwie. Matka przynosi gliniane kubki i szerokim strumyczkiem nalewa w nie ze skopka. — No, chodźcie — powiada głosem nieżyczliwyrfi...

Andriuszka pije pierwszy parujące mleko, ile brzuch może wytrzymać, bracia patrzą, jak on pije, najmłodszy aż westchnął krótko, bo będzie ostatni...

— Hej, człeku podróżny, złaż z wozu! — Andrzej ocknął się. Stał przed nim parobczak

z gniewnym obliczem, kamerdyner. — Gawryła Iwanowicz prosi do łaźni — wyparzyć się... A ty się rozzuj tutaj, rzuć pod wóz kaftan i czapkę... U nas inaczej niż we dworach szlacheckich, do nas w łachach nie wpuszczają...

Po zbawiennej kąpeli, z ręcznikami na szyi, Gawryła i Andrzej zasiedli do wieczerzy. Agapowna odesłała majordomusa do komórki, by ich nie krępował. Jej pulchne, białe ręce coraz biegły po stole nakładając na talerze przysmaki, nalewając do weneckich kieliszków, wydobytych na tak wspaniałą okazję, strzeżone pilnie likwory i nalewki. Gdy zapłonęły świece, Gawryła dostrzegł w kącie na krześle stojącą ramę zasloniętą płótnem. Agapowna wsparła policzek z ubolewaniem.

— Nie wiem doprawdy, jak ci to pokazać przy obcym człeku... Siostrzyczka Sania przysłała z Holandii akurat na święty Jan... Iwan Artiemicz, biedaczek, to powiesi na ścianie, to zafrasuje się, zdejmie, przysłoni płótnem. Przysyłając to napisała: „Ojczulku, nie wstydźcie się, na miłość Boską, powieście śmiało mój konterfekt w komnacie jadalnej, w Europie nie takie rzeczy wieszają, nie bądźcie barbarzyńcą...”

Gawryła wyszedł spoza stołu, wziął świecę i zdarł płótno z tego, co stało w kącie na krześle. Golikow podniósł się — aż dech mu zaparło... Był to konterfekt bojaryni Wołkowej, niewypowiedzianej piękności i niewypowiedzianie pokaźny...

940

- No, no — tyle jeno powiedział Gawryła oświetlając go świecą. Malarz przedstawił Aleksandrę Iwanownę wśród porannego morza; na fali, na grzbiecie delfina, leżała w stroju, w jakim wyszła z łona matczynego, zakrywając się jeno rączką z perłowymi paznokietkami; w drugiej ręce trzymała czaszę pełną gron winnych, na brzegu czaszy dwa gołębie dziobały owe grona. Nad jej głową w powietrzu z prawej i z lewej strony dwoje tłusciutkich niemowląt, odwróconych do góry nogami, trąbiło w muszle nadymając policzki. Młode oblicze Aleksandry Iwanowny z oczyma koloru wody uśmiechało się wzniesionymi kącikami warg nader filuternie...

— Ej, ta Sańka! — rzekł Gawryła, również zdziwiony niemało. — Andriuszka, to do niej przecież wyślemy cię do Holandii. Ale uważaj, by cię tam bies nie opętał... Wenera, istna Wenera! Nie dziw, że kawalerowie biją się o nią na szpady, są nawet zabici...

Strażnik Moskwy, książę-cesarz, mieszkał w swym obszernym pradiadowskim dworze na Miasnickiej, niedaleko placu Lubińskiego. Miał na miejscu cerkiew z obsługą duchowną, folusznię, warsztaty wyrabiające płótna, garbarnię, kuźnię, stajnie, obory, owczarnie, ptaszarnie i wszelakie napełnione dostatkami spiżarnie i piwnice — wszystko zbudowane

z ogromnych bali, obliczone na stulecia. Dom był również bez głupich wymysłów, jakimi zaczęto w Moskwie popisywać się od czasów cara Aleksego Michajłowicza — niezbyt okazały, lecz ciosany mocno, z dachem gontowym, obrosłym ze starości mchem, z małymi okienkami wysoko od ziemi. W domu także panowały stare porządki i obyczaje. Lecz jeśli ktokolwiek, zwiedziony tym, w prostocie umysłu zjawił się po dawnemu, w szubie do pięt, z długimi rękawami, a jeszcze z brodą — niechby nawet z rodu Rurykowego pochodził, prędko umykał ze dworu wśród śmiechu czeladzi Romodanowskiego: w szubie uciętej do kolan, z ostrzyżonymi kłakami na policzkach, z brodą sterczącą z kieszeni, by mógł ją zabrać do trumny, skoro wstyd przed Bogiem... Gdy u księcia-cesarza biesiadowano, niejeden z zaproszonych przygotowywał się na to z wielkim uzaleniem — taki bywał na ucztach przymus, nieprzystojne swawole i ciężkie żarty. Jeden uczony niedźwiedź tak doskwierał: podchodził do krnąbrnego gościa dzierżąc w łapach tacę z ogromną szklanicą pieprzówki, rycząc domagał się, by odpić, skoro gość wykręcał się, nie chciał pić, niedźwiedź rzucał tacę i zaczynał tarmosić gościa nie na żarty. A książę-cesarz jeno wstrząsał stoł brzuchem, zaś błazen książęcy, mądry, złośliwy, jednooki, z jednym kłębem w bezzębnych ustach, wołał: — Niedźwiedź dobrze wie, jakie bydlę targać!

Książę-cesarz wstawszy wczesnym rankiem,

w płóciennej ciemnej koszuli, przepasanej nad brzuchem paskiem Iz wyszytą Modlitwą Pańską, w safianowych pstrych butach, słuchał krótkiej jutrzni; gdy promień słońca przeniknął skłębiony dym kadzidła, płomyki świec i lampek martwiały, a lękliwy popik wygłaszał drżące „amen”, książę-cesarz padał kolanami na kobierczyk, chrząkając ciężko dotykał czołem świeżo wyszorowanej podłogi, ujęty pod ramiona całował zimny krzyż i kroczył do komnaty jadalnej. Tam siadał wygodnie na ławie, przyglądał czarne wąsy, wypijał czarę pieprzówki — takiej krzepkiej, że ktoś, nie-Rosjanin, wypiwszy, długo by siedział z rozwartymi ustami — przegryzał kęs czarnego chleba z solą i jadł boćwinę, studzieniny, wszelakie marynaty, różne kluski, smażeninę; jadł po chłopsku — bez pośpiechu. Domownicy, sama nawet księżna Anastazja Fiodorowna, rodzona siostra carowej Praskowir, milczeli przy stole, cicho kładli łyżki, ostrożnie brali kęsy z mis palcami. W kłatkach na oknach zaczynały odzywać się przepiórki i uczone szpaki, jeden wymawiał nawet wyraźnie: — Wuju, wódeczki...

Książę-cesarz wypiwszy dzbanek kwasu, pobałamuciwszy nieco, wstawał, wychodził po skrzypiących deskach podłogi do sieni, tam podawano mu obszerny kaftan sukieny, laskę, czapkę. Gdy cień jego, widoczny poprzez mętne szkła krytego ganku, spuszczał się powoli schodami, wszyscy ludzie, którzy znaleźli się właśnie w bliskości na podwórku,

fi43

I rozbiegali się gdzie oczy poniosą. Szedł sam przez podwórzec dróżką wymoszczoną cegłą. Szyję miał tłustą, ciężko mu było obracać głową, a przecie kątem wytrzeszczonego oka wszystko dostrzegał: kto dokąd uciekł, gdzie się schował, jakie i gdzie drobne nieporządki. Wszystko zapamiętał. Lecz miał nadmiar spraw ważnych, państwowych, stąd jego ręce często nie dobiegały się do pomniejszych. Przez żelazną furtę w parkanie przechodził na sąsiedni podwórzec Urzędu Preobrażeń- skiego. Tam w mrocznych długich galeriach diacy i urzędnicy w milczeniu zrywali przed nim czapki, żołnierze prezentowali broń.

Diak Urzędu Preobrażeńskiego, Prochor Czyczerin, witał go w drzwiach kancelarii, a gdy książe-cesarz sadowił się przy stole pod zapleśniałym pułapem, przy oknie, diak od razu zaczynał mówić o sprawach po kolei: wczoraj przywieziono z Tuły cztery gotowe działa miedziane i tyleż żelaznych, dobrze odlane. Czy je zaraz wysłać i dokąd — pod Narwę czy pod Juriew? Wczoraj skończono umundurowanie pierwszej roty nowozacież- nego pułku, lecz żołnierze jeszcze bosy — trzewiki bez klamer będą gotowe w tym tygodniu, w Izbie Burmistrzowskiej kupcy obu- wiani Soplakow i Smurow gotowi przysiąc na Mękę Pańską, że nie oszukają. Co począć? Zgodnie z ukazem posłano pod Narwę proch, lonty, kule w woreczkach, wory ze skałkami- Nie można wysłać granatów ręcznych, jako że składowy Jeroszka Maksimów pijany j^{uZ}

644

drugi dzień, kluczy od lochu nikomu nie daje, gdy chciano wziąć mu je siłą, w zamroczeniu umysłu zamierzał się na ludzi tasakiem — takim od siekania kapusty... Co począć? Wiele podobnych spraw opowiedział Czyczerin, w końcu przysunął się bliżej pod sklepienie przy okienku, wziął Tejestr tajnych spraw (zapisy podiaczych z zeznań dobrowolnych i z badań na mękach) i jał z niego wyczyty- wać. Książę-cesarz położył ciężko rękę na stole, trudno zmiarkować — uważa czy też drzemie, choć Czyczerin dobrze wiedział, że samą istotę sprawy książę-cesarz niechybnie usłyszy...

— „W opuszczonej łaźni, gdzie ukrywał się zbiegły pop Griszka, w podwórzu u carówien Katarzyny Aleksiejewny i Marii Aleksiejew- ny, znaleziono pod podłogą zeszyt wielkości ćwierć arkusza, gmby ma pół palca” — diak Czyczerin odczytywał wiersze tak jednostajnym tonem, jakby sypał na ciemną suchą ziarnka grochu. — „W zeszytce na pierwszej stronie napisano: «Dozór ku wszelkiej mądro- ści». A na tej samej pierwszej stronie napisano niżej: «W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Istnieje ziele zwane żelezaka, rośnie ono w wąwozach głębokich i na uroczysskach, samo drobne, ma po bokach dziewięć listeczków, na wierzchu trzy kwiaty — czerwony, purpurowy, niebieski, ziele to ina osobliwą moc — zerwij Je na nowiu księżycy, utłucz, ugotuj i napij się trzykrotnie — ujrzysz wtedy przy sobie demony wodne i po-

645

|wietrzne... A gdy im się rzeknie słowo zaklęcia—nsedtczndsi — pragnienie spełni się»..."

Książę-cesarz westchnął głęboko, uniósł na pół opuszczone powieki.

— Słowo ono powtórz wyraźnie.

Czyczerin podrapał czoło, zmarszczył się,

ze złości zaledwie wymówił — nsedtczndsi... spojrzął na księcia-cesarza, ów skinął. Diak czytał dalej:

— „O książęta, o wielmoże, o łzy i westchnienia] Czego upragnęliśmy? Pragniemy poskromienia czasów obecnych, ich zjadłości, aby znowu nastały czasy powszednie..."

- O to, to! — książę-cesarz poruszył się na krześle, w jego wytrzeszczonych oczach zjawilo się i zniknęło szyderstwo, domysł. — Ziele żelezaka — rozumie się. A cóż zbiegły pop Griszka, przyznał się do zeszytu?

— Dziś Griszka po trzech godzinach przyznał się do zeszytu na mękach. Kupił go gdzieś na Kisłowce od nieznanomego człeka za cztery kopiejki, a dlaczego przechowywał w łaźni pod podłogą — odpowiedział, że z mizerii.

— A czy pytałeś go, jak należy rozumieć: „By znowu nastały czasy powszednie”?

- Pytałem. Dostał pięć batów — odpowiedział: kupił zeszyt na papier — piec na nim proskury, a co napisane — nie czytał, nie wie.

— ■ Ach, lotr, ach, lotr! — książę-cesarz powoli ślinił palec, odwracał zniszczone kartki zeszytu. Coś niecoś odczytywał półgłosem: — „Ziele wacharia, kwiat rudozółty, gdy człek obje się śmiertelnie — dać mu wypić, prędko ruszy górą i dołem..." Użyteczne ziółko — rzekł książę-cesarz i dalej wodził paznokciem po wierszach: — „W księdze Cyrylowej opowiedziano: przyjdzie zwodziciel i kusić będzie. Znaki jego objawienia się: ziele niko- cjana, czyli tytoń, każą palić je a łykać dym, a utarłszy na proch wachać je; a miasto psalmy śpiewać, ludzie będą bezustannie ów proch wachać i kichać. Znak drugi: golenie brody..." Ha, cóż — książę-cesarz zamknął zeszyt — chodźmy, diaku, wypytamy go, któż to pragnie poskromić czasy obecne. Zbiegły pop Griszka — człek obrotny, kuty na cztery nogi, o tym zeszytu wiem dawno, obleciał z nim pół Moskwy.

Schodząc do lochu, do katowni po wąskich schodach ceglanych zmurszałych od wilgoci, Czyczerin rzekł jak zwykle, z ubolewaniem:

— Tu mokrość występuje spod ziemi, cegła zmurszała, jeno patrzeć, a ktoś zabije się, trza by nowe schodki położyć...

— Tak, trza by — odpowiadał książę-cesarz.

Przodem szedł ze świecą podłaczy — pisarz podobnie Jak diak odziany z cudzoziemska, lecz odzież miał mocno zniszczoną, z szyi zwisał mu miedziany kałamarz, z na pół oberwanej kieszeni sterczał zwój papieru. Postawił świecę na dębowym stole w niskim lochu, gdzie niby cienie rzuciło się do nor i kątów kilka szczurów.

— I szczury rozmnożyły nam się obecnie —

powiedział diak — wciąż zamierzam w aptecę poprosić o arszenik.

— Tak, trza by...

Dwaj pacholkiwie o zwierzęcych gębach, schylając się pod pułapami, przywlekli zbiegłego popa Griszkę, z oczyma w słup, z bro- dziną skłębioną jak wełna — oblicze miał zielonkawę, z obwisłą wargą. Czy aby naprawdę nie mógł już władać nogami? Postawiony pod hakiem ze zwisającym sznurem, opadł miękko, utknął jak martwy. Diak rzekł cicho: — Badałem go bez uszkodzenia członków, a odszedł na własnych nogach...

Książę-cesarz przez czas niejaki patrzył na łysinę[^]Griszki wśród rozczochranych włosów.

— Wywiedziano się — zagadał sennym głosem — że w roku zaprzeszłym w Zwieni- gorodzie w cerkwi proroka Eliasza zdarłeś srebrne suknie z obrazów, a w cerkwi Zwiastowania włamałeś się do cerkiewnej skar- bonki i skradłeś tamże spoza ołtarza kozuch popa i walonki. Rzeczy sprzedałeś, pieniądze przepiłeś, wzięty pod straż zbiegłeś do Moskwy, gdzie po dziś dzień ukrywałeś się po różnych dworach szlacheckich, a później — u carówien na podwórku w łaźni... Przyznajesz się? Będziesz zeznawał? Nie... no, dobrze. Te sprawy to jeszcze pół biedy...

Książę-cesarz umilkł. Z tyłu za zwierzowa- tymi drabami zjawił się bezszelestnie mistrz- -oprawca — solenny, wyschnięty, woskowo blade, z dużymi ustami, czerwieniejącymi wśród płaskich wąsów i kędzierzawej bródki.

— Wywiedziano się... — książę-cesarz odezwał się znowu — żeś chadzał do słobody Niemieckiej do pewnej służki zakonnej Uli- ny, oddawałeś jej listy i pieniądze od pewnych osób... Która to niewiasta Uliana odnosiła listy, do Nowodiewiczego wiadomej personie... Od niej zabierała listy i przesyłki, a tyś odnosił je do wyżej wzmiankowanych osób... Czy tak było? Przyznajesz?

Diak przechylił się przez stół, szepnął do księcia-cesarza wskazując oczyma Griszkę:

— Nasłuchuje, dalibóg, widzę po. uszach...

— Nie przyznajesz się! Tak... Upierasz się... a nadaremnie... I dla nas zbyteczny kłopot, i dla ciebie — zbyteczne męki cielesne... No, dobrze... To teraz mi opowiedz... Do czyich, mianowicie, domów chadzałeś? Komu, mianowicie, czytałeś z tego zeszytu o pragnieniu ukrócenia czasów obecnych, ich zajadłości, i o pragnieniu powrotu czasów powszednich?

Książę-cesarz niby ludząc się uniósł brwi, oblicze mu nabrzmiało. Oprawca podszedł miękko do Griszki leżącego twarzą ku ziemi, poruszył go, potrząsnął głową...

— Nie, książę Fiodorze Juriewiczu, dziś już on gadał nie będzie. Na próżno jeno będziemy go szarpać. Odrećwiał od podwieszenia i pięciu batów... Trza odłożyć do jutra.

Książę-cesarz zabębnił paznokciami po stole. Lecz opravca Siłantij miał doświadczenie — jeśli człowiek odrećwiał, to choćby go przeciął na pół — prawdy z niego nie wydo

będzie. A sprawa była wielce ważna: wraz z przytrzymaniem byłego popa Griszki książę-cesarz wpadł na ślad — Jeżeli Już nie wyraźnego spisku, to przynajmniej złośliwych pomruków i uporu wśród personatów moskiewskich, ciągle Jeszcze tęskniących za bojarskimi wolnościami przy carównie Zofii, która po dziś dzień dręczy się pod czarnym kłobukiem w klasztorze Nowodiewiczym. Ma — co począć — książę-cesarz wstał i poszedł na górę zmurszałymi schodami. Diak Czyczerin pozostał, by zająć się Griszką.

IV

Poranek był wilgotny, ciepły, mglisty. W zaułkach pachniało mokrymi płotami i dymkami z kominów. Koń człapał po kałużach. Gawryła zsiadł z wierzchowca przed bramą Urzędu Preobrażeńkiego i długo nie mógł doczekać się oficera warty.

- Gdzież on podział się, diabeł? krzyknął do wąsatego żołnierza stojącego przy bramie.

- Kto go tam wie, cały czas był tutaj, gdzieś ci poszedł..

- ~ Więc leć, poszukaj go...

- Nic mogę odejść w żaden sposób...

- To wpuść mnie za bramę..

- Rozkaz nie wpuszczać nikogo...

- " No, to Ja sam wejdę - Gawryła popchnął go, by wejść za furtkę, żołnierz rzeki:

- Otwórz Jenó furtkę, to Ja, wedle artykułu, żgnę bajonetem...

Na hałas Wyszedł wreszcie oficer warty nudzący się dotąd w budce po drugiej stronie bramy — piegowaty, z drobną twarzą, z oczyma nie patrzącymi nigdzie. Gawryła rzucił się ku niemu z wyjaśnieniem, że przywiózł pocztę z Piterburga i ma oddać ją do rąk własnych księcia Fiodora Juriewicza.

- Gdzie mogę zobaczyć księcia-cesarza? Czy jest teraz w Urzędzie?

— Nic nie wiadomo — odparł oficer warty spoglądając na pręgowatego dużego kota, przechodzącego nie bez obrzydzenia przez mokrą ulicę. — Kot z książęcego dworu — rzekł do oficera — ■ ileż to było krzyku, że zginął, a tu macie, paskudnika.

Drama nagle zazgrzytała w zawiasach, rozwarła się na ścieżaj, a z niej zamasyście wypadła cugowa czwórka karosów w turkusowej uprzęży. Gawryła ledwie zdążył odskoczyć, przez okienko olbrzymiej, odrapanej złoconej kolasy na niskich kołach Romodanowski spojrzał na niego rącznymi oczami. Gawryła pośpiesznie dosiadł konia, by dopę- cizlc karocę, oficer warty porwał za cugle —| diabli wiedzą, czy że z przyrodzenia był człkiem nieużytem, czy też istotnie rozknz nie pozwalał doganiać księcia-cesarza przy wyjazdach...

- Puszczaj! — krzyknął wściekle Gawryła, pochwyił cugle i spiął konin ostrogami, oficer zawisł nn cuglach i upadł... — Warta!

Trzymaj łotra 1 — dosłyszał Gawryła już z daleka, cwałując przez plac Lublański. Karety nie dogonił, splunął ze złości i przez most Nieglinny zawrócił do Kremla, do Urzędu Sybirskiego. Zbudowany jeszcze za cara Borysa Godunowa budynek Urzędu, niziutki, długi, z porzewiałym dachem, stał na urwisku powyżej murów obronnych, tyłem do rzeki Moskwy. W sieniach i przysionkach tłoczyli się ludzie, siedzieli i leżeli na podłodze pod ścianami, spoza skrzypiących drzwi wybiegali diacy w długopółnych kaftanach z połatanymi łokciami (od ciągłego ocierania po stole), z gęsimi piórami za uchem — wymachując papierami, pokrzykiwali gniewnie na posepnych Sybiraków, którzy jechali tutaj tysiące wiorst szukać sprawiedliwości na wojewodę, okpisza i łapownika, jakiego świat jeszcze nie widział, albo różnych ulg dla przedsiębiorstw kopalnianych, złotniczych, futrzanych czy rybnych. Człek bywały, przetrzymawszy wymyślanie, mrużył oczy przymilnie i gadał podiaczemu: „Dobrodzieju najdroższy, gdybyśmy tak spotkali się i pogadali od serca gdzieś w karczmie albo gdzie indziej, gdzie wskażesz... — Niedoświadczony zaś odchodził z nosem na kwintę, by jutro i przez wiele jeszcze dni obijać się po zajazdach, przychodzić tu, czekać, naprzykrzać się...

Książę-cesarz znajdował się w oddziale spraw zbrojmistrzowskich, Gawryła nie pytał wcale — czy wejść można, przecisnął się do

drzwi, ktoś tam pociągnął go za kaftan: — Dokąd, dokąd, nie wolno! — opędził się łokciem, wszedł. Książę-cesarz siedział sam w dusznej, niskiej salce z okienkiem do połowy przysłoniętym okiennicą; wycierał kark pstrą chustką. Na stole obok niego leżał stos pism, próśb, skarg. Zobaczywszy Gawryłę pokiwał głową z wyrzutem.

— Zuchwałyś, synku Iwana Artiemicza! Widzicie go! Teraz pospólstwo samo sobie drzwi otwiera!... Czego chcesz?

Gawryła doręczył pocztę. Powiedział, co kazano mu oznajmić ustnie w sprawie jak najszybszej dostawy do Piterburga wszelkiego rodzaju wyrobów żelaznych, szczególnie gwoździ... Książę-cesarz złamał pieczęć woskową, rozwinął pismo monarchy grubymi palcami i odsunawszy daleko od oczu jął poruszać wargami... Piotr pisał:

„Sir! Powiadamię waszą cesarską mość, że u nas pod Narwą stała się rzecz nadzwyczajna, głupcy mądrych okpili... Przed oczyma Szwedów stała góra pychy, przez którą nie dostrzegli naszej fortelu... O tej maskaradowej bitwie, w którejśmy pokonali i wzięli do niewoli trzecią część garnizonu narwskie- 90, dowiedcie się od naocznego świadka onej, porucznika gwardii Jagużyńskiego, który wkrótce będzie u was... A co się tyczy wysyłki ziół lekarskich do Piterburga dla apteki dotychczas nie przysłano ani łuta... Q czym niejednokrotnie pisałem do Andrzeja Winiusa, a ten każdy raz częstował mnie mo

skiewskim natychmiastem... W czym proszę go wybadać: czemu traktuje z takim niedbalstwem poważną sprawę, która warta tysiąc takich głów jak jego... Ptr..." | Książę-cesarz przeczytawszy przysunął do warg miejsce, gdzie był podpis. Westchnął ciężko.

— Parno — rzekł. — Upał, mgła... Spraw wiele. Przez dzień nawet połowy nie odrobi... Pomocnicy moi, ach, pomocnicy!... Mało który chce pracować, wszyscy jeno — jak by się tu wysliznąć. No i urwać jak najwięcej... A có- żeś się tak wystroił, perukę wdziałeś?... Do carówny jedziesz czy co? W pałacu jej nie ma, przebywa w Izmajłowsku... Gdy ją zobaczysz, nie zapomnij: w karczmie, w szynkow- ni na Pokrowce na oknie stoi drogocenny szpak, tak dobrze gada po rosyjsku, że wszyscy ludzie, którzy tamtędy przechodzą, przystają i słuchają. Ja sam niedawno przysłuchiwałem się z karety. Jeżeli carówna zechce, można go kupić. Ruszaj... Po drodze powiedz diakowi Nesterowowi, żeby posłał po Andrzeja Winiusa — przyprowadzić go do mnie natychmiast... Możesz ucałować rękę-

V

Po południu zaczęło kropić. Anisja Tołstaja bojąc się nudy obmyśliła grę w piłkę w P^u* stej sali tronowej, gdzie już od wielu lat nikł nie zaglądał.

Anna i Marta — panny Mieiszykowów- ny — jedyne do zabawy, z rozwianymi wstążkami, z wyciągniętymi pulchnymi rękami obnażonymi do łokcia goniły za piłką po skrzypiących deskach podłogi. Natalia Aleksiejewna czuła się dziś jakoś łzawo, zabawa nie cieszyła jej... Gdy jeszcze była całkiem malutka, w tej sali we wszystkich okienkach, wysoko nad podłogą, zawsze gorzało słońce poprzez czerwone, żółte, niebieskie szybki i połyskiwała złocona skóra na ścianach. Skórę zdarto, zostały bierwionowe ściany ze strzępami pakuł. Po dachu stukał deszcz. Rzekła do Katarzyny:

— Nie lubię pałacu Izmajłowskiego, wielki, pusty, całkiem jak nieboszczyk... Chodźmy gdzie bądź, usiądziemy cichutko.

Położyła Katarzynie rękę na ramieniu i poprowadziła na dół do małej, również opustoszałej i zapomnianej sypialenki nieboszczki matki Natalii Kiriłowny. Tyle czasu minęło, a tutaj choć słabo — pachniało jeszcze ni to kadzidłem, ni to piżmem. Natalia Kiriłowna do ostatnich dni lubiła wschodnie aromaty.

Natalia spojrzała na gołe łóżko ze spiralnymi słupkami, bez kotary, na prostokątne, zmętniałe zwierciadło na ścianie, odwróciła się i pchnęła zbutwiałą ramę. Do pokoju wtargnął zapach dżdżu szeleszczącego po liściach bzu pod oknem, po łopianach i pokrzywach...

— Siadajmy, Kasiu — usiadły przy otwartym oknie. — Tak! — westchnęła Natalia. —

|Lato już mija, ani się obejrzyysz — jesień... Co tam tobie. Jak się ma dziewiętnaście lat, kto by oglądał się -na dni, niech sobie lecą niby ptaki. A wiesz, ile ja mam? Przecież jeno o pięć lat młodsza od brata Piotrusia... Policz no... Mamusia wyszła za mąż w siedemnastym roku życia, ojciec miał pod czterdziestkę... Był gruby, broda mu zawsze pachniała miętą i ciągle chorował... Mało go pamiętam... Umarł na puchlinę wodną... Anisja Tolstaja popiła raz nalewki i dalejże opowiadać mi sekrety... Matuchna była za młodu wesołego usposobienia, niefrasobliwa, ognista... Rozumiesz? (Natalia spojrzała w oczy Katarzynie zamglonym wzrokiem.) Czegóż o niej nie wygadywali pochlebcy i pieczeniarze Zofki... A czy można ją obwiniać? Wedle dawnego obyczaju — wszystko grzech, nawet, żeś niewiasta, i to grzech — naczynie szatańskie, wrota piekieł... A po naszymu — po nowemu — wabny Amor przyleciał i przebił strzałą... Cóż — rzucić się potem jesienną nocą do stawu z kamieniem u szyi? Czy niewiasta zawiniła? — Amor! Anisja opowiada, mieszkał podówczas w Moskwie szlachcic Musin-Pu- szkin, człek urody anielskiej, a rzec by raczej — diabelskiej, zuchwały, ognisty, koniarz, hulaka... W niedzielę zapustną na lodzie na rzece Moskwie wyzywał każdego do walki na pięści. Wszystkich pokonał... Matuchna jeździła tam w tajemnicy, zwykłą kolaską, popatrzeć na jego dzielność... Potem wzięła go sobie na dwór jako krajczego.-

656

(Natalia Aleksiejewna zwróciła piękną głowę w stronę zrujnowanego łoża, między jej brwiami zaległa zmarszczka.) Nagle wysłano go na wojewodę do Pustozierska... I już nigdy więcej go nie widziała... A ja, Katarzyno, nawet i tego nie mam.

Leniwy deszcz mżył nadal. Było parno. Poza mgłą wznosiły się niewyraźnie olbrzymie drzewa, jakieś niepodobne do izmajłowskich sosen. Wszystkie ptaki schowały się pod dach, nie ćwierkały, nie śpiewały. Tylko jedna wrona latała nisko nad siną łąką, nastroszona. Katarzyna wodziła za nią niefrasobliwym wzrokiem — miała wielką ochotę powiedzieć carównie, że wrona-złodziejka leci do ptaszarni i na pewno znowu — jak wczoraj — porwie żółciutkie kurczątko. Natalia Aleksiejewna wsparła łokcie na parapecie, głowa jej, ciężka od okręconych warkoczy, pochyliła się. Wówczas Katarzyna patrząc na jej szyję i włoski na karku pomyślała: „Czyżby nikt jeszcze tego nie całował? Och, jakie to gorzkie!” — i westchnęła ledwie dosłyszalnie.

Natalia przecie dosłyszała owo westchnienie, ruszyła porywczo ramieniem i rzekła podpierając ręką brodę:

—A teraz ty opowiedz o sobie. Jeno mów prawdę... Ilu miałaś miłośników, Katarzyno?

Katarzyna odwróciła głowę i — szeptem: Trzech miłośników...

—O Aleksandrze Daniłowiczu wiadomo nam. A przed nim? Był Szeremietiew?

BHMH

— Nie, nie! — odparła żywo Katarzyna. — Panu feldmarszałkowi zdążyłam aby ugotować zupę, słodką, estońską, na mleku, i wyprać bielizną... Ach, on mi się nie podobał! Bałam się płakać, ale powiedziałam sobie stanowczo: napalą w piecu i zaczadzieję, a żyć z nim nie bąda... Aleksander Daniłowicz zabrał mnie od niego tego samego dnia... Jego bardzo pokochałam. On jest bardzo wesoły i dużo ze mną żartował, bardzośmy się śmiali... Nie bałam się go ani trochę...

— A mojego brata boisz się?

Katarzyna podwinęła wargi, ściągnęła aksamitne brwi, by odpowiedzieć uczciwie:

— Tak... Ale wydaje mi się — niedługo przestanę się bać...

I— A kto był drugim miłośnikiem?

— Och, Nataszo, drugi nie był miłośnik, to był żołnierz rosyjski, dobry człek, kochałam go jedną tylko noc... Jakże mogłam mu czegoś odmówić, odbił mnie okropnym ludziom w lisich czapach, z krzywymi szablami... Wyciągnęli mnie z płonącego domu, darli na mnie odzież, bili nahajką, żebym nie drapała, chcieli posadzić na siodle... On rzucił się, odepchnął jednego, odepchnął drugiego, ale tak mocno! „Ach, wy, kumysopije — powiada. — Czy można tak znęcać się nad dziewczyną?!” Wziął mnie w ramiona i zaniósł do taboru... Niczym innym nie mogłam mu podziękować. Było już ciemno, leżeliśmy na słomie...

Natalia z drgającymi nozdrzami spytała ostro:

— Pod wozem?

i — Tak... Rzekł do mnie: „Jak chcesz, dziewczyno... Słodkie to bywa wtedy, jeśli dziewczyna sama uściśnie”. Dlatego uważam go „za miłośnika.

— Kto był trzeci?

Katarzyna odpowiedziała statecznie:

— Trzeci był mąż, Johann Raabe, kirasjer jego królewskiej mości Karola, z garnizonu marienburskiego. Miałam szesnaście lat, gdy pastor Gliick rzekł: „Wychowałem cię, Heleno Katarzyno, i chcę dotrzymać obietnicy, jaką dałem twej nieboszczce matce, znalazłem dla ciebie dobrego męża”.

— Matkę, ojca dobrze pamiętasz? pytała Natalia.

— Słabo... Ojciec zwał się Jan Skawrosz- czuk. Jeszcze za młodu uciekł z Litwy, z Mińska, od pana Sapielhy, do Estonii i niedaleko Marienburga dzierżawił małe gospodarstwo. Wszyscyśmy się tam porodzili: czterej bracia, dwie siostry i — ja, najmłodsza... Przyszła dżuma, rodzice i najstarszy brat zmarli. Mnie zabrał pastor Gliick był dla mnie drugim ojcem. U niego wyrosłam... Jedna siostra mieszka w Rewlu, druga — w Rydze,

a gdzie bracia teraz — nie wiem. Wszystkich wojna rozrzuciła...

— Kochałaś męża?

— Nie zdążyłam... Wesele nasze było na święty Jan. O, jakżeśmy się bawili! Pojechaliśmy na jezioro, zapaliliśmy sobótki i tańcowaliśmy w wiankach, pastor Gliick grał na

I skrzypcach. Piliśmy piwo i przypiekaliśmy małe kielbaski z kardamonem. Za tydzień feldmarszałek Szeremietiew obiegł Marienburg... Gdy Rosjanie wysadzili mur, powiedziałam do Johanna: „Uciekaj!” Rzucił się do jeziora i popłynął, więcej go nie widziałam...

— Musisz o nim zapomnieć.

— Wiele muszę zapomnieć, ale ja łatwo zapominam — rzekła Katarzyna i uśmiechnęła się trwoźnie, jej wiśniowe oczy były pełne łez.

— Katarzyno, nic przede mną nie zataiłaś?

— Czyżbym śmiała przed tobą zataić? — rzekła gorąco Katarzyna i łzy popłynęły po jej brzoskwiniowych policzkach. — Gdybym sobie przypomniła, nie spałabym w nocy, ledwie świt przybiegłabym, opowiedziałam.

— A przecież jesteś szczęśliwa. — Natalia podparła policzek i znowu ją patrzyć w okno niby ptak z klatki. Przez delikatne gar-dziółko przesunął się jakby kłębek. — Dla nas, panien-carówien, żeby nie wiem jak się radować, jedna droga — do klasztoru... Za mąż nas nie wydają, nie pojmują za żony. Albo też wściekać się bezwstydnie jak Maszka i Kaśka... Nie bez przyczyny siostra Zofia walczyła o władzę niby sroga tygrysyca.

Katarzyna właśnie nachyliła się — ucałować jej rękę z niebieskimi żyłkami, złożoną ze zmartwienia w piąstkę, gdy na łące ukazał się wysoki jeździec na chudym koniu z mokrą grzywą; płaszcz miał mokry, z kapelusza zwisały mokre pióra. Ujrzawszy Natalię Ale-

660
ksiejewnę zeskoczył z konia, porzucił go — zbliżył się do okienka, zdjął kapelusz, ugiął w trawie kolano i kapelusz przycisnął do piersi...

Natalia Aleksiejewna podniosła się szybko, jej gruby warkocz opadł na szyję, twarz stanęła w płomieniach, zadrżała cała, oczy rozbłysły, wargi rozchyliły się...

— Gawryła! — rzekła cicho. — To ty? Witaj mi, serdeńko. Wejdź do domu, cóż stoisz na deszczu...

Za Gawryłą nadjechał wózek na dwóch kołach, obok woźnicy siedział ostronosy, wystraszony człowiek, okryty workiem przed deszczem. Natychmiast zdjął kapelusz, ale nie wysiadał. Gawryła nie odrywając od Natalii Aleksiejewny ciemnych oczu zbliżył się do samego bu.

— Bądź zdrowa przez wiele lat — rzekł, jakby mu dech zapierało. — Przybyłem z poleceniem od miłościwego pana... Przywiozłem ci sprawnego malarza z nakazem wymalowania konterfektu pewnej miłej osoby... Którego potem godzi się wysłać za granicę — na naukę... Oto siedzi na wozie... Dozwól wejść wraz z nim...

VI

Jednego z czeladzi — wierzchem — Anisja Tołstaja posłała do Kremla na Sytny Dwór po wszelaką żywność do wieczery i słodczyce.

661

„ale — świec, świec jak najwięcej... Inny popędził do slobody Niemieckiej po muzykantów. Z komina kuchennego buchał gęsty dym, ostrzyżeni kuchcikówie zaszcękali nożami. Dziewki z podetkanymi podołkami biegały w mokrych krzakach wyszukując kurczęta. Rybacy dworscy, rozleniwieni nieróbstwem, poszli z wężyczkami i sieciami do stawów — łowić nie mniej leniwe karpie, wylegające się na boku w mule.

Z zarośniętych stawów po deszczu zakurzyła się mgła, osnuła duży zbątwiały most, przez który już nikt nie przechodził, popęzła między drzewami na łąkę przed pałacem, i stary pałac jął po trochu pogrążyć się w niej po same dachy.

Starzy ludzie dworscy, jeszcze z czasów cara Aleksego Michajłowicza, siedzieli przy drzwiach kuchni, przed czeladną, patrzyli, jak w zamglonym pałacu w okienkach — to tu, to tam — mignie i znika rozplywający się, blask świecy, słyhać tupot i śmiechy... Nie pozwalają staremu domowi w spokoju wietrzeć i murszeć, wystawiać bierwionowe ściany na niepogodę, mizerne dachy — na ulewne deszcze... I tu wdarła się swawolna młodość z nowymi porządkami. Biegają po schodach od strychów do piwnic... Nic tam nikt nie znajdzie — jeno pająki po kątach, a z norek myszy wytykają nosy...

W Natalię Aleksiejewnę jakby szatan się Wcielił — rano zasmucona, z przyjazdem Gawryły nabrała rumieńców, poweselała, jęła

IwHHBBS!
obmyślać różne zabawy, żeby nikt nie mógł^ posiedzieć spokojnie. Anisja Tolstaja nie wiedziała już, jak się związać. Carówna rzekła do niej:

— Dziś będzie uczta Baltazarowa, będziemy wieczerzać w przebraniu.

r— Słoneczko moje, przecie do zapustów jeszcze daleko... a zresztą ja nie wiem, nie widziałam, jak król Baltazar ucztował...

— Przeszukamy pałac, wszystko co znajdziemy najcudacniejszego, znieść do sali jadalnej... Nie złość mnie dzisiaj, nie upieraj się.

Zaskrzypiały stare schody, zajęczały po-. rdzewiałe zawiasy dawno nie otwieranych drzwi... Wszczęła się bieranina po całym pałacu — przodem Natalia Aleksiejewna z pod- kasaną suknią, za nią ze świecą Gawryła — ze strachu stanęły mu oczy w ślup. Przestrach zaczął się wtedy jeszcze, gdy z konia ujrzał w okienku posmutniałą, wspartą na piąstce twarz Natalii Aleksiejewny. Było to niby w bajce, którą w dzieciństwie opowiadała im na piecu Sańka — o królownie Niezrównanej Piękności... Królewicz Jaś skoczył na koniu wyżej drzewa stojącego, niżej obłoku płynącego, pod samo okienko, i porwał królowie Niezrównanej Piękności pierścień z białej ręki...

Andrzejowi Golikowowi kręciło się w głowie (jemu również przykazano chodzić ze wszystkimi). Od wczorajszego wieczora, gdy zobaczył portret siostry Gawryły na delfinie,

n

wszystko wydawało mu się ni to jawą, ni snom... Aż do utraty tchu konfundowały go jasnowłose, krągłolice panny Mieńczyków- ny, tak piękne i hoże, iż żadne fałdy sukien nie mogły ukryć pokus ich budowy cielesnej. A pachniało od nich jabłkami i nie sposób było nie patrzeć.

W komorach znaleziono niemało wszelakich rupieci, sukien i ubiorów, jakich nawet już nie pamiętano, szerokachnych szub z bizantyjskiego brokatu, opończy, terlików, kaftanów , perłowych diademów, każdy pudowej wagi — to wszystko dziewczki dworskie znosiły naręczami do komnaty jadalnej. Wysoko pod samym sufitem ujrano w jednej z komór niewielkie drzwiczki, Natalia wzięła świecę, wspięła się na palce, zadarła głowę.

—A co, Jeśli on tam Jest?

Anna i Marta -- Jednocześnie, z przestachem;

— Kto?

—Zły wymówiła Natalia.

Panny chwyciły się za policzki, lecz nie zbladły, jeno oczy rozwarły jak można najszerzej. Wszystkich ogarnął lęk. Stary palacz przyniósł drabinę, przystawił do ściany. Wówczas Gawryła rzucił się na drabinę — w tej chwili rzuciłby się nie wiadomo gdzie rozwarł drzwiczki i zniknął w ciemności* Czekali zda sie bardzo długo - lecz on nie odzywał się stamtąd j nie poruszał. Natalia rozkazała przerażonym szeptem: — Gawry- H| Złaż!

Wtedy ukazały się podeszwy je

takie jakby kosmate, pogłaskało mnie po

go botfortów, rozcapierzone poły kaftana, zlął cały w pajęczynie.

—Coś tam widział?

— A szarzeje coś —I jakby coś miękkiego twarzy...

Wszyscy ~~ ach,.. Wyszli śpiesznie. na palcach z komory i — już biegiem — po schodach, Marta i Anna wszczęły pisk dopiero na górze. Natalia Aleksiejewna wymyśliła zabawę w Złego. Szukali tajemnych drzwiczek, ostrożnie otwierali alkierze pod schodami, zaglądali we wszystkie kominki - ze strachu wstrzymywali oddech,, I doszukali się: w pewnym ciemnym kącie osnutym pajęczyną ujrzeli dwoje zielonych oczu, gorejących ogniem piekielnym,, Jeśli uciekać bez pamięci,, Natalia potknęła się i upadła Cawryłe na ręce, ów podtrzymał ją mocno, a ona usłyszała nawet, Jak bije Jego serce — z rzadka, głucho, po męsku,, Poruszyła ramieniem, rzekła cicho: Ł Puść,

WÓWCZAS poszli przygotowywać ucztę Bal- tazarową. Palacz staruszek — z brodą żółtą jak u Złego, z miedzianym kr żytem wy puszczonym na koszule, w nowych walonkach --*- znowu przyniósł drabinę,. Na bierwionowych ścianach komnaty jadalnej, dawno jut ogołoconych, rozwieszono kobierce stoczone przez mole. Stół wyniesiono, nakryto do wieczerzy wprost na podłodze, na kobiercu, kazano wszystkim wieczerzać siedząc po babłoAsku. Gawryła miał być królem Baltazarem. Wdzła-

no nań kaftan z brokatu, choć stary, ale piękny, purpurowy ze złotymi gryfami, na ramiona szubę sprzed stu lat, na głowę — perłowy diadem bodaj jeszcze carowej babci. Natalię Aleksiejewnę zaczęto przebierać za królową Semiramidę, w złote szaty, na ciężkich kosach spiętrzone pstre chusteczki, posłano dwórki, by wyskubały kogutom co piękniejsze pióra z ogonów, i pióra owe wetknięto jej w turban...

Rozmyślano — kim będą Marta i Anna? Natalia kazała im schować się za drzwi, rozpuścić kosy, zdjąć odzież, spódnice i pozostać w koszulach — szczęście, że koszulki były z cienkiego płótna, długie i świeże. Znowu dwórki pobiegły do stawu, przyniosły lilię wodnych, oploty nimi pannom Mieńszukow szyję, ręce, włosy. Przepasane długimi łądługami, wyobrażały rusalki z Tygrysu i Eufratu. Katarzynę łatwo było przebrać — za boginię warzyw i owoców, imię jej po ba- bilońsku — Astarte, po grecku — Flora. Dziewczęta pobiegły, narwały marchwi, pi@ truszkę, zielonej cebuli, grochu, przyniosły niedojrzałych dyń, jabłek. Katarzyna rozgrza* na, z wilgotnymi wargami, z oczyma zaokrąglonymi z uszczęśliwienia, wyzbywszy zwykłego strachu, śmiała się dźwięcznie z każdego głupstwa — iście stała się Florą - omotana grochem, koprem, w wieńcu z warzyw, dzierżąc w ręku koszyk z agrestem i czerwonymi porzeczkami...

— A kim będzie malarz? — spostrzegła stf

Natalia. — Nie mamy Etiopa, niech będzie królem etiopskim.

Dla Andrzeja Golikowa zaczęły się nowe dziwa: ręce niewieście ni to we śnie, ni na jawie jęły go tarmosić, obracać, omotywać w jedwabie i brokaty, twarz wysmarowały sadzami, nozdrza ścisnęły miedzianym kółkiem, aby koniecznie siedział z kółkiem w nosie... Zda się, gdyby Pan dał mu skrzydła anielskie — nie byłby tak szczęśliwy... Weszli, pokłonili się nisko trzej muzykanci ze slobody Niemieckiej: skrzypek, flecista i trzeci z organkami. Ich również przebrano po jakimś.

— Teraz wieczera! Siedzieć na poduszkach z podwiniętymi nogami, pić z muszli miód i wino...

Jak należało bawić się w ucztę Baltazara, nikt właściwie nie wiedział. Siedzieli przy nakryciach, przed świecami, spoglądali po sobie, jeść nikomu się nie chciało... Wówczas Natalia Aleksiejewna potrząsnęła kogucimi piórami i wydymając wargi jęła recytować z pamięci te same wiersze, które Gawryła słyszał już od niej w zimową noc, w gorąco ogrzonym terenie, pod złotym sklepieniem...

Na górze wielce wysokiej żyją szczęśni bogowie nad nami; Wszela ko 1 w nich Kupido godzi ostrymi strzałami... Sam Jupiter Jęczy: „O biada, cierpienia doznają wielkiego, Spokoju się zbyłem — i znikąd leku nie widzę żadnego. Zar trzewia trawi, pragnienia ugasić nie masz możności! Ach, daremnie Ja, biedny, stawam przeciw miłości...”

Gdy Natalia recytowała, twarz jej pobladła pod ogromnym turbanem. Wypiła łyk wina i zatańczyła polkę z Anisją i Tolstoj. Muzykanci grali niezbyt głośno, ale tak, iż każda żyłka w ciele drgała i śpiewała.

— Ruszaj z Katarzyną — krzyknęła Natalia, błysnęła oczyma na Gawryłę. On zerwał się, zrzucił z ramion Baltazarową szubę — tańcować mógł choćby calutką dobę. Plecy Katarzyny były gorące, ona sama — uległa pod ręką, nogi — lekkie, z wirującej głowy i ramion spadały strączki grochu, jagody wiśni. Gawryła dodawał tempa i muzykanci dodawali. Anna i Marta również jeły wirować biorąc się za ręce. Na kobiercu przed świecami siedział jeno Golikow, pić i jeść nie mógł z powodu kółka w nosie, ale i ta okoliczność nie wadziła jego szczęśliwości, w uszach wśród pogwizdywania fletu wciąż jeszcze dźwięczały wiersze carówny o bogach olimpijskich... I płynęła, płynęła przed oczyma naga boginka na delfinie, z czarą pełną pokusy...

Gawryła był prostaczek, powiedziano mu — tańczuj polkę z Katarzyną, no i tańczył nie szcędząc obcasów. A choć kilka już razy zdało mu się, że twarz Natalii Aleksiejewny Biada, skoroć i bogów nic przed Kupidem nie broni, U kogóż tedyby ludziom szukać lichej przed nim osłony? Nie lepiej to się weselić! Smutku się zbawim, Słodkim winem zatrute strzały rozśląwim...* uśmiechała się jakoś inaczej, niewesoło, bez dawnego blasku w oczach — nie rozumiał, że dawno już czas posadzić Katarzynę na miejsce przy dyniach i marchwi... Raz jeszcze mignęła twarz carówny z zębami zaciśniętymi, niby z bólu. Nagle zachwiała się, stanęła wsparta na Anisji, z głowy stoczył się turban z kogucimi piórami... Anisja krzyknęła przerażona:

— Miłościwej pani w główce się zakręciło! — jęła machać na muzykantów, by przestali grać...

Natalia Aleksiejewna wydarła się jej, powłócząc płaszczem wyszła z komnaty. Na tym skończyła się Baltazarowa uczta. Marcie i Annie od razu zrobiło się wstyd w samych jeno koszulach, poszeptaly i uciekły za drzwi. Katarzyna usiadła na miejscu wystraszona i jęła zbierać z siebie warzywa. Gawryła spochnął, rozkraczywszy nogi stał nad kobiercem z półmiskami, zasepiony, mrugał na ogniki świec, Anisja wybiegła za carówną i prędko wróciła, złapała Gawryłę paznokciami za rękę. — Idź do niej — szepnęła — wal łbem o podłogę, durniu...

Natalia Aleksiejewna stała tuż, w sieni — jeno wyjść z komnaty — wyglądała przez otwarte okienko na mgłę rozświetloną niewidocznym księżycem. Gawryła zbliżył się. Było słyhać, jak z dachu krople spadają na liście.

— Na długoś przyjechał do Moskwy? — spytała nie odwracając się. Nie zdobył się

na odpowiedź, za tchnął się. — W Moskwie nic nie masz do roboty. Jutro Jedź, skądś przybył.. — rzekła i ramiona Jej uniosły się. Gawryła odpowiedział: - Czym ja cię rozgniewałem? Och, Boże, gdybyś wiedziała.., Gdybyś wiedziała!

Wtedy obróciła się i przysunęła blisko twarz z brwiami ucziemionyrnj sadzą.

Nie potrzebuję ciebie, słyszysz, idź, idź! Powtarzając: — Idź, idź...- podniosła rękę*, odpychając go, ale chyba zrozumiała, że ta* kiego dryblasa nie odepchnie — położyła ręce, dźwięczące bransoletami Serniramidy, na jego ramionach i nisko, coraz niżej Jęła chylić głowę. Gawryła również nic rozumiejąc, co robi, jął ledwie dotykalnie całować ją w ciepły przedział między włosami. Powtarzała;

Nie, nie, idź, idź!,,

11 i

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Piotr Aieksiejewicz zrzucił kor U; płócien- ną, zakasał rękawy koszuli, pąsowy Chwtką, wyhaftowaną po brzegach w liście du — podarunek z Izm/jjłowa — przewiązał na głowie wzorem portugalskich piratów, jak go nauczył pewnego razu kontr- admirał Pamburg, Dawnymi laty rozzulby fł< jeszcze, żeby czuć pod stopami ciepło azorskiego pokładu. Lekki wlatr wypełniał żagie, dwurnaszłowa szkuta „Katarzyna" ślizgała się jak w powietrzu, posłusznie i ulegle. Kilwaterern płynęła za nią brygantyna „liryka", a na granicy wody i niebu w mgielce — fregata „Wachmistrz" podniosła wtzyst- kle żagle.

Okryty te niedawno zostały zdobyte na Szwedach wiktoria zdarzyła »ie nieoczekiwana i wielce chwalebna: Rosjanom wpadło w ręce dwanaście hrygantyn i fregat — cała korsarska eskadra komandora Lescherta, który przez dwa fata nie przepuszczał do Jeziora Czudzklego najmniejszego stateczku, rabował nadbrzeżne wio»kl i folwarki i zagrażał z tyłu Szeremietiewowi, oblegającemu Juriew, Ko-
Hwi&ll

isam

mandor był dzielnym marynarzem. A przecie Rosjanie podeszli go. W ciemną noc, podczas burzy, czy to obawiając się sztormu, czy też z innego jakiegoś powodu, wprowadził eskadrę w ujście rzeki Embach i beztrąsco spił się na umór na pokładzie flagmańskiego jachtu „Carolus”. Gdy o świtanu przetarł oczy — setki łódek, tratw i powiązanych ze sobą beczek płynęło śpiesznie od brzegów ku jego okrętom... — Ognia z obydwóch burt do rosyjskiej piechoty! — krzyknął komandor. Szwedzi nie zdążyli podsypać prochu do zapalników, nie zdołali odrąbać lin kotwicznych — Rosjanie oblepili okręty dokoła, z łódek, tratw i beczek rzucali granaty, strzelali z pistoletów, szli na abordaż... Srom wynikł z tego niemały. Ig piechota wzięła do niewoli eskadrę! Komandor Leschert z wściekłości wskoczył do komory z prochami i wysadził jacht — płomienie buchnęły ze wszystkich szczelin i luków — maszty, reje, beczki, ludzie i sam komandor z arcystrasznym grzmotem i kłębami dymu wylecieli nieomal pod same chmury-
Słońce piekło w grzbiet, wietrzyk pieścił twarz, za burzą spadzista fala oślepiła błyskami. Piotr Aleksiejewicz mrużył oczy. Dla ochłody szeroko rozstawił nogi stojąc przy rudlu. Poświstywało, pośpiewywało w takie- lunku, mowy za rufą wrzeszczały ochryple nad śladem okrętu. Żagle niby białe piersi były pełne siły. Piotr-Aleksiejewicz płynął ku Narwie z wiktoria, wioził szwedzkie sztandary zwałone pod grot-masztem — trzy dni temu wzięto szturmem Juriew. Królowi Karolowi jeszcze jedno pióro wydarto z ogona. Do cesarza, króla angielskiego i króla francuskiego wysłano pisma, jako że „za Bożą pomocą odzyskaliśmy dawną naszą dziedzinę — gródek Juriew, pobudowany przed laty siedmiuset przez wielkiego księcia Jarosława Władimirowicza dla obrony kresów ziemi rosyjskiej...”

Choć tam Piotrowi Aleksiejewiczowi nigdy nie przychodziło do głowy, jak na przykład ' drogiemu bratu Karolowi, równać się z Aleksandrem Macedońskim — wojnę uważał za sprawę ciężką i trudną, powszedni krwawy znój, konieczność państwową — ale pod Juriewem uwierzył w swój talent wojskowy; był z siebie wielce rad i dumny: w ciągu dni dziesięciu (przybywszy tu spod Narwy) zrobił to, co feldmarszałkowi Szeremietiewowi i jego cudzoziemskim inżynierom, uczniom przesławnego marszałka Vaubana, wydawało się zadną miarą niemożliwe.

I to jeszcze miał zadowolenie — spoglądając na daleki lesisty brzeg wiedział, że brzeg do niedawna szwedzki obecnie jest nasz i Jezioro Czudzkie znowu w całości nasze. Ale człek już taki jest — zdobył wiele, chce mu się więcej; zda się, iż nie może być nic przyjemniejszego: w taki jasny poranek płynąć na pięknym dwuipasztowcu z ogromną flagą św. Andrzeja na rufie, na złość Karolowi. Ach, nie! Dziś właśnie zamarzył aż do gorącego dreszczu — o swojej najmiłszej... Inaczej nie

sposób jej nazwać—iilie mamzela, nie dziewczka— zadra serdeczna, słoneczko, Katarzyna... Poruszając łopatkami pod koszulą, wciągał w nozdrza wilgotne powietrze... Od wody i drzewa okrętowego zalatywało łaźnią, roilo się, że oto Katarzyna kąpie się przy takim upalnym dniu... Czyżby chusteczkę z liśćmi wtnogradu naszeptala, napachniła kobiecością — wiatr zza pleców odwiewa końce chusteczki, coraz łaskoczą nos i wargi... Wiedziala, co robi, czarownicza inflancka, kędzierzawa, wesola... W Juriewie, mieszczeni, / na poły martwe z przestachu, były i jak jeszcze, powabne... a przeciez ani jednej nie można równać z Katarzyną, na żadnej nie kołysz się tak zawadiacko pasiasta spódnica na krzepkich bokach... Ani jednej nie zapragnał ująć za policzki, spojrzeć przez oczy' aż do głębi, przywrzeć zębami do zębów.

Piotr Aleksiejewicz tupnął niecierpliwie o pokład obcasem trzewika z tępym noskiem. Natychmiast w messie ktoś porwał się, pewnie ze snu, trzasnął drzwiami. Aleksy Wasiliewicz Makarów biegł po trapie...

— Jestem, miłościwy panie...

Piotr Aleksiejewicz, usiłując nie patrzeć na jego chudą, pergaminową twarz z zaczerwienionymi powiekami, taką nie na miejscu tutaj na pokładzie, rozkazał przez zęby:

— Coś do pisania...

Makarów z pośpiechem odchodząc potknął się na trapie — Piotr Aleksiejewicz prychnął za nim jak kot. Wrócił żywo z zydelkiem, pa

pierem, kałamarzem, za uchem sterczały gęsie pióra. Piotr Aleksiejewicz wziął jedno.

— Stań przy rudlu, wczep się mocniej, łą- dowcze, tak trzymaj. Zamoczysz mi żagle, już ja cię linką uszlachcę...

Mrugnął do Makar owa, usiadł na rozkładanym zydelku, położył na kolanie kartkę papieru, przekrzywiwszy szyję spojrział na gałkę — jabłko u wierchołka grot-masztu, gdzie trzepotał długi proporzec, i jął pisać.

Na jednej stronie kartki nakreślił: „Paniom Anisji Tolstoj i Katarzynie Wasiliefskiej...” Na odwrocie rozpryskując atrament i przepuszczając litery: „Ciotko i matko, bądźcie zdrowe przez długie lata... Życzę dowiedzieć się o wasze zdrowie... My żyjemy w znojach i niedostatku... Nie ma kto oprac i obszyć, a nade wszystko przykrzy się bez was... Dopiero trzy dni temu odtańcowaliśmy ze Szwedami niezgorszy taniec, od którego królowi Karolusowi zrobi się ciemno w oczach... Dalibóg, od czasu jak zacząłem służbę — nie widziałem jeszcze tak wspaniałej zabawy... Krótko mówiąc — z Bożą pomocą zdobyliśmy Juriew szpadą... Co się tyczy waszego zdrowia, to Boże ucho waj odpisywać mi, a same raczcie być u mnie jak najprędzej. Żeby mi było weselej. Jedźcie do Pskowa — tam czekajcie na rozkaz — dokąd jechać dalej, tu nieprzyjacieli blisko... Piter...”

— Złóż, zapieczętuż nie czytając — rzekł do Makarowa i wziął od niego rudel. — Wyślesz pierwszą okazją.

Zrobiło mu się jakby nieco lżej. Dźwięcznie dwukrotnie odezwał się dzwon okrętowy. Natychmiast na baku zagrzmiało działo, zatrzepotały żagle, przyjemnie zaleciał prochowy dymek. Na mostek wbiegł komendant dwumasztowca, kapitan Nieplujew, z młodym, kościstym, zuchwałym obliczem, podtrzymując krótką szablę — podrzucił dwa palce do trójgraniastego kapelusza.

— Panie bombardierze, godzina admirałska, proszę przyjąć czarkę...

Za Nieplujewem zjawił się niziutki Felten w zielonej dzianej kamizeli, z rozplywającym się, błyszczącym obliczem. Na pokładzie miał czapkę kucharskiej owiżywał głowę również po piracku — białą chustą. Na cynowej tacy podał srebrną czarkę i obarzanek z makiem.

Piotr Aleksiejewicz zważył czarkę w rękę, po marynarSKU, solennie wychylił tęgą wódkę z zapachem siwuchy i śpiesznie wrzucając do ust kawałki obarzanek i żując rzekł do Nieplujewa:

— Na noc zarzucimy kotwicę przy Narowie, będę nocował na brzegu... Mierzyłeś dno?

■— U dopływu Narowy z prawego brzegu piaszczysta mielizna, z lewego — jedenaście stóp...

— No, dobrze... Odejdź!...

Piotr Aleksiejewicz znowu pozostał sam na gorącym pokładzie przy sterze. Wypita czarka rozniosła po ciele wesołość, jał rozpamiętywać, to posapując, to uśmiechając się. sławną potrzebę sprzed trzech dni, od której

676

królowi Karolowi powinno ze złości pociemnieć w oczach.

II

Feldmarszałek Szeremietiew prowadził oblężenie Juriewa z flegmą — nie utrudzał szczególnie ani siebie, ani wojska, mając nadzieję wziąć Szwedów głodem. Jego wielo- mówne listy Piotr Aleksiejewicz miał i rzucał pod stół. Diabli przenicowali feldmarszałka — przez dwa lata wojował śmiało i okrutnie, teraz niby stara baba lamentuje pod murami szwedzkimi. Gdy do obozu narwskiego przybył nareszcie feldmarszałek Ogilwy, z nalegania Patkula przyjęty z Wiednia na służbę moskiewską za nie byle jaki żołd: oprócz wikt, wszelkiego napitku i innych dostatków, trzy tysiące dukatów rocznie — Piotr Aleksiejewicz zdał mu komendę i niecierpliwie rzucił się pod Juriew.

Feldmarszałek nie spodziewał się go — w skwarze południa chrapał po obiedzie u siebie w namiocie, w taborze poza wysokim wałem — i obudził się, gdy car zerwał mu z twarzy chusteczkę od much.

— Śpisz sbbie spokojnie za kozłami! — krzyknął przewracając szalonymi oczyma. — Chodź, pokaż mi prace oblężnicze!

Z wielkiego przestrachu odjęło feldmarszałkowi mowę, nie pamiętał, jak trafił nogami w spodnie, na podorędziu nie było ani peruki, ani szpady, więc tak — z gołą głową —

677

Hi

wgramolił się na konia. Podbiegł inżynier wojskowy Cobert, również z rozspania zapinający francuski kaftan nie na te guziki, co trzeba: przez czas oblężenia zdziałał tyle, że wypasł sobie gębę — szersza niż dłuższa — na rosyjskim barszczu. Piotr skinął mu z konia nienawistnie. Pojechali we trzech na pozycje.

Tu wszystko nie podobało się Piotrowi Aleksiejewiczowi... Od strony wschodniej, gdzie wojsko Szeremietiewa prowadziło oblężenie, mury były wysokie, przysadziste baszty — umocnione na nowo, raweliny gwiazdą wysuwały się daleko w pole, a fosy przed nimi były pełne wody. Od zachodu rzeka Embach, obfita w wody, dawała miastu niezawodną obronę, od południa — mszyste bagno. Szeremietiew podsunął się pod mury miasta głębokimi szańcami i aproszami — nader ostrożnie i nie za blisko z obawy przed działami szwedzkimi. Baterie swoje ustawił w sposób jeszcze głębszy — wyrzucił z nich na miasto ze dwa tysiące bomb, zapalił poniekąd domki, lecz murów ani drasnął.

— Czy panu wiadomo, panie feldmarszałku, ile grosza mnie kosztuje każda bomba? — przemówił ponuro Piotr Aleksiejewicz. — Sprowadzamy je z Uralu. A nie chciałbyś zapłacić ze swego żołdu za te dwa tysiące daremnych bomb?! — wyrwał mu spod pachy perspektywę i wodził nią oglądając mury. — Południowy mur — stary i niski. Tak właśnie] myślałem... I spojrzął szybko na inżyniera Coberta. — Tu trza rzucać bomby, tu wyłamywać mury i bramy. Stąd należy brać miasto. Nie od wschodu. Nie szukać wygody je-| no dlatego, że tam suche miejsce... Zwycięstwa szukać choćby po szyję w błocie...

Szeremietiew nie ośmielił się oponować, jeno wymamrotał tłustym językiem: — Samo przez się... Rozumiecie to lepiej, panie bombardierze... A myśmy myśleli, ale nie domyśleli... — Inżynier Cobert z uszanowaniem, przy ubolewającym uśmiešku, potrząsał policzkami.

— Najjaśniejszy panie, mur południowy jak również brama basztowa zwana Bramą Rosyjską są stare, niemniej jednak niedostępne, gdyż można do nich zbliżyć się jedynie przez bagno... Bagno nie do przebycia.

— Dla kogo bagno jest nie do przebycia? — krzyknął Piotr Aleksiejewicz, szarpnął długą szyją, wierzgnął nogą, zgubił strzemię. — Dla żołnierza rosyjskiego wszystko jest do przebycia... Nie w szachy gramy — na śmierć i życie...

Zeskoczył z konia, rozwinął na trawie mapę — plan miasta, wyciągnął z kieszeni futerał, z niego cyrkiel, linijkę, ołówek. Jął mierzyć i obliczać. Feldmarszałek i Cobert przykucnęli obok niego.

— Oto gdzie stawiaj wszystkie swoje baterie! — wskazał na skraj bagniska przed Bramą Rosyjską. — A za rzeką dodaj dział oblężniczych... — Jął zręcznie kreślić linie, jak winny lecieć pociski z baterii ku Bramie

Rosyjskiej. Znowu odmierzył cyrklem. Szeremietiew wymamrotał: — Samo przez się... dystanse dostępne. — Cobert uśmiechał się delikatnie. „jj” Na zmianę pozycji dają trzy dni... Siódmego zaczynam ognistą zabawę. — Piotr umieścił cyrkiel i linijkę w futerał i zaczął wpychać go do kieszeni kaftana, ale tam była pąsowa chustka z wyszytymi na brzegach liśćmi winogrodu — porwał chustkę i z gniewem wetknął ją w zanadrze.

Przez trzy doby nie dozwalał ludziom ani na odpoczynek, ani na sen. Za dnia całe woj^{sko} na oczach Szwedów kontynuowało poprzednie prace oblężnicze — kopano szanice wśród kul i pocisków, zbijano drabiny. W nocy tajemnie, nie zapalając ognia, zaprzęgano woły do dział i moździerzy przewożąc je na nowe miejsca — na skraj bagna i przez most pontonowy — za rzekę, ukrywając baterie za faszyną i wałami.

Ledwie słońce ukazało się nad lasem, rozświetliło mizerne dachy na południowym murze, nad mgłą bagniska wystąpiły kamienne blanki na baszcie Bramy Rosyjskiej, a w mieście w ciszy porannej zaniebieszczyły się dymy z pieców, sześćdziesiąt dział oblężniczych i moździerzy wstrząsnęło ziemią i niebem, dwupudowe pociski, bomby zapalające z sykiem przeleciały ponad bagniskiem. Zagrzały baterie za rzeką. Pod osłoną dymu prochowego grenadierzy pułku Iwana Żydo- ka pobiegli z wiązkami chrustu gacić bagno.

Piotr Aleksiejewicz przebywał przy baterii południowej. Krzyżeć, pouczać, złościć się i nie potrzebował — ledwie nadążył kręcić głową, spoglądając na artylerzystów i dogadując: — Aj lu-lu, aj lu-lu!... — Zanim człek zdążył odmówić „ojczenasz” — lufy już przeczyszczono wyciorami, ładunki prochu włożone, pociski wbite, zapalaki pod- sypane, celownik nastawiony... Jjfp Wszystkie baterie! — krzyczał wytrzeszczając oczy nalane krwią niziutki pułkownik Nieczajew, któremu przy pierwszej salwie zerwało kapelusze i perukę. — Dystans dawny. Przyłóż lont... O-o-o-ognia! — Komendanci baterii powtarzali za nim potoczyście: — O-o-o-ognia!

Widać było, jak uderzały pociski, blanki baszt waliły się, zadymił, zapłonął dach na murze, podpalone bombami domki miejskie zaczęły gorzeć. W spiczastych kirchach zajęczały dzwony. Żołnierze szwedzcy w kucych szarych mundurach wybiegli z bramy, uskakując przed wybuchami jęli kopać korytę, dźwigali drwa, belki, worki... Przecie do końca dnia baszta frontowa i mur trzymały się mocno. Piotr Aleksiejewicz rozkazał przesunąć baterie niżej.

Szósty dzień trwała zabawa ognista. Grenadierzy Iwana Żydoka po kolana, po pas w bagnie gacili trzęsawisko, zasłaniając się przed bombami i kulami nieprzyjaciela przenoszoną faszyną — koszami z ziemią. Zabici tonęli na miejscu, rannych wynoszono na ramionach. Szwedzi zrozumieli groźne niebez

pieczeństwo, sprowadzili tu część dział z innych baszt i z każdym dniem wzmacniali ogień. Dym osnuł miasto. Czerwone słońce kłuło poprzez lotne obłoki prochu.

Piotr Aleksiejewicz nie opuszczał baterii, był czarny od prochu, nie mył się, jadł na stojąco co popadło, sam rozdzielał wódkę między kanonierów. Kładł się spać na godzinkę wśród grzmotu dział, w pobliżu, pod jaszczem. Inżyniera Coberta odesłał do tyłowego taboru za to, że choć chłop uczony, lecz nadto flegmatyczny — a „flegmatyków tutaj nie potrzebujemy”.

O zmroku, w nocy na trzynastego lipca, wezwał Szeremietiewa. W owe dni feldmarszałek z całym wojskiem czynił wrzawę od strony wschodniej, jak mógł — straszył Szwedów. Znowu stał się rzeński, nie zsiadał z konia, bił, wymyślał. Piotra Aleksiejewicza zastał przy zamilkłej baterii. Dokoła niego stali wąsaci bombardierzy — wszystko starzy znajomi — z tych, co w czasie gier wojennych pod miastem Preszburgiem traktowali nie na żarty kawalerię księcia-cesarza rzepą i glinianymi pociskami z drewnianych armat. Niektórzy mieli głowy poowiązywane szmatami, mundury porwane.

Piotr Aleksiejewicz siedział na ławeczce największego dział „Salamandra” — miedzianego, odlanego w Tule — musiano zlać je dla ostudzenia dwudziestu wiadrami octu, a wciąż jeszcze syczało. Żuł chleb i — śpiesznie wy

mawiając słowa — roztrząsał dzisiejsze pra-* ce. Południowa strona muru została wreszcie w trzech miejscach rozbita, luk tych nieprzyjacielowi nie uda się załatać. Bombardier Ignat Kuroczkin wsadził pod rząd kilka rozżarzonych pocisków w lewy narożnik baszty nad bramą... — Jakby gwoździe wbijał! Czy nie tak? Co? — wołał Piotr Aleksiejewicz po koguciemu. Cały narożnik baszty runął, a sama baszta zawali się — jeno patrzeć.

— Ignat, gdzie jesteś, nie widzę, chodź no bliżej! — I podał bombardierowi fajkę z pogryzionym cybuchem. — Nie daruję ci jej, nie mam przy sobie drugiej, popał... Chwali ci się... Przeżyjemy — nie zapomnę.

Ignat Kuroczkin, stateczny człek ze wspaniałymi wąsami, zdjął trójgraniasty kapelusz, ostrożnie wziął fajkę, pogrzebał w niej paznokciem — cały w filuternych zmarszczkach.

—A tytoniku w niej nietęgo, miłościwy panie...

Inni bombardierzy roześmieli się. Piotr Aleksiejewicz wyjął kapciuch, w nim — tytoniu ani kruszyny. Akurat w tej chwili nadszedł feldmarszałek. Piotr Aleksiejewicz — ucieszony:

— Borysie Pietrowiczu, masz tara co do palenia? W naszej baterii — ani wódki, ani tytoniu...

(Bombardierzy znowu się roześmieli.) Bądź łaskaw... (Szeremietiew z ukłonem pełnym szacunku wyciągnął ku niemu wyszyty paciorkami ładny kapciuch.) Ach, dziękuję

ję... Ale daj kapciuch bombardierowi Kurocz- kinowi... Daruję ci go, Ignat, a fajeczkę oddaj mi, nie zapomnij...
| Odprawił bombardierów i przez jakiś czas żuł z chrzęstem suchar. Feldmarszałek wparłszy w bok buławę stał przed nim w milczeniu.

— Borysie Pietrowiczu, dłużej czekać nie można — przemówił Piotr Aleksiejewicz zmienionym głosem. — Ludzie zgniewani... Który to już dzień grenadierzy leżą w bagnie... Trudno 1 Zapalę beczki ze smołą, będę strzelał przez całą noc... Ty nie zwlekając przyślij mi na pomoc batalion strzelców moskiewskich z pułku Samochwałowa — chłopcy ponure, odważne... Sam rób swoje, jeno, na Boga, nie trać ludzi na próżno... O świtanu ruszam do szturm... (Szeremietiew opuścił rękę z buławą i przeżegnał się.) Ruszaj, ko- chasiu!

Gdy na skraju bagniska i za rzeką zapłonęły beczki ze smołą, ze wszystkich baterii wszczął się tak gwałtowny ogień, jakiego Szwedzi jeszcze nie słyszeli. Brama runęła. Z kortyny, częstokółów i kozłów poleciały drzazgi. Szwedzi spodziewali się ataku tej nocy — poprzez wyłomy w murze w migotliwej łunie ognia smoły widać było rozkołysaną szczcę bajonetów, hełmy, sztandary... W całym mieście dzwony były na trwogę...

Piotr Aleksiejewicz zgiąwszy kolana patrzył przez perspektywę z rowu za faszyną. Stał przy nim młody pułkownik Iwan Ży- dok — cyganowaty orłowanin — jego czar

ne oczy sucho błyszczały, wargi drgały gniewem, zgrzytał, nie wiedząc o tym, zębami. Noc była krótka, za lasem już pozieleniał wschód, gwiazdy poginęły. Nie można było zwlekać dłużej. Ale Piotr Aleksiejewicz ciągle jeszcze zwlekał. Nagle Iwan Żydok żałośnie, z głębi wąpłów, wy dobył: — O-o- -och! — i wstrząsnął opuszczoną głową. Piotr Aleksiejewicz porwał go za ramię:

— Ruszaj!

Iwan Żydok przeskoczył przez faszynę i schylony pobiegł przez bagno. Natychmiast zasyczała, pękła, prysnęła zielonymi ogniami rakietą, druga, trzecia. Działa zamilkły. Uszy przygniotła cisza. Wśród czerwono- czarnych kępek mokradła jęli podnosić się ludzie, grzęznąc w szlamie, ciężko poszli ku wyłomowi. Całe bagnisko poruszyło się, zaroiło żołnierstwem. Od brzegu szły im na pomoc z nastawionymi bajonetami rotę moskiewskich strzelców... Piotr Aleksiejewicz opuścił perspektywę, wciągnął powietrze przez ^ęby, zmarszczył się: — Och — powiedział — och! — Spoza rozwalonej kortyny z bliska do nacierających grenadierów Iwana Żydoka rzygnęło ogniem pięć ocalałych dział. Stracąc głos, jedyny na bagnie, krzyknął: — Hura! — Z wyłomów muru wyskakiwali Szwedzi, niby w niesamowitej radości biegli na spotkanie Rosjan. Rozpoczął się bój, powstał krzyk, ryk, zgrzyt. U murów i bramy szepiło się około czterech tysięcy ludzi...

Piotr Aleksiejewicz wylazł z rowu, po-

szedł — kłaskały po mchu ciężkie botforty i ciągle macał koło siebie, czy to w poszukiwaniu upuszczonej perspektywy, czy też broni... Dogoził go niziutki pułkownik Nieczajew.

— Miłościwy panie, tam nie można... I obaj poczęli tam patrzeć.

Piotr Aleksiejewicz — do niego: li Wyślij po posiłki...

— Miłościwy panie, nie trzeba...

— Poślij, mówię...

— Nie trzeba... Nasi już odbijają im działa...

— Łżesz...

— Widzę...

I rzeczywiście — jedno, drugie działo zionęło ogniem w stronę bramy... Olbrzymi tłum walczących zakolysał się i lunął przez wyłomy do miasta...

Nieczajew — płacząc wytrzeszczonymi oczyma:

— Miłościwy panie, teraz rozpoczął się taniec I

Grenadierzy i strzelcy moskiewscy, wściekli, że było tu tak ciężko i że tylu ich niepotrzebnie wybił Szwed — kłuli, rąbali i pędzili nieprzyjaciela wąskimi uliczkami aż do rynku. Tam w gorączce ubili czterech doboszów, wysłanych przez komendanta miasta — ■ werbel na chamade — na poddanie się. I dopiero trębacz z zamkowej baszty, rozrywając płuca ochrypłym rykiem trąby błagającej o łaskę, z trudem i nie od razu powstrzymał rzeź...

„Katarzyna” ze zwiniętymi żaglami, z marynarzami zawieszonymi na rejach, ślizgała się przez pewien czas wzdłuż brzegu w zielonym cieniu lasu. Po wystrzale armatnim zgrzytnął łańcuch kotwicy. Natychmiast podpłynęła szalupa. Stał w niej Mieńczykow w długim płaszczu, z wysokimi piórami na kapeluszu. Na same jeno wyłogi dla strojni- sia wyszło chyba z dziesięć łokci wiśniowego sukna angielskiego. Piotr Aleksiejewicz spoglądał na niego z góry, oparty łokciami o nadburcie. Aleksander Daniłowicz przygiął rękę, niby nosidło, do prawego ucha, zdjął kapelusz i trzykrotnie machnąwszy nim w bok krzyknął:

— Wiwat! Wiwat na wielkie pana bombardiera zwycięstwo!...

— Poczekaj, zaraz do ciebie zejść — odpowiedział Piotr Aleksiejewicz z cicha basem. — Au was co nowego?

— I u nas nie bez wiktorii...

— To pięknie... A czy przygotowałeś dla mnie, o com prosił w liście? Myśmy tam nie mieli lada jakiego podpiwka...

— Dostaliśmy wczoraj trzy beczułki reńskiego! — wrzasnął Mieńczykow. — W naszym obozie nie to, co u Szeremietiewa — nie ma ani zwłoki, ani odmowy...

— Pusz się, pusz. — Piotr Aleksiejewicz wezwał kapitana Nieplujewa i rozkazał nazajutrz, skoro jeno na okrętach zostaną pod-

niesione flagi, przy salwach armatnich z obydwóch burt dać sygnał: „Zdobyte męstwem”, i bijąc w bębny, wynosić na brzeg do wojska szwedzkie sztandary. Rozkaz taki dla młodego kapitana był zaszczytem, Nieplujew poczerwieniał. Piotr Aleksiejewicz, konfundując go upartym spojrzeniem, rzekł jeszcze:

— Pięknie się żeglowało, komandorze.

Nieplujew spurpurowiał, aż pot mu wystąpił, jego kłujące oczy zwilgotniały z natężenia: car mianował go komandorem — flag- manem eskadry. Piotr Aleksiejewicz nic więcej nie dodał; wyciągając długie nogi i drapiąc trzewikami nasmołowany pokład, jął złażyć do szalupy. Siadł obok Mieńszykowa, trącił go łokciem.

— Rad jestem z powitania... A więc i u was wiktoria: rozbiliście Schlippenbacha?

— I jak jeszcze, min herc... Anikita Riepnin dopadł go wozami koło Wenden, a pułkownik Ren z kawalerią, jakim wtedy doradził, przeciął mu drogę do miasta... Szwed — rad nierad — musiał przyjąć bitwę w otwartym polu... Rozbiliśmy Schlippenbacha tak, iż ów heros ledwie uszedł do Rewia z dziesiątkiem kirasjerów...

— A przecie i tym razem uszedł... A, diabli!

— Nader zmyślny... Głupstwo. Pozostał teraz bez dział, bez sztandarów, bez wojska... Anikita Riepnin na pół po pijanemu płakał potem: „Nie tyle mi szkoda, że nie złapał Schlippenbacha, ile mi żal, że jego konia nie złapał: ptak, nie koń!” Zganiłem mu takie

słowa: „Anikito Iwanowiczu, nie jesteś — powiadam — Tatarzyn krymski, byś konie chwycił na arkan, tyś generał rosyjski, winie- neś mieć państwowy pomysłuńek...” Strach, jakeśmy się wadzili... A jeszcze nowość: z Warszawy przybył goniec — król August śle do ciebie wielkiego posła... Dobrze by przyjąć owego posła już w samej Narwie, w zamku... He? Min herc?

Piotr Aleksiejewicz słuchał jego paplaniny, mrużył oczy na zieloną wodę, gryzł paznokcie.

— Z Moskwy były wiadomości?

— Znowu dla ciebie uprzykrzenie: był posłaniec od księcia-cesarza — pism, listów całe pudło przydygował... Był też Gawryła Browkin w przejeździe do Piterburga, przywiózł dla ciebie list z Izmajłowa. — Piotr Aleksiejewicz spojrział szybko. — Mam go przy sobie, min herc, a jeszcze — cztery arbuzy inspektowe, wiózł je zawinięte w kozuch barani, spróbujemy przy wieczery... Powiadał. — oczekują ciebie w Izmajłowie, ach, jak czekają, oczy wyplakano...

—• No, to już łzesz — łódka podeszła bokiem do piasku. Piotr Aleksiejewicz wyskoczył na brzeg, gdzie nad Wodą stał namiot Mieńszykowa.

Zasiedli do wieczery w namiocie — we dwóch. Piotr Aleksiejewicz, garbiąc się na kulbace, jadł wiele —■- wygłodniał na Szere- mietiewowym wikcie. Mieńszykow dziobał z mis grymaśnie — więcej pił, przyciskając

dłoń do szerokiej szarfy mocno związanej na brzuchu — szarmancki, rumiany, z filuternymi ognikami świec w przymilnych niebieskich oczach. Z ostrożną, by nie dostrzec najmniejszego niezadowolenia na zmizerowanym spokojnym obliczu Piotra Aleksiejewicza, opowiadał o nowym feldmarszałku Ogilwy.

— Mąż uczony, ani słowa. Przywiózł z Wiednia ksiąg w cielących oprawach cały wóz, złożono je u niego w namiocie. Z miejsca oświadczył nam, tak jakoś z wysoka, że nic naszego jeść nie będzie... Po zbudzeniu się żąda zamiast czarki i przekąski — czekolady, kawy i białego chleba pszennego, a na obiad świeżej ryby — lecz nie każdej: potrzebuje właśnie miętusa,* i dziczyzny, i cielęciny. Zafrasowaliśmy się, cóż — feldmarszałek rozkazał — mus dostarczyć... Wysłałem do Rewia pewnego Czuchonca-szpiega po kawę i czekoladę, dałem ze swoich pięć czerwońców... Uwiązaliśmy krowę przy kołku — dla niego jeno, znaleźliśmy dziewczkę ochę- dożną — niech doi, oporządza... Skleciłiśmy dla niego wygodkę z tyłu za namiotem i przymocowaliśmy zamek... A klucza od wygodki nie daje nikomu...

Piotr Aleksiejewicz śpiesznie przełknął kęs, zaśmiał się:

— A za co mu płacę trzy tysiące florenów, niech uczy was, Azjatów...

— Tak, uczy... Na drugi dzień wezwał pułkowników wszystkich pułków, nie zapytał o imię, imię ojca, nie przywitał się z nikim

za rękę i dalej z pychą opowiadać, jak cesarz go kocha, jakimi to wojskami dowodził, jakie to miasta oblegał, jak to marszałek Vau- ban powiedział mu: „Jesteś moim najlepszym uczniem” — i podarował tabakierkę...

Pokazał nam wszystkie swoje ordery i ową tabakierkę — na wieczku: panna obejmuje armatę — i odprawił nas... Choćby dla przyzwoitości czekoladą poczęstował, a i to nie... „Ja — powiada — wkrótce napiszę dyspozycję i wszyscy wtedy pojmiecie, jak należy zdobywać Narwę...” Do dziś dnia pisze...

— No, no... — Piotr Aleksiejewicz wytarł ręce serwetą, ujął za nóżkę puchar magdeburski z kokosowego orzecha ze złożonymi bóstwami i rzekł, wesoło ściągając wargi — jego ciemne oczy rzadko kiedy się śmiały:

— Podobnie jak ongiś, na Kukuju, uczcij- my, druhu serdeczny, ojca naszego, Bachusa, i macierz naszą, Wenus niespokojną... Daj no ten list...

Małuchny liścik, zapieczętowany woskiem i pachnący czymś słodkim i niewieścim, podobnie jak chusteczka z listkami winogrodu, pochodził od Katarzyny WasiliefskieJ (choć pisany ręką Anisji Tołstoj, jako że Katarzyna pisać nie umiała).

„Miłościwemu panu, jasności mojej, radości... Posyłam miłościwemu panu, jasności mojej, radości, gościniec — harbuzy, które dojrzały w Izmajłowie pod szkłem, takie słodkie... Jedz, miłościwy panie, jasności, radości moja, na zdrowie... A jeszcze* jasność

ci moja, widzieć pragnę miłościwego pana..!' — Niewiele napisała... A chyba długo myślała, brwi marszczyła, fartuszek miała — rzekł Piotr Aleksiejewicz z cicha, drwiąco. Wypił puchar. Trzepnąwszy się dłonią w kolano wstał i wyszedł z namiotu. — Daniłycz, zawołaj Makarowa, rozejrzyjcie się z nim w pocście moskiewskiej, a ja — rozprostuję nogi.

Wieczór był parny, od czarnego boru pachniało ciepłą żywicą. Ogromny zachód dogasał ponuro, nie świecąc. W sam raz pora dla ptaków nocnych — nawoływać w pojedynkę, i dla nietoperzy — unosić się bezszelestnie nad głową człowieka. Na błoni gdzieniegdzie jeszcze czerwieniły się ogniska, konie asysty Mieńszykowa podzwaniały uździenicami. Piotr Aleksiejewicz, przemoczywszy na rosie pończochy do kolan, szedł wzdłuż rzeki. Przystawał dla głębszego oddechu. Na skraju niżmy opadającej ku rzece znowu zatrzymał się: ciągnęło stamtąd uprzykrzenie zapachem mierzwy i miodu. Dymiło mętnie ognisko — może wlokący się opar — i wyraźnie dobiegał głos, widać żołnierza-komucha, jednego z owych gadułów, co to ludziom spać nie dają, byle tylko słuchali jego bani a luków. Piotr Aleksiejewicz zawrócił już, ale doleciało do niego:

— ...To wszystko bzdura — czarownica* czarownica! Była sobie zwyczajną dziewczką folwarczną, niechlujną, w zasmolonej kosze- linse~. Taką ją wzięli. Nie każdy chłop chciał

by z nią spać... Miszka, sprawiedliwie mówię? Widziałem ją przecie, jak żyła u feld- marszałka... Wyskoczy z namiotu, wychłuśme pomyje, otrze się fartuchem i do namiotu no- zyskami — klap, klap... Gładka, przecheraa..., Jeszczem wtedy pomyślał: ta lala nie zginie... Och, przecheraa!.,. Głupkowaty głos zapytał:

— Wujku, a co dalej z nią się stało?

— Nie wiedziałeś? Prawdę powiadają — głupich siać nie trza, sami wschodzą.., Żyje teraz z naszym carem, je pierożki, piernikami przegryza, pół dnia śpi, pół dnia przeciąga się.,.

Głupkowaty głos ze zdziwieniem:

— Wujaszku, to chyba ona ma urządzenie jakieś osobliwe?

— A spytaj Miszki, on ci powie o jej osobliwym urządzeniu.

Niski, rozespany głos odpowiedział:

— Pal was kat, ja już jej wcale nie pamiętam...

Piotr Aleksiejewicz dyszał ciężko^. Wstyd palił twarz. Gniew zalewał złą krwią~. Za takie rozmowy o monarszym honorze książą- ^cesarz zakuwał w żelazo~. Brać icb? Hańba, hańba! Pośmiewisko! Sam winien, że już całe wojsko drwi... „Wziął dziewczkę spod Miszki!...”

I— z pochyloną głową — sunął ir stroną ^A leniwego chłopiska, które spróbowało jej pierwszej słodczy. Ale niby jakąś miękką taoc powstrzymała go, oplątats jego wszystkie V/,

członki. Łapiąc powietrze, położył rękę na pochylonym mokrym czole. „Lala rozwiązała, Katarzyna...” Zjawiła się przed nim dotykalnie. Smagła, słodka, gorąca, dobra, niczemu nie winna. „Do czarta — wiedziałem przecie o niej wszystko, gdy ją brał... I o żołnierzu wiedziałem...”

Podnosząc wysoko nogi w mokrym zielsku, godnie zszedł na dół. Spoza dymu wstało trzech... — Kto idzie? krzyknął jeden gru- biańsko. Piotr Aleksiejewicz mruknął: — Ja idę... — Żołnierze, choć ze strachu uderzyły na nich siódme poty, jednak sprawnie — w okamgnieniu — poderwali strzelby i stanęli nieruchomo: strzelba przed siebie, nos uniesiony wesoło, oczy wybałuszone na cara; gotowi — w ogień i na śmierć.

Piotr Aleksiejewicz nie patrząc na nich wetknął trzewik w wygaste ognisko.

— Węgielek!

Średni żołnierz — ów bajarz, bałagula — rzucił się na kolana, pogrzebał, - chwycił węgielek na dłoń, podrzucając czekał, aż pan bombardier nabije fajkę. Przypalając Piotr Aleksiejewicz spojrzął spode łba na żołnierza z brzega. „Ten...” Dryblas, zdrowy, postawny... Twarzy jego nie mógł rozeznać...

— Ile cali wzrostu? Czemu nie w gwardii? Nazwisko?

Żołnierz odpowiedział przepisowo, ale z moskiewskim przeciąganiem — od owego beczelnego przeciągania Piotrowi Aleksie jewi- czowi najeżyły się wąsy...

— Błudow Miszka, z pułku dragonów New* skich, koniuch szóstej rot, zwerbowany w sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, wzrostu sążeń trzy cale, panie bombardierze...

■—7 Wojujesz od dziewięćdziesiątego dziewiątego, a stopnia się nie dosłużyłeś? Leniwy? Głupi?

Żołnierz odpowiedział martwym głosem:

— Tak jest, panie bombardierze — leniwy, głupi...

— Dureń!

Piotr Aleksiejewicz zdmuchnął ogieniek z zapalanej fajki. Wiedział — nie zdoła jeszcze skryć się za mgłą, a żołnierze spojrzą na siebie porozumiewawczo, roześmiać się nie ośmielą, ale spojrzą po sobie... Założywszy chude ręce za plecami, podniósłszy wysoko twarz z fajką, z której strzelały iskry, po- brnął przez nizinę. Przystępując do namiotu siadł przy stole, odsunął świecę jak najdalej; w gardle zaschło, popił chciwie wina. Osłoniwszy się dymem z fajki rzekł:

— Daniłycz... W pułku Newskim w szóstej rotce — żołnierz odpowiadający gwardyjskim artykułom... Brak porządku...

W niebieskich oczach Mieńszykowa nie ma zdziwienia, nie ma filuterii, jeno serdeczne zrozumienie...

— Miszka Błudow. A jakże... Już dawno mi o nim wiadomo... Nagrodzony rublem za zdobycie Marienburga... Dowódca szwadronu nie chce go zwolnić — lubi konie i konie go

lubią, takich wesołych koni jak w szóstym szwadronie w całej armii nie ma.

— Przeniesiesz go do Preobrażeńskiego do pierwszej roty na prawoflankowego.

Generał Horn zeszedł z wieży i kroczył przez rynek — długi, z chudymi nogami, - w płaskich trzewikach. Przed sklepami było jak zawsze sporo ludu, lecz niestety — z każdym dniem coraz mniej można było dostać do zjedzenia: pęczek rzodkiewek, obdartego ze skóry kota zamiast królika, trochę wędzonej koniny. Gniewne mieszczyki nie kłaniały się już generałowi z przyjaznym dygnięciem, a niektóre odwracały się do niego plecami. Nieraz słyszał szemranie: — Poddajże się Rosjanom, stary diable, czemu niepotrzebnie morzysz ludzi... — Ale poruszyć generała było nie sposób.

Gdy miejskie zegary wybiły dziewiątą, doszedł do owego czyściutkiego domku i jał wycierać podeszwy o słomiankę leżącą na schodku. Chędogą pokojówka otworzyła drzwi i dygnawszy nisko, wzięła od niego hełm i ciężką szpadę wyjętą z temblaka. Generał umył ręce i z dostojną opieszałością wszedł do jadalni, w której okrągłe pęczkowe szybki niskiego okna — przez całą ścianę — przepuszczały słabo światło zielone i żółte.

Przy stole stali w oczekiwaniu na generała:

żona, z domu hrabianka Sperling — osoba o ciężkim charakterze, trzy pochylone, rzad- kowłose dziewczynki z długimi jak u ojca nosami i nadęty mały chłopiec — ulubieniec matki.

Generał siadł i wszyscy siedli, złożwszy ręce odmówili modlitwę. Gdy z cynowej wazy zdjęto pokrywę, buchnęła para, ale oprócz pary nie było w niej nic ponętnego — wciąż ta sama kasza owsiana bez mleka i soli. Smutne dziewczęta przelykały ją z trudem, nadęty chłopczyk odpychając talerz szeptał do matki: — Nie chcę, nie będę... — Na drugie danie podano wczorajsze kości starego barana i nieco grochu. Miast piwa pito wodę. Generał, niewzruszony, żuł mięso dużymi żółtymi zębami.

Hrabianka Sperling, krusząc chleb nad talerzem, jęła mówić nader prędko:

— Jakkolwiek się starałam w ciągu czternastu lat małżeństwa, a przecie nigdy nie mogłam cię pojąć, Karolu... Czy posiadasz waszmość w sobie choć kroplę żywej krwi? Czy posiadasz serce męża i ojca? Król przy- syła ci z Rewia flotę okrętów z wędliną, cukrem, rybami, wędzonym mięsem i ciastami... Jak na twoim miejscu winien postąpić ojciec czworga dzieci? Ze szpadą w rękę przebić się do okrętów i sprowadzić je do miasta... A tyś wolał patrzeć obojętnie z wieży, jak rosyjscy żołnierze obżerają się wędlinami re- welskimi... A moje dzieci muszą dławić się owsianką... Nie przestanę powtarzać: masz

waszmość kamień zamiast serca! Jesteś potworem! A tein nieszczęsny wypadek z fałszywą batalią! Teraz nie mogę się pokazać w świecie... „Ach, to pani jesteś małżonką tego samego generała Horna, którego Rosjanie poprowadzili za nos niby niedźwiedzia na jarmarku?” „Niestety, tak” — odpowiadam. Nawet nie wiesz, że każda przekupka w mieście nazywa cię starym bocianem na wieży... Wreszcie jedyna nasza nadzieja — generał Schlippenbach — pragnąc nam pomóc ginie pod Wenden, a ty siedzisz sobie jakby nigdy nic i żujesz obojętnie ścięgnięta baranie, jakby to dziś był najszczęśliwszy dzień twego życia... Nie — dość tego! Powinieneś puścić mnie z dziećmi do Sztokholmu na dwór królewski...

— Za późno, pani, o wiele za późno — rzekł Horn, jego bladawe oczy zwrócone w okno, zda się, przepuszczały równie mało światła, jak te pęcherzykowate szyby. — Jesteśmy zamknięci mocno w Narwie niby w łapce na myszy.

Hrabianka Sperling chwyciła się obiema rękami za koronkowy czepiec i zsunęła* go nisko.

— Rozumiem teraz, o co chodzi waszmości: chcesz, abym ja z moimi dziećmi jadła trawę i szczury!

Nadęty chłopczyk zaśmiał się niespodzianie i popatrzył na matkę; dziewczynki opuściły łzawo nosy w talerze. General Horn zdziwił się niecg* to niesprawiedliwość — on nie chce, by jego dzieci jadły trawę i szczury! Przecie zakończył śniadanie z równą niewzru- szonością.

Za drzwiami dawno już pobrzękiwały ostrogi jego adiutanta, Bystróma. Widocznie stało się coś. Horn wziął z półki nad kominkiem glinianą fajkę, nabił ją, skrzesał ognia, od hubki zapalił papierek, od niego fajkę i dopiero wówczas opuścił jadalnię.

Bystróm trzymał w ręku jego helm i szpadę i sapał nieco.

— Ekscelencjo, w obozie rosyjskim niespodzianie wszczął się ruch, którego znaczenia nie możemy zrozumieć...

Generał Horn znowu poszedł przez rynek, pełen zaniepokojonego ludu. Wysoko zadzierał głowę nie życząc sobie patrzeć w oczy mieszczanom, którzy przezywają go starym ^bocianem. Wytartymi stopniami wszedł na wieżę. W istocie — w obozie rosyjskim działo się coś niezwykłego: na całym półkolu obleżniczych obwarowań, ściśle opasujących miasto, wojska formowały się w dwie linie. Ze wschodu zbliżał się szybko obłok kurzu. Z początku można było odróżnić jeno dragonów cwałujących na niskich koniach. W pewnej odległości od nich jechał car Piotr i Mieńszykow, Żółtawy kurz wzbity kopytami szwadronu był tak gęsty, że generał Horn skrzywił się boleśnie... Za carem i Mieńszykowem cwałowali dragoni unosząc wysoko na drzewcach osiemnaście złotych atlasowych sztandarów. W ich fałdach wiło się wyciągając

łapy z oburzeniem osiemnaście lwów królewskich...

Szwadrony, car, Mieńczykow, sztandary szwedzkie — wszystko przemknęło przed wojskiem oblężniczym ryczącym: — Hurrra! Victoria! — z całej mocy barbarzyńskich gardzieli...

V

W obozie rosyjskim hulano. Z bastionu „Gloria” było dobrze widać, jak wokół carskiego namiotu strzelano z armat, po salwach można było obliczyć, ile wychylono wiwatów. Znając chępliwość Rosjan generał Horn spodziewał się stamtąd wysłańca z pyszałko- wатыmi słowami. I tak się stało. Z carskiego namiotu wysypało się nagle czterdziestu ludzi wywijających pucharami, kubkami, jeden z nich skoczył na konia i pocałował w stronę bastionu „Gloria”, za nim doganiając go — trębacz. Okręcając się z koniem przed pociskami posłaniec ów wyjął chustkę, podniósł ją do góry na końcu szpady i zatrzymał się u stóp wieży; trębacz umocniwszy się w siodle zatrąbił z całej siły, strasząc przelatujące wrony.

— Parol, paroli — krzyknął wysłaniec. — Mówi podpułkownik pułku Preobrażeńskiego Karpow! — był pijany, zarumieniony, z rozwianymi na wietrze kędziorami.

Generał Horn wychylony z wieży odpowiedział:

— Mów, słyszę. Zdążymy cię ubić.

— Oznajmiam! — krzyczał podpułkownik zadarłszy wesoło głowę. — W piątek zeszłego tygodnia feldmarszałek Szeremietiew za Bożą pomocą wziął szpadą miasto Juriew. Przychylając się do łzawej prośby komendanta, przez wzgląd na mężną obronę, oficerom pozostawiono szpady, a trzeciej części żołnierzy — karabiny bez ładunków... Sztandary zaś i muzykę odjęto.

Bystrom tłumaczył donośnym głosem, oficerowie stojący z tyłu za Hornem spoglądali po sobie z oburzeniem, jeden — wychodząc z siebie — krzyknął: — Kłamiesz, psie rosyjski! — Podpułkownik Karpow szerokim gestem wskazał namiot w oddali, gdzie stali jeszcze ludzie z pucharami.

— Panowie Szwedzi, czy nie lepszy taki pokój niżli pod Schlussemburgiem, Nienschan- zem i Juriewem konfuzyjne batalie? W tym rozumieniu głównodowodzący feldmarszałek Ogilwy proponuje wam honorową kapitulację... Niech posłowie bez mitręgi przybywają do namiotu na rokowania. Puchary pełne i armaty nabite — do salw na wiwat...

Generał Horn odpowiedział głucho:

— Nie! Będę Walczył! — w jego twarzy, z zapadniętymi policzkami i nosem obwisłym ze starości, nie było kropli krwi, żyłaste ręce dygotały. — Odejdź! Za trzy minuty każę strzelać...

Karpow zasalutował szpadą, krzyknął na trębacza: — Odjeżdżaj! — a sam, miast odda-

700

701

i' i/ f < ; ' > - ' ! ' - i . J ,

się, zajechał na tańczącym koniu ku dru- | stronie baszty. Oficerowie rzucili się do blanków, on zawołał do nich:

— Który to z was, łotr, gbur, mnie, oficera rosyjskiego, zelżył, że kłamię? Tłumaczu, przekładaj co żywo. Wyjeżdżaj, jeśli masz odwagę, zmierzmy się w polu fšam na sam.. Oficerowie zakrzyknęli. Jeden tłusciuch spurpurowiał, potrząsnął pięściami, wydzierając się towarzyszom... Trzasnęły skałki strzelb. Karpow leżąc na karku końskim umknął precz od wieży — gonili go wystrzały, świst kul, O dwieście kroków stanął, bodąc ostrogami i wstrzymując konia czekał na przeciwnika,.. Nie nazbyt prędko zgrzytnęła brama na zawiasach, opadł most i tęgi oficer pocwałował przez pole w stronę Karpowa, Był wyższy wzrostem, konia miał większego i szpadę szwedzką o dwa cale dłuższą od rosyjskiej , Do pojedynku przywdział żelazny pancerz, a Karpowowi spod rozpiętego kafta- na wiatr rozwiewał, koronki,

Przeciwnicy — wedle obyczaju — nim zderzyli się, jęli sobi'- uragać, jeden wściekle wyszczeniwał ponure słowa, drugi miotał szybko sprośne moskiewskie kłatwy,.. Obaj wyciągnęli z olstrów pistolety, wbili ostrogi i rzucili się na siebie. Strzelili jednocześnie. Szwed wysunął szpadę daleko przed siebie. Karpow określił się z tatarską przed nosom jego konia, objechał dokoła i strzelił z dru* giego pistoletu. Szwed szczęknął zębami, warknął i znowu rzucił się z taką zajadłością.

że Karpow ocalał dlatego jeno, iż zasłonił się koniem, szpada przeciwnika utkwiała koniowi głęboko w szyi,.. „Ech, zmarnowałem konia — pomyślał — pieszo nie zdzierzę..! Ale Szwed niby senny wypuścił rękojeść szpady, zatoczył się szukając lewą ręką w olstrach pistoletu. Karpow zeskoczywszy z padającego konia pchnął go kilka kroć klingą pod pancerz i patrzył tchnąc ciężko, jak Szwed coraz bardziej chwieje się na siodle. „Krzepki, szatan, nie chce mu się umierać!" — i utykając pobiegł do swoich..

Cień nocny pokrył pole, spadła rosa, dawno ucichły wystrzały, zadymiły ogniska kucharzy, wszystko gotowało się na spoczynek, ale obóz rosyjski nie uspokoił się, W jego zachodnim krańcu, gdzie zbudowano most, poruszało się coraz więcej ognia, dochodziły krzyki komendy i przeciągły ryk głosów; — Uuuuuch... — Ogniska, światła pochodni i latarni przerzuciły się daleko na prawy brzeg Narwy pod sam Iwangorod? wkrótce i tych nieruchomych, i tych poruszających się ognia przybyło więcej niż majestatycznych gwiazd na sierpniowym niebie,

O świcie z baszt Narwy ujrzano, jak szosą jamgorodzką wciąż jeszcze ciągną zaprzężone w woły olbrzymie działa burzące i moździerz obłężnicze. Część ich przeprowiła się przez most, ale większa część skręcała i zatrzymywała się na prawym brzegu w centrum wojsk. Owego ranka generał Horn pojechał konno do starego miasta na bastion „Honor", przy

tykający do brzegu rzeki. Tam wszedł na wysoki rawelin, zbudowany z cegieł i uważany za niedostępny. Stąd mógł okiem zobaczyć miedziane potwory na litych kołach, mógł je zliczyć i bez trudu pojąć zamysł cara Piotra i swoją omyłkę. Rosjanie raz jeszcze zwiedli jego — starego, doświadczonego wojaka. Przegapił najsłabsze punkty obrony — uważany za niedostępny bastion „Honor”, który w ciągu kilku dni zniosą nowe burzące działa rosyjskie, i bastion „Victoria”, chroniący miasto od strony rzeki, również murowany z cegieł, zmurszały, jeszcze z czasów Iwana Groźnego. Przez dwa miesiące Rosjanie odwracali uwagę niby to gotując się do szturm potężnych umocnień nowego miasta. Ale już wówczas, oczywiście, przygotowano szturm z tej strony. Generał Horn patrzył, jak tysiące rosyjskich żołnierzy z najwyższym pośpiechem kopie ziemię i ustawia baterie burzące naprzeciwko „Honoru”, „Victorii” oraz Iwangorodu, broniącego przeprawy przez rzekę. Rosjanie przygotowali szturm zza rzeki na pontonach.

„Bardzo pięknie, wszystko jest jasne, koniec z głupimi żartami, będziemy się bić — mrucał Horn maszerując po rawelinie krokiem młodzieńczym. — Z naszej strony przeciwstawimy szwedzkie męstwo... A to nie byle co.” Odwrócił się do gromadki oficerów.

— Będzie tu piekło! — i tupnął botfortem. — Tu nadstawimy pierś rosyjskim pociskom! Rosjanie się spieszą i my musimy po spieszać! Rozkazuję zebrać w mieście wszystkich zdolnych do poruszania łopatą. Padną mury, będziemy walczyć na kontraproszach, będziemy walczyć na ulicach... Nie oddam Narwy Rosjanom.

Generał Horn przyjechał do domu późnym wieczorem i siedząc przy stole żuł wielkimi zębami żyłaste mięso. Hrabianka Sperling była tak przerażona rozmowami na rynku, iż milczała dławiąc oburzenie. Nadęty chłopczyk powiedział wodząc zaślinionym palcem po brzegu talerza:

te Chłopcy mówią, że Rosjanie nas wszystkich pozabijają...

Generał Horn wypił łyk wody, zapalił od świecy fajkę, założył nogę na nogę i odpowiedział synowi:

— No cóż, synku, dla człowieka najważniejsze jest pełnić swoją powinność, a co do reszty ufać w miłosierdzie Boże.

VI

Każde inne pismo, równie długie i nudne. Piotr Aleksiejewicz rzuciłby przez stół sekretarzowi Makarowowi: „Przeczytaj, opowiedz jasno” — ale to była dyspozycja feldmarszałka Ogilwy. Gdy policzyć, że żołd miał płaGO-ny od pierwszego maja, a nic innego dotychczas jeszcze nie zdziałał, dyspozycja kosztowała skarb siedemset złotych florenów, nie licząc prowiantu oraz innego zaopatrzenia.

Opodał Piotra Aleksiejewicza siedział rozsunawszy krótkie łydki Piotr Pawłowicz Szafirów, który przybył z feldmarszałkiem z Moskwy — niziutki, z wilgotnymi, uśmiechającymi się oczyma, gotowymi wszystko zrozumieć w lot. Piotr dawno już mu się przyglądał — czy dość rozumny, by zostać wiernym, przebiegły, ale w jakiej skali, czy niezbyt chciwy? Szafirów w ostatnich czasach ze zwykłego tłumacza w Urzędzie Poselskim wyszedł tam na personata, choć bez rangi.

— Znowu na gmatwał, nakręcił! — rzekł Piotr Aleksiejewicz krzywiąc się.

Szafirów wyrzucił malutkie ręce w pierścieniach, zerwał się, pochylił i wkrótce przetłumaczył dokładnie ciemny ustęp.

— A! To tyle, a ja myślałem — coś arcy- mądrego. — Piotr wetknął do kałamarza gęsie pióro i na marginesie rękopisu naskrobał kilka słów. -*— Po naszymu prościej... Cóż,

Piotr Aleksiejewicz ssąc chrypliwą fajkę i chrząkając w jej rytm, czytał cierpliwie pisane po niemiecku dzieło feldmarszałka.

Dokoła światec krążył rój zielonych muszek, zlatywały się szkaradne komarnice, opalone, spadały w górę nóżkami na papiery rozrzucone po stole; trupia główka wielkości połowy wróbla zatoczyła koło zdmuchując nieomal świecę (Piotr Aleksiejewicz wzdrygnął się, nie lubił dziwnych, nieużytecznych stworzeń, osobliwie karakonów), Makarów zerwał perukę i podskakując wypędził owada z namiotu.

Piotrze Pałyczu, beczkę soli zjadłeś z feldmarszałkiem; czy ten człowiek coś wart?

Wygolona granatowo twarz Szafirowa rozplynęła się wszcz, przebiegłe jak u szatana. Nic nie odpowiedział, nawet nie przez ostrożność, lecz wiedząc, że nie mrugające oczy Piotra i bez tego przejrzą na wskroś jego myśli.

. —• Nasi skarżą się, że dumny nadmiernie. Do żołnierza blisko nie podejdzie — brzydzi się... Nie wiem, czym u żołnierza rosyjskiego można się brzydzić, zadrzyj któremukolwiek koszulę ciało czyste, białe. A wszy jeno u ciurów taborowych... Ach, ci cesarscy! Zaszedłem do niego dziś rano — myje się w malutkiej miednicze — w jednej wodzie wymył ręce i twarz i napluł tam... A nas brzydzi się. A od przyjazdu z Wiednia nie był w łaźni.

— Nie był, nie był... — Szafirów trząsał się cały, śmiał się zasłaniając usta koniuszkami palców. — W Niemczech — opowiadał — gdy pan potrzebuje się umyć, przynoszą stągiew wody, w której wedle potrzeby myje te czy inne członki... A łaźnia to obyczaj barbarzyński... A najwięcej pana feldmarszałka razi, że u nas jada się dużo czosnku, i tłuczonego, i siekanego, i tak po prostu — jednak chłopi i szlachta... W pierwszych dniach' zatykał nos chusteczką...

— Tak? zdziwił się Piotr. — Czemużeś wcześniej nie rzekł... Bo i prawda, dużo czosnku jadamy, zresztą czosnek rzecz pożyteczna, ano, niech przywyka...

Rzucił na stół przeczytaną dyspozycję, przeciągnął się, aż mu w stawach zatrzeszczało, i — nagle — do Makarowa:

— Barbarzyńco, zrzuć no ze stołu to paskudztwo, owadziska... Każ podać wino i krzesło dla feldmarszałka... A jeszcze, Makarów, ty masz zwyczaj słuchając dyszeć w twarz czosnkiem... Dysz odwracając głowę...

Do namiotu wszedł feldmarszałek Ogilwy w żółtej peruce, w białym wojskowym kaftanie obszytym złotym galonem i miękkich bot- fortach spuszczonej poniżej kolan. Podniósłszy kapelusz w jednej ręce, laskę w drugiej, pokłonił się i natychmiast wyprostował cały. Piotr Aleksiejewicz nie wstając wskazał mu krzesło wszystkimi rozcapierzonymi palcami. —r Siadaj. Jak zdrowie? — Szafirów potoczył się ku niemu, tłumaczył ze słodkim uśmiechem.

Feldmarszałek, pełen godności, siadł nieco rozwalony, wypiął brzuch, rękę z laską odsunął daleko. Oblicze miał żółtawe, pełne, choć jakieś oleiste, wargi cienkie, wejrzenie — ani słowa — marsowe.

— Przeczytałem twoją dyspozycję — niczego sobie, rozumne, rozumne. — Piotr Aleksiejewicz wyciągnął spod stolika plan miasta, rozwinął — natychmiast posypały się nań muszki i komary. — Spieram się tylko o jedno: Narwę należy wziąć nie w trzy miesiące, ale w trzy dni! (Skinął głową podwinąwszy wargi.)

Żółta twarz feldmarszałka wyciągnęła się, jakby ktoś stojący z tyłu pomógł mu w tym — rude brwi popelzły w górę pod samą perukę, kąty warg opadły, oczy wyraziły oburzenie.

— No, nol Trzy dni wymówiło mi się z prędkości... Po targu zgodzimy się na siedem dzionków... Ale więcej czasu ci nie i dam... — Piotr Aleksiejewicz jął gniewnymi szcztkami strącać z mapy owady. — Miejsca dla baterii wybrałeś mądrze... Ale wybacz — niedawno sam rozkazałem: wszystkie baterie zza rzeki zwrócić na bastiony „Victoria” i „Honor”, bowiem tu właśnie jest pięta Achillesowa generała Horna...

— Najjaśniejszy paniel — wykrzyknął Ogilwy tracąc równowagę — wedle dyspozycji zaczynamy od bombardowania Iwango- rodu i szturmego onego... _./_. —r Nie trzeba... cała nadzieja generała Horna właśnie w tym, że pod Iwangorodem prze- bałamucimy do jesieni. A on nam nie przeszkadza, tyle że trochę postrzela w nasze pontony... Dalej — mądrze, mądrze, obawiasz się sukursu króla Karola... W roku siedemsetnym przez jego sukurs zmarnowałem armię na tych samych pozycjach... Ty przygotowujesz kontrsukurs, ale kosztowny i zawyły, a przewidujesz na niego dużo czasu... A mój kontrsukurs będzie taki, żeby Narwę wziąć prędzej. Zwycięstwa szukać w szybkości, a nie w ostrożności... Twoja dyspozycja to arcy- mądry plód nauki wojennej i Arystotelesowej logiki... A mnie Narwa potrzebna zaraz jak głodnemu głon chleba. Głodny nie czeka.

Ogilwy przyłożył do twarzy jedwabną chusteczkę. Trudno mu było gonić myślą za sy-
logizmami młodego barbarzyńcy, lecz godność nie pozwalała zgodzić się bez dyskusji. Pot obfity zwilżył jego chusteczkę.
— Najjaśniejszy panie, podobało się fortunie obdarzyć mnie szczęściem przy zdobyciu jedenastu twierdz i miast
— wyrzekł i rzucił chusteczkę do kapelusza leżącego na kobiercu. — Podczas szturmowania Namuru marszałek
Vauban uściskał mnie, nazwał swym najlepszym uczniem i tuż na placu boju wśród jęku rannych podarował mi
tabakierkę. Układając niniejszą dyspozycję nie uroniłem nic z mojego doświadczenia wojennego, wszystko tu
zważone i wymierzone. Pozwalam sobie ze skromną pewnością utrzymywać, że najmniejsze odchylenie od
mych wywodów sprowadzi zgubne następstwa. Tak jest, najjaśniejszy panie, przedłużyłem termin oblężenia,
lecz jedynie z uwagi, że żołnierz rosyjski — to na razie jeszcze nie żołnierz, ale chłop z karabinem. Nie ma
jeszcze najmniejszego pojęcia o porządku i dyscyplinie. Dużo kijów trzeba jeszcze połamać na jego grzbiecie,
aby zmusić go, by słuchał bez mędrkowania, jak przystało żołnierzowi. Wówczas mogę być przekonany, że na
znak mej buławy weźmie drabinę i pod gradem kul wdrapie się na mur...

Ogilwy słuchał własnej mowy z zadowoleniem, przysłaniając oczy powiekami, jak ptak. Szafirów
przekładał na rozsądną rosyjską mowę jego wielomówne konstrukcje dy
daktyczne. Gdy Ogilwy skończywszy spojrział na Piotra Aleksiejewicza — szybko, niewspółmiernie do godności
wsunął nogi pod krzesło, schował brzuch i opuścił rękę z laską. Twarz Piotra była straszna: szyja jakby
wydłużyła się dwukrotnie, po bokach zaciśniętych warg wzdęły się okrutne guzy, z rozszerzonych oczu gotowe
— Boże uchwaj, Boże uchwaj — wypaść furie... Sapał ciężko. Duża żylasta ręka w przykrótkim rękawie,
leżąca wśród nieżywych komarów, szukała czegoś... napotkała gęsie pióro, złamała...

— Więc tak, więc tak, żołnierz rosyjski — chłop z karabinem! UJ wymówił przez zaciśnięte gardło. — Nic
złego tu nie widzę... Chłop rosyjski — roztropny, zmyślny, śmiały... A z karabinem — straszny dla wroga... Za
to nie bije się kijami! Porządku nie zna? Zna porządek. A kiedy nie zna — nie on jest zły, oficer zły... A kiedy
mojego żołnierza trza bić kijem — to ja będę bił, a ty go bić nie będziesz...

Do namiotu weszli generał Chambers, generał Riepnin i Aleksander Daniłowicz Mieńszykow. Przyjąwszy
po kubku wina z rąk Makarowa, siedli gdzie popadło. Piotr spoglądając w rękopis feldmarszałka ze swymi uwa-
gami (stał przed świecami i opędzał się komarom), kreśląc ołówkiem i czyniąc uwagi na mapie — przeczytał
radzie wojennej ową dyspozycję, która w ciągu kilku godzin wprawiała w ruch wszystkie wojska, baterie i tabory.

VII

Niewiasty bez czepców rzuciły się do konia generała Horna. Porwały za uzdę, za strzemiona, wczepiły się w poły jego skórzanego kaftana... Chude, poczerniałe od sadzy pożarów, z oczyma wylazącymi z orbit — krzyczały: — Poddaj miasto, poddaj miasto!... — Posepni kirasjerzy — eskorta, również osaczeni, nie mogli się doń przedostać... Ryk dział rosyjskich wstrząsał domami na placu, zawalonym opalonymi belkami i potłuczoną dachówką. Był siódmy dzień kanonady. Wczoraj generał odrzucił twardo rozsądną i grzeczną propozycję feldmarszałka Ogilwy — nie narażać miasta na okropności szturmów i wściekłość wpadającego wojska. Generał — miast odpowiedzi — rzucił zmięte pismo parlamentariuszowi w twarz. Wiedziało o tym całe miasto.

Generał patrzył zmętniałymi jak bielma oczyma na krzyczące kobiety — twarze ich były oszpecone strachem i głodem — takie jest oblicze wojny. Generał wyciągnął z pochwy szpadę, jął bić płazem po głowach i popędząć konia. Zawołały: — Za bij 1 zabij! Tratuj na śmierć...! — Zachwiał się — ścigały go z siodła... Wówczas rozległ się niesłychany grzmot, wzdrygnęło się nawet żelazne serce generała. Za dachówkami starego miasta wzbil się czarno-żółty słup dymnego płomienia — prochnie wyleciały w powietrze. Wysoka wieża starego ratusza zachwiała się. Krzykneły obłądne głosy, ludzie rzucili się w boczne uliczki, rynek opustoszał. Generał trzymając szpadę w poprzek siodła popędził w kierunku bastionu „Honor”. Zza rzeki nadlatywały spadzistym lotem szybko zwiększające się kule, z sykiem spadały na dachy domów, zwisających fasadami nad chodnikiem, i na krzywą ulicę, kręciły się, wybuchały... Generał uderzał, uderzał ogromnymi ostrogami w skrwawione boki rzucającego się konia...

Bastion „Honor” osnuty był kurzem i dymem. Generał rozróżnił kupy cegieł, porzucone działa, zadarte nogi koni i — olbrzymi wyłom od strony Rosjan. Mury runęły do fundamentów. Podeszedł szary od kurzu dowódca pułku, ranny w twarz. Generał rzekł: — Rozkazuję wroga odeprzeć! — Dowódca spojrział na niego ni to z wyrzutem, ni to drwiąco... Generał odwrócił się, ruszył koniem i pocwałował przez wąskie zaułki do bastionu „Victoria”. Kilkakrotnie musiał zasłaniać się skórzanym rękawem przed płomieniami palących się domów. Podjeżdżając usłyszał wyjący lot pocisków. Rosjanie strzelali celnie. Na pół rozwalone mury bastionu wydymały się, wzlatywały, opadały. Generał zsiadł z konia. Kragłolicy, mleczno-rumiany żołnierz biorąc od niego cugle uporczywie nie patrzył w oczy. Generał pięścią w rękawiczce uderzył go z dołu w podbródek i po rumowisku cegieł wdrapał się na ocalałą część muru. Zobaczył stąd, że szturm rozpoczęty...

Mieńczykow biegł przez most pontonowy wśród niskich wzrostem strzelców-ingerman-landczyków. Potrząsając szpadą, krzychał na całe gardło. Wszyscy żołnierze krzyczeli na całe gardło. Waliły w nich żelazne armaty z wysokich murów Iwangorodu, bomby wplu- skiwały się w wodę, rwąc powietrze, z sykiem niosły się nad głowami. Mieńczykow dobiegł, zeskoczył na lewy brzeg — odwrócony tupał nogą, machał połą płaszczą... — Naprzód, naprzód! — Strzelcy, garbaci pod tornistrami, biegli gęsto przez most, który osiadł — a jemu wydawało się, że drepczą... — Żwawiej, żwawiej! — i jak pijany sypał komponowanymi naprędce wyzwiskami.

Tutaj, na lewym brzegu, na wąziutkim pasie między rzeką i wilgotnym murem obronnym bastionu „Victoria” — było miejsca niewiele; ci, którzy przebiegli, tłoczyli się, popychali, zwalniali kroku, pachniało gryzącym potem... Mieńczykow biegł w wodzie po kolana, przeganiając kolumnę. — Dobosze — naprzód! Sztandar — naprzód! — Armaty Iwangorodu strzelały teraz w kolumnę przez rzekę, pociski pluskały u brzegu, oblewały wodą, rozprysnięte o mury parzyły odłamkami, miękko, lekko uderzały w ludzi... Przednie szeregi, zrywając się, wymachując rękami, już wspinały się po ceglany usypisku wyłomu na szczyt. Odezwały się bębny. Mocniej, mocniej toczył się krzyk po kolumnie strzelców wpełzających na szczyt. Tam za murem wrzasnął ochryple jakiś głos po szwedzku... Buchnęła salwa... Zasnuł dym... Strzelcy lunęli w miasto przez wyłom.

Druga kolumna szturmowa przechodziła obok generała Chambersa. Siedział na wysokim koniu kiwającym głową w takt bębnow. Miał na sobie miedziany pancerz wyczyszczony cegłą, który przywdziewał jedynie na osobliwie uroczyste okazje, ciężki hełm trzymał w ręku, by żołnierze mogli dobrze widzieć jego nalaną twarz z haczykowatym nosem, podobną rozpalonej bombie. Powtarzał ochryple, bez uczucia: — Dzielni Rosjanie — naprzód... Dzielni Rosjanie — naprzód...

Na czele Icolumny — przez łąkę w kierunku bastionu „Honor” — śpiesznym marszem szedł batalion preobrażeńców — chłop w chłopa, wąsaci, odżywieni, w małych trójganiastych kapeluszach nasuniętych na brwi, bajonety nasadzone na karabiny; był rozkaz: nie strzelać — kłuć. Batalion prowadził podpułkownik Karpow. Wiedział, że patrzą na niego swoi i Szwedzi przyczajeni w wyłomie. Szedł fir- cykowato wypiąwszy pierś, niby gołąb, z wysuniętym nosem, nie odwracając się do batalionu. Z tyłu za nim czterej dobosze bili w bębny szarpiąc serca. Pozostawało pół setki kroków do szerokiego wyłomu w grubym ceglany murze. Karpow nie przyspieszył kroku, ale ramiona jęły mu się unosić. Żołnierze — widząc to, łamali krok, idący z tyłu parli na przednich, „Rrrrra ta, rrrrra ta” —

huczały bębny. W wylomie powoli uniosły się żelazne hełmy, lufy karabinów... Karpow krzyknął: — Rzucaj broń, hołoto, poddaj się! — I ze szpadą i pistoletem pobiegł na spotkanie salwy... Błysnęło, zagrzmiało, prochowy dym uderzył w twarz... „Czyżby — żywym?” — uradował się... Strach nie do pokonania, od którego podnosiły mu się ramiona, odpadł... Dusza zapagnęła walki... Lecz żołnierze prześcignęli go, szukał na próżno, kogo tu dopaść ze szpadą. Widział jedynie szerokie grzbiety preobrażeńców pracujących bajonetami niby widłami — po chłopsku...

Trzecia kolumna — Anikity Iwanycza Riep- ' nina — rzuciła się z drabinami oblężniczymi do szturm na pół rozwalonego bastionu „Gloria”. Z murów strzelano szybko, zrzucano kamienie i belki, zapalono beczki ze smołą, żeby zlać nią oblegających. Anikita Iwanycza drygał w gorączce na niskim koniku u stóp wieży nad bramą, podwinąwszy ogromne mankiety potrząsał piąstkami i krzyczał cienkim głosem, zagrzewał — z obawy, by jego żołnierze nie skrewili na drabinach. Jeden, drugi i jeszcze kilku zwalonych i skłutych odpadło z samego szczytu... Ale — Bóg łaskaw — żołnierze wspinali się po drabinach gęsto i zajadle. Szwedzi ctiie zdążyli obalić beczek ognistych — nasi byli już na murach—

Hrabianka Sperling chwytala dzieci za rę* ce, jakby je za każdym razem na nowo liczyła. Wzdrygnąwszy się nasłuchiwała — coraz bliżej rozlegały się wystrzały, wściekłe okrzyki walczących... Wyciągała załamane ręce, gorąco szeptała skrzywionymi wargami: — Chciałeś tego, potworze, ty uparty człeczek bez serca! — Dziewczynki krzyczały z płaczem: — Mamo, przestań, nie można! — Chłopczyk wtykał w usta pięść, patrzył, jak siostry płaczą...

W pobliżu zagrzmiały koła, hrabianka rzuciła się do okna, kulejący koń ze złamaną nogą ciągnął wóz naładowany różnym dobytkiem, za wozem biegły kobiety z węzełkami... — Do zamku, do zamku! Ratujcie się! — krzyczały... Czterej żołnierze ponieśli nosze... I jeszcze dźwigano nosze, i jeszcze nosze z woskowymi twarzami rannych... Potem zobaczyła pochylonego starca z workiem, znanego bogacza, pożyczającego pieniądze pod zastaw: śpiesznie szurając pantoflami niósł pod pachą kwiczące prosię... Nagle rzucił i prosię, i worek, pobiegł... Zupełnie blisko brzęknęło rozbite szkło... — Oj-oj — zawodził udęczonego głos. Na oddalonym końcu placu zobaczyła generała Horna... Machał ręką i gdzieś tam wskazywał. Obok niego ciężko kłusowali kirasjerzy. Horn uderzył kilkakrotnie szpadą po żebrach chwiejącego się konia na poczerniałej twarzy generała wszystkie zęby jak u wilka — i wysoko podskakując, pędem skrył się w zaułku... — Karolu, Karolu! — hrabianka wybiegła do sieni, otworzyła drzwi na ulicę. — Karolu, Karolu!

r

I wtedy zobaczyła Rosjan — przemykali wzdłuż domów po opustoszałym placu i zaglądali w okna... Mieli szerokie twarze, długie włosy, na czapkach — miedziane orły../

Hrabianka tak się przeraziła, że stała i patrzyła, jak oni zbliżają się wskazując na nią i na flagę komendancką nad drzwiami. Żołnierze otoczyli ją, dotykali palcami — zagadali z podnieceniem i gniewnie... Jeden — płaskolicy bałwan — pchnął ją i wszedł do domu... Gdy ją popchnął niby prostą babę na rynku, wybuchła w niej nienawiść dławiąca ją tak długo — do starego męża, co zmarnował jej życie, do tych barbarzyńców rosyjskich, sprawiających tyle cierpień i strachu... Wczepiła się w płaskolicego żołnierza, wyciągnęła go z sieni i sycząc, zachłystując się urywkami słów, drapała go po policzkach, oczach, gryzła go, uderzała kolanami... Żołnierz oganiał się wściekle przed oszalałą niewiastą. Zwalili się razem na bruk... Jego towarzysze podziwiając taką babską zajadłość jęli ją odrywać ze złością, napaarli, rozdzielili ich, a gdy się rozstąpili — hrabianka leżała plackiem, z wykręconą głową, z martwą, siną twarzą... Jeden żołnierz obciągnął spódnicę na jej odsłoniętych nogach, drugi zwrócił się gniewnie do trzech dziewczynek i chłopczyka we drzwiach... Chłopczyk przestępując z nogi na nogę krzychał bezdźwięcznie, bez łez... Żołnierz powiedział:

— Pal diabli tych bękartów, chodźmy stąd, chłopcy!

W trzy kwadranse wszystko było skończone. Rosjanie wdarli się jak huragan na place i ulice starej Narwy. Zatrzymać ich, odeprzeć było już nie sposób. Generał Horn rozkazał wojskom cofać się do wału ziemnego oddzielającego stare miasto od nowego. Wał był wysoki i szeroki, generał miał nadzieję, że tu pułki cara Piotra będą musiały obficie zlać krwią strome zbocza.

Horn siedział na koniu, który opuścił łeb aż do samych kopyt. Zerwał się świeży wiatr, trzepotał osobistym proporcem generała — żółto-czarnym, na wysokim drzewcu. Pięćdziesięciu kirasjerów stało półkolem posepnie i nieruchomo za plecami generała, Z wysokiego nasypu generał widział wyloty kilku ulic. Tymi ulicami wojska powinny cofać się, lecz ulice nadal były bezludne. Generał patrzył i czekał żując ściągniętymi wargami. W odległym końcu jednej, potem drugiej ulicy zaczęły przebiegać ludziki. Nie mógł pojąć, co to za ludziki i po co biegają. Kirasjerzy za jego plecami zaczęli głucho szemrać. Ukazał się cwałujący w zapamiętaniu jeździec, zeskoczył z konia u stóp nasypu i podtrzymując prawą ręką skrwawioną kiść ręki lewej, wdrapywał się po stromej skarpie. Był to adiutant Bystrom, bez szpady, bez pistoletu, bez kapelusza, z oderwaną połą munduru...

!

_ Generale! — podniósł ku niemu oszalałą twarz. — Generale! O Boże mój, Boże!

— Słucham, poruczniku Bystróm, proszę mówić spokojniej...

— Panie generale, nasze wojska otoczone. Rosjanie szaleją! Jeszcze nie widziałem podobnej rzezi...

Generale, proszę uchodzić do zamku...

Generał Horn zdetonował się. Zrozumiał teraz, co to były za ludziki przebiegające w dali przez ulicę. Jego powolne myśli, które dotychczas prowadziły zawsze do twardej decyzji, zmały się... Nie mógł nic postanowić. Jego nogi wypadły ze strzemion i zwisły poniżej brzucha końskiego. Nie ocknął się nawet od klekocących, niespokojnych okrzyków swych kirasjerów... Z obu stron po szerokim nasypie ile sił w koniach, z narastającym wyciem mknęli brodaci Kozacy w przeraźliwie wysokich, zsuniętych na ucho czapach baranich. Wywijali krzywymi szablami i mierzyli z długich samopałów. Bystróm, by nie widzieć tej okropności, przypadł twarzą do konia generała. Kirasjerzy spoglądając jeden na drugiego jęli dobywać rapierów, rzucali je na ziemię i zsiadali z koni.

Pierwszy dopadł rozgniony pułkownik Ren i pochwycił konia generała za uzdę.

— Generale Horn, jesteś moim jeńcem!

Wówczas ten niby we śnie uniósł rękę ze

szpadą, a pułkownik Ren, by wziąć od niego szpadę, musiał siłą rozluźnić palce generała, wczepione w rękojeść...

Gdyby tu nie było feldmarszałka Ogilwy, Piotr Aleksiejewicz już dawno pocwałowałby do wojsk — w trzy kwadransie zdziałały one to, do czego przygotowywał się cztery lata, co go trapiło i nękało niby nie gojący się wrzód... Ale pal sześć! — wypadło zachować się, jak przystoi panującemu, zgodnie z obyczajem europejskim. Piotr Aleksiejewicz siedział majestatycznie na białym koniu, w mundurze preobrażeńskim, z szarfą, w nowym kosmatym trójgraniastym kapeluszu z kokardą, prawą rękę z perspektywą wparł w bok — stąd, ze wzgórza, nie było już na co patrzeć — obliczem wyrażał groźny majestat... Sprawa europejska: to nie żart — wziąć szturmem jedną z najniebezpieczniejszych twierdz na świecie.

Podjeżdżali oficerowie, Piotr Aleksiejewicz skinieniem brody wskazywał na Ogilwy, więc raportowali feldmarszałkowi o przebiegu walki. Zajęto tyle a tyle ulic i placów. Nasi idą murem, wróg wszędzie cofa się w nieładzie. Wreszcie z rozwalonej bramy „Glorii” wyskoczyli i pognali ile sił w koniach trzej oficerowie. Ogilwy wznosił palec, rzekł: — O, dobre wieści, jak się domyślam... Pierwszy dobiegł chorąży kozacki, zleciał w biegu z siodła i zadarłszy ku carowi Piotrowi czarną brodę wrzasnął:

_ — Komendant Narwy generał Horn oddał szpadę...

— Wspaniale! — krzyknął Ogilwy i ręką w białej łosiowej rękawicy z gracją wskazał

Piotrowi Aleksiejewiczowi: — Najjaśniejszy panie, racz wkroczyć — miasto należy do ciebie...

Piotr wszedł gwałtownie do sklepionej sali rycerskiej w zamku. Zdawał się wyższy, grzbiet wyciągnięty, pierś głośno dyszała... W ręku — obnażona szpada... Spojrzał wściekle na Aleksandra Daniłowicza — na żelaznym | kirysie tamtego widniały odciski kul, wąska twarz zapadnięta, włosy mokre od potu, wargi spieczone; spojrzął na malutkiego Riep- nina uśmiechającego się słodko szparkami oczu; spojrzął na rumianego — już zdołał wychylić czarkę wódki — pułkownika Rena; spojrzął na generała Chambersa, zadowolonego z siebie niby solenizant.

— Chcę wiedzieć — krzyknął do nich Piotr Aleksiejewicz — czemu w starym mieście dotąd jeszcze nie zaniechano rzezi? Czemu w mieście trwa rabunek? — Wyciągnął rękę ze szpadą. — Uderzyłem naszego żołnierza. Był pijany i włókł dziewczynę... — Rzucił szpadę na stół... — Panie bombardierze, poruczniku Mieńszukow, mianuję cię gubernatorem miasta... Daję godzinę czasu na powstrzymanie rozlewu krwi i rabunku... Nie grzbietem odpowiesz — głową...

Mieńszukow pobladł i wyszedł natychmiast; wlokąc poszarpany płaszcz. Anikita Riepnin rzekł miękkim głosem:

— Nieprzyjacieli na#zbyt późno zawołał par

don, stąd ciężko ująć w karby naszego żoł- '* nierza, rozjuszył się jak nieszczęście... Oficerowie wysłani przeze mnie za włosy ich k łapią, oddzierają... Zaś w mieście rabują w swoi, mieszkańcy...

^.-.! — Brać i wieszać na postrach!

Piotr Aleksiejewicz siadł przy stole, ale natychmiast wstał. Wszedł Ogilwy, za nim dwaj żołnierze z oficerem prowadzili generała Horna. Zrobiło się cicho, jeno gwiazdki na ostrogach Horna dźwięczały powoli. Zbliżył się do cara Piotra, podniósł głowę patrząc w bok zamglonymi oczyma, wargi jego wykrzywił -uśmiech... Wszyscy widzieli, jak ręka Piotra porwała się ze stołu, z czerwonego sukna, zacisnęła w pięść (Ogilwy z przestrachem zrobił krok ku niemu), jak jego ramiona wzdrygnęły się z obrzydzenia, milczał tak długo, aż wszystkim dech zaparło...

— Nie będziesz miał ode mnie honorów — odezwał się Piotr niezbyt głośno. — Głupcze! Stary wilku! Drapieżny uparciuchu... — miot- nął wzrokiem na pułkownika Rena. — Odprowadź go do więzienia, pieszo przez całe miasto, aby ujrzał żalosalne dzieło rąk własnych...